KEN FOLLETT

SŁUP OGNIA

O książce

Boże Narodzenie 1558. Młody Ned Willard po rocznej nieobecności wraca do domu w Kingsbridge i odkrywa, że wszystko poza majestatycznie górującą nad miastem katedrą się zmieniło. Jego ukochana Margery ma zostać wydana za mąż, a na rynku miasta znów zapłoną stosy. Zresztą obłęd krwawych prześladowań na tle religijnym ogarnia już całą Europę - od Edynburga, przez Sewillę, Antwerpię i Genewę, aż po Paryż.

Ned Willard, wciąż zakochany w należącej do wrogiego mu obozu Margery, ufa nowej królowej, Elżbiecie, która przed objęciem tronu obiecała, że za jej panowania nikt nie zginie z powodu swoich przekonań. I służy jej z oddaniem, wykonując tajne misje w różnych miejscach Europy.

Niestety, ludzi takich jak on, wierzących w tolerancję i możliwość kompromisu między

katolikami i protestantami, czeka walka na śmierć i życie z tymi, dla których starcie tych dwóch religii staje się okazją do zdobycia wpływów. Bo tak naprawdę nie chodzi o wyznanie, lecz o władzę.

KEN FOLLETT

SŁUP OGNIA

Z angielskiego przełożyli
ANNA DOBRZAŃSKA
JANUSZ OCHAB

Ken Follett

Brytyjski pisarz, urodzony w Walii w 1949 r. Światową sławę przyniosła mu wydana w 1978 r. **Igła**. Kolejne tytuły, m.in. **Trzeci bliźniak**, **Zabójcza pamięć**, **Zamieć**, **Upadek gigantów**, **Zima świata** oraz **Krawędź wieczności**, utrwaliły jego pozycję jako autora bestsellerów. Choć książki odwołujące się do wydarzeń z okresu II wojny światowej dominują w jego twórczości, za swoje najważniejsze dzieło autor nadal uważa sagę **Filary Ziemi –** owoc jego zainteresowania średniowieczem. Na podstawie powieści Folletta nakręcono wiele filmów oraz seriali, m.in. **Igłę**, **Klucz do Rebeki**, **Na skrzydłach orłów** i **Filary Ziemi**.

www.ken-follett.com

Tego autora

Powieści historyczne

UCIEKINIER
NIEBEZPIECZNA FORTUNA
CZŁOWIEK Z SANKT PETERSBURGA

Filary Ziemi
FILARY ZIEMI
ŚWIAT BEZ KOŃCA
SŁUP OGNIA

Stulecie
UPADEK GIGANTÓW
ZIMA ŚWIATA
KRAWĘDŹ WIECZNOŚCI

Thrillery wojenne

IGŁA
KRYPTONIM KAWKI
LOT ĆMY

KLUCZ DO REBEKI
NOC NAD OCEANEM

Thrillery

MŁOT EDENU
ZABÓJCZA PAMIĘĆ
TRÓJKA
ZAMIEĆ
SKANDAL Z MODIGLIANIM
TRZECI BLIŹNIAK
LWY PANSZIRU
PAPIEROWE PIENIĄDZE

Literatura faktu

NA SKRZYDŁACH ORŁÓW

Tytuł oryginału:
A COLUMN OF FIRE

Copyright © Ken Follett 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska & Janusz Ochab 2017

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: iurii/Shutterstock, steveball/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6578-180-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

Spis treści

Mapa
GŁÓWNE POSTACIE
Prolog
CZĘŚĆ PIERWSZA. 1558
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8

CZĘŚĆ DRUGA. 1559–1563
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13

CZĘŚĆ TRZECIA. 1566–1573

Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
CZĘŚĆ CZWARTA. 1583–1589
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
CZĘŚĆ PIĄTA. 1602–1606
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
EPILOG
PODZIĘKOWANIA
KTO JEST PRAWDZIWY?
PRZYPISY

Dla Emanuele:
49 lat słońca

A Pan szedł przed nimi w dzień jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, w nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy.

Księga Wyjścia 13, 21, Biblia Tysiąclecia

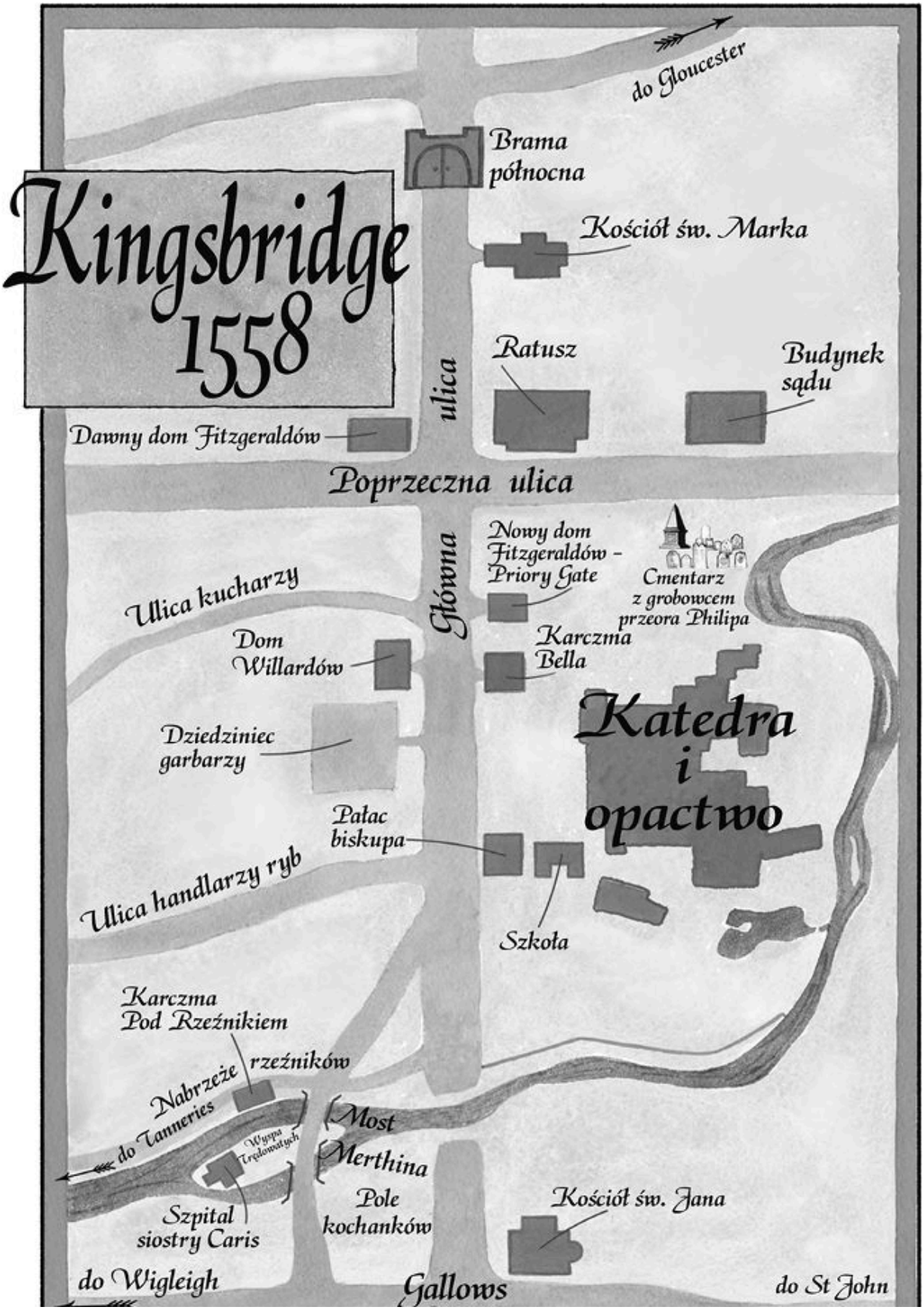
Kingsbridge
1558
do Gloucester
Brama
północna
Kościół św. Marka
Ratusz
Budynek
sądu
ulica
Dawny dom Fitzgeraldów
Poprzeczna ulica
Główna
Nowy dom
Fitzgeraldów –
Priory Gate
Cmentarz
z grobowcem
przeora Philipa
Ulica kucharzy
Dom
Willardów
Karczma
Bella
Katedra
i
opactwo
Dziedziniec
garbarzy
Pałac
biskupa
Ulica handlarzy ryb
Szkoła
Karczma
Pod Rzeźnikiem
Nabrzeże
rzeźników
do Tamneries
Wyspa
Trędowatych
Most
Merthina
Pole
kochanków
Kościół św. Jana
Szpital
siostry Caris
do Wigleigh
Gallows
do St John

GŁÓWNE POSTACIE

Mam nadzieję, że ten spis postaci nie będzie potrzebny. Za każdym razem, gdy przyszło mi do głowy, że moglibyście zapomnieć, kim dana osoba jest, starałem się o tym subtelnie przypomnieć. Wiem jednak, że kiedy czasami czytelnicy odkładają książkę i nie wracają do niej przez tydzień albo dłużej – mnie również się to zdarza – mają prawo czegoś nie pamiętać. Oto więc spis postaci, które pojawiają się na kartach powieści więcej niż jeden raz. Tak na wszelki wypadek…

ANGLIA

Willardowie

Ned Willard
Barney, jego brat
Alice, ich matka
Malcolm Fife, stajenny
Janet Fife, gospodyni

Eileen Fife, córka Malcolma i Janet

Fitzgeraldowie

Margery Fitzgerald
Rollo, jej brat
Sir Reginald, ich ojciec
Lady Jane, ich matka
Naomi, pokojówka
Siostra Joan, stryjeczna babka Margery

Shiringowie

Bart, wicehrabia Shiring
Swithin, jego ojciec, hrabia Shiring
Sal Brendon, gospodyni

Purytanie

Philbert Cobley, właściciel statku
Dan Cobley, jego syn
Ruth Cobley, córka Philberta
Donal Gloster, sekretarz
Ojciec Jeremiah, pastor w kościele Świętego Jana w Loversfield
Wdowa Pollard

Pozostałe postacie

Brat Murdo, wędrowny kaznodzieja

Susannah, hrabina Brecknock, przyjaciółka Margery i Neda
Jonas Bacon, kapitan *Jastrzębia*
Jonathan Greenland, pierwszy oficer na *Jastrzębiu*
Stephen Lincoln, ksiądz
Rodney Tilbury, sędzia

Postacie historyczne

Maria Tudor, królowa Anglii
Elżbieta Tudor, jej siostra przyrodnia, późniejsza królowa
Sir William Cecil, doradca Elżbiety
Robert Cecil, syn Williama
William Allen, przywódca wygnanych angielskich katolików
Sir Francis Walsingham, szef siatki szpiegowskiej

FRANCJA

Palotowie

Sylvie Palot
Isabelle Palot, jej matka
Giles Palot, ojciec Sylvie

Pozostałe postacie

Pierre Aumande
Wicehrabia Villeneuve, kolega Pierre’a ze studiów
Ojciec Moineau, nauczyciel Pierre’a
Nath, pokojówka Pierre’a
Guillaume z Genewy, wędrowny pastor
Louise, markiza Nîmes
Luc Mauriac, makler frachtujący
Afrodyta Beaulieu, córka hrabiego Beaulieu
René Duboeuf, krawiec
Françoise Duboeuf, jego młoda żona
Markiz de Lagny, protestancki arystokrata
Bernard Housse, młody dworzanin
Alison McKay, dama dworu Marii królowej Szkotów

Fikcyjne postacie domu Gwizjuszów

Gaston Le Pin, dowódca straży przybocznej Gwizjuszów
Brocard i Rasteau, dwóch ludzi Gastona
Véronique
Odette, pokojówka Véronique
Georges Biron, szpieg

Postacie historyczne: rodzina Gwizjuszów

Franciszek, książę Gwizjusz (Człowiek z Blizną)
Henryk, syn Franciszka
Karol, kardynał Lotaryngii

Postacie historyczne: Burbonowie i ich sojusznicy

Antoni, król Nawarry
Henryk, syn Antoniego
Ludwik, książę Condé
Gaspard de Coligny, admirał Francji

Inne postacie historyczne

Henryk II, król Francji
Katarzyna Medycejska, królowa Francji
Dzieci Henryka i Katarzyny:
Franciszek II, król Francji
Karol IX, król Francji
Henryk III, król Francji
Małgorzata (Margot), królowa Nawarry
Maria Stuart, królowa Szkotów
Charles de Louviers, zabójca

SZKOCJA

Postacie historyczne

James Stuart, nieślubny brat przyrodni Marii, królowej Szkotów
Jakub Stuart, syn Marii, królowej Szkotów, później król Szkocji Jakub VI i król Anglii Jakub I

HISZPANIA

Cruzowie
Carlos Cruz
Cioteczka Betsy

Ruizowie
Jeronima
Pedro, jej ojciec

Pozostałe postacie
Archidiakon Romero
Ojciec Alonso, inkwizytor
Kapitan „Żelazna Ręka” Gómez

Niderlandy

Wolmanowie
Jan Wolman, kuzyn Edmunda Willarda
Imke, jego córka

Willemsenowie

Albert
Betje, żona Alberta
Drike, ich córka
Evi, owdowiała siostra Alberta
Matthus, syn Evi

Pozostałe narodowości

Ebrima Dabo, niewolnik pochodzący z ludu Mandinka
Bella, producentka rumu z Hispanioli

Prolog

Powiesiliśmy go przed katedrą w Kingsbridge, gdzie zwykle odbywają się egzekucje. Przecież jeśli nie można zabić człowieka przed obliczem Boga, prawdopodobnie w ogóle nie powinno się go zabijać.

Szeryf wyprowadził go z więzienia pod ratuszem. Szedł wyprostowany, z rękami związanymi na plecach, a jego blada twarz była wyzywająca i nieustraszona.

Tłum szydził z niego i złorzeczył mu. On jednak zdawał się nie widzieć rozjuszonej tłuszczy. Ale mnie zobaczył. Nasze spojrzenia się spotkały i była w nich cała wieczność.

To ja byłem odpowiedzialny za jego śmierć, a on dobrze o tym wiedział.

Tropiłem go od dziesiątków lat. Był zamachowcem, który – gdybym go nie powstrzymał – w jednym krwawym akcie bestialstwa zabiłby połowę ludzi dzierżących

władzę w tym kraju, łącznie z niemal całą rodziną królewską.

Poświęciłem życie, tropiąc podobnych mu potencjalnych morderców, z których wielu zostało straconych. Nie wszystkich powieszono; niektórzy zostali rozerwani końmi, innych poćwiartowano. Najokrutniejszą śmierć zarezerwowano dla najgorszych przestępców.

Tak, robiłem to wielokrotnie: patrzyłem, jak umiera człowiek, i wiedziałem, że to właśnie ja sprowadziłem na niego tę sprawiedliwą, choć straszną karę. Robiłem to dla mojego ukochanego kraju; dla władcy, któremu służę, i z jeszcze jednego powodu – z przekonania, że każdy może sam decydować, jaką wyznaje religię.

Był ostatnim z wielu mężczyzn, których posłałem do piekła, ale jego widok sprawił, że pomyślałem o pierwszym z nich…

CZĘŚĆ PIERWSZA

1558

ROZDZIAŁ 1

I

Ned Willard przybył do Kingsbridge podczas zamieci.

Płynął w górę rzeki z portu Combe w kajucie barki załadowanej belami tkanin z Antwerpii i winem z Bordeaux. Zorientowawszy się, że barka zbliża się do Kingsbridge, otulił się szczelniej peleryną, naciągnął kaptur, wyszedł na pokład i spojrzał przed siebie.

Z początku był rozczarowany: widział jedynie sypiący śnieg. Jednakże tęsknota za widokiem miasta była wręcz bolesna, więc z nadzieją wpatrywał się w śnieżną zadymkę. Po chwili jego życzenie zostało spełnione, a śnieżyca osłabła. Zdumiony dostrzegł skrawek błękitnego nieba. Wytężając wzrok, spojrzał ponad czubkami drzew i ujrzał wieżę katedry – wysoką na czterysta pięć stóp, o czym wiedział każdy uczeń

szkoły w Kingsbridge. Skrzydła kamiennego anioła, który obserwował miasto ze szczytu iglicy, przykryła warstewka śniegu, zmieniając kolor piór z gołębiego na śnieżnobiały. Gdy tak patrzył, promień słońca oświetlił posąg i odbił się od śniegu niczym błogosławieństwo, a chwilę potem świat zniknął w tumanach białego puchu.

Przez moment nie widział niczego poza drzewami, wyobraźnia podsuwała mu jednak rozmaite obrazy. Wkrótce spotka się z matką, której nie widział od roku. Nie powie jej, jak bardzo tęsknił, albowiem mężczyzna w wieku osiemnastu lat winien być niezależny i samowystarczalny.

Przede wszystkim jednak tęsknił za Margery. Zakochał się w niej w najmniej odpowiednim czasie, kilka tygodni przed wyjazdem z Kingsbridge i rocznym pobytem w Calais, rządzonym przez Anglików porcie na północnym wybrzeżu Francji. Od dziecka znał i lubił psotną i inteligentną córkę sir Reginalda Fitzgeralda. Kiedy dorosła, jej figlarność nabrała nowego uroku. Ned wypatrywał jej w kościele, a gdy ją zauważył, zasychało mu w ustach i zaczynał płytko oddychać. Nie odważył się pierwszy wykonać żadnego kroku, bo Margery była trzy lata młodsza; ona jednak nie miała takich

zahamowań. Całowali się na cmentarzu w Kingsbridge, ukryci za imponujących rozmiarów grobowcem przeora Philipa, mnicha, który cztery wieki temu zlecił wybudowanie katedry. W ich długim, namiętnym pocałunku nie było nic dziecinnego, ale po wszystkim Margery roześmiała się i uciekła.

Następnego dnia znów go pocałowała. A w przeddzień jego wyjazdu do Francji wyznali sobie miłość.

Przez pierwsze tygodnie pisywali do siebie listy. Nie powiedzieli rodzicom o swoich uczuciach – było na to zbyt wcześnie – więc nie mogli pisać o nich otwarcie, ale Ned zwierzył się starszemu bratu, Barneyowi, i ten stał się ich pośrednikiem. Niestety, Barney opuścił Kingsbridge i wyjechał do Sewilli. Margery wprawdzie też miała starszego brata, Rollo, lecz nie ufała mu tak, jak Ned Barneyowi, zatem listy przestały docierać do Neda.

Brak wieści nie wpłynął jednak na jego uczucia. Ned wiedział, co ludzie mówią o młodzieńczej miłości, i przyglądał się sobie, czekając, aż jego uczucia względem Margery się zmienią, ale tak się nie stało. Po kilku tygodniach w Calais jego kuzynka Thérèse dała mu jasno do zrozumienia, że go uwielbia i jest gotowa zrobić

właściwie wszystko, żeby to udowodnić. Lecz Ned nie dał się skusić. Zaskoczyło go to, zwłaszcza że nigdy dotąd nie miał okazji pocałować ślicznej dziewczyny z dużymi piersiami.

Odtrąciwszy Thérèse, utwierdził się w przekonaniu, że mimo rozłąki jego uczucia do Margery się nie zmienią, i zadawał sobie pytanie, co zrobi, gdy ją zobaczy. Czy będzie tą samą dziewczyną, którą zachował w pamięci?

Rok to długo dla czternastolatki, nawet jeśli Margery miała teraz piętnaście lat. Być może jej uczucia osłabły po tym, jak przestała dostawać listy. Może całowała się z kimś innym za grobowcem przeora Philipa. Ned byłby okropnie rozczarowany, gdyby się okazało, że stał się jej obojętny. A nawet jeśli wciąż go kochała, to czy nadal był tym samym Nedem, którego zapamiętała?

Śnieżyca ustała i zobaczył, że barka przepływa przez zachodnie przedmieścia Kingsbridge. Na obu brzegach mieściły się warsztaty, które zużywały mnóstwo wody: farbiarnie, zakłady folusznicze, papiernicze i rzeźnie. Ponieważ w okolicy cuchnęło, czynsze były tu niskie.

Nieco dalej jego oczom ukazała się Wyspa Trędowatych. Jej nazwa pochodziła z dawnych czasów; od wieków nie było tam żadnego trędowatego. Na skraju wyspy znajdował się szpital siostry Caris, założony przez zakonnicę, która ocaliła miasto podczas zarazy czarnej śmierci. Gdy barka podpłynęła bliżej, zobaczył wyłaniające się zza szpitala pełne gracji bliźniacze łuki mostu Merthina, który od północy i południa łączył wyspę z lądem. Historia miłosna Caris i Merthina była jedną z miejscowych legend przekazywanych z pokolenia na pokolenie w zimowe wieczory przy kominkach.

Barka wpłynęła do przystani przy zatłoczonym nabrzeżu. Na pierwszy rzut oka miasto wyglądało tak jak przed rokiem. Ned podejrzewał, że miejsca takie jak Kingsbridge niewiele się zmieniają. Katedry, mosty i szpitale – oto budowle, które miały przetrwać.

Z torbą przerzuconą przez ramię czekał, aż kapitan poda mu jedyny bagaż: mały, drewniany kufer zawierający ubrania, dwa pistolety i trochę książek. Dźwignął go, pożegnał się i zszedł na nabrzeże. Skierował się w stronę zbudowanego z kamienia nadbrzeżnego magazynu, w którym mieściła się siedziba firmy należącej do jego rodziny. Uszedł ledwie kilka kroków, gdy

usłyszał znajomy głos z silnym szkockim akcentem:

– A niech mnie, jeśli to nie nasz Ned! Witaj w domu!

Na widok Janet Fife, gospodyni w domu jego rodziców, uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie kupowałam ryby na obiad dla twojej matki – oznajmiła Janet. Była przeraźliwie chuda, ale uwielbiała karmić innych. – Też powinieneś coś zjeść. – Spojrzała na niego z uznaniem. – Zmieniłeś się. Zeszczuplałeś na twarzy, ale ramiona masz barczyste. Czy ciotka Blanche dobrze cię karmiła?

– Tak, ale wuj Dick kazał mi przerzucać łopatą kamienie.

– To nie jest zajęcie dla uczonego męża.

– Mnie nie przeszkadzało.

– Malcolmie, Malcolmie, patrz, kto tu jest!

Malcolm, mąż Janet i stajenny u Willardów, kuśtykając, ruszył w ich stronę; lata temu, kiedy był młody i niedoświadczony, został kopnięty przez konia.

– Stary Kasztan zdechł – oznajmił, serdecznie uścisnąwszy dłoń Neda.

– Był ulubionym koniem mojego brata. – Ned powstrzymał się od uśmiechu. Znał Malcolma i wiedział, że wieści o zwierzętach są dla

stajennego ważniejsze niż te o ludziach. – A co u mojej matki?

– Dzięki Bogu, pani cieszy się dobrym zdrowiem – odparł Malcolm. – Podobnie jak twój brat, przynajmniej z tego, co ostatnio słyszeliśmy. Nie lubi pisać, a listy z Hiszpanii idą miesiąc albo nawet dwa. Pozwól, że wezmę twój bagaż, młody Nedzie.

Ned nie miał ochoty iść prosto do domu. Miał inny plan.

– Weźmiesz mój kufer? – zwrócił się do Malcolma. Na poczekaniu wymyślił wiarygodną historyjkę. – Powiedz, że poszedłem do katedry, by podziękować za bezpieczną podróż, i niebawem pojawię się w domu.

– Jak sobie życzysz.

Malcolm odszedł, utykając. Tymczasem Ned ruszył niespiesznie i cieszył oczy znajomym widokiem budynków, wśród których dorastał. Śnieg nadal prószył. Dachy były białe, ale ulice, pełne ludzi i wozów, tętniły życiem; pod stopami plaskało błoto. Minął okrytą złą sławą tawernę Biały Koń, gdzie w każdą sobotę dochodziło do bijatyk, i skierował się główną ulicą pod górę, na plac przed katedrą. Minąwszy pałac biskupa, na chwilę przystanął przed budynkiem szkoły. Przez wąskie, ostrołukowe okna widział półki

z książkami. To tu nauczył się czytać i liczyć, tu odkrył, kiedy należy walczyć, a kiedy uciekać, jak to jest zostać wychłostanym brzozowymi witkami i nie uronić przy tym ani łzy.

W południowej części katedry znajdował się klasztor. Odkąd król Henryk VIII rozwiązał klasztory, opactwo w Kingsbridge popadało w ruinę – dach przeciekał, ściany kruszały, a roślinność pchała się do okien. Budynki należały teraz do burmistrza, ojca Margery, sir Reginalda Fitzgeralda, który zupełnie je zaniedbał.

Na szczęście sama katedra była w dobrym stanie, silna i strzelista jak zawsze – kamienny symbol tętniącego życiem miasta. Ned wszedł przez masywne zachodnie drzwi do nawy głównej. Podziękuje Bogu za bezpieczną podróż, a tym samym obróci kłamstwo, którym uraczył Malcolma, w prawdę.

Jak zwykle kościół był miejscem kultu i interesów: brat Murdo miał fiolki z najprawdziwszą ziemią z Palestyny, nieznajomy mężczyzna oferował za pensa gorące kamienie do rozgrzania rąk, a Puss Lovejoy, drżąca w czerwonej sukni, sprzedawała to co zawsze.

Ned zadarł głowę i spojrzał na żebrowane sklepienie, które przywodziło na myśl splecione ludzkie ramiona, wyciągające się ku niebu. Za każdym razem, gdy tu przychodził, myślał o mężczyznach i kobietach, którzy przyczynili się do powstania katedry. Niektóre nazwiska spisano w *Księdze Timothy'ego*, historii klasztoru, której uczono w szkole. Byli wśród nich: kamieniarz Tom Budowniczy i jego pasierb Jack, przeor Philip, Merthin Fitzgerald, który oprócz mostu zbudował wieżę główną, a także pracownicy kamieniołomu, murarze, stolarze i szklarze – zwykli ludzie, którzy dokonali niezwykłej rzeczy i stworzyli ponadczasowe piękno.

Ned na chwilę uklęknął przed ołtarzem. Bezpieczna podróż była czymś, za co należało podziękować. Nawet w trakcie krótkiej przeprawy z Francji do Anglii statki mogą zatonąć, a ludzie – pożegnać się z życiem.

Nie tracił jednak zbyt wiele czasu na modlitwy. Następnym przystankiem był dom Margery.

W północnej części placu przed katedrą, naprzeciw pałacu biskupa, znajdowała się karczma Bella, a tuż obok trwała budowa nowego domu. Ziemia należała do klasztoru, więc Ned domyślał się, że budowę zlecił ojciec

Margery. Z oknami wykuszowymi i kilkoma kominami wyglądała imponująco; wkrótce będzie to największy dom w całym Kingsbridge.

Idąc w górę główną ulicą, dotarł do skrzyżowania dróg. Dom, w którym mieszkała Margery, stał na rogu, naprzeciw ratusza. Był to duży budynek o drewnianej konstrukcji i choć nie prezentował się tak okazale jak ten, który dopiero budowano, postawiono go na akrze najdroższej ziemi w mieście.

Ned zatrzymał się przed drzwiami. Od roku czekał na tę chwilę, a gdy nadeszła, ogarnął go niepokój.

Zapukał.

Otworzyła stara służącą Naomi i zaprosiła go do sieni. Znała Neda całe życie, ale sprawiała wrażenie zatroskanej, jak gdyby był podejrzanym nieznajomym, a gdy zapytał o Margery, odparła, że pójdzie i zobaczy.

Spojrzał na wiszący nad kominkiem obraz Chrystusa na krzyżu. W Kingsbridge dominowały dwa rodzaje płócien: jedne przedstawiały sceny biblijne, a drugie portrety arystokratów. Ned był zaskoczony, widząc w domach zamożnych Francuzów obrazy pogańskich bogów, takich jak Bachus czy Wenus, którzy zwykle znajdowali się

w baśniowym lesie i nosili szaty wyglądające tak, jakby lada chwila miały zsunąć się na ziemię.

Tu było inaczej. Na ścianie naprzeciw obrazu wisiała mapa Kingsbridge. Nigdy nie widział czegoś podobnego i przyglądał się jej z zaciekawieniem. Na mapie widać było, że główne ulice biegnące z północy na południe i z zachodu na wschód dzielą miasto na cztery części. Katedra i były klasztor znajdowały się w południowo-wschodniej, a cuchnąca dzielnica przemysłowa w południowo-zachodniej. Oznaczono wszystkie kościoły i niektóre domy, w tym Fitzgeraldów i Willardów. Rzeka stanowiąca wschodnią granicę miasta skręcała, przypominając kształtem psią łapę. Niegdyś wyznaczała także południową granicę Kingsbridge, ale dzięki mostowi Merthina miasto rozbudowało się i na drugim brzegu powstały peryferia.

Ned pomyślał, że obrazy symbolizują rodziców Margery: jej ojciec, polityk, z pewnością zawiesiłby na ścianie mapę, podczas gdy matka, pobożna katoliczka – scenę ukrzyżowania.

Tymczasem do sieni weszła nie Margery, lecz jej brat Rollo – przystojny brunet, wyższy od Neda. Ci dwaj chodzili razem do szkoły, ale nie zostali przyjaciółmi. Cztery lata starszy Rollo był

najbystrzejszym chłopcem w szkole i odpowiadał za młodszych uczniów, Ned nie widział w nim jednak wzoru do naśladowania i nie uznawał jego autorytetu. Do tego wkrótce okazało się, że jest co najmniej tak bystry jak Rollo, przez co dochodziło między nimi do kłótni i bójek, dopóki Rollo nie wyjechał do Kingsbridge College w Oksfordzie.

Teraz Ned starał się ukryć niechęć i rozdrażnienie.

– Widziałem plac budowy obok gospody Bella – zaczął uprzejmie. – Wasz ojciec buduje nowy dom?

– Tak. Ten jest już trochę staroświecki.

– Czyli interesy w Combe idą dobrze. – Sir Reginald był mytnikiem w porcie w Combe. Tę lukratywną posadę zapewniła mu Maria Tudor po tym, jak została królową, w nagrodę za jego poparcie.

– A więc wróciłeś z Calais? – zapytał Rollo. – Jak tam było?

– Wiele się nauczyłem. Mój ojciec zbudował tam przystań i magazyn, którym zarządza wuj Dick. – Ojciec Neda zmarł dziesięć lat temu i od tej pory to matka prowadziła interesy. – Przewozimy angielskie rudy żelaza, cynę i ołów z Combe do Calais, skąd trafiają do całej Europy.

– Kontakty z Calais stanowiły fundament rodzinnej fortuny Willardów.

– Czy wojna nie wpłynęła na interesy? – Anglia znajdowała się w stanie wojny z Francją, nietrudno było jednak dostrzec, że troska Rollo jest udawana. Prawdę mówiąc, cieszyła go myśl, że fortuna Willardów może przez to ucierpieć.

Ned zignorował to pytanie.

– Calais jest dobrze strzeżone – odparł z pewnością, której wcale nie czuł. – Otaczają je forty, które chronią miasto, odkąd dwieście lat temu zostało przyłączone do Anglii. – Czuł, że kończy mu się cierpliwość. – Zastałem Margery?

– A masz powód, żeby się z nią spotykać?

Ned puścił to nieuprzejme pytanie mimo uszu i jak gdyby nigdy nic otworzył torbę.

– Przywiozłem jej prezent z Francji. – Wyciągnął z torby złożoną starannie sztukę błyszczącego jedwabiu w kolorze lawendy. – Myślę, że będzie jej pasował.

– Margery nie będzie chciała się z tobą spotkać.

Ściągnął brwi. Co to miało znaczyć?

– Jestem pewien, że ucieszy się na wieść, że wróciłem.

– Nie bardzo wiem, dlaczego miałaby się ucieszyć.

– Podziwiam twoją siostrę – Ned ostrożnie dobierał słowa – i wierzę, że ona również mnie lubi.

– Młody Nedzie, wkrótce się przekonasz, że podczas twojej nieobecności wiele się zmieniło – odparł protekcjonalnie Rollo.

Ned nie potraktował jego słów poważnie, przekonany, że Rollo jest najzwyczajniej w świecie złośliwy.

– Mimo wszystko chciałbym się z nią zobaczyć.

Rollo się uśmiechnął. Był to niepokojący uśmiech, który Ned pamiętał ze szkolnych czasów. Widywał go, kiedy Rollo miał wymierzyć karę chłosty któremuś z młodszych uczniów.

– Margery się zaręczyła.

– Jak to? – Ned gapił się na niego zdumionym, zbolałym wzrokiem, jak ktoś, kto został zaatakowany od tyłu. Nie wiedział, czego może się spodziewać, ale z pewnością nie oczekiwał czegoś takiego.

Brat Margery spoglądał na niego z uśmiechem.

– Z kim? – zapytał Ned. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Poślubi wicehrabiego Shiring.

– Barta? – wydusił Ned. Ze wszystkich młodych mężczyzn w hrabstwie nierozgarnięty, pozbawiony humoru Bart Shiring był ostatnim, który mógłby zawrócić Margery w głowie. Szanse na to, że pewnego dnia zostanie hrabią Shiring, mogły okazać się kuszące dla wielu dziewcząt, ale nie dla Margery. Nie miał co do tego wątpliwości.

A przynajmniej nie miał ich rok temu.

– Wymyśliłeś to? – spytał.

Chwilę po zadaniu tego pytania uświadomił sobie, jak bardzo było niemądre. Rollo może i był przebiegły i złośliwy, ale z całą pewnością nie był głupi. Nie zmyśliłby takiej historyjki, bo przecież zrobiłby z siebie durnia, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

Rollo wzruszył ramionami.

– Zaręczyny zostaną ogłoszone jutro na przyjęciu u hrabiego.

Nazajutrz wypadał dwunasty dzień Bożego Narodzenia. Jeśli hrabia Shiring urządzał przyjęcie, Willardowie z całą pewnością zostaną na nie zaproszeni, więc Ned przekona się osobiście, czy to, co mówi Rollo, jest prawdą.

– Czy ona go kocha? – spytał zdławionym głosem.

Brat Margery nie spodziewał się takiego pytania, i tym razem to on wyglądał na zaskoczonego.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym z tobą o tym rozmawiać.

Jego uchylanie się od odpowiedzi pozwoliło Nedowi wierzyć, że brzmiałaby ona „nie”.

– Dlaczego się denerwujesz?

– Lepiej już idź – żachnął się Rollo. – Zanim stłukę cię tak jak kiedyś.

Ned się wyprostował.

– Nie jesteśmy już w szkole – przypomniał mu. – I mógłbyś się zdziwić, kto tu kogo stłucze. – Miał ochotę rzucić się na niego; był tak wściekły, że nie dbał o to, czy zwycięży.

Rollo był bardziej powściągliwy; podszedł do drzwi i je otworzył.

– Żegnam – rzucił oschle.

Ned się zawahał; nie chciał wychodzić, nie zobaczywszy się z Margery. Gdyby wiedział, gdzie znajduje się jej pokój, pobiegłby na górę, ale zdawał sobie sprawę, jak głupio będzie wyglądał, ganiając po czyimś domu i otwierając kolejno wszystkie drzwi.

Schował jedwab z powrotem do torby.

– To jeszcze nie koniec – zapowiedział. – Nie możecie bez końca trzymać jej pod kluczem.

Wcześniej czy później porozmawiam z nią.

Rollo zignorował jego słowa i cierpliwie stał przy drzwiach. Ned miał ochotę mu przyłożyć, lecz się pohamował; był mężczyzną i nie mógł dać się sprowokować. Czuł, że dał się wyprowadzić w pole. Jeszcze przez chwilę stał przy drzwiach, nie bardzo wiedząc, co zrobić. W końcu wyszedł.

– Nie radzę ci! – zawołał za nim Rollo.

Ned wyszedł na ulicę i udał się do domu, w którym przyszedł na świat.

Dom Willardów stał naprzeciw zachodniego wejścia do katedry. Na przestrzeni lat dobudowywano do niego przypadkowe części i teraz zajmował powierzchnię kilku tysięcy stóp kwadratowych. Był wygodny – z dużymi kominkami, przestronną jadalnią i sypialniami z miękkimi łożami. W domu mieszkała Alice Willard, jej dwaj synowie, a także babka – matka nieżyjącego ojca Neda.

Zastał matkę w salonie, który służył jej za gabinet, gdy nie przebywała w składzie na nabrzeżu. Na widok syna zerwała się od sekretarzyka, objęła go i ucałowała. Przez ostatni rok przybrała na wadze; zauważył to od razu, ale zachował tę uwagę dla siebie.

Rozejrzał się. Pokój wyglądał tak, jak go zapamiętał. Ulubiony obraz matki wisiał tam gdzie zawsze – przedstawiał Chrystusa i cudzołożnicę otoczoną tłumem rozjuszonych faryzeuszy, którzy chcieli ją ukamienować. Alice lubiła cytować Jezusa: *Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień*[1]. Był to poniekąd erotyczny obraz, ponieważ kobieta miała odkryte piersi, przez co swojego czasu młodego Neda nawiedzały barwne sny.

Wyjrzał przez okno na plac targowy i bogato zdobioną fasadę kościoła z długim szeregiem lancetowatych okien i łukowatymi sklepieniami. Katedra była tam każdego dnia, tylko niebo nad nią zmieniało się w zależności od pory roku. Dawała Nedowi niejasne, ale potężne poczucie stabilności. Ludzie rodzili się i umierali, miasta powstawały i upadały, wojny rozpoczynały się i kończyły, a katedra w Kingsbridge będzie tam, gdzie jest, aż do dnia Sądu Ostatecznego.

– A więc poszedłeś do katedry złożyć podziękowania – odezwała się Alice. – Dobry z ciebie chłopiec.

Ned czuł, że nie powinien jej oszukiwać.

– Poszedłem też do Fitzgeraldów – wyznał. Widząc rozczarowanie, które niczym cień

przemknęło po jej twarzy, dodał pospiesznie: – Mam nadzieję, że nie jesteś o to zła.

– Troszkę – przyznała. – Ale pamiętam, jak to jest być młodym i zakochanym.

Miała czterdzieści osiem lat. Po śmierci Eda wszyscy mówili, że powinna ponownie wyjść za mąż i tylko ośmioletni Ned bał się, że dostanie złego ojczyma. Matka była jednak od dziesięciu lat wdową i prawdopodobnie tak miało już pozostać.

– Rollo powiedział, że Margery zamierza poślubić Barta Shiringa.

– Dobry Boże! Tego się obawiałam. Biedactwo. Tak mi przykro.

– Jakim prawem ojciec mówi jej, za kogo ma wyjść?

– Ojcowie sądzą, że mogą o tym decydować. Twój ojciec i ja nie musieliśmy się o to martwić. Żadna z naszych córek nie przeżyła.

Ned wiedział, że zanim przyszedł na świat Barney, matka urodziła dwie dziewczynki. Widział dwa maleńkie nagrobki na cmentarzu przylegającym do północnej części katedry.

– Kobieta musi kochać męża – powiedział. – Ty nie zmuszałabyś córki do małżeństwa z kimś takim jak Bart.

– Pewnie masz rację.

– Więc dlaczego ojciec Margery to robi?

– Sir Reginald wierzy w hierarchię i władzę. Jako burmistrz uważa, że jego zadaniem jest podejmowanie decyzji i wprowadzanie ich w życie. Kiedy twój ojciec był burmistrzem, powtarzał, że jego obowiązkiem jest rządzić miastem, służąc mu jak najlepiej.

– To dwa różne spojrzenia na tę samą kwestię – bąknął niecierpliwie Ned.

– Niezupełnie. To dwa różne światy.

II

– Nie wyjdę za Barta Shiringa! – oświadczyła Margery Fitzgerald matce.

Była smutna i zła. Przez dwanaście miesięcy czekała na powrót Neda, myślała o nim każdego dnia, tęskniła za jego kpiarskim uśmiechem i złocistobrązowymi oczami, a teraz dowiedziała się od służących, że wrócił do Kingsbridge i był w jej domu, ale nikt jej o tym nie powiedział, więc sobie poszedł! Wściekła na najbliższych, że ją oszukali, rozpłakała się.

– Nie proszę, żebyś dziś wyszła za wicehrabiego Shiring – odparła lady Jane. – Po prostu idź i porozmawiaj z nim.

Były w sypialni córki. W jednym kącie stał klęcznik, na którym klękała dwa razy dziennie i patrząc na wiszący na ścianie krzyż, odliczała modlitwy z pomocą paciorków z kości słoniowej nanizanych na sznurek. Pozostała część pokoju opływała w luksusy: było tu łóżko z baldachimem, kolorowymi kotarami i materacem wypełnionym pierzem, duża rzeźbiona skrzynia, która mieściła liczne suknie, i gobelin przedstawiający las.

Na przestrzeni lat ściany pokoju były świadkiem wielu kłótni Margery z matką. Ale teraz była już kobietą – drobną, lecz odrobinę wyższą i nieco bardziej korpulentną niż jej filigranowa, porywcza matka – i miała świadomość, że czasy, gdy każda kłótnia kończyła się jej upokorzeniem i triumfem lady Jane, dawno minęły.

– Po co? – spytała. – Przyszedł tu, żeby się do mnie zalecać. Jeśli z nim porozmawiam, poczuje się ośmielony. I jeszcze bardziej się zdenerwuje, kiedy odkryje prawdę.

– Możesz być uprzejma.

Margery nie chciała rozmawiać o Barcie.

– Jak mogliście mi nie powiedzieć, że Ned tu był? – rzuciła z wyrzutem. – To nie w porządku!

– Dowiedziałam się o tym po jego wyjściu! Tylko Rollo z nim rozmawiał.

– Rollo wykonywał wasze polecenia.

– Dzieci powinny wykonywać polecenia rodziców – odparła lady Jane. – Znasz przykazanie: Czcij ojca swego i matkę swoją. To twój obowiązek wobec Boga.

Margery walczyła z tym całe swoje życie. Wiedziała, że Bóg chce od niej posłuszeństwa, lecz z natury była uparta i zbuntowana – przynajmniej tak jej mówiono – i bycie grzeczną stanowiło dla niej nie lada wyzwanie. Jednakże za każdym razem, gdy jej o tym przypominano, starała się poskromić swoją naturę i na jakiś czas stawała się uległa. Wiedziała, że wola Boża jest najważniejsza.

– Wybacz, matko – rzekła.

– Idź, porozmawiaj z Bartem.

– Dobrze.

– Tylko uczesz włosy, moja droga.

– Wyglądają dobrze – rzuciła przekornie Margery i zanim matka zdążyła cokolwiek dodać, wyszła z pokoju.

Bart czekał w holu, ubrany w nowe żółte pończochy. Drażnił się z jednym z psów, podstawiając mu pod nos plasterek szynki i w ostatniej chwili cofając rękę.

Lady Jane zeszła za córką po schodach.

– Zaprowadź lorda Shiring do biblioteki i pokaż mu książki – poinstruowała córkę.

– Jego nie interesują książki – warknęła dziewczyna.

– Margery! – upomniała ją matka.

– Chętnie obejrzę książki – odezwał się Bart.

Margery wzruszyła ramionami.

– Proszę za mną – bąknęła i zaprowadziła go do sąsiedniego pokoju. Zostawiła otwarte drzwi, ale lady Jane nie dołączyła do nich.

Księgozbiór ojca zajmował trzy półki.

– Na Boga, ile książek! – wykrzyknął Bart. – Człowiek zmarnowałby życie, żeby je wszystkie przeczytać.

W bibliotece znajdowało się około pięćdziesięciu tomów – więcej, niż zwykle widywano za murami uniwersytetu czy klasztoru – co było symbolem statusu i bogactwa. Niektóre z ksiąg napisano po łacinie albo po francusku.

Margery postanowiła odgrywać rolę gospodyni. Sięgnęła po jedną z anglojęzycznych książek.

– To *Miła rozrywka*[2] – powiedziała. – Myślę, że mogłaby cię zainteresować.

Bart rzucił jej pożądliwe spojrzenie i przysunął się nieco bliżej.

– Przyjemności zawsze są miłe – spróbował zażartować.

Dziewczyna się cofnęła.

– To długi wiersz o edukacji rycerza.

– Aha. – Nagle stracił zainteresowanie książką. Spojrzał na półkę i wybrał książkę kucharską.

– To jest ważne – oświadczył. – Żona powinna dbać o to, żeby mąż dobrze jadł, prawda?

– Oczywiście. – Margery rozpaczliwie szukała w głowie tematów do rozmowy. Co interesowało Barta? Może wojna? – Ludzie obwiniają królową o wojnę z Francją.

– Niby dlaczego to miała być jej wina?

– Mówią, że Hiszpania i Francja walczą o wpływy we Włoszech, że ten konflikt nie ma nic wspólnego z Anglią i że przystąpiliśmy do tej wojny tylko dlatego, że królowa Maria jest żoną króla Filipa i musi go wspierać.

Bart pokiwał głową.

– Żona powinna słuchać męża.

– Dlatego wybierając mężów, musimy być bardzo ostrożne. – Ta kąśliwa uwaga uszła jego uwadze. Tymczasem Margery ciągnęła: – Niektórzy twierdzą, że królowa nie powinna była wychodzić za obcego monarchę.

– Dość tych rozmów o polityce. – Bart najwyraźniej znudził się tematem. – Kobiety

powinny zostawiać takie sprawy swoim mężom.

– Kobiety mają tak wiele obowiązków wobec mężów – zauważyła Margery, wiedząc, że i ta złośliwość umknie jego uwadze. – Musimy im gotować, słuchać ich i zostawić im rozmowy o polityce… Cieszę się, że nie mam męża; dzięki temu życie jest prostsze.

– Ale każda kobieta potrzebuje męża.

– Porozmawiajmy o czymś innym.

– Mówię poważnie. – Bart w skupieniu zamknął oczy, a gdy się odezwał, jego słowa brzmiały jak wyuczone przemówienie. – Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie i kocham cię. Proszę, zostań moją żoną.

– Nie! – odparła instynktownie.

Wyglądał na zmieszanego. Nie wiedział, co powiedzieć. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej reakcji.

– Pewnego dnia moja żona zostanie hrabiną! – dodał po chwili.

– Więc musisz poślubić dziewczynę, która pragnie tego z całego serca.

– A ty nie pragniesz?

– Nie. – Starała się być delikatna, lecz nie było to proste: ten człowiek zupełnie nie rozumiał zawoalowanych wypowiedzi. – Jesteś silny, przystojny i z całą pewnością odważny, ale nie

mogłabym cię pokochać. – W tym momencie pomyślała o Nedzie; w jego towarzystwie nigdy nie musiała wymyślać tematów do rozmowy. – Chcę poślubić mężczyznę bystrego, troskliwego, dla którego żona będzie kimś więcej niż tylko służącą. – No proszę, pomyślała, nawet Bart Shiring musi zrozumieć coś takiego.

On jednak przyskoczył do niej i chwycił ją za ramiona. Dłonie miał silne.

– Kobiety lubią, kiedy się nimi dyryguje – oświadczył.

– Kto ci tak powiedział? Wierz mi, że to nieprawda! – Próbowała się uwolnić, ale nie mogła.

Szarpnięciem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

W innych okolicznościach po prostu odwróciłaby głowę, ale rozkojarzona, wciąż smutna i rozgoryczona po tym, jak zatajono przed nią wizytę Neda, myślała wyłącznie o tym, co by się wydarzyło, o tym, że mogłaby go pocałować, dotknąć jego włosów i wtulić się w niego. Czuła obecność Neda tak mocno i wyraźnie, że bliskość Barta napawała ją obrzydzeniem graniczącym z paniką. Niewiele myśląc, kopnęła go kolanem w czułe miejsce.

Wrzasnął z bólu i zaskoczenia, wypuścił ją i jęcząc, zgiął się wpół. Oczy miał zamknięte, a ręce wciśnięte między uda.

Margery rzuciła się w stronę drzwi, zanim jednak tam dotarła, do biblioteki weszła matka, która najwyraźniej stała na zewnątrz i podsłuchiwała.

Spojrzała na gościa i pojąwszy, co się stało, zwróciła się do córki:

– Głupie dziecko.

Chwilę później w pokoju pojawił się ojciec Margery. Był wysoki i ciemnowłosy jak Rollo, lecz w przeciwieństwie do syna, jego twarz upstrzona była piegami.

– Poślubisz tego, kogo wybierze dla ciebie twój ojciec – powiedział lodowatym tonem.

Groźba w jego głosie przeraziła Margery. Dziewczyna zaczęła podejrzewać, że nie doceniła determinacji rodziców. Popełniła błąd, pozwalając, by oburzenie wzięło nad nią górę. Próbowała się uspokoić i myśleć logicznie.

– Nie jestem księżniczką! – powiedziała wzburzonym, choć nieco spokojniejszym głosem. – Moje małżeństwo to nie sojusz polityczny. Jestem córką kupca. Ludzie tacy jak my nie zawierają aranżowanych małżeństw.

Jej słowa tak rozjuszyły sir Reginalda, że poczerwieniał ze złości.

– Jestem rycerzem! – ryknął.

– Ale nie hrabią!

– Podobnie jak Bart, jestem potomkiem Ralpha Fitzgeralda, który został hrabią Shiring dwieście lat temu. Ralph Fitzgerald był synem sir Geralda i bratem Merthina, budowniczego mostu. W moich żyłach płynie krew angielskiej arystokracji.

Przerażona Margery zrozumiała, że będzie zmuszona stawić czoło nie tylko nieugiętej woli ojca, ale również rodzinnej dumie, i nie miała pojęcia, jak je pokonać. Wiedziała tylko, że nie może okazać słabości.

Spojrzała na Barta, przekonana, że nie będzie chciał poślubić niechętnej mu dziewczyny.

– Proszę wybaczyć, lordzie Shiring, ale zamierzam wyjść za Neda Willarda.

– Nawet o tym nie myśl! – zaprotestował zdumiony sir Reginald.

– Kocham Neda Willarda.

– Jesteś za młoda, żeby kogokolwiek kochać. A Willardowie to właściwie protestanci!

– Chodzą na msze jak wszyscy.

– Tak czy inaczej, wyjdziesz za wicehrabiego Shiring.

– Nie – odparła Margery z pełną spokoju stanowczością.

Bart powoli dochodził do siebie.

– Wiedziałem, że będą z nią problemy – mruknął.

– Potrzebuje tylko twardej ręki – odparł sir Reginald.

– Potrzebuje bata.

– Pomyśl tylko, Margery – wtrąciła lady Jane. – Pewnego dnia zostaniesz hrabiną, a twój syn hrabią!

– Tylko to was interesuje, tak? – rzuciła oskarżycielsko dziewczyna. Miała świadomość, że mówi podniesionym głosem, ale nie potrafiła nad tym zapanować. – Chcecie, żeby wasze wnuki były arystokratami! – Wyczytała z ich twarzy, że się nie myli. – Nie będę klaczą zarodową tylko dlatego, że marzą się wam tytuły – dodała z pogardą.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że posunęła się za daleko. Zniewaga dotknęła jej ojca do żywego.

Ściągnął pas.

Margery cofnęła się bojaźliwie i wpadła na sekretarzyk. Chwilę później poczuła, jak ojcowska dłoń chwyta ją za kark. Zobaczyła, że

końcówka pasa ma mosiężne okucie, i przeraziła się tak bardzo, że krzyknęła.

Sir Reginald zmusił ją, żeby pochyliła się nad sekretarzykiem i choć próbowała się wyrwać, z łatwością ją przytrzymał.

– Lordzie Shiring, prosiłabym, żeby opuścił pan bibliotekę. – Głos matki przeraził ją jeszcze bardziej.

Zaraz potem drzwi zatrzasnęły się, a powietrze przeciął świst ojcowskiego pasa, który smagnął Margery w uda. Sukienka, którą miała na sobie, była zbyt cienka, by zapewnić jej jakąkolwiek ochronę, i dziewczyna znowu krzyknęła – tym razem z bólu. Po trzecim razie usłyszała, jak matka mówi:

– Myślę, że już wystarczy, Reginaldzie.

– Dzieci trzeba trzymać krótko – oświadczył. Było to znane powiedzenie; wszyscy wierzyli, że chłosta jest dobra dla dzieci… z wyjątkiem samych dzieci, oczywiście.

– Biblia mówi coś innego – odezwała się lady Jane. – *Nie kocha syna, kto rózgi żałuje, kto kocha go, w porę go karci*[3]. To odnosi się do chłopców, nie do dziewcząt.

– Inne biblijne przysłowie głosi: *Karcenia chłopcu nie żałuj*[4] – rzekł jej mąż.

– Margery nie jest już dzieckiem. Poza tym oboje wiemy, że karanie jej nic nie da. Przez to zrobi się jeszcze bardziej uparta.

– Więc co proponujesz?

– Zostaw to mnie. Porozmawiam z nią, kiedy się uspokoi.

– Dobrze – odparł sir Reginald i gdy Margery pomyślała, że już po wszystkim, ojcowski pas świsnął ostatni raz i smagnął ją w nogi, wydzierając z jej gardła krzyk. Zaraz potem usłyszała, jak ojciec wychodzi z pokoju, i tym razem naprawdę było po wszystkim.

III

Ned był pewien, że zobaczy Margery na uczcie u hrabiego Swithina. Rodzice nie mogli przecież trzymać jej pod kluczem. Byłby to znak, że coś jest nie tak, i ludzie zaczęliby gadać i dociekać, co się stało, że dziewczyna nie pojawiła się na przyjęciu.

Pożłobiona koleinami, błotnista droga była zmarznięta na kamień i kuc Neda stąpał niepewnie po zdradliwej powierzchni. Ciepło końskiego ciała ogrzewało go, ręce miał jednak

skostniałe z zimna. Tuż obok jego matka jechała na szerokim grzbiecie klaczy.

Dom hrabiego Shiring, New Castle, był oddalony od Kingsbridge o dwanaście mil. Podróż zajmowała niemal pół krótkiego zimowego dnia i Ned z niecierpliwości odchodził od zmysłów. Musiał zobaczyć Margery nie tylko dlatego, że się za nią stęsknił, ale również po to, by, u diabła, dowiedzieć się, co się dzieje.

W oddali majaczyły mury liczącego sto pięćdziesiąt lat New Castle. Niedawno hrabia wybudował dom w ruinach średniowiecznej fortecy. Blanki z tego samego szarego kamienia co katedra w Kingsbridge ginęły wśród tumanów gęstej, zimnej mgły. Podjeżdżając bliżej, Ned słyszał nasilające się odgłosy świętowania: wykrzykiwane słowa powitania, śmiech i dźwięki muzyki – niskie dudnienie bębnów, radosne skrzypce i piskliwy jęk fujarek unoszący się w mroźnym powietrzu. Zgiełk niósł obietnicę strzelających płomieni, gorącej strawy i napitku.

Ned zmusił konia do kłusa, chcąc jak najszybciej dotrzeć na miejsce i położyć kres niepewności. Czy Margery rzeczywiście kochała Barta Shiringa i zamierzała go poślubić?

Droga prowadziła prosto do wejścia. Gawrony przechadzające się po murach zamku witały

gości złośliwym krakaniem. Most zwodzony zniknął dawno temu, a fosa została zasypana, lecz w strażnicy wciąż widać było wąskie otwory strzelnicze. Ned przejechał przez gwarny dziedziniec pełen odzianych w barwne szaty ludzi, koni i powozów, wśród których kręciła się służba. Oddał kuca stajennemu i dołączył do tłumu gości tłoczących się przy drzwiach.

Nigdzie nie widział Margery.

W drugim końcu dziedzińca, przytulona do murów zamku, stała nowoczesna ceglana budowla z kaplicą po jednej stronie i browarem po drugiej. W ciągu czterech lat, odkąd ją wybudowano, Ned był tu tylko raz i jak urzeczony wpatrywał się w rzędy wysokich okien i kominy. Był to największy dom w hrabstwie, bardziej okazały niż rezydencje najbogatszych kupców z Kingsbridge – choć, kto wie, może w Londynie budowano jeszcze większe.

Hrabia Swithin stracił przywileje za rządów Henryka VIII, kiedy nie poparł go w jego konflikcie z papieżem, jednakże pięć lat temu, gdy na tronie zasiadła Maria Tudor, zagorzała katoliczka, wrócił do łask i odzyskał swoje bogactwa i wpływy. Zapowiadała się więc wspaniała uczta.

Ned znalazł się w domu i przeszedł do wysokiej na dwie kondygnacje wielkiej sali. Dzięki ogromnym oknom nawet w zimowy dzień było tu jasno. Ściany wyłożono dębową boazerią, na której wisiały gobeliny przedstawiające sceny łowieckie. W dwóch wielkich kominkach na przeciwległych końcach długiej sali płonęły polana. Na galerii ciągnącej się wzdłuż trzech z czterech ścian grali muzykanci, których słyszał, jeszcze zanim dojechał do New Castle. Czwartą ścianę zdobił portret ojca hrabiego Swithina, dzierżącego laskę – symbol władzy.

Niektórzy z gości tańczyli w ośmioosobowych grupach ludowy taniec; trzymając się za ręce, chodzili w koło, by w pewnym momencie zatrzymać się i podskoczyć. Inni stali w grupkach i rozmawiali, próbując przekrzyczeć dźwięki muzyki i przytupywanie tancerzy. Ned wziął drewniany kubek grzanego cydru i rozejrzał się po sali.

W pewnej odległości od tańczących stała grupa ludzi: armator Philbert Cobley z rodziną, wszyscy w czarno-szarych strojach. Protestanci z Kingsbridge byli na wpół tajną grupą; wszyscy wiedzieli o ich istnieniu i domyślali się, kim są, ale nikt nie mówił o tym otwarcie. Trochę tak jak w przypadku mężczyzn, którzy kochają

mężczyzn, pomyślał Ned. Protestanci nie przyznawali się do swoich przekonań, bo to oznaczało, że będą torturowani tak długo, aż się ich wyrzekną albo spłoną na stosie. Pytani, w co wierzą, odpowiadali wymijająco. Brali udział w mszach katolickich, jak nakazywało prawo, ale wykorzystywali każdą okazję, żeby demonstrować niechęć do sprośnych piosenek, głębokich dekoltów i pijanych księży. No i nie było prawa, które zakazywałoby noszenia nijakich ubrań.

Ned znał praktycznie wszystkich na sali. Najmłodszymi gośćmi byli chłopcy, z którymi chodził do szkoły w Kingsbridge, i dziewczęta, które w niedziele po mszy ciągnął za włosy. Równie dobrze znał starsze pokolenie miejscowych notabli, ci bowiem często gościli w domu jego matki.

Szukając w tłumie Margery, zatrzymał wzrok na nieznajomym: dobiegającym czterdziestki, długonosym mężczyźnie z rzednącymi kasztanowymi włosami i brodą – jak nakazywała moda – starannie przystrzyżoną w szpic. Nieznajomy był niskim, żylastym człowiekiem, odzianym w wytworny, ciemnoczerwony płaszcz. Rozmawiał z hrabią Swithinem i sir Reginaldem Fitzgeraldem, których zachowanie

wprawiło Neda w zdumienie. Wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że nie przepadają za swoim rozmówcą – sir Reginald, oparty o ścianę, skrzyżował ramiona na piersi, podczas gdy hrabia Swithin stał w lekkim rozkroku z rękami na biodrach – a jednak słuchali go z uwagą.

Kiedy muzycy skończyli grać i zapadła względna cisza, Ned zwrócił się do Daniela, syna Philberta Cobleya, grubego chłopaka z bladą, okrągłą twarzą, starszego od niego o kilka lat.

– Kto to? – zapytał, wskazując nieznajomego w czerwonym płaszczu.

– Sir William Cecil. Zarządca ziemski księżniczki Elżbiety.

Elżbieta Tudor była młodszą siostrą przyrodnią królowej Marii.

– Słyszałem o nim – powiedział Ned. – Czy nie był przez pewien czas sekretarzem stanu?

– Owszem.

W tamtym czasie Ned był zbyt młody, by interesować się polityką, ale pamiętał, że matka wyrażała się o sir Cecilu z podziwem. Zdaniem Marii Tudor, nie był on wystarczająco gorliwym katolikiem i kiedy doszła do władzy, pozbyła się go. Teraz zajmował więc znacznie mniej prestiżowe stanowisko i czuwał nad finansami Elżbiety.

Ale co robił tutaj?

Matka Neda z pewnością chciałaby wiedzieć o jego pojawieniu się w New Castle. Gość oznaczał wieści, a Alice ich potrzebowała. Wpajała synom, że odpowiednie informacje mogą uczynić człowieka bogatym albo uratować go od ruiny. Kiedy jednak Ned szukał w tłumie matczynej twarzy, zauważył Margery i natychmiast zapomniał o Williamie Cecilu.

Zdumiał go jej wygląd. Sprawiała wrażenie starszej nie o rok, ale o pięć lat. Jej kręcone, ciemne włosy zostały misternie upięte i ozdobione fikuśnym piórkiem. Mała, biała kryza wokół szyi zdawała się rozświetlać jej twarz. Margery była niska, ale mocnej budowy, a sztywny gorset niebieskiej aksamitnej sukni bynajmniej nie zakrywał rozkosznych krągłości. Jak zwykle twarz miała pełną ekspresji. Dziewczyna uśmiechała się, unosiła brwi, przekrzywiała głowę i z równą łatwością wyrażała zaskoczenie, konsternację i pogardę co zachwyt. Przyłapał się na tym, że przygląda się jej tak jak kiedyś. Przez chwilę miał wrażenie, że na sali nie ma nikogo innego.

Chwilę później otrząsnął się i lawirując między ludźmi, ruszył w jej stronę.

Na jego widok Margery się rozpromieniła, lecz radość na jej twarzy zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a w jej miejsce pojawił się niepokój. W miarę jak Ned się zbliżał, patrzyła na niego z rosnącym przerażeniem, jak gdyby chciała powiedzieć mu wzrokiem, żeby zawrócił. On jednak nie zwracał na to uwagi. Musiał z nią porozmawiać.

Otworzył usta, ale go ubiegła.

– Kiedy zaczną się bawić w „polowanie na jelenia", idź za mną – wyszeptała. – Na razie nic nie mów.

Chodziło jej o grę w chowanego, w którą młodzi ludzie zabawiali się na ucztach. Neda ucieszyło jej zaproszenie, ale nie zamierzał odchodzić, nie uzyskawszy odpowiedzi na przynajmniej niektóre ze swoich pytań.

– Kochasz Barta Shiringa? – zapytał.

– Nie! A teraz idź już. Porozmawiamy później.

Był podekscytowany, lecz jeszcze nie skończył.

– Wyjdziesz za niego?

– Nie, póki starczy mi tchu, żeby posłać go do diabła.

Uśmiechnął się.

– Dobrze więc, teraz mogę cierpliwie zaczekać – odparł i odszedł.

IV

Rollo z niepokojem obserwował siostrę rozmawiającą z Nedem Willardem. Nie była to długa rozmowa, ale wyglądało na to, że powiedzieli sobie wszystko, co chcieli. Niepokoił się. Poprzedniego dnia podsłuchiwał pod drzwiami biblioteki, jak ojciec spuszcza lanie Margery, i zgadzał się z matką, że przez to dziewczyna stanie się jeszcze bardziej uparta.

Nie chciał, żeby siostra poślubiła Neda Willarda. Owszem, nie lubił go, lecz nie o to tu chodziło. Willardowie byli pobłażliwi w stosunku do protestantów. Edmund Willard cieszył się, gdy król Henryk zwrócił się przeciwko Kościołowi. Nie sprawiał wprawdzie wrażenia zmartwionego, gdy królowa Maria próbowała przywrócić dawny porządek, ale to również denerwowało Rollo. Dla niego autorytet Kościoła był najważniejszy i nie znosił ludzi, którzy lekko traktowali religię.

Poza tym małżeństwo z Nedem Willardem nijak nie przysłużyłoby się jego rodzinie; byłoby tylko sojuszem dwóch majętnych rodzin. Tymczasem dzięki Bartowi Shiringowi Fitzgeraldowie wkroczą w szeregi arystokracji,

a dla Rollo ważniejsza od prestiżu rodziny była jedynie wola Boża.

Kiedy tańce dobiegły końca, służba wniosła stoły na kozłach i ustawiła je obok siebie tak, że tworzyły literę T, długą i szeroką niemal na całą salę. Patrząc, jak nakrywają do stołów, Rollo pomyślał, że robią to niedbale – rozkładali gdzie popadnie ceramiczne kubki i bochenki chleba. Wszystko przez to, że w tym domu brakowało kobiecej ręki: hrabina zmarła dwa lata temu, a hrabia nie ożenił się powtórnie.

– Paniczu Fitzgerald – zwrócił się do niego jeden ze służących. – Pański ojciec chce z panem rozmawiać. Jest w gabinecie.

Zaprowadził Rollo do sąsiedniego pomieszczenia z biurkiem i półkami pełnymi rejestrów; najwyraźniej stąd hrabia Swithin prowadził interesy. Siedział na dużym, ciężkim krześle, które przypominało tron. Hrabia był wysoki i przystojny jak jego syn Bart, choć po latach nieumiarkowania w jedzeniu i piciu miał wydatny brzuch i czerwony nos. Cztery lata temu w bitwie pod Hartley Wood stracił trzy palce lewej dłoni. Nie starał się jednak tego ukryć, wręcz przeciwnie – szczycił się tym.

Ojciec Rollo, sir Reginald, siedział obok, piegowaty, niczym lampart przy niedźwiedziu.

Był tu również Bart Shiring, a także – ku zdumieniu Rollo – Alice Willard z synem Nedem.

William Cecil przycupnął naprzeciw nich na niskim taborecie, a jednak, zdaniem Rollo, wyglądało to tak, jakby to on przewodniczył spotkaniu.

– Pozwolisz, że dołączy do nas mój syn? – Reginald zwrócił się do Cecila. – Pobierał nauki na uniwersytecie w Oksfordzie i studiował prawo w Londynie.

– Cieszę się, że są wśród nas przedstawiciele młodszego pokolenia – odparł uprzejmie Cecil. – Sam często zabieram na spotkania syna, chociaż chłopak ma dopiero szesnaście lat. Im wcześniej zaczynają, tym szybciej się uczą.

Przyglądając się Cecilowi, Rollo zauważył, że ma trzy brodawki na prawym policzku, a jego ciemna broda zaczyna siwieć. Jako dwudziestoparolatek w okresie rządów Edwarda VI był wpływowym dworzaninem; teraz zbliżał się do czterdziestki i roztaczał wokół siebie aurę mądrości charakterystyczną dla kogoś znacznie starszego.

Hrabia Swithin wiercił się wyraźnie zniecierpliwiony.

– Sir Williamie, na moje przybycie czeka stu gości. Liczę więc, że to, co masz mi do

powiedzenia, jest na tyle ważne, że usprawiedliwi moją nieobecność na własnym przyjęciu.

– Oczywiście, panie – odparł Cecil. – Królowa nie jest brzemienna.

Z ust Rollo dobył się pomruk zaskoczenia i niepokoju.

Królowa Maria i król Filip rozpaczliwie pragnęli dziedziców dla swoich dwóch koron: angielskiej i hiszpańskiej. Niestety, pochłonięci rządami, praktycznie w ogóle się nie widywali. Jakaż więc była radość, gdy królowa Maria ogłosiła, że w marcu spodziewa się dziecka. Najwyraźniej coś poszło nie tak.

– Takie rzeczy już się zdarzały – zauważył posępnie sir Reginald.

Cecil pokiwał głową.

– To drugi taki fałszywy alarm.

Swithin wyglądał na zaskoczonego.

– Fałszywy alarm? Jak to?

– Królowa nie poroniła – odparł z powagą Cecil.

– Tak bardzo pragnie dziecka, że wmawia w siebie, że jest w ciąży, chociaż to nieprawda – wyjaśnił sir Reginald.

– Rozumiem – bąknął Swithin. – Kobieca głupota.

Słysząc to, Alice Willard prychnęła z pogardą, lecz Swithin nie zwrócił na nią uwagi.

– Bardzo możliwe, że nasza królowa nigdy nie doczeka się potomka – dodał Cecil.

Rollo rozważał w głowie rozmaite scenariusze. Upragnione dziecko królowej Marii, zagorzałej katoliczki, i równie pobożnego króla Hiszpanii z pewnością zostałoby wychowane w duchu katolickim i sprzyjałoby takim rodzinom jak Fitzgeraldowie. Jeśli Maria umrze bezdzietna, wszystko będzie stracone.

Domyślał się, że William Cecil przewidział to już dawno.

– Zmiana monarchy to niespokojny i niebezpieczny czas dla każdego narodu – oświadczył Cecil.

Rollo próbował walczyć z ogarniającą go paniką. Gdyby Anglia wróciła do protestantyzmu, Fitzgeraldowie mogliby stracić wszystko, co zyskali w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Pragnę zapewnić sukcesję bez rozlewu krwi – ciągnął ze spokojem Cecil. – Przyjechałem, żeby porozmawiać z trzema najbardziej wpływowymi osobami w hrabstwie, hrabią, burmistrzem Kingsbridge oraz głównym kupcem, i prosić o waszą pomoc.

Brzmiał zwodniczo niczym sługa, który knuje za plecami pana, ale Rollo wiedział, jak niebezpiecznym jest człowiekiem.

– Niby jak mielibyśmy pomóc? – odezwał się hrabia Swithin.

– Obiecując wsparcie mojej pani, Elżbiecie.

– Zakładasz, że to właśnie ona zasiądzie na tronie? – zapytał wyzywająco hrabia.

– Henryk Ósmy pozostawił trójkę dzieci – odparł Cecil, stwierdzając oczywisty fakt. – Jego syn, Edward Szósty, umarł, zanim zdążył spłodzić potomka, tak więc królową została córka Henryka, Maria Tudor. To logiczne. Jeśli królowa Maria umrze bezdzietna, tak jak Edward, następna w kolejności do tronu jest druga córka Henryka, Elżbieta Tudor.

Rollo uznał, że najwyższy czas zabrać głos. Te niebezpieczne bzdury nie mogły pozostać bez komentarza, a był jedynym prawnikiem w tym pomieszczeniu. Starał się mówić tak spokojnie i racjonalnie jak Cecil, mimo wysiłku słyszał jednak w swym głosie nutę niepokoju.

– Elżbieta jest nieślubnym dzieckiem! – przypomniał wszystkim. – Henryk nigdy nie ożenił się z jej matką. Jego rozwód z poprzednią żoną nie został uznany przez papieża.

– Bękarty nie mogą dziedziczyć mienia ani tytułów – dodał Swithin. – Wszyscy to wiedzą.

Rollo się skrzywił. Nazywanie Elżbiety bękartem w obecności jej doradcy było niepotrzebnym grubiaństwem. Niestety, Swithin słynął z tego, że bywał nieokrzesany. Rollo czuł, że zrażanie do siebie kogoś tak opanowanego jak Cecil nie jest rozsądne. Nawet jeśli ten był w niełasce u obecnej królowej, nadal roztaczał wokół siebie aurę człowieka wpływowego.

Sir William Cecil puścił nieuprzejmość mimo uszu.

– Rozwód został orzeczony przez angielski parlament – zauważył z delikatnym naciskiem.

– Słyszałem, że Elżbieta sympatyzuje z protestantami – nie dawał za wygraną Swithin.

W tym cały problem, pomyślał Rollo.

Cecil się uśmiechnął.

– Wielokrotnie powtarzała mi, że jeśli zostanie królową, zrobi wszystko, by żaden Anglik nigdy więcej nie stracił życia z powodu swoich przekonań.

– To dobry znak – odezwał się Ned Willard. – Dość już mamy widoku ludzi palonych na stosach.

To typowe dla Willardów, przemknęło przez głowę Rollo. Zrobią wszystko, byle tylko żyć

w spokoju.

Hrabia Swithin był równie poirytowany jak Rollo.

– Jest katoliczką czy protestantką? – spytał. – Nie może być jednym i drugim.

– Księżniczka Elżbieta jest bardzo tolerancyjna – odparł Cecil.

– Tolerancyjna? – Swithin był oburzony. – Wobec czego? Herezji? Bluźnierstwa? Bezbożności?

Zdaniem Rollo, gniew hrabiego był jak najbardziej zasadny, ale nie mógł się równać z argumentami, za którymi przemawiało prawo. Kościół katolicki miał swoje zdanie na temat tego, kto powinien być następnym władcą Anglii.

– W oczach świata prawowitą następczynią tronu jest druga Maria, królowa Szkotów.

– Z całą pewnością nie – skwitował Cecil, który najwyraźniej spodziewał się, że te słowa padną. – Maria Stuart jest nikim więcej, jak tylko córką siostrzeńca Henryka Ósmego, podczas gdy Elżbieta Tudor jest jego córką.

– Jego nieślubną córką.

– Widziałem Marię Stuart, gdy byłem w Paryżu – odezwał się Ned Willard. – Nie rozmawiałem z nią, ale byłem w Luwrze, kiedy się tam zjawiła. Jest wysoka i piękna.

– Co to ma do rzeczy? – warknął zniecierpliwiony Rollo.

– Ma piętnaście lat – powiedział Ned i spojrzał na brata Margery. – Tyle samo co twoja siostra.

– Nie o to chodzi…

– Niektórzy myślą, że piętnastoletnia dziewczyna jest za młoda, żeby wybierać sobie męża, a co dopiero rządzić krajem – kontynuował Ned podniesionym głosem.

Rollo wciągnął ze świstem powietrze, a jego ojciec chrząknął z oburzeniem. Cecil ściągnął brwi, domyślając się, że za słowami Neda coś się kryje.

– Powiedziano mi, że Maria zna francuski i szkocki, ale prawie nie mówi po angielsku – dodał Ned.

– W obliczu prawa to bez znaczenia – odburknął Rollo.

– To jeszcze nie wszystko – nie dawał za wygraną Ned. – Maria jest zaręczona z księciem Franciszkiem, następcą francuskiego tronu. Ludziom nie podoba się, że nasza obecna królowa jest żoną króla Hiszpanii, a jeszcze mniej spodoba im się królowa, która poślubi króla Francji.

– To nie ludzie podejmują takie decyzje – odparł Rollo.

– Tak czy inaczej, tam gdzie są wątpliwości, trzeba się liczyć z walkami; lud może chwycić za kosy i topory i pokazać, co o tym myśli.

– Właśnie temu chcę zapobiec – wtrącił Cecil.

W uszach Rollo zabrzmiało to jak groźba; zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, głos ponownie zabrał hrabia Swithin:

– Jaka właściwie jest Elżbieta? Nie miałem okazji jej poznać.

Rollo, poirytowany tą nagłą zmianą tematu, ściągnął brwi.

– Jest najlepiej wykształconą kobietą, jaką znam – pospieszył z odpowiedzią sir Cecil. – Mówi po łacinie równie dobrze jak po angielsku, zna także francuski, hiszpański i włoski i pisze po grecku. Nie jest uważana za wybitną piękność, ale potrafi oczarować mężczyzn do tego stopnia, że tracą dla niej głowę. Odziedziczyła siłę i wolę po ojcu, królu Henryku. Będzie stanowczą władczynią.

Rollo pomyślał, że Cecil jest w niej zakochany, lecz nie to było najgorsze. Przeciwnicy Elżbiety musieli polegać na argumentach prawniczych, bo poza tym nie mieli punktu zaczepienia. Wszystko wskazywało na to, że nieślubna córka Henryka VIII jest wystarczająco dorosła, mądra i nieugięta, by rządzić Anglią. Może i była

protestantką, ale nie brakowało jej rozumu, więc się z tym nie afiszowała, a zatem nie mieli przeciwko niej żadnych dowodów.

Perspektywa królowej protestantki przerażała Rollo. Z pewnością patrzyłaby z dezaprobatą na katolickie rodziny i Fitzgeraldowie mogliby nigdy nie odzyskać swych dóbr.

– Gdyby wyszła za mąż za zagorzałego katolika, który potrafiłby nad nią zapanować, jej kandydatura mogłaby być bardziej dopuszczalna – zauważył Swithin i parsknął lubieżnym śmiechem, na którego dźwięk Rollo aż się wzdrygnął. Najwyraźniej hrabiego podniecała myśl o sprawowaniu kontroli nad księżniczką.

– Zapamiętam to – rzucił oschle Cecil. Na dźwięk dzwonka, który przypomniał gościom, że pora zasiąść do stołu, wstał. – Proszę tylko, żebyście nie spieszyli się z osądami i dali księżniczce Elżbiecie szansę.

Sir Reginald i jego syn jako ostatni wyszli z gabinetu.

– Myślę, że wyraziliśmy się jasno – zauważył ten pierwszy.

Rollo pokręcił głową. Czasami żałował, że umysł jego ojca nie jest bardziej pokrętny.

– Cecil wiedział, jeszcze zanim tu przyjechał, że lojalni katolicy, tacy jak ty czy Swithin, nigdy

nie zgodzą się poprzeć Elżbiety.

– Pewnie masz rację – przyznał sir Reginald. – Jest świetnie poinformowany.

– I wyjątkowo bystry.

– Więc co go tu sprowadza?

– Też się nad tym zastanawiałem – odparł Rollo. – Myślę, że przyjechał, żeby ocenić siłę swych przeciwników.

– No tak. – Jego ojciec westchnął. – Nie przyszło mi to do głowy.

– Chodźmy na kolację – rzucił Rollo.

V

Przez całą ucztę Ned był niespokojny. Nie mógł się doczekać, aż goście skończą jeść i pić i rozpocznie się „polowanie na jelenia”. Kiedy jednak słodkości zniknęły ze stołów, pochwycił spojrzenie matki, która dyskretnie przywołała go do siebie.

Zauważył, że jest pogrążona w rozmowie z sir Williamem Cecilem. Alice Willard była energiczną, przysadzistą kobietą, ubraną w kosztowną szkarłatną suknię haftowaną złotą nicią; na szyi powiesiła medalion z podobizną Najświętszej Marii Panny, by zamknąć usta

wszystkim tym, którzy podejrzewali ją o sympatyzowanie z protestantami. Ned miał ochotę udać, że niczego nie zauważył. Służba sprzątała ze stołów, aktorzy szykowali się do przedstawienia; wkrótce rozpocznie się „polowanie na jelenia”. Nie wiedział, co chodzi po głowie Margery, ale cokolwiek to było, nie zamierzał tego przegapić. Znał jednak matkę – była równie surowa jak kochająca – i wiedząc, że nie toleruje nieposłuszeństwa, podszedł do niej.

– Sir William chce ci zadać kilka pytań – powiedziała Alice.

– To dla mnie zaszczyt – odparł uprzejmie Ned.

– Interesuje mnie Calais – zaczął Cecil. – Z tego, co wiem, niedawno stamtąd wróciłeś.

– Opuściłem Calais tydzień przed Bożym Narodzeniem i wczoraj przyjechałem do domu.

– Chyba nie muszę wam mówić, jak ważny jest ten port dla angielskiego handlu. No i fakt, że sprawujemy rządy nad częścią Francji, to również powód do dumy.

Ned pokiwał głową.

– I sól w oku Francuzów.

– Jakie nastroje panują wśród tamtejszej angielskiej ludności?

– Raczej spokojne – odparł Ned, czując, że ogarnia go niepokój. Cecil nie rozpytywał go z czystej ciekawości; musiał mieć w tym jakiś cel. Ned dostrzegł, że twarz matki jest dość posępna. – Gdy wyjeżdżałem – ciągnął – nadal radowali się z sierpniowej porażki Francuzów pod Saint-Quentin i wierzyli, że dzięki niej wojna między Anglią a Francją ich nie dotknie.

– Możliwe, że ich radość była przedwczesna – mruknął Cecil.

Ned ściągnął brwi.

– Calais jest otoczone fortami: Sangatte, Fréthun, Nielles…

– A jeśli one upadną? – przerwał mu Cecil.

– W mieście jest trzysta siedem dział.

– Masz pamięć do szczegółów. Ale czy ludzie zniosą oblężenie?

– Mają jedzenia na trzy miesiące. – Przed wyjazdem Ned, wiedząc, że matka będzie chciała usłyszeć szczegółowy raport, zrobił rozeznanie. – O co chodzi, matko? – spytał, patrząc na Alice.

– Pierwszego stycznia Francuzi zajęli Sangatte – odparła.

Był zdumiony.

– Jak to możliwe?

– Francuska armia zgromadziła się w tajemnicy w pobliskich miasteczkach –

pospieszył z odpowiedzią sir Cecil. – Atak kompletnie zaskoczył garnizon stacjonujący w Calais.

– Kto dowodzi Francuzami?

– Książę Franciszek Gwizjusz.

– Człowiek z Blizną! – wykrzyknął Ned. – Jest legendą. – Książę był najwybitniejszym z francuskich generałów.

– Calais z pewnością jest oblężone.

– Ale nie upadło?

– Z tego, co wiem, nie. Ale ostatnie informacje pochodzą sprzed pięciu dni.

– Jakieś wieści od wuja Dicka? – zwrócił się do matki Ned.

– Nie może wysłać wiadomości z oblężonego miasta – odparła Alice.

Ned pomyślał o swoich krewnych: ciotce Blanche, która gotowała dużo lepiej niż Janet Fife, choć wolał nie mówić o tym Janet; kuzynie Albinie, młodzieńcu w jego wieku, który uczył go francuskich określeń na intymne części ciała i innych nieprzyzwoitych rzeczy; a także o kochliwej Thérèse. Czy przeżyją?

– Niemal wszystko, co mamy, jest związane z Calais – szepnęła Alice.

Zdziwiony uniósł brwi. Czy to możliwe?

– Żadne z naszych ładunków nie płyną do Sewilli? – zapytał.

Hiszpański port w Sewilli był zbrojownią króla Filipa, słynącego z nienasyconego apetytu na metale. Kuzyn ojca Neda, Carlos Cruz, kupował ich tyle, ile Alice zdołała wysyłać, i przerabiał je na działa i kule armatnie służące Hiszpanom w ich niekończących się wojnach. Brat Neda, Barney, przebywał w Sewilli. Mieszkał i pracował u Carlosa i – tak jak Ned w Calais – poznawał drugą stronę rodzinnych interesów. Podróż morska do Sewilli była jednak długa i niebezpieczna, tak więc Willardowie kierowali do tego portu statki jedynie wtedy, gdy bliższy magazyn w Calais był pełny.

– Nie – odparła Alice. – Na chwilę obecną żaden ze statków nie płynie do Sewilli ani z niej nie wraca.

– Więc jeśli stracimy Calais…

– Stracimy prawie wszystko.

Ned myślał, że zna się na interesach, lecz nie wiedział, jak niewiele trzeba, żeby człowiek został z niczym. Poczuł się jak wtedy, gdy koń, na którym zawsze mógł polegać, potknął się, sprawiając, że stracił równowagę w siodle. Przypomniało mu to, jak nieprzewidywalne bywa życie.

Dźwięk dzwonka oznajmił początek gry. Słysząc go, Cecil się uśmiechnął.

– Dziękuję za informacje – powiedział. – Nieczęsto się zdarza, by młody człowiek był tak dokładny.

Jego słowa schlebiły Nedowi.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Siostra Dana Cobleya, śliczna, złotowłosa Ruth, minęła go, mówiąc:

– Chodź, Ned, czas zapolować na jelenia.

– Już idę! – rzucił, ale się nie ruszył. Czuł się rozdarty. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z Margery, ale usłyszawszy takie wieści, stracił ochotę do zabawy. – Chyba nie możemy nic zrobić – zwrócił się do matki.

– Możemy jedynie czekać na wieści, a to może trochę potrwać.

Zapadła pełna napięcia cisza, którą przerwał sir Cecil:

– A przy okazji, szukam kogoś, kto pomógłby mi pracować dla księżniczki Elżbiety, młodego człowieka, który zamieszkałby z nią w pałacu Hatfield i przejął moje obowiązki, kiedy będę zmuszony wyjechać do Londynu albo dokądś indziej. Wiem, że twoim przeznaczeniem jest praca z matką w rodzinnej firmie, ale gdybyś

znał kogoś takiego jak ty, inteligentnego, godnego zaufania i spostrzegawczego, daj mi znać.

– Oczywiście. – Ned pokiwał głową. Podejrzewał, że tak naprawdę to właśnie jemu proponował tę funkcję.

– W kwestii religii musiałby być równie tolerancyjny jak Elżbieta – dodał sir Cecil.

A nie jak królowa Maria, która spaliła na stosach setki protestantów – te niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

Podczas rozmowy w bibliotece na temat sukcesji Cecil musiał zauważyć, że Ned podziela poglądy księżniczki Elżbiety. Miliony ludzi, czy to katolików, czy protestantów, miały dość rzezi.

– Elżbieta wielokrotnie mi powtarzała, że jeśli zostanie królową, zadba o to, by żaden Anglik nie stracił życia przez swoje poglądy. – Sir William Cecil powiedział to już po raz drugi. – Myślę, że warto zawierzyć takim ideałom.

Lady Alice wyglądała na lekko urażoną.

– Jak słusznie zauważyłeś, sir Williamie, przeznaczeniem moich synów jest praca w rodzinnej firmie. Idź już, synu.

Ned bez słowa odwrócił się na pięcie i poszedł szukać Margery.

VI

Hrabia Swithin wynajął wędrowną trupę aktorów, którzy budowali podest wzdłuż jednej ze ścian, pod obrazem przedstawiającym scenę ukrzyżowania. Margery obserwowała ich, kiedy dołączyła do niej lady Brecknock. Susannah Brecknock, dobiegająca czterdziestki, atrakcyjna kobieta o ciepłym uśmiechu, była kuzynką hrabiego Swithina i często odwiedzała Kingsbridge, gdzie miała swój dom. Margery miała już okazję ją poznać i była zdania, że jest miła i nie pozuje na wielką damę.

– Wygląda dość niestabilnie – zauważyła Margery, patrząc na tworzące scenę deski ustawione na beczkach.

– Też tak pomyślałam – powiedziała Susannah.

– Wiesz, pani, co będą wystawiać?

– Żywot Marii Magdaleny.

– Och! – Maria Magdalena była patronką prostytutek. Księża zawsze czuli się w obowiązku przypomnienia, że chodziło o „nawrócone ladacznicy”, ale to i tak nie zmieniało faktu, że święta Maria Magdalena była intrygującą postacią. – Ale jak to możliwe? Wśród aktorów nie ma żadnej kobiety.

– Nigdy dotąd nie widziałaś przedstawienia?

– Nie takiego ze sceną i prawdziwymi aktorami. Widziałam tylko procesje i uliczne widowiska.

– Postacie kobiece grane są przez mężczyzn. Kobietom nie wolno występować na scenie.

– Dlaczego?

– Prawdopodobnie dlatego, że mamy niższą pozycję, jesteśmy słabsze fizycznie i mniej inteligentne – odparła z sarkazmem lady Brecknock.

Margery lubiła tę kobietę za jej szczerość. Większość dorosłych odpowiadała na kłopotliwe pytania pustymi banałami, ale rozmawiając z Susannah, człowiek miał pewność, że usłyszy wyłącznie prawdę. Ośmielona dziewczyna wyrzuciła to, co leżało jej na sercu:

– Czy panią też zmuszono do małżeństwa z lordem Brecknock?

Susannah uniosła brwi i Margery uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko.

– Bardzo przepraszam, nie mam prawa pytać o takie rzeczy – dodała pospiesznie. – Proszę mi wybaczyć. – Łzy napłynęły jej do oczu.

Tymczasem lady Brecknock wzruszyła ramionami.

– Z pewnością nie masz prawa zadawać mi takich pytań, nie zapomniałam jednak, jak to jest, kiedy człowiek ma piętnaście lat. Kogo masz poślubić? – spytała, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

– Barta Shiringa.

– Biedactwo – odparła Susannah, choć Bart był jej krewnym. Współczucie w jej głosie sprawiło, że Margery poczuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Lady Brecknock zastanawiała się przez chwilę. – Nie jest tajemnicą, że moje małżeństwo zostało zaaranżowane, ale nikt mnie do niego nie zmuszał – odparła w końcu. – Kiedy poznałam męża, polubiłam go.

– Kochasz go, pani?

Lady Brecknock znowu się zawahała. Margery widziała, że jej rozmówczyni jest rozdarta między dyskrecją a współczuciem.

– Nie powinnam odpowiadać na to pytanie.

– Tak, oczywiście. Jeszcze raz… przepraszam.

– Ale widzę, że cierpisz, więc zwierzę ci się, jeśli przysięgniesz, że nie powiesz nikomu tego, co ode mnie usłyszysz.

– Przysięgam.

– Mój mąż i ja jesteśmy przyjaciółmi. Jest dla mnie dobry, a ja robię wszystko, żeby go zadowolić. No i mamy czwórkę cudownych

dzieci. Jestem szczęśliwa. – Urwała i Margery czekała, aż odpowie na jej pytanie. W końcu lady Brecknock się odezwała: – Ale wiem, że istnieje inny rodzaj szczęścia, ekstatyczna radość, którą daje kochanie kogoś i bycie kochanym.

– Tak! – Dziewczynę ucieszyła myśl, że ktoś ją rozumie.

– Nie wszyscy jednak możemy doświadczyć tej szczególnej radości – dodała z powagą jej rozmówczyni.

– Nie powinno tak być! – Margery nie mogła znieść myśli, że można komuś odmówić miłości.

Przez krótką chwilę Susannah Brecknock wyglądała na bardzo samotną kobietę.

– Być może – szepnęła. – Być może.

Patrząc ponad jej ramieniem, Margery dostrzegła Neda, który szedł w jej stronę w szytym na francuską modłę zielonym, obcisłym dublecie. Lady Brecknock podążyła za jej spojrzeniem.

– To jego chcesz? – spytała.

– Tak.

– Dobry wybór. Jest miły.

– Jest cudowny.

Susannah uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Mam nadzieję, że wam się uda.

Ned pokłonił się jej, na co odpowiedziała skinieniem głowy i odeszła.

Aktorzy wieszali kurtynę w kącie sali.

– Jak myślisz, po co to? – Margery zwróciła się do Neda.

– Myślę, że będą się za nią przebierać – odparł i dodał szeptem: – Kiedy będziemy mogli porozmawiać? Nie mogę dłużej czekać.

– Gra zaraz się rozpocznie. Chodź za mną.

Donal Gloster, przystojny sekretarz Philberta Cobleya, został wybrany na myśliwego. Miał ciemne, kręcone włosy i zmysłową twarz. Nie podobał się Margery – był zbyt słabowity – ale na sali z pewnością były panny, które marzyły, by to właśnie on je odnalazł.

Posiadłość New Castle idealnie nadawała się do zabawy. Było tu więcej kryjówek niż w labiryncie króliczych nor. W miejscach, gdzie nowa rezydencja przylegała do ruin starego zamku, pełno było osobliwych szafek, schodów, wnęk i rozmaitych pomieszczeń o dziwacznych kształtach. „Polowanie na jelenia” było dziecinną zabawą i jako dziecko Margery zastanawiała się, dlaczego dziewiętnastolatkowie bawią się w nią równie chętnie. Teraz rozumiała, że dla nich była to okazja do pieszczot.

Kiedy Donal zamknął oczy i zaczął odmawiać *Ojcze nasz* po łacinie, młodzi ludzie rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówek.

Margery wiedziała, dokąd się uda; już wcześniej wypatrzyła kilka miejsc, w których mogła bezpiecznie porozmawiać z Nedem. Opuściła salę i pobiegła korytarzem w stronę komnat starego zamku z nadzieją, że Ned podąża jej śladem. Przeszła przez drzwi na końcu korytarza.

Oglądając się za siebie, zobaczyła Neda i, niestety, kilka innych osób. A tak chciała go mieć wyłącznie dla siebie!

Minęła małą spiżarnię, wbiegła na górę kręconymi kamiennymi schodami i pokonała kilka stopni w dół. Słyszała za sobą czyjeś kroki, lecz gdy spojrzała przez ramię, nikogo nie zobaczyła. Skręciła w przejście, które, jak wiedziała, było ślepym zaułkiem. W kinkiecie na ścianie płonęła samotna świeca. W połowie drogi znajdował się ogromny piec służący przed wiekami do pieczenia chleba. Komin zburzono podczas budowy nowego domu. Tuż obok, ukryte za kamienną przyporą, znajdowały się drzwiczki do wielkiego paleniska, praktycznie niewidoczne w panującym dokoła mroku. Margery zakasała spódnice i wślizgnęła się do paleniska – już

wcześniej zauważyła, że jest tu zadziwiająco czysto – przymknęła drzwi i zerknęła przez szczelinę.

Chwilę później zobaczyła Neda, który biegł korytarzem. Tuż za nim spieszył Bart i śliczna Ruth Cobley, której najwyraźniej podobał się wicehrabia Shiring. Margery prychnęła poirytowana, zastanawiając się, jak oddzielić Neda od innych.

Wszyscy troje minęli piec, nie spojrzawszy nawet na drzwi. Zaraz potem dobiegli do końca korytarza i zawrócili: najpierw Ruth, potem Bart, a na końcu Ned.

Margery postanowiła wykorzystać okazję.

– Ned! – szepnęła, gdy Bart i Ruth zniknęli jej z pola widzenia.

Wyraźnie zaskoczony Ned rozejrzał się.

– Tutaj! – Pchnięciem otworzyła drzwiczki pieca.

Nedowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Wgramolił się do paleniska i zamknął za sobą drzwiczki.

W środku było ciemno choć oko wykol i przez chwilę leżeli bez ruchu, twarz przy twarzy, stykając się kolanami.

Kiedy w pewnym momencie Ned ją pocałował, ochoczo odwzajemniła pieszczotę.

Cokolwiek się wydarzyło, nadal ją kochał i przez moment tylko to się liczyło. Margery bała się, że o niej zapomni. Przerażała ją myśl, że w Calais spotka piękne Francuzki, znacznie bardziej obyte w świecie i fascynujące niż mała Marge Fitzgerald z Kingsbridge. Tak się jednak nie stało. Wiedziała to po sposobie, w jaki ją tulił, pieścił i całował. Przepełniona radością, ujęła w dłonie jego twarz, rozchyliła usta i wygięła się w łuk.

Ned położył się na niej. W tamtej chwili była gotowa otworzyć się przed nim i oddać mu swoje dziewictwo, ale usłyszała jakiś hałas, jakby Ned zahaczył o coś stopą, a zaraz potem huk przypominający odgłos deski spadającej na podłogę. I nagle ściany paleniska stały się widoczne jak na dłoni.

Zaskoczeni, przerwali pieszczoty, spojrzeli w górę i zobaczyli, że tylna ściana pieca się zawaliła. Wszystko wskazywało na to, że palenisko przylegało do oświetlonego pomieszczenia, i Margery uświadomiła sobie, że za ścianą mogą być ludzie, którzy widzieli, co robiła z Nedem. Usiadła i wyjrzała przez dziurę.

Dookoła nie było żywej duszy. Zauważyła wąski otwór strzelniczy, przez który sączyło się do środka dogasające światło dnia. Wąska przestrzeń za starym piecem została

zapieczętowana w trakcie budowy nowego domostwa. Prowadziła donikąd: można się było do niej dostać wyłącznie przez palenisko. Na podłodze leżała deska, która zasłaniała otwór, dopóki Ned jej nie kopnął. Po chwili Margery usłyszała głosy. Dobiegały z dziedzińca, więc odetchnęła z ulgą: nikt ich nie widział.

Przecisnęła się przez szczelinę i wyprostowała się. Ned podążył jej śladem. Rozglądali się zdumionym wzrokiem.

– Moglibyśmy zostać tu na zawsze – odezwał się.

Jego głos wyrwał Margery z zamyślenia i nagle dotarło do niej, że omal nie popełniła grzechu śmiertelnego. Pożądanie przyćmiło jej umysł, tak że nie potrafiła odróżnić dobra od zła. Na szczęście cudem uniknęła potwornego błędu.

Przyprowadziła tu Neda, żeby z nim porozmawiać, a nie po to, by się z nim całować.

– Chcą mnie zmusić do małżeństwa z Bartem – zwróciła się do niego. – Co zrobimy?

– Nie wiem.

VII

Rollo widział, że Swithin jest pijany. Hrabia siedział rozparty na krześle naprzeciwko sceny, w prawej ręce trzymał puchar. Młoda służąca dolała mu wina, a gdy się pochyliła, hrabia okaleczoną ręką chwycił ją za pierś. Przerażona dziewczyna pisnęła i cofnęła się, rozlewając trunek, na co Swithin parsknął śmiechem.

Na scenie pojawił się aktor i rozpoczął prolog; tłumaczył, że opowiadając o skrusze, należy najpierw opowiedzieć o grzechu, i z góry przeprosił wszystkich, którzy mogą poczuć się urażeni.

Rollo zauważył Margery, która wślizgnęła się na salę w towarzystwie Neda Willarda, i z dezaprobatą zmarszczył brwi. Wykorzystali „polowanie na jelenia”, żeby się wymknąć, i bez wątpienia dopuścili się rozmaitych bezwstydności.

Nie rozumiał siostry. Była bardzo religijna, a jednak często okazywała nieposłuszeństwo. Jak to możliwe? Dla niego podstawą religii było posłuszeństwo wobec starszych i mądrzejszych. Na tym polegał problem z protestantami: myśleli, że mają prawo podejmować decyzje. Ale przecież Margery była zagorzałą katoliczką.

Na scenie pojawiła się postać zwana Niewiernością, której atrybutem było przyduże suspensorium. Grający ją aktor puścił oko, a gdy wygłaszał swoją kwestię, zasłaniał dłonią usta i rozglądał się w prawo i lewo, jakby chciał się upewnić, że nie usłyszą go inne postacie. Publiczność ryczała ze śmiechu, rozpoznając w nim przesadzoną wersję znanej persony.

Rollo, choć wciąż zdenerwowany po rozmowie z sir Williamem Cecilem, pomyślał, że być może zareagował przesadnie. Księżniczka Elżbieta prawdopodobnie była protestantką, ale na razie nie należało się tym przejmować; w końcu królowa Maria miała zaledwie czterdzieści jeden lat i cieszyła się dobrym zdrowiem – nie licząc urojonych ciąż – mogła więc zasiadać na tronie przez kolejne kilkadziesiąt lat.

Na scenę wyszła Maria Magdalena; sądząc po wyglądzie, nie zdążyła jeszcze wyrazić żalu za grzechy. Szła w czerwonej sukni, kołysząc biodrami. Bawiła się naszyjnikiem i trzepocząc rzęsami, zerkała w stronę Niewierności. Usta miała pomalowane na czerwono jakimś barwnikiem.

Rollo był zaskoczony, bo wśród aktorów nie widział żadnej kobiety. Co więcej, choć nigdy

wcześniej nie oglądał żadnej sztuki, był przekonany, że kobietom nie wolno grać. Do wędrownej trupy należało czterech mężczyzn i chłopiec, mniej więcej trzynastoletni. Rollo, ściągając brwi, spojrzał na Marię Magdalenę i nagle uświadomił sobie, że jest ona wzrostu i budowy trzynastolatka.

Publiczność również musiała to zauważyć, bo w tłumie rozległy się pomruki podziwu i zdumienia. Rollo usłyszał niskie, ale wyraźne okrzyki dezaprobaty i rozglądając się, zobaczył, że dobiegają z kąta sali, w którym stał Philbert Cobley z rodziną. Katolicy nie mieli nic przeciwko sztukom teatralnym, pod warunkiem że niosły z sobą przesłanie religijne, podczas gdy zagorzali protestanci odnosili się do nich z dezaprobatą. Mieli jednak słuszność, oburzając się na widok chłopca przebranego za kobietę, zwłaszcza że grana przez niego postać zachowywała się prowokująco. Wszyscy wokół Philberta Cobleya mieli kamienne twarze, z jednym wyjątkiem, jak zauważył Rollo. Młody sekretarz Philberta, Donal Gloster, śmiał się równie serdecznie jak reszta publiczności. Rollo, podobnie jak inni młodzi ludzie w mieście, wiedział, że Donal podkochuje się w Ruth, ślicznej córce swego chlebodawcy. Rollo

podejrzewał, że został on protestantem tylko po to, żeby zdobyć jej serce.

Na scenie Niewierność wzięła Marię w ramiona i złożyła na jej ustach długi, namiętny pocałunek, co wywołało salwę śmiechu, pohukiwań i gwizdów, zwłaszcza ze strony młodych mężczyzn, którzy odkryli już, że Maria to tak naprawdę chłopiec.

Tymczasem Philbert Cobley najwyraźniej nie wychwycił żartu. Był muskularnym mężczyzną, niskim i barczystym z rzednącymi włosami i potarganą brodą. Czerwony na twarzy, wygrażał pięścią i wykrzykiwał słowa, które ginęły pośród zgiełku. Z początku nikt nie zwracał na niego uwagi, lecz kiedy pocałunek dobiegł końca, a śmiechy ustały, ludzie zaczęli się rozglądać, szukając wzrokiem tego, który tak jawnie demonstrował swoje niezadowolenie.

Zauważywszy zamieszanie, hrabia Swithin powiódł dookoła wściekłym wzrokiem. Nadchodzą kłopoty, pomyślał Rollo.

Philbert przestał krzyczeć, powiedział coś do stojących wokół niego ludzi i ruszył w stronę drzwi. Rodzina podążyła za nim; Donal również, choć sądząc po jego minie, był niepocieszony.

Hrabia Swithin zerwał się z krzesła.

– Dokąd to?! – ryknął, idąc w ich stronę. – Nie pozwoliłem wam wyjść.

Aktorzy przerwali spektakl i z zapartym tchem obserwowali wydarzenia wśród publiczności. Cóż za paradoksalna zamiana ról, pomyślał Rollo.

Philbert zatrzymał się, odwrócił i krzyknął do Swithina:

– Nie zostaniemy ani chwili dłużej w tej Sodomie! – oświadczył i podjął przerwany marsz.

– Ty wymuskany protestancie! – wrzasnął hrabia, rzucając się na niego.

Jego syn Bart zastąpił mu drogę i podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Puść ich, ojcze, nie są tego warci – powiedział.

Jednak hrabia odepchnął go brutalnie i przyskoczył do Philberta.

– Zabiję cię, przysięgam na wszystkie świętości! – Chwycił go za gardło i zaczął dusić. Kiedy zaatakowany mężczyzna upadł na kolana, hrabia pochylił się nad nim, a jego okaleczona ręka jeszcze mocniej zacisnęła się na szyi Philberta.

Dookoła podniosły się wrzaski. Mężczyźni i kobiety zaczęli szarpać Swithina za rękawy, próbując go odciągnąć, ale obawiali się

skrzywdzić hrabiego, nawet jeśli ten wpadł w morderczy szał. Rollo trzymał się z tyłu – nie dbał o to, co stanie się z Philbertem.

Jako pierwszy zareagował stanowczo Ned Willard. Prawą ręką chwycił Swithina za szyję, unieruchamiając jego głowę w zagięciu łokcia, i pociągnął go do tyłu. Hrabia, chcąc nie chcąc, musiał się cofnąć i zwolnić uścisk na szyi Philberta Cobleya.

Ned Willard zachowywał się tak, odkąd Rollo sięgał pamięcią. Już jako bezczelny gówniarz był wojowniczy, gotów w każdej chwili przeciwstawić się starszym chłopcom i raz czy dwa Rollo musiał dać mu nauczkę, używając w tym celu brzozowych witek. Później Ned wyrósł i choć nadal był niższy od swoich rówieśników, starsi uczniowie nabrali szacunku do jego pięści.

Teraz Ned puścił hrabiego, cofnął się i zniknął w tłumie. Rycząc z wściekłości, Swithin odwrócił się, szukając wzrokiem napastnika, ale nie potrafił powiedzieć, kto go powstrzymał. W końcu się dowie, pomyślał Rollo, ale do tego czasu zdąży już wytrzeźwieć.

Philbert podniósł się z podłogi, rozmasował szyję i chwiejnym krokiem ruszył w stronę

drzwi. Swithin nawet na niego nie spojrzał. Syn wziął go pod ramię.

– Napijmy się jeszcze wina i obejrzyjmy sztukę – zaproponował. – Lada chwila na scenie pojawi się Pożądanie.

Cobleyowie byli już przy drzwiach.

Swithin przez chwilę mierzył Barta wściekłym wzrokiem, jakby zapomniał, kto go tak rozjuszył, a Philbert i jego świta opuścili salę, zatrzaskując za sobą ciężkie dębowe drzwi.

– Grajcie dalej! – ryknął hrabia do aktorów i ci podjęli przerwany występ.

ROZDZIAŁ 2

I

Pierre Aumande zarabiał na życie, uwalniając paryżan od nadmiaru gotówki, co było dużo łatwiejsze w dni takie jak ten, kiedy całe miasto świętowało.

Paryż się radował. Francuska armia zdobyła Calais, odbijając miasto z rąk angielskich barbarzyńców, którzy dwieście lat temu ukradli je jakimś sposobem. W każdej paryskiej karczmie mężczyźni pili zdrowie Człowieka z Blizną, księcia Gwizjusza, wielkiego generała, który starł plamę od wieków kładącą się cieniem na narodowej dumie Francuzów.

Karczma Saint-Étienne w pobliżu paryskich Hal nie była wyjątkiem. W jednym końcu sali grupa młodych mężczyzn grała w kości, wznosząc toast za Człowieka z Blizną za każdym razem, gdy któryś z nich wygrywał. Przy

drzwiach żołdacy świętowali, jak gdyby to oni odbili Calais. W kącie prostytutka zasnęła na stole z włosami w kałuży wina.

Dla mężczyzny pokroju Pierre'a takie okazje stanowiły wielką szansę.

Pierre studiował na Sorbonie. Opowiadał kolegom, że dostaje pieniądze od rodziców z Szampanii, podczas gdy tak naprawdę ojciec nie dał mu nic. Matka wydała oszczędności całego życia na ubrania dla syna i została bez grosza przy duszy. Oboje zakładali, że ich syn – jak wielu innych studentów – zarobi na siebie, wykonując prace biurowe, jak choćby przepisywanie dokumentów prawnych. Tymczasem Pierre, który hojną ręką trwonił pieniądze na rozmaite przyjemności, znalazł inne źródło utrzymania. Tego dnia miał na sobie modny niebieski dublet z rozcięciem i białą jedwabną podszewką, na który nie byłoby go stać, nawet gdyby przez rok kopiował akty prawne.

Obserwował młodzieńców grających w kości. Domyślał się, że są oni synami zamożnych mieszczan: jubilerów, prawników i budowniczych. Jeden z nich, Bertrand, właśnie zgarniał całą pulę. Z początku Pierre podejrzewał, że jest oszustem jak on, i patrzył mu

na ręce, próbując przyłapać go na robieniu sztuczek. W końcu doszedł do wniosku, że Bertrand gra uczciwie i najzwyczajniej w świecie dopisuje mu szczęście.

Pierre tylko czekał na taką sposobność.

Kiedy Bertrand wygrał nieco ponad pięćdziesiąt liwrów, jego towarzysze opuścili karczmę z pustymi kieszeniami. Tymczasem zwycięzca zamówił butelkę wina, krążek sera… i w tym momencie na scenę wkroczył Pierre.

– Kuzyn mojego dziadka miał tyle samo szczęścia – powiedział przyjaznym tonem, który tak często sprawdzał się w przeszłości. – Grając na pieniądze, zawsze wygrywał. Walczył pod Marignano[5] i przeżył. – Pierre wymyślał historyjki na poczekaniu. – Ożenił się z biedną dziewczyną, bo była piękna i zakochał się w niej; później odziedziczyła młyn po swoim wuju. Jego syn został biskupem.

– Nie zawsze mam tyle szczęścia – przyznał się Bertrand.

Nie jest aż taki głupi, pomyślał Pierre, ale wystarczająco.

– Założę się, że była dziewczyna, która cię nie lubiła, aż do dnia, w którym cię pocałowała. – Pierre wiedział, że większość młodych mężczyzn doświadczyła czegoś podobnego.

Bertranda zdumiały jednak te słowa.

– Tak! – odparł. – Clothilde… Skąd wiedziałeś?

– Mówiłem ci, że masz szczęście. – Pierre nachylił się w jego stronę i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu, jak ktoś, kto chce powierzyć komuś sekret. – Pewnego dnia, kiedy kuzyn mojego dziadka był już stary, pewien żebrak zdradził mu, na czym polegało jego szczęście.

– Na czym? – spytał zaciekawiony Bertrand.

– Żebrak powiedział mu: „Kiedy twoja matka była z tobą w ciąży, podarowała mi pensa… dlatego całe życie sprzyja ci szczęście”. To prawda.

Bertrand sprawiał wrażenie rozczarowanego.

Widząc to, Pierre podniósł palec, niczym iluzjonista, który lada chwila wykona magiczną sztuczkę.

– I wtedy żebrak zrzucił swoje plugawe szaty, a gdy to zrobił, okazało się, że… to anioł!

Jego rozmówca oniemiał z wrażenia, choć nie do końca wierzył w to, co słyszy.

– Anioł pobłogosławił kuzyna mojego dziadka i wzbił się do nieba. Myślę, że twoja matka dała jałmużnę aniołowi – dodał szeptem Pierre.

– Może – odparł Bertrand, który nie był jeszcze kompletnie pijany.

– Czy twoja matka jest dobrą kobietą? – Pierre wiedział, że niewielu ludzi odpowiedziałoby „Nie” na takie pytanie.

– To święta kobieta.

– No widzisz. – Myślał przez chwilę o własnej matce i o tym, jak bardzo byłaby rozczarowana, gdyby wiedziała, że syn zarabia na życie, okradając ludzi. Ale ten tutaj sam się o to prosi, wytłumaczył jej w myślach; to hazardzista i pijak. Te wymówki nie przekonały jednak matki; nawet w jego wyobraźni.

Odepchnął od siebie podobne myśli. Nie mógł pozwolić, by dopadły go wątpliwości, nie teraz, kiedy Bertrand połknął haczyk.

– Starszy człowiek, ale nie twój ojciec, co najmniej raz udzielił ci ważnej rady – ciągnął Pierre.

Bertrand otworzył oczy ze zdumienia.

– Nie miałem pojęcia, że monsieur Larivière okaże się tak pomocny.

– Został przysłany przez twojego anioła. Czy kiedykolwiek uniknąłeś wypadku albo ledwie uszedłeś z życiem?

– Kiedy miałem pięć lat, zgubiłem się. Uznałem, że mój dom znajduje się na drugim brzegu rzeki. Prawie utonąłem, ale uratował

mnie brat zakonny, który akurat przechodził w pobliżu.

– To nie był zakonnik, lecz twój anioł.

– To niesamowite… masz rację!

– Twoja matka pomogła aniołowi w przebraniu i od tego czasu czuwa on nad tobą. Wiem to.

Pierre zgodził się wypić szklankę wina i zjeść kawałek sera. Darmowe jedzenie było zawsze mile widziane.

Studiował teologię, licząc na awans społeczny. Ale wystarczyło kilka dni na uniwersytecie, by uświadomić sobie, że studenci dzielą się na dwie grupy. Do pierwszej należeli synowie arystokratów i bogatych kupców; ci zostaną opatami i biskupami – co więcej, niektórzy wiedzieli już nawet, którymi bogatymi opactwami czy diecezjami będą rządzili, jako że często były one prywatną własnością ich rodzin. W drugiej byli mądrzy synowie prowincjonalnych lekarzy i handlarzy winami, którzy mieli zostać wiejskimi duchownymi.

On należał do tej drugiej, jednak desperacko pragnął trafić do pierwszej.

Z początku, kiedy podział ten był niemal niezauważalny, Pierre znalazł wspólny język z młodzieńcami z elit. Szybko pozbył się akcentu

i zaczął przeciągać samogłoski jak arystokraci. Szczęście uśmiechnęło się do niego, kiedy wicehrabia Villeneuve, który nieopatrznie wyjechał z domu bez pieniędzy, poprosił go o pożyczenie do następnego dnia dwudziestu liwrów. Były to wszystkie pieniądze, jakimi dysponował młody Pierre, ale w prośbie wicehrabiego upatrzył szansę dla siebie.

Dał mu pieniądze, jak gdyby nic dla niego nie znaczyły, a Villeneuve nie oddał mu ich następnego dnia.

Pierre był zrozpaczony, ale nic nie powiedział. Tego wieczoru jadł kleik, bo nie stać go było na chleb. Dwa dni później Villeneuve wciąż nie zwrócił długu, a Pierre nadal nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że jeśli zażąda zwrotu pożyczki, wicehrabia i jego przyjaciele natychmiast zorientują się, że nie jest jednym z nich; a bardziej niż jedzenia pragnął ich akceptacji.

Dopiero miesiąc później młody arystokrata rzucił od niechcenia:

– Słuchaj, Aumande, czy dobrze pamiętam, że nie oddałem ci tych dwudziestu liwrów?

– Drogi przyjacielu, nie mam bladego pojęcia – odparł Pierre, co wymagało od niego ogromnego wysiłku woli. – Zapomnij o tym, proszę. – Po

czym dodał: – Najwyraźniej potrzebujesz tych pieniędzy.

Pozostali studenci roześmiali się, wiedząc, jak bogaty jest Villeneuve. Tak oto dowcipna uwaga Pierre'a przypieczętowała jego pozycję jako członka grupy.

Kiedy młody wicehrabia oddał mu garść złotych monet, schował je do kieszeni, nawet ich nie licząc.

Został zaakceptowany, ale to oznaczało, że musiał ubierać się tak jak oni, wynajmować powozy, uprawiać hazard, a w karczmach domagać się jedzenia i wina, jak gdyby nic nie kosztowały.

Bezustannie pożyczał pieniądze, spłacał długi tylko wtedy, gdy musiał, i chcąc dorównać Villeneuve'owi, żył ponad stan. Czasami jednak musiał zdobyć gotówkę.

Dlatego dziękował niebiosom za ludzi takich jak Bertrand.

Podczas gdy ten niespiesznie dopijał butelkę wina, Pierre wykorzystywał nadarzającą się okazję.

Za każdym razem wyglądało to inaczej. Dziś wymyślił głupiego Niemca – głupiec w opowieści zawsze był obcokrajowcem – który odziedziczył po ciotce klejnoty i chciał je sprzedać Pierre'owi

za pięćdziesiąt liwrów, nie mając pojęcia, że są warte dużo więcej. Pierre wyznał Bertrandowi, że nie ma pięćdziesięciu liwrów, ale każdy, kto dysponuje taką sumą, może pomnożyć ją dziesięciokrotnie. Historia nie musiała być wiarygodna, istotne było to, jak została opowiedziana. Żeby Bertrand dał się nabrać, Pierre musiał udawać niechętnego, sprawiać wrażenie, że niepokoi go myśl, iż Bertrand kupi klejnoty, i jego propozycja, żeby wziął pięćdziesiąt liwrów z wygranej i w jego imieniu dokonał zakupu.

W końcu Bertrand zaczął go błagać, żeby wziął pieniądze. Niestety, w chwili gdy Pierre już zamierzał schować monety do kieszeni i na zawsze zniknąć z życia naiwnego młodzieńca, do karczmy weszła wdowa Bauchene.

Próbował zachować spokój.

Paryż liczył trzysta tysięcy mieszkańców i było mało prawdopodobne, żeby przypadkiem wpadł na którąś ze swoich byłych ofiar, zwłaszcza że starał się unikać miejsc, w których lubiły się pokazywać. Dziś miał wyjątkowego pecha.

Odwrócił się, lecz nie był wystarczająco szybki i wdowa go rozpoznała.

– Ty! – wrzasnęła piskliwym głosem, oskarżycielsko wskazując go palcem.

Powinien był ją zabić.

Była atrakcyjną czterdziestolatką z szerokim uśmiechem i pulchnym ciałem. Pierre był dwa razy młodszy, ale chętnie ją uwiódł. W zamian ochoczo nauczyła go technik miłosnych, o których istnieniu nie miał pojęcia i – co ważniejsze – pożyczała mu pieniądze, gdy tylko o to poprosił.

Kiedy początkowa fascynacja szalonym romansem przygasła, wdowie Bauchene znudziło się utrzymywanie go. Gdyby miała męża, wycofałaby się w porę, powiedziała „żegnaj” i uznała, że dostała kosztowną nauczkę; nie mogłaby ujawnić nieuczciwości Pierre’a, bo to oznaczałoby przyznanie się do cudzołóstwa. Jako wdowa nie musiała się tego obawiać – Pierre przekonał się o tym, gdy madame Bauchene zwróciła się przeciwko niemu. Skarżyła się długo i głośno każdemu, kto chciał jej wysłuchać.

Czy mógł zrobić coś, by swoim zachowaniem nie wzbudziła podejrzeń Bertranda? Wiedział, że nie będzie to łatwe, ale robił w życiu bardziej nieprawdopodobne rzeczy.

Przede wszystkim musiał się postarać, żeby jak najszybciej opuściła karczmę.

– Ta biedna kobieta zupełnie postradała rozum – zwrócił się szeptem do Bertranda. Zaraz potem wstał, pokłonił się i powiedział z lodowatą uprzejmością: – Madame Bauchene, jak zawsze jestem do pani usług.

– W takim razie zwróć mi sto dwanaście liwrów, które jesteś mi winien.

Było gorzej, niż mógł przypuszczać. Pierre miał ochotę zerknąć na Bertranda i zobaczyć jego reakcję, ale wówczas okazałby, jak bardzo jest zdenerwowany, więc się powstrzymał.

– Przyniosę pieniądze jutro z samego rana; proszę tylko powiedzieć gdzie.

– Mówiłeś, że nie masz nawet pięćdziesięciu liwrów – wybełkotał pijany Bertrand.

Sytuacja wymykała się spod kontroli.

– Dlaczego jutro? – spytała madame Bauchene. – Dlaczego nie teraz?

– Jaki rozsądny człowiek nosi przy sobie tyle pieniędzy? – Pierre starał się zachować spokój.

– Jesteś wybornym kłamcą – odparła wdowa. – Ale już mnie nie oszukasz.

Usłyszał, jak zaskoczony Bertrand wciąga gwałtownie powietrze. Najwyraźniej coś zaczynało do niego docierać.

Pierre wciąż jednak nie dawał za wygraną. Stał wyprostowany, udając szczerze urażonego.

– Madame, jestem Pierre Aumande Gwizjusz. Być może mówi pani coś moje nazwisko. Pragnę zapewnić, że przez wzgląd na nasz rodowy honor nigdy nie dopuściłbym się oszustwa.

Jeden z żołdaków, którzy siedzieli przy drzwiach i wznosili toasty za *Calais française*, podniósł głowę i wbił w niego wzrok. Pierre zauważył, że mężczyzna stracił większą część prawego ucha. Na chwilę ogarnął go niepokój, musiał jednak skupić się na wdowie.

– Nie znam twojego nazwiska, ale wiem, że jesteś łajdakiem bez honoru – ciągnęła madame Bauchene. – I chcę odzyskać swoje pieniądze.

– Dostaniesz je, pani. Zapewniam cię.

– W takim razie zabierz mnie do swojego domu.

– To, niestety, niemożliwe. Moja matka, madame de Châteauneuf, uznałaby panią za nieodpowiedniego gościa.

– Twoja matka nie jest żadną madame – rzuciła pogardliwie wdowa.

– Myślałem, że jesteś studentem – odezwał się Bertrand. Z każdą minutą wydawał się coraz mniej pijany.

To koniec, pomyślał Pierre. Szansa na wykorzystanie Bertranda przepadła bezpowrotnie.

– Idź do diabła! – warknął, odwróciwszy się w jego stronę. Spojrzał na madame Bauchene i na krótką chwilę zatęsknił za jej ciepłym, pełnym ciałem i radosną lubieżnością; zaraz się jednak opamiętał. – Ty też – zwrócił się do niej.

Narzucił szubę. Cóż za strata czasu! Jutro będzie musiał zacząć wszystko od początku. A jeśli znowu spotka którąś ze swych ofiar? Minę miał skwaszoną. To był naprawdę kiepski wieczór. W karczmie wzniesiono kolejny toast za *Calais française*. Do diabła z Calais, pomyślał Pierre i ruszył w stronę drzwi.

Ku jego zdumieniu jeden z żołdaków, ten z okaleczonym uchem, zerwał się od stołu i stanął mu na drodze.

Co tym razem, na Boga? – pomyślał Pierre.

– Odsuń się – rzucił wyniośle. – To ciebie nie dotyczy.

Mężczyzna ani drgnął.

– Słyszałem, jak mówiłeś, że nazywasz się Pierre Aumande Gwizjusz.

– Tak, dlatego jeśli nie chcesz narobić sobie kłopotów, lepiej zejdź mi z drogi.

– Rodzina Gwizjuszów nie narobi mi żadnych kłopotów – odparł tamten z pewnością siebie, która wytrąciła Pierre’a z równowagi. – Nazywam się Gaston Le Pin.

Pierre zastanawiał się, czy nie odepchnąć mężczyzny i nie rzucić się do ucieczki. Zmierzył Le Pina od stóp do głów. Mężczyzna dobiegał trzydziestki, był niższy od Pierre'a, ale barczysty. Miał przenikliwe, niebieskie oczy. Okaleczone ucho dowodziło, że przemoc nie jest mu obca. Odepchnięcie go nie będzie takie łatwe.

– I cóż z tego, Le Pin? – spytał Pierre z nutą wyższości.

– Pracuję dla rodziny Gwizjuszów. Jestem dowódcą ich straży przybocznej. – Pierre poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. – I aresztuję cię w imieniu księcia Gwizjusza za podszywanie się pod członka jego rodziny.

– Wiedziałam – rzuciła wdowa Bauchene.

– Dobry człowieku, musisz wiedzieć… – zaczął Pierre.

– Zachowaj te gadki dla sędziego – wtrącił z pogardą Le Pin. – Rasteau, Brocard, trzymajcie go!

Zanim Pierre się obejrzał, dwóch uzbrojonych mężczyzn wstało od stołu i chwyciło go za ramiona. Dłonie mieli silne jak żelazne kajdany; Pierre nawet nie próbował się wyrwać. Na znak Le Pina wyprowadzili go z karczmy.

– Mam nadzieję, że cię powieszą! – usłyszał jeszcze głos wdowy Bauchene.

Było już po zmroku, ale wąskie, kręte uliczki tętniły życiem, a wśród zgiełku co rusz dało się słyszeć patriotyczne pieśni i okrzyki „Niech żyje Człowiek z Blizną”. Rasteau i Brocard szli szybko i Pierre musiał przebierać nogami, żeby za nimi nadążyć i żeby nie wlekli go za sobą.

Przerażała go myśl, jaka może spotkać go kara: udawanie arystokraty było poważnym przestępstwem. A jeśli nawet sprawa rozejdzie się po kościach, to co z jego przyszłością? Mógł znaleźć innych głupców pokroju Bertranda i uwieść inne mężatki, lecz im więcej osób oszukiwał, tym większe było prawdopodobieństwo, że sytuacja się powtórzy. Jak długo mógł jeszcze tak żyć?

Spojrzał na swoją eskortę. Rasteau, starszy o cztery, pięć lat, twarz miał pokrytą bliznami, a w miejscu nosa ziały bliźniacze dziury – niewątpliwie pamiątka po walce na noże. Pierre czekał, aż się znudzą, a gdy ich czujność osłabnie i zwolnią uścisk na jego ramionach, wyrwie się im i zniknie w tłumie. Oni jednak mieli się na baczności i nie puszczali go nawet na chwilę.

– Dokąd mnie prowadzicie? – spytał, ale nie raczyli odpowiedzieć.

Rozmawiali o walce na miecze, najwyraźniej kontynuując rozmowę, którą zaczęli w karczmie.

– Zapomnij o sercu – warknął Rasteau. – Ostrze może ześlizgnąć się po żebrach i ledwie draśniesz przeciwnika.

– No to gdzie mam celować? W gardło?

– Gardło jest za małe. Ja celuję w brzuch. Ostrze w brzuchu nie zabija od razu, ale paraliżuje przeciwnika. Ból jest tak wielki, że człowiek nie myśli o niczym innym. – Parsknął piskliwym śmiechem, niepasującym do mężczyzny jego postury.

Niebawem Pierre rozpoznał okolicę. Skręcili w Vieille rue du Temple, gdzie Gwizjusze zbudowali nowy pałac, tak duży, że zajmował cały kwartał. Często wyobrażał sobie, że wchodzi po wypolerowanych do połysku schodach do wielkiej sali. Tymczasem mężczyźni wprowadzili go furtką do ogrodu i dalej kuchennymi drzwiami. Zeszli kamiennymi schodami do cuchnącej serem piwnicy pełnej beczek i rozmaitych skrzyń, a na koniec wepchnęli go brutalnie do jednego z pomieszczeń i zatrzasnęli drzwi. W głuchej ciszy rozległ się metaliczny szczęk rygla. Kiedy Pierre spróbował otworzyć drzwi, ani drgnęły.

W celi panował chłód i śmierdziało jak w wychodku. Światło stojącej na korytarzu świecy skąpą smugą sączyło się do środka przez

zakratowane okienko w drzwiach. Rozglądając się po pomieszczeniu, Pierre dostrzegł klepisko, ceglany sklepiony sufit i nocnik, który nie został opróżniony – stąd smród.

Zdumiewające, jak niewiele potrzeba, żeby utknąć po uszy w gównie, pomyślał.

Zakładając, że zostanie tu na noc, usiadł pod ścianą. Rankiem stanie przed sądem. Musiał się zastanowić, co powie, wymyślić jakąś historyjkę. Jeśli będzie dobra, może nawet uniknie poważnej kary.

Był jednak na to zbyt przygnębiony. Raz za razem zadawał sobie pytanie: co się stanie, kiedy będzie już po wszystkim? Podobało mu się wystawne życie arystokraty. Obstawianie na walkach psów, dawanie hojnych napiwków uroczym dziewkom w karczmach, kupowanie rękawic z koźlej skóry – wszystko to sprawiało mu radość, której nigdy nie zapomni. Czy naprawdę musiał z tego rezygnować?

Najprzyjemniejsze było to, że inni go akceptowali. Nie mieli pojęcia, że jest bękartem, a do tego synem bękarta. Nikt nie traktował go protekcjonalnie. Wręcz przeciwnie, często wychodząc dokądś, zabierali go z sobą. Jeśli z jakiegoś powodu zostawał w tyle, kiedy chodzili od karczmy do karczmy, któryś z nich pytał:

„Gdzie jest Aumande?” i zatrzymywali się, żeby na niego zaczekać. Na wspomnienie o tym łzy napłynęły mu do oczu.

Szczelniej otulił się szubą. Czy da radę zasnąć na zimnej podłodze? Stając przed sądem, chciał wyglądać, jakby naprawdę należał do rodziny Gwizjuszów.

W celi pojaśniało, a na korytarzu rozległy się jakieś dźwięki. Szczęknął rygiel i drzwi się otworzyły.

– Wstawaj! – rzucił ktoś schrypniętym głosem.

Pierre dźwignął się z podłogi.

Chwycono go za ramiona, pozbawiając złudzeń, że uda mu się zbiec.

Przed drzwiami stał Gaston Le Pin. Na jego widok Pierre zdobył się na resztki dawnej arogancji.

– Żądam, aby mnie wypuszczono – oświadczył. – I domagam się przeprosin.

– Stul gębę – warknął Le Pin.

Ruszyli korytarzem do tylnego wejścia, schodami w górę, aż na parter i znowu w górę głównymi schodami. Pierre był zdumiony. Traktowano go jak przestępcę, a jednak prowadzono na pokoje niczym gościa.

Le Pin wszedł do komnaty z miękkim, wzorzystym dywanem, mieniącymi się tęczą

kolorów, ciężkimi brokatowymi zasłonami i wiszącym nad kominkiem wielkim obrazem przedstawiającym nagą kobietę o bujnych kształtach. Na obitych tapicerką krzesłach siedziało dwóch elegancko odzianych mężczyzn, którzy sprzeczali się szeptem. Między nimi na niskim stoliku stał dzban wina, dwa kielichy i półmisek pełen orzechów, suszonych owoców i miniaturowych ciasteczek. Mężczyźni zignorowali nowo przybyłych i kontynuowali rozmowę, nie dbając o to, czy ktoś ich słyszy.

Pierre domyślał się, że są braćmi. Obaj byli dobrze zbudowani, mieli jasne włosy i równie jasne brody. Rozpoznał ich. Byli najsławniejszymi ludźmi we Francji, zaraz po królu.

Jeden z nich miał na policzkach paskudne blizny, ślady po włóczni, która przeszyła mu usta. Legenda głosiła, że gdy wrócił do namiotu z grotem utkwionym w twarzy, nawet nie pisnął, kiedy medyk wyciągał ostrze. Był to książę Franciszek Gwizjusz, znany również jako Człowiek z Blizną. Za kilka dni skończy trzydzieści dziewięć lat.

Jego młodszy brat, urodzony pięć lat później, tego samego dnia, miał na imię Karol i był kardynałem Lotaryngii. W wieku czternastu lat

został arcybiskupem Reims i piastował w Kościele tak wiele lukratywnych stanowisk, że był jednym z najbogatszych ludzi we Francji; jego roczne dochody przekraczały trzysta tysięcy liwrów.

Pierre od lat marzył o tym, by poznać obu braci, najbardziej wpływowych ludzi w kraju, obok rodziny królewskiej. Wyobrażał sobie, że cenią jego porady, traktują go niemal jak równego sobie i radzą się go w sprawach polityki, finansów, a nawet wojska.

Tymczasem stanął przed nimi jak pospolity przestępca.

Przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Król nie odbudował jeszcze swojej pozycji po porażce pod Saint-Quentin – mówił kardynał Karol.

– Ale moje zwycięstwo pod Calais z pewnością mu pomoże! – dodał książę Franciszek.

Karol pokręcił głową.

– Wygraliśmy bitwę, lecz przegrywamy wojnę.

Pierre mimo strachu przysłuchiwał się im jak urzeczony. Francja prowadziła wojnę z Hiszpanią o rządy w królestwie Neapolu i innych regionach Półwyspu Apenińskiego. Anglia poparła Hiszpanię. Francja odzyskała

wprawdzie Calais, ale nie włoskie prowincje. Był to kiepski interes, jednak tylko nieliczni mieli odwagę mówić o tym otwarcie. Dwaj bracia byli absolutnie pewni swojej władzy.

Le Pin wykorzystał chwilę ciszy i powiedział:

– Oto i oszust, panowie.

Obaj mężczyźni zgodnie podnieśli wzrok.

Pierre wziął się w garść. Już wcześniej wychodził obronną ręką z rozmaitych opresji dzięki sile perswazji i wiarygodnie brzmiącym kłamstwom. Tłumaczył sobie, że należy wykorzystać tę sytuację jako jedyną w swoim rodzaju okazję. Jeśli pozostanie czujny i błyskotliwy, może nawet zyska na tym spotkaniu.

– Dobry wieczór, panowie – odezwał się z godnością. – To wręcz niebywały zaszczyt.

– Odzywaj się tylko, kiedy cię pytają, gnido – warknął Le Pin.

Pierre odwrócił się w jego stronę.

– Zważaj na słowa w obecności kardynała – upomniał go. – W przeciwnym razie dopilnuję, abyś dostał nauczkę.

Le Pin zjeżył się, jednak nie ośmielił się uderzyć go na oczach swoich panów.

Bracia wymienili spojrzenia, a Karol, wyraźnie rozbawiony, uniósł brew. Pierre ich

zaskoczył. To dobrze.

Jako pierwszy odezwał się książę.

– Udajesz członka naszej rodziny. To poważne przestępstwo.

– Pokornie błagam o wybaczenie. – Zanim którykolwiek z braci zdołał odpowiedzieć, dodał: – Mój ojciec jest nieślubnym dzieckiem mleczarki z Thonnance-lès-Joinville. – Nie podobało mu się, że musi opowiedzieć tę prawdziwą i wstydliwą historię, był jednak zdesperowany. – Rodzinna legenda głosi, że jej kochankiem był dziarski, młody mężczyzna z Joinville, krewny Gwizjuszów.

Książę Franciszek odchrząknął z powątpiewaniem. Siedziba rodowa Gwizjuszów znajdowała się w Joinville w Szampanii, a Thonnance-lès-Joinville – jak wskazywała sama nazwa – leżało nieopodal. Wiele samotnych matek zrzucało winę na kochanków arystokratów. Z drugiej strony, takie historie często bywały prawdziwe.

– Mój ojciec chodził do szkoły – ciągnął Pierre – i został miejscowym księdzem, dzięki rekomendacji ojca waszych lordowskich mości; niech spoczywa w pokoju.

Wiedział, że brzmi to wielce wiarygodnie. Arystokratyczne rodziny niechętnie uznawały

swoich bękartów, lecz oferowały im pomoc równie chętnie, jak człowiek, który pochyla się, żeby wyjąć cierń z łapy kulejącego psa.

– Jak możesz być synem księdza, który żył w celibacie? – zapytał książę Franciszek.

– Moja matka jest jego gosposią. – Księża często brali sobie kochanki, które eufemistycznie nazywano „gosposiami”.

– A więc jesteś podwójnie nieślubnym dzieckiem!

Pierre oblał się rumieńcem, wyraźnie speszony. Nie zamierzał ukrywać, że wstydzi się swojego pochodzenia. Uwaga księcia dodała mu jednak odwagi, albowiem znaczyła, że potraktowano jego opowieść poważnie.

– Nawet jeśli to, co mówi się w twojej rodzinie, jest prawdą, musisz wiedzieć, że nie masz prawa posługiwać się naszym nazwiskiem – powiedział książę.

– Wiem, że źle postąpiłem – odparł skruszony Pierre. – Ale całe życie podziwiałem Gwizjuszów. Zaprzedałbym duszę, żeby móc wam służyć, panie. Wiem, że waszym obowiązkiem jest mnie ukarać, ale proszę… przyjmijcie mnie zamiast tego na służbę. Dajcie mi zadanie, a wykonam je niezwłocznie. Przysięgam. Zrobię, cokolwiek zechcecie… cokolwiek.

Książę ze wzgardą pokręcił głową.

– Nie sądzę, żebyś mógł się nam na coś przydać.

– Prawdę mówiąc, coś przyszło mi do głowy – odezwał się kardynał.

Pierre poczuł, że wstępuje w niego nadzieja.

– Naprawdę? – Książę Franciszek wyglądał na lekko poirytowanego.

– Owszem.

Książę machnął ręką, dając bratu znak, żeby kontynuował.

– W Paryżu są protestanci – oświadczył Karol.

Był zagorzałym katolikiem – nic dziwnego, zważywszy na majątek, jaki zbił dzięki Kościołowi. I miał rację co do protestantów. Chociaż Paryż był miastem katolickim, gdzie kaznodzieje straszący ogniem piekielnym co niedziela wygrażali z ambon heretykom, niewielu ludzi traktowało poważnie słowa księży, którzy brali pieniądze i nie robili nic dla swoich wiernych. Niektórzy mieli dość zepsucia w Kościele i ryzykowali udział w zakazanych tajnych nabożeństwach protestanckich.

Pierre udał oburzenie.

– Tacy jak oni powinni zostać straceni!

– I zostaną – odparł Karol. – Ale najpierw musimy ich znaleźć.

– Mogę to zrobić! – zaoferował się pospiesznie Pierre.

– Będziemy również potrzebować imion ich żon i dzieci, przyjaciół i krewnych.

– Znam kilku studentów, którzy sympatyzują z heretykami.

– Zapytaj, gdzie można kupić książki i pamflety krytykujące Kościół katolicki.

Rozpowszechnianie literatury protestanckiej było przestępstwem, za które groziła kara śmierci.

– Popytam tu i ówdzie – obiecał Pierre. – Udam, że zaczynam szczerze wątpić w katolicyzm.

– Przede wszystkim chcę wiedzieć, gdzie spotykają się protestanci na swoje bluźniercze rytuały.

Pierre zmarszczył brwi w zamyśleniu. Chęć zdobycia tych informacji prawdopodobnie już od dłuższego czasu chodziła kardynałowi po głowie.

– Wasza Eminencja z pewnością ma ludzi, którzy się tym zajmują.

– Nie musisz o nich wiedzieć, tak jak oni nie muszą wiedzieć o tobie.

A zatem Pierre dołączy do istniejącej siatki szpiegowskiej.

– Będę najlepszym z nich! – obiecał.

– Jeśli w istocie będziesz najlepszy, zostaniesz nagrodzony.

Nie wierzył własnemu szczęściu. Chciał wyjść, zanim kardynał zmieni zdanie, ale musiał zachować pozorny spokój.

– Dziękuję Waszej Eminencji, że zechciał mi zaufać.

– Nie myśl, że ci ufam – rzucił lekceważąco Karol. – Ale w walce z heretykami należy korzystać z wszelkich możliwych narzędzi.

Pierre nie chciał, by spotkanie zakończyło się w ten sposób. Pragnął zaimponować czymś braciom Gwizjuszom. Przypomniał sobie rozmowę, którą prowadzili, kiedy wszedł do tej komnaty.

– Zgadzam się z tym, co Wasza Eminencja powiedział: że należy poprawić wizerunek jej królewskiej mości.

Karol spojrzał na niego, jakby nie wiedział, czy powinien być urażony, czy rozbawiony tupetem młodzieńca.

– Czyżby? – zapytał.

– Lud potrzebuje wielkiego, wystawnego, barwnego święta, żeby zapomnieć o porażce pod Saint-Quentin.

Kardynał nieznacznie skinął głową.

– Czegoś na modłę królewskiego ślubu – dodał rozochocony Pierre.

Bracia spojrzeli na siebie.

– Myślę, że łotrzyk może mieć rację – przyznał po chwili Franciszek.

Kardynał Karol przytaknął.

– Znam światlejszych mężów, którzy wiedzą o polityce mniej niż ty.

– Dziękuję Waszej Eminencji. – Pierre nie posiadał się z radości.

– Możesz odejść. – Kardynał stracił nim zainteresowanie i sięgnął po kielich wina.

Wychodząc, Pierre spojrzał na Le Pina i wiedziony nagłą myślą, odwrócił się w stronę braci.

– Kardynale – zwrócił się do Karola. – Czy kiedy dowiem się, gdzie protestanci odprawiają swoje obrządki, mam przyjść z tą informacją do Waszej Eminencji, czy przekazać ją jednemu z waszych ludzi?

Puchar kardynała zatrzymał się w połowie drogi do jego ust.

– O wszystkim będziesz informował mnie bezpośrednio – odparł. – Bez wyjątku. A teraz idź już. – Upił łyk wina.

Pierre pochwycił wzrok Le Pina i uśmiechnął się z wyższością.

– Dziękuję Waszej Eminencji – odparł i wyszedł.

II

Dzień wcześniej Sylvie Palot zauważyła na targu rybnym przystojnego młodzieńca. Nie sprzedawał ryb; był na to zbyt elegancko ubrany: w niebieski dublet z rozcięciami, spod których wystawała biała jedwabna podszewka. Kupował łososia, ale robił to z beztroską niepodobną do człowieka, który dba o to, co wybiera do jedzenia. Uśmiechnął się do niej kilka razy.

Ucieszyło ją to.

Był urodziwym mężczyzną o jasnych włosach i z jasnym meszkiem na twarzy. Zgadywała, że ma dwadzieścia lat, a zatem jest starszy od niej o trzy lata. Emanował zniewalającą pewnością siebie.

Sylvie miała już jednego adoratora. Jej rodzice przyjaźnili się z rodziną Mauriaców. Zarówno pan Mauriac, jak i jego syn byli niewysocy, jednak niski wzrost nadrabiali poczuciem humoru. Ojciec, Luc, był czarujący, czym zjednywał sobie ludzi i prawdopodobnie dzięki temu odniósł sukces jako makler frachtujący; ale

jego syn, Georges, adorator Sylvie, był zaledwie jego cieniem. Jego żarty były kiepskie, a uwagi, które miały być dowcipne – dalekie od błyskotliwych. Sylvie marzyła, żeby wyjechał na kilka lat i wydoroślał.

Jej nowy wielbiciel po raz pierwszy odezwał się do niej w pewien zimny styczniowy poranek. Na brzegach Sekwany leżał śnieg, a w beczkach należących do handlarzy rybami utworzyła się cienka warstwa lodu. Głodne mewy kołowały wysoko w górze, pokrzykując z frustracją na widok takiej ilości jedzenia.

– Jak poznać, że ryba jest świeża? – zagadnął młodzieniec.

– Po oczach – odparła. – Jeśli są zmętniałe, jest nieświeża. Oczy powinny być klarowne.

– Jak twoje – zauważył.

Roześmiała się. Przynajmniej był zabawny. Georges Mauriac opowiadał głupoty w stylu: „Całowałaś się kiedyś?”.

– I trzeba obejrzeć skrzela – dodała. – Powinny być różowe i wilgotne. Och. – Zakryła usta ręką. Uświadomiwszy sobie, że oto dała mu pretekst do kolejnej sprośnej uwagi na temat innych rzeczy, które winny być różowe i wilgotne, poczuła, że się rumieni.

Młodzieniec wyglądał na rozbawionego, odparł jednak tylko:

– Będę o tym pamiętał.

Zachował się taktownie, za co była mu wdzięczna. Z pewnością nie przypominał Georges'a Mauriaca.

Stał obok niej, kiedy kupowała trzy małe pstrągi – przysmak jej ojca – za które zapłaciła jednego su i sześć pensów. I towarzyszył jej, gdy z rybami w koszyku wracała do domu.

– Jak masz na imię? – spytała.

– Pierre Aumande. A ty jesteś Sylvie Palot.

Nie lubiła owijać w bawełnę, dlatego spytała wprost:

– Szpiegujesz mnie?

– Można tak chyba powiedzieć – odparł wyraźnie zmieszany po chwili wahania.

– Dlaczego?

– Bo jesteś taka piękna.

Dziewczyna wiedziała, że ma ładną, szczerą twarz, jasną cerę i niebieskie oczy, ale nie była pewna, czy rzeczywiście jest śliczna.

– To wszystko? – spytała.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza.

A zatem chodziło o coś innego. Poczuła się zawiedziona. Była próżna, skoro choć przez chwilę wierzyła, że oczarowała go jej uroda.

Może jednak będzie zmuszona wyjść za Georges'a Mauriaca.

– Odpowiedz mi – rzuciła, nawet nie próbując ukryć rozczarowania.

– Słyszałaś kiedyś o Erazmie z Rotterdamu?

Naturalnie, że słyszała. Sylvie poczuła, że dostaje gęsiej skórki na ramionach. Na kilka minut zapomniała, że ona i jej rodzina są przestępcami i jeśli ktoś się o tym dowie, zostaną straceni. Teraz ten lęk powrócił.

Nie była na tyle głupia, żeby odpowiedzieć na pytanie, nawet jeśli zadał je młodzieniec o wyglądzie Adonisa.

– Dlaczego pytasz? – spytała wymijająco.

– Studiuję na uniwersytecie. Uczono nas, że był nikczemnym mężem, prekursorem protestantyzmu, ja jednak chciałbym przeczytać jego dzieło, a w bibliotece nie mają książek Erazma.

– Skąd miałabym wiedzieć o takich rzeczach?

Pierre wzruszył ramionami.

– Twój ojciec jest drukarzem, prawda?

Rzeczywiście ją śledził. Ale z całą pewnością nie znał prawdy.

Bóg powierzył Sylvie i jej rodzinie misję. Ich świętym obowiązkiem było szerzyć wiedzę na temat prawdziwej religii. Spełniali go, sprzedając

księgi: głównie Biblię spisaną po francusku, tak by każdy mógł ją zrozumieć i przekonać się, jak bardzo Kościół katolicki się myli; a także dzieła uczonych, takich jak Erazm z Rotterdamu, którzy tłumaczyli wszystko w prosty sposób ludziom, którzy samodzielnie nie byli w stanie dojść do odpowiednich wniosków.

Za każdym razem, gdy sprzedawali jedną z ksiąg, podejmowali ogromne ryzyko, albowiem karą za coś takiego była śmierć.

– Dlaczego, u licha, myślisz, że drukujemy takie rzeczy? – spytała Sylvie. – To zakazane!

– Jeden z moich kolegów studentów napomknął coś o tym.

A zatem to tylko plotki; mimo to niepokojące.

– Cóż, przekaż mu, że to nieprawda.

– Dobrze – odparł Pierre wyraźnie rozczarowany.

– Czyżbyś nie wiedział, że strażnicy mają prawo w każdej chwili przeszukiwać zakłady drukarskie w poszukiwaniu zakazanych ksiąg? Nasza drukarnia była już kilkukrotnie kontrolowana. Ja i moja rodzina cieszymy się nieskazitelną reputacją.

– Gratuluję.

Jeszcze chwilę szedł u jej boku, aż w końcu się zatrzymał.

– I tak miło było cię poznać.

– Zaczekaj – rzuciła Sylvie.

Znała większość klientów kupujących zakazane księgi; byli to mężczyźni i kobiety, którzy podobnie jak jej rodzina brali udział w potajemnych obrzędach w sekretnych miejscach. Przeważnie przychodzili z polecenia zaufanych współwyznawców. Ale oni również byli niebezpieczni; gdyby aresztowano ich i torturowano, z pewnością wyśpiewaliby wszystko jak na spowiedzi.

Pierre wydawał się uczciwy. Poza tym zachował ostrożność, jakby naprawdę się czegoś obawiał. Nie wyglądał na paplę, dowcipnisia, głupca czy pijaka, więc Sylvie nie widziała powodu, żeby się go obawiać.

Czy to możliwe, że była gotowa podjąć ryzyko, ponieważ potencjalnym neofitą był przystojny młodzieniec, któremu najwyraźniej wpadła w oko? Próbowała przekonać samą siebie, że nie miało to wpływu na jej decyzję.

Musiała zaryzykować i modlić się do Boga, by miał ją w opiece.

– Przyjdź po południu do księgarni – powiedziała. – Przynieś pięć liwrów. Kup *Gramatykę łacińską*. I pod żadnym pozorem nie wspominaj o Erazmie.

– Dobrze – odparł zaskoczony jej nagłą stanowczością.

– Po zmroku spotkamy się na targu rybnym. – O tej porze na nabrzeżu nie powinno być żywej duszy. – Weź z sobą *Gramatykę*.

– I co potem?

– Potem zaufaj Bogu. – Odwróciła się i nie czekając na odpowiedź, odeszła.

W drodze do domu modliła się, by nie okazało się, że postąpiła niewłaściwie.

Paryż był podzielony na trzy części. Największa z nich, zwana Miastem, znajdowała się na północnym brzegu Sekwany. Mniejszą część na lewym brzegu rzeki nazywano Uniwersytetem albo Dzielnicą Łacińską, ponieważ wszyscy studenci mówili po łacinie. Wyspa pośrodku nosiła nazwę Miasteczka – tam właśnie mieszkała Sylvie.

Jej dom stał w cieniu wielkiej katedry Notre Dame. Na parterze znajdował się sklep z książkami, które zamykano w szafkach z ażurowymi drzwiczkami. Palotowie mieszkali na piętrze. Na tyłach budynku mieścił się zakład drukarski. Sylvie i jej matka, Isabelle, na przemian doglądały księgarni, podczas gdy ojciec, Giles, który był kiepskim sprzedawcą, pracował w drukarni.

Dziewczyna poszła na piętro, usmażyła w kuchni pstrąga z cebulą i czosnkiem i postawiła na stole chleb oraz wino. Kotka Fifi pojawiła się znikąd, a gdy Sylvie dała jej rybią głowę, zjadła ją, zaczynając od oczu. Dziewczyna wciąż niepokoiła się tym, co zrobiła. Zastanawiała się, czy student przyjdzie do księgarni, czy zamiast niego pojawi się urzędnik sądowy z żołdakami i aresztują całą rodzinę pod zarzutem herezji.

Giles pierwszy zasiadł do stołu. Był postawnym mężczyzną o ramionach silnych od dźwigania ciężkich dębowych form wypełnionych czcionką ze stopu ołowiu. Kiedy nie miał humoru, potrafił lewą ręką rzucić Sylvie w drugi koniec pokoju, jednak tego dnia pstrąg był delikatny, co wprawiło Giles'a w radosny nastrój.

Kiedy skończył jeść, Sylvie zeszła na dół, by zastąpić matkę, żeby ta mogła się posilić, a gdy w końcu sama zasiadła do stołu, nie miała apetytu.

Skończywszy posiłek, wróciła do księgarni, która świeciła pustkami.

– Czym się tak martwisz? – spytała Isabelle, widząc minę córki.

Sylvie opowiedziała jej o Pierze Aumandzie.

Matka wyraźnie się zaniepokoiła.

– Powinnaś była spotkać się z nim jeszcze raz i dowiedzieć się czegoś więcej, zamiast zapraszać go tutaj.

– Wiem, ale po co miałabym się z nim spotykać? – Czując na sobie pytający wzrok matki, dziewczyna dodała: – Wiesz przecież, że nie umiem flirtować.

– Cieszy mnie to. Jesteś na to zbyt uczciwa. Ale widzisz, musimy podejmować ryzyko; to nasze brzemię.

– Mam tylko nadzieję, że nie będzie miał wyrzutów sumienia i nie opowie o wszystkim swojemu spowiednikowi – zastanawiała się na głos Sylvie.

– Prędzej przestraszy się i wycofa. Prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczysz.

Sylvie miała nadzieję, że tak się nie stanie, ale nie powiedziała tego na głos.

Ich rozmowę przerwało skrzypienie drzwi i pojawienie się klienta. Dziewczyna przyjrzała mu się z uwagą. Zwykle ludzie, którzy przychodzili do księgarni, byli elegancko ubrani, gdyż biedoty nie stać było na książki. Strój tego młodzieńca był skromny i znoszony, ale jeszcze nadawał się do użytku. Ciężka szuba nosiła ślady zniszczenia, a mocne buty były zakurzone.

Nieznajomy musiał dużo podróżować. Sprawiał wrażenie zmęczonego i niespokojnego, i na jego widok Sylvie ogarnęło współczucie.

– Chciałbym rozmawiać z Giles'em Palotem – powiedział z dziwnym akcentem.

– Pójdę po niego – odparła Isabelle i poszła do drukarni na tyłach budynku.

Sylvie była zaintrygowana. Czego podróżnik mógł chcieć od jej ojca, jeśli nie książek?

– Z daleka przybywasz, panie? – zaryzykowała.

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, do sklepu wszedł kolejny klient. Sylvie rozpoznała w nim księdza z katedry. Zarówno ona, jak i jej matka były na tyle ostrożne, by kłaniać się duchownym. Giles nie dbał o to, był wobec nich równie zrzędliwy, jak wobec wszystkich.

– Dzień dobry, archidiakonie Raphaelu – przywitała go Sylvie. – Miło mi ojca widzieć.

Młody mężczyzna w ubłoconym płaszczu wyraźnie się zdenerwował i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy istnieje jakiś powód jego niechęci do duchownego.

– Macie wydanie *Psalmów*? – spytał Raphael.

– Oczywiście. – Otworzyła szafkę i sięgnęła po wydanie łacińskie, zakładając, że archidiakona nie interesuje francuskie tłumaczenie, nawet to

zatwierdzone przez Wydział Teologiczny na Sorbonie. Pomyślała, że musi chodzić o prezent, bo ktoś taki jak Raphael z pewnością miał całą Biblię.

– To będzie piękny podarek – odezwała się. – Na grzbiecie są tłoczone złote liście, a druk jest w dwóch kolorach.

Raphael przerzucił kartki.

– Wygląda bardzo ładnie – orzekł.

– Kosztuje pięć liwrów – oznajmiła Sylvie. – To bardzo rozsądna cena. – Dla zwykłego zjadacza chleba była to mała fortuna, ale archidiakonowie nie byli zwykłymi zjadaczami chleba.

W tej chwili do księgarni wszedł trzeci klient – Pierre Aumande. Widok jego uśmiechniętej twarzy ucieszył dziewczynę, która miała nadzieję, że się nie pomyliła i młodzieniec jest tak dyskretny, jak przypuszczała. Byłoby katastrofą, gdyby zaczął mówić o Erazmie w obecności archidiakona i tajemniczego nieznajomego.

Chwilę później do sklepu wróciła Isabelle.

– Mąż zaraz przyjdzie – zwróciła się do mężczyzny z dziwnym akcentem. Widząc, że córka obsługuje archidiakona, spojrzała na trzeciego klienta. – W czym mogę pomóc, monsieur?

Sylvie pochwyciła spojrzenie matki i mrugnęła do niej na znak, że to student, o którym rozmawiały. Isabelle odpowiedziała dyskretnym skinieniem głowy, co oznaczało, że zrozumiała. Mieszkając pod jednym dachem z kimś takim jak Giles, nauczyły porozumiewać się bez słów.

– Potrzebuję egzemplarza *Gramatyki łacińskiej* – odezwał się Pierre.

– Tak, oczywiście. – Isabelle podeszła do jednej z szafek, znalazła książkę i położyła ją na kontuarze.

Do sklepu wszedł jej mąż. Widząc, że spośród trzech klientów tylko jeden nie jest obsługiwany, założył, że to właśnie on o niego pytał.

– Tak? – burknął. Był z natury gburem, dlatego jego żona wolała, by nie pokazywał się w księgarni.

Mężczyzna mówiący z dziwnym akcentem zawahał się, jak gdyby czuł się nieswojo.

– Pytał pan o mnie – spytał zniecierpliwiony Giles.

– Ja… macie ilustrowane opowieści biblijne po francusku?

– Oczywiście – odparł Giles. – Sprzedajemy ich na pęczki. Mógł pan zapytać o nie żonę, zamiast wyciągać mnie z drukarni.

Sylvie żałowała – nie pierwszy raz – że ojciec nie jest milszy dla klientów. Zastanowiło ją jednak, dlaczego ten człowiek chciał rozmawiać z ojcem, skoro przyszedł tu w tak błahej sprawie. Zerknęła na matkę i dostrzegła lekki grymas na jej twarzy, który zdradzał, że Isabelle także wyczuła coś niepokojącego.

Zauważyła, że Pierre przysłuchuje się rozmowie z równym zainteresowaniem co ona.

– Ludzie winni słuchać biblijnych przypowieści z ust swojego proboszcza – zauważył gderliwie archidiakon. – Jeśli zaczną je czytać sami, z pewnością źle je zinterpretują. – Położył na kontuarze złote monety.

Albo zinterpretują je jak należy, pomyślała Sylvie. Dawniej, gdy zwykli ludzie nie umieli czytać, księża mogli wmówić im, co tylko chcieli, i taki układ im odpowiadał. Przerażała ich myśl, że światło Słowa Bożego może obnażyć prawdę o ich naukach i praktykach.

– To prawda, wasza wielebność – przyznał służalczo Pierre. – Jeśli skromny student jak ja może wyrazić swoje zdanie. Musimy być niezłomni albo każdy szewc i każda tkaczka będą wierzyli, w co tylko zechcą.

Niezależni rzemieślnicy, tacy jak szewcy i tkaczki, byli najbardziej podatni na nauki

protestantów. Sylvie domyślała się, że ze względu na charakter pracy mieli czas na myślenie i w przeciwieństwie do chłopów, nie bali się księży i arystokratów.

Zaskoczyły ją jednak służalcze słowa Pierre'a, który jeszcze niedawno wykazywał zainteresowanie zakazanymi księgami. Spojrzała na niego zaintrygowana, na co on puścił do niej oko.

Musiała przyznać, że jest naprawdę ujmujący. Odwróciła wzrok, zawinęła *Psalmy* dla archidiakona w kawałek płótna i związała sznurkiem.

Mężczyzna, który chciał rozmawiać z Giles'em, żachnął się, słysząc słowa archidiakona.

– Połowa ludzi we Francji nie widzi na oczy swoich księży – stwierdził wyzywająco. Sylvie była zdania, że to lekka przesada, ale prawdą było, że zbyt wielu duchownych brało pieniądze za piastowane stanowisko i nigdy nie odwiedzało swoich parafian.

Archidiakon najwyraźniej miał tego świadomość, bo nie wiedział, co odpowiedzieć. Chwycił *Psalmy* i w pośpiechu opuścił księgarnię.

– Zapakować panu tę gramatykę? – zwróciła się Isabelle do studenta.

– Tak, proszę. – Młodzieniec położył na kontuarze cztery liwry.

– Bierze pan tę książkę, czy nie? – zapytał Giles człowieka mówiącego z dziwnym akcentem.

Ten pochylił się nad książką, którą pokazał mu drukarz, i przyjrzał się ilustracjom.

– Proszę mnie nie poganiać – odparł stanowczo. Nie bał się przeciwstawić archidiakonowi i grubiaństwo Giles'a również nie robiło na nim wrażenia. Pod zakurzonym, sfatygowanym strojem kryło się coś więcej.

Pierre wziął paczkę i wyszedł z księgarni. Teraz, kiedy przy kontuarze pozostał już tylko jeden klient, Sylvie miała wrażenie, jakby wody przypływu się cofały.

Mężczyzna zamknął książkę i wyprostował się.

– Jestem Guillaume z Genewy – przedstawił się.

Z ust Isabelle dobył się stłumiony okrzyk zdumienia.

Zachowanie jej ojca również się zmieniło. Podał rękę Guillaume'owi i zwrócił się do niego:

– Bardzo nam miło. Proszę wejść.

Zaprowadził go na górę do prywatnych pokoi.

Sylvie nie do końca rozumiała, co się właściwie dzieje. Wiedziała, że Genewa jest niezależnym, protestanckim miastem zdominowanym przez wielkiego Jana Kalwina. Wiedziała też, że jest oddalona od Paryża o dwieście pięćdziesiąt mil, a podróż trwa dwa tygodnie, może nawet dłużej.

– Co ten człowiek tu robi? – spytała matkę.

– Kolegium Pastorów szkoli misjonarzy i rozsyła ich po całej Europie, żeby głosili nową ewangelię – wyjaśniła Isabelle. – Ostatni miał na imię Alphonse. Miałaś wówczas trzynaście lat.

– Alphonse! – wykrzyknęła Sylvie na wspomnienie żarliwego młodzieńca, który traktował ją jak powietrze. – Nie rozumiałam, dlaczego u nas mieszka.

– Misjonarze przywożą dzieła Kalwina i inne prace, które twój ojciec drukuje.

Dziewczyna się zawstydziła. Nigdy nie zastanawiała się, skąd się biorą protestanckie książki.

– Ściemnia się – zauważyła matka. – Lepiej zanieś egzemplarz dzieł Erazma swojemu studentowi.

– Co o nim myślisz? – spytała Sylvie, zakładając pelerynę.

– Jest bardzo przystojny, prawda? – Isabelle posłała córce wymowny uśmiech.

Sylvie pytała o to, czy Pierre'owi można zaufać, nie o to, jak wygląda; jednak po namyśle uznała, że woli o tym nie rozmawiać, bo może usłyszeć coś, co ją przerazi. Bąknęła coś wymijająco i w pośpiechu opuściła księgarnię.

Przeszła przez most na północną stronę rzeki. Jubilerzy i kapelusznicy na moście Notre Dame szykowali się do zamknięcia sklepów. Znalazłszy się w Mieście, szła rue Saint-Martin, główną arterią biegnącą z północy na południe. Po kilku minutach dotarła do rue du Mur, która bardziej przypominała wąską ścieżkę niż ulicę. Po jednej stronie znajdowały się mury miasta, po drugiej tylne wejścia do nielicznych domów i wysoki płot zaniedbanego ogrodu. Sylvie zatrzymała się przy stajni na tyłach domu należącego do staruszki, która nie miała konia. Niepomalowana, pozbawiona okien stajnia wyglądała na zaniedbaną, ale sam budynek był solidny, z mocnymi drzwiami i ciężkim zamkiem. Giles kupił ją lata temu.

Obok futryny na wysokości pasa znajdowała się na wpół obluzowana cegła. Upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, Sylvie wysunęła ją, sięgnęła do skrytki, wyciągnęła klucz i włożyła

cegłę na miejsce. Przekręciła klucz w zamku, weszła do stajni i zaryglowała za sobą drzwi.

W uchwycie na ścianie wisiała latarnia. Dziewczyna przyniosła z sobą pudełko z krzesiwem, hubkę w kształcie litery D, która dobrze leżała w jej szczupłej dłoni, kawałki suchego drewna i zwitek płótna. Kiedy uderzyła krzesiwem o hubkę, do pudełka posypały się iskry, od których zajęło się drewno. Chwilę później zapaliła płócienny zwitek i odpaliła od niego świecę.

W migotliwym świetle ujrzała ciągnącą się od podłogi aż po sufit ścianę starych beczek. Większość z nich, wypełniona piaskiem, była zbyt ciężka do podniesienia przez jedną osobę, ale kilka pozostało pustych. Wszystkie wyglądały tak samo, Sylvie znała jednak różnicę. Pospiesznie odsunęła jedną z nich i pochylając się, weszła w powstałą szczelinę. Za beczkami znajdowały się drewniane skrzynie z książkami.

Największe niebezpieczeństwo groziło Palotom, kiedy księgi były drukowane i oprawiane w warsztacie. Jeśliby Giles'a przyłapano na gorącym uczynku, wszyscy by zginęli, więc gdy książki były gotowe, wkładano je do pudeł i przykryte warstwą niewinnej literatury, dopuszczanej przez Kościół,

przewożono wozem do magazynu, a Giles mógł spokojnie drukować legalne księgi. Zwykle w zakładzie drukarskim w pobliżu katedry nie było więc niczego, co mogłoby ściągnąć nieszczęście na rodzinę Sylvie.

O magazynie wiedziały jedynie trzy osoby: Giles, Isabelle i ich córka. Sylvie dowiedziała się o nim dopiero w wieku szesnastu lat. Nawet pracownicy drukarni nie mieli pojęcia o jego istnieniu, chociaż wszyscy byli protestantami: mówiono im, że książki trafiają do tajemniczego handlarza.

Sylvie znalazła pudełko oznaczone symbolem „SA" od *Sileni Alcibiadis*, prawdopodobnie najważniejszego dzieła Erazma. Wyjęła jeden egzemplarz, zawinęła w kawałek płótna i przewiązała zawiniątko sznurkiem. Przestawiła beczkę, zasłaniając pudełka z książkami tak, że jedyne, co można było zobaczyć, to pomieszczenie do połowy wypełnione beczkami.

Wracając rue Saint-Martin, zastanawiała się, czy przystojny student stawi się na umówione spotkanie. Przyszedł wprawdzie do księgarni, ale mógł się przestraszyć. Co gorsza, mógł pojawić się w towarzystwie strażnika gotowego ją aresztować. Sylvie – jak każdy prawdziwy chrześcijanin – nie bała się śmierci, ale

przerażała ją myśl, że mogłaby być torturowana. Wyobraziła sobie rozgrzane do czerwoności szczypce i modląc się w duchu, spróbowała odegnać od siebie podobne obrazy.

Nocą nabrzeże było ciche i wyludnione. Stoiska handlarzy rybami zostały zamknięte, a krzykliwe mewy szukały pokarmu gdzie indziej. Wody rzeki przelewały się z cichym pluskiem.

Pierre czekał na nią z latarnią w dłoni. Jego twarz oświetlona od dołu miała w sobie złowrogi urok.

Był sam.

Wyciągnęła książkę, ale mu jej nie dała.

– Nikt nie może wiedzieć, że to masz – ostrzegła go. – Mogliby mnie stracić za to, że ci ją sprzedałam.

– Rozumiem – odparł.

– Kupując ją ode mnie, ty także ryzykujesz życie.

– Wiem.

– Jeśli jesteś pewien, weź ją i oddaj mi *Gramatykę*.

Wymienili się pakunkami.

– Do widzenia – powiedziała Sylvie. – I pamiętaj, co ci powiedziałam.

– Będę pamiętał – zapewnił i pocałował ją.

III

Alison McKay spieszyła pełnymi przeciągów korytarzami pałacu Tournelles, by zanieść swej najlepszej przyjaciółce zdumiewające wieści.

Przyjaciółka będzie musiała spełnić obietnicę, której nigdy nie złożyła. Wprawdzie spodziewano się tego od lat, ale ta wiadomość i tak okazała się nie lada zaskoczeniem. Była zarówno dobra, jak i zła.

Wielki, postawiony przed kilkoma wiekami budynek we wschodniej części Paryża popadał w ruinę. Mimo bogatego wyposażenia był zimny i niewygodny. Prestiżowy, ale zaniedbany, przypominał swoją obecną lokatorkę, Katarzynę Medycejską, królową Francji i żonę króla, który wolał od niej swoją kochankę.

Alison weszła do komnaty obok i znalazła tego, kogo szukała.

Dwoje nastolatków siedziało na podłodze przy oknie i grało w karty w chłodnych promieniach zimowego słońca. Ich ubrania i biżuteria wskazywały, że należą do najbogatszych ludzi świata, ale widać było, że granie na pieniądze sprawia im niesamowitą frajdę.

Chłopiec miał czternaście lat, ale wyglądał młodziej. Był niski i sprawiał wrażenie

słabowitego. Wchodził w okres dojrzewania i gdy mówił swoim piskliwym głosem, jąkał się. Miał na imię Franciszek. Był najstarszym synem króla Henryka II i królowej Katarzyny i następcą francuskiego tronu.

Rudowłosa dziewczynka była prawdziwą pięknością; mając lat piętnaście, przewyższała wzrostem większość mężczyzn. Nazywała się Maria Stuart i była królową Szkotów.

Kiedy miała pięć, a Alison osiem lat, przeprowadziły się ze Szkocji do Francji – dwie przerażone dziewczynki w obcym kraju, którego mieszkańcy mówili w zupełnie obcym języku. Chorowity Franciszek został ich towarzyszem zabaw i niebawem między trójką dzieci narodziła się wyjątkowa więź, która zwykle łączy ludzi w niedoli.

Alison była opiekuńcza wobec Marii, której lekkomyślność i impulsywność sprawiały, że czasami wymagała opieki. Obie lubiły Franciszka, tak jak się lubi bezbronnego szczeniaka czy kocię, podczas gdy on wielbił Marię jak boginię.

Teraz ich przyjaźń zostanie wystawiona na próbę, której może nie przetrzymać.

Maria podniosła wzrok i uśmiechnęła się, kiedy jednak zobaczyła minę Alison, wyraźnie się

zaniepokoiła.

– Co się stało? – spytała po francusku bez cienia szkockiego akcentu.

– Macie wziąć ślub w niedzielę po Wielkanocy! – wyrzuciła z siebie Alison.

– Tak szybko! – odparła Maria i obie spojrzały na Franciszka.

Maria zaręczyła się z nim w wieku pięciu lat, tuż przed wyjazdem do Francji. Zaręczyny były posunięciem politycznym na wzór królewskich zaręczyn i miały przypieczętować sojusz Francji i Szkocji przeciwko Anglii.

W miarę jak dziewczynki dorastały, zaczęły jednak wątpić, czy małżeństwo dojdzie do skutku. Stosunki między trzema królestwami zmieniały się jak w kalejdoskopie. Szare eminencje w Londynie, Edynburgu i Paryżu często rozmawiały o potencjalnych kandydatach na męża dla Marii Stuart, lecz nic nie było przesądzone. Aż do teraz.

Franciszek wyglądał na udręczonego.

– Kocham cię – zwrócił się do Marii. – Chcę cię poślubić… kiedy dorosnę.

Pragnąc go pocieszyć, Maria wyciągnęła do niego rękę, ale emocje wzięły nad nim górę i chłopiec się rozpłakał.

– Franciszku… – zaczęła Alison, widząc, jak niezdarnie podnosi się z podłogi.

Pokręcił głową i wybiegł z pokoju.

– Boże drogi – jęknęła Maria. – Biedaczek.

Alison zamknęła drzwi. Teraz, kiedy zostały same, podała Marii rękę i pomogła jej wstać. Wciąż trzymając się za ręce, usiadły na sofie przykrytej grubym kasztanowym aksamitem. Przez chwilę milczały.

– Jak się czujesz? – odezwała się w końcu Alison.

– Całe życie słyszę, że jestem królową – odparła Maria. – A tak naprawdę nigdy nią nie byłam. Zostałam królową Szkotów, gdy miałam zaledwie sześć dni, i do tej pory wszyscy traktują mnie jak dziecko. Lecz jeśli poślubię Franciszka, a on zostanie królem, będę królową Francji. – W jej oczach pojawił się błysk. – I tego właśnie chcę.

– Ale Franciszek…

– Wiem. Jest słodki i kocham go, nie sądzisz chyba jednak, że mogłabym dzielić z nim łoże i… no wiesz…

Alison energicznie pokiwała głową.

– Nie wyobrażam sobie tego – przyznała.

– Może moglibyśmy wziąć ślub i udawać.

Mina Alison nie pozostawiała wątpliwości.

– Wtedy mogliby unieważnić małżeństwo – ostrzegła przyjaciółkę.

– A ja przestałabym być królową.

– Właśnie.

– Dlaczego teraz? – spytała Maria. – Co takiego się wydarzyło?

Alison dowiedziała się wszystkiego od królowej Katarzyny, najlepiej poinformowanej osoby w całej Francji.

– Człowiek z Blizną zasugerował to królowi. – Książę Gwizjusz był wujem Marii, bratem jej matki. Po zwycięstwie pod Calais ich wpływy znacznie wzrosły.

– Dlaczego mojemu wujowi tak na tym zależy?

– Pomyśl, jak wielki byłby prestiż rodziny Gwizjuszów, gdybyś została królową Francji.

– Człowiek z Blizną jest żołnierzem.

– Tak. To z pewnością pomysł kogoś innego.

– Ale Franciszek…

– Właśnie, wszystko rozbija się o biednego Franciszka, prawda?

– Jest taki mały. – Maria westchnęła. – I słabowity. Czy w ogóle będzie w stanie sprostać małżeńskim obowiązkom?

– Nie wiem – odparła Alison. – Przekonasz się w niedzielę po Wielkanocy.

ROZDZIAŁ 3

I

Z początkiem lutego Margery i jej rodzice wciąż nie doszli do porozumienia. Sir Reginald i lady Jane byli zdania, że ich córka powinna poślubić Barta, lecz Margery oświadczyła, że nigdy się na to nie zgodzi.

Rollo był wściekły na siostrę. Dzięki niej rodzina mogła wejść w szeregi katolickiej arystokracji, a tymczasem ona chciała się sprzymierzyć z Willardami o wyraźnie protestanckich ciągotach. Jak mogła w ogóle rozważać taką zdradę, skoro na tronie zasiadała kobieta, która pod każdym względem faworyzowała katolików?

Fitzgeraldowie byli najbardziej wpływową rodziną w mieście. I tak też wyglądamy, pomyślał z dumą Rollo, gdy przy dźwiękach dzwonu wzywającego na nabożeństwo ubierali się

w najcieplejsze stroje. Sir Reginald był wysokim, szczupłym mężczyzną, a piegi, którymi upstrzona była jego twarz, przydawały mu wytworności. Tego dnia włożył ciężki kasztanowy płaszcz. Lady Jane, niska, chuda kobieta o spiczastym nosie i rozbieganych oczach, przed którymi niewiele się ukryło, miała na sobie płaszcz podbity futrem.

Margery była równie niska jak jej matka, ale miała pełniejsze kształty. Dąsała się, bo od przyjęcia w domu hrabiego miała zakaz wychodzenia z domu. Rodzice nie mogli jednak bez końca trzymać jej w odosobnieniu, zwłaszcza że tego dnia we mszy miał uczestniczyć biskup Kingsbridge – potężny sojusznik, z którym należało obchodzić się jak z jajkiem.

Dziewczyna najwyraźniej uznała, że jej wygląd nie będzie oddawał stanu jej ducha. Włożyła gruby szkarłatny płaszcz i czapkę w tym samym kolorze. Przez ostatni rok wyrosła na najładniejszą dziewczynę w mieście – nawet jej brat musiał to przyznać.

Piątym członkiem rodziny była stryjeczna babka Rollo. Była zakonnicą w klasztorze w Kingsbridge i zamieszkała z Fitzgeraldami, gdy z woli Henryka VIII klasztor został zamknięty. Przekształciła dwa pokoje na piętrze w swój

mały prywatny klasztor – sypialnię w skromną celę, a salon w kaplicę – i Rollo był pełen podziwu dla jej oddania. Wszyscy wciąż nazywali ją siostrą Joan i choć była już stara, słabowita i chodziła, opierając się na dwóch laskach, uparła się, że pójdzie na mszę z udziałem biskupa Juliusa. Pokojówka Naomi miała zanieść do katedry krzesło dla siostry Joan, by ta nie musiała stać całą godzinę.

Wyszli z domu wszyscy razem. Mieszkali na rozdrożu, na końcu głównej ulicy, naprzeciw ratusza, i stojąc przed drzwiami, sir Reginald spoglądał przez chwilę na wąskie uliczki, które niczym schody opadały w kierunku rzeki. Delikatny śnieżek prószył na pokryte strzechą dachy i kominy, znad których unosiły się smużki dymu. „To moje miasto”, mówiła jego mina.

Gdy burmistrz wraz z rodziną dumną procesją schodzili ze zbocza, bogatsi sąsiedzi witali ich, życząc wszystkim dobrego dnia, a biedota w milczeniu uchylała czapek.

Dopiero w świetle dnia Rollo zauważył, że płaszcz matki jest tu i ówdzie nadgryziony przez mole, i miał nadzieję, że nikt nie zwróci na to uwagi. Niestety, ojciec nie miał pieniędzy na nowe stroje. W porcie Combe, gdzie sir Reginald był mytnikiem, interesy nie szły najlepiej.

Francuzi przejęli port w Calais, wojna trwała w najlepsze, a żegluga na kanale La Manche praktycznie ustała.

W drodze do katedry minęli kolejną przyczynę problemów finansowych rodziny: nowy dom zwany Priory Gate. Stanął w północnej części targowiska, na ziemi należącej do domu przeora w czasach, gdy istniał jeszcze klasztor. Prace budowlane spowalniały, aż w końcu prawie ustały. Większość robotników najęła się do pracy w innych miejscach, u ludzi, których stać było na to, żeby im zapłacić. Wokół budowli postawiono prymitywny drewniany płot, by powstrzymać ciekawskich przed wchodzeniem do nieukończonego domu.

Sir Reginald był również właścicielem kompleksu budynków klasztornych przy południowej części katedry: kuchni i dormitorium z krużgankami, klasztoru żeńskiego i stajni. Kiedy Henryk VIII rozwiązał klasztory, ich własność została przekazana albo sprzedana miejscowym właścicielom ziemskim i w ten sposób sir Reginald wszedł w ich posiadanie. Większość budynków była zaniedbywana od dziesiątków lat i systematycznie popadała w ruinę. W krokwiach ptaki wiły gniazda, a krużganki pozarastały

jeżynami. Sir Reginald najchętniej odsprzedałby je z powrotem Kościołowi.

Między dwoma zarośniętymi parcelami, strzelając dumnie w niebo, stała katedra, niezmienna od wieków, jak wiara katolicka, której była symbolem. W ciągu ostatnich czterdziestu lat protestanci próbowali zmienić doktryny chrześcijańskie, których nauczano tu od dawna, i Rollo zastanawiał się, skąd u nich ta arogancja. Przypominało to próbę wstawienia nowych okien w stare kamienne mury. Ale prawda była wieczna, podobnie jak katedra.

Przeszli pod wysokim łukiem zachodniego wejścia. Zdawało się, że w świątyni jest jeszcze chłodniej niż na zewnątrz. Jak zwykle widok długiej nawy głównej z równymi rzędami kolumn i łuków napełnił Rollo pokrzepiającym poczuciem istnienia uporządkowanego wszechświata rządzonego niepodzielnie przez rozsądne bóstwo. Widoczne w odległym końcu witrażowe okno przedstawiało koniec wszystkiego: Boga zasiadającego na tronie w dzień Sądu Ostatecznego, złoczyńców torturowanych w piekle i dobrych ludzi wkraczających do Królestwa Niebieskiego.

Msza się rozpoczęła, gdy Fitzgeraldowie szli nawą główną. Z daleka obserwowali księży

stojących przy ołtarzu. Wokół nich skupiły się najzamożniejsze rodziny w mieście – w tym Willardowie i Cobleyowie – i hrabstwie: hrabia Shiring z synem Bartem, a także lord i lady Brecknock.

Śpiewano bez przekonania. Niebiańska muzyka, która przez wieki rozbrzmiewała w katedrze w Kingsbridge, umilkła, gdy klasztor zamknięto, a chór rozwiązano. Niektórzy z byłych mnichów chcieli kontynuować tradycję, ale chórzyści stracili serce do śpiewania. Nie byli w stanie odtworzyć fanatycznej dyscypliny grupy ludzi, którzy poświęcili życie, chwaląc Pana swą piękną muzyką.

Wierni w skupieniu przeżywali najważniejsze momenty, takie jak podniesienie, i z uwagą słuchali kazania biskupa Juliusa – na temat posłuszeństwa – jednak przez większość czasu rozmawiali między sobą.

Rollo zdenerwowało to, że Margery ukradkiem odsunęła się od rodziny i z ożywieniem szeptała coś do Neda Willarda; pióro na jej czapce kołysało się energicznie. Młody Willard, wystrojony w niebieski francuski dublet, był wyraźnie podekscytowany spotkaniem. Patrząc na niego, Rollo miał ochotę kopnąć go za jego bezczelność.

Chcąc zrobić siostrze na złość, poszedł porozmawiać z Bartem Shiringiem i zapewnił go, że niebawem sytuacja się wyjaśni. Rozmawiali o wojnie. Zajęcie przez Francuzów Calais zaszkodziło nie tylko handlowi. Królowa Maria i jej zagraniczny małżonek tracili poparcie. Rollo nadal nie wierzył, że na tronie Anglii zasiądzie jeszcze kiedyś protestancki władca, ale rządy Marii Tudor nie służyły sprawie katolickiej.

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, podszedł do niego Dan, pulchny syn Philberta Cobleya. Rollo domyślał się, że purytańscy Cobleyowie z pewnością nie przyszli tu z własnej woli; podejrzewał, że nienawidzą posągów i malowideł, a czując zapach kadzidła, najchętniej zatkaliby nosy. Denerwowała go świadomość, że ludzie ich pokroju – nieokrzesani, niedouczeni prostacy – mogli sami decydować w kwestiach wiary. Jeśli ten niedorzeczny pogląd zacznie zyskiwać na popularności, cywilizacja upadnie. Lud potrzebuje, by ktoś im mówił, co mają robić.

Danowi towarzyszył żylasty, ogorzały od słońca mężczyzna, niejaki Jonas Bacon, jeden z wielu kapitanów statków handlowych zatrudnianych przez kupców z Kingsbridge.

– Mamy ładunek do sprzedania – zwrócił się Dan do Rollo. – Jesteście zainteresowani?

Właściciele statków, jak Cobleyowie, często sprzedawali ładunki, zanim dopłynęły do portu; dzielili towar na części i oferowali go różnym inwestorom. Dzięki temu mieli pieniądze na finansowanie kolejnych podróży i zmniejszali ryzyko. Bywało, że udziałowcy odzyskiwali dziesięciokrotność swoich inwestycji, ale mogli też wszystko stracić. Swego czasu sir Reginald dorobił się w ten sposób sporej fortuny.

– Możliwe – skłamał Rollo. Jego ojciec nie miał gotówki, żeby zainwestować w ładunek, ale on chciał poznać szczegóły.

– *Święta Małgorzata* jest w rejsie powrotnym z Morza Bałtyckiego. Ładownia jest pełna futer, których wartość przekracza pięćset funtów – oznajmił Dan. – Mogę pokazać listę ładunkową.

Rollo zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz, jeśli nadal jest na morzu?

Kapitan Bacon odpowiedział na pytanie głosem schrypniętym od lat przekrzykiwania wiatru.

– Wyprzedziłem ją u wybrzeży Niderlandów. Mój statek, *Jastrząb*, jest szybszy. Podpłynąłem do niej i zebrałem szczegółowe informacje. *Święta Małgorzata* miała zawinąć do portu na

drobne naprawy, ale za dwa tygodnie powinna dotrzeć do Combe.

Kapitan Bacon – podobnie jak wielu innych – cieszył się złą sławą. Nikt nie wiedział, co żeglarze robią na morzu, a chodziły pogłoski, że wszyscy oni to złodzieje i mordercy. Jego opowieść brzmiała jednak wiarygodnie. Rollo pokiwał głową i zwrócił się do Dana:

– Dlaczego więc sprzedajecie towar już teraz?

Na bladej, pucołowatej twarzy Dana pojawił się chytry grymas.

– Potrzebujemy pieniędzy na kolejną inwestycję.

Najwyraźniej nie zamierzał mówić nic więcej. Nic dziwnego: jeśli trafiła im się lukratywna transakcja, woleli nie zdradzać szczegółów, by nie ubiegła ich konkurencja. Mimo to Rollo zrobił się podejrzliwy.

– Coś jest nie tak z tym ładunkiem?

– Nie. Na dowód tego jesteśmy w stanie zaręczyć, że futra są warte pięćset funtów. Ale sprzedamy je wam za czterysta.

Była to duża suma. Zamożny rolnik mógł rocznie zarobić na uprawach pięćdziesiąt funtów; dobrze prosperujący kupiec z Kingsbridge byłby dumny, zarabiając w ciągu roku dwieście funtów. Czterysta było ogromną

inwestycją w sytuacji, gdy rzadko kto miał okazję zarobić sto funtów w ciągu zaledwie dwóch tygodni.

Wystarczyłoby, żeby spłacić wszystkie długi Fitzgeraldów.

– Porozmawiam o tym z ojcem – odparł Rollo. Był przekonany, że transakcja nie dojdzie do skutku, lecz sir Reginald poczułby się urażony, gdyby syn wypowiadał się w jego imieniu.

– Lepiej się pospiesz – poradził mu Dan. – Jesteś pierwszy, któremu o tym powiedziałem; przez szacunek i dlatego, że sir Reginald jest burmistrzem. Ale są inni, którym możemy złożyć podobną propozycję. – Po tych słowach on i kapitan się oddalili.

Rollo rozejrzał się. Gdy dostrzegł ojca opartego o kanelowaną kolumnę, ruszył w jego stronę.

– Rozmawiałem z Danem Cobleyem – poinformował go.

– Czyżby? – Sir Reginald nie lubił Cobleyów. Zresztą niewielu ich lubiło. Wydawało im się, że są świętsi od innych, a swoim ostentacyjnym wyjściem w trakcie sztuki rozjuszyli wszystkich. – Czego chciał?

– Sprzedać ładunek. – Rollo wyłuszczył ojcu szczegóły.

– I są gotowi poręczyć za wartość towaru?

– Pięćset funtów… za czterysta, które za nie zapłacimy. Nie wiem, czy mamy tyle pieniędzy, ale pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Masz rację, nie mamy takiej sumy. – Reginald się zamyślił. – Ale może uda mi się ją zdobyć.

Rollo zastanawiał się, w jaki sposób. Wiedział, że ojciec jest zaradny; nie był kupcem, który dorabiał się stopniowo, lecz oportunistą gotowym skorzystać z nieprzewidzianej okazji.

Czy to możliwe, że jedna trafiona inwestycja rozwiąże rodzinne problemy? Rollo szczerze w to wątpił.

Ku jego zdziwieniu sir Reginald poszedł porozmawiać z Willardami. Alice była jednym z najzamożniejszych kupców w okolicy, więc burmistrz często omawiał z nią różne sprawy; wiadomo było jednak, że tych dwoje nie przepada za sobą. Ich wzajemnych relacji nie poprawił fakt, że młody Ned został odrzucony przez Fitzgeraldów jako przyszły zięć. Zaintrygowany Rollo poszedł za ojcem.

– Czy mogę prosić na słowo, pani Willard? – zapytał Reginald.

Alice była niską, korpulentną kobietą o nienagannych manierach.

– Oczywiście – odparła uprzejmie.

– Potrzebuję pożyczyć na krótko czterysta funtów – zaczął sir Reginald bez zbędnych wstępów.

Alice wyglądała na zaskoczoną.

– Być może będzie pan zmuszony udać się do Londynu – odparła po chwili. – Albo do Antwerpii. – Niderlandzkie miasto było finansową stolicą Europy. – Mamy tam kuzyna – dodała. – Ale nie wiem, czy nawet on będzie chciał pożyczyć taką sumę.

– Potrzebuję jej na dziś.

Alice uniosła brwi.

Rollo poczuł ukłucie wstydu. To upokarzające, że musieli błagać o pożyczkę rodzinę, którą tak niedawno wzgardzili. Jego ojciec nie zamierzał jednak łatwo się poddawać.

– Jest pani jedynym kupcem w Kingsbridge, który dysponuje taką kwotą.

– Mogę spytać, na co te pieniądze?

– Mam okazję kupić dobry towar.

Rollo domyślał się, że ojciec nie powie, od kogo i co zamierza kupić, w obawie, że Alice będzie chciała go ubiec.

– Za dwa tygodnie statek wpłynie do portu w Combe – dodał pospiesznie Reginald.

W tym momencie do rozmowy włączył się Ned. Rollo przypuszczał, że widok Fitzgeraldów proszących o pomoc sprawia mu nie lada frajdę, lecz Ned zamierzał rozmawiać wyłącznie o interesach.

– Dlaczego więc właściciel chce sprzedać towar już teraz? – spytał podejrzliwie. – Wystarczy, że zaczeka dwa tygodnie, i dostanie pełną wartość.

Sir Reginald wyglądał na poirytowanego tym gradem pytań.

– Handlarz pilnie potrzebuje pieniędzy na kolejną inwestycję – odparł, starając się ukryć niezadowolenie.

– Musi pan zrozumieć, że nie mogę ryzykować utraty tak znacznej sumy – odezwała się Alice.

– Nie ma żadnego ryzyka – zapewnił sir Reginald. – Za nieco ponad dwa tygodnie odzyska pani pieniądze.

Bzdura, pomyślał Rollo. Zawsze istnieje ryzyko.

– Jesteśmy sąsiadami, Alice. – Sir Reginald zniżył głos do szeptu. – Pomagamy sobie. Ułatwiam rozładunek twoich towarów w porcie Combe, wiesz o tym. W zamian ty pomagasz mi. Oto jak działa Kingsbridge.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną i Rollo potrzebował chwili, żeby uświadomić sobie dlaczego. W pojednawczych słowach ojca o sąsiedzkiej pomocy czaiła się groźba. Jeśli Alice nie zechce współpracować, sir Reginald narobi jej kłopotów w porcie.

Nastała długa cisza; Alice Willard rozważała propozycję. Rollo mógł tylko zgadywać, co chodzi jej po głowie. Nie chciała pożyczać pieniędzy, ale nie mogła zrazić do siebie kogoś tak wpływowego jak jego ojciec.

– Jeśli mam udzielić pożyczki, będę potrzebowała zabezpieczenia.

Słysząc to, Rollo stracił nadzieję. Człowiek, który nic nie ma, nie może zagwarantować zabezpieczenia. Alice Willard wykorzystała to, by odmówić.

– Ręczę za to swoim stanowiskiem – odparł Reginald.

Pokręciła głową.

– Nie możesz rozporządzać nim bez zgody króla, a nie masz na to czasu.

Rollo wiedział, że kobieta ma rację. Jeszcze chwila i ojciec okaże, jak bardzo jest zdesperowany.

– A co powiesz na klasztor? – spytał sir Reginald.

– Nie chcę twojego w połowie ukończonego domu.

– W takim razie południową część, z krużgankami, kwaterami mnichów i klasztorem żeńskim.

Jego syn był pewien, że Alice Willard odrzuci i tę ofertę. Budynki starego klasztoru od przeszło dwudziestu lat popadały w ruinę, a ich stan był opłakany.

Tymczasem ona wyraźnie się ożywiła.

– Może… – zaczęła.

– Ależ ojcze – wtrącił się Rollo – wiesz, że biskup Julius chce, by kapituła odkupiła klasztor. Sam właściwie przystałeś na jego propozycję.

Pobożna królowa Maria starała się odzyskać wszystkie posiadłości, które jej pazerny ojciec Henryk VIII odebrał Kościołowi, jednak parlament nie przyjął ustawy – zbyt wielu jego członków czerpało korzyści z obecnego stanu rzeczy – zatem Kościół próbował je odkupić po zaniżonej cenie, a Rollo był zdania, że obowiązkiem każdego katolika jest mu pomagać.

– I dobrze – odparł sir Reginald. – Zamierzam spłacić pożyczkę, więc nieruchomości nie zmienią właściciela, a biskup dostanie to, co chce.

– Zgoda – rzuciła Alice.

Zapadła cisza. Alice Willard najwyraźniej na coś czekała, ale nie powiedziała na co. W końcu sir Reginald domyślił się, o co chodzi.

– Oddam z procentem.

– Zażądałabym wysokiego oprocentowania – uprzedziła Alice. – Gdyby nie to, że naliczanie odsetek to lichwa, a tym samym przestępstwo i grzech.

Miała rację, choć oboje dobrze wiedzieli, że przepisy te były obchodzone codziennie w każdym mieście handlowym Europy. Wygłosiła te słowa tylko po to, żeby zachować pozory.

– Cóż, jestem pewien, że jakoś to załatwimy – powiedział sir Reginald żartobliwym tonem kogoś, kto planuje niewinne oszustwo.

– Co ma pan na myśli? – spytała ostrożnie.

– Dopóki nie oddam całej sumy, moglibyście korzystać z klasztoru.

– Chcę ośmiu funtów miesięcznie.

Ned wydawał się niespokojny. Najwyraźniej chciał, żeby matka wycofała się z tej umowy. Rollo wiedział dlaczego: Alice zamierzała zaryzykować czterysta funtów, żeby zarobić ledwie osiem.

Reginald udał oburzonego.

– To dwadzieścia cztery procent rocznie!

– Więc darujmy sobie całe to zamieszanie.

Rollo poczuł, że wstępuje w niego nowa nadzieja. Skoro Alice wykłócała się o oprocentowanie, znaczyło to, że zamierza udzielić pożyczki. Zobaczył, że Ned wygląda na przerażonego, i domyślał się, że młodego Willarda niepokoi taki obrót spraw.

Sir Reginald zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze więc – odparł w końcu. – Niech tak będzie. – Podał Alice rękę, a ona ją uścisnęła.

Syn był pełen podziwu dla ojcowskiego sprytu. Dla kogoś, kto był praktycznie bez grosza przy duszy, inwestycja warta czterysta funtów była szczytem zuchwałości. Ładunek ze *Świętej Małgorzaty* postawi na nogi rodzinny interes. Bogu niech będą dzięki za Philberta Cobleya i jego pilną potrzebę zdobycia gotówki.

– Po południu przygotuję dokumenty – oświadczyła Alice Willard i odwróciła się, kończąc rozmowę.

W tej samej chwili do sir Reginalda podeszła lady Jane.

– Czas wracać do domu – powiedziała. – Obiad powinien być już gotowy.

Rollo rozejrzał się za siostrą, ale nigdzie jej nie było.

II

Kiedy oddalili się na tyle, by Fitzgeraldowie nie mogli ich usłyszeć, Ned zwrócił się do matki:

– Dlaczego zgodziłaś się pożyczyć mu tyle pieniędzy?

– Bo gdybym odmówiła, narobiłby nam kłopotów.

– Ale przecież może nie wywiązać się z umowy! Możemy wszystko stracić.

– Nie, jeśli będziemy mieli klasztor.

– Raczej to, co z niego zostało.

– Nie zależy mi na budynkach.

– Więc na czym? – zapytał Ned.

– Zastanów się.

O co chodziło, jeśli nie o budynki?

– Na ziemi?

– Myśl dalej.

– Klasztor znajduje się w centrum miasta.

– Właśnie. To najcenniejsza część Kingsbridge. Ktoś, kto wie, co z nią zrobić, zarobi na niej dużo więcej niż czterysta funtów.

– Rozumiem. Ale co z nią zrobisz? Zbudujesz na niej dom jak sir Reginald?

Matka rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Nie potrzebuję pałacu. Zbuduję kryte targowisko, które będzie otwarte w każdy dzień

tygodnia, niezależnie od pogody. Wynajmę miejsca właścicielom straganów: cukiernikom, handlarzom nabiałem, rękawicznikom i szewcom. W pobliżu katedry handel będzie kwitł nawet przez tysiąc lat.

Musiał przyznać, że jest to genialny pomysł. I właśnie dlatego zrodził się w głowie matki, a nie jego.

Mimo to nadal się niepokoił. Nie ufał Fitzgeraldom.

– Czy to plan awaryjny, na wypadek gdybyśmy stracili wszystko w Calais? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

Alice dokładała wszelkich starań, żeby dowiedzieć się czegoś o sytuacji w Calais, ale odkąd Francuzi przejęli kontrolę nad miastem, nie docierały z niego żadne wieści. Możliwe, że skonfiskowali wszystko, co należało do Anglików, łącznie z bogato zaopatrzonym magazynem Willardów; być może wuj Dick z rodziną wracali do Kingsbridge z pustymi rękami. Calais rozwijało się jednak głównie dzięki angielskiemu handlowi, możliwe więc, że francuski król uznał, iż rozsądniej będzie, jeśli obcokrajowcy zachowają to, co do nich należy, i nadal będą prowadzili swoje interesy.

Niestety, brak wiadomości nie zwiastował niczego dobrego. Fakt, że przez ostatni miesiąc żaden Anglik nie wrócił do kraju z informacjami, mógł oznaczać, że niewielu pozostało przy życiu.

– Zadaszone targowisko to inwestycja, która się opłaci – odparła Alice. – Ale tak, myślę, że będziemy zmuszeni zająć się czymś innym, jeśli wieści z Calais będą tak niepomyślne, jak się obawiam.

Ned skinął głową. Jego matka zawsze wybiegała myślami w przyszłość.

– Choć prawdopodobnie nic takiego się nie zdarzy – dodała po chwili. – Reginald nie zniżyłby się do tego, by prosić mnie o pożyczkę, gdyby nie miał na oku czegoś naprawdę intratnego.

Ned myślał już o czymś innym. Negocjacje z sir Reginaldem na jakiś czas odwróciły jego uwagę od jedynego członka rodziny Fitzgeraldów, który naprawdę go interesował.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie widział Margery. Najwyraźniej już wyszła i Ned wiedział, dokąd się udała. Niespiesznie ruszył więc w stronę wyjścia.

Chociaż miał w głowie gonitwę myśli, jak zawsze znalazł czas, by podziwiać niemal muzyczną harmonię łuków – niższe przywodziły

na myśl powtarzane w regularnych odstępach basowe tony, mniejsze – na galerii i w przezroczach – były niczym wysokie nuty tego samego akordu.

Otulił się szczelnie płaszczem i wyszedłszy na dwór, skierował się na północ, w stronę cmentarza. Sypiący teraz nieco mocniej śnieg osiadał na dachu masywnego grobowca przeora Philipa. Był on tak wysoki, że Ned i Margery mogli ukrywać się za nim i wymieniać czułości bez obaw, że ktoś ich zauważy. Według legendy, przeor Philip był wyrozumiały wobec tych, którzy ulegali cielesnym pokusom, co jeszcze bardziej utwierdzało Neda w przekonaniu, że dusza nieżyjącego mnicha nie będzie miała nic przeciwko dwojgu młodym ludziom całującym się za jego grobowcem.

Margery znalazła jednak lepsze miejsce schadzek niż pobliski cmentarz i powiedziała o nim Nedowi w czasie krótkiej rozmowy podczas mszy. Idąc za jej wskazówkami, dotarł do ogrodzenia nowego domu sir Reginalda. Rozejrzał się jeszcze, by upewnić się, że nikt go nie widzi. Dostrzegł dziurę w płocie i przeszedł na drugą stronę.

Budynek miał podłogi, ściany, schody i dach, ale wciąż brakowało w nim okien i drzwi. Ned

wślizgnął się do środka i wbiegł po schodach z włoskiego marmuru na półpiętro, gdzie czekała na niego Margery opatulona w ciężki czerwony płaszcz. Widząc przejęcie na jej twarzy, objął ją i pocałował. Zamknął oczy i przez chwilę wdychał jej zapach – ciepłą woń, którą wydzielała skóra na jej szyi.

– Martwię się – powiedział, kiedy odsunęli się od siebie, żeby zaczerpnąć oddechu. – Moja matka pożyczyła właśnie twojemu ojcu czterysta funtów.

Margery wzruszyła ramionami.

– Oni ciągle robią takie rzeczy.

– Ale pożyczki prowadzą do kłótni. To może jeszcze bardziej pogorszyć naszą sytuację.

– Chyba nie może być już gorzej – odparła. – Pocałuj mnie.

Całował już kilka dziewcząt, ale nigdy w ten sposób. Tylko Margery mówiła bez ogródek, czego pragnie. Kobiety miały być uległe, zwłaszcza w intymnych sytuacjach, ona jednak zachowywała się tak, jakby nic o tym nie wiedziała.

– Uwielbiam to, jak całujesz – wyznał po chwili. – Kto cię nauczył?

– Nikt mnie nie uczył! Za kogo mnie masz? Poza tym chyba nie ma recepty na całowanie. To

nie księgowość.

– Pewnie masz rację. Każda dziewczyna jest inna. Ruth Cobley lubi, żeby z całej siły ściskać jej piersi. A Susan White…

– Przestań! Nie chcę słuchać o innych dziewczętach.

– Droczę się z tobą. Nie ma drugiej takiej jak ty. Dlatego cię kocham.

– Ja ciebie też – wyznała Margery i znowu zaczęli się całować. Ned rozchylił poły swojego okrycia i rozpiął guziki jej płaszcza, żeby mogli się przytulić. Prawie nie czuli zimna.

– Natychmiast przestańcie! – warknął ktoś.

To był głos Rollo.

Ned wzdrygnął się jak zawstydzony dzieciak przyłapany na gorącym uczynku. Zaraz się jednak opamiętał. Niby dlaczego miałby nie całować dziewczyny, która go kochała? Wypuścił Margery z objęć i odwrócił się niespiesznie.

– Nie próbuj mi rozkazywać, Rollo. Nie jesteśmy w szkole.

Rollo puścił jego słowa mimo uszu i oburzony zwrócił się do siostry:

– Wyjdziesz stąd i wrócisz ze mną do domu.

Margery wystarczająco długo żyła pod jednym dachem ze swoim starszym bratem i potrafiła sprzeciwić się jego woli.

– Idź – rzuciła pozornie swobodnym tonem, w którym pobrzmiewała nuta zdenerwowania. – Zaraz przyjdę.

Poczerwieniał na twarzy.

– Powiedziałem: już – syknął i chwycił dziewczynę za ramię.

– Puść ją – wtrącił się Ned. – Nie ma powodu tak się zachowywać.

– Zamknij się! To moja siostra i będę z nią robił, co mi się żywnie podoba.

Margery spróbowała się wyszarpnąć, ale palce brata zacisnęły się na jej ramieniu.

– Przestań, to boli! – pisnęła.

– Ostrzegałem cię, Rollo. – Ned nie chciał uciekać się do przemocy, ale nie zamierzał tolerować takiego zachowania.

Gdy Rollo kolejny raz szarpnął Margery za ramię, Ned chwycił go za płaszcz, szarpnięciem odciągnął od Margery i pchnął tak, że Rollo zatoczył się do tyłu.

Chwilę później na marmurowych stopniach pojawił się Bart.

Rollo odzyskał równowagę i podniósł palec jak ksiądz wygłaszający kazanie.

– To ty mnie posłuchaj – warknął do Neda i go kopnął.

Kopniak był wymierzony w krocze, ale Ned się uchylił i stopa Rollo trafiła w udo. Zamroczony wściekłością, prawie nie poczuł bólu i rzucił się z pięściami na przeciwnika, uderzając go w głowę i pierś trzy, cztery, pięć razy. Rollo cofnął się i próbował odeprzeć atak. Był wyższy i miał dłuższe ręce, ale Ned był bardziej rozjuszony.

– Przestańcie, przestańcie!

Ned jak przez mgłę słyszał krzyki Margery.

Zapędził jej brata pod ścianę i nagle poczuł, że ktoś chwyta go od tyłu. Bart. Silne ręce przycisnęły ramiona Neda do ciała, jak gdyby ktoś oplótł go liną. Bart był dużo większy i silniejszy niż on czy Rollo. Ned szamotał się wściekle, lecz nie był w stanie się wyswobodzić; miał tylko świadomość, że zaraz naprawdę oberwie.

Widząc, że Bart trzyma Neda, Rollo rzucił się na niego. Ned próbował się uchylać, ale był unieruchomiony, więc ciosy raz za razem trafiały w twarz, brzuch i krocze. Rozbawiony Bart śmiał się do rozpuku. Margery, krzycząc, próbowała powstrzymać brata. Bez skutku. Walczyła zażarcie, ale była zbyt drobna, żeby cokolwiek wskórać.

Po minucie Bart znudził się zabawą i przestał się śmiać. Odepchnął Neda na bok i patrzył, jak ten pada. Ned spróbował się podnieść, ale przez chwilę nie potrafił utrzymać się na nogach. Jedno oko miał zamknięte od opuchlizny, ale drugim zobaczył, jak Rollo i Bart chwytają Margery za ramiona i prowadzą schodami w dół.

Zakasłał, a gdy splunął krwią, na podłogę wypadł ząb. Chwilę później zwymiotował.

Był cały obolały. Znów spróbował się podnieść, lecz ból był obezwładniający. Ned leżał na plecach na zimnym marmurze, czekając, aż odzyska siły.

– Cholera – zaklął pod nosem. – Cholera.

III

– Gdzie byłaś, młoda damo? – zwróciła się do córki lady Jane, kiedy Rollo przyprowadził siostrę do domu.

– Rollo pobił Neda, a Bart go trzymał – powiedziała dziewczyna. – Jakim trzeba być zwierzęciem, żeby zrobić coś takiego?

– Uspokój się! – rzuciła matka.

– Popatrz na niego, jaki jest z siebie dumny. Jak rozmasowuje pięści!

– Jestem dumny, bo postąpiłem właściwie.

– Ale sam nie dałeś Nedowi rady, co? – Margery spojrzała na towarzyszącego im Barta. – Potrzebowałeś jego pomocy!

– To nieistotne – powiedziała lady Jane. – Masz gościa.

– Nie chcę teraz z nikim rozmawiać! – Margery pragnęła jedynie zaszyć się w swoim pokoju.

– Nie bądź nieuprzejma – upomniała ją matka. – Chodź za mną.

Dziewczyna poczuła, że opuszczają ją siły. Widziała, jak mężczyzna, którego kocha, zostaje pobity, i była to jej wina, bo się w nim zakochała. Miała wrażenie, że nic już nie może zrobić. Wzruszyła beznamiętnie ramionami i poszła za matką.

Udały się do salonu lady Jane, z którego zarządzała domem i wydawała polecenia służbie. Był to skromnie urządzony pokój z twardymi krzesłami, biurkiem i klęcznikiem. Na stole stała kolekcja figurek z kości słoniowej przedstawiających świętych.

W salonie czekał biskup Kingsbridge we własnej osobie. Był chudym starcem; mógł liczyć sobie sześćdziesiąt pięć lat, ale ruchy miał szybkie. Być może z powodu łysiny Margery

zawsze uważała, że jego twarz wygląda jak czaszka. Jasnoniebieskie oczy duchownego błyszczały inteligentnie.

Jego widok zdumiał Margery. Czego mógł od niej chcieć?

– Biskup ma ci coś do powiedzenia – oświadczyła lady Jane.

– Usiądź, Margery – odezwał się Julius.

Dziewczyna zrobiła, co jej kazano.

– Znam cię, odkąd przyszłaś na świat – zaczął. – Zostałaś wychowana na chrześcijankę i dobrą katoliczkę. Rodzice mogą być z ciebie dumni.

Milczała. Patrzyła na biskupa, ale zamiast niego widziała Rollo, który wściekle okładał Neda po twarzy.

– Odmawiasz modlitwy, chodzisz na mszę i raz do roku spowiadasz się ze swych grzechów. Bóg jest z ciebie zadowolony.

To akurat było prawdą, ale wszystko inne w życiu Margery wydawało się nie takie jak trzeba – jej brat był pełen nienawiści, rodzice zachowywali się okrutnie, a ona miała poślubić bestię. Przynajmniej czuła, że żyje w zgodzie z naukami Kościoła. I znajdowała w tym pocieszenie.

– A jednak – ciągnął biskup – zachowujesz się tak, jakbyś nagle zapomniała o wszystkim, czego

cię uczono.

Te słowa nie umknęły jej uwadze.

– Wcale nie – odparła oburzona.

– Bezczelna dziewczyno! – zawołała matka. – Nie odzywaj się nieproszona.

Biskup się uśmiechnął.

– To nic, lady Jane. Rozumiem, że jest zdenerwowana.

Margery spojrzała na niego. Był żywą ikoną Chrystusa i ziemskim pasterzem jego chrześcijańskiej trzódki. Jego słowa pochodziły od Boga. O co więc ją oskarżał?

– Zdaje się, że zapomniałaś, jak brzmi czwarte przykazanie – powiedział biskup.

Nagle poczuła się zawstydzona. Wiedziała, co miał na myśli, i speszona, wbiła wzrok w podłogę.

– Jak brzmi czwarte przykazanie, Margery?

– Czcij ojca swego i matkę swoją – bąknęła.

– Powtórz głośniej i wyraźniej.

Podniosła głowę, ale nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Czcij ojca swego i matkę swoją – powtórzyła.

Julius pokiwał głową.

– W ostatnim miesiącu okryłaś hańbą swoich rodziców, prawda?

Margery przytaknęła. Biskup miał rację.

– Twoim świętym obowiązkiem jest ich słuchać.

– Przepraszam – szepnęła żałośnie.

– Żal za grzechy nie wystarczy, prawda, Margery? Wiesz o tym.

– Co mam więc zrobić?

– Przestać grzeszyć. Okazać posłuszeństwo.

– Posłuszeństwo? – Podniosła wzrok i w końcu spojrzała mu w oczy.

– Tego chce Bóg.

– Naprawdę?

– Tak.

Był biskupem. Wiedział, czego chce Bóg. I powiedział jej o tym. Znowu wbiła wzrok w podłogę.

– Chciałbym, żebyś porozmawiała z ojcem.

– Muszę?

– Wiesz, że tak. I myślę, że wiesz, co powinnaś mu powiedzieć. Mam rację?

Margery miała zbyt ściśnięte gardło, żeby się odezwać, ale posłusznie skinęła głową.

Biskup dał znak lady Jane, a ta podeszła do drzwi i je otworzyła. Tuż za progiem czekał sir Reginald.

– No i? – spytał, wchodząc do pokoju i patrząc wyczekująco na córkę.

– Przepraszam, ojcze. Przykro mi.

– Powinno ci być przykro – odparł.

Zapadła cisza. Lady Jane, sir Reginald i biskup Julius czekali, co powie Margery.

– Wyjdę za Barta Shiringa – odezwała się w końcu.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił ją ojciec.

– Mogę już iść? – Margery się wyprostowała.

– Może powinnaś podziękować biskupowi za to, że przemówił ci do rozsądku – odezwała się lady Jane.

Margery spojrzała na duchownego.

– Dziękuję, księże biskupie.

– Dobrze. – Lady Jane była wyraźnie zadowolona. – Teraz możesz iść.

Dziewczyna obróciła się na pięcie i opuściła pokój.

IV

W poniedziałek rano, kiedy Ned wyjrzał przez okno i zobaczył Margery, jego serce zabiło mocniej.

Stał w salonie, a jego szylkretowa kotka Maddy ocierała mu się łebkiem o nogę. Była starą kocicą, która w powściągliwy, dostojny sposób okazywała, jak bardzo cieszy się, że go widzi.

Patrzył, jak Margery przecina plac i idzie w stronę szkoły. Trzy dni w tygodniu uczyła najmłodsze dzieci pisać i liczyć, opowiadała im o cudach, które uczynił Jezus, i przygotowywała je do pójścia do szkoły. Przez cały styczeń była nieobecna i teraz wracała do swoich obowiązków. Towarzyszył jej Rollo, który pełnił rolę jej eskorty.

Ned tylko na to czekał.

Miewał już romanse. Nigdy nie dopuścił się grzechu cudzołóstwa, choć raz czy dwa niewiele brakowało, i z całą pewnością miał słabość do Susan White i Ruth Cobley. Kiedy jednak zakochał się w Margery, wiedział, że tym razem będzie inaczej. Nie chciał, by ich związek ograniczał się do schadzek za grobowcem przeora Philipa, pocałunków i pieszczot. Pragnął jej, owszem, ale chciał spędzać z nią wolny czas, rozmawiać o sztukach i obrazach, polityce, plotkować albo po prostu leżeć w promieniach słońca na trawiastym brzegu.

Powstrzymał chęć, żeby wybiec z domu i zaczepić ją na targowisku. Porozmawia z nią w południe, kiedy skończą się lekcje.

Poranek spędził w magazynie, uzupełniając wpisy w księgach. Jego starszy brat Barney nienawidził tego zajęcia – pisanie przychodziło

mu z trudem i do dwunastego roku życie nie umiał czytać – ale Ned je lubił: rachunki i pokwitowania, zamówienia na cynę, ołów i rudę żelaza, podróże do Sewilli, Calais i Antwerpii, ceny i zyski. Siedząc przy stole z gęsim piórem, kałamarzem i opasłą księgą rejestrów, widział rozciągające się przed nim rozległe imperium interesów.

Niestety, teraz to imperium stało na skraju załamania. Większość tego, co posiadali Willardowie, znajdowało się w Calais i prawdopodobnie zostało skonfiskowane przez króla Francji. Zapasy materiałów tu, w Kingsbridge, były cenne, ale ciężko je będzie sprzedać, skoro żegluga na kanale została ograniczona przez wojnę. Z braku zajęć zwolniono kilku pracowników. Ned miał za zadanie dodać to, co pozostało, i zobaczyć, czy wystarczy na spłacenie długów.

Wciąż jednak ktoś mu przeszkadzał, pytając, dlaczego ma podbite oko. Nie zamierzał kłamać i mówił im to, co powiedział matce: Bart i Rollo pobili go za to, że pocałował Margery. Taka odpowiedź nikogo nie dziwiła – walki na pięści nie były niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza pod koniec tygodnia, podobnie jak widok siniaków w poniedziałkowy ranek.

Babka Neda była oburzona.

– Ten Rollo to szczwany lis – skwitowała. – Już jako dziecko był złośliwy i wyrósł na mściwego młodzieńca. Lepiej na niego uważaj.

Alice płakała nad wybitym zębem syna.

Około południa opuścił magazyn i wyszedł na tonącą w błocie główną ulicę. Nie poszedł do domu, lecz ruszył w kierunku szkoły. Kiedy stanął pod drzwiami, dzwon na wieży katedry wybił dwunastą. Ned miał wrażenie, że odkąd opuścił mury szkoły, minęły dziesiątki lat. Wydarzenia, które wówczas tak bardzo go zajmowały – sprawdziany, sport i rywalizacja – teraz wydawały się dziwnie trywialne.

Rollo przeciął plac i skierował się w stronę szkoły. Ned domyślał się, że ma odprowadzić Margery do domu. Na widok Neda się zawahał. Wyglądał na zdumionego i odrobinę przestraszonego. Szybko jednak odzyskał dawny rezon i ryknął:

– Trzymaj się z daleka od mojej siostry!

Ned spodziewał się takiej reakcji.

– Zmuś mnie, ty ograniczony umysłowo prostaku.

– Mam ci podbić drugie oko?

– Tylko spróbuj.

Rollo dał za wygraną.

– Nie mam zamiaru urządzać burd w miejscu publicznym.

– Oczywiście – rzucił z pogardą Ned. – Zwłaszcza że nie ma w pobliżu twojego wielkiego przyjaciela Barta, który mógłby ci pomóc.

W tej samej chwili Margery wyszła ze szkoły.

– Rollo! – krzyknęła. – Na litość boską, znowu próbujesz wszcząć bójkę?

Ned spojrzał na nią i poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Margery była drobna, ale roztaczała wokół siebie władczą aurę, gdy stała, zuchwale zadzierając brodę, i z błyskiem w zielonych oczach przemawiała do brata głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie będziesz rozmawiała z Willardem – odparł Rollo. – W tej chwili masz wracać ze mną do domu.

– Ale ja chcę z nim rozmawiać – upierała się Margery.

– Zabraniam ci.

– Nawet nie próbuj chwytać mnie za ramię, Rollo – ostrzegła brata, jakby czytała w jego myślach. – Bądź rozsądny. Stań przy drzwiach do pałacu biskupa. Stamtąd będziesz nas widział i słyszał.

– Nie masz mu nic do powiedzenia.

– Nie bądź głupi. Muszę mu powiedzieć, co stało się wczoraj. Chyba w to nie wątpisz, prawda?

– To wszystko? – spytał sceptycznie Rollo.

– Obiecuję. Po prostu muszę porozmawiać z Nedem.

– I nie pozwól mu się dotknąć.

– Odejdź i stań przy drzwiach.

Ned i Margery patrzyli, jak Rollo zatrzymuje się dwadzieścia kroków dalej i obserwuje ich z posępną miną.

– Co się stało wczoraj? – spytał Ned.

– Coś sobie uświadomiłam. – Do oczu dziewczyny napłynęły łzy.

– Co takiego? – Przeczuwał, że nie spodoba mu się to, co zaraz usłyszy.

– Że moim świętym obowiązkiem jest słuchanie rodziców.

Po tych słowach się rozpłakała. Ned sięgnął do kieszeni i wyjął zrobioną przez matkę płócienną chusteczkę, obszytą i ozdobioną haftowanymi żołędziami. Delikatnie otarł łzy z policzków Margery, ona jednak wyrwała mu ją z ręki i wycierając oczy, powiedziała:

– Nie możemy zrobić nic więcej, prawda?

– Ależ możemy – zapewnił ją Ned, próbując zebrać myśli. Wiedział, że ta porywcza i uparta

dziewczyna jest w głębi serca bardzo pobożna. – Czy to nie grzech sypiać z człowiekiem, którego się nienawidzi?

– Kościół nic o tym nie mówi.

– A powinien.

– Wy, protestanci, zawsze chcecie poprawiać prawa Boże.

– Nie jestem protestantem! O to chodzi?

– Nie.

– Co oni ci zrobili? Jak cię przekonali? Grozili ci?

– Przypomnieli mi o moich obowiązkach.

Ned czuł, że dziewczyna coś ukrywa.

– Kto? Kto ci przypomniał?

Margery zawahała się, jakby wolała nie odpowiadać na to pytanie. Chwilę później wzruszyła obojętnie ramionami.

– Biskup Julius.

– Wyświadczył twoim rodzicom przysługę! – zawołał oburzony Ned. – To stary znajomy twojego ojca.

– To sługa Chrystusa.

– Jezus nie mówi nam, kogo powinniśmy poślubić!

– Wierzę, że chce, żebym była posłuszna.

– To nie ma nic wspólnego z wolą Bożą. Twoi rodzice wykorzystali fakt, że jesteś głęboko

wierząca, żeby zmusić cię do tego, na czym im zależy.

– Przykro mi, że tak myślisz.

– Naprawdę zamierzasz wyjść za Barta Shiringa, bo tak ci powiedział biskup?

– Bo tego chce ode mnie Bóg. Muszę już iść, Ned. W przyszłości lepiej będzie, jeśli ograniczymy nasze kontakty do minimum.

– Dlaczego? Mieszkamy w tym samym mieście, chodzimy do tego samego kościoła. Dlaczego mielibyśmy nie rozmawiać?

– Bo mam złamane serce – odparła i oddaliła się.

ROZDZIAŁ 4

I

Barney Willard szedł zatłoczonym sewilskim wybrzeżem, wypatrując na rzece Gwadalkiwir angielskich statków. Rozpaczliwie chciał się dowiedzieć, czy jego rodzina nie straciła całego majątku i czy wuj Dick żyje.

Od strony rzeki wiał zimny wiatr, ale niebo miało kolor czystego błękitu, a poranne słońce ogrzewało opaloną twarz Barneya. Obawiał się, że po powrocie do kraju już nigdy nie przyzwyczai się do wilgotnego chłodu Anglii i zaciągniętego chmurami nieba.

Sewillę wybudowano w zakolu rzeki. Po wewnętrznej stronie zakrętu szeroka błotnisto-piaszczysta plaża wznosiła się ku nieco pewniejszemu gruntowi, gdzie tysiące stłoczonych domów, pałaców i kościołów tworzyły największe miasto w Hiszpanii.

Na plaży pełnej mężczyzn, koni i wołów rozładowywano i załadowywano statki, a kupcy targowali się podniesionymi głosami. Barney przyglądał się zacumowanym statkom i nasłuchiwał przeciąganych samogłosek i miękkich spółgłosek ojczystego języka.

Coś w widoku statków sprawiało, że jego dusza się radowała. Nigdy nie był szczęśliwszy niż podczas podróży do Hiszpanii. Mimo zgniłego jedzenia, stęchłej wody pitnej, cuchnącej zęzy i przerażających sztormów uwielbiał morze. Wrażenie ślizgania się po falach i widok wypełnionych wiatrem żagli były równie rozkoszne jak obcowanie z kobietą. Cóż.. prawie tak rozkoszne.

Statki przy brzegu – zacumowane dziobami do lądu i rufami w stronę rzeki – były ściśnięte jak domy w mieście. Barney był przyzwyczajony do portu w Combe, do którego w pracowity dzień zawijało od pięciu do dziesięciu statków, a tutaj dziennie przybijało ich pięćdziesiąt.

Nie bez powodu pojawił się w porcie o tak wczesnej godzinie. Mieszkał u Carlosa Cruza, dalekiego krewnego i handlarza metalami. W Sewilli wytwarzano broń na ciągnące się bez końca wojny króla Filipa II, tak więc zapotrzebowanie było ogromne. Carlos kupował

wszystko, co eksportowała matka Barneya: ołów ze wzgórz Mendip na kule, cynę z kornwalijskich kopalń na narzędzia i skrzynie pokładowe na jedzenie i, przede wszystkim, rudę żelaza. Ruda żelaza i inne metale przypływały do Sewilli także na statkach innych eksporterów – z południowej Anglii albo północnej Hiszpanii – i z nimi również Carlos dobijał transakcji.

Barney zatrzymał się i obserwował, jak kolejna jednostka powoli wpływa do portu. Statek wyglądał znajomo i serce Barneya wypełniło się nadzieją. Długi na mniej więcej sto stóp i szeroki na dwadzieścia, wąski statek niechybnie należał do jednego z tych kapitanów, którzy lubili pruć fale. Barney przypuszczał, że jednostka ma wyporność około stu ton. Miała trzy maszty, pięć żagli i dodatkowy trójkątny żagiel łaciński na środkowym maszcie, który zwiększał sterowność.

Pomyślał, że to może być *Jastrząb* należący do Philberta Cobleya z Kingsbridge, a gdy usłyszał marynarzy wołających do siebie po angielsku, nabrał pewności. Z pokładu zszedł dobiegający czterdziestki niski mężczyzna o ogorzałej od słońca, łysej głowie i jasnej brodzie i brnąc przez płyciznę, ruszył w stronę lądu. Barney rozpoznał w nim Jonathana Greenlanda, który często

pływał jako pierwszy oficer z kapitanem Baconem.

Zaczekał, aż Jonathan przywiąże linę do kołka wbitego głęboko w ziemię. W domu Willardów w Kingsbridge ludzi takich jak on podejmowano winem, ponieważ matka Barneya bardzo lubiła wysłuchiwać wieści z całego świata. On jako chłopiec uwielbiał słuchać Jonathana, który opowiadał o Afryce, Rosji i Nowym Świecie, miejscach, gdzie zawsze świeciło słońce, albo takich, w których śnieg nigdy nie topniał, a jego doniesienia o cenach i polityce mieszały się z opowieściami i zdradzie, piractwie, buntach i porwaniach.

Barney najbardziej lubił historię o tym, jak Jonathan został żeglarzem. W wieku piętnastu lat pewnej sobotniej nocy upił się w Wesołym Żeglarzu w porcie Combe, a gdy obudził się następnego ranka, znajdował się dwie mile od brzegu na pokładzie statku płynącego do Lizbony. Przez kolejne cztery lata nie widział Anglii, lecz kiedy wrócił, stać go było na kupno domu. To miała być opowieść ku przestrodze, ale młody Barney słuchał jej z zapartym tchem i marzył, by jego również spotkała tak wspaniała przygoda. Nawet teraz, mając dwadzieścia lat, wciąż uważał morze za coś fantastycznego.

Kiedy *Jastrząb* został bezpiecznie zacumowany, mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Masz kolczyk – zauważył z uśmiechem Jonathan. – To coś nowego. Hiszpańska moda?

– Niezupełnie – odparł Barney. – Raczej turecka. Takie moje widzimisię. – Nosił kolczyk, bo dzięki temu wydawał się sobie bardziej romantyczny i dlatego, że dziewczętom się to podobało.

Jonathan wzruszył ramionami.

– Nigdy wcześniej nie byłem w Sewilli. Jak tu jest? – zapytał.

– Uwielbiam to miasto. Wino mają tu mocne, a dziewczyny są piękne. Ale mów, co u mojej rodziny? Co się wydarzyło w Calais?

– Kapitan Bacon ma dla ciebie list od matki. Nie ma za bardzo o czym opowiadać. Wciąż czekamy na wiarygodne informacje.

Barney był przybity.

– Gdyby Anglików w Calais potraktowano miłosiernie i gdyby nadal mogli mieszkać tam i pracować, na pewno wysłaliby do tej pory jakieś wiadomości. Im dłużej czekamy, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zostali uwięzieni albo spotkał ich jeszcze gorszy los.

– Tak mówią. – Ktoś na pokładzie *Jastrzębia* wołał Jonathana. – Muszę wracać – rzucił żeglarz.

– Macie rudę żelaza dla mojego kuzyna, Carlosa?

Jonathan pokręcił głową.

– Wieziemy wełnę. – Znowu zawołano jego imię; tym razem w głosie pobrzmiewało zniecierpliwienie. – Później przyniosę ci list.

– Zjedz z nami obiad. Mieszkamy w pobliżu. Dzielnica nazywa się El Arenal, Piaskarnia; to tam produkuje się broń dla króla. Pytaj o Carlosa Cruza.

Kiedy Jonathan wrócił po sznurkowej drabinie na statek, Barney podjął przerwaną wędrówkę.

Nie był zdziwiony wiadomościami – albo raczej ich brakiem – lecz czuł się przybity. Matka poświęciła najlepsze lata życia, żeby stworzyć rodzinny interes, i Barneya ogarniały smutek i złość na myśl, że wszystko mogło zostać tak po prostu skradzione.

Skończył swój patrol po nabrzeżu; niestety, nikt nie miał do sprzedania rudy żelaza. Na moście Triana zawrócił i wszedł w labirynt wąskich, krętych uliczek, na których o tej porze zrobiło się już tłoczno. Sewilla była znacznie bogatsza od Kingsbridge, ale tutejsi ludzie sprawiali wrażenie dużo bardziej ponurych. Hiszpania była najbogatszym krajem świata, ale

i najbardziej konserwatywnym: mieli tu nawet prawo zakazujące jaskrawych strojów. Bogaci ubierali się na czarno, a biedni nosili sprane ubrania w różnych odcieniach brązu. Zadziwiające, jak bardzo zagorzali katolicy są podobni do zagorzałych protestantów, pomyślał Barney.

Była to najbezpieczniejsza pora na przechadzkę po mieście: złodzieje i kieszonkowcy zwykle jeszcze spali, by popołudniami i wieczorami uprawiać swój niecny proceder, gdy upojeni winem ludzie tracili czujność.

Zbliżając się do domu Ruizów, zwolnił kroku. Był to imponujący, nowy ceglany budynek z rzędem czterech dużych okien na piętrze. Z upływem dnia w oknach pojawią się kratownice, a otyły oddychający z trudem señor Pedro Ruiz usiądzie za jedną z nich jak ropucha w sitowiu i będzie z góry obserwował przechodniów. O tej porze jednak leżał jeszcze w łóżku, a okna i kratownice były otwarte na oścież, by wpuścić do domu rześkie poranne powietrze.

Zadarłszy głowę, Barney zobaczył to, co miał nadzieję ujrzeć – siedemnastoletnią córkę señora Ruiza, Jeronimę. Jeszcze bardziej zwolnił kroku,

by napawać się widokiem jej mlecznobiałej cery, gęstych, ciemnych włosów i dużych, lśniących, brązowych oczu pod bliźniaczymi łukami czarnych brwi. Widząc go, dziewczyna uśmiechnęła się i dyskretnie mu pomachała.

Pannom z dobrych domów nie wypadało stać w oknach, nie mówiąc o tym, by machały do przechodzących młodzieńców. Gdyby ją przyłapano, miałaby kłopoty. Mimo to każdego ranka o tej porze podejmowała ryzyko i Barney wiedział, że jest to jedyny flirt, na jaki może sobie pozwolić.

Minąwszy dom, zawrócił i uśmiechając się, jeszcze raz przeszedł pod oknami. W pewnym momencie potknął się i mało nie upadł. Kiedy krzywiąc się, spojrzał w górę, Jeronima zachichotała i zakryła usta ręką.

Nie zamierzał się z nią żenić. W wieku dwudziestu lat był za młody na małżeństwo, ale nawet gdyby nie to, nie był pewien, czy właśnie Jeronima jest tą jedyną. Mimo wszystko pragnął jej bliskości, chciał ją pieścić, kiedy nikt nie patrzył, i wymieniać potajemne pocałunki. Niestety, hiszpańskich dziewcząt strzeżono znacznie uważniej niż młodych panien w jego rodzinnej Anglii i choć przesyłał jej pocałunki,

nie był pewien, czy kiedykolwiek dostanie prawdziwego całusa.

Zaraz potem dziewczyna się odwróciła, jakby ktoś zawołał ją z głębi domu, i chwilę później już jej nie było. Barney odszedł więc z ociąganiem.

Zbliżając się do domu mieszkających nieco dalej krewnych, poczuł ukłucie wstydu, gdy uświadomił sobie, z jaką łatwością myśl o śniadaniu wyparła z jego głowy obraz Jeronimy.

Szerokie łukowate przejście w domu Cruzów prowadziło na podwórze, gdzie dobijano targów. Pod ścianami leżały stosy rudy żelaza, węgla i wapna, oddzielone od siebie przegrodami z nieheblowanego drewna. W kącie podwórza stał wół na postronku. Na środku znajdował się piec.

Afrykański niewolnik Carlosa, Ebrima Dabo, dokładał do ognia, przygotowując piec na pierwszy tego dnia wsad. Na wysokim, czarnym czole mężczyzny perliły się krople potu. Afrykańczycy, których Barney spotykał w Anglii, zwłaszcza w portowych miastach takich jak Combe, byli wolni; zgodnie z angielskim prawem, w przeciwieństwie do hiszpańskiego, nie można było zmusić niewolnika, który chciał opuścić swojego właściciela, do tego, by przy nim

pozostał. W samej Sewilli były tysiące niewolników; Barney przypuszczał, że stanowią jedną dziesiątą populacji miasta. Byli wśród nich Arabowie, mieszkańcy północnej Afryki, kilku rdzennych Amerykanów i tacy jak Ebrima, pochodzący z ludu Mandinka zamieszkującego tereny zachodniej Afryki. Barney miał smykałkę do języków i nauczył się kilku słów w jego języku. Słyszał, jak Ebrima wita gości słowami: *I be nyaadi?*, co znaczyło: „Jak się masz?”.

Stojący plecami do wejścia Carlos przyglądał się nowej ceglanej konstrukcji. Słyszał o różnych typach pieców, również takich, w których powietrze wpadało od dołu, podczas gdy rudę żelaza i wapno ładowano od góry. Żaden z trzech mężczyzn nigdy nie widział czegoś podobnego, ale w wolnych chwilach pracowali nad budową prototypu.

– Nikt nie ma do sprzedania rudy żelaza – zwrócił się do niego po hiszpańsku Barney.

Carlos, wyraźnie pochłonięty budową nowego pieca, podrapał się po czarnej, kręconej brodzie.

– Musimy zaprząc wołu tak, żeby poruszał miechem.

Barney ściągnął brwi.

– Nie bardzo to widzę, ale mając wystarczająco dużo kół, zaprzęgniesz do pracy

każde zwierzę.

– Dwoma miechami – odezwał się Ebrima, który przysłuchiwał się ich rozmowie. – Jeden wyprowadza powietrze, a drugi wtłacza je do pieca.

– Dobry pomysł – pochwalił go Carlos.

Na podwórzu, nieco bliżej domu, była kuchnia, przy której babka Carlosa mieszała coś w garnku.

– Umyjcie ręce, chłopcy! – zawołała do nich.

Barney nazywał cioteczną babkę cioteczką Betsy, choć w Sewilli znano ją jako Elisę. Była to serdeczna kobieta, która nie grzeszyła jednak urodą. Jej twarz była zdominowana przez duży i krzywy nos. Plecy miała szerokie, a dłonie i stopy duże jak u mężczyzny. Mimo sędziwych sześćdziesięciu pięciu lat wciąż była aktywna i zachowała pełną figurę. Patrząc na nią, Barney wrócił wspomnieniami do Kingsbridge i przypomniał sobie słowa babci: „W dzieciństwie moja siostra Betsy sprawiała masę problemów. Dlatego wysłano ją do Hiszpanii”.

Trudno było to sobie wyobrazić. Cioteczka Betsy była rozważną, mądrą kobietą. Przezornie ostrzegła Barneya, że Jeronima Ruiz dba

wyłącznie o własne interesy i z całą pewnością poślubi kogoś znacznie bardziej majętnego.

To Betsy wychowała Carlosa po tym, jak jego matka zmarła przy porodzie. Jego ojciec odszedł z tego świata kilka dni przed przyjazdem Barneya. Mężczyźni mieszkali po jednej stronie łukowatego przejścia, podczas gdy Betsy – która była współwłaścicielką domu – zajmowała drugą część.

Obok kuchni na podwórzu stał stół. Zwykle jadali posiłki na zewnątrz, chyba że dzień był wyjątkowo chłodny. Dziś raczyli się jajecznicą z cebulą, chlebem pszennym i słabym winem. Byli silnymi mężczyznami, którzy pracowali ciężko przez cały dzień i musieli solidnie podjeść.

Ebrima jadł z nimi. W dużych gospodarstwach zamożnych rodzin niewolnicy nigdy nie siadali do stołu ze swoimi właścicielami, ale Carlos był rzemieślnikiem, który podobnie jak Ebrima pracował rękami. Mimo to czarnoskóry niewolnik był pełen szacunku dla swojego pana i żaden z nich nie próbował nawet udawać, że są sobie równi.

– Wiele wiesz o produkcji metalu. – Barney zagadnął Ebrimę podczas posiłku. Był zdumiony jego bystrymi spostrzeżeniami w kwestii nowego pieca. – Uczyłeś się od ojca Carlosa?

– Mój ojciec był dymarzem – odparł Afrykanin.

– O! – Carlos był zaskoczony. – Do głowy mi nie przyszło, że Afrykańczycy produkują żelazo.

– A niby skąd bralibyśmy miecze, żeby toczyć wojny?

– No tak. W takim razie… jak to się stało, że zostałeś niewolnikiem?

– Zostałem pojmany podczas wojny z sąsiednim królestwem. Tam, skąd pochodzę, jeńcy zwykle zostają niewolnikami i pracują na polach zwycięskiej strony. Ale mój pan umarł, a wdowa po nim sprzedała mnie arabskiemu handlarzowi niewolników. I tak po długiej podróży trafiłem do Sewilli.

Barney nigdy dotąd nie pytał Ebrimy o jego przeszłość i był jej ciekaw. Czy niewolnik tęsknił za domem, czy może wolał Sewillę? Wyglądał na czterdzieści lat. Od jak dawna był niewolnikiem? Czy tęsknił za rodziną? Tymczasem to Ebrima zadał mu pytanie.

– Mogę o coś zapytać, panie Willard?

– Oczywiście.

– Czy w Anglii są niewolnicy?

– Niezupełnie.

Ebrima się zawahał.

– Jak to „niezupełnie”?

Barney zastanawiał się przez chwilę.

– W moim rodzinnym mieście Kingsbridge mieszka portugalski jubiler imieniem Rodrigo. Kupuje najprzedniejsze materiały, jedwabie i koronki, ozdabia je perłami i robi z nich przybrania głowy, szale, woalki i inne ozdóbki. Kobiety uwielbiają takie rzeczy. Żony bogaczy przyjeżdżają z całej zachodniej Anglii, żeby je kupować.

– I ten człowiek ma niewolnika?

– Kiedy pięć lat temu przyjechał do Kingsbridge, miał służącego z Maroka. Achmed, bo tak miał na imię służący, znał się na zwierzętach. Kiedy wieść o tym się rozniosła, mieszkańcy Kingsbridge zaczęli płacić Achmedowi, żeby kastrował konie. Jakiś czas później Rodrigo dowiedział się o tym i zażądał pieniędzy, ale Achmed nie chciał mu ich dać. Rodrigo poszedł do sądu i powiedział, że pieniądze należą do niego, ponieważ Achmed jest jego niewolnikiem. Sędzia Tilbury orzekł jednak, że Achmed nie złamał angielskiego prawa, i Achmed zatrzymał pieniądze. Teraz ma własny dom i nadal leczy zwierzęta.

– Czyli Anglicy mogą mieć niewolników, ale jeśli niewolnik odejdzie, właściciel nie może zmusić go do powrotu?

– Właśnie.

Barney widział, że Afrykanin jest tym wyraźnie zaintrygowany. Możliwe, że marzył o tym, żeby popłynąć do Anglii i stać się wolnym człowiekiem.

Nagle Carlos i Ebrima stężeli i zerknęli w stronę łukowatego przejścia.

Podążając za ich wzrokiem, Barney spostrzegł trzech mężczyzn. Przewodził im niski, barczysty jegomość w eleganckim stroju i z wypomadowanym wąsem. Jego dwaj towarzysze szli nieco z tyłu; sądząc po skromnym przyodziewku, byli sługami albo strażnikami. Barney pierwszy raz widział ich na oczy, ale znał ten typ ludzi. Wyglądali na pospolitych oprychów.

– Sancho Sanchez, dzień dobry – zaczął ostrożnie Carlos.

– Carlos, przyjacielu – odparł Sancho.

Zdaniem Barneya mężczyźni nie wyglądali na przyjaciół.

– Proszę usiąść, señor Sanchez. – Cioteczka Betsy zerwała się od stołu. Jej słowa były serdeczne, ale w głosie wyczuwało się chłód. – Podam śniadanie.

– Nie, dziękuję, señora Cruz – rzucił Sancho. – Ale z chęcią napiję się wina. – Usiadł na miejscu

cioteczki Betsy.

Jego towarzysze zostali przezornie z tyłu.

Gdy Sancho zaczął rozmowę o cenach ołowiu i cyny, Barney domyślał się, że on również zajmuje się produkcją metali. Chwilę później rozmowa zeszła na wojnę z Francją i szalejącą w mieście epidemię żółtej febry, która jednakowo odbierała życie biednym i bogatym. Carlos odpowiadał zdawkowo. Nikt niczego nie jadł.

W końcu Sancho przeszedł do interesów.

– Nieźle się spisałeś, Carlosie – powiedział protekcjonalnie. – Kiedy zmarł twój ojciec, niech jego dusza spoczywa w pokoju, nie sądziłem, że będziesz w stanie sam wszystkim zarządzać. Jako dwudziestojednolatek, który skończył terminowanie, miałeś, oczywiście, prawo spróbować. Mimo to myślałem, że sobie nie poradzisz. Zaskoczyłeś nas wszystkich.

– Dziękuję – odparł nieufnie Carlos.

– Rok temu zaproponowałem, że kupię twój interes za sto escudo.

Carlos usiadł prosto i uniósł głowę.

– Tak, wiem, cena była niska. – Sancho wykonał ręką przepraszający gest. – Sądziłem jednak, że po śmierci twojego ojca ten interes nie jest wart więcej.

– Poczułem się znieważony tą ofertą – przyznał Carlos lodowatym tonem.

Stojący z tyłu mężczyźni zesztywnieli. Podobne rozmowy często kończyły się awanturą.

Tymczasem Sancho zachował spokój, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Nie przeprosił Carlosa za zniewagę, a gdy się odezwał, w jego głosie pobrzmiewała wyrozumiałość, jak gdyby to Carlos go uraził.

– Rozumiem, że mogłeś się tak poczuć – powiedział pojednawczo. – Ale mam dwóch synów i każdemu z nich chciałbym przekazać jakiś interes. Teraz jestem gotów zapłacić ci tysiąc escudo. To dziesięć razy więcej, niż proponowałem poprzednio – dodał, jakby Carlos nie potrafił liczyć.

– To wciąż za mało.

– Dlaczego nie zbuduje pan kolejnego pieca dla drugiego syna? – wtrącił się Barney.

Sancho spojrzał wyniośle, jak gdyby dopiero teraz zauważył jego obecność. Najwyraźniej był zdania, że ktoś taki jak on nie powinien odzywać się nieproszony.

– Jak większość gałęzi rzemiosła w Hiszpanii, również dymarstwo jest kontrolowane przez cechy, coś na wzór angielskich gildii – wyjaśnił Carlos. – Tyle że te tutaj są znacznie mniej

liberalne. Cech musi wydać zgodę na zbudowanie każdej dymarki i ogranicza ich liczbę.

– Przepisy są surowe, żeby trzymać nieuczciwych przedsiębiorców z dala od rzemiosła – wyjaśnił Sancho.

– Rozumiem też, że dzięki nim ceny nie są zaniżane – dodał Barney.

– Sancho zasiada w sewilskim cechu dymarskim – dodał Carlos.

– Carlos, przyjacielu i sąsiedzie. – Gość nadal ignorował siedzącego przy stole Barneya. – Odpowiedz, proszę, na proste pytanie: jakiej ceny żądasz za swój interes?

– Nie jest na sprzedaż. – Carlos pokręcił głową.

Widać było, że Sancho ma na końcu języka jakąś kąśliwą uwagę, powstrzymał się jednak i odparł z wymuszonym uśmiechem:

– Mogę zaproponować tysiąc pięćset escudo.

– Nie sprzedałbym nawet za piętnaście tysięcy.

Barney zauważył, że cioteczka Betsy jest wyraźnie podenerwowana, jakby bała się tego człowieka i martwiła się, że Carlos zrazi go do siebie.

Ten drugi, widząc to, dodał nieco łagodniej:

– Ale dziękuję za hojną propozycję, sąsiedzie. – Mimo jego starań słowa nie zabrzmiały szczerze.

– Możesz tego żałować, Carlosie. – Sancho zrzucił maskę i przestał silić się na uprzejmość.

– To groźba? – rzucił pogardliwie Carlos.

Tamten nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył.

– Kiedy twój interes upadnie, będziesz żałował, że nie wziąłeś tych pieniędzy.

– Zaryzykuję. A teraz wybacz, mam mnóstwo pracy. Królewski rusznikarz potrzebuje żelaza.

Oburzony takim traktowaniem gość zerwał się od stołu.

– Mam nadzieję, señor, że smakowało panu wino. – Cioteczka Betsy próbowała załagodzić sytuację. – To najlepsze, jakie mamy.

Sancho nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– Niedługo znów porozmawiamy – zwrócił się do Carlosa.

Carlos powstrzymał się od zjadliwej uwagi i w milczeniu skinął głową.

Odchodząc, Sancho utkwił wzrok w nowym piecu.

– Co to? – spytał. – Kolejny piec?

– Stary nadaje się do wymiany. – Carlos wstał. – Dziękuję za wizytę.

Gość jednak ani drgnął.

– Na moje oko twoja stara dymarka jest w idealnym stanie.

– Kiedy nowa będzie gotowa, zniszczymy starą. Znam przepisy tak dobrze jak ty. Do widzenia.

– Ta nowa wygląda osobliwie – upierał się Sancho.

– Wprowadzam drobne udoskonalenie. – Carlos nie krył poirytowania. – Nie ma przepisów, które by tego zabraniały.

– Spokojnie, chłopcze, tylko pytam.

– A ja tylko mówię „Do widzenia”.

Sancho nie zjeżył się, słysząc tę gburowatą odpowiedź. Jak gdyby nigdy nic przez kolejną minutę gapił się na piec. W końcu odwrócił się i odszedł. Jego dwaj towarzysze ruszyli w ślad za nim. Przez cały czas nikt nie powiedział ani słowa.

Kiedy był wystarczająco daleko, głos zabrała cioteczka Betsy:

– To zły człowiek. Lepiej nie robić sobie z niego wroga.

– Wiem – zgodził się z nią wnuk.

II

Tej nocy Ebrima spał z babką Carlosa.

W męskiej części domu Carlos i Barney zajmowali łóżka na piętrze, podczas gdy Ebrima spał na sienniku na parterze. Położywszy się, nasłuchiwał przez półtorej godziny, aż upewnił się, że w domu panuje cisza. Dopiero wówczas wstał i niczym cień przemknął przez podwórze do części domu zamieszkiwanej przez Elisę. Wślizgnął się do jej łóżka i kochał się z nią.

Elisa była paskudną białą staruchą, ale wokół panowały ciemności, a jej ciało było miękkie i ciepłe. Co więcej, zawsze była dla niego dobra. Ebrima nie kochał jej i wiedział, że nigdy jej nie pokocha, jednak dawanie jej tego, czego chciała, nie stanowiło dla niego problemu.

Po wszystkim, kiedy zasnęła, leżał obok niej i wspominał ich pierwszy raz.

Dziesięć lat temu trafił do Sewilli na statku niewolniczym i został sprzedany ojcu Carlosa. Był samotny, zrozpaczony i tęsknił za domem. Pewnej niedzieli, kiedy wszyscy byli w kościele, babka Carlosa, którą Barney nazywał cioteczką Betsy, a Ebrima Elisą, nakryła go, jak zalewał się łzami. Ku jego zaskoczeniu, scałowała łzy z jego policzków i przytuliła jego twarz do swej obfitej

piersi, a on, spragniony bliskości, kochał się z nią namiętnie.

Ebrima wiedział, że Elisa go wykorzystuje. Mogła w każdej chwili to zakończyć, ale tego nie robiła. Z drugiej strony, tylko ją mógł trzymać w ramionach i przez dziesięć długich lat na wygnaniu ona jedna dawała mu pocieszenie.

Kiedy zaczęła chrapać, wrócił na swój siennik.

Co noc, zanim położył się spać, Ebrima rozmyślał o wolności. Wyobrażał sobie własny dom, w którym mieszkał z żoną i dziećmi. We śnie miał kieszenie pełne pieniędzy, które zarobił własną pracą i nosił ubrania, które sam wybrał i za które sam zapłacił. Wychodził z domu, kiedy chciał, i wracał, gdy miał ochotę, i nikt nie mógł go za to wychłostać. Szykując się do snu, zawsze miał nadzieję, że będzie śnił ten sen, i czasami tak właśnie było.

Przespał kilka godzin i obudził się o brzasku. Była niedziela. Nieco później pójdzie do kościoła z Carlosem, a wieczorem uda się do tawerny, której właścicielem był wyzwolony afrykański niewolnik, i będzie grał za te nędzne pieniądze, które czasem dostawał. Tymczasem miał do załatwienia prywatną sprawę. Ubrał się więc i wyszedł z domu.

Przeszedł przez północną bramę miasta i w miarę jak się rozwidniało, szedł w górę rzeki. Godzinę później dotarł do opuszczonego miejsca, w którym bywał już wcześniej. Był to przybrzeżny zagajnik, gdzie Ebrima odprawiał rytuał wody.

Nikt nigdy go tam nie widział, co zresztą nie miało znaczenia, bo dla przypadkowego przechodnia wyglądało to tak, jakby zażywał kąpieli.

Ebrima nie wierzył w ukrzyżowanego Boga. Udawał jednak, bo dzięki temu życie było prostsze, i choć został ochrzczony, wiedział swoje. Europejczycy nie mieli pojęcia, że wszędzie dookoła są duchy: w ciałach mew, zachodnim wietrze i drzewkach pomarańczowych. Najpotężniejszym z nich był bóg rzeki; Ebrima wiedział o tym, bo wychowywał się w wiosce nad brzegiem rzeki. Ta rzeka była inna i nie miał pojęcia, ile tysięcy mil dzieli go od domu, ale bóg pozostał ten sam.

Wszedłszy do wody, wymamrotał święte słowa i czując, jak ogarnia go spokój, pozwolił wspomnieniom wynurzyć się z głębi umysłu. Przypomniał sobie ojca – silnego człowieka, którego brązową skórę znaczyły czarne blizny po wypadkach z płynnym metalem. Wspominał

matkę, jej nagie piersi, kiedy plewiła ogródek warzywny, i siostrę trzymającą w ramionach niemowlę – siostrzeńca Ebrimy, który wyrośnie na mężczyznę. Nikt z nich nie znał nazwy miasta, w którym on wiódł swe niewolnicze życie, ale wszyscy czcili tego samego ducha.

Bóg rzeki pocieszał Ebrimę w jego smutku. A gdy rytuał dobiegł końca, ofiarował mu ostatni podarunek: siłę. Ebrima wyszedł z rzeki – na jego ciele perliły się krople wody – i zobaczył, że słońce stoi już wysoko na niebie. Wiedział, że jeszcze przez jakiś czas będzie cierpliwie znosił swój los.

III

W niedzielę Barney poszedł do kościoła z Carlosem, jego babką i Ebrimą. Uważał, że wyglądają dość osobliwie. Carlos, mimo gęstej brody i szerokich, silnych ramion, był za młody jak na głowę rodziny. Cioteczka Betsy nie była ani stara, ani młoda: miała siwe włosy, lecz zachowała pełne kobiece kształty. Ebrima, w znoszonych ubraniach po Carlosie, szedł dumnie wyprostowany i prezentował się nader elegancko. On sam miał rudą brodę

i złocistobrązowe oczy Willardów, a kolczyk w uchu ściągał ciekawskie spojrzenia, zwłaszcza młodych kobiet.

Katedra w Sewilli była większa od tej w Kingsbridge i stanowiła dowód niebywałego bogactwa hiszpańskiego duchowieństwa. Po obu stronach wyjątkowo wysokiej nawy głównej znajdowały się wejścia do naw bocznych i dwóch rzędów kaplic, przez co budowla była niemal równie szeroka jak długa. Bez trudu zmieściłby się w niej każdy kościół w mieście. Zgromadzony przed ołtarzem tysięczny tłum przywodził na myśl zbitą ciasno grupkę, a słowa wiernych ulatywały pod strzeliste sklepienie i tam ginęły. Wielka nastawa, bogata w złocone rzeźbienia, po siedemdziesięciu pięciu latach pracy wciąż nie została ukończona.

Msza była wydarzeniem towarzyskim, a także okazją do oczyszczenia duszy. Brali w niej udział wszyscy, zwłaszcza najzamożniejsi mieszkańcy miasta. Stanowiła sposobność do spotkania ludzi, których zwykle się nie widywało. Dziewczęta z dobrych domów mogły pod czujnym okiem rodziców porozmawiać z kawalerami, nie narażając na szwank swojej reputacji.

Carlos miał na sobie nowy płaszcz z futrzanym kołnierzem. Oznajmił Barneyowi, że

tego dnia zamierza porozmawiać z ojcem Valentiny Villaverde, dziewczyny, w której się zakochał. Od roku nosił się z tym zamiarem, wahał się jednak, wiedząc, że środowisko sewilskich przedsiębiorców będzie chciało zobaczyć, jak radzi sobie po śmierci ojca. Tego dnia uznał, że czekał już wystarczająco długo. Wizyta Sancha była dowodem na to, że odniósł sukces i że co najmniej jedna osoba chciała mu go odebrać. Był to dobry moment, żeby oświadczyć się Valentinie. Jeśli oświadczyny zostaną przyjęte, nie tylko poślubi ukochaną kobietę, ale dołączy do sewilskiej elity, która ochroni go przed drapieżnikami pokroju Sancha.

Spotkali rodzinę Villaverde, kiedy tylko przeszli przez ciężkie zachodnie drzwi katedry. Carlos skłonił się nisko Franciscowi Villaverde i posłał Valentinie promienny uśmiech. Barney zauważył, że dziewczyna ma bladoróżową cerę i jasne włosy, przez co bardziej przypominała Angielkę niż Hiszpankę. Carlos zwierzył mu się, że kiedy się pobiorą, zbuduje dla niej duży, piękny dom z fontannami i ogrodem pełnym drzew, tak by promienie słońca nigdy nie musnęły jej delikatnych policzków.

Valentina uśmiechnęła się w odpowiedzi. Chociaż była w towarzystwie ojca, starszego

brata i matki, nie ukrywała radości na widok Carlosa.

Barney również nie zamierzał tracić czasu. Tak długo rozglądał się po twarzach zgromadzonych, aż jego wzrok zatrzymał się na Pedrze Ruizie i jego córce Jeronimie – matka dziewczyny nie żyła. Przeciskając się przez tłum, stanął przed nimi i skłonił się ojcu dziewczyny, który dyszał zmęczony krótką przechadzką z domu do katedry. Pedro był myślicielem, który rozmawiał z Barneyem o tym, czy to możliwe, że Ziemia obraca się wokół Słońca, czy raczej jest odwrotnie.

Tymczasem młodego Barneya bardziej niż poglądy señora Ruiza interesowała jego córka. Powitał Jeronimę promiennym uśmiechem, na co odpowiedziała tym samym.

– Widzę, że mszę odprawia przyjaciel twojego ojca, archidiakon Romero – zagadnął dziewczynę. Romero był duchownym, który błyskawicznie piął się po szczeblach kościelnej hierarchii. Mówiono, że jest zaufanym człowiekiem króla Filipa. Barney wiedział, że archidiakon jest częstym gościem u Ruizów.

– Ojciec lubi dyskutować z nim na temat teologii – odparła Jeronima. – Narzuca mi się – dodała szeptem i skrzywiła się z odrazą.

– Romero? – Barney zerknął na Pedra, który kłaniał się sąsiadowi i na chwilę spuścił córkę z oczu. – Jak to: narzuca ci się?

– Mówi, że ma nadzieję pozostać moim przyjacielem, kiedy wyjdę za mąż. I głaszcze mnie po policzku. Aż ciarki przechodzą mi po plecach.

Wygląda na to, że archidiakon ma grzeszne myśli związane z Jeronimą, pomyślał Barney. Rozumiał go, czuł bowiem to samo. Wiedział jednak, że lepiej nie mówić o tym głośno.

– To ohydne – parsknął. – Lubieżnik w sutannie.

Jego uwagę przykuła wchodząca na ambonę postać w białym habicie i czarnym szkaplerzu dominikanina. Był to znak, że tego dnia wierni usłyszą kazanie. Barney nie znał tego człowieka. Był wysoki i chudy z bladymi policzkami i gęstą czupryną prostych włosów. Wyglądał na trzydzieści lat i wydawał się zbyt młody, by wygłaszać kazania w katedrze. Barney zauważył go już w czasie modlitwy, bo ksiądz zachowywał się jak w ekstazie: zapamiętale szeptał łacińskie słowa, oczy miał zamknięte, a twarz zwróconą ku niebu, w przeciwieństwie do innych księży, którzy sprawiali wrażenie, jakby mieli do wypełnienia przykry obowiązek.

– Kto to? – spytał.

– Ojciec Alonso – odparł Pedro, skupiając uwagę na adoratorze córki. – Nowy inkwizytor.

Carlos, Ebrima i cioteczka Betsy stanęli obok, żeby lepiej przyjrzeć się kaznodziei.

Alonso rozpoczął kazanie od opowieści o żółtej febrze, która zimą zabiła setki ludzi w mieście. Jego zdaniem była to kara boska. Mieszkańcy Sewilli powinni wyciągnąć wnioski i zajrzeć w głąb swego sumienia. Jakież to straszne grzechy popełnili, że tak bardzo rozzłościli Pana Boga?

Odpowiedź brzmiała: tolerowali w swoim otoczeniu pogan. Młody mnich z wypiekami na twarzy wymieniał kolejne przewiny heretyków. Wypluwał słowa „żydzi”, „muzułmanie”, „protestanci”, jak gdyby pozostawiały niesmak w jego ustach.

Ale o kim mówił? Barney znał historię Hiszpanii. W 1492 roku Ferdynand i Izabela – „katoliccy monarchowie” – postawili hiszpańskim żydom ultimatum: albo przejdziecie na chrześcijaństwo, albo opuścicie nasz kraj. Nieco później przed tym samym brutalnym wyborem stanęli muzułmanie. Od tego czasu wszystkie synagogi i meczety przekształcono w kościoły. Barney nigdy też nie spotkał

hiszpańskiego protestanta, a przynajmniej nic o tym nie wiedział.

Uważał, że to kazanie jest tylko czczą gadaniną, ale cioteczka Betsy sprawiała wrażenie wyraźnie zatroskanej.

– Niedobrze – powtarzała szeptem.

– Dlaczego? – spytał Carlos. – W Sewilli nie ma heretyków.

– Jeśli zaczynasz polowanie na czarownice, musisz znaleźć czarownice.

– Skąd wezmą heretyków, skoro ich tu nie ma?

– Rozejrzyj się. Tacy jak on powiedzą, że Ebrima jest muzułmaninem.

– Ebrima to chrześcijanin! – oburzył się Carlos.

– Powiedzą, że wrócił do swojej poprzedniej religii, a więc popełnił grzech apostazji, co jest dużo gorsze, niż gdyby nigdy nie był chrześcijaninem.

Barney pomyślał, że cioteczka Betsy prawdopodobnie ma rację; kolor skóry Ebrimy niewątpliwie rzuci na niego cień podejrzenia.

Wskazała głową Jeronimę i jej ojca.

– Pedro Ruiz czyta dzieła Erazma i dyskutuje z archidiakonem Romero o naukach Kościoła.

– Przecież zarówno Pedro, jak i Ebrima biorą udział we mszy! – nie dawał za wygraną jej wnuk.

– Alonso powie, że praktykują swoje pogańskie obrządki wieczorami w domu, za zamkniętymi drzwiami i okiennicami.

– Z pewnością będzie musiał zdobyć dowody.

– Przyznają się.

– Niby dlaczego mieliby to zrobić? – rzucił zdumiony Carlos.

– Sam przyznałbyś się do herezji, gdyby rozebrano cię do naga i skrępowano sznurami, które, zaciskane powoli, wrzynałyby się w twoją skórę, rozcinając ją do kości…

– Przestań, już rozumiem. – Carlos zadrżał.

Barney zastanawiał się, skąd cioteczka Betsy wie tyle o torturach stosowanych przez inkwizycję.

Tymczasem kazanie ojca Alonso osiągnęło punkt kulminacyjny: wzywał mieszkańców Sewilli, by przyłączyli się do nowej krucjaty przeciwko niewiernym, którzy ukrywają się pośród nich. Kiedy skończył, rozpoczęła się komunia. Patrząc na twarze zgromadzonych, Barney pomyślał, że kazanie wyraźnie ich zaniepokoiło. Byli dobrymi katolikami, ale nie pragnęli krucjat, a jedynie spokoju, i – podobnie

jak cioteczka Betsy – oni również przeczuwali kłopoty.

– Chodź ze mną porozmawiać z Villaverde – zwrócił się do niego kuzyn, kiedy msza dobiegła końca i duchowni opuścili nawę główną. – Czuję, że będę potrzebował wsparcia.

Barney poszedł za nim i patrzył, jak Carlos kłania się Franciscowi.

– Czy mogę zająć panu chwilę, señor, i porozmawiać o sprawie niezwykłej wagi?

Francisco Villaverde był w wieku cioteczki Betsy; Valentina była córką z jego drugiego małżeństwa. Sprawiał wrażenie wytwornego i zadowolonego z siebie, ale nie aroganckiego.

– Naturalnie – odparł z uprzejmym uśmiechem.

Barney spostrzegł, że Valentina jest wyraźnie zmieszana. W przeciwieństwie do ojca domyślała się, o jakąż to sprawę niezwykłej wagi chodzi.

– Minął rok od śmierci mojego ojca – zaczął Carlos.

Barney spodziewał się krótkiej modlitwy za duszę zmarłego, której wymagała zwykła uprzejmość, jednak – o dziwo – Francisco nie powiedział ani słowa.

– Wszyscy wiedzą, że mój warsztat ma się dobrze, a interes kwitnie – ciągnął Carlos.

– Należy ci zatem pogratulować – rzekł Francisco.

– Dziękuję.

– Do czego zmierzasz, młody Carlosie?

– Mam dwadzieścia dwa lata, cieszę się dobrym zdrowiem i mam finansowe zabezpieczenie. Jestem gotów się ożenić. Będę kochał swoją żonę i o nią dbał.

– Nie wątpię w to. I…?

– Pokornie proszę o pozwolenie na wizytę w pańskim domu. Mam również nadzieję, że pańska cudowna córka Valentina zechce rozważyć mnie jako kandydata do jej ręki.

Dziewczyna oblała się rumieńcem, a jej brat burknął coś oburzony.

Francisco Villaverde spochmurniał.

– Wykluczone – odparł stanowczo.

Carlos był zdumiony i przez chwilę nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Jak śmiesz! – rzucił Francisco. – Moja córka!

– Ale… – Carlos odzyskał głos. – Wolno mi spytać dlaczego?

Barney zadawał sobie to samo pytanie. Francisco nie miał powodu, by się wywyższać. Był perfumerzystą i choć brzmiało to nieco bardziej wytwornie od dymarza, on również

sprzedawał swoje towary. I, podobnie jak Carlos, nie był arystokratą.

– W twoich żyłach nie płynie czysta krew – odezwał się po chwili wahania Francisco.

Carlos sprawiał wrażenie osłupiałego.

– Bo moja babka jest Angielką? To niedorzeczne!

– Zważaj na słowa – zjeżył się brat Valentiny.

– Nie będę tu stał i ośmieszał się – oświadczył Francisco.

Na twarzy Valentiny malowała się rozpacz. Najwyraźniej ona również była zdumiona tą nieuprzejmą odmową.

– Chwileczkę – rzucił zdesperowany Carlos, jednak ojciec dziewczyny był nieugięty.

– To koniec rozmowy – uciął i odwrócił się. Chwycił córkę za rękę i szarpnął ją w stronę drzwi. Matka i brat Valentiny poszli za nimi.

Barney zdawał sobie sprawę, że nie było sensu się narzucać. Widział, że kuzyn jest wściekły i urażony. Oskarżenie o to, że w jego żyłach nie płynie czysta krew, było niepoważne, ale równie bolesne co odmowa. W tym kraju „nieczysta krew” oznaczała żyda albo muzułmanina i Barney nigdy dotąd nie słyszał, by mówiono tak o kimś, kto miał angielskich przodków. Cóż, ludzie mają różne uprzedzenia.

Babka Carlosa natychmiast wyczuła nastrój wnuka, kiedy dołączyła do nich z Ebrimą. Spojrzała pytająco na Barneya.

– Valentina go odrzuciła – mruknął tylko.

– Do diabła! – rzuciła Betsy.

Była zła, ale nie wyglądała na zaskoczoną i Barneyowi przyszło do głowy, że spodziewała się takiego obrotu spraw.

IV

Ebrima współczuł Carlosowi i chciał zrobić coś, żeby poprawić mu nastrój. Kiedy wrócili do domu, zaproponował, żeby wypróbowali nowy piec. Pomyślał, że pora jest dobra jak każda inna, a Carlos zapomni o upokorzeniu. Rzecz jasna chrześcijanie nie powinni pracować w niedzielę, ale to właściwie nie była praca, tylko eksperyment.

Carlosowi spodobał się pomysł. Rozpalał w piecu, podczas gdy Afrykanin założył wołu specjalną uprząż, a Barney zmieszał skruszoną rudę żelaza z wapnem.

Żeby rozwiązać problem miechów, musieli przerobić mechanizm ciągnięty przez wołu. Cioteczka Betsy zrezygnowała z wystawnego

niedzielnego obiadu i wyniosła na dwór chleb i soloną wieprzowinę, którą mężczyźni zjedli na stojąco. Zanim uznali, że wszystko działa jak należy, słońce zaczęło powolną wędrówkę za horyzont. Kiedy ogień w palenisku, rozdmuchiwany przez dwa miechy, żywo płonął, Ebrima zaczął wrzucać do pieca rudę żelaza zmieszaną z wapnem.

Przez chwilę nic się nie działo. Wół cierpliwie chodził w koło, miechy dyszały i sapały, z komina buchał żar, a mężczyźni czekali.

Carlos dowiedział się o tej metodzie wytapiania żelaza od dwóch ludzi – Francuza z Normandii i Walończyka z Niderlandów – a Barney słyszał podobne opowieści od Anglika z Sussex. Wszyscy oni twierdzili, że w ten sposób wytapia się żelazo dwukrotnie szybciej. Być może przesadzali, ale nawet jeśli tak było, pomysł wydawał się ekscytujący. Mówili, że stopione żelazo pojawi się na dnie pieca, tak więc Carlos zbudował kamienną rynnę, która miała odprowadzać płynny metal do wydrążonych w ziemi zagłębień w kształcie sztabek. Nikt jednak nie potrafił narysować planu pieca, zatem projekt opierał się głównie na domysłach.

Mimo to żelazo nie wypłynęło. Ebrima zachodził w głowę, co mogło pójść nie tak. Może

komin powinien być wyższy. Pomyślał, że kluczową rolę odgrywa temperatura pieca, może więc powinni byli wykorzystać węgiel drzewny, który osiągał temperaturę wyższą od kamiennego, choć w kraju, gdzie wszystkie drzewa wykorzystywano do budowy królewskich statków, był on niezwykle drogi.

I nagle coś zaczęło się dziać. W ujściu pieca pojawił się półksiężyc płynnego metalu, który leniwą strużką spłynął do kamiennej rynny. Chwilę później wąska wstążka zmieniła się w wartki strumyk, na którego widok mężczyźni poczęli wiwatować. Elisa wyszła z domu, żeby zobaczyć, co tak bardzo ich ucieszyło.

Płynny metal z początku był czerwony, lecz wkrótce zmienił barwę na szarą. Patrząc na niego, Ebrima pomyślał, że bardziej przypomina surówkę i żeby go oczyścić, będzie trzeba wytopić go jeszcze raz, jednak nie to było głównym problemem. Na powierzchni żelaza utworzyła się warstwa szlaki przypominająca wyglądem stopione szkło i będą musieli znaleźć sposób, żeby ją usunąć.

Cały proces odbywał się jednak wyjątkowo szybko. Kiedy żelazo zaczęło płynąć, wyglądało to tak, jakby ktoś odkręcił kran. Musieli jedynie

dokładać rudy z wapnem, a płynne bogactwo samo spływało im do stóp.

Mężczyźni pogratulowali sobie nawzajem, a Elisa przyniosła butelkę wina. Wszyscy czworo stali z kieliszkami w dłoniach i patrzyli z zachwytem na stygnące żelazo. Carlos najwyraźniej odzyskał pogodę ducha i dochodził do siebie po tym, jak został odrzucony. Być może wykorzysta tę doniosłą chwilę, by oznajmić Ebrimie, że jest wolnym człowiekiem.

– Dołóż do pieca, Ebrima – powiedział po chwili milczenia.

Afrykanin odstawił kieliszek.

– Oczywiście – odparł.

V

Nowy piec był triumfem Carlosa, nie wszyscy jednak byli z tego powodu zadowoleni.

Dymarka pracowała od wschodu do zachodu słońca sześć dni w tygodniu. Carlos sprzedawał surówkę właścicielowi pieca pudlarskiego, tak by sam nie musiał jej oczyszczać i mógł skupić się wyłącznie na produkcji, podczas gdy Barney dbał o niezbędne zapasy rudy żelaza.

Królewski rusznikarz był zadowolony. Dokładał wszelkich starań, by wciąż kupować nową broń niezbędną do walki z Francuzami i Włochami, morskich bitew przeciwko flocie sułtana i obrony przed piratami napadającymi na galeony płynące z Ameryki. Sewilskie kuźnie i warsztaty nie nadążały z jej produkcją, a cechy nie zgadzały się na zwiększenie zdolności produkcyjnej, a zatem większość potrzebnych rzeczy musiał kupować poza granicami kraju, co tłumaczyło, dlaczego amerykańskie srebro, które przypływało do Hiszpanii, tak szybko z niej wypływało. Nic dziwnego, że ucieszył się na wieść o innowacyjnej metodzie produkcji żelaza.

Natomiast inni dymarze nie wyglądali na zachwyconych, wiedząc, że Carlos zarabia dwa razy więcej niż oni. Z pewnością istniały przepisy zabraniające podobnych praktyk. Sancho Sanchez złożył oficjalną skargę do cechu i rada będzie musiała podjąć decyzję.

Barney martwił się, lecz kuzyn uspokajał go, twierdząc, że cech najpewniej nie wystąpi przeciwko królewskiemu rusznikarzowi.

Pewnego dnia odwiedził ich ojciec Alonso.

Pracowali na podwórzu, kiedy pojawił się w asyście młodszych księży. Carlos stanął i oparty o łopatę, patrzył na inkwizytora.

Próbował zachować spokój, ale Barney uznał, że kiepsko mu to wychodzi. Cioteczka Betsy wyszła z domu i z rękami na biodrach obserwowała inkwizytora, gotowa w każdej chwili stawić mu czoło.

Barney nie wyobrażał sobie, że ojciec Alonso mógłby oskarżyć Carlosa o herezję. Z drugiej strony, nie miał pojęcia, po cóż innego archidiakon miałby tu przyjść.

Zanim inkwizytor cokolwiek powiedział, rozejrzał się po podwórku. Wąski, haczykowaty nos nadawał mu wygląd ptaka drapieżnego. Alonso zatrzymał wzrok na Ebrimie.

– Czy ten czarnoskóry człowiek jest muzułmaninem? – zapytał w końcu.

Afrykanin postanowił sam odpowiedzieć na to pytanie.

– Ojcze, w wiosce, gdzie przyszedłem na świat, nigdy nie słyszano o Jezusie Chrystusie, tak jak nigdy nie wymawiano tam imienia muzułmańskiego proroka. Podobnie jak moi przodkowie, byłem wychowywany w pogańskiej ciemnocie. Odbyłem jednak długą podróż, w której Bóg był moim przewodnikiem, i kiedy tu, w Sewilli, poznałem świętą prawdę, zostałem chrześcijaninem i przyjąłem chrzest w katedrze,

za co każdego dnia dziękuję w swoich modlitwach Ojcu Niebieskiemu.

Przemówienie było tak dobre, że Barney przypuszczał, iż Ebrima wygłaszał je nie po raz pierwszy.

Inkwizytorowi najwyraźniej jednak nie wystarczyło.

– Dlaczego więc pracujesz w niedzielę? – spytał. – Czy nie dlatego, że dla muzułmanów to piątek jest dniem świętym?

– Żaden z nas nie pracuje w niedzielę, a w piątki pracujemy przez cały dzień.

– Widziano, jak rozpalaliście w piecu tej niedzieli, kiedy wygłosiłem swoje pierwsze kazanie.

Barney zmełł w ustach przekleństwo. A zatem ktoś ich przyłapał. Dyskretnie rzucił okiem na sąsiednie budynki. Okna niektórych z nich wychodziły na podwórze. Musiał donieść na nich jeden z sąsiadów – prawdopodobnie jakiś zazdrosny dymarz, może nawet Sancho.

– Nie pracowaliśmy – wyjaśnił Carlos. – Przeprowadzaliśmy eksperyment.

Barney musiał przyznać, że zabrzmiało to mało przekonująco.

– Widzisz, ojcze – w głosie Carlosa pobrzmiewała nuta desperacji – w tego typu

piecach powietrze jest wdmuchiwane od dołu…

– Wiem wszystko o twoim piecu – przerwał mu Alonso.

– Ciekawe, skąd u duchownego taka wiedza – wtrąciła się cioteczka Betsy. – Może rozmawiał ksiądz z konkurencją mojego wnuka? Kto doniósł na niego, ojcze?

Barney wyczytał z twarzy Alonsa, że cioteczka Betsy ma rację, archidiakon nie odpowiedział jednak na pytanie.

– Ty, starucho, urodziłaś się w protestanckiej Anglii – rzucił obraźliwie.

– Wcale nie – odparła buńczucznie Elisa. – Kiedy przyszłam na świat, na tronie zasiadał dobry katolicki król Henryk Siódmy. Jego syn Henryk Ósmy, który został protestantem, nadal moczył łóżko, gdy moja rodzina opuściła Anglię i przywiozła mnie tu, do Sewilli. Nigdy nie wróciłam do ojczyzny.

Barney zadrżał z lęku, gdy zatrzymał się na nim wzrok archidiakona. Ten człowiek był zdolny do torturowania i zabijania ludzi.

– Czego z pewnością nie można powiedzieć o tobie – powiedział Alonso. – Ty urodziłeś się i wychowałeś w protestanckiej Anglii.

Barney nie mówił na tyle dobrze po hiszpańsku, żeby mógł prowadzić teologiczne

dysputy, dlatego jego odpowiedź była prosta.

– Anglia nie jest już protestancka. Ja również nie jestem protestantem. Jeśli przetrząśniesz ten dom, ojcze, przekonasz się, że nie ma tu zakazanych ksiąg, heretyckich traktatów ani muzułmańskich mat do modlitwy. Nad moim łóżkiem wisi krzyż, a na ścianie obrazek świętego Huberta z Liège, patrona dymarzy. To święty Hubert…

– Wiem wszystko o świętym Hubercie. – Najwyraźniej Alonso czuł się urażony na samą myśl o tym, że ktoś mógłby go czegoś nauczyć.

Barney miał jednak nadzieję, że duchowny spuści nieco z tonu. Wszystkie jego zarzuty zostały odparte, poza tym, że zrobili coś, co mogło – ale nie musiało – uchodzić za pracę w niedzielę, a Carlos i jego rodzina z pewnością nie byli jedynymi ludźmi w Sewilli, którzy naginali tę zasadę.

– Mam nadzieję, że wszystko, co od was usłyszałem, jest prawdą – powiedział inkwizytor. – W przeciwnym razie podzielicie los Pedra Ruiza.

Odwrócił się do wyjścia, lecz Barney go zatrzymał.

– Co się z nim stało? – Pedro był ojcem Jeronimy.

Archidiakon był wyraźnie zadowolony, że udało mu się go zaskoczyć.

– Został aresztowany – odparł. – W jego domu znaleziono przetłumaczony na język hiszpański Stary Testament, a także heretycki traktat *Ustanowienie religii chrześcijańskiej* Jana Kalwina, protestanckiego przywódcy ohydnego miasta Genewa. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, cały majątek Pedra Ruiza został skonfiskowany przez inkwizycję.

Carlos nie wydawał się zaskoczony, a zatem Alonso mówił pewnie prawdę, twierdząc, że to normalne. Lecz Barney był szczerze zdumiony.

– Cały majątek? – powtórzył. – Co się teraz stanie z jego córką?

– Będzie żyła na łasce Boga, jak my wszyscy – odparł archidiakon i wyszedł w otoczeniu swej skromnej świty.

Carlos odetchnął z ulgą.

– Przykro mi z powodu ojca Jeronimy – powiedział. – Przynajmniej mamy go z głowy.

– Nie bądź taki pewny – rzuciła cioteczka Betsy.

– Dlaczego tak mówisz? – spytał ją wnuk.

– Nie pamiętasz swojego dziadka, mojego męża.

– Zmarł, kiedy byłem dzieckiem.

– Niech spoczywa w pokoju. Był wychowywany w duchu islamu.

Wszyscy trzej spojrzeli na nią w zdumieniu.

– Twój mąż był muzułmaninem? – spytał z niedowierzaniem Carlos.

– Z początku tak.

– Mój dziadek, José Alano Cruz?

– Naprawdę nazywał się Jusef al-Chalil.

– Jak mogłaś poślubić muzułmanina?

– Kiedy zostali wydaleni z Hiszpanii, twój dziadek wolał przejść na chrześcijaństwo, niż wyjechać. Pobrał nauki i, podobnie jak Ebrima, został ochrzczony jako dorosły mężczyzna. Przyjął imię José. Żeby przypieczętować swoje nawrócenie, postanowił poślubić chrześcijańską dziewczynę. Czyli mnie. Miałam wówczas trzynaście lat.

– Czy wielu muzułmanów poślubiło chrześcijanki? – spytał Barney.

– Nie. Nawet po nawróceniu zawierali małżeństwa wśród swojej społeczności. Mój José był wyjątkiem.

– Wiedziałaś, że wychowano go na muzułmanina? – Carlos był wyraźnie zaintrygowany.

– Z początku nie. Przeprowadził się tu z Madrytu i nikomu o tym nie mówił. Ale do

Sewilli przybywa wielu madrytczyków i w końcu znalazł się ktoś, kto pamiętał go jako muzułmanina. Nie robiliśmy z tego tajemnicy, choć staraliśmy się o tym nie mówić.

– Miałaś trzynaście lat? – Barney nie potrafił pohamować ciekawości. – Kochałaś go?

– Uwielbiałam. Nigdy nie grzeszyłam urodą, a mój José był przystojny i czarujący. Był też dobry i troskliwy. Czułam się przy nim jak w niebie. – Najwyraźniej zebrało się jej na wspomnienia.

– A później dziadek umarł… – odezwał się Carlos.

– Strasznie rozpaczałam. Był miłością mojego życia. Nigdy nie chciałam ponownie wyjść za mąż. – Wzruszyła ramionami. – Ale miałam dzieci, którymi musiałam się zajmować, więc byłam zbyt zajęta, żeby umrzeć z rozpaczy. No a potem pojawiłeś się ty, Carlosie, osierocony przez matkę już w pierwszym dniu życia.

Barney miał przeczucie, że chociaż Betsy mówi z nimi szczerze, to coś jednak ukrywa. Nie chciała ponownie wyjść za mąż… Ale jak było naprawdę?

– Czy dlatego Francisco Villaverde nie zgadza się, żebym poślubił jego córkę? – Carlos połączył fakty.

– Tak. Nie chodzi mu o to, że twoja babka jest Angielką. Mówiąc o nieczystej krwi, miał na myśli twojego dziadka.

– Do diabła!

– To nie największe z twoich zmartwień. Wygląda na to, że ojciec Alonso również wie o Jusefie-al-Chalilu. Dzisiejsza wizyta to dopiero początek. Wierz mi, że niebawem znów go zobaczymy.

VI

Po wizycie archidiakona Barney poszedł do domu Ruizów, żeby zobaczyć, co stało się z Jeronimą.

Drzwi otworzyła mu młoda kobieta o wyglądzie mieszkanki północnej Afryki, która najwyraźniej była niewolnicą. Barney pomyślał, że musi być piękna, choć teraz twarz miała opuchniętą, a oczy zaczerwienione od płaczu.

– Muszę się zobaczyć z Jeronimą – oświadczył podniesionym głosem.

Kobieta przyłożyła palec do ust, jakby chciała go uciszyć, i machnięciem dłoni pokazała mu, żeby poszedł za nią na tyły domu.

Spodziewał się zobaczyć kucharkę i kilka służących krzątających się przy obiedzie, lecz w kuchni było cicho i zimno. Przypomniał sobie, jak Alonso mówił, że inkwizycja konfiskuje cały majątek podejrzanego, ale nie miał pojęcia, że wszystko dzieje się tak szybko. Tymczasem pracownicy Pedra najprawdopodobniej zostali odprawieni. Jego niewolnica pewnie zostanie sprzedana i dlatego płakała.

– Jestem Farah – przedstawiła się.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? – spytał zniecierpliwiony Barney. – Gdzie jest Jeronima?

– Mów ciszej, panie – upomniała go. – Jest na górze z archidiakonem Romero.

– Nie dbam o to, chcę z nią porozmawiać – burknął Barney i ruszył po schodach.

– Proszę, nie – rzuciła błagalnie Farah. – Będą kłopoty, jeśli on pana zobaczy.

– Jestem gotowy na kłopoty.

– Przyprowadzę tu panienkę. Powiem, że przyszła sąsiadka i nalega, że chce się z nią zobaczyć.

Barney zawahał się, ale w końcu skinął głową.

Kiedy służąca się oddaliła, powiódł wzrokiem dookoła. Nie widział żadnych noży, garnków ani talerzy. Kuchnia została ogołocona. Czyżby

inkwizycja sprzedawała nawet sprzęty kuchenne?

Kilka minut później pojawiła się Jeronima. Wyglądała inaczej, znacznie starzej. Piękna twarz tej siedemnastoletniej dziewczyny zmieniła się w obojętną maskę; oczy miała suche, ale oliwkowa skóra przybrała odcień szarości, a szczupłe ciało drżało niekontrolowanie. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby zobaczyć, jak bardzo stara się ukryć rozpacz i wściekłość.

Barney zrobił krok w jej stronę, chcąc ją przytulić, lecz odsunęła się i uniosła ręce, jakby chciała go odepchnąć.

– Co się dzieje? – spytał, patrząc na nią bezradnie.

– Zostałam bez środków do życia – odparła. – Ojciec jest w więzieniu, a ja nie mam innej rodziny.

– Co z nim?

– Nie wiem. Więźniom inkwizycji nie wolno komunikować się z rodziną ani nikim innym. Ojciec jest słabego zdrowia… słyszałeś, jak dyszał, przeszedłszy kilka kroków… a oni prawdopodobnie… – Urwała niezdolna mówić dalej. Wbiła wzrok w podłogę i chwilę później się uspokoiła. – Prawdopodobnie poddadzą go torturze wodnej.

Barney słyszał o niej. Ofierze zatykano nos, żeby nie mogła przez niego oddychać, siłą otwierano jej usta i wlewano do gardła wodę. Brzuch oskarżonego pęczniał do ogromnych rozmiarów, a woda, która trafiła do tchawicy, sprawiała, że się dusił.

– To go zabije – jęknął przerażony.

– Zabrali wszystkie jego pieniądze i cały dobytek.

– Co zamierzasz zrobić?

– Archidiakon Romero zaproponował, że weźmie mnie do siebie.

Barney był zdumiony. Wszystko odbywało się tak szybko. W jego głowie kłębiły się pytania.

– W jakim charakterze? – zapytał.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy. Chce, żebym zajęła się jego garderobą, zamawiała szaty liturgiczne i o nie dbała, nadzorowała praczkę. – Mówienie o tak przyziemnych rzeczach najwyraźniej ją uspokajało.

– Nie gódź się – poprosił ją. – Chodź ze mną.

Był to lekkomyślny pomysł i Jeronima dobrze o tym wiedziała.

– Dokąd? Nie mogę mieszkać z trzema mężczyznami. Ani z twoją babką.

– Mam dom w Anglii.

Pokręciła głową.

– Nie wiem nic o twojej rodzinie. Prawie cię nie znam. Nie mówię po angielsku. – Jej twarz złagodniała. – Może gdyby to się nie wydarzyło, mógłbyś zabiegać o moje względy. Może mógłbyś poprosić ojca o moją rękę i może nawet bym za ciebie wyszła, nauczyła się angielskiego… Kto wie? Muszę przyznać, że myślałam o tym. Ale żeby uciec z tobą do obcego kraju…? Nie.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna ma rację, mimo to bąknął:

– Romero chce uczynić z ciebie swoją kochankę.

Podniosła na niego wzrok i spojrzała z hardością, jakiej nigdy nie widział w jej dużych, brązowych oczach. Przypomniał sobie słowa cioteczki Betsy: „Jeronima Ruiz dba wyłącznie o własne interesy”. Ale przecież musiały istnieć jakieś granice.

– A nawet jeśli? – spytała wyzywająco.

– Jak możesz w ogóle tak mówić? – spytał osłupiały Barney.

– Myślę o tym bez przerwy od dwóch dni. Nie mam innego wyjścia. Wiesz, co dzieje się z bezdomnymi kobietami?

– Zostają prostytutkami.

Jeronima nie wyglądała na wstrząśniętą.

– Mam więc do wyboru: uciec z tobą w nieznane, zostać uliczną ladacznicą albo przyjąć posadę w bogatym domostwie zdeprawowanego księdza.

– Nie przyszło ci do głowy – zaczął ostrożnie Barney – że być może to on doniósł na twojego ojca, żeby postawić cię przed takim wyborem?

– Jestem o tym przekonana.

Jej słowa zdumiały Barneya. Miał wrażenie, że ta dziewczyna zawsze wyprzedza go o krok.

– Od miesięcy wiedziałam, że Romero chce uczynić mnie swoją kochanką. Nie wyobrażałam sobie gorszego losu. Teraz to najlepsze, na co mogę liczyć.

– I to on ci to zrobił!

– Wiem.

– A ty zamierzasz się z tym pogodzić, sypiać z nim i mu wybaczyć?

– Wybaczyć? – powtórzyła, a jej brązowe oczy zapłonęły nienawiścią. – Nie – odparła. – Mogę udawać. Ale pewnego dnia zdobędę nad nim władzę. A gdy ten dzień nadejdzie, zemszczę się.

VII

Ebrima, podobnie jak wszyscy, dokładał wszelkich starań, żeby nowy piec działał jak należy, i w głębi duszy miał nadzieję, że Carlos nagrodzi go, zwracając mu wolność. Jednakże w miarę jak mijały kolejne dni i tygodnie, a ogień na piecu płonął, Afrykanin tracił nadzieję, aż w końcu uświadomił sobie, że podobna myśl nawet nie postała Carlosowi w głowie. Układając na wózku zimne sztabki tak, by nie poprzesuwały się podczas transportu, zastanawiał się, co zrobić.

Miał nadzieję, że Carlos wyjdzie z inicjatywą i złoży mu spontaniczną propozycję, ale skoro tak się nie stało, będzie musiał zapytać wprost. Nie chciał błagać; już sam fakt, że musi o coś prosić, sugerował, że nie ma prawa do tego, na czym mu zależy. A przecież je miał – był o tym przekonany.

Może będzie musiał przekonać Elisę, by się za nim wstawiła. Wiedział, że ma do niego słabość i chce dla niego jak najlepiej, ale czy jej uczucia były na tyle silne, by chciała zwrócić mu wolność, a tym samym zrezygnować z nocnych schadzek?

Z drugiej strony, lepiej będzie, jeśli porozmawia z nią, zanim zwróci się do jej wnuka. Przynajmniej będzie wiedział, po czyjej stronie stanie, kiedy trzeba będzie podjąć decyzję.

Tylko kiedy powinien to zrobić? Gdy po wszystkim będą leżeć w łóżku? A może lepiej poruszyć ten temat, zanim będą się kochać, kiedy jej serce przepełniać będzie pożądanie. Podjąwszy decyzję, skinął głową i właśnie wtedy rozpoczął się atak.

Napastników było sześciu, wszyscy uzbrojeni w pałki i młotki. Nie odzywali się ani słowem i natychmiast zaczęli okładać Ebrimę i Carlosa pałkami.

– O co chodzi?! – wrzasnął Afrykanin. – Dlaczego to robicie?

Jego pytania pozostały bez odpowiedzi. Kiedy podniósł rękę, żeby zasłonić głowę, otrzymał bolesny cios w ramię, a zaraz potem kolejny w głowę i upadł na ziemię.

Widząc to, jego napastnik rzucił się w stronę Carlosa, który cofał się w stronę pieca. Ogłuszony Ebrima obserwował rozwój wydarzeń. Zobaczył, że Carlos chwyta za łopatę, zanurza ją w płynącym z pieca metalu i chlusta nim w stronę napastników. Dwóch wrzasnęło z bólu.

Przez chwilę Ebrima myślał, że jego pan zwycięży, lecz zanim Carlos zdążył kolejny raz zanurzyć łopatę w płynnym metalu, dwóch mężczyzn rzuciło się na niego i powaliło na ziemię.

Pozostali zaczęli niszczyć nowy piec, waląc w cegły ciężkimi młotami. Ebrima, widząc, jak jego dzieło obraca się w stertę gruzu, zerwał się na nogi.

– Nie… nie możecie! – krzyknął, biegnąc w stronę napastników. Pchnął jednego z nich, przewracając go na ziemię, i szarpnięciem odciągnął drugiego. Cios pałką pozbawił go czucia w lewej ręce, dlatego używał wyłącznie prawej; był jednak wystarczająco silny. Chwilę później odskoczył w tył, uchylając się przed młotem.

W rozpaczliwej próbie ochrony pieca chwycił drewnianą łopatę i rzucił się na mężczyzn. Uderzył jednego w głowę, ale w tym momencie ktoś zaatakował go od tyłu w prawe ramię i Afrykanin wypuścił swoją broń. Odwrócił się, by stawić czoło napastnikowi, i otrzymał kolejny cios.

Cofając się i uchylając przed tnącą powietrze pałką, kątem oka zauważył, że piec został zniszczony. Rozżarzone węgle i rozgrzana do

czerwoności ruda wysypały się na ziemię i leżały w stygnącej kałuży płynnego metalu. Przerażony wół zaryczał żałośnie.

Z domu wybiegła Elisa.

– Zostawcie ich! Wynoście się stąd!

Widząc ją, mężczyźni parsknęli śmiechem, a jeden z nich – ten, którego Ebrima powalił – chwycił ją od tyłu i poderwał z ziemi. Był wysoki i silny – jak oni wszyscy – więc poradził sobie z nią bez trudu.

Dwóch mężczyzn siedziało na Carlosie, jeden trzymał Elisę, a jeden pilnował Ebrimy. Pozostali dwaj dokańczali dzieła zniszczenia. Młotami roztrzaskali mechanizm miechowy, którego stworzenie zajęło Ebrimie, Carlosowi i Barneyowi tak dużo czasu. Afrykanin miał ochotę płakać z wściekłości.

Na koniec jeden z napastników wyciągnął długi sztylet i próbował poderżnąć gardło wołowi. Nie było to jednak łatwe: szyja zwierzęcia była umięśniona i mężczyzna musiał przebić ostrzem grubą skórę, podczas gdy rozjuszony wół próbował, wierzgając, uwolnić się z uprzęży. W końcu mężczyźnie udało się przeciąć żyłę szyjną. Zwierzę ryknęło ostatni raz, a z rany trysnął strumień gorącej krwi. Wół padł na ziemię.

Chwilę później sześciu mężczyzn zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

VIII

Jeronima stała się wyrachowaną sekutnicą, pomyślał Barney, kiedy oszołomiony opuszczał dom Ruizów. Być może zawsze taka była, tylko on tego nie dostrzegał, a może traumatyczne przeżycia zmieniają ludzi – nie potrafił odpowiedzieć. Miał w głowie mętlik. Czuł, że wszystko jest możliwe; być może lada chwila rzeka wystąpi z brzegów i zaleje miasto.

Osłupiały wrócił do domu, gdzie czekała go kolejna przykra niespodzianka: ktoś pobił jego kuzyna i Ebrimę.

Carlos siedział na krześle, podczas gdy cioteczka Betsy opatrywała mu rany. Jedno oko miał zamknięte od opuchlizny, usta obrzmiałe i skrwawione; zginał się wpół, jakby bolał go brzuch. Ebrima leżał na ziemi z ręką pod pachą i zakrwawionym bandażem na głowie.

Za nimi walały się resztki tego, co jeszcze do niedawna było nowym piecem. Dymarka została zniszczona i obrócona w stertę gruzu. Mechanizm miechowy przywodził na myśl

plątaninę lin i drewna na opał. Wół leżał martwy w kałuży krwi. Barney pomyślał, że w życiu nie widział tyle krwi.

Betsy ocierała twarz wnuka chusteczką nasączoną winem. W pewnej chwili wyprostowała się i z obrzydzeniem cisnęła ją na ziemię.

– Posłuchajcie mnie – zaczęła.

Barney uświadomił sobie, że czekała z przemówieniem do jego powrotu, mimo to postanowił ją ubiec.

– Co tu się stało? – spytał, rozglądając się.

– Nie zadawaj głupich pytań – odparła zniecierpliwiona. – Chyba sam widzisz.

– Chodziło mi o to, kto to zrobił.

– Ludzie, których nigdy wcześniej nie widziałam na oczy i którzy prawie na pewno nie są mieszkańcami Sewilli. Pytanie brzmi: kto ich wynajął. A odpowiedź: Sancho Sanchez. To on podżegał ludzi przeciwko Carlosowi i to on chciał kupić jego interes. Nie mam wątpliwości, że powiedział ojcu Alonso, że Ebrima jest muzułmaninem i pracuje w niedziele.

– Co teraz zrobimy?

– Damy za wygraną. – Odpowiedzi udzielił Carlos, który dźwignął się z krzesła.

– Jak to?

– Mogliśmy walczyć z Sanchem albo z archidiakonem Alonso, ale nie z oboma.

Podszedł do leżącego na ziemi Ebrimy, chwycił go za prawą rękę – wyglądało na to, że z lewą coś było nie tak – i szarpnięciem pomógł mu wstać.

– Zamierzam sprzedać interes – oświadczył.

– To może nie wystarczyć – zauważyła Betsy.

– Dlaczego? – spytał zdziwiony.

– Sancho będzie zadowolony, ale Alonso nie. Tacy jak on potrzebują ofiar z ludzi. Nie mogą się przyznać do tego, że popełnili błąd. Skoro już cię oskarżył, będzie musiał wymierzyć ci karę.

– Właśnie widziałem się z Jeronimą – wtrącił Barney. – Ona twierdzi, że jej ojca poddadzą torturze wodnej. Gdyby coś takiego spotkało nas, wszyscy przyznalibyśmy się, że jesteśmy heretykami.

– Barney ma rację – przyznała cioteczka Betsy.

– Co więc możemy zrobić? – spytał Carlos.

– Opuścić Sewillę. I jeszcze dziś wyjechać z Hiszpanii. – Betsy westchnęła.

Barney nie mógł uwierzyć, że to powiedziała, ale wiedział, że ma rację. Ludzie Alonsa mogli przyjść po nich w każdej chwili, a wówczas będzie za późno na ucieczkę. Zerknął z niepokojem na łukowate wejście na podwórze

w obawie, że już tam są, ale nikogo nie zobaczył. Na razie.

Ale przecież nie uda im się jeszcze dziś opuścić Hiszpanii. Chyba że znajdą statek, który wypływa z portu wraz z popołudniowym przypływem i którego kapitan będzie potrzebował ludzi. Prawdopodobnie nie będą mogli wybrać, dokąd się udadzą. Barney, mrużąc oczy, zerknął na słońce. Minęło południe.

– Skoro rzeczywiście mamy to zrobić, lepiej się pospieszmy – odezwał się.

Mimo czyhającego na nich niebezpieczeństwa cieszył się na myśl, że wypłyną w morze.

– Jeśli nie uciekniemy, zginiemy – zabrał głos Ebrima. – A ja będę pierwszy.

– A ty, cioteczko Betsy? – spytał Barney.

– Jestem za stara na tułanie się po świecie. Poza tym nie zależy im na mnie. Jestem kobietą.

– Co więc zrobisz?

– Mam szwagierkę w Carmonie. – Barney pamiętał, że latem wyjeżdżała tam na kilka tygodni. – Rankiem wyruszę w drogę. Nawet jeśli Alonso dowie się, gdzie jestem, wątpię, żeby zawracał sobie mną głowę.

Carlos podjął decyzję.

– Barney, Ebrima, weźcie, co chcecie, z domu i wróćcie tu, zanim doliczę do stu.

Ich dobytek był skromny. Barney wetknął za pas sakiewkę z pieniędzmi. Włożył najlepsze buty i gruby płaszcz. Nie miał miecza; ciężkie, długie miecze sprawdzały się na polu bitwy, gdy trzeba było odnaleźć słabe punkty zbroi przeciwnika, nie nadawały się jednak do walki wręcz. Wsunął do pochwy długi na dwie stopy hiszpański sztylet z pękatą rękojeścią i dwusiecznym stalowym ostrzem. W ulicznej bijatyce duży nóż, taki jak ten, przyda mu się bardziej niż miecz.

Carlos wrócił na podwórze z mieczem ukrytym pod połami nowego płaszcza z futrzanym kołnierzem i objął płaczącą babkę. Barney pocałował ją w policzek.

– Pocałuj mnie raz jeszcze, ukochany – zwróciła się do Ebrimy.

Niewolnik wziął ją w ramiona.

– Co u… – syknął Carlos, a Barney ściągnął brwi.

Cioteczka Betsy złożyła na ustach Ebrimy namiętny pocałunek, zatapiając palce w jego gęstych, ciemnych włosach, podczas gdy Carlos i Barney przyglądali się jej w osłupieniu.

– Kocham cię, Ebrima – wyznała, gdy pocałunek dobiegł końca. – I nie chcę, żebyś

wyjeżdżał. Ale nie mogę pozwolić, żebyś został i oddał życie w lochach inkwizycji.

– Dziękuję, Eliso, za okazaną mi dobroć – odparł Afrykanin.

Po kolejnym pocałunku cioteczka Betsy odwróciła się i pobiegła do domu.

Co u diabła? – pomyślał Barney.

Jego kuzyn był równie zdumiony, lecz nie było czasu na zadawanie pytań.

– Chodźmy – rzucił.

– Chwileczkę – powstrzymał go Barney i pokazał im swój sztylet. – Jeśli spotkamy po drodze ludzi Alonsa, nie pozwolę, by wzięli mnie żywcem.

– Ja też. – Carlos położył dłoń na rękojeści miecza.

Ebrima bez słowa odchylił opończę, ukazując zatknięty za pasek żelazny młotek.

Chwilę później opuścili podwórze i ruszyli w stronę nabrzeża.

Po drodze wypatrywali ludzi inkwizytora, ale w miarę jak oddalali się od domu, niebezpieczeństwo malało. Mimo to ludzie gapili się na nich i Barney uświadomił sobie, że jego posiniaczeni i zakrwawieni towarzysze budzą postrach.

Po kilku minutach marszu Carlos zwrócił się do Ebrimy:

– Ty i moja babka? – spytał tylko.

– Musisz wiedzieć, że właściciele zawsze sypiają ze swoimi niewolnikami – odparł ze spokojem Ebrima.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Barney.

– Rozmawiam czasem z innymi niewolnikami na targowisku. Stąd wiem, że każdy z nas jest przez kogoś wykorzystywany. Wszyscy oprócz starych niewolników… ale tacy jak my rzadko dożywają sędziwego wieku. – Spojrzał na Barneya. – Pedro Ruiz, ojciec twojej panny, chędoży Farah, ale jest tak gruby, że to ona musi być na górze.

– Dlatego płakała? Bo go straciła?

– Płakała, bo zostanie sprzedana i ktoś inny będzie ją chędożył – odparł Afrykanin, po czym zwrócił się do Carlosa: – Francisco Villaverde, który jest zbyt dumny, żeby być twoim teściem, zawsze wybiera na swych niewolników małych chłopców i sypia z nimi do czasu, aż dorosną. Wtedy sprzedaje ich rolnikom.

Carlos nadal nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

– To znaczy, że co noc, kiedy ja zasypiałem, ty wymykałeś się do sypialni mojej babki?

– Nie każdej nocy. Tylko kiedy mnie o to prosiła.

– Przeszkadzało ci to? – spytał Barney.

– Elisa jest stara, ale to ciepła i dobra kobieta. No i cieszyłem się, że nie trafiłem na mężczyznę.

Barney poczuł się, jakby właśnie przestał być dzieckiem. Wiedział, że księża mogą wtrącić człowieka do więzienia i torturami zamęczyć na śmierć, ale nie miał pojęcia, że mogą również przejąć cały jego majątek, skazując rodzinę na życie w nędzy. Nie wyobrażał sobie, że archidiakon może wziąć do siebie dziewczynę i uczynić ją swoją kochanką. Nie wiedział też, co mężczyźni i kobiety robili ze swoimi niewolnikami. Zupełnie jakby mieszkał w domu z sekretnymi pokojami, do których nie wchodził, i dzielił go z ludźmi, których nigdy dotąd nie widział na oczy. Był zdezorientowany własną niewiedzą i to wytrąciło go z równowagi. A teraz, jakby tego było mało, znalazł się w niebezpieczeństwie i musiał natychmiast opuścić Sewillę i Hiszpanię.

Na nabrzeżu – jak zwykle – roiło się od dokerów i wózków. Wystarczyło rzucić okiem, by wiedzieć, że w porcie jest zacumowanych około czterdziestu statków. Większość wypływała wraz z porannym przypływem, ale pewnie kilka z nich

opuszczało port po południu. A że zbliżał się przypływ, więc niedługo wypłyną w morze.

Pospieszyli na nabrzeże i przyglądali się statkom, wypatrując znaków świadczących o rychłym wypłynięciu z portu: zamkniętych luków, kapitana na pokładzie, załogi na takielunku. Statek o nazwie *Ciervo* opuszczał właśnie przystań, a stojący przy burtach ludzie długimi kijami odpychali się od zacumowanych po obu stronach barek. Przy odrobinie szczęścia zdążą jeszcze wsiąść na pokład. Carlos zwinął dłonie, przyłożył je do ust i krzyknął:

– Kapitanie! Nie potrzebujecie trzech silnych ludzi?

– Nie! – padła odpowiedź. – Mam komplet!

– A trzech pasażerów? Zapłacimy.

– Nie mamy miejsca!

Barney podejrzewał, że kapitan planuje jakieś nielegalne transakcje i nie chce mieć na pokładzie nikogo, kogo nie zna i komu nie ufa. Najbardziej pospolitym przestępstwem był handel amerykańskim srebrem, który odbywał się z dala od brzegu, żeby uniknąć płacenia królewskich podatków. Ale i zwykłe piractwo nie było niczym nadzwyczajnym.

W pośpiechu przemierzali nabrzeże, jednak szczęście im nie sprzyjało i żaden statek nie

wypływał z portu. Barney poczuł, że ogarnia go rozpacz.

Dotarli na skraj portu, którego granicę wyznaczała forteca zwana Złotą Wieżą. W tym miejscu między brzegami rozciągano gruby żelazny łańcuch, tak by najeźdźcy płynący w górę rzeki od strony morza nie mogli zaatakować zakotwiczonych statków.

Na beczce ustawionej przed murami fortecy stał mężczyzna, który zachęcał młodzieńców, by zaciągnęli się do wojska.

– Na każdego, kto zaciągnie się teraz, czeka gorąca strawa i butelka wina! – krzyczał do tłumu gapiów. – Spójrzcie na zacumowany tam statek *José y Maria*! Dwóch świętych czuwa nad nim i nad całą jego załogą!

Barney dopiero teraz spostrzegł, że mężczyzna ma żelazną rękę, własną prawdopodobnie stracił na wojnie. Spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył imponujący trzymasztowy galeon naszpikowany działami, na którego pokładzie uwijali się młodzi mężczyźni.

– Wypływamy jeszcze dziś po południu do miejsca, gdzie rozprawimy się z nikczemnymi poganami i gdzie dziewczęta są równie chętne co piękne. Mówię to z własnego doświadczenia, jeśli wiecie, co mam na myśli.

W tłumie rozległ się znaczący śmiech.

– Nie potrzebujemy słabeuszy – ciągnął tamten z pogardą. – Ani tchórzy. Ani zniewieściałych chłoptasiów… wiecie, o kim mówię! Potrzebujemy silnych i odważnych. To przygoda dla prawdziwych mężczyzn.

– Wszyscy na pokład! – krzyknął ktoś na *José y Maria*.

– Ostatnia szansa, panowie! – zakrzyknął naganiacz. – Co wolicie? Siedzieć w domu z matką, jeść chleb, popijać go mlekiem i robić, co wam każą? Czy popłynąć ze mną, kapitanem Gómezem Żelazną Ręką, wieść życie prawdziwego mężczyzny, przeżywać przygody, zdobywać sławę i fortunę? Wystarczy, że wejdziecie na trap, a świat będzie należał do was!

Barney, Carlos i Ebrima wymienili spojrzenia.

– Tak czy nie? – rzucił Carlos.

– Tak – odparł Barney.

– Tak – powtórzył Ebrima.

Po tych słowach wszyscy trzej weszli po trapie na pokład statku.

IX

Dwa dni później byli już na otwartym morzu.

Ebrima przepłynął wiele mil, jednak zawsze jako niewolnik skuty kajdanami i zamknięty w ładowni. Widok morza z pokładu był dla niego zupełnie nowym, porywającym doświadczeniem.

Rekruci nie mieli nic do roboty; zastanawiali się, dokąd płyną, jako że cel ich podróży wciąż pozostawał nieznany i jak twierdził kapitan, był tajemnicą wojskową. Ebrima zastanawiał się nad czymś jeszcze: nad swoją przyszłością.

Wszedłszy na pokład *José y Marii*, zostali skierowani do siedzącego przy stole mężczyzny, przed którym leżała otwarta księga.

– Nazwisko? – spytał, nie podnosząc głowy znad rejestru.

– Barney Willard.

Mężczyzna zapisał je w księdze i spojrzał na Carlosa.

– Nazwisko? – powtórzył.

– Carlos Cruz.

Wpisawszy je do księgi, zerknął na Ebrimę i odłożył pióro. Przez chwilę spoglądał to na Carlosa, to na Barneya, aż w końcu rzekł:

– W armii nie można mieć niewolników. To znaczy oficer może, ale musi ich karmić i ubierać

z własnych pieniędzy. Zwykły żołnierz, oczywiście, nie może tego zrobić.

Ebrima utkwił wzrok w Carlosie, uświadomił sobie, że jedyna droga ucieczki wymyka mu się z rąk, i z jego oczu wyzierała rozpacz. Po chwili wahania Carlos powiedział jednak jedyną rzecz, którą mógł powiedzieć w tej sytuacji:

– On nie jest niewolnikiem. To wolny człowiek.

Serce Ebrimy zamarło.

Oficer pokiwał głową. Rzadko słyszało się o wyzwolonych niewolnikach, ale takie przypadki się zdarzały.

– Dobrze – odparł. Spojrzał na Afrykanina i rzucił tylko: – Nazwisko?

Wszystko stało się tak szybko i nagle, że Ebrima jeszcze długo nie mógł dojść do siebie. Barney pogratulował mu odzyskania wolności, a Carlos nie zachowywał się jak ktoś, kto właśnie ofiarował komuś najpiękniejszy prezent. Wszystko wskazywało na to, że w wojsku Ebrima będzie traktowany jak wolny człowiek, ale jak było naprawdę?

Był wolnym człowiekiem czy też nie?

Tego nie wiedział.

ROZDZIAŁ 5

I

Ślub Margery został przełożony.

Po upadku Calais spodziewano się ataku na Anglię, a Bart Shiring miał zebrać stu zbrojnych i stacjonować z nimi w porcie w Combe. Ślub musiał zatem zaczekać.

Dla Neda Willarda odłożenie go w czasie było jedyną nadzieją.

W miastach takich jak Kingsbridge w pośpiechu naprawiano mury, a hrabiowie umacniali swe siedziby. W portach zeskrobywano rdzę z wiekowych nadbrzeżnych dział, a od arystokracji wymagano, by wypełniła swój obowiązek i chroniła mieszkańców przed budzącymi postrach Francuzami.

Ludzie obwiniali królową Marię Tudor, twierdząc, że wszystko to jej wina, bo poślubiła króla Hiszpanii. Gdyby nie on, Calais wciąż

należałoby do Anglii, nie prowadzono by wojny z Francją i nikt nie potrzebowałby umocnień ani nadbrzeżnych dział.

Ned był zadowolony. Dopóki Margery i Bart nie byli małżeństwem, wszystko mogło się zdarzyć: Bart mógł się rozmyślić, zginąć w bitwie albo umrzeć na febrę, która pustoszyła kraj. Ned pragnął Margery, i tylko to się liczyło. Świat był pełen pięknych młodych panien, ale wszystkie one nic nie znaczyły: Margery była tą jedyną. Nie rozumiał, skąd ta pewność. Po prostu wiedział, że ta dziewczyna – podobnie jak katedra – już zawsze będzie obecna w jego życiu.

Traktował jej zaręczyny jak przeszkodę, nie jak porażkę.

W sobotę poprzedzającą Wielki Tydzień Bart i jego ludzie zebrali się w Kingsbridge, żeby popłynąć barką do Combe. Tego ranka na brzegu rzeki zebrał się tłum ludzi chcących pożegnać zbrojnych. Znalazł się wśród nich również Ned, który przyszedł, żeby upewnić się, że Bart naprawdę wypływa.

Był chłodny, słoneczny poranek, a na nabrzeżu panowała świąteczna atmosfera. W dole rzeki przy obu brzegach i wokół Wyspy Trędowatych kołysały się na wodzie łodzie i barki. Nieco dalej, w dzielnicy Loversfield,

magazyny i warsztaty walczyły o miejsce. Począwszy od Kingsbridge, rzeka była żeglowna aż do wybrzeża. Miasto dawno temu zyskało miano jednego z największych ośrodków targowych Anglii; teraz ściągali tu handlarze z całej Europy.

Kiedy Ned dotarł na Nabrzeże Rzeźników, do brzegu przybijała duża barka. To nią Bart i jego towarzysze popłyną do Combe. Dwudziestu mężczyzn wiosłowało w górę rzeki, mając do pomocy samotny żagiel. Teraz odłożyli wiosła i czekali, aż barka zostanie zacumowana. Podróż w dół rzeki będzie znacznie łatwiejsza, nawet jeśli na pokładzie znajdzie się dodatkowe sto osób.

Fitzgeraldowie zmierzali główną ulicą, by pożegnać człowieka, który wkrótce zostanie ich zięciem. Sir Reginald i Rollo szli ramię w ramię – obaj wysocy, szczupli i jednakowo zadufani w sobie. Ned gapił się na nich z nienawiścią i pogardą. Margery i lady Jane trzymały się nieco z tyłu – jedna niska i ponętna, druga niska i złośliwa.

Ned był przekonany, że dla Rollo siostra stanowi wyłącznie środek do celu, a celem jest władza i prestiż. Wielu mężczyzn traktowało w ten sposób swoje siostry i córki, według Neda

nie miało to jednak nic wspólnego z miłością, wręcz przeciwnie. Rollo traktował siostrę jak konia: mógł go lubić, ale w razie potrzeby sprzedałby go albo wymienił.

Sir Reginald nie był wcale lepszy. Ned podejrzewał, że lady Jane nie jest aż tak bezwzględna, ale z pewnością przedkładała dobro rodziny nad indywidualne szczęście jej członków, co sprawiało, że postępowała równie okrutnie, jak jej mąż i syn.

Obserwował, jak Margery podchodzi do Barta, który pysznił się tym, że jest zaręczony z najładniejszą dziewczyną z Kingsbridge.

Patrząc na nią, ubraną w purpurową pelerynę i kapelusik z piórkiem, Ned miał wrażenie, że ma przed sobą zupełnie inną osobę. Margery stała wyprostowana i nieruchoma jak posąg i choć Bart coś do niej mówił, jej twarz przypominała maskę. Była pozbawionym życia uosobieniem stanowczości. Zniknęła gdzieś jej figlarność i radość życia.

Ale przecież nikt nie zmienia się w tak krótkim czasie. W głębi duszy na pewno pozostała radosną trzpiotką.

Świadomość, że jest nieszczęśliwa, budziła w nim złość i smutek. Chciał ją porwać i uciec z nią. Nocami, leżąc w łóżku, wyobrażał sobie, że

o poranku wymykają się z Kingsbridge i zbiegają do lasu. W jego fantazjach czasami szli do Winchesteru i pod fałszywymi nazwiskami brali ślub; innym razem szukali schronienia w Londynie, gdzie zakładali własny interes, a nawet udawali się do portu w Combe i wsiadali na statek do Sewilli. Wiedział jednak, że nie może jej uratować, jeśli ona sama tego nie zechce.

Wioślarze zeszli na ląd i udali się do najbliższej karczmy Pod Rzeźnikiem, żeby ugasić pragnienie. Uwagę Neda przykuł jeden z pasażerów. Opatulony w brudną opończę, z zarzuconą na ramię wysłużoną skórzaną torbą, przywodził na myśl wytrawnego podróżnika. Dopiero po chwili Ned rozpoznał w nim swojego kuzyna z Calais, Albina.

Byli w tym samym wieku i zaprzyjaźnili się, kiedy Ned mieszkał w domu swojego wuja Dicka.

– Albin? – Ned pospieszył mu na spotkanie. – To ty?

– Ned, w końcu – odezwał się Albin po francusku. – Co za ulga!

– Co się wydarzyło w Calais? Minęło tyle czasu, a my nadal nic nie wiemy.

– Mam złe wieści. Moja siostra i rodzice nie żyją i straciliśmy cały dobytek. Król przejął skład i przekazał wszystko francuskim kupcom.

– Tego się obawialiśmy. – Myśl o tym spędzała Willardom sen z powiek i teraz, gdy ich najgorsze przypuszczenia się potwierdziły, Ned poczuł się zdruzgotany. Przede wszystkim żal mu było matki, która straciła dorobek swojego życia. Wiedział, że będzie załamana. Tylko że strata, której doświadczył Albin, była znacznie dotkliwsza. – Przykro mi z powodu twoich rodziców i Thérèse.

– Dziękuję.

– Chodźmy do domu. Musisz opowiedzieć wszystko mojej matce. – Ned obawiał się tej chwili, ale wiedział, że w końcu musi nadejść.

Ruszyli w górę głównej ulicy.

– Udało mi się zbiec z miasta – wyznał Albin. – Ale nie miałem pieniędzy, zresztą przedostanie się z Francji do Anglii jest teraz niemożliwe z powodu wojny. Dlatego nie docierają do was żadne wiadomości.

– Jak więc się tu dostałeś?

– Przede wszystkim musiałem opuścić Francję, więc przekroczyłem granicę z Niderlandami. Nie stać mnie było na podróż do Anglii, postanowiłem więc poprosić o pomoc naszego krewnego w Antwerpii.

– Wuja Jana Wolmana. – Ned pokiwał głową. – Kuzyna naszych ojców. – Wolman odwiedził

Calais, kiedy on gościł u wujostwa, tak więc obaj mieli okazję go poznać.

– Więc poszedłem do Antwerpii.

– To przeszło sto mil!

– I wierz mi, zapamiętam każdy jard tej podróży. Wielokrotnie wybierałem złą drogę i mało nie umarłem z głodu, ale w końcu dotarłem na miejsce.

– Świetnie się spisałeś. Wuj Jan bez wątpienia się tobą zaopiekował.

– To cudowny człowiek. Nakarmił mnie wołowiną i uraczył winem, a ciocia Hennie opatrzyła moje stopy. Wuj Jan opłacił moją podróż z Antwerpii do Combe, kupił mi nowe buty i dał pieniądze.

– I oto jesteś – skwitował Ned, gdy dotarli do domu. Kiedy weszli do salonu, Alice siedziała przy zalanym światłem stole i pisała coś w księdze rachunkowej. W kominku buzował ogień, ona jednak miała na sobie podbitą futrem pelerynę. „Prowadzenie rejestrów jeszcze nigdy nikogo nie rozgrzało”, mawiała.

– Matko, to Albin, przyjechał z Calais.

Alice odłożyła pióro.

– Witaj, Albinie. – Odwróciła się do syna. – Przynieś kuzynowi coś do jedzenia i picia.

Ned udał się do kuchni i nakazał gospodyni Janet Fife, by podała wino i ciasto.

Kiedy wrócił do salonu, Albin raz jeszcze opowiedział swoją historię. Mówił po francusku i Ned tłumaczył matce te fragmenty, których nie rozumiała.

Opowieść kuzyna sprawiła, że łzy napłynęły mu do oczu. Miał wrażenie, że matka, korpulentna kobieta, kurczy się i zapada w sobie na wieść o kolejnych, dramatycznych wydarzeniach: jej szwagier nie żył, podobnie jak jego żona i córka; magazyn ze wszytkim, co w nim było, trafił do rąk francuskiego kupca, a w domu Dicka zamieszkali obcy ludzie.

– Biedny Dick – szepnęła. – Biedny Dick.

– Tak mi przykro, matko – rzekł Ned.

Alice z trudem wyprostowała się na krześle.

– Nie jesteśmy zrujnowani – odparła, siląc się na optymizm. – Nadal mam ten dom i czterysta funtów. No i jestem właścicielką sześciu budynków przy kościele Świętego Marka. – Przykościelne chatki były spuścizną po jej ojcu, a ich wynajem przynosił niewielkie dochody. – To więcej pieniędzy niż większość ludzi zobaczy przez całe swoje życie. – Nagle coś ją zaniepokoiło. – Teraz żałuję, że pożyczyłam sir Reginaldowi Fitzgeraldowi te czterysta funtów.

– Dlaczego? – zdziwił się Ned. – Jeśli nie odda pieniędzy, dostaniemy klasztor.

– A skoro o tym mowa, Albinie, może wiesz coś o angielskim statku *Święta Małgorzata*?

– Tak – przyznał młodzieniec. – Dzień przed atakiem Francuzów zawinął do Calais na naprawy.

– Co się z nim stało?

– Jak wszystko, co niegdyś należało do Anglików, on również stał się własnością francuskiej korony… łupy wojenne. Ładownia była pełna futer, które zostały zlicytowane na nabrzeżu. Sprzedano je za przeszło pięćset funtów.

Ned i jego matka wymienili spojrzenia. Tego się nie spodziewali.

– A zatem inwestycja Reginalda okazała się fiaskiem – odezwała się Alice. – Mój Boże, nie wiem, jak on to przeżyje.

– A do tego straci klasztor.

– Będą kłopoty – rzuciła ponuro Alice.

– Tak, wiem. Będzie kręcił nosem. Ale my zyskamy nowy interes. – Ned był wyraźnie ożywiony. – Zaczniemy od nowa.

Jego matka, jak zawsze uprzejma, zwróciła się do gościa:

– Albinie, pewnie chciałbyś się umyć i przebrać. Janet da ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Później zjemy obiad.

– Dziękuję, ciociu.

– To ja dziękuję ci za to, że odbyłeś tak długą podróż i przyniosłeś wieści, na które od dawna czekamy… choć nie ukrywam, liczyliśmy, że będą lepsze.

Ned przyjrzał się matczynej twarzy. Była wstrząśnięta tym, czego się dowiedziała, choć należało się tego spodziewać. Nagle zapragnął zrobić coś, co choć trochę poprawi jej nastrój.

– Moglibyśmy pójść obejrzeć klasztor – zaproponował. – Czas pomyśleć, jak go podzielimy, i zastanowić się, co dalej.

Alice, choć z początku obojętna, w końcu uległa namowom syna.

– Czemu nie? W końcu należy teraz do nas – powiedziała i wstała z krzesła.

Wyszli z domu i przeciąwszy rynek, skierowali się ku południowej stronie katedry.

Ojciec Neda, Edmund, był burmistrzem Kingsbridge, kiedy król Henryk VIII zaczął rozwiązywać klasztory. Alice opowiadała synowi, że jej mąż i ojciec Paul – ostatni przeor w Kingsbridge – przeczuwali, co nadchodzi, i zmówili się, żeby ocalić szkołę. Oddzielili ją od

klasztoru, uczynili autonomiczną placówką i przekazali miastu jako darowiznę. Dwieście lat wcześniej to samo spotkało szpital Caris i Edmund wzorował się na tamtych wydarzeniach. Dzięki temu miasto wciąż miało szkołę i słynny szpital.

Reszta klasztoru obróciła się w ruinę.

Główne drzwi były zamknięte, jednak ściany skruszały i na tyłach starej kuchni znaleźli stertę gruzu, po której udało im się wejść do środka.

Wszystko wskazywało na to, że nie byli tu pierwsi. Ned zobaczył ciepłe jeszcze popioły niedawno zagaszonego ogniska, porozrzucane obgryzione kości i gnijący bukłak na wino; ktoś spędził tu noc, prawdopodobnie kochankowie urządzili sobie schadzkę w ruinach klasztoru. Wśród murów unosiła się woń rozkładu, a wszystko dookoła upstrzone było ptasimi i mysimi odchodami.

– I pomyśleć tylko, że mnisi zawsze dbali o porządek – odezwała się posępnie Alice, rozglądając się. – Nic nie jest trwałe, z wyjątkiem zmian.

I rozkładu, pomyślał Ned i nagle, nie wiedzieć czemu, poczuł zniecierpliwienie. Teraz wszystko to należało do jego rodziny. Mogło powstać z tego coś naprawdę pięknego. Jakże mądra była jego

matka, że o tym pomyślała, i to w chwili, gdy na gwałt potrzebowali planu awaryjnego.

Przeszli do krużganku i zatrzymali się w zarośniętym ogródku ziołowym przy zrujnowanej fontannie, w której mnisi obmywali niegdyś ręce. Wodząc dookoła wzrokiem, Ned zauważył, że wiele kolumn i sklepień, balustrad i łuków wciąż jest w dobrym stanie, chociaż od dziesiątków lat nikt o nie nie dbał. Kamieniarze z Kingsbridge naprawdę znali się na swoim fachu.

– Powinniśmy zacząć tutaj – powiedziała Alice. – Przebijemy się przez zachodnią ścianę, żeby ludzie z rynku mogli zaglądać do środka. Możemy podzielić krużganek na sąsiadujące z sobą małe sklepiki, po jednym w każdej wnęce.

– To w sumie da dwadzieścia cztery – policzył szybko Ned. – Dwadzieścia trzy, jeśli z jednego zrobimy wejście.

– Ludzie będą mogli wchodzić na dziedziniec, żeby się rozejrzeć.

Ned widział to oczami wyobraźni, podobnie jak jego matka: stragany pełne barwnych tkanin, świeżych owoców i warzyw, butów, pasków, sera i wina; sprzedawców zachwalających swoje towary i liczących pieniądze; klientów w swych najlepszych ubraniach, zaciskających palce na

sakiewkach, rozglądających się, podziwiających towary, wdychających egzotyczne zapachy i plotkujących z sąsiadami. Ned lubił targowiska – to dzięki nim ludziom się powodziło.

– Na początku nie musimy wkładać w to wiele pracy – ciągnęła Alice. – Trzeba będzie tu posprzątać, ale straganiarze przyniosą własne stoły i wszystko, co będzie im potrzebne. Kiedy targ zacznie działać i na siebie zarabiać, pomyślimy o kamieniarce, naprawie dachu i wybrukowaniu dziedzińca.

Nagle Ned poczuł na sobie czyjś wzrok. Gdy się odwrócił, zobaczył, że południowe drzwi katedry są otwarte i stoi w nich biskup Julius. Dłonie duchownego niczym szpony spoczywały na kościstych biodrach, a złowrogie spojrzenie błękitnych oczu utkwione było w intruzach. Ned poczuł się winny, choć nie miał ku temu powodu, ale już dawno zauważył, że tak właśnie księża oddziałują na zwykłych ludzi.

Alice, która zobaczyła biskupa chwilę później, wydała stłumiony okrzyk zdumienia, a zaraz potem bąknęła:

– To byłoby na tyle.

– Co wy tu robicie?! – krzyknął oburzony biskup.

– Dzień dobry, księże biskupie. – Alice ruszyła w jego stronę. – Oglądam swoją własność.

– Co to ma znaczyć?!

– Teraz to ja jestem właścicielką klasztoru.

– Ależ skąd! Klasztor należy do sir Reginalda. – Na wymizerowanej twarzy biskupa malowała się pogarda, ale Ned widział, że słowa Alice szczerze go zaniepokoiły.

– Sir Reginald zobowiązał się oddać mi klasztor jako zabezpieczenie pożyczki, której nie jest w stanie spłacić. Kupił ładunek ze statku *Święta Małgorzata*, który został skonfiskowany przez francuskiego króla, i nigdy nie odzyska swych pieniędzy. Tak więc od dziś klasztor należy do mnie. Naturalnie zależy mi na tym, abyśmy byli dobrymi sąsiadami, i chętnie omówię z księdzem biskupem swoje plany…

– Chwileczkę. Nie możecie wyegzekwować tej umowy.

– Wręcz przeciwnie. Kingsbridge to miasto handlowe znane z tego, że respektuje się tu wszelkie umowy. Dzięki temu żyjemy w dobrobycie. Ksiądz biskup również.

– Sir Reginald obiecał odsprzedać klasztor Kościołowi, do którego należy zgodnie z prawem.

– W takim razie sir Reginald, zgadzając się oddać mi klasztor jako zabezpieczenie pożyczki,

złamał obietnicę złożoną Kościołowi. Tak czy inaczej, z chęcią odsprzedam klasztor kościołowi, jeśli taka jest wola księdza biskupa.

Ned wstrzymał oddech, wiedząc, że matka tak naprawdę wcale nie chce tego robić.

Tymczasem Alice ciągnęła:

– Proszę zapłacić mi tyle, ile wynosi dług sir Reginalda, i klasztor będzie pański. Czterysta dwadzieścia cztery funty.

– Czterysta dwadzieścia cztery funty? – powtórzył biskup Julius, jakby w cenie podanej przez Alice było coś dziwnego.

– Tak.

Ned pomyślał, że klasztor jest wart dużo więcej. Gdyby biskup był rozsądny, bez zastanowienia przystałby na tę ofertę. Ale może nie dysponował takimi pieniędzmi.

– Sir Reginald proponował, że sprzeda klasztor za cenę, jaką za niego zapłacił – odparł oburzony Julius. – Czyli za osiemdziesiąt funtów!

– To byłby hojny dar, nie transakcja handlowa.

– Powinna pani zrobić to samo.

– Być może to właśnie sprzedawanie rzeczy za bezcen przyczyniło się do tego, że sir Reginald został bez grosza przy duszy.

Biskup przestąpił z nogi na nogę.

– Co zamierzacie zrobić z tymi ruinami?

– Nie wiem – odparła Alice. – Pozwoli biskup, że zastanowię się nad tym i porozmawiamy o tym później.

Ned przypuszczał, że nie chce dawać Juliusowi pretekstu do rozpoczęcia kampanii przeciwko targowisku, jeszcze zanim zapadną jakiekolwiek decyzje.

– Cokolwiek planujecie, zrobię wszystko, żeby was powstrzymać.

Nic z tego, pomyślał Ned. Wszyscy radni wiedzieli, jak bardzo miasto potrzebuje nowej przestrzeni handlowej. Niektórzy sami desperacko szukali miejsca, w którym mogliby sprzedawać swoje towary, i ci jako pierwsi wynajmą stoiska na nowym targu.

– Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia – rzekła pojednawczo Alice.

– Mogę was za to ekskomunikować – warknął biskup.

– Kościół dokłada wszelkich starań, żeby odzyskać klasztorne ziemie. – Alice pozostała niewzruszona. – Ale parlament się na to nie zgodzi.

– To świętokradztwo!

– Mnisi wzbogacili się, stali się leniwi i zepsuci, przez co ludzie stracili do nich

szacunek. Dlatego król Henryk nie napotkał oporu, kiedy rozwiązywał klasztory.

– Henryk Ósmy był podłym grzesznikiem.

– Pragnę być waszym przyjacielem i sojusznikiem, księże biskupie, ale nie za cenę zubożenia siebie i swojej rodziny. Klasztor należy do mnie.

– Nie – odparł hardo Julius. – Klasztor należy do Boga.

II

Rollo kupił napitek dla Barta Shiringa i jego zbrojnych, zanim ci wyruszyli do portu w Combe. Nie było go na to stać, ale pragnął pozostać w dobrych stosunkach z narzeczonym siostry. Nie chciał, by zaręczyny zostały zerwane. Ślub Margery miał odmienić losy Fitzgeraldów. Jego siostra zostanie hrabiną, a jeśli urodzi syna, otrzyma on tytuł hrabiowski. Fitzgeraldowie będą prawie arystokracją.

Tymczasem musieli jeszcze zaczekać: zaręczyny to nie to samo co małżeństwo. Uparta i krnąbrna Margery, podjudzana przez obmierzłego Neda Willarda, wciąż jeszcze mogła pokazać pazurki. Albo swą nieskrywaną

niechęcią mogła urazić Barta, a co za tym idzie urazić jego dumę i doprowadzić do zerwania zaręczyn. Dlatego Rollo z ciężkim sercem wydał pieniądze, by umocnić przyjaźń z Bartem.

Nie było to łatwe. Relacja przyszłych szwagrów opierała się na uległości i pochlebstwach. Rollo był jednak w stanie się poświęcić. Wznosząc kufel, zakrzyknął:

– Mój szlachetny bracie! Niech Bóg ma pieczę nad prawą ręką, w której dzierżysz miecz, i pomoże ci odeprzeć zafajdanych Francuzów!

Wszystko poszło jak należy. Zbrojni wznosili okrzyki i pili.

Na dźwięk dzwonka opróżnili kufle i pospieszyli na barkę. Fitzgeraldowie żegnali ich z nabrzeża. Kiedy barka zniknęła z pola widzenia, Margery wraz z rodzicami wrócili do domu, ale Rollo do karczmy.

Wznosząc toasty ze zbrojnymi, dostrzegł mężczyznę, który nie był w nastroju do świętowania i wyraźnie przygnębiony siedział samotnie w kącie. Ciemne, lśniące włosy i pełne usta mogły należeć wyłącznie do Donala Glostera. Rollo był wyraźnie zaintrygowany: Donal był słabeuszem, a słabeusze bywają przydatni.

Rollo kupił dwa kufle piwa i dosiadł się do niego. Należeli do różnych stanów, więc nie mogli zostać przyjaciółmi, ale byli w tym samym wieku i obaj chodzili do szkoły w Kingsbridge.

– Śmierć Francuzom – rzucił Rollo, podnosząc kufel.

– Nie zaatakują nas – odparł Donal, mimo to upił łyk piwa.

– Skąd ta pewność?

– Król Francji nie może sobie pozwolić na coś takiego. Mogą gadać o inwazji i błyskawicznych atakach, ale nie stać ich na prawdziwą flotę wojenną, która przeprawiłaby się przez kanał.

Rollo pomyślał, że Donal wie, o czym mówi. Jego pracodawca Philbert Cobley znał się na cenach statków lepiej niż ktokolwiek w Kingsbridge i jako wytrawny handlarz, który prowadził interesy jak świat długi i szeroki, z pewnością wiedział więcej o stanie skarbca francuskiej korony.

– A zatem powinniśmy świętować! – zauważył.

Donal burknął coś pod nosem.

– Wyglądasz, stary druhu, jakbyś usłyszał złe wieści.

– Czyżby?

– Naturalnie nic mi do tego…

– Mogę ci powiedzieć, bo i tak niedługo wszyscy będą o tym mówić. Oświadczyłem się Ruth Cobley, a ona mnie odrzuciła.

Rollo był zaskoczony. Wszyscy spodziewali się, że Donal poślubi Ruth. Uczniowie często brali ślub z córkami swoich mistrzów.

– Jej ojciec cię nie lubi?

– Byłbym dobrym zięciem, bo znam biznes od podszewki, ale zdaniem Philberta nie jestem wystarczająco religijny.

– Och. – Rollo przypomniał sobie sztukę w New Castle. Donalowi najwyraźniej się podobała i niechętnie opuścił zamek wraz z oburzonymi Cobleyami. – Ale powiedziałeś, że to Ruth cię odrzuciła. – Rollo był przekonany, że przystojny, ciemnowłosy Donal o wyglądzie romantyka podoba się dziewczętom.

– Mówi, że jestem dla niej jak brat.

Rollo wzruszył ramionami. W miłości próżno szukać logiki.

– Ty nie interesujesz się dziewczynami. – Donal wbił w niego przenikliwe spojrzenie.

– Chłopcami też nie, jeśli o to ci chodzi.

– Przemknęło mi to przez myśl.

– Nie. – Tak naprawdę Rollo nie wiedział, o co tyle zamieszania. Masturbacja sprawiała mu przyjemność jak jedzenie miodu, ale myśl o tym,

że mógłby się kochać z kobietą albo innym mężczyzną, budziła w nim wstręt. Wolał żyć w celibacie. Gdyby klasztory wciąż istniały, zostałby mnichem.

– Masz szczęście – rzucił gorzko Donal. – Kiedy pomyślę, ile czasu poświęciłem na to, by stać się dla niej odpowiednim mężem… Udawałem, że nie piję, nie tańczę, nie oglądam sztuk, chodziłem na ich nudne msze, rozmawiałem z jej matką…

Rollo poczuł, że włoski na karku stają mu dęba. Donal powiedział: „chodziłem na ich nudne msze”. Rollo od dawna wiedział, że Cobleyowie należą do grona niebezpiecznych ludzi, którym się wydaje, że mogą mieć własne zdanie na temat religii, jednak aż do dziś nie miał dowodu na to, że uprawiają swoje niecne praktyki tu, w Kingsbridge. Starał się nie okazywać emocji.

– Domyślam się, że owe nabożeństwa musiały być strasznie nieciekawe – odparł jak gdyby nigdy nic.

– Powinienem raczej powiedzieć spotkania – poprawił się Donal. – Oczywiście nie odprawiali żadnych nabożeństw… to by była herezja.

– Wiem, co masz na myśli – zapewnił go Rollo. – Ale nie ma prawa, które zakazywałoby ludziom

wspólnych modlitw, czytania Biblii czy śpiewania hymnów.

Donal podniósł kufel do ust, pociągnął łyk piwa i odstawił go na stół.

– Gadam bzdury – rzucił. Jego oczy zasnuł cień lęku. – Pewnie za dużo wypiłem. – Z trudem wstał od stołu. – Idę do domu.

– Zostań – zachęcił go Rollo, który zwęszył okazję, by dowiedzieć się więcej o tajemnych spotkaniach Philberta Cobleya. – Dopij piwo.

Ale Donal był przerażony.

– Muszę się zdrzemnąć – wymamrotał. – Dzięki za piwo. – Zataczając się, wyszedł z karczmy.

Rollo w zamyśleniu sączył piwo. Wielu podejrzewało Cobleyów i ich przyjaciół o to, że sympatyzują z protestantami, jednak byli ostrożni i nikt nie miał dowodu na ich herezję. Tak długo, jak nie obnosili się ze swoimi poglądami, nie było mowy o przestępstwie. Jednakże organizowanie nabożeństw protestanckich zmieniało postać rzeczy. Było grzechem i naruszeniem prawa, za które groziło spalenie na stosie.

Pijany, rozgoryczony Donal uchylił rąbka tajemnicy.

Cóż z tego, skoro jutro wyprze się wszystkiego, twierdząc, że był pijany i nie wiedział, co mówi. Niemniej jednak nadejdzie dzień, gdy Rollo będzie mógł wykorzystać tę informację.

Tymczasem postanowił powiedzieć o wszystkim ojcu. Dopił piwo i wyszedł z karczmy.

Jego powrót do domu zbiegł się w czasie z wizytą biskupa Juliusa.

– Wyprawiliśmy naszym zbrojnym należyte pożegnanie – zwrócił się do duchownego.

– To nieistotne – żachnął się biskup. – Przynoszę sir Reginaldowi ważne wieści. – Był wyraźnie wzburzony, na szczęście jednak jego gniew nie był wymierzony w Fitzgeraldów.

Rollo poprowadził go do salonu.

– Pójdę po ojca – oznajmił. – Proszę tymczasem usiąść przy ogniu.

Julius odprawił go machnięciem dłoni i zniecierpliwiony zaczął krążyć po pokoju.

Sir Reginald uciął sobie drzemkę. Kiedy więc Rollo obudził go i oświadczył, że na dole czeka biskup, jęknął przeciągle i dźwignął się z łóżka.

– Poczęstuj go winem, a ja się ubiorę – poinstruował syna.

Kilka minut później wszyscy trzej siedzieli w salonie. Biskup niezwłocznie przeszedł do

sedna sprawy.

– Alice Willard otrzymała wieści z Calais. *Święta Małgorzata* wraz z całym ładunkiem została skonfiskowana przez Francuzów.

Rollo poczuł, że ogarnia go przerażenie.

– Wiedziałem – szepnął. Ojciec podjął ryzyko i przegrał. Co teraz będzie?

– Co, u diabła, ten statek robił w Calais? – Sir Reginald poczerwieniał ze złości.

– Jonas Bacon mówił, że kiedy ostatni raz widział statek, jego kapitan zamierzał wpłynąć do portu, żeby dokonać drobnych napraw – wyjaśnił Rollo. – Stąd opóźnienie.

– Ale nie uprzedził nas, że chodzi o port w Calais.

– Nie.

Piegowatą twarz Reginalda wykrzywił wściekły grymas.

– A wiedział o tym – warknął. – Założę się, że Philbert też o tym wiedział, gdy sprzedawał nam ładunek.

– Oczywiście, że ten zakłamany, protestancki oszust Philbert wiedział. – Rollo gotował się ze złości. – Zostaliśmy okradzeni.

– Jeśli jest tak, jak mówicie – odezwał się biskup – to myślicie, że Philbert odda wam pieniądze?

– Wykluczone – odparł Reginald. – A w mieście takim jak Kingsbridge nie można nie dotrzymać umowy, nawet jeśli była ona nieuczciwa. Tu umowa to świętość.

Rollo, który studiował prawo, wiedział, że ojciec ma rację.

– Sąd kwartalny utrzyma ją w mocy – rzekł.

– Skoro straciliście pieniądze, będziecie w stanie zapłacić Alice Willard? – naciskał biskup Julius.

– Nie.

– Jako poręczenie pożyczki obiecaliście jej klasztor.

– Tak.

– Dziś rano Alice Willard oświadczyła, że klasztor należy do niej.

– A niech ją! – warknął sir Reginald.

– A więc mówiła prawdę.

– Tak.

– Obiecałeś oddać klasztor Kościołowi, Reginaldzie.

– Nie oczekuj ode mnie współczucia, Juliusie. Właśnie straciłem czterysta funtów.

– Czterysta dwadzieścia cztery, jeśli wierzyć Alice Willard.

– Tak.

Rollo zastanawiał się, dlaczego biskup uznał, że należy podać dokładną sumę, nie miał jednak okazji zapytać. Jego ojciec wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie.

– Philbert zapłaci za to – zaczął wygrażać. – Przysięgam. Przekona się, że nikt bezkarnie nie oszukuje Reginalda Fitzgeralda. Zapłaci mi za to. Nie wiem jeszcze jak, ale…

– Ja wiem. – Rollo doznał olśnienia.

– Co?

– Wiem, jak możemy się zemścić na Philbercie.

Reginald przestał krążyć i spojrzał na syna spod zmrużonych powiek.

– Co masz na myśli?

– Dziś po południu sekretarz Philberta, Donal Gloster, siedział pijany w tawernie. Córka Philberta odrzuciła jego oświadczyny. Piwo rozwiązało mu język, a rozżalenie sprawiło, że zrobił się złośliwy. Powiedział mi, że Cobleyowie i ich przyjaciele organizują nabożeństwa.

– Nabożeństwa?! – Biskup Julius był oburzony. – Bez księdza?! Toż to herezja!

– Kiedy zacząłem go wypytywać, zmienił śpiewkę i powiedział, że miał na myśli zwykłe spotkania. Zmieszał się i zamknął w sobie.

– Od dawna podejrzewam te kanalie o to, że w tajemnicy odprawiają protestanckie rytuały. Tylko gdzie? Kiedy? I kto bierze w nich udział?

– Nie wiem – odparł Rollo. – Ale Donal wie.

– Myślisz, że wyjawi prawdę?

– Może. Teraz, kiedy Ruth go odrzuciła, nie musi być już lojalny wobec Cobleyów.

– Przekonajmy się.

– Porozmawiam z nim. Wezmę z sobą Osmunda. – Osmund Carter był przywódcą straży; osiłkiem skłonnym do przemocy.

– I co powiesz Donalowi?

– Że jest podejrzany o herezję i jeśli nie powie wszystkiego, co wie, stanie przed sądem.

– To go przestraszy?

– Narobi w gacie ze strachu.

– To może być odpowiedni moment, żeby uderzyć w protestantów – powiedział w zamyśleniu biskup Julius. – To smutne, ale Kościół katolicki został zepchnięty do defensywy. Przez utratę Calais królowa Maria Tudor traci poparcie. Jej prawowita następczyni, Maria Stuart, królowa Szkotów, szykuje się w Paryżu do ślubu, a małżeństwo z Francuzem zwróci angielski naród przeciwko niej. Sir William Cecil i jego ludzie przemierzają kraj, szukając poparcia dla Elżbiety Tudor jako następczyni tronu.

Zdecydowane kroki przeciwko heretykom z Kingsbridge podniosłyby morale wśród katolików.

W ten sposób nie tylko wypełnimy wolę Bożą, ale zemścimy się na niewiernych, pomyślał Rollo. Świadomość ta napełniła mu serce radością.

Jego ojciec najwyraźniej był tego samego zdania, bo powiedział:

– Zrób to, synu. Najlepiej od razu.

Rollo włożył płaszcz i wyszedł z domu.

Ratusz znajdował się po drugiej stronie ulicy. Szeryf Matthewson rezydował na parterze, dzieląc biuro z urzędnikiem Paulem Pettitem, który pisał listy i utrzymywał porządek w dokumentach. Matthewson nie zawsze wykonywał polecenia Fitzgeraldów; od czasu do czasu sprzeciwiał się sir Reginaldowi, twierdząc, że służy królowej, nie burmistrzowi. Szczęśliwie tego dnia nie było go w biurze i Rollo nie miał zamiaru po niego posyłać.

Zszedł do piwnicy, gdzie Osmund i pozostali strażnicy przygotowywali się do objęcia warty w sobotnią noc. Osmund miał na głowie dopasowany skórzany hełm, przez co wyglądał jeszcze bardziej zadziornie. Kiedy Rollo wszedł do pomieszczenia, sznurował właśnie wysokie do kolan buty.

– Chcę, żebyś poszedł ze mną i kogoś przesłuchał – zaczął Rollo bez zbędnych wstępów. – Nie będziesz musiał nic mówić. – Zamierzał dodać: „Masz tylko groźnie wyglądać”, ale uznał, że to zbyteczne.

Wyszli razem na skąpaną w popołudniowym słońcu główną ulicę. Rollo zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zapewniając ojca i biskupa Juliusa, że Donal wyśpiewa wszystko jak na spowiedzi. Jeśli ten zdążył już wytrzeźwieć, mógł nie być chętny do współpracy. Rollo obawiał się, że Donal przeprosi za to, że upił się i wygadywał bzdury i zaprzeczy, że kiedykolwiek brał udział w protestanckich obrządkach. Wówczas trudno będzie mu cokolwiek udowodnić.

Idąc nabrzeżem, Rollo spotkał Susan White, córkę piekarza, swoją rówieśnicę. Dziewczyna miała twarz w kształcie serca i łagodną naturę. Kiedy byli młodsi, całowali się i próbowali innych niewinnych pieszczot. To wówczas Rollo uświadomił sobie, że te sprawy nie są dla niego tak ważne jak dla Donala Glostera, Neda Willarda, czy innych chłopców, i jego flirt z Susan dobiegł końca. Nie wykluczał jednak, że pewnego dnia się ożeni, choćby po to, żeby mieć żonę, która będzie zajmowała się

gospodarstwem; liczył jednak na lepszą partię niż córka piekarza.

Susan, która miała mnóstwo adoratorów, nie żywiła do niego urazy. Teraz spojrzała na niego ze współczuciem.

– Przykro mi, że straciliście ładunek – powiedziała. – To niesprawiedliwe.

– Tak – przyznał Rollo. Nie dziwił się, że dziewczyna już o tym wie. Połowa mieszkańców Kingsbridge zajmowała się, w ten czy inny sposób, handlem morskim i ludzie byli żywo zainteresowani wszelkimi wieściami.

– Następnym razem ci się poszczęści – dodała pocieszająco. – Tak przynajmniej mówią.

– Mam nadzieję.

Susan zerknęła na Osmunda, najwyraźniej zastanawiając się, co Rollo robi w jego towarzystwie.

– Wybacz, ale się spieszę. – Zakończył rozmowę, chcąc uniknąć dalszych wyjaśnień, i podjęli przerwany marsz.

– Do widzenia! – krzyknęła za nimi Susan.

Donal mieszkał w południowo-zachodniej części miasta, dzielnicy rzemieślniczej znanej jako Tanneries. Północna i wschodnia część Kingsbridge od dawna uchodziły za lepsze. Ziemie w górę rzeki od mostu Merthina należały

do klasztoru i woda była tam czysta. Zgodnie z rozporządzeniem rady miejskiej, warsztaty można było zakładać w dole rzeki, bo wszystkie garbarnie, farbiarnie, płukalnie węgla, a także papiernie od wieków wylewały odpady do wody.

Nazajutrz była niedziela i Rollo pomyślał, że zgromadzeni w kościele ludzie będą wymieniać się wiadomościami. Przed wieczorem wszyscy w Kingsbridge będą wiedzieli, co spotkało *Świętą Małgorzatę* i podobnie jak Susan będą współczuli sir Reginaldowi i jego rodzinie albo uznają, że był głupcem, dając się tak oszukać. Tak czy inaczej, będą popatrywać na Fitzgeraldów ze współczuciem zmieszanym z pogardą. Rollo już słyszał, jak się wymądrzają: „Ten Philbert to szczwany lis. Nigdy nie sprzedał niczego po okazyjnej cenie. Sir Reginald powinien był o tym wiedzieć". Rollo się wzdrygnął. Nie mógł znieść myśli, że ludzie będą pogardzali jego rodziną.

Zmienią jednak śpiewkę, gdy Philbert zostanie aresztowany za herezję. Uznają, że dosięgła go kara boska. Będą mówić: „Lepiej nie oszukiwać sir Reginalda. Philbert powinien był o tym wiedzieć". Rodzina odzyska swój honor, a nazwisko Fitzgerald znów będzie powodem do dumy.

Jeśli tylko nakłoni Donala do mówienia.

Skierował się do małego domku za przystanią. Drzwi otworzyła kobieta, po której Donal niechybnie odziedziczył swój zmysłowy wygląd.

– Litości! – krzyknęła, rozpoznawszy Osmunda. – Co takiego uczynił mój chłopiec?

Przybysze minęli ją i weszli do domu.

– Przepraszam, że się upił – ciągnęła matka Donala. – Spotkało go wielkie rozczarowanie.

– Mąż w domu? – spytał Rollo.

– Nie żyje.

To znacznie ułatwiało sprawę.

– Gdzie jest Donal?

– Pójdę po niego. – Kobieta się odwróciła, ale Rollo chwycił ją za rękę.

– Słuchaj, co do ciebie mówię, kobieto. Nie prosiłem, żebyś po niego poszła. Pytałem, gdzie jest.

W jej brązowych oczach pojawił się błysk i Rollo pomyślał, że jeszcze chwila i powie mu, że jest u siebie i będzie robiła, co jej się żywnie podoba, opanowała się jednak, jakby doszła do wniosku, że jakikolwiek sprzeciw może zaszkodzić synowi. Spuściła wzrok i bąknęła tylko:

– W łóżku. Pierwsze drzwi na górze.

– Zaczekasz tu. Osmund pójdzie ze mną.

Donal leżał na brzuchu kompletnie ubrany z wyjątkiem butów. W pokoju cuchnęło wymiocinami, choć wyglądało na to, że matka uprzątnęła najgorszy bałagan. Rollo potrząsnął nim i chłopak powiódł dokoła zamglonym, rozespanym wzrokiem. Dopiero gdy zobaczył Osmunda, zerwał się na równe nogi.

– Jezu Chryste, ocal mnie! – jęknął.

Rollo przysiadł na skraju łóżka.

– Chrystus cię ocali, jeśli wyjawisz prawdę. Wpadłeś w tarapaty.

– Jakie tarapaty? – Donal był szczerze zdumiony.

– Nie pamiętasz naszej rozmowy w karczmie?

– Yyy… nie bardzo… – Przerażony Donal próbował zebrać myśli.

– Mówiłeś, że uczestniczyłeś w obrządkach protestanckich razem z rodziną Cobleyów.

– Nic takiego nie mówiłem!

– Rozmawiałem już z biskupem Juliusem. Zostaniesz oskarżony o herezję.

– Nie! – Sądy rzadko wydawały wyroki uniewinniające. Panowało przekonanie, że ktoś, kto był niewinny, nigdy nie wpakowałby się w kłopoty.

– Lepiej więc będzie, jeśli powiesz prawdę.

– Ale ja mówię prawdę!

– Mam siłą zmusić go do mówienia? – spytał Osmund.

Donal pobladł.

– Nie będziesz nikogo zmuszał do mówienia, Osmundzie! – W progu stanęła matka Donala. – Mój syn jest praworządnym obywatelem i dobrym katolikiem i jeśli go tkniesz, sam będziesz miał kłopoty.

Był to blef – Osmund jeszcze nigdy nie wpadł w tarapaty z tego powodu, że zmusił kogoś do mówienia – ale słowa kobiety dodały odwagi jej synowi.

– Nigdy nie brałem udziału w mszy protestanckiej. Ani z Philbertem Cobleyem, ani z nikim innym – upierał się wyraźnie ośmielony.

– Nie możecie zatrzymać człowieka za to, co wygaduje po pijanemu, a jeśli to zrobisz, młody Rollo, wyjdziesz na głupca – odezwała się pani Gloster.

Rollo zmełł w ustach przekleństwo. Matka Donala zdobyła nad nim przewagę. Zrozumiał, że nie powinien przesłuchiwać chłopaka w jego własnym domu, w obecności wspierającej go matki. Wkrótce jednak naprawi swój błąd. Nie pozwoli, by ta kobieta odebrała jego rodzinie prawo do zemsty. Zerwał się z łóżka.

– Wkładaj buty, Donalu. Pójdziesz z nami do ratusza.

– Pójdę z wami – oświadczyła pani Gloster.

– Nie! – odparł Rollo.

Matka Donala rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– A jeśli cię tam zobaczę, ty także zostaniesz aresztowana. Musiałaś wiedzieć, że twój syn brał udział w bluźnierczych obrzędach… a więc jesteś winna zatajania przestępstwa.

Pani Gloster kolejny raz spuściła wzrok, podczas gdy Donal w milczeniu wkładał buty.

Chwilę później pod eskortą Rollo i Osmunda opuścił dom i ruszyli główną ulicą. Dotarli do skrzyżowania i piwnicznym wejściem weszli do ratusza. Rollo posłał jednego ze strażników po sir Reginalda, który przybył kilka minut później w towarzystwie biskupa Juliusa.

– Cóż, młody Donalu – rzekł sir Reginald, siląc się na serdeczność. – Mam nadzieję, że zrozumiałeś, iż lepiej będzie, jeśli wyznasz prawdę.

– Nie wiem, co mówiłem po pijaku, ale znam prawdę. – Głos Donala drżał, ale w jego słowach słychać było butę. – Nigdy nie uczestniczyłem w protestanckich nabożeństwach.

Rollo zaczynał się obawiać, że może jednak nie uda im się zmusić go do mówienia.

– Coś ci pokażę. – Sir Reginald podszedł do masywnych drzwi, podniósł ciężki rygiel i otworzył podwoje. – Podejdź i zobacz.

Młodzieniec posłuchał go, choć zrobił to niechętnie. Chwilę później obaj z Rollo zajrzeli do pomieszczenia bez okien, z wysokim sufitem i klepiskiem zamiast podłogi. Cuchnęło tu krwią i odchodami niczym w rzeźni.

– Widzisz ten hak na suficie? – spytał Reginald.

Wszyscy podnieśli wzrok.

– Związą ci ręce na plecach. Linę, którą skrępują ci nadgarstki, przerzucą przez ten hak i podciągną cię do góry.

Donal jęknął.

– Ból jest nie do wytrzymania, ale nie z powodu wywichniętych ramion, bo to nie dzieje się tak szybko. Do twoich stóp przywiążą ciężkie kamienie, które jeszcze bardziej obciążą ci stawy. Kiedy zemdlejesz, chlusną ci w twarz zimną wodą, żeby cię ocucić; nie dadzą ci chwili wytchnienia. Im większy ciężar, tym większy ból. W końcu wyrwą ci ręce ze stawów. To najgorsza część.

Młodzieniec był blady jak ściana, jednak nie zamierzał się poddać.

– Jestem obywatelem Kingsbridge. Nie możecie mnie torturować bez królewskiego nakazu.

Miał rację. Tajna Rada Królewska musiała wydać zgodę na tortury. Często łamano tę zasadę, lecz mieszkańcy Kingsbridge znali swoje prawa. W mieście zapanowałoby powszechne oburzenie, gdyby Donala poddano torturom bez zezwolenia.

– Mogę zdobyć nakaz, młody głupcze.

– Więc proszę to zrobić – rzucił Donal głosem schrypniętym ze strachu.

Rollo powoli godził się z myślą, że będą zmuszeni dać za wygraną. Zrobili, co mogli, by przestraszyć Donala, nic to jednak nie dało. Być może Philbert uniknie kary.

W tym momencie głos zabrał biskup Julius.

– Myślę, że lepiej będzie, młody człowieku, jeśli ty i ja porozmawiamy na osobności. Ale nie tutaj. Chodź za mną.

– Dobrze – odparł zdenerwowany Donal. Obawiał się tej rozmowy, ale Rollo przypuszczał, że zgodzi się na wszystko, byle tylko opuścić piwnicę.

Razem z Juliusem wyszli z ratusza. Rollo z ojcem został nieco z tyłu. Zastanawiał się, co

chodzi po głowie biskupowi. Czyżby znalazł jakiś sposób na ocalenie godności jego rodziny?

Szli główną ulicą w stronę katedry. Julius zaprowadził ich do niewielkich drzwi w północnej stronie nawy. Chór śpiewał nabożeństwo wieczorne. Wnętrze kościoła było skąpo oświetlone świecami, które rzucały roztańczone cienie na łukowate sklepienia.

Biskup wziął jedną z nich i zaprowadził Donala do bocznej kaplicy z małym ołtarzem i malowidłem ukrzyżowanego Chrystusa. Postawił świecę na ołtarzu, tak by oświetlała fresk. Stanąwszy plecami do ołtarza, spojrzał na młodzieńca i odsunął się nieco, odsłaniając malowidło.

Ruchem ręki nakazał Rollo i sir Reginaldowi, by zachowali należytą odległość. Obaj zatrzymali się przed wejściem do kaplicy, skąd widzieli wszystko i słyszeli każde słowo.

– Chcę, żebyś zapomniał o ziemskich karach – zwrócił się biskup do Donala. – Być może zostaniesz skazany na tortury i spłoniesz na stosie jak heretyk, ale nie tego powinieneś się obawiać.

– Nie? – Młody człowiek był równie zdumiony co przerażony.

– Twoja dusza jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, mój synu. Cokolwiek powiedziałeś w karczmie, jest bez znaczenia, ponieważ Bóg zna prawdę. On wie, co uczyniłeś. Męki, których doświadczysz w piekle, będą po stokroć gorsze od tego, co czeka cię tu, na ziemi.

– Wiem.

– Wiedz jednak, że Bóg daje ci nadzieję na wybaczenie. Zawsze.

Donal milczał. Rollo obserwował jego twarz w świetle pełgającego płomyka, ale nie potrafił z niej nic wyczytać.

– Musisz powiedzieć mi trzy rzeczy – ciągnął Julius. – Jeśli to zrobisz, odpuszczę ci twoje grzechy, podobnie jak Pan Bóg. Jeżeli mnie okłamiesz, pójdziesz do piekła. To decyzja, którą musisz podjąć tu i teraz.

Młodzieniec odchylił nieco głowę, by spojrzeć na malowidło Jezusa.

– Gdzie organizują swoje spotkania? Kiedy? I kto bierze w nich udział? – zagrzmiał głos biskupa. – Odpowiedz mi.

Słysząc stłumiony szloch, który dobył się z gardła Donala, Rollo wstrzymał oddech.

– Zacznijmy od tego gdzie – naciskał Julius.

Donal milczał.

– Ostatnia szansa na wybaczenie – upomniał biskup. – Kolejny raz nie zapytam. Gdzie?

– W oborze wdowy Pollard – odparł Donal.

Rollo po cichu wypuścił powietrze. Tajemnica została zdradzona.

Pani Pollard miała małe gospodarstwo rolne w południowej części miasta, przy drodze do Shiring. W pobliżu nie było innych domów, dlatego protestanci mogli się tam czuć bezpieczni.

– Kiedy? – dopytywał Julius.

– Dziś wieczorem – bąknął Donal. – W każdą sobotę o zmierzchu.

– Po zmroku przemykają ulicami, żeby nikt ich nie zauważył – rzekł biskup. – Wolą ciemność od światła, albowiem ich uczynki są złe. Ale Bóg ich widzi. – Mówiąc to, zerknął na zwieńczone łukiem okno. – Już prawie zmierzcha. Myślisz, że już tam będą?

– Tak.

– Kto?

– Philbert i pani Cobley, Dan i Ruth. Siostra Philberta i brat pani Cobley z rodzinami. Pani Pollard. Ellis piwowar. Bracia Mason. Elijah Cordwainer. To wszystko, co wiem. Ale mogą być też inni.

– Dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze. Za chwilę udzielę ci błogosławieństwa i będziesz mógł iść do domu. – Po tych słowach uniósł ostrzegawczo palec. – Nie mów nikomu o naszej rozmowie; nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, skąd wiem o wszystkim. Po prostu wróć do normalnego życia. Rozumiesz?

– Tak, księże biskupie.

Julius spojrzał na stojącego przed kaplicą sir Reginalda i jego syna.

– Ruszajcie do tej obory. – Wyraźnie się ożywił, a jego przyjazny do tej pory głos nagle stał się władczy i ponaglający. – Aresztujcie heretyków. Wszystkich co do jednego. Idźcie już, z życiem!

Odwracając się, Rollo usłyszał jeszcze płaczliwy głos Donala:

– O Boże! Zdradziłem ich wszystkich, prawda?

– Ocaliłeś tylko ich dusze – odparł gładko biskup Julius. – I swoją własną – dodał.

Rollo i Reginald w pośpiechu opuścili katedrę. Wrócili do ratusza i zwołali wszystkich strażników, a zaraz potem przeszli na drugą stronę ulicy do domu i przypasali miecze.

Strażnicy mieli domowej roboty pałki różnych kształtów i rozmiarów. Wychodząc, Osmund chwycił zwój mocnej liny, którą zamierzał spętać

nadgarstki heretyków. Dwóch ludzi przyniosło zatknięte na kijach latarnie.

Dom wdowy Pollard był oddalony milę od centrum miasta.

– Będzie szybciej, jeśli pojedziemy – zauważył Rollo.

– Nie w ciemności – rzucił ojciec. – Poza tym tętent kopyt ostrzeże zawczasu protestantów. Nie chcę, by ktokolwiek z tych czarcich pomiotów wymknął nam się z rąk.

Maszerowali główną ulicą, mijając po drodze katedrę. Ludzie popatrywali na nich z niepokojem, jakby domyślali się, że ktoś wpadł w nie lada tarapaty.

Rollo, obawiając się, że ktoś przychylny protestantom może domyślić się, co się dzieje, i w porę uprzedzić heretyków, przyspieszył kroku.

Przeszli przez most Merthina na skraju Loversfield i ruszyli na południe drogą do Shiring. Na obrzeżach miasta było znacznie ciszej i nawet mrok wydawał się tu gęstszy. Na szczęście droga była prosta.

Dom wdowy Pollard stał przy ulicy, ale obora była odsunięta od drogi. Nieżyjący Walter Pollard miał niewielkie stado bydła mlecznego, które

żona sprzedała po jego śmierci, więc solidna ceglana obora stała teraz pusta.

Osmund otworzył bramę i w ciemnościach podążali ścieżką wydeptaną przez krowy. Dom pogrążony był w mroku, a w budynku gospodarczym nie potrzeba było okien.

– Obejdź oborę i zobacz, czy jest tam jakieś drugie wyjście – szepnął Osmund do jednego z mężczyzn niosących latarnie.

Pozostali podeszli do szerokich dwuskrzydłowych drzwi. Sir Reginald podniósł palec do ust, nakazując swym towarzyszom, by zachowali ciszę, i wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Z wnętrza budynku dobywały się stłumione pomruki – kilka głosów recytujących coś monotonnie. Po chwili Rollo rozpoznał Modlitwę Pańską.

Po angielsku.

To była herezja. Nie potrzebowali dalszych dowodów.

– Nie ma innego wejścia – zapewnił szeptem strażnik z latarnią, który obszedł budynek dookoła.

Reginald spróbował otworzyć drzwi, ale wyglądało na to, że są zaryglowane od środka.

Hałas zaniepokoił zgromadzonych i umilkli.

Wrota ustąpiły pod naporem ciał czterech strażników i zaraz potem sir Reginald z synem wszedł do środka.

W ławkach siedziało dwadzieścia osób. Na przedzie stał nakryty białym obrusem prosty, kwadratowy stół, a na nim bochenek chleba i dzbanek, w którym prawdopodobnie było wino. Rollo był przerażony: ci ludzie odprawiali własną wersję mszy świętej! Słyszał, że takie rzeczy wciąż jeszcze się zdarzają, ale nie sądził, że będzie świadkiem tego heretyckiego obrządku.

Przy stole stał Philbert w długiej, białej koszuli i rajtuzach. Odgrywał rolę kapłana, choć nie został wyświęcony.

Intruzi spoglądali na zgromadzonych w oborze bluźnierców, a ci wlepiali w nich zdumione spojrzenia.

Sir Reginald jako pierwszy odzyskał głos.

– To, co tu się wyprawia, to herezja. Jesteście aresztowani. Wszyscy. – Urwał, a po chwili dodał: – Zwłaszcza ty, Philbercie Cobley.

ROZDZIAŁ 6

I

Dzień przed ślubem Alison McKay została wezwana przed oblicze królowej Francji.

Wezwanie przyszło, gdy była w towarzystwie Marii Stuart, królowej Szkotów. Alison skrupulatnie goliła pachy Marii i udało jej się usunąć włosy bez najmniejszego skaleczenia. Nakładała właśnie olejek, by złagodzić podrażnioną skórę, gdy rozległo się pukanie do drzwi, a zaraz potem do komnaty weszła jedna z dwórek Marii. Była to szesnastoletnia Véronique z Gwizjuszów, daleka kuzynka Marii, dziewczyna piękna, wytworna i urzekająca.

– Przybył goniec od królowej Katarzyny – zwróciła się do Alison. – Jej Wysokość natychmiast chce cię zobaczyć.

Véronique towarzyszyła Alison, gdy ta opuściła pokój Marii i pospieszyła mrocznymi

korytarzami pałacu Tournelles do komnat królowej Katarzyny.

– Jak myślisz, czego chce Jej Wysokość? – dopytywała Véronique.

– Nie mam pojęcia – odparła Alison. Véronique mogła pytać z czystej ciekawości, ale równie dobrze mogła być szpiegiem na usługach potężnych wujów Marii.

– Królowa Katarzyna cię lubi.

– Lubi każdego, kto jest miły dla biednego Franciszka. – Mimo to Alison czuła niepokój. Członkowie rodów królewskich bywali zmienni i wezwanie mogło oznaczać zarówno dobre, jak i złe wieści.

Po drodze zatrzymał je młodzieniec, którego pierwszy raz widziała na oczy. Skłonił się nisko i zwrócił do Véronique:

– Jak miło cię widzieć, mademoiselle. Jesteś jak promień słońca w tym ponurym zamku.

Alison nigdy wcześniej go nie spotkała. Z pewnością zapamiętałaby tak przystojnego młodzieńca o jasnych, falujących włosach, odzianego w zielono-złoty dublet. Do tego był czarujący, choć nie było wątpliwości, że to Véronique go interesuje.

– Czy mogę jakoś pomóc, mademoiselle? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odparła Véronique z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Młodzieniec spojrzał na Alison i znów się ukłonił.

– Czuję się zaszczycony, mogąc panią poznać, panno McKay. Nazywam się Pierre Aumande. Mam zaszczyt służyć wujowi mademoiselle Véronique, kardynałowi Lotaryngii Karolowi.

– Czyżby? – zdumiała się Alison. – W charakterze?

– Pomagam mu prowadzić niezwykle rozległą korespondencję.

Jeśli Pierre był zwyczajnym kancelistą – a wszystko na to wskazywało – musiał być niezwykle ambitny, skoro postawił sobie za cel zastawić sidła na Véronique, daleką krewną braci Gwizjuszów. Wiadomo było jednak, że czasami fortuna sprzyja odważnym, a monsieur Aumande z pewnością do takich należał.

Alison wykorzystała sposobność, by uwolnić się od niechcianego towarzystwa.

– Jej Wysokość nie może na mnie czekać. Do widzenia, Véronique – rzekła i oddaliła się, nie czekając na odpowiedź.

Zastała królową na otomanie. Obok baraszkowało sześć kociąt ganiających za różową wstążką, którą Katarzyna machała im przed

oczami. Królowa podniosła wzrok i widząc jej przyjazny uśmiech, Alison odetchnęła z ulgą. Wszystko wskazywało na to, że nie wpadła w tarapaty.

Królowa Katarzyna już w młodości nie grzeszyła urodą, a teraz, w wieku czterdziestu lat, była jeszcze gruba. Uwielbiała się jednak stroić i dziś miała na sobie czarną suknię zdobioną wielkimi perłami – nietwarzową, lecz z całą pewnością ekstrawagancką. Poklepała dłonią otomanę, pokazując Alison, by usiadła.

Dziewczynę ucieszył ten przejaw poufałości. Podniosła maleńkie, czarno-białe kocię, które polizało jej pierścień, a chwilę później próbowało go ugryźć. Jego drobne ząbki były ostre jak igiełki, ale wciąż zbyt słabe, by wyrządzić krzywdę.

– Jak nasza panna młoda? – spytała Katarzyna.

– Zadziwiająco spokojna, Wasza Wysokość – odparła Alison, głaszcząc kociaka. – Trochę się denerwuje, ale nie może doczekać się jutra.

– Czy wie, że będzie musiała stracić dziewictwo w obecności świadków?

– Tak, Wasza Wysokość. Wstydzi się, ale jakoś to zniesie. – Jeśli Franciszek podoła zadaniu,

dodała Alison w duchu. Nie powiedziała tego na głos, by nie urazić królowej Katarzyny.

Ta jednak najwyraźniej podzielała jej obawy, bo rzekła:

– Nie wiemy, jak poradzi sobie z tym biedny Franciszek.

Alison milczała, wkraczały bowiem na niebezpieczny grunt.

Katarzyna pochyliła się w jej stronę i przemówiła niskim, głębokim głosem:

– Posłuchaj. Cokolwiek się stanie, Maria musi udawać, że małżeństwo zostało skonsumowane.

Alison cieszyła ta serdeczna, poufna rozmowa z królową Francji, lecz obawiała się problemów.

– To może być trudne, Wasza Wysokość.

– Świadkowie nie będą w stanie zobaczyć wszystkiego.

– Mimo to… – Alison zobaczyła, że jedno z kociąt zasnęło jej na kolanach.

– Franciszek musi położyć się na Marii i albo ją wychędożyć, albo udawać, że ją chędoży.

Bezpośredniość tych słów zdumiała Alison, miała jednak świadomość, że sprawa jest zbyt poważna, by silić się na eufemizmy.

– Kto powie Franciszkowi, co ma robić? – zapytała z tą samą co królowa praktyczną obojętnością.

– Ja. Ale ty musisz porozmawiać z Marią. Ona ci ufa.

Była to prawda i Alison cieszyła się, że królowa dostrzegła łączącą je zażyłość. Poczuła dumę.

– Co mam jej powiedzieć?

– Musi oznajmić głośno i wyraźnie, że straciła dziewictwo.

– A jeśli wynajmą medyków, żeby ją zbadali?

– Musimy się zabezpieczyć na taką ewentualność. Dlatego po ciebie posłałam. – Katarzyna wyciągnęła coś z kieszeni. – Spójrz na to. – Wręczyła przedmiot Alison.

Była to maleńka sakiewka, nie większa od kłębu jej kciuka, wykonana z miękkiej skóry, z wąską szyjką, zagiętą i związaną jedwabną nicią.

– Co to?

– Pęcherz łabędzia.

Alison była zdumiona.

– Teraz jest pusty – ciągnęła Katarzyna. – Jutro wieczorem dam ci go napełnionego krwią. Będzie mocno związany, żeby nic się nie wylało. Maria musi go ukryć pod koszulą nocną. Po wszystkim, bez względu na to, czy będą udawać, czy też nie, musi rozwiązać nić i wylać krew na prześcieradło, tak by wszyscy ją widzieli.

Alison przytaknęła. Plan był dobry. Zakrwawione prześcieradła oznaczały, że małżeństwo zostało skonsumowane. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza, i nikt nie wątpił w prawdziwość dowodów.

Oto jak kobiety pokroju Katarzyny wykorzystują swą władzę, pomyślała z podziwem. Działają sprytnie i niepostrzeżenie, z dala od ciekawskich oczu, i stawiają na swoim, choć mężczyźni myślą, że mają nad wszystkim kontrolę.

– Czy Maria to zrobi? – spytała Katarzyna.

– Tak, Wasza Wysokość – odparła z przekonaniem Alison. Marii nie brakowało odwagi. – Ale… świadkowie mogą zobaczyć pęcherz.

– Kiedy go opróżni, musi wepchnąć go sobie do pochwy i zostawić go tam aż do chwili, gdy będzie miała sposobność go wyciągnąć.

– Mam nadzieję, że nie wypadnie.

– Bez obaw… wiem coś o tym. – Królowa uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu nie było radości. – Nie ona pierwsza to zrobi.

– Dobrze.

– Zrozumiałaś wszystko? – Katarzyna wzięła kocię z jej kolan.

– Tak, Wasza Wysokość – zapewniła dziewczyna. – To proste. Coś takiego wymaga odwagi, ale Maria ma jej wiele. Nie zawiedzie Waszej Wysokości.

– To dobrze. – Katarzyna się uśmiechnęła. – Dziękuję.

Alison pomyślała o czymś i ściągnęła brwi.

– Krew musi być świeża. Skąd Wasza Wysokość ją weźmie?

– Och, nie wiem. – Królowa zawiązała różową wstążkę na szyi czarno-białego kotka. – Coś wymyślę – dodała.

II

Pierre wybrał dzień królewskich zaślubin, by porozmawiać z ojcem Sylvie Palot i poprosić go o rękę ukochanej córki.

W niedzielę rano, dwudziestego czwartego kwietnia 1558 roku, paryżanie wyciągnęli z szafy najlepsze ubrania. Pierre włożył niebieski dublet z rozcięciami odsłaniającymi białą jedwabną podszewkę. Wiedział, że Sylvie lubi ten strój, bardziej szykowny niż znoszone ubrania, w których chodzili stateczni przyjaciele jej

rodziców. Podejrzewał nawet, że poniekąd dzięki swej garderobie zyskał sympatię dziewczyny.

Wyszedł z budynku uniwersytetu na lewym brzegu rzeki i skierował się na północ w stronę Île de la Cité, wyspy na Sekwanie nazywanej Miasteczkiem. Na wąskich zatłoczonych uliczkach wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie. Sprzedawcy pierników, ostryg, pomarańczy i wina rozstawiali tymczasowe stragany. Domokrążca zaproponował mu ośmiostronicowy pamflet na temat królewskiego ślubu, z drzeworytem na okładce, który – jak twierdził – przedstawiał młodą parę, choć podobieństwo było znikome. Żebracy, prostytutki i uliczni grajkowie – wszyscy zmierzali w tym samym kierunku co Pierre. Paryż uwielbiał widowiska.

Pierre cieszył się na myśl o królewskich zaślubinach – wielkim sukcesie Gwizjuszów. Wujowie Marii – Człowiek z Blizną i kardynał Karol – byli wpływowi, ale mieli rywali: Montmorencych i Burbonów. Tymczasem małżeństwo wyniesie Gwizjuszów ponad te rody. Naturalnym biegiem rzeczy ich siostrzenica Maria zostanie królową Francji, a Gwizjusze staną się częścią rodziny królewskiej.

Pierre pragnął mieć swój udział w ich triumfie. By to uczynić, musiał jak najlepiej służyć kardynałowi. Zdobył już nazwiska wielu paryskich protestantów, wśród których byli przyjaciele rodziny Sylvie. Spisywał je w notatniku oprawionym – jak przystało – w czarną skórę, gdyż wszyscy, którzy się w nim znaleźli, mogli skończyć na stosie. Karola interesowało jednak przede wszystkim to, gdzie protestanci odprawiają swoje rytuały, a Pierre jak dotąd nie zdobył adresu żadnego z miejsc, w których odbywały się tajne spotkania.

Czuł, że jego sytuacja robi się rozpaczliwa. Kardynał zapłacił mu za nazwiska, ale obiecał zapłacić więcej za adresy. I nie chodziło wyłącznie o pieniądze, choć Pierre'owi zawsze było ich mało. Karol miał innych szpiegów; Pierre nie wiedział, ilu ich jest, lecz nie chciał być jednym z wielu. Musiał się wyróżnić; musiał być najlepszy i zamierzał dołożyć wszelkich starań, by być nie tylko użytecznym, ale wręcz niezbędnym.

W niedzielne popołudnia Sylvie wraz z rodziną znikała gdzieś, niewątpliwie po to, by uczestniczyć w protestanckich obrządkach, jednak mimo iż Pierre wielokrotnie o tym napomykał, Giles Palot wciąż nie zaprosił go, aby

im towarzyszył. Dlatego dziś Pierre zdecydował się na radykalny krok. Zamierzał oświadczyć się Sylvie, zakładał bowiem, że jeśli rodzice dziewczyny zaakceptują go jako jej narzeczonego, pozwolą mu uczestniczyć w nabożeństwach.

Już wcześniej prosił Sylvie o rękę i wiedział, że jest gotowa wyjść za niego choćby jutro. Ale jej ojciec był podejrzliwy i nieufny. Dziewczyna zgodziła się, by Pierre porozmawiał z nim dzisiaj. To był dobry dzień na oświadczyny. Królewski ślub wprawiał wszystkich w romantyczny nastrój – może nawet wprawi Giles'a.

Naturalnie Pierre nie miał zamiaru żenić się z Sylvie. Protestancka żona oznaczałaby koniec jego kariery w rodzinie Gwizjuszów. Poza tym nawet jej nie lubił: była zbyt poważna. Nie, potrzebował żony, dzięki której będzie mógł wspinać się po szczeblach drabiny społecznej. Wpadła mu w oko dziewczyna z mało znanej gałęzi Gwizjuszów, Véronique, która – jak mniemał – miała własne ambicje. Jeśli dziś zaręczy się z Sylvie, będzie musiał znaleźć pretekst, by odłożyć ślub w czasie. Z pewnością coś wymyśli.

Cichy, lecz irytujący głos w jego głowie wytykał mu, że złamie serce ślicznej młodej

dziewczyny, co było podłe i okrutne. Jego poprzednie ofiary, takie jak wdowa Bauchene, poniekąd same prosiły się o to, żeby je oszukać, ale Sylvie nie zrobiła nic, by zasłużyć sobie na to, co ją czekało. Po prostu zakochała się w mężczyźnie, którego Pierre tak umiejętnie udawał.

Żaden głos nie był jednak w stanie odwieść go od zmiany planów. Był na najlepszej drodze do zdobycia pieniędzy i wpływów i żadne błahostki mu w tym nie przeszkodzą. Głos przypominał mu, jak bardzo się zmienił, odkąd opuścił Thonnance-lès-Joinville i wyjechał do Paryża; zupełnie jakby stał się inną osobą. Mam nadzieję, pomyślał. Kiedyś byłem nikim – bękartem biednego wiejskiego księdza – ale to się zmieni; jeszcze będę ważną osobistością.

Przeszedł kamiennym mostem do Miasteczka – na wyspę na Sekwanie – gdzie stała katedra Notre Dame. Franciszek i Maria wezmą ślub na placu po zachodniej strony katedry. Specjalnie na ceremonię zbudowano ogromny podest, wysoki na dwanaście stóp i ciągnący się od pałacu arcybiskupa przez plac aż do drzwi katedry, tak by ludność Paryża widziała wszystko, ale nie mogła dotykać rodziny królewskiej ani gości. Wokół podestu już gromadzili się gapie, którzy

chcieli zająć jak najlepsze miejsca. Na końcu katedry nadymał się baldachim z niebieskiego jedwabiu haftowanego we *fleurs de lys*, kwiaty lilii, by ochronić młodą parę przed słońcem. Myśl o tym, ile kosztował, przyprawiła Pierre'a o dreszcze.

Na podniesieniu zobaczył Człowieka z Blizną, księcia Gwizjusza, który tego dnia był mistrzem ceremonii. Wyglądało na to, że sprzeczał się z jakimiś mężczyznami, którzy przyszli nieco wcześniej, żeby stanąć jak najbliżej podestu, i nakazywał im się przesunąć. Pierre podszedł do podniesienia i ukłonił się nisko, ale książę Franciszek go nie zauważył.

Chwilę później skierował się w stronę domów na północ od katedry. W Dzień Pański księgarnia Giles'a Palota była zamknięta, ale podszedł do wejścia na tyłach drukarni.

Sylvie zbiegła po schodach, żeby go przywitać. Dzięki temu mogli spędzić chwilę sam na sam. Szczęśliwa dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła wargi, by go pocałować.

O dziwo, odwzajemnianie czułości przychodziło Pierre'owi z wyjątkowym trudem. Owszem, całował Sylvie i łapał ją za piersi przez gorset sukienki, ale nie czuł podniecenia.

– Jest w dobrym nastroju! – oznajmiła podekscytowana. – Wejdź na górę.

Pierre ruszył za nią po schodach do mieszkania na piętrze. Giles i jego żona Isabelle siedzieli przy stole w towarzystwie Guillaume'a.

Giles był niczym wół – silny i umięśniony. Wyglądał, jakby był w stanie unieść na barkach cały dom. Z tego, co mówiła Sylvie, Pierre wiedział, że bywał porywczy i brutalny wobec swojej rodziny i pracowników. Co się stanie, jeśli odkryje, że Pierre jest katolickim szpiegiem? W tej chwili starał się o tym nie myśleć.

W pierwszej kolejności ukłonił się Giles'owi jako głowie rodziny.

– Dzień dobry, panie Palot. Mam nadzieję, że znajduję pana w dobrym zdrowiu.

Ojciec Sylvie odpowiedział burknięciem, które nie miało być obraźliwe; witał się w ten sposób z każdym.

Isabelle była bardziej wrażliwa na urok Pierre'a. Kiedy ucałował jej rękę, uśmiechnęła się i zaprosiła go do stołu. Podobnie jak córka, miała prosty nos, mocną szczękę i rysy twarzy zdradzające silną osobowość. Ludzie uważali zapewne, że jest przystojna, ale nie ładna. Będąc w dobrym humorze, Pierre potrafił wyobrazić ją sobie w roli ponętnej uwodzicielki. Jeśli chodzi

o osobowość, matka i córka były takie same – zdeterminowane i śmiałe.

Guillaume stanowił tajemnicę. Blady dwudziestopięciolatek roztaczał wokół siebie aurę powagi. Pojawił się w księgarni tego samego dnia co Pierre i natychmiast zamieszkał z Palotami. Palce miał uwalane atramentem i z wymijających odpowiedzi Isabelle wynikało, że jest studentem, choć nie studiował na Sorbonie i Pierre nigdy nie widział go na zajęciach. Nie wiadomo było, czy płaci za mieszkanie u Palotów, czy pomieszkuje u nich jako gość. W rozmowach niczego nie zdradzał. Pierre chętnie zasypałby go gradem pytań, obawiał się jednak, że swoim wścibstwem wzbudziłby podejrzenia.

Wszedłszy do pokoju, zauważył, że Guillaume z udawaną swobodą zamknął książkę, którą nakrył rękami, jak gdyby obawiał się, że się otworzy. Być może chwilę temu czytał coś na głos. Intuicja podpowiadała Pierre’owi, że książka to zakazane protestanckie dzieło, udawał jednak, że niczego nie zauważył.

Kiedy powitania dobiegły końca, Sylvie – bezpośrednia jak zwykle – zwróciła się do Giles’a:

– Pierre chce ci coś powiedzieć, ojcze.

– Mów zatem, chłopcze – rzucił Giles.

Pierre nienawidził tak protekcjonalnego traktowania, lecz wiedział, że nie jest to odpowiednia chwila, by okazywać niezadowolenie.

– Może wolelibyście porozmawiać na osobności – zasugerowała Sylvie.

– Nie widzę powodu – odparł jej ojciec.

Pierre wolałby rozmowę w cztery oczy, jednak udawał niefrasobliwego.

– Z radością powiem to przy wszystkich.

– Dobrze więc – rzekł Giles, a Guillaume, który wstał od stołu, usiadł z powrotem.

– Panie Palot – zaczął Pierre – pokornie proszę o pozwolenie na ślub z pańską córką.

Isabelle wydała stłumiony okrzyk – nie zaskoczenia, bo prawdopodobnie spodziewała się takiego obrotu spraw, raczej radości. Pierre pochwycił zdumione spojrzenie Guillaume'a i zastanawiał się, czy gość Palotów nie podkochuje się przypadkiem w ich córce. Giles wyglądał na poirytowanego, jak gdyby słowa Pierre'a zepsuły mu niedzielę.

Stłumiwszy westchnienie, skupił się na tym, co go czekało: przesłuchiwaniu Pierre'a.

– Jesteś studentem – zaczął drwiąco. – Jak możesz proponować małżeństwo?

– Rozumiem pańskie obawy – odparł uprzejmie Pierre. Nie zamierzał dać się zbić z pantałyku byle gburowatością. Chwilę później zaczął robić coś, w czym był naprawdę dobry: kłamać. – Moja matka posiada skrawek ziemi w Szampanii, niewielki, ledwie kilka winnic, ale opłaty za dzierżawę są tam wysokie, więc mamy przychód. – W rzeczywistości matka Pierre'a była biedną gosposią wiejskiego księdza i Pierre, żeby przeżyć, musiał kombinować. – Kiedy skończę studia, mam nadzieję zostać prawnikiem, tak by mojej żonie niczego nie brakowało. – Ta ostatnia część była bliższa prawdy.

Giles nie skomentował jego słów, zapytał tylko:

– Jakiego jesteś wyznania?

– Jestem chrześcijaninem szukającym oświecenia. – Pierre spodziewał się takiego pytania i zawczasu przygotował odpowiedzi. Miał tylko nadzieję, że nie zabrzmią zbyt gładko, a przez to podejrzanie.

– Opowiedz o oświeceniu, którego poszukujesz.

Było to sprytne pytanie. Pierre nie mógł otwarcie przyznać się do bycia protestantem, gdyż nigdy nie uczestniczył w spotkaniu. Musiał jednak pokazać, że jest gotów się nawrócić.

– Niepokoją mnie dwie rzeczy – odparł stroskanym głosem. – Pierwsza to msza. Jesteśmy nauczani, że chleb i wino zmieniają się w ciało i krew Jezusa. Nie wyglądają jednak jak ciało i krew, nie smakują i nie pachną jak one. Czymże więc jest owa transformacja? Moim zdaniem, brzmi to jak jakaś pseudofilozofia. – Słyszał podobne argumenty z ust innych studentów, którzy sympatyzowali z protestantami. Osobiście uważał, że to niepojęte, by ludzie sprzeczali się o tak abstrakcyjne rzeczy.

Giles całym sercem zgadzał się z tą teorią, nie dał jednak tego po sobie poznać.

– A ta druga rzecz? – zapytał.

– Fakt, że księża pobierają dziesięcinę od biednych wieśniaków i wydają pieniądze na życie w luksusie, zamiast wypełniać swe święte obowiązki.

Była to kwestia, która oburzała nawet najbardziej pobożnych katolików.

– Za coś takiego możesz skończyć w więzieniu. Jak śmiesz głosić w moim domu podobne herezje? – spytał Giles z udawanym oburzeniem.

– Nie udawaj, ojcze, on wie, kim jesteśmy – wtrąciła Sylvie.

Rzucił córce wściekłe spojrzenie.

– Ty mu powiedziałaś? – Zacisnął mięsiste pięści.

– Sylvie nic mi nie powiedziała – wtrącił pospiesznie Pierre. – To oczywiste.

– Oczywiste? – Giles poczerwieniał na twarzy.

– Dla każdego, kto jest spostrzegawczy. Wszystkie te rzeczy, których brakuje u państwa w domu. Nad łóżkiem nie wisi krzyż, we wnęce przy drzwiach nie stoi figurka Matki Boskiej, a nad kominkiem nie wisi obraz Świętej Rodziny. Pańska żona nie nosi sukien zdobionych perłami, choć może sobie na to pozwolić. A pańska córka nosi brązową opończę. – Sięgnął ponad stołem i błyskawicznym ruchem wyszarpnął książkę spod rąk Guillaume'a. – A w niedzielny ranek czytacie po francusku Ewangelię według świętego Mateusza.

– Doniesiesz na nas? – Guillaume po raz pierwszy zabrał głos; wyglądał na naprawdę przerażonego.

– Nie, Guillaume. Gdybym chciał to zrobić, przyszedłbym tu w asyście strażników. – Pierre spojrzał na Giles'a. – Chcę do was dołączyć. Pragnę zostać protestantem. I poślubić Sylvie.

– Proszę, tato, zgódź się – pisnęła dziewczyna, klękając przed ojcem. – Pierre kocha mnie, a ja

jego. Będziemy razem tacy szczęśliwi. No i pomoże nam głosić prawdziwą ewangelię.

Jej ojciec rozwarł pięści, a jego twarz odzyskała normalny kolor.

– Tak będzie? – zwrócił się do Pierre'a.

– Tak – odparł Pierre. – Jeśli mnie przyjmiecie.

Giles spojrzał na żonę, a ta niemal niezauważalnie skinęła głową. Pierre podejrzewał, że wbrew pozorom tak naprawdę to ona jest głową rodziny. Giles się uśmiechnął – co było nieczęstym widokiem – i patrząc na córkę, odparł:

– Dobrze. Pobierzcie się i niech Bóg ma was w opiece.

Sylvie podniosła się z kolan, przytuliła ojca i pocałowała Pierre'a. W tej samej chwili, jak na umówiony znak, zgromadzony przed katedrą tłum zaczął wiwatować.

– Oni też pochwalają nasze małżeństwo – zauważył Pierre, na co wszyscy się roześmiali.

Podeszli do okien z widokiem na plac. Ślubny orszak zmierzał w stronę podniesienia. Na przedzie kroczyli żołnierze znani jako Gwardia Szwajcarska z charakterystycznymi pasiastymi rękawami i piórami w hełmach. Pierre patrzył, jak na plac wchodzi grupa muzyków grających na fujarkach i bębnach, a za nimi dworzanie

w nowych strojach, mieniących się wszelkimi odcieniami czerwieni, złota, błękitu, żółci i lawendy.

– Zupełnie jakby zorganizowali to dla mnie i Pierre’a! – zawołała podekscytowana Sylvie.

Tłum zamilkł i skłonił głowy, kiedy pojawili się biskupi z wysadzanymi klejnotami krzyżami i świętymi relikwiami w przepięknych złotych relikwiarzach. Pierre dostrzegł wśród nich kardynała Karola w czerwonych szatach, niosącego złoty kielich zdobiony kamieniami szlachetnymi.

W końcu pojawił się pan młody. Czternastoletni Franciszek wyglądał na przerażonego. Był szczupły i słabowity i nawet klejnoty w koronie i szubie nie były w stanie przydać mu królewskiej dostojności. U jego boku szedł król Nawarry Antoni, głowa wrogiemu Gwizjuszom rodu Burbonów. Pierre domyślał się, że ktoś – być może nadmiernie ostrożna królowa Katarzyna – powierzył Antoniemu tę zaszczytną rolę, chcąc uczynić z niego przeciwwagę dla Gwizjuszów, którzy mogli zdominować ceremonię.

Chwilę później w tłumie podniosła się wrzawa, każdy bowiem chciał zobaczyć na własne oczy króla Henryka II i bohatera

wojennego, Człowieka z Blizną, którzy prowadzili do ołtarza pannę młodą.

Maria miała na sobie śnieżnobiałą suknię.

– Biel? – rzuciła Isabelle, stając obok Pierre'a i spoglądając ponad jego ramieniem. Biel była kolorem żałoby. – Włożyła białą suknię?

III

Alison McKay była przeciwna białej sukni ślubnej. We Francji był to kolor żałoby. Obawiała się, że ludzie będą zdumieni, a biel sprawi, że Maria Stuart będzie się wydawać bledsza niż zwykle. Ale Maria była pewna siebie i uparta, jak tylko potrafi być uparta piętnastoletnia dziewczyna, zwłaszcza w kwestii ubioru. Postanowiła pójść do ślubu w bieli i nie zamierzała zmieniać zdania.

I udało się. Jedwab zdawał się lśnić, podkreślając czystość Marii i jej niewinność. Ramiona panny młodej okrywała peleryna z niebieskoszarego aksamitu, który mienił się w kwietniowym słońcu niczym powierzchnia rzeki przepływającej obok katedry. Aksamitny tren był ciężki; Alison miała tego świadomość,

albowiem była jedną z dwóch dziewcząt, które go niosły.

Maria miała na głowie diadem wysadzany brylantami, perłami, rubinami i szafirami i Alison domyślała się, że panna młoda marzy o tym, by w końcu go zdjąć. Jej szyję zdobił ogromny naszyjnik z kamieniami szlachetnymi, z wisiorem, który nazwała żartobliwie „Wielkim Henrykiem", ponieważ był on darem od króla Henryka.

Rudowłosa Maria o mlecznobiałej cerze przypominała anioła i ludzie ją kochali. Kiedy prowadzona pod ramię przez króla zbliżała się do podestu, pośród tłumu przetoczył się pomruk aprobaty niczym fala dotrzymująca jej kroku.

Alison była drugorzędną postacią w tej galaktyce członków rodziny królewskiej i szlachetnie urodzonych osobistości, ale pławiła się w blasku chwały, który roztaczała wokół siebie jej najlepsza przyjaciółka. Odkąd sięgała pamięcią, razem z Marią wyobrażały sobie dzień swoich zaślubin, ale to, czego była świadkiem, przyćmiewało wszystko, o czym marzyły. Był to hołd oddany Marii i Alison cieszyła się szczęściem zarówno przyjaciółki, jak i swoim.

Orszak ślubny dotarł do osłoniętego baldachimem podestu, gdzie czekał pan młody.

Kiedy Maria stanęła obok niego, stało się boleśnie jasne, że jest wyższa od Franciszka o stopę, i tu i ówdzie wśród zgromadzonej gawiedzi dało się słyszeć szyderczy śmiech. Kiedy młoda para uklękła przed arcybiskupem Rouen, różnica wzrostu nie była już tak żałośnie widoczna.

Król zdjął z palca pierścień, wręczył go arcybiskupowi i rozpoczęła się ceremonia zaślubin.

Maria wypowiadała swoje kwestie głośno i wyraźnie, podczas gdy Franciszek mówił ściszonym głosem, żeby tłum nie śmiał się z jego jąkania.

Alison przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz się spotkały, Maria również miała na sobie białą suknię. Zaraza zabiła oboje rodziców Alison i dziewczyna mieszkała w zimnym domu owdowiałej ciotki Janice, przyjaciółki matki Marii, Marii Gwizjusz. Sierocie pozwolono bawić się z czteroletnią wówczas królową Szkocji. Pokój dziecinny Marii pełen był miękkich poduszek i pięknych zabawek i Alison na chwilę zapomniała, że nie ma już matki.

Z czasem coraz częściej odwiedzała małą królową. Maria z podziwem patrzyła na swoją sześcioletnią przyjaciółkę, a Alison dziękowała

Bogu za każdym razem, gdy mogła uwolnić się od posępnej atmosfery domu ciotki. Rok później dowiedziała się, że Maria wyjeżdża, by zamieszkać we Francji. Alison była zdruzgotana, ale Maria, która już wówczas zdradzała oznaki swojego władczego usposobienia, dostała napadu złości i uparła się, że Alison pojedzie razem z nią. W końcu dopięła swego.

Podczas burzliwej podróży morskiej dzieliły kajutę i nocami tuliły się do siebie, co zostało im po dziś dzień, kiedy były niespokojne albo przestraszone. Trzymały się za ręce podczas spotkań z dziesiątkami barwnie ubranych Francuzów, którzy wyśmiewali ich gardłowy szkocki akcent. Wszystko było przerażająco dziwne i tym razem to starsza Alison ocaliła Marię, pomagając jej uczyć się obcych francuskich słów i wytwornych dworskich manier i pocieszając ją nocami, kiedy płakała. Alison wiedziała, że żadna z nich nie zapomni drugiej jej dziecięcego oddania.

Ceremonia dobiegła końca. Na palec Marii wsunięto złoty pierścień, arcybiskup ogłosił ich mężem i żoną, a zgromadzony na placu tłum wiwatował.

Chwilę później dwóch heroldów ze skórzanymi sakiewkami zaczęło rozrzucać wśród

ciżby monety, na co gapie zareagowali okrzykami radości. Ludzie wyciągali ręce, żeby pochwycić monety, i przypadali do ziemi, by pozbierać te, które się im wymsknęły. Ci stojący w innych częściach placu krzykiem domagali się sprawiedliwego traktowania. Tu i ówdzie dochodziło do bijatyk. Ci, którzy upadli, byli tratowani, a ci, którzy utrzymali się na nogach, tłoczyli się i przepychali. Ranni krzyczeli. Alison uważała, że to niesmaczne, ale wielu szlachetnie urodzonych gości śmiało się, widząc, jak pospólstwo walczy o pieniądze. Dla nich była to lepsza rozrywka od walk byków. Heroldowie wyrzucali w powietrze pieniądze, aż w sakiewkach nie została ani jedna moneta.

Tymczasem arcybiskup wszedł do katedry, gdzie miała się odbyć msza. Tuż za nim podążyli nowożeńcy – dzieci uwikłane w małżeństwo, którego nie powinny były nigdy zawierać. Alison szła za Marią, niosąc jej tren. Kiedy wyszli ze słońca w chłodny mrok ogromnego kościoła, pomyślała, że dzieci królów mają w życiu wszystko oprócz wolności.

IV

Przechodząc nad Sekwaną przez Petit Pont, Sylvie kurczowo trzymała się ramienia Pierre'a. Teraz należał do niej i już zawsze będzie chodziła z nim pod rękę. Był równie mądry jak jej ojciec i dużo bardziej czarujący. A jaki przystojny z tymi swoimi gęstymi włosami, orzechowymi oczami i ujmującym uśmiechem. Nawet jego ubrania się jej podobały, choć miała wyrzuty sumienia, że zachwyca się ekstrawaganckimi, krzykliwymi strojami pogardzanymi przez protestantów.

Przede wszystkim jednak kochała go za to, że traktował prawdziwą ewangelię równie poważnie jak ona. Sam zaczął kwestionować zdradzieckie nauki katolickich księży i zachęcony przez nią, wszedł na drogę prowadzącą do prawdy. A poza tym był gotów ryzykować życie, by towarzyszyć jej w tajnym spotkaniu.

Gdy ceremonia zaślubin dobiegła końca i tłumy zaczęły się rozchodzić, rodzina Palotów – do której właściwie należał teraz także Pierre Aumande – wyruszyła w drogę do kościoła protestanckiego.

Po zaręczynach Sylvie odkryła, że przybyło jej zmartwień. Jak to będzie kochać się z Pierre'em? Kilka lat temu, kiedy zaczęły się miesięczne krwawienia, matka powiedziała jej, co mężczyźni i kobiety robią razem w łożu; jednak Isabelle była w tej kwestii dziwnie wstydliwa. Sylvie wprost nie mogła się doczekać, by przekonać się, jak to jest, poczuć dłonie Pierre'a błądzące po jej nagim ciele, jego ciężar na sobie i zobaczyć intymne części jego ciała.

Zdobyła go, ale czy będzie w stanie na zawsze zatrzymać jego miłość? Matka mówiła, że ojciec nigdy nawet nie flirtował z inną kobietą, ale niektórzy mężczyźni z czasem tracili zainteresowanie żonami, a Pierre zawsze podobał się płci pięknej. Sylvie będzie musiała się postarać, żeby rozkochać go w sobie na dobre. Pomoże jej w tym ich wiara, zwłaszcza że oboje będą głosić ewangelię.

Kiedy wezmą ślub? Sylvie chciałaby najszybciej, jak będzie to możliwe. Pierre wspominał, że chce, by w ceremonii uczestniczyła jego matka, jeśli będzie czuła się na tyle dobrze, by przyjechać z Szampanii. Mówił ogólnikowo, a Sylvie nie chciała naciskać, bo wstydziła się swojego zniecierpliwienia.

Zaręczyny uradowały jej matkę i Sylvie miała wrażenie, że ta, gdyby mogła, sama chętnie wyszłaby za Pierre'a. Oczywiście nie naprawdę, ale…

Podejrzewała, że ojciec cieszy się bardziej, niż to okazuje. Wydawał się spokojny i odprężony jak nigdy.

Tylko Guillaume był skwaszony i Sylvie uświadomiła sobie, że pewnie się w niej podkochuje. Może on także planował się jej oświadczyć. Cóż, jeśli tak, było już za późno. Gdyby nie spotkała Pierre'a, być może polubiłaby tego bystrego i poważnego człowieka. Wiedziała jednak, że on nigdy nie spojrzałby na nią tak, że zakręciłoby się jej w głowie, a nogi ugięłyby się pod nią do tego stopnia, że musiałaby usiąść.

Najbardziej jednak cieszyło ją to, jak szczęśliwy wydawał się Pierre. Szedł sprężystym, raźnym krokiem, cały czas się uśmiechał i rozśmieszał ją zabawnymi uwagami na temat ludzi i budynków, które mijali w drodze do dzielnicy uniwersyteckiej. Wystarczyło spojrzeć, by widzieć, jak bardzo cieszy się z zaręczyn.

Sylvie wiedziała też, że cieszy go to, że w końcu weźmie udział w mszy protestanckiej. Nieraz wypytywał ją, gdzie mieści się ich kościół, i wyglądał na rozczarowanego, gdy tłumaczyła,

że nie może mu tego zdradzić. Teraz nie było już między nimi żadnych tajemnic.

Nie mogła się doczekać, aż dotrą na miejsce. Była dumna z Pierre'a i chciała go wszystkim przedstawić. Z pewnością go polubią. Miała nadzieję, że on ich również.

Przeszli przez bramy Saint-Giles i znaleźli się na przedmieściach, po czym zeszli z drogi na ledwie widoczną leśną ścieżkę. Sto jardów dalej, ukryci między drzewami, stali dwaj rośli mężczyźni, którzy wyglądali jak strażnicy, choć nie mieli broni. Giles powitał ich skinieniem głowy, a następnie wskazał palcem Pierre'a.

– On jest z nami – powiedział.

Minąwszy strażników, Pierre zwrócił się do Sylvie:

– Kim są ci ludzie?

– Zatrzymują każdego, kogo nie znają – wyjaśniła. – Jeśli ktoś przypadkiem zapuści się w te strony, mówią, że to prywatny las.

– A do kogo należy?

– Do markiza Nîmes.

– On też jest protestantem?

Sylvie zawahała się, uznała jednak, że teraz może mu powiedzieć. Koniec z tajemnicami.

– Tak – odparła.

Wiedziała, że wśród protestantów jest wielu arystokratów. Gdyby prawda wyszła na jaw, mogli skończyć na stosie jak każdy, choć jak w przypadku każdej innej zbrodni, również oskarżeni o herezję mieli większe szanse uniknąć kary dzięki pomocy wpływowych przyjaciół.

Dotarli do budynku, który przypominał nieużywaną chatkę łowiecką. Okiennice na parterze były zamknięte, a chwasty rosnące bujnie przed drzwiami wejściowymi sugerowały, że do domu od lat nikt nie wchodził.

Sylvie słyszała, że w nielicznych francuskich miastach, w których protestanci stanowili większość wyznaniową, nabożeństwa odprawiano jawnie w prawdziwych kościołach, strzeżonych jednak przez uzbrojonych strażników. W Paryżu było inaczej. Stolica Francji stanowiła katolicki bastion pełen ludzi, którzy zarabiali na życie, służąc Kościołowi i monarchii. Tu nienawidzono protestantów.

Obeszli budynek i przez małe boczne drzwi weszli do sali, w której – jak domyślała się Sylvie – niegdyś zatrzymywały się drużyny łowieckie. Teraz było tu ciemno i cicho. Rzędy krzeseł i ław stały zwrócone w kierunku stołu nakrytego białym obrusem. Na sali zgromadziło się około

stu osób. Na prostym glinianym talerzu leżał chleb, a obok stał dzban z winem.

Widząc, że Giles i Isabelle usiedli, Sylvie i Pierre zrobili to samo. Guillaume zajął miejsce naprzeciw wiernych.

– Czyli Guillaume jest księdzem? – szepnął Pierre.

– Pastorem – sprostowała Sylvie. – Ale tylko gościnnie. Na co dzień naszym pastorem jest Bernard. – Wskazała wysokiego, poważnego mężczyznę po pięćdziesiątce z rzednącymi siwymi włosami.

– Czy markiz tu jest?

Sylvie rozejrzała się i minęła chwila, zanim zauważyła korpulentną postać markiza Nîmes.

– Siedzi w pierwszym rzędzie – mruknęła. – Ten z dużym, białym kołnierzem.

– Ta w ciemnozielonej pelerynie to jego córka?

– Nie, to markiza Louise.

– Jest młoda.

– Ma dwadzieścia lat. To jego druga żona.

Wśród zgromadzonych była rodzina Mauriaców: Luc, Jeanne i ich syn, Georges, adorator Sylvie, który patrzył na Pierre'a z zazdrością i zaskoczeniem. Sądząc po jego minie, wiedział, że nie może z nim

konkurować. Sylvie, która była tego świadoma, pozwoliła sobie na grzeszną chwilę dumy. Pierre był dużo przystojniejszy od Georges'a.

Kiedy zaczęli śpiewać psalm, Pierre szepnął jej do ucha:

– Nie ma chóru?

– My jesteśmy chórem. – Uwielbiała śpiewać hymny po francusku i nie szczędziła przy tym gardła. Była to jedna z zalet wyznawania prawdziwej ewangelii. W normalnych kościołach czuła się jak widz oglądający przedstawienie, tu była jego częścią.

– Masz piękny głos – pochwalił ją Pierre.

Wiedziała, że mówi prawdę; potrafiła śpiewać tak pięknie, że na myśl o tym często dopuszczała się grzechu dumy.

Po modlitwach przyszedł czas na odczytywanie fragmentów Biblii – wszystko po francusku – i na komunię. Tu chleb i wino nie były ciałem i krwią, lecz zwykłymi symbolami, co wydawało się bardziej rozsądne. Na koniec Guillaume wygłosił płomienne kazanie o nikczemności papieża Pawła IV. Osiemdziesięciojednoletni Paweł był nietolerancyjnym konserwatystą, który wzmocnił inkwizycję i zmusił żydów mieszkających w Rzymie, by nosili żółte nakrycia

głowy. Był znienawidzony zarówno przez katolików, jak i przez protestantów.

Kiedy msza dobiegła końca, krzesła ustawiono w nierównym kole.

– Ta część nazywa się zebraniem bractwa – wyjaśniła Pierre'owi Sylvie. – Wymieniamy się wiadomościami i omawiamy różne rzeczy. Kobiety też mogą zabierać głos.

Jako pierwszy przemówił Guillaume, który zaskoczył wszystkich, oświadczając, że wyjeżdża z Paryża. Wyraził wdzięczność, że mógł pomóc pastorowi Bernardowi i starszyźnie zmienić zgromadzenie według zasad głoszonych przez Jana Kalwina w Genewie. Dzięki organizacji i dyscyplinie wspólnot takich jak ta w Paryżu na przedmieściach Saint-Giles, protestantyzm miał we Francji coraz więcej zwolenników. Guillaume'a szczególnie cieszył fakt, że wierni nie boją się rozmawiać o zorganizowaniu pierwszego narodowego synodu protestanckiego, który miał się odbyć za rok.

Był jednak wędrownym kaznodzieją i inne zgromadzenia również go potrzebowały, dlatego przed upływem tygodnia opuści miasto.

Nikt nie spodziewał się, że zostanie z nimi na zawsze, mimo to decyzja o wyjeździe była dla wszystkich dużym zaskoczeniem. Sylvie nie

mogła oprzeć się wrażeniu, że powodem, dla którego tak nagle zdecydował się opuścić Paryż, były jej zaręczyny. Upominała się w duchu, że myśląc w ten sposób, daje upust swojej próżności, i pospiesznie pomodliła się o więcej pokory.

Następny zabrał głos Luc Mauriac.

– Przykro mi, że wyjeżdżasz tak nagle, Guillaume, albowiem nie poruszyliśmy jednej istotnej kwestii: herezji wewnątrz naszej wspólnoty. – Luc miał w sobie zadziorność jak wielu niskich mężczyzn, ale był prawdziwym orędownikiem tolerancji. – Wielu z nas było zszokowanych, gdy Kalwin uznał, że Miguel Servet powinien spłonąć na stosie.

Sylvie – podobnie jak pozostali – wiedziała, o czym mówi. Servet był protestanckim myślicielem, który poróżnił się z Kalwinem o doktrynę Trójcy Świętej. Został stracony w Genewie, ku przerażeniu protestantów takich jak Luc Mauriac, wierzących, że tylko katolicy są zdolni zabijać tych, którzy się z nimi nie zgadzają.

– To było pięć lat temu – odparł niecierpliwie Guillaume.

– Ale kwestia pozostała nierozwiązana.

Sylvie pokiwała stanowczo głową. Sprawa Serveta nie dawała jej spokoju. Protestanci domagali się tolerancji od królów i biskupów, którzy się z nimi nie zgadzali. Jak zatem mogli prześladować innych? A tymczasem niektórzy z nich byli równie surowi jak katolicy albo jeszcze gorsi.

Guillaume machnął lekceważąco ręką.

– We wspólnocie musi panować dyscyplina. – Widać było, że nie chce prowadzić tej rozmowy.

Jego gładki ton rozjuszył Sylvie do tego stopnia, że postanowiła zabrać głos.

– Ale nie powinniśmy zabijać się nawzajem. – Zwykle się nie odzywała i choć kobiety miały do tego prawo, młode dziewczęta rzadko wyrażały swoje zdanie. Sylvie była już jednak niemal mężatką; zresztą nie mogła milczeć w tej sprawie. – Skoro Servet walczył słowem mówionym i pisanym, należało odeprzeć jego ataki przy użyciu słowa, nie przemocy!

Luc Mauriac skinął głową, wyraźnie zadowolony z tak żarliwego wsparcia, lecz kilka starszych kobiet popatrywało na Sylvie z dezaprobatą.

– To nie są twoje słowa – rzucił wzgardliwie Guillaume. – Cytujesz Castellia, następnego heretyka.

Nie mylił się. Cytat pochodził z pamfletu Sebastiana Castellia zatytułowanego *Czy heretycy powinni być prześladowani?*, ale Sylvie korzystała też z innych źródeł. Czytała książki, które drukował jej ojciec, i znała dzieła protestanckich teologów równie dobrze jak Guillaume.

– Jeśli chcesz, zacytuję Kalwina – odparła. – Napisał: *Niechrześcijańskie jest używanie broni przeciwko tym, którzy zostali wykluczeni z Kościoła.* Oczywiście mówił tak, kiedy sam został uznany za heretyka i był prześladowany.

Zauważyła, że niektórzy ściągają brwi z dezaprobatą, i uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko, dając do zrozumienia, że wielki Jan Kalwin jest hipokrytą.

– Jesteś zbyt młoda, by to zrozumieć – żachnął się Guillaume.

– Zbyt młoda? – oburzyła się Sylvie. – Nie byłam jednak za młoda, kiedy ryzykowałam życie, sprzedając kopie ksiąg, które przywiozłeś z Genewy!

Na sali zapanowało poruszenie, ludzie zaczęli mówić jedni przez drugich i pastor Bernard poderwał się z krzesła, by zaprowadzić porządek.

– Nie rozwiążemy tej kwestii w jedno popołudnie – rzekł pojednawczo. – Poprośmy Guillaume’a, żeby po powrocie do Genewy

opowiedział Janowi Kalwinowi o naszych obawach.

Luc Mauriac był wyraźnie niezadowolony z takiego rozwiązania.

– Tylko czy Kalwin nam odpowie? – zapytał.

– Ależ oczywiście – zapewnił go Bernard, choć nie wyjaśnił, skąd u niego ta pewność. – A teraz zakończmy spotkanie modlitwą. – Zamknął oczy, wzniósł twarz ku niebu i zaczął się modlić.

Nagła cisza sprawiła, że Sylvie się uspokoiła. Przypomniała sobie, jak bardzo chciała przedstawić wszystkim Pierre'a i powiedzieć na głos: „To mój narzeczony".

Kiedy modlitwa dobiegła końca, ludzie zaczęli rozmawiać między sobą, a Sylvie oprowadziła Pierre'a po sali. Pękała z dumy, mając u swego boku tak przystojnego młodzieńca, i choć starała się ukryć samozadowolenie, przychodziło jej to z trudem; tak rozpierało ją szczęście.

Pierre był ujmujący jak zawsze. Z szacunkiem rozmawiał z mężczyznami, flirtował niewinnie z kobietami i ujmował swoją osobowością dziewczęta. Uważał na to, co mówiła Sylvie, starał się zapamiętać wszystkie nazwiska i delikatnie rozpytywał ludzi o to, gdzie mieszkają i czym się zajmują. Protestanci chętnie

witali w swym gronie nowicjuszy, dzięki czemu czuł się jak w domu.

Sytuacja się pogorszyła, kiedy Sylvie przedstawiła go Louise, markizie Nîmes. Louise była córką bogatego kupca winnego z Szampanii, niebrzydką kobietą z obfitym biustem, czym z pewnością zwróciła na siebie uwagę podstarzałego markiza. Sylvie domyślała się, że jej powściągliwość i wyniosłość wynikały z tego, iż nie była arystokratką z urodzenia i czuła się niepewnie w roli markizy. Jeśli jednak coś zdenerwowało markizę, potrafiła być nadzwyczaj sarkastyczna.

Pierre popełnił błąd, traktując ją jako swoją krajankę.

– Ja również pochodzę z Szampanii – oznajmił i dodał z uśmiechem: – Oboje jesteśmy prostaczkami w wielkim mieście.

Był to, oczywiście, żart, lecz okazał się dość niefortunny. Pierre nie mógł tego wiedzieć, ale Louise panicznie się bała, że ludzie zobaczą w niej dziewczynę z prowincji.

Reakcja była natychmiastowa. Markiza pobladła, a na jej twarzy odmalowała się pogarda. Odwróciła głowę, jakby nagle poczuła nieprzyjemny zapach, i odezwała się lodowatym tonem, tak by wszyscy ją słyszeli:

– Nawet w Szampanii powinno się uczyć młodych mężczyzn, by odnosili się z szacunkiem do osób o wyższej pozycji społecznej.

Pierre oblał się rumieńcem, a Louise odwróciła się i ściszonym głosem zaczęła rozmawiać z jedną ze stojących obok osób.

Sylvie i Pierre stali jak skamieniali, wpatrując się w jej plecy. Sylvie była zażenowana. Markiza zraziła się do jej narzeczonego i z pewnością już nigdy nie zmieni o nim zdania. Co gorsza, wielu członków zgromadzenia było świadkami zajścia i zanim rozejdą się do domów, wszyscy będą wiedzieć, co się wydarzyło. Sylvie obawiała się, że teraz nie zaakceptują Pierre'a jako jednego z nich.

Kiedy spojrzała na Pierre'a, zobaczyła na jego twarzy grymas, którego nigdy dotąd nie widziała. Wykrzywił usta z pogardą, a jego oczy płonęły nienawiścią. Wyglądał, jakby miał ochotę zabić Louise.

Dobry Boże, pomyślała dziewczyna, mam nadzieję, że nigdy nie spojrzy tak na mnie.

V

Kiedy przyszła pora, by położyć się do łóżka, Alison padała z nóg przekonana, że Maria czuje się tak samo, choć najważniejsza próba wciąż jeszcze była przed nią.

Przyjęcie było wystawne nawet jak na standardy francuskiej rodziny królewskiej. Po ślubie odbyła się uczta w pałacu arcybiskupa, a następnie goście przenieśli się do Palais de la Cité – z powodu tłumów pokonanie stosunkowo niewielkiej odległości zajęło kilka godzin – na bal maskowy ze specjalnymi atrakcjami, takimi jak mechaniczne konie, na których mogły jeździć królewskie dzieci. Ostatnim punktem dnia była kolacja z ilością ciast i ciasteczek, jakiej Alice nigdy dotąd nie widziała na oczy. Teraz, kiedy uroczystości dobiegły końca, zostało już tylko jedno zadanie do wykonania.

Alison współczuła Marii. Świadomość, że przyjaciółka będzie zmuszona zrobić z Franciszkiem to, co kobiety robią z mężczyznami, budziła w niej wstręt; zupełnie jak myśl o pójściu do łoża z własnym bratem. A jeśli coś pójdzie nie tak, będzie to publiczna katastrofa, o której zrobi się głośno w całej Europie, i Maria będzie chciała zapaść się pod

ziemię. Alison zadrżała na myśl, że przyjaciółka mogłaby doznać podobnego upokorzenia.

Członkowie rodzin królewskich musieli dźwigać to brzemię; była to cena, jaką płacili za życie pełne przywilejów. A Maria musiała przechodzić przez to sama, bez matki. Maria Gwizjusz rządziła Szkocją w imieniu córki i nie mogła wyjechać z kraju nawet na jej ślub – tak krucha była władza katolickiej monarchini nad kłótliwymi i buntowniczymi Szkotami. Były chwile, gdy Alison zastanawiała się, czy nie lepiej być beztroską córką piekarza i zabawiać się z jurnym czeladnikiem.

Alison była jedną z dwórek, które miały umyć pannę młodą, ubrać ją i przygotować na utratę dziewictwa. Długo trwało, zanim została z nią sam na sam.

Najpierw ją rozebrały. Maria była zdenerwowana i drżała na całym ciele, ale wyglądała uroczo: wysoka, blada i szczupła, z pięknymi, krągłymi piersiami i długimi nogami. Kobiety obmyły ją ciepłą wodą, przycięły jej jasne włosy łonowe i skropiły ją perfumami. W końcu pomogły jej się ubrać w koszulę nocną wyszywaną złotą nicią. Maria włożyła jedwabne pantofelki, koronkowy czepek i lekką narzutkę

z najprzedniejszej wełny, którą owinęła się w drodze między garderobą a sypialnią.

Była już gotowa, ale żadna z kobiet nie kwapiła się do opuszczenia komnaty.

– Każ im zaczekać na zewnątrz – szepnęła jej do ucha Alison. – Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

– Po co?

– Zaufaj mi… proszę!

Maria stanęła na wysokości zadania.

– Dziękuję, moje panie – rzekła. – A teraz, proszę, zostawcie mnie na chwilę z Alison, bym mogła przygotować umysł na to, co mnie czeka.

Dwórki wyglądały na urażone – większość z nich miała na dworze wyższą pozycję niż Alison – ale żadna nie śmiała odmówić Marii, więc niechętnie opuściły komnatę.

W końcu Alison i jej przyjaciółka zostały same.

– Jeśli Franciszek cię nie wychędoży, wasze małżeństwo nie zostanie skonsumowane, a to oznacza, że będzie można je unieważnić. – Alison, podobnie jak królowa Katarzyna, postanowiła nie owijać w bawełnę.

– A wtedy nigdy nie będę królową Francji.

– Właśnie.

– Nie wiem, czy Franciszek da radę! – Maria wyglądała na zrozpaczoną.

– Nikt tego nie wie – przyznała Alison. – Dlatego cokolwiek się wydarzy, musisz udawać, że to zrobił.

Maria skinęła głową. Jej twarz wyrażała determinację, za którą Alison tak bardzo ją kochała.

– Dobrze, ale czy ludzie mi uwierzą? – zapytała.

– Tak, jeśli posłuchasz rady królowej Katarzyny.

– To dlatego wezwała cię wczoraj?

– Tak. Mówi, że musisz zadbać o to, żeby Franciszek położył się na tobie i przynajmniej udawał, że cię chędoży.

– O to bym się nie martwiła, ale nie wiem, czy to wystarczy, żeby przekonać świadków.

Alison sięgnęła w fałdy sukni i wyciągnęła zawiniątko.

– Królowa dała mi to dla ciebie – wyjaśniła. – W koszuli nocnej masz na to specjalną kieszonkę.

– Co w tym jest?

– Krew.

– Czyja?

– Nie wiem – odparła Alison, chociaż się domyślała. – Nieważne, skąd pochodzi, ważne,

gdzie ma się znaleźć: na prześcieradłach królewskiego łoża. – Pokazała Marii koniec jedwabnej nici, którą związano woreczek. – Jedno pociągnięcie rozwiąże supełek.

– I wszyscy pomyślą, że straciłam dziewictwo.

– Nikt nie może zobaczyć woreczka, więc wepchnij go sobie do pochwy i niech tam zostanie do czasu, aż będziesz mogła go wyjąć.

Maria przez moment wyglądała na przerażoną i zniesmaczoną; szybko jednak odzyskała pewność siebie.

– Dobrze – odparła. Słysząc to, Alison miała ochotę się rozpłakać.

Ktoś zapukał do drzwi i usłyszały kobiecy głos:

– Królowo Mario, książę Franciszek czeka na ciebie.

– Jeszcze jedno – dodała szeptem Alison. – Jeśli Franciszek zawiedzie, nie możesz nigdy nikomu wyjawić prawdy, ani twojej matce, ani spowiednikowi, ani nawet mnie. Będziesz uśmiechała się nieśmiało i powtarzała, że Franciszek zrobił to, co powinien zrobić pan młody, i doskonale wywiązał się ze swoich obowiązków.

Maria powoli skinęła głową.

– Dobrze – powiedziała w zamyśleniu. – Masz rację. Milczenie to jedyny sposób, żeby dochować tajemnicy.

Alison objęła przyjaciółkę.

– Nie martw się – szepnęła. – Franciszek zrobi, co mu każesz. Uwielbia cię.

– Chodźmy. – Maria uwolniła się z jej objęć.

Otoczona dwórkami, zeszła po schodach na główne piętro. Musiała minąć po drodze wartownię szwajcarskich gwardzistów, przedsionek do komnaty króla i odprowadzana spojrzeniami, dotarła do królewskiej sypialni.

Na środku komnaty stało łoże z baldachimem, przykryte białymi prześcieradłami. Ciężkie brokatowe kotary i koronkowe zasłony zostały zebrane i przywiązane do słupków. Franciszek czekał na nią ubrany w bonżurkę narzuconą na batystową koszulę nocną. Przyduża szlafmyca sprawiała, że wyglądał jak mały chłopiec.

Wokół łoża stało lub siedziało około piętnastu mężczyzn i garstka kobiet. Oprócz króla i królowej byli tu wujowie Marii, książę Franciszek i kardynał Karol, a także co ważniejsi dworzanie i księża.

Alison nie przypuszczała, że będzie ich tak wielu.

Rozmawiali ściszonymi głosami, ale na widok Marii zamilkli.

– Czy kotary będą opuszczone? – zapytała Maria, zatrzymując się.

Alison pokręciła głową.

– Tylko koronkowe zasłony – odparła. – Świadkowie muszą wszystko widzieć.

Maria przełknęła z trudem ślinę i podeszła do łoża. Wzięła Franciszka za rękę i uśmiechnęła się pocieszająco. Jej mąż był wyraźnie przerażony.

Zdjęła pantofelki, a jej narzutka zsunęła się na podłogę. Stojąc przed odzianymi od stóp do głów ludźmi, ubrana jedynie w białą koszulę nocną, spojrzała na Alison jak ktoś, kto lada chwila ma zostać złożony w ofierze.

Franciszek stał jak sparaliżowany. Maria pomogła mu zdjąć bonżurkę i zaprowadziła go do łoża. Położyli się na grubym materacu i przykryli pierzyną.

Alison zaciągnęła koronkowe zasłony, które dawały ledwie złudzenie intymności. Głowy młodej pary były widoczne jak na dłoni, a kontury ich ciał wyraźnie rysowały się pod cienkim materiałem.

Alison wstrzymała oddech, patrząc, jak Maria tuli się do Franciszka i szepcze mu coś do ucha; prawdopodobnie mówiła mu, co ma robić… albo

co ma udawać. Pocałowali się. Ciała pod pierzyną się poruszyły, ale nie sposób było zobaczyć, co właściwie robią. Alison współczuła przyjaciółce. Wyobraziła sobie siebie zmuszoną przeżyć swój pierwszy raz na oczach dwudziestu świadków. Wydawało się to niemożliwe. Twarze nowożeńców nie zdradzały żadnych emocji, Alison domyślała się jednak, że Maria próbuje pocieszyć Franciszka i prosi go, żeby się odprężył.

Chwilę później Maria przewróciła się na plecy, a świeżo upieczony mąż położył się na niej.

Alison z trudem znosiła napięcie. Czy mu się uda? A jeśli nie, to czy Maria zdoła przekonać świadków, że wszystko jest jak należy? Czy będzie w stanie nabrać tych ludzi?

W panującej w komnacie ciszy słychać było poszeptywania Marii, były one jednak tak ciche, że nie można było zrozumieć, co mówi. Mogły to być czułe słówka albo szczegółowe instrukcje.

Dwa ciała poruszyły się niezgrabnie. Układ ramion Marii sugerował, że dziewczyna próbuje naprowadzić Franciszka – albo tylko udaje.

Chwilę później z jej gardła dobył się stłumiony krzyk bólu. Alison nie potrafiła powiedzieć, czy był on prawdziwy, ale zebrani wokół łoża świadkowie mruknęli z aprobatą. Zaskoczony

Franciszek znieruchomiał, lecz Maria objęła go i przyciągnęła do siebie.

Okryte pierzyną ciała zaczęły się poruszać. Alison nigdy dotąd nie widziała spółkujących ludzi i nie miała pojęcia, czy właśnie tak to wygląda. Zerknęła na twarze stojących obok mężczyzn i kobiet. Były spięte, wyrażały fascynację i zakłopotanie, ale nie sceptycyzm. Najwyraźniej uwierzyli, że to, co widzą, jest prawdziwym aktem miłosnym, a nie pantomimą.

Alison nie wiedziała, jak długo trwa coś takiego. Nie pomyślała, żeby o to zapytać. Maria również. Instynkt podpowiadał jej jednak, że pierwszy raz musi być szybki.

Minutę, dwie później zobaczyła nagły ruch, jakby ciałem Franciszka wstrząsnęły konwulsje – albo Maria sprawiła, że tak to wyglądało. Zaraz potem oboje opadli na łóżko i znieruchomieli.

Publiczność spoglądała na nich w milczeniu.

Alison wstrzymała oddech. Zrobili to? A jeśli nie, to czy Maria będzie pamiętała o maleńkiej sakiewce?

Chwilę później Maria zepchnęła z siebie męża i usiadła. Przez moment wierciła się pod prześcieradłem, próbując obciągnąć koszulę i Franciszek zrobił to samo.

– Odsuńcie zasłony! – rozkazała Maria.

Kilka dwórek pospieszyło spełnić jej życzenie.

Dopiero wówczas Maria teatralnym gestem odrzuciła okrywające ich prześcieradło.

Na materacu widniała mała, czerwona plamka krwi.

Dworzanie powitali ów widok oklaskami. Obowiązek został spełniony. Małżeństwo zostało skonsumowane i wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Alison poczuła nieopisaną ulgę. Klaskała i radowała się razem z innymi, zastanawiając się w duchu, co naprawdę się wydarzyło.

Wiedziała jednak, że nigdy się nie dowie.

ROZDZIAŁ 7

I

Ned był wściekły, kiedy sir Reginald Fitzgerald odmówił podpisania dokumentów przenoszących prawo własności starego klasztoru na Alice Willard.

Reginald był burmistrzem handlowego miasta i jego decyzja mogła bardzo zaszkodzić reputacji Kingsbridge. Większość mieszkańców stała po stronie Alice. Oni również byli związani umowami, których nie mogli zerwać.

Aby zmusić sir Reginalda do spełnienia swojej obietnicy, Alice musiała pójść do sądu.

Ned nie miał wątpliwości, że sąd utrzyma w mocy warunki kontraktu, jednak każdy dzień zwłoki był nie do wytrzymania. Willardowie pragnęli jak najszybciej otworzyć nowe targowisko. W oczekiwaniu na rozprawę mijały dni i tygodnie, podczas gdy oni nie zarabiali. Na

szczęście Alice miała skromny przychód z wynajmu chatek w parafii Świętego Marka.

– I po co to wszystko? – pytał poirytowany Ned. – Reginald i tak nie wygra.

– To prawda – przyznała matka. – Oszukuje sam siebie. Poczynił złą inwestycję, za którą obwinia wszystkich, tylko nie siebie.

Cztery razy w roku ważne sprawy były rozpatrywane na kwartalnych posiedzeniach przez dwóch sędziów pokoju i towarzyszącego im sekretarza. Proces wytoczony przez Alice sir Reginaldowi miał się odbyć na czerwcowym posiedzeniu i był pierwszą sprawą tego dnia.

Sąd mieścił się w byłym domu mieszkalnym przy głównej ulicy, obok ratusza. Posiedzenia odbywały się w sali, która niegdyś była jadalnią. Pozostałe pokoje przekształcono w gabinety sędziów i urzędników. Piwnicę zamieniono w więzienie.

Ned przyszedł do sądu razem z matką. Stłoczeni na sali mieszkańcy Kingsbridge rozmawiali podniesionymi głosami. Byli wśród nich sir Reginald i Rollo. Ned cieszył się, że nie towarzyszy im Margery: nie chciał, by była świadkiem ojcowskiego upokorzenia.

Sztywno ukłonił się jej bratu. Nie musiał dłużej silić się na uprzejmości wobec

Fitzgeraldów – proces położył kres wszelkim pozorom. Nadal pozdrawiał Margery, gdy spotykał ją na ulicy, i choć reagowała z zakłopotaniem, Ned wciąż ją kochał i mimo wszystko wierzył, że ona również go kocha.

W sądzie byli także Dan Cobley i Donal Gloster. Podczas rozprawy być może zostanie podniesiona kwestia feralnego rejsu *Świętej Małgorzaty* i Cobleyowie z pewnością chcieli usłyszeć, co się o nich mówi.

Dan i inni protestanci aresztowani w stodole wdowy Pollard zostali wypuszczeni za kaucją, wszyscy oprócz Philberta, który niewątpliwie był ich przywódcą. Więziono go w piwnicy, gdzie przesłuchiwał go biskup Julius. Nazajutrz wszyscy mieli być sądzeni, nie przez sąd kwartalny, lecz przez niezależny sąd kościelny.

Donal Gloster uniknął aresztowania. Nie był ze swoim pracodawcą w stodole wdowy Pollard, a w Kingsbridge krążyły plotki, że w tym czasie pijany spał w domu. Ned podejrzewał, że to Donal wyjawił miejsce spotkań protestantów; z drugiej strony, kilka osób, które tamtego dnia były w tawernie, potwierdziło jego opowieść.

Urzędnik Paul Pettit poprosił o ciszę, po czym na salę weszło dwóch sędziów, którzy zajęli miejsca na końcu pomieszczenia. Starszym z nich

był Rodney Tilbury, który kiedyś był kupcem bławatnym. Miał na sobie bogato zdobiony niebieski dublet, a na palcach kilka pierścieni. Będąc zagorzałym katolikiem, został mianowany przez Marię Tudor, Ned nie sądził jednak, by w dzisiejszej rozprawie miało to jakiekolwiek znaczenie. Drugim sędzią był Seb Chandler, przyjaciel sir Reginalda, choć Ned miał nadzieję, że dysponując tak oczywistymi dowodami, nie będzie mógł wpłynąć na werdykt.

Zaprzysiężono ławę przysięgłych: dwunastu ludzi, z których wszyscy byli mieszkańcami Kingsbridge.

Zaraz potem Rollo wystąpił przed tłum i zwrócił się do sędziów:

– Za przyzwoleniem Wysokiego Sądu, chciałbym się dziś wypowiadać w imieniu swojego ojca.

Neda to nie zaskoczyło. Sir Reginald należał do ludzi wybuchowych, co mogło mu jedynie zaszkodzić. Tymczasem Rollo był równie bystry jak jego ojciec, ale znacznie bardziej opanowany.

Sędzia Tilbury skinął głową.

– Jeśli dobrze pamiętam, panie Fitzgerald, studiował pan prawo w towarzystwie prawniczym w Londynie.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Dobrze więc.

Kiedy rozprawa się zaczęła, na sali pojawił się biskup Julius odziany w kapłańskie szaty. Jego obecność nikogo nie zdziwiła. Wszyscy wiedzieli, że chce odzyskać przyklasztorne budynki, a sir Reginald zgodził się tanio mu je odsprzedać. Biskup miał więc nadzieję, że sir Reginald znajdzie sposób, żeby unieważnić umowę zawartą z Alice Willard.

Alice osobiście przedstawiła sprawę i wręczyła urzędnikowi podpisaną i opieczętowaną umowę.

– Sir Reginald nie może zaprzeczyć trzem kluczowym faktom – oświadczyła. Mówiła spokojnym, wyważonym głosem kogoś, kto nie ma nic do ukrycia. – Po pierwsze, podpisał umowę; po drugie, wziął pieniądze i po trzecie, nie zwrócił ich w umówionym terminie. Proszę Wysoki Sąd, aby orzekł, iż sir Reginald nie wywiązał się z umowy.

Była pewna zwycięstwa, a Ned nie dopuszczał do siebie myśli, że jakikolwiek sąd mógłby rozstrzygnąć sprawę na korzyść Reginalda, chyba że sędziowie zostaliby przekupieni. Tylko skąd pozwany wziąłby na to pieniądze?

Sędzia Tilbury podziękował powódce i zwrócił się do Rollo:

– Co pan na to, panie Fitzgerald? Wszystko wydaje się jasne.

Jednakże sir Reginald nie dopuścił syna do głosu.

– Zostałem oszukany! – ryknął, a jego upstrzona piegami twarz nabiegła krwią. – Philbert Cobley wiedział doskonale, że *Święta Małgorzata* płynie do portu w Calais i cały jej ładunek przepadnie.

Ned również w to wierzył. Philbert był szczwany. Mimo to słowa Reginalda były oburzające. Dlaczego Willardowie mieliby płacić za nieuczciwość Philberta?

– To kłamstwo! – krzyknął syn Philberta, Dan Cobley. – Skąd mieliśmy wiedzieć, co zrobi francuski król?

– Musieliście coś wiedzieć! – odgryzł się Reginald.

Dan odpowiedział na to cytatem z Biblii:

– Księga Przysłów mówi: *Rozumny swą wiedzę ukrywa*[6].

Biskup Julius wymierzył kościsty palec w Dana i zagrzmiał:

– Oto co się dzieje, gdy niedouczeni głupcy czytają Biblię po angielsku: cytują słowo Boże, żeby usprawiedliwić swoje przewiny!

Urzędnik wstał i zaczął uciszać wzburzony tłum.

– Dziękujemy, sir Reginaldzie – powiedział Tilbury. – Nawet jeśli to prawda, że Philbert Cobley czy ktokolwiek inny podstępem wyłudził od pana pieniądze, nie zwalnia to pana z umowy zawartej z Alice Willard. Sądząc tak, jest pan w błędzie i sąd orzeknie na pańską niekorzyść.

Właśnie, pomyślał z satysfakcją Ned.

– Nie, Wysoki Sądzie – wtrącił Rollo. – Nie o to chodzi. Proszę wybaczyć mojemu ojcu, sam pan jednak rozumie, że jest wzburzony.

– O co więc chodzi? Chętnie się tego dowiem, podobnie jak ława przysięgłych.

Ned także był ciekaw. Czy Rollo trzymał coś w zanadrzu? W szkole lubił znęcać się nad innymi, ale nie był głupi.

– Chodzi o to, że Alice Willard jest winna lichwy – odparł Rollo. – Pożyczyła mojemu ojcu czterysta funtów, ale zażądała zwrotu czterystu dwudziestu czterech. Nalicza sobie odsetki, a to jest przestępstwo.

Nagle Ned przypomniał sobie rozmowę matki z biskupem Juliusem na krużganku zrujnowanego klasztoru. Alice podała tę właśnie sumę, a biskup, choć wyraźnie zdumiony, nie odezwał się ani słowem. A teraz był tutaj,

w sądzie. Ned ściągnął brwi. Umowa między jego matką i sir Reginaldem została sporządzona z wielką starannością, tak by nie było w niej wzmianki o odsetkach, jednak termin „lichwa” często pojawiał się w sporach prawnych.

– Nie zapłacono żadnych odsetek – odparła stanowczo Alice. – W umowie jest napisane, że sir Reginald będzie płacić osiem funtów miesięcznie za użytkowanie klasztoru, do czasu, aż spłaci pożyczkę lub zrzeknie się prawa własności.

Reginald się oburzył.

– Niby dlaczego miałbym płacić za wynajem? Nie korzystam z tego miejsca! Toż to zwykłe lichwiarstwo!

– To była pańska propozycja! – odgryzła się Alice.

– Zostałem wprowadzony w błąd.

– Cisza! – zawołał urzędnik. – Proszę zwracać się do Wysokiego Sądu, nie rozmawiać między sobą.

– Dziękuję, panie Pettit – odparł sędzia Tilbury. – Ma pan absolutną rację.

– Sąd nie może wyegzekwować przestrzegania umowy, która zmusza jedną ze stron do popełnienia przestępstwa – zauważył Rollo.

– Owszem, ma pan rację – rzekł Tilbury. – Prosicie więc, by sąd zdecydował, czy dodatkowe opłaty wynikające z umowy to rzeczywiście opłata za wynajem, czy zawoalowana forma lichwiarstwa?

– Nie, Wysoki Sądzie, nie proszę o rozstrzygnięcie tej sprawy. Jeśli wolno, chciałbym przedstawić wiarygodnego świadka, który zezna, że jest to lichwa.

Ned był zdumiony. Kogo Rollo miał na myśli?

Dwaj sędziowie wyglądali na równie zaskoczonych.

– Wiarygodnego świadka? – powtórzył Tilbury. – O kim pan mówi?

– O biskupie Kingsbridge.

W tłumie rozległy się pomruki zdziwienia. Tego nikt się nie spodziewał.

– Cóż, dobrze. – Sędzia Tilbury starał się ukryć zaskoczenie. – Księże biskupie, co chce nam ksiądz powiedzieć?

Ned był przerażony: każdy wiedział, czyją stronę trzyma biskup.

Julius wyszedł powoli na przód sali; łysą głowę trzymał dumnie uniesioną jak ktoś, kto szczyci się swoją pozycją.

– Tak zwana opłata za wynajem to w rzeczywistości sprytnie ukryte odsetki – zaczął,

jak się tego spodziewano. – W czasie, o którym mowa, sir Reginald nie korzystał ani z ziemi, ani ze stojących na niej budynków i nigdy nie miał takiego zamiaru. To nic innego jak przykrywka dla grzechu i lichwy.

– Protestuję – oburzyła się Alice. – Biskup nie jest bezstronny. Sir Reginald obiecał mu klasztor.

– Chyba nie oskarża pani biskupa o nieuczciwość? – spytał Rollo.

– Oskarżam was o to, że pytacie kota, czy mysz powinna odejść wolno – odparła Alice.

Tłum się roześmiał, doceniając jej poczucie humoru. Tymczasem sędzia Tilbury pozostał niewzruszony.

– Sąd nie może podważać zdania biskupa w kwestii grzechu – rzekł z powagą. – Wszystko wskazuje na to, że będziemy zmuszeni uznać umowę za nieważną. – Nie był zadowolony z tego powodu, bo jak wszyscy wiedział, że w ten sposób można by podważyć większość umów zawieranych w Kingsbridge. Ale syn Reginalda zapędził go w kozi róg.

– Wysoki Sądzie – zabrał głos Rollo. – Nie chodzi wyłącznie o unieważnienie umowy. – Złośliwa satysfakcja malująca się na jego twarzy niepokoiła Neda. – Alice Willard została uznana za winną popełnienia przestępstwa.

Obowiązkiem Wysokiego Sądu jest ukaranie jej zgodnie z ustawą z tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

Ned nie miał pojęcia, o jakiej karze mowa.

– Przyznam się do lichwiarstwa… pod jednym warunkiem – powiedziała jego matka.

– Jakim? – spytał sędzia Tilbury.

– Na tej sali jest ktoś równie winny jak ja i ta osoba również musi zostać ukarana.

– Jeśli ma pani na myśli sir Reginalda, odpowiedzialność ciąży na pożyczkodawcy, nie na pożyczkobiorcy…

– Nie chodzi o sir Reginalda.

– A więc o kogo?

– Mówię o biskupie Kingsbridge.

– Zważaj na to, co mówisz, Alice Willard. – Julius posłał jej wściekłe spojrzenie.

– W październiku zeszłego roku – ciągnęła jednak niewzruszona – biskup sprzedał wdowie Mercer runo tysiąca owiec po dziesięć pensów za sztukę. – Wdowa Mercer była największą handlarką wełną w mieście. – Owce zostały ostrzyżone w tym roku, w kwietniu, i pani Mercer sprzedała runo Philbertowi Cobleyowi po dwanaście pensów za sztukę, czyli o dwa pensy drożej, niż za nie zapłaciła. Stracił biskup dwa pensy na sztuce, żeby dostać pieniądze pół roku

wcześniej. A co za tym idzie, zapłacił biskup czterdzieści procent odsetek rocznych.

W tłumie rozległy się pomruki aprobaty. Większość mieszkańców Kingsbridge stanowili handlarze, którzy znali się na odsetkach.

– Nie ja tu jestem sądzony, lecz pani – odparł biskup.

Alice zignorowała tę uwagę.

– W lutym kupił biskup kamień z kamieniołomu hrabiego na rozbudowę swojego pałacu. Cena wynosiła trzy funty, ale zarządca kamieniołomu zaproponował obniżenie ceny o szylinga na funcie, jeśli dostanie pieniądze z góry, na co biskup przystał. Kamień dostarczono barką miesiąc później. W rezultacie policzył biskup hrabiemu sześćdziesiąt procent odsetek rocznie od pieniędzy, które zapłacił biskup wcześniej.

Tłumowi najwyraźniej podobały się te słowne przepychanki, bo tu i ówdzie rozległ się śmiech, a nawet oklaski.

– Cisza! – krzyknął Pettit.

– W kwietniu sprzedał biskup swój młyn w Wigleigh… – ciągnęła Alice.

– To nie ma nic wspólnego ze sprawą – warknął biskup Julius. – Twierdząc, zgodnie z prawdą czy też nie, że inni ludzie popełnili

podobne przestępstwa, nie uniknie pani odpowiedzialności.

– Biskup ma rację – przyznał Tilbury. – Wnoszę o uznanie Alice Willard winnej lichwy.

Ned miał cichą nadzieję, że przedsiębiorcy zasiadający w ławie przysięgłych zaprotestują, ale najwyraźniej żaden z nich nie miał odwagi przeciwstawić się sędziom i wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

– Rozważymy teraz kwestię kary – oznajmił Tilbury.

Głos zabrał Rollo:

– Wysoki Sądzie, ustawa z tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku mówi jasno i wyraźnie: winowajca traci zarówno odsetki, jak i całą pożyczoną sumę, a w dodatku… pozwolę sobie zacytować: „musi zapłacić grzywnę na wyraźne życzenie króla”.

– Nie! – krzyknął Ned. Z pewnością nie mogli pozbawić jego matki zarówno czterystu funtów pożyczki, jak i odsetek.

Mieszkańcy Kingsbridge najwyraźniej byli tego samego zdania; na sali podniosła się wrzawa i Paul Pettit znowu musiał przywoływać ludzi do porządku.

W końcu zapanowała cisza, jednak sędzia Tilbury nie od razu przemówił. Odwrócił się do

sędziego Chandlera i przez chwilę rozmawiali ściszonymi głosami. Kiedy poprosił Pettita, by do nich dołączył, napięcie sięgnęło zenitu. Sędziowie rozmawiali z Pettitem, który – jak wszyscy sekretarze sądów pokoju – był wykwalifikowanym prawnikiem. Wydawało się, że się sprzeczają; Pettit raz za razem stanowczo kręcił głową. W końcu Tilbury wzruszył ramionami, Seb Chandler pokiwał głową z aprobatą, a Pettit wrócił na swoje miejsce.

– Prawo to prawo – rzekł Tilbury. Słysząc to, Ned wiedział, że jego matka jest zrujnowana. – Alice Willard traci zarówno pożyczoną sumę, jak i odsetki. – Kiedy na sali rozległy się okrzyki protestu, dodał podniesionym głosem: – Dodatkowa kara nie będzie konieczna.

Ned spojrzał na matkę. Alice była zszokowana tym, co właśnie usłyszała. Jeszcze chwilę temu przemawiała przez nią pewność siebie i arogancja człowieka przekonanego o własnej racji. Zderzyła się jednak z potęgą Kościoła i jej opór został przełamany. Nagle skurczyła się w sobie i pobladła, wyraźnie oszołomiona. Wyglądała jak ktoś przewrócony przez galopującego konia.

– Następna sprawa – ogłosił urzędnik.

Ned i Alice opuścili gmach sądu i bez słowa ruszyli główną ulicą w kierunku domu. Życie Neda zostało przewrócone do góry nogami i nie chciał nawet myśleć o konsekwencjach. Pół roku temu był przekonany, że zostanie kupcem i niemal pewny, że poślubi Margery. Teraz został z niczym, a jego ukochana zaręczyła się z Bartem.

– Przynajmniej nie umrzemy z głodu – odezwała się matka, kiedy weszli do salonu. – Wciąż mamy domy w parafii Świętego Marka.

Ned nie sądził, że matka będzie aż tak przybita.

– Nie spróbujesz zacząć od nowa?

Pokręciła głową ze zmęczeniem.

– Zbliżam się do pięćdziesiątki i nie mam już tyle energii co kiedyś. Poza tym, kiedy pomyślę o tym, co wydarzyło się w ciągu ubiegłego roku, mam wrażenie, że straciłam umiejętność oceny sytuacji. Powinnam była zrezygnować z części żeglugi do Calais, kiedy wybuchła wojna. Powinnam była zadbać o nasze interesy w Sewilli. I nigdy nie powinnam była pożyczać pieniędzy Reginaldowi Fitzgeraldowi, bez względu na to, jak bardzo nalegał. Teraz nie mam niczego, co ty i twój brat moglibyście odziedziczyć.

– Nie sądzę, żeby Barney się tym przejął – odparł Ned. – On i tak woli pływać po morzach.

– Ciekawe, gdzie jest teraz. Musimy go powiadomić, jeśli uda nam się go odnaleźć.

– Pewnie służy w hiszpańskiej armii. – Otrzymali list od cioteczki Betsy, która pisała, że Barney i Carlos narazili się inkwizycji i byli zmuszeni w pośpiechu opuścić Sewillę. Betsy nie wiedziała, dokąd się udali, ale jeden z sąsiadów widział ich w porcie, jak przysłuchiwali się naganiaczowi ze statku rekrutującego żołnierzy.

– Ale co ty poczniesz, Ned? – spytała posępnie Alice. – Wychowałam cię na kupca.

– Sir William Cecil mówił, że chciałby, żebym dla niego pracował.

– Rzeczywiście. – Alice się rozpogodziła. – Zupełnie o tym zapomniałam.

– On też mógł zapomnieć.

Pokręciła głową.

– Wątpię, czy on cokolwiek zapomina.

Ned zastanawiał się, jak to będzie pracować dla Cecila i służyć Elżbiecie Tudor.

– Ciekawe, czy pewnego dnia Elżbieta zostanie królową – powiedział.

– Jeśli tak, być może pozbędzie się niektórych aroganckich biskupów – odparła matka z goryczą w głosie.

W sercu Neda zapłonęła iskierka nadziei.

– Jeśli chcesz, napiszę do Cecila – zaproponowała Alice.

– Sam nie wiem… Może po prostu się do niego wybiorę.

– Równie dobrze może odesłać cię do domu.

– Tak – przyznał Ned. – To możliwe.

II

Nazajutrz Fitzgeraldowie kontynuowali swoją zemstę.

Dzień był gorący, ale w południowym transepcie katedry panował przyjemny chłód. To właśnie tam zgromadzili się mieszkańcy Kingsbridge, by być świadkami sądu kościelnego. Protestanci aresztowani w stodole wdowy Pollard byli sądzeni za herezję, wszyscy jednak wiedzieli, że rzadko kto bywał uniewinniony. Pytanie brzmiało: jak surowe będą kary?

Najpoważniejsze zarzuty postawiono Philbertowi Cobleyowi. Kiedy Ned przyszedł, nie było go w katedrze; była za to jego żona, która zalewała się łzami. Śliczna Ruth Cobley miała zaczerwienione oczy, a okrągła twarz Dana

wydawała się dziwnie posępna. Siostra Philberta i brat pani Cobley starali się ich pocieszyć.

Procesowi przewodniczył biskup Julius. To był jego sąd i to on sprawował obowiązki prokuratora i sędziego; nie było ławy przysięgłych. Obok biskupa zasiadał kanonik Stephen Lincoln, młody pomagier, który wręczał mu dokumenty i robił notatki. Kolejne krzesło zajmował dziekan Kingsbridge, Luke Richards. Dziekani byli niezależni od biskupów i nie zawsze wypełniali ich polecenia, Luke był zatem tego dnia jedyną nadzieją na zmiłowanie.

Protestanci kolejno wyznawali swoje grzechy i wyrzekali się swoich przekonań. Robili to, by uniknąć kary cielesnej. Zostali ukarani grzywną i większość z nich natychmiast zapłaciła ją biskupowi.

Zdaniem Juliusa ich drugim przywódcą, zaraz po Philbercie Cobleyu, był jego syn Dan, który otrzymał dodatkową upokarzającą karę: musiał przejść ulicami Kingsbridge ubrany jedynie w koszulę nocną, niosąc krzyż i odmawiając *Ojcze nasz* po łacinie.

Przywódcą protestantów był bez wątpienia jego ojciec i wszyscy byli ciekawi, jaki wyrok zapadnie w jego sprawie.

W pewnym momencie uwaga tłumu skupiła się na nawie głównej.

Podążając za wzrokiem ludzi, Ned zobaczył Osmunda Cartera w skórzanym hełmie i wysokich do kolan sznurowanych butach. Wraz z innym strażnikiem niósł drewniane krzesło, na którym spoczywał jakiś tobołek. Dopiero po chwili Ned uświadomił sobie, że ów tobołek to Philbert Cobley.

Mimo niewielkiego wzrostu Philbert był dobrze zbudowanym, krzepkim mężczyzną. Albo raczej był taki kiedyś. Teraz jego nogi zwisały z krzesła, kołysząc się bezwładnie. Oczy miał zamknięte i raz za razem jęczał z bólu. Widząc go w takim stanie, pani Cobley krzyknęła rozdzierająco.

Strażnicy postawili krzesło przed biskupem Juliusem i cofnęli się.

Mebel miał podłokietniki, dzięki którym Philbert nie spadł na ziemię; oskarżony nie był jednak w stanie usiedzieć prosto i zaczął zsuwać się z krzesła.

Rodzina ruszyła mu na pomoc. Dan wziął go pod ramiona, ale gdy próbował posadzić ojca z powrotem, Philbert ryknął z bólu. Ruth przytrzymywała ojcowskie biodra, starając się

utrzymać go w pozycji siedzącej. Rozhisteryzowana pani Cobley zawodziła tylko:

– Phil, mój Phil, co oni ci zrobili?

Ned domyślał się, co się stało: Philberta łamano kołem. Jego nagie ciało przywiązano do metalowego pierścienia, a pod biodra, kolana, kostki i nadgarstki podłożono grube kawałki drewna. Kiedy ofiara była gotowa, kat zaczynał miażdżyć jej stawy kołem – ciężką, kanciastą maczugą obitą metalem. Ta forma tortur została wymyślona, ponieważ księża nie mogli przelewać krwi.

Philbert najwyraźniej wytrwał i mimo bólu nie wyparł się swoich przekonań, więc torturowano go tak długo, aż stawy barkowe i biodrowe zostały wywichnięte, zmieniając go w bezradnego kalekę.

– Philbert Cobley – zaczął biskup Julius – przyznał, że przewodził tym naiwnym głupcom w drodze do herezji.

– Oto podpisane zeznanie. – Kanonik Lincoln podniósł jeden z dokumentów i pomachał nim.

– Chcę to zobaczyć. – Dan Cobley podszedł do stołu sędziowskiego.

Lincoln zawahał się i zerknął na Juliusa. Sąd nie musiał się liczyć z synem oskarżonego, ale biskup wolał nie narażać się na gniew tłumu.

Wzruszył ramionami i skinął przyzwalająco głową.

Dan spojrzał na ostatnią stronę.

– To nie jest podpis mojego ojca – oświadczył i pokazał dokument stojącym obok mężczyznom. – Wszyscy wiecie, jak wygląda podpis mojego ojca. To nie jest jego pismo.

Niektórzy przytaknęli.

– To oczywiste, że nie był w stanie samodzielnie podpisać dokumentów – rzucił poirytowany biskup.

– A więc łamaliście go, aż… – Głos uwiązł Danowi w gardle, po jego policzkach potoczyły się łzy, mimo to kontynuował: – Łamaliście go, aż nie był w stanie pisać… a mimo to udajecie, że to on podpisał dokumenty.

– Udajemy? Czyżbyś oskarżał biskupa o kłamstwo?

– Chcę tylko powiedzieć, że mój ojciec nigdy nie przyznałby się do herezji.

– Skąd wiesz…

– Nie wierzył, że jest heretykiem, i tylko na torturach mógłby zmienić zdanie.

– Modlitwą przekonaliśmy go o tym, jak bardzo błądził.

Słysząc to, Dan wskazał spoczywające na krześle bezwładne ciało ojca.

– Oto, co się dzieje z człowiekiem, gdy modli się za niego biskup Kingsbridge.

– Sąd nie będzie dłużej wysłuchiwał podobnych zniewag!

– Gdzie jest koło? – zapytał Ned Willard.

Trzech księży spojrzało na niego w milczeniu.

– To oczywiste, że Philberta łamano kołem – powiedział Ned. – Pytanie tylko: gdzie? Tu, w katedrze? W pałacu biskupa? W podziemiach sądu? Gdzie trzymacie koło? Myślę, że mieszkańcy Kingsbridge mają prawo wiedzieć. W Anglii tortury są przestępstwem, chyba że zezwoli na nie Tajna Rada Królewska. Kto w Kingsbridge otrzymał pozwolenie na torturowanie ludzi?

Zapadła długa cisza, którą przerwał Stephen Lincoln.

– W Kingsbridge nie ma koła – oświadczył.

Ned zastanawiał się przez chwilę.

– A zatem Philberta torturowano gdzieś indziej – rzucił. – Myślicie, że tak można? – Wymierzył palec w biskupa. – To bez znaczenia. Nawet gdybyście torturowali go w Egipcie… jeśli wy go tam posłaliście, wy jesteście oprawcami.

– Zamilcz!

Uznał, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, odwrócił się więc i odszedł na bok.

Chwilę później wstał dziekan Richards. Był wysokim, przygarbionym czterdziestolatkiem, poczciwiną o rzednących, siwiejących włosach.

– Księże biskupie, proszę okazać łaskę – zwrócił się do Juliusa. – Nie ma wątpliwości, że Philbert jest heretykiem i głupcem, ale jest też chrześcijaninem i choć zbłądził, on także pragnie wielbić Pana. Nikt nie powinien być stracony za coś takiego. – Po tych słowach usiadł.

Tłum zareagował pomrukiem aprobaty. Tworzyli go głównie katolicy, którzy pod rządami poprzednich dwóch królów mienili się protestantami, więc nikt nie czuł się bezpieczny.

Biskup Julius posłał dziekanowi pełne wzgardy spojrzenie, ale nie odpowiedział na jego prośbę.

– Philbert Cobley jest winny nie tylko herezji, ale przede wszystkim szerzenia herezji – zwrócił się do zgromadzonych w katedrze. – I jak bywa w takich przypadkach, zostanie ekskomunikowany i spalony na stosie. Egzekucja zostanie przeprowadzona przez władze świeckie jutro o świcie.

Istniało kilka sposobów przeprowadzania egzekucji. Na arystokratach zwykle wykonywano tę najszybszą, poprzez ścięcie, co zajmowało chwilę, jeśli kat miał wprawną rękę, i zaledwie

minutę, jeśli okazał się niezdarny i potrzeba było kilku ciosów, by oddzielić głowę od reszty ciała. Zdrajców wieszano, patroszono, kiedy wciąż żyli, i ćwiartowano. Złodziej, który okradł kościół, był żywcem obdzierany ze skóry ostrym nożem; wytrawny kat potrafił zdjąć z człowieka skórę w jednym kawałku. Heretyków palono na stosie.

Mieszkańcy Kingsbridge nie byli zaskoczeni takim wyrokiem, a jednak gdy słowa biskupa przebrzmiały, w katedrze zapanowała złowroga cisza. Nigdy dotąd nikogo nie spalono tu na stosie. Ned pomyślał, że przekroczono właśnie pewną upiorną granicę, i wyczuwał, że inni są podobnego zdania.

Nagle usłyszeli głos Philberta. Brzmiał zadziwiająco głośno i wyraźnie, jak gdyby mężczyzna zbierał na tę chwilę resztki sił.

– Dziękuję Bogu, że moje cierpienia dobiegły już prawie końca, Juliusie. Wiedz jednak, że twoje dopiero się zaczną, ty bluźnierczy diable. – Tu i ówdzie rozległy się stłumione okrzyki zdumienia, a oburzony biskup zerwał się na równe nogi. Skazaniec miał jednak prawo mówić. – Wkrótce pójdziesz do piekła, gdzie twoje miejsce, i twoje męki nie będą miały końca. Niech Bóg przeklnie twoją duszę na wieki.

Klątwa konającego miała szczególną moc i choć Julius pogardzał zabobonami, drżał ze strachu i wściekłości.

– Wyprowadźcie go! – ryknął. – I niech wszyscy wyjdą. Sąd zakończył posiedzenie! – Obrócił się na pięcie i niczym burza wypadł przez wschodnie drzwi.

Ned i Alice wrócili do domu w ponurych nastrojach. Fitzgeraldowie zwyciężyli. Zabili człowieka, który ich oszukał, ukradli majątek Willardów i odwiedli swoją córkę od małżeństwa z Nedem. To była totalna klęska.

Janet Fife podała im skromną kolację. Alice wypiła kilka kieliszków wina.

– Pojedziesz do Hatfield? – spytała syna, kiedy gospodyni sprzątnęła ze stołu.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Margery nadal nie wyszła za mąż.

– Nawet gdyby Bart padł jutro trupem, i tak nie pozwolą ci jej poślubić.

– W ubiegłym tygodniu skończyła szesnaście lat. Za pięć lat sama będzie mogła zdecydować, za kogo wyjdzie.

– Nie możesz czekać bezczynnie tak długo. Nie pozwól, żeby to oczekiwanie zniszczyło ci życie.

Ned wiedział, że matka ma rację.

Tego wieczoru wcześniej położył się spać i leżąc w łóżku, rozmyślał. Wydarzenia minionego dnia utwierdziły go w przekonaniu, że powinien udać się do Hatfield, lecz wciąż nie mógł się zdecydować. To tak, jakby porzucał nadzieję.

Zasnął dopiero przed świtem, a obudził go hałas z zewnątrz. Wyglądając przez okno sypialni, zobaczył ludzi, którzy krzątali się na rynku; ich sylwetki oświetlało pół tuzina płonących pochodni. Znosili suche patyki na egzekucję. Był wśród nich szeryf Matthewson, postawny mężczyzna z przytroczonym do pasa mieczem, który nadzorował przygotowania, albowiem kapłan mógł skazać człowieka na śmierć, ale sam nie mógł wykonać wyroku.

Ned okrył się peleryną i wyszedł na zewnątrz. Poranne powietrze pachniało dymem drzewnym.

Na rynku byli już Cobleyowie, wkrótce przybyli też inni protestanci. Z każdą minutą tłum gęstniał. O brzasku światło pochodni jakby przygasło. Na placu przed katedrą zgromadziło się co najmniej tysiąc gapiów. Strażnicy dbali o to, by nie podchodzili zbyt blisko.

Wszelkie rozmowy ucichły jak nożem uciął, gdy z ratusza wyszedł Osmund Carter. Towarzyszył mu drugi strażnik i tak jak

poprzednio obaj nieśli drewniane krzesło, na którym na wpół siedział, na wpół leżał Philbert Cobley. Musieli przeciskać się przez tłum, który rozstępował się przed nimi niechętnie, jak gdyby chciał ich zatrzymać, ale nie miał odwagi.

Kobiety z rodziny Cobleyów zawodziły żałośnie, podczas gdy ich mąż i ojciec został przywiązany do wbitego w ziemię pala. Nie mogąc utrzymać się na nogach, co chwila się osuwał i Osmund musiał zacisnąć pęta, żeby utrzymać go w miejscu.

Strażnicy ułożyli wokół pala drewniany stos, a biskup Julius zaintonował modlitwę po łacinie.

Chwilę później Osmund sięgnął po jedną z pochodni, które jeszcze niedawno rozświetlały mroki nocy. Stanął naprzeciw Philberta i spojrzał na szeryfa Matthewsona. Ten podniósł rękę, dając mu znak, żeby zaczekał, i zerknął pytająco na biskupa.

Upiorną ciszę przerwał rozdzierający serce krzyk pani Cobley uspokajanej i przytrzymywanej przez rodzinę.

Kiedy Julius skinął głową, szeryf Matthewson opuścił rękę i Osmund podłożył ogień pod drewniane szczapy wokół nóg Philberta.

Suche drewno zajęło się w mgnieniu oka i płomienie trzasnęły radośnie. Czując żar,

Philbert wydał z siebie żałosny jęk. Stojący najbliżej strażnicy cofnęli się, bo dusił ich dym. Niebawem powietrze wypełnił dziwny zapach – znajoma i przyprawiająca o mdłości woń palonego ciała. Philbert zaczął wrzeszczeć z bólu:

– Weź mnie, Jezu! Weź mnie, Panie! – zawodził. – Proszę, weź mnie do siebie! – Ale Jezus nie spieszył się z przyjęciem duszy Philberta Cobleya.

Ned słyszał, że litościwi sędziowie pozwalali rodzinie skazanego zawiesić na jego szyi woreczek z prochem, by jak najszybciej zakończyć jego męki. Biskup Julius najwyraźniej nie zamierzał okazywać podobnej łaski. Dolna część ciała Philberta płonęła, podczas gdy mężczyzna wciąż żył. Dźwięki, jakie dobywały się z jego gardła, były nie do wytrzymania i przypominały bardziej kwik przerażonego zwierzęcia niż ludzki krzyk.

W końcu Philbert zamilkł. Być może jego serce nie wytrzymało, może udusił go dym, a może żar płomieni usmażył mu mózg. Ogień trawił jego ciało, które na oczach tłumu obróciło się w poczerniałą skorupę. Smród był nie do wytrzymania, ale przynajmniej wrzaski ucichły. Ned dziękował Bogu, że to już koniec.

III

W swoim krótkim życiu nigdy nie widziałem czegoś równie przerażającego. Nie wiedziałem, jak to możliwe, że ludzie są zdolni do takich rzeczy, i nie rozumiałem, jak Bóg im na to pozwala.

Moja matka powiedziała coś, co na długie lata utkwiło mi w pamięci: „Człowiek, który żyje w przekonaniu, że zna wolę Boga i jest gotów za wszelką cenę ją wypełnić, jest najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie”.

Kiedy zgromadzeni na placu ludzie zaczęli rozchodzić się do domów, ja zostałem. Wzeszło słońce, lecz jego promienie nie padały na kopcące zwęglone resztki, które pozostały w zimnym cieniu katedry. Myślałem o sir Williamie Cecilu i naszej rozmowie o Elżbiecie, którą odbyliśmy w dwunastym dniu świąt Bożego Narodzenia. Powiedział mi wówczas: „Elżbieta wielokrotnie mi powtarzała, że jeśli zostanie królową, zadba o to, by żaden Anglik nie stracił życia przez swoje poglądy. Myślę, że warto zawierzyć takim ideałom”. W tamtym czasie wydawało mi się to jedynie pobożnym życzeniem. Jednakże po tym, co właśnie zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać. Czy to w ogóle możliwe, by Elżbieta pozbyła się dogmatycznych biskupów takich jak Julius

i położyła kres scenom takim jak ta, której właśnie byłem świadkiem? Czy możliwe było, że nadejdą czasy, gdy ludzie różnych wyznań przestaną się mordować?

Ale czy Elżbieta zostanie królową po śmierci Marii Tudor? Przypuszczam, że wszystko będzie zależeć od pomocy, jaką otrzyma. Miała u swego boku kogoś takiego jak William Cecil, ale jeden człowiek to za mało. Potrzebowała armii zwolenników.

A ja mogłem być jednym z nich.

Myśl o tym pokrzepiła mnie. Spojrzałem na to, co zostało z Philberta Cobleya, i nabrałem przekonania, że nie musi tak być. W Anglii byli ludzie, którzy pragnęli powstrzymać to szaleństwo.

Chciałem do nich dołączyć. Walczyć w imię tolerancyjnych poglądów Elżbiety.

Koniec z paleniem ludzi na stosie!

Postanowiłem udać się do Hatfield.

ROZDZIAŁ 8

I

Ned wyruszył w liczącą sto mil drogę z Kingsbridge do Hatfield, nie wiedząc, jakie czeka go powitanie i czy dostanie posadę, czy też zostanie odesłany do domu.

Przez pierwsze dwa dni podróżował z grupą studentów zmierzających do Oksfordu. Ludzie przemieszczali się grupami, bo samotni mężczyźni ryzykowali, że zostaną ograbieni, a kobiety narażały się na jeszcze większe niebezpieczeństwa.

Zgodnie z radami matki, Ned rozmawiał z każdym napotkanym wędrowcem, zdobywając informacje, które mogły – choć nie musiały – okazać się użyteczne: o cenach wełny, skóry, rudy żelaza i prochu, zarazach, burzach i powodziach, bankructwach i zamieszkach, a także o weselach i pogrzebach arystokratów.

Noce spędzał w tawernach, często zmuszony dzielić łóżko z którymś ze swoich kompanów, co było nieprzyjemnym doświadczeniem dla młodzieńca z kupieckiej rodziny przyzwyczajonego do własnej izby. Studenci byli jednak wybornymi towarzyszami podróży, którzy z zadziwiającą lekkością przechodzili od sprośnych żartów do teologicznych dysput, by zaraz potem znów żartować w najlepsze. Na szczęście lipiec był ciepły i pogodny.

W przerwach między rozmowami Ned zamartwiał się tym, co czeka go w pałacu Hatfield. Miał nadzieję, że zostanie powitany jak młody pomocnik, którego poszukiwano. Ale równie dobrze Cecil mógł powiedzieć: „Ned Willard? A któż to taki?”. Ned nie wiedział, co zrobi, jeśli nie zostanie przyjęty. Nie chciał wracać do Kingsbridge z podkulonym ogonem. Może więc uda się do Londynu i spróbuje szczęścia w wielkim mieście.

W Oksfordzie zatrzymał się w Kingsbridge College. Założony przez przeora Philipa jako placówka klasztoru w Kingsbridge, college uniezależnił się od klasztoru, ale wciąż zapewniał gościnę studentom i wędrowcom z tego miasta.

Nieco trudniej było znaleźć towarzystwo w podróży z Oksfordu do Hatfield. Większość ludzi zmierzała do Londynu, który był Nedowi nie po drodze. Czekając, uległ urokowi uniwersytetu. Zachwycały go ożywione dyskusje na rozmaite tematy: począwszy od tego, gdzie właściwie znajduje się rajski ogród, a skończywszy na tym, jak to możliwe, że ziemia jest okrągła, a ludzie z niej nie spadają. Większość studentów kształciła się na księży, ale byli i tacy, którzy zamierzali zostać prawnikami czy lekarzami. Matka Neda powtarzała mu, że kupiec nie nauczy się na uniwersytecie niczego przydatnego. Teraz zastanawiał się, czy miała rację. Była mądra, lecz nie wszechwiedząca.

Po czterech dniach dołączył do grupy pielgrzymów idących do katedry St Albans. Po trwającej trzy dni podróży postanowił zaryzykować i samotnie pokonać siedem mil, które dzieliły go od celu.

Król Henryk VIII skonfiskował pałac Hatfield biskupowi Ely i zamienił go w tymczasowy żłobek dla swoich dzieci. To tam Elżbieta spędziła większość dzieciństwa. Teraz królowa Maria Tudor, starsza przyrodnia siostra Elżbiety, chciała ją w nim zatrzymać. Hatfield znajdowało się dwadzieścia mil na północ od Londynu –

dzień pieszej wędrówki lub pół dnia szybkiej jazdy konno. Elżbieta była więc poza Londynem, gdzie mogłaby sprawiać kłopoty, ale na tyle blisko, by mieć ją na oku. Nie była więźniem, ale nie mogła swobodnie opuszczać pałacu.

Stojąca na wzniesieniu budowla już z daleka była widoczna jak na dłoni. Wyglądała jak ogromna stodoła z czerwonej cegły z oknami w ołowianych ramkach. Wchodząc na wzgórze do sklepionego wejścia, Ned zorientował się, że są to cztery budynki stojące w kwadracie i połączone wspólnym dziedzińcem, tak dużym, że zmieściłoby się na nim kilka kortów tenisowych.

Jego niepokój wzmógł się, gdy zobaczył uwijających się na dziedzińcu stajennych, praczki i gońców. Uświadomił sobie, że choć Elżbieta popadła w niełaskę, wciąż traktowano ją po królewsku i dlatego mogła zatrzymać rozległy majątek. Prawdopodobnie wielu ludzi chciało dla niej pracować, a służba większość z nich odsyłała z kwitkiem.

Wszedł na dziedziniec i rozejrzał się. Wszyscy uwijali się tu jak w ukropie, więc nikt nie zwracał na niego uwagi. Być może Cecil wyjechał; jednym z powodów, dla których potrzebował asystenta, było to, że często musiał opuszczać Hatfield.

Ned podszedł do starszej kobiety, która ze spokojem łuskała groch.

– Dzień dobry – zwrócił się do niej uprzejmie. – Gdzie mogę znaleźć sir Williama Cecila?

– Zapytaj grubasa – odparła, wskazując kciukiem dobrze ubranego, przysadzistego mężczyznę, na którego nie zwrócił wcześniej uwagi. – Toma Parry'ego.

Poszedł za jej radą.

– Dzień dobry, panie Parry – zagadnął mężczyznę. – Chciałbym się widzieć z sir Williamem Cecilem.

– Wiele osób chciałoby się z nim widzieć – odparł Parry.

– Jeśli powie mu pan, że przybył Ned Willard z Kingsbridge, ucieszy się.

– Czyżby? – rzucił z niedowierzaniem Parry. – Z Kingsbridge?

– Tak. Przyszedłem tu pieszo.

– Domyślam się, że nie przyleciałeś. – Na mężczyźnie nie zrobiło to wrażenia.

– Czy będzie pan tak miły i poinformuje go o moim przybyciu?

– A jeśli zapyta, o czym Ned Willard z Kingsbridge chce z nim porozmawiać, co mam mu powiedzieć?

– O poufnej sprawie, o której on, ja i hrabia Shiring rozmawialiśmy dwunastego dnia Bożego Narodzenia.

– Sir William, hrabia i ty? – zakpił Perry. – A ty co tam robiłeś? Podawałeś wino?

Ned uśmiechnął się blado.

– Nie, ale jak już wspomniałem, była to poufna rozmowa. – Uznał, że jeśli to kpiarskie przesłuchanie wkrótce się nie zakończy, wyjdzie na desperata. – Dziękuję za pańską uprzejmość – odparł i odwrócił się.

– Dobrze już, dobrze, nie chciałem cię urazić. Chodź ze mną.

Wszedł za Parrym do pałacu. Było to ponure, popadające w ruinę miejsce; Elżbieta może i miała pod dostatkiem pieniędzy, ale nie zamierzała marnować ich na odnowę swoich włości.

Parry otworzył drzwi, zajrzał do środka i spytał:

– Sir Williamie, czy zechce pan przyjąć Neda Willarda z Kingsbridge?

– Niech wejdzie – odparł męski głos.

– Możesz wejść – oznajmił Parry, zerkając na Neda.

Pomieszczenie było duże, ale skromnie umeblowane – ot, gabinet z półkami pełnymi

ksiąg. Cecil siedział przy biurku, na którym walały się pióra, kałamarze, dokumenty i lak. Miał na sobie czarny dublet, zbyt ciepły na tę porę roku, ale był też człowiekiem, który większość czasu spędzał, siedząc przy biurku.

– Ach tak, pamiętam – rzucił, widząc przybysza. – Syn Alice Willard. – Powiedział to tonem, który nie był ani przyjazny, ani nieprzyjazny, po prostu nieco zmęczony. – Co słychać u twojej matki?

– Straciła wszystkie pieniądze, sir Williamie – odparł Ned. – Większość naszego majątku była w Calais.

– Znam ludzi, których spotkał podobny los. Wypowiedzenie wojny Francji było głupotą. Ale mów, co cię tu sprowadza? Nie sądzisz chyba, że odbiję Calais z rąk Francuzów?

– Kiedy spotkaliśmy się na przyjęciu u hrabiego Shiring, mówił pan, że szuka kogoś takiego jak ja, młodzieńca, który pomógłby panu pracować dla księżniczki Elżbiety. Matka powiedziała wtedy, że moim przeznaczeniem jest przejąć rodzinny interes i zostać kupcem… ale teraz nie mam czego przejmować. Nie wiem, czy znalazł pan kogoś…

– Tak – odparł sir William. Na dźwięk tych słów Ned poczuł, że opuszcza go wszelka

nadzieja. – Ale okazało się, że nie był to dobry wybór – dodał Cecil po chwili.

Ned się rozpromienił.

– Byłbym zaszczycony i wdzięczny, gdyby rozważył pan moją kandydaturę – rzekł poważnym tonem.

– Sam nie wiem. Nie jest to jedna z tych posad, które tworzy się tylko po to, żeby zapewnić dochód dworzanom. Tu naprawdę trzeba się napracować.

– Jestem gotowy.

– Być może, ale jeśli mam być szczery, chłopcy z dobrze sytuowanych rodzin, które borykają się z problemami, zwykle nie sprawdzają się w roli pomocników; są przyzwyczajeni do tego, że sami wydają polecenia, i nie mogą pojąć, że ktoś czegoś od nich wymaga. Jedyne, czego chcą, to pieniędzy.

– Ja chcę czegoś więcej.

– Tak?

– Sir Williamie, dwa tygodnie temu po raz pierwszy spalono w Kingsbridge protestanta. – Ned wiedział, że nie powinien dać ponieść się emocjom, ale nie było to takie proste. – Kiedy patrzyłem, jak kona w bólu, krzycząc wniebogłosy, przypomniałem sobie, jak powiedział pan, że życzeniem księżniczki

Elżbiety jest, by nikt nigdy nie musiał umierać za swoje przekonania.

Cecil pokiwał głową.

– Chcę, żeby pewnego dnia została królową – dodał gorliwie Ned. – Chcę, by nasz kraj był miejscem, w którym katolicy i protestanci nie wyrzynają się nawzajem. Kiedy nadejdzie czas, chcę być jednym z tych, którzy pomogą jej wstąpić na tron. Właśnie dlatego tu jestem.

Cecil wiercił go wzrokiem, jak gdyby próbował zajrzeć mu w głąb serca i odczytać jego intencje.

– Dobrze – rzucił po długiej przerwie. – Dam ci szansę.

– Dziękuję – odparł uradowany Ned. – Obiecuję, że nie będzie pan żałował.

II

Ned nadal był zakochany w Margery Fitzgerald, ale w okamgnieniu poszedłby do łoża z Elżbietą.

Z dużym nosem, lekko cofniętą brodą, zbyt blisko osadzonymi oczami nie była piękna, ale miała w sobie coś urzekającego. Była zdumiewająco bystra, urocza jak małe kocię

i bezwstydnie kokieteryjna. Nawet apodyktyczność i wybuchy złości nie odbierały jej uroku. Mężczyźni i kobiety uwielbiali ją w równym stopniu, nawet po tym, jak srogo ich beształa. Ned nigdy dotąd nie spotkał kogoś tak zniewalającego.

Mówiła do niego po francusku, kpiła z jego łaciny i była wyraźnie rozczarowana, gdy okazało się, że nie może pomóc jej w nauce hiszpańskiego. Pozwalała mu czytać dowolne książki, pod warunkiem że będzie z nią o nich rozmawiał. Wypytywała go o swoje finanse, a to znaczyło, że znała się na księgach rachunkowych równie dobrze jak on.

W ciągu zaledwie kilku dni Ned poznał odpowiedzi na dwa kluczowe pytania.

Po pierwsze, Elżbieta nie spiskowała przeciwko Marii Tudor. Co więcej, sprawiała wrażenie, jakby przeraźliwie bała się zdrady. Mimo to metodycznie przygotowywała się do tego, by po śmierci Marii – bez względu na to, kiedy ona nastąpi – rościć sobie prawo do tronu. Świąteczna wyprawa Cecila do Kingsbridge była częścią planu, według którego on i inni poplecznicy Elżbiety odwiedzali najważniejsze miasta w królestwie, by oszacować, jak wielu ma zwolenników i przeciwników. Podziw Neda dla

sir Williama rósł z każdym dniem. Ten człowiek myślał strategicznie i rozpatrywał każdą sprawę pod kątem tego, jaki może mieć wpływ na przyszłość księżniczki.

Po drugie, Elżbieta była protestantką, choć zdaniem Cecila nie przejawiała żadnych religijnych inklinacji. Chodziła na msze i brała udział w katolickich obrządkach, jak tego od niej oczekiwano, ale wszystko to było na pokaz. Jej ulubioną książką były *Parafrazy Nowego Testamentu* Erazma. Najbardziej znamienny był język, jakim się posługiwała. Używała przekleństw i słów uznawanych przez katolików za obraźliwe. W kulturalnym towarzystwie dobierała słowa tak, by nie zostały odczytane jako bluźniercze: mówiła „Krew" zamiast „Krew Boga", „Rany" zamiast „Na rany Chrystusa" i „O matko" zamiast „O Matko Boska!". Ale na osobności bywała bardziej bluźniercza i Ned często słyszał, jak mówi „Do diabła" i „Niech to diabli".

Rankiem uczyła się pod okiem nauczyciela, podczas gdy Ned ślęczał nad księgami w gabinecie Cecila. Elżbieta miała mnóstwo posiadłości i zadaniem Neda było dopilnowanie, by opłaty za dzierżawę wpływały regularnie i w całości. Po obiedzie księżniczka lubiła się

relaksować i czasami plotkowała z ulubionymi służkami. Siedziały w komnacie zwanym Salonem Biskupa, gdzie były najwygodniejsze krzesła, szachownica i wirginał, na którym grywała Elżbieta. Guwernantka Nell Baynsford była zawsze przy niej; czasami towarzyszył jej też Tom Parry, który był jej skarbnikiem.

Ned nie należał do tego wąskiego grona, lecz pewnego dnia, kiedy Cecila nie było w pałacu, został wezwany, by porozmawiać o przygotowaniach do dwudziestych piątych urodzin księżniczki, które wypadały siódmego września. Zastanawiano się, czy wyprawić huczne przyjęcie w Londynie – co wymagało zgody królowej – czy zdecydować się na coś skromniejszego tu, w Hatfield, gdzie będą mogli robić, co tylko zechcą.

Burzliwą dyskusję przerwało pojawienie się niespodziewanych gości.

Słysząc na dziedzińcu tętent końskich kopyt, Ned podszedł do okna i wyjrzał przez przydymione szkło. Jeźdźców było sześciu, a ich wierzchowce prezentowały się imponująco. Stajenni wybiegli, by zająć się końmi. Ned przyjrzał się przywódcy grupy i wykrzyknął zdumiony:

– To hrabia Swithin! Czego on tu chce?!

Przyszło mu do głowy, że wizyta musi mieć związek ze zbliżającym się ślubem syna hrabiego, Barta, z Margery – dziewczyną, którą Ned wciąż kochał. Bzdura, skarcił się w duchu. Nawet gdyby zaręczyny zostały zerwane, hrabia nie zadałby sobie trudu, by osobiście powiadomić o tym Neda.

O co więc chodziło?

Gości wprowadzono do domu, gdzie zdjęli zakurzone wierzchnie stroje. Kilka minut później do Salonu Biskupa wszedł służący z informacją, że hrabia Shiring pragnie rozmawiać z księżniczką Elżbietą, na co ta poleciła, by go wprowadzono.

Hrabia był postawnym mężczyzną o donośnym głosie, który wypełnił swoją obecnością całą komnatę. Gdy wszedł, Ned, Nell i Tom wstali, ale Elżbieta pozostała na krześle, by podkreślić, że płynąca w jej żyłach królewska krew jest ważniejsza niż sędziwy wiek hrabiego. Swithin ukłonił się, a gdy się odezwał, w jego głosie wyczuwało się poufałość, jak w rozmowie wuja z siostrzenicą.

– Cieszę się, pani, widząc cię w tak dobrym zdrowiu i piękną jak zawsze – zaczął.

– Cóż za miła niespodzianka! – odparła Elżbieta uprzejmym, choć znużonym głosem.

Najwyraźniej nie ufała Swithinowi. I dobrze, pomyślał Ned. Lojalnym katolikom, takim jak Swithinowie, żyło się doskonale pod rządami królowej Marii Tudor i obawiali się powrotu protestantyzmu, nie chcieli więc, by Elżbieta została królową.

– Prawie dwadzieścia pięć lat i wciąż taka piękna! – ciągnął hrabia. – Wybacz, pani, poufałość, ale każdy prawdziwy mężczyzna, nie wyłączając mnie, jest zdania, że taka uroda nie powinna się marnować.

– Czyżby? – powiedziała chłodno Elżbieta. Rzucane mimochodem żartobliwe uwagi z podtekstem seksualnym nigdy jej nie bawiły.

Swithin wyczuł jej niezadowolenie i spojrzał na trzy osoby stojące za jej plecami. Najwyraźniej zastanawiał się, czy będzie mógł porozmawiać z nią na osobności. Zdumiał się, rozpoznając w jednym z nich Neda, ale się nie odezwał. Chwilę później przeniósł wzrok na Elżbietę i spytał:

– Moja droga, czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

– Z rozkazu królowej księżniczka Elżbieta nie może zostać sam na sam z żadnym mężczyzną – odparł Tom Parry.

– Bzdura! – żachnął się Swithin.

Ned żałował, że w pałacu nie ma Cecila. Służba nie powinna sprzeciwiać się hrabiemu. Przyszło mu na myśl, że Swithin celowo wybrał na wizytę dzień, gdy najbliżsi współpracownicy Elżbiety byli poza domem.

Czego mógł chcieć?

– Księżniczka Elżbieta nie musi się mnie obawiać – zapewnił Swithin i wybuchnął gardłowym śmiechem, na którego dźwięk Neda przeszły ciarki.

– Obawiać? – Urażona Elżbieta nieznacznie podniosła głos. Nie lubiła, gdy ktokolwiek sugerował, że jest delikatną kobietą, która potrzebuje ochrony. – Niby czego miałabym się obawiać? Oczywiście, że porozmawiam z panem na osobności.

Troje służących jej ludzi niechętnie opuściło komnatę.

Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Tom spytał Neda:

– Znasz go. Jaki jest?

– Swithin to człowiek gwałtowny. Musimy być w pogotowiu. – Ned uświadomił sobie, że Tom i Nell czekają na jego wskazówki. – Nell – zwrócił się do guwernantki po chwili zastanowienia – idź do kuchni i powiedz, żeby przyniesiono wino dla

gościa. – Gdyby trzeba było wejść do Salonu Biskupa, wino stanowiło dobry pretekst.

– Co zrobi, jeśli tam wrócimy? – zapytał Tom.

Ned przypomniał sobie, jak Swithin zareagował na ostentacyjne wyjście protestantów w trakcie sztuki.

– Raz widziałem, jak próbował zabić człowieka, który go obraził.

– Boże, miej nas w opiece.

Ned przyłożył ucho do drzwi, za którymi dało się słyszeć dwa głosy: jeden donośny, należący do Swithina, i drugi, przenikliwy – głos Elżbiety. Nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów, jednak sądząc po tonie rozmowy, przebiegała ona spokojnie i – przynajmniej na razie – nie musieli się obawiać o bezpieczeństwo swej pani.

Starał się odgadnąć powód tej niespodziewanej wizyty. Musiała mieć jakiś związek z sukcesją tronu, bo inaczej po co ktoś tak ważny jak Swithin miałby się interesować Elżbietą.

Przypomniał sobie, jak wielokrotnie słyszał, że aby rozwiązać problem sukcesji, należy wydać Elżbietę za mąż za gorliwego katolika. Zakładano, że w kwestiach religijnych ulegnie ona wpływom męża. Ned znał ją jednak na tyle, by wiedzieć, że taki plan się nie powiedzie. Lecz inni mogli nie

zdawać sobie z tego sprawy. Król Filip zaproponował jej małżeństwo ze swoim kuzynem, księciem Sabaudii, ale Elżbieta odmówiła.

A jeśli to Swithin chciał poślubić Elżbietę? Niewykluczone. Być może miał nadzieję, że uda mu się ją uwieść. Może myślał, że jeśli spędzi z nią sam na sam wystarczająco dużo czasu, ludzie zaczną plotkować i chcąc ratować swoją reputację, Elżbieta będzie musiała wyjść za mąż.

Nie on pierwszy próbował podobnych sztuczek. Kiedy Elżbieta miała czternaście lat, czterdziestoletni Thomas Seymour próbował ją uwieść i uczynić swoją żoną. Seymoura ścięto za zdradę, choć niecne plany względem młodziutkiej księżniczki nie były jedyną z jego przewin. Ned pomyślał, że lekkomyślny hrabia Swithin był gotów zaryzykować i podzielić jego los.

Rozmowa za drzwiami przybrała teraz inny ton. Elżbieta przemawiała władczo, podczas gdy Swithin starał się złagodzić jej chłód głosem tak przymilnym, że niemal lubieżnym.

W razie niebezpieczeństwa Elżbieta mogła wezwać pomoc. Sęk w tym, że upierała się, iż nie potrzebuje pomocy. A Swithin z łatwością mógł ją uciszyć.

Wróciła Nell z tacą, na której prócz dzbanka z winem i dwóch kielichów stał półmisek z ciastkami. Ned podniósł rękę, dając jej znak, by nie wchodziła do komnaty.

– Jeszcze nie – szepnął.

Chwilę później z gardła Elżbiety dobył się dźwięk, który brzmiał jak stłumiony krzyk, a zaraz potem usłyszeli brzęk, jak gdyby ktoś zrzucił na podłogę misę pełną jabłek. Ned się zawahał. Czekał, aż Elżbieta zacznie krzyczeć, ale za drzwiami nastała cisza. Nie wiedział, co robić. Brak jakichkolwiek odgłosów wydał mu się jeszcze bardziej przerażający.

Czując, że dłużej nie zniesie tego napięcia, otworzył drzwi, wyjął tacę z rąk Nell i wszedł do Salonu Biskupa.

W drugim końcu komnaty hrabia Swithin przyciskał do siebie Elżbietę, całując ją. Potwierdziły się najgorsze obawy Neda.

Księżniczka odwracała głowę, próbując uniknąć pocałunków, a jej drobne piąstki bezradnie uderzały w szerokie plecy hrabiego. Najwyraźniej pieszczoty Swithina nie sprawiały jej przyjemności. Oto jak hrabia wyobraża sobie zaloty, pomyślał Ned. Sądził, że kobieta ulegnie sile jego namiętności, odwzajemni jego pocałunki i zakocha się w jego męskości.

Nie wiedział, że nie zdobyłby Elżbiety, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi.

– Przyniosłem przekąski – oznajmił głośno i wyraźnie Ned. – Trząsł się ze strachu, lecz udawał radosnego. – Może kieliszek wina, hrabio? – Postawił tacę na stoliku przy oknie.

Swithin odwrócił się do niego, zaciskając palce zdeformowanej lewej ręki na chudym nadgarstku Elżbiety.

– Wynoś się stąd, gnojku – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Jego upór zdumiał Neda. Jak miał czelność zachowywać się tak po tym, jak został przyłapany? Nawet hrabia mógł zostać stracony za gwałt, zwłaszcza jeśli byli niezależni świadkowie; a przecież Tom i Nell stali w drzwiach, zbyt przerażeni, by wejść dalej.

Swithin nie zamierzał jednak odpuszczać.

Ned uświadomił sobie, że bez względu na to, co się wydarzy, musi pozostać w komnacie.

Starając się opanować drżenie rąk, spróbował nalać wina do kielichów.

– Przynieśliśmy z kuchni wyborne ciastka. Na pewno jest pan głodny po podróży.

– Puść mnie, Swithin! – warknęła Elżbieta. Szarpnęła się, ale mimo że trzymał ją okaleczoną

ręką, w której brakowało trzech palców, nie była w stanie się uwolnić.

Hrabia położył dłoń na przytroczonym do pasa sztylecie.

– Wyjdź stąd natychmiast, młody Willardzie, albo przysięgam na Boga, że poderżnę ci gardło.

Ned wiedział, że nie są to czcze groźby. Chodziły słuchy, że w atakach szału Swithin kilkukrotnie poważnie poturbował swoich służących i potem za każdym razem łagodził sytuację, uciekając się do gróźb i pieniędzy. Gdyby Ned postanowił się bronić, mógłby zawisnąć za zranienie hrabiego.

Nie mógł jednak zostawić Elżbiety.

Widok sztyletu podsunął mu pewien pomysł.

– W stajni doszło do bijatyki – oświadczył. – Dwóch pańskich ludzi posprzeczało się. Stajenni zdołali ich rozdzielić, ale wygląda na to, że jeden z nich został ugodzony nożem. Rana jest poważna.

– Cholerny kłamca – warknął Swithin, jednak chwilowa niepewność wyraźnie ostudziła jego zapał.

Za plecami Neda Nell i Tom weszli do komnaty. Guwernantka uklękła i zaczęła zbierać kawałki strzaskanej misy.

– Pański człowiek bardzo krwawi, hrabio – odezwał się Tom, chcąc przydać wiarygodności historii Neda.

Widać było, że hrabia bije się z myślami; w końcu zdrowy rozsądek wziął górę. Swithin uzmysłowił sobie, że nie może bezkarnie pozbawić życia troje ludzi. Jego plan uwiedzenia księżniczki się nie powiódł. Wściekły, puścił ją, a Elżbieta odsunęła się od niego, rozcierając obolały nadgarstek.

Hrabia burknął coś pod nosem i jak burza wypadł z komnaty.

Ned odetchnął z ulgą, Nell się rozpłakała, a Tom Parry pociągnął łyk wina prosto z dzbanka.

– Pani – zaczął Ned – powinnaś udać się z Nell do prywatnych komnat i zaryglować drzwi. A my, Tomie, musimy zniknąć.

– To dobry pomysł – przyznała Elżbieta, ale widać było, że jej się nie spieszy. Podeszła do Neda i spytała ze spokojem: – W stajni nie było żadnej bójki, prawda?

– Nie było, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

Uśmiechnęła się.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Ryzykowałeś dla mnie życie. – Stanęła na palcach i złożyła na ustach Neda krótki, lecz czuły pocałunek. – Dziękuję – szepnęła i wyszła z komnaty.

III

Większość ludzi kąpała się dwa razy w roku – wiosną i jesienią – lecz księżniczki były wybredne i Elżbieta zażywała kąpieli znacznie częściej. Wymagało to wielu przygotowań – służące nosiły do sypialni balie pełne gorącej wody, spiesząc po schodach, by nie wystygła.

Dzień po wizycie Swithina Elżbieta oświadczyła, że zamierza się wykąpać; zupełnie jakby chciała zmyć z siebie obrzydzenie. Po tym, jak pocałowała Neda, nie mówiła więcej o tym, co się wydarzyło, on jednak miał nadzieję, że zdobył jej zaufanie.

Wiedział, że uczynił sobie z hrabiego potężnego wroga, ale liczył, że niebawem Swithin zapomni o sprawie, bo choć porywczy i mściwy, hrabia nie był zbytnio pamiętliwy. Przy odrobinie szczęścia zapomni o Nedzie, gdy na horyzoncie pojawi się nowy wróg.

Sir William Cecil wrócił do pałacu krótko po wyjeździe Swithina, a nazajutrz rano razem z Nedem wzięli się do pracy. Gabinet Cecila mieścił się w tym samym skrzydle co prywatne komnaty Elżbiety. Sir William posłał Neda do gabinetu Toma Parry'ego po księgę rachunkową innej posiadłości księżniczki. Wracając z opasłym tomiszczem pod pachą, Ned szedł korytarzem mokrym od wody, która wylała się z niesionych przez służące balii. Kiedy mijał komnatę Elżbiety, zauważył, że drzwi są uchylone i – wiedziony instynktem – zajrzał do środka.

Elżbieta wyszła właśnie z kąpieli. Balia była wprawdzie zasłonięta parawanem, lecz księżniczka pobiegła w drugi koniec sypialni po płócienne prześcieradło, którym mogłaby się wytrzeć. Któraś ze służących powinna stać przy balii, trzymając je w pogotowiu, niektóre z nich były jednak opieszałe, a Elżbieta nie miała cierpliwości do głupiutkich pokojówek.

Ned nigdy dotąd nie widział nagiej kobiety. Nie miał sióstr, z żadną dziewczyną nie posunął się aż tak daleko, nie był również w domu uciech.

Stał jak zaczarowany. Gorąca woda, parując, spływała z wąskich ramion Elżbiety na jej drobne piersi, krągłe biodra i silne uda umięśnione od jazdy konnej. Skóra księżniczki

była kremowobiała, a jej włosy łonowe miały cudowny złocistoczerwony odcień. Ned wiedział, że powinien odwrócić wzrok, ale był tak zauroczony, że nie mógł się ruszyć.

Elżbieta zauważyła go i wzdrygnęła się zaskoczona. Szybko odzyskała panowanie nad sobą i chwyciła krawędź drzwi.

Uśmiechnęła się.

I zatrzasnęła je.

Gdy oddalał się pospiesznie, serce waliło mu niczym młot. Za to, co właśnie zrobił, mógł stracić posadę, zostać zakuty w dyby albo wychłostany – albo wszystko naraz.

Ale przecież się uśmiechnęła.

Był to ciepły uśmiech, przyjazny i odrobinę kokieteryjny. Ned wyobrażał sobie, że tak właśnie nagie kobiety uśmiechają się do mężów lub kochanków. Takie uśmiechy były obietnicą zakazanej rozkoszy.

Nie powiedział o tym nikomu.

Tego wieczoru czekał na wybuch złości, lecz nic takiego się nie wydarzyło. Elżbieta słowem nie wspomniała o incydencie – ani jemu, ani nikomu innemu. Powoli Ned nabierał przekonania, że nie zostanie ukarany, i wkrótce zaczął się zastanawiać, czy wszystko to nie było

jedynie wytworem jego wyobraźni; czymś, o czym mógł jedynie pomarzyć.

Wiedział tylko, że zapamięta ten widok do końca życia.

IV

Bart pierwszy raz pocałował Margery w Priory Gate.

Sir Reginald Fitzgerald, lady Jane i Rollo z dumą oprowadzali hrabiego Swithina po nowym domu. Nieco z tyłu szli Margery z Bartem, który wrócił z posterunku w porcie Combe po tym, jak groźba francuskiej inwazji nieco się oddaliła. Margery wiedziała, że Reginald, zgodnie z obietnicą, odsprzedał resztę klasztoru księżom. Cena była niska, ale wystarczyła, żeby zakończyć prace budowlane w Priory Gate.

Dom był imponującym, nowoczesnym budynkiem, zbudowanym z tego samego jasnego wapienia co katedra. Miał rzędy wysokich okien i strzeliste kominy. Wnętrze, pełne schodów i kominków, pachniało świeżą farbą. Część kominów kopciła, a niektóre drzwi się nie domykały, lecz miejsce nadawało się do

zamieszkania i służący zaczęli już przenosić meble ze starego domu.

Margery nie chciała się tu przeprowadzać. Dla niej Priory Gate już zawsze będzie cuchnął rozlewem krwi i oszustwem. Philbert Cobley został spalony na stosie, a Alice Willard straciła dorobek życia – wszystko po to, by ukończyć budowę tego domu. Oczywiście Philbert i Alice dopuścili się grzechu i należało ich ukarać, Margery nie miała jednak wątpliwości, że kara, która ich spotkała, była zbyt surowa i wynikała z nieczystych pobudek. Biskup Julius odzyskał klasztor, a ojciec Margery wszedł w posiadanie pieniędzy, które tak naprawdę mu się nie należały.

Nie powinna się nad tym zastanawiać, ale nie potrafiła przestać, i to ją złościło. Czy nie rozumieli, że to właśnie niegodziwości, których dopuszczali się biskupi i zagorzali katolicy, tak bardzo oburzały protestantów? Lecz Margery mogła jedynie gotować się ze złości.

Widząc, że ich rodzice wchodzą do salonu, Bart zwolnił kroku, chwycił Margery za łokieć i przyciągnął do siebie, a gdy zostali sami, pocałował ją.

Był wysoki, przystojny i dobrze ubrany. Wiedziała, że musi go pokochać, ponieważ

rodzice wybrali go na jej męża, a ich zdanie wyrażało przecież wolę Bożą. Rozchyliła więc usta i odwzajemniła pocałunek; pozwoliła, by błądził dłońmi po jej ciele, ugniatał jej piersi, a nawet włożył rękę między jej nogi. Nie było to łatwe, zwłaszcza że pamiętała, jak całowała się z Nedem w tym samym domu, wtedy jeszcze nieukończonym. Próbowała przywołać te same uczucia i choć nie do końca jej się to udało, było jej nieco łatwiej.

Kiedy wysunęła się z objęć Barta, zobaczyła hrabiego Swithina, który się im przyglądał.

– Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewacie – wyjaśnił z lubieżnym uśmiechem i puścił do niej oko.

Uznała, że to ohydne, że tak po prostu stał i obserwował ich.

Niedługo potem wszyscy usiedli w gabinecie sir Reginalda, żeby porozmawiać o ślubie, który miał się odbyć za miesiąc. Margery i Bart mieli się pobrać w katedrze w Kingsbridge, a przyjęcie zaplanowano w nowym domu. Zamówiono dla niej suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu i bogato zdobione nakrycie głowy. Hrabia Swithin chciał poznać wszystkie szczegóły jej ubioru, jakby to on miał stanąć z nią na ślubnym kobiercu. Sir Reginald i lady Jane również potrzebowali

nowych strojów i należało podjąć dziesiątki innych decyzji. Oprócz jedzenia i picia goście oczekiwali rozrywek, a sir Reginald musiał zapewnić darmowe piwo dla każdego, kto pojawi się przy bramie.

Dyskusję o tym, jaką sztukę wystawić na zakończenie uroczystości, przerwało pojawienie się stajennego o imieniu Percy, któremu towarzyszył młodzieniec w zakurzonym odzieniu.

– Posłaniec z Londynu do sir Reginalda – oznajmił Percy. – Zapewnia, że przynosi wieści niecierpiące zwłoki.

Sir Reginald spojrzał na posłańca.

– O co chodzi?

– Przywożę, panie, list od Davy'ego Millera. – Miller był przedstawicielem handlowym Reginalda w Londynie. Młodzieniec wyjął skórzaną sakiewkę.

– Mów, o co chodzi, człowieku – rzucił sir Reginald z niecierpliwością.

– Królowa jest chora.

– Co jej jest?

– Lekarze mówią, że to złośliwy guz w kobiecych narządach sprawia, że jej brzuch rośnie.

– Ach – żachnął się Rollo. – Te wszystkie urojone ciąże…

– Jest tak źle, że czasami królowa traci przytomność.

– Biedaczka – odezwała się Margery. Miała mieszane uczucia względem Marii Tudor. Królowa była nadzwyczaj upartą i pobożną kobietą, ale nie powinna była palić na stosie protestantów. Dlaczego ludzie nie mogli być jednocześnie pobożni i miłosierni jak Jezus?

– Jakie są rokowania? – spytał zaniepokojony Rollo.

– Wszystko wskazuje na to, że królowej zostało jeszcze kilka miesięcy życia, ale z pewnością nie wróci już do zdrowia.

Margery zauważyła, że Rollo zbladł, i dopiero po chwili zrozumiała dlaczego.

– To najgorsza z możliwych wiadomości – rzekł. – Maria Tudor nie ma dzieci, a młoda Maria Stuart przestała być odpowiednią pretendentką do tronu po tym, jak poślubiła tego nieszczęsnego francuskiego chłoptasia. W tej sytuacji pierwsza w kolejce jest Elżbieta Tudor, a to oznacza, że wszystkie nasze starania, żeby ją kontrolować, zawiodły.

Rollo miał rację. Margery potrzebowała chwili, żeby to zrozumieć; podobnie jak jej ociec

i hrabia Swithin. Na myśl o tym, że Anglia może na powrót pogrążyć się w bagnie herezji, zadrżała.

– Elżbieta nie może zostać królową! – przemówił Swithin. – To byłaby katastrofa!

Margery zerknęła na Barta, który sprawiał wrażenie znudzonego tą dyskusją. Jej przyszły mąż nie interesował się polityką. Wolał rozmowy o koniach i psach. Poczuła, że ogarnia ją złość; chodziło przecież o ich przyszłość!

– Maria Stuart jest żoną francuskiego księcia, a lud Anglii nie chce kolejnego obcego monarchy – oświadczył jej ojciec.

– Lud Anglii nie będzie miał w tej kwestii nic do gadania – mruknął Swithin. – Powiedzcie im, że następną monarchinią będzie Maria Stuart, a zanim do tego dojdzie, oswoją się z tą myślą.

Margery była zdania, że to pobożne życzenie, a słowa jej ojca utwierdziły ją w przekonaniu, że on myśli podobnie.

– Możemy im powiedzieć, co tylko chcemy – rzekł. – Ale czy nam uwierzą?

– Możliwe – odparł Rollo. Margery widziała, że brat ma w głowie gonitwę myśli, ale wszystko, co mówił, brzmiało sensownie. – Zwłaszcza jeśli informacja ta zostanie potwierdzona przez króla Filipa.

– Tak – przyznał sir Reginald. – Ale najpierw król Filip musiałby się na to zgodzić.

W sercu Margery zapłonęła iskierka nadziei.

– W takim razie spotkajmy się z nim – zaproponował Rollo.

– Gdzie jest teraz? – spytał go ojciec.

– W Brukseli, prowadzi swoją armię przeciwko Francuzom. Tylko że wojna praktycznie się skończyła.

– Jeśli królowa jest rzeczywiście tak bardzo chora, musimy się spieszyć.

– Owszem – zgodził się z ojcem Rollo. – Możemy się dostać z Combe do Antwerpii. Statki Dana Cobleya wypływają co tydzień. Konno z Antwerpii do Brukseli jest dzień drogi. Zdążymy wrócić na ślub.

Co za ironia, że w tej jakże ważnej misji muszą polegać na transporcie Dana Cobleya, który jest przecież protestantem, pomyślała Margery.

– Myślicie, że król Filip zechce z nami rozmawiać? – spytał Rollo.

– Ze mną na pewno – powiedział hrabia Swithin. – Anglia jest jednym z jego królestw, a ja jestem tutaj jednym z najbardziej poważanych arystokratów. Poza tym raz zatrzymał się w New

Castle, kiedy po ślubie wracał z Winchesteru do Londynu.

Reginald, Rollo i Swithin wymienili spojrzenia.

– A zatem postanowione – oznajmił sir Reginald. – Jedziemy do Brukseli.

Margery odetchnęła z ulgą. Przynajmniej próbowali coś robić.

Rollo wstał.

– Porozmawiam z Danem o statku – rzekł. – Nie mamy czasu do stracenia.

V

Ned Willard nie chciał wracać do Kingsbridge na wesele Margery, ale musiał. Ceremonia stanowiła dobry pretekst dla jego tajnej misji.

W październiku wrócił tą samą drogą, którą pokonał w lipcu; tym razem jednak podróżował konno. Jego misja była pilna. Królowa umierała i liczyła się każda minuta.

Miał wrażenie, że matka skurczyła się i zapadła w sobie. Nie tyle fizycznie – wciąż była korpulentną kobietą – ale wyglądała, jak gdyby uszła z niej cała energia. Nie wierzył jej, kiedy mówiła w czerwcu: „Zbliżam się do pięćdziesiątki

i nie mam już tyle energii co kiedyś". Ale trzy miesiące później wciąż była przygnębiona i apatyczna. Patrząc na nią, Ned miał wrażenie, że matka nigdy nie odbuduje rodzinnej firmy. Na myśl o tym miał ochotę zgrzytać zębami z wściekłości.

Na szczęście niebawem wszystko się zmieni. Ned był jednym z ludzi, którzy położą kres władzy takich niegodziwców jak biskup Julius i sir Reginald. Cieszył się, że służy Elżbiecie. Zarówno Cecil, jak i księżniczka lubili go, zwłaszcza odkąd przeciwstawił się Swithinowi. Na myśl o tym, jak razem zmienią świat, czuł radosne podniecenie. Najpierw jednak musieli posadzić Elżbietę na tronie.

Stojąc wraz z matką na rynku, oczekiwał przybycia panny młodej. Wiał rześki północny wiatr. Zgodnie z tradycją młoda para miała wymówić słowa przysięgi w przedsionku katedry, a następnie udać się do środka na mszę. Mieszkańcy Kingsbridge witali Neda ciepło, a większość z nich wyrażała ubolewanie z powodu niesprawiedliwości, jaka spotkała jego rodzinę.

Swithin i Bart stali na przedzie tłumu – pan młody odziany w nowy żółty dublet, lecz nigdzie nie było śladu panny młodej. Będzie szczęśliwa

czy smutna? Czy była zrozpaczona, nie mogąc poślubić Neda? A może zdążyła już o nim zapomnieć i cieszyła się na myśl, że zostanie żoną wicehrabiego? Ned nie wiedział, z czym byłoby mu trudniej się pogodzić.

Ale to nie dla Margery wrócił do miasta. Rozglądał się w tłumie, szukając protestantów. Zauważył Dana Cobleya i rozpoczął swoją misję.

Z udawaną swobodą przeciął plac i podszedł do Dana, który stał przy północno-zachodnim rogu katedry. Dan zmienił się, choć od ich ostatniego spotkania minęły ledwie trzy miesiące: stracił na wadze, a na jego wymizerowanej twarzy malowała się determinacja. Neda ucieszył ten widok, gdyż miał za zadanie zrobić z niego przywódcę.

To jednak nie będzie proste.

Wymieniwszy uprzejmości, wciągnął Dana za przyporę i odezwał się ściszonym głosem:

– Królowa walczy o życie.

– Słyszałem – odparł Dan.

Neda zabolała świadomość, że Dan mu nie ufa, chociaż wiedział dlaczego. Willardowie zbyt łatwo przeszli z katolicyzmu na protestantyzm i z powrotem na katolicyzm. Teraz Dan nie wiedział, po czyjej stronie tak naprawdę stoją.

– W kolejce do tronu stoją Elżbieta Tudor i Maria Stuart – ciągnął Ned. – Maria ma ledwie piętnaście lat, a jej chorowity małżonek jest jeszcze młodszy; będzie słabą królową, zdominowaną przez francuskich wujów, zagorzałych katolików z rodziny Gwizjuszów. Powinieneś się jej obawiać.

– Ale Elżbieta chodzi na msze.

– I możliwe, że nie przestanie, nawet gdy zostanie królową. Nikt tego nie wie. – Nie była to prawda. Ned – jak wszyscy z otoczenia Elżbiety – wiedział, że zasiadłszy na tronie, ogłosi się protestantką, albowiem tylko w ten sposób mogła wyzwolić się spod kontroli Kościoła. Udawali jednak, że jest inaczej, by uśpić czujność opozycji. Ned przekonał się już, że w świecie królów i dworzan nikt nigdy nie mówi całej prawdy.

– Jeśli tak, to co mnie obchodzi, czy na tronie zasiądzie Elżbieta, czy Maria Tudor? – spytał Dan.

– Jeżeli Elżbieta zostanie królową, nie będzie paliła protestantów za ich przekonania. – To akurat było prawdą.

Na wspomnienie okropnej śmierci ojca w oczach Dana rozgorzała wściekłość; starał się jednak trzymać emocje na wodzy.

– Łatwo powiedzieć.

– Bądź realistą. Chcesz, żeby rzeź protestantów dobiegła końca. Elżbieta jest nie tylko waszą największą nadzieją, jest waszą jedyną nadzieją. – Ned domyślał się, że jego rozmówcy trudno w to uwierzyć, ale widząc błysk w jego oczach, ogarnęła go duma, że oto zbliżył się o krok do wykonania zadania.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał niechętnie Dan.

– Ilu protestantów jest teraz w Kingsbridge? – odpowiedział pytaniem na pytanie Ned.

Dan spojrzał na niego, ale nie odezwał się ani słowem.

– Musisz mi zaufać – ponaglił go Ned. – No, już!

– Co najmniej dwa tysiące.

– Co? – Ned był mile zaskoczony. – Myślałem, że najwyżej kilkuset.

– Jest kilka grup. Ich liczba wzrosła od czerwca.

– Przez to, co spotkało twojego ojca?

Dan rzucił mu zbolałe spojrzenie.

– Bardziej przez to, co spotkało twoją matkę. Ludzie boją się prowadzić interesy. Żadna umowa nie jest teraz bezpieczna. Nie obchodzi ich protestancki męczennik, ale nie chcą Kościoła, który kradnie ich pieniądze.

Ned pokiwał głową. Przypuszczał, że Dan ma rację. Tylko nielicznych obchodziły doktrynalne dysputy, ale każdy musiał z czegoś żyć, a Kościół, który im w tym przeszkadzał, prosił się o kłopoty.

– Przyjeżdżam z Hatfield i mam do ciebie pytanie. Już sam fakt, że o to pytam, naraża mnie na niebezpieczeństwo, więc, proszę, dobrze się zastanów, zanim odpowiesz.

Dan wyglądał na przerażonego.

– Nie mieszaj mnie w nic, co może zostać odczytane jako zdrada stanu!

To właśnie zamierzał zrobić Ned.

– Spośród tych dwóch tysięcy, ilu silnych mężczyzn jesteś w stanie zebrać, tak by po śmierci królowej walczyli dla Elżbiety przeciwko Marii Stuart?

– Nie mam pojęcia. – Dan odwrócił wzrok, wykręcając się od jasnej odpowiedzi.

Ned przysunął się do niego.

– A gdyby grupa katolickich arystokratów pod wodzą, na przykład, hrabiego Swithina zebrała armię i ruszyła na Hatfield, by uwięzić Elżbietę i zaczekać na przybycie Marii Stuart i jej twardogłowych wujów? Czy wtedy też nie ruszyłbyś palcem? – spytał.

– Czterystu ludzi z Kingsbridge niczego nie zmieni.

A zatem było ich czterystu. Właśnie to chciał usłyszeć! Był zadowolony: czterystu ludzi to więcej, niż się spodziewał.

– Sądzisz, że jesteś jedynym odważnym protestantem w Anglii? – odezwał się, jeszcze bardziej ściszając głos. – W każdym mieście są grupy takie jak wasza, gotowe wyruszyć do Hatfield i bronić Elżbiety. Czekają tylko na jej znak.

Po raz pierwszy w oczach Dana zapłonęła iskierka nadziei – choć niewykluczone, że była to nadzieja na zemstę.

– To prawda? – zapytał.

Ned może trochę przesadził, ale nie do końca było to nieprawdą.

– Jeśli pragniesz wolności wyznania, bez lęku, że za swoje przekonania możesz trafić na stos, musisz być gotów walczyć – rzekł. – I mam na myśli prawdziwą walkę na miecze.

Dan w zamyśleniu pokiwał głową.

– Jeszcze jedno – ciągnął Ned. – Dowiedz się, co knują hrabia Swithin i sir Reginald. Wyślij do Hatfield gońca, jeśli tylko zrobią coś podejrzanego, na przykład zaczną gromadzić broń. Wszelkie informacje są kluczowe.

Wiercił Dana wzrokiem, czekając na jego odpowiedź i licząc, że zgodzi się na współpracę.

– Przemyślę to – rzucił w końcu Dan i odszedł.

Ned był poirytowany. Był tak pewny, że Dan będzie chciał pomścić ojca i poprowadzi ludzi z Kingsbridge, by walczyli dla Elżbiety, że jeszcze przed wyjazdem zapewniał o tym sir Williama Cecila. Być może się przeliczył.

Zniechęcony, zaczął przedzierać się przez tłum, żeby wrócić do matki. W połowie drogi wpadł na Rollo Fitzgeralda.

– Jakie wieści o królowej? – spytał Rollo.

– Jest poważnie chora – odparł Ned.

– Chodzą słuchy, że Elżbieta pozwoli na swobodę wyznania, jeśli zasiądzie na tronie. – W ustach Rollo zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Słuchy? – Ned nie miał zamiaru dyskutować na ten temat. Zrobił krok w bok, żeby ominąć brata Margery.

Ten jednak stanął mu na drodze.

– Albo nawet pogrąży Anglię w herezji, jak zrobił to jej ojciec. – Rollo zadarł brodę. – To prawda?

– Skąd to wiesz?

– Pomyśl tylko. – Rollo, podobnie jak przed chwilą Ned, zignorował pytanie rozmówcy. – Jeśli spróbuje, kto się jej przeciwstawi? Oczywiście Rzym.

– To prawda – przyznał Ned. – Papież zamierza pozbyć się wszystkich protestantów.

Rollo oparł ręce na biodrach i pochylił się do przodu. Ned pamiętał tę postawę z czasów, kiedy chodzili do szkoły. Przybierając ją, Rollo próbował zastraszyć młodsze dzieci.

– Jej wrogiem będzie też król Hiszpanii, najbogatszy i najbardziej wpływowy człowiek na świecie.

– Możliwe. – Stanowisko Hiszpanii wcale nie było takie pewne, ale istniało niebezpieczeństwo, że król Filip będzie chciał podważyć autorytet Elżbiety.

– I król Francji, prawdopodobnie drugi najbardziej wpływowy człowiek na świecie.

– Hm. – To również stanowiło realne zagrożenie.

– Nie wspominając o królu Portugalii i królowej Szkotów.

Ned udawał, że argumenty Rollo nie robią na nim wrażenia, ale wiedział, że brat Margery ma absolutną rację. Niemal cała Europa zwróci się przeciwko Elżbiecie, jeśli ta zrobi to, co Ned wiedział, że zamierzała uczynić. Miał tego świadomość, jednak słowa Rollo zmroziły go.

– A kto wesprze Elżbietę? – ciągnął brat Margery. – Król Szwecji i królowa Nawarry? –

Nawarra była małym królestwem między Hiszpanią a Francją.

– Dramatyzujesz.

Rollo nachylił się jeszcze bardziej. Był wysoki i zawisł nad Nedem niczym złowrogi cień.

– Postąpi bardzo niemądrze, zrażając do siebie tak wiele wpływowych osób.

– Cofnij się – warknął Ned. – Bo jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że cię odepchnę.

Brat Margery wyglądał na zdezorientowanego.

Ned położył dłoń na jego ramieniu w geście, który mógł się wydawać przyjacielski, i rzekł:

– Nie będę powtarzał dwa razy.

Rollo strzepnął jego rękę i odwrócił się.

– Tak właśnie Elżbieta i ja rozprawiamy się z despotami – wycedził Ned przez zaciśnięte zęby.

Pośród dźwięku trąbek pojawiła się panna młoda.

Ned wstrzymał oddech. Margery wyglądała zjawiskowo. Miała na sobie jasnoniebieską wierzchnią suknię w kolorze nieba, z granatową spodnią i wysokim kołnierzem, który przywodził na myśl wachlarz. W zdobionym klejnotami przybraniu głowy tkwiło zawadiacko przekrzywione piórko.

Usłyszał, jak stojące nieopodal dziewczęta zaczynają szeptać z aprobatą. Na ich twarzach malowała się zazdrość. Przyszło mu do głowy, że Margery upolowała mężczyznę, którego wszystkie pożądały. Bart był najlepszą partią w hrabstwie. Ich zdaniem, panna młoda wygrała los na loterii. Ach, jakże się myliły.

Obok niej szedł dumny sir Reginald w dublecie z czerwonego jedwabiu zdobionym złotą nicią. Zapłacił za to wszystko z pieniędzy mojej matki, pomyślał gniewnie Ned.

Przyglądał się twarzy Margery. Kiedy zbliżała się do masywnych stopni zachodniego wejścia, wydawała się krucha i bezbronna. O czym myślała? Kąciki jej ust unosiły się w półuśmiechu i spoglądała to w jedną, to w drugą stronę, pozdrawiając przyjaciół skinieniem głowy. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i dumnej. Ale Ned wiedział lepiej. Margery rzadko bywała tak spokojna. Zwykle była wesoła, figlarna i radosna. Dziś nie było w niej radości. Odgrywała swoją rolę jak chłopiec grający w sztuce Marię Magdalenę.

Kiedy go mijała, ich spojrzenia się spotkały.

Nie spodziewała się go zobaczyć; była wyraźnie zaskoczona. Otworzyła oczy ze zdumienia i natychmiast odwróciła wzrok,

jednak wystarczyła chwila, by straciła opanowanie. Jej uśmiech zgasł i chwilę później się potknęła.

Ned odruchowo zrobił krok do przodu, chcąc jej pomóc, ale stał za daleko. Idący obok Margery sir Reginald próbował chwycić ją za ramię, spóźnił się jednak i Margery straciła równowagę i upadła na kolana.

Tłum wydał stłumiony okrzyk. To był omen. Upadek w drodze do ołtarza źle wróżył małżeństwu.

Margery przez kilka sekund nie podnosiła się z kolan; łapała oddech, próbując odzyskać panowanie nad sobą, podczas gdy zaniepokojona rodzina skupiła się wokół niej. Ned był jedną z osób, które zaglądały im przez ramię, żeby zobaczyć, czy nic się jej nie stało. Ci stojący nieco dalej pytali się nawzajem, co się stało.

Chwilę później Margery wstała i wyprostowała się niczym struna. Na jej twarz wrócił spokój. Rozejrzała się i uśmiechnęła smutno, jak gdyby zażenowana własną niezdarnością.

Zrobiła niepewny krok i ruszyła w stronę przedsionka katedry.

Ned został tam, gdzie był. Nie musiał oglądać ceremonii z bliska. Kobieta, którą kochał,

powierzała swoje życie innemu mężczyźnie. Margery poważnie traktowała swoje obietnice: dla niej przysięga była świętością. Kiedy mówiła „tak”, rzeczywiście tak myślała. Wiedział, że traci ją bezpowrotnie.

Po przysiędze wszyscy weszli do katedry, żeby uczestniczyć w mszy świętej.

Ned modlił się wraz z innymi, podziwiając rzeźbione pilastry i strzeliste łuki, jednak tego dnia szeregi kolumn i łukowate sklepienia nie były w stanie ukoić jego zranionej duszy. Bart unieszczęśliwi Margery, Ned nie miał co do tego wątpliwości. Nie mógł przestać myśleć, że dziś w nocy ten tępogłowy głupiec w żółtym dublecie położy się do łóżka z Margery i zrobi z nią to, czego on tak bardzo pragnął.

Kiedy msza dobiegła końca, Margery i Bart zostali mężem i żoną, a on wyszedł z katedry. Nie miał już nadziei, a jego niepewność dobiegła końca. Będzie musiał żyć bez niej.

Był pewien, że nigdy nikogo nie pokocha i do końca życia pozostanie kawalerem. Pocieszał się myślą, że przynajmniej ma misję, która tak bardzo go absorbuje. Praca dla Elżbiety w pełni go pochłonęła. Jeśli nie mógł spędzić życia z Margery, poświęci je Elżbiecie. Jej ideał tolerancji religijnej był oburzająco radykalny.

Niemal cały świat uważał, że ktoś, kto daje ludziom swobodę religijną, jest nieprzyzwoicie pobłażliwy i kompletnie szalony. Ned był jednak zdania, że to świat jest szalony, a jedynie ludzie myślący podobnie jak Elżbieta są przy zdrowych zmysłach.

Życie bez Margery będzie smutne, ale nie pozbawione sensu.

Już raz zaimponował Elżbiecie tym, jak rozprawił się z hrabią Swithinem; teraz musiał zrobić to znowu, werbując Dana Cobleya i protestantów z Kingsbridge jako jej żołnierzy.

Zatrzymał się na wietrznym placu i poszukał wzrokiem Dana, który nie wszedł do katedry na mszę. Prawdopodobnie przez ostatnią godzinę rozważał jego propozycję. Ile czasu potrzebował? Ned zauważył go na cmentarzu i ruszył w jego stronę.

Philbert Cobley nie miał grobu, gdyż heretycy nie zasługiwali na chrześcijański pochówek. Dan stał nad grobem swoich dziadków – Adama i Deborah Cobleyów.

– Ukradkiem zebraliśmy trochę prochów – wyjaśnił Dan. Twarz miał mokrą od łez. – Po zmroku przynieśliśmy je tu i zakopaliśmy w ziemi. W dniu Sądu znowu go zobaczymy.

Ned nie lubił Dana, ale nie mógł mu nie współczuć.

– Amen – powiedział. – Jednakże dzień Sądu Ostatecznego nieprędko nadejdzie, a tymczasem musimy wykonać dzieło Boże tu, na ziemi.

– Pomogę ci – odparł Dan.

– Dobry z ciebie człowiek! – Ned był uradowany. Wypełnił swoją misję. Elżbieta będzie zadowolona.

– Powinienem był się zgodzić od razu, ale ostatnimi czasy stałem się ostrożny.

Nic dziwnego, pomyślał Ned, lecz nie chciał rozmawiać o przeszłości, zwłaszcza teraz, gdy Dan zaoferował swą pomoc.

– Będziesz musiał wyznaczyć dziesięciu kapitanów – rzekł energicznie. – Każdy z nich będzie dowodził czterdziestoma ludźmi. Nie wszyscy będą mieli miecze, ale powiedz im, żeby znaleźli sztylety i młoty. Żelazny łańcuch to też dobra broń.

– To właśnie mówisz wszystkim protestantom, którzy decydują się do was przystać?

– Tak. Potrzebujemy zdyscyplinowanych ludzi. Musisz zabrać ich gdzieś na pole i przemaszerować. Może brzmi to głupio, ale muszą nauczyć się równo chodzić. – Ned nie

mówił z własnego doświadczenia, powtarzał tylko to, co powiedział mu Cecil.

– Ktoś może nas zobaczyć – rzucił z powątpiewaniem Dan.

– Nie, jeśli będziecie dyskretni.

Dan pokiwał głową.

– Jest coś jeszcze – dodał. – Pewnie chciałbyś wiedzieć, co porabiają Swithin i Fitzgeraldowie.

– Jak najbardziej.

– Popłynęli do Brukseli.

Ned był zaskoczony.

– Co? Kiedy?

– Cztery tygodnie temu. Wiem, bo wsiedli na mój statek. Zabraliśmy ich do Antwerpii i słyszeliśmy, jak rozpytują o kogoś, kto zawiózłby ich do Brukseli. Wrócili na jednym z moich statków. Obawiali się, że trzeba będzie przełożyć ślub, ale trzy dni temu zjawili się w Kingsbridge.

– Król Filip jest w Brukseli.

– Też o tym pomyślałem.

Ned starał się przeanalizować sytuację tak, jak zrobiłby to sir William Cecil, i miał wrażenie, że jego myśli są jak kostki domina, które upadają jedna po drugiej. Po co Swithin i Fitzgeraldowie mieliby się spotykać z królem Filipem? Co mu

powiedzieli? Że to Maria Stuart, a nie Elżbieta powinna być królową.

Musieli go prosić, żeby poparł Marię.

A jeśli Filip się zgodził, Elżbieta miała poważne kłopoty.

VI

Ned zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdy zobaczył reakcję sir Williama Cecila.

– Nie spodziewałem się, że król Filip poprze Elżbietę, ale miałem nadzieję, że nie będzie się w to mieszał. – Cecil był wyraźnie zdenerwowany.

– Dlaczego miałby nie wesprzeć Marii Stuart?

– Boi się, że Anglia dostanie się pod wpływy jej francuskich wujów. Nie chce, żeby Francja za bardzo urosła w siłę. A zatem, mimo że chce, abyśmy byli krajem katolickim, nie może się zdecydować. Wolałbym, żeby nie uległ namowom i nie udzielił poparcia Marii Stuart.

O tym Ned nie pomyślał. To niesamowite, jak często sir Cecil mówił o rzeczach, które jemu nie przyszły do głowy. Szybko się uczył, ale miał przeczucie, że nigdy nie opanuje skomplikowanej sztuki dyplomacji.

Cecil przez cały dzień był nie w humorze i zachodził w głowę, co mógłby zrobić albo powiedzieć, żeby powstrzymać króla Hiszpanii od wtrącania się w sprawy Anglii. Po południu razem z Nedem udali się na spotkanie z hrabią Feria.

Ned spotkał go latem, gdy ten przybył do Hatfield jako hiszpański wysłannik. Elżbieta ucieszyła się wówczas na jego widok, wierząc, że ta wizyta oznacza, iż król Filip być może nie do końca jest wobec niej tak nieprzejednany. Próbowała oczarować Ferię swym urokiem do tego stopnia, że wyjeżdżając, był w niej zadurzony. W świecie stosunków międzynarodowych nic jednak nie jest takie, jakie się wydaje. Ned nie miał pojęcia, jakie znaczenie może mieć to, że Feria stracił głowę dla Elżbiety. Hrabia był wytrawnym dyplomatą, uprzejmym wobec wszystkich, lecz w głębi duszy bezwzględnym.

Cecil i Ned znaleźli go w Londynie.

W porównaniu z Antwerpią, Paryżem czy Sewillą Londyn był niewielki, ale stanowił serce rozwijającego się angielskiego handlu. Droga biegnąca z Londynu na zachód ciągnęła się wzdłuż rzeki, obok pałaców i rezydencji, których ogrody dochodziły aż do brzegu. Dwie mile od

Londynu znajdowało się samodzielne miasto Westminster, będące siedzibą rządu. Arystokraci, radni i dworzanie gromadzili się w White Hall, Westminster Yard i Pałacu Świętego Jakuba, by ustanawiać prawa, dzięki którym kupcy mogli dobijać interesów.

Feria mieszkał w bezładnym skupisku budynków znanym jako White Hall Palace. Cecil i Ned mieli szczęście, że zastali go przed wyjazdem do Brukseli.

Cecil nie mówił płynnie po hiszpańsku, ale na szczęście Feria dobrze władał angielskim. Sir William udawał, że akurat był w pobliżu i postanowił złożyć mu wizytę, natomiast Hiszpan z grzeczności udawał, że mu wierzy. Przez chwilę wymieniali uprzejmości i rozmawiali o nic nieznaczących rzeczach.

Wiele zależało od tej rozmowy. Król Filip był przekonany, że jego świętym obowiązkiem jest wspierać Kościół katolicki; tym łatwiejsze wydawało się przekonanie go, żeby opowiedział się przeciwko księżniczce Elżbiecie.

Kiedy część oficjalna spotkania dobiegła końca, Cecil zwrócił się do Ferii:

– A tak między nami mówiąc, Anglia i Hiszpania praktycznie pokonały Francję i Szkocję.

Ned zwrócił uwagę na osobliwość tej wypowiedzi: Anglia niewiele miała wspólnego z wojną, bo to Hiszpania ją wygrywała, a Szkocja była praktycznie bez znaczenia. Cecil chciał jednak przypomnieć Ferii, kim są jego przyjaciele.

– Wojna praktycznie dobiegła końca – odparł Hiszpan.

– Król Filip musi być zadowolony.

– I wdzięczny za pomoc angielskich poddanych.

Cecil pokiwał głową i przeszedł do interesów.

– A przy okazji, hrabio, kontaktował się pan ostatnio z Marią Stuart, królową Szkotów?

Ned był zaskoczony tym pytaniem. Sir William nie uprzedzał go, co zamierza powiedzieć.

Feria był równie zdumiony.

– Dobry Boże, nie – odparł pospiesznie. – Dlaczego chcecie, żebym się z nią kontaktował?

– Ależ nie mówię, że powinien pan to robić… chociaż ja na pana miejscu tak właśnie bym postąpił.

– Dlaczego?

– Cóż, może być następną królową Anglii, mimo że to jeszcze dziecko.

– To samo można powiedzieć o księżniczce Elżbiecie.

Ned ściągnął brwi. Feria nie doceniał Elżbiety, jeśli myślał, że nadal jest dzieckiem. Może wcale nie był tak bystry, jak mówiono.

Cecil puścił tę uwagę mimo uszu.

– Jak rozumiem, król Filip został poproszony, by udzielił wsparcia Marii w jej roszczeniach do angielskiego tronu. – Zamilkł, dając szansę hrabiemu, by temu zaprzeczył. Ten jednak się nie odezwał.

Ned uznał więc, że jego domysły były słuszne: Swithin i Reginald poprosili króla Filipa, by poparł Marię Stuart.

– Na pana miejscu – podjął Cecil – zażądałbym od Marii pewnego zobowiązania. Poprosiłbym, żeby zagwarantowała, że pod jej rządami Anglia nie przejdzie na drugą stronę i nie połączy sił z Francją i Szkocją przeciwko Hiszpanii. W tej chwili to jedyne, co mogłoby powstrzymać Hiszpanię przed wygraniem wojny.

Ned był zdumiony. Wizja roztoczona przez sir Williama wystarczyła, żeby przerazić Ferię i jego pana, króla Hiszpanii.

– Chyba nie myśli pan, że to możliwe? – spytał hrabia.

– Wręcz przeciwnie, myślę, że to nieuniknione – zapewnił go Cecil, choć Ned był przekonany, że wcale tak nie uważa. – Maria Stuart, formalnie rzecz biorąc, jest władczynią Szkocji, nawet jeśli w jej imieniu rządy sprawuje jej matka. Mąż Marii jest następcą francuskiego tronu. Jak więc mogłaby być nielojalna wobec obu tych krajów? Jestem pewien, że zwróci Anglię przeciwko Hiszpanii, chyba że zrobimy coś, żeby temu zapobiec.

Zamyślony Feria pokiwał głową.

– I rozumiem, że ma pan propozycję – rzekł.

Cecil wzruszył ramionami.

– Nie ośmieliłbym się udzielać rad najznamienitszemu europejskiemu dyplomacie. – On także potrafił być czarujący, gdy wymagała tego sytuacja. – Ale jeśli król Filip rzeczywiście rozważa prośbę angielskich katolików, by udzielić poparcia Marii Stuart jako dziedziczce angielskiego tronu, to wydaje mi się, że najpierw powinien wymóc na niej obietnicę, że jako królowa Anglii nie wypowie wojny Hiszpanii.

– Mógłby to zrobić – odparł Feria z udawaną obojętnością.

Ned był zdezorientowany. Cecil miał próbować odwieść Ferię od udzielenia poparcia Marii Stuart, a tymczasem podpowiadał mu,

w jaki sposób król Filip może uporać się z głównym problemem. Czy prowadził jakąś grę, której reguł Ned nie był w stanie pojąć?

Sir William Cecil wstał.

– Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać – rzekł. – Właściwie przyszedłem życzyć panu dobrej podróży.

– Zawsze miło pana widzieć. Proszę przekazać wyrazy uszanowania uroczej księżniczce Elżbiecie.

– Oczywiście. Z pewnością się ucieszy.

– Nie rozumiem – odezwał się Ned, kiedy tylko wyszli na ulicę. – Dlaczego podpowiedział mu pan, że powinien wymusić na Marii Stuart gwarancję?

Cecil się uśmiechnął.

– Przede wszystkim król Francji Henryk nie dopuści do tego, by jego synowa złożyła taką obietnicę.

O tym Ned nie pomyślał. Maria Stuart miała zaledwie piętnaście lat i żeby cokolwiek zrobić, potrzebowała zezwolenia.

– Po drugie – ciągnął Cecil – jej obietnica będzie niewiele warta. Złamie ją, kiedy tylko zasiądzie na tronie. A wówczas nikt nie będzie w stanie wymóc na niej jej dotrzymania.

– I król Filip przejrzy jej zamiary.

– Jeśli nie, to hrabia Feria z pewnością mu o nich powie.

– Dlaczego więc pan mu to zasugerował?

– To najszybszy sposób, żeby uświadomić Ferii i Filipowi, co może się stać, jeśli udzielą poparcia Marii Stuart. Feria nie skorzysta z mojej porady, ale już się zastanawia, co mógłby zrobić, żeby ochronić Hiszpanię. Wkrótce król Filip będzie myślał o tym samym.

– I co zrobią?

– Nie wiem, ale wiem, czego nie zrobią. Nie pomogą hrabiemu Swithinowi i sir Reginaldowi. Nie poprą Marii Stuart. Już samo to daje nam nadzieję.

VII

Królowa Maria Tudor rozstawała się z życiem stopniowo i z godnością, niczym dostojny galeon powoli opuszczający cichą przystań.

Podczas gdy opadała z sił w swoich prywatnych komnatach w Pałacu Świętego Jakuba w Londynie, Elżbieta przyjmowała kolejnych gości. Przedstawiciele arystokratycznych rodów i bogaci kupcy zjeżdżali do Hatfield, żeby wyrazić swoje

niezadowolenie z prześladowań na tle religijnym. Inni przysyłali wiadomości, zarzekając się, że zrobią dla niej wszystko. Elżbieta przez większość dnia siedziała, dyktując listy, wysyłała krótkie odpowiedzi, dziękowała ludziom za ich lojalność i umacniała sojusze. Każda wiadomość miała jedno przesłanie: *Będę energiczną monarchinią i nie zapomnę o tych, którzy mi pomogli.*

Ned i Tom Parry odpowiadali za przygotowania wojskowe. Zarekwirowali pobliski dom, Brocket Hall, i uczynili go swoją kwaterą główną. Stamtąd, w porozumieniu ze zwolennikami Elżbiety z okolicznych miasteczek, planowali rozprawić się z katolickim powstaniem. Ned liczył ludzi zdolnych do walki, prognozował, w jakim czasie każda z grup dotrze do Hatfield, i zachodził w głowę, skąd znaleźć dla nich wszystkich broń.

Rozmowa Cecila z hrabią Feria przyniosła zamierzony rezultat. Hiszpan wrócił do Anglii w drugim tygodniu listopada, spotkał się z Tajną Radą Królewską – grupą najbardziej wpływowych królewskich doradców – i oświadczył, że król Filip udziela swego poparcia księżniczce Elżbiecie. Królowa Maria Tudor,

która nie była w stanie nic zrobić, najwyraźniej pogodziła się z decyzją męża.

Następnie Feria przyjechał do Hatfield.

Wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha jak człowiek, który przynosi dobre wieści zniewalająco pięknej kobiecie. Hiszpanie byli najbogatszymi ludźmi na świecie i tego dnia miał na sobie czerwony dublet, miejscami ażurowy, by odsłonić złotą podszewkę, oraz zdobioną złotym haftem czarną pelerynę z czerwonym podbiciem. Ned pierwszy raz widział człowieka, który byłby z siebie tak bardzo zadowolony.

– Pani, przynoszę podarek – oznajmił hrabia.

W pokoju oprócz Elżbiety i Ferii byli sir Cecil, Tom Parry i Ned.

Elżbieta lubiła prezenty, ale nienawidziła niespodzianek, odparła więc powściągliwie:

– Jak miło.

– To podarek od mojego i waszego pana, króla Filipa – dodał Feria.

Formalnie rzecz biorąc, Filip wciąż był królem Elżbiety; Maria Tudor jeszcze żyła i była królową Anglii, a zatem jej mąż nadal był królem Anglii. Elżbieta nie lubiła jednak, gdy jej o tym przypominano. Ned dostrzegał oznaki jej niezadowolenia – delikatnie uniesioną brodę, cień grymasu, który przemknął po bladej twarzy,

dumne wyprostowanie ramion – które umknęły uwadze Ferii.

– Król Filip – ciągnął hrabia – ofiarowuje ci angielski tron. – Cofnął się i skłonił, jak gdyby oczekiwał burzy oklasków albo pocałunku.

Elżbieta siedząca na bogato rzeźbionym dębowym krześle wyglądała na niewzruszoną, ale Ned wiedział, że ma w głowie gonitwę myśli. Feria przywiózł dobre wieści, lecz przekazał je niezwykle protekcjonalnym tonem. Jaka będzie odpowiedź księżniczki?

– Pozwolę sobie jako pierwszy pogratulować Waszej Wysokości – rzekł po chwili Hiszpan.

Skinęła głową, wciąż jednak nie odezwała się ani słowem. Ned znał to milczenie i wiedział, że nie wróży niczego dobrego.

– Poinformowałem Tajną Radę Królewską o decyzji króla Filipa – dodał hrabia.

– Moja siostra umiera, a ja mam zostać królową – przemówiła wreszcie Elżbieta. – Czuję radość i przygnębienie, cieszę się i smucę zarazem.

Ned pomyślał, że prawdopodobnie była gotowa na wygłoszenie tych słów.

– Królowa Maria, pomimo choroby, zaakceptowała wybór swego męża – zapewnił ją Feria.

W jego zachowaniu zaszła subtelna zmiana i Ned podejrzewał, że Hiszpan kłamie.

– Mianowała cię, pani, swoją następczynią – mówił dalej Hiszpan – pod warunkiem że obiecasz, iż Anglia pozostanie krajem katolickim.

Ned poczuł, że opuszcza go nadzieja. Jeśli Elżbieta się zgodzi, od początku panowania będzie miała związane ręce. Biskup Julius i sir Reginald nadal będą trzęśli całym Kingsbridge.

Zerknął na Cecila, ten jednak nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Być może on także uważał, że Feria kłamie. Na twarzy sir Williama malowało się rozbawienie, gdy patrzył wyczekująco na Elżbietę.

Zapadła długa cisza, którą przerwał głos hrabiego:

– Czy mogę powiedzieć królowi i królowej, że przystajesz, pani, na ich warunki?

Kiedy w końcu Elżbieta przemówiła, jej głos brzmiał jak trzaśnięcie bicza.

– Nie, panie, nie możesz – odparła.

Feria wyglądał, jakby wymierzono mu policzek.

– Ale…

Elżbieta nie dała mu dokończyć.

– Jeśli zostanę królową, to z woli Boga, nie króla Filipa.

Ned miał ochotę krzyczeć z radości.

– Jeżeli mam zasiąść na tronie – kontynuowała księżniczka – to z woli ludu Anglii, nie mojej umierającej siostry. – W głosie Elżbiety słychać było jawną pogardę.

Hiszpan był zdumiony.

– A kiedy zostanę koronowana, złożę tradycyjną przysięgę angielskich władców i nie zawrę w niej obietnic proponowanych mi przez hrabiego Feria.

Pierwszy raz Hiszpan nie wiedział, co powiedzieć.

Wyłożył karty w niewłaściwej kolejności. Powinien wymusić na Elżbiecie złożenie przysięgi przed spotkaniem z Tajną Radą Królewską. Teraz było za późno. Ned domyślał się, że przy okazji pierwszej wizyty w Hatfield Feria dał się zwieść urokowi księżniczki i myślał, że jest słabą kobietą, którą łatwo będzie manipulować. Tymczasem to ona wywiodła go w pole.

Feria nie był głupcem i natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Nagle przygarbił się, jakby uszło z niego powietrze. Kilka razy otwierał usta, jak ktoś, kto chce się odezwać, jednak za każdym razem zmienia zdanie. Ned

podejrzewał, że nic, co by powiedział, nie przekonałoby księżniczki do zmiany stanowiska.

Elżbieta postanowiła wybawić Hiszpana z opresji.

– Dziękuję, że zechciał pan nas odwiedzić, hrabio – rzekła. – Proszę przekazać wyrazy szacunku królowi Filipowi. I choć nie ma wielkiej nadziei, modlimy się za królową Marię.

Ned zastanawiał się, czy posługując się liczbą mnogą, miała na myśli swoich zwolenników, czy jako przyszła monarchini używała królewskiego „my". Znając ją, sądził, że była to zamierzona dwuznaczność.

Feria z godnością przyjął odprawienie i tyłem wycofał się z komnaty.

Ned się uśmiechnął. Pomyślał o hrabim Swithinie i szepnął do Cecila:

– Cóż, hrabia Feria nie jest pierwszym, który popełnił błąd, nie doceniając księżniczki Elżbiety.

– Tak – przyznał sir William. – I nie sądzę, żeby był ostatnim.

VIII

Kiedy Margery miała dziewięć lat, oświadczyła, że zamierza zostać zakonnicą.

Była pełna podziwu dla pobożnego życia, jakie wiodła jej stryjeczna babka, siostra Joan, która mieszkała na najwyższym piętrze domu z ołtarzem i różańcem. Joan była dostojna, niezależna i miała w życiu cel.

Za rządów Henryka VIII zlikwidowano wszystkie klasztory żeńskie i męskie i królowa Maria Tudor nie zdołała ich przywrócić. Margery nie dlatego jednak porzuciła swoje ambicje. Prawda była taka, że kiedy weszła w wiek dojrzewania, wiedziała, że nie będzie potrafiła żyć w celibacie. Lubiła chłopców, nawet jeśli zachowywali się niepoważnie. Imponowała jej ich odwaga, siła, poczucie humoru i lubiła czuć na sobie ich pożądliwe spojrzenia. Nie przeszkadzało jej nawet to, że nie dostrzegali rozmaitych subtelności i nie rozumieli aluzji. Pociągała ją ich prostolinijność, zwłaszcza w świetle tego, że dziewczęta bywały takie nieszczere.

Zrezygnowała więc z życia w klasztorze, choć nadal pociągała ją myśl o tym, by mieć w życiu jakąś misję. Wyznała to wszystko siostrze Joan w dniu przeprowadzki do New Castle, kiedy cały jej dobytek – stroje, książki i biżuteria – został załadowany na wóz i czekał gotowy do drogi.

– Nie przejmuj się tym – odparła siostra Joan, która mimo wieku siedziała wyprostowana na drewnianym taborecie. – Bóg ma dla ciebie cel. Ma cel dla nas wszystkich.

– Ale skąd mam wiedzieć, czego ode mnie oczekuje?

– Nie dowiesz się. Musisz zaczekać, aż ci go wyjawi. Nie można pospieszać Boga.

Margery obiecała sobie, że będzie cierpliwa, choć miała wrażenie, że życie nieustannie wystawia na próby jej cierpliwość. Uległa rodzicom i zgodziła się wyjść za Barta. Ostatnie dwa tygodnie spędziła ze swoim świeżo upieczonym małżonkiem w domu na Wyspie Trędowatych należącej do hrabiego; w tym czasie Bart dał jej jasno do zrozumienia, że oczekuje, iż będzie mu posłuszna. To on decydował, gdzie pójdą i co będą robić, a następnie wydawał jej polecenia. Margery oczekiwała, że ich małżeństwo będzie oparte na partnerstwie, ale najwyraźniej mąż był innego zdania. Miała nadzieję, że może stopniowo uda jej się go zmienić, lecz Bart był za bardzo podobny do swego ojca.

Dumna rodzina – sir Reginald, lady Jane i Rollo – towarzyszyła jej w podróży do New

Castle. Byli teraz spokrewnieni z hrabią i upajali się koneksjami z arystokracją.

Poza tym mężczyźni chcieli naradzić się z hrabią Swithinem. Podróż do Brukseli okazała się fiaskiem. Król Filip wysłuchał ich i nawet mieli wrażenie, że podziela ich zdanie, lecz ktoś jednak musiał namącić mu w głowie, bo ostatecznie postanowił udzielić poparcia Elżbiecie. Margery widziała, że brat jest gorzko rozczarowany.

W drodze Reginald i Rollo dyskutowali o tym, co zrobić. Ostatnią deską ratunku byłoby zbrojne powstanie przeciwko Elżbiecie, do którego doszłoby tuż po śmierci Marii Tudor. Musieli jednak wiedzieć, ilu ludzi mógłby powołać pod broń hrabia Swithin i którzy katoliccy arystokraci byliby gotowi go wesprzeć.

Margery była zatroskana. Jej zdaniem protestantyzm był arogancką herezją popieraną przez ludzi, którym wydawało się, że są wystarczająco mądrzy, żeby krytykować liczące setki lat nauki Kościoła, ale wierzyła również, że chrześcijanie nie powinni się nawzajem zabijać.

Kiedy na horyzoncie zamajaczyły mury New Castle, jej myśli poszybowały ku bardziej prozaicznym sprawom. Hrabia Swithin był wdowcem, więc Margery – teraz wicehrabina

Shiring – będzie panią domu. Miała zaledwie szesnaście lat i nie wiedziała, jak zarządzać zamkiem. Wprawdzie rozmawiała o tym z matką i poczyniła pewne plany, ale obawiała się zderzenia z rzeczywistością.

Bart wysforował się, więc kiedy Fitzgeraldowie dotarli na miejsce, na dziedzińcu czekało na nich dwudziestu służących. Powitali Margery oklaskami i okrzykami radości, sprawiając, że poczuła się jak w domu. Może dość mieli pracy dla rodziny, w której byli sami mężczyźni, i brakowało im kobiecej ręki. Miała taką nadzieję.

Swithin i Bart wyszli ich powitać. Mąż pocałował ją, podobnie jak teść, który odrobinę za długo przyciskał usta do jej policzka, a ciało do jej ciała. W końcu odsunął się i przedstawił jej obdarzoną bujnymi kształtami, dobiegającą trzydziestki kobietę.

– Sal Brendon jest tu gospodynią i pomoże ci we wszystkim – rzekł. – Sal, oprowadź wicehrabinę po zamku. My, mężczyźni, mamy do omówienia wiele spraw.

Odwrócił się, żeby zaprowadzić Reginalda i jego syna do domu, i na odchodnym klepnął Sal w pupę. Kobieta nie sprawiała wrażenia zaskoczonej ani nawet niezadowolonej. Margery

i lady Jane wymieniły spojrzenia. Najwyraźniej Sal była kimś więcej niż tylko gospodynią.

– Pokażę pani jej pokoje – odezwała się Sal. – Proszę za mną.

Margery chciała obejrzeć dom. Wprawdzie była tu wcześniej – ostatnio dwunastego dnia świąt Bożego Narodzenia – ale zamek był rozległy i musiała się z nim oswoić.

– Najpierw pójdziemy do kuchni – oświadczyła.

Sal zawahała się i wyraźnie niezadowolona, bąknęła:

– Jak pani sobie życzy.

Wszedłszy do domu, udały się do kuchni. W pomieszczeniu było duszno i niezbyt czysto. Jedna ze starszych służących siedziała na taborecie, obserwując kucharkę i popijając z kufla. Na widok Margery podniosła się niespiesznie.

– To nasza kucharka, Mave Brown – oświadczyła Sal.

Na stole siedział kot, obgryzając resztki udźca. Margery chwyciła go i zarzuciła na podłogę.

– To dobry kot łowny – rzuciła urażona Mave.

– Będzie jeszcze lepszy, jeśli przestaniecie karmić go szynką – odparła Margery.

Starszy służący postawił na tacy talerz zimnej wołowiny, dzbanek wina i chleb. Margery sięgnęła po plasterek mięsa i wsunęła go do ust.

– To dla hrabiego – oburzył się służący.

– Bardzo dobra – pochwaliła Margery. – Jak masz na imię? – zwróciła się do mężczyzny.

– Colly Knight. Od czterdziestu lat pracuję dla hrabiego Swithina. – Powiedział to z dumą, jak gdyby chciał dać Margery do zrozumienia, że jest tu najmłodsza stażem.

– Jestem wicehrabiną – przypomniała mu. – Powinieneś się do mnie zwracać „pani".

– Tak, pani – odezwał się po chwili milczenia.

– A teraz udamy się do pokojów wicehrabiego – oświadczyła Margery.

Sal Brendon szła przodem. Minęły hol, gdzie dziesięcio-, może jedenastoletnia dziewczyna pobieżnie zamiatała podłogę, trzymając miotłę jedną ręką.

– Chwyć miotłę oburącz – warknęła Margery, mijając ją.

Dziewczyna wyglądała na zdumioną, ale posłuchała.

Gdy znalazły się na piętrze, przeszły korytarzem aż na sam jego koniec. Komnata sypialna była narożnym pomieszczeniem i miała drzwi łączące ją z dwoma sąsiednimi. Margery

spodobał się ten układ; znaczyło to, że Bart będzie miał gdzie zostawiać swoje ubłocone buty, a ona będzie miała buduar, w którym służące pomogą jej się ubrać i uczesać.

Wszędzie panował straszny bałagan. Okna wyglądały, jakby nie myto ich od roku. Na kocu leżały dwa duże psy – jeden z nich był jeszcze szczeniakiem. Na podłodze zobaczyła psie odchody; Bart najwidoczniej był pobłażliwy wobec swoich pupilów. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający nagą kobietę, ale w pokoju nie było kwiatów, półmisków z owocami czy bakaliami, miseczek z suszonymi ziołami i wonnymi płatkami kwiatów. Na krześle piętrzyły się brudne ubrania, a wśród nich zakrwawiona koszula, która musiała być tam od dawna.

– To obrzydliwe – ofuknęła gospodynię. – Posprzątamy tu, zanim się rozpakuję. Idź i przynieś miotły i łopatę. Najpierw uprzątniesz psie kupy.

Sal oparła rękę na biodrze i posłała Margery wyzywające spojrzenie.

– Służę hrabiemu Swithinowi – odparła. – Proszę porozmawiać z nim.

Margery nie wytrzymała. Zbyt długo liczyła się ze zdaniem innych: rodziców, biskupa Juliusa,

Barta. Nie zamierzała słuchać Sal Brendon. Wściekłość, którą tłumiła w sobie przez ostatni rok, wzięła górę. Margery zamachnęła się i wymierzyła Sal siarczysty policzek. Odgłos plaśnięcia sprawił, że psy zerwały się z podłogi, gospodyni krzyknęła i zatoczyła się do tyłu.

– Nigdy więcej nie mów do mnie w ten sposób – ostrzegła ją Margery. – Znam takie jak ty. Myślisz, że jesteś hrabiną tylko dlatego, że hrabia pieprzy cię, kiedy jest pijany. – Błysk w oczach Sal potwierdził tylko, że to, co mówi, jest prawdą. – Teraz to ja jestem panią tego domu i będziesz mnie słuchać. A jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, ani się obejrzysz, jak wylądujesz w domu uciech w Kingsbridge, gdzie twoje miejsce.

Widać było, że Sal ma ochotę się odgryźć. Grymas wściekłości wykrzywiał jej twarz i przez moment wyglądała, jakby chciała oddać Margery. Opanowała się jednak. Z pewnością rozumiała, że jeśli nowa synowa hrabiego poprosiłaby go, żeby pozbył się bezczelnej służącej, w taki dzień jak dziś nie mógłby jej odmówić. Posłuchała głosu rozsądku, a jej twarz złagodniała.

– Proszę… proszę o wybaczenie, pani – bąknęła. – Zaraz przyniosę miotły.

Kiedy wyszła z pokoju, lady Jane zwróciła się do córki:

– Bardzo dobrze, moja droga.

Margery sięgnęła po szpicrutę leżącą na taborecie razem z ostrogami. Podeszła do miejsca, w którym leżały psy.

– Wynocha, śmierdzące kundle! – warknęła i zdzieliła je szpicrutą.

Psy, bardziej zaskoczone niż obolałe, zerwały się z podłogi i urażone wybiegły z pokoju.

– I nie wracajcie mi tu! – zawołała za nimi.

IX

Rollo nie mógł uwierzyć, że szczęście odwróciło się od Marii Stuart. Jak to możliwe? – pytał się w duchu, skoro Anglia jest krajem katolickim, a Maria ma poparcie samego papieża? Tego popołudnia w imieniu hrabiego Swithina napisał list do arcybiskupa Canterbury, kardynała Pole’a.

Prosił w nim o błogosławieństwo dla zbrojnego powstania przeciwko Elżbiecie Tudor.

Przemoc była ich jedyną nadzieją. Król Filip zwrócił się przeciwko Marii Stuart i poparł

Elżbietę. To oznaczało katastrofę dla Rollo, jego rodziny i prawdziwej wiary katolickiej w Anglii.

– Czy to zdrada? – zapytał Swithin, sięgając po pióro.

– Nie – odparł Rollo. – Elżbieta nie jest jeszcze królową, więc nikt nie planuje rebelii przeciwko monarchini. – Wiedział, że jeśli przegrają, a Elżbieta zasiądzie na tronie, potraktuje ich jak zdrajców. Ryzykowali więc życie, ale w chwilach takich jak ta mężczyźni muszą opowiedzieć się po którejś ze stron.

Swithin podpisał list – nie bez trudu, gdyż łatwiej przychodziło mu ujeżdżanie dzikich koni niż napisanie swego nazwiska.

Pole był chory, mimo to z pewnością będzie w stanie podyktować list, pomyślał Rollo. Jakiej odpowiedzi udzieli Swithinowi? Arcybiskup Canterbury był najbardziej bezkompromisowym katolikiem ze wszystkich angielskich biskupów i Rollo był niemal pewien, że poprze powstanie. Wówczas działania Swithina i jego popleczników zostaną usankcjonowane przez Kościół.

Dwóch zaufanych ludzi hrabiego miało zawieźć list do pałacu Lambeth, rezydencji arcybiskupa pod Londynem.

Tymczasem sir Reginald i lady Jane wrócili do Kingsbridge. Rollo został w New Castle, by mieć

pewność, że wszystko idzie jak należy.

Czekając na odpowiedź arcybiskupa, Swithin i Bart zabrali się do zbierania armii. Rollo domyślał się, że w całej Anglii katoliccy hrabiowie robią to samo, a kiedy połączą siły, będą niepokonani.

Swithin był panem stu wiosek w hrabstwie Shiring i sprawował tu taką samą władzę absolutną jak jego przodkowie w średniowieczu. Swithin i Bart odwiedzali niektóre z tych miejsc osobiście. W innych służący hrabiego odczytywali oświadczenie, a proboszczowie mówili o nim w kazaniach. Mężczyźni między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia mieli stawić się w New Castle i przynieść ze sobą topory, kosy i żelazne łańcuchy.

Rollo nie miał doświadczenia w tej materii, nie wiedział więc, jaka będzie reakcja.

Była zdumiewająca. Każda wioska wysłała pół tuzina ludzi gotowych walczyć dla Swithina. Gromadzący się na listopadowych polach młodzieńcy uzbrojeni w prowizoryczną broń stanowili osobliwy widok. Protestantyzm, popularny w miastach, nigdy nie dotarł na konserwatywną angielską wieś. Poza tym nikt z żyjących nie pamiętał niczego równie ekscytującego. W całym hrabstwie nie mówiło się

o niczym innym. Chłopcy i starcy ubolewali nad tym, że czują się niepotrzebni.

Zbrojni nie mogli zabawić w New Castle dłużej niż kilka dni. Czekał ich długi marsz do Hatfield, wyruszyli więc, choć wciąż nie było odpowiedzi od kardynała Pole'a. Droga wiodła przez Kingsbridge, gdzie otrzymają błogosławieństwo od biskupa Juliusa.

Swithin jechał na czele kolumny z synem u boku. Rollo trzymał się nieco z tyłu. Trzeciego dnia dotarli do Kingsbridge. Wjeżdżając do miasta, zostali zatrzymani na moście Merthina przez sir Reginalda, który piastował urząd burmistrza. Towarzyszyli mu radni miejscy.

– Przykro mi – zwrócił się Reginald do Swithina. – Ale jest problem.

Rollo trącił konia ostrogami i dołączył do Swithina i Barta.

– Co to, na Boga, ma znaczyć? – spytał.

Jego ojciec sprawiał wrażenie zrozpaczonego.

– Jeśli zsiądziecie z koni i pójdziecie ze mną, pokażę wam – odparł.

– Wybieramy się na krucjatę. Liczyliśmy na lepsze powitanie – burknął zagniewany hrabia.

– Tak, wiem – odparł Reginald. – Uwierzcie mi, sam jestem potwornie zażenowany. Ale zobaczcie na własne oczy.

Wszyscy trzej zsiedli z koni. Swithin przywołał kapitanów, dał im pieniądze i kazał przynieść z tawerny beczki z piwem dla ludzi.

Reginald poprowadził syna, zięcia i hrabiego przez most do miasta i główną ulicą na rynek.

To, co ujrzeli, wprawiło ich w osłupienie.

Stragany były zamknięte, usunięto tymczasowe konstrukcje i rynek został uprzątnięty. Na zmarzniętej ziemi ustawiono czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt mocnych pni o średnicy sześciu, ośmiu cali. Między nimi stało kilkuset młodych mężczyzn. Rollo z rosnącym zdumieniem zauważył, że wszyscy mają drewniane miecze i tarcze.

Na rynku odbywały się ćwiczenia wojskowe.

Na ich oczach stojący na drewnianej platformie przywódca przeprowadził pokaz i zaatakował pień drewnianym mieczem i tarczą, używając naprzemiennie obu rąk, które pracowały rytmicznie, zaciekle okładając drewnianego przeciwnika. Kiedy demonstracja dobiegła końca, zgromadzeni na placu kolejno powtórzyli sekwencję ciosów.

Rollo widział podobne ćwiczenia w Oksfordzie, kiedy królowa Maria Tudor przygotowywała angielską armię, żeby wesprzeć Hiszpanię w wojnie przeciwko Francji. Pale

wbito w ziemię, więc trudno je było przewrócić. Przypomniał sobie, że na początku niewprawni wojownicy tak bezładnie wywijali mieczami, że niekiedy w ogóle nie trafiali w cel. Z czasem jednak ich ciosy stawały się coraz bardziej precyzyjne i mocniejsze. Słyszał, jak mówiono, że nawet kilka dni ćwiczeń przy palu potrafi zmienić byle kmiotka w całkiem niebezpiecznego wojownika.

Rollo zobaczył wśród rekrutów Dana Cobleya i nagle wszystko stało się jasne.

Patrzyli na armię protestantów.

Tamci, oczywiście, tak siebie nie nazywali. Być może twierdzili, że przygotowują się do odparcia hiszpańskiej inwazji. Sir Reginald i biskup Julius nie dali wiary ich słowom, ale cóż mogli poradzić? Licząca kilkunastu ludzi straż miejska nie mogła aresztować i uwięzić kilkuset mężczyzn, nawet jeśli ci łamali prawo; czego prawdopodobnie nie robili.

Zrozpaczony Rollo patrzył, jak skupieni młodzieńcy atakują pale z coraz większą zajadłością.

– To nie przypadek – skwitował. – Słyszeli, że nadciągamy, i zwołali ludzi, żeby nas powstrzymać.

– Hrabio Swithin – odezwał się Reginald – jeśli twoja armia wejdzie do miasta, na ulicach wybuchną walki.

– Moi wieśniacy zetrą w proch tych żałosnych protestantów.

– Radni miejscy nie wpuszczą twoich ludzi.

– Zignorujemy ich decyzję – rzucił Swithin.

– Nie mam prawa. Poza tym radni powiedzieli, że jeśli spróbuję, aresztują mnie.

– Proszę bardzo. Wyciągniemy cię z więzienia.

– Będziemy musieli przedrzeć się przez ten przeklęty most – wtrącił się Bart.

– Damy radę – zaperzył się jego ojciec.

– Stracimy ludzi.

– Od tego są.

– Ale kto wtedy pójdzie do Hatfield?

Rollo obserwował twarz Swithina, który nie miał w zwyczaju się poddawać, nawet kiedy musiał walczyć z przeciwnościami losu – zdradzała wściekłość i niezdecydowanie.

– Ciekawe, czy to samo dzieje się gdzie indziej – zastanawiał się głośno Bart. – Czy w innych miastach protestanci też szykują się do walki.

O tym Rollo nie pomyślał. Kiedy namawiał Swithina do zebrania małej armii, powinien założyć, że protestanci zrobią to samo. Liczył na przeprowadzony gładko zamach stanu,

tymczasem stanął w obliczu przeklętej wojny domowej. A instynkt podpowiadał mu, że Anglia nie chce wojny domowej i może zwrócić się przeciwko tym, którzy ją rozpętali.

Wszystko wskazywało na to, że będą musieli odesłać ludzi do domu.

Z gospody Pod Dzwonem wyszli pospiesznie dwaj mężczyźni. Widząc ich, sir Reginald o czymś sobie przypomniał.

– Mam dla ciebie wiadomość, hrabio – rzekł. – Ci dwaj przyszli tu godzinę temu. Kazałem im zaczekać, bo obawiałem się, że miną się z tobą po drodze.

Rollo rozpoznał ludzi, których Swithin wysłał do Lambeth. Jaka była odpowiedź arcybiskupa Pole'a? Jego zdanie mogło mieć decydujące znaczenie. Z jego błogosławieństwem armia Swithina być może będzie mogła kontynuować marsz na Hatfield. Bez niego może lepiej będzie ją rozwiązać.

– Nie dostaliśmy odpowiedzi od kardynała – poinformował starszy z gońców.

Rollo poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Jak to? – rzucił gniewnie Swithin. – Musiał przecież coś powiedzieć.

– Rozmawialiśmy z jego sekretarzem, kanonikiem Robinsonem. Twierdzi, że kardynał jest zbyt chory, żeby przeczytać wasz list, a co dopiero na niego odpowiedzieć.

– To znaczy, że jest na łożu śmierci! – wykrzyknął Swithin.

– Tak, panie.

To były najgorsze z możliwych wieści. Rządzący Anglią zagorzali katolicy umierali w kluczowym dla państwa momencie. To zmieniało postać rzeczy. Aż do dziś pomysł, żeby porwać Elżbietę i posłać po Marię Stuart, wydawał się przedsięwzięciem z szansą na powodzenie. Teraz przywodził na myśl misję samobójczą.

Czasami, pomyślał Rollo, los sprzyja siłom ciemności.

X

Ned przeprowadził się do Londynu i zatrzymał w Pałacu Świętego Jakuba, gdzie oczekiwał wieści o stanie zdrowia królowej Marii Tudor.

Szesnastego listopada jej stan znacznie się pogorszył i jeszcze przed wieczorem protestanci

zaczęli nazywać ten dzień Środą Nadziei. Nazajutrz rano, tuż przed świtem, Ned stał w tłumie przed wieżą bramną, gdy przechodzący obok służący, który niósł wiadomość, szepnął:

– Umarła.

Ned przeszedł na drugą stronę ulicy do tawerny Pod Zaprzęgiem. Nakazał osiodłać konia i zbudził posłańca, Petera Hopkinsa. Podczas gdy ten ubierał się i pił na śniadanie piwo z dzbana, Ned napisał do Elżbiety list z wiadomością o śmierci królowej.

Tłum pod wieżą bramną gęstniał z minuty na minutę.

Przez kolejne dwie godziny Ned patrzył, jak dworzanie i gońcy wchodzą i wychodzą. Kiedy w końcu zobaczył Nicholasa Heatha, poszedł za nim.

Heath – arcybiskup Yorku, kanclerz królowej Marii i strażnik Wielkiej Pieczęci – był prawdopodobnie najbardziej wpływowym człowiekiem w Anglii. Cecil próbował przekonać go, żeby udzielił wsparcia Elżbiecie, ale Heath pozostał niezdecydowany. Teraz będzie musiał wybrać, po której stanie stronie.

Arcybiskup i jego ludzie pojechali do Westminsteru, gdzie członkowie parlamentu zebrali się na poranne posiedzenie. Ned i inni

pobiegli za nimi. W Westminsterze tworzył się tłum. Heath oświadczył, że przemówi jednocześnie do Izby Lordów i Izby Gmin, których przedstawiciele zgromadzili się w sali czerwonej.

Ned próbował dostać się do środka z ludźmi Heatha, lecz został zatrzymany przez strażnika.

– Reprezentuję księżniczkę Elżbietę – powiedział, udając zaskoczonego. – Nakazała mi, żebym wziął udział w spotkaniu i przekazał jej wieści.

Strażnik wyglądał na nieprzejednanego, jednak Heath usłyszał sprzeczkę i postanowił interweniować.

– Poznaję cię, młodzieńcze – zwrócił się do Neda. – Zdaje się, że widziałem cię z sir Williamem Cecilem.

– Tak, księże arcybiskupie. – Ned był zdumiony, że kanclerz królowej Marii go pamięta.

– Przepuść go – rozkazał Heath strażnikowi.

Fakt, że parlament zebrał się na obrady, oznaczał, iż losy tronu Anglii mogły rozstrzygnąć się szybko, zwłaszcza jeśli Heath poprze Elżbietę. Księżniczkę lubiano, była siostrą Marii Tudor i mieszkała w pałacu dwadzieścia mil od Westminsteru. Tymczasem Maria Stuart była

praktycznie nieznana w Anglii, miała za męża Francuza i mieszkała w Paryżu. Wszystko zatem przemawiało na korzyść Elżbiety.

Jednakże kościół popierał Marię Stuart.

Salę posiedzeń wypełniał zgiełk rozmów – wszyscy próbowali znaleźć odpowiedź na to samo pytanie. Kiedy Heath wstał, w Izbie Lordów zapanowała cisza.

– Dziś rano Bóg wezwał do siebie naszą monarchinię, królową Marię – zaczął.

Zgromadzeni na sali parlamentarzyści westchnęli zgodnie. Wszyscy albo wiedzieli, co się wydarzyło, albo słyszeli plotki, mimo to byli wyraźnie wstrząśnięci.

– Ale mamy powód, by się radować i chwalić Pana, albowiem pozostawił nam prawowitą spadkobierczynię tronu.

Zapadła cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, czekając, aż Heath wskaże następczynię Marii Tudor.

– Księżniczkę Elżbietę, której prawo do korony nie może być w żaden sposób kwestionowane.

W sali czerwonej zapanował zgiełk. Heath mówił dalej, lecz nikt go nie słuchał. Arcybiskup udzielił poparcia Elżbiecie, nazywając ją

„prawowitą” wbrew temu, co mówił papież. To był koniec.

Kilku członków parlamentu wyraziło głośno oburzenie, ale większość wydawała się zadowolona. Parlamentarzyści poparli Elżbietę. Może kiedy sytuacja była niepewna, bali się mówić jawnie o swoich sympatiach, teraz pozbyli się wszelkich zahamowań. Patrząc na nich, Ned pomyślał, że sir Cecil nie docenił popularności Elżbiety. Choć tu i ówdzie widział posępne miny, ci, którzy siedzieli w milczeniu ze skrzyżowanymi ramionami, należeli do mniejszości. Pozostali byli wyraźnie uradowani. Niebezpieczeństwo wojny domowej zostało zażegnane, krajem nie będzie rządził obcy król, a ludzie przestaną płonąć na stosach. Ned uświadomił sobie, że on również wiwatuje.

Chwilę później Heath opuścił salę w asyście Tajnej Rady Królewskiej i stanąwszy na schodach, powtórzył oświadczenie do zgromadzonego tłumu.

Następnie ogłosił, że odczyta je w Londynie. Wychodząc, przywołał do siebie Neda.

– Oczekuję, że pojedziesz do Hatfield i przekażesz wieści.

– Tak, księże arcybiskupie.

– Możesz powiedzieć królowej Elżbiecie, że dołączę do niej przed wieczorem.

– Dziękuję.

– Po drodze nigdzie się nie zatrzymuj.

– Oczywiście, księże arcybiskupie.

Heath oddalił się, a Ned wrócił biegiem do tawerny Pod Zaprzęgiem i kilka minut później był już w drodze do Hatfield.

Dostał dobrze ułożoną klacz, która na przemian kłusowała i szła stępa. Nie chciał jej poganiać w obawie, że go poniesie. Nie musiał się spieszyć; ważne, by dotarł na miejsce przed Heathem.

Wyruszył późnym rankiem i już wczesnym popołudniem ujrzał majaczące w oddali czerwone ceglane mury Hatfield.

Hopkins był już pewnie w pałacu, więc wszyscy zostali poinformowani, że Maria Tudor nie żyje. Nikt jednak nie wiedział, kto zasiądzie na tronie.

Kiedy wjechał na dziedziniec, kilku stajennych wybiegło mu na spotkanie, pytając, jakie przynosi wieści.

Ned uznał jednak, że Elżbieta powinna się dowiedzieć pierwsza. Nie odpowiedział więc, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Elżbieta siedziała w salonie razem z Cecilem, Tomem Parrym i Nell Baynsford. Widząc Neda w grubej podróżnej opończy, wszyscy czworo spojrzeli na niego wyczekująco.

On tymczasem podszedł do Elżbiety. Próbował zachować powagę, lecz kąciki ust same układały się do uśmiechu. Widząc to, ona również się uśmiechnęła.

– Jesteś królową Anglii, pani.

Zdjął kapelusz, przyklęknął na jedno kolano i złożył głęboki ukłon.

– Wasza Wysokość.

XI

Cieszyliśmy się, albowiem nie mieliśmy pojęcia, ile z naszego zwycięstwa wyniknie kłopotów. Naturalnie nie chodziło o mnie; ja tylko współpracowałem z ludźmi, którzy byli ode mnie starsi i znacznie mądrzejsi. Nikt z nas nie potrafił przewidzieć, co przyniesie przyszłość.

Ostrzegano nas. Rollo Fitzgerald mówił mi, z jakim oporem spotkają się rządy królowej Elżbiety i że poprze ją żałosna garstka europejskich przywódców. Wówczas nie

zważałem na jego słowa; teraz wiem, że ten świętoszkowaty drań miał rację.

To, co uczyniliśmy w pamiętnym roku 1558, doprowadziło do konfliktu politycznego, buntu, wojny domowej i inwazji. W późniejszych latach, ogarnięty rozpaczą, zadawałem sobie pytanie: Czy było warto? Przekonanie, że ludzie powinni mieć swobodę wyznania, przysporzyło mi więcej cierpienia niż dziesięć plag egipskich.

Czy gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz, postąpiłbym tak samo?

Odpowiedź brzmi: Oczywiście, że tak.

CZĘŚĆ DRUGA
1559–1563

ROZDZIAŁ 9

I

W słoneczny czerwcowy piątek, spacerując wzdłuż południowej części Île de la Cité, z majestatyczną katedrą po jednej stronie i mieniącą się w słońcu rzeką po drugiej, Sylvie Palot powiedziała do Pierre’a Aumande’a:

– Chcesz się ze mną ożenić czy nie?

Błysk przerażenia w jego oczach sprawił jej satysfakcję. Był to niezwykły widok. Pierre’a niełatwo było wyprowadzić z równowagi; zawsze się kontrolował.

Odzyskał panowanie nad sobą tak szybko, że zastanawiała się, czy jej się nie przywidziało.

– Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić, ukochana – odparł urażony. – Jak możesz o to pytać?

Natychmiast pożałowała swoich słów. Uwielbiała go i nie lubiła, gdy się denerwował.

Tego dnia wyglądał wyjątkowo uroczo, gdy wiejąca od strony rzeki delikatna bryza mierzwiła mu jasne włosy. Sylvie jednak nie zamierzała dać za wygraną.

– Od roku jesteśmy zaręczeni. To za długo.

Była szczęśliwa. Księgarnia prosperowała lepiej niż kiedykolwiek i ojciec zastanawiał się, czy nie otworzyć kolejnej na drugim brzegu rzeki, w dzielnicy uniwersyteckiej. Nielegalny handel francuskojęzyczną Biblią i innymi zakazanymi księgami miał się jeszcze lepiej. Sylvie niemal codziennie chodziła do tajnego magazynu przy rue du Mur, żeby sprzedać którejś z protestanckich rodzin książkę, czasem dwie. Nowe zgromadzenia wyrastały jak grzyby po deszczu nie tylko w Paryżu, ale i w całej Francji. Dzięki temu Palotowie szerzyli prawdziwą ewangelię, a przy tym nieźle zarabiali.

Martwiło ją jednak zachowanie Pierre'a.

– Muszę skończyć studia, a ojciec Moineau nie zezwoli mi na to, jeśli się ożenię – odparł. – Tłumaczyłem ci to i zgodziłaś się zaczekać.

– Rok. A zajęcia kończą się za kilka dni. Mamy zgodę moich rodziców. I dość pieniędzy. Dopóki nie będziemy mieli dzieci, możemy mieszkać nad sklepem. Ale ty nie chcesz o tym rozmawiać.

– Napisałem do matki.

– Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Czekam na odpowiedź.

– A o co pytałeś?

– Czy czuje się na tyle dobrze, żeby przyjechać do Paryża na ślub.

– A jeśli nie?

– Nie martwmy się tym na zapas.

Sylvie nie spodobała się ta odpowiedź, ale postanowiła nie drążyć tematu.

– Gdzie odbędzie się ceremonia? – spytała.

Pierre zadarł głowę i wbił wzrok w wieże katedry Notre Dame.

– Na pewno nie tu – rzuciła Sylvie ze śmiechem. – To miejsce przeznaczone dla arystokracji.

– W takim razie w kościele parafialnym.

– A potem odbędzie się prawdziwy ślub w naszym kościele. – Miała na myśli chatkę łowiecką w środku lasu. W Paryżu protestanci nadal musieli się ukrywać ze swoimi praktykami religijnymi, choć w innych francuskich miastach sytuacja się zmieniła.

– Myślę, że będziemy musieli zaprosić markizę – mruknął niezadowolony Pierre.

– Skoro budynek należy do jej męża…

Znajomość Pierre’a i markizy Louise zaczęła się dość niefortunnie i od tego czasu nie był w stanie przekonać do siebie tej kobiety. Prawdę mówiąc, im bardziej starał się ją oczarować, tym bardziej była oziębła. Sylvie radziła mu, żeby przestał o tym myśleć, ale nie potrafił. Złościło go to i Sylvie zrozumiała, że jej pozornie pewny siebie narzeczony jest wyjątkowo wyczulony na wszelkiego rodzaju przytyki na tle społecznym.

Jego wrażliwość sprawiała, że kochała go jeszcze bardziej, a zarazem niepokoiła ją, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

– Chyba nie mamy wyjścia – powiedział Pierre, siląc się na swobodę, choć minę miał wciąż posępną.

– Sprawisz sobie nowe ubrania? – Wiedziała, jak bardzo lubi się stroić.

Uśmiechnął się.

– Powinienem chyba przywdziać skromne szaty w kolorze szarości, nie sądzisz?

– Tak.

Pierre był oddanym wiernym, który co tydzień brał udział w nabożeństwie. Szybko zapoznał się ze wszystkimi członkami wspólnoty i aż się palił, żeby poznać członków pozostałych paryskich grup. Uczestniczył nawet w mszach innych wspólnot. Bardzo chciał wziąć udział

w majowym synodzie w Paryżu – po raz pierwszy francuscy protestanci odważyli się zorganizować taką konferencję – jednak przygotowania do niego trzymano w ścisłej tajemnicy, a zaproszenia otrzymali jedynie wieloletni wyznawcy. Mimo odmowy Pierre został pełnoprawnym członkiem wspólnoty protestanckiej, co radowało Sylvie.

– Na pewno jest jakiś krawiec, który specjalizuje się w szyciu ciemnych ubrań – zauważył Pierre.

– Jest. Duboeuf przy rue Saint-Martin. Mój ojciec chodzi do niego, choć tylko wtedy, kiedy każe mu mama. Mógłby kupować sobie nowy strój co roku, ale nie chce trwonić pieniędzy na, jak to nazywa, „ozdóbki". Mam nadzieję, że kupi mi nową sukienkę, chociaż wiem, że nie będzie zadowolony.

– Jeśli on tego nie zrobi, ja ci kupię.

Sylvie złapała go za ramię, zatrzymała się i pocałowała go.

– Jesteś cudowny.

– A ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną w Paryżu. Albo nawet w całej Francji.

Słysząc to, zachichotała. Nie była to prawda, choć musiała przyznać, że wygląda uroczo w czarnej sukience z białym kołnierzykiem.

Ponure kolory, w których lubowali się protestanci, pasowały do jej ciemnych włosów i świeżej, młodzieńczej cery. Nagle przypomniała sobie, o czym rozmawiali wcześniej, i spoważniała.

– Kiedy dostaniesz odpowiedź od matki…

– Tak?

– Musimy ustalić datę. Bez względu na to, co napisze, nie chcę dłużej czekać.

– Zgoda.

Przez chwilę nie wiedziała, czy dobrze usłyszała, więc wolała nie okazywać radości.

– Naprawdę? – spytała niepewnie.

– Oczywiście. Ustalimy datę. Obiecuję!

Sylvie się roześmiała.

– Kocham cię – powiedziała i jeszcze raz go pocałowała.

II

Nie wiem, jak długo jeszcze mogę to ciągnąć, zastanawiał się Pierre, kiedy odprowadziwszy Sylvie pod drzwi ojcowskiego sklepu, przeszedł przez most Notre Dame na prawy brzeg. Z dala od rzeki wiatr ustał i wkrótce Pierre zaczął się pocić.

Kazał czekać Sylvie dłużej, niż było to rozsądne. W rezultacie ojciec dziewczyny stał się jeszcze bardziej zrzędliwy niż zwykle, a jej matka, która zawsze lubiła Pierre'a, zrobiła się wobec niego szorstka. Sylvie była w nim zadurzona bez pamięci, ale ona również zaczęła okazywać niezadowolenie. Podejrzewali, że Pierre ją zwodzi i, oczywiście, mieli rację.

Ale przecież związek z tą dziewczyną okazał się taki owocny. Jego oprawny w czarną skórę notes zawierał teraz setki nazwisk paryskich protestantów i adresy miejsc, w których odprawiali swe heretyckie rytuały.

Nawet dziś zdobył kolejne nazwisko: protestanckiego krawca! Rzucił uwagę półżartem, a głupiutka Sylvie dała się na to nabrać. To mógł być bezcenny trop.

Kardynał Karol miał aż nadto dowodów, mimo to nie aresztował jeszcze żadnego protestanta. Wkrótce Pierre zamierzał zapytać go, kiedy zamierza rozprawić się z heretykami.

Był właśnie w drodze na spotkanie z kardynałem, lecz nie musiał się spieszyć. Szedł rue Saint-Martin, aż dotarł do pracowni René Duboeufa. Z zewnątrz wyglądała jak dom mieszkalny, choć okna były nieco większe, a nad

drzwiami wisiał szyld. Po chwili namysłu Pierre wszedł do środka.

Wnętrze było zdumiewająco czyste i schludne. Pracownia sprawiała wrażenie zagraconej, ale wszystko tu miało swoje miejsce: leżące na półkach bele jedwabiu i wełny, pojemniczki z guzikami posegregowanymi według koloru, szufladki opatrzone tabliczkami opisującymi ich zawartość.

Pochylony nad stołem łysy mężczyzna ostrożnie przycinał kupon materiału wielkimi i bardzo ostrymi nożycami. Na tyłach pomieszczenia pod żyrandolem z kutego żelaza ładna kobieta szyła coś w świetle tuzina świec. Pierre zastanawiał się, czy to żona krawca.

Jedna protestancka para więcej nie robiła różnicy, lecz Pierre miał nadzieję poznać niektórych klientów.

Mężczyzna odłożył nożyce i podszedł go przywitać; przedstawił się jako Duboeuf. Okiem eksperta zmierzył dublet gościa i Pierre'owi przyszło do głowy, że jest ubrany zbyt krzykliwie jak na protestanta.

– Potrzebuję nowego stroju – oznajmił Pierre. – Czegoś mniej rzucającego się w oczy. Może ciemnoszarego.

– Oczywiście, proszę pana – odparł nieufnie krawiec. – Czy ktoś mnie panu polecił?

– Giles Palot, drukarz.

Duboeuf wyraźnie się odprężył.

– Znam go bardzo dobrze.

– To mój przyszły teść.

– Gratuluję.

Pierre przestał wzbudzać podejrzenia. Wykonał pierwszy krok.

Duboeuf był drobnym mężczyzną, ale z wprawą zdejmował z półek ciężkie bele materiału. Pierre wybrał ciemnoszary, prawie czarny materiał.

Niestety, nikt inny nie przyszedł do pracowni. Pierre zastanawiał się, w jaki sposób zrobić użytek z protestanckiego krawca. Nie mógł przecież siedzieć w pracowni cały dzień, czekając na innych klientów. Mógł kazać obserwować to miejsce – Gaston Le Pin, kapitan straży Gwizjuszów, na pewno znalazłby kogoś dyskretnego – ale wówczas nie poznaliby nazwisk ludzi, którzy odwiedzali zakład krawiecki, więc cała operacja mijała się z celem. Pierre łamał sobie głowę; musiał istnieć jakiś sposób, żeby wykorzystać sytuację.

Krawiec sięgnął po długi skórzany pasek i zaczął zdejmować miarę z Pierre’a, przypinając

do paska kolorowe pinezki i zaznaczając szerokość i długość ramion, obwód w klatce piersiowej i talii.

– Ma pan świetne proporcje, monsieur Aumande – zauważył. – W nowym dublecie będzie pan wyglądał bardzo wytwornie.

Pierre zignorował pochlebstwo, zastanawiając się, w jaki sposób zdobyć nazwiska klientów krawca.

Zdjąwszy miarę, Duboeuf wyciągnął z szuflady notes.

– Czy mogę prosić o pański adres, monsieur Aumande?

Pierre spojrzał na notes. Naturalnie, krawiec musiał wiedzieć, gdzie mieszkają jego klienci; w przeciwnym razie każdy, kto korzystał z jego usług, mógłby się rozmyślić i więcej się nie pojawić. Zresztą, nawet gdyby miał fenomenalną pamięć, nie byłby w stanie spamiętać nazwisk wszystkich klientów i zamówień, co z pewnością prowadziłoby do nieporozumień natury finansowej. Nie, ten wyjątkowo schludny człowiek musiał mieć wszystko na papierze.

Trzeba było się dowiedzieć, co kryje ten notes. Zapisane w nim nazwiska i adresy musiały trafić do rejestru Pierre’a, tego w czarnej skórzanej

oprawie, zawierającego listę nazwisk protestantów.

– Adres, monsieur? – powtórzył Duboeuf.

– Mieszkam w College des Ames.

Duboeuf zanurzył pióro w kałamarzu i odkrył, że jest on pusty. Widząc to, roześmiał się nerwowo i rzucił:

– Proszę wybaczyć, muszę przynieść flakonik z atramentem.

Po tych słowach zniknął za drzwiami.

Pierre miał okazję zajrzeć do notatnika, najpierw jednak musiał się pozbyć żony krawca. Przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i zagadnął do niej. Wyglądała na osiemnaście lat i była młodsza od męża, który przekroczył już trzydziestkę.

– Tak sobie myślałem… czy mógłbym poprosić o kieliszek wina? Strasznie dziś duszno.

– Oczywiście, monsieur. – Kobieta odłożyła robótkę i wyszła ze sklepu.

Pierre otworzył notatnik krawca. Tak jak przypuszczał, zawierał on nazwiska i adresy klientów wraz ze szczegółowymi opisami zamawianych ubrań i wybranymi materiałami, a także płatności – te uiszczone i te, które należało uiścić. Rozpoznawał niektóre nazwiska, gdyż miał je zapisane w swoim notesie.

Przerzucając kartki, czuł rosnące podniecenie. Notatnik zawierał prawdopodobnie dane połowy paryskich heretyków; kardynał Karol byłby zachwycony. Pierre żałował, że nie może tak po prostu schować go pod dublet; to byłoby nierozważne. Starał się zatem zapamiętać jak najwięcej nazwisk.

Stał pochylony nad rejestrem, gdy usłyszał za plecami głos Duboeufa.

– Co pan robi? – spytał krawiec.

Był blady i przerażony. Dobrze, pomyślał Pierre, ma się czego bać; popełnił błąd, pozostawiając notatnik na stole. Pierre zamknął rejestr i uśmiechnął się.

– Czysta ciekawość. Proszę mi wybaczyć.

– To prywatny rejestr! – rzucił surowo Duboeuf. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Wygląda na to, że znam większość pańskich klientów – zauważył beztrosko Pierre. – Cieszę się, że moi przyjaciele płacą na czas.

Duboeuf nie roześmiał się, ale cóż miał zrobić?

Chwilę później otworzył kałamarz, umoczył pióro w atramencie i zapisał w notatniku nazwisko i adres Pierre’a.

– Pańskie wino, monsieur. – Do pracowni wróciła żona krawca i wręczyła Pierre’owi

puchar wina.

– Dziękuję, Françoise – powiedział Duboeuf.

Kobieta była zgrabna, zauważył Pierre. Zastanawiał się, co skłoniło ją do tego, by związać się z dużo starszym mężczyzną. Może perspektywa wygodnego życia u boku zamożnego męża. A może miłość.

– Gdyby był pan tak miły i zachciał wrócić za tydzień, pański dublet będzie gotowy do przymiarki – poinformował go krawiec. – Będzie kosztował dwadzieścia pięć liwrów.

– Świetnie. – Pierre nie oczekiwał, że dowie się czegoś więcej od tego człowieka. Wypił więc wino i opuścił pracownię.

Wino nie ugasiło jego pragnienia, wszedł zatem do najbliższej tawerny i zamówił kufel piwa. Kupił też arkusz papieru i pożyczył pióro oraz kałamarz. Popijając piwo, zapisał starannym pismem: *René Duboeuf, krawiec, rue Saint-Martin. Françoise Duboeuf, żona.* Zaraz potem dopisał wszystkie nazwiska i adresy, które zdołał zapamiętać, zaczekał, aż atrament wyschnie, i włożył papier za pazuchę. Później skopiuje to do czarnego notatnika.

Siedząc przy stole, zastanawiał się, kiedy kardynał zrobi użytek ze zgromadzonych informacji. Na razie ograniczał się do zbierania

nazwisk i adresów, ale przyjdzie dzień, kiedy postanowi działać. Wówczas rozpęta się piekło. Pierre będzie miał udział w triumfie Karola. Mimo to wzdrygnął się na myśl o setkach kobiet i mężczyzn, którzy zostaną uwięzieni, poddani torturom, a może nawet umrą spaleni na stosie. Wielu protestantów było zadufanymi w sobie ludźmi i Pierre z radością będzie patrzył na ich cierpienie – zwłaszcza markizy Louise – ale inni byli wobec niego serdeczni, przyjęli go do swego grona, zapraszali do domów i odpowiadali na jego podstępne pytania z rozbrajającą szczerością, która budziła w nim poczucie winy. Niespełna półtora roku temu jego najgorszą przewiną było wyciąganie pieniędzy od namiętnej wdowy. Miał wrażenie, że od tego czasu minęła cała wieczność.

Opróżnił kufel i wyszedł. Nieopodal przy rue Saint-Antoine odbywał się turniej. Paryż znów się radował. Podpisano traktat pokojowy z Hiszpanią i król Henryk II świętował, udając, że nie przegrał wojny.

Rue Saint-Antoine była najszerszą z paryskich ulic i dlatego właśnie tu organizowano turnieje. Po jednej stronie znajdował się ogromny, popadający w ruinę zamek Tournelles, w którego oknach stali członkowie rodziny królewskiej

i arystokraci w drogich, barwnych strojach. Po drugiej tłoczyło się pospólstwo; ich tanie ubrania miały wszystkie odcienie brązu jak zaorane pole w zimie. Stali albo siedzieli na przyniesionych stołkach, inni przycupnęli na parapetach i dachach. Turniej był wspaniałym widowiskiem, a to, że któryś ze szlachetnie urodzonych uczestników może zostać ranny albo nawet zginąć, przydawało mu pikanterii.

Kiedy Pierre wszedł na plac, Odette, dwudziestoletnia pokojówka o bujnych kształtach i pospolitej urodzie, podeszła do niego z tacą ciasteczek. Uśmiechnęła się kokieteryjnie, odsłaniając krzywe zęby. Uchodziła za łatwą, ale odkąd Pierre wyjechał z Thonnance-lés-Joinville, nie gustował w służących. Mimo to ucieszył go jej widok, oznaczał bowiem, że gdzieś w pobliżu jest urocza Véronique.

– Gdzie twoja pani? – zapytał.

Odette wydęła usta.

– Mademoiselle jest na górze – odparła.

Większość dworzan stała przy oknach na piętrze z widokiem na rue Saint-Antoine. Véronique siedziała przy stoliku z grupką dziewcząt z wyższych sfer i popijała likier owocowy. Daleka krewna braci Gwizjuszów, z mniej znaczącej gałęzi rodziny, co nie

zmieniało faktu, że jest szlachetnie urodzona. Miała na sobie jasnozieloną suknię z jedwabiu połączonego z lnem, tak lekką, że zdawała się unosić wokół jej idealnej figury. Myśl o tym, że mógłby trzymać tę wysoko urodzoną pannę, nagą, w ramionach, przyprawiała Pierre'a o zawroty głowy. To właśnie ją chciał poślubić – nie mieszczańską córkę protestanckiego drukarza.

Przy pierwszym spotkaniu Véronique potraktowała go z lekką pogardą, ale stopniowo przekonała się do niego. Wszyscy wiedzieli, że Pierre jest synem wiejskiego księdza, lecz nie było też tajemnicą, że jest bliskim współpracownikiem kardynała Karola, co podnosiło jego status.

Widząc Véronique, ukłonił się i zapytał, jak podoba się jej turniej.

– Nie bardzo – odparła.

Słysząc to, posłał jej swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Nie lubi pani patrzeć, mademoiselle, jak mężczyźni walczą na kopie i zrzucają się z koni? Dziwne.

– Wolę taniec – odparła ze śmiechem.

– Ja również. Na szczęście dziś wieczorem odbędzie się bal.

– Wprost nie mogę się doczekać.

– Mam nadzieję, że spotkam tam panią, mademoiselle. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę spotkać się z pani wujem, kardynałem Karolem.

To krótkie spotkanie wprawiło go w dobry nastrój. Rozbawił ją, a ona traktowała go niemal jak równego sobie.

Karol był w jednym z pokoi w towarzystwie chłopca o jasnych włosach Gwizjuszów – ośmioletniego bratanka, Henryka, najstarszego syna Człowieka z Blizną. Wiedząc, że pewnego dnia chłopiec może zostać księciem Gwizjuszem, Pierre ukłonił się mu i zapytał, czy miło spędza czas.

– Nie pozwalają mi walczyć na kopie – poskarżył się Henryk. – A przecież umiem jeździć konno.

– Zmykaj, Henryku – rzucił Karol. – Za chwilę rozpocznie się kolejny pojedynek, a chyba nie chcesz go przegapić.

Kiedy chłopiec zniknął za drzwiami, Karol skinął na Pierre’a, dając mu znak, żeby usiadł.

W ciągu półtora roku, odkąd Pierre szpiegował dla kardynała, ich relacja się zmieniła. Karol był wdzięczny za imiona i adresy, których dostarczał mu Pierre, a jego wiedza na

temat protestantów działających potajemnie w Paryżu była znacznie bardziej rozległa niż przed pojawieniem się tego młodzieńca. Kardynał nadal bywał protekcjonalny i czasami okazywał mu pogardę, ale zachowywał się tak w stosunku do wszystkich. Najwyraźniej liczył się ze zdaniem Pierre'a i nieraz, gdy dyskutowali o polityce, słuchał jego opinii.

– Dowiedziałem się czegoś, Jego Eminencjo – oznajmił Pierre. – Wielu protestantów korzysta z usług krawca przy rue Saint-Martin. Człowiek ten prowadzi notes, w którym zapisuje ich nazwiska i adresy.

– Prawdziwa żyła złota! – odparł Karol. – Dobry Boże, ci ludzie robią się bezwstydni.

– Miałem ochotę ukraść go i wybiec z nim na ulicę.

– Wolałbym, żebyś jeszcze nie ujawniał swojej tożsamości.

– Dobrze, Jego Eminencjo. Ale pewnego dnia zdobędę ten rejestr. – Pierre sięgnął za pazuchę. – Tymczasem spisałem tyle nazwisk i adresów, ile zdołałem zapamiętać. – Podał kartkę kardynałowi.

– Niezwykle przydatne – skwitował Karol.

– Zamówiłem dublet u krawca. Za czterdzieści pięć liwrów. – Pierre skłamał co do ceny.

Karol sięgnął do sakiewki i wyciągnął monety. Wręczył Pierre’owi dwadzieścia złotych ecu, z których każda miała wartość dwóch i pół liwra.

– To musi być wyjątkowo piękny dublet – zauważył.

– Kiedy zaatakujemy heretyków, Jego Eminencjo? – spytał Pierre. – Mamy imiona i adresy setek paryskich protestantów.

– Cierpliwości.

– Jeden heretyk mniej to jeden wróg mniej. Czemu nie pozbyć się ich wszystkich?

– Musimy mieć pewność, że kiedy zaatakujemy, ludzie będą wiedzieli, że to robota Gwizjuszów.

Jego słowa brzmiały sensownie.

– Żeby rodzina Jego Eminencji zyskała poparcie zagorzałych katolików – zgadywał Pierre.

– Orędownicy tolerancji reprezentujący umiarkowane poglądy zostaną okrzyknięci protestantami.

Sprytne, pomyślał Pierre. Najgorszymi wrogami Gwizjuszów byli piewcy tolerancji, którzy podważali podstawy siły, na której opierała się rodzina. Należało doprowadzić ich do tego, by zaczęli przejawiać skrajne poglądy.

Polityczny spryt Karola nie przestawał zadziwiać Pierre’a.

– Ale jak staniemy na czele ruchu, który położy kres herezji?

– Pewnego dnia Franciszek zostanie królem. Miejmy nadzieję, że jeszcze nie teraz; najpierw musimy uniezależnić go od królowej Katarzyny i sprawić, że będzie całkowicie posłuszny swojej żonie, naszej siostrzenicy Marii Stuart. A kiedy to się stanie… – Karol machnął kartką, którą dostał od Pierre’a – wykorzystamy to.

Pierre był wyraźnie przybity.

– Nie sądziłem, że to potrwa tak długo. To trochę komplikuje moją sytuację.

– Dlaczego?

– Od przeszło roku jestem zaręczony z Sylvie Palot i kończą mi się wymówki.

– Ożeń się z dziwką – rzucił Karol.

Pierre był przerażony.

– Nie chcę żony, która jest protestantką.

– Dlaczego? – Kardynał wzruszył ramionami.

– Jest ktoś inny, kogo chciałbym poślubić.

– Ach tak? Któż to taki?

Pierre uznał, że nadszedł czas, by powiedzieć kardynałowi, jakiej nagrody oczekuje za swoją pracę.

– Mademoiselle Véronique.

Karol parsknął śmiechem.

– Ty pewny siebie parweniuszu! Chcesz wżenić się w moją rodzinę?! Cóż za arogancja! Nie gadaj głupstw.

Pierre poczuł, że oblewa się rumieńcem. Wyjawił swe zamiary w nieodpowiednim momencie i został upokorzony.

– Nie sądziłem, że to niemożliwe. W końcu to tylko daleka krewna, Jego Eminencji.

– To również daleka krewna Marii Stuart, która pewnego dnia prawdopodobnie zostanie królową Francji! Za kogo ty się masz? – Karol odprawił go machnięciem ręki. – Wynoś się stąd! Ale już!

Pierre wstał i wyszedł.

III

Alison McKay cieszyła się życiem. Odkąd Maria Stuart została żoną Franciszka, jej pozycja wzrosła, a zatem wzrosła również pozycja Alison. Miały więcej służących, sukni i pieniędzy. Ludzie składali Marii głębsze ukłony, ponieważ teraz należała już bezdyskusyjnie do francuskiej rodziny królewskiej. Maria była tym zachwycona, podobnie jak Alison. Przyszłość obu

dziewcząt rysowała się w równie jasnych barwach, albowiem pewnego dnia Maria miała zostać królową Francji.

Dziś spędzały dzień w największej komnacie pałacu Tournelles, w oknie, przy którym siedziała teściowa Marii, królowa Katarzyna. Katarzyna miała na sobie obszerną suknię zdobioną srebrem i złotem, która musiała kosztować fortunę. Chociaż zbliżał się wieczór, na dworze wciąż panował upał, więc okno było otwarte.

Do pokoju wszedł król, za którym ciągnęła się nieprzyjemna woń potu. Na jego widok wszyscy zerwali się na równe nogi; tylko Katarzyna pozostała na swoim miejscu. Henryk wyglądał na szczęśliwego. Miał czterdzieści lat – tyle co jego żona – i był w kwiecie wieku: przystojny, silny i pełen energii. Uwielbiał walki konne na kopie i tego dnia sprzyjało mu szczęście. Wysadził nawet z siodła Człowieka z Blizną, księcia Gwizjusza, swojego najlepszego dowódcę.

– Jeszcze raz – zwrócił się do Katarzyny.

– Robi się późno – zaprotestowała królowa. Mówiła po francusku z silnym włoskim akcentem, którego nigdy się nie pozbyła. – Poza tym jesteś zmęczony. Może odpoczniesz?

– Ale to dla ciebie walczę! – żachnął się.

Jego galanteria nie spotkała się z uznaniem. Katarzyna odwróciła wzrok, a Maria ściągnęła brwi. Wszyscy widzieli, że Henryk ozdobił lancę wstążkami w kolorze czerni i bieli – barwami Diane de Poitiers, która uwiodła króla niespełna rok po jego ślubie. Katarzyna od dwudziestu pięciu lat udawała, że o niczym nie wie. Diane była znacznie starsza – za kilka tygodni miała skończyć sześćdziesiąt lat – i choć Henryk miał teraz inne kochanki, pozostała miłością jego życia. Królowa oswoiła się z tą myślą, jednak niektóre zachowania małżonka raniły ją do żywego.

Kiedy wyszedł, żeby przywdziać zbroję, komnatę wypełnił gwar rozmów. Katarzyna gestem przywołała Alison. Zawsze była wobec niej serdeczna, bo wiedziała, że Alison przyjaźni się z chorowitym Franciszkiem. Teraz odwróciła się plecami do pozostałych, dając do zrozumienia, że to poufna rozmowa, i rzekła ściszonym głosem:

– To już czternaście miesięcy.

Alison wiedziała, co królowa ma na myśli. Od czternastu miesięcy Franciszek i Maria byli małżeństwem.

– A ona nie jest w ciąży – powiedziała.

– Czy coś jest nie tak? Na pewno byś wiedziała.

– Maria mówi, że nie.

– Ale ty jej nie wierzysz.

– Nie wiem, w co wierzyć.

– Tuż po ślubie sama nie mogłam zajść w ciążę – wyznała Katarzyna.

– Naprawdę? – Alison była zdumiona. Królowa urodziła Henrykowi dziesięcioro dzieci.

Katarzyna skinęła głową.

– Byłam zrozpaczona, zwłaszcza po tym, jak mój małżonek został uwiedziony przez Madame. – Tak nazywano Diane. – Uwielbiałam go; wciąż go uwielbiam. Ale ona skradła mu serce. Wierzyłam, że go odzyskam, kiedy urodzę mu dziecko. Nadal przychodził do mojego łoża… później dowiedziałam się, że to ona mu kazała. – Alison się wzdrygnęła. – Ale nie mogłam zajść w ciążę.

– I co zrobiłaś, Wasza Wysokość?

– Miałam piętnaście lat, a moja rodzina była setki mil stąd. Rozpaczałam. Szpiegowałam ich – dodała ściszonym głosem.

Alison była zszokowana i speszona tym jakże intymnym wyznaniem, ale Katarzyna była w nastroju do zwierzeń. Bezmyślne „Ale to dla

ciebie walczę” sprawiło, że zrobiła się melancholijna.

– Myślałam, że może robię coś niewłaściwie, i chciałam zobaczyć, czy Madame stosuje jakieś inne metody – ciągnęła królowa. – Sypiali ze sobą popołudniami. Moje damy dworu znalazły miejsce, z którego mogłam ich obserwować.

Cóż za zdumiewający obraz, pomyślała Alison: królowa podglądająca męża i jego kochankę przez jakąś szparę w drzwiach.

– Ciężko mi było na to patrzeć, bo było oczywiste, że mój mąż ją uwielbia. I niczego się nie nauczyłam. Zabawiali się na sposoby, których nie znałam, ale na koniec chędożył ją tak samo, jak chędożył mnie. Jedyna różnica polegała na tym, że z nią bardziej mu się to podobało.

Katarzyna mówiła beznamiętnym, zgorzkniałym głosem. Nie dała się ponieść emocjom, w przeciwieństwie do Alison, która była bliska łez. To musiało złamać jej serce, pomyślała. Pragnęła zasypać królową pytaniami, ale nie chciała przerywać jej zwierzeń.

– Próbowałam wszelkich medykamentów, niektóre były naprawdę obrzydliwe… okłady z łajna i tym podobne rzeczy. Nic nie działało. Dopiero gdy poznałam doktora Fernela,

dowiedziałam się, dlaczego nie mogę zajść w ciążę.

– Dlaczego? – Alison wyczekująco patrzyła na królową.

– Królewski ptaszek jest gruby, uroczy, ale niezbyt długi. Nie wkładał go wystarczająco głęboko i moja błona dziewicza pozostała nietknięta, tak więc nasienie nie mogło przedostać się dalej. Doktor przerwał błonę specjalnym narzędziem i miesiąc później byłam w ciąży z Franciszkiem. *Pronto*.

Tłum na zewnątrz wiwatował, jak gdyby przysłuchiwał się opowieści i postanowił nagrodzić owacjami szczęśliwe zakończenie. Alison zgadywała, że król dosiadł konia i szykował się do kolejnego pojedynku. Katarzyna położyła dłoń na jej kolanie, jakby pragnęła zatrzymać ją przy sobie chwilę dłużej.

– Doktor Fernel nie żyje, lecz jego syn jest równie dobry – rzekła. – Powiedz Marii, żeby się do niego udała.

Alison zastanawiała się, dlaczego królowa sama jej o tym nie powie.

Jak gdyby czytając jej w myślach, Katarzyna dodała:

– Maria jest dumna. Jeśli dam jej odczuć, że podejrzewam ją o bezpłodność, poczuje się

urażona. Takie porady lepiej usłyszeć od przyjaciółki niż teściowej.

– Rozumiem.

– Wyświadcz mi tę przysługę.

To uprzejme, że królowa prosiła, zamiast rozkazywać.

– Oczywiście – odparła Alison.

Katarzyna wstała i podeszła do okna. Wszyscy obecni w komnacie – w tym również Alison – zgromadzili się wokół niej i wyjrzeli na ulicę.

Ustawione wzdłuż środka drogi dwa płoty tworzyły wąski tor. W jednym jego końcu stał Pechowiec, królewski koń; w drugim rumak Gabriel – hrabiego Montgomery. Środkiem toru biegła bariera, tak by konie na siebie nie wpadły.

Król i hrabia Montgomery rozmawiali na środku pola. Z pałacowych okien nie było słychać, o czym rozmawiają, ale wyglądało na to, że się sprzeczają. Turniej dobiegał końca i tłum powoli rozchodził się do domów, Alison domyślała się jednak, że waleczny Henryk chciał stoczyć ostatni pojedynek. Chwilę później król podniósł głos, tak że wszyscy go usłyszeli:

– To rozkaz!

Montgomery skłonił się posłusznie i przywdział hełm. Król zrobił to samo i obaj wrócili na swoje pozycje. Gdy Henryk opuścił

przyłbicę, Alison usłyszała, jak królowa Katarzyna mruczy pod nosem:

– Pamiętaj o zaczepie, *chérie*. – Król jakby ją usłyszał, bo zaraz potem zabezpieczył przyłbicę przed podnoszeniem się.

Wyraźnie się niecierpliwił i nie czekając na trąbkę, spiął konia ostrogami i przypuścił szarżę. Montgomery uczynił to samo.

Obaj dosiadali koni bojowych. Były to wielkie i niebywale silne zwierzęta, a tętent ich kopyt przywodził na myśl tytana walącego w ziemię ogromnymi pałkami. Alison czuła, że serce bije jej mocniej ze strachu i euforii. Jeźdźcy przyspieszyli. Tłum oszalał, widząc, jak konie gnają ku sobie. Przywiązane do kopii wstążki łopotały na wietrze. Końce kopii były zaokrąglone, ponieważ nie miały zranić przeciwnika, lecz tylko wysadzić go z siodła. Mimo to Alison była wdzięczna losowi, że kobiety nie stawały w szranki. Ona byłaby przerażona.

W ostatniej chwili król i hrabia ścisnęli nogami końskie boki i pochylili się do przodu. Ich starciu towarzyszył przeraźliwy łomot. Kopia Montgomery'ego uderzyła króla w głowę, uszkadzając hełm. Siła ciosu była tak potężna, że mimo zabezpieczenia królewska przyłbica się podniosła. Kopia pękła na pół.

Rozpędzone konie biegły dalej i po chwili złamana kopia Montgomery'ego kolejny raz uderzyła króla w twarz. Henryk zachwiał się w siodle jak ktoś, kto lada chwila straci przytomność. Królowa krzyknęła.

Alison zobaczyła, jak Człowiek z Blizną przeskakuje przez płot i biegnie w stronę monarchy. Kilku innych arystokratów zrobiło to samo. Uspokoili konie, ściągnęli króla z siodła i położyli go na ziemi.

IV

Kardynał Karol pobiegł za bratem. Tuż za nim pędził Pierre. Po zdjęciu hełmu okazało się, że król został poważnie ranny. Twarz miał zalaną krwią, a z jego oka wystawała długa, gruba drzazga. Mniejsze utkwiły w twarzy i głowie. Henryk, ledwie przytomny, leżał bez ruchu, najwyraźniej nie czując bólu. Klęczał przy nim królewski medyk, który na wszelki wypadek był obecny na turnieju.

Karol długą chwilę wpatrywał się w króla, po czym się odsunął.

– Umrze – mruknął do Pierre'a.

Ten był zdezorientowany. Co to oznaczało dla Gwizjuszów, od których losu zależała jego własna przyszłość? Plan, który chwilę temu wyłuszczył mu kardynał, nagle legł w gruzach. Pierre poczuł niepokój graniczący z paniką.

– Za wcześnie! – rzekł dziwnie piskliwym głosem. Spróbował się opanować i dodał: – Franciszek nie może rządzić krajem.

Kardynał odsunął się nieco dalej, chcąc mieć pewność, że nikt ich nie usłyszy, choć w tej chwili uwaga wszystkich skupiała się na rannym Henryku.

– Zgodnie z francuskim prawem król, który ukończył czternaście lat, może rządzić krajem. Franciszek ma piętnaście lat.

– Rzeczywiście. – Pierre zaczął się zastanawiać. Po tym, jak atak paniki minął, odzyskał jasność umysłu. – Franciszek będzie miał pomoc – zauważył. – A więc królem Francji tak naprawdę zostanie człowiek, kto będzie mu doradzał. – Zapominając o ostrożności, nachylił się do Karola i szepnął: – To Wasza Eminencja musi być tym człowiekiem.

Kardynał posłał mu spojrzenie, które Pierre doskonale znał. Oznaczało, że powiedział coś, o czym Karol nie pomyślał.

– Masz rację – przyznał. – Ale naturalnie wybór padnie na Antoniego Burbona. To on jest pierwszym księciem krwi. – „Książętami krwi” byli mężczyźni wywodzący się bezpośrednio z linii francuskiego króla. Poza rodziną królewską to oni stanowili najwyższą arystokrację i mieli pierwszeństwo przed innymi szlachetnymi rodami. Antoni był z nich najstarszy.

– Boże broń – rzucił Pierre. – Jeśli to on zostanie głównym doradcą Franciszka Drugiego, rodzina Gwizjuszów utraci wszelkie wpływy. – A moja kariera będzie skończona, dodał w duchu.

Antoni, król Nawarry, małego państewka między Francją a Hiszpanią, był głową rodziny Burbonów, którzy wraz z klanem Montmorencych stanowili największe zagrożenie dla Gwizjuszów. Zarówno Burbonowie, jak i Montmorency byli bardziej pobłażliwi wobec heretyków i dlatego mieli poparcie protestantów. Gdyby Antoni został doradcą króla, Gwizjusze byliby skończeni.

– Antoni jest głupcem – zauważył Karol. – I podejrzewa się go o sympatyzowanie z protestantami.

– A co ważniejsze, nie ma go w mieście.

– Tak, jest w Pau. – Zamek królów Nawarry znajdował się na pogórzu Pirenejów, pięćset mil od Paryża.

– Ale gońcy wyruszą z wieściami jeszcze przed zmierzchem – przypomniał mu Pierre. – Możemy ubiec króla Nawarry, ale musimy działać szybko.

– Porozmawiam z siostrzenicą, Marią Stuart. To ona będzie królową Francji. Musi przekonać męża, żeby odrzucił Antoniego jako swego doradcę.

Pierre pokręcił głową. Kardynał planował, lecz on wyprzedzał go o krok.

– Maria jest piękna, ale to jeszcze dziecko. Nie można jej ufać w tak ważnej kwestii.

– A zatem porozmawiam z Katarzyną.

– Jest pobłażliwa wobec protestantów i może poprzeć Antoniego. Mam lepszy pomysł.

– Mów.

Karol słuchał Pierre'a jak równego sobie. Świadomość ta napełniała młodzieńca dumą. Jego polityczna przenikliwość zyskała szacunek najwytrawniejszego francuskiego polityka.

– Proszę powiedzieć królowej Katarzynie, że jeśli uczyni Waszą Eminencję i brata Waszej Eminencji doradcami króla, pozbędziecie się z dworu Diane de Poitiers.

Karol zastanawiał się przez chwilę, po czym bardzo powoli skinął głową.

V

W głębi duszy Alison cieszyła się z wypadku króla. Włożyła białe szaty żałobne i nawet uroniła kilka łez – wszystko na pokaz, bo tak naprawdę jej serce się radowało. Maria Stuart zostanie królową Francji, a ona, Alison, była jej najlepszą przyjaciółką!

Król został zabrany do pałacu Tournelles i pod drzwiami jego komnaty zgromadził się cały dwór. Henryk umierał długo, ale nie było wątpliwości, że nie wróci już do zdrowia. Wśród jego lekarzy był Ambroise Paré, chirurg, który wyciągnął kawałki drewna z oka i policzka księcia Franciszka, zostawiając blizny, od których wziął się książęcy przydomek. Paré był zdania, że gdyby drzazga uszkodziła wyłącznie oko króla, Henryk mógłby przeżyć, pod warunkiem że nie wdałoby się zakażenie. Jednakże w wyniku wypadku został uszkodzony mózg monarchy. Chirurg przeprowadził eksperymenty na czterech skazańcach, wbijając im w oczy drzazgi i próbując odtworzyć

królewską ranę, lecz wszyscy zmarli, więc dla Henryka nie było żadnej nadziei.

Piętnastoletni mąż Marii Stuart, który wkrótce miał zostać królem Franciszkiem II, zachowywał się jak dziecko. Całymi dniami leżał w łóżku, jęcząc bez ładu i składu, kołysał się jak szaleniec i trzeba go było pilnować, żeby nie walił głową w ścianę. Nawet Maria i Alison, z którymi przyjaźnił się od dziecka, miały mu za złe takie zachowanie.

Królowa Katarzyna, chociaż nigdy nie zdołała rozkochać w sobie męża, była zrozpaczona perspektywą, że może go utracić. Mimo to pokazała światu, jak bardzo jest bezwzględna: odprawiła spod królewskiej komnaty Diane de Poitiers. Alison dwukrotnie widziała, jak Katarzyna rozmawia z kardynałem Karolem, który mógł udzielać jej duchowego pocieszenia, lub – co bardziej prawdopodobne – doradzał jej w kwestii sukcesji. W obu przypadkach towarzyszył im Pierre Aumande, przystojny tajemniczy młodzieniec, który rok temu pojawił się znikąd i coraz częściej widywano go w otoczeniu kardynała.

Rankiem dziewiątego lipca król Henryk otrzymał ostatnie namaszczenie.

Tego samego dnia, tuż po trzynastej, Maria i Alison jadły obiad, gdy do komnaty wszedł Pierre Aumande. Skłonił się nisko i zwrócił do Marii:

– Stan króla gwałtownie się pogarsza. Musimy działać szybko.

Na ten moment wszyscy czekali.

Maria nie udawała zrozpaczonej czy rozhisteryzowanej. Z trudem przełknęła ślinę, odłożyła nóż i łyżkę i otarła usta chusteczką.

– Co mam robić? – spytała.

Widząc, jak jej przyjaciółka jest opanowana, Alison poczuła dumę.

– Musisz pomóc mężowi, pani – odparł Pierre. – Jest z nim książę Gwizjusz. Wszyscy razem udamy się z królową Katarzyną do Luwru.

– Przejmujecie obowiązki nowego króla – wytknęła mu Alison.

Pierre posłał jej surowe spojrzenie. Był typem człowieka, który dostrzegał wyłącznie ważne, wpływowe osobistości, reszta była tylko tłem. Teraz przyjrzał się jej z uwagą.

– To prawda – przyznał. – Królowa matka zawarła umowę z wujami twojej pani: księciem Franciszkiem i kardynałem Karolem. W tej niebezpiecznej chwili nowy król Franciszek musi

zwrócić się po pomoc wyłącznie do swojej żony, królowej Marii.

Alison wiedziała, że to bzdury. Bracia Gwizjusze pragnęli, by nowy król zwrócił się właśnie do nich. Wykorzystywali Marię jako przykrywkę do swoich niecnych celów. W chwili niepewności, która nieodłącznie towarzyszyła śmierci monarchy, człowiekiem, który dzierżył władzę, nie był nowy król, lecz ten, kto miał na niego wpływ. Alison celowo napomknęła o przejmowaniu przez nich obowiązków nowego monarchy, by uświadomić Pierre'owi, że wie, co tak naprawdę się dzieje.

Maria by tego nie dostrzegła, pomyślała, ale teraz nie miało to znaczenia. Plan Pierre'a sprzyjał Marii Stuart. Sprzymierzywszy się z wujami, będzie bardziej wpływowa. Gdyby doradcą jej męża został Antoni Burbon, z pewnością odsunąłby ją od władzy. Tak więc, gdy Maria spojrzała pytająco na przyjaciółkę, ta delikatnie skinęła głową.

– A zatem dobrze – powiedziała, wstając od stołu.

Alison miała świadomość, że ta dyskretna wymiana spojrzeń nie umknęła uwadze Pierre'a.

Chwilę później udała się z Marią do komnaty Franciszka; Pierre szedł za nimi. Przed drzwiami

wystawiono straże. Alison rozpoznała ich dowódcę, Gastona Le Pina, oprycha, który stał na czele najemników opłacanych przez Gwizjuszów. Jeśli będzie trzeba, wywloką Franciszka siłą, pomyślała.

Przyszły król płakał, ale się ubierał. Człowiek z Blizną i kardynał Karol przyglądali mu się z niecierpliwością. Kiedy do pokoju weszła królowa Katarzyna, Alison uświadomiła sobie, że oto grupa ludzi przejmuje władzę w państwie. Matka Franciszka zawarła układ z wujami Marii.

Przez chwilę Alison zastanawiała się, kto mógłby ich powstrzymać. Głównym kandydatem był książę Montmorency, który był również konetablem Francji, naczelnym dowódcą armii. Jednakże sprzymierzeniec Montmorency'ego, Antoni Burbon, król Nawarry, nawet nie przybył jeszcze do Paryża.

Gwizjusze mieli silną pozycję i postąpili słusznie, decydując się na szybkie działanie. W każdej chwili sytuacja mogła ulec zmianie i należało wykorzystać przewagę.

– Nowy król bezzwłocznie zamieszka w królewskich komnatach Luwru – zwrócił się Pierre do Alison. – Książę Gwizjusz zajmie apartament Diane de Poitiers, a kardynał Karol pokoje księcia Montmorency.

Sprytnie, pomyślała Alison.

– A zatem Gwizjusze będą mieli króla i pałac.

Pierre wyglądał na zadowolonego z siebie, można więc było przypuszczać, że to on wpadł na ten pomysł.

– Skutecznie rozprawiliście się z rywalami – zauważyła.

– Nie ma żadnych rywali – sprostował.

– No tak. Jak mogłam zapomnieć?

Spojrzał na nią z czymś, co można było wziąć za szacunek. Sprawiło jej to przyjemność i nagle uświadomiła sobie, że pociąga ją ten bystry, pewny siebie młodzieniec. Moglibyśmy zostać sojusznikami, pomyślała, a może nawet kimś więcej. Spędziwszy większość życia na francuskim dworze, zaczęła postrzegać małżeństwo tak jak arystokraci – strategiczny sojusz, który niewiele miał wspólnego z miłością. Ona i Pierre Aumande byliby wspaniałą parą. Poza tym miło byłoby budzić się obok kogoś tak przystojnego.

Wszyscy razem zeszli po schodach, przecięli wielką sień i wyszli na zewnątrz.

Przed bramą tłumy paryżan czekały, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Na widok Franciszka ludzie zaczęli wiwatować. Oni

również wiedzieli, że już niebawem zostanie ich królem.

Na dziedzińcu czekały powozy strzeżone przez ludzi Gwizjuszów. Alison zwróciła uwagę, że ustawiono je tak, by ludzie widzieli, kto do nich wsiada.

Gaston Le Pin otworzył drzwi pierwszej karety, do której podeszli powoli książę Gwizjusz i Franciszek. Paryżanie znali Człowieka z Blizną i widzieli, że to jemu powierzono opiekę nad młodym królem. Wszystko zostało starannie zaplanowane.

Kiedy Franciszek wsiadł do powozu, Alison odetchnęła z ulgą.

Katarzyna i Maria podeszły do drugiej karety. Przyszła królowa zatrzymała się przy drzwiach, żeby przepuścić królową matkę, ta jednak pokręciła głową i czekała.

Widząc to, Maria zadarła dumnie głowę i wsiadła do powozu.

VI

– Czy to grzech poślubić kogoś, kogo się nie kocha? – zapytał Pierre swego spowiednika.

Ojciec Moineau był dobiegającym pięćdziesiątki przysadzistym mężczyzną o kwadratowej twarzy. W jego gabinecie w College des Ames było więcej książek niż w księgarni ojca Sylvie. Moineau był nadętym człowiekiem, który lubił towarzystwo młodych mężczyzn i cieszył się sympatią studentów. Wiedział o pracy, jaką wykonuje Pierre dla kardynała Karola.

– Z całą pewnością nie – odparł duchowny. Jego barytonowy głos był lekko schrypnięty od nadmiaru mocnego wina z Wysp Kanaryjskich. – To obowiązek ciążący na szlachetnie urodzonych. Król mógłby popełnić grzech, poślubiając kogoś, kogo kocha. – Zarechotał. Podobnie jak inni wykładowcy lubił paradoksy.

Pierre nie był jednak w nastroju do żartów.

– Zrujnuję życie Sylvie.

Moineau lubił tego młodzieńca i było oczywiste, że chciałby nawiązać z nim bardziej intymną relację, szybko się jednak przekonał, że ten nie gustuje w mężczyznach, i w kontaktach z nim ograniczał się do czułego poklepywania po plecach. Teraz, słysząc niepokój w głosie studenta, spoważniał.

– Rozumiem – odparł. – Chcesz wiedzieć, czy robiąc to, co robisz, wypełniasz wolę Pana.

– Właśnie. – Sumienie Pierre’a rzadko dochodziło do głosu, ale też nigdy nie wyrządził nikomu takiej krzywdy, jaką zamierzał wyrządzić Sylvie.

– Posłuchaj. Cztery lata temu popełniono straszny błąd. Ten tak zwany pokój augsburski to nic innego, jak traktat, na mocy którego w niemieckich księstwach można wyznawać luteranizm, jeśli taka jest wola miejscowego władcy. A zatem istnieją miejsca na świecie, w których bycie protestantem nie jest przestępstwem. To katastrofa dla wiary chrześcijańskiej.

– *Cuius regio, eius religio* – powiedział po łacinie Pierre. Pokój augsburski zatwierdził zasadę: „Czyj kraj, tego religia”.

– Podpisując porozumienie – ciągnął Moineau – cesarz Karol Piąty miał nadzieję zakończyć konflikty na tle religijnym. I co się stało? W tym roku przeklęta królowa Elżbieta narzuciła swym poddanym protestantyzm, pozbawiając ich pocieszenia płynącego z sakramentów. Szerzy się tolerancja. To przerażająca prawda.

– Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby położyć temu kres.

– Masz rację, mówiąc, że musimy zrobić, co w naszej mocy. A teraz Francja ma młodego

króla, który pozostaje pod wpływem Gwizjuszów. Taka okazja to prawdziwy dar niebios. Wiem, co czujesz: żaden wrażliwy człowiek nie chce patrzeć, jak ludzie płoną na stosach. Z tego, co opowiadałeś mi o swojej narzeczonej, wnioskuję, że to normalna dziewczyna. Może odrobinę zbyt lubieżna. – Znów zachichotał, by chwilę później podjąć poważnym tonem: – W pewnym sensie biedna Sylvie jest ofiarą działań jej nikczemnych rodziców, którzy wychowali ją w duchu herezji. Tak właśnie robią protestanci. Nawracają innych. A ich ofiary tracą swe nieśmiertelne dusze.

– Mówi więc ksiądz, że nie postąpię źle, jeśli ożenię się z Sylvie, a potem ją zdradzę?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił go Moineau. – Wypełnisz wolę Bożą, za co z pewnością zostaniesz nagrodzony w królestwie niebieskim.

To właśnie chciał usłyszeć Pierre.

– Dziękuję.

– Niech cię Bóg błogosławi, mój synu – odparł ojciec Moineau.

VII

Sylvie poślubiła Pierre’a w ostatnią niedzielę września.

Katolicki ślub odbył się w sobotę w kościele parafialnym, ale dla Sylvie był to jedynie wymóg prawny, nic więcej. Sobotnią noc spędzili osobno. W niedzielę w chatce łowieckiej, która pełniła funkcję kościoła protestanckiego, odbyły się prawdziwe zaślubiny.

Był przyjemny, ciepły dzień na przełomie lata i jesieni, pochmurny, lecz bezdeszczowy. Sylvie miała suknię w gołębim kolorze, który zdaniem Pierre'a sprawiał, że jej skóra lśniła, a oczy błyszczały. On, w nowym dublecie od Duboeufa, był nieprzyzwoicie przystojny. Mszę odprawiał pastor Bernard, a markiz Nîmes występował w roli świadka. Złożywszy przysięgę, Sylvie poczuła spokój, jak gdyby jej życie w końcu się zaczęło.

Po ceremonii wszyscy wierni zostali zaproszeni do księgarni, gdzie wypełnili nie tylko sklep, ale i znajdujące się nad nim mieszkanie. Sylvie wraz z matką przez cały tydzień przygotowywały jedzenie: bulion szafranowy, paszteciki z wieprzowiną i imbirem, tarty serowo-cebulowe, ciastka z kremem budyniowym, jabłka w cieście i galaretkę pigwową. Ojciec Sylvie był dziwnie miły, dolewał przybyłym wina i podtykał pod nos półmiski z jedzeniem. Goście jedli i pili na stojąco, wszyscy

z wyjątkiem młodej pary, markiza i markizy, którzy siedzieli przy stole.

Panna młoda miała wrażenie, że jej świeżo poślubiony mąż jest nieco spięty, co było do niego niepodobne; zwykle zachowywał się swobodnie, słuchał z uwagą mężczyzn, kokietował kobiety i zachwycał się każdym dzieckiem. Dziś jednak wydawał się niespokojny. Dwukrotnie podszedł do okna, a gdy dzwony na katedrze wybiły pełną godzinę, wzdrygnął się. Podejrzewała, że przejmuje się udziałem w protestanckim spotkaniu w samym centrum miasta.

– Uspokój się – zwróciła się do niego. – To zwykłe wesele. Nikt nie wie, że jesteśmy protestantami.

– Tak, oczywiście – odparł z nerwowym uśmiechem.

Sylvie myślała o tym, co wydarzy się wieczorem. Czekała na tę noc, ale trochę się jej obawiała. „Utrata dziewictwa nie jest zbyt bolesna, poza tym to tylko chwila”, uspokajała ją matka. „Niektóre dziewczęta nawet tego nie czują. I nie przejmuj się, jeśli nie będziesz krwawiła… nie zawsze tak jest”. Nie to jednak niepokoiło Sylvie. Pragnęła fizycznej bliskości z Pierre’em; chciała leżeć z nim w łóżku, dotykać

go i całować. Obawiała się tylko, czy spodoba mu się jej ciało. Czuła, że nie jest doskonałe. Posągi kobiet, które widziała, miały idealne piersi, podczas gdy jej wydawały się nierówne. Nagie kobiety na obrazach miały niemal niewidoczne intymne części ciała, obsypane delikatnym puszkiem, tymczasem jej były pulchne i owłosione. Co pomyśli Pierre, kiedy pierwszy raz zobaczy ją nagą? Była zbyt zakłopotana, by podzielić się obawami z matką.

Przyszło jej na myśl, żeby zapytać markizę Louise, która była tylko trzy lata od niej starsza i mogła się pochwalić wyjątkowo obfitym biustem, ale uznała, że markiza jest zbyt nieprzystępna. Nagle coś zmąciło jej spokój. Usłyszała na dole podniesione głosy, a zaraz potem czyjś krzyk. O dziwo, Pierre znowu stał przy oknie, choć hałas niewątpliwie dochodził z wnętrza budynku. Gdzieś w domu rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Co się działo? Coraz bardziej przypominało to bijatykę. Czyżby ktoś się upił? Jak mogli zepsuć dzień jej ślubu?

Markiz i markiza rozglądali się z niepokojem. Pierre zbladł. Odwrócony plecami do okna, wyglądał przez otwarte drzwi na schody. Sylvie wybiegła z jadalni i stanęła na szczycie schodów. Przez okno na tyłach domu widziała, jak

niektórzy goście uciekają w popłochu. Kiedy spojrzała na schody, zobaczyła nieznajomego, który szedł w jej stronę. Miał na sobie skórzany kaftan, w dłoniach ściskał pałkę. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że dzieje się coś gorszego niż pijacka awantura wśród gości weselnych – ktoś wdarł się do ich domu. Bojąc się oprycha, który wspinał się po schodach, wbiegła z powrotem do jadalni.

Mężczyzna ruszył za nią. Był niski, dobrze zbudowany i nie miał jednego ucha. Wyglądał przerażająco. Pastor Bernard, słabowity pięćdziesięciopięciolatek, zebrał się na odwagę i zastąpił mu drogę.

– Kim jesteś i czego chcesz? – spytał.

– Jestem Gaston Le Pin, kapitan straży domu Gwizjuszów, a wy jesteście przeklętymi heretykami – odparł zbir. Zamachnął się pałką i uderzył pastora.

Bernard uchylił się przed ciosem, jednak trafiony w ramię, upadł na podłogę.

Le Pin rozejrzał się po twarzach gości, którzy kulili się pod ścianami.

– Ktoś ma jakieś pytania? – zwrócił się do nich, lecz nikt nie śmiał się odezwać.

Za jego plecami stanęło dwóch kolejnych strażników. Nagle, nie wiadomo dlaczego, Le Pin

spojrzał na Pierre’a.

– Który to markiz? – zapytał.

Oszołomiona Sylvie nie wiedziała, co się dzieje.

Tymczasem Pierre wskazał palcem markiza Nîmes.

– Rozumiem, że ta suka z dużymi cyckami to markiza? – upewnił się kapitan straży.

Sylvie poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Jej wesele zmieniło się w koszmarną ucztę, na której nikt nie był tym, za kogo się podawał.

Markiza wstała od stołu.

– Jak śmiesz? – rzuciła oburzona.

W odpowiedzi Le Pin wymierzył jej siarczysty policzek.

Louise krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Na jej policzku rozkwitła czerwona plama, a z oczu popłynęły łzy.

Korpulentny stary markiz zerwał się na równe nogi, zaraz jednak usiadł, jak gdyby uświadomił sobie, że to, co zamierza zrobić, jest bezcelowe.

– Zabierzcie tych dwoje i upewnijcie się, że nie uciekną – nakazał Le Pin swoim ludziom.

Chwilę później markiz i markiza zostali wywleczeni z jadalni.

Siedzący na podłodze pastor Bernard spojrzał oskarżycielsko na Pierre’a.

– Ty diable – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Jesteś szpiegiem!

W głowie Sylvie kolejne kawałki układanki trafiały na swoje miejsce. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że to Pierre zorganizował ten nalot. Przeniknął do kręgów protestantów, żeby ich zdradzić. Udawał, że ją kocha, tylko po to, by zdobyć jej zaufanie. To dlatego tak długo odkładał datę ślubu.

Spojrzała na niego przerażona, widząc potwora w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał jej ukochany mąż. Czuła się tak, jakby odrąbano jej rękę i patrzyła na krwawiący kikut – tyle że ten widok był dużo bardziej bolesny. Zrujnowano nie tylko dzień jej ślubu, całe jej życie legło w gruzach. Chciała umrzeć.

Podeszła do Pierre’a.

– Jak mogłeś?! – krzyknęła i rzuciła się na niego, choć nie wiedziała, co właściwie chce zrobić. – Jak mogłeś, ty Judaszu?

Chwilę później ktoś uderzył ją w tył głowy i świat spowiła ciemność.

VIII

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju, Wasza Eminencjo – zwrócił się Pierre do kardynała Karola.

Byli w pałacu Gwizjuszów przy Vieille rue du Temple, w urządzonym bogato i ze smakiem salonie, gdzie Pierre pierwszy raz spotkał braci Gwizjuszów. Od tego czasu w pomieszczeniu pojawiły się nowe obrazy i choć wszystkie przedstawiały sceny biblijne, były przesycone seksualnością: Adam i Ewa, Zuzanna i starcy, żona Potifara.

Czasami Karola interesowało to, co Pierre ma do powiedzenia; innym razem uciszał go niedbałym machnięciem długich, szczupłych palców. Dziś był w nastroju do słuchania.

– Mów zatem – rzucił znudzony.

– Franciszek i Maria, z Bożej łaski król i królowa Francji, Szkocji, Anglii i Irlandii – zacytował Pierre.

– W rzeczy samej. Franciszek jest królem Francji. A Maria królową Szkotów i, zgodnie z prawem dziedziczenia oraz decyzją papieża, królową Anglii i Irlandii.

– Te słowa zostały wyryte w ich nowych meblach, a także wytłoczone na królewskiej

zastawie, by każdy mógł je zobaczyć, również ambasador Anglii.

– Do czego zmierzasz?

– Zachęcając Marię, by przedstawiała się światu jako prawowita królowa Anglii, uczyniliśmy sobie wroga z królowej Elżbiety.

– I co z tego? Elżbieta nie jest dla nas żadnym zagrożeniem.

– Ale co przez to osiągnęliśmy? Skoro już robimy sobie wrogów, to po to, żeby coś na tym zyskać. W przeciwnym razie sami sobie wyrządzamy krzywdę.

Na pociągłej twarzy Karola odmalowała się chciwość.

– Będziemy rządzić największym europejskim imperium od czasów Karola Wielkiego – odparł. – Większym niż to, którym włada król Hiszpanii Filip, bo jego dominia są rozproszone i trudne do utrzymania, podczas gdy nowe francuskie imperium będzie skonsolidowane, a jego władza i bogactwa skupią się w jednych rękach. Będziemy dzierżyć władzę od Edynburga po Marsylię i kontrolować wody od Morza Północnego po Zatokę Biskajską.

Pierre miał jednak pewne obiekcje.

– Jeśli rzeczywiście ma tak być, zachowalibyśmy się rozsądniej, nie zdradzając

się z naszymi intencjami wobec Anglii. Teraz zostali ostrzeżeni.

– I co zrobią? Elżbieta rządzi biednym, barbarzyńskim krajem, który nie ma armii.

– Ale ma flotę.

– Niedużą.

– Zważywszy jednak na to, jak trudno zaatakować wyspę…

Karol machnął dłonią na znak, że stracił zainteresowanie tematem.

– Przejdźmy do ważniejszych spraw – rzucił. Podał Pierre'owi dokument opatrzony pieczęcią. – Oto i ono – rzekł. – Unieważnienie twojego małżeństwa.

Pierre przyjął je z wdzięcznością. Niełatwo było unieważnić małżeństwo, nawet w tak oczywistej sytuacji, gdy nie zostało skonsumowane. Poczuł ulgę.

– Spodziewałem się, że potrwa to dłużej.

– Nie bez przyczyny jestem kardynałem – odparł Karol. – Poza tym, decydując się na ten ślub, wykazałeś się odwagą.

– Było warto. – W kolejnych nalotach zorganizowanych przez Karola i Pierre'a na terenie całego miasta aresztowano setki protestantów. – Nawet jeśli większość z nich została ukarana jedynie grzywną.

– Tych, co wypierają się swoich przekonań, nie możemy spalić na stosie, zwłaszcza gdy są arystokratami, jak markiz Nîmes i jego żona. Pastor Bernard umrze, bo nawet na torturach nie wyrzekł się swojej wiary. W drukarni znaleźliśmy fragmenty Biblii po francusku, więc ojciec twojej byłej żony nie uniknie śmierci. Giles Palot spłonie na stosie.

– To czyni z Gwizjuszów katolickich bohaterów.

– Dzięki tobie.

Pierre skłonił głowę, pękając z dumy. Jeszcze nigdy nie był z siebie tak zadowolony. Tego pragnął: zostać zaufanym pomocnikiem najbardziej wpływowego człowieka w kraju. To był moment jego chwały. Starał się jednak nie okazywać, jak bardzo jest szczęśliwy.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego zależało mi, żeby jak najszybciej unieważnić twoje małżeństwo – dodał kardynał.

Pierre ściągnął brwi. O co tym razem mogło chodzić? Wiedział, że w Paryżu nie ma człowieka dorównującego mu przebiegłością. Poza kardynałem Karolem.

– Chciałbym, żebyś poślubił kogoś innego – ciągnął Karol.

– Dobry Boże! – Pierre był zdumiony. Nie tego się spodziewał. Natychmiast pomyślał o ślicznej Véronique. Czyżby kardynał zmienił zdanie i pozwoli mu ją poślubić? W serce Pierre'a wstąpiła nadzieja. Czy jego marzenia mogły się spełnić?

– Mój bratanek Alain, który ma dopiero czternaście lat, uwiódł pokojówkę i będzie miał z nią dziecko. To oczywiste, że nie może się z nią ożenić.

Pierre poczuł, że opuszcza go dobry nastrój.

– Pokojówkę?

– Alain poślubi dziewczynę wybraną przez jego rodziców, jak wszyscy mężczyźni z rodu Gwizjuszów, oprócz tych, którym pisana jest służba Bogu. Ale chciałbym zatroszczyć się o dziewczynę. Jestem pewien, że to zrozumiesz; sam przecież przyszedłeś na świat w podobnych okolicznościach.

Pierre poczuł, że robi mu się niedobrze. Miał nadzieję, że ich wspólny triumf sprawi, że kardynał zapomni o jego pochodzeniu i będzie traktował go jak równego sobie. Tymczasem po raz kolejny przypomniał mu, jak bardzo się różnią.

– Mam poślubić pokojówkę?

Karol się roześmiał.

– Nie zachowuj się tak, jakby to była kara śmierci!

– Bardziej dożywocie. – Cóż miał począć. Kardynał nie lubił, gdy coś lub ktoś krzyżował mu plany. Odmawiając, Pierre mógł zaszkodzić swojej rozkwitającej karierze.

– Dostaniesz dożywotnią pensję – obiecał Karol. – Dwadzieścia pięć liwrów miesięcznie…

– Nie dbam o pieniądze.

Oburzony jego bezczelnością kardynał uniósł brwi.

– Czyżby? A o co dbasz?

Pierre uświadomił sobie, że tylko jedno mogłoby wynagrodzić mu takie poświęcenie.

– Chcę mieć prawo nazywać się Pierre Aumande Gwizjusz.

– Ożeń się z dziewczyną i zobaczymy.

– Nie. – Wiedział, że położył wszystko na jedną kartę. – Chcę, żeby na akcie ślubu widniało nazwisko Pierre Aumande Gwizjusz. W przeciwnym razie nie podpiszę go. – Nigdy dotąd nie pozwolił sobie na taką zuchwałość. Wstrzymał oddech, czekając na reakcję i obawiając się wybuchu gniewu.

– Jesteś zdeterminowanym małym draniem – odparł Karol.

– W przeciwnym razie nie byłoby ze mnie żadnego pożytku.

– To prawda. – Kardynał zamilkł i zastanawiał się przez chwilę. – Dobrze – odezwał się w końcu. – Zgoda.

Pierre poczuł nieopisaną ulgę.

– Od tej chwili nazywasz się Pierre Aumande Gwizjusz.

– Dziękuję.

– Dziewczyna jest w sąsiednim pokoju. Idź, spotkaj się z nią.

Wstał i podszedł do drzwi.

– Bądź dla niej miły – upomniał go Karol. – Pocałuj ją.

Pierre zignorował te słowa i bez słowa wyszedł z komnaty. Zamknąwszy za sobą drzwi, roztrzęsiony stanął w korytarzu i spróbował przeanalizować wszystko, co wydarzyło się chwilę temu. Nie wiedział: śmiać się czy płakać. Zakończył jedno niechciane małżeństwo tylko po to, żeby wpakować się w kolejne. Ale przynajmniej był Gwizjuszem!

Wziął się w garść i uznał, że najwyższy czas rzucić okiem na przyszłą żonę – dziewkę z ludu. Może chociaż będzie ładna, skoro wpadła w oko Alainowi Gwizjuszowi. Z drugiej strony, wiedział,

jak niewiele potrzeba, by rozbudzić fantazje czternastolatka: wystarczą chęci.

Podszedł do sąsiednich drzwi i wszedł bez pukania.

Dziewczyna siedziała na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakała. Miała na sobie skromną sukienkę służącej. Była pulchna, może z powodu ciąży.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, podniosła wzrok.

Znał ją. Miała na imię Odette; była pokojówką Véronique, w dodatku brzydką. Już zawsze będzie przypominała mu o dziewczynie, której nie pozwolono mu poślubić.

Odette rozpoznała go i uśmiechnęła się przez łzy, pokazując krzywe zęby.

– Jesteś moim wybawcą? – spytała z nadzieją.

– Boże, dopomóż – jęknął Pierre.

IX

Po tym, jak Giles Palot spłonął na stosie, matka Sylvie popadła w przygnębienie.

Dla Sylvie był to prawdziwy koszmar, gorszy niż zdrada Pierre’a i bardziej bolesny niż śmierć ojca. W jej oczach matka była skałą, która nigdy

się nie skruszy – fundamentem, na którym opierało się całe jej życie. Isabelle opatrywała jej dziecięce rany, karmiła ją, gdy Sylvie była głodna, i potrafiła zapanować nad wybuchowym charakterem męża. Teraz była bezradna. Całymi dniami siedziała na krześle. Jeśli córka rozpaliła ogień, matka wpatrywała się w niego; jeśli przygotowała jedzenie, machinalnie wkładała je do ust; gdyby Sylvie nie pomogła się jej ubrać, cały dzień siedziałaby w koszuli nocnej.

Los Giles'a został przypieczętowany, gdy w sklepie znaleziono stos świeżo wydrukowanych fragmentów Biblii po francusku. Arkusze czekały na rozcięcie i oprawienie, po czym miały zostać przeniesione do sekretnego składu przy rue du Mur. Nie było jednak czasu, żeby się tym zająć, Giles'a uznano więc za winnego nie tylko herezji, ale i jej szerzenia. Dla takich jak on nie było litości.

W oczach kościoła Biblia była najbardziej niebezpieczną ze wszystkich ksiąg zakazanych – zwłaszcza jeśli została przetłumaczona na francuski albo angielski i opatrzona komentarzami na marginesach, które wyjaśniały zasadność nauk protestanckich. Księża byli zdania, że prości ludzie nie są w stanie właściwie interpretować słowa Bożego i potrzebują

duchowego przewodnictwa. Obie strony uważały czytanie Biblii za główny powód nękających Europę konfliktów religijnych.

Pracownicy Giles'a twierdzili, że nie mieli pojęcia o zakazanych księgach. Pracowali wyłącznie nad Biblią po łacinie i innymi dozwolonymi drukami; Giles sam musiał drukować resztę, po zmroku, kiedy udawali się do domów. Zostali ukarani grzywną, ale przynajmniej uniknęli śmierci.

Majątek człowieka, który został stracony za herezję, ulegał konfiskacie. Prawo to było stosowane wybiórczo i różnie je interpretowano, ale Giles Palot stracił wszystko, a jego żona i córka zostały bez środków do życia. Zdołały uciec z pieniędzmi, które znalazły w księgarni, zanim drukarnia trafiła w ręce konkurencji. Kiedy wróciły, błagając, by zwrócono im ubrania, dowiedziały się, że zostały one sprzedane na targu. Mieszkały teraz w wynajętej izbie.

Sylvie była kiepską szwaczką – całe życie sprzedawała książki, nie szyła ubrań – nie mogła więc zająć się krawiectwem, ostatnią deską ratunku dla zubożałej kobiety. Mogła jedynie robić pranie dla zamożnych protestanckich rodzin. Mimo nalotów większość z nich nadal pozostała wierna prawdziwej religii

i zapłaciwszy kary, szybko odbudowali wspólnoty i znaleźli nowe miejsca spotkań. Ludzie pamiętali Sylvie i często płacili jej więcej, niż było to konieczne, ale i tak za mało, żeby wyżywić dwie osoby i kupić drewno na opał; zwłaszcza że środki, które znalazły w sklepie, topniały w zastraszającym tempie. Pieniądze skończyły się w grudniu, gdy na wąskich paryskich ulicach, zawodząc, szalał mroźny wiatr.

Pewnego dnia, gdy Sylvie, płacząc z zimna, prała w lodowatych wodach Sekwany prześcieradło Jeanne Mauriac, pewien mężczyzna zaproponował jej pięć su, jeśli zadowoli go ustami.

Kiedy w milczeniu pokręciła głową, nieznajomy odszedł.

Nie mogła jednak przestać o tym myśleć. Pięć su, sześćdziesiąt pensów, ćwierć liwra. Mogłaby za to kupić drewno na opał, szynkę wieprzową i chleb na tydzień. Musiała tylko wziąć to coś do ust. Co mogło być gorsze od tego, czym zajmowała się teraz? Oczywiście, był to grzech, ale trudno rozmyślać o grzechu, kiedy skostniałe ręce tak bardzo bolą.

Zaniosła prześcieradło do domu i rozwiesiła w pokoju, żeby wyschło. Kończyło jej się drewno;

jutro nie będzie miała jak wysuszyć prania, a nawet protestanci nie zapłacą, jeśli odniesie mokre prześcieradła.

Tej nocy nie zmrużyła oka. Zastanawiała się, dlaczego ktoś miałby jej pożądać. Nawet Pierre udawał. Nigdy nie uważała się za piękność, a teraz była chuda i brudna. A jednak mężczyzna nad brzegiem rzeki zapragnął jej, więc może znaleźliby się inni.

Rano za ostatnie pieniądze kupiła dwa jajka. Ugotowała je, wrzuciwszy do ognia resztki drewna, i razem z matką zjadły po jednym, przegryzając czerstwym chlebem z ubiegłego tygodnia. Po tym nie zostało im już nic. Mogły jedynie czekać na śmierć.

Pan Bóg dopomoże, mawiali protestanci, lecz tym razem nie dopomógł.

Sylvie rozczesała włosy i umyła twarz. Nie miała lustra, więc nie wiedziała, jak wygląda. Przewróciła pończochy na drugą stronę, żeby ukryć brud, i wyszła z izby.

Nie wiedziała, co robić. Szła ulicą, ale nikt jej nie zaczepiał. Oczywiście, że nie; niby dlaczego ktoś miałby to zrobić? Nie miała nic do zaoferowania. Próbowała uśmiechać się do mijanych po drodze mężczyzn, niestety, żaden nie zareagował.

– Possę ci kutasa za pięć su – powiedziała do jednego, ale spojrzał na nią zakłopotany i przyspieszył kroku.

Może powinna pokazać piersi, tylko że było za zimno.

Zobaczyła młodą kobietę w znoszonym czerwonym płaszczu, uczepioną ramienia eleganckiego mężczyzny w średnim wieku, jak gdyby obawiała się, że jej towarzysz ucieknie. Kobieta posłała jej surowe spojrzenie, jakby zobaczyła w niej rywalkę. Sylvie chciała z nią porozmawiać, ale tamtej najwyraźniej się spieszyło. „To tuż za rogiem, skarbie", powiedziała do mężczyzny. Sylvie uświadomiła sobie, że nawet gdyby trafił się jej jakiś klient, nie miała z nim dokąd pójść.

Dotarła na rue du Mur, naprzeciw magazynu, w którym Palotowie przechowywali zakazane księgi. Ruch był tu mniejszy, ale może w bocznych uliczkach mężczyźni chętniej korzystali z usług prostytutek. I rzeczywiście, chwilę później jeden z nich się zatrzymał.

– Ładne cycki – zagadnął.

Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Wiedziała, co musi powiedzieć – za pięć su possę ci kutasa – i zrobiło jej się niedobrze. Naprawdę

zamierzała to zrobić? Była jednak głodna i zziębnięta.

– Ile bierzesz? – zapytał mężczyzna.

Nie zastanawiała się nad tym i nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Gdzie twój pokój? – Mężczyzna był wyraźnie poirytowany jej wahaniem. – Gdzieś w okolicy?

Nie mogła zaprowadzić go do izby, którą wynajmowała z matką.

– Nie mam pokoju – odparła.

– Głupia krowa – warknął i odszedł.

Sylvie miała ochotę się rozpłakać. Rzeczywiście była głupią krową. Nie przemyślała tego.

Chwilę później spojrzała na magazyn po drugiej stronie ulicy.

Zakazane księgi zostały już pewnie spalone. Nowy drukarz mógł korzystać ze składu albo wynajął go komuś innemu.

Ale klucz do niego nadal mógł leżeć za poluzowaną cegłą. Może mogłaby używać magazynu jako swojego „pokoju”.

Przeszła przez ulicę.

Wyciągnęła jedną z obluzowanych cegieł przy futrynie drzwi i sięgnęła do środka. Klucz był tam gdzie zawsze. Wyjęła go i odłożyła cegłę na miejsce.

Podeszwą buta rozgarnęła leżące przed wejściem śmieci, włożyła klucz do zamka, przekręciła go, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Chwilę później zapaliła lampę.

Wnętrze składu wyglądało tak, jak je zapamiętała. Ciągnące się od podłogi po sufit beczki wciąż stały na swoim miejscu. Między nimi a ścianą było wystarczająco dużo przestrzeni, żeby mogła robić to, co zamierzała, na kamiennej podłodze – zimnej i nierównej. To tu będzie uprawiała swój wstydliwy proceder.

Beczki były zakurzone, jak gdyby dawno nikt tu nie zaglądał. Sylvie zastanawiała się, czy są wśród nich te puste. Chwyciła jedną i podniosła ją bez trudu.

Gdy ujrzała ukryte za nimi pudła, przyszła jej do głowy pewna myśl.

Otworzyła jedno z pudeł. W środku znajdowały się egzemplarze Biblii w języku francuskim.

Jak to możliwe? Ona i matka były przekonane, że człowiek, który przejął drukarnię, zagarnął cały ich majątek. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że nie miał pojęcia o istnieniu magazynu. Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Ojciec zawsze powtarzał, że należy być dyskretnym. Nawet jego pracownicy nie

wiedzieli o składzie, a Sylvie miała powiedzieć o nim Pierre'owi dopiero po ślubie.

Teraz tylko ona i matka znały prawdę.

Wszystkie księgi były na swoim miejscu. Setki ksiąg.

Były cenne, jeśli tylko uda jej się znaleźć kogoś, kto chciałby je kupić.

Wzięła do rąk francuskie wydanie Biblii warte więcej niż pięć su, które miała nadzieję zarobić na ulicy.

Tak jak robiła to w przeszłości, zapakowała księgę w płótno i związała sznurkiem. Zaraz potem opuściła skład, zamknęła drzwi i ukryła klucz.

Odchodząc, czuła, że wstępuje w nią nowa nadzieja.

Kiedy wróciła do domu, Isabelle wpatrywała się w zimne palenisko.

Książki były drogie, więc Sylvie musiała się zastanowić, komu mogłaby je sprzedać? Tylko protestantom. Utkwiła wzrok w prześcieradle, które uprała wczoraj dla Jeanne Mauriac, członkini wspólnoty wiernych, którzy zbierali się w chatce łowieckiej na przedmieściach Saint-Jacques. Jej mąż Luc był maklerem frachtującym, cokolwiek to znaczyło. Sylvie uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie sprzedała mu Biblii, choć

z pewnością było go na nią stać. Tylko czy się odważy? Od nalotów zorganizowanych przez kardynała minęło niespełna pół roku.

Prześcieradło było suche. Poprosiła matkę, żeby pomogła jej je złożyć, owinęła w nie księgę i udała się do domu Mauriaców.

Zaplanowała wizytę tak, by zastać rodzinę przy posiłku. Pokojówka zmierzyła wzrokiem jej znoszoną sukienkę i kazała zaczekać w kuchni, ale Sylvie była zbyt zdesperowana, żeby dać się powstrzymać pierwszej lepszej służącej. Kiedy weszła do jadalni i poczuła zapach kotletów wieprzowych, zaburczało jej w brzuchu.

Luc, Jeanne i ich syn Georges siedzieli przy stole. Pan domu z radością powitał Sylvie. Jeanne spoglądała na nią nieufnym wzrokiem. Była poważną kobietą, ostoją rodziny i często obruszała się, słysząc, jak mąż i syn przekomarzają się żartobliwie. Młody Georges swojego czasu podkochiwał się w Sylvie, ale teraz ledwo na nią spojrzał. Nie była już dobrze ubraną córką bogatego drukarza, lecz brudną nędzarką.

Rozwinęła prześcieradło i pokazała księgę Lucowi, mając nadzieję, że zechce ją kupić.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie mają państwo francuskiego tłumaczenia Biblii – zaczęła. – To

wyjątkowo piękne wydanie. Ojciec był z niego dumny. Proszę, niech sam pan zobaczy. – Już dawno odkryła, że klienci znacznie częściej kupują książki, jeśli mogą je przedtem potrzymać.

Luc z podziwem kartkował księgę.

– Powinniśmy mieć Biblię po francusku – zwrócił się do żony.

Sylvie uśmiechnęła się, patrząc na Jeanne.

– To z pewnością uraduje Pana – powiedziała.

– Ale to wbrew prawu – zauważyła Jeanne.

– Podobnie jak bycie protestantem – odparł Luc. – Możemy ukryć tę księgę. – Spojrzał na Sylvie. – Ile za nią chcesz?

– Ojciec zwykle sprzedawał je za sześć liwrów.

Jeanne prychnęła z dezaprobatą, dając do zrozumienia, że cena jest nieprzyzwoicie wysoka.

– Ale zważywszy na okoliczności – ciągnęła Sylvie – sprzedam ją państwu za pięć. – Po tych słowach wstrzymała oddech.

Luc zerknął na nią z powątpiewaniem.

– Gdybyś mogła zejść do czterech…

– Zgoda. Książka należy do państwa i niech was Bóg błogosławi.

Sięgnął po sakiewkę i odliczył osiem srebrnych monet, tak zwanych testonów,

z których każdy miał wartość dziesięciu su – pół liwra.

– Dziękuję. – Sylvie nie posiadała się ze szczęścia. – I dziesięć pensów za prześcieradło. – Nie potrzebowała już tych pieniędzy, ale przypomniawszy sobie, jak bardzo bolały ją skostniałe ręce, uznała, że jej się należą.

Luc uśmiechnął się i wcisnął jej do ręki malutką monetę o wartości dziesięciu pensów.

Zaraz potem jeszcze raz otworzył księgę.

– Kiedy mój wspólnik Radiguet ją zobaczy, zzielenieje z zazdrości.

– Nie mam więcej egzemplarzy – odparła pospiesznie Sylvie. Ponieważ protestanckie księgi uchodziły za rzadkość, nie traciły na wartości i ojciec nauczył ją, żeby nigdy nie zdradziła się przed klientem, że nie są unikatowe. – Jeśli natrafię na kolejną, spotkam się z panem Radiguetem.

– Wspaniale.

– Ale proszę mu nie mówić, że sprzedałam ją panu po tak niskiej cenie.

Posłał jej porozumiewawczy uśmiech.

– Dopiero jak ci zapłaci.

Sylvie podziękowała i wyszła.

Poczuła tak obezwładniającą ulgę, że nie miała siły się cieszyć. Weszła do najbliższej

tawerny, zamówiła kufel piwa i szybko go wypiła. Piwo złagodziło głód i sprawiło, że zakręciło jej się w głowie.

W drodze do domu kupiła szynkę, ser, masło, chleb, jabłka i mały dzbanek wina, a także worek drewna na opał, i zapłaciła napotkanemu chłopcu dziesięć pensów, żeby zaniósł go jej do domu.

Kiedy weszła do pokoju, matka spojrzała na nią zdumionym wzrokiem.

– Witaj, matko – rzekła Sylvie. – Nasze kłopoty dobiegły końca.

X

Trzy dni po Bożym Narodzeniu 1559 roku nadąsany Pierre ożenił się po raz kolejny.

Zależało mu, żeby uroczystość była skromna, nie zamierzał bowiem udawać, że się cieszy. Nie zaprosił żadnych gości i nie urządził przyjęcia. Nie chcąc wyglądać jak biedak, włożył nowy, ciemnoszary dublet, którego ponury kolor współgrał z jego nastrojem. Przyjechał do kościoła parafialnego w chwili, gdy kościelny dzwon wybijał wyznaczoną godzinę.

Ku swemu przerażeniu wśród zgromadzonych zobaczył Véronique.

Siedziała na tyłach maleńkiego kościoła w otoczeniu sześciu pokojówek, prawdopodobnie przyjaciółek Odette.

Pierre nie wyobrażał sobie, by mogło go spotkać coś gorszego niż Véronique będąca świadkiem jego upokorzenia. To ją chciał poślubić. Rozmawiał z nią, próbował ją oczarować i robił, co w jego mocy, żeby przekonać ją, że są sobie równi. Wszystko to były mrzonki i kardynał Karol dał mu to jasno do zrozumienia, lecz świadomość, że Véronique zobaczy, jak poślubia jedną z jej służących, była tak bolesna, że miał ochotę wyjść z kościoła.

Pomyślał jednak o tym, co udało mu się zyskać. Kiedy żałosna ceremonia dobiegnie końca, podpisze się w księdze parafialnej swoim nowym nazwiskiem – Pierre Aumande Gwizjusz. Marzył o tym. Zostanie uznany za członka wyniosłego rodu Gwizjuszów i nikt mu tego nie odbierze. Poślubi brzydką pokojówkę, która nosiła w sobie dziecko innego, ale przynajmniej będzie Gwizjuszem.

Zagryzł zęby i przysiągł sobie w duchu, że jakoś to przeżyje.

Ceremonia skończyła się szybko; nie było wątpliwości, że ksiądz dostał minimalną opłatę. Véronique i pozostałe dziewczęta chichotały przez całą mszę. Pierre nie miał pojęcia, co je tak bawi, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to z niego się śmieją. Odette oglądała się przez ramię i uśmiechała się do nich, pokazując krzywe zęby, które przywodziły na myśl murszejące nagrobki na starym cmentarzu.

Po wszystkim dumna niczym paw wyszła z kościoła uczepiona ramienia swojego przystojnego, ambitnego męża. Najwyraźniej zapomniała, że przymuszono go do tego małżeństwa. A może oszukiwała się, że jakimś sposobem rozkochała go w sobie?

Jakby coś takiego było w ogóle możliwe!

Z kościoła udali się do skromnego domu, który podarował im kardynał Karol. Znajdował się on nieopodal tawerny Saint-Étienne w okolicach Hal, gdzie paryżanie robili codzienne zakupy: mięso, wino i używane ubrania, które kupowali wszyscy oprócz ludzi zamożnych. Véronique i jej towarzyszki poszły za nimi, choć nikt ich nie zapraszał. Jedna z dziewcząt miała butelkę wina i uparły się, żeby wejść do domu i wypić toast za zdrowie państwa młodych.

Wychodząc, rzucały sprośne żarty o tym, że nowożeńcom na pewno spieszno robić to, co zwykle robią młode pary w noc poślubną.

Pierre i Odette poszli na górę. W domu była jedna sypialnia i jedno łóżko. Do tego momentu Pierre nie zastanawiał się nad tym, czy w ogóle będzie sypiał z żoną.

Odette położyła się na łóżku.

– No i jesteśmy małżeństwem – powiedziała. Zadarła sukienkę i odsłoniła swą nagość – A teraz chodź tu i wykorzystajmy to jak należy.

Ten widok wzbudził w nim odrazę. Wulgarność jej pozy napawała go nieopisanym obrzydzeniem. Był zbulwersowany.

I wiedział, że nigdy, przenigdy nie pójdzie z nią do łóżka.

ROZDZIAŁ 10

I

Barney Willard nienawidził armii. Jedzenie było paskudne, wciąż czuł, że jest mu za zimno albo za gorąco, i przez większość czasu jedynymi kobietami, jakie miał okazję oglądać, były kręcące się wokół obozu dziwki – zdesperowane i smutne. Kapitan dowodzący jego kompanią, osiłek o nazwisku Gómez, lubił pastwić się nad ludźmi i swoją żelazną ręką karał ich za wszelką niesubordynację. Najgorsze jednak było to, że nikt z nich od miesięcy nie dostał pieniędzy.

Barney nie potrafił zrozumieć, jak król Hiszpanii Filip mógł mieć kłopoty ze skarbcem. Był najbogatszym człowiekiem na świecie, a mimo to nigdy nie miał pieniędzy. Barney widział, jak wyładowane srebrem z Peru galeony wpływają do portu w Sewilli. Na co wydawano te pieniądze? Z pewnością nie na armię.

Wypłynąwszy dwa lata wcześniej z portu w Sewilli, *José y Maria* popłynął do miejsca zwanego Niderlandami, luźniej federacji siedemnastu prowincji na północnym wybrzeżu Europy między Francją a Niemcami. Z niezrozumiałych dla Barneya historycznych powodów Niderlandy znajdowały się pod panowaniem króla Hiszpanii. Armia Filipa stacjonowała tam i walczyła w hiszpańskiej wojnie przeciwko Francji.

Barney, Carlos i Ebrima byli wytrawnymi dymarzami, zostali więc kanonierami, którzy dbali o działa i je obsługiwali. Choć widzieli potyczki, kanonierzy zwykle nie brali udziału w walkach wręcz, dzięki czemu wszyscy trzej przeżyli wojnę bez uszczerbku na zdrowiu.

Traktat pokojowy między Hiszpanią a Francją został podpisany prawie rok wcześniej, w kwietniu 1559 roku, i Filip wrócił do domu, zostawiając w Niderlandach swoją armię. Barney domyślał się, że król chciał mieć pewność, że ten niebywale bogaty kraj będzie płacił podatki. Ale wojsko było znudzone, rozżalone i zaczynało się buntować.

Kompania kapitana Gómeza stacjonowała w mieście Kortrijk nad rzeką Leie. Mieszkańcy nie lubili żołnierzy, którzy byli cudzoziemcami,

nosili broń, upijali się i wszczynali burdy, a na dodatek – ponieważ nie dostawali żołdu – kradli. Niderlandczycy byli uparci i nieposłuszni. Chcieli, żeby Hiszpanie się wynieśli, i wcale się z tym nie kryli.

Trzej przyjaciele pragnęli opuścić armię. Barney miał w Kingsbridge wygodny dom i rodzinę, z którą chciał się zobaczyć. Carlos wynalazł nowy typ pieca, na którym pewnego dnia zbije fortunę, ale najpierw musiał wrócić do dymarstwa. Barney nie wiedział, jak Ebrima wyobraża sobie swoją przyszłość, ale z pewnością nie wiązał jej z żołnierką. Mimo wszystko niełatwo było uciec. Dezercja była na porządku dziennym, lecz schwytani żołnierze mogli zostać rozstrzelani. Barney od miesięcy czekał na odpowiednią okazję, jednak żadna się nie nadarzyła i zaczynał się zastanawiać, czy nie jest zbyt ostrożny.

Tymczasem zabijali czas w tawernach.

Ebrima był hazardzistą obsesyjnie ryzykującym utratę reszty pieniędzy, w nadziei że wygra dużo więcej. Carlos, kiedy tylko było go na to stać, pił wino. Barney miał słabość do dziewcząt. W tawernie Saint-Martin przy starym rynku w Kortrijk każdy z nich mógł znaleźć coś

dla siebie: gry w karty, hiszpańskie wino i ładną dziewkę roznoszącą trunki.

Barney słuchał karczmarki Anouk, która utyskiwała po francusku na swojego męża, podczas gdy Carlos sączył przez całe popołudnie kielich wina, a Ebrima wygrywał pieniądze od Gómeza Żelaznej Ręki i dwóch hiszpańskich żołnierzy. Pozostali gracze pili na umór, krzycząc głośno, gdy wygrywali lub przegrywali, ale Ebrima siedział cicho. Był poważnym hazardzistą, zawsze czujnym, i nigdy nie stawiał ani za dużo, ani za mało. Czasami przegrywał, ale często wygrywał tylko dlatego, że inni podejmowali nierozważne ryzyko. Dziś szczęście najwyraźniej mu sprzyjało.

Kiedy Anouk zniknęła w kuchni, Carlos zwrócił się do Barneya:

– Wszystkie kule armatnie w hiszpańskiej armii i marynarce powinny być jednej wielkości. Tak robią Anglicy. Wyprodukowanie tysiąca kul tej samej wielkości jest tańsze niż wyprodukowanie dwudziestu różnych rozmiarów dla dwudziestu różnych dział. – Jak zwykle między sobą rozmawiali po hiszpańsku.

– No i skończyłyby się problemy z wciskaniem do lufy kuli, która jest o cal za duża, co często się nam zdarzało – odparł Barney.

– Właśnie.

Ebrima wstał od stołu.

– Ja pasuję – powiedział do pozostałych graczy. – Dziękuję za grę, panowie.

– Chwileczkę – rzucił poirytowany Gómez. – Daj nam szansę się odegrać.

Pozostali dwaj gracze wyraźnie popierali ten pomysł. Jeden krzyknął: „Tak!”, a drugi walną pięścią w stół.

– Może jutro – odparł Ebrima. – Graliśmy całe popołudnie i skoro wygrałem, mam ochotę się napić.

– Daj spokój, jeszcze jedno rozdanie, podwójna stawka albo nic.

– Nie macie na to pieniędzy.

– Będę ci winien.

– Przez długi człowiek robi sobie wrogów.

– Daj spokój!

– Nie, kapitanie.

Gómez zerwał się z krzesła, przewracając stół. Mierzył sześć stóp, był barczysty, a jego twarz nabrała rumieńców od sherry.

– Żądam rewanżu! – rzucił podniesionym głosem.

Widząc, co się święci, ludzie zaczęli wstawać od stołów.

Barney podszedł do Gómeza.

– Kapitanie, postawię panu sherry – zaproponował. – Pańskie się rozlało.

– Idź do diabła, ty angielski dzikusie! – ryknął. Hiszpanie uważali Anglików za barbarzyńców z północy, czyli tak, jak Anglicy postrzegali Szkotów. – On ma zagrać.

– Ależ nie. – Barney rozłożył ręce w geście mówiącym „Bądźmy rozsądni". – Przychodzi czas, kiedy trzeba przestać grać.

– Ja decyduję o tym, kiedy przerwać grę. Jestem kapitanem.

– To nie w porządku – włączył się do rozmowy Carlos. Złościła go jawna niesprawiedliwość, może dlatego, że sam tak często jej doświadczał. – Przy grze w karty wszyscy jesteśmy równi. – Miał rację; była to zasada obowiązująca, kiedy dowódcy grali z szeregowymi żołnierzami. – Dobrze pan wie, kapitanie Gómez, więc proszę nie udawać, że jest inaczej.

– Dziękuję, Carlosie – rzucił Ebrima i odsunął się od przewróconego stołu.

– Wracaj tu, ty czarnoskóry diable – warknął Gómez.

Przy nielicznych okazjach, gdy Ebrima wdawał się w awanturę, przeciwnicy wcześniej czy później go znieważali, wypominając mu kolor skóry. Było to nużąco przewidywalne. Na

szczęście Ebrima nie był porywczy i nie dawał się sprowokować. Zamiast zareagować na szyderstwa Gómeza, odwrócił się do niego plecami.

Kapitan, podobnie jak wszyscy, którzy znęcają się nad słabszymi, nie lubił, gdy go ignorowano. Rozjuszony rzucił się na Ebrimę. Żelazna ręka ledwie musnęła głowę Ebrimy, ale to wystarczyło, by zachwiał się i upadł na kolana.

Gómez zrobił krok w jego stronę. Najwyraźniej zamierzał znowu go uderzyć, lecz Carlos złapał go od tyłu i spróbował powstrzymać. Rozwścieczony kapitan zaczął się szamotać. Carlos był silny, ale tamten – jeszcze silniejszy – wyrwał się z jego uścisku i zdrową ręką sięgnął po sztylet.

Barney z Carlosem zagrodzili mu drogę, podczas gdy Ebrima, wciąż zamroczony, próbował się podnieść z podłogi. Gómez odepchnął ich obu i zamachnąwszy się sztyletem, rzucił się na Afrykanina.

Przerażony Barney uświadomił sobie, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, a zwykła bójka przerodziła się w coś znacznie poważniejszego. Gómez zamierzał zabić Ebrimę.

Carlos złapał dowódcę za rękę, w której ten trzymał nóż, ale kapitan odepchnął go

machnięciem żelaznej protezy. Chwila jego nieuwagi wystarczyła jednak, żeby Barney sięgnął po własną broń – długi na dwie stopy hiszpański sztylet z pękatą rękojeścią.

Gómez szedł nieosłonięty z jedną ręką uniesioną, a drugą wyciągniętą przed siebie dla równowagi.

Kiedy opuścił sztylet, celując w szyję zamroczonego Ebrimy, Barney zatoczył ostrzem szeroki łuk i dźgnął go w lewą pierś. Stalowe ostrze ześlizgnęło się po żebrach Gómeza i utkwiło głęboko w jego piersi. Rozdzierający wrzask, który dobył się z gardła kapitana, trwał krótką chwilę. Barney wyszarpnął ostrze i z rany na piersi trysnęła jasnoczerwona krew – znak, że hiszpański sztylet dosięgnął serca Gómeza. Dowódca zatoczył się, wypuścił sztylet i niczym kłoda zwalił się na podłogę.

Barney patrzył na niego przerażonym wzrokiem. Carlos zmełł w ustach przekleństwo, a Ebrima, który odzyskał jasność umysłu, rzucił tylko:

– Co myśmy zrobili?

Barney uklęknął i dotknął szyi Gómeza, szukając pulsu. Na próżno. Z rany na piersi przestała płynąć krew.

– Nie żyje – oświadczył.

– Zabiliśmy oficera – jęknął Carlos.

Barney powstrzymał Gómeza przed zabiciem Ebrimy, jednak ciężko będzie to udowodnić. Rozejrzał się i zobaczył, że świadkowie w pośpiechu opuszczają tawernę.

Nikt nie zbada szczegółów zajścia. Doszło do bijatyki, w której szeregowy zabił oficera. W takich przypadkach armia nie znała litości.

Barney zauważył, że właściciel tawerny wydaje we wschodnioflamandzkim dialekcie polecenia nastoletniemu chłopcu, który po chwili wybiegł z gospody.

– Lada chwila będą tu strażnicy – odezwał się Barney.

– Prawdopodobnie stacjonują w ratuszu – zauważył Carlos. – Zaraz nas aresztują.

– I praktycznie będę martwy – rzucił Barney.

– Ja też – dodał Carlos. – Pomogłem ci.

– Nie będzie sprawiedliwości dla Afrykanina – włączył się Ebrima.

Nie dyskutując dłużej, rzucili się w stronę drzwi i wybiegli na targ. Na zaciągniętym chmurami niebie słońce staczało się za horyzont. To dobrze, pomyślał Barney. Za chwilę zrobi się ciemno.

– Biegnijmy na nabrzeże! – krzyknął.

Przecięli plac i skręcili w Leiestraat, ulicę prowadzącą nad rzekę. Była to ruchliwa droga w sercu miasta, pełna ludzi i koni, wyładowanych po brzegi wózków i tragarzy uginających się pod ciężarem ładunków.

– Zwolnijcie – rzucił Barney. – Lepiej, żeby ludzie nie widzieli, dokąd idziemy.

Mimo to ich dziarski krok mógł wzbudzać podejrzenia, a miecze zdradzały, że są żołnierzami. Mieli na sobie byle jakie, niedopasowane ubrania, które nie zwracały niczyjej uwagi, ale Barney był wysokim mężczyzną z bujną, rudą brodą, a Ebrima był czarnoskóry. Wkrótce jednak zapadnie noc.

Niebawem dotarli nad rzekę.

– Potrzebujemy łodzi – stwierdził Barney. Potrafił pływać na niemal każdej jednostce: od dziecka uwielbiał żeglugę. Dookoła pełno było łodzi, zacumowanych przy brzegu albo zakotwiczonych na środku rzeki. Ich właściciele nie byli jednak na tyle głupi, żeby zostawiać je bez ochrony, zwłaszcza w mieście, w którym stacjonowały obce wojska. Wszystkie większe łodzie miały stróżów, podczas gdy mniejsze były przypięte łańcuchami i pozbawione wioseł.

– Schylcie się, jeśli nie chcecie, żeby ktoś nas zobaczył – szepnął Ebrima.

Uklękli w błocie.

Barney rozejrzał się zrozpaczonym wzrokiem. Nie mieli czasu. Lada chwila straż rozpocznie poszukiwania.

Mogli ukraść jedną z mniejszych łodzi przywiązanych do drewnianego pala łańcuchem, ale bez wioseł byli bezradni, a płynąc z prądem bez możliwości sterowania, stanowiliby łatwy cel. Rozsądniej byłoby popłynąć na barkę, obezwładnić strażnika i podnieść kotwicę. Pytanie tylko: czy mieli wystarczająco dużo czasu? Poza tym im cenniejsza łódź, tym większy będzie pościg.

– Nie wiem – mruknął Barney. – Może powinniśmy przejść przez most, byle dalej od miasta.

Nagle zobaczyli tratwę – nieprzedstawiające sobą żadnej wartości, związane liną dwanaście bali z niską nadbudówką, w której mógł spać jeden człowiek. Jej właściciel stał na pokładzie i niesiony prądem, sterował za pomocą długiego kija. Obok niego leżała sterta czegoś, co w zapadającym zmroku wyglądało jak plątanina lin i wiader używanych do połowu.

– Oto nasza łódź – rzekł Barney. – Ostrożnie!

Nie podnosząc się z kolan, ześlizgnął się do rzeki. Ebrima i Carlos poszli za jego przykładem.

Woda robiła się głęboka już przy samym brzegu i wkrótce brodzili w niej po szyję. Dotarłszy do tratwy, uczepili się jej krawędzi i podciągnęli na pokład z bali. Na ich widok zdezorientowany starzec krzyknął ze strachu, ale Carlos rzucił się na niego, powalił go na pokład i zakrył mu usta dłonią. Barney chwycił kij, zanim ten stoczył się do wody, i skierował tratwę na środek rzeki. Kątem oka widział, jak Ebrima rozdziera koszulę mężczyzny i wkłada mu ją do ust, żeby go uciszyć, a następnie krępuje linami jego ręce i nogi. Przyszło mu do głowy, że we trzech stanowią zgraną drużynę; niewątpliwie była to zasługa czasu, który spędzili razem jako kanonierzy.

Rozejrzał się. Jeśli się nie mylił, nikt nie zwrócił uwagi na to, co działo się na tratwie. Co teraz? – pomyślał.

– Musimy mieć… – zaczął.

– Zamknij się – warknął Ebrima.

– Co takiego?

– Uważaj, co mówisz. Niczego nie zdradzaj. On może znać hiszpański. – Wskazał głową starca.

Barney wiedział, co Afrykanin miał na myśli. Wcześniej czy później mężczyzna opowie komuś, co mu się przydarzyło; chyba że go zabiją, żaden z nich nie miał jednak na to ochoty. Będą go

wypytywać o ludzi, którzy porwali jego tratwę. Im mniej wiedział, tym lepiej. Ebrima był dwadzieścia lat starszy od swoich towarzyszy i nie pierwszy raz wykazał się mądrością i powstrzymał ich młodzieńcze zapędy.

– Co z nim zrobimy? – spytał Barney.

– Zaczekamy, aż oddalimy się od miasta. Wtedy wyrzucimy go na brzeg, związanego i zakneblowanego. Nic mu się nie stanie, ale do rana go nie znajdą. Do tego czasu będziemy już daleko.

Plan Ebrimy spodobał się Barneyowi.

Tylko co potem? Będą płynąć nocą i ukrywać się za dnia? Im dalej będą od Kortrijk, tym trudniej będzie ich znaleźć. A potem? Jeśli dobrze pamiętał, ta rzeka łączyła się z inną o nazwie Skalda, która płynęła do Antwerpii. Tam mieszkał krewny Barneya, Jan Wolman, kuzyn jego nieżyjącego ojca. Gdyby się nad tym zastanowić, to Carlos również był z nim spokrewniony. Sieć handlowa, która ciągnęła się od Melcombe, przez Antwerpię i Calais aż do Sewilli, została stworzona przez czterech kuzynów: ojca Barneya, Edmunda Willarda; jego brata, wujka Dicka; ojca Carlosa i Jana Wolmana.

Jeśli trzem zbiegom uda się dotrzeć do Antwerpii, prawdopodobnie będą bezpieczni.

Zapadł zmrok. Barney zakładał, że będą płynąć nocą, jednak sterowanie tratwą po ciemku nie należało do łatwych zadań. Starzec nie miał latarni, zresztą i tak baliby się ją zapalić, bo ktoś mógłby ich zobaczyć. Tu i ówdzie przez kurtynę chmur przedzierało się blade światło gwiazd. Czasami Barney był w stanie zobaczyć rzekę przed nimi, ale bywały chwile, że za bardzo zbliżali się do brzegu.

Dręczył go dziwny niepokój i zastanawiał się, co jest tego przyczyną. Nagle przypomniał sobie, że zabił człowieka. Dziwne, że jego umysł był w stanie wyprzeć coś tak potwornego. Jednakże teraz, kiedy świadomość tego, co zrobił, powróciła, wydawało mu się to jeszcze bardziej przerażające. Nastrój Barneya był równie ponury jak otaczająca go noc. Przypomniał sobie, jak Gómez upadł – zupełnie jakby uszło z niego życie, jeszcze zanim runął na podłogę.

Nie pierwszy raz Barney kogoś zabił. Ostrzeliwał z armat nacierające wrogie oddziały i widział, jak ludzie padają niczym muchy, martwi lub śmiertelnie ranni; a jednak widok ten nie odcisnął piętna na jego duszy, może dlatego, że nie widział ich twarzy, gdy konali. Tymczasem zabicie Gómeza miało w sobie coś przeraźliwie intymnego. Barney wciąż pamiętał, co czuł, gdy

ostrze sztyletu wniknęło w ciało kapitana. Nadal miał przed oczami strumień jasnoczerwonej krwi, która trysnęła z wciąż bijącego serca. Gómez był nienawistnym człowiekiem i jego śmierć była dla ludzkości prawdziwym błogosławieństwem, ale Barney czuł się podle z tym, czego się dopuścił.

Wzeszedł księżyc i jego blade światło przeświecało zza chmur. Gdy widoczność nieco się poprawiła, pozbyli się starca w miejscu, które wydało im się najbardziej odpowiednie i oddalone od domostw. Ebrima wyniósł go na brzeg i delikatnie położył na ziemi. Stojący na tratwie Barney słyszał, jak Afrykanin przemawia do mężczyzny ściszonym głosem, być może go przepraszając, i słusznie – starzec nie zrobił przecież nic, by zasłużyć sobie na to, co go spotkało. Potem rozległ się brzęk monet.

Chwilę później, gdy Ebrima wrócił na tratwę, Barney odepchnął ją od brzegu.

– Dałeś mu pieniądze, które wygrałeś od Gómeza, prawda? – zwrócił się do Afrykanina Carlos.

Ten wzruszył ramionami.

– Ukradliśmy jego tratwę. Zarabiał nią na życie.

– A teraz my jesteśmy goli.

– Ty już wcześniej nie miałeś pieniędzy – zauważył Ebrima. – Teraz nie mam ich również ja.

Barney rozmyślał o pościgu. Nie miał pojęcia, na jaką skalę będą zakrojone poszukiwania. Władzom miasta z pewnością nie spodobają się wieści o morderstwie w tawernie, ale zarówno ofiara, jak i sprawcy byli hiszpańskimi żołnierzami, więc można się było spodziewać, że rada miasta Kortrijk nie będzie chciała trwonić pieniędzy na uganianie się za cudzoziemcami, którzy zabili innego cudzoziemca. Hiszpańska armia by ich straciła, ale Barney zastanawiał się, czy cała sprawa obejdzie ich na tyle, żeby wszczynać pościg. Niewykluczone, że dla zachowania pozorów rozpoczną poszukiwania, ale kiedy tylko trafi się okazja, zaniechają ich.

– Carlosie, jest coś, o czym musimy porozmawiać – odezwał się nagle Ebrima, który przez chwilę siedział cichy i zamyślony.

– Co takiego?

– Uciekliśmy z wojska.

– Mam nadzieję, że nas nie złapią.

– Kiedy wsiadaliśmy na pokład *José y Maria*, powiedziałeś oficerowi, że jestem wolnym człowiekiem.

– Wiem – potwierdził Carlos.

Barney wyczuwał napięcie między mężczyznami. Przez dwa lata, mimo swej dość egzotycznej aparycji, Ebrima był traktowany na równi z innymi – jak żołnierz, nie jak niewolnik. Jaki był jego status teraz?

– Czy w twoich oczach, Carlosie, jestem wolnym człowiekiem?

Barney zwrócił uwagę na słowa „w twoich oczach”. W swoich oczach Ebrima uważał się za wolnego człowieka. Barney nie był pewien, co na ten temat sądzi Carlos. Nie rozmawiali o niewolnictwie Ebrimy, odkąd weszli na pokład *José y Maria*.

Carlos milczał przez długą chwilę.

– Jesteś wolnym człowiekiem, Ebrimo – powiedział w końcu.

– Dziękuję. Cieszę się, że się rozumiemy.

Barney zastanawiał się, co zrobiłby Ebrima, gdyby Carlos powiedział „nie”.

Niebo zaczęło się przecierać. W świetle księżyca płynęli szybciej i Barney utrzymywał tratwę na środku nurtu.

– Dokąd właściwie płynie ta rzeka? – spytał Carlos.

– Do Antwerpii – odparł Barney. – Płyniemy do Antwerpii.

II

Ebrima nie wiedział, czy powinien wierzyć Carlosowi. Nie ufaj słowom człowieka, który jest twoim właścicielem, mawiali sewilscy niewolnicy. Mężczyzna, który traktuje cię jak więźnia, każe ci pracować za darmo, chłoszcze za nieposłuszeństwo i gwałci, kiedy tylko ma na to ochotę, nie zawaha się ciebie okłamać. Carlos taki nie był, ale jak bardzo się różnił od innych właścicieli niewolników? Odpowiedź na to pytanie zaważy na tym, jak potoczy się życie Ebrimy.

Po ciosie Gómeza bolała go głowa. Obmacując ją delikatnie, poczuł pod palcami guza, w miejscu, gdzie trafiła go żelazna ręka. Nie miał jednak zawrotów głowy i przypuszczał, że wkrótce dojdzie do siebie.

O brzasku zatrzymali się w miejscu, gdzie rzeka płynęła przez zagajnik. Wyciągnęli tratwę na brzeg i przykryli gałęziami. Wyznaczyli warty, tak że jeden z nich czuwał, podczas gdy dwaj pozostali spali. Ebrima śnił, że obudził się w kajdanach.

Rankiem trzeciego dnia zobaczyli w oddali strzelistą wieżę antwerpskiej katedry. Porzucili tratwę, pozostawiając ją na wodzie, i kilka

ostatnich mil pokonali pieszo. Ebrima podejrzewał, że ich kłopoty jeszcze się nie skończyły. W każdej chwili mogli zostać złapani i wtrąceni do więzienia, a następnie przekazani hiszpańskiej armii, która ich osądzi i skaże za zabójstwo Gómeza Żelaznej Ręki. Tymczasem na wiodących do miasta ruchliwych drogach nikt nie słyszał o trzech hiszpańskich żołnierzach – w tym jednym z rudą brodą, a drugim czarnoskórym – którzy zamordowali w Kortrijk kapitana i uciekli.

Wieści przekazywano z miasta do miasta głównie dzięki kupieckim biuletynom, te jednak zawierały przede wszystkim informacje handlowe. Ebrima nie potrafił czytać, ale z tego, co mówił Carlos, wnioskował, że o zbrodniach pisano tylko wtedy, gdy miały one znaczenie polityczne, a więc dotyczyły zamachów, buntów i przewrotów. Bijatyka w karczmie z udziałem obcych żołnierzy nikogo nie interesowała.

Antwerpię otaczała woda, uświadomił sobie, kiedy weszli na przedmieścia. Na zachodzie było to szerokie zakole rzeki Skaldy. Z pozostałych trzech stron miasto oddzielał od lądu kanał z ciągnącym się wzdłuż niego murem. Nad drogą wodną biegły mosty, z których każdy prowadził wprost do ufortyfikowanej bramy. Mówiło się, że

Antwerpia to najbogatsze miasto świata, nic więc dziwnego, że było tak dobrze strzeżone.

Nawet jeśli strażnicy nie mieli pojęcia o tym, co wydarzyło się w Kortrijk, to czy wpuszczą do miasta głodnych obdartusów z mieczami u boku? Trzej przyjaciele z niepokojem szli ku bramie.

Ebrima odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że nikt nie szuka trzech zbiegów, by wymierzyć im sprawiedliwość. Owszem, strażnicy patrzyli nieufnie na trzech mężczyzn odzianych w te same ubrania, w których dwa lata temu wsiedli na pokład *José y Maria*, ale gdy Barney poinformował ich, że są krewnymi Jana Wolmana, przestali być podejrzliwi, a nawet powiedzieli, gdzie go szukać: podali adres domu nieopodal katedry.

Brzegi wyspy były upstrzone wąskimi przystaniami. Idąc uliczkami, Ebrima zastanawiał się, jak zareaguje Jan Wolman, gdy na progu jego domu staną dwaj dalecy krewni bez grosza przy duszy i czarnoskóry Afrykańczyk. Niewykluczone, że nie ucieszy się na ich widok.

Niebawem dotarli pod wskazany adres i stanęli przed wysokim, okazałym domem. Kiedy zdenerwowani zapukali do drzwi, otworzył służący i spojrzał na nich z powątpiewaniem.

Chwilę później sam Jan Wolman powitał ich z otwartymi ramionami.

– Wyglądasz jak mój nieżyjący ojciec, kiedy był młody – zwrócił się do Barneya.

Gospodarz miał rude włosy i złocistobrązowe oczy Willardów.

Postanowili nie mówić mu całej prawdy o tym, dlaczego uciekli z Kortrijk. Poinformowali go, że zdezerterowali z hiszpańskiej armii, bo nie dostawali żołdu. Jan uwierzył im na słowo, a nawet był zdania, że żołnierze, którzy nie dostają pieniędzy, mają prawo zdezerterować.

Poczęstował ich winem, chlebem i zimną pieczenią wołową, pozwolił im się umyć i podarował im czyste koszule, bo jak stwierdził z rozbrajającą szczerością, cuchnęli.

Ebrima nigdy nie widział takiego domu. Nie był na tyle duży, by zasługiwał na miano pałacu, ale wydawał się bardzo przestronny. Pełno tu było kosztownych mebli i przedmiotów: wiszących na ścianach dużych, oprawionych w ramy luster, tureckich dywanów, malowanego szkła z Wenecji, instrumentów muzycznych i cieszących oko delikatnych dzbanów i mis z ceramiki. Obrazy były wyjątkowe. Niderlandczycy lubowali się w portretach ludzi pozujących z książkami czy kartami do gry

w wygodnych pokojach, podobnych do tych, w których mieszkali; zupełnie jakby uważali, że ich życie jest ciekawsze od tego, które prowadzili biblijni prorocy i bohaterowie opowieści popularnych w hiszpańskiej sztuce.

Pokój Ebrimy był mniejszy niż te, które dostali Barney i Carlos, ale nie kazano mu spać ze służbą, przypuszczał więc, że gospodarz nie do końca wiedział, jaki jest jego status.

Wieczorem zasiedli do stołu z rodziną Jana: jego żoną Hennie, córką Imke i trzema małymi chłopcami: Fritsem, Jefem i Daanem.

Rozmawiali w różnych językach. Na południu i zachodzie Niderlandów mówiono głównie po francusku; reszta kraju posługiwała się różnymi niderlandzkimi dialektami. Jan – jak wielu kupców – znał kilka języków, w tym hiszpański i angielski.

Jego córka Imke była uroczą siedemnastolatką. Z szerokim szczerym uśmiechem i jasnymi, kręconymi włosami przypominała młodszą wersję Hennie. Od razu polubiła Barneya i Ebrima widział, jak Carlos bezskutecznie próbuje zwrócić na siebie jej uwagę. Barney miał łobuzerski uśmiech, który kobiety uwielbiały. Zdaniem Ebrimy spokojny, godny zaufania Carlos był lepszym kandydatem

na męża, jednak niewiele nastoletnich pannic to dostrzegało. Ebrimy nie interesowały młodsze dziewczęta, ale polubił inteligentną, uprzejmą Hennie.

Kiedy zapytała, jak to się stało, że trafili do hiszpańskiej armii, zaczął snuć opowieść, mieszając francuski z hiszpańskim, tu i ówdzie dodając słowa w miejscowym dialekcie, które zdążył poznać. Robił to z takim przejęciem, że wkrótce wszyscy go słuchali. Opowiedział ze szczegółami o nowym piecu, podkreślając, że było to wspólne dzieło jego i Carlosa. Wyjaśnił, w jaki sposób powietrze podsycało ogień, dzięki czemu stopione żelazo wypływało bezustannie, pozwalając wytworzyć tonę metalu dziennie. Zauważył, że Jan patrzy na niego z szacunkiem.

Wolmanowie byli katolikami, jednak ze zgrozą słuchali, w jaki sposób sewilscy duchowni potraktowali Carlosa. Jan zapewnił, że w Antwerpii coś takiego nigdy by się nie wydarzyło, ale Ebrima nie był taki pewny, zważywszy na to, że głową Kościoła w obu krajach był ten sam papież.

Zachwycony opowieścią o nowym piecu, Jan stwierdził, że Ebrima i Carlos muszą się spotkać tak szybko, jak będzie to możliwe, z jego

głównym dostawcą metali, Albertem Willemsenem; najlepiej jutro.

Nazajutrz rano udali się do mniej zamożnej dzielnicy miasta, nieopodal portu. Albert mieszkał w skromnym domu z żoną Betje, poważną ośmioletnią córką Drike, atrakcyjną owdowiałą siostrą Evi i jej synem – Matthusem, który wyglądał na dziesięć lat. Dom Alberta do złudzenia przypominał sewilski dom Carlosa, z przejściem wiodącym do ogrodu, gdzie obok pieca leżały zapasy rudy żelaza, wapna i węgla. Albert chętnie przystał na to, by Carlos, Ebrima i Barney wybudowali w jego ogrodzie nowy piec, a Jan obiecał, że pożyczy im pieniądze.

W ciągu kolejnych tygodni poznawali miasto. Ebrima był zdumiony tym, jak bardzo pracowici są Niderlandczycy – nie ci biedni, którzy wszędzie harowali tak samo ciężko, lecz ci zamożni. Jan był jednym z najbogatszych ludzi w mieście, ale pracował sześć dni w tygodniu. Hiszpan z jego statusem zamieszkałby na wsi, kupił hacjendę i najmował zarządcę, żeby ten pobierał opłaty od chłopów, tak by białe jak lilia palce właściciela nie musiały dotykać brudnych pieniędzy. Sam tymczasem szukałby arystokratycznej partii dla swojej córki, z nadzieją że wnuki odziedziczą tytuł.

Niderlandczycy nie dbali o tytuły i lubili pieniądze. Jan kupował żelazo i brąz do produkcji broni i amunicji; sprowadzał runo z Anglii i robił z niego wełniane ubrania, które sprzedawał Anglikom; miał udziały w dochodowych warsztatach, farmach i tawernach i pożyczał pieniądze rozwijającym się przedsiębiorstwom, biskupom, którzy żyli ponad stan, i książętom. Naturalnie zawsze naliczał sobie odsetki. Tu nie obowiązywał kościelny zakaz lichwy.

Mieszkańcy Antwerpii nie przejmowali się też herezją. W mieście żyli żydzi, muzułmanie i protestanci, którzy chętnie obnosili się ze swoimi przekonaniami i dobijali targu jak równy z równym. Byli tu rudobrodzi mężczyźni jak Barney, Afrykańczycy jak Ebrima, smagli Turkowie z cienkim wąsikiem i Chińczycy o żółtej skórze i prostych, atramentowoczarnych włosach. Antwerpijczycy nie nienawidzili nikogo, może z wyjątkiem ludzi, którzy nie spłacali swoich długów. Ebrima polubił to miejsce.

Nikt nie wspominał słowem o jego wolności. Codziennie razem z Carlosem i Barneyem chodził do ogrodu Alberta, a wieczorami wracali na kolację do domu Jana. W niedziele Ebrima wybierał się ze wszystkimi do kościoła, a po

południu, gdy mężczyźni ucinali sobie drzemkę, wymykał się z domu i udawał do miejsca, w którym mógł odprawiać wodny rytuał. Nikt nie nazywał go niewolnikiem, ale poza tym jego życie było niepokojąco podobne do tego, które prowadził w Sewilli.

Kiedy pracowali w ogrodzie, siostra gospodarza Evi często towarzyszyła im w czasie przerwy. Zbliżała się do czterdziestki, miała błyszczące niebieskozielone oczy i, jak wiele Niderlandek w jej wieku, była dość pulchna. Rozmawiała z każdym z nich, a zwłaszcza z Ebrimą, który był najbardziej zbliżony do niej wiekiem. Była ciekawa świata, wypytywała go o Afrykę; chciała poznać szczegóły, których on sam często nie pamiętał. Jako wdowa z dzieckiem prawdopodobnie szukała męża, a ponieważ Carlos i Barney byli za młodzi, Ebrima zastanawiał się, czy to nie o niego jej chodzi. Od rozstania z Elisą nie był z żadną kobietą, ale miał nadzieję, że taka sytuacja nie potrwa długo: nie zamierzał żyć w celibacie jak mnich.

Budowa nowego pieca trwała miesiąc.

Kiedy w końcu byli gotowi go przetestować, rodziny Jana i Alberta przyszły popatrzeć.

Widząc ich pełne wyczekiwania twarze, Ebrima uświadomił sobie, że do tej pory on,

Carlos i Barney robili to tylko raz, i nie ma pewności, czy i tym razem się uda. Gdyby zawiedli, wszyscy trzej wyszliby na głupców. Co gorsza, niepowodzenie położyłoby się cieniem na ich przyszłości; a musiał przyznać przed sobą, że podświadomie liczył na to, iż zostanie w tym mieście i tu od nowa zbuduje swoje życie. Poza tym nie chciał się zbłaźnić na oczach Evi.

Carlos zapalił ogień, Ebrima wrzucił do środka rudę żelaza i wapno, a Barney strzelił z bicza na dwa konie, które napędzały miechy.

I tak jak poprzednio, czekali w pełnym napięcia milczeniu.

Barney i Carlos wiercili się nerwowo, podczas gdy Ebrima starał się zachować spokój. Czuł się, jakby postawił wszystko na jedną kartę.

Skromna publiczność sprawiała wrażenie znudzonej. Evi zaczęła rozmawiać z Hennie o problemach z dorastającymi dziećmi. Trzej synowie Jana ganiali po ogrodzie córkę Alberta. Betje, żona Alberta, przyniosła na tacy pomarańcze, lecz Ebrima był zbyt zdenerwowany, żeby cokolwiek przełknąć.

I nagle popłynęło żelazo.

Stopiony metal spływał z podstawy pieca do kamiennych form, z początku powoli, jednak z każdą chwilą wąski strumień nabierał

prędkości i wypełniał wydrążone formy w kształcie sztabek. Afrykanin dorzucał rudy żelaza i wapna.

– Tylko popatrzcie – szepnął zachwycony Albert. – Po prostu płynie!

– Tak – przyznał Ebrima. – Żelazo będzie płynęło tak długo, jak długo będziemy dokładać do pieca.

– To surówka – ostrzegł Carlos. – Przed użyciem należy ją oczyścić.

– Widzę – odparł Albert. – Ale to i tak zdumiewające.

– Chcecie powiedzieć, że król Hiszpanii wzgardził tym wynalazkiem? – spytał z niedowierzaniem Jan.

– Nie sądzę, żeby król Filip w ogóle o nim słyszał – rzekł Carlos. – Ale inni dymarze w Sewilli poczuli się zagrożeni. Hiszpanie nie lubią zmian. Ludzie, którzy prowadzą interesy, są bardzo konserwatywni.

Jan pokiwał głową.

– Pewnie dlatego król kupuje tyle dział od obcokrajowców takich jak ja: ponieważ hiszpańscy rzemieślnicy nie nadążają z produkcją.

– A potem Hiszpanie narzekają, że srebro z Ameryki trafia do ich kraju tylko po to, żeby

zaraz go opuścić.

Jan się uśmiechnął.

– Cóż, skoro jesteśmy niderlandzkimi kupcami, nie hiszpańskimi grandami, wejdźmy do domu, napijmy się wina i porozmawiajmy o interesach.

Weszli do środka i usiedli przy stole. Betje podała piwo i zimną kiełbasę. Imke dała dzieciom rodzynki, żeby je uciszyć.

– Dochody z nowego pieca w pierwszej kolejności zostaną przeznaczone na spłatę mojej pożyczki razem z odsetkami – oświadczył Jan.

– Oczywiście – zgodził się Carlos.

– Potem pieniądze będą rozdzielane między was i Alberta. Czy tak to widzicie?

Ebrima pomyślał, że zabrzmiało to dość ogólnikowo. Jan nie wiedział, czy Afrykanin będzie traktowany na równi z Carlosem i Barneyem.

To nie czas na pokorę, pomyślał Ebrima.

– Zbudowaliśmy ten piec we trzech: Carlos, Barney i ja – zauważył. Widząc, że wszyscy spoglądają na Carlosa, wstrzymał oddech. Carlos się zawahał. To jest prawdziwa próba, pomyślał Ebrima. Kiedy byli na tratwie, Carlos mógł szafować słowami i zapewniać go o tym, że jest wolnym człowiekiem, ale teraz było inaczej. Jeśli

w obecności Jana Wolmana i Alberta Willemsena potraktuje go jak równego sobie, nie będą to czcze słowa, lecz deklaracja.

A on będzie wolny.

– Dobrze więc, dzielimy zyski na cztery – powiedział w końcu Carlos. – Między Alberta, Barneya, Ebrimę i mnie.

Serce Afrykanina zabiło mocniej, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Zerknął na Evi i zobaczył, że wygląda na zadowoloną.

– Mnie nie liczcie – powiedział nagle Barney.

– O czym ty mówisz? – Carlos był wyraźnie zdumiony.

– To ty i Ebrima wynaleźliście piec – odparł Barney. – To wasza zasługa, nie moja. Zresztą i tak wyjeżdżam z Antwerpii.

Imke wydała stłumiony okrzyk. Zakochała się w Barneyu i była zdruzgotana tą wiadomością.

– Dokąd? – spytał Carlos.

– Do domu. Od przeszło dwóch lat nie miałem kontaktu z rodziną. Kiedy przyjechaliśmy do Antwerpii, Jan potwierdził to, co już wiedziałem: że po upadku Calais moja matka straciła wszystko. Mój brat Ned nie zajmuje się już rodzinnym interesem… zresztą nie ma już żadnego interesu. W każdym razie Ned jest kimś w rodzaju sekretarza na dworze królowej

Elżbiety. Chcę się z nimi spotkać. Zobaczyć, czy wszystko u nich w porządku.

– Jak dostaniesz się do Kingsbridge?

– Do portu w Antwerpii zawinął *Jastrząb*, statek płynący do Combe. Jego właścicielem jest Dan Cobley, a kapitanem Jonas Bacon.

– Nie stać cię na podróż, nie masz pieniędzy.

– Wczoraj rozmawiałem z pierwszym oficerem, Jonathanem Greenlandem, którego znam od dziecka. Jeden z członków załogi, kowal i cieśla okrętowy, zmarł w trakcie podróży. Zastąpię go w drodze powrotnej.

– Ale z czego będziesz żył w Anglii, skoro twoja rodzina wszystko straciła?

Barney rozciągnął usta w niefrasobliwym uśmiechu, który łamał serca dziewczętom takim jak Imke.

– Nie wiem. Coś wymyślę.

III

Tuż po tym, jak *Jastrząb* wypłynął na otwarte morze, a załoga mogła myśleć o czymś innym niż nawigacja, Barney wypytał Jonathana Greenlanda o Kingsbridge.

Jonathan spędził tam ostatnią zimę i wypłynął kilka tygodni temu, więc znał wszystkie ostatnie wieści. Złożył wizytę matce Barneya, sądził bowiem, że będzie ciekawa, co dzieje się na świecie. Zastał Alice w salonie z widokiem na zachodnią ścianę katedry. Siedziała w otoczeniu starych ksiąg rachunkowych, z których wszystkie były zamknięte. Najwyraźniej brała udział w spotkaniach rady miejskiej, ale nie odzywała się ani słowem. Barney nie wyobrażał sobie, że matka mogłaby nie robić interesów. Odkąd pamiętał, żyła umowami, odsetkami i zyskami; zarabianie na handlu pochłaniało ją bez reszty. Przemiana, jaka się w niej dokonała, była niepokojąca.

Sir Reginald Fitzgerald, który doprowadził Alice do ruiny, nadal był burmistrzem Kingsbridge i, jak twierdził Jonathan, mieszkał w swoim nowym pałacu Priory Gate. Na szczęście biskup Julius stracił swoje stanowisko. Królowa Elżbieta złamała wszystkie obietnice i uczyniła Anglię na powrót protestancką. Zażądała od księży, aby zgodnie z aktem supremacji przysięgli jej posłuszeństwo jako najwyższemu zwierzchnikowi Kościoła Anglii. Odmowa była równoznaczna ze zdradą stanu. Niemal wszyscy niżsi duchowni się zgodzili, ale

większość starych katolickich biskupów odmówiła. Mogli zostać straceni, lecz Elżbieta obiecała, że nie będzie zabijała ludzi za ich przekonania religijne i – jak dotąd – dotrzymywała słowa. Większość biskupów straciła swoje stanowiska. Julius mieszkał z kilkoma byłymi mnichami w domu przylegającym do kościoła Świętego Marka, w północnej części Kingsbridge. W sobotę wieczorem Jonathan widział go w tawernie Pod Dzwonem, jak pijany zapewniał każdego, kto zechciał go wysłuchać, że katolicyzm niebawem powróci do Anglii. Jonathan twierdził, że były biskup przedstawiał sobą smutny widok, ale Barney pomyślał, że podstępny Julius zasługuje na gorszy los.

Jonathan zachwalał Barneyowi uroki życia na morzu. Po wielu latach pływania na statkach dłonie i podeszwy stóp miał stwardniałe, był opalony, umięśniony i zwinny niczym wiewiórka. Pod koniec wojny z Francją załoga *Jastrzębia* przejęła francuski statek. Ludzie podzielili się łupami z kapitanem Baconem i Danem Cobleyem, a Jonathan zarobił dodatkowe sześćdziesiąt funtów. Kupił dom w Kingsbridge dla owdowiałej matki i wrócił na

morze, z nadzieją że kolejny raz dopisze mu szczęście.

– Ale wojna się skończyła – zauważył Barney. – Jeśli przejmiecie francuski statek, dopuścicie się piractwa.

Pierwszy oficer wzruszył ramionami.

– Niedługo wybuchnie kolejna. – Pociągnął za linę, udając, że sprawdza wytrzymałość węzła.

Barney uznał, że woli nie rozmawiać o piractwie. Zmienił więc temat i zapytał o swojego brata.

Ned przyjechał do domu na Boże Narodzenie. W nowej, drogiej czarnej pelerynie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Jonathan wiedział, że pracuje dla sir Williama Cecila, który był sekretarzem stanu, i w Kingsbridge mówiło się, że Ned mimo młodego wieku jest ważną postacią w otoczeniu królowej Elżbiety. Jonathan rozmawiał z nim w katedrze w pierwszy dzień świąt, ale niewiele się dowiedział. Ned niechętnie mówił o tym, czym zajmuje się na dworze, i Jonathan przypuszczał, że należy do sekretnego świata międzynarodowej dyplomacji.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ich zobaczę – wyznał Barney.

– Doskonale cię rozumiem.

– Jeszcze tylko kilka dni.

Pierwszy oficer sprawdził kolejną linę i odwrócił wzrok.

Nikt nie spodziewał się kłopotów w drodze przez kanał z Antwerpii do portu w Combe, lecz Barney czuł, że powinien odpracować swoją podróż i zadbać o uzbrojenie *Jastrzębia*.

Statki kupieckie, jak wszystkie inne, potrzebowały broni. Życie na morzu bywało niebezpieczne. Podczas wojny statki jednej z walczących stron mogły atakować wrogie jednostki, a bogate kraje często znajdowały się w stanie wojny. W czasie pokoju ataki te, nazywane piractwem, były równie powszechne. Każdy statek musiał więc być w stanie się obronić.

Jastrząb miał dwanaście działek pokładowych na czterofuntowe kule. Działka znajdowały się na pokładzie bateryjnym, tuż pod pokładem głównym, i były rozmieszczone po sześć na każdej burcie. Lufy wystawiano przez furty działowe – wycięte w burcie kwadratowe otwory. Konieczność umieszczenia dział na pokładach znacząco wpływała na budowę statków. Na starych jednostkach oznaczała ona poważne osłabienie konstrukcji. Jednakże *Jastrząb* był karawelą, której szkielet zbudowano ze wzmacniających go ciężkich wręg, a belki

kadłuba przymocowano do szkieletu tak, że przypominały skórę naciągniętą na żebra. Ten rodzaj konstrukcji dawał jednostce dodatkową przewagę: podziurawienie kadłuba przez kule armatnie nie musiało się skończyć zatonięciem statku.

Barney wyczyścił i naoliwił działa, upewniając się, że lawety wózkowe działają bez zarzutu. Dokonał też drobnych napraw, używając narzędzi zostawionych przez zmarłego kowala. Sprawdził zapasy amunicji: wszystkie działa miały lufy tej samej wielkości i wystrzeliwały żeliwne kule.

Wiedząc, że najważniejsze jest utrzymanie w dobrym stanie prochu, który pochłaniał wilgoć – zwłaszcza na morzu – upewnił się, że na pokładzie działowym powieszono woreczki z węglem drzewnym, wysuszającym powietrze. Istniało też ryzyko, że składniki prochu – saletra potasowa, węgiel drzewny i siarka – z czasem się oddzielą; cięższa saletra opadnie na dno, przez co proch nie będzie nadawał się do użytku. W wojsku Barney nauczył się, że raz w tygodniu należy odwracać beczki.

Wypróbował nawet działa. Nie chciał tracić amunicji, ale kapitan Bacon pozwolił mu wystrzelić kilka kul. Lufy dział spoczywały na

zaopatrzonych w koła lawetach wózkowych, które można było łatwo podnosić i opuszczać. Przy lufie ustawionej pod kątem czterdziestu pięciu stopni – tak by kule miały jak największy zasięg – działka strzelały na odległość tysiąca sześciuset jardów, czyli prawie na milę. Kąt zmieniano, opuszczając bądź też podnosząc tylną część lufy. Kiedy była ustawiona poziomo, kula wpadała do wody w odległości trzystu jardów. Barney obliczył, że podnosząc lufę o kolejne siedem stopni, zwiększy zasięg kul o dwieście jardów. Uciekając z armii, wziął z sobą żelazny kątomierz z pionem i zakrzywioną skalą. Wsadziwszy go do lufy, był w stanie dokładnie zmierzyć kąt nachylenia działka. Na lądzie działało to bez zarzutu. Na morzu, przy ciągłym kołysaniu się statku, pomiar był mniej dokładny.

Czwartego dnia Barney nie miał nic do roboty i kolejny raz spotkał się na pokładzie z Jonathanem. Płynęli właśnie przez zatokę. Odkąd *Jastrząb* opuścił Westerschelde i znalazł się na kanale La Manche, wybrzeże znajdowało się od strony bakburty. Barney niespecjalnie znał się na nawigacji, pomyślał jednak, że wybrzeże Anglii powinno być z prawej burty.

– Jak myślisz, kiedy dotrzemy do Combe? – spytał, marszcząc brwi.

– Nie wiem. – Jonathan wzruszył ramionami.

Coś nie dawało Barneyowi spokoju.

– Ale płyniemy do portu w Combe, prawda?

– W końcu na pewno tam zawiniemy.

– W końcu? – Barney był coraz bardziej zaniepokojony.

– Kapitan Bacon nie zdradza mi swoich planów. Ani mnie, ani nikomu innemu.

– Ale podejrzewasz, że nie płyniemy do domu.

– Obserwuję linię brzegową.

Barney wytężył wzrok. W głębi zatoki, tuż przy wybrzeżu, widać było niewielką wysepkę, na której szczycie przycupnął kościół niczym ogromnych rozmiarów mewa. Wysepka wydawała się znajoma i Barneya ogarnął niepokój, gdy uświadomił sobie, że już ją widział – dwukrotnie. Była to Mont St Michel, którą mijali w drodze do Sewilli trzy lata temu i dwa lata temu w drodze z Hiszpanii do Niderlandów.

– Płyniemy do Hiszpanii, tak? – zwrócił się do Jonathana.

– Na to wygląda.

– Nic mi nie mówiłeś.

– Bo nie wiedziałem. A poza tym, potrzebujemy kanoniera.

Barney mógł się jedynie domyślać, do czego był im potrzebny. To tłumaczyło, dlaczego Bacon

pozwolił mu płynąć, choć na statku praktycznie nie było dla niego żadnej roboty.

– A więc ty i kapitan podstępem skłoniliście mnie do tego, żebym został członkiem załogi.

Jonathan jeszcze raz wzruszył ramionami.

Barney spojrzał na północ. Gdzieś tam, sześćdziesiąt mil dalej, znajdował się port w Combe. Odwrócił głowę i utkwił wzrok w kościele. Wyspa była oddalona o milę albo dwie, wiedział jednak, że przy falach wysokich na trzy stopy nie da rady dopłynąć do brzegu. To by było samobójstwo.

– Ale z Sewilli popłyniemy do Combe? – spytał po chwili milczenia.

– Może tak – odparł Jonathan. – Może nie.

ROZDZIAŁ 11

I

Podczas gdy Odette, krzycząc, rodziła w bólach, Pierre planował, jak pozbyć się dziecka.

Bóg ukarał ją za rozwiązłość. Zasługiwała na to. A więc jednak na świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, pomyślał Pierre.

Straci dziecko, kiedy tylko przyjdzie na świat.

Kiedy akuszerka zajmowała się w sypialni jego żoną, Pierre siedział na dole ich małego domu, kartkując oprawiony w czarną skórę notes. Na stole przed nim leżały resztki niedojedzonego śniadania: chleb, szynka i świeże rzodkiewki. Pokój z gołymi ścianami, kamienną podłogą, zimnym paleniskiem i małym okienkiem z widokiem na wąską, ciemną ulicę, prezentował się posępnie. Pierre szczerze go nienawidził.

Zwykle wychodził z domu tuż po śniadaniu i szedł do pałacu Gwizjuszów przy Vieille rue du Temple, gdzie podłogi były z marmuru, a ściany zdobiły wspaniałe obrazy. Spędzał tam cały dzień albo udawał się do Luwru, by towarzyszyć kardynałowi Karolowi lub księciu Franciszkowi. Późnym popołudniem brał udział w spotkaniach powiększającej się gwałtownie siatki szpiegów, dzięki którym do notatnika trafiały kolejne nazwiska paryskich protestantów. Rzadko wracał do małego domu w pobliżu Hal przed zmrokiem. Dziś jednak czekał na narodziny dziecka.

Był maj 1560 roku i Pierre Aumande Gwizjusz był żonaty od pięciu miesięcy.

Przez pierwsze tygodnie Odette próbowała pochlebstwami zaciągnąć go do łóżka. Starała się być zalotna, ale nie przychodziło jej to w naturalny sposób, a gdy kręciła swoim wielkim tyłkiem i uśmiechała się, odsłaniając krzywe zęby, budziła w nim odrazę. Później zaczęła sugerować, że Pierre jest impotentem albo że woli mężczyzn. Nic z tego nie było prawdą – Pierre z nostalgią wspominał długie popołudnia w miękkim łożu wdowy Bauchene – mimo to irytowały go te szyderstwa.

Na przełomie srogiej zimy i deszczowej wiosny, w miarę jak brzuch Odette pęczniał,

wzajemna niechęć przerodziła się w nienawiść. Ich rozmowy ograniczały się do wymiany zwięzłych uwag na temat jedzenia, prania, pieniędzy na utrzymanie domu i wiecznie nadąsanej służącej, nastoletniej Nath. Pierre gotował się z wściekłości. Myśli o nienawistnej żonie kładły się cieniem na wszystkim, co robił, a perspektywa życia nie tylko z Odette, ale i z jej bękartem, była nie do zniesienia.

Może bachor urodzi się martwy. Pierre miał taką nadzieję; to wiele by załatwiło.

Odette przestała krzyczeć i chwilę później usłyszał wrzask dziecka. Westchnął; jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Mały bękart wydawał się zadziwiająco zdrowy i żywotny. Zmęczony Pierre przetarł oczy. Nic w życiu nie szło po jego myśli. Zawsze czekało go jakieś rozczarowanie. Czasami zastanawiał się, czy wszystkiemu nie jest winna filozofia życiowa, której hołdował.

Włożył notes do zamykanej skrzyni na dokumenty i schował klucz do kieszeni. Nie mógł trzymać rejestru w pałacu Gwizjuszów, ponieważ nie miał tam własnego pokoju.

Wstał. Już wcześniej wszystko zaplanował.

Wszedł po schodach.

Odette leżała w łóżku z zamkniętymi oczami. Była blada i zlana potem, ale oddech miała równy jak wtedy, gdy spała czy odpoczywała. Służąca Nath zwijała prześcieradło zaplamione krwią i śluzem. Akuszerka trzymała w zgięciu lewego ramienia maleńkie dziecko, prawą ręką obmywając mu główkę i twarz ściereczką, którą zanurzała w misce z wodą.

Dziecko było paskudne: czerwone i pomarszczone, z ciemnymi włosami, a na dodatek wydawało z siebie irytujące odgłosy.

Pierre patrzył, jak akuszerka zawija je w maleńki niebieski kocyk – prezent, który Odette dostała od Véronique.

– To chłopiec – powiedziała.

Pierre nie zwrócił uwagi na płeć dziecka, choć przecież widział je nagie.

– Ma na imię Alain – odezwała się Odette, nie otwierając oczu.

Miał ochotę ją zabić. Nie tylko oczekiwała od niego, że wychowa bękarta, ale chciała, żeby bachor każdego dnia przypominał mu o Alainie Gwizjuszu, rozpieszczonym arystokracie, który był jego prawdziwym ojcem. Zdziwi się.

– Proszę, niech go pan potrzyma. – Położna wcisnęła mu w ręce tłumoczek.

Pierre zauważył, że kocyk, który podarowała Véronique, jest z najprzedniejszej wełny.

– Nie dawaj mu dziecka – jęknęła Odette.

Ale było za późno. Pierre już trzymał je na rękach. Było lekkie jak piórko i przez krótką chwilę doświadczył dziwnego uczucia: ogarnęła go nagła potrzeba, żeby chronić tę maleńką istotę. Szybko jednak zdusił ją w sobie. Nie zmarnuję sobie życia przez byle bachora, pomyślał.

Odette uniosła się na łokciach.

– Oddaj mi dziecko – powiedziała.

Akuszerka wyciągnęła ręce po zawiniątko, ale Pierre nie zamierzał się z nim rozstawać.

– Powiedziałaś, że jak ma na imię? – spytał wyzywająco.

– Nieważne, oddaj mi go. – Odrzuciła pierzynę, jakby zamierzała wstać, lecz jęknęła z bólu i opadła na poduszkę.

– Dziecko powinno ssać pierś – zauważyła akuszerka. Wyglądała na zmartwioną.

Zobaczył, że bachor rozchylił usta, choć łapał nimi jedynie powietrze. Pierre mimo to nie wypuścił go z objęć.

Kiedy akuszerka spróbowała wydrzeć mu zawiniątko, przytrzymał je jedną ręką, a drugą wymierzył kobiecie siarczysty policzek, aż

zatoczyła się i upadła na podłogę. Nath wrzasnęła. Odette usiadła, biała jak płótno. Pierre z dzieckiem na ręce podszedł do drzwi.

– Wracaj! – krzyknęła. – Proszę, Pierre, nie odbieraj mi dziecka!

Opuścił sypialnię, nie odwracając się, i zatrzasnął za sobą drzwi.

Gdy zszedł na dół, dziecko zaczęło kwilić. Był ciepły wiosenny wieczór, ale narzucił pelerynę, żeby ukryć pod nią zawiniątko. Chwilę później wybiegł z domu.

Dziecko najwyraźniej lubiło ruch, bo gdy zaczął iść wolnym krokiem, przestało płakać. Pierre odetchnął z ulgą – irytował go ten dźwięk i, nie wiedzieć czemu, miał wrażenie, że powinien zrobić coś, co uspokoi bękarta.

Ruszył w stronę Île de la Cité. Pozbycie się go nie będzie trudne. W katedrze było pewne miejsce, gdzie zostawiano niechciane dzieci u stóp posągu świętej Anny, matki Marii i patronki wszystkich matek. Zwykle księża kładli podrzutka do kołyski, tak by wszyscy mogli go zobaczyć. Zdarzało się, że jacyś ludzie o gołębich sercach litowali się nad nim i go adoptowali. Jeśli nie, dziecko wychowywały zakonnice.

Pierre poczuł, że malec się poruszył, i kolejny raz stłumił irracjonalną chęć, żeby go pokochać

i otoczyć opieką.

Znacznie trudniej będzie wytłumaczyć zniknięcie bękarta, który przecież był Gwizjuszem; lecz Pierre wymyślił całkiem wiarygodną historyjkę. Kiedy tylko wróci do domu, odprawi akuszerkę i służącą. Powie kardynałowi, że dziecko urodziło się martwe, a Odette była tak zrozpaczona, że nie chciała się z tym pogodzić. Po drodze dodał jeszcze kilka szczegółów: Odette przykładała zwłoki noworodka do piersi, ubrała je w nowe ubranka i włożyła do kołyski, twierdząc, że dziecko śpi.

Karol będzie podejrzliwy, ale historia wydawała się wiarygodna i kardynał nie znajdzie dowodów, że Pierre mówi nieprawdę. Z pewnością uniknie odpowiedzialności. Dwa ostatnie lata uświadomiły mu, że kardynał go nie lubi i że nigdy się do niego nie przekona, ale uważa, że jest zbyt użyteczny, żeby się go pozbyć. Pierre wziął sobie tę naukę do serca: tak długo, jak będzie niezastąpiony, nic mu nie zagrozi.

Na ulicach jak zawsze panował ruch. Pierre minął stertę odpadków: popiołu, rybich ości, ludzkich ekskrementów, końskiego łajna i znoszonych butów. Przyszło mu do głowy, że mógłby położyć na nich dziecko, najpierw jednak musiałby się upewnić, że nikt go nie zauważy.

Jego uwagę przykuł szczur obgryzający kocie truchło i uświadomił sobie, że dziecko spotkałby ten sam los, z tą różnicą, że zostałoby zjedzone żywcem. Nie mógł tego zrobić. Nie był potworem.

Przeszedł przez most Notre Dame i wszedł do katedry, ale kiedy stanął w nawie głównej, kolejny raz opadły go wątpliwości. Jak zwykle w katedrze byli ludzie: księża, wierni, pielgrzymi, uliczni handlarze i prostytutki. Idąc w stronę ołtarza, dotarł do jednej z bocznych kaplic poświęconej świętej Annie. Czy mógł tak po prostu zostawić dziecko u stóp posągu i odejść niepostrzeżenie? Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Dla kobiety bez środków do życia być może nie miało znaczenia, czy ktoś ją zauważy: nikt nie wiedział, kim jest, więc mogła tak po prostu odejść, zanim ktoś zdąży ją wypytać. W przypadku eleganckiego młodzieńca sprawy wyglądały inaczej. Pierre mógł napytać sobie biedy, jeśli dziecko zaczęłoby płakać. Sięgnął pod pelerynę i przycisnął do siebie filigranowe ciałko, z nadzieją że materiał stłumi wszelkie odgłosy i uchroni go przed ciekawskimi spojrzeniami. Uświadomił sobie, że powinien był przyjść późnym wieczorem albo wczesnym rankiem. Ale co w tym czasie zrobiłby z dzieckiem?

Jego uwagę zwróciła szczupła, młoda kobieta w czerwonej sukience. Jej widok podsunął mu pewną myśl. Zapłaci którejś z prostytutek, żeby wzięła dziecko i zaniosła je do kaplicy. Dzięki temu zarówno on, jak i bękart pozostaną anonimowi. Zamierzał podejść do kobiety w czerwonej sukience, kiedy – ku swemu przerażeniu – usłyszał znajomy głos.

– Pierre, mój drogi. Jak się masz?

Był to jego dawny nauczyciel.

– Ojciec Moineau! – Pierre był przerażony. To katastrofa! Jeśli dziecko zacznie płakać, jak wytłumaczy swoją wizytę w katedrze?

Na kwadratowej, rumianej twarzy księdza pojawił się uśmiech.

– Miło cię widzieć. Słyszałem, że jesteś teraz ważną osobistością!

– Można tak powiedzieć – odparł Pierre. – A to oznacza – dodał pospiesznie – że goni mnie czas i muszę księdza pożegnać.

Moineau był oburzony tak oschłym traktowaniem.

– Ależ oczywiście, nie będę cię dłużej zatrzymywać – rzekł szorstko.

Pierre miał ochotę zwierzyć się mu ze swoich kłopotów, lecz przede wszystkim musiał jak najszybciej opuścić katedrę.

– Proszę wybaczyć, ojcze – rzucił. – Wkrótce ojca odwiedzę.

– Jeśli znajdziesz czas – burknął zgryźliwie Moineau.

– Przepraszam. Do zobaczenia!

Duchowny nie odpowiedział i wyraźnie rozdrażniony, obrócił się na pięcie.

Pierre opuścił katedrę zachodnim wyjściem. Czuł niesmak po tym, jak obraził jedynego człowieka, któremu mógł opowiedzieć o tym, co go trapi. Miał panów i służących, ale w jego życiu brakowało przyjaciół; wyjątkiem był Moineau. A teraz zraził go do siebie.

Starając się o tym nie myśleć, przeszedł przez most. Żałował, że nie może tak po prostu wrzucić dziecka do rzeki, lecz ktoś na pewno by go zobaczył. Poza tym ojciec Moineau nie uciszyłby jego sumienia; nie uznałby morderstwa za wolę Bożą. Można przymknąć oko na grzechy popełniane w zbożnym celu, istnieje jednak pewna granica.

Skoro Pierre nie mógł zostawić dziecka w katedrze, będzie musiał oddać je zakonnicom. Znał pewien klasztor, który pełnił funkcję sierocińca; znajdował się w zamożnej, wschodniej dzielnicy miasta, niedaleko pałacu Gwizjuszów. To właśnie tam skierował swoje

kroki. Prawdopodobnie powinien był pójść tam od razu; katedra okazała się złym pomysłem.

Miejsce, do którego się udawał, było znane jako Zakon Świętej Rodziny. Oprócz sierocińca zakonnice prowadziły tam szkołę dla dziewcząt i małych chłopców. Zbliżając się, usłyszał odgłosy dziecięcej zabawy. Podszedł do wysokich, rzeźbionych drzwi i wszedł do chłodnego, cichego pomieszczenia z kamienną podłogą.

Gdy wyciągnął dziecko spod peleryny, oczy miało zamknięte, ale wciąż oddychało. Nagle podniosło do twarzy maleńkie piąstki, jak gdyby próbowało włożyć do ust kciuk.

Po chwili w pomieszczeniu pojawiła się młoda zakonnica. Widząc Pierre'a, zatrzymała się i w milczeniu spojrzała na dziecko.

– Muszę natychmiast porozmawiać z matką przełożoną – powiedział Pierre głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Oczywiście, panie – odparła. Była uprzejma, ale nie wyglądała na przestraszoną; mężczyzna z dzieckiem na ręce z pewnością nie budził lęku. – Mogę spytać, kto chce się z nią zobaczyć?

Był przygotowany na to pytanie.

– Jestem doktor Jean de la Rochelle z College'u Świętej Trójcy przy uniwersytecie.

Zakonnica otworzyła drzwi.

– Proszę być tak miłym i zaczekać.

Wszedł do maleńkiego pokoiku z malowaną drewnianą rzeźbą Marii, Józefa i Dzieciątka Jezus. Jedynym meblem była ława, jednak Pierre nie zamierzał siadać.

Chwilę później pojawiła się leciwa zakonnica.

– Doktor Roche? – zapytała.

– De la Rochelle – poprawił ją. Możliwe, że celowo przekręciła jego nazwisko, żeby poddać go próbie.

– Proszę wybaczyć. Jestem matka Ladoix.

– Matka tego chłopca jest opętana przez diabła – wyjaśnił Pierre głosem drżącym z udawanego przejęcia.

Zakonnica była tak przerażona, jak się spodziewał. Przeżegnała się i szepnęła:

– Niech Bóg ma nas w opiece.

– Nie może go wychowywać. Dziecko niechybnie umrze.

– A rodzina?

– To dziecko z nieprawego łoża.

Matka Ladoix, która powoli dochodziła do siebie, posłała mu sceptyczne spojrzenie.

– A ojciec?

– Zapewniam, że nim nie jestem – rzucił wyniośle.

– Z pewnością. – Zakonnica wyglądała na zakłopotaną.

– Maluch pochodzi z rodziny arystokratycznej. Jestem ich medykiem. Sama siostra rozumie, że w tej sytuacji nie mogę zdradzić nazwiska.

– Tak, oczywiście.

Kiedy dziecko zaczęło płakać, zakonnica niemal odruchowo sięgnęła po zawiniątko i zaczęła kołysać je w ramionach.

– Jest głodny – zauważyła.

– Z pewnością – odparł Pierre.

– Kocyk jest bardzo miękki. Musiał wiele kosztować.

Pierre zrozumiał aluzję i sięgnął po sakiewkę. Nie był przygotowany na taką ewentualność, ale szczęśliwie miał przy sobie pieniądze. Odliczył dziesięć złotych ecu, równowartość dwudziestu pięciu liwrów; wystarczająco dużo, by na kilka lat zapewnić małemu opiekę.

– Rodzina prosiła, bym przekazał siostrze pieniądze, i zapewnia, że co roku będzie przekazywała taką samą sumę tak długo, jak dziecko pozostanie w klasztorze.

Matka Ladoix się zawahała. Najwyraźniej nie wiedziała, ile z tego, co usłyszała, jest prawdą. Jednakże opiekowanie się niechcianymi dziećmi

było jej misją. A dziesięć ecu to naprawdę dużo pieniędzy. W końcu wzięła monety.

– Dziękuję – powiedziała. – Zaopiekujemy się malcem.

– Będę się modlił za niego i za siostrę.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

Do zdziwionego tymi słowami Pierre'a dopiero po chwili dotarło, że chodziło jej o to, by wrócił z pieniędzmi tak, jak obiecał. Naturalnie nie miał takiego zamiaru.

– Oczywiście – zapewnił ją. – Zjawię się tu za rok.

Otworzył drzwi i zakonnica wyszła z pokoju i bez słowa zniknęła w klasztorze.

Pierre oddalił się pospiesznie. Rozpierała go radość, jak gdyby ktoś zdjął mu z serca ogromny ciężar. Pozbył się bękarta. W domu czekała go awantura, ale nie przejmował się tym. Nie było już niczego, co łączyłoby go z odrażającą Odette. Być może jej też się pozbędzie.

Chcąc odsunąć w czasie konfrontację, poszedł do karczmy i zamówił kieliszek sherry. Siedząc przy stole i popijając trunek, rozmyślał o pracy.

Było teraz trudniej, niż kiedy zaczynał. Ulegając podszeptom swojej szkockiej żony Marii Stuart albo jej wujów Gwizjuszów, król

Franciszek II zwiększył liczbę procesów przeciwko protestantom, przez co heretycy stali się ostrożniejsi.

Kilku szpiegów Pierre'a było protestantami, którzy pod groźbą tortur zgodzili się zdradzić swych braci. Heretycy, niestety, mieli się na baczności i byli nieufni nawet wobec współwyznawców. Często znali wyłącznie swoje imiona i nie chcieli zdradzać nazwisk ani adresów. Przypominało to grę, w której każdy ruch Kościoła spotykał się z reakcją ze strony protestantów. Na szczęście Karol był cierpliwy, Pierre nieugięty, a gra, w którą obaj grali, kończyła się śmiercią.

Dopił wino i wrócił do domu.

Ku jego zdumieniu w pokoju gościnnym czekał na niego kardynał Karol w czerwonym jedwabnym dublecie.

Za jego plecami stała akuszerka. Ramiona miała skrzyżowane i wyzywająco zadarła brodę.

– Co zrobiłeś z dzieckiem? – spytał Karol bez zbędnych wstępów.

Pierre miał w głowie istną gonitwę myśli. Odette zareagowała szybciej, niż się tego spodziewał. Popełnił błąd, nie doceniając przedsiębiorczości zrozpaczonej kobiety. Musiała dojść do siebie na tyle, że wysłała Nath

z wiadomością do kardynała; prosząc go o pomoc. Nath miała szczęście, że zastała Karola i że zgodził się do nich przyjść. W rezultacie Pierre napytał sobie biedy.

– Zaniosłem w bezpieczne miejsce – odparł.

– Jeśli zabiłeś dziecko z rodziny Gwizjuszów, przysięgam na Boga, że umrzesz i nie dbam o to, jak dobry jesteś w łapaniu heretyków.

– Dziecko jest całe i zdrowe.

– Gdzie?

Nie było sensu grać na zwłokę.

– W Zakonie Świętej Rodziny.

Czując na sobie triumfujące spojrzenie akuszerki, Pierre poczuł się upokorzony. Żałował, że ją spoliczkował.

– Wróć tam i zabierz go – nakazał kardynał.

Pierre się zawahał.

Nie chciał wracać do klasztoru, ale wiedział, że sprzeciwiając się kardynałowi, wszystko zepsuje.

– I proś Boga, żeby żyło – dodał Karol.

Pierre uświadomił sobie, że gdyby umarło z przyczyn naturalnych – dzieci często umierały w pierwszych godzinach swojego życia – zostałby oskarżony i stracony za morderstwo.

Odwrócił się i podszedł do drzwi.

– Zaczekaj. – Głos kardynała zatrzymał go w miejscu. – Posłuchaj mnie. Będziesz żył z Odette i do końca życia opiekował się nią i dzieckiem. Taka jest moja wola.

Pierre milczał. Nikt nie śmiał przeciwstawić się woli Karola, nawet król.

– Jeszcze jedno. Chłopiec ma na imię Alain – dodał kardynał.

Pierre w milczeniu skinął głową i wyszedł z domu.

II

Przez pół roku życie Sylvie układało się pomyślnie.

Dzięki dochodom ze sprzedaży ksiąg wynajęły z matką mały domek z dwoma sypialniami przy rue de la Serpente, jednej z uliczek w dzielnicy uniwersyteckiej, na południe od rzeki, i w pokoju od frontu otworzyły sklep. Sprzedawały papier, atrament i inne przybory do pisania wykładowcom, studentom i piśmiennym mieszkańcom Paryża. Sylvie kupowała papier w Saint-Marcel, południowej dzielnicy leżącej poza murami miasta, gdzie producenci czerpali wodę z rzeki Bièvre. Sama produkowała

atrament, wykorzystując galasówki, brodawkowate narośle, które zdejmowała z kory drzew. Tę recepturę przekazał jej ojciec. Nauczył ją też przyrządzania tuszu drukarskiego, do którego dodawano oleju, żeby był gęstszy; Sylvie wiedziała też, jak przygotować bardziej rozcieńczony tusz, nadający się do pisania. Sklep przynosił niewielkie profity, ale stanowił przykrywkę dla innego, znacznie ważniejszego interesu.

Isabelle odzyskała chęć życia, lecz się postarzała. Dramatyczne wydarzenia, których obie były świadkami, osłabiły matkę, natomiast córce dodały sił.

Sylvie prowadziła niebezpieczne życie heretyczki i przestępczyni, ale – o dziwo – była szczęśliwa. Doszła do wniosku, że jest tak dlatego, że po raz pierwszy żaden mężczyzna nie mówił jej, co ma robić. Otworzyła sklep, wróciła na łono protestanckiej wspólnoty i nadal sprzedawała zakazane księgi. O wszystkim rozmawiała z matką, decyzje podejmowała jednak sama. Była szczęśliwa, ponieważ czuła się wolna.

Pragnęła mężczyzny, z którym mogłaby dzielić łoże, ale nie za cenę wolności. Większość mężczyzn traktowała swoje żony jak dzieci, z tą

różnicą, że kobiety mogły ciężej pracować. Być może gdzieś na świecie byli tacy, którzy nie traktowali żon jak swoją własność, lecz Sylvie jeszcze takiego nie spotkała.

Stworzyła dla siebie i matki nowe nazwiska, tak by władze nie kojarzyły ich ze straconym heretykiem, Giles'em Palotem. Teraz nazywały się Thérèse i Jacqueline St Quentin. Protestanci rozumieli i zaakceptowali ich decyzję, a wśród ich przyjaciół nie było katolików.

Ich fałszywe nazwiska wywiodły w pole mężczyznę z rady miasta, który pojawił się w sklepie tuż po jego otwarciu. Rozglądał się zaciekawiony i zadawał mnóstwo pytań. Sylvie pomyślała, że mógł być nawet jednym z informatorów Pierre'a Aumande'a. W sklepach z artykułami papierniczymi często szukano zakazanych ksiąg. Nie znalazłszy niczego poza notesami i księgami rachunkowymi, mężczyzna odszedł zadowolony.

Zakazane książki leżały ukryte w składzie przy rue du Mur i Sylvie chodziła po nie tylko wtedy, gdy pojawił się klient, nigdy więc nie znajdowały się w domu dłużej niż kilka godzin.

W pewien niedzielny poranek 1560 roku poszła do magazynu po francuskojęzyczną Biblię

genewską i odkryła, że w pudełku został tylko jeden egzemplarz.

W pozostałych pudłach znajdowały się mało znane teksty, takie jak dzieła Erazma, które sprzedawała niezwykle rzadko księżom o liberalnych poglądach albo ciekawskim studentom. Domyślała się, że na te księgi po prostu nie ma popytu. Oprócz Biblii jedyną książką, która sprzedawała się w miarę dobrze, był traktat Jana Kalwina *Ustanowienie religii chrześcijańskiej*. Egzemplarze Biblii, które ojciec dodrukowywał we wrześniu, kiedy ludzie Gwizjuszów wdarli się do ich domu, i które przesądziły o jego losie, zostały spalone.

Zastanawiając się nad przyszłością, Sylvie obiecała sobie, że już nigdy nie dopuści do sytuacji, w jakiej znalazły się z matką zimą, kiedy obie były bliskie śmierci głodowej.

W drodze do domu przechodziła koło Hal, w pobliżu których mieszkał Pierre. Choć nienawidziła go z całego serca, starała się mieć go na oku. Jego pan, kardynał Karol Gwizjusz, odpowiadał za decyzję króla, który postanowił rozprawić się z paryskimi protestantami. Podejrzewała, że Pierre nadal gromadzi informacje. Sam nie mógł być szpiegiem – zbyt wiele osób wiedziało już, kim jest –

prawdopodobnie jednak stał na czele siatki szpiegowskiej.

Dyskretnie obserwowała jego dom i rozmawiała z ludźmi w pobliskiej karczmie Saint-Étienne. Przychodzili tam członkowie straży domu Gwizjuszów i czasami udawało jej się usłyszeć, co knują kardynał i jego brat. Dowiedziała się też, że Pierre ożenił się ponownie, wkrótce po tym, jak unieważniono ich małżeństwo. Miał teraz żonę Odette, synka Alaina i pokojówkę imieniem Nath. W karczmie plotkowano, że Odette i Nath nienawidzą Pierre'a. Sylvie nie rozmawiała z żadną z tych kobiet, ale na ulicy pozdrawiały się skinieniem głowy i miała nadzieję, że pewnego dnia zdradzą jej swe sekrety. Tymczasem na dworze obserwowała go młoda markiza Nîmes, która baczyła na to, z kim rozmawia Pierre. Do tej pory rozpoznała jedynie Gastona Le Pina, kapitana straży Gwizjuszów, który – jak wszyscy wiedzieli – odgrywał istotną rolę w siatce szpiegowskiej.

Kiedy wróciła do domu, powiedziała matce, że skończyły im się Biblie.

– Mogłybyśmy przestać sprzedawać Biblię i zająć się prowadzeniem sklepu – odparła Isabelle.

– Sklep nie przynosi wystarczających dochodów. A poza tym nie chcę do końca życia sprzedawać papieru i atramentu. Mamy misję: musimy sprawić, żeby ludzie mogli sami czytać słowo Boże i odnaleźli drogę do prawdziwej ewangelii. Chcę to robić dalej.

– Grzeczna dziewczynka. – Matka się uśmiechnęła.

– Tylko skąd wezmę książki? Nie możemy ich drukować. Maszyny ojca należą teraz do kogoś innego.

– W Paryżu muszą być jacyś protestanccy drukarze.

– Są… widziałam ich książki w domach klientów. Zyski ze sprzedaży wystarczą na zakup kolejnego towaru. Sęk w tym, że nie wiem, jak dotrzeć do drukarzy, którzy, ze zrozumiałych względów, pozostają w ukryciu. Zresztą sami mogą sprzedawać książki, więc nie potrzebują pośredniczki.

– Jest tylko jedno miejsce, w którym można kupić dużo protestanckich ksiąg. To Genewa. – Isabelle powiedziała to tak, jakby to miasto znajdowało się na drugim końcu świata.

– Jak daleko jest z Paryża do Genewy? – Sylvie nie zamierzała dać za wygraną.

– Nie możesz tam pojechać! To długa i niebezpieczna podróż. Poza tym nigdy nie opuszczałaś Paryża.

Córka udawała mniej zniechęconą, niż była w rzeczywistości.

– Inni to robią. Pamiętasz Guillaume'a?

– Oczywiście, że go pamiętam. Powinnaś była za niego wyjść.

– W ogóle nie powinnam była wychodzić za mąż. W jaki sposób ludzie dostają się z Paryża do Genewy?

– Nie mam pojęcia.

– Może Luc Mauriac będzie wiedział. – Sylvie dobrze znała Mauriaców.

Isabelle pokiwała głową.

– Jest maklerem frachtującym.

– Nigdy nie wiedziałam, czym właściwie zajmują się maklerzy frachtujący.

– Wyobraź sobie, że kapitan wraca z Bordeaux i płynie Sekwaną do Paryża z ładunkiem wina. Następnie wraca do Bordeaux z transportem tkanin, ale pół ładowni ma puste. Nie chce czekać i na gwałt potrzebuje jakiegoś ładunku. Idzie więc do Luca, który zna każdego kupca w Paryżu i każdy port w Europie, więc znajduje kapitanowi ładunek węgla, skór albo

modnych kapeluszy przeznaczonych dla kogoś w Bordeaux.

– A więc Luc wie, jak dotrzeć do Genewy.

– Powie ci, że nie jest to podróż dla młodej dziewczyny.

– Dni, kiedy mężczyźni mówili mi, co mam robić, dawno minęły.

Isabelle spojrzała na córkę i, ku zaskoczeniu Sylvie, do oczu napłynęły jej łzy.

– Jesteś taka odważna – powiedziała. – Nie mogę uwierzyć, że to ja cię urodziłam.

– Ale przecież jestem taka jak ty – wydusiła Sylvie, wzruszona jej słowami.

Matka pokręciła głową.

– Jesteśmy jak katedra i kościół parafialny.

Sylvie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Rodzic nie powinien podziwiać swojego dziecka; to dziecko powinno patrzeć na niego z podziwem. Po chwili niezręcznej ciszy, rzuciła tylko:

– Czas iść na mszę.

Wierni, którzy spotykali się w chatce łowieckiej, znaleźli nowe miejsce, które czasami nazywali swoją świątynią. Sylvie i Isabelle weszły na plac, gdzie można było wynająć konie i powozy. Miały na sobie bure ubrania, bo idąc do kościoła, chciały wyglądać skromnie. Była

niedziela, tak więc prowadzony przez protestanta interes był zamknięty, jednak drzwi pozostały otwarte. Weszły do stajni – dużego budynku z kamienia. Krzepki, młody stajenny właśnie czesał końską grzywę. Spojrzał na nie, gotów zareagować, jeśli zajdzie taka konieczność, ale rozpoznawszy znajome twarze, odsunął się na bok.

Za drzwiami na końcu stajni znajdowały się ukryte schody prowadzące na przestronne poddasze. To tam gromadzili się wierni. Jak we wszystkich pomieszczeniach, w których protestanci odprawiali msze, także i tu brakowało obrazów i figur świętych – stały jedynie krzesła i ławki. Dodatkowym atutem było to, że strych nie miał okien, a na zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Sylvie stała na ulicy, podczas gdy wierni śpiewali, i nie słyszała niczego poza odległymi dźwiękami muzyki, które mogły dochodzić z jednego z okolicznych budynków kościelnych: kościoła parafialnego, klasztoru albo college'u.

Wszyscy tu znali Sylvie. Była ważnym członkiem wspólnoty, ponieważ sprzedawała księgi. A poza tym często zabierała głos w trakcie dyskusji i otwarcie wyrażała swoje zdanie, zwłaszcza na budzący silne emocje temat

tolerancji. Jej poglądy, podobnie jak dźwięczny głos, nie mogły pozostać niezauważone. Nigdy nie będzie członkiem starszyzny, gdyż rola ta była zarezerwowana dla mężczyzn, mimo to traktowano ją jak jednego z przywódców.

Isabelle z córką usiadły w pierwszym rzędzie. Sylvie uwielbiała msze protestanckie, choć – w przeciwieństwie do swych współwyznawców – nie gardziła katolickimi. Rozumiała, że dla wielu ludzi zapach kadzidła, łacińskie słowa i chóralne śpiewy są częścią duchowego doświadczenia. Sama jednak wolała prosty język, logiczne przekonania i pieśni, które mogła śpiewać razem z innymi.

Dziś jednak z niecierpliwością czekała, aż msza dobiegnie końca. Wśród wiernych dostrzegła Luca Mauriaca z rodziną i pragnęła z nim porozmawiać.

Nie zapomniała też o interesach. Kiedy wybrzmiało „Amen”, wręczyła ostatni egzemplarz Biblii Françoise Duboeuf, młodej żonie krawca, i schowała do kieszeni pięć liwrów.

Chwilę później podeszła do niej Louise, markiza Nîmes.

– Dwór przenosi się do Orleanu – powiedziała.

Nie było w tym nic dziwnego. Król i jego świta od czasu do czasu podróżowali po kraju.

– Może więc paryscy protestanci będą mieli chwilę wytchnienia – odparła z nadzieją Sylvie. – Co się dzieje w Orleanie?

– Król zwołał tam spotkanie Stanów Generalnych. – Było to tradycyjne zgromadzenie narodowe. – Pojadą z nim kardynał Karol i Pierre Aumande.

Sylvie ściągnęła brwi.

– Ciekawe, co tym razem knują.

– Cokolwiek to jest, z pewnością będzie wymierzone przeciwko nam.

– Boże, miej nas w opiece.

– Amen.

Zakończywszy rozmowę z markizą, Sylvie odnalazła Luca.

– Muszę się udać do Genewy – oświadczyła.

Luc był niskim człowieczkiem o radosnym usposobieniu, teraz jednak skrzywił się z dezaprobatą.

– Mogę zapytać po co, Sylvie? A może powinienem zwracać się do ciebie Thérèse?

– Sprzedałam już wszystkie Biblie i muszę kupić kolejne.

– Niech cię Bóg błogosławi. Podziwiam twoją odwagę.

Drugi raz tego dnia usłyszała słowa podziwu, których się nie spodziewała. Nie była odważna, bała się.

– Robię, co muszę – odparła.

– Ale nie możesz jechać do Genewy – rzucił Luc. – Nie ma bezpiecznej drogi, a ty jesteś młodą kobietą i nie stać cię na eskortę uzbrojonych ludzi, którzy ochronią cię przed bandytami, złodziejskimi karczmarzami i jurnymi wieśniakami z drewnianymi łopatami.

Na wzmiankę o jurnych wieśniakach Sylvie się skrzywiła. Dlaczego mężczyźni tak często mówili o gwałcie, jakby to był powód do żartów? Postanowiła jednak o tym nie myśleć.

– Oświeć mnie, proszę, i powiedz, jak najlepiej dotrzeć do Genewy.

– Najszybciej dotrzesz tam, płynąc jakieś sześćdziesiąt mil w górę Sekwany, aż do Montereau. Pozostałe dwieście pięćdziesiąt mil to głównie droga lądowa, łatwa do przebycia, jeśli nie masz ładunku. Jeżeli nie będziesz miała większych opóźnień, potrwa dwa, trzy tygodnie… tyle że zawsze zdarzają się jakieś opóźnienia. Naturalnie matka pojedzie z tobą.

– Nie. Musi zostać w Paryżu i zajmować się sklepem.

– Naprawdę, Sylvie, sama nie dasz rady.

– Wygląda na to, że będę musiała.

– W takim razie na każdym etapie drogi musisz przyłączyć się do grupy podróżnych. Najlepiej do jakiejś rodziny. Rodziny są najbezpieczniejsze. Unikaj grup, w których są sami mężczyźni.

– Oczywiście. – Wszystko to było dla Sylvie zupełnie nowe, a perspektywa podróży do Genewy przerażała ją. Czuła się jak głupia gąska, która nie wie, o czym mówi. – Mimo wszystko i tak chcę to zrobić – zapewniła stanowczo, choć wcale nie była taka pewna.

– Co powiesz ludziom?

– Nie rozumiem…

– Będziesz podróżować w towarzystwie. Podróżni dużo rozmawiają. Będą zadawać pytania. Chyba nie powiesz, że jesteś w drodze do Genewy, bo chcesz kupić tam zakazane księgi. Szczerze mówiąc, najlepiej będzie, jeśli w ogóle się nie przyznasz, że zmierzasz do Genewy, bo przecież wszyscy wiedzą, że to stolica heretyków. Musisz wymyślić jakąś historyjkę.

Sylvie była zaskoczona.

– Dobrze, coś wymyślę.

Luc spojrzała na nią w zamyśleniu.

– Możesz powiedzieć, że udajesz się na pielgrzymkę.

– Dokąd?

– Do Vézelay. To w połowie drogi do Genewy. W tamtejszym opactwie znajdują się relikwie Marii Magdaleny. Kobiety często się tam udają.

– Wspaniale.

– Kiedy chcesz wyruszyć?

– Wkrótce. – Nie chciała marnować czasu, zamartwiając się podróżą. – W tym tygodniu.

– Znajdę godnego zaufania kapitana, który zabierze cię do Montereau. Przynajmniej tam dotrzesz bezpiecznie. Potem musisz mieć się na baczności.

– Dziękuję. – Sylvie pomyślała, że po tym, jak go wypytała, powinna powiedzieć coś miłego. – Co u Georges'a? Nie widziałam go od jakiegoś czasu.

– Dziękuję, dobrze. Otwiera w Rouen filię naszego interesu.

– Zawsze był bystry.

Luc uśmiechnął się cierpko.

– Kocham swojego syna, ale nigdy nie był dla ciebie odpowiednią partią.

Była to wstydliwa prawda, więc Sylvie pozostawiła jego słowa bez komentarza.

– Dziękuję za pomoc – rzekła po chwili. – Jeśli mogę, zajrzę jutro do waszego kantoru.

– Przyjdź we wtorek rano. Do tej pory znajdę jakiegoś kapitana.

Odciągnęła matkę od grupy kobiet. Chciała jak najszybciej wrócić do domu i zacząć przygotowania do podróży.

W drodze powrotnej przy rue de la Serpente znalazła tani sklep tekstylny i kupiła kawałek zgrzebnego szarego materiału, brzydkiego, ale mocnego.

– Kiedy wrócimy do domu, uszyjesz mi habit – zwróciła się do matki.

– Oczywiście, choć kiepska ze mnie krawcowa.

– To nic. Im prostszy, tym lepszy. Ważne tylko, żeby się nie rozpadł.

– Dobrze.

– Ale najpierw będziesz musiała obciąć mi włosy. Nie mogą być dłuższe niż na cal.

– Będziesz wyglądała okropnie.

– I o to chodzi – odparła Sylvie. – Tego właśnie chcę.

III

W Orleanie Pierre planował morderstwo, choć to nie on miał trzymać nóż.

Kardynał Karol specjalnie po to zabrał go z sobą. Nadal był zły na Pierre'a za to, że próbował się pozbyć dziecka Odette, ale Pierre domyślał się, że wciąż jest użyteczny.

Gdyby nie to, odmówiłby udziału w czymś tak okrutnym. Nigdy nie popełnił tak strasznego grzechu, choć musiał przyznać, że był niebezpiecznie blisko: odczuwał silną pokusę, by zamordować małego Alaina, ale nie sądził, by uszło mu to na sucho. Odpowiadał za śmierć wielu ludzi, w tym Giles'a Palota, ale wszystko to były egzekucje w majestacie prawa. Tym razem miał przekroczyć pewną granicę.

Musiał jednak odzyskać zaufanie Karola, dlatego zamierzał to zrobić. Miał też nadzieję, że ojciec Moineau przyzna, że taka była wola Boża. Jeśli nie, Pierre będzie potępiony.

Ofiarą miał być Antoni Burbon, król Nawarry, a zabójstwo było kluczowym elementem przewrotu, który unieszkodliwi dwóch kolejnych wrogów Gwizjuszów: młodszego brata Antoniego, księcia Ludwika Kondeusza, i największego sprzymierzeńca Burbonów – Gasparda de Coligny, admirała Francji i najbardziej energicznego członka rodziny Montmorencych.

Ci trzej, w obawie przed takimi knowaniami, niezwykle rzadko pokazywali się razem. Teraz zostali zwabieni do Orleanu obietnicą debaty o wolności wyznania, która miała się odbyć na zgromadzeniu Stanów Generalnych. Jako przywódcy frakcji liberalnej nie mogli nie wziąć udziału w tak doniosłym wydarzeniu. Musieli podjąć ryzyko.

Orlean znajdował się na północnym brzegu Loary, dwieście mil od morza, ale ruch na rzece był tu duży, głównie za sprawą łodzi płaskodennych ze składanymi masztami, które z łatwością poruszały się po płytkich wodach i przepływały pod mostami. W sercu miasta, naprzeciw katedry, znajdował się nowo wybudowany Château Groslot, którego dumny właściciel Jacques Groslot został wyrzucony ze swego domostwa, by zrobić miejsce dla króla i jego świty.

Cóż za piękna budowla, pomyślał Pierre, kiedy o świcie w dniu planowanego morderstwa zbliżali się do pałacu. Czerwone cegły mieszały się z czarnymi, tworząc wzory rombowe wokół wysokich okien. Do głównego wejścia prowadziły bliźniacze schody. Było to sprytne rozwiązanie, które zachwycało swoją nowoczesnością.

W Château Groslot nie było miejsca dla takich jak Pierre Aumande Gwizjusz, który mimo nowego nazwiska miał zamieszkać w kwaterach dla służby. Przysiągł sobie jednak, że pewnego dnia sam będzie właścicielem takiego pałacu.

Towarzyszył mu Charles de Louviers, zabójca.

Pierre czuł się dziwnie w jego towarzystwie. Louviers miał eleganckie stroje i dworskie maniery, ale w jego postawie i spojrzeniu było coś bandyckiego. W Paryżu było wielu zabójców i Pierre kilka razy był świadkiem, jak wieszano ich na placu de Grève. Ale Louviers był inny. „De” przed nazwiskiem sugerowało, że wywodził się ze szlachty, nie miał jednak oporów, żeby zabijać równych sobie. Wydawało się to dziwne, ale wszyscy byli zgodni, że książę krwi, taki jak Antoni, nie może zginąć z ręki pospolitego rzezimieszka.

Wnętrze pałacu zachwycało przepychem. Boazeria lśniła czystością, żywe kolory gobelinów nie miały czasu wyblaknąć, a ciężkie żyrandole były w idealnym stanie. Ściany i kasetonowe sufity pachniały świeżą farbą. Monsieur Groslot był miejscowym politykiem i przedsiębiorcą i chciał pokazać światu, jak wspaniale mu się wiedzie.

Pierre zaprowadził Louviersa do komnat królowej, a gdy dotarli na miejsce, nakazał służącej poinformować Alison McKay o swoim przybyciu.

Alison stała się niezwykle wytworna, odkąd jej najlepsza przyjaciółka Maria Stuart została królową Francji. Pierre obserwował je, jak ubrane w niezwykle kosztowne suknie i obwieszone klejnotami, pozdrawiały skinieniem głowy lub protekcjonalnym uśmiechem gnących się w ukłonach arystokratów. Widząc to, pomyślał o tym, jak szybko ludzie przyzwyczajają się do życia w luksusie i jak pławią się w powszechnym szacunku. Sam pragnął być obiektem takiej czci i zachwytów.

Wezwanie Alison o tak wczesnej porze było zuchwałością, ale Pierre zdążył poznać ją lepiej, odkąd tamtego pamiętnego dnia przeszło rok temu przyniósł Marii wieści o nieuchronnej śmierci króla Henryka II. Przyszłość Alison, podobnie jak jego własna, związana była z rodem Gwizjuszów. Dziewczyna wiedziała, że Pierre nie zamierza marnować jej czasu.

Kilka minut później służąca zaprowadziła go do malutkiego pokoju. Alison siedziała przy okrągłym stole. Widać było, że ubierała się

w pośpiechu; na koszulę nocną narzuciła zdobioną wytłaczanym wzorem pelerynę. Z uczesanymi byle jak włosami i niebieskimi oczami, których powieki były jeszcze ciężkie od snu, wyglądała niemal uroczo.

– Jak się miewa król Franciszek? – zapytał Pierre.

– Nie najlepiej – odparła. – Ale król nigdy nie czuje się dobrze. Jak wiesz, w dzieciństwie przechodził ospę wietrzną, co zahamowało jego wzrost i sprawiło, że jest chorowity.

– A królowa Maria? Domyślam się, że wciąż opłakuje matkę. – Matka Marii Stuart, Maria Gwizjusz, zmarła w czerwcu w Edynburgu.

– Na tyle, na ile można opłakiwać matkę, której się prawie nie znało.

– Ufam, że królowa nie zamierza wracać do Szkocji. – Myśl ta nie dawała spokoju Pierre'owi i braciom Gwizjuszom. Gdyby Maria Stuart nagle zdecydowała, że pragnie rządzić Szkocją, trudno byłoby ją powstrzymać – była przecież królową Szkotów.

Alison nie odpowiedziała od razu; trzymała go w niepewności.

– Szkoci potrzebują rządów twardej ręki – rzekła po chwili.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał Pierre, ale nie mógł się z nią nie zgodzić. Zdominowany przez protestantów parlament właśnie przyjął projekt ustawy, na mocy której uczestnictwo w mszy katolickiej było przestępstwem.

– Ale Maria ma przede wszystkim obowiązki tu, we Francji – odparł Pierre.

Na szczęście w tej kwestii Alison była zgodna.

– Musi zostać z Franciszkiem do czasu, gdy urodzi mu syna, a najlepiej dwóch. Rozumie, że zabezpieczenie sukcesji we Francji jest ważniejsze niż zaprowadzenie pokoju wśród buntowniczych Szkotów.

– Poza tym – dodał z uśmiechem Pierre – po co królowa Francji miałaby zamienić swój tron na ten w Szkocji?

– W rzeczy samej. Prawie nie pamiętamy Szkocji; kiedy wyjeżdżałyśmy, Maria miała pięć, a ja osiem lat. Żadna z nas nie mówi w szkockim dialekcie. Ale przecież nie wyciągnąłeś mnie z łóżka o tak wczesnej porze, żeby rozmawiać o Szkocji.

Pierre uświadomił sobie, że do tej pory unikał tematu. Nie bój się, upomniał się w duchu. Nazywasz się Pierre Aumande Gwizjusz.

– Wszystko gotowe – zwrócił się do Alison. – Nasi trzej wrogowie przybyli do miasta.

Dziewczyna wiedziała, o kim mówi.

– Musimy zatem działać szybko?

– Już to robimy. Ludwik Burbon siedzi w areszcie oskarżony o zdradę stanu, za którą grozi kara śmierci. – Prawdopodobnie był winny zarzucanych mu czynów, choć, zdaniem Pierre'a, nie miało to znaczenia. – Kwatery Gasparda de Coligny zostały otoczone przez zbrojnych, którzy podążają za nim krok w krok. Jest traktowany jak więzień. – Gaston Le Pin wykorzystał w tym celu straż Gwizjuszów, prywatną armię liczącą kilkuset zbrojnych. – Antoni Burbon dziś rano został wezwany przed oblicze króla Franciszka. – Pierre wskazał dłonią Louviersa. – A ten oto Charles de Louviers jest człowiekiem, który go zamorduje.

Alison nawet nie drgnęła. Pierre był pod wrażeniem jej opanowania.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała tylko.

Tym razem odezwał się Louviers. Mówił głośno i wyraźnie z akcentem, który świadczył o jego szlacheckich korzeniach.

– Król musi dać mi sygnał, bym wiedział, kiedy zaatakować.

– Po co? – spytała Alison.

– Ponieważ książę krwi może zostać zamordowany wyłącznie za przyzwoleniem

monarchy.

Chodziło o to, by wszyscy zgromadzeni na sali wiedzieli, że za zamachem stoi sam Franciszek. W przeciwnym razie król mógłby się wyprzeć swojego udziału w spisku, zapewnić zgromadzonych, że jest niewinny, i kazać ściąć Louviersa, Pierre'a, kardynała Karola i każdego, kto brał udział w knowaniach.

– Oczywiście – odparła Alison, która, jak zwykle, pojęła wszystko w lot.

– Louviers musi porozmawiać z królem na osobności, żeby mogli ustalić sygnał. Kardynał Karol rozmawiał już o tym z Jego Wysokością – wyjaśnił Pierre.

– Dobrze. – Alison wstała. – Proszę za mną, monsieur de Louviers.

Zabójca podszedł za nią do drzwi.

W pewnym momencie się odwróciła.

– Ma pan broń? – spytała.

W odpowiedzi sięgnął pod pelerynę, odsłaniając długi na stopę sztylet przytroczony do pasa.

– Lepiej będzie, jeśli odda go pan monsieur Aumande'owi.

Louviers odpiął pas, położył go na stole i chwilę później razem z Alison zniknął za drzwiami.

Pierre podszedł do okna i spojrzał na strzeliste, ostre łuki zachodniej części katedry. Był zdenerwowany i miał wyrzuty sumienia. Robię to dla Kościoła, powtarzał sobie w duchu, dla Boga, którego domem jest ta katedra, i w imię starej – prawdziwej – wiary.

Odetchnął z ulgą, gdy Alison wróciła. Stanęła obok, muskając ramieniem jego ramię, i spojrzała w tym samym kierunku co on.

– To tu modliła się Joanna d'Arc podczas oblężenia Orleanu – powiedziała. – Ocaliła miasto od barbarzyńskiej angielskiej armii.

– Niektórzy mówią, że ocaliła Francję – odezwał się Pierre. – My dziś próbujemy zrobić to samo.

– Tak.

– Czy Louviers spotkał się z królem Franciszkiem?

– Owszem. Rozmawiają.

Pierre poweselał.

– Raz na zawsze pozbędziemy się zagrożenia ze strony Burbonów. Myślałem, że nie dożyję tej chwili. Wszyscy nasi wrogowie zostaną zgładzeni. – Alison nie odpowiedziała, więc spytał: – Nie zgadzasz się, mademoiselle?

– Uważaj na królową matkę – ostrzegła go.

– Dlaczego tak mówisz?

– Znam ją. Lubi mnie. Kiedy byliśmy dziećmi, to ja opiekowałam się Franciszkiem i Marią… zwłaszcza nim, taki był chorowity. Królowa Katarzyna zawsze była mi za to wdzięczna.

– I…?

– Rozmawia ze mną. Uważa, że to, co robimy, jest złe. – Pierre wiedział, że mówiąc w liczbie mnogiej, ma na myśli Gwizjuszów.

– Złe? – zapytał. – Jak to?

– Królowa wierzy, że paląc ludzi na stosach, nigdy nie wyplenimy protestantyzmu. I że tworzymy w ten sposób kolejnych męczenników. Uważa, że zamiast tego powinniśmy starać się zlikwidować powód, dla którego protestanci chcą reformować Kościół katolicki.

Miała rację, mówiąc o męczennikach. Za życia nikt nie lubił apodyktycznego Giles'a Palota, ale teraz – jak donosili szpiedzy Pierre'a – traktowano go niemal jak świętego. Jednakże reformacja Kościoła, choć stanowiła idealne rozwiązanie, była praktycznie niewykonalna.

– Mówisz, mademoiselle, o odebraniu bogactwa i przywilejów takim ludziom jak kardynał Karol. To się nigdy nie stanie, ponieważ są zbyt wpływowi.

– Katarzyna uważa, że jest to problem.

– Ludzie zawsze szukają winy w Kościele. Trzeba nauczyć ich, że nie mają prawa go krytykować.

Alison wzruszyła ramionami.

– Nie mówię, że królowa Katarzyna ma rację. Po prostu uważam, że powinniśmy być czujni.

Pierre skrzywił się z powątpiewaniem.

– Tak, gdyby miała jakąkolwiek władzę. Ale skoro król ożenił się z siostrzenicą Gwizjuszów, to my sprawujemy kontrolę w państwie. Nie sądzę, żebyśmy musieli obawiać się królowej matki.

– Nie lekceważ jej tylko dlatego, że jest kobietą. Wspomnij Joannę d'Arc.

Pierre był zdania, że Alison się myli, ale uśmiechnął się czarująco i odparł:

– Nigdy nie lekceważę kobiet.

Odwróciła się, a jej pierś musnęła pierś Pierre'a. Życie nauczyło go, że kobiety nigdy nie robią takich rzeczy przypadkiem.

– Ty i ja jesteśmy podobni – stwierdziła. – Poświęciliśmy życie w służbie bardzo potężnych ludzi. Doradzamy najważniejszym osobom w państwie. Powinniśmy zawsze współpracować.

– Podoba mi się ten pomysł. – Alison mówiła o sojuszu politycznym, jednak w jej słowach

kryło się przesłanie. Ton jej głosu i spojrzenie zdradzały, że Pierre ją pociąga.

Od roku nie myślał o romansie. Rozczarowanie z powodu Véronique i odraza, jaką czuł do Odette, nie pozostawiły w jego sercu miejsca na uczucia dla innych kobiet.

Przez chwilę nie wiedział, jak odpowiedzieć. I nagle dotarło do niego, że mówiąc o współpracy, Alison nie próbowała ukryć zainteresowania jego osobą. Wręcz przeciwnie: flirtowała z nim, żeby nakłonić go do wspólnych działań. Zwykle to Pierre udawał zakochanego, żeby nagiąć kobiety do swej woli. Uśmiechnął się, co jeszcze bardziej ją zachęciło. Alison odchyliła głowę tak, że niemal stykali się twarzami. Było to zaproszenie, którego nie dało się pomylić z niczym innym.

A jednak Pierre się zawahał. Co na tym zyska? Odpowiedź była oczywista: kontrolę nad królową Francji. Jeśli najlepsza przyjaciółka Marii Stuart zostanie jego kochanką, on, Pierre Aumande Gwizjusz, stanie się potężniejszy niż książę Franciszek i kardynał Karol.

Nachylił się i pocałował ją. Wargi miała miękkie i uległe. Położyła mu rękę na karku, przyciągnęła go do siebie i zapraszająco

rozchyliła usta. Zaraz potem odsunęła się od niego.

– Nie teraz – szepnęła. – Nie tu.

Próbował zrozumieć, co to wszystko znaczy. Czyżby chciała zaciągnąć go do łóżka. Gdzie indziej? Później? Dziewczyna pokroju Alison nie mogła poświęcić swojego dziewictwa. Gdyby wieść o tym się rozeszła – jak często bywało na dworze – na zawsze zaprzepaściłaby szanse na korzystne małżeństwo.

Dwórka królowej mogła jednak pozwolić sobie na swobodne zachowanie wobec mężczyzny, którego zamierzała poślubić.

Nagle zrozumiał.

– Och, nie – jęknął.

– O co chodzi?

– Ty nic nie wiesz, mademoiselle, prawda?

– Czego nie wiem?

– Że jestem żonaty.

Alison zbladła.

– Dobry Boże, nie.

– To małżeństwo zaaranżowane przez kardynała Karola. Musiałem poślubić kobietę, która z wiadomego powodu na gwałt potrzebowała męża.

– Kogo?

– Alain Gwizjusz zrobił dziecko pokojówce.

– Tak, słyszałam o tym. Boże, to ty poślubiłeś Odette?

– Tak. – Zawstydzony Pierre oblał się rumieńcem.

– Ale dlaczego?

– Dzięki temu mogę posługiwać się nazwiskiem Gwizjusz. Widnieje ono na akcie małżeństwa.

– Do diabła!

– Przykro mi.

– Mnie też, choć dla takiego nazwiska zrobiłabym pewnie to samo.

Jej słowa sprawiły, że Pierre poczuł się nieco lepiej. W jednej chwili zyskał i stracił możliwość zbliżenia się do królowej, ale przynajmniej Alison nie pogardzała nim za to, że ożenił się z Odette. Jej wzgarda dotknęłaby go do żywego.

Słysząc szczęk otwieranych drzwi, odskoczyli od siebie. Chwilę później do pokoju wszedł Louviers.

– Wszystko zaplanowane – oznajmił. Sięgnął po leżący na stole nóż, przypiął go do pasa i ukrył broń pod peleryną.

– Ubiorę się – powiedziała Alison. – Wy dwaj zaczekajcie przed salą audiencyjną – nakazała i znikła.

Pierre i Louviers wyszli na korytarz i udali się do bogato zdobionego pomieszczenia z pozłacaną boazerią, barwną tapetą i tureckim dywanem. W tej komnacie goście czekali na widzenie z królem. Tuż obok znajdowały się sala, w której monarcha udzielał audiencji, pokój straży zajmowany obecnie przez dwudziestu, trzydziestu zbrojnych i królewska sypialnia.

Choć zjawili się nieco przed czasem, czekało już kilku dworzan.

– Zanim tu przyjdzie, minie godzina albo dwie – szepnął Louviers. – Nawet nie jest ubrany.

Pierre w ponurym nastroju usiadł i czekał. Na myśl, że najlepsza przyjaciółka królowej wyszłaby za niego, gdyby nie był żonaty, trząsł się ze złości. Tworzyliby doskonałą parę: przebiegli, piękni i ambitni. Mógłby nawet zostać księciem. Odczuwał to jak bolesną stratę i tym bardziej nienawidził Odette. Była wulgarną prostaczką, która sprowadziła go z powrotem do nizin społecznych, z których tak bardzo pragnął się wyrwać. Zaprzepaściła wszystkie jego starania.

Pomieszczenie stopniowo się zapełniało. Antoni Burbon przybył późnym rankiem. Jego przystojna twarz sprawiała wrażenie zmęczonej, a ciężkie powieki i opadające wąsy nadawały jej

wyraz nadąsania. Teraz gdy jego brat został uwięziony, a Coligny przebywał w areszcie domowym, Antoni musiał wiedzieć, że ktoś zawiązał przeciwko niemu spisek. Patrząc na niego, Pierre widział człowieka pogodzonego z myślą, że jeszcze dziś może rozstać się z życiem. Jego postawa mówiła: „Róbcie, co chcecie, i tak nic mnie to nie obchodzi”.

Przybyli Człowiek z Blizną i kardynał Karol i przywitawszy zgromadzonych skinieniem głowy, udali się do sąsiednich komnat.

Kilka minut później dworzanie zostali wezwani do sali audiencyjnej.

Król Franciszek, który zasiadał na bogato rzeźbionym tronie, lekko przechylał się w bok, jak gdyby musiał się wspierać na oparciu. Twarz miał bladą i lśniącą od potu. „On nigdy nie czuje się dobrze”, powiedziała Alison, ale dziś chodziło o coś więcej niż zwykła niedyspozycja.

Kardynał Karol stanął obok tronu.

Pierre i Louviers zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, chcąc mieć pewność, że król ich zobaczy. Kilka kroków dalej stał Antoni Burbon.

Teraz czekali tylko na królewski znak.

Franciszek jednak przywołał jednego z dworzan, a ten podszedł do niego i szeptem odpowiedział na jakieś pytanie. Pierre nie

słyszał, o czym rozmawiali. Król powinien niezwłocznie nakazać wykonanie egzekucji. Dziwne więc, że zajmowały go inne sprawy; jak gdyby morderstwo przeciwnika politycznego było jednym z punktów porządku dziennego. Tymczasem Franciszek rozpytywał o coś drugiego dworzanina.

Kardynał szepnął mu coś do ucha, ale król zbył go machnięciem ręki, jak gdyby mówił: „Nie teraz, zaraz się tym zajmiemy”.

Głos zabrał biskup Orleanu. Pierre miał ochotę udusić go gołymi rękami. Król odchylił się na tronie i zamknął oczy. Prawdopodobnie wyobrażał sobie, że ludzie oczekują od niego, iż w skupieniu wysłucha słów sługi Bożego. Wyglądało to jednak tak, jakby za chwilę miał zasnąć albo zemdleć.

Minutę później otworzył oczy i rozejrzał się. Zatrzymał wzrok na Louviersie i Pierre był pewien, że oto nadszedł długo wyczekiwany moment, lecz król znów zaczął wodzić oczami po twarzach zgromadzonych.

I nagle zaczął się trząść.

Pierre patrzył na niego przerażonym wzrokiem. Od trzech lat febra siała spustoszenie we Francji i innych krajach Europy.

Daj znak, na litość boską, pomyślał. Potem możesz umierać!

Król spróbował dźwignąć się z tronu. Był zbyt słaby, żeby wstać, i opadł z powrotem na rzeźbiony mebel. Biskup nie przestawał ględzić, albo nie widząc, albo nie dbając o to, że monarcha źle się czuje. Na szczęście kardynał Karol był bardziej błyskotliwy. Mruknął coś do króla, a ten prawie niezauważalnie pokręcił głową. Zrezygnowany kardynał pomógł mu wstać.

Wsparty na jego ramieniu Franciszek ruszył w stronę drzwi.

Pierre zerknął na Antoniego Burbona, który wydawał się równie zaskoczony jak wszyscy. Z pewnością nie brał udziału w tym spisku. Chwilowo był bezpieczny, ale najwyraźniej sam nie wiedział dlaczego.

Tymczasem Karol przywołał skinieniem dłoni brata, Człowieka z Blizną, lecz, ku zdumieniu Pierre'a, oburzony książę ostentacyjnie odwrócił się od niego i od króla. Był to afront, za który inny monarcha wtrąciłby go do lochu.

I tak król Franciszek wsparty na ramieniu kardynała opuścił komnatę.

IV

Robiło się coraz chłodniej, gdy Sylvie wędrowała przez pogórze Alp w kierunku Genewy. Była zima i potrzebowała futra. Nie spodziewała się takiej aury.

Ale przecież nie spodziewała się wielu innych rzeczy. Nie miała pojęcia, że podróżując każdego dnia od świtu do zmierzchu, tak szybko zedrze buty. Była zdumiona pazernością karczmarzy, zwłaszcza gdy w pobliżu nie było innych miejsc, w których można było przenocować: żądali bajońskich sum, nawet od zakonnicy. Spodziewała się, że mężczyźni będą ją zaczepiać, ale jakież było jej zdumienie, gdy pewnej nocy w oberży, gdzie spała w jednej izbie z innymi podróżnymi, zaczęła ją obłapiać kobieta.

Poczuła nieopisaną ulgę, gdy daleko na horyzoncie zamajaczyły strzeliste wieżyczki protestanckich kościołów Genewy. Była z siebie dumna. Powtarzano jej, że sobie nie poradzi, a tymczasem z Bożą pomocą dotarła na miejsce.

Miasto znajdowało się na południowym krańcu jeziora o tej samej nazwie, w miejscu, gdzie wypływa z niego rzeka Rodan, rozpoczynając swą podróż do dalekiego Morza Śródziemnego. Podchodząc bliżej, Sylvie

zauważyła, że w porównaniu z Paryżem Genewa jest mała, jednak w porównaniu ze stolicą Francji każde miasto wydawało się małe.

Widok był uroczy: krystalicznie czyste wody jeziora, niebiesko-białe góry i niebo w kolorze perłowej szarości.

Zanim podeszła do bram miasta, zdjęła kornet, ukryła pod suknią pektorał i owinęła szyję żółtym szalem, dzięki czemu nie wyglądała już jak zakonnica, ale jak skromnie ubrana wieśniaczka. Wpuszczono ją bez problemów.

Znalazła kwaterę w oberży, której właścicielką była kobieta. Następnego dnia kupiła czerwony wełniany czepek, który ukrywał jej krótko przycięte włosy i lepiej chronił przed zimnem niż żółty szal.

Wiejący od doliny Rodanu zimny wiatr marszczył taflę jeziora i przemykał uliczkami miasta. Ludzie byli tu równie chłodni jak klimat, i Sylvie miała ochotę powiedzieć im, że nie trzeba być skwaszonym, aby być protestantem.

W mieście roiło się od sprzedawców książek i drukarzy, którzy wydawali Biblię i inne księgi po angielsku, niemiecku i francusku i rozsyłali po całej Europie. Sylvie weszła do drukarni sąsiadującej z oberżą, w której się zatrzymała, i zastała tam mężczyznę oraz jego ucznia

uwijających się przy prasie drukarskiej. Widząc zalegające wszędzie sterty ksiąg, zapytała o cenę Biblii po francusku.

Drukarz rzucił okiem na jej zgrzebną suknię i rzucił tylko:

– Nie stać cię.

Towarzyszący mu chłopak zachichotał.

– Pytam poważnie – odparła Sylvie.

– Nie wyglądasz na kogoś, kogo na nią stać – bąknął drukarz. – Dwa liwry.

– A jeśli kupię sto?

Odwrócił się, chcąc okazać brak zainteresowania.

– Nie mam stu – powiedział.

– Cóż, nie zamierzam robić interesów z kimś tak gburowatym – odparła zgryźliwie Sylvie i wyszła ze sklepu.

W kolejnej drukarni było podobnie i powoli zaczynała tracić cierpliwość. Nie rozumiała, dlaczego ci ludzie nie chcą sprzedawać swoich ksiąg. Próbowała tłumaczyć, że przybyła aż z Paryża, ale jej nie wierzyli. A gdy zapewniała, że ma świętą misję niesienia Biblii błądzącym francuskim katolikom, śmiali się z niej.

Po bezowocnym dniu, bezsilna i rozdrażniona, wróciła do oberży. Czyżby pokonała taki szmat drogi na próżno? Zmęczona

zasnęła, a gdy rano zbudziła się gotowa do działania, postanowiła zmienić podejście.

Znalazła uczelnię, która kształciła przyszłych pastorów, wierzyła bowiem, że ich misją jest szerzenie prawdziwej ewangelii, i liczyła, że jej pomogą. Tam w sieni skromnego budynku zauważyła znajomą twarz. Potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, że jest to młody misjonarz, który niemal trzy lata temu pojawił się w księgarni jej ojca i przedstawił się jako Guillaume z Genewy. Odetchnęła z ulgą.

Guillaume potraktował jej pojawienie się w Genewie jako znak od Boga. Wróciwszy do domu z dwóch misji, nauczał młodych mężczyzn, którzy zamierzali pójść w jego ślady. Nie był już tym samym chudzielcem. Widok Sylvie najwyraźniej go ucieszył.

Zdumiały go wieści o zdradzie Pierre'a, jednak nie ukrywał zadowolenia z faktu, że jego wymuskany rywal okazał się oszustem. Kiedy Sylvie opowiedziała mu o męczeńskiej śmierci ojca, łzy napłynęły mu do oczu.

Nie zdziwił się też, gdy zdała mu relację ze swoich doświadczeń z genewskimi drukarzami.

– To dlatego, że traktujesz ich jak równych sobie – wyjaśnił.

Sylvie nauczyła się, że jedynym sposobem, by nie dać się wykorzystać mężczyznom, jest traktowanie ich z góry.

– Co w tym złego? – spytała.

– Oczekują od kobiety, że będzie pokorna.

– W Paryżu też lubią, żeby kobiety okazywały mężczyznom szacunek, ale nie odprawiają klientów z kwitkiem. Jeśli kobieta ma pieniądze, a oni towar, dobijają targu.

– W Paryżu jest inaczej.

Na to wygląda, pomyślała.

Guillaume zgodził się jej pomóc. Odwołał tego dnia swoje wykłady i zaprowadził ją do znajomego drukarza. Tym razem to on mówił, a ona stała z boku.

Chciała kupić dwa rodzaje Biblii: jedną tańszą, by niemal każdy mógł ją kupić, i pięknie oprawione wydanie specjalne dla bogatszych klientów. Zgodnie z jej instrukcjami, Guillaume targował się zawzięcie, dzięki czemu kupiła sto egzemplarzy specjalnych i tysiąc tańszych po cenie, którą w Paryżu będzie mogła potroić.

Z radością zauważyła w tej samej drukarni egzemplarze *Psalmów* przełożone na francuski przez poetę Clémenta Marota. Jej ojciec sprzedawał ich na pęczki i wiedząc, że zarobi na nich krocie, kupiła pięćset egzemplarzy.

Z przejęciem patrzyła na skrzynie wynoszone z magazynu na tyłach drukarni. Podróż jeszcze się nie skończyła, ale do tej pory wszystko szło po jej myśli. Dobrze postąpiła, że nie porzuciła swojej misji. Dzięki tym księgom wleje prawdziwą wiarę w serca setek ludzi, a ona i matka będą miały co jeść przez kolejny rok albo dłużej. Czuła, że odniosła zwycięstwo.

Najpierw jednak musiała przewieźć swój towar do Paryża, a to oznaczało, że będzie musiała uciec się do podstępu.

Kupiła sto ryz papieru, które zamierzała sprzedawać w sklepie przy rue de la Serpente. Na jej polecenie Guillaume zlecił drukarzowi, by przykrył ukryte w skrzyniach książki papierem, tak by po otwarciu nie było ich widać. Na każdym z pudeł widniały włoskie słowa *Carta di Fabriano*. Miasto Fabriano słynęło z produkcji wysokogatunkowego papieru. Pobieżna inspekcja nie ujawni żadnych nieprawidłowości, jeśli jednak ktoś postanowi przetrząsnąć skrzynie, Sylvie będzie zgubiona.

Tego wieczoru Guillaume zabrał ją do domu rodziców na kolację.

Nie mogła odmówić. Był dla niej taki uprzejmy i gdyby nie jego pomoc, misja mogłaby się zakończyć niepowodzeniem. Mimo wszystko

Sylvie czuła się niezręcznie. Wiedziała, że Guillaume się w niej podkochuje; wyjechał z Paryża tuż po tym, jak zaręczyła się z Pierre'em. Najwyraźniej teraz te uczucia odżyły, choć może nigdy nie zgasły.

Guillaume był jedynakiem i oczkiem w głowie rodziców. Byli to ciepli, mili ludzie, którzy wiedzieli, jak bardzo ich syn jest zadurzony w dziewczynie z dalekiego Paryża. Sylvie kolejny raz musiała opowiedzieć historię o męczeńskiej śmierci ojca i o tym, jak razem z matką odbudowały swoje życie. Ojciec Guillaume'a, jubiler, był z niej dumny, jak gdyby chodziło o jego synową. Jego żona podziwiała odwagę dziewczyny, ale z jej oczu można było wyczytać, że wie, iż w sercu Sylvie nie ma miejsca dla jej syna.

Zaprosili ją do domku letniskowego, lecz Sylvie odmówiła, nie chcąc dawać nikomu fałszywej nadziei.

Tej nocy zastanawiała się, dlaczego nie potrafi pokochać Guillaume'a. Tak wiele ich łączyło. Oboje pochodzili z zamożnych mieszczańskich rodzin i pragnęli szerzyć prawdziwą ewangelię. Oboje doświadczyli niedostatków i niebezpieczeństw związanych z daleką podróżą. Znali ryzyko i byli świadkami przemocy.

A jednak odepchnęła od siebie tego dzielnego, inteligentnego, uczciwego człowieka na rzecz pochlebcy, który okazał się kłamcą i szpiegiem. Czy coś z nią było nie tak? Może miłość i małżeństwo nie były jej pisane.

Nazajutrz Guillaume zabrał ją na przystań i przedstawił zaufanemu właścicielowi barki. Mężczyzna chodził do tego samego kościoła co on, podobnie jak jego żona i dzieci. Sylvie była zdania, że jest równie godny zaufania jak każdy mężczyzna.

Miała ciężki bagaż trudny do przewiezienia, była więc zmuszona wrócić do Paryża drogą wodną. Miała popłynąć barką w dół rzeki, do Marsylii, gdzie wraz z książkami przesiądzie się na statek pełnomorski płynący do Rouen na północnym wybrzeżu Francji. Stamtąd popłynie w górę rzeki do Paryża.

Skrzynie załadowano następnego dnia, a rankiem Guillaume odprowadził Sylvie na pokład. Nękały ją wyrzuty sumienia, że przyjęła jego pomoc, skoro nie miała zamiaru odwzajemnić się tym, na czym naprawdę mu zależało. Powtarzała sobie, że Guillaume sam zaoferował pomoc i że nie manipulowała nim, mimo wszystko czuła się niezręcznie.

– Napisz do mnie, kiedy sprzedasz wszystkie książki – poprosił. – Powiedz, czego potrzebujesz, a sam przywiozę to do Paryża.

Nie chciała, żeby przyjeżdżał do Paryża. Była pewna, że Guillaume nie zaniecha zalotów, a ona nie będzie mogła tak łatwo uwolnić się od jego towarzystwa. Wiedział, że tak właśnie będzie, lecz nie mogła mu odmówić. Dzięki niemu otrzyma nową dostawę książek i sama nie będzie musiała wyruszać w długą i niebezpieczną podróż.

Czy zachowa się nieuczciwie, jeśli się zgodzi? Wiedziała, dlaczego złożył jej taką propozycję. Ale przecież nie mogła myśleć wyłącznie o sobie. Łączył ich święty obowiązek.

– Byłoby cudownie – odparła. – Napiszę.

– Będę czekał na list. I modlił się, by przyszedł jak najszybciej.

– Do widzenia, Guillaume.

V

Alison obawiała się, że król Franciszek umrze. Wówczas Maria zostanie wdową i byłą królową, a Alison nikim więcej, jak tylko przyjaciółką byłej

królowej. Z pewnością zasługiwały na to, by dłużej cieszyć się przywilejami.

Wszyscy byli podenerwowani z powodu choroby Franciszka. Śmierć króla zawsze stanowiła moment strasznej niepewności. Kolejny raz bracia Gwizjusze będą walczyć o wpływy z Burbonami i Montmorencymi; kolejny raz prawdziwa religia będzie zmuszona stoczyć walkę z herezją, a władza i bogactwo trafią do tych, którzy zareagują najszybciej i będą walczyć najbardziej zażarcie.

W miarę jak stan zdrowia Franciszka się pogarszał, królowa matka wezwała do siebie Alison McKay. Katarzyna miała na sobie olśniewająco piękną suknię z czarnego jedwabiu i niebywale kosztowną biżuterię z brylantami.

– Przekaż wiadomość swojemu przyjacielowi Pierre'owi – zwróciła się do Alison.

Obdarzona kobiecą intuicją Katarzyna domyślała się, że Alison podkochuje się w tym młodym człowieku. Królowa matka znała wszystkie plotki, więc z pewnością wiedziała, że Pierre jest żonaty, a jego romans z przyjaciółką Marii Stuart nie ma przyszłości.

Alison była zdruzgotana wyznaniem Pierre'a. Pozwoliła sobie na to, by się w nim zakochać. Był bystry i czarujący, przystojny i elegancki.

Marzyła, że pewnego dnia będą oddanym sobie, wpływowym małżeństwem i najbliższymi doradcami królewskiej pary. Teraz musiała porzucić te marzenia.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – zwróciła się do Katarzyny.

– Powiedz mu, że za godzinę chcę się spotkać z kardynałem Karolem i Człowiekiem z Blizną w sali audiencyjnej.

– Czego dotyczyć będzie spotkanie?

Królowa matka się uśmiechnęła.

– Jeśli cię spyta, powiedz, że nie wiesz – odparła.

Alison opuściła komnaty Katarzyny i udała się do Château Groslot. Mężczyźni, których mijała po drodze, kłaniali się jej, a kobiety dygały. Rozkoszowała się tymi przejawami szacunku, zwłaszcza teraz, gdy wiedziała, że wkrótce może się to skończyć.

Idąc, zastanawiała się, o co może chodzić Katarzynie. Królowa matka była sprytna i bezwzględna. Po śmierci męża poczuła się słaba, więc sprzymierzyła się z Gwizjuszami. Okazało się to jednak błędem, Karol i Franciszek odsunęli ją bowiem na bok i poprzez królową Marię zaczęli manipulować młodym królem.

Alison miała wrażenie, że po raz drugi Katarzyna nie da się wywieść w pole.

Bracia Gwizjusze zamieszkali w pałacu razem z rodziną królewską. Wiedzieli, że przebywanie blisko króla jest kluczowe. Tymczasem Pierre wiedział, że musi się trzymać blisko kardynała Karola. Zatrzymał się w oberży Saint-Joan, nieopodal katedry, ale Alison wiedziała, że codziennie rano przybywał do Groslot, zanim bracia Gwizjusze wstali, i wychodził, kiedy kładli się spać. Wiedział więc o wszystkim, co działo się w pałacu.

Znalazła go w komnacie kardynała, w otoczeniu bliskich współpracowników Karola i służby. Pierre miał na sobie białą koszulę z niebieskim haftem i kryzą oraz niebieski dublet. Zawsze wyglądał szykownie, zwłaszcza w błękicie.

Kardynał, choć już ubrany, wciąż jeszcze był w sypialni.

– Przeszkodzę mu. – Pierre poderwał się z krzesła. – Czego chce królowa Katarzyna?

– Nie powiedziała – odparła Alison. – Dziś rano Ambroise Paré zbadał króla. – Paré był królewskim chirurgiem. – Ale na razie tylko królowa matka wie, co powiedział.

– Może król wraca do zdrowia.

– Albo nie. – Szczęście Alison i Marii Stuart zależało od kruchego zdrowia Franciszka. Może byłoby inaczej, gdyby Maria miała dziecko, niestety, nadal nie była w ciąży. Spotkała się z medykiem, którego poleciła jej królowa matka, lecz nie powiedziała Alison, czego się dowiedziała.

– Jeśli Franciszek umrze, nie spłodziwszy dziedzica, królem zostanie jego brat Karol – mruknął w zamyśleniu Pierre.

Alison pokiwała głową.

– Tylko że Karol ma dopiero dziesięć lat, więc w jego imieniu będzie rządził ktoś inny jako regent.

– A ten przywilej przypada pierwszemu księciu krwi, którym, przypadkiem, jest Antoni Burbon.

– Nasz wielki wróg. – Alison wyobraziła sobie sytuację, w której Gwizjusze tracą wpływy, a ona i Maria Stuart stają się dziewczętami, które nic nie znaczą i przed którymi nikt nie pochyli głowy.

Była pewna, że Pierre obawia się tego samego, wiedziała jednak, że zastanawia się, jak temu zapobiec. Należał do ludzi, którzy nigdy się nie zniechęcali, i to w nim lubiła.

– A zatem, jeśli Franciszek umrze, będziemy zmuszeni pozbyć się Antoniego – powiedział. – Myślisz, że właśnie o tym Katarzyna chce porozmawiać z braćmi?

Alison się uśmiechnęła.

– Jeśli ktokolwiek zapyta, mów, że nie wiesz.

Godzinę później Alison i Pierre stanęli razem z Człowiekiem z Blizną i kardynałem Karolem w urządzonej z wielkim przepychem sali audiencyjnej. W kominku płonął ogień. Ku zaskoczeniu Alison w komnacie był również obecny Antoni Burbon. Przedstawiciele zwaśnionych rodów mierzyli się wzrokiem z przeciwnych końców sali. Książę Franciszek poczerwieniał ze złości, a Karol nerwowo szarpał brodę jak wtedy, gdy był naprawdę wściekły. Antoni sprawiał wrażenie przerażonego.

Dlaczego Katarzyna postanowiła doprowadzić do spotkania śmiertelnych wrogów? Czyżby liczyła, że dojdzie do pojedynku, który zadecyduje, który ród zdobędzie wpływy po śmierci Franciszka?

W sali byli też dworzanie, z których większość należała do Tajnej Rady Królewskiej. Wszyscy wyglądali na speszonych całą sytuacją. Nikt nie wiedział, co się wydarzy. Czy Antoni zostanie

zamordowany na oczach tylu ludzi? Nigdzie jednak nie było widać Charles'a de Louviers.

Najwyraźniej zanosiło się na coś poważnego i królowa matka zadała sobie wiele trudu, by zachować cel spotkania w tajemnicy. Nawet Pierre nie miał o niczym pojęcia.

Alison pomyślała, że to niepodobne do Katarzyny. Ta jednak potrafiła być przebiegła. Alison przypomniała sobie maleńką fiolkę z kocią krwią, którą zdobyła dla Marii Stuart w jej noc poślubną, i uświadomiła sobie, że Katarzyna miała skłonności do okrucieństwa, które sprytnie ukrywała przed światem.

Kiedy królowa matka weszła do sali, wszyscy zgodnie skłonili głowy. Alison pomyślała, że nigdy dotąd nie wyglądała tak władczo. A więc czarny jedwab i brylanty wybrano po to, by wzbudzić autorytet. Dodatek stanowiło przybranie głowy, które wyglądało jak korona. Królowej matce towarzyszyło czterech zbrojnych, których Alison pierwszy raz widziała na oczy. Kim byli ci ludzie? I kim byli dwaj urzędnicy, którzy nieśli sekretarzyk i przybory do pisania?

Katarzyna zajęła miejsce na tronie, na którym zwykle zasiadał Franciszek. Ktoś gwałtownie wstrzymał oddech.

Królowa matka trzymała w lewej dłoni dwa zwoje pergaminu.

Chwilę później urzędnicy postawili przed nią sekretarzyk, a strażnicy zajęli miejsca po obu stronach tronu.

– Mój syn Franciszek jest bardzo chory – zaczęła.

Alison i Pierre wymienili ukradkowe spojrzenia. Mój syn? Nie Jego Wysokość król Franciszek?

– Medycy nie mogą mu pomóc – ciągnęła Katarzyna łamiącym się głosem zrozpaczonej matki i otarła oczy koronkową chusteczką. – Doktor Paré poinformował mnie, że Franciszkowi pozostało kilka dni życia.

Aha, pomyślała Alison, a więc chodzi o sukcesję.

– Sprowadziłam z zamku Saint-Germain-en-Laye mojego drugiego syna Karola Maksymiliana, który jest tu ze mną.

Tego Alison się nie spodziewała. Katarzyna rozegrała to szybko i mądrze. W niebezpiecznym momencie, kiedy jeden król zastępował na tronie swojego poprzednika, władza należała do tego, kto miał wpływ na nowego monarchę. Katarzyna ubiegła wszystkich.

Alison znowu zerknęła na Pierre’a, który rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Żaden z twoich szpiegów nie informował nas o tym – szepnął wściekle stojący obok niego kardynał.

– Bo dostają pieniądze za szpiegowanie protestantów, nie rodziny królewskiej – bronił się Pierre.

Katarzyna podniosła jeden z dokumentów, które trzymała w dłoni.

– Jednakże – kontynuowała – król Franciszek miał na tyle sił, żeby podpisać wyrok śmierci na Ludwika Burbona, księcia de Condé.

Wśród dworzan rozległy się szmery. Ludwik został uznany za winnego zdrady, lecz aż do dziś król wahał się z podpisaniem wyroku skazującego. Egzekucja księcia krwi była radykalnym posunięciem, które odbije się echem w całej Europie. Tylko Gwizjuszom zależało na zgładzeniu Ludwika. Wszystko wskazywało jednak na to, że – jak zwykle – dopięli swego. Najwyraźniej Katarzyna zamierzała dopilnować, by zachowali wpływy.

Królowa matka machnęła w powietrzu dokumentem. Alison zastanawiała się, czy Franciszek naprawdę go podpisał. Nikt nie był w stanie tego zobaczyć.

– Wasza Wysokość, błagam – odezwał się Antoni. – Proszę o łaskę dla mojego brata. Przysięgam, że jest niewinny.

– Żaden z was nie jest niewinny! – warknęła Katarzyna. Alison pierwszy raz słyszała, by zwracała się do kogoś tym tonem. – Pytanie brzmi, czy obaj powinniście zostać straceni.

Antoni zachowywał się odważnie na polu bitwy, lecz poza nim był nieśmiały i płochliwy.

– Błagam, Wasza Wysokość, oszczędź nas. Przysięgam, że jesteśmy lojalni wobec króla.

Alison zerknęła na braci Gwizjuszów, którzy z trudem ukrywali zadowolenie. Ich wrogowie zostaną wyeliminowani w idealnym momencie.

– Jeśli król Franciszek umrze – ciągnęła królowa matka – a mój drugi, dziesięcioletni, syn zostanie królem Karolem Dziewiątym, to jak ty, Antoni, mógłbyś zostać regentem, skoro spiskowałeś przeciwko jego poprzednikowi?

Nie było dowodów, że Antoni albo Ludwik brali udział w spisku przeciwko królowi Franciszkowi, Antoni postanowił jednak obrać inną linię obrony.

– Nie chcę być regentem – oświadczył rozpaczliwie. – Zrzekam się regencji. Proszę jedynie, by Wasza Wysokość darowała życie mnie i mojemu bratu.

– Zrzekasz się regencji?

– Oczywiście. Cokolwiek Wasza Miłość rozkaże.

Alison podejrzewała, że Katarzyna zwołała spotkanie, by zmusić Antoniego do wypowiedzenia tych właśnie słów. To, co nastąpiło chwilę później, tylko potwierdziło jej przypuszczenia.

Królowa matka machnęła drugim pismem.

– W takim razie żądam, abyś tu i teraz w obecności tych wszystkich ludzi podpisał ten dokument. Jest w nim napisane, że zrzekasz się prawa do regencji na rzecz… kogoś innego. – Spojrzała wymownie na Człowieka z Blizną, ale nie powiedziała, kogo ma na myśli.

– Podpiszę wszystko – zapewnił Antoni.

Alison zauważyła, że kardynał uśmiecha się szeroko. Tego właśnie pragnęli Gwizjusze. Będą sprawować kontrolę nad nowym monarchą i w dalszym ciągu rozprawiać się z protestantami.

Tymczasem Pierre ściągnął brwi.

– Dlaczego zrobiła to bez naszej wiedzy? – szepnął do Alison. – Dlaczego nie wtajemniczyła Gwizjuszów?

– Może chce w ten sposób dać im coś do zrozumienia – odparła Alison. – Od śmierci króla

Henryka raczej nie liczyli się z jej zdaniem.

Katarzyna wręczyła pergamin urzędnikowi i Antoni zbliżył się do tronu.

Pospiesznie przeczytał dokument. W pewnej chwili, wyraźnie zaskoczony jego treścią, podniósł głowę i spojrzał na królową matkę.

– Po prostu podpisz! – rozkazała Katarzyna swym nowym, władczym tonem.

Urzędnik umoczył pióro w atramencie i podał je Antoniemu.

Chwilę później Burbon podpisał dokument.

Katarzyna podniosła się z tronu, dzierżąc w dłoni spisany na papierze wyrok śmierci. Podeszła do kominka i cisnęła dokument w płomienie. Papier błyskawicznie zajął się ogniem, zwinął się i poczerniał.

Teraz, pomyślała Alison, nikt nigdy się nie dowie, czy król Franciszek rzeczywiście go podpisał.

Katarzyna wróciła na tron. Najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

– Wstąpienie na tron króla Karola Dziewiątego będzie dla Francji czasem pojednania – oświadczyła.

Pojednania? Zdaniem Alison to, co właśnie zobaczyła, nie wyglądało na próbę pojednania.

Był to raczej spektakularny pokaz triumfu Gwizjuszów.

– Antoni Burbonie – dodała królowa matka – w uznaniu za to, że zgodziłeś się pójść na kompromis, zostaniesz mianowany naczelnym generałem Francji.

To ma być nagroda pocieszenia, pomyślała Alison. Nagroda, która powstrzyma go przed wszczęciem buntu. Zerknęła na braci Gwizjuszów. Nie byli zadowoleni z takiego obrotu spraw, ale w zamian za rezygnację Burbona z regencji byli w stanie przełknąć tę gorzką pigułkę.

Tymczasem Katarzyna mówiła dalej:

– Antoni, przeczytaj, proszę, na głos dokument, który właśnie podpisałeś.

Antoni Burbon wziął do rąk pismo i odwrócił się w stronę zgromadzonych. Wyglądał na zadowolonego. Być może stanowisko naczelnego generała było tym, czego pragnął. Chwilę później zaczął czytać.

– Ja, Antoni Burbon, król Nawarry…

– Przejdź do najważniejszej części – ponagliła go Katarzyna.

– Zrzekam się prawa do regencji i przekazuję wszystkie obowiązki z tym związane Jej

Królewskiej Mości Królowej Katarzynie, królowej matce.

Alison wstrzymała oddech.

Człowiek z Blizną zerwał się na równe nogi.

– Co?! – ryknął. – Nie mnie?!

– Nie tobie – odparł ze spokojem Antoni.

Widząc, że książę Franciszek idzie w jego stronę, oddał dokument Katarzynie. Franciszek spojrzał na królową. Zbrojni przysunęli się do tronu, wyraźnie przygotowani na taką ewentualność. Książę stał bezradny. Blizny na jego twarzy pociemniały, gdy krew uderzyła mu do głowy.

– To skandal! – krzyknął.

– Milcz! – warknęła Katarzyna. – Nie udzieliłam ci prawa głosu.

Alison była zdumiona. Katarzyna okpiła wszystkich i przejęła kontrolę w państwie. Sama siebie uczyniła królową Francji. Od dziś władza nie będzie należała do Gwizjuszów czy sojuszu Burbonów i Montmorencych, ale wyłącznie do niej. Stanęła między dwoma gigantami i pozbawiła ich mocy. Cóż za spryt! Nie zdradziła się ze swoim planem. Umiejętnie i z zadziwiającą pewnością siebie przeprowadziła zamach stanu. Jakkolwiek zła i rozczarowana była Alison,

musiała przyznać, że umiejętności strategiczne królowej matki są godne podziwu.

To nie był jednak koniec niespodzianek przygotowanych przez Katarzynę.

– A teraz – dodała – chcąc przypieczętować pokój, który dziś zawarliśmy, książę Gwizjusz uściska króla Nawarry.

Człowiek z Blizną nie mógł wyobrazić sobie większego upokorzenia.

On i Antoni mierzyli się wściekłym wzrokiem.

– No dalej, proszę – ponagliła Katarzyna. – To rozkaz.

Antoni pierwszy ruszył po barwnej posadzce w stronę księcia Gwizjusza. Obaj mężczyźni byli mniej więcej w tym samym wieku, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Antoni był apatyczny, a widoczne pod wąsem usta z opadającymi kącikami nadawały mu wiecznie skwaszony wygląd. Człowiek z Blizną był opalony, chudy, oszpecony i bezwzględny. Jednakże Antoni nie był głupi. Zatrzymał się przed Franciszkiem, rozłożył ramiona i rzekł:

– Wykonuję wolę Jej Królewskiej Mości królowej matki.

W tej sytuacji Człowiek z Blizną nie mógł odmówić.

Postąpił krok w stronę króla Nawarry. Ich uścisk trwał krótką chwilę, po czym odskoczyli od siebie, jakby się bali, że mogą się czymś zarazić.

Katarzyna uśmiechnęła się i nagrodziła ich brawami, a zgromadzeni na sali dworzanie poszli za jej przykładem.

VI

W gwarnym śródziemnomorskim marsylskim porcie Sylvie przesiadła się razem z bagażem z rzecznej barki na statek kupiecki płynący przez Cieśninę Gibraltarską, Zatokę Biskajską, w której Sylvie nabawiła się choroby morskiej, kanałem La Manche i w górę Sekwany aż do Rouen, najważniejszego portu na północy Francji.

Jedną trzecią ludności Rouen stanowili protestanci i Sylvie wzięła udział w niedzielnym nabożeństwie, które odbyło się w prawdziwym kościele. Gdyby chciała, mogłaby sprzedać tam wszystkie książki. Te jednak były bardziej potrzebne w katolickim Paryżu. No i w stolicy płacono za nie więcej.

Był styczeń 1561 roku. Po śmierci króla Franciszka II jego matka królowa Katarzyna

przejęła kontrolę w państwie i odsunęła od władzy braci Gwizjuszów. Wydała nowe rozporządzenia, które ułatwiały życie protestantom, choć nie zostały jeszcze formalnie zatwierdzone. Nakazała uwolnić wszystkich więźniów religijnych, procesy innowierców zostały wstrzymane i zniesiono karę śmierci za herezję. Protestanci, których nazywano teraz hugenotami, radowali się.

Mimo to sprzedaż ksiąg zakazanych wciąż była uznawana za przestępstwo.

Płynąc na łodzi do Paryża, z ładownią pełną książek, Sylvie była równie przerażona co podekscytowana. W mroźny lutowy poranek przybili do nabrzeża Grève, gdzie dziesiątki statków i łodzi stało zacumowanych przy brzegu albo zakotwiczonych na środku rzeki.

Sylvie wysłała wiadomość do matki i pismo do Luca Mauriaca, w którym wyrażała nadzieję, iż wkrótce się spotkają i będzie mogła podziękować mu osobiście za pomoc w zaplanowaniu podróży. Następnie udała się do komory celnej w Grève. Jeśli czekały ją kłopoty, to zaczną się właśnie w tym miejscu.

Miała przy sobie fałszywe pokwitowania, które zdobyła dzięki pomocy Guillaume'a, wykazujące, że kupiła sto dziesięć pudeł papieru

od nieistniejącego producenta z Fabriano. Wzięła też sakiewkę, żeby opłacić cło.

Pokazała pokwitowania urzędnikowi.

– Papier? – zapytał. – Czysty, niezapisany papier?

– Moja matka i ja sprzedajemy papier i atrament studentom – wyjaśniła.

– Zrobiła pani spore zapasy.

Sylvie spróbowała się uśmiechnąć.

– Na szczęście dla mnie, w Paryżu jest wielu studentów.

– Przebyła pani długą drogę, żeby go kupić. Nie macie papierników w Saint-Marcel?

– Włoski papier jest lepszy… i tańszy.

– Będzie pani musiała porozmawiać z poborcą ceł. – Zwrócił jej pokwitowania i wskazał ręką ławkę. – Proszę zaczekać.

Usiadła, obawiając się tego, co ją czeka. Wystarczyło, że otworzą skrzynie i dokładnie zbadają ich zawartość. Czuła się jak skazaniec czekający na ogłoszenie wyroku. Napięcie było nie do zniesienia. Niemal chciała trafić do więzienia i mieć to już za sobą.

Gdy obserwowała otoczenie, uświadomiła sobie, że większość mężczyzn, którzy wchodzili do komory celnej, znała tutejszych urzędników.

Okazywali dokumenty, płacili należną kwotę i wychodzili. Szczęściarze.

Po godzinie, która zdawała się jej wiecznością, została zaprowadzona na górę do większego kantoru, w którym urzędował zastępca poborcy ceł, Claude Ronsard – skwaszony mężczyzna w brązowym dublecie i aksamitnej czapce. Podczas gdy Ronsard zadawał jej te same pytania, Sylvie zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna kogoś przekupić. Czekając na dole, nie zauważyła, by ktoś próbował to zrobić, ale przecież takie rzeczy nie odbywały się jawnie.

– Musimy skontrolować pani ładunek – usłyszała w końcu.

– Oczywiście – odparła, siląc się na swobodę, jednak serce waliło jej jak oszalałe. Dyskretnie potrząsnęła sakiewką, dając do zrozumienia, że jest gotowa zapłacić, ale Ronsard zdawał się tego nie zauważyć. Być może brał łapówki wyłącznie od ludzi, których znał. Nie miała pojęcia, jak ocalić ładunek i – być może – życie.

Zastępca poborcy dźwignął się zza biurka i oboje wyszli z kantoru. Sylvie szła niepewnym krokiem, jednak Ronsard nie zwracał uwagi na jej zdenerwowanie. Przywołał urzędnika,

z którym rozmawiała wcześniej, i we trójkę ruszyli nabrzeżem w stronę łodzi.

Ku zaskoczeniu Sylvie na brzegu czekała na nią matka. Isabelle wynajęła tragarza z solidnym czterokołowym wózkiem, który miał przewieźć skrzynie do składu przy rue du Mur. Na wieść o czekającej je kontroli, wyraźnie się zasępiła.

Ronsard i urzędnik weszli na pokład i wybrali skrzynię, która miała zostać otwarta i skontrolowana. Tragarz zniósł ją na brzeg i postawił na ziemi. Wykonano ją z lekkiego drewna i zabito gwoździami, a na bokach opatrzono napisem: *Carta di Fabriano*.

Sylvie pomyślała, że skoro zadali sobie tyle trudu, na pewno opróżnią skrzynię i znajdą na dnie czterdzieści Biblii po francusku z prowokacyjnymi protestanckimi komentarzami na marginesach.

Gdy tragarz łomem podważył wieko skrzyni, oczom zgromadzonych ukazały się ryzy czystego papieru.

I w tej samej chwili zjawił się Luc Mauriac.

– Ronsard, przyjacielu, wszędzie cię szukam – odezwał się pogodnie. W dłoni trzymał butelkę. – Dostaliśmy partię wina z Jerez i pomyślałem, że powinieneś skosztować, żebyś wiedział, jak

powinno smakować. – Mówiąc to, mrugnął porozumiewawczo.

Sylvie nie mogła oderwać oczu od skrzyni, w której pod ryzami papieru leżały ukryte księgi mogące przesądzić o jej losie.

Ronsard uścisnął Lucowi dłoń, wziął butelkę i przedstawił towarzyszącego mu urzędnika.

– Właśnie sprawdzamy ładunek tej panienki – oświadczył, wskazując Sylvie.

Luc spojrzał na nią, udając zdziwienie.

– Witam, mademoiselle. Już panienka wróciła? Nie przejmuj się, Ronsard. Znam dobrze tę panią. Sprzedaje papier i atrament studentom na Drugim Brzegu.

– Naprawdę?

– Ależ tak, zaręczam za nią. Posłuchaj, właśnie otrzymałem ładunek futer z krajów nadbałtyckich, w tym jedno z białego wilka, które wyglądałoby pięknie na twojej żonie. Już sobie wyobrażam, jak jej włosy spływają kaskadami na futrzany kołnierz. Jeśli ci się spodoba, kapitan podaruje ci je… w geście dobrej woli, jeśli wiesz, co mam na myśli. Chodź i sam zobacz.

– Oczywiście – rzucił ochoczo Ronsard. – Podpisz dokumenty – zwrócił się do urzędnika i oddalił się razem z Lukiem Mauriakiem.

Sylvie mało nie zemdlała z ulgi.

Uiściła opłatę celną u urzędnika. Zażyczył sobie jedno złote ecu „za atrament”, co było oczywistym wymuszeniem, ale Sylvie nie protestowała, chcąc jak najszybciej dopełnić formalności.

Chwilę później tragarz zaczął ładować skrzynie na wózek.

VII

Na początku 1561 roku Ned Willard otrzymał pierwszą międzynarodową misję od królowej Elżbiety. Przytłaczał go ciężar odpowiedzialności i tym bardziej zależało mu na tym, by wypełnić powierzone mu zadanie.

Został poinstruowany przez sir Williama Cecila w jego nowym domu w Strand, gdy siedzieli przy oknie z widokiem na pola Covent Garden.

– Chcemy, żeby Maria Stuart została we Francji – wyjaśnił Cecil. – Jeśli wróci do Szkocji jako królowa, będą kłopoty. Tamtejsza równowaga religijna jest krucha i pojawienie się silnego katolickiego monarchy prawdopodobnie dałoby początek wojnie domowej. A jeśli Maria

Stuart pokona protestantów i wygra wojnę, może zwrócić swój wzrok ku Anglii.

Ned rozumiał. W oczach większości europejskich władców Maria Stuart była prawowitą królową Anglii. Gdyby przekroczyła kanał La Manche, stanowiłaby jeszcze większe zagrożenie dla Elżbiety.

– Przypuszczam, że z tego samego powodu Gwizjusze chcą, żeby wróciła do Szkocji.

– Właśnie. Dlatego masz ją przekonać, że lepiej będzie, jeśli zostanie tam, gdzie jest.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał Ned, choć nie miał pojęcia, jak miałby tego dokonać.

– Wyślemy z tobą jej brata.

– Ona nie ma brata! – Ned wiedział, że Maria była jedynym dzieckiem króla Szkocji Jakuba V i Marii z Gwizjuszów.

– Ma wielu braci – prychnął z dezaprobatą Cecil. – Jej ojciec był niewierny do tego stopnia, że mógłby rozwiązłością zawstydzić niejednego króla, i spłodził co najmniej dziewięciu synów z nieprawego łoża. – Będąc wnukiem oberżysty, Cecil pogardzał królewskimi intrygami. – Ten nazywa się Jakub Stuart. Maria go lubi, chociaż jest protestantem. On również chce, żeby została we Francji, gdzie nie powinna sprawiać kłopotów. Będziesz udawał jego sekretarza; nie

chcemy, żeby Francuzi wiedzieli, że w sprawę zamieszana jest Elżbieta.

Jakub okazał się poważnym dwudziestodziewięcioletnim mężczyzną o włosach koloru piasku, w kasztanowym dublecie wysadzanym klejnotami. Wszyscy szkoccy arystokraci znali francuski, niektórzy lepiej od innych; Jakub mówił niepewnie z silnym akcentem, ale Ned był w stanie mu pomóc.

Podróż statkiem do Paryża była względnie prosta, zwłaszcza teraz, gdy Anglia i Francja nie były już w stanie wojny. Na miejscu Ned dowiedział się, że Maria Stuart wyjechała na święta Wielkanocne do Reims.

– Rodzina Gwizjuszów udała się do Szampanii, żeby lizać rany – wyjaśnił angielski ambasador, sir Nicholas Throckmorton. Był bystrookim mężczyzną po czterdziestce z rudawokasztanową brodą. Nosił czarny dublet z małą, lecz bogato haftowaną kryzą i żabotami na rękawach. – Królowa Katarzyna wywiodła ich w pole w Orleanie, a ponieważ nie napotkała oporu, Gwizjusze ponieśli sromotną klęskę.

– Słyszeliśmy, że w Wielkanoc doszło do protestanckich zamieszek – rzekł Ned.

Ambasador pokiwał głową.

– W Angers, Le Mans, Beauvais i Pontoise. – Ned był pod wrażeniem jego doskonałej pamięci. – Jak zapewne wiecie, przesądni katolicy lubią organizować procesje i paradować po ulicach ze świętymi relikwiami. My, oświeceni protestanci, wiemy, że otaczanie czcią obrazów i przedmiotów to nic innego jak grzech bałwochwalstwa, i co bardziej zapalczywi bracia zaatakowali uczestników procesji.

Ned nie lubił agresywnych protestantów.

– Nie wystarczy im, że mogą uczestniczyć we własnych nabożeństwach? Powinni zaufać Bogu, że sprawiedliwie osądzi tych, którzy się z nimi nie zgadzają.

– Możliwe – odparł Throckmorton. Był bardziej radykalny w poglądach, podobnie jak wielu ludzi, którymi otaczała się Elżbieta – w tym sir Cecil – choć sama miała umiarkowane poglądy.

– Wygląda jednak na to, że Katarzyna zapanowała nad sytuacją – zauważył Ned.

– Tak. Nie należy do tych, którzy na przemoc reagują przemocą. Stara się unikać konfliktów. Po świętach nastroje się uspokoiły.

– Rozsądna kobieta.

– Być może – odparł Throckmorton, a kiedy Ned zbierał się do wyjścia, dodał: – W Reims

uważaj na Pierre'a Aumande'a, młodzieńca starszego od ciebie o kilka lat. To człowiek Gwizjuszów od brudnej roboty.

– Dlaczego powinienem na niego uważać?

– Bo to niegodziwiec jakich mało.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

Ned i Jakub udali się do Reims na łodzi, która płynęła w górę Sekwany, a następnie wpływała na wody Marny. Podróż była nieco dłuższa, ale zdecydowanie wygodniejsza od trzech lub czterech dni w siodle. Tymczasem po przybyciu do Szampanii czekało ich kolejne rozczarowanie: Maria Stuart wyjechała w odwiedziny do swojego kuzyna Karola, kardynała Lotaryngii.

Wyruszywszy za nią – tym razem konno – Ned rozmawiał z napotkanymi ludźmi, jak zwykle zbierając cenne informacje. Zaniepokoiły go wieści, że nie oni jedni podążają śladem Marii Stuart. John Leslie, szkocki ksiądz, najpewniej wysłannik szkockich katolików, wyprzedzał ich o dzień drogi. Wieści, które miał do przekazania, prawdopodobnie różniły się od tych, z którymi przybywał Ned.

W końcu dogonili Marię w zamku Saint-Dizier, otoczonej murem fortecy z ośmioma wieżami. Po przedstawieniu się zostali zaprowadzeni do wielkiej sali. Kilka minut

później pojawił się w niej przystojny młody mężczyzna, który roztaczał wokół siebie aurę arogancji i był wyraźnie niezadowolony z ich przybycia.

– Nazywam się Pierre Aumande Gwizjusz – oznajmił.

Jakub i Ned wstali.

– Krewny mojej siostry, królowej Marii? – zapytał Jakub.

– Oczywiście. – Pierre spojrzał na Neda. – A ty, panie?

– Ned Willard, sekretarz Jakuba Stuarta.

– Mogę zapytać, co dwaj szkoccy protestanci robią w zamku Saint-Dizier?

Najwyraźniej Pierre uwierzył, że Ned jest sekretarzem brata królowej. Być może Maria da się łatwiej przekonać, jeśli będzie sądzić, że wiadomość pochodzi od jej szkockiego krewnego, a nie od angielskiej rywalki.

Jakub nie zareagował na wyraźną niechęć Pierre'a.

– Przybyłem porozmawiać z siostrą – oświadczył ze spokojem.

– W jakim celu?

– Proszę jej przekazać, że przyjechał Jakub Stuart – odparł tylko z uśmiechem.

Pierre uniósł dumnie głowę.

– Zapytam, czy królowa zechce udzielić wam audiencji.

Ned nie miał wątpliwości, że człowiek ten zrobi wszystko, by nie dopuścić do spotkania.

Jakub usiadł i odwrócił się ostentacyjnie. Koniec końców, płynęła w nim królewska krew i okazał Aumande'owi więcej uprzejmości, niż było to konieczne.

Pierre wyglądał na niezadowolonego, ale wyszedł bez słowa.

Chwilę później Ned również usiadł. W zamku panował ruch, służba dwoiła się i troiła, chcąc jak najlepiej zadbać o królewskiego gościa. Minęła godzina. Dwie.

W końcu do sali weszła młoda kobieta, mnie więcej w wieku Neda. Sądząc po jej różowej jedwabnej sukni i zdobionym perłami przybraniu głowy, nie była służącą. Jej niebieskie oczy zerkały na Neda z czujnością. Kiedy zobaczyła Jakuba, uśmiechnęła się.

– Cóż za niespodzianka! – pisnęła. – Lord Jakub! Pamiętasz mnie, panie? Alison McKay. Spotkaliśmy się na ślubie Marii.

– Oczywiście, że pamiętam. – Jakub wstał i pokłonił się. Ned zrobił to samo.

– Nie wiedziałyśmy, że tu jesteś!

– Podałem swoje nazwisko niejakiemu Pierre’owi.

– Och! Jego zadaniem jest trzymanie ludzi takich jak wy z dala od Marii. Ale oczywiście królowa spotka się z wami. Powiem jej, że tu jesteście, i zaraz ktoś po was przyjdzie. – Mówiąc to, spojrzała z ciekawością na Neda.

– To mój sekretarz, Ned Willard – pospieszył z wyjaśnieniem Jakub.

Ned pokłonił się jeszcze raz, na co Alison nieznacznie skinęła głową i oddaliła się.

– Ten cały Pierre nawet nie powiedział Marii, że tu jesteśmy! – oburzył się Jakub.

– Ostrzegano mnie przed nim.

Kilka minut później służąca zaprowadziła ich do małego, przytulnego salonu. Ned zaczął się denerwować. Dla tego spotkania przebył taki szmat drogi. Zarówno królowa Elżbieta, jak i jego mentor, sir William Cecil, pokładali w nim wiarę. Z ich trójki on najmniej wierzył w siebie.

Niebawem do pokoju weszła Maria Stuart.

Ned do tej pory widział ją tylko raz i zdumiało go, jaka jest piękna i wysoka. Miała niebywale bladą cerę i rude włosy. Jak na osiemnastolatkę była zadziwiająco opanowana; poruszała się jak statek na spokojnym morzu, z głową uniesioną

na długiej, smukłej szyi. Zakończyła już żałobę, ale nadal nosiła biel.

Wraz z nią do pokoju weszli Alison McKay i Pierre Aumande Gwizjusz.

Jakub złożył głęboki ukłon, a Maria podeszła do niego i go ucałowała.

– Jesteś bystry, Jakubie – powitała go. – Skąd wiedziałeś, że jestem w Saint-Dizier?

– Potrzebowałem trochę czasu, żeby cię dogonić – odparł z uśmiechem.

Maria usiadła i poprosiła ich, by zrobili to samo.

– Powiedziano mi, że powinnam wrócić do Szkocji i niczym słońce przegnać chmury niepokojów religijnych.

– Domyślam się, że rozmawiałaś z Johnem Lesliem – rzekł Jakub.

Tego właśnie bał się Ned. Leslie ich uprzedził i najwyraźniej omamił Marię.

– Ty wiesz wszystko! – Królowa była oczarowana przyrodnim bratem. – Mówi, że jeśli popłynę do Aberdeen, zgromadzi dla mnie dwudziestotysięczną armię, która pomaszeruje za mną na Edynburg i obali protestancki parlament w blasku chrześcijańskiej chwały.

– Chyba mu nie wierzysz? – spytał Jakub.

Ned obawiał się jednak, że Maria dała wiarę słowom duchownego. Miał wrażenie, że młoda królowa jest podatna na wpływy. Jej uroda i wdzięk były godne królowej, jednak na razie nie wykazywała niezbędnej monarchom sceptycznej mądrości.

Maria zignorowała pytanie.

– Jeśli wrócę do Szkocji – ciągnęła – uczynię cię arcybiskupem.

Jej słowa zdumiały wszystkich obecnych. Jako królowa Szkocji nie miałaby wpływu na mianowanie biskupów, w przeciwieństwie do francuskich władców, którym przysługiwało takie prawo.

– Ale ja nie jestem katolikiem – zauważył Jakub.

– Cóż, będziesz musiał nim zostać – zauważyła radośnie Maria.

– Przybyłem tu, żeby prosić cię, żebyś została protestantką – odparł posępnie Jakub, który wyraźnie nie podzielał jej entuzjazmu.

Ned się nachmurzył. Nie takie było ich zadanie.

Tymczasem odpowiedź Marii okazała się stanowcza:

– Jestem katoliczką, podobnie jak moja rodzina. Nie mogę się zmienić.

Ned zobaczył, że Pierre przytakuje. Najwyraźniej myśl o tym, że ktoś z rodziny Gwizjuszów mógłby zostać protestantem, napawała go przerażeniem.

– Skoro nie chcesz przejść na protestantyzm, czy będziesz chociaż tolerancyjna? – spytał Jakub. – Protestanci przysięgną ci lojalność, jeśli pozwolisz im na wolność wyznania.

Nedowi nie podobał się ten argument. Mieli przekonać Marię, żeby została we Francji.

Pierre również wyglądał na zaniepokojonego, ale z pewnością z innego powodu: zagorzali katolicy pogardzali tolerancją religijną.

– A czy protestanci będą równie tolerancyjni wobec katolików? – spytała Maria.

– Zdecydowanie nie. – Ned po raz pierwszy zabrał głos. – W Szkocji udział we mszy świętej jest teraz przestępstwem.

– Myli się pan, monsieur Willard – odparł Pierre. – Msza święta nie jest przestępstwem.

– Szkocki parlament uchwalił ustawę!

– Samozwańczy parlament może tylko przyjąć projekt ustawy – oburzył się Pierre. – Jedynie monarcha może ją uchwalić, a Jej Wysokość królowa Maria nie wyraziła na to zgody.

– Formalnie rzecz biorąc, ma pan rację – przyznał Ned. – Chcę tylko, żeby Jej Wysokość

miała świadomość, które wyznanie przeważa w Szkocji.

– A w czyim imieniu pan przemawia, monsieur Willard?

Pierre najwyraźniej domyślał się, że Ned jest kimś więcej niż sekretarzem Jakuba. Ned nie odpowiedział na jego pytanie, zwracając się bezpośrednio do Marii:

– Wasza Wysokość, tu, we Francji, jest pani księżną, ma pani ziemie, pieniądze i wsparcie wpływowych, zamożnych krewnych. W Szkocji czekają Waszą Wysokość jedynie konflikty.

– We Francji jestem wdową po królu – odparła Maria. – W Szkocji jestem królową.

Ned czuł, że zawodzi.

Tymczasem głos zabrał Pierre:

– Monsieur Willard, co pomyślałaby królowa Elżbieta, gdyby Jej Wysokość królowa Maria wróciła do Szkocji?

Było to podstępne pytanie. Gdyby Ned odparł bez zastanowienia, zdradziłby się ze swoją misją. Udawał więc, że nie wie.

– My, Szkoci, wiemy jedynie to, co słyszymy. Proszę pamiętać, że tu, w Reims, jesteście bliżej Londynu niż my w Edynburgu.

Wzmianka o odległości najwyraźniej nie uśpiła czujności Pierre’a.

– A więc cóż takiego słyszycie wy, Szkoci? – spytał.

– Żaden monarcha nie lubi, gdy ktoś inny rości sobie prawa do jego tronu. – Ned starannie dobierał słowa. – Najwyraźniej królowa Elżbieta była przygnębiona, gdy król Franciszek i królowa Maria obwołali się władcami Anglii, Irlandii, Francji i Szkocji. Niemniej jednak Elżbieta wierzy, iż Maria ma prawo do szkockiego tronu, i nie stanie jej na drodze.

Nie mówił prawdy. Elżbieta była rozdarta. Choć wierzyła, że ma prawo do tronu, obawiała się Marii jako swej rywalki. Dlatego chciała zatrzymać ją we Francji.

Pierre prawdopodobnie miał tego świadomość, lecz udawał, że wierzy słowom Neda.

– Dobrze wiedzieć – rzucił – albowiem Szkoci kochają swoją królową. – Po tych słowach spojrzał na Marię. – I powitają ją z otwartymi ramionami.

Maria się uśmiechnęła.

– Tak – przyznała. – Mam taką nadzieję.

Biedna, naiwna dziewczyno, pomyślał Ned.

Głos zabrał Jakub, który niewątpliwie zamierzał ubrać w ładne słówka to, co Ned

powiedział tak obcesowo, jednak Maria mu przerwała.

– Już południe – oświadczyła. – Zjedzmy obiad. Później wrócimy do rozmowy. – Kiedy wstała, oni również się podnieśli.

Ned wiedział, że zawiódł, ale podjął ostatnią rozpaczliwą próbę.

– Wasza Wysokość, myślę, że niemądrze byłoby teraz wracać do Szkocji.

– Czyżby? – spytała chłodno. – Mimo to myślę, że powinnam się tam udać.

VIII

Pierre spędził w Szampanii większość następnego roku. Nienawidził tego miejsca. Na wsi był bezsilny. Gwizjusze stracili wpływy na królewskim dworze, królowa Katarzyna utrzymywała pokój między katolikami i protestantami, a on, oddalony o sto mil od Paryża, nie miał na nic wpływu. Poza tym nie podobało mu się, że jest tak blisko miejsca, w którym przyszedł na świat, gdzie ludzie wiedzieli wszystko o jego skromnym pochodzeniu.

Pod koniec lutego 1562 roku, kiedy Człowiek z Blizną opuścił Joinville, żeby wrócić do Paryża, Pierre ochoczo do niego dołączył. To była jego szansa na powrót do gry.

Podróż rozpoczęła się na wąskich dróżkach wijących się między świeżo zaoranymi polami i bezlistnymi winnicami. Był zimny, słoneczny dzień. Człowiekowi z Blizną towarzyszyło dwustu zbrojnych pod dowództwem Gastona Le Pina. Niektórzy z nich nieśli tak modne długie miecze zwane rapierami. Nie mieli mundurów, ale większość ich strojów była w czerwono-żółtych książęcych barwach. Wyglądali jak oddział wrogiej armii.

Człowiek z Blizną spędził ostatnią noc lutego we wsi Donmartin. Tam dołączył do niego młodszy brat, kardynał Ludwik, nazywany Butelką, gdyż słynął z zamiłowania do wina. Oddział zbrojnych powiększył się o ludzi Ludwika z arkebuzami. Tę długolufową broń palną nazywano również hakownicą, gdyż miała kształt litery J. Była ona na tyle lekka, by strzelec mógł ją oprzeć na ramieniu, w przeciwieństwie do muszkietów, które należało wspierać na wbitych w ziemię forkietach.

Nazajutrz, w niedzielę pierwszego marca, wczesnym rankiem wyruszyli w drogę.

W mieście Wassy miał dołączyć do nich szwadron ciężkiej kawalerii. Przed powrotem do Paryża książę Franciszek zamierzał zgromadzić wystarczającą liczbę zbrojnych, by żaden z jego wrogów nie mógł mu zagrozić.

Wassy było małą mieściną nad brzegiem rzeki Blaise, z kuźniami na obrzeżach i wybudowanymi nad brzegiem młynami wodnymi. Gdy armia księcia zbliżała się do południowej bramy, rozległ się dźwięk dzwonów. Ich bicie często ostrzegało o nadciągającym niebezpieczeństwie, więc Człowiek z Blizną zapytał napotkanego mężczyznę, co się dzieje.

– To protestanci wzywają na mszę – odparł tamten.

Książę poczerwieniał z wściekłości, a blizny na jego twarzy przybrały barwę purpury.

– Protestanckie dzwony? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Skąd je mają?

– Nie wiem, panie – odparł przerażony przechodzień.

Taka prowokacja ze strony protestantów mogła wzniecić zamieszki. Pierre poczuł, że wstępuje w niego nadzieja. To mógł być punkt zapalny.

– Nawet jeśli ustawa o tolerancji wejdzie w życie, co może nigdy nie nastąpić, mają nie

afiszować się ze swoimi bluźnierczymi rytuałami! – oświadczył Człowiek z Blizną – Oni tymczasem biją w dzwony.

Mężczyzna nie odrzekł ani słowa, jednak książę Gwizjusz nie zwracał się już do niego, a jedynie wyrażał swoje oburzenie. Pierre wiedział, co go tak bardzo zdenerwowało. Wassy należało do Marii Stuart i teraz, kiedy wróciła do Szkocji, Franciszek jako najstarszy z jej wujów zarządzał tymi ziemiami. Należały zatem do niego.

Pierre postanowił dolać oliwy do ognia.

– Protestanci, jak wszyscy w mieście, musieli wiedzieć, że wasza książęca mość przybędzie tu dziś rano – zauważył. – Najwyraźniej zrobili to celowo.

Gaston Le Pin przysłuchiwał się jego słowom. Jako żołnierz wierzył, że jeśli to możliwe, należy unikać przemocy; może dzięki temu dożył trzydziestu trzech lat. Postanowił zabrać głos:

– Możemy obejść miasto. Lepiej nie ryzykować utraty ludzi przed powrotem do Paryża. Musimy urządzić tam prawdziwy pokaz siły.

Pierre’owi wyraźnie nie spodobał się ten pomysł.

– Nie można przymknąć oczu na taką zniewagę – mruknął. – To oznaka słabości.

– Nie mam zamiaru uchodzić za słabeusza – odparł żarliwie Człowiek z Blizną i spiął konia ostrogami.

Le Pin rzucił Pierre'owi wściekłe spojrzenie, ale jego ludzie, podekscytowani perspektywą starcia, podążyli za księciem. Pierre postanowił jeszcze bardziej ich zachęcić. Został nieco w tyle.

– Wietrzę łatwy łup – przemówił do nich, na co się roześmiali. Przypomniał im, że przemoc i grabież zwykle chodzą w parze.

Kiedy wjechali do miasta, dzwony ucichły.

– Poślijcie po proboszcza – nakazał książę.

Oddział zmierzał wolno w kierunku centrum miasteczka. Wewnątrz murów znajdował się budynek królewskiego sądu, zamek i kościół. Na rynku, na zachód od kościoła, czekał szwadron ciężkiej kawalerii, który miał do nich dołączyć: pięćdziesięciu mężczyzn, każdy z dwoma rumakami bojowymi i zwierzęciem jucznym. Konie rżały i tańczyły niespokojnie, wyczuwając obcych.

Na częściowo zadaszonym rynku Gaston Le Pin nakazał ludziom księcia zsiąść z koni i ulokował żołnierzy kardynała Ludwika na cmentarzu, na południe od kościoła. Niektórzy

ludzie weszli do karczmy Pod Łabędziem na śniadanie złożone z szynki i piwa.

Proboszcz przyszedł pospiesznie z okruchami chleba na komży. Tuż za nim spieszył burmistrz.

– Powiedzcie mi, czy dziś rano w Wassy protestanci odprawiali swoje bluźniercze rytuały? – zapytał książę Franciszek.

– Tak – odparł ksiądz.

– Nie mogę ich powstrzymać – pospieszył z wyjaśnieniem burmistrz. – Nie słuchają mnie.

– Dekret o tolerancji, który nie został jeszcze ratyfikowany, zezwala na takie rzeczy tylko poza murami miasta.

– Ściśle mówiąc, oni nie są w mieście – wyjaśnił burmistrz.

– A więc gdzie?

– Na terenie zamku, który, jak twierdzą, nie należy do miasta.

– To kwestia sporna – skomentował Pierre.

– Ale gdzie dokładnie są? – dopytywał zniecierpliwiony książę.

Burmistrz wskazał w stronę cmentarza, na przylegającą do murów zamku dużą, popadającą w ruinę stodołę z dziurawym dachem.

– Tam. Stodoła znajduje się na terenie zamku.

– To znaczy, że należy do mnie! – rzucił wściekle Człowiek z Blizną. – To niedopuszczalne.

Pierre dostrzegł okazję do zaognienia sytuacji.

– Dekret o tolerancji daje oficjelom królewskim prawo nadzorowania zgromadzeń protestanckich. Książę ma pełne prawo zobaczyć, co tam się wyprawia.

I tym razem Le Pin starał się załagodzić sytuację.

– Po co doprowadzać do niepotrzebnych konfliktów?

Burmistrzowi jednak spodobał się pomysł Pierre'a.

– Jeśli wasza książęca mość porozmawia z nimi, mając ze sobą zbrojnych, może się wystraszą i w przyszłości będą przestrzegać prawa.

– Tak – poparł go Pierre. – To książęcy obowiązek.

Le Pin podrapał się po okaleczonym uchu, jak gdyby go swędziało.

– Lepiej nie budzić licha – mruknął.

Człowiek z Blizną zastanawiał się przez chwilę. Pierre obawiał się, że książę ochłonie i przychyli się do zdania Le Pina, w tym momencie jednak protestanci zaczęli śpiewać.

Wspólne śpiewanie nie było częścią mszy katolickich, lecz hugenoci je uwielbiali. Śpiewali psalmy głośno, radośnie i po francusku. Dźwięk

setek głosów niósł się przez cmentarz aż do rynku. To jeszcze bardziej rozjuszyło księcia.

– Myślą, że są księżmi! – warknął.

– Ich bezczelność przekracza wszelkie granice – rzekł Pierre.

– Tak – zgodził się Człowiek z Blizną. – I zamierzam im to powiedzieć.

– Pozwól więc, panie, że wezmę kilku ludzi i uprzedzę ich o twoim przybyciu – zaproponował Le Pin. – Jeśli zrozumieją, że masz prawo z nimi mówić, i będą gotowi cię wysłuchać, może da się uniknąć rozlewu krwi.

– Dobrze – zgodził się Człowiek z Blizną.

Le Pin wskazał dwóch mężczyzn z rapierami.

– Rasteau, Brocard, za mną!

Pierre rozpoznał w nich dwóch ludzi, którzy prowadzili go ulicami Paryża z karczmy Saint-Étienne do domu Gwizjuszów. To było cztery lata temu, nie zapomniał jednak tamtego upokorzenia. Uśmiechnął się na myśl, jak daleko zaszedł od tamtej pory. Jak bardzo zmieniło się jego życie!

Kiedy mężczyźni ruszyli przez cmentarz w stronę stodoły, Pierre podążył z nimi.

– Nie prosiłem, żebyś mi towarzyszył – mruknął Le Pin.

– A ja cię nie prosiłem o pozwolenie – odgryzł się Pierre.

Stodoła była w opłakanym stanie. Tu i ówdzie w ścianach brakowało desek, drzwi wisiały krzywo na zawiasach, a na zewnątrz piętrzył się stos kamieni. Idąc w stronę wejścia, Pierre miał świadomość, że stojący przed kościołem zbrojni i żołnierze na cmentarzu przyglądają się im z uwagą.

Psalm dobiegł końca i w stodole zapadła cisza.

Le Pin ruchem ręki nakazał pozostałym, żeby się cofnęli, a sam otworzył drzwi.

W budynku było około pięciuset mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy stali, gdyż w środku nie było ławek. Sądząc po ich ubraniach, bogaci i biedni stali tu obok siebie, w przeciwieństwie do kościołów katolickich, gdzie zamożni mieszkańcy zajmowali specjalne miejsca bliżej ołtarza. W jednym końcu stodoły Pierre dostrzegł prowizoryczną ambonę i chwilę później usłyszał, jak odziany w sutannę pastor zaczyna przemawiać do wiernych.

Gdy stojący bliżej drzwi mężczyźni dostrzegli nowo przybyłych, zbili się w ciasną gromadę i zagrodzili im drogę.

Chcąc uniknąć bezpośredniej konfrontacji, Le Pin cofnął się o kilka kroków. Rasteau i Brocard

zrobili to samo.

– Książę Gwizjusz chce z wami mówić – oznajmił Le Pin. – Przygotujcie się na jego powitanie.

– Cicho! – syknął młodzieniec z czarną brodą. – Pastor Morel naucza!

– Uważaj, młodzieńcze – ostrzegł go Le Pin. – Książę już jest zły, że odprawiacie nielegalną mszę w jego stodole. Radzę go nie denerwować.

– Zaczekajcie, aż pastor skończy.

– Książę nie czeka na takich ludzi jak wy! – Głos Pierre'a był głośny i wyraźny.

Kolejni protestanci zerkali w stronę drzwi.

– Nie możecie wejść – oświadczył ten z brodą.

Le Pin zrobił krok w przód i powoli ruszył w jego stronę.

– Chcesz się przekonać? – zapytał.

Młodzieniec odepchnął go z zadziwiającą siłą. Le Pin zachwiał się i zatoczył w tył.

Pierre usłyszał okrzyki oburzenia i chwilę później zobaczył kilku zbrojnych, którzy biegli ku nim przez cmentarz.

– Nie powinieneś był tego robić – rzekł Le Pin. Jego ręka wystrzeliła niczym z procy i uderzyła brodacza prosto w szczękę. Cios był tak potężny, że młodzieniec runął na ziemię. – Teraz wejdę – oświadczył Le Pin.

Ku zdumieniu i zadowoleniu Pierre’a, protestanci nadal nie mieli zamiaru wpuszczać go do środka. Sięgnęli po kamienie. Pierre dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się mylił, sądząc, że sterta gruzu to resztki popadającej w ruinę budowli. Czy ci głupcy naprawdę zamierzali walczyć z kilkoma setkami zbrojnych?

– Z drogi – warknął Le Pin i zrobił krok do przodu.

W odpowiedzi protestanci obrzucili go kamieniami.

Kilka z nich dosięgło celu i trafiony w głowę Le Pin zwalił się na ziemię.

Pierre, który nie nosił miecza, cofnął się.

Rasteau i Brocard ryknęli wściekle, widząc, co spotkało ich kapitana. Zaraz potem sięgnęli po rapiery i rzucili się do ataku.

W ich stronę posypał się grad kamieni. Jeden rozciął policzek beznosego Rasteau. Kolejny uderzył Brocarda w kolano z taką siłą, że mężczyzna upadł. Coraz więcej ludzi wybiegało ze stodoły i sięgało po kamienie.

Rasteau – krwawiąc z rany na policzku – biegł przed siebie z wyciągniętym rapierem i wbił go w brzuch młodzieńca z czarną brodą. Raniony mężczyzna ryknął z bólu. Cienkie ostrze

przeszyło jego ciało na wylot. Pierre przypomniał sobie rozmowę o walce na miecze, którą Rasteau i Brocard odbyli pamiętnego dnia, cztery lata temu. „Zapomnij o sercu”, powiedział wówczas Rasteau. „Ostrze może ześlizgnąć się po żebrach i ledwie draśniesz przeciwnika… Ja celuję w brzuch. Ostrze w brzuchu nie zabija od razu, ale paraliżuje przeciwnika. Ból jest tak wielki, że człowiek nie myśli o niczym”. Mówiąc to, zachichotał.

Rasteau wyszarpnął ostrze z brzucha czarnobrodego z ohydnym mlaśnięciem, od którego Pierre’owi zrobiło się niedobrze. Chwilę później sześciu, może siedmiu protestantów rzuciło się na niego i zaczęło okładać go kamieniami, zmuszając do ucieczki.

Ludzie księcia biegli przez cmentarz, przeskakując ponad nagrobkami, w biegu sięgając po broń i krzycząc ile sił w płucach. Zbrojni kardynała Ludwika przygotowywali arkebuzy, podczas gdy ze stodoły wysypywali się kolejni protestanci, którzy sięgali po kamienie i ciskali je w nadciągających żołnierzy.

Pierre kątem oka zauważył, że Le Pin doszedł do siebie po ciosie w głowę i niezgrabnie dźwignął się na nogi. Zwinność, z jaką uchylił się przed dwoma kamieniami, świadczyła o tym, że

w pełni odzyskał kontrolę nad ciałem. Zaraz potem sięgnął po rapier.

Ku niezadowoleniu Pierre'a Le Pin kolejny raz próbował zapobiec rozlewowi krwi. Podniósł miecz nad głowę i ryknął:

– Dość tego! Schowajcie broń! Schowajcie broń!

Nikt nie zwracał na niego uwagi. W stronę Le Pina poleciał duży kamień. Uchylił się przed nim i zaatakował.

Pierre był przerażony gwałtownością ataku Le Pina. Jego ostrze błysnęło w promieniach słońca. Jak w amoku dźgał, ciął i wywijał bronią, za każdym razem zabijając lub okaleczając któregoś z przeciwników.

Coraz więcej zbrojnych brało udział w starciu. Pierre zachęcał ich do walki, krzycząc:

– Zabijcie heretyków! Zabijcie bluźnierców!

Rozpoczęła się rzeź. Oddziały księcia wdarły się do stodoły i zaczęły zabijać mężczyzn, kobiety i dzieci. Pierre widział, jak Rasteau rzuca się na młodą kobietę i ogarnięty bitewnym szałem, kaleczy jej twarz ostrzem sztyletu.

Pierre szedł za zbrojnymi, bacząc na to, by zawsze znajdować się w bezpiecznej odległości; nie zamierzał bowiem ryzykować życia. W walącym się budynku kilku heretyków

odpierało atak mieczami i sztyletami, jednak większość była nieuzbrojona. Setki ludzi krzyczały z bólu i przerażenia. W ciągu kilku sekund ściany stodoły zabarwiły się na czerwono.

Spoglądając w drugi koniec budynku, Pierre dostrzegł schody prowadzące na strych na siano. Tłoczyli się na nich ludzie; niektórzy z dziećmi na rękach. Wszedłszy na górę, uciekali przez dziury w dachu. Chwilę później w powietrzu rozległ się huk broni palnej. Dwoje uciekinierów wpadło z powrotem przez dziury w dachu, a ich ciała łupnęły o klepisko. Arkebuzerzy kardynała Bottles zajęli stanowiska.

Pierre odwrócił się i lawirując wśród walczących, wybiegł na zewnątrz, żeby mieć lepszy widok.

Protestanci wciąż uciekali przez dach; niektórzy próbowali zeskoczyć na ziemię, inni przeskakiwali na zamkowe mury. Arkebuzerzy kardynała strzelali do zbiegów. Lekka broń z nowoczesnym mechanizmem strzelającym była łatwa w przeładowywaniu, więc kule dosięgały prawie każdego, komu udało się przedostać na dach.

Pierre obejrzał się w stronę rynku. Zaalarmowani hukiem wystrzałów mieszkańcy

miasteczka wylegli na ulice. Z karczmy Pod Łabędziem wybiegali kolejni żołnierze; niektórzy z nich wciąż jeszcze przeżuwali śniadanie. Doszło do przepychanek, kiedy ludzie księcia próbowali zatrzymać miejscowych, którzy spieszyli na ratunek protestantom. Jeden z kawalerzystów zadął w trąbkę, chcąc przywołać do porządku swoich towarzyszy.

Wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Gaston Le Pin wyszedł ze stodoły, prowadząc z sobą pastora. Zaraz potem kolejni zbrojni zaczęli opuszczać walący się budynek. Ludzie przestali wdrapywać się na dach, a huk wystrzałów ustał jak nożem uciął. Na rynku dowódcy wydawali rozkazy swoim ludziom, próbując nad nimi zapanować, i nakazywali mieszkańcom miasta wracać do domów.

Zaglądając do stodoły, Pierre zobaczył, że walki ustały. Ci z protestantów, którzy byli w stanie chodzić o własnych siłach, pochylali się nad rannymi i opłakiwali poległych. Klepisko było mokre od krwi. Wrzaski umilkły i w upiornej ciszy słychać było wyłącznie jęki bólu i szlochanie.

Pierre nie mógł sobie wyobrazić lepszego rozwoju wypadków. Wyglądało na to, że mniej więcej pięćdziesięciu protestantów zginęło,

a przeszło stu zostało rannych. Większość była nieuzbrojona, a wśród nich znalazły się kobiety i dzieci. Za kilka dni wydarzenia z Wassy będą na ustach całej Francji.

Przyszło mu do głowy, że cztery lata temu widok takiej rzezi by go przeraził – dziś jednak był zadowolony. Ach, jakże się zmienił! Czasami nie potrafił zrozumieć, jak Bóg mógł pochwalać to, co się z nim stało. Poczuł, jak do jego serca przesącza się nienazwany lęk, ciemny i lepki, jak krew na klepisku stodoły. Pospiesznie stłumił tę myśl. Taka była wola Boża; musiało tak być.

Wyobrażał sobie ośmiostronicowe broszury, które wkrótce zejdą z protestanckich pras drukarskich i drzeworyty na pierwszych stronach przedstawiające rzeź w stodole. W całej Europie będzie głośno o małej mieścinie Wassy, gdy księża z ambon będą grzmieli o tym, co się tu wydarzyło. Protestanci zaczną tworzyć uzbrojone oddziały, twierdząc, że nie mogą czuć się bezpieczni. W odpowiedzi katolicy zaczną gromadzić siły.

Wybuchnie wojna domowa.

Tak jak chciał tego Pierre.

IX

Siedząc w karczmie Saint-Étienne przy winie i talerzu wędzonej ryby, Sylvie była zrozpaczona.

Czy to się kiedyś skończy? Większość Francuzów, niezależnie od wyznania, chciała żyć w pokoju, jednak każda próba pojednania była sabotowana przez ludzi takich jak bracia Gwizjusze, dla których religia była źródłem wpływów i bogactwa.

Sylvie i jej przyjaciele musieli się dowiedzieć, jak wiele władze wiedzą na ich temat. Gdy tylko mogła, przychodziła do miejsc takich jak ta tawerna i rozmawiała z ludźmi zaangażowanymi w tropienie heretyków: członkami straży miejskiej, pieczeniarzami kręcącymi się wokół Gwizjuszów i współpracownikami Pierre'a. Z tego, co mówili, dowiadywała się wielu istotnych rzeczy, ale tak naprawdę potrzebowała szpiega.

Na dźwięk otwieranych drzwi podniosła głowę i zobaczyła pokojówkę Pierre'a, Nath, która weszła do karczmy. Dziewczyna miała podbite oko.

Sylvie i Nath pozdrawiały się skinieniem głowy, lecz nigdy nie zamieniły z sobą ani słowa. Tym razem Sylvie postanowiła zareagować.

– Nie wygląda to dobrze – zagadnęła dziewczynę. – Pozwól, że kupię ci wino, pomaga złagodzić ból.

Nath wybuchła płaczem.

Sylvie otoczyła ją ramieniem. Szczerze współczuła dziewczynie: zarówno ona, jak i jej matka doświadczyły przemocy ze strony Giles'a Palota.

– Już dobrze, już dobrze – szepnęła.

Karczmarka przyniosła kielich wina i Nath pociągnęła głęboki łyk.

– Dziękuję – wydusiła ściśniętym głosem.

– Co ci się stało? – spytała Sylvie.

– Pierre mnie uderzył.

– Odette też bije?

Nath pokręciła głową.

– Boi się, boby mu oddała.

Służąca wyglądała na szesnaście lat, była drobna i chuda i prawdopodobnie nie potrafiłaby oddać mężczyźnie, tak jak Sylvie nie potrafiła postawić się ojcu. Na jego wspomnienie poczuła, że ogarnia ją złość.

– Napij się jeszcze – zachęciła Nath.

Dziewczyna upiła kolejny łyk.

– Nienawidzę go – wyznała.

Serce Sylvie zabiło mocniej. Od przeszło roku czekała na taką okazję. Wiedziała, że jeśli będzie

cierpliwa, ta chwila nadejdzie, ponieważ ludzie nienawidzili Pierre'a i wcześniej czy później ktoś będzie chciał go zdradzić.

Teraz Sylvie musiała tylko należycie to rozegrać. Trzymać emocje na wodzy i podjąć ryzyko.

– Nie ty jedna go nienawidzisz – powiedziała ostrożnie. – Mówią, że jest szpiegiem i że to on stoi za prześladowaniami protestantów. – Nie była to poufna informacja; połowa Paryża o tym wiedziała.

– To prawda – przyznała Nath. – Ma listę.

Sylvie poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w żołądek. To oczywiste, że Pierre miał listę. Pytanie tylko, co wiedziała o niej Nath.

– Listę? – Sylvie zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu. – Skąd wiesz?

– Widziałam ją. Czarny notes pełen nazwisk i adresów.

Istna kopalnia złota, pomyślała Sylvie. Próba przekabacenia służącej była ryzykowna, jednak Sylvie nie mogła z niej zrezygnować.

– Jeśli chcesz się zemścić, powinnaś przekazać notes protestantom – powiedziała z udawaną beztroską.

– Zrobiłabym to, gdybym miała odwagę.

– Naprawdę? – spytała Sylvie po namyśle. – A co z twoim sumieniem? To byłoby działanie przeciwko Kościołowi.

– Wierzę w Boga – odparła Nath. – Ale Jego nie ma w Kościele.

– Jak możesz tak mówić? – Sylvie była zdumiona.

– Kiedy miałam jedenaście lat, zostałam zgwałcona przez proboszcza. Byłam małą dziewczynką, nie miałam nawet włosów łonowych. Czy Bóg tam był? Nie sądzę.

Sylvie opróżniła kielich, odstawiła go na stół i powiedziała:

– Mam przyjaciółkę, która zapłaciłaby dziesięć złotych ecu, gdyby tylko mogła zajrzeć do tego notesu. – Miała pieniądze i wiedziała, że matka zgodzi się, że to dobry sposób na ich spożytkowanie.

– Dziesięć złotych ecu? – Nath otworzyła oczy ze zdumienia. Było to więcej, niż zarabiała w ciągu roku. Dużo więcej.

Sylvie przytaknęła.

– Pewnie myśli, że dzięki temu uratowałaby wielu ludzi od niechybnej śmierci na stosie – dodała.

Ale Nath bardziej od moralnych pobudek interesowały pieniądze.

– Naprawdę by tyle zapłaciła?

– Ależ oczywiście. – Sylvie udała, że dopiero teraz dotarło do niej, że Nath mówi poważnie. – Ale pewnie… nie zdołasz wykraść notesu… prawda?

– Właśnie że zdołam.

– Gdzie on jest?

– W domu.

– A dokładnie?

– W zamkniętej skrzyni na dokumenty.

– Skoro jest zamknięta, to jak go zdobędziesz?

– Umiem otworzyć ten zamek.

– Jak?

– Agrafką – odparła Nath.

X

Pierre miał nadzieję, że w kraju wybuchnie wojna domowa. Rok po masakrze w Wassy katolicy pod wodzą Człowieka z Blizną byli bliscy zwycięstwa. Na początku 1563 roku książę Franciszek rozpoczął oblężenie Orleanu, ostatniej protestanckiej twierdzy, gdzie niczym szczur zaszył się Gaspard de Coligny. W czwartek osiemnastego lutego Człowiek z Blizną przyjrzał

się umocnieniom i oznajmił, że nazajutrz przeprowadzi atak.

Pierre, który mu towarzyszył, czuł, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki.

O zmierzchu wracali do swojej kwatery w Château de Vaslins. Książę miał na sobie płowożółty dublet i kapelusz z piórkiem. Był to strój nieodpowiedni na pole bitwy, zbyt rzucający się w oczy, jednak tego dnia Człowiek z Blizną miał się spotkać z żoną Anną. Ich najstarszy syn, dwunastoletni Henryk, również miał przybyć do zamku. Pierre przypochlebiał się dziedzicowi księcia, odkąd poznali się cztery lata temu na turnieju, podczas którego król Henryk II został śmiertelnie ranny.

Musieli przepłynąć rzekę na małej tratwie, która mogła pomieścić zaledwie trzy osoby. Pierre, Człowiek z Blizną i Gaston Le Pin patrzyli, jak ich ludzie przeprowadzają konie na drugi brzeg.

– Słyszeliście, że królowa Katarzyna chce zawrzeć z nami pokój – zagadnął Człowiek z Blizną.

Pierre roześmiał się pogardliwie.

– Pokój zawierasz, kiedy przegrywasz, nie kiedy zwyciężasz.

Książę pokiwał głową.

– Jutro zdobędziemy Orlean i zabezpieczymy brzegi Loary. Stamtąd pojedziemy na północ do Normandii i zmiażdżymy resztki protestanckiej armii.

– Tego obawia się Katarzyna – zauważył Pierre. – Kiedy podbijemy kraj i pozbędziemy się protestantów, ty, książę, będziesz potężniejszy od króla. To ty będziesz rządził Francją.

A ja będę jednym z twoich doradców, dodał w myślach.

Kiedy konie wyszły bezpiecznie na brzeg, wszyscy trzej wsiedli na tratwę.

– Nie mam wiadomości od kardynała Karola – odezwał się Pierre.

Karol był we Włoszech, w Trydencie, na radzie zwołanej przez papieża Piusa IV.

– Nic, tylko gadają i gadają – warknął z pogardą Człowiek z Blizną. – Podczas gdy my zabijamy heretyków.

Pierre był odmiennego zdania.

– Musimy mieć pewność, że Kościół zajmie twarde stanowisko. W przeciwnym razie twoje zwycięstwa, książę, mogłyby zostać podważone przez tolerancyjnych słabeuszy gotowych pójść na kompromis.

Książę się zamyślił. Zarówno on, jak i jego brat słuchali Pierre’a, który kilkukrotnie

udowodnił swoją wartość i nie traktowano go już jak bezczelnego parweniusza. Szczycił się tym.

Człowiek z Blizną otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kiedy rozległ się huk wystrzału.

Dochodził od strony brzegu, który właśnie opuścili. Pierre i Le Pin odwrócili się jak na zawołanie. Choć zapadał zmrok, Pierre wyraźnie zobaczył człowieka, który stał nad brzegiem. Był niski, wyglądał na dwadzieścia kilka lat, miał ciemną karnację i kępkę sterczących włosów na środku czoła. Chwilę później mężczyzna uciekł, a Pierre dostrzegł w jego dłoni pistolet.

Książę upadł.

Le Pin zaklął pod nosem i przyklęknął przy nim.

Pierre widział, że kula trafiła Franciszka w plecy. Strzał oddano z bliska, a barwny ubiór sprawiał, że książę był widoczny jak na dłoni.

– Żyje – rzucił Le Pin. Kolejny raz zerknął w stronę brzegu i Pierre domyślił się, że zastanawia się, czy nie rzucić się w pogoń za zamachowcem. Kiedy po chwili usłyszeli tętent kopyt, zrozumieli, że gdzieś nieopodal na strzelca czekał koń. Ich rumaki stały na drugim brzegu, a zatem szanse schwytania zamachowca były równe zeru. Ktoś zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– Płyń! – ryknął Le Pin do przewoźnika. – Z życiem!

Mężczyzna wiosłował ile sił w obawie, że może zostać oskarżony o współudział w spisku.

Kula trafiła księcia tuż pod prawym ramieniem i prawdopodobnie minęła serce. Z rany na płowożółty dublet wypływała krew. Pierre wiedział, że to dobry znak, albowiem martwi nie krwawią.

Mimo to Człowiek z Blizną mógł nie wrócić do zdrowia. Bywało, że w powierzchowne rany wdawała się infekcja, powodując wysoką gorączkę, a w rezultacie śmierć. Pierre miał ochotę się rozpłakać. Jak mogli stracić swojego bohaterskiego wodza, gdy tylko krok dzielił ich od wygrania wojny?

Kiedy tratwa zbliżała się do brzegu, czekający na nich zbrojni zasypali ich gradem pytań. Pierre je zignorował. Miał własne pytania. Co się stanie, jeśli książę umrze?

Młody Henryk zostanie księciem w wieku dwunastu lat, podobnie jak król Karol IX; zbyt młody, by brać udział w wojnie domowej. Kardynał Karol znajdował się za daleko, a kardynał Ludwik był zbyt pijany. W jednej chwili Gwizjusze stracą wszystkie wpływy.

Kolejny raz władza okazała się czymś przerażająco kruchym.

Pierre odrzucił mroczne myśli i starał się myśleć logicznie. Teraz gdy Gwizjusze zostali osłabieni, królowa Katarzyna – niech ją piekło pochłonie – zawrze pokój z Gaspardem de Coligny i przywróci dekret o tolerancji. Burbonowie i Monmorency wrócą do łask, a przeklęci protestanci będą mogli śpiewać do woli. Wszystko, do czego Pierre dążył przez ostatnie pięć lat, pójdzie na marne.

Nie poddawał się jednak rozpaczy. Cóż mógł zrobić?

Przede wszystkim musiał zachować swoją pozycję głównego doradcy rodziny.

Kiedy wyszli na brzeg, zaczął wydawać polecenia. W sytuacjach kryzysowych ludzie słuchają każdego, kto sprawia wrażenie, że wie, co robi.

– Musimy jak najszybciej zanieść księcia do zamku – rozkazał. – Ostrożnie, żeby się nie wykrwawił. Będziemy potrzebować jakiejś deski. – Rozejrzał się. Jeśli nie znajdą nic innego, rozbiorą tratwę. Zauważywszy pobliską chatę, wskazał na nią. – Zdejmijcie drzwi z zawiasów i połóżcie na nich księcia. Niech sześciu ludzi zaniesie go do zamku.

Zbrojni pospiesznie wykonali rozkaz, zadowoleni, że ktoś mówi im, co mają robić.

Gaston Le Pin nie lubił, gdy rozstawiano go po kątach, więc do niego Pierre zwracał się nieco grzeczniej.

– Myślę, że powinieneś wziąć jednego, dwóch ludzi, wrócić konno na drugi brzeg i ruszyć w pościg za zamachowcem. Przyjrzałeś mu się?

– Niski, smagła cera, na oko dwadzieścia pięć lat, z kępką włosów na czole.

– Widziałem to samo.

– Pojadę za nim. – Le Pin odwrócił się do swoich sługusów. – Rasteau, Brocard, wprowadźcie na barkę trzy konie.

– Potrzebuję najlepszego wierzchowca – rzucił Pierre. – Który jest najszybszy?

– Książęcy rumak, Cannon. Ale po co ci on? To ja mam ścigać zamachowca.

– Zdrowie księcia jest najważniejsze. Pojadę do zamku i poślę po medyków.

To przekonało Le Pine’a.

– Dobrze – odparł.

Pierre dosiadł rumaka i dał mu ostrogę. Nie należał do wytrawnych jeźdźców, a Cannon był rączym koniem, ale zmęczony po całym dniu jazdy poddał się jego woli i zerwał do galopu.

Kilka minut później Pierre dotarł do zamku. Zeskoczył z konia i wbiegł do środka.

– Książę został ranny! – ryknął. – Wkrótce tu będzie! Poślijcie natychmiast po królewskich medyków! I przygotujcie łoże na dole. – Musiał kilka razy powtórzyć polecenia zdumionej służbie.

Słysząc odgłosy zamieszania, księżna Anna d'Este zbiegła na dół. Żona Człowieka z Blizną była niezbyt ładną, trzydziestojednoletnią Włoszką. Ich małżeństwo zostało zaaranżowane i choć książę nie należał do najwierniejszych małżonków, był przywiązany do Anny, a ona do niego.

Za plecami matki czaił się młody Henryk, uroczy chłopiec z burzą jasnych, kręconych włosów.

Księżna nigdy nie rozmawiała z Pierre'em ani nie zwracała na niego uwagi, dlatego ważne było, by zaprezentował się jej jako ktoś ważny, na kim można polegać w razie kłopotów.

– Madame, monsieur. – Pierre się ukłonił. – Bardzo mi przykro, ale książę został ranny.

Henryk wyglądał na przerażonego. Pierre pamiętał chłopca, gdy ten miał osiem lat i skarżył się, że jest za młody, żeby brać udział w turniejach. Dzieciak miał charakter i pewnego

dnia godnie zastąpi swojego walecznego ojca. Jednakże ten dzień jeszcze nie nadszedł. Tymczasem Henryk zasypywał go gradem pytań:

– Jak? Gdzie? Kto to zrobił?

Pierre zignorował go i zwrócił się do jego matki:

– Posłałem po królewskich medyków i nakazałem służącym przygotować łoże, tu, na dole, tak by nie trzeba było wnosić księcia po schodach.

– Jak poważna jest rana? – spytała księżna.

– Książę został postrzelony w plecy. Kiedy odjeżdżałem, był nieprzytomny.

Z gardła księżnej dobył się stłumiony szloch, szybko się jednak opanowała.

– Gdzie on jest? Muszę go zobaczyć.

– Zaraz tu będzie. Nakazałem ludziom, żeby położyli go na prowizorycznych noszach. Książę powinien unikać wstrząsów.

– Jak to się stało? Czy doszło do bitwy?

– Mój ojciec nigdy nie zostałby postrzelony w plecy w bitwie! – odezwał się Henryk.

– Cicho – zbeształa go matka.

– Książę Henryk ma rację – zapewnił Pierre i zwrócił się do chłopca: – Twój ojciec, panie, nigdy nie lęka się stanąć naprzeciw wroga. Doszło do zdrady. – Przypomniał sobie, że

zabójca ukrył się i strzelił tuż po tym, jak odbili od brzegu. – Wysłałem ludzi, by schwytali zamachowca.

– Kiedy go złapiemy, żywcem obedrzemy go ze skóry – oświadczył Henryk ze łzami w oczach.

Słysząc to, Pierre pomyślał, że śmierć Człowieka z Blizną może zadziałać na ich korzyść.

– Tak, ale dopiero kiedy wyjawi, czyje rozkazy wykonywał – odparł przebiegle. – Domyślam się, że człowiek, który pociągnął za spust, okaże się kimś nieistotnym. Prawdziwym przestępcą jest ten, kto go tu przysłał.

Zanim zdążył wyjaśnić, kogo ma na myśli, księżna Anna rzuciła z nienawiścią:

– Gaspard de Coligny.

Coligny był z pewnością głównym podejrzanym, zwłaszcza teraz, kiedy Antoni Burbon nie żył, a jego brat Ludwik został uwięziony. Prawda jednak nie miała znaczenia. Po tym, co się wydarzyło, Gwizjusze jeszcze bardziej znienawidzą Coligny'ego – zwłaszcza podatny na wpływy chłopiec, którego ojciec został właśnie ranny. W głowie Pierre'a powstawał kolejny plan, kiedy krzyki z zewnątrz uprzedziły go o przybyciu księcia.

Nie odstępował księżnej na krok, gdy Człowiek z Blizną został wniesiony do zamku i położony do łoża. Za każdym razem, gdy Anna wyrażała życzenie, powtarzał je głośno i wyraźnie niczym rozkaz, dzięki czemu zdawało się, że jest jej prawą ręką. Księżna była zbyt zrozpaczona, by przejrzeć jego zamiary, i z ulgą przyjmowała obecność kogoś, kto najwyraźniej wiedział, co należy robić.

Książę odzyskał przytomność i był w stanie porozmawiać z żoną i synem. Niedługo potem przybyli medycy. Orzekli, że rana nie wygląda na śmiertelną, lecz wiedząc, jak łatwo o zakażenie, nikt nie śmiał się radować.

Gaston Le Pin i jego dwóch ludzi wrócili o północy z pustymi rękami. Pierre zdybał go na korytarzu.

– Jutro z samego rana wznowisz poszukiwania – powiedział. – Nie będzie żadnej bitwy; książę nie wydobrzeje przez noc. To znaczy, że będziesz miał do dyspozycji mnóstwo ludzi. Zacznijcie wczesnym świtem. Musimy znaleźć tego człowieka.

Le Pin skinął głową w milczeniu.

Pierre przez całą noc czuwał przy łożu księcia.

O świcie spotkał się na korytarzu z Le Pinem.

– Jeśli go złapiecie, ja będę prowadził przesłuchanie – wyjaśnił. – Tak zarządziła księżna. – Nie była to prawda, ale Le Pin nie musiał o tym wiedzieć. – Zamknij go gdzieś i przyjdź po mnie.

– Tak zrobię.

Widział, jak Le Pin razem z Rasteau i Brocardem opuszczają zamek. Po drodze wezmą tylu ludzi, ilu będą potrzebować.

Niedługo potem Pierre położył się spać, wiedząc, że kolejne dni będą wymagały od niego jasności umysłu i pewności siebie.

W południe zbudził go Le Pin.

– Mamy go – oświadczył zadowolony.

– Kto to? – Pierre zerwał się na równe nogi.

– Nazywa się Jean de Poltrot, jest panem de Méré.

– Mam nadzieję, że nie przywiozłeś go do zamku.

– Nie… młody Henryk mógłby chcieć go zabić. Jest w kajdanach w domu księdza.

Pierre ubrał się szybko i pojechał z Le Pinem do sąsiedniej wioski. Kiedy tylko został sam na sam z Poltrotem, zapytał:

– To Gaspar de Coligny nakazał ci zamordować księcia Gwizjusza?

– Tak – odparł więzień.

Niebawem okazało się, że Poltrot powie wszystko, co mu każą. Pierre znał takich jak on – potrafili kłamać na zawołanie.

Poltrot prawdopodobnie był protestanckim szpiegiem, ale nikt nie wiedział, kto kazał mu zamordować Człowieka z Blizną. Mógł to być Coligny, jak twierdził, albo inny protestancki przywódca. A może sam wpadł na ten pomysł.

Przez kolejne kilka dni wylewał z siebie potoki słów. Prawdopodobnie połowa z nich miała zadowolić śledczego, a druga poprawić wizerunek Poltrota. To, co mówił jednego dnia, było sprzeczne z tym, co opowiadał na drugi dzień. Był kompletnie niewiarygodny.

To jednak nie stanowiło problemu.

Pierre spisał zeznania Poltrota, w których twierdził, że Gaspard de Coligny zapłacił mu za zabójstwo księcia Gwizjusza, a więzień chętnie je podpisał.

Nazajutrz Człowiek z Blizną dostał wysokiej gorączki i lekarze kazali mu się przygotować na spotkanie ze Stwórcą. Brat księcia, kardynał Ludwik, udzielił mu ostatniego namaszczenia i Franciszek pożegnał się z żoną i synem.

Kiedy księżna i Henryk, tonąc we łzach, opuścili komnatę, Pierre podszedł do niej.

– To Coligny zamordował księcia – oświadczył i pokazał jej zeznanie.

– Coligny musi umrzeć! – warknęła księżna. Pierre nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji. – Musi umrzeć! – powtórzyła.

Powiedział jej, że królowa Katarzyna już zrobiła pokojowy gest wobec protestantów i wyciągnęła rękę do zgody, więc Coligny pewnie uniknie kary.

Słysząc to, Henryk wpadł w histerię i pisnął chłopięcym głosikiem:

– Zabiję go! Sam go zabiję!

– Pewnego dnia to zrobisz, książę – powiedział Pierre. – I będę wtedy przy tobie.

Człowiek z Blizną zmarł następnego dnia.

Kardynał Ludwik odpowiedzialny za uroczystości pogrzebowe rzadko bywał na tyle trzeźwy, żeby sprostać zadaniu, zatem obowiązek ten spadł na Pierre'a. Z pomocą księżnej Anny przygotował wspaniałą ceremonię. Zaplanowano, że ciało księcia zostanie przewiezione do Paryża, a jego serce spocznie w katedrze Notre Dame. Następnie trumna z ciałem miała trafić do Szampanii, gdzie zostanie pochowana na cmentarzu w Joinville. Były to uroczystości pogrzebowe godne króla i bez wątpienia królowa Katarzyna wolałaby

skromniejszą ceremonię, Pierre nie zamierzał jednak pytać jej o zdanie. Katarzyna, kiedy tylko mogła, unikała konfliktów i z pewnością domyślała się, że Człowiek z Blizną nie może jej już zaszkodzić.

Tymczasem plan Pierre'a, by uczynić z Coligny'ego kozła ofiarnego, nie poszedł tak gładko, jak się tego spodziewał. Kolejny raz królowa udowodniła, że jest równie przebiegła, jak jej przeciwnicy. Wysłała kopię zeznania Poltrota Coligny'emu, który zbiegł do protestanckiej Normandii, i poprosiła, by odpowiedział na piśmie. Z pewnością już planowała, jak go uniewinnić.

Jednakże Gwizjusze byli pamiętliwi.

Zanim ciało księcia zostało przewiezione do Paryża, Pierre udał się do stolicy, by zakończyć przygotowania. Wcześniej wysłał tam Poltrota, który został uwięziony w Conciergerie na zachodnim krańcu Île de la Cité. Na rozkaz Pierre'a trzymano go pod strażą. Paryżanie kochali Człowieka z Blizną i gdyby wściekły tłum dorwał Poltrota, rozerwałby go na strzępy.

Kiedy ciało księcia było w drodze do stolicy, Coligny wydał oświadczenie, w którym zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem, i przesłał jego kopie do królowej

Katarzyny i innych możnych. Nawet Pierre musiał przyznać, że brzmiało ono niezwykle przekonująco. Gaspard był heretykiem, ale nie głupcem i gdyby rzeczywiście planował zabójstwo księcia, prawdopodobnie zleciłby je komuś innemu niż niezrównoważony Poltrot.

Ostatnia część zeznania Coligny'ego była szczególnie niebezpieczna. Przypominał on, że ma prawo skonfrontować się ze swym oskarżycielem w sądzie, i błagał królową Katarzynę, by zapewniła Poltrotowi bezpieczeństwo tak, by dożył do rozprawy.

Bezstronne dochodzenie to ostatnie, czego potrzebował Pierre.

Jakby tego było mało, w więzieniu Poltrot wycofał swoje zeznania.

Pierre musiał coś z tym zrobić. Udał się do sądu najwyższego – zwanego również paryskim parlamentem – i zażądał natychmiastowego procesu. Oświadczył, że jeśli zabójca nie zostanie ukarany, w mieście wybuchną zamieszki; zwłaszcza gdy ciało księcia dotrze do Paryża. Sędziowie przyznali mu rację.

Wczesnym rankiem osiemnastego marca trumna z ciałem księcia wjechała na południowe przedmieścia Paryża, skąd została przewieziona do klasztoru.

Nazajutrz rano Poltrot został uznany za winnego i skazany na śmierć przez rozerwanie końmi.

Wyrok wykonano na placu de Grève, na oczach wiwatującej tłuszczy. Pierre uczestniczył w widowisku, chcąc mieć pewność, że Poltrot umrze. Skazańca przywiązano za ręce i nogi do czterech koni zwróconych w cztery strony świata. Następnie popędzono zwierzęta biczem. Teoretycznie kończyny Poltrota powinny zostać wyrwane z korpusu, a okaleczone ciało miało się wykrwawiać na oczach tłumu, lecz kat źle zawiązał liny i węzły puściły. Pierre posłał więc po topór, którym odrąbano ręce i nogi skazańca. Zgromadzeni na placu ludzie zachęcali kata okrzykami. Było to upiorne widowisko. W pewnym momencie, mniej więcej pół godziny później, Poltrot przestał krzyczeć i stracił przytomność. W końcu jego głowa z charakterystyczną kępką włosów została odrąbana i zatknięta na pal.

Następnego dnia trumna z ciałem księcia Gwizjusza przybyła do Paryża.

XI

Sylvie Palot obserwowała kondukt pogrzebowy pełna dobrych myśli.

Wkroczył do Paryża od południa, przez bramę Świętego Michała, i przeszedł przez dzielnicę uniwersytecką, gdzie miała swój sklep. Na przedzie szły dwadzieścia dwie płaczki ubrane w żałobną biel i podzwaniając dzwoneczkami, zachęcały mieszkańców Paryża do modlitwy za nieżyjącego bohatera. Tuż za nimi, niosąc krzyże, podążali księża z każdej parafii w mieście. Dalej szło dwustu najzamożniejszych mieszkańców miasta z płonącymi pochodniami, których dym zasnuwał niebo czarnym całunem. Zwycięską armię Człowieka z Blizną reprezentowało sześć tysięcy żołnierzy z opuszczonymi chorągwiami. Stłumiony dźwięk bębnów brzmiał niczym huk odległych wystrzałów. Za nimi szła straż miejska z czarnymi flagami powiewającymi na wiejącym od rzeki, chłodnym marcowym wietrze.

Tłumy pogrążonych w żałobie paryżan wyległy na ulice, jednak Sylvie wiedziała, że niektórzy tak jak ona cieszą się ze śmierci Człowieka z Blizną. Jego zabójstwo przyniosło pokój – przynajmniej chwilowy – a królowa

Katarzyna spotkała się z Gaspardem de Coligny, żeby opracować nowy dekret o tolerancji.

Podczas wojny domowej prześladowania się nasiliły, choć protestanci z otoczenia Sylvie mogli poniekąd czuć się bezpieczni. Pewnego dnia, gdy Pierre towarzyszył Człowiekowi z Blizną, a Odette jadła obiad z przyjaciółkami, Sylvie usiadła przy biurku Pierre'a i słowo po słowie przepisała informacje z czarnego notesu. W tym czasie Nath bawiła się z dwuletnim Alainem, który był jeszcze zbyt mały, by opowiedzieć rodzicom o jej odwiedzinach.

Nie znała większości nazwisk. Wiele z nich było z pewnością zmyślonych, gdyż protestanci mieli świadomość, że mogą być szpiegowani, i często posługiwali się fałszywymi nazwiskami; przecież ona i jej matka też używały innych imion, Thérèse i Jacqueline, i nie mówiły nikomu o sklepie. Sylvie nie miała pojęcia, które dane są prawdziwe, a które nie.

Wśród nich były jednak nazwiska jej przyjaciół i współwyznawców. Zostali oni dyskretnie ostrzeżeni. Kilkoro opuściło protestancką wspólnotę i nawróciło się na katolicyzm; inni przeprowadzili się i zmienili nazwisko; a jeszcze inni wyjechali z Paryża

i udali się do miast, gdzie mogli czuć się bezpieczniej.

Z biegiem czasu Nath dołączyła do wspólnoty i brała udział w spotkaniach na strychu, gdzie głośno fałszując, wychwalała Pana. Mając w kieszeni dziesięć złotych ecu, zaczęła mówić o opuszczeniu domu Pierre'a, ale Sylvie przekonała ją, że powinna zostać i nadal szpiegować dla protestantów.

Względny spokój sprzyjał sprzedaży ksiąg i Sylvie ucieszyła się, kiedy Guillaume przyjechał z Genewy z nowym zapasem. Biedaczek, nadal się w niej kochał. Lubiła go i cieszyła się, że ma w nim sprzymierzeńca, jednak nie była w stanie odwzajemnić jego uczuć. Matka nie zrozumiała, jak Sylvie może odrzucać tak doskonałą partię. Guillaume był inteligentnym, zamożnym, przystojnym młodzieńcem o takich samych przekonaniach i ideałach jak one. Czego chcieć więcej? Sylvie sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Widząc trumnę okrytą sztandarem z herbem Gwizjuszów, która spoczywała na lawecie wózkowej ciągnionej przez sześć białych koni, nie modliła się za duszę Człowieka z Blizną. Dziękowała Bogu, że zakończył jego życie. Miała

nadzieję, że teraz w kraju zapanuje spokój i tolerancja.

Za trumną w otoczeniu dam dworu jechała wdowa, Anna, cała w bieli. A tuż za nią uroczy chłopiec z jasnymi włosami, niechybnie dziedzic księcia, Henryk. Obok niego, ubrany w biały płaszcz z futrzanym kołnierzem, jechał przystojny, na oko dwudziestopięcioletni młodzieniec z burzą gęstych, jasnych włosów.

Sylvie z przerażeniem i odrazą patrzyła na doradcę nowego księcia Gwizjusza. Rozpoznała w nim Pierre’a.

ROZDZIAŁ 12

I

Barney doszedł do wniosku, że karaibska wyspa Hispaniola to zapewne najgorętsze miejsce na świecie.

Latem 1563 roku wciąż był zbrojmistrzem i artylerzystą na *Jastrzębiu*, choć minęły już trzy lata, odkąd wsiadł na ten okręt w Antwerpii, pragnąc dostać się jedynie do portu Combe. Tęsknił za domem i rodziną, lecz w gruncie rzeczy wcale nie był zły, że wciągnięto go podstępem do załogi. Życie na morzu było niebezpieczne, a czasami okrutne, lecz miało w sobie coś, co odpowiadało Barneyowi. Lubił budzić się rankiem ze świadomością, że nie wiadomo, co przyniesie dzień. Nabierał coraz większego przekonania, że upadek interesu jego matki, choć smutny i niefortunny, dla niego był wyzwoleniem.

Największą wadą marynarskiego życia było wyłącznie męskie towarzystwo. Zawsze lubił kobiety i miał u nich powodzenie. W odróżnieniu od wielu innych marynarzy nie korzystał z usług portowych prostytutek, które zarażały swoich klientów paskudnymi chorobami. Pragnął po prostu przechadzać się ulicą z dziewczyną u boku, flirtować z nią i szukać okazji, by skraść jej całusa.

Jastrząb popłynął z Antwerpii do Sewilli, a potem na Wyspy Kanaryjskie. Następnie odbył serię lukratywnych rejsów, podczas których przewoził noże, płytki ceramiczne i ubrania z Sewilli na wyspy, skąd z kolei zabierał mocne kanaryjskie wino. Była to spokojna, pozbawiona większych zagrożeń działalność; Barney nie miał dużo pracy, choć przez cały czas utrzymywał broń w gotowości. Wprawdzie załoga zmniejszyła się z pięćdziesięciu do czterdziestu osób – za sprawą chorób i wypadków, nieodłącznej części życia na morzu – ale marynarze z *Jastrzębia* nie musieli z nikim walczyć.

Potem kapitan Bacon uznał, że naprawdę duże pieniądze przynosi handel niewolnikami. Na Teneryfie znalazł Portugalczyka, niejakiego Duarte, który znał dobrze zarówno wybrzeże

Afryki, jak i przeprawę przez Atlantyk. Załoga nie miała wcale ochoty uczestniczyć w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu, szczególnie po tak długim pobycie na morzu, Bacon obiecał więc wszystkim, że po tym rejsie wrócą do domu i otrzymają dodatkowe pieniądze.

Handel niewolnikami był jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki w zachodniej Afryce. Od niepamiętnych czasów królowie i niewolnicy z tej części świata sprzedawali swoich pobratymców arabskim kupcom, którzy wywozili ich na targi niewolników na Bliskim Wschodzie. Nowi – europejscy – handlarze tylko dołączyli do istniejącego już interesu.

Bacon kupił w Sierra Leone trzysta dwadzieścia osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, i z nimi na pokładzie *Jastrząb* popłynął na zachód przez Ocean Atlantycki, ku nowym olbrzymim i niezbadanym jeszcze terytoriom, które nazywano Nową Hiszpanią.

Załodze wcale się nie podobał ten sposób zarabiania pieniędzy. Nieszczęśni niewolnicy, skuci łańcuchami, tkwili dzień i noc pod pokładem, w ciasnocie i brudzie. Wszyscy słyszeli płacz ich dzieci i zawodzenie kobiet. Czasami więźniowie śpiewali smutne pieśni, by

podtrzymywać się nawzajem na duchu, a to było jeszcze gorsze. Co kilka dni któryś umierał, a wtedy bez żadnych ceremonii wyrzucano jego ciało za burtę.

– To tylko bydło – tłumaczył Bacon, gdy ktoś się skarżył, ale bydło nie śpiewa żałobnych pieśni.

Pierwsi Europejczycy, którzy przepłynęli Atlantyk i dotarli do rozległego archipelagu, myśleli, że to Indie, nazwali więc wyspy Indiami Zachodnimi. Teraz, po podróżach Magellana i Juana Sebastiana Elcano, którzy opłynęli cały glob, znano już prawdę, lecz nazwa pozostała.

Hispaniola była najbardziej rozwiniętą spośród tych kilku wysp, które zostały zasiedlone i nazwane przez Europejczyków. Santo Domingo, stolica Hispanioli, było pierwszym europejskim miastem w Nowej Hiszpanii, miało nawet katedrę, choć Barneyowi nie udało się jej zobaczyć. Duarte skierował *Jastrzębia* w miejsce odległe od miasta, bo działalność prowadzona przez Bacona była nielegalna. Oficjalnie władzę w Hispanioli sprawował król Hiszpanii, a angielskim kupcom nie wolno było tu handlować. Dlatego też Duarte radził Baconowi, by przybił do północnego wybrzeża. Jak najdalej od sił prawa i porządku.

Plantatorzy cukru rozpaczliwie potrzebowali siły roboczej. Barney słyszał, że mniej więcej połowa Europejczyków, którzy wyemigrowali do Indii Zachodnich, zmarła w ciągu pierwszych dwóch lat – wskaźnik śmiertelności był niemal równie wysoki, jak wśród Afrykanów, którzy wydawali się odporni na choroby Nowej Hiszpanii, choć nie na wszystkie. W związku z tym plantatorzy bez oporów kupowali niewolników od angielskich handlarzy. Dzień po tym, jak *Jastrząb* zacumował w jakiejś małej przystani bez nazwy, Bacon sprzedał osiemdziesięcioro niewolników, przyjmując zapłatę w złocie, perłach i skórach.

Jonathan Greenland, pierwszy oficer, kupił w mieście zapasy, a załoga po raz pierwszy od dwóch miesięcy mogła się rozkoszować świeżym jedzeniem.

Następnego ranka Barney wdał się w dłuższą rozmowę z Jonathanem. Stali obaj na śródokręciu, skąd roztaczał się widok niemal na całe miasteczko, przy którym w końcu zacumowali. Drewniane molo prowadziło na małą plażę i dalej na rynek. Wszystkie budynki zbudowano z drewna, poza mały pałacem wzniesionym z wapienia koralowego o barwie jasnego złota.

– Nie podoba mi się, że robimy to nielegalnie – powiedział cicho Barney. – Możemy za to trafić do hiszpańskiego więzienia, i to nie wiadomo na jak długo.

– Żebyśmy jeszcze coś za to mieli… – mruknął Jonathan. Załoga nie uczestniczyła w podziale zysków z handlu, mogła tylko zabierać pieniądze i skarby ze zdobytych statków, Jonathan był więc rozczarowany, że podczas ich rejsu nie doszło do żadnych potyczek.

Podczas ich rozmowy z pałacu wyszedł młody mężczyzna w sutannie. Energicznym krokiem przeciął rynek i plażę, po czym wkroczył na molo. Zawahał się na moment dopiero przy trapie, ale pokonał i tę przeszkodę, po czym zbliżył się do Barneya i Jonathana.

– Muszę rozmawiać z waszym dowódcą – oznajmił po hiszpańsku, przybierając ważną minę.

– Kapitan Bacon jest w swojej kajucie – odparł Barney w tym samym języku. – Kim jesteś?

Mężczyzna wydawał się oburzony, że ktoś śmie go wypytywać.

– Jestem ojciec Ignacio i przynoszę wiadomość od don Alfonsa.

Barney domyślił się, że Alfonso był miejscowym przedstawicielem hiszpańskiej

władzy, a Ignacio jego sekretarzem.

– Proszę mi przekazać tę wiadomość, a ja dopilnuję, żeby dotarła do kapitana.

– Don Alfonso żąda, by wasz kapitan natychmiast się u niego stawił.

Barney nie chciał wchodzić w konflikt z miejscowymi władzami, zignorował więc aroganckie zachowanie ojca Ignacia.

– Jestem pewien, że kapitan chętnie spotka się z don Alfonsem – odpowiedział łagodnym tonem. – Proszę chwilę poczekać, poszukam go.

Barney poszedł do kajuty Bacona. Kapitan był już ubrany i jadł właśnie smażone banany ze świeżym chlebem.

– Możesz pójść ze mną, lepiej znasz hiszpański – zwrócił się do Barneya, gdy ten przekazał mu słowa ojca Ignacia.

Kilka minut później opuścili statek. Barney czuł na twarzy ciepłe promienie wschodzącego słońca – zapowiadał się kolejny bardzo upalny dzień. Przeszli w ślad za Ignaciem po plaży. Nieliczni mieszkańcy miasta, którzy o tej porze byli już na nogach, przyglądali się im z nieskrywanym zainteresowaniem. Najwyraźniej ludzie spoza wyspy pojawiali się tu tak rzadko, że stanowili prawdziwą sensację.

Kiedy przechodzili przez zakurzony rynek, Barney zwrócił uwagę na dziewczynę w żółtej sukni. Miała jasnobrązową karnację, ale była zbyt dobrze ubrana jak na niewolnicę. Przetoczyła beczułkę od drzwi domu do wózka, a potem podniosła głowę i obdarzyła gości śmiałym, niemal wyzywającym spojrzeniem. Barney aż drgnął ze zdumienia, ujrzawszy, że dziewczyna ma niebieskie oczy.

Z trudem odwrócił głowę i ponownie przeniósł wzrok na pałac. Dwaj uzbrojeni strażnicy, mrużąc oczy w blasku porannego słońca, obserwowali w milczeniu, jak Barney i Bacon przechodzą wraz z Ignaciem przez bramę pałacu. Barney poczuł się jak przestępca, którym właściwie był, i zastanawiał się przez chwilę, czy wyjdzie z tego miejsca równie łatwo, jak do niego wszedł.

We wnętrzu pałacu, z kamienną podłogą i wysoko sklepionym sufitem, panował przyjemny chłód. Ściany pokryte były jasnoniebieskimi i złotawymi płytkami, w których Barney rozpoznał ceramikę z Sewilli. Ignacio wprowadził ich po szerokich schodach na piętro i kazał usiąść na drewnianej ławce. Barney zrozumiał, że miał to być wyraz lekceważenia – burmistrz tej miejscowości

z pewnością nie przyjmował co rano tłumu interesantów. Zmusił ich do czekania, by pokazać, że może to robić. Barney uznał to za dobry znak; don Alfonso nie bawiłby się w takie podchody, gdyby chciał ich od razu wtrącić do więzienia.

Po kwadransie na korytarzu pojawił się ponownie ojciec Ignacio.

– Don Alfonso może was teraz przyjąć – oznajmił, po czym wprowadził ich do obszernego pomieszczenia z wysokimi oknami zaopatrzonymi w okiennice.

Alfonso był otyłym pięćdziesięciolatkiem o siwych włosach i niebieskich oczach. Siedział na wyjątkowo szerokim krześle, które dopasowano zapewne specjalnie do jego tuszy. Na stoliku leżały dwie grube laski, co świadczyło o tym, że burmistrz nie może się już swobodnie poruszać o własnych siłach.

Przeglądał plik dokumentów, a Barney ponownie odniósł wrażenie, że służy to jedynie poniżeniu gości. Obaj Anglicy czekali wraz z Ignaciem, aż Alfonso raczy przemówić. Barney widział, że kapitana ogarnia złość wywołana tym lekceważącym traktowaniem, modlił się więc w duchu, by dowódca zdołał się jednak opanować.

W końcu Alfonso podniósł na nich wzrok.

– Jesteście aresztowani – oznajmił. – Prowadzicie nielegalny handel.

Właśnie tego obawiał się Barney.

Przetłumaczył słowa burmistrza, a Bacon odpowiedział bez namysłu:

– Jeśli spróbuje mnie aresztować, *Jastrząb* zrówna jego miasto z ziemią.

Barney dobrze wiedział, że to spora przesada. Ich statek dysponował tylko małymi armatami, które nie byłyby w stanie zniszczyć solidnego kamiennego budynku. Nie zdołałyby nawet zatopić statku, chyba że za sprawą wyjątkowo szczęśliwego zbiegu okoliczności. Czterofuntowe kule armatnie miały za zadanie unieruchomić wrogi okręt, niszcząc jego maszty i takielunek oraz zabijając lub zastraszając załogę, a tym samym pozbawiając kapitana kontroli nad jednostką. *Jastrząb* mógł więc w podobny sposób potraktować miasteczko, ale raczej nie poradziłby sobie z pałacem.

Barney szukał przez chwilę słów, które pozwoliłyby mu oddać ripostę kapitana w nieco łagodniejszej i bardziej pojednawczej postaci.

– Kapitan Bacon sugeruje – zwrócił się w końcu po hiszpańsku do burmistrza – by wysłał pan do jego załogi wiadomość, że został

zatrzymany całkowicie zgodnie z prawem, a wtedy jego ludzie prawdopodobnie nie ostrzelają pańskiego miasta, choćby nawet byli bardzo rozgniewani.

– On powiedział coś innego – zaprotestował Alfonso, który najwyraźniej znał trochę angielski.

– Ale to miał na myśli.

– Spytaj go, jakiej chce łapówki – polecił zniecierpliwiony Bacon.

W tłumaczeniu Barneya jego słowa znów były znacznie taktowniejsze.

– Kapitan Bacon pyta, ile kosztowałaby licencja pozwalająca na handel w tym mieście.

W pomieszczeniu zapadła na moment cisza. Czy Alfonso uniesie się gniewem i wtrąci ich do więzienia nie tylko za nielegalny handel, ale i za próbę przekupstwa?

– Pięć escudo za niewolnika, płatne u mnie – odpowiedział wreszcie burmistrz.

Bogu dzięki, pomyślał z ulgą Barney.

Cena była wysoka, ale nie wygórowana. Hiszpańska moneta zwana escudo zawierała jedną ósmą uncji złota.

– Nie mogę zapłacić więcej niż escudo – odrzekł Bacon.

– Trzy.

– Zgoda.

– Jeszcze jedno.

– Cholera – mruknął Bacon. – Za łatwo się zgodziłem. Teraz będzie chciał jakichś dodatkowych opłat.

– Kapitan Bacon nie zapłaci więcej – odpowiedział po hiszpańsku Barney.

– Musicie zagrozić, że zniszczycie moje miasto – oznajmił Alfonso.

– Co? – zdumiał się Barney.

– Kiedy władze w Santo Domingo zarzucą mi, że pozwoliłem na prowadzenie nielegalnego handlu, odpowiem, że musiałem ratować miasto przed gniewem okrutnych angielskich piratów.

Barney przetłumaczył te słowa, a Bacon odparł krótko:

– W porządku.

– Potrzebuję tego na piśmie.

Kapitan skinął głową.

Zaniepokojony Barney zmarszczył brwi. Uważał, że przyznawanie się na piśmie do popełnienia przestępstwa to kiepski pomysł, nawet jeśli takie oświadczenie byłoby zgodne z prawdą. Z drugiej strony, nie widział innego rozwiązania.

W tym momencie otworzyły się drzwi komnaty i do środka wkroczyła dziewczyna w żółtej sukni. Ignacio obrzucił ją obojętnym

spojrzeniem, a Alfonso uśmiechnął się czule. Podeszła bez słowa do jego krzesła i ucałowała go w czoło jak najbliższego członka rodziny.

– Moja siostrzenica, Bella – wyjaśnił Alfonso.

Barney domyślił się od razu, że „siostrzenica" oznacza w tym przypadku tyle co „nieślubna córka". Wyglądało na to, że Alfonso dorobił się dziecka z jakąś piękną niewolnicą. Barney przypomniał sobie, jak Ebrima mówił, że właściciele wykorzystują seksualnie niewolników.

Bella przyniosła butelkę i postawiła teraz na stole obok lasek burmistrza.

– Pomyślałam, że przyda ci się trochę rumu – powiedziała nienagannym hiszpańskim, w którym pobrzmiewał jakiś nieznany Barneyowi akcent.

Spojrzała prosto na Barneya, a ten uświadomił sobie, że jej oczy mają ten sam odcień błękitu co oczy Alfonsa.

– Niech ci wyjdzie na zdrowie – dodała, po czym wyszła.

– Jej matka była prawdziwą złośnicą, niech spoczywa biedaczka w spokoju. – Alfonso westchnął nostalgicznie. Milczał, najwyraźniej oddając się wspomnieniom. – Powinniście

spróbować rumu Belli – odezwał się po chwili. – Jest najlepszy. Poczęstujcie się, proszę.

Barney wreszcie nieco się rozluźnił, zrozumiawszy, że ich sytuacja zdecydowanie się poprawiła. Teraz nie byli już wrogami, lecz wspólnikami.

Ojciec Ignacio wyjął z kredensu trzy kielichy, odkorkował butelkę i nalał każdemu z trzech mężczyzn sowitą porcję. Alfonso i jego goście bez słowa wypili trunek. Był to rzeczywiście bardzo dobry rum, mocny, lecz łagodny, z przyjemnym posmakiem.

– Interesy z panem to czysta przyjemność, don Alfonso – powiedział Bacon.

Hiszpan uśmiechnął się pod nosem.

– Zdaje się, że sprzedał pan osiemdziesięciu niewolników? – spytał.

– Cóż, nie wiedzieliśmy, że przepisy zabraniają… – zaczął się usprawiedliwiać Bacon.

– Co oznacza, że jest mi pan winien dwieście czterdzieści escudo – przerwał mu bezceremonialnie Alfonso. – Możemy uregulować ten rachunek od razu, tu i teraz.

Bacon zmarszczył brwi.

– To może być trudne…

– Dostał pan za tych niewolników cztery tysiące escudo – dodał burmistrz, zanim Barney

zdążył przetłumaczyć słowa kapitana.

Barney uniósł brwi; nie wiedział, że Bacon, który nie dzielił się z nikim informacjami o swoich finansach, zarobił aż tyle.

– Stać pana na to, żeby wypłacić mi teraz te dwieście czterdzieści escudo – kontynuował Alfonso.

Miał rację. Bacon wyjął ciężką sakiewkę i skrupulatnie odliczył żądaną kwotę, głównie w większych monetach zwanych dublonami, z których każda zawierała ćwierć uncji złota, a tym samym miała wartość dwóch escudo. Kapitan krzywił się przy tym okropnie, jakby ta czynność sprawiała mu fizyczny ból. Najwyraźniej nie mógł pogodzić się z myślą, że musi zapłacić tak dużą łapówkę.

Ignacio sprawdził odliczoną kwotę i skinął głową, patrząc na burmistrza.

Bacon wstał od stołu, gotów do wyjścia.

– Proszę przysłać mi ten list z pogróżkami, zanim sprzeda pan kolejnych niewolników – dorzucił Alfonso, na co kapitan tylko wzruszył ramionami.

Barney skrzywił się mimowolnie. Grubiańskie maniery irytowały Hiszpanów, którzy cenili sobie oficjalne formy. Nie chciał, by kapitan zepsuł wszystko, obrażając burmistrza, i to tuż

przed wyjściem – oficjalnie nadal podlegali przecież hiszpańskiej jurysdykcji. Postanowił więc wziąć sprawy w swoje ręce.

– Dziękujemy, don Alfonso, że zechciałeś nas przyjąć – odezwał się grzecznie. – Jesteśmy zaszczyceni twoją gościnnością.

Alfonso odprawił ich łaskawym gestem, a Ignacio wyprowadził na zewnątrz.

Barney był znacznie spokojniejszy, choć nie miał wcale pewności, czy rzeczywiście nic im już nie grozi. Tak czy inaczej, chciał zobaczyć ponownie Bellę. Był ciekaw, czy jest mężatką albo czy ktoś ubiega się o jej rękę. Przypuszczał, że ma około dwudziestu lat, choć wyglądała na mniej, wiedział jednak, że ludzie o ciemnej karnacji wydają się zwykle młodsi. Bardzo zależało mu na tym, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Kiedy już zostali sami na rynku miasteczka, zwrócił się do kapitana:

– Potrzebujemy rumu, nasze zapasy prawie się skończyły. Może kupię beczułkę od tej siostrzenicy burmistrza, Belli?

Bacon domyślił się od razu, co tak naprawdę nim kieruje.

– Dobrze, idź do niej, ty jurny młokosie.

Ruszył w stronę statku, a Barney wrócił do drzwi domu, z którego wyszła wcześniej Bella. Choć wzniesiony z drewna, przypominał do złudzenia dom Carlosa Cruza w Sewilli, łącznie z przejściem o łukowatym sklepieniu prowadzącym do warsztatu na dziedzińcu, typowym dla siedzib hiszpańskich rzemieślników.

Barney poczuł charakterystyczny zapach melasy, czarnego gorzkiego syropu, który powstawał podczas drugiego gotowania trzciny cukrowej i służył głównie do wyrobu rumu. Domyślił się, że zapach dochodzi z wielkich beczek ustawionych wzdłuż jednej ze ścian. Po drugiej stronie stały mniejsze beczki oraz butelki przeznaczone zapewne na gotowy już rum. Naprzeciwko wejścia znajdował się niewielki sad, w którym rosły drzewka cytrusowe.

Pośrodku otwartej przestrzeni stały dwa duże zbiorniki. Jeden z nich, zbudowany na podstawie kwadratu, z uszczelnionych desek, które sięgały Barneyowi do pasa, wypełniony był gęstą miksturą, którą nieustannie mieszał Afrykanin wyposażony w duże drewniane wiosło. Nad zbiornikiem unosił się zapach drożdży, Barney uznał więc, że jest to kadź fermentacyjna. Tuż obok znajdował się żelazny kocioł zawieszony

nad ogniem i przykryty stożkowatą pokrywką z długim dzióbkiem, z którego skapywała do wiadra ciemna ciecz. Barney domyślał się, że w kotle zachodzi proces destylacji, dzięki któremu sfermentowany zacier zamienia się w rum.

Bella stała nad wiadrem i wąchała zgromadzoną w nim ciecz. Barney obserwował ją ukradkiem, podziwiając jej koncentrację. Była szczupła, lecz umięśniona, miała mocne nogi i ramiona, co zawdzięczała zapewne przetaczaniu ciężkich beczek. Kształt jej czoła przywiódł mu na myśl Ebrimę, więc kierowany nagłym odruchem, zwrócił się do niej w języku mandinka.

– *Aj bi njadi?* – spytał. „Jak się masz?”

Przestraszona, aż podskoczyła i odwróciła się. Widząc Barneya, nieco już spokojniejsza, wypowiedziała kilka zdań w tym samym języku.

– Tak naprawdę nie znam mandinka, przepraszam – odparł Barney po hiszpańsku. – Nauczyłem się tylko kilku słów od przyjaciela w Sewilli.

– Moja mama mówiła w mandinka – wyjaśniła dziewczyna, również po hiszpańsku. – Nie żyje od kilku lat. Wystraszyłeś mnie.

– Przepraszam.

Bella przyjrzała mu się z uwagą.

– Niewielu Europejczyków chce się nauczyć choćby kilku słów w jakimkolwiek afrykańskim języku.

– Ojciec wpajał nam, że trzeba się uczyć wszystkich języków, z jakimi się stykamy. Mówił, że to lepsze niż pieniądze w banku.

– Jesteś Hiszpanem? Nie wiedziałam, że Hiszpanie mogą mieć rude brody…

– Anglikiem.

– Nigdy jeszcze nie spotkałam Anglika. – Podniosła wiadro stojące u jej stóp, powąchała jego zawartość, a potem wylała ją na ziemię.

– Coś nie tak z tym rumem? – zdziwił się Barney.

– Zawsze trzeba wyrzucić pierwszą porcję destylatu. Jest trująca. Można ją zachować i używać do czyszczenia butów, ale wcześniej czy później zawsze znajdzie się jakiś idiota, który ją wypije i otruje się. Więc na wszelki wypadek wszystko wylewam. – Dotknęła dzióbka kotła i powąchała ciecz, która pozostała na jej smukłym palcu. – To już jest lepsze. – Ustawiła w miejscu wiadra beczkę, po czym odwróciła się do Barneya. – Chcesz kupić trochę rumu?

– Tak, poproszę.

– Chodź ze mną. Pokażę ci, jak najlepiej go pić.

Przeszli razem na skraj dziedzińca, gdzie Bella zaczęła zrywać z drzew małe jasnozielone limonki i podawać je Barneyowi. Przyglądał się jej z zachwytem. Ruchy miała płynne i pełne wdzięku. Przerwała, gdy trzymał już kilkanaście owoców.

– Masz duże dłonie – zauważyła i przyjrzała się im uważniej. – Ale zniszczone! Co się stało?

– To ślady po oparzeniach – wyjaśnił. – Byłem kiedyś zbrojmistrzem w hiszpańskiej armii. Kiedy człowiek ma do czynienia z armatami, ciągle się czymś parzy, zupełnie jak kucharz.

– Szkoda. – Westchnęła. – Zrobiły się przez to brzydkie.

Barney uśmiechnął się. Dziewczyna była zuchwała, ale podobało mu się to.

Wszedł za nią do domu. W pokoju dziennym zamiast podłogi było zwykłe klepisko, a wszystkie meble wykonane zostały bez wątpienia domowym sposobem, Bella ożywiła jednak to miejsce kwiatami bugenwilli i kolorowymi poduszkami. Nie dostrzegł nigdzie przedmiotów świadczących o obecności mężczyzny w tym domu: żadnych butów w rogu, miecza wiszącego na ścianie, wysokiego kapelusza z piórem. Zadowolony z tego, usiadł na

prostym drewnianym krześle, które wskazała mu dziewczyna.

Wyjęła z szafki dwa wysokie kielichy. Barney był zaskoczony – szkło należało tutaj do drogich i luksusowych towarów. Z drugiej jednak strony, dziewczyna żyła z produkcji rumu, a trunki smakują lepiej, gdy pije się je ze szklanych naczyń.

Wzięła od niego limetki, przecięła je wszystkie na pół i wycisnęła sok do ceramicznego dzbanka. Wiedziała, że Barney się w nią wpatruje, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

Nalała do kielichów rumu, mniej więcej na cal wysokości, wsypała do każdego po łyżeczce cukru, wymieszała, a na koniec dopełniła naczynia sokiem z limonek.

Barney wziął od niej kielich i pociągnął łyk. Był to najpyszniejszy napój, jaki kiedykolwiek miał w ustach.

– A niech mnie! To rzeczywiście jest wyborne.

– Mam wysłać po południu trochę rumu na *Jastrzębia*? Trzydziestoczterogalonowa beczka najlepszego gatunku kosztuje u mnie escudo.

Pomyślał, że to naprawdę niska cena – zbliżona do ceny piwa w Kingsbridge. Melasa kosztowała zapewne grosze na tej porośniętej trzciną wyspie.

– Weźmiemy dwie beczki – powiedział.

– Zgoda.

Upił kolejny łyk.

– Jak to się stało, że zajęłaś się produkcją rumu?

– Kiedy moja matka umierała, don Alfonso obiecał, że da jej wszystko, co zechce. Poprosiła więc, żeby darował mi wolność i zapewnił jakieś zajęcie, dzięki któremu będę mogła sama zarabiać na życie.

– A on wymyślił właśnie to?

Bella parsknęła śmiechem, otwierając szeroko usta.

– Nie, proponował robótki ręczne. To ja chciałam produkować rum. A ty? Jak trafiłeś na Hispaniolę?

– Przez przypadek.

– Naprawdę?

– Właściwie przez kilka przypadków.

– Jak to?

Barney pomyślał o Sanchu w Sewilli, o okręcie *José y Maria*, o zabiciu kapitana Gómeza, ucieczce rzeką Leie, o rodzinie Wolmanów w Antwerpii i podstępie kapitana Bacona.

– To długa historia.

– Chętnie jej wysłucham.

– A ja chętnie bym ci ją opowiedział, ale potrzebują mnie na statku.

– Kapitan daje ci czasem wolne?

– Zwykle wieczorami.

– Jeśli zrobię ci kolację, opowiesz mi tę historię?

Serce Barneya zabiło mocniej.

– Jasne.

– Dziś wieczorem?

– Tak – potwierdził, wstając do wyjścia.

Ku jego zaskoczeniu pocałowała go w usta, delikatnie i przelotnie.

– Przyjdź o zachodzie słońca – powiedziała.

II

– Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? – spytał Barney Bellę trzy tygodnie później.

– Może. Nie wiem.

Leżeli na łóżku w jej domu, za oknami właśnie wstało słońce. Zrobiło się już ciepło, więc odrzucili przykrycie. Spali nago: w tym klimacie bielizna nocna nie była potrzebna.

Barney nigdy nie widział widoku równie pięknego jak złotobrązowe ciało Belli leżącej

swobodnie na lnianym prześcieradle, oblane blaskiem słońca. Potrafił wpatrywać się w nią godzinami, a ona nie miała nic przeciwko temu.

– Tego dnia, kiedy szedłem na rozmowę z don Alfonsem, spojrzałem na drugą stronę rynku i zobaczyłem, jak wytaczasz z tego domu beczułkę – powiedział. – Wtedy ty podniosłaś głowę i spojrzałaś mi prosto w oczy, a ja od razu się zakochałem, choć nic o tobie nie wiedziałem.

– Mogło się okazać, że jestem wiedźmą.

– A co ty pomyślałaś, kiedy zobaczyłaś, że się na ciebie gapię?

– Chyba nie mogę ci tego zdradzić, bo jeszcze przewróci ci się w głowie.

– Śmiało, zaryzykuj.

– W tamtej chwili w ogóle nie byłam w stanie myśleć. Serce zaczęło mi bić szybciej, nie mogłam oddychać. Mówiłam sobie, że to tylko biały mężczyzna z włosami w dziwnym kolorze i kolczykiem w uchu… nic nadzwyczajnego. Potem odwróciłeś wzrok, jakbyś mnie w ogóle nie zauważył, więc wytłumaczyłam sobie, że naprawdę nie ma się czym tak ekscytować.

Barney był zakochany po uszy w Belli, a ona w nim – oboje dobrze o tym wiedzieli, nie mieli jednak pojęcia, co zrobić z tym uczuciem.

Bacon sprzedał już prawie wszystkich niewolników, został mu wyłącznie wybrakowany towar, czyli mężczyźni, którzy zachorowali podczas rejsu, ciężarne kobiety oraz dzieci, które wpadły w rozpacz po rozstaniu z rodzicami. Ładownia *Jastrzębia* była pełna złota, cukru i skór. Wkrótce statek miał wyruszyć do Europy i wyglądało na to, że tym razem Bacon naprawdę zamierza udać się do portu Combe.

Czy Bella popłynie ze mną? – zastanawiał się Barney. Musiałaby wtedy porzucić wszystko, co znała, i zrezygnować z prowadzenia dochodowego interesu. Bał się o to pytać, poza tym nie wiedział nawet, czy Bacon zechciałby przyjąć na pokład kobietę.

Więc może to on powinien porzucić swoje stare życie i osiedlić się na Hispanioli? Co miałby tutaj robić? Mógłby pomagać Belli w prowadzeniu destylarni rumu. Mógłby też zostać plantatorem cukru, choć nie miał na razie kapitału, który mógłby zainwestować w takie przedsięwzięcie. Spędził tu niewiele ponad trzy tygodnie, więc taka decyzja byłaby naprawdę aktem dużej odwagi. Z drugiej strony, wiedział, że chce spędzić życie z Bellą.

Musiał porozmawiać z nią o przyszłości. Wszystkie te pytania nie dawały mu spokoju; ona

prawdopodobnie również się z nimi zmagała. Musieli stawić im czoło.

Otwierał już usta, by rozpocząć rozmowę na ten temat, gdy do izby wpadł Jonathan Greenland.

– Barney, musisz natychmiast wracać na statek! – powiedział. Dopiero wtedy dostrzegł Bellę. – O mój Boże, jaka ona piękna! – zawołał z podziwem.

Zabrzmiało to dość niezręcznie, ale mężczyźni często tracili rozum na widok urody Belli, nawet gdy dziewczyna była ubrana. Barney uśmiechnął się pod nosem i huknął groźnie:

– Wynocha stąd! To alkowa damy!

Pierwszy oficer odwrócił się do nich plecami, ale nie wyszedł.

– Przepraszam, señorita, ale to pilna sprawa – powiedział.

– W porządku – rzuciła Bella, przykrywając się prześcieradłem. – Co się dzieje?

– Płynie tu galeon, jest już niedaleko.

Barney wyskoczył z łóżka i wciągnął portki.

– Wrócę – powiedział do Belli, wkładając szybko buty.

– Uważaj na siebie! – poprosiła.

Barney i Jonathan wypadli z domu i ruszyli biegiem przez rynek. *Jastrząb* podnosił już

kotwicę. Większość załogi była na pokładzie i na takielunku, zajęta rozwijaniem żagli. Zdjęto już cumy z nabrzeża, a dwaj spóźnialscy musieli przeskoczyć ponad jard, by znaleźć się na statku.

Stojąc już bezpiecznie na pokładzie, Barney spojrzał na morze. Od wschodu płynął w ich stronę najeżony armatami hiszpański galeon. Choć od portu dzieliła go jeszcze co najmniej mila, miał sprzyjający wiatr i szybko zbliżał się do *Jastrzębia*. W ciągu ostatnich trzech tygodni Barney zapomniał o niebezpieczeństwie grożącym jemu i reszcie załogi, lecz teraz do miasteczka w końcu przybywały siły prawa i porządku.

Za pomocą długich żerdzi odsunęli statek od molo i wypchnęli go na głębszą wodę. Gdy obrócił się dziobem na zachód, żagle wypełniły się wiatrem.

Kadłub galeonu wystawał wysoko ponad wodę, co oznaczało, że nie jest obciążony ładunkiem. Miał cztery maszty i więcej żagli, niż Barney był w stanie szybko policzyć, dzięki czemu rozwijał dużą prędkość. Był też dość szeroki i miał wysoką rufę, co nieco utrudniało sterowanie, lecz w razie pościgu po linii prostej *Jastrząb* z pewnością nie zdołałby mu umknąć.

Barney usłyszał odległy huk, w którym natychmiast rozpoznał wystrzał z armaty. Potem tuż obok rozległy się krzyki zaskoczonej załogi i trzask pękających desek. Wielka kula armatnia przeleciała o jakiś jard od Barneya, przebiła forkasztel i zniknęła.

Pocisk był o wiele większy od czterofuntowych kul, którymi dysponował *Jastrząb*, galeon musiał więc być uzbrojony w znacznie potężniejsze działa. Mimo to Barney uważał, że ich artylerzysta miał wyjątkowe szczęście, trafiając do celu z odległości mili.

Chwilę później *Jastrząb* zakręcił gwałtownie. Barney stracił równowagę i omal nie runął na pokład. Przestraszył się, że statek został poważnie uszkodzony i stracił sterowność, być może nawet już tonie. Perspektywa śmierci na morzu przeraziła go na moment, szybko się jednak opanował. Zobaczył, że kapitan Bacon kręci kołem sterowym, celowo obracając statek na północ, burtą do wiatru. Strach ustąpił miejsca zdumieniu: Bacon z pewnością zdawał sobie sprawę, że nie dorównuje prędkością Hiszpanom. Więc jak wyglądał jego plan?

– Przestań się gapić, idioto! – ryknął na Barneya Jonathan. – Idź tam, gdzie twoje miejsce, na pokład działowy!

Barney uświadomił sobie, że lada moment przeżyje swoją pierwszą bitwę morską. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie będzie ona również ostatnia. Pomyślał, że chciałby jednak przed śmiercią jeszcze choć raz zobaczyć Kingsbridge i rodzinny dom.

Choć po raz pierwszy dowodził artylerią na statku, przeżył już kiedyś wrogi ostrzał. Bał się, lecz wiedział, jak zapanować nad strachem i wykonywać zadanie.

Najpierw poszedł na galerę, do forkasztelu. Kuk krwawił, zraniony drzazgą, ale kambuz był nietknięty, Barney mógł więc odpalić knot od ognia. Usłyszał drugi huk i znieruchomiał, czekając z przerażeniem na kolejne uderzenie, lecz tym razem kula chybiła.

Kilkoro niewolników, którzy zostali jeszcze w ładowni, krzyczało przeraźliwie, obawiając się zapewne, że wszyscy umrą przykuci do tonącego statku.

Chwilę później rozległa się trzecia eksplozja, po której znów nic się nie stało, i Barney zrozumiał, że się nie mylił – pierwsze, celne, trafienie było po prostu dziełem przypadku. Kanonier dowodzący artylerią na galeonie doszedł zapewne do tego samego wniosku

i postanowił oszczędzać amunicję na lepszą okazję, bo działa galeonu umilkły.

Barney wrócił na śródokręcie, osłaniając płomień dłonią. Większość załogi pracowała na pokładzie lub na takielunku, ustawiając żagle zgodnie z rozkazami wykrzykiwanymi przez kapitana. Barney pobiegł do włazu prowadzącego na niższe pokłady i, wciąż osłaniając zapalony knot, zszedł szybko po drabinie.

Załoga otworzyła już furty działowe i rozwiązała liny, które utrzymywały armaty w miejscu, gdy ich nie używano. Teraz ciężkie lawety mogły odtoczyć się do tyłu, pchane odrzutem po wystrzale. Rozsądni marynarze zachowywali szczególną ostrożność na pokładzie działowym, gdy armaty były odwiązane, ponieważ człowiek stojący za lawetą w momencie wystrzału mógł zginąć albo zostać kaleką.

Przy każdej armacie stała skrzynia zawierająca większość przedmiotów potrzebnych do prowadzenia ognia: skórzany kubeł z pokrywką zawierający proch strzelniczy, zwitek szmat wykorzystywany jako przybitka, lont wolnotlący wykonany z trzech splecionych wełnianych sznurków nasączonych saletrą

potasową i ługiem, narzędzia potrzebne do ładowania armaty i czyszczenia jej między strzałami, a także wiadro z wodą. Amunicja znajdowała się w wielkiej skrzyni ustawionej na środku pokładu, obok beczki z prochem.

Każdą armatę obsługiwało dwóch mężczyzn. Jeden z nich odmierzał chochlą o długiej rączce odpowiednią ilość prochu – mniej więcej tyle, ile ważyła kula, choć doświadczeni kanonierzy znający swoją broń wprowadzali drobne poprawki. Następnie drugi wpychał do lufy przybitkę, a potem kulę.

W ciągu kilku minut wszystkie armaty na prawej burcie były naładowane. Barney przeszedł wzdłuż pokładu ze swoim knotem, podpalając lonty. Większość kanonierów owijała wolnotlące lonty na czubku drzewca z grotem zwanego lontownicą, dzięki czemu przykładając ogień do otworu zapałowego, mogli się trzymać z dala od armaty.

Barney wyjrzał przez furtę działową. *Jastrząb* był teraz ustawiony bokiem do silnego wschodniego wiatru i przesuwał się z prędkością ośmiu, może dziewięciu węzłów, podczas gdy szybszy galeon znajdował się w odległości pół mili i pędził prosto na ich prawą burtę.

Barney czekał. Z tej odległości mógł trafić galeon i lekko go uszkodzić, lepiej było jednak poczekać na dogodniejszą okazję.

Hiszpański okręt płynął z wiatrem, ustawiony prostopadle do *Jastrzębia*, nie mógł więc użyć swoich potężnych armat ustawionych wzdłuż burt. Usłyszawszy dwa nieco cichsze wybuchy, Barney zrozumiał, że zbrojmistrz wroga próbuje wykorzystać mniejsze działa z przedniego pokładu. Chwilę potem zobaczył, że obie kule wylądowały w morzu.

Wiedział też jednak, że wkrótce szybszy okręt będzie dość blisko, by się obrócić i oddać salwę całą burtą – *Jastrząb* znalazłby się wtedy w nie lada opałach. Co, do cholery, planował zrobić kapitan Bacon? Może ten stary głupiec tak naprawdę nie miał żadnego planu. Barney odsunął od siebie tę myśl, by nie wpaść w panikę.

– Mamy strzelać? – spytał załogant o nazwisku Silas, wyraźnie zniecierpliwiony.

Barney z trudem utrzymał nerwy na wodzy.

– Jeszcze nie – odparł z pewnością, której wcale nie czuł. – Są za daleko.

– Artylerzyści, nie strzelać! – ryknął Bacon na górnym pokładzie. Z pewnością nie słyszał pytania Silasa, ale instynkt podpowiedział mu, że obsługa dział będzie się niecierpliwić.

Galeon zbliżał się coraz bardziej i zaczął się ustawiać tak, by łatwiej było mu ostrzelać *Jastrzębia*. Gdy obie jednostki dzieliło około sześciuset jardów, Hiszpanie wystrzelili.

Od strony galeonu dobiegł potężny huk, a nad pokładem pojawiła się chmura dymu. Kula poruszała się na tyle wolno, że Barney mógł śledzić jej lot. Widząc, jak zatacza wysoki łuk, miał ochotę przykucnąć za burtą, oparł się jednak pokusie. Kiedy pocisk zbliżał się do *Jastrzębia*, Barney był niemal pewien, że w nich trafi. Hiszpański artylerzysta wymierzył jednak odrobinę za wysoko, a kula przeleciała jedynie przez takielunek. Rozległ się trzask rozrywanego materiału, lecz wyglądało na to, że maszty i reje pozostały nietknięte.

Barney miał już oddać salwę, zawahał się jednak, słysząc, że Bacon wydaje serię poleceń. *Jastrząb* drgnął gwałtownie i zaczął się obracać na zawietrzną. Przez chwilę miał wiatr z tyłu, lecz Bacon kontynuował obrót o sto osiemdziesiąt stopni, po czym ruszył na południe, z powrotem ku wyspie.

Nie czekając nawet na rozkaz, wszyscy artylerzyści przenieśli się na lewą burtę pokładu działowego i naładowali pozostałe sześć armat.

Co właściwie chciał zrobić kapitan?

Barney wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, że galeon zmienia kierunek i obraca się, by przeciąć nowy kurs angielskiego statku. Wtedy zrozumiał wreszcie, do czego zmierza Bacon.

Podprowadzał wrogi okręt prosto na linię strzału.

Wkrótce *Jastrząb* miał się znaleźć dokładnie naprzeciwko galeonu, zwrócony burtą do jego dziobu, w odległości zaledwie trzystu jardów. Barney mógł zaatakować pełną siłą ognia i zasypać kulami nie tylko odsłonięty dziób galeonu, lecz cały jego pokład, niszcząc takielunek i dziesiątkując załogę.

Musiał tylko zrobić wszystko jak należy.

Cel był tak blisko, że nie trzeba było podkładać pod armaty klinów unoszących lufy. Wystarczyło ułożyć je poziomo i wystrzelić. Tyle tylko, że cel był wąski.

– Już? – dopytywał się Silas.

– Nie. – Barney pokręcił głową. – Czekajcie na rozkaz.

Uklęknął przy jednej z dwóch środkowych armat i wpatrywał się z bijącym sercem w galeon. Wszystko to było znacznie łatwiejsze na lądzie, gdy ani broń, ani cel nie kołysały się na falach.

Wrogi okręt powoli się obracał. Barney wciąż cierpliwie czekał, choć kusiło go, by dać już sygnał do ostrzału. Obserwował cztery maszty, zamierzał bowiem oddać salwę dopiero wtedy, gdy wszystkie znajdą się w jednej linii i pierwszy przesłoni pozostałe – albo tuż przed tym momentem, by uwzględnić czas, jakiego kule potrzebowały na dotarcie do celu.

– Wystarczy jedno pana słowo! – poinformował go Silas, który nie mógł się już doczekać sygnału do rozpoczęcia bitwy.

– Przygotujcie się! – Maszty znalazły się już niemal w jednej linii. – Ognia z pierwszej! – rozkazał Barney, dotykając ramienia Silasa.

Ten przytknął lont do otworu zapałowego armaty.

Huk eksplozji odbił się ogłuszającym echem od ścian pokładu.

Armata odskoczyła gwałtownie do tylu.

Barney wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, jak kula wbija się w forkasztel galeonu. Załoga *Jastrzębia* wydała z siebie radosny okrzyk.

Barney przeszedł do następnej armaty i klepnął artylerzystę w ramię.

– Ognia!

Ta kula wzbiła się wyżej i uderzyła w maszty wrogiego okrętu.

Na górnym pokładzie ponownie rozległy się okrzyki radości. Barney przechodził w stronę rufy, od armaty do armaty, precyzyjnie odmierzając czas kolejnych wystrzałów.

Wystrzeliwszy ostatnią z sześciu kul, wrócił do pierwszego działa, przekonany, że Silas już je przeładowuje, odkrył jednak z przerażeniem, że artylerzysta i jego kompan wciąż ściskają sobie dłonie i gratulują.

– Przeładować! – ryknął Barney. – Te świnie jeszcze żyją!

Silas w pośpiechu sięgnął po grajcar, narzędzie o spiralnym ostrzu osadzonym na długim drzewcu, i za jego pomocą usunął z lufy resztki przybitki. Kiedy na pokład wypadły tlące się resztki szmat, zadeptał je gołą stopą o zrogowaciałych paznokciach i twardej jak drewno podeszwie, która chroniła go przed oparzeniami. Jego towarzysz podniósł długi kij owinięty na końcu szmatami, zanurzył je w wodzie, a potem wsunął do armaty, by ugasić wszelkie tlące się jeszcze resztki, które mogłyby doprowadzić do przedwczesnej eksplozji kolejnej porcji prochu. Gdy wysunął wycior, wilgoć pozostała w lufie szybko wyparowała w zetknięciu z rozgrzanym żelazem. Potem obaj

mężczyźni pospiesznie załadowali wyczyszczoną armatę.

Barney wyjrzał na zewnątrz. Dziób galeonu był przedziurawiony w dwóch miejscach, a fokmaszt przechylał się na bok. Z pokładu – odległego teraz zaledwie o dwieście jardów – dochodziły krzyki rannych i pełne przerażenia nawoływania pozostałych marynarzy. Hiszpański okręt nie został jednak poważnie uszkodzony, a jego kapitan zachował zimną krew. Galeon płynął dalej z niewiele mniejszą prędkością niż do tej pory.

Barneya zaniepokoiło to, że jego artylerzyści tak długo przeładowują armaty. Wiedział z doświadczenia, że jedną salwą nigdy nie wygrywa się bitwy. Przeciwnik mógł przeorganizować siły i podjąć walkę na nowo. Natomiast seria salw dziesiątkujących szeregi wroga niszczyła morale i zmuszała pozostałych przy życiu żołnierzy do ucieczki lub kapitulacji. Stały ostrzał był kluczem do sukcesu. Niestety, załoganci *Jastrzębia* byli marynarzami, a nie prawdziwymi artylerzystami, nikt więc nie nauczył ich, jak ważne jest szybkie, zdyscyplinowane przeładowywanie.

Galeon płynął prosto na nich. Jego kapitan nie zamierzał strzelać z potężnych dział na burcie, co

Barneyowi wydawało się całkiem zrozumiałe: Hiszpanie nie chcieli zatopić *Jastrzębia*, lecz przejąć go i skonfiskować nielegalnie nabyte towary. Oddawali strzały z małych armat na dziobie, a niektóre kule niszczyły żagle i olinowanie. Angielski statek był jednak wąski i stanowił trudny cel, więc większość pocisków przelatywała ponad nim lub w ogóle do niego nie docierała. Barney domyślił się, że Hiszpanie planują teraz staranować ich i dokonać abordażu.

Gdy działa *Jastrzębia* były wreszcie gotowe do strzału, od galeonu dzieliło go już niecałe sto jardów. Hiszpański okręt był jednak wyższy od *Jastrzębia*, a Barney chciał ostrzelać pokład, a nie kadłub, musiał więc podnieść nieco lufy armat. Przebiegł wzdłuż dział i podłożył pod nie kliny.

Teraz czas ciągnął się w nieskończoność. Galeon płynął szybko, z prędkością dziewięciu lub dziesięciu węzłów, a jego dziób gładko rozcinał spienione fale, wydawało się jednak, że okropnie się ślimaczy. Na pokładzie statku tłoczyli się hiszpańscy żołnierze, gotowi zeskoczyć na wrogi statek i wybić całą jego załogę. Silas i pozostali artylerzyści nieustannie wodzili wzrokiem od galeonu do Barneya

i z powrotem. Korciło ich, by jak najszybciej podpalić proch w armatach.

– Czekajcie na mój sygnał! – zawołał. Salwa oddana choćby odrobinę za wcześnie byłaby najlepszym prezentem dla nieprzyjaciela, pozwoliłaby mu bowiem zbliżyć się bezpiecznie do *Jastrzębia* w czasie, gdy Anglicy przeładowywaliby armaty.

Gdy dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt jardów, Barney dał w końcu rozkaz do wystrzału.

Bacon znów podprowadził mu wroga wprost pod armaty. Galeon znalazł się dokładnie na linii strzału *Jastrzębia*. Barney po prostu nie mógł chybić z tak małej odległości. Wystrzelił szybko z wszystkich sześciu armat, po czym wrzasnął:

– Przeładować! Przeładować!

Potem wyjrzał na zewnątrz i zobaczył, że druga salwa była nawet skuteczniejsza, niż się spodziewał. Jeden z pocisków musiał trafić w grotmaszt, który, pchany wiatrem, przewracał się właśnie do przodu. Galeon, straciwszy znaczną część żagli, nagle zwolnił. Grotmaszt upadł na takielunek uszkodzonego fokmasztu, który również zaczął się przewracać. Hiszpanie zbliżyli się do *Jastrzębia* na odległość mniejszą niż pięćdziesiąt jardów, wciąż jednak byli zbyt daleko, by dokonać abordażu. Mimo to Barney

nie cieszył się jeszcze z wygranej – galeon wciąż sunął prosto na ich statek, a gdyby w niego uderzył, nie mieliby szans.

Na szczęście kapitan Bacon wykazał się przytomnością umysłu. Obrócił *Jastrzębia* na zawietrzną. Wschodni wiatr wypełnił ich żagle i ruszyli na zachód, nabierając szybko prędkości.

Uszkodzony galeon nie będzie go w stanie dogonić.

Czy naprawdę było już po wszystkim?

Barney wyszedł na górny pokład, gdzie załoga przywitała go wiwatami. Wygrali. Pokonali większy i szybszy okręt. Barney był ich bohaterem, choć wiedział, że zwycięstwo zawdzięczali umiejętnościom Bacona i zwrotności jego statku.

Obejrzał się za siebie. Okaleczony galeon podpływał powoli do molo przy brzegu Hispanioli, która niknęła stopniowo w oddali.

A wraz z nią Bella.

Podszedł do Bacona, który wciąż stał za kołem sterowniczym.

– Dokąd płyniemy, kapitanie? – spytał.

– Do domu. Do portu Combe. – Barney przyjął tę odpowiedź milczeniem, więc Bacon dodał: – Czy nie tego właśnie chciałeś?

Barney ponownie spojrzał w stronę Hispanioli, ledwie już widocznej na zamglonej linii horyzontu.

– Owszem, tego – odparł.

ROZDZIAŁ 13

I

Margery, biorąc do ręki miotłę i zamiatając podłogę, by przygotować kaplicę do mszy, wiedziała, że łamie prawo.

W Tench, niewielkiej wiosce, nie było kościoła, a ta kaplica znajdowała się na terenie należącym do hrabiego Swithin. Hrabia rzadko przyjeżdżał do Tench, więc budynek był zaniedbany, brudny i wilgotny. Zamiótłszy podłogę, Margery otworzyła okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. W blasku świtu kaplica zaczęła w końcu przypominać święte miejsce.

Stephen Lincoln ustawił świece na ołtarzu, po obu stronach małego, wysadzanego klejnotami krucyfiksu, który wykradł z katedry w Kingsbridge w początkach panowania Elżbiety, nim jeszcze oficjalnie wystąpił ze stanu

duchownego. Jego ramiona okrywał wspaniały ornat uratowany ze stosu, na którym protestanci palili kapłańskie szaty. Bogate hafty wykonane złotą i srebrną nicią z wykorzystaniem kawałków barwionego jedwabiu przedstawiały męczeństwo Thomasa Becketa, motywy roślinne oraz, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, kilka papug.

Margery przyniosła z sieni drewniane krzesło i usiadła na nim, by przygotować się do mszy.

W Tench nie było zegarów, wszyscy jednak widzieli wschód słońca, a gdy blade światło letniego poranka wpłynęło przez okno i okryło szare kamienne ściany złotem, mieszkańcy wioski zaczęli się schodzić do kaplicy całymi rodzinami, pozdrawiając półgłosem sąsiadów. Stephen stał zwrócony plecami do wiernych, którzy wpatrywali się z zachwytem w kolorowe obrazy na jego ornacie.

Margery wiedziała, ile dusz liczy Tench należące do hrabstwa Shiring, była więc bardzo zadowolona, gdy okazało się, że na mszę dotarli wszyscy mieszkańcy, łącznie z najstarszą spośród nich, babcią Harborough. Z powodu podeszłego wieku staruszka jako jedyna uczestniczyła w nabożeństwie na siedząco.

Kiedy Stephen rozpoczął mszę, Margery zamknęła oczy, pozwalając, by znajome dźwięki łacińskich modlitw przeniknęły jej umysł i zanurzyły jej duszę w cudownym, kojącym poczuciu jedności ze światem i Bogiem.

Podróżując po hrabstwie Shiring, czasami ze swoim mężem Bartem, a czasami bez niego, często rozmawiała z ludźmi o ich uczuciach religijnych. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety darzyli ją sympatią i chętnie się przed nią otwierali, uważali bowiem, że jest niegroźną młodą kobietą. Zwykle najpierw spotykała się z zarządcą, człowiekiem, który dbał o interesy hrabiego, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem. Zarządca dobrze wiedział, że rodzina hrabiego to żarliwi katolicy, a odpowiednio podprowadzony, informował Margery o zapatrywaniach religijnych mieszkańców. Często zdarzało się, że w biednych odległych miejscowościach, takich jak Tench, wszyscy wieśniacy byli katolikami. Wtedy sprowadzała tam Stephena wraz z najświętszym sakramentem.

Młoda arystokratka zdawała sobie sprawę, że to przestępstwo, nie wiedziała tylko, co może jej za nie grozić. W ciągu pięciu lat rządów Elżbiety nikogo jeszcze nie stracono za wyznawanie

katolicyzmu. Zdaniem Stephena, który rozmawiał czasem z innymi byłymi księżmi katolickimi, takie tajne nabożeństwa były dość powszechne, a władze nie reagowały na to zjawisko, nie prowadziły żadnej kampanii, która miałaby to ukrócić.

Królowa Elżbieta najwyraźniej była gotowa tolerować takie praktyki, co potwierdzały aluzje czynione przez Neda Willarda. Przyjeżdżał do Kingsbridge raz lub dwa razy w roku; Margery widywała go zwykle w katedrze i zawsze chętnie z nim rozmawiała, choć jego twarz i głos budziły w jej umyśle niecne myśli. Mówił, że Elżbieta nie ma żadnego interesu w prześladowaniu i karaniu katolików. Dodawał jednak, jakby chciał przestrzec właśnie ją, że jeśli ktokolwiek będzie kwestionował władzę królowej jako głowy Kościoła Anglii albo – co znacznie gorsze – jej prawo do tronu, zostanie potraktowany bardzo surowo.

Margery nie miała ochoty wygłaszać żadnych deklaracji politycznych. Mimo to nie czuła się bezpieczna i uważała, że powinna stale zachowywać czujność. Monarchowie często przecież zmieniają zdanie.

Strach był stale obecny w jej życiu niczym odległy głos dzwonu obwieszczającego czyjś

pogrzeb, nie powstrzymywał jej jednak przed wykonywaniem obowiązków. Była zachwycona, że powierzono jej misję pielęgnowania w hrabstwie Shiring prawdziwej religii, i traktując zagrożenie jako część tej misji, akceptowała je. Gdyby kiedyś wpakowała się przez to w poważne kłopoty, znalazłaby dość sił, by stawić im czoła, była tego pewna. Albo prawie pewna.

Miejscowi wierni oddalali od siebie podejrzenia, wybierając się nieco później do sąsiedniej wioski, gdzie kapłan odprawiał protestancką mszę, używając modlitewnika zatwierdzonego przez Elżbietę i anglojęzycznej Biblii wprowadzonej przez jej heretyckiego ojca, króla Henryka VIII. Tak czy inaczej, musieli tam iść: za nieobecność podczas niedzielnego nabożeństwa musieliby płacić szylinga grzywny, a nikt w Tench nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek.

Margery przyjęła komunię jako pierwsza, by dodać odwagi pozostałym. Potem stanęła z boku i obserwowała wiernych. Ich ogorzałe chłopskie twarze rozciągały się w uśmiechu, gdy przyjmowali sakrament, którego tak długo im odmawiano. W końcu przyniesiono do kapłana babcię Harborough, która zapewne

przystępowała do komunii po raz ostatni w życiu. Jej pomarszczone oblicze wręcz promieniowało radością. Margery dobrze wiedziała, o czym myśli staruszka – jej dusza była zbawiona i szczęśliwa.

Teraz mogła umrzeć w spokoju.

II

Pewnego ranka Susannah, hrabina wdowa Brecknock, przeciągnęła się z lubością na swoim łóżku i oznajmiła:

– Gdybym była dwadzieścia lat młodsza, wyszłabym za ciebie, Nedzie Willardzie. Naprawdę bym to zrobiła.

Susannah miała czterdzieści pięć lat i była kuzynką hrabiego Swithin. Ned znał ją z widzenia od dziecka, ale nigdy nie przeszło mu przez myśl, że zostanie jej kochankiem. Leżała obok niego, opierając mu głowę na piersiach i zakrywając pulchnym udem jego kolana. Bez trudu widział siebie w roli jej męża. Była bystra, zabawna i lubieżna jak kocica. Robiła w łóżku rzeczy, o których nigdy nie słyszał, i wciągała go w zabawy, jakich dotąd nawet sobie nie wyobrażał. Miała zmysłową twarz, ciepłe

brązowe oczy i duże miękkie piersi. Co najważniejsze, dzięki niej przestał wreszcie wyobrażać sobie Margery w łóżku z Bartem.

– Ale to kiepski pomysł, oczywiście – mówiła dalej Susannah. – Jestem już za stara, żeby urodzić ci dzieci. Mogłabym pomóc ci robić karierę, ale skoro masz za mentora sir Williama Cecila, nie potrzebujesz pomocy. Nie mam też fortuny, którą mogłabym ci zostawić.

I nie jesteśmy w sobie zakochani, dodał w duchu Ned. Szczerze lubił hrabinę, od roku przeżywał dzięki niej rozkoszne chwile, ale nie darzył jej miłością i był przekonany, że ona również go nie kocha. Wcześniej nie wiedział, że taka relacja w ogóle jest możliwa. Naprawdę dużo się od niej nauczył.

– Poza tym – dorzuciła Susannah – nie wiem, czy kiedykolwiek pogodzisz się z utratą biednej Margery.

Przekonał się już wielokrotnie, że romans ze starszą kochanką ma jedną istotną wadę – niczego nie da się przed nią ukryć. Ned nie miał pojęcia, jak ona to robi, ale domyślała się wszystkiego, nawet rzeczy, których nie chciał jej zdradzać; zwłaszcza tych, których nie chciał jej zdradzać.

– Margery to cudowna dziewczyna i zasługuje na ciebie – ciągnęła Susannah. – Ale jej rodzice koniecznie chcieli zostać arystokratami i wykorzystali ją do tego.

– Fitzgeraldowie to wyjątkowe kanalie – stwierdził z mocą Ned. – Znam ich wszystkich aż za dobrze.

– Bez wątpienia. Niestety, w małżeństwie często nie chodzi wcale o miłość. Na przykład ja po prostu potrzebuję męża.

Ned był zszokowany.

– Dlaczego?

– Bycie wdową to utrapienie. Mogłabym mieszkać z synem, ale żaden młodzieniec nie chce mieć cały czas na głowie matki. Królowa Elżbieta mnie lubi, lecz ludzie uważają, że samotna kobieta na dworze jest zazwyczaj intrygantką. Jeśli do tego jest atrakcyjna, budzi niepokój wśród mężatek. Sam więc rozumiesz, że powinnam wyjść za mąż. Robin Twyford byłby doskonałym kandydatem.

– Wyjdziesz za lorda Twyforda?

– Chyba tak.

– Czy on o tym wie?

Susannah parsknęła śmiechem.

– Nie, ale uważa, że jestem cudowna.

– Jesteś. Tylko czy nie szkoda cię dla niego?

– Nie przesadzaj. Ma już co prawda pięćdziesiąt pięć lat, ale jest dziarski, bystry i dowcipny.

Ned uświadomił sobie, że palnął gafę i że powinien być dla niej milszy.

– Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa – powiedział.

– Dziękuję.

– Idziesz dziś na przedstawienie?

– Tak. – Susannah uwielbiała teatr, podobnie jak Ned.

– Więc do zobaczenia wieczorem.

– Jeśli przyjdzie Twyford, bądź dla niego miły. Nie rób jakichś głupich scen zazdrości.

Owszem, był zazdrosny, ale o kogoś innego. Nie powiedział tego jednak głośno.

– Obiecuję – zapewnił wdowę.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się i zaczęła ssać jego sutek.

Z oddali dobiegł głos dzwonu kościoła Świętego Marcina z Tours.

– To miłe, ale muszę iść na spotkanie z Jej Wysokością. – Ned westchnął.

– Jeszcze nie – odparła, zajmując się drugim sutkiem.

– Ale niedługo będę musiał.

– Nie martw się, szybko to załatwimy – powiedziała, kładąc się na nim.

Pół godziny później Ned maszerował żwawo ulicą Strand.

Królowa Elżbieta nie wyznaczyła jeszcze nowego biskupa Kingsbridge w miejsce Juliusa, a Ned chciał, by stanowisko to objął dziekan Kingsbridge, Luke Richards, który był najlepszym z możliwych kandydatów, a do tego przyjaźnił się z Willardami.

Każdy, kto miał okazję pracować na królewskim dworze, chciał załatwić jakieś intratne posady przyjaciołom czy krewnym, Ned wahał się więc, czy powinien zawracać królowej głowę swoimi życzeniami. W ciągu pięciu lat służby u Elżbiety przekonał się już, jak szybko jej życzliwość może zamienić się w niechęć, jeśli dworzanin zapomni, gdzie jest jego miejsce. Dlatego wciąż czekał na właściwy moment. Dziś królowa zamierzała rozmawiać o nowych biskupach ze swoim sekretarzem stanu, sir Williamem Cecilem, a ten kazał Nedowi przyjść na to spotkanie.

Miejsce zwane White Hall było rozległym kompleksem złożonym z kilkunastu budynków, dziedzińców i ogrodów; znalazł się tu nawet kort tenisowy. Ned znał drogę do królewskich

apartamentów i przeszedł szybko przez wartownię do dużej poczekalni. Z ulgą stwierdził, że Cecil jeszcze nie dotarł. Zgodnie z obietnicą, Susannah uwinęła się szybko i nie opóźniła zbytnio Neda.

W komnacie był już hiszpański ambasador, Alvarez de la Cuadra. Przechadzał się niespokojnie i wyglądał na zdenerwowanego, choć Ned przypuszczał, że może to być jedynie poza. Pomyślał, że praca ambasadora jest naprawdę trudna: jeśli władca był rozgniewany, jego przedstawiciel również musiał okazywać gniew, nawet jeśli wcale go nie czuł.

Kilka minut później pojawił się sekretarz stanu, który zabrał ze sobą Neda do sali audiencyjnej.

Królowa Elżbieta miała już trzydzieści lat i straciła tę dziewczęcą świeżość, która niegdyś czyniła ją niemal piękną. Była cięższa, a słabość do słodyczy zniszczyła jej zęby. Tego dnia była w dobrym humorze.

– Zanim zajmiemy się biskupami, wysłuchajmy hiszpańskiego ambasadora – powiedziała. Ned domyślił się, że czekała z tym spotkaniem na Cecila, nie chciała bowiem samotnie stawiać czoła Cuadrze, który

reprezentował najpotężniejszego monarchę w Europie.

Ambasador pozdrowił ją w zdawkowy, niemal obraźliwy sposób, po czym oznajmił:

– Hiszpański galeon został zaatakowany przez angielskich piratów.

– Przykro mi to słyszeć – odparła królowa.

– Zginęli trzej arystokraci! Zabito również kilku marynarzy, a okręt został poważnie uszkodzony, nim piraci uciekli.

Ned domyślił się, że galeon sromotnie przegrał bitwę morską, co zraniło dumę króla Filipa, i to właśnie było przyczyną jego gniewu.

– Obawiam się, że nie mogę kontrolować poczynań moich poddanych, gdy przebywają na morzu, tak daleko od domu. – Elżbieta westchnęła. – Żaden monarcha nie ma takiej mocy.

Słowa królowej tylko po części odpowiadały prawdzie. Oczywiście trudno było kontrolować działania statków na morzu, ale z drugiej strony Elżbieta wcale nie starała się tego robić. Jednostkom kupieckim mogły ujść na sucho nawet morderstwa, głównie ze względu na rolę, jaką odgrywały w polityce obronnej jej państwa. W czasie wojny królowa mogła wydać kapitanom statków kupieckich rozkaz dołączenia do

marynarki wojennej. Razem tworzyły wtedy najważniejszą siłę obronną królestwa pozbawionego stałej armii. Elżbieta była niczym właściciel groźnego psa, który skutecznie odstraszał intruzów.

– Gdzie to się stało? – spytała królowa.

– U wybrzeży Hispanioli.

Cecil, który studiował prawo w londyńskim Gray's Inn, dorzucił:

– A kto oddał pierwszy strzał?

Było to ważne i sprytne pytanie.

– Nie mam takiej informacji – uchylił się od odpowiedzi Cuadra, co zdaniem Neda oznaczało, że to Hiszpanie rozpoczęli walkę. Ambasador właściwie potwierdził te podejrzenia, dodając: – Jednakże okręt Jego Wysokości króla Filipa miałby pełne prawo otworzyć ogień do statku prowadzącego działalność przestępczą.

– O jakim przestępstwie mowa? – spytał Cecil.

– Angielskie statki nie mają prawa pływać do Nowej Hiszpanii. Nie wolno tego robić żadnym obcym jednostkom.

– A czy wiemy, czym zajmował się kapitan tego statku w Nowym Świecie?

– Sprzedawał niewolników!

– Chwileczkę, upewnijmy się, że wszystko dobrze zrozumiałam – przemówiła Elżbieta. Ned

był ciekaw, czy Cuadra słyszy niebezpieczny ton w jej głosie. – Angielski statek, który spokojnie robił interesy z kupcami z Hispanioli, został ostrzelany przez hiszpański galeon, a wy wnosicie do mnie skargę, bo Anglicy odpowiedzieli ogniem?

– Sama obecność ich statku w tym miejscu była przestępstwem! Wasza Wysokość dobrze wie, że Jego Świątobliwość papież oddał cały Nowy Świat we władanie królestwom Hiszpanii i Portugalii.

– A Jego Wysokość król Filip dobrze wie, że papież nie ma prawa oddawać takiej czy innej części Bożego świata któremukolwiek monarsze! – odpowiedziała mu Elżbieta głosem zimnym jak lód.

– Ojciec Święty w swojej mądrości…

– Rany boskie! – wybuchnęła Elżbieta, używając przekleństwa, które katolicy uważali za głęboką obrazę. – Jeśli strzelacie do Anglików tylko dlatego, że są w Nowym Świecie, to musicie liczyć się z konsekwencjami! A potem nie przychodźcie do mnie na skargę. Może pan odejść.

Cuadra ukłonił się królowej, a potem spojrzał na nią chytrze.

– Wasza Wysokość nie chce znać nazwy tego angielskiego statku?

– Mów.

– To był *Jastrząb* z portu Combe, a jego kapitanem jest Jonas Bacon. – Cuadra zrobił pauzę i spojrzał na Neda. – Artylerią na tym okręcie dowodzi niejaki Barnabas Willard.

– Mój brat? – zdumiał się Ned.

– Owszem – potwierdził ambasador z nieskrywaną satysfakcją. – I zgodnie z powszechnie uznawanym prawem, pirat. – Wypuściwszy tę zatrutą strzałę, Cuadra ponownie ukłonił się królowej. – Życzę Waszej Wysokości udanego dnia.

Gdy opuścił już komnatę, Elżbieta zwróciła się do Neda:

– Wiedziałeś o tym?

– Nie do końca – odparł, zbierając myśli. – Trzy lata temu mój wuj Jan z Antwerpii napisał w liście, że Barney wraca do domu na pokładzie *Jastrzębia*. Domyśliliśmy się już, że w końcu musiał popłynąć gdzie indziej, ale nie przyszło nam do głowy, że zawędrował na drugą stronę Atlantyku!

– Mam nadzieję, że bezpiecznie wróci do domu – powiedziała królowa. – No dobrze, a jeśli

chodzi o Kingsbridge, to kto mógłby zostać tam biskupem?

Wciąż oszołomiony wieściami o Barneyu, przegapił jej słowa, lecz Cecil przyszedł mu z pomocą.

– Ned zna odpowiedniego kandydata – oznajmił.

Ned otrząsnął się w końcu ze zdumienia.

– Tak. Luke Richards. Ma czterdzieści pięć lat i jest już dziekanem.

– I pewnie twoim przyjacielem – dodała królowa drwiącym tonem.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Jaki to człowiek?

– Spokojny i rozsądny. Jest dobrym protestantem, choć uczciwość każe mi wspomnieć, że pięć lat temu był dobrym katolikiem.

Cecil zmarszczył brwi z dezaprobatą, lecz królowa roześmiała się głośno.

– Doskonale – rzuciła. – Właśnie takiego biskupa nam trzeba!

III

Margery była mężatką od pięciu lat i każdego dnia małżeństwa myślała o ucieczce.

Ogólnie rzecz biorąc, Bart Shiring nie był złym mężem. Nigdy jej nie bił. Od czasu do czasu musiała mu się oddawać, ale zwykle szukał przyjemności gdzie indziej, więc i pod tym względem przypominał większość arystokratów. Był rozczarowany, że nie mają dzieci, a wszyscy mężczyźni uważali w takiej sytuacji, że to wina kobiety, nie oskarżył jej jednak o uprawianie czarów, jak zrobiliby to niektórzy małżonkowie. Mimo to Margery go nienawidziła.

Jej marzenia o ucieczce przybierały różne formy. Myślała o tym, by wstąpić do francuskiego klasztoru żeńskiego, ale Bart oczywiście by ją znalazł i sprowadził z powrotem do siebie. Mogła ściąć włosy, ubrać się jak mężczyzna i zaciągnąć się na statek, lecz zostałaby zdemaskowana w ciągu kilku dni. Mogła również pewnego ranka osiodłać swojego ulubionego konia, odjechać i nigdy nie wrócić; tylko dokąd miałaby się wybrać? Londyn wydawał się kuszącym celem, lecz jak zarabiałaby tam na życie? Wiedziała, że dziewczyny uciekające do dużego miasta kończyły zwykle jako prostytutki.

W chwilach największej rozpaczy dopuszczała też do siebie myśl o grzechu samobójstwa.

Przy życiu trzymała ją tajna służba dla angielskich katolików. Ta misja nadawała sens jej egzystencji, a przy tym była ekscytująca, choć i budziła lęk. Bez tego zajęcia byłaby tylko smutną ofiarą okoliczności, dzięki niemu zaś zamieniała się w poszukiwaczkę przygód, osobę wyjętą spod prawa, kogoś działającego w imieniu Boga.

Kiedy Bart wyjeżdżał, była niemal szczęśliwa. Cieszyła się, że ma całe łoże dla siebie: nikt nie chrapał, nie bekał ani nie zeskakiwał w środku nocy na podłogę, by wysikać się do nocnika. Lubiła samotne poranki, kiedy spokojnie się myła i ubierała, lubiła też swój buduar z małymi półkami, na których stały książki i rośliny ozdobne. Mogła wrócić po południu do swojej komnaty, by swobodnie czytać poezję lub łacińską Biblię i nie wysłuchiwać przy tym szyderczych uwag ani pytań o to, kto normalny robiłby takie rzeczy.

Niestety, nie zdarzało się to zbyt często. Bart zwykle podróżował nie dalej niż do Kingsbridge, a Margery jechała wtedy z nim, by przy okazji spotkać się z przyjaciółmi oraz z katolikami

ukrywającymi swoje wyznanie. Tym razem jednak Bart wyjechał do portu Combe, więc mogła się cieszyć samotnością.

Oczywiście pojawiła się na kolacji. Hrabia Swithin ożenił się ponownie, z dziewczyną młodszą od niej, ale nastoletnia hrabina zmarła, rodząc pierwsze, martwe, dziecko. Margery była więc znów panią domu, odpowiedzialną za przygotowanie posiłków. Na dzisiejszy wieczór zamówiła baraninę w miodzie i cynamonie. Przy stole siedzieli tylko hrabia Swithin i Stephen Lincoln, który zamieszkał na stałe w New Castle; oficjalnie był sekretarzem hrabiego, a w rzeczywistości jego księdzem. Co niedzielę odprawiał w kaplicy mszę dla rodziny i służby, chyba że wyjeżdżał z Margery, by pełnić posługę gdzie indziej.

Choć wszyscy zachowywali dyskrecję, takich praktyk nie można było bez końca utrzymywać w tajemnicy. Wielu ludzi domyślało się, że w New Castle i prawdopodobnie w całej Anglii odprawia się ukradkiem msze katolickie. Purytanie zasiadający w parlamencie – oczywiście wyłącznie mężczyźni – byli wściekli z tego powodu. Lecz królowa Elżbieta nie chciała egzekwować prawa dotyczącego tych kwestii. Margery zaczynała już dostrzegać, że tego

rodzaju kompromis to rozwiązanie typowe dla Elżbiety. Królowa była heretyczką, ale i rozsądną kobietą, za co Margery dziękowała Bogu.

Odeszła od stołu najwcześniej, jak mogła to zrobić, nie popełniając nietaktu. Miała zresztą dobrą i prawdziwą wymówkę: gospodyni była chora, prawdopodobnie umierająca, a Margery chciała dopilnować, by niczego jej nie zabrakło.

Przeszła do pomieszczeń dla służby. Sal Brendon leżała w alkowie przy kuchni. Pięć lat wcześniej, po przeprowadzce do New Castle, Margery nie przypadła do gustu gospodyni, w końcu jednak zdołała przekonać ją do siebie i prowadziły dom razem. Niestety, w jednej z obfitych piersi Sal pojawił się guz i w ciągu roku biedaczka zamieniła się z apetycznej pulchnej kobietki w obleczony skórą szkielet.

Guz Sal przebił się przez skórę i objął jej ramię. Owinięto go grubą warstwą bandażu, by stłumić paskudny zapach. Margery zachęciła gospodynię, by wypiła trochę sherry, a potem rozmawiała z nią przez jakiś czas. Sal wyznała jej z gorzką rezygnacją, że hrabia już od wielu tygodni nie raczył wybrać się do niej z wizytą. Miała teraz poczucie, że przez większość życia starała się zadowolić człowieka, który nie umiał jej okazać nawet pozorów wdzięczności.

Margery wróciła do swojej komnaty i próbowała poprawić sobie humor lekturą przezabawnej francuskiej książki zatytułowanej *Pantagruel*, opowiadającej o olbrzymach tak wielkich, że trzy ich jądra wypełniłyby w całości worek. Stephen Lincoln z pewnością skrytykowałby tego rodzaju opowieść, lecz Margery nie widziała w niej nic złego. Czytała przy świecy przez godzinę, co jakiś czas chichocząc pod nosem, aż w końcu przebrała się i położyła do łóżka.

Spała w lnianej koszuli sięgającej kolan. Łoże miało baldachim i zasłony, lecz zawsze je rozsuwała. Przez wysokie okna zamku wpadała odrobina księżycowego blasku, dzięki czemu w komnacie nie było całkiem ciemno. Margery ułożyła się wygodnie pod pierzyną i zamknęła oczy.

Chętnie pokazałaby *Pantagruela* Nedowi Willardowi. Z pewnością byłby zachwycony fantastycznymi i zabawnymi pomysłami autora, tak jak zachwycony był sztuką o Marii Magdalenie, którą widzieli w New Castle. Zawsze, gdy trafiała na coś ciekawego lub niezwykłego, zastanawiała się, co powiedziałby o tym Ned.

Często myślała o nim nocą. Choć wiedziała, że to niemądre, wydawało jej się, że ciemność

skrywa jej brudne myśli. Teraz przypomniała sobie, jak po raz pierwszy całowali się i pieścili z Nedem w starym nieużywanym piecu chlebowym. Żałowała, że nie posunęli się wtedy dalej. To wspomnienie wypełniło jej ciało przyjemnym ciepłem. Wiedziała, że popełnia grzech, dotykając się między nogami, ale tej nocy – jak to się czasem zdarzało – nie musiała nawet pomagać sobie dotykiem, zacisnęła tylko mocniej uda i poddała się falom rozkoszy.

Potem zrobiło jej się smutno. Pomyślała o pełnych żalu wyznaniach Sal Brendon, wyobraziła sobie siebie na łożu śmierci i zaczęła się zastanawiać, czy i ona będzie wtedy równie rozgoryczona. Łzy napłynęły jej do oczu. Sięgnęła do małej skrzynki ustawionej obok łoża, gdzie trzymała osobiste rzeczy, i wyjęła z niej chusteczkę z wyszywanymi żołędziami. Należała do Neda, lecz mu jej nie oddała. Ukryła twarz w delikatnej tkaninie, wyobrażając sobie, że znów jest z ukochanym, który delikatnie ociera jej policzki z łez.

Wtedy usłyszała czyjś oddech.

W New Castle nie było zamków w drzwiach; te do sypialni Margery zawsze zatrzaskiwała. Nie usłyszała jednak, by ktoś je otwierał, więc może

tym razem zostawiła otwarte. Ale kto zakradałby się tutaj w całkowitej ciszy?

Może był to pies – ogary hrabiego swobodnie biegały po korytarzach o każdej porze dnia i nocy; być może jeden z nich właśnie tu zajrzał. Wytężyła słuch i odniosła wrażenie, że tajemniczy gość stara się stłumić oddech, by nie zdradzić swojej obecności – pies by tego nie potrafił.

Otworzyła oczy i usiadła prosto. Serce biło jej jak szalone. W blasku księżyca dostrzegła postać mężczyzny w koszuli nocnej.

– Wyjdź stąd – rozkazała stanowczym tonem, choć jej głos lekko drżał.

Przez chwilę w sypialni panowała cisza. Było zbyt ciemno, by Margery mogła rozpoznać intruza. Czyżby Bart wrócił wcześniej, niż planował? Nie, nikt nie podróżował po zmroku. Nie mógł to również być żaden ze służących – wchodząc nocą do sypialni żony wicehrabiego, ryzykowałby życie. Na pewno nie odwiedziłby jej również Stephen Lincoln, wiedziała bowiem, że nie ciągnie go do kobiet – jeśli już miałby zgrzeszyć w ten sposób, zrobiłby to z jakimś ładnym chłopcem.

– Nie bój się – odezwał się w końcu mężczyzna.

To był Swithin.

– Idź stąd – powtórzyła.

Usiadł na skraju łoża.

– Oboje jesteśmy samotni. – Mówił nieco bełkotliwie, jak zawsze pod wieczór.

Margery chciała wstać, ale ją przytrzymał.

– Wiesz, że tego chcesz – powiedział.

– Nie, nie chcę! – Zaczęła się z nim szarpać, ale był wielki i silny, nie wypił też tak dużo, by stracić koordynację ruchów.

– Lubię, kiedy kobieta trochę się opiera – mruknął.

– Puść mnie! – krzyknęła.

Wolną ręką odrzucił na bok pierzynę i wbił pożądliwe spojrzenie w jej uda, bo koszula nocna zadarła jej się aż na biodra. Poczuła się nagle zawstydzona i próbowała przykryć swą nagość dłońmi.

– Ach… – dodał zadowolony – i do tego nieśmiała.

Nie wiedziała, jak mogłaby się go pozbyć.

Z zaskakującą zwinnością pochwycił ją nagle za obie kostki u nóg i mocno pociągnął. Opadła na łóżko, a Swithin wskoczył na łóżko i położył się na niej. Był ciężki, miał nieprzyjemny, cuchnący oddech. Chwycił ją za piersi okaleczoną ręką.

– Zostaw mnie albo zacznę krzyczeć i wszyscy się dowiedzą – zagroziła Margery zaskakująco piskliwym głosem.

– Powiem, że mnie uwiodłaś. Uwierzą mnie, a nie tobie.

Zastygła w bezruchu. Wiedziała, że hrabia ma rację. Uważano, że kobiety nie panują nad swoim pożądaniem, w przeciwieństwie do mężczyzn. Według niej, było odwrotnie. Bez trudu mogła sobie jednak wyobrazić wzajemne oskarżenia, mężczyzn biorących stronę Swithina i podejrzliwie nastawionych kobiet. Bart byłby rozdarty, bo dobrze znał ojca, lecz mogłoby mu zabraknąć odwagi, by otwarcie wystąpić przeciw hrabiemu.

Czuła, jak Swithin podciąga swoją koszulę nocną. Pomyślała z nadzieją, że może jest zbyt pijany i nie będzie w stanie jej skrzywdzić. Czasami tak właśnie działo się z Bartem, gdy zanadto pofolgował sobie z trunkami, choć zawsze i tak zrzucał winę na nią. Swithin z pewnością też dużo dziś wypił.

Ale nie za dużo. Gdy poczuła, jak napiera na nią jego twardy członek, straciła resztki nadziei.

Zacisnęła mocno nogi. Próbował je rozsunąć, lecz nie było to łatwe; na łokciu jednej ręki opierał ciężar swego potężnego ciała, drugą zaś

wciskał między jej uda. Sfrustrowany, stęknął głośno. Margery pomyślała, że jeśli zdoła mu to utrudnić przez dość długi czas, w końcu się zniechęci i zostawi ją.

– Rozłóż nogi, suko – syknął.

Zacisnęła je jeszcze mocniej.

Wolną ręką uderzył ją w twarz.

Poczuła się tak, jakby coś eksplodowało w jej głowie. Jej teść był potężnym mężczyzną o silnych ramionach i rękach, a przy tym umiał i lubił bić. Nie miała pojęcia, że cios pięścią może być tak bolesny. Miała wrażenie, że jej głowa zaraz oderwie się od szyi. Usta Margery wypełniły się krwią. Straciła na moment panowanie nad własnym ciałem, a Swithin błyskawicznie to wykorzystał, rozsunął jej nogi i wbił w nią członek.

Reszta nie trwała już długo. Margery znosiła jego gwałtowne ruchy w oszołomieniu, ledwie przytomna. Twarz bolała ją tak bardzo, że prawie nie czuła reszty ciała. Swithin skończył i stoczył się z niej, dysząc ciężko.

Wstała z łóżka, przeszła w róg komnaty, usiadła na podłodze i chwyciła w dłonie obolałą głowę. Po chwili usłyszała, jak hrabia wychodzi, wciąż głośno dysząc.

Otarła twarz chusteczką, którą cały czas trzymała mocno w dłoni. Gdy nabrała pewności, że teść odszedł, wróciła do łóżka. Leżała i płakała cicho, aż sen okrył ją płaszczem błogosławionej nieświadomości.

Rankiem mogłaby sobie nawet wmówić, że to wszystko tylko jej się przyśniło, gdyby nie dotkliwy ból głowy. Spojrzała w lustro i zobaczyła, że jej twarz jest z jednej strony spuchnięta i sina. Przy śniadaniu tłumaczyła, że spadła z łoża i uderzyła się boleśnie; nie obchodziło jej, czy ktokolwiek w to uwierzy. Dobrze wiedziała, że jeśli oskarży hrabiego, tylko napyta sobie biedy.

Swithin zjadł solidne śniadanie i zachowywał się tak, jakby nic się nie wydarzyło.

Gdy tylko odszedł od stołu, Margery kazała służbie opuścić komnatę, a sama usiadła obok Stephena.

– Mój teść przyszedł wczoraj w nocy do mojej sypialni – powiedziała cicho.

– Po co? – spytał.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Był księdzem, ale miał dwadzieścia osiem lat i studiował w Oksfordzie, nie mógł być więc całkiem niewinny.

– Och! – zreflektował się po chwili.

– Zniewolił mnie.

– Próbowałaś się opierać?

– Oczywiście, ale jest ode mnie o wiele silniejszy. – Czubkami palców dotknęła opuchniętej twarzy. – Wcale nie spadłam z łóżka. On mnie uderzył.

– Krzyczałaś?

– Uprzedzałam go, że to zrobię. Wtedy on zagroził, że powie wszystkim, że go uwiodłam. I że wszyscy uwierzą jemu, a nie mnie. Miał rację, sam wiesz, ojcze.

Odchrząknął z zakłopotaniem, po czym w komnacie zapadła cisza.

– Co powinnam zrobić? – spytała w końcu Margery.

– Módl się o wybaczenie – odparł Stephen.

Zmarszczyła brwi.

– O czym ksiądz mówi?

– Módl się o wybaczenie grzechu. Bóg okaże ci miłosierdzie.

– Jakiego grzechu? – spytała Margery podniesionym głosem. – Ja nie popełniłam żadnego grzechu! Jestem jego ofiarą! Jak może ksiądz mi mówić, żebym modliła się o wybaczenie?

– Nie krzycz! Mówię tylko, że Bóg wybaczy ci cudzołóstwo.

– A co z jego grzechem?

– Hrabiego?

– Tak. Popełnił grzech znacznie cięższy niż cudzołóstwo. Co ksiądz zamierza z tym zrobić?

– Jestem duchownym, nie szeryfem.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– I to wszystko? Tak odpowiada ksiądz kobiecie, która została zgwałcona przez własnego teścia? Mówi jej ksiądz, że nie jest szeryfem?

Odwrócił wzrok.

Margery wstała od stołu.

– Ty gnido – wycedziła. – Ty cholerna gnido.

Bliska płaczu, wyszła z komnaty.

Przez jakiś czas miała ochotę odrzucić swoją religię, ale nie trwało to długo. Pomyślała o Hiobie i dotykających go nieszczęściach, które były próbą jego wiary. „Złorzecz Bogu i umieraj!” – powiedziała mu jego żona, lecz Hiob odmówił. Gdyby każdy, kto spotkał bojaźliwego księdza, odrzucał Boga, na świecie zostałoby niewielu chrześcijan. Ale co powinna teraz zrobić? Bart miał wrócić dopiero następnego dnia. A jeśli Swithin odwiedzi ją ponownie tej nocy?

Przez cały dzień układała plan. Poleciła młodej służącej Peggy, by spała w jej komnacie, na sienniku przy łożu. Wiele samotnych arystokratek spało w towarzystwie służących, ale

Margery nigdy nie była przekonana do takiego pomysłu. Teraz już rozumiała jego sens.

Wzięła też ze sobą psa. W zamku zawsze było kilka szczeniąt, znalazła więc wśród nich takie, które było dość młode, by przywiązać się tylko do niej. Psiak wtedy nie miał jeszcze imienia, więc nazwała go Mick. Na razie mógł tylko szczekać, liczyła jednak na to, że odpowiednio wyszkolony, za jakiś czas będzie w stanie ją obronić.

Nie mogła się nadziwić zachowaniu Swithina. Widziała się z nim ponownie podczas obiadu i kolacji. Prawie się do niej nie odzywał, co u niego należało do normy. Rozmawiał za to ze Stephenem Lincolnem o bieżących sprawach – o Nowym Świecie, o projektach statków, o niezdecydowaniu królowej Elżbiety, która wciąż nie mogła sobie znaleźć męża. Wydawało się, że całkiem zapomniał o swoim nikczemnym postępku.

Kiedy udała się do sypialni, zamknęła starannie drzwi, a potem wraz z Peggy przystawiła do nich ciężką skrzynię. Żałowała, że mebel nie jest jeszcze cięższy, choć wtedy zapewne nie byłyby go w stanie przesunąć. Włożyła na koszulę nocną pas i przypięła do niego mały nóż w pochwie. Postanowiła, że przy najbliższej okazji sprawi sobie większy sztylet.

Biedna Peggy była przerażona, lecz Margery nie chciała jej niczego objaśniać, gdyż musiałaby wtedy oskarżyć hrabiego.

Położyła się do łóżka, a służąca zdmuchnęła świece i zwinęła się w kłębek na sienniku. Mick był nieco zaintrygowany nowym otoczeniem, ale przyjął tę zmianę z psim stoicyzmem i ułożył się do snu przed kominkiem.

Margery próbowała znaleźć sobie wygodną pozycję. Nie mogła leżeć na boku, bo nawet w zetknięciu z delikatną poduszką spuchnięta strona twarzy okropnie ją bolała. W końcu ułożyła się więc na plecach i wbiła wzrok w ciemność. Wiedziała, że nie zaśnie, tak jak wiedziała, że nie uleci niczym ptak za okno.

Myślała tylko o tym, by przetrwać jakoś tę noc. Nazajutrz Bart wróci do domu, a potem ona już zadba o to, by nigdy nie zostać w zamku tylko ze Swithinem. Jednakże już kiedy snuła te plany, wiedziała, że są nie do zrealizowania. To Bart decydował, kiedy ma mu towarzyszyć, i nie zawsze pytał ją o zdanie. Pewnie zostawiał ją wtedy, gdy zamierzał odwiedzić kochankę, wybrać się z przyjaciółmi do domu uciech albo zająć się jakąś inną rozrywką, w której żona tylko by mu przeszkadzała. Margery nie mogła mu się sprzeciwić, nie podając jakiegoś

konkretnego powodu, a tego akurat powodu nie mogła ujawnić. Znalazła się w potrzasku, a Swithin doskonale o tym wiedział.

Jedynym wyjściem było zabicie teścia, lecz gdyby to zrobiła, sama trafiłaby na szubienicę. Żadne wyjaśnienia nie uchroniłyby jej przed karą.

Chyba że wyglądałoby to na wypadek…

Czy Bóg by jej wybaczył? Być może. Z pewnością nie chciał, by została zgwałcona.

Kiedy się nad tym zastanawiała, ktoś poruszył energicznie klamką u drzwi.

Mick szczeknął nerwowo.

Ktoś próbował się dostać do środka.

– Kto to może być? – spytała przerażona Peggy.

Klamka poruszyła się ponownie, a potem rozległ się głuchy huk, gdy drzwi uderzyły w skrzynię odsuniętą od niej o jakiś cal.

– Odejdź! – powiedziała głośno Margery.

Ktoś naparł ponownie na drzwi, stękając przy tym głośno, a skrzynia wyraźnie drgnęła.

Peggy wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

Margery wyskoczyła z łóżka.

Skrzynia przesunęła się ze zgrzytem po podłodze i do pokoju wszedł Swithin w koszuli nocnej.

Gdy Mick zaczął na niego szczekać, hrabia wymierzył mu solidnego kopniaka. Szczeniak zaskowytał i wybiegł na korytarz.

Swithin zobaczył Peggy i warknął:

– Wynoś się, zanim ciebie też skopię.

Służąca uciekła, a on zbliżył się o krok do Margery.

Wyjęła zza pasa nóż.

– Zabiję cię, jeśli stąd nie wyjdziesz – ostrzegła go drżącym głosem.

Swithin zamachnął się szeroko lewą ręką i uderzył w prawy nadgarstek Margery z siłą młota. Nóż wyleciał jej z dłoni i upadł na podłogę. Hrabia pochwycił ją za ramiona, podniósł bez trudu nad podłogę i rzucił na łóżko, a potem położył się na niej.

– Rozłóż nogi – rozkazał. – Wiesz, że tego chcesz.

– Nienawidzę cię – odparła.

Podniósł rękę do ciosu.

– Rozłóż nogi albo uderzę cię w to samo miejsce co wczoraj.

Nie zniosłaby takiego bólu, była zresztą przekonana, że ten cios by ją zabił. Zaczęła bezradnie szlochać i rozłożyła nogi.

IV

Rollo robił wszystko co w jego mocy, by stale śledzić poczynania purytanów w Kingsbridge. Jego najważniejszym informatorem był Donal Gloster, sekretarz Dana Cobleya. Donal miał podwójną motywację: nienawidził Cobleyów, którzy odrzucili jego starania o rękę ich córki, i pragnął pieniędzy Rollo, bo Cobley mało mu płacił.

Spotykali się regularnie w gospodzie Pod Kogutem przy Gallows Cross. Właściwie był to dom uciech, więc Rollo mógł wynająć pokój i spokojnie rozmawiać ze swoim informatorem. Jeśli nawet tutejsze dziwki plotkowały na ten temat, to ludzie zakładali zapewne, że chodzi o schadzki homoseksualistów. Oczywiście był to grzech i przestępstwo, ale znajomi prostytutek nie należeli do osób, które mogłyby kogokolwiek oskarżać.

– Dan jest zły, że dziekan Luke został biskupem – powiedział Donal pewnego dnia jesienią 1563 roku. – Purytanie uważają, że Luke jest jak chorągiewka na wietrze.

– I mają rację – mruknął Rollo pogardliwie. Zmienianie wyznania zależnie od tego, kto akurat zasiada na tronie, nazywano „polityką”,

a ludzie, którzy to robili, byli politykami. Rollo ich nienawidził. – Przypuszczam, że królowa wybrała go ze względu na jego uległość. Kogo chciałby zrobić biskupem Dan?

– Ojca Jeremiaha.

Rollo skinął głową. Jeremiah był pastorem w kościele Świętego Jana w Loversfield, miejscowości graniczącej od południa z Kingsbridge. Zawsze uchodził za reformatora, choć trzymał się Kościoła. Byłby radykalnym protestanckim biskupem i nie tolerowałby zapewne ludzi, którym tęskno do dawnej wiary i zwyczajów.

– Bogu dzięki, że mu się nie udało.

– Wcale się jeszcze nie poddał.

– Jak to? Decyzja już zapadła, królowa oficjalnie ją ogłosiła. Pojutrze Luke zostanie wyświęcony.

– Dan ma pewne plany. Dlatego chciałem się dziś z tobą spotkać. Na pewno cię to zainteresuje.

– Mów.

– Kiedy odbywa się konsekracja nowego biskupa, duchowni zawsze wyjmują relikwie świętego Adolfa.

– Ach tak, jasne. – W katedrze w Kingsbridge od wieków znajdowały się kości świętego Adolfa. Przechowywano je w wysadzanym klejnotami

relikwiarzu, który stał zwykle w prezbiterium. Pielgrzymi z całej zachodniej Europy przybywali do katedry, by modlić się do świętego o zdrowie i pomyślność. – Ale być może tym razem Luke zostawi kości w spokoju.

Donal pokręcił głową.

– Zabierze je na procesję, bo tego chcą mieszkańcy Kingsbridge. Mówi, że nikt nie oddaje czci kościom, więc nie jest to bałwochwalstwo. Po prostu czczą pamięć świętego męża.

– Ach, ten Luke! – Rollo pokręcił głową. – Zawsze szuka jakiegoś kompromisu.

– Purytanie uważają, że to bluźnierstwo.

– Nic dziwnego.

– W niedzielę podejmą interwencję – powiedział Donal.

Rollo uniósł brwi. To rzeczywiście było interesujące.

– Co zamierzają zrobić?

– Kiedy podczas ceremonii kości zostaną uroczyście podniesione, przechwycą relikwiarz i sprofanują szczątki świętego. Jednocześnie będą wzywać Boga, by natychmiast ich zabił, jeśli tego nie pochwala.

Rollo był zszokowany.

– Zrobią to z relikwiami, którymi księża w Kingsbridge opiekują się od pięciuset lat?

– Tak.

Nawet królowa Elżbieta potępiała tego rodzaju działania. Za rządów Edwarda VI ikonoklazm był bardzo popularny, lecz Elżbieta wprowadziła prawo zabraniające niszczenia obrazów i przedmiotów należących do Kościoła. Zakaz ten nie do końca był skuteczny, ponieważ w Anglii nie brakowało ultraradykalnych protestantów.

– Właściwie nie powinno mnie to dziwić – mruknął Rollo.

– Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Donal miał rację. Informacja jest bronią. Świadomość, że posiada wiedzę ukrytą przed innymi, zawsze wprawiała Rollo w euforię. Mógł cieszyć się nią w nocy i choć przez chwilę czuć się potężnym.

Sięgnął do kieszeni i podał Donalowi pięć złotych monet zwanych aniołami, z których każda warta była dziesięć szylingów lub pół funta.

– Dobra robota – powiedział.

– Dziękuję – odparł informator, z zadowoleniem chowając monety do kieszeni.

Rollo mimowolnie pomyślał o trzydziestu srebrnikach Judasza Iskarioty.

– Będziemy w kontakcie – rzucił i wyszedł.

Mostem Merthina dotarł do centrum miasta i ruszył w górę głównej ulicy. Rześkie jesienne powietrze jeszcze pobudzało go do działania i wzmacniało radosne podniecenie. Gdy jednak spojrzał na stare święte kamienie katedry, aż zadrżał ze zgrozy na myśl o planowanym świętokradztwie i przysiągł, że mu zapobiegnie.

Potem przyszło mu do głowy, że mógł zrobić coś więcej. Czy dałoby się obrócić ten incydent na jego korzyść?

Pogrążony w rozmyślaniach, powoli wszedł do Priory Gate, domu ojca. Budowa tej rezydencji omal nie doprowadziła Fitzgeraldów do bankructwa. W końcu to jednak Willardowie zbankrutowali. Teraz, po pięciu latach, dom nie lśnił już nowością, przygasł i spowszedniał. Jasnoszare kamienie z tego samego kamieniołomu, z którego pochodził budulec na katedrę, pociemniały nieco w angielskim deszczu i dymie z dwóch tysięcy palenisk Kingsbridge.

W mieście akurat bawił z wizytą hrabia Swithin, wraz z Bartem i Margery. Przyjechali na konsekrację nowego biskupa. Zatrzymali się w domu hrabiego na Wyspie Trędowatych, ale

spędzali sporo czasu w Priory Gate. Rollo miał nadzieję, że właśnie tu ich zastanie, bo nie mógł się już doczekać, kiedy przekaże Swithinowi wieści usłyszane od Donala. Był pewien, że hrabia oburzy się jeszcze bardziej niż on.

Wstąpił na marmurowe schody i wszedł do gabinetu ojca. Choć w domu nie brakowało większych i bogatszych komnat, właśnie tu zbierano się zwykle, by porozmawiać o ważnych sprawach. Sir Reginald, który ze względu na wiek był szczególnie wrażliwy na zimno, kazał rozpalić w kominku. Zgodnie z przypuszczeniami Rollo, w gabinecie byli też goście, a na bocznym stoliku stał dzban z winem.

Rollo był dumny, widząc, że hrabia czuje się u nich jak u siebie w domu. Wiedział też, że napełnia to dumą ojca, choć ten nigdy o tym nie mówił. W obecności Swithina sir Reginald stawał się bardziej powściągliwy i ostrożny w ocenach; chciał sprawiać wrażenie mądrego i doświadczonego doradcy, a jednocześnie skrywał impulsywną, wojowniczą stronę swego charakteru.

Bart siedział u boku hrabiego i choć wyglądał jak jego młodsza wersja, nie miał tak silnej osobowości. Wicehrabia uwielbiał swego

potężnego, stanowczego ojca, ale wydawało się, że nigdy mu nie dorówna.

Stara gwardia wciąż tutaj jest, pomimo rządów Elżbiety, pomyślał Rollo. Doznali wielu porażek, ale nie zostali jeszcze ostatecznie pokonani.

Usiadł obok siostry i przyjął od matki kubek z winem. Martwił się trochę o Margery. Miała zaledwie dwadzieścia lat, ale wyglądała starzej. Schudła, była chorobliwie blada, a na jej szczęce widniał siniak. Zawsze szczyciła się swoim wyglądem, tak że, zdaniem Rollo, graniczyło to z próżnością, dziś jednak miała na sobie brzydką burą suknię, a jej włosy były tłuste i rozczochrane. Domyślał się, że jest nieszczęśliwa, choć nie wiedział dlaczego. Kiedyś spytał ją wprost, czy Bart źle ją traktuje, ale ona odpowiedziała wtedy z mocą:

– Jest przyzwoitym mężem.

Być może była rozczarowana, że nie zaszła jeszcze w ciążę. Tak czy inaczej, miał nadzieję, że Margery nie narobi sobie ani innym problemów.

Upił łyk wina i oznajmił:

– Mam niepokojące wieści. Rozmawiałem właśnie z Donalem Glosterem.

– Podłe indywiduum – mruknął sir Reginald.

– Godny pogardy, ale przydatny. Gdyby nie on, nie dowiedzielibyśmy się, że Dan Cobley i purytanie zamierzają dokonać napaści w niedzielę podczas konsekracji Luke'a Richardsa, który, jak na ich gust, jest jeszcze nie dość heretycki.

– Napaść? – powtórzył jego ojciec. – Co chcą zrobić?

– Sprofanować kości świętego – odparł Rollo, ujawniając w końcu sensacyjną wiadomość.

W komnacie zapadła na moment pełna zdumienia cisza.

– Nie – wyszeptała w końcu Margery.

– Wypruję mu flaki, jeśli spróbuje to zrobić – warknął hrabia Swithin.

Rollo otworzył szerzej oczy. Nie pomyślał dotąd, że aktów przemocy mogą się dopuścić obie strony.

– Jeśli zabijesz człowieka w kościele, sam zostaniesz stracony – odezwała się zadziornym tonem matka Rollo. – Nawet hrabiemu coś takiego nie ujdzie na sucho. – Lady Jane zawsze była brutalnie szczera, co tylko dodawało jej uroku.

Swithin wyraźnie oklapł.

– Cholera, masz rację.

– A ja myślę, że moja matka może się mylić – wtrącił Rollo.

– Jak to?

– No właśnie. – Lady Jane uniosła brwi. – Powiedz nam, dlaczego się mylę, mój sprytny synu.

Zebrał myśli i zaczął opisywać plan, który powstawał właśnie w jego głowie.

– Gdyby chodziło o morderstwo popełnione z premedytacją w kościele, zgodziłbym się z wami. Rzeczywiście, nawet hrabia mógłby zostać za to ukarany śmiercią. Ale zastanówcie się. Burmistrz Kingsbridge mógłby przedstawić całkiem inną historię.

Swithin wydawał się skonsternowany, ale Reginald skinął głową.

– Mów dalej, synu – poprosił. – To interesujące.

– Każde wydarzenie może zostać uznane za dobre albo złe, zależnie od punktu widzenia. Rozważcie taki przykład. Grupa uzbrojonych osiłków wchodzi do miasta, zabija mężczyzn, gwałci kobiety i zabiera kosztowności. Powiemy, że to nikczemni zbrodniarze, chyba że złupione miasto to Asyria, a ofiary to muzułmanie. W tym przypadku napastnicy nie są zbrodniarzami, tylko krzyżowcami i bohaterami.

– I mówisz to wszystko bez cienia ironii – zauważyła Margery z niesmakiem.

Rollo nie zrozumiał tej uwagi.

– No i co? – dopytywał się niecierpliwie sir Reginald.

– Otóż w niedzielę wydarzy się rzecz następująca: Purytanie zaatakują kapłanów i spróbują wykraść im relikwie, wbrew prawu uchwalonemu przez królową Elżbietę. Wtedy wierni chrześcijanie biorący udział w uroczystości staną w obronie nowego biskupa Elżbiety i uratują kości świętego. Będzie nawet lepiej, jeśli nikt nie użyje miecza, choć oczywiście mężczyźni będą mieli przy sobie zwykłe noże, których używają na co dzień do krojenia mięsa przy stole. Niestety, w całym tym zamieszaniu Dan Cobley, przywódca purytanów w Kingsbridge, zostanie śmiertelnie pchnięty nożem. Ponieważ jednak to właśnie on jest głównym prowodyrem tego ataku, zostanie to uznane za wyraz Bożej woli. Poza tym nie da się ustalić, kto właściwie zadał śmiertelny cios. A ty, ojcze, jako burmistrz Kingsbridge, napiszesz do królowej raport, w którym przedstawisz tę prostą historię.

– Śmierć Dana Cobleya byłaby darem niebios – stwierdził sir Reginald w zamyśleniu. – Jest

przywódcą purytanów.

– I najgorszym wrogiem naszej rodziny – dodał Rollo.

– Może przy tym zginąć wielu innych ludzi – zauważyła Margery surowo.

Brat nie był zaskoczony jej reakcją. Była głęboko wierząca, ale uważała, że wiarę katolicką należy szerzyć wszelkimi środkami prócz przemocy.

– Ona ma rację, to niebezpieczne – powiedział hrabia Swithin. – Ale nie możemy pozwolić, by to nas powstrzymało – dodał z uśmiechem. – Kobiety martwią się takimi rzeczami i właśnie dlatego Bóg dał władzę mężczyznom.

V

Leżąc w łóżku i wspominając wydarzenia minionego dnia, Margery z pogardą myślała o Danie Cobleyu i purytanach, którzy chcieli się dopuścić tak ohydnej profanacji, lecz niemal taką samą pogardę czuła wobec ojca i brata. Oni z kolei chcieli cynicznie wykorzystać świętokradztwo i zadać cios politycznym przeciwnikom.

Obaj mogli zostać ranni albo nawet zginąć w tej awanturze, lecz Margery było to właściwie obojętne. Nie żywiła już do nich żadnych ciepłych uczuć. Wykorzystali ją kiedyś bezlitośnie, by podnieść własną pozycję społeczną, tak samo jak teraz chcieli wykorzystać profanację do walki z purytanami. Fakt, że zrujnowali jej życie, nic dla nich nie znaczył. Kiedy była dzieckiem, opiekowali się nią jak źrebięciem, które niegdyś może zostać przydatnym koniem pociągowym. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała z nostalgią o dzieciństwie i czasach, gdy wierzyła, że naprawdę ją kochają.

Znacznie większe emocje budziła w niej myśl, że krzywda może się stać również jej teściowi. Z całego serca pragnęła, by zginął lub został okaleczony tak bardzo, że nigdy już nie mógłby jej zniewolić. Podczas modlitwy błagała Boga, by w niedzielny poranek zabrał hrabiego do piekła. Zasnęła, wyobrażając sobie, że opatrzność uwalnia ją od oprawcy.

Obudziła się z myślą, że to, czy marzenie się spełni, zależy od niej.

Swithin narażał się na niebezpieczeństwo, a ona musiała znaleźć sposób, by mieć pewność, że coś mu się stanie. Z powodu jej tajnej

współpracy z księdzem Stephenem Lincolnem ojciec i brat uważali ją za godnego zaufania sprzymierzeńca i nawet nie przyszło im do głowy, by coś przed nią ukrywać. Znała ich sekret i musiała go wykorzystać.

Wstała wcześnie. Matka była już w kuchni i wydawała służbie polecenia dotyczące posiłków. Lady Jane była spostrzegawcza, musiała więc zauważyć, że w życiu córki dzieje się coś bardzo złego, o nic jednak nie pytała. Gdyby Margery poprosiła ją o radę, matka chętnie by jej udzieliła, ale bez takiej zachęty nie podejmowała żadnych kroków. Być może w jej małżeństwie też działy się rzeczy, które wolała zachować dla siebie.

Poprosiła córkę, by wybrała się nad rzekę i sprawdziła, czy nie sprzedają tam dziś dobrych, świeżych ryb. Był deszczowy sobotni poranek, więc Margery włożyła starą kapotę. Zabrała kosz na ryby i ruszyła do miasta. Gdy przechodziła przez rynek, handlarze rozstawiali już swoje kramy.

Musiała ostrzec purytanów przed pułapką, tak by przyszli do katedry uzbrojeni i mogli stawić opór. Nie mogła jednak zapukać do drzwi Dana Cobleya i powiedzieć, że chce podzielić się z nim sekretem. Po pierwsze, na pewno ktoś by ją

zobaczył, a wiadomość, że Margery, żona wicehrabiego, odwiedziła Dana Cobleya, stałaby się prawdziwą sensacją i w kwadrans obiegłaby całe miasto. Po drugie, Dan by jej nie uwierzył i uznałby to za podstęp. Musiała go ostrzec w jakiś inny sposób.

Na razie nie miała żadnego pomysłu na rozwiązanie tego dylematu. Głęboko zamyślona, szła powoli przez rynek. Nagle usłyszała głos, który przyprawił ją o szybsze bicie serca.

– Tak się cieszę, że cię widzę!

Zszokowana i podekscytowana jednocześnie, podniosła wzrok. Tuż obok, okryty kosztowną czarną peleryną, stał Ned Willard we własnej osobie. Wydawało się, że jest aniołem stróżem zesłanym przez niebiosa.

Nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że sama wygląda niechlujnie, nosi stare ubranie i ma nieuczesane włosy. Na szczęście Ned nie zwracał na to uwagi. Patrzył na nią z uśmiechem i wydawało się, że chętnie robiłby to bez końca.

– Nosisz miecz – zauważyła.

– Dworzanie noszą miecze – odparł, wzruszając ramionami. – Miałem nawet lekcje fechtunku, żebym wiedział, co z nim robić.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, Margery zaczęła logicznie myśleć. Miała teraz doskonałą

okazję, by wykorzystać swoją wiedzę. Jeśli ludzie zobaczą, jak rozmawia z Nedem, pokiwają ze zrozumieniem głowami i stwierdzą, że nigdy o nim nie zapomniała; to samo pomyśli też jej rodzina.

Nie była pewna, co mu zdradzić, a co zachować w sekrecie.

– Podczas wyświęcenia dojdzie do bójki – zaczęła. – Dan Cobley chce przejąć kości świętego.

– Skąd o tym wiesz?

– Donal Gloster powiedział mojemu bratu.

Ned uniósł brwi. Oczywiście nie wiedział, że Donal Gloster, prawa ręka Dana Cobleya, jest szpiegiem katolików. Nie skomentował jednak tej rewelacji, uznawszy, że może zastanowić się nad nią później.

– Rollo powiedział o tym mojemu teściowi – dodała Margery. – A Swithin chce to wykorzystać jako pretekst do wszczęcia bójki, podczas której zabije Dana.

– W kościele?

– Tak. Myśli, że uniknie kary, bo będzie utrzymywał, że bronił kapłanów i relikwii.

– Swithin jest za głupi, żeby wymyślić coś podobnego.

– Owszem, to był pomysł Rollo.

– Diabeł wcielony…

– Zastanawiałam się właśnie, jak ostrzec purytanów, żeby przyszli do kościoła uzbrojeni. Teraz ty możesz to zrobić.

– Tak. – Skinął głową. – Zostaw to mnie.

Z trudem oparła się pokusie, by zarzucić mu ręce na szyję i ucałować go serdecznie.

VI

– Musimy odwołać uroczystość – orzekł dziekan Luke, gdy Ned opowiedział mu o planach katolików.

– I kiedy ją zorganizujemy?

– Nie wiem.

Stali w prezbiterium, obok jednego z potężnych filarów podtrzymujących wieżę. Spoglądając w górę, Ned przypomniał sobie, że to wieża Merthina, odbudowana po tym, jak stara wieżyca doprowadziła do katastrofy, co opisano w historii Kingsbridge zwanej *Księgą Timothy'ego*. Merthin musiał budować solidnie, skoro ta wieża trzymała się doskonale od dwustu lat.

Ned opuścił wzrok na zatroskaną twarz Luke'a i jego łagodne niebieskie oczy. Dziekan

należał do księży, którzy wolą za wszelką cenę unikać konfliktów.

– Nie możemy przełożyć konsekracji – powiedział Ned. – To byłby policzek dla królowej Elżbiety. Ludzie mówiliby, że purytanie z Kingsbridge nie pozwolili powołać biskupa z jej wyboru. Skrajnie radykalni protestanci z innych miast mogliby pomyśleć, że mają prawo decydować o tym, kto zostanie biskupem, a to z kolei mogłoby doprowadzić do kolejnych zamieszek. Królowa ukrzyżowałaby cię za coś podobnego.

– O Boże… – westchnął Luke. – W takim razie zostawimy relikwie na miejscu.

Ned zerknął na grobowiec świętego Adolfa, oddzielony od reszty świątyni żelaznym ogrodzeniem zamkniętym na klucz. Klęczała tam teraz grupka pielgrzymów, którzy wpatrywali się z nabożną czcią w relikwiarz – złotą szkatułę w kształcie kościoła z ozdobnymi łukami i wieżami. W złocie osadzono perły, rubiny i szafiry, które skrzyły się w łagodnym blasku dnia wpadającym do katedry przez wielkie wschodnie okno.

– Nie wiem, czy to wystarczy – rzekł Ned. – Skoro już to zaplanowali, mogą wyłamać kraty.

– Nie mogę pozwolić, żeby podczas mojej konsekracji doszło do zamieszek.

– Oczywiście. Z punktu widzenia królowej byłoby to równie oburzające jak odwołanie uroczystości.

– Więc co robić?

Ned miał już pewien pomysł, ale wciąż się wahał. Wyczuwał, że Margery nie zdradziła mu wszystkiego. Chciała, by uzbroił purytanów, a nie zapobiegł awanturze. Wydawało się to dość zaskakujące, bo zawsze była przeciwna przemocy na tle religijnym. Ta myśl przemknęła mu tylko przez głowę, gdy z nią rozmawiał, teraz jednak w pełni to sobie uświadomił. Chodziło tu o coś jeszcze, lecz nie wiedział o co.

Z drugiej strony, nie mógł kierować się tak niejasnymi przesłankami. Na razie odsunął od siebie myśli o Margery. Musiał znaleźć rozwiązanie, które spodoba się zarówno Luke'owi, jak i królowej.

– Trzeba wyjąć proch z armaty – oznajmił.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Musimy pozbyć się relikwii.

Luke był zszokowany.

– Przecież nie możemy ich po prostu wyrzucić!

– Oczywiście, że nie. Ale możemy je uroczyście pogrzebać. Urządzić jutro o świcie pogrzeb, w którym weźmiesz udział ty i jeszcze dwóch kapłanów. Dziś wieczorem każemy George'owi Coxowi wykopać grób gdzieś na terenie katedry, ale nie zdradzimy nikomu, gdzie konkretnie. – George Cox był miejscowym grabarzem. – Zakopiemy kości w szkatule, a potem każemy Georgeo'wi ułożyć kamienie posadzki tak, by nikt nie zauważył, że zostały naruszone.

Luke zastanawiał się nad tym, marszcząc brwi.

– Kiedy ludzie przyjdą na wyświęcenie, sprawa będzie już załatwiona. Ale co powiedzą? Zobaczą, że relikwie zniknęły.

– Zawiesisz na ogrodzeniu informację, że święty Adolf leży tutaj, w katedrze. Potem, w czasie kazania, wyjaśnisz, że święty nadal jest z nami i błogosławi nas swoją obecnością, ale został pogrzebany w ukrytym grobie, by jego szczątki nie dostały się w ręce ludzi, którzy chcieliby je zbezcześcić.

– Sprytne – rzucił Luke z podziwem. – Ludzie będą zadowoleni, a protestanci zostaną bez argumentów. Ich protest będzie niczym proch, który zwietrzał.

– Dobre porównanie. Możesz go użyć w kazaniu.

Luke skinął głową.

– Więc sprawa jest załatwiona, tak? – upewnił się Ned.

– Muszę jeszcze omówić to z kapitułą.

Ned z trudem powstrzymał się od gniewnej riposty.

– Niekoniecznie. Jesteś przecież przyszłym biskupem. Ty tu rządzisz – dodał z uśmiechem.

Duchowny wydawał się zakłopotany.

– Zawsze lepiej wyjaśniać ludziom powody swoich decyzji.

– Rób, jak uważasz – odparł Ned, uznawszy, że nie warto toczyć dłużej tego sporu. – Przyjdę tu o świcie, żeby wziąć udział w pogrzebie.

– Doskonale.

Ned nie był do końca pewien, czy Luke zrealizuje ten plan. Pomyślał, że pomoże mu w tym wzmianka o długu wdzięczności.

– Cieszę się, że zdołałem przekonać królową, że to właśnie ty jesteś najlepszym kandydatem na biskupa Kingsbridge – dodał.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny, że zawsze we mnie wierzysz.

– Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy razem skutecznie zapobiegać przejawom

nienawiści na tle religijnym.

– Amen.

Luke mógł jeszcze zmienić zdanie, gdyby któryś z jego kolegów sprzeciwił się pogrzebaniu relikwii, ale na razie Ned nie miał na to wpływu. Postanowił odwiedzić kapłana jeszcze przed wieczorem i dopilnować, by wszystko odbyło się zgodnie z planem.

Pożegnał się i przeszedł do wyjścia główną nawą, między potężnymi filarami, strzelistymi łukami i świetlistymi oknami, rozmyślając po drodze o tym, ile dobra i zła widział ten budynek w ciągu ostatnich czterystu lat. Kiedy wyszedł na zewnątrz, ponownie natknął się na Margery, która wracała właśnie do domu, niosąc na ramieniu kosz z rybami. Dostrzegła go i podeszła bliżej.

– Zrobiłeś to? – spytała, zatrzymując się przy drzwiach.

– Chyba uda nam się uniknąć przemocy – odrzekł. – Namówiłem Luke'a, by jutro rano pogrzebał po kryjomu relikwie, dzięki czemu nie będzie o co walczyć.

Przypuszczał, że Margery będzie zadowolona i wdzięczna, lecz ku jego zdumieniu przez chwilę wpatrywała się w niego przerażona.

– Nie! Nie o to chodzi! – zawołała.

– O czym ty mówisz?

– Musi dojść do walki.

– Ale zawsze byłaś przeciwna przemocy.

– Swithin musi umrzeć!

– Tss…!

Wziął ją pod rękę i wprowadził z powrotem do wnętrza świątyni. W północnej nawie znajdowała się kaplica poświęcona świętej Dymfnie. Nie była to zbyt popularna święta, więc małe pomieszczenie świeciło pustkami. Zdjęto stąd nawet obraz przedstawiający ścięcie męczennicy, by nie drażnić purytanów.

Ned stanął naprzeciwko Margery i ujął jej dłonie.

– Lepiej powiedz mi, co się dzieje. Dlaczego Swithin musi umrzeć? – spytał.

Milczała, widział jednak, że toczy wewnętrzną walkę, więc cierpliwie czekał.

– Kiedy Bart wyjeżdża, Swithin przychodzi nocą do mojego łóżka – odparła w końcu.

Ned wpatrywał się w nią ze zdumieniem i przerażeniem. Margery była gwałcona – przez własnego teścia. Nie mógł sobie wyobrazić czegoś równie obrzydliwego i okrutnego. Czuł, jak wzbiera w nim ogromny gniew, musiał jednak zapanować nad emocjami, by racjonalnie myśleć.

Przychodziły mu do głowy różne pytania, ale odpowiedzi wydawały się oczywiste.

– Bronisz się, ale on jest za silny, mówi ci, że jeśli zaczniesz krzyczeć, powie, że go uwiodłaś, a wszyscy mu uwierzą.

Po policzkach Margery potoczyły się łzy.

– Wiedziałam, że zrozumiesz.

– Ten człowiek jest bydlakiem.

– Nie powinnam była ci mówić. Ale może jutro Bóg pozbawi Swithina życia.

A jeśli Bóg tego nie zrobi, ja go wyręczę, poprzysiągł w duchu Ned, lecz zachował to dla siebie.

– Porozmawiam ponownie z Lukiem – obiecał. – Dopilnuję, żeby doszło do walki.

– Jak to zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Muszę pomyśleć.

– Nie narażaj się, proszę. To byłoby najgorsze.

– Zanieś ryby do domu – nakazał jej.

Wahała się jeszcze przez dobrą chwilę.

– Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać – odezwała się w końcu. – Jedyną.

– Wiem. – Skinął głową. – Idź do domu.

Otarła oczy rękawem i wyszła z katedry. Ned ruszył w drogę minutę później.

Gdyby w tym momencie spotkał Swithina, rzuciłby się na niego i udusił gołymi rękami –

albo nadziałby się na jego miecz, choć był zbyt wściekły, by się tego obawiać.

Odwrócił się i spojrzał na potężną fasadę katedry, wilgotną teraz od uporczywego angielskiego deszczu. Właśnie tu przychodzili ludzie, by szukać Boga. Jak mógł w ogóle rozważać morderstwo w tym miejscu? Lecz w tej chwili nie potrafił myśleć o niczym innym.

Starał się pozbierać myśli i pozwolić, by do głosu doszedł w końcu rozsądek. Spójrzmy prawdzie w oczy, rozmyślał. Jeśli podejmiesz walkę ze Swithinem, możesz przegrać, a nawet jeżeli wygrasz, powieszą cię za zabicie arystokraty. Ale ty jesteś bystry, a Swithin jest głupi, więc znajdź jakieś sprytne rozwiązanie, żeby się go pozbyć.

Odwrócił się i ruszył przez rynek. W sobotę zawsze panował tu spory ruch, lecz tego dnia do zwykłych klientów dołączyły tłumy gości przybyłych na konsekrację. Normalnie, przeciskając się między kramami, odruchowo zwracałby uwagę na rosnące i spadające ceny, na popularne i niepopularne towary, na zakupy dokonywane przez bywalców targowiska – ale nie dziś. Dostrzegał znajomych, którzy go pozdrawiali, był jednak zbyt zamyślony, by odpowiadać czymś więcej niż niedbałym gestem

dłoni lub skinieniem głowy. Dotarł w końcu do rodzinnego domu i wszedł do środka.

Matka przedwcześnie się postarzała. Przygarbiła się i jakby skurczyła. Straciła zainteresowanie światem zewnętrznym; zadawała mu kilka zdawkowych pytań dotyczących pracy u królowej i nawet nie słuchała odpowiedzi. Dawniej byłaby spragniona wieści o politycznych rozgrywkach, chciałaby wiedzieć wszystko o tym, jak Elżbieta rządzi krajem.

Tego ranka jednak, pod nieobecność Neda, jakby coś się zmieniło. Matka była w sieni z trojgiem służących: gospodynią Janet Fife, jej kulawym mężem Malcolmem oraz ich szesnastoletnią córką Eileen. Wszyscy wyglądali na ożywionych, więc Ned od razu się domyślił, że mają jakieś dobre wieści. Na jego widok matka oznajmiła radośnie:

– Barney wrócił do Anglii!

Pomyślał, że przynajmniej niektóre sprawy układają się dobrze, i zdobył się na uśmiech.

– Gdzie jest?

– Wpłynął do portu Combe na pokładzie *Jastrzębia*. Dostaliśmy wiadomość: czeka tylko na płacę… za trzy lata! A potem jedzie do domu.

– Nic mu nie jest? Mówiłem ci, że był w Nowym Świecie.

– Ale wrócił cały i zdrowy!

– Cóż, w takim razie musimy przygotować się do świętowania i zabić utuczone cielę.

Radość Alice nieco przygasła.

– Nie mamy cielęcia, ani utuczonego, ani żadnego innego.

Eileen, która niegdyś podkochiwała się w Barneyu, wtrąciła z podnieceniem:

– Mamy półroczne prosię, z którego mama chciała zrobić boczek na zimę. Moglibyśmy upiec je na rożnie.

Ned szczerze się cieszył, że cała rodzina znów będzie razem.

Jednakże smutne myśli o udręce Margery wróciły do niego, gdy zasiadł wraz z matką do obiadu. Alice była ożywiona, zastanawiała się głośno, jakie to przygody mógł przeżyć Barney w Sewilli, Antwerpii i na Hispanioli. Syn pozwalał jej mówić, podczas gdy sam oddawał się rozmyślaniom.

Margery miała nadzieję, że jeśli purytanie przyjdą do kościoła uzbrojeni, dojdzie do starcia i jej teść zginie. A Ned, nie znając jej motywów, pomimo najlepszych chęci zniweczył jej plany. Podczas uroczystości nie dojdzie do wystawienia

relikwii, purytanie nie będą protestować, a Swithin nie będzie miał pretekstu do wszczęcia bójki.

Czy Ned mógł jeszcze jakoś naprawić swój błąd? Wydawało się to niemożliwe. Dziekan Luke na pewno nie zechce wrócić do pierwotnego planu, by sprowokować zamieszki.

Ned uświadomił sobie, że może doprowadzić do starcia, informując obie strony, że o świcie zostaną pogrzebane relikwie. Tu jednak pojawiał się kolejny problem. Bójka była nieunikniona, ale nikt nie mógł zagwarantować, że Swithin zostanie w niej ranny, a ze względu na Margery Ned musiał mieć taką pewność.

Czy mógł jakoś zamienić jutrzejszą ceremonię chowania szczątków w pułapkę na Swithina?

A gdyby tak pozwolił Rollo zrealizować jego intrygę, pozbawiając ją jednak usprawiedliwienia dla działań katolików?

W głowie Neda powoli zaczął się formować plan. Być może udałoby mu się zwabić Swithina do katedry, podsuwając mu fałszywe informacje. Problem w tym, że katolicy na pewno by mu nie zaufali. Komu mogliby uwierzyć?

Nagle przypomniał sobie, co Margery mówiła o Donalu Glosterze. Donal był szpiegiem katolików, a Rollo darzył go zaufaniem.

Ned poczuł, że budzi się w nim nadzieja.

Po skończonym posiłku wyszedł szybko z domu i ruszył główną ulicą w stronę Nabrzeża Rzeźników, minął cumujące przy brzegu łodzie i dotarł do Tanneries, nadrzecznej dzielnicy małych domków i cuchnących warsztatów rzemieślniczych. Gdy zapukał do drzwi Donala Glostera, otworzyła mu jego matka, atrakcyjna kobieta w średnim wieku o pełnych ustach i gęstych ciemnych włosach. Na widok Neda wyraźnie się zaniepokoiła.

– Co pana do nas sprowadza, panie Willard?

– Dzień dobry, pani Gloster – przywitał ją uprzejmie Ned. – Chciałbym porozmawiać z pani synem.

– Jest w pracy. Wie pan, gdzie jest kantor Dana Cobleya?

Ned skinął głową. Dan miał magazyn i kantor w porcie.

– Nie będę przeszkadzał mu w pracy. Kiedy spodziewa się go pani w domu?

– Kończy o zachodzie słońca, ale zwykle idzie najpierw do karczmy Pod Rzeźnikiem.

– Dziękuję pani.

– Czego pan od niego chce?

– Proszę się nie obawiać, nie skrzywdzę go.

– Dziękuję – odparła bez przekonania, jakby nie do końca mu wierzyła.

Wrócił na nabrzeże i usiadł na zwoju liny, analizując po raz kolejny swój plan; wciąż wydawał mu się niepewny i niebezpieczny. Jednocześnie obserwował codzienną portową krzątaninę, nieustanny ruch łodzi i wozów, załadunek i rozładunek ziarna, węgla, kamieni, drewna, zwojów tkanin i beczek z winem. Tak właśnie niegdyś dorobiła się majątku jego rodzina: kupując w jednym miejscu, sprzedając w innym i zarabiając na różnicy cen. Był to prosty mechanizm i skuteczny sposób na dojście do bogactwa – jedyny, jeśli ktoś nie był arystokratą i nie mógł zmusić ludzi, by płacili mu dzierżawę za ziemię uprawną.

Powoli nadciągał wieczór. Zamykano luki statków i drzwi magazynów, ludzie opuszczali port, uradowani myślą o powrocie do domu i kolacji, o wizycie w karczmie i dobrej zabawie lub o chwilach spędzonych w ramionach kochanki. Ned dostrzegł Donala, gdy ten wyszedł z magazynu Cobleya i ruszył w stronę karczmy Pod Rzeźnikiem zdecydowanym krokiem człowieka, który nie musi dokonywać wyboru, bo codziennie robi to samo.

Ned wszedł za nim do gospody.

– Donalu, chciałbym zamienić z tobą kilka słów, jeśli pozwolisz.

Ostatnimi laty nikt nie odmawiał prośbom Neda. Stał się ważną postacią na dworze królewskim i dysponował dużą władzą, a wszyscy w Kingsbridge dobrze o tym wiedzieli. Co dziwne, nie czerpał z tego szczególnej satysfakcji. Niektórzy pragnęli szacunku, inni wina lub ciał pięknych kobiet, jeszcze inni klasztornego życia w ciszy i spokoju. Czego pragnął Ned? Znalazł odpowiedź zaskakująco łatwo i szybko: sprawiedliwości.

Będzie musiał dłużej się nad tym zastanowić.

Zapłacił za dwa kufle piwa i zaprowadził Donala do rogu sali.

– Prowadzisz niebezpieczne życie – powiedział, gdy tylko usiedli.

– Ned Willard, zawsze najmądrzejszy chłopak w klasie! – odrzekł Donal z nieprzyjemnym uśmiechem.

– Nie jesteśmy już w szkole. Tam za błędy karano nas tylko chłostą. Teraz możemy zapłacić za nie życiem.

Donal wyraźnie się przestraszył, robił jednak dobrą minę do złej gry.

– Ja nie popełniam błędów – rzucił.

– Gdyby Dan Cobley i purytanie dowiedzieli się o tym, co robisz dla Rollo, rozerwaliby cię na strzępy.

Zbladł jak ściana. Po chwili otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Ned go uprzedził.

– Nie zaprzeczaj, zmarnowałbyś tylko swój i mój czas. Posłuchaj lepiej, co musisz zrobić, żebym zachował dla siebie twoją tajemnicę.

Donal przełknął z trudem ślinę i skinął głową.

– To, co powiedziałeś wczoraj Rollo Fitzgeraldowi, było prawdą, ale później sytuacja nieco się zmieniła – oznajmił Ned.

Tamten aż otworzył usta ze zdumienia.

– Skąd…?

– Nieważne, skąd wiem, co mu powiedziałeś. Ty musisz tylko wiedzieć, że relikwie świętego rzeczywiście zostaną jutro zbezczeszczone w katedrze, ale o innej porze. O świcie, w obecności niewielu osób.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żebyś powtórzył wszystko młodemu Fitzgeraldowi.

– Przecież ich nienawidzisz, zrujnowali twoją rodzinę.

– Nie próbuj tego zrozumieć. Rób tylko to, co ci mówię, i ratuj swoją skórę.

– Rollo spyta, skąd wiem o tej zmianie.

– Więc powiedz, że słyszałeś, jak rozmawiał o tym Dan Cobley.

– W porządku.

– Idź teraz do Fitzgeralda. Na pewno macie jakiś umówiony sygnał, na wypadek gdybyś musiał się z nim natychmiast spotkać.

– Dokończę tylko piwo.

– Nie wolałbyś załatwić tego na trzeźwo?

Donal spojrzał z żalem na swój kufel.

– No już, śmiało – zachęcił go Ned.

Tamten wstał i wyszedł.

Ned opuścił karczmę, odczekawszy chwilę, i wrócił na główną ulicę. Mimo udanej rozmowy z Donalem, wciąż czuł niepokój. Owszem, miał plan, ale jego powodzenie zależało od wielu ludzi: od dziekana Luke'a, Donala Glostera, Rollo Fitzgeralda i – przede wszystkim – od hrabiego Swithina. Wystarczyło, by jedno z ogniw tego łańcucha pękło, a cała intryga wzięłaby w łeb.

Teraz dochodził do tego jeszcze jeden element.

Minął katedrę, karczmę Bella oraz nowy dom Fitzgeraldów, po czym wszedł do ratusza. Zapukał do drzwi pokoju szeryfa Matthewsona i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Szeryf jadł właśnie wczesną kolację złożoną

z chleba i zimnego mięsiwa. Na widok Neda odłożył nóż i otarł usta.

– Dobry wieczór, panie Willard. Mam nadzieję, że miewa się pan dobrze.

– Doskonale, szeryfie, dziękuję.

– Czy mogę być panu w czymś pomocnym?

– Nie mnie, lecz królowej, szeryfie. Jej Wysokość ma dla pana zadanie, które trzeba wykonać jeszcze tej nocy.

VII

Rollo nerwowo dotykał rękojeści miecza. Nigdy jeszcze nie uczestniczył w prawdziwej walce. Jako chłopiec ćwiczył z drewnianym mieczem, podobnie jak większość synów bogatych rodzin, ale nie miał żadnego doświadczenia w starciach na śmierć i życie.

Gabinet jego ojca był wypełniony ludźmi i choć zalegały w nim ciemności, żaden z nich nie spał. Z okien rozciągał się wspaniały widok na północną i zachodnią stronę katedry. Noc była jasna, Rollo bez trudu dostrzegał zarysy świątyni i jej najważniejsze części. Okna i drzwi, ukryte pod strzelistymi łukami, spowite nieprzeniknioną ciemnością, przywodziły na

myśl oczodoły człowieka. Wyżej, na tle rozgwieżdżonego nieba, rysowały się wieżyczki z kwiatonami i innymi zdobieniami.

Oprócz Rollo w komnacie czuwał jego ojciec, Bart Shiring, Swithin oraz dwóch spośród zaufanych zbrojnych hrabiego. Wszyscy byli uzbrojeni w miecze i sztylety.

Kiedy katedralny dzwon wybił czwartą, Stephen Lincoln odprawił mszę i udzielił całej szóstce rozgrzeszenia za czyny, które mieli wkrótce popełnić. Od tego momentu obserwowali katedrę ze wzmożoną czujnością.

Lady Jane i Margery zostały w łóżkach, ale Rollo był pewien, że i one już nie śpią.

Rynek, w ciągu dnia hałaśliwy i tętniący życiem, teraz był pusty i cichy. Po przeciwległej stronie placu znajdowała się szkoła i pałac biskupi, pogrążone w tym momencie w ciemnościach. Za nimi teren opadał łagodnie ku rzece, a dachy stłoczonych na zboczu domów wyglądały jak olbrzymie schody.

Rollo miał nadzieję, że Swithin, Bart i zbrojni, którzy żyli z zadawania przemocy, będą walczyć także w jego imieniu i oszczędzą mu zachodu.

Niebo zaczęło powoli jaśnieć, czerń murów katedry przechodziła stopniowo w szarość.

– Idą – wyszeptał ktoś po chwili i Rollo zobaczył, jak z pałacu biskupiego wychodzi sześć osób ze świecami w dłoniach. Procesja przeszła w ciszy przez rynek i zniknęła we wnętrzu świątyni.

Zmarszczył brwi. Przypuszczał, że Dan Cobley i inni purytanie są już w katedrze. Może zakradli się od strony zniszczonych zabudowań klasztornych i skorzystali z drzwi na tyłach budynku, niewidocznych z Priory Gate. Wolałby to wiedzieć na pewno, ale gdyby podzielił się teraz z innymi swoimi obawami, uznaliby to zapewne za objaw tchórzostwa, więc zachował milczenie.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – mruknął hrabia Swithin. – Niech zaczną te swoje satanistyczne obrzędy.

Miał rację. Mogliby narobić sobie kłopotów, gdyby weszli do świątyni za wcześnie, nim purytanie dopuszczą się profanacji.

Rollo wyobrażał sobie, jak kapłani przechodzą nawą na wschodnią stronę katedry, otwierają żelazne ogrodzenie i wyjmują relikwiarz. Co zrobią potem? Wyrzucą kości do rzeki?

– Dobrze, chodźmy – rozkazał Swithin.

Ruszył jako pierwszy, inni zeszli za nim po schodach do frontowych drzwi. Gdy tylko

wypadli na zewnątrz, poderwali się do biegu. Rollo miał wrażenie, że w nocnej ciszy ich kroki dudnią głośniej niż grzmoty, i zastanawiał się, czy ludzie w katedrze ich usłyszą – a jeśli tak, to czy będą dość sprytni, by przerwać bluźniercze praktyki i uciec.

Swithin otworzył drzwi katedry na całą szerokość. Wszyscy wyciągnęli miecze i wbiegli do środka.

Zdążyli w ostatniej chwili. Dziekan Luke stał pośrodku nawy, przed niskim ołtarzem, gdzie płonęło kilka świec. Trzymał w dłoniach złoty relikwiarz i podnosił go właśnie nad głowę, podczas gdy inni śpiewali jakąś pieśń, będącą zapewne częścią ich diabelskiego rytuału. W nikłym blasku świec trudno było wypatrzyć wszystkich ludzi ukrytych we wnętrzu olbrzymiej świątyni. Kiedy intruzi biegli nawą w stronę wystraszonej grupy przy ołtarzu, Rollo zauważył, że w podłodze katedry wykopano dół, a pod filarem stoi duża kamienna płyta. Dostrzegł grabarza George'a Coxa, który przystanął obok filaru, oparty o łopatę. Nie taką scenę spodziewał się ujrzeć Rollo, ale nie miało to większego znaczenia: postawa dziekana Luke'a jednoznacznie dowodziła jego bluźnierczych zamiarów.

Hrabia Swithin, który wciąż biegł jako pierwszy, podniósł miecz, zamierzając się na dziekana. Ten odwrócił się do niego, wciąż trzymając przed sobą relikwiarz.

George Cox podniósł łopatę i ruszył na hrabiego.

W tym momencie Rollo usłyszał zaskakujący okrzyk:

– Stać, w imieniu królowej!

Rozejrzał się nerwowo, nie wiedział jednak, skąd doszedł ten głos.

Swithin zamachnął się na Luke'a. Dziekan w ostatniej chwili odsunął się do tyłu, lecz ostrze uderzyło go w lewą rękę, przecięło szatę i wbiło się głęboko w przedramię. Kapłan krzyknął z bólu i relikwiarz, który wypadł mu z rąk, uderzył z hukiem o podłogę. Część klejnotów oderwała się od złotej obudowy i potoczyła po kamiennej powierzchni.

Rollo kątem oka dostrzegł jakiś ruch w południowym transepcie i zaraz potem do nawy wpadła grupa kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w miecze i pałki, którzy ruszyli prosto na intruzów. Ten sam głos ponownie nakazał im się zatrzymać, a Rollo zobaczył w końcu, że na imię królowej powołuje się szeryf Matthewson. Co on tutaj robił?

George Cox zamachnął się łopatą, mierząc w głowę hrabiego, ten zrobił jednak unik i narzędzie uderzyło go w lewe ramię. Rozwścieczony Swithin wykonał szybkie pchnięcie mieczem.

Rollo patrzył w przerażeniu, jak ostrze wbija się w brzuch grabarza i wynurza z jego pleców.

Pozostali kapłani uklękli obok porzuconego relikwiarza, jakby chcieli go bronić.

Szeryf i jego ludzie otoczyli grupę hrabiego. Rollo dostrzegł wśród nich skórzany hełm Osmunda Cartera. A czy te rude włosy nie należały do Neda Willarda?

Oddział szeryfa miał co najmniej dwukrotną przewagę liczebną nad grupą hrabiego. Zginę, ale Bóg mnie wynagrodzi, pomyślał Rollo. Już miał się rzucić do walki, kiedy nagle tknęła go pewna myśl. Obecność Neda Willarda w katedrze wydała mu się co najmniej podejrzana. Czyżby wpadli w pułapkę? Gdzie byli purytanie? Gdyby rzeczywiście czekali w świątyni, zapewne już by się ujawnili, a tymczasem Rollo widział tylko swoich towarzyszy, ludzi szeryfa i przerażonych kapłanów.

Może informacje przekazane przez Donala Glostera nie były zgodne z prawdą. Z drugiej strony, kapłani pojawili się tu o świcie, jak

zapowiadał Donal, i bez wątpienia zamierzali zrobić coś ohydnego z relikwiami. Wydawało się raczej, że to Dan Cobley zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że protest w pustym kościele nie ma sensu. Dziwna natomiast była obecność szeryfa. Skąd się tu wziął? Czy dowiedział się jakoś o planach hrabiego? To chyba nie wchodziło w grę; poza najbliższą rodziną wiedzieli o tym tylko dwaj zbrojni oraz Stephen Lincoln, a ci z pewnością nie zdradzili. Może dziekan Luke postanowił podjąć szczególne środki ostrożności. Nieczyste sumienie zawsze pociąga za sobą lęk.

A więc pułapka czy ryzykanckie przedsięwzięcie, które zakończyło się fiaskiem? Teraz nie miało to większego znaczenia: trwała walka.

Szeryf i hrabia starli się jako pierwsi. Swithin ciągnął za miecz, próbując wydobyć go z ciała George'a Coxa, gdy broń szeryfa opadła na jego prawą dłoń. Hrabia zawył z bólu i wypuścił rękojeść, a Rollo zobaczył odcięty kciuk opadający na podłogę między rozsypane klejnoty z relikwiarza.

Spośród ludzi szeryfa wybiegł Ned Willard i rzucił się na hrabiego, wznosząc miecz do ciosu, lecz drogę zastąpił mu Rollo, broniąc rannego teścia siostry. Ned zatrzymał się raptownie. Dwaj

młodzi ludzie stali teraz naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem.

Rollo był wyższy i cięższy. W szkole dręczył małego Neddy'ego Willarda, ale tylko do czasu, gdy ten wyrósł. Teraz w postawie i wzroku Neda było coś, co pozbawiało jego przeciwnika dawnego poczucia wyższości.

Zaczęli ostrożnie się obchodzić, trzymając miecze wysunięte do przodu i wypatrując szansy do ataku. Rollo dostrzegł na twarzy Neda z trudem skrywaną odrazę. Co takiego zrobiłem, że tak mnie nienawidzisz? – pomyślał. Odpowiedzi nasunęły mu się natychmiast: zmuszenie Margery do poślubienia Barta, zarzut lichwiarstwa, który zrujnował Willardów, nieudana próba powstrzymania Elżbiety przed objęciem tronu – a do tego wszystkiego szkolne prześladowania.

Rollo usłyszał za sobą gardłowy ryk i obejrzał się szybko przez ramię. Zobaczył, że pomimo odniesionych ran hrabia Swithin wciąż walczył. Trzymał miecz w lewej ręce, a jednak zdołał przeciąć szeryfowi czoło. Rana była powierzchowna, lecz obficie krwawiła, tak że krew zalewała szeryfowi oczy. Ranni mężczyźni walczyli teraz niezdarnie niczym pijacy.

Rollo popełnił błąd, oglądając się za siebie i pozwalając sobie na moment dekoncentracji. Ned zaatakował gwałtownie i wściekle. Poruszał się szybko i zwinnie, ostrze ciężkiego miecza raz po raz błyskało w blasku świec, gdy ciął, pchał i markował uderzenia. Rollo bronił się rozpaczliwie, blokował ciosy i cofał się krok po kroku. Nagle poczuł, że coś przesuwa się pod podeszwą jego prawego buta – klejnoty z rozbitego relikwiarza, uzmysłowił sobie – i poleciał do tyłu. Runął ciężko na posadzkę, wypuszczając z dłoni miecz. Leżał z rozłożonymi rękami, bezbronny, i czekał na śmiertelny cios.

Ku jego zdumieniu Ned przeszedł nad nim.

Rollo podniósł się na kolana i zobaczył, że Ned atakuje hrabiego z jeszcze większą zaciętością niż przed chwilą, podczas gdy szeryf stał z boku i próbował otrzeć zakrwawione oczy. Swithin cofał się, a kiedy oparł się plecami o filar, Ned zamachnął się szeroko i wytrącił broń z dłoni hrabiego. Czubek ostrza miecza Neda dotknął szyi teścia Margery.

– Aresztuj go! – ryknął szeryf.

W tym momencie miecz przebił skórę na szyi Swithina i na pierś hrabiego spłynęła strużka krwi. Wydawało się, że czeka go niechybna śmierć, lecz Ned w porę się powstrzymał.

– Powiedz swoim ludziom, żeby się poddali – warknął.

– Poddajcie się! Poddajcie się! – krzyknął Swithin.

Zgiełk bitewny nagle ucichł, po czym rozległ się brzęk mieczy spadających na posadzkę. Rollo rozejrzał się i zobaczył, że jego ojciec klęczy i trzyma się za okrwawioną głowę.

Dostrzegł też, że Ned nie spuszcza wzroku ze Swithina.

– Aresztuję cię w imieniu królowej za świętokradztwo, profanację i morderstwo – przemówił młody Willard.

Rollo zerwał się na równe nogi.

– Nie jesteśmy świętokradcami!

– Nie? – rzucił Ned z zadziwiającym spokojem. – Widziałem, jak weszliście do kościoła z obnażonymi mieczami. Raniliście przyszłego biskupa, zamordowaliście grabarza i doprowadziliście do tego, że relikwie spadły na podłogę.

– A wy? Co tu robiliście?

– Szeryf i jego ludzie przyszli chronić kapłanów i relikwie. I całe szczęście, że to zrobili.

Rollo był zdezorientowany. Jak to możliwe, że wszystko obróciło się przeciwko nim?

– Osmundzie, zwiąż ich, zaprowadź do ratusza i zamknij w lochu – polecił Ned.

Człowiek szeryfa wyjął zza pazuchy zwój mocnego sznura.

– Poślij też po medyka i dopilnuj, żeby najpierw opatrzył dziekana – dodał młody Willard.

Rollo wpatrywał się w niego, gdy Osmund krępował mu ręce za plecami. Wydawało mu się, że dostrzega na jego twarzy jakąś ponurą satysfakcję, i gorączkowo szukał w myślach wyjaśnienia. Czy ktoś poinformował szeryfa o zamiarach Swithina, czy też bojaźliwy dziekan Luke wezwał tu zbrojnych na wszelki wypadek? Czy ktoś przestrzegł purytanów, czy też po prostu zmienili zdanie?

Czy to Ned Willard stał za wszystkim?

Rollo nie miał pojęcia.

VIII

Hrabia Swithin został stracony, a ja byłem odpowiedzialny za jego śmierć. Nie miałem wtedy pojęcia, że był pierwszym z wielu.

Rollo, Bart i sir Reginald zostali ukarani wysokimi grzywnami, ale ktoś z ich grupy musiał

umrzeć, a hrabia zamordował człowieka w kościele. Takie było uzasadnienie wyroku, lecz los Swithina przypieczętowało to, że próbował sprzeciwiać się woli królowej. Elżbieta chciała, by Anglia zrozumiała raz na zawsze, że ona i tylko ona ma prawo wyznaczać biskupów, a każdy, kto będzie kwestionował jej wybory, ryzykuje życie. Choć skazanie hrabiego na śmierć wydawało się szokujące, potrzebowała takiego przykładu.

Dopilnowałem, by sędzia dobrze zrozumiał jej życzenia.

Gdy przed katedrą w Kingsbridge zgromadził się tłum oczekujący egzekucji, Rollo wpatrywał się we mnie groźnie. Zapewne podejrzewał mnie o zastawienie pułapki, nie sądzę jednak, by kiedykolwiek zrozumiał, dlaczego do tego doszło.

Jego ojciec, sir Reginald, został oszpecony długą blizną na głowie i w tym miejscu nigdy nie odrosły mu włosy. Miecz uszkodził mu nie tylko czaszkę, ale i mózg, i stary Fitzgerald już nie odzyskał w pełni władz umysłowych. Wiem, że Rollo zawsze mnie o to obwiniał.

Margery i jej mąż byli świadkami egzekucji. Bart płakał; Swithin był wprawdzie nikczemnikiem, ale i jego ojcem. Ona sprawiała wrażenie kogoś uwolnionego z głębokiego lochu,

prosto na świeże powietrze i słońce. Nie wyglądała już na chorą, nabrała rumieńców i ubierała się z dawnym, typowym dla niej polotem, choć w ciemne żałobne kolory. Lecz na głowie Margery nawet czarna czapka z czarnym piórem wyglądała swawolnie. Jej oprawca zmierzał właśnie do piekła, gdzie było jego miejsce, a ona odzyskała wolność.

Swithina wyprowadzono z ratusza; nie mam wątpliwości, że najgorszą częścią kary był dla niego upokarzający marsz główną ulicą, na oczach szydzącego tłumu ludzi, którymi zawsze pogardzał jako niższymi od siebie. Ucięto mu głowę, zginął więc szybką śmiercią zarezerwowaną dla arystokratów – przypuszczam zresztą, że czekał jej już jak wybawienia.

Sprawiedliwości stało się zadość. Swithin był mordercą i gwałcicielem, który zasługiwał na śmierć. Przyznam jednak, że nie miałem czystego sumienia. Zwabiłem hrabiego w pułapkę. W pewnym sensie byłem odpowiedzialny za śmierć biednego George'a Coxa. Mieszałem się w rzeczy, które należy zostawić w rękach prawa lub samego Boga.

Być może będę cierpiał w piekle za ten grzech. Gdybym jednak musiał przeżyć ponownie ten

okres, zrobiłbym to samo, by położyć kres mękom Margery. Wolałem cierpieć sam, niż żyć ze świadomością, że ona znosi katusze. Jej dobro było dla mnie ważniejsze niż własne.

Nauczyłem się w ciągu swego długiego życia, że na tym właśnie polega miłość.

CZĘŚĆ TRZECIA
1566–1573

ROZDZIAŁ 14

I

Ebrima Dabo żył dokładnie tak, jak to sobie kiedyś wymarzył. Był wolny, bogaty i szczęśliwy.

Pewnego niedzielnego popołudnia, latem 1566 roku, wybrał się ze swym wspólnikiem w interesach Carlosem Cruzem na spacer w wiejskie okolice Antwerpii. Obaj byli zamożnymi, elegancko ubranymi mieszkańcami jednego z najbogatszych miast świata, właścicielami największego warsztatu dymarskiego w Antwerpii. Ebrima uważał, że są sobie równi i uzupełniają się nawzajem: on był starszy i mądrzejszy, ale Carlos miał bogatą wyobraźnię i odwagę właściwą młodości. Carlos ożenił się z Imke, córką swego dalekiego krewnego Jana Wolmana, i miał z nią dwoje małych dzieci. Ebrima, który w przyszłym roku kończył pięćdziesiąt lat, poślubił równą mu

wiekiem wdowę, Evi Dirks. Tym samym stał się ojczymem jej nastoletniego syna, którego zatrudnił w warsztacie.

Często myślał z nostalgią o wiosce, w której się urodził. Gdyby mógł cofnąć się w czasie, być może nie zostałby jeńcem wojennym, nie trafiłby do niewoli i pędziłby spokojne, pogodne życie w tej odległej od wielkiego świata osadzie. Takie refleksje napełniały go zwykle smutkiem. Wiedział jednak, że nie może wrócić ani do tamtych czasów, ani do tamtego miejsca, choćby dlatego, że nie miał pojęcia, jak tam trafić. Chodziło jednak o coś jeszcze. Wiedział już zbyt wiele. Niczym Ewa z mitu, w który wierzyli chrześcijanie, zjadł owoc z drzewa poznania i nie mógł wrócić do rajskiego ogrodu. Mówił po hiszpańsku i francusku, posługiwał się też miejscowym dialektem brabanckim, ale od lat nie wypowiedział ani słowa w mandinka. Wieszał w swoim domu obrazy olejne, uwielbiał słuchać muzyków odtwarzających skomplikowane utwory, pijał tylko najlepsze wina. Był innym człowiekiem.

Dzięki inteligencji, ciężkiej pracy i przychylności losu urządził sobie życie na nowo. Teraz pragnął jedynie zatrzymać to, co

zdobył. Obawiał się jednak, że nie będzie to możliwe.

Nie tylko Ebrima i Carlos wybrali się tego popołudnia za miasto. Mieszkańcy Antwerpii często odpoczywali na łonie natury, gdy tylko dopisywała pogoda, ale dziś było ich tutaj wyjątkowo wielu. Na wąskiej wiejskiej drodze tłoczyły się setki ludzi. Ebrima znał niektórych z nich – dostawców, którzy przywozili rudę do jego warsztatu, kupców zabierających gotowe już żelazo, rodziny mieszkające na jego ulicy, sklepikarzy, u których kupował mięso, rękawiczki i szkło. Wszyscy zmierzali do tego samego miejsca, rozległej polany zwanej Pastwiskiem Pana Huberta. Dzieci Carlosa uwielbiały chodzić tam z rodzicami na wycieczki z piknikiem. Jednak ludzie maszerujący teraz drogą nie wybierali się na piknik.

Byli protestantami.

Wielu z nich niosło małe książeczki, psalmy przełożone na francuski przez poetę Clémenta Marota i wydrukowane w Antwerpii. Posiadanie tej publikacji było przestępstwem, a jej sprzedaż karano śmiercią, lecz każdy mógł ją bez trudu nabyć za marne grosze.

Większość młodych ludzi niosła również broń.

Ebrima domyślał się, że Pastwisko Pana Huberta wybrano na miejsce zgromadzenia, ponieważ nie sięgała tu jurysdykcja władz Antwerpii, a wiejskie siły porządkowe nie miały dość ludzi, by rozegnać tak duży tłum. Mimo to zawsze mogło dojść do jakichś aktów przemocy: wszyscy słyszeli o masakrze w Wassy. Niektórzy z młodych mężczyzn wyraźnie byli w bojowym nastroju.

Carlos był katolikiem. Ebrima zostałby uznany za poganina, gdyby tylko chrześcijanie wiedzieli, co kryje się w jego sercu, ale oczywiście nie mieli o tym pojęcia, bo udawał, że jest żarliwym katolikiem, jak jego wspólnik Carlos. Nie wiedziała o tym nawet jego żona Evi, a jeśli nawet czasami zastanawiała się, dlaczego mąż w niedzielę o świcie lubi przechadzać się nad rzeką, była dość taktowna, by o to nie pytać. Ebrima i Carlos regularnie chodzili wraz z rodzinami do swego parafialnego kościoła, a przy ważniejszych okazjach i świętach wybierali się do antwerpskiej katedry. Obaj obawiali się, że konflikty religijne w Niderlandach zakłócą ich spokojny i szczęśliwy żywot, podobnie jak zakłóciły i zniszczyły życie wielu osób we Francji.

Carlos, który nigdy nie zagłębiał się w problemy filozoficzne czy polityczne, nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie chcą przyjąć nową religię. Ebrima natomiast rozumiał aż za dobrze, czym protestantyzm przyciąga tak wielu mieszkańców Niderlandów, i ta świadomość napełniała go smutkiem i niepokojem. Katolicyzm był wiarą hiszpańskich suwerenów, a tymczasem wielu Niderlandczyków nie chciało się pogodzić z dominacją cudzoziemców. Zawsze chętnie przyjmowali różnego rodzaju innowacje i nowinki, podczas gdy bardzo konserwatywny Kościół katolicki z zasady odrzucał większość nowych idei i bardzo powoli poddawał się jakimkolwiek zmianom. Co gorsza, katolickie duchowieństwo było nieprzychylnie nastawione do pewnych rodzajów działalności zarobkowej, które przyniosły bogactwo wielu mieszkańcom Niderlandów, a szczególnie do bankowości opartej na grzechu lichwy. W przeciwieństwie do Jana Kalwina, zmarłego przed dwoma laty przywódcy genewskich protestantów, który dopuszczał naliczanie procentów od pożyczek.

Tego lata, gdy na polach i w lasach Niderlandów coraz częściej wygłaszali kazania wędrowni kalwińscy pastorzy z Genewy,

protestantyzm zaczął się rozprzestrzeniać z niespotykaną dotąd siłą.

Odstępców prześladowano surowo, ale sporadycznie. Namiestniczką Niderlandów była Małgorzata Parmeńska, księżna Parmy, nieślubna córka cesarza Karola V i przyrodnia siostra króla Hiszpanii Filipa. Małgorzata chciała wieść spokojne życie, była więc skłonna traktować protestantów dość łagodnie, lecz jej brat pragnął wyplenić herezję ze wszystkich swych włości. Kiedy stała się zbyt pobłażliwa, zainterweniował inkwizytor Pieter Titelmans i protestantów zaczęto torturować, okaleczać i palić na stosach. Jednakże nawet wśród katolików mało kto popierał takie twarde stanowisko, zwykle więc nie egzekwowano tego prawa zbyt gorliwie. Ludzi pokroju Carlosa bardziej interesowały produkcja i sprzedaż. Nowe wyznanie rosło zatem w siłę.

Jak liczni byli teraz protestanci? Ebrima i Carlos szli na spotkanie, by się o tym przekonać. Radcy miejscy chcieli wiedzieć, czy nowa religia rzeczywiście jest coraz popularniejsza. W innych okolicznościach nie dało się tego określić, bo protestantyzm rozwijał się w ukryciu – dzisiejsze spotkanie stanowiło jedną z tych rzadkich okazji, gdy można było sprawdzić, ilu naprawdę

protestantów mieszka w Antwerpii. Dlatego też radcy nieoficjalnie poprosili Carlosa i Ebrimę, statecznych katolickich obywateli, którzy nie pełnili żadnych oficjalnych funkcji, by dyskretnie ich policzyli.

Sądząc po tłumach ciągnących drogą, liczba była znacznie większa, niż przypuszczano.

– Jak tam twój obraz? – spytał Ebrima po chwili milczenia.

– Prawie gotowy.

Carlos zamówił u jednego z najlepszych antwerpskich malarzy obraz do katedry. Ebrima wiedział, że jego wspólnik dziękuje w ten sposób Bogu za otrzymane dary i prosi, by dane było mu je zatrzymać. Podobnie jak Ebrima, Carlos wolał nie zakładać, że zawsze będzie się cieszył zdrowiem i bogactwem. Często wspominał historię Hioba, człowieka, który miał wszystko i stracił wszystko. Cytował wtedy słowa pisma: *Dał Pan i zabrał Pan*[7].

Ebrima dziwił się nieco, że jego wspólnik nie odsunął się od Kościoła po prześladowaniach, których doznał w Sewilli. Carlos nie mówił zbyt chętnie o swoim życiu duchowym, ale sądząc po jego uwagach i aluzjach, Ebrima domyślał się, że naprawdę znajduje w swej religii wsparcie i pocieszenie, podobnie jak on znajdował je

w obrzędzie wody. Żaden z nich nie czuł niczego podobnego podczas surowego protestanckiego nabożeństwa odprawianego w pobielanym kościele.

– Jaki w końcu temat wybrałeś na obraz? – pytał dalej Ebrima.

– Cud w Kanie Galilejskiej, gdy Jezus zamienił wodę w wino.

– To twoja ulubiona historia biblijna. – Ebrima parsknął śmiechem. – Ciekawe dlaczego… – Wszyscy dobrze znali zamiłowanie jego wspólnika do wina.

Carlos uśmiechnął się lekko.

– W przyszłym tygodniu oficjalnie odsłonią malowidło w katedrze.

Teoretycznie obraz był darem od antwerpskich właścicieli warsztatów dymarskich, wszyscy jednak wiedzieli, że zakupiono go za pieniądze Carlosa. Świadczyło to nie tylko o jego hojności, ale i o tym, jak szybko stał się jednym z najważniejszych obywateli tego miasta. Był życzliwy, towarzyski i bardzo bystry, i Ebrima przypuszczał, że kiedyś zostanie radcą miejskim.

Sam Ebrima był człowiekiem ostrożnym i zamkniętym w sobie. Nie ustępował inteligencją

Carlosowi, ale nie miał ambicji politycznych. Wolał też zatrzymywać pieniądze dla siebie.

– Potem urządzimy duże przyjęcie – dodał Carlos. – Mam nadzieję, że przyjdziesz z Evi.

– Oczywiście.

Usłyszeli śpiew na długo przed tym, jak dotarli na łąkę. Niesamowite dźwięki przyprawiły Ebrimę o gęsią skórkę. Wiele razy słuchał śpiewu chóru w katolickich kościołach i katedrach, lecz nigdy jeszcze nie słyszał tysięcy głosów złączonych w jednej pieśni.

Droga prowadziła przez mały las, prosto na odsłonięty wierzchołek pagórka, z którego rozciągał się widok na całą polanę. Trawiaste zbocze opadało łagodnie ku płytkiemu strumieniowi i wznosiło się ponownie po jego drugiej stronie. Całą otwartą przestrzeń o powierzchni co najmniej dziesięciu akrów zajmował tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Po drugiej stronie, na prowizorycznym podwyższeniu, stał pastor, który śpiewał wraz z wiernymi po francusku:

Si seurement, que quand au val viendroye
D'umbre de mort, rien de mal ne craindroye

Ebrima znał francuski, rozpoznał więc przekład popularnego psalmu dwudziestego trzeciego, który nieraz słyszał w kościele – ale nigdy w takim wykonaniu. Te dźwięki przywodziły mu na myśl potężną siłę natury, sztorm szalejący nad oceanem. Ci ludzie naprawdę wierzyli w to, co śpiewali, naprawdę nie lękali się zła, które mogło na nich czyhać w ciemnej dolinie.

Dostrzegł w pobliżu swego pasierba. Matthus wciąż uczestniczył w coniedzielnej mszy świętej, ostatnio jednak zaczął krytykować Kościół katolicki. Matka przestrzegała go, by zachował te wątpliwości dla siebie, ale chłopak nie mógł się powstrzymać: miał siedemnaście lat i uznawał tylko radykalne oceny, właściwe temu wiekowi. Ebrima zmarszczył brwi, zauważywszy z niepokojem, że Matthus stoi z grupą podobnych mu młodzieńców uzbrojonych w grube pałki.

Carlos również go zobaczył.

– Coś mi się wydaje, że ci chłopcy szukają okazji do bitki – powiedział z niepokojem.

– Wygląda na to, że dziś jej nie znajdą – odparł z nadzieją Ebrima, bo na polanie panowała spokojna i radosna atmosfera.

– Ależ tu dużo ludzi – dziwił się Carlos.

– Jak myślisz, ilu konkretnie?

– Tysiące.

– Nie mam pojęcia, jak ich policzymy.

Carlos szybko znalazł rozwiązanie.

– Powiedzmy, że połowa stoi po tej stronie strumienia, a połowa po drugiej. Wyobraź sobie teraz linię, która łączy nas z pastorem. Ilu ludzi może być w najbliższej ćwiartce? Podzielmy ją jeszcze na cztery części, będzie szybciej.

– Moim zdaniem, w każdej szesnastce jest jakieś pięćset osób – policzył szybko Ebrima. – A tobie ile wyszło?

– Oho, będą kłopoty – syknął nagle Carlos.

Patrzył ponad ramieniem wspólnika na drogę, którą przed chwilą przyszli. Ebrima odwrócił się w tę stronę i zobaczył grupkę księży i uzbrojonych mężczyzn zmierzających na wzgórze.

Jeśli przyszli tu, by rozgonić zebranych protestantów, było ich na to zdecydowanie za mało. Ten uzbrojony tłum, niesiony głęboką wiarą, rozniósłby ich w pył.

Pośrodku grupy maszerował sześćdziesięcioletni mężczyzna z wielkim srebrnym krzyżem na piersiach okrytych czarną sutanną. Kiedy się zbliżył, Ebrima zobaczył, że kapłan ma ciemne, głęboko osadzone oczy, wąski

nos i usta zaciśnięte w surowym, gniewnym grymasie. Carlos od razu go rozpoznał.

– To Pieter Titelmans, dziekan Ronse – powiedział. – Wielki inkwizytor.

Ebrima spojrzał z niepokojem na Matthusa i jego przyjaciół, którzy jeszcze nie dostrzegli nowo przybyłych. Co zrobią, kiedy się zorientują, że na ich spotkaniu pojawił się wielki inkwizytor?

– Lepiej się gdzieś schowajmy – odezwał się cicho Carlos, gdy grupa kapłanów podeszła jeszcze bliżej. – On mnie zna.

Ale było już za późno. Titelmans go dostrzegł, zdziwił się wyraźnie i oznajmił:

– Jestem naprawdę głęboko rozczarowany, widząc cię w tym gnieździe bezbożności.

– Jestem dobrym katolikiem! – zaprotestował Carlos.

Titelmans odchylił głowę do tyłu niczym jastrząb, który dostrzegł właśnie jakiś ruch w trawie.

– A co dobry katolik robiłby na protestanckiej orgii? – spytał szyderczym tonem.

– Rada miejska chce wiedzieć, ilu protestantów mieszka w Antwerpii – odpowiedział Ebrima. – Przysłała nas tutaj, żebyśmy ich policzyli.

Titelmans spojrzał na niego z powątpiewaniem i odwrócił się do Carlosa.

– Dlaczego miałbym wierzyć temu Etiopczykowi? Pewnie jest muzułmaninem.

Gdybyś tylko znał prawdę, pomyślał Ebrima. Potem rozpoznał jednego z członków świty inkwizytora, mężczyznę w średnim wieku o przyprószonych siwizną włosach i czerwonej twarzy świadczącej o zamiłowaniu do wina.

– Ojciec Huus mnie zna – powiedział. Huus był kanonikiem antwerpskiej katedry.

– Obaj ci ludzie są dobrymi katolikami – potwierdził cicho Huus. – Chodzą do kościoła Świętego Jakuba.

Psalm dobiegł końca, a kaznodzieja zaczął nauczać. Niektórzy przeciskali się w stronę podwyższenia, by lepiej słyszeć jego słowa. Wśród tych, którzy zauważyli Titelmansa z jego wielkim srebrnym krzyżem, podniosły się gniewne pomruki.

– Panie, tu jest więcej protestantów, niż przypuszczaliśmy – zauważył nerwowo Huus. – Jeśli zechcą uciec się do przemocy, nie zdołamy cię obronić.

Wielki inkwizytor zignorował jego uwagę i zwrócił się z przebiegłą miną do dwóch

przedsiębiorców, wskazując jednocześnie na tłum:

– Jeśli mówicie prawdę, to pewnie możecie podać mi nazwiska niektórych z tych niegodziwców.

Ebrima nie zamierzał wydawać swoich sąsiadów w ręce oprawcy i wiedział, że Carlos czuje to samo. Widząc, że jego wspólnik szykuje się do gniewnej odpowiedzi, uprzedził go:

– Oczywiście, księże dziekanie. Chętnie podamy ci nazwiska. – Rozejrzał się ostentacyjnie, po czym oznajmił: – Niestety, nie rozpoznaję żadnego z tych ludzi.

– Trudno mi w to uwierzyć. Tu jest z siedem albo osiem tysięcy ludzi.

– Antwerpia ma osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Nie znam ich wszystkich.

– Mimo wszystko choć kilku powinieneś rozpoznać.

– Niekoniecznie. Może po prostu wszyscy moi znajomi są katolikami.

Titelmans umilkł, zbity z tropu, a Ebrima odetchnął z ulgą. Udało mu się przetrwać przesłuchanie.

Nagle usłyszał, jak ktoś woła z lokalnym brabanckim akcentem:

– Carlos! Ebrima! Witajcie!

Ebrima obrócił się na pięcie i zobaczył swojego szwagra Alberta Willemsena, właściciela warsztatu dymarskiego, który pomógł im obu, gdy przed sześcioma laty przybyli do Antwerpii. Albert, podobnie jak oni, zbudował własny wielki piec i teraz nieźle mu się powodziło. Na łące była też jego żona Betje oraz ich córka Drike, szczupła czternastolatka o anielskiej twarzy. Albert i jego rodzina wyznawali protestantyzm.

– Wspaniały widok, prawda? – zachwycał się szwagier Ebrimy. – Tylu ludzi śpiewa na chwałę Boga i nikt nie każe im się zamknąć!

– Lepiej waż słowa, Albercie – ostrzegł go cicho Carlos.

Lecz rozentuzjazmowany mężczyzna wciąż nie dostrzegał Titelmansa i jego krzyża.

– Och, daj spokój, Carlosie, przecież nie jesteś jakimś radykałem. Chyba nie słyszysz tu niczego, co obrażałoby Boga miłości.

– Zamknij się – rzucił ostro Ebrima.

Albert spojrzał na niego ze zdumieniem i urazą. W tym samym momencie jego żona wskazała na wielkiego inkwizytora. Albert zbladł jak ściana.

Inni również zauważyli Titelmansa, coraz więcej ludzi wpatrywało się w kapłana z wielkim krzyżem na piersiach. Matthus ze swoimi

towarzyszami ruszył w jego stronę, zaciskając dłonie na drewnianych pałkach.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście, chłopcy, nie trzeba was tutaj! – zawołał do nich Ebrima.

Pasierb go zignorował i stanął obok swojej kuzynki Drike. Był wysokim, zwalistym chłopcem, który nie przywykł jeszcze do swoich rozmiarów. Na jego chłopięcej twarzy malował się gniew przemieszany ze strachem. Wyglądało na to, że chce przede wszystkim bronić dziewczyny. Ebrima pomyślał, że musi zapytać Evi, czy Matthus nie podkochuje się w córce Alberta.

– Powinniśmy chyba wracać do miasta, księże dziekanie – powiedział ojciec Huus.

Titelmans jednak najwyraźniej nie chciał odchodzić stąd z pustymi rękami.

– Powiedz mi, ojcze Huus, jak nazywa się ten człowiek – rzekł, wskazując na Alberta.

– Przykro mi, księże dziekanie, nie znam go – odparł kanonik.

Ebrima wiedział, że to kłamstwo i akt odwagi ze strony Huusa.

Titelmans odwrócił się do Carlosa.

– Cóż, ty na pewno go znasz, mówi do ciebie jak do starego przyjaciela. Kim jest ten człowiek?

Skonsternowany Carlos milczał.

Ebrima pomyślał, że Titelmans ma rację: po tak wylewnym przywitaniu Carlos nie mógł udawać, że nie zna Alberta.

– Słucham – ponaglił Titelmans. – Jeśli jesteś takim dobrym katolikiem, jak utrzymujesz, na pewno chętnie podasz mi nazwisko tego heretyka. A jeśli nie, to zadam ci to pytanie ponownie w innym miejscu, gdzie znajdę już sposób, by nauczyć cię uczciwości.

Carlos zadrżał. Ebrima był pewien, że jego wspólnik pomyślał o Pedrze Ruizie poddanym torturze wodnej w Sewilli.

– Nie pozwolę, by przyjaciele cierpieli z mojego powodu – przemówił mężnie Albert. – Nazywam się Albert Willemsen.

– Czym się zajmujesz?

– Prowadzę warsztat dymarski.

– A te kobiety?

– Ich w to nie wciągaj.

– Boże miłosierdzie dosięga wszystkich.

– Nie wiem, jak się nazywają – odpowiedział Albert, zdesperowany. – To dwie ladacznice, które spotkałem po drodze.

– Nie wyglądają na ladacznice. Ale i tak poznam prawdę. – Titelmans spojrzał na Huusa. – Zapamiętaj: Albert Willemsen, właściciel warsztatu dymarskiego.

Podciągnął poły sutanny, odwrócił się i ruszył w drogę powrotną, osłaniany przez swoją świtę.

Pozostali tylko patrzyli na niego w milczeniu.

– Cholera! – zaklął pod nosem Carlos.

II

Północna wieża antwerpskiej katedry miała ponad dwieście łokci wysokości. Zaprojektowano ją jako jedną z dwóch wież, ale południowej nigdy nie zbudowano. Ebrima uważał, że dzięki temu budowla robi większe wrażenie – wyglądała niczym olbrzymi palec skierowany prosto ku niebu.

Kiedy wszedł do świątyni, jak zwykle mimo woli poczuł prawdziwy zachwyt. Wąska nawa główna miała sklepiony sufit, który wydawał się nieprawdopodobnie wysoki. Czasami, patrząc na to arcydzieło architektury, zastanawiał się, czy Bóg chrześcijan nie istnieje jednak naprawdę. Potem jednak przypominał sobie, że żadna budowla nie może się równać z potęgą i majestatem rzeki.

Nad głównym ołtarzem znajdował się przedmiot dumy całego miasta, wielka rzeźba przedstawiająca ukrzyżowanego Chrystusa

między dwoma łotrami. Antwerpia była miastem bogatym, więc tutejsza katedra mogła się poszczycić wieloma obrazami, rzeźbami, witrażami i innymi pięknymi obiektami. Dziś przyjaciel i wspólnik Ebrimy, Carlos, miał jeszcze powiększyć to bogactwo.

Ebrima miał nadzieję, że złagodzi to nieco skutki nieprzyjemnego spotkania z Pieterem Titelmansem. Nikt nie chciałby mieć za wroga wielkiego inkwizytora.

Po południowej stronie świątyni znajdowała się kaplica poświęcona świętemu Urbanowi, patronowi winiarzy. Tam właśnie wisiał nowy obraz, przykryty na razie czerwonym aksamitem. Siedzenia w kaplicy zostały zarezerwowane dla przyjaciół i krewnych Carlosa oraz przedstawicieli gildii dymarzy. Nieco dalej stało około stu sąsiadów i znajomych, którzy przywdziali na tę okazję swoje najlepsze ubrania. Wszyscy byli bardzo ciekawi nowego obrazu.

Ebrima zauważył, że jego wspólnik wręcz promienieje ze szczęścia. Siedział na honorowym miejscu w kościele będącym sercem wielkiego miasta. Ta uroczystość miała potwierdzić, że nie znalazł się tutaj przypadkowo. Czuł się kochany, szanowany i bezpieczny.

Przed ołtarzem stanął ojciec Huus, który miał odprawić mszę i poświęcić obraz. Podczas krótkiego kazania mówił o tym, jakim dobrym chrześcijaninem jest Carlos, który wychowuje dzieci po bożemu i wspiera swymi pieniędzmi katedrę. Dał nawet do zrozumienia, że Carlos zasiądzie kiedyś w radzie miasta. Ebrima lubił Huusa, który wprawdzie często krytykował w kazaniach protestantyzm, ale ograniczał się jedynie do ataków słownych. Ebrima był pewien, że Huus wcale nie ma ochoty pomagać Titelmansowi i robi to tylko z musu.

Dzieci Carlosa kręciły się i dokazywały, znudzone mszą. Nie były w stanie słuchać przed dłuższy czas kogoś, kto mówił w ich własnym języku, a co dopiero po łacinie. Carlos uciszał je łagodnie, był bowiem pobłażliwym ojcem.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Huus poprosił go, by podszedł do obrazu i odsłonił go.

Carlos ujął skraj czerwonego aksamitu i zawahał się na moment. Ebrima myślał przez chwilę, że wspólnik chce wygłosić przemówienie, co byłoby poważnym błędem: zwykli ludzie nie mogli przemawiać w kościele, robili to tylko protestanci. Carlos zachował jednak milczenie i pociągnął za płótno, najpierw lekko i nerwowo, potem energiczniej. W końcu aksamit spłynął na

ziemię niczym czerwony wodospad, odsłaniając malowidło.

Wesele ukazane na obrazie odbywało się w dużym domu przypominającym siedziby antwerpskich bankierów. Honorowe miejsce zajmował Jezus, odziany w niebieskie szaty. Obok niego siedział gospodarz, barczysty mężczyzna z bujną czarną brodą, podobny do Carlosa. Towarzyszyła mu uśmiechnięta kobieta przypominająca Imke. Ludzie oglądający obraz z głównej nawy wygłaszali głośne komentarze; niektórzy śmiali się cicho, rozpoznając kolejnych uczestników wesela: był tam Ebrima z arabskim nakryciem głowy, a obok niego Evi w sukni, która podkreślała jej wydatny biust. Bogato odzianym mężczyzną siedzącym przy Imke był bez wątpienia jej ojciec Jan Wolman, a do pustych kadzi po winie zaglądał wysoki, szczupły i wyraźnie niezadowolony zarządca przypominający Adama Smitsa, znanego w całej Antwerpii handlarza winem. Znalazło się nawet miejsce dla psa, który wyglądał jak ogar Carlosa, Samson.

Obraz pięknie się prezentował w kaplicy, na tle starych kamieni, oblany światłem wpadającym przez południowe okno. Szaty bogatych gości lśniły oranżem, błękitem

i jaskrawą zielenią, kontrastującymi z bielą nakryć na stołach i bladymi ścianami sali weselnej.

Carlos był zachwycony. Huus uścisnął mu dłoń i wyszedł. Wszyscy chcieli gratulować darczyńcy, ten przechadzał się więc wśród zebranych i z uśmiechem przyjmował wyrazy uznania. W końcu klasnął w dłonie i zawołał:

– Uwaga! Zapraszam wszystkich do nas. I obiecuję, że wina nie zabraknie.

Przeszli długim pochodem przez kręte uliczki centrum, do domu Carlosa. Gospodarz zaprowadził gości na piętro, do wielkiego salonu, gdzie czekały już stoły zastawione jadłem i winem. Wszyscy z zapałem przystąpili do jedzenia. Dołączyło do nich kilkoro protestantów, którzy nie brali udziału w kościelnej uroczystości, wśród nich Albert i jego rodzina.

Ebrima wziął do ręki kielich, pociągnął długi łyk, westchnął z ukontentowaniem i wytarł usta w rękaw – jego wspólnik zawsze miał dobre wino. Alkohol rozgrzewał od środka i nastawiał życzliwie do świata. Ebrima pogawędził z Janem Wolmanem o interesach, porozmawiał z Imke o dzieciach i zamienił kilka słów z Carlosem, wspominając o pewnym kliencie, który opóźniał się z zapłatą – ów klient uczestniczył w przyjęciu,

korzystając z gościnności gospodarza, a Ebrima uważał, że to dobry moment, by spytać go o zaległość. Carlos nie chciał jednak psuć atmosfery. W salonie robiło się coraz głośniej, dzieci bawiły się i sprzeczały ze sobą, młodzieńcy adorowali dorastające dziewczyny, a żonaci mężczyźni flirtowali z żonami przyjaciół. Ebrima pomyślał, że przyjęcia wyglądają wszędzie tak samo, nawet w Afryce.

Nagle w drzwiach salonu stanął Pieter Titelmans.

Ebrima zauważył go dopiero wtedy, gdy w pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Rozmawiał właśnie z Albertem o przewadze armat żeliwnych nad tymi z brązu, gdy obaj uświadomili sobie nagle, że wokół nich dzieje się coś dziwnego, i podnieśli wzrok. Titelmans stał przy wejściu, prężąc dumnie pierś z wielkim srebrnym krzyżem. Znów towarzyszył mu ojciec Huus oraz czterech zbrojnych.

– Czego ten diabeł tu szuka? – mruknął Ebrima.

– Może przyszedł pogratulować Carlosowi obrazu – odparł Albert z nadzieją i niepokojem jednocześnie.

Gospodarz przecisnął się przez milczący tłum i zwrócił do Titelmansa z życzliwością:

– Szczęść Boże, księże dziekanie. Witaj w moim domu. Wypijesz z nami kielich wina?

Inkwizytor zignorował zaproszenie.

– Czy są tu jacyś protestanci? – spytał ostro.

– Nie sądzę – odparł Carlos. – Wróciliśmy właśnie z katedry, gdzie odsłoniliśmy…

– Wiem, co robiliście w katedrze – przerwał mu bezceremonialnie Titelmans. – Są tu jacyś protestanci?

– Zapewniam księdza, że o ile mi wiadomo…

– Chcesz mnie okłamać. Wyczuwam to.

Carlos zaczynał tracić cierpliwość.

– Skoro mi nie wierzysz, to po co te pytania?

– Żeby cię sprawdzić. A teraz zamknij gębę.

– Jestem we własnym domu! – warknął Carlos.

Wielki inkwizytor przemówił głośniej, by wszyscy mogli go usłyszeć:

– Przyszedłem tu po Alberta Willemsena.

Nie powinien rozpoznać Alberta – widział go przecież tylko przez moment na Pastwisku Pana Huberta – Ebrima miał więc nadzieję, że wszyscy zachowają zimną krew i będą udawać, że go tu nie ma. Niestety, wielu gości nie wpadło na ten pomysł i odwróciło się do Alberta. Ten zawahał się na moment, po czym wystąpił do przodu.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał wyzywającym tonem, jakby chciał dać wielkiemu

inkwizytorowi do zrozumienia, że wcale się go nie boi.

– Twoja żona – rzucił krótko Titelmans, wskazując ręką.

Niestety, Betje stała wcześniej u boku Alberta, nie mogła więc udawać, że go nie zna. Blada i wystraszona również wystąpiła do przodu.

– I córka.

Drike bawiła się w innej części pokoju, a Titelmans z pewnością nie pamiętał twarzy czternastolatki, którą widział tylko przelotnie.

– Dziecka tu nie ma – skłamał Carlos bez mrugnięcia okiem. Ebrima pomyślał z nadzieją, że być może uda im się ocalić chociaż dziewczynę.

Jednak Drike wcale tego nie chciała.

– Ja jestem Drike Willemsen – rozległ się dziewczęcy głos.

Ebrima jęknął w duchu.

Stała przy oknie, w białej sukni, i rozmawiała z jego pasierbem Matthusem. Na rękach trzymała kota Carlosa.

– To jeszcze dziecko, księże dziekanie – próbował ratować sytuację Carlos. – Z pewnością…

Lecz Drike jeszcze nie skończyła.

– I jestem protestantką – dodała wyzywająco. – Za co dziękuję Panu.

Wśród gości podniosły się przytłumione głosy pełne strachu i podziwu.

– Chodź tutaj – rozkazał Titelmans.

Dziewczyna przeszła przez salon, z dumnie uniesioną głową. Ebrima zaklął szpetnie pod nosem.

– Zabierzcie tych troje – rozkazał inkwizytor swoim zbrojnym.

– Zostaw nas w spokoju! – krzyknął ktoś spośród gości.

Titelmans spojrzał gniewnie w tamtą stronę, nie wiedział jednak, kto ośmielił się mu sprzeciwić. Ebrima rozpoznał jednak głos Matthusa.

– Tak jest, wracaj do Ronse! – przyłączył się ktoś inny.

Coraz więcej gości zaczęło głośno protestować i wykrzykiwać obelgi pod adresem wielkiego inkwizytora. Zbrojni wyprowadzili trójkę Willemsenów z salonu. Gdy Titelmans odwrócił się do wyjścia, rzucona przez Matthusa bułka trafiła go w plecy. Udał, że niczego nie zauważył. Wtedy jednak lecący w jego stronę kielich rozbił się o ścianę i zbryzgał mu winem sutannę. Krzyki przybierały na sile, obelgi stawały się coraz

ordynarniejsze. Z trudem zachowując godność, Titelmans opuścił pospiesznie dom Carlosa.

Tłum skwitował jego ucieczkę oklaskami i śmiechem, Ebrima wiedział jednak, że nie ma powodów do radości.

III

Czternastoletnia Drike miała spłonąć na stosie za dwa tygodnie.

Ogłoszono to w katedrze. Titelmans powiedział, że Albert i Betje wyparli się protestantyzmu, poprosili Boga o przebaczenie i błagali, by ponownie przyjęto ich na łono Kościoła. Wiedział zapewne, że tylko udają skruchę, ale ukarał ich jedynie grzywną i puścił wolno. Ku przerażeniu wszystkich znajomych Willemsenów ich córka Drike nie chciała odrzucić swojej wiary.

Inkwizytor nie pozwalał jej nikomu odwiedzać, lecz Albert przekupił strażników i spotkał się z nią. Nie zdołał jej jednak przekonać, by zmieniła zdanie. Powodowana idealizmem właściwym młodości, twierdziła z uporem, że nie zdradzi swego Pana.

W przeddzień egzekucji Ebrima i Evi wybrali się z wizytą do Alberta i Betje. Chcieli wesprzeć i pocieszyć przyjaciół, lecz nie byli w stanie. Betje nieustannie szlochała, a Albert nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Drike była ich jedynym dzieckiem.

Tego dnia przygotowano stos, który stanął w samym centrum miasta, między katedrą, okazałym budynkiem Wielkiego Targu i niewykończonym jeszcze ratuszem. Obok stosu leżała sterta suchego drewna.

Egzekucja miała się odbyć o wschodzie słońca, więc jeszcze przed świtem na placu zebrał się wielki tłum. Ebrima zauważył, że wśród zgromadzonych panuje nastrój przygnębienia. Kiedy zabijano znienawidzonych zbrodniarzy, takich jak złodzieje czy gwałciciele, widzowie szydzili z nich i radowali się ich cierpieniem, dziś jednak nikomu nie było do śmiechu. Wielu spośród gapiów było protestantami, którzy obawiali się, że pewnego dnia spotka ich podobny los. Katolicy, tacy jak Carlos, mieli protestantom za złe ich wichrzycielską działalność i martwili się, że francuskie wojny religijne ogarną także Niderlandy, lecz tylko niewielu uważało, że karą za odstępstwo od wiary powinna być śmierć na stosie.

Dziewczynę wyprowadził z ratusza kat Egmont, potężny mężczyzna okryty skórzanym fartuchem, niosący zapaloną pochodnię. Drike miała na sobie białą suknię, tę samą, w której przyszła na przyjęcie do Carlosa. Ebrima zrozumiał od razu, że Titelmans, zaślepiony arogancją, popełnił błąd. Drike wyglądała jak dziewica – niewątpliwie nią była – a blada delikatna uroda upodabniała ją do Maryi Panny z kościelnych obrazów. Na jej widok tłum zafalował i wydał stłumiony okrzyk zdumienia.

– To będzie prawdziwe męczeństwo – powiedział Ebrima do żony. Zerknął na pasierba i zauważył, że chłopak ma łzy w oczach.

Po chwili otworzyły się zachodnie drzwi katedry i wyszedł Titelmans. Towarzyszyła mu grupa księży w sutannach, którzy z daleka przypominali stado wron.

Dwaj zbrojni przywiązali Drike do pala i ułożyli wokół jej stóp kilka dodatkowych wiązek drewna.

Wielki inkwizytor zaczął mówić do tłumu o prawdzie i herezji. Ebrima uświadomił sobie, że Titelmans nie ma pojęcia, jak działa na ludzi zebranych na placu. Drażnił ich i prowokował na wszelkie możliwe sposoby: swoim napastliwym

tonem, wyniosłym zachowaniem, a nawet tym, że nie pochodził z Antwerpii.

Nagle odezwała się Drike. Jej sopran wybił się ponad krzyki wielkiego inkwizytora. Śpiewała po francusku.

Mon Dieu me paist sous sa puissance haute
C'est mon berger, de rien je n'auray faute

Był to psalm dwudziesty trzeci, ten sam, który protestanci śpiewali na Pastwisku Pana Huberta, zaczynający się od słów *Pan jest moim pasterzem*[8]. Tłum znów zafalował, poruszony odwagą dziewczyny. W oczach Ebrimy pojawiły się łzy. Wielu innych otwarcie płakało. Wszyscy czuli, że są świadkami świętej tragedii.

Titelmans był wściekły. Odwrócił się do kata, a Ebrima stał na tyle blisko, by usłyszeć jego słowa.

– Miałeś wyrwać jej język!

Kat miał w swoim arsenale specjalne szczypce do usuwania języka. Wymyślono je, by karać notorycznych kłamców, czasami jednak stosowano je wobec heretyków, by przed śmiercią nie podburzali tłumów.

– Robię to tylko na specjalnie polecenie – odparł Egmont ponuro.

Tymczasem Drike śpiewała kolejne wersy:

En tect bien seur, joignant les beaulx herbages,
Coucher me faict, me meine aux clairs rivages

Patrzyła w górę, a Ebrima był pewien, że widzi w tej chwili zielone pastwiska i spokojne wody, które czekają na wiernych w rajach wszystkich religii.

– Wywichnij jej szczękę – rozkazał inkwizytor.

– Jasne – mruknął Egmont. Oczywiście jako kat nie należał do szczególnie wrażliwych ludzi, ale to polecenie zniesmaczyło nawet jego, czemu otwarcie dał wyraz. Mimo to oddał pochodnię jednemu ze zbrojnych.

Matthus, który stał tuż obok Evi i Ebrimy, odwrócił się do tłumu i zawołał:

– Chcą jej wywichnąć szczękę!

– Ucisz się! – zganiła go z przerażeniem matka, lecz donośny głos chłopca poniósł się już nad placem, wzbudzając gniewne pomruki i okrzyki. Ludzie powtarzali słowa chłopaka, aż dotarły do najdalej stojących widzów.

– Pozwólcie jej się modlić! – wrzasnął Matthus, a inni podjęli ten krzyk: – Pozwólcie jej się modlić! Pozwólcie jej się modlić!

– Napytasz sobie biedy! – syknęła Evi.

Egmont podszedł do Drike i położył dłonie na jej twarzy. Potem wsunął kciuki do jej ust i ujął ją za szczękę, by wyrwać ją ze stawów.

Ebrima wyczuł w pobliżu nagły ruch, a potem zobaczył skalny odłamek, który uderzył prosto w głowę kata.

Był to duży kamień, wyrzucony mocno i celnie ręką Matthusa. Kiedy walnął z głuchym odgłosem w głowę Egmonta, ten zachwiał się na moment, jakby tracił przytomność, i opuścił bezwładnie ręce. Tłum zakrzyknął radośnie.

Titelmans zrozumiał, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

– Nieważne, podpalaj stos – rozkazał.

– Nie! – krzyknął Matthus.

W stronę kata poleciały kolejne kamienie, wszystkie jednak chybiły celu.

Egmont odebrał od zbrojnych pochodnię i przyłożył ją do stosu. Suche drewno szybko się zajęło.

Matthus przecisnął się obok Ebrimy i pobiegł do Drike.

– Stój! – krzyknęła przeraźliwie Evi, lecz syn jej nie słuchał.

Zbrojni wyciągnęli miecze, ale Matthus był dla nich za szybki. Potężnym kopniakiem odrzucił na

bok płonące drewno, po czym zniknął z powrotem w tłumie.

Strażnicy ruszyli w pościg za chłopcem, a ludzie rozstępowali się przed nimi, wystraszeni.

– Zabiją go! – zawodziła Evi.

Ebrima zrozumiał, że teraz można już ocalić chłopca tylko w jeden sposób – wywołując ogólne zamieszki. Przypuszczał, że nie będzie to trudne: tłum i tak był już bliski buntu.

Ruszył naprzód, pociągając swym przykładem innych mężczyzn, i otoczyli pozbawiony ochrony stos. Wyciągnął nóż i przeciął więzy dziewczyny. Tuż obok pojawił się Albert, który wziął ją na ręce – nie mogła ważyć zbyt wiele – i zniknął w tłumie.

Ludzie zwrócili się przeciwko księżom, zaczęli ich popychać i prowokować. Zbrojni zaprzestali pościgu za Matthusem i wrócili, by bronić duchownych.

Titelmans ruszył pospiesznie w stronę katedry, dając tym samym sygnał do odwrotu swoim poplecznikom. Księża przyspieszyli kroku, a potem poderwali się do biegu. Tłum odprowadzał ich szyderczymi okrzykami, obserwując z daleka, jak duchowni wbiegają pod bogato zdobione kamienne sklepienie, otwierają

wielkie drewniane drzwi i znikają w ciemnym wnętrzu świątyni.

IV

Tej samej nocy Albert i jego rodzina opuścili Antwerpię.

Ebrima był jednym z garstki wtajemniczonych, którzy wiedzieli, że Willemsenowie jadą do Amsterdamu. Było to miasto mniejsze od Antwerpii, ale położone dalej na północny-wschód, a tym samym bardziej oddalone od ośrodka hiszpańskiej władzy w Brukseli, dzięki czemu szybko się bogaciło i rozrastało.

Ebrima i Carlos kupili warsztat dymarski Alberta, płacąc mu złotem, które zabrał ze sobą i ukrył w zamkniętych sakwach na grzbiecie silnego i wytrzymałego kuca.

Zakochany po uszy Matthus chciał jechać z nimi, a Ebrima – który wciąż pamiętał, choć już dość mgliście, siłę nastoletniej miłości – gotów był mu na to pozwolić. Ojciec dziewczyny uznał jednak, że jest za młoda na małżeństwo, i zadecydował, że muszą poczekać jeszcze rok. Wtedy Matthus będzie mógł przyjechać do

Amsterdamu i oświadczyć się jej, jeśli nadal będzie tego chciał. Chłopiec zarzekał się, że to zrobi, lecz jego matka rzuciła tylko:

– Zobaczymy.

Titelmans się uspokoił. Nie prowokował już kolejnych starć, nie próbował nikogo aresztować. Może zrozumiał, że antwerpskim katolikom wcale nie podoba się jego radykalizm – a może tylko się przyczaił i czekał na właściwy moment.

Ebrima miał nadzieję, że protestanci również przycichną, wyglądało jednak na to, że nabrali raczej pewności siebie; stali się wręcz aroganccy. Domagali się tolerancji i prawa do własnych praktyk religijnych, ale wcale im to nie wystarczało. Uważali, że ich rywale nie tylko się mylą, ale dopuszczają się zła. Mówili, że katolickie praktyki religijne – uprawiane przez Europejczyków od setek lat – są bluźniercze i należy ich zaprzestać. Nie okazywali wcale tolerancji, której tak głośno się dopominali.

Ebrimę martwił fakt, że władza powoli się wymyka z rąk hiszpańskich władców i ich sprzymierzeńców. Miał wrażenie, że w mieście narastają nienawiść i agresja, ukryte pod pozorami codzienności. Podobnie jak wszyscy przedsiębiorcy, chciał pokoju i stabilności, by bez przeszkód prowadzić interesy.

Tym się właśnie zajmował dwudziestego sierpnia – negocjował ceny z kupcem i pocił się w letnim słońcu – gdy w mieście znów doszło do zamieszek.

Na ulicy coś się działo, dochodziły stamtąd niepokojące odgłosy: tupot nóg, brzęk tłuczonego szkła, podniecone wrzaski. Ebrima wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, skąd to nagłe zamieszanie. Dołączyli do niego Carlos i Matthus. Kilkaset młodych osób, w tym również grupa dziewcząt, maszerowało pospiesznie ulicą. Nieśli ze sobą drabiny, bloki i liny, a także młoty, żelazne pręty i łańcuchy.

– Co wy robicie?! – krzyknął w ich stronę Ebrima, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Rozejrzał się i zrozumiał, dlaczego wcześniej usłyszał brzęk tłuczonego szkła: ktoś wybił okno w domu ojca Huusa, który mieszkał przy tej ulicy. Wyglądało jednak na to, że dokonano tego ataku niejako przy okazji, tłum zmierzał bowiem prosto do centrum miasta, trzymając się najwyraźniej jakiegoś ustalonego z góry planu.

– Co oni wyprawiają, do diabła? – zastanawiał się głośno Carlos.

Ebrima domyślał się już, co jest celem awanturników, miał jednak nadzieję, że się myli.

Wszyscy trzej przeszli za tłumem na rynek, gdzie nie tak dawno ocalono Drike przed śmiercią. Młodzi uczestnicy pochodu zebrali się na środku placu, a jeden z nich, przemawiając w miejscowym dialekcie brabanckim, poprosił o Boże błogosławieństwo. Wśród protestantów każdy – nie tylko kapłan – mógł prowadzić modlitwę, posługując się przy tym rodzimym językiem, a nie łaciną. Ebrima obawiał się, że ci ludzie przyszli na rynek dlatego, że tu właśnie stała katedra, i jego przypuszczenia, niestety, okazały się słuszne. Po modlitwie wszyscy ruszyli w stronę świątyni.

Odrzwia miały kształt spiczastego gotyckiego łuku zwieńczonego esownicą. Tympanon zdobiła rzeźba Boga w niebiosach otoczonego aniołami i świętymi. Carlos aż zachłysnął się z przerażenia, gdy młodzi ludzie zaczęli uderzać w rzeźby młotami i prymitywnymi narzędziami własnej roboty. Niszcząc kamienne ozdoby, wykrzykiwali cytaty z Biblii, które brzmiały w ich ustach jak przekleństwa.

– Przestańcie! – krzyknął. – Będą się mścić!

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Ebrima widział, że Matthus chętnie by do nich dołączył. Kiedy chłopiec zrobił pierwszy krok, ojczym ujął go mocno za ramię.

– Co powiedziałaby na to twoja matka? – spytał. – Ona się tutaj modli! Zastanów się nad tym choć przez chwilę.

– Oni wypełniają wolę Bożą! – wrzasnął Matthus.

Młodzi protestanci odkryli, że wielkie wrota katedry są zamknięte; księża zobaczyli ich w porę i zablokowali dostęp do wnętrza. Ebrima odetchnął z ulgą, przekonany, że fanatyczna młodzież nie wyrządzi jednak wielkich szkód. Może kiedy już rozbiją tych kilka rzeźb, ochłoną nieco i wrócą do domów. Zdjął dłoń z ramienia pasierba.

Lecz tłum pobiegł na północną stronę świątyni, szukając innego wejścia. Gapie pospieszyli za nimi. Ku przerażeniu Ebrimy okazało się, że boczne drzwi są otwarte – spanikowani księża musieli je przeoczyć. Młodzi wtargnęli do wnętrza kościoła, a Matthus do nich dołączył.

Nim Ebrima dostał się do środka, protestanci byli już wszędzie; wrzeszczeli triumfalnie, niszcząc rzeźby i obrazy. Zachowywali się jak ludzie odurzeni winem, choć w rzeczywistości kierowała nimi tylko ślepa żądza niszczenia. Carlos i Ebrima krzyczeli do nich, by się

powstrzymali; tę samą prośbę powtarzali inni starsi obywatele miasta, lecz nikt ich nie słuchał.

Kilku księży ukryło się w prezbiterium, ale większość z nich uciekała właśnie przez zachodni przedsionek. Jeden zrobił jednak coś zdumiewającego – ruszył w stronę intruzów, podnosząc obie ręce, jakby próbował ich powstrzymać. Ebrima rozpoznał w nim ojca Huusa.

– Jesteście dziećmi Boga! – powtarzał ksiądz. Szedł prosto na rozgorączkowanych młodych ludzi. – Przestańcie, spróbujmy porozmawiać!

Jeden z protestantów, potężnie zbudowany młokos, uderzył go w głowę i przewrócił, a pozostali po nim przebiegli.

Ściągnęli drogie kotary, rzucili je na stertę pośrodku świątyni i tam podpaliły je wrzeszczące przeraźliwie dziewczyny, które wcześniej zabrały płonące świece z ołtarza. Rozbijano drewniane posągi, rozrywano stare księgi i drogocenne szaty, a wszystko trafiało potem na płonący stos.

Ebrima był przerażony nie tylko dziełem zniszczenia dokonywanym przez tych młodych ludzi, lecz także nieuchronnymi konsekwencjami ich czynów. Taka skandaliczna prowokacja nie mogła przejść bez echa, tym bardziej że uderzała

w dwóch najpotężniejszych ludzi w Europie, króla Filipa i papieża Piusa V. Antwerpię czekała surowa kara. Ebrima wiedział, że choć zemsta nie nadejdzie szybko, bo tryby międzynarodowej polityki obracają się zwykle powoli, to będzie nieuchronna i okrutna.

Niektórzy z młodych protestantów zamierzali się jednak posunąć jeszcze dalej. Zgromadzili się wokół ołtarza, pod masywną rzeźbą, i ustawili szybko drabiny, realizując najwyraźniej ustalony wcześniej plan.

Carlos był przerażony.

– Chcą zbezcześcić ukrzyżowanego! – wyszeptał.

Oniemiały ze zgrozy, patrzył tylko, jak młodzi ludzie obwiązują linami posąg Chrystusa i uderzają w jego nogi, by osłabić całą strukturę. Krzyczeli o bałwochwalstwie, lecz nawet Ebrimie wydawało się oczywiste, że to właśnie oni dopuszczają się bluźnierstwa. Ze skupieniem naciągali liny, aż korpus umierającego Chrystusa przechylił się do przodu, złamał na wysokości kolan i runął na posadzkę, twarzą w dół. Protestantom jednak wciąż było mało – zaatakowali posąg młotami, rozbijając ręce i głowę z szatańską satysfakcją.

Zdawało się, że posągi dwóch łotrów, ukrzyżowanych po obu stronach Chrystusa, patrzą teraz z głębokim smutkiem na jego zmasakrowane ciało.

Ktoś przyniósł dzban wina mszalnego i złoty kielich. Młodzieńcy zaczęli z niego popijać i gratulować sobie nawzajem.

Carlos i Ebrima odwrócili się nagle, słysząc krzyki w południowej części katedry. Ebrima odkrył z przerażeniem, że niewielka grupa protestantów zebrała się w kaplicy świętego Urbana, przed obrazem przedstawiającym wesele w Kanie Galilejskiej, darem Carlosa dla świątyni.

– Nie! – ryknął Carlos, lecz nikt go nie słyszał.

Ruszyli biegiem w stronę kaplicy, lecz nim tam dotarli, jeden z chłopców podniósł sztylet i przeciął płótno na całej długości. Carlos rzucił się na niego i wytrącił mu nóż, lecz inni protestanci pochwycili jego i Ebrimę za ręce i przytrzymali w miejscu, nie zważając na ich protesty i krzyki.

Młokos zaatakowany przez Carlosa wstał z podłogi, podniósł nóż i ponownie przystąpił do dzieła zniszczenia. Pociął na drobne kawałki podobiznę Jezusa, jego uczniów oraz samego

Carlosa, jego krewnych i przyjaciół uwiecznionych jako gości weselnych.

Dziewczyna towarzysząca młodzieńcom przyniosła świecę i przystawiła jej płomień do obrazu. Płótno pokryte grubą warstwą farby początkowo tylko się tliło i dymiło. W końcu pojawił się na nim mały płomień, który zaczął się szybko rozrastać, aż ogień objął cały obraz.

Ebrima przestał się szamotać. Spojrzał na Carlosa, który już wcześniej zamknął oczy. Młodzi chuligani wypuścili ich obu i poszli niszczyć co innego.

Carlos opadł na kolana i zapłakał.

ROZDZIAŁ 15

I

Alison McKay przebywała w więzieniu z Marią Stuart.

Mieszkały w zamku na wyspie pośrodku szkockiej zatoki Leven. Dzień i noc strzegło ich piętnastu zbrojnych, choć do upilnowania dwóch młodych kobiet wystarczyłoby zapewne nie więcej niż pięciu.

Mimo to Alison i Maria zamierzały uciec.

Maria jak nikt inny zasługiwała na miano osoby niezłomnej. Owszem, zwykle nie umiała właściwie ocenić swojej sytuacji; w mroku nocy ogarnięta rozpaczą Alison musiała przyznać, że niemal wszystkie decyzje podejmowane przez jej królową źle się dla niej kończyły. Lecz Maria nigdy się nie poddawała. I przyjaciółka uwielbiała ją za to.

Loch Leven było ponurym miejscem. Mieszkały w kwadratowej wieży z szarego kamienia, z małymi, wąskimi oknami, które nawet latem musiały stawić czoło podmuchom zimnego wiatru. Dziedziniec otaczający wieżę miał nie więcej niż sto jardów średnicy. Za murami ciągnął się wąski pas lądu porośniętego krzewami, obmywany zimnymi wodami zatoki. Podczas sztormów fale zalewały ten niewielki skrawek ziemi i uderzały o mury zamku. Zatoka była naprawdę rozległa – silny mężczyzna potrzebował co najmniej pół godziny, by dopłynąć łodzią wiosłową do stałego lądu.

Ucieczka z takiego miejsca graniczyła z niemożliwością, ale musiały spróbować. Obie były naprawdę w fatalnym stanie. Do tej pory Alison nie przypuszczała, że nuda mogłaby ją skłonić do myśli samobójczych.

Wychowały się na pełnym przepychu francuskim dworze królewskim, pośród ludzi w olśniewających i drogocennych szatach; co wieczór zapraszano je na wystawne uczty, pokazy trup teatralnych i koncerty. Zwykle rozmawiały o polityce i dworskich intrygach. Mężczyźni z ich otoczenia wszczynali wojny i zawierali traktaty, kobiety były królowymi lub

matkami królów. Po tym wszystkim więzienie w Loch Leven wydawało im się istnym piekłem.

Był rok 1568. Alison miała dwadzieścia osiem lat, a Maria dwadzieścia pięć. Przebywały w więzieniu już niemal od roku i znaczącą część tego czasu Alison poświęciła na rozmyślania o przyczynach ich klęski.

Pierwszym błędem Marii było małżeństwo z kuzynem królowej Elżbiety, Henrykiem lordem Darnley, czarującym pijaczyną chorym na syfilis. Alice czuła się wtedy rozdarta wewnętrznie: radował ją widok szczęśliwie zakochanej Marii, a jednocześnie przerażał jej wybór.

Miłość szybko się wypaliła, a gdy Maria zaszła w ciążę, Darnley zamordował jej prywatnego sekretarza, którego podejrzewał o romans z żoną. Jeśli w Szkocji mieszkał arystokrata jeszcze gorszy od Darnleya, to, zdaniem Alison, był nim kłótliwy i brutalny hrabia Bothwell. Drugi błąd Marii polegał na tym, że zachęciła Bothwella do zabicia Darnleya. Choć ostatecznie Bothwella uwolniono od zarzutu morderstwa, wszyscy dobrze wiedzieli, co się stało.

Obie były zaskoczone reakcją Szkotów. Ten prawy, prostolinijny naród, choć złożony zarówno z katolików, jak i protestantów, jednym głosem potępił zbrodnię dokonaną za namową

królowej i Maria gwałtownie straciła popularność wśród swoich poddanych.

Po tym, jak Bothwell porwał je obie i zmusił Marię, by spędziła z nim noc, Alison miała wrażenie, że spadła na nie prawdziwa nawałnica nieszczęść. W innych okolicznościach naród byłby oburzony taką napaścią na swą królową i natychmiast pospieszyłby jej na pomoc, niestety Maria miała już wtedy zszarganą reputację i nie mogła być pewna poparcia Szkotów. Razem uznały więc, że aby nie pogorszyć jeszcze sytuacji, Maria powinna wyjść za Bothwella i udawać, że wcale nie została przez niego zgwałcona. Żona Bothwella miała go już serdecznie dość, więc szybko przeprowadzono rozwód – który nie został uznany przez Kościół katolicki – i Maria bez przeszkód zawarła kolejne małżeństwo.

To był jej trzeci błąd.

Dwudziestu sześciu rozwścieczonych szkockich lordów zgromadziło armię i pokonało siły Bothwella i Marii. Trafiła do niewoli i została zmuszona do abdykacji na rzecz swojego rocznego syna Jakuba, następnie zaś uwięziono ją w zamku Loch Leven – z dala od dziecka.

Wszystkim tym wydarzeniom przyglądała się uważnie królowa Anglii, Elżbieta. Choć uznawała

Marię za prawowitą władczynię Szkocji, nie kwapiła się z pomocą. Zachowywała się jak ktoś, kto nocą słyszy bójkę dwóch pijaków na ulicy pod swoim oknem i nie obchodzi go wynik tej waśni, dopóki żaden z jej uczestników nie spróbuje wtargnąć do jego domu.

Kiedy Maria była jeszcze żoną Darnleya, Alison wyszła za dobrego katolika, mężczyznę o orzechowych oczach i długich blond włosach, który przypominał jej Pierre'a Aumande'a. Był miły i czuły, ale oczekiwał, że Alison będzie służyć jemu, a nie Marii, co sprawiało sporo problemów, choć wiedziała, że powinna była się tego spodziewać. Zaszła w ciążę, lecz w piątym miesiącu poroniła. Wkrótce potem jej mąż zginął w wypadku na polowaniu, a Alison czuła niemal ulgę, gdy mogła powrócić do dobrze sobie znanej roli powiernicy królowej.

A teraz trafiła wraz z nią do niewoli.

– Nikt inny nie kochał mnie tak jak ty – powiedziała Maria pewnego długiego wieczoru w Loch Leven. Alison poczerwieniała, przejęta trudnym do opisania, lecz silnym uczuciem. – Mój ojciec umarł, kiedy byłam małym dzieckiem – kontynuowała Maria. – Matka przez większość życia mieszkała gdzieś z dala ode mnie. Wszyscy moi trzej mężowie byli beznadziejnie słabi w taki

czy inny sposób. Ty jesteś dla mnie matką, ojcem i mężem. Czy to nie dziwne?

Alison rozpłakała się, słysząc te słowa.

Rolę strażnika więziennego pełnił sir William Douglas, właściciel Loch Leven. Maria miała ogromny urok osobisty i bez trudu zjednywała sobie sympatię, więc sir William wkrótce stracił dla niej głowę. Zachowywał się jak uczynny gospodarz podejmujący ważnego gościa. Jego córki uwielbiały Marię – historia uwięzionej królowej wydawała im się szalenie romantyczna – lecz jego żona lady Agnes pozostawała odporna na jej czar. Agnes miała silne poczucie obowiązku i zachowywała nieustanną czujność.

Jednakże właśnie urodziła siódme dziecko i nie opuszczała swej sypialni. Maria i Alison uznały więc, że oto nadarza się doskonała sposobność do ucieczki. Musiały jeszcze poradzić sobie jakoś z kapitanem Drysdale’em i jego zbrojnymi. Tak się szczęśliwie złożyło, że w niedzielę przypadał drugi dzień maja, więc żołnierze obchodzili Majowe Święto i pili więcej niż zwykle. Alison miała nadzieję, że późnym popołudniem – bo na tę porę planowały ucieczkę – strażnicy będą już zmęczeni zabawą i nieuważni.

Wiedziała, że tak czy inaczej będzie to bardzo trudne zadanie, mogły jednak liczyć na pomoc z zewnątrz.

W Loch Leven mieszkał również przystojny brat przyrodni sir Williama, George, zwany Gładkim George'em, a także Willie Douglas, wysoki osierocony piętnastolatek, który, zdaniem Alison, był nieślubnym synem sir Williama.

Maria postanowiła zdobyć serce Gładkiego George'a. Pozwolono, by sprowadziła na wyspę własne ubrania – choć nie klejnoty – mogła się więc pięknie stroić. Zresztą rozkochanie George'a nie stanowiło szczególnie wielkiego wyzwania – Maria zawsze była powabną kobietą, a na tej wysepce nie miała rywalek. W tak małym gronie zamkniętym na niewielkiej przestrzeni uczucia szybko rozkwitały. Alison przypuszczała, że jej przyjaciółka nie musiała nawet specjalnie udawać, bo George był nie tylko przystojny, ale i czarujący – być może nawet rzeczywiście coś do niego czuła.

Alison nie wiedziała, jakimiż to konkretnie względami Maria obdarzyła George'a; zakładała, że czymś więcej niż tylko pocałunkami, bo był on przecież dorosłym mężczyzną, ale też nie sądziła, by królowa poszła z nim do łoża, ponieważ splamiwszy już raz reputację, nie mogła teraz

ryzykować i zhańbić się do końca nieślubną ciążą. Alison nie wypytywała jej jednak o szczegóły. Dawno już minęły te szczęśliwe paryskie czasy, gdy jako podlotki dzieliły się wszystkimi tajemnicami. Liczyło się jedynie to, że George był zakochany po uszy i pragnął odegrać rolę wybawcy i rycerza, który uwalnia ukochaną z zamku rozpaczy.

Alison z kolei urabiała młodego Williego. To również nie było szczególnie trudne, choć miała prawie dwa razy więcej lat. Willie dopiero co wyszedł z wieku dojrzewania i gotów był zakochać się w każdej niebrzydkiej kobiecie, która okaże mu trochę zainteresowania. Wystarczyło, by Alison z nim rozmawiała i wypytywała o życie, stojąc odrobinę bliżej, niż nakazywałaby to przyzwoitość, by obdarzała go niemal – lecz nie do końca – siostrzanymi pocałunkami, uśmiechała się, przyłapując go w chwilach, gdy gapił się na jej piersi, i rzucała co jakiś czas uwagi w rodzaju „wy mężczyźni”, dodając mu w ten sposób odwagi i pewności siebie. Nie musiała uciekać się do jednoznacznie seksualnych propozycji, by uwieść tego chłopca, który dopiero stawał się mężczyzną. Gdzieś w głębi świadomości nieco tego żałowała, choć wstydziła się przyznać do tego nawet przed sobą.

Willie szybko uległ urokowi Alison i stał się jej niewolnikiem.

Od kilku miesięcy George i Willie przemycali listy Marii, choć nie było to wcale łatwe. Należało przypuszczać, że ucieczka będzie o wiele trudniejsza.

Maria nie mogła przejść przez wyspę niezauważona, mieszkało na niej bowiem około pięćdziesięciu osób: oprócz zbrojnych i rodziny sir Williama przebywali tu również jego sekretarze i służba. Brama zamknięta była na klucz, a każdy, kto chciał wydostać się na zewnątrz, musiał ją otworzyć lub wspiąć się na mury. Na brzegu zawsze cumowały trzy lub cztery łodzie, Maria potrzebowała jednak silnego towarzysza, który pracowałby wiosłami, bo w każdej chwili ktoś mógł ruszyć za nią w pościg. Potrzebowała również wspólników na lądzie – przyjaciół z końmi, którzy zabraliby ją natychmiast w jakieś bezpieczne miejsce.

Na każdym etapie ucieczki coś mogło się nie powieść i zniweczyć ich plany.

Podczas porannego nabożeństwa w kaplicy Alison nie mogła usiedzieć na miejscu. Pragnęła uciec, ale obawiała się konsekwencji, jakie czekały je w razie niepowodzenia. Prawdopodobnie zamknięto by je w jednym

pomieszczeniu i pewnie zabroniono by im nawet tych spacerów po murach, dzięki którym mogły zaczerpnąć świeżego powietrza i choć przez chwilę pooglądać świat. Co gorsza, mogłyby zostać rozdzielone.

Maria była wyjątkowo odważną kobietą, gotową podjąć największe nawet ryzyko, a Alison nie zamierzała jej opuszczać. Wiedziała jednak, że jeśli zostaną schwytane, spotka je surowa kara.

Po mszy zaczęły się obchody Majowego Święta. Willie świetnie odgrywał rolę Pana Nierządu, udając kompletnie pijanego, choć w rzeczywistości był jednym z niewielu ludzi na wyspie, którzy pozostali zupełnie trzeźwi.

Gładki George miał czekać na nich na lądzie, w przybrzeżnej miejscowości o nazwie Kinross. Miał za zadanie przygotować konie i eskortę, by wywieźć Marię i Alison z dala od Loch Leven, nim ruszy za nimi pościg. Alison koniecznie chciała wiedzieć, czy udało mu się zrealizować tę część planu, i z niepokojem czekała na umówiony sygnał.

Wczesnym popołudniem Maria zjadła obiad z sir Williamem i jego rodziną, a Alison i Willie usługiwali im przy stole. Jadalnia mieściła się na piętrze kwadratowej wieży, skąd przez małe

okna widać było stały ląd. Alison musiała się bardzo pilnować, by nie wyglądać co chwilę przez któreś z nich.

Pod koniec posiłku Willie wyszedł. Zgodnie z planem, miał przejść na drugą stronę muru i czekać na łódź z wiadomością od George'a potwierdzającą, że wszystko jest gotowe.

Podczas przygotowań do ucieczki Willie proponował, by Maria po prostu zeskoczyła na ziemię z muru, czyli z wysokości ponad dwóch jardów, co dla niego nie stanowiło żadnej trudności. Alison wykonała na próbę taki skok i skręciła sobie nogę w kostce. Nie chcieli, by coś podobnego przydarzyło się Marii, a tym samym znacznie spowolniło ucieczkę, zarzucili więc ten pomysł. Zamierzali wyjść bramą, a to oznaczało, że musieli zdobyć jakoś klucze.

Alison, jako dwórka Marii, mogła dołączyć po obiedzie do biesiadników, którzy zostali przy stole, by gawędzić, podjadać owoce i orzechy lub – jak sir William – popijać wino. W zamku Loch Leven brakowało wprawdzie ciekawych tematów do rozmów, ale z powodu braku innych rozrywek pogawędki wypełniały mieszkańcom większość wolnego czasu.

Matka sir Williama, lady Margaret, wyjrzała przez okno i zauważyła coś ciekawego na odległym brzegu.

– Ciekawe, kim są ci jeźdźcy – zastanawiała się głośno.

Alison zamarła. Jak George mógł być tak nieostrożny? Miał trzymać swoich ludzi w ukryciu! Jeśli sir William nabierze podejrzeń, zamknie ją i Marię na klucz, a cały ich plan legnie w gruzach. Czyżby już teraz miały porzucić nadzieje na ucieczkę?

Sir William wyjrzał na zewnątrz i zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, co tu robią.

Maria błyskawicznie przeszła do działania, sprytnie zmieniając temat.

– Muszę z tobą porozmawiać, lady Margaret, o twoim synu, a moim bracie Jamesie – odezwała się wyzywającym tonem.

Te słowa natychmiast wzbudziły zainteresowanie wszystkich obecnych. W młodości lady Margaret była jedną z licznych nałożnic ojca Marii, króla Jakuba V. Urodziła mu nieślubnego syna, Jamesa Stuarta, przyrodniego brata Marii, którego Alison poznała w Saint-Dizier, gdzie towarzyszył mu tajemniczy Ned Willard. Ci dwaj młodzi mężczyźni próbowali

wtedy namówić Marię, by nie wracała do Szkocji. Podejmując teraz ten temat, popełniała oczywisty nietakt.

– James jest we Francji – odparła zakłopotana lady Margaret.

– I odwiedza admirała Coligny'ego, bohatera hugenotów!

– Pani, nie mogę w żaden sposób wpływać na niego. Sama dobrze o tym wiesz.

Maria starała się skupiać uwagę wszystkich na sobie i nie dopuścić, by ktokolwiek znów wyjrzał przez okno.

– Zawsze bardzo go lubiłam – oznajmiła z oburzeniem. – Nadałam mu tytuł hrabiego Moray.

Margaret wystraszyła się tego nagłego wybuchu gniewu młodej królowej.

– I wiem, że jest ci, pani, bardzo wdzięczny za okazane łaski – odpowiedziała zdenerwowana.

Nikt już nawet nie spoglądał w stronę okien.

– Więc dlaczego James spiskuje przeciwko mnie?! – zawołała Mary. Alison wiedziała, że to oburzenie, choć wykorzystane na potrzeby chwili, jest całkiem szczere. – Odkąd mnie tutaj przywieziono, zmusił mnie do podpisania abdykacji, koronował mojego synka na króla

Jakuba Szóstego, a sam uczynił się regentem. Właściwie to on jest teraz królem Szkocji!

Douglasom żal było Marii, jednak bez wątpienia pochwalali wszystkie posunięcia Jamesa Stuarta, czuli się więc wyjątkowo zakłopotani – i bardzo dobrze, jak uznała Alison, bo zapomnieli o jeźdźcach na brzegu.

Sir William starał się załagodzić sytuację.

– Na pewno nie tak wyobrażałaś sobie swoje panowanie, pani – rzekł. – Ale twój syn jest królem, a brat regentem, więc władza pozostaje w rękach twoich najbliższych.

Alison zerknęła ukradkiem za okno. Jeźdźcy zniknęli. Przypuszczała, że George przegnał ich stamtąd, rozgniewany. Być może czekali w Kinross godzinę czy dwie i zaczęli się nudzić, więc zapomnieli o dyscyplinie. Wyglądało jednak na to, że wszystko wróciło już do normy.

Kryzys został zażegnany, lecz ten incydent uświadomił Alison, jak bardzo ryzykowny jest ich plan, i wprawił ją w jeszcze większe zdenerwowanie.

Maria zachowywała się tak, jakby straciła ochotę na rozmowę.

– Czuję się zmęczona po tym świętowaniu – oznajmiła, wstając. – Pójdę odpocząć.

Alison wyszła razem z nią. Za drzwiami znajdowały się kręte, wąskie schody prowadzące w dół i na górę. Przeszły razem do komnat królowej.

W rzeczywistości Maria wcale nie była zmęczona, lecz podekscytowana i zdenerwowana. Raz za razem wstawała z krzesła, podchodziła do okna, a potem wracała na miejsce i znów siadała.

Jej przyjaciółka ponownie przejrzała ich przebrania, ukryte w skrzyni pod szatami Marii. Udało im się zdobyć proste suknie z wełny i lnu, podobne do tych, jakie nosiło wiele służących w zamku, a także nakrycia głowy zwane flamandzkimi kapturami, które całkowicie zakrywały włosy i przysłaniały twarz z boków. Służące nosiły mocne skórzane buty, tak ciężkie i niewygodne, że Maria i Alison nie umiały w nich chodzić. Na szczęście, zdarzało się, że kobiety niższego stanu wkładały atłasowe pantofle odrzucone przez ich panie. Alison i Maria od wielu tygodni nosiły w swoich komnatach te same buty, by potem mogły udawać, że to stare zniszczone obuwie, które otrzymały od bogatych dam.

Największym problemem pozostawał jednak wzrost Marii. Tego nie dało się ukryć. Wszystkie

mieszkanki wyspy były od niej znacznie niższe. Alison nie miała pojęcia, co z tym zrobić.

Odłożyły przebrania na miejsce. Musiały zachować cierpliwość jeszcze co najmniej przez godzinę, do szóstej, kiedy to do komnaty Marii przynoszono kolację.

Jak zwykle podał ją osobiście sir William, który chciał w ten sposób okazać szacunek swemu dostojnemu więźniowi. Alison wyszła, by znaleźć Williego i wypytać go, jak się mają sprawy. Na dziedzińcu żołnierze grali przeciwko służącym, rzucając piłkę, czemu towarzyszyły głośne okrzyki widzów. Alice zauważyła, że Drysdale, który miał nie spuszczać oka z Marii, przewodzi drużynie żołnierzy. Bardzo dobrze, pomyślała. Nie będzie nam przeszkadzał.

Willie szedł ku niej przez dziedziniec, wyraźnie podekscytowany.

– Mam to – wyszeptał, pokazując perłowy kolczyk, umówiony sygnał od George'a. Oznaczało to, że ludzie czekający na brzegu są już gotowi na przybycie uciekinierek.

Alison ucieszyła się, choć zirytowało ją nieostrożne zachowanie Williego.

– Schowaj to! – syknęła. – Bo jeszcze ktoś zacznie nas wypytywać.

Na szczęście ludzie stojący na dziedzińcu byli całkowicie pochłonięci grą.

– Przepraszam – mruknął Willie. Zamknął perłę w dłoni i podał ją Alison niedbałym gestem.

– Dobrze. – Skinęła głową. – Teraz musisz przejść za mury i uszkodzić wszystkie łodzie prócz tej, którą popłyniemy.

– Jestem gotów! – odparł z werwą młodzieniec i uchylił połę ubrania, odsłaniając młotek zawieszony u pasa.

Alison wróciła do komnaty Marii. Królowa niewiele zjadła, co Alison wydawało się całkiem zrozumiałe – sama była tak zdenerwowana, że nie przełknęłaby ani kęsa.

– To kolczyk, który zgubiłaś, pani – powiedziała, podając jej klejnot. – Znalazł go jeden z chłopców.

Maria dobrze wiedziała, co to oznacza.

– Wspaniale! – wykrzyknęła radośnie.

Sir William wyjrzał przez okno i zdumiony uniósł brwi.

– Co ten chłopak wyprawia? – spytał tonem, w którym czułość mieszała się z irytacją.

Alison spojrzała w tę samą stronę. Willie klęczał w jednej z łodzi i wykonywał jakieś energiczne ruchy. Z tej odległości nie było widać, co właściwie robi, Alison wiedziała jednak, że

wybija dziurę w dnie, by uniemożliwić pościg. Ogarnięta paniką, wstrzymała oddech. Nie miała pojęcia, jak ratować sytuację. Odwróciła się do Marii i wyszeptała bezgłośnie:

– Willie!

Królowa, która wiedziała, czym miał się zająć chłopiec, po raz kolejny dowiodła, że potrafi zachować zimną krew i znaleźć szybko wyjście z opresji.

– Okropnie mi słabo – jęknęła i opadła bezsilnie na krzesło, zamykając oczy.

Alison natychmiast przejrzała jej grę.

– O mój Boże, co się stało?! – zawołała przerażona, podchodząc do przyjaciółki.

Doskonale wiedziała, że Maria udaje, ale sir William nie miał o tym pojęcia. Wystraszony, podszedł szybko do królowej. Gdyby zmarła, przebywając pod jego opieką, miałby spore kłopoty. Regent James Stuart twierdziłby, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią, a by dowieść swej niewinności, być może oskarżyłby go o morderstwo i skazał na śmierć.

– O co chodzi? Co się dzieje? – wypytywał nerwowo sir William.

– Powinna się napić mocnego wina, może wtedy odzyska siły – odparła Alison. – Macie tu może wino z Wysp Kanaryjskich?

– Oczywiście, zaraz przyniosę – rzucił i wyszedł z komnaty.

– Dobra robota – wyszeptała Alison.

– Willie jeszcze tam jest? – spytała królowa.

Alison wyjrzała przez okno; chłopiec pracował teraz w innej łodzi.

– Pospiesz się, Willie! – mruknęła zirytowana. Ile czasu może zająć wybicie dziury w drewnianym dnie?

Po chwili wrócił sir William ze służącym, który niósł dzban wina i kielich.

– Przepraszam, ale trzęsą mi się ręce, czy zechciałbyś, sir Williamie, przystawić kielich do ust królowej? – spytała Alison.

Posłusznie podał Marii wino, przytrzymując delikatnie jej głowę. Nie przeszło mu nawet przez myśl, by zajmować się w tym momencie czymś innym i wyglądać przez okno.

Maria upiła łyk i zakasłała, udając, że powoli odzyskuje siły.

Alison przyłożyła rękę do jej czoła, a potem zmierzyła puls.

– Za chwilę poczujesz się lepiej, Wasza Wysokość, ale chyba powinnaś już położyć się spać.

– Pewnie masz rację. – Maria westchnęła.

Sir William odetchnął dyskretnie z ulgą.

– W takim razie zostawię panie już same – powiedział. – Dobrej nocy.

Odwrócił się i zerknął za okno. Alison również tam spojrzała; Willie zniknął, lecz nie była wcale pewna, czy uszkodził wszystkie łodzie.

Sir William wyszedł z komnaty bez słowa. Służący posprzątał ze stołu i również się oddalił.

– Myślisz, że mu się udało? – spytała królowa, gdy zostały same.

– Chyba tak. Sir William może zapomnieć o tym, co widział przez okno. Pił przez całe popołudnie, więc na pewno jest już trochę zaprawiony.

– Mam nadzieję, że nie zacznie niczego podejrzewać i nie zrobi się ostrożniejszy. Willie musi jeszcze ukraść klucz.

Sir William zwykle trzymał klucz przy sobie. Kiedy ktoś odpływał z wyspy lub na nią wracał, gospodarz albo otwierał bramę osobiście, albo powierzał klucz strażnikowi tylko na chwilę. Poza tym nikt nie wychodził poza mury zamku – na zewnątrz były przecież tylko łodzie.

Willie zapewniał je, że zdoła ukraść klucz tak, by sir William tego nie zauważył. Teraz więc wszystko zależało od niego.

– Powinnyśmy się już przebrać – odezwała się Alison.

Zdjęły swe drogocenne suknie i włożyły proste lniane ubrania, potem zamieniły nowe czyste buty na stare i znoszone. Kaptury skrywały ich twarze i zasłaniały charakterystyczne jasnokasztanowe włosy Marii.

Teraz mogły tylko czekać na rozwój wydarzeń.

Sir William lubił, gdy to Willie podawał mu kolację. To właśnie z powodu sympatii, jaką żywił do osieroconego chłopca, wszyscy podejrzewali, że łączą ich więzy krwi. Alison podkopała jednak te dobre relacje.

Wyobrażała sobie, że w tej właśnie chwili, piętro niżej, Willie nakrywa do stołu, a potem zbiera talerze, serwetki i dzbany. Być może klucz leżał na blacie, obok kielicha z winem sir Williama. Oczami wyobraźni widziała, jak chłopiec upuszcza na niego serwetkę, a potem podnosi jedno i drugie. Czy uda mu się zrobić to niepostrzeżenie? Jak bardzo pijany był sir William? Wkrótce miały się o tym przekonać.

Gdyby ich plan się powiódł, ucieczka Marii wywołałaby polityczne trzęsienie ziemi. Odwołałaby złożoną wcześniej abdykację, argumentując, że została do niej zmuszona, a potem upomniałaby się o tron. Jej przyrodni brat James zgromadziłby armię protestantów,

a katoliccy zwolennicy Marii – przynajmniej ci, którzy nie przestali w nią wierzyć – podnieśliby bunt. Wojna domowa rozgorzałaby na nowo. Marię wspierałby jej szwagier, król Francji, który prowadził podobną przeciągającą się wojnę z hugenotami. Papież z pewnością chętnie unieważniłby jej małżeństwo z Bothwellem. Spekulacje dotyczące jej kolejnego męża stałyby się jednym z najważniejszych tematów na wszystkich dworach królewskich od Rzymu po Sztokholm. Układ sił w Europie uległby gwałtownym zmianom. Królowa Elżbieta byłaby wściekła.

A wszystko to zależało teraz od piętnastoletniego Williego Douglasa.

Ktoś zapukał do drzwi, cicho, ale stanowczo. Alison otworzyła. Na zewnątrz stał rozpromieniony Willie, który trzymał w dłoni wielki żelazny klucz.

Wszedł do środka, a Alison zamknęła za nim drzwi.

– Ruszajmy od razu – rzuciła Maria, wstając z krzesła.

– Siedzą jeszcze przy stole – powiedział chłopiec. – Sir William zasnął nad winem, ale lady Margaret rozmawia ze swoimi wnuczkami.

Mogą nas zobaczyć przez otwarte drzwi, kiedy będziemy szli na dół.

Spiralne schody prowadziły obok drzwi na każdym poziomie zamku.

– Ale to najlepszy moment, żołnierze grają jeszcze w piłkę – zauważyła Alison.

– Musimy zaryzykować – zdecydowała królowa. – Pójdziemy.

– Powinienem był zamknąć drzwi jadalni. – Willie wydawał się niepocieszony. – Nie pomyślałem o tym.

– Nie szkodzi – zapewniła go Alison. – Naprawdę świetnie sobie radzisz.

W nagrodę pocałowała go delikatnie w usta; chłopak wydawał się wniebowzięty. Potem otworzyła drzwi i wszyscy wyszli z komnaty.

Prowadził Willie, za nim szła Maria, a na końcu Alison. Starali się stąpać bezgłośnie po kamiennych stopniach, by nie ściągnąć na siebie uwagi innych mieszkańców zamku. Gdy zbliżali się do drzwi jadalni, obie kobiety naciągnęły kaptury na głowy. Z komnaty wypływała smuga światła, słychać było rozbawione kobiece głosy. Willie przeszedł obok wejścia, nie zaglądając do środka. Gdy światło padło na Marię, ta zakryła twarz dłonią. Alison wstrzymała oddech, niemal pewna, że lada moment usłyszy krzyk. Potem

minęła drzwi i ruszyła w dół schodów. Kiedy z tyłu rozległa się salwa śmiechu, wyobraziła sobie od razu, że to lady Margaret wyśmiewa ich żałosne przebranie. Wyglądało jednak na to, że rozbawiło ją coś innego i nie zauważyła wcale trojga uciekinierów lub wzięła ich za służących.

Wyszli na zewnątrz.

Drzwi wieży dzieliło od bramy zamkowej zaledwie kilka kroków, lecz w tej chwili ten odcinek wydawał im się znacznie dłuższy. Na dziedzińcu przebywało mnóstwo ludzi, którzy przyglądali się grze. Alison dostrzegła Drysdale'a, który uderzył właśnie w piłkę obiema dłońmi, skupiony wyłącznie na tym.

Willie był już przy bramie.

Włożył klucz do wielkiego zamka i obrócił go. Alison stała odwrócona plecami do tłumu, dzięki czemu nikt nie widział jej twarzy, ale ona sama nie mogła też sprawdzić, czy ktoś ich nie obserwuje. Musiała wytężyć całą siłę woli, by oprzeć się pokusie i nie obejrzeć się. Masywne skrzydło bramy zaskrzypiało głośno, gdy Willie je uchylił: czy ktoś usłyszał ten dźwięk, czy też zagłuszyły go krzyki widzów? Wszyscy troje wyszli na zewnątrz. Nikt nie pobiegł za nimi.

– Zamknij ją na klucz – poleciła Alison, gdy chłopiec zatrzasnął bramę. – To spowolni pościg.

Willie posłusznie przekręcił klucz, a potem wrzucił go do lufy armaty stojącej przy wejściu.

Nikt ich nie widział.

Kiedy zbiegli na brzeg, chłopiec pochwycił za burtę jedyną nieuszkodzoną łódź, zepchnął ją na płyciznę i przytrzymał przy brzegu. Alison weszła do środka i odwróciła się, by pomóc Marii. Gdy królowa zajęła już miejsce na drewnianej ławce, Willie wskoczył do łodzi, odepchnął ją od brzegu i zaczął wiosłować.

Alison spojrzała do tyłu. Nic nie świadczyło o tym, by ktoś zauważył ich ucieczkę: nikt nie stał na murach, nikt nie wyglądał przez okna zamku, nikt nie zbiegał nad wodę.

Czy to możliwe, że naprawdę udało im się uciec?

Słońce jeszcze nie zaszło; mieli przed sobą długi letni wieczór. Wiał dość mocny, ale ciepły wiatr. Willie wiosłował niezmordowanie, wykorzystując swoje długie ręce i nogi oraz motywację, jaką dawało mu młodzieńcze zadurzenie. Mimo to wydawało się, że niemal stoją w miejscu. Alison raz po raz oglądała się za siebie, lecz wciąż nikt ich nie ścigał. Pocieszała się myślą, że nawet jeśli mieszkańcy wyspy zauważyli brak królowej, najpierw będą musieli

naprawić przynajmniej jedną z uszkodzonych łodzi, by ruszyć za nimi w pogoń.

Zaczynała wierzyć, że naprawdę są wolni.

Gdy zbliżali się już do celu, dostrzegła sylwetkę nieznanego jej mężczyzny czekającego na plaży.

– Do diabła! – zaklęła, zdenerwowana. – Kto to jest?

Zdrętwiała z przerażenia na myśl, że choć udało im się dotrzeć tak daleko, za moment znów trafią do niewoli.

Willie obejrzał się przez ramię.

– To Alistair Hoey, przyjaciel George'a.

Alison odetchnęła z ulgą.

Kiedy przybili do brzegu i wyskoczyli z łodzi, Alistair poprowadził ich ścieżką między domami. Alison słyszała parskanie zniecierpliwionych koni. W końcu wyszli na gościniec po drugiej stronie wioski – tam czekał już na nich uśmiechnięty od ucha do ucha Gładki George, któremu towarzyszyła grupa zbrojnych. Osiodłano konie przygotowane dla uciekinierów. George pomógł Marii dosiąść wierzchowca, a Willie miał okazję przytrzymać stopę Alison, gdy ta wskakiwała na siodło.

Potem wszyscy ruszyli w drogę, ku wolności.

II

Dokładnie dwa tygodnie później Alison nabierała przekonania, że Maria zamierza właśnie popełnić największą pomyłkę swojego życia.

Przebywały w opactwie Dundrennan, na południowym wybrzeżu Szkocji, nad zatoką Solway, za którą znajdowało się już terytorium Anglii. Dundrennan było niegdyś największym klasztorem w Szkocji i choć wszystkie klasztory zostały zsekularyzowane, nadal znajdował się tu wspaniały gotycki kościół oraz budynki z wygodnymi kwaterami. Maria i Alison zajęły luksusową kwaterę należącą niegdyś do opata i teraz toczyły tam niewesołą rozmowę o przyszłości.

Znów wszystko jakby się sprzysięgło przeciwko Marii.

Armia królowej starła się z siłami jej przyrodniego brata Jamesa Stuarta w miejscowości Langside, niedaleko Glasgow. Maria osobiście dowodziła swoimi wojskami i tak bardzo paliła się do walki, że chciała również poprowadzić główny atak, od czego trzeba było powstrzymać ją siłą. Ostatecznie jednak przegrała bitwę i znów musiała salwować się

ucieczką. Pojechała na południe, przez posępne, smagane wiatrem wrzosowiska, a by opóźnić pościg, paliła za sobą wszystkie mosty. Pewnego smutnego wieczoru Alison obcięła piękne kasztanowe włosy królowej i włożyła jej na głowę ciemną perukę. Choć dzięki temu Maria nie była już tak łatwo rozpoznawalna, ta przemiana doprowadziła ją niemal do całkowitego załamania.

Chciała udać się do Anglii, a Alison próbowała jej to wyperswadować.

– Wciąż masz tysiące zwolenników – mówiła z przekonaniem. – Większość Szkotów to katolicy. Tylko kupcy i oportuniści przeszli na protestantyzm.

– Przesadzasz, choć jest w tym trochę prawdy – mruknęła Maria.

– Możesz przegrupować siły, zebrać większą armię, spróbować ponownie.

Królowa pokręciła głową.

– Pod Langside miałam dużą armię. Wygląda na to, że nie zdołam wygrać wojny domowej bez pomocy z zewnątrz.

– Więc wróćmy do Francji. Masz tam sporo ziem i pieniędzy.

– We Francji jestem tylko byłą królową. Czuję się za młoda na tę rolę.

Alison pomyślała, że Maria wszędzie jest byłą królową, zatrzymała jednak tę uwagę dla siebie.

– Twoi francuscy krewni to najpotężniejsza rodzina w kraju. Mogą zebrać dla ciebie armię, jeśli ich o to poprosisz.

– Jeżeli popłynę teraz do Francji, nigdy już nie wrócę do Szkocji. Wiem to.

– Więc jesteś zdecydowana…

– Pojadę do Anglii.

Prowadziły tę dyskusję już kilkakrotnie i za każdym razem Maria dochodziła do tego samego wniosku. Teraz również wracała do powtarzanych wcześniej argumentów:

– Elżbieta jest protestantką, ale uważa, że monarcha namaszczony świętymi olejami, a przecież ja zostałam nimi namaszczona jako dziewięciomiesięczne dziecko, włada na mocy prawa Bożego. Nie może uznać uzurpatora, takiego jak James, bo sama musi się liczyć z podobnym zagrożeniem.

Alison nie była wcale pewna, czy pozycja Elżbiety rzeczywiście jest w jakikolwiek sposób zagrożona. Władała Anglią od dziesięciu lat i nie miała żadnych liczących się wrogów. Być może jednak wszyscy monarchowie obawiają się buntu.

– Elżbieta musi mi pomóc odzyskać tron – stwierdziła z mocą Maria.

– Nikt inny tak nie uważa.

Alison mówiła prawdę. Wszyscy arystokraci, którzy walczyli pod Langside i towarzyszyli Marii podczas jej ucieczki na południe, byli przeciwni tym planom.

Lecz Maria, jak zawsze, kierowała się wyłącznie własnym osądem.

– Być może, ale to ja mam rację, a oni się mylą – oznajmiła.

Jej przyjaciółka pomyślała, że zawsze była niezwykle uparta, lecz tym razem Maria chciała podjąć się misji graniczącej z samobójstwem.

– Czas ruszać – powiedziała królowa, wstając.

Wyszły na zewnątrz. George i Willie czekali przed kościołem wraz z grupą arystokratów, którzy chcieli pożegnać Marię, oraz służącymi, którzy mieli jej towarzyszyć. Dosiedli koni i ruszyli trawiastą dróżką prowadzącą wzdłuż strumienia płynącego z cichym szmerem przez tereny opactwa ku morzu. Ścieżka wiodła przez zielone lasy i ukwiecone łąki, które potem ustąpiły miejsca krzewom kolcolistu obsypanym ciemnożółtymi kwiatami. Radosny żółty odcień kwiecia symbolizował nadzieję, lecz serce Alison wypełniała jedynie czarna rozpacz.

Dotarli do szerokiej kamienistej plaży, gdzie strumień uchodził do morza.

Przy prymitywnym molo zbitym z kilku desek czekała już łódź rybacka.

Przed wejściem do niej Maria przystanęła, odwróciła się i półgłosem powiedziała do Alison:

– Nie musisz ze mną płynąć.

Miała rację. Alison mogła po prostu odejść. Wrogowie Marii zapewne zostawiliby ją w spokoju, uznając, że zwykła dama dworu nie jest w stanie zorganizować buntu – i mieliby rację. Alison miała w Stirling wuja, który chętnie przyjąłby ją do siebie. Mogła też ponownie wyjść za mąż, była przecież jeszcze młoda.

Jednakże perspektywa wolności bez Marii wydawała jej się najgorszym i najsmutniejszym ze wszystkich możliwych rozwiązań. Przyjaźniły się niemal całe życie. Nawet podczas długich, pustych tygodni i miesięcy w Loch Leven nie pragnęła niczego innego. Więziły ją nie tyle mury i kraty, ile miłość do królowej.

– Więc jak? – spytała Maria. – Płyniesz?

– Oczywiście – odparła Alison.

Wsiadły do łodzi.

– Możemy jeszcze zmienić plan i popłynąć do Francji – nie dawała za wygraną Alison.

Maria uśmiechnęła się do niej.

– Nie bierzesz pod uwagę jeszcze jednego czynnika – powiedziała. – Papież i wszyscy europejscy monarchowie uważają, że Elżbieta jest nieślubnym dzieckiem. Dlatego tak naprawdę nigdy nie miała prawa do tronu Anglii. – Umilkła na chwilę, spoglądając na odległy o dwadzieścia mil brzeg po drugiej stronie zatoki.

Alison spojrzała w tę samą stronę i dostrzegła przysłonięte mgłą zielone wzgórza Anglii.

– A skoro Elżbieta nie jest królową Anglii, to ja nią jestem – dokończyła Maria.

III

– Maria Stuart przybyła do Carlisle – poinformował sir Ned Willard królową Elżbietę, gdy ta przyjęła go w komnacie reprezentacyjnej pałacu White Hall.

Królowa zakładała, że Ned powinien wiedzieć takie rzeczy, a także potrafić na nie reagować. Dlatego właśnie nadała mu tytuł szlachecki.

– Wprowadziła się do tamtejszego zamku – kontynuował. – Zastępca zarządcy Carlisle pyta w liście, co ma z nią zrobić.

Carlisle leżało na północno-zachodnich obrzeżach Anglii, blisko granicy ze Szkocją,

dlatego też zbudowano tam fortecę.

Elżbieta zaczęła przechadzać się nerwowo po komnacie, szeleszcząc przy każdym kroku swą wspaniałą jedwabną suknią.

– No właśnie, co, do diabła, powinnam z nią zrobić?

Miała trzydzieści cztery lata. Od dziesięciu lat twardo i konsekwentnie rządziła Anglią. Znała już dobrze meandry europejskiej polityki, poruszała się pewnie po tych zdradliwych wodach, korzystając z wiedzy i przewodnictwa sir Williama Cecila. Nie miała jednak pojęcia, jak potraktować Marię. Królowa Szkotów stanowiła problem, którego nie dało się rozwiązać w żaden prosty i zadowalający sposób.

– Nie mogę pozwolić, żeby jeździła po kraju i siała zamęt wśród katolików – dodała sfrustrowana Elżbieta. – Zaczęliby powtarzać, że to ona jest prawowitą królową, i ani byśmy się obejrzeli, a doszłoby do buntu.

– Pani, nie musisz jej wcale przyjmować – wtrącił Cecil, który rozpatrywał każde zagadnienie z punktu widzenia prawnika. – Jest władczynią obcego państwa i przebywa na terenie Anglii bez twojego pozwolenia, co w najlepszym przypadku należy nazwać afrontem, ale można również uznać za inwazję.

– Ludzie powiedzieliby, że jestem okrutna. – Elżbieta westchnęła. – Że rzucam ją na pożarcie szkockim wilkom.

Ned wiedział, że jeśli trzeba, królowa Anglii potrafi być bezduszna. Zawsze jednak przejmowała się opinią swoich poddanych.

– Wasza Królewska Mość, Maria chce, byś wysłała do Szkocji armię i pomogła jej odzyskać tron – powiedział.

– Nie mam na to pieniędzy – odparła szybko. Nienawidziła wojny i nie cierpiała pustoszenia skarbca.

Zarówno Ned, jak i Cecil spodziewali się takiej właśnie reakcji z jej strony.

– Jeśli ty jej nie pomożesz, pani, być może zwróci się do swoich francuskich krewnych – rzekł Cecil. – A nie chcemy francuskiej armii na angielskiej ziemi.

– Broń Boże.

– Amen. – Cecil skinął głową. – Nie zapominajmy też, że gdy była żoną Franciszka, tytułowali siebie królem i królową Francji, Szkocji, Anglii i Irlandii. Miała to nawet wypisane na zastawie stołowej. Moim zdaniem, francuska rodzina Marii ma wybujałe ambicje.

– Tak, nie da się ukryć, że jest mi solą w oku – mruknęła Elżbieta. – Boże jedyny, co mam z nią

zrobić?

Ned przypomniał sobie spotkanie z Marią, do którego doszło przed siedmioma laty w Saint-Dizier. Wyglądała wtedy olśniewająco, była od niego wyższa i emanowała nieziemską urodą. Uznał wówczas, że jest odważna, lecz impulsywna, i że podejmuje zapewne śmiałe, ale nierozsądne decyzje. Przyjazd do Anglii z pewnością był niewłaściwym posunięciem. Pamiętał również jej powiernicę, Alison McKay, kobietę w jego wieku, ciemnowłosą i niebieskooką, nie tak piękną jak Maria, ale zapewne mądrzejszą. Towarzyszył im arogancki młody dworzanin, niejaki Pierre Aumande Gwizjusz; Ned od razu poczuł do niego antypatię.

Obaj z sir Cecilem wiedzieli już, jaką decyzję musi podjąć Elżbieta. Znali ją jednak zbyt dobrze, by cokolwiek jej podpowiadać. Przedstawili więc różne opcje i pozwolili, by odrzuciła te, które wydawały jej się niewłaściwe. W końcu Cecil podsunął jej swobodnym, niemal lekceważącym tonem to rozwiązanie, które sam uważał za najlepsze.

– Mogłabyś ją po prostu uwięzić, pani.

– Tutaj, w Anglii?

– Tak. Pozwolisz jej zostać, ale jako więźniowi. Ma to swoje zalety. – Omówił je już wcześniej

z Nedem, ale teraz przedstawiał je tak, jakby właśnie przyszły mu do głowy. – Wiedziałabyś zawsze, gdzie jest. Nie mogłaby podżegać nikogo do buntu. A wiadomość, że ich przywódczyni została uwięziona w obcym kraju, z pewnością osłabiłaby pozycję szkockich katolików.

– No dobrze, ale jeśli tu zostanie, na pewno dowiedzą się o tym angielscy katolicy.

– To rzeczywiście pewna niedogodność – przyznał Cecil. – Możemy jednak podjąć odpowiednie kroki i dopilnować, by nie kontaktowała się z malkontentami. Albo z nikim innym, jeśli trzeba będzie.

Ned przypuszczał, że trudno będzie utrzymać Marię w całkowitym odcięciu od świata. Lecz Elżbieta zastanawiała się już nad czymś innym.

– Właściwie to będzie całkiem zrozumiałe i uzasadnione, jeśli ją uwięzę – rozmyślała głośno. – Tytułowała się królową Anglii. Co król Filip zrobiłby z człowiekiem, który twierdziłby, że jest prawowitym władcą Hiszpanii?

– Straciłby go, oczywiście – podpowiedział szybko Cecil.

– Prawdę mówiąc – kontynuowała Elżbieta, usprawiedliwiając się przed samą sobą – okażę Marii litość, poprzestając na osadzeniu jej w areszcie.

– Myślę, że tak to właśnie zostanie odebrane – zapewnił ją.

– To będzie właściwe rozwiązanie – uznała królowa. – Dziękuję ci, Cecil. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawa.

Królowa odwróciła się do Neda.

– Lepiej będzie, jak wybierzesz się do Carlisle i osobiście wszystkiego dopilnujesz – oznajmiła.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Co mam powiedzieć, jeśli ktoś spyta mnie o powód uwięzienia Marii? Lepiej, żeby ludzie nie mówili, że zrobiliśmy to bezprawnie.

– Słusznie – mruknęła Elżbieta. – Nie wiem…

– Mam pewną propozycję w tej kwestii – wtrącił usłużnie Cecil.

IV

Zamek w Carlisle był potężną fortecą otoczoną długimi murami z jedną tylko wąską bramą. Twierdzę wzniesiono z miejscowego, różowoczerwonego piaskowca, z którego zbudowano również stojącą naprzeciwko katedrę. W obrębie murów znajdowała się

kwadratowa wieża z armatami na górze. Wszystkie skierowane były ku Szkocji.

Alison i Maria zostały zakwaterowane w mniejszej wieży, w rogu zamkowego kompleksu. Była równie ponura jak ta w Loch Leven i chłodna nawet w czerwcu. Alison żałowała, że nie mają koni i nie mogą wybierać się na przejażdżki, co zawsze sprawiało Marii ogromną przyjemność i czego brakowało jej w szkockim więzieniu. Musiały jednak zadowolić się spacerami, które zawsze odbywały się w eskorcie oddziału angielskich zbrojnych.

Maria postanowiła, że nie będzie się skarżyć Elżbiecie na te niedogodności. Zależało jej tylko na tym, by królowa Anglii pomogła jej odzyskać szkocki tron.

Tego dnia miały się spotkać z długo wyczekiwanym posłańcem z dworu królewskiego. Przybył do zamku poprzedniej nocy i natychmiast udał się na spoczynek.

Alison zdołała się skontaktować z przyjaciółmi Marii w Szkocji, którzy przysłali jej trochę ubrań i peruk, choć biżuteria – głównie dary od męża Franciszka II z czasów, gdy była królową Francji – nadal pozostawała w rękach protestantów. Maria mogła więc tego ranka wyglądać jak prawdziwa królowa. Po śniadaniu

zasiadły w skromnej komnacie, którą im przydzielono, by poznać swój los.

Od miesiąca codziennie dyskutowały o Elżbiecie, o jej przekonaniach religijnych, o poglądach na monarchię, o jej wykształceniu i osławionym władczym charakterze. Próbowały odgadnąć, jaką decyzję podejmie: czy pomoże Marii odzyskać tron? Nie doszły do żadnych konkretnych wniosków, a właściwie codziennie dochodziły do innych. Teraz miały w końcu poznać prawdę.

Posłaniec Elżbiety wyglądał na nieco starszego od Alison; dawała mu jakieś trzydzieści lat. Był szczupły, miał miły uśmiech i złotobrązowe oczy. Nosił drogie, lecz stonowane stroje. Przyjrzawszy mu się bliżej, Alison stwierdziła z zaskoczeniem, że go zna. Zerknęła na Marię i zobaczyła, że ta marszczy lekko czoło, jakby również próbowała umiejscowić go jakoś w czasie i przestrzeni. Kiedy skłonił się nisko przed królową, a potem pozdrowił Alison, ta druga w końcu przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie.

– Saint-Dizier! – wykrzyknęła.

– Sześć lat temu – dodał. Mówił po francusku; wiedział lub domyślał się, że Maria najchętniej używa właśnie tego języka, szkocki traktuje jako

drugi, a angielski jako trzeci. Posłaniec zachowywał się uprzejmie, lecz zarazem swobodnie. – Jestem sir Ned Willard.

Alison pomyślała, że pod tymi dobrymi manierami skrywa się zimna i bezwzględna natura, niczym ostry nóż zamknięty w atłasowej pochwie.

– Ach, więc teraz już sir! – powiedziała ciepłym tonem, starając się go nieco ugłaskać. – Gratuluję.

– Jest pani bardzo miła.

Przypomniała sobie, że wtedy zachowywał się jak zwykły urzędnik dworu Jamesa Stuarta, porzucił jednak tę pozę, przemawiając ostrym tonem do Pierre'a Aumande'a.

– Próbowałeś mnie przekonać, bym nie wyjeżdżała do Szkocji, prawda? – spytała Maria.

– Powinnaś była posłuchać mej rady, pani – odparł z powagą.

Maria zignorowała ten przytyk i przeszła od razu do rzeczy:

– Jestem królową Szkocji. Królowa Elżbieta nie może temu zaprzeczyć.

– W rzeczy samej, nie może – potwierdził.

– Zostałam bezprawnie uwięziona przez zdrajców działających wśród mych poddanych.

Jestem pewna, że moja kuzynka Elżbieta także się z tym zgodzi.

Oczywiście nie były wcale kuzynkami, łączyło je znacznie dalsze pokrewieństwo: dziadek Elżbiety, król Henryk VII, był pradziadkiem Marii. Sir Ned nie zamierzał jednak spierać się o takie szczegóły.

– Przybyłam do Anglii z własnej woli – kontynuowała Maria. – Proszę jedynie, by pozwolono mi osobiście porozmawiać z Elżbietą i poprosić ją o pomoc.

– Z pewnością przekażę jej tę wiadomość. – Ned skinął głową.

Alison z trudem ukryła grymas rozczarowania. Posłaniec unikał jednoznacznych odpowiedzi, a to nie wróżyło dobrze.

Maria nie kryła oburzenia.

– Przekażesz jej wiadomość? – obruszyła się. – Przypuszczałam, że znasz już konkretną decyzję!

Ned wysłuchał jej ze stoickim spokojem. Być może nie po raz pierwszy musiał radzić sobie z rozgniewaną królową.

– Jej Wysokość nie może natychmiast podjąć takiej decyzji – tłumaczył beznamiętnym tonem.

– Dlaczego nie?

– Najpierw musi rozważyć inne kwestie.

– Jakie kwestie? – dopytywała Maria, która nie dawała się łatwo zbić z tropu.

– Śmierć męża Waszej Wysokości, króla Szkocji i kuzyna królowej Elżbiety, pozostaje… niewyjaśniona – odparł z ociąganiem.

– Przecież ja nie miałam z tym nic wspólnego!

– Wierzę ci, pani – zapewnił ją Ned, choć Alison przypuszczała, że nie mówi prawdy. – Wierzy ci również Jej Wysokość. – To też nie było zapewne prawdą. – Musimy jednak ustalić fakty i przedstawić je światu, nim królowa Elżbieta będzie mogła przyjąć cię, pani, na swoim dworze. Jej Wysokość ma nadzieję, że jako monarchini to zrozumiesz, pani.

Alison omal nie zapłakała, zrozumiawszy, że to oznacza klęskę. Śledztwo w sprawie śmierci lorda Darnleya było tylko pretekstem – Elżbieta po prostu nie chciała przyjąć Marii. To zaś oznaczało, że nie chce jej też pomóc.

Maria doszła do tego samego wniosku.

– Cóż za okrutna niesprawiedliwość! – powiedziała, wstając gwałtownie. Poczerwieniała na twarzy, w jej oczach pojawiły się łzy. – Jak moja kuzynka może traktować mnie tak bezdusznie?!

– Prosi cię, pani, o cierpliwość. I do czasu zakończenia tej sprawy będzie zaspokajać

wszystkie twoje potrzeby.

– Nie akceptuję tej decyzji. Popłynę do Francji. Moja rodzina udzieli mi pomocy, której odmówiła mi Elżbieta.

– Jej Wysokość nie chciałaby, pani, byś sprowadzała do Szkocji francuską armię.

– Więc po prostu wrócę do Edynburga i stawię czoło mojemu zdradzieckiemu bratu, a waszemu przyjacielowi Jamesowi Stuartowi.

Nie odpowiedział jej od razu; wyraźnie się wahał. Alison zauważyła, że pobladł i splótł dłonie za plecami, jakby chciał się powstrzymać od nerwowych gestów. Gniew Marii robił wrażenie nawet na nim. Jednakże to on rozdawał tu kraty. W końcu odezwał się silnym, stanowczym tonem:

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Tym razem to Maria wyraźnie się przestraszyła.

– Jak to? Co to ma niby oznaczać?

– Zgodnie z rozkazami Jej Wysokości, masz, pani, pozostać w tym zamku, dopóki angielski sąd nie rozpatrzy sprawy zabójstwa lorda Darnleya.

– Nie! – krzyknęła bliska płaczu Alison. To było najgorsze możliwe rozwiązanie.

– Przykro mi, że przynoszę tak niepomyślne wieści – dodał Ned, a Alison pomyślała, że mówi to całkiem szczerze. Był dobrym człowiekiem, który przekazywał im złe wiadomości.

– Więc królowa Elżbieta nie przyjmie mnie na swoim dworze? – upewniała się Maria drżącym głosem.

– Nie.

– Nie pozwoli mi popłynąć do Francji?

– Nie.

– I nie mogę też wrócić do domu, do Szkocji?

– Nie.

– Więc jestem więźniem?

– Tak.

– Znowu – powiedziała cicho Maria.

ROZDZIAŁ 16

I

Po śmierci matki Ned był zrozpaczony i osamotniony, ale przede wszystkim wściekły. Alice Willard powinna przeżyć swe ostatnie lata w luksusach i poczuciu spełnienia, a tymczasem została zrujnowana przez religijne spory i umarła ze świadomością, że jej się nie udało.

Była Wielkanoc roku 1570. Tak się złożyło, że Barney był akurat w domu, w przerwie między kolejnymi rejsami morskimi. W wielkanocny poniedziałek bracia świętowali zmartwychwstanie w katedrze w Kingsbridge, a nazajutrz stali ramię w ramię na cmentarzu, gdy spuszczano trumnę z ciałem ich matki do grobu, w którym spoczywał już ojciec. Ned czuł, jak pożera go palący gniew, i obiecał sobie w duchu, że zrobi wszystko, by już nigdy ludzie

pokroju biskupa Juliusa nie mogli niszczyć uczciwych kupców takich jak Alice Willard.

Kiedy opuszczali cmentarz, starał się zająć myśli bardziej praktycznymi i przyziemnymi sprawami, powiedział więc bratu:

– Dom jest twój, oczywiście.

Barney był starszym synem, miał trzydzieści dwa lata. Niedawno zgolił krzaczastą brodę, odsłaniając przedwcześnie postarzałą, pomarszczoną od słońca i wiatru twarz.

– Wiem, ale ja rzadko będę z niego korzystał – odpowiedział. – Możesz w nim mieszkać, gdy tylko będziesz w Kingsbridge.

– Więc zamierzasz całkowicie poświęcić się morskim podróżom?

– Tak.

Barneyowi świetnie się powodziło. Po tym, jak *Jastrząb* wrócił do portu Combe, został kapitanem innego statku, zapewniając sobie również udział w zyskach, potem zaś kupił własny. Odziedziczył po matce talent do zarabiania pieniędzy.

Ned spojrzał w przeciwległą stronę rynku, na swój rodzinny dom. Kochał to miejsce, ten stary budynek z widokiem na katedrę.

– Chętnie zajmę się nim w twoim imieniu. Fife’owie będą się nim opiekować na co dzień,

ale ja będę miał na nich oko. – Ned mówił o ich gospodyni Janet Fife i jej mężu Malcolmie, który był stajennym.

– Nie są już najmłodsi – zauważył Barney.

– No tak, mają po pięćdziesiąt parę lat. Ale ich córka dopiero co skończyła dwadzieścia dwa.

– I być może wyjdzie za człowieka, który będzie chciał przejąć posadę Malcolma.

Ned uśmiechnął się pod nosem.

– Eileen nigdy nie wyjdzie za nikogo prócz ciebie.

Barney wzruszył ramionami. Wiele kobiet beznadziejnie się w nim zakochiwało: biedna Eileen była tylko kolejną z jego licznych ofiar.

– Nie kusi cię, żeby się w końcu ustatkować? – spytał Ned.

– To nie miałoby sensu. Marynarz i tak przecież rzadko kiedy widuje żonę. A co z tobą?

Ned rozmyślał nad tym przez chwilę. Śmierć matki uświadomiła mu, że jego czas na tej ziemi jest ograniczony. Oczywiście wiedział o tym już wcześniej, teraz jednak odczuł tę prawdę wyjątkowo boleśnie. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy chce takiego właśnie życia, jakie prowadził do tej pory. Odpowiadając na pytanie brata, zaskoczył samego siebie:

– Chcę tego, co mieli oni. – Spojrzał na grobowiec rodziców. – Partnerstwa na całe życie.

– Oni wcześnie zaczęli – zauważył Barney. – Kiedy się pobrali, mieli po dwadzieścia lat, prawda? Masz już jakieś dziesięć lat opóźnienia.

– Nie żyję w celibacie…

– Miło mi to słyszeć.

– Ale jakoś nie spotkałem jeszcze kobiety, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

– Z jednym wyjątkiem. – Barney uśmiechnął się, spoglądając ponad ramieniem brata.

Ned obejrzał się i zobaczył Margaret Fitzgerald. Najwyraźniej brała udział w mszy żałobnej i pogrzebie, nie dostrzegł jej jednak w tłumie. Serce zabiło mu mocniej na jej widok. Przywdziała żałobne szaty, ale jak zawsze miała oryginalne nakrycie głowy, tym razem była to czapka z fioletowego aksamitu, włożona na bakier na bujne loki. Rozmawiała właśnie ze starym ojcem Paulem, byłym mnichem z klasztoru w Kingsbridge, a obecnie kanonikiem katedry i prawdopodobnie utajonym katolikiem. Upartość Margery w trwaniu przy katolicyzmie powinna właściwie odpychać Neda, lecz napełniała go jedynie podziwem dla jej idealizmu i wytrwałości.

– Obawiam się, że Margaret jest tylko jedna, a wyszła już za kogoś innego. – Westchnął ciężko. Potem pomyślał ze zniecierpliwieniem, że dyskusja na jej temat jest kompletnie bezcelowa. – Dokąd się wybierasz tym razem? – spytał.

– Chcę znów popłynąć do Nowego Świata. Nie lubię handlować niewolnikami… to bardzo delikatny towar, tracimy sporą część podczas podróży… ale tam potrzebują właściwie wszystkiego, prócz cukru.

Ned uśmiechnął się pod nosem.

– Wydaje mi się, że ostatnio wspominałeś też o pewnej dziewczynie…

– Naprawdę? Kiedy?

– Oj, chyba jednak coś jest na rzeczy.

Barney wydawał się zawstydzony, jakby nie chciał przyznać się do głębszego uczucia.

– Cóż… to prawda, że nigdzie nie spotkałem kogoś takiego jak Bella.

– To było siedem lat temu.

– Wiem. Prawdopodobnie jest już żoną jakiegoś bogatego plantatora i ma dwoje albo troje dzieci.

– Ale wolałbyś to sprawdzić, tak? – Ned był szczerze zaskoczony tym odkryciem. – W gruncie rzeczy wcale się od siebie nie różnimy.

Zmierzali leniwym tempem w stronę starego klasztoru.

– Kościół wciąż nic nie zrobił z tymi budynkami – powiedział Ned. – Mama marzyła, żeby zamienić je w zadaszone targowisko.

– Była naprawdę mądra. To świetny pomysł. Powinniśmy to kiedyś zrobić.

– Nigdy nie będę miał dość pieniędzy.

– A mnie może się uda, jeśli ocean będzie dla mnie łaskawy – rzekł Barney.

Podeszła do nich Margery w towarzystwie służącej i zbrojnego; odkąd została hrabiną Shiring, rzadko chodziła gdziekolwiek sama. Jej mała świta zatrzymała się kilka kroków z tyłu, a Margery uścisnęła dłoń braci Willardów.

– To bardzo smutny dzień – powiedziała.

– Dziękujemy ci, Margery – rzekł Barney.

– Na pogrzebie było mnóstwo ludzi. Wszyscy lubili waszą matkę.

– To prawda.

– Bart prosił, bym przeprosiła za jego nieobecność. Musiał wyjechać do Winchesteru.

Barney skinął głową ze zrozumieniem, po czym spytał:

– Pozwolicie, że zostawię was samych? Muszę porozmawiać z Danem Cobleyem. Chcę, żeby

zainwestował w mój następny rejs, żeby rozłożyć ryzyko.

Nie czekając na odpowiedź, oddalił się pospiesznie.

– Jak się miewasz, Ned? – spytała Margery cichszym, serdeczniejszym tonem.

– Mama miała prawie sześćdziesiąt lat, więc nie byłem szczególnie zaskoczony – odparł. To samo powtarzał wszystkim innym, w rzeczywistości jednak wcale tak nie myślał i miał ochotę powiedzieć o tym Margery. W końcu dodał tylko ponurym tonem: – Ale ma się tylko jedną matkę.

– Wiem. Ja nawet nie lubiłam ojca, szczególnie po tym, jak zmusił mnie do małżeństwa z Bartem, mimo to płakałam, kiedy umarł.

– Tak, to pokolenie już właściwie odeszło. – Westchnął i uśmiechnął się nieznacznie. – Pamiętasz tę wigilię Trzech Króli, dwanaście lat temu, kiedy odwiedził nas William Cecil? W tamtych czasach wydawało się, że właśnie oni rządzą całym światem: twój ojciec, moja matka i ojciec Barta.

W oczach Margery pojawił się szelmowski błysk.

– Oczywiście, że pamiętam.

Wiedział, że myśli o tych kilku cudownych chwilach, które spędzili w nieużywanym piecu chlebowym, namiętnie się całując. Uśmiechnął się ponownie do tego wspomnienia.

– Chodź do mojego domu na kropelkę wina – dodał kierowany impulsem. – Porozmawiamy o starych czasach. To dobry dzień na wspominki.

Powoli przeciskali się przez zatłoczony rynek; nikt nie przerywał tu handlu ze względu na pogrzeb. Przeszli przez główną ulicę i znaleźli się w domu Willardów. Ned zaprowadził ją do małego frontowego salonu, gdzie zawsze przesiadywał jego ojciec i skąd roztaczał się widok na katedrę.

– Możecie iść do kuchni – zwróciła się Margery do swojej służącej i uzbrojonego mężczyzny, który jej towarzyszył.

– Janet da wam kubek piwa i coś do jedzenia – dodał Ned. – Poproście ją, żeby przyniosła wino dla waszej pani i dla mnie.

Kiedy oboje wyszli, zamknął za nimi drzwi.

– Jak się miewa twoje maleństwo? – spytał.

– Bartlet to już nie maleństwo – odparła. – Ma sześć lat, chodzi i mówi jak dorosły, a do tego wszędzie nosi ze sobą drewniany miecz.

– A Bart nie ma pojęcia…

– Nawet o tym nie wspominaj. – Zniżyła głos do szeptu. – Swithin już nie żyje, więc tylko my dwoje o tym wiemy. I musimy na zawsze zachować to w sekrecie.

– Oczywiście.

Margery była niemal pewna, że Bartlet jest synem jej zabitego teścia, a nie męża, i Ned uważał, że ma rację. W ciągu dwunastu lat małżeństwa poczęła tylko raz, i to właśnie po tym, jak hrabia Swithin ją zgwałcił.

– Czy to wpływa jakoś na twoje uczucia? – spytał.

– Do syna? Nie. Pokochałam go w momencie, gdy go zobaczyłam.

– A Bart?

– Też go uwielbia. To całkiem naturalne, że Bartlet przypomina jego ojca. Bart chce go zamienić w swoją kopię i dąży do tego na wszelkie możliwe sposoby…

– To też chyba całkiem naturalne.

– Posłuchaj, Ned. Mężczyźni uważają podobno, że jeśli kobieta zaszła w ciążę, to znaczy, że sprawiało jej to przyjemność.

– Ja tak nie uważam.

– Bo to nieprawda. Spytaj pierwszą lepszą kobietę.

Zrozumiał, że bardzo jej zależy, by w to uwierzył.

– Nie muszę nikogo pytać. Naprawdę.

– Więc nie myślisz, że uwiodłam Swithina?

– Oczywiście, że nie.

– Mam nadzieję, że jesteś tego pewien.

– Bardziej niż własnego nazwiska.

W oczach Margery pojawiły się łzy.

– Dziękuję… – wyszeptała.

Ned ujął jej dłoń.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? – odezwała się Margery po chwili milczenia.

– Jasne.

– Był ktoś inny?

Zawahał się na moment. To jej wystarczyło.

– Więc był. – Westchnęła.

– Wybacz, nie jestem mnichem.

– Czyli więcej niż jedna.

Nie odezwał się.

– Kilka lat temu Susannah Brecknock powiedziała mi, że miała kochanka o połowę młodszego od niej. To byłeś ty, prawda?

Ned był zdumiony jej przenikliwością.

– Jak się tego domyśliłaś?

– Po prostu pasowało mi to do ciebie. Mówiła, że jej nie kochał, ale jej to nie przeszkadzało, bo był dobrym kochankiem.

Ned czuł się zakłopotany faktem, że kobiety rozmawiały o nim w ten sposób.

– Jesteś na mnie zła? – spytał.

– Nie mam prawa. Ja dzielę łoże z Bartem, więc dlaczego ty miałbyś żyć w celibacie?

– Ale ciebie zmuszono do małżeństwa.

– A ciebie uwiodła kobieta o ciepłym sercu i powabnym ciele. Nie jestem zła, po prostu jej zazdroszczę.

Podniósł rękę do jej ust, lecz drzwi otworzyły się nagle i szybko ją cofnął.

Do salonu weszła gospodyni z dzbanem wina i talerzem orzechów oraz suszonych owoców.

– Dla ciebie to także smutny dzień, Janet – zauważyła Margery ze współczuciem.

Gospodyni wybuchła płaczem i wyszła bez słowa.

– Biedaczka. – Margery westchnęła.

– Pracowała dla mojej matki, odkąd była dzieckiem. – Ned chciał wziąć Margery za rękę, powstrzymał się jednak i zmienił temat. – Muszę porozmawiać z Bartem o pewnej sprawie.

– Tak?

– Królowa mianowała mnie lordem Wigleigh.

– Gratulacje! Będziesz teraz bogaty.

– Może nie bogaty, ale w miarę dobrze sytuowany. – Miał pobierać dzierżawę od

wszystkich chłopów z okolicy. W ten właśnie sposób monarchowie często nagradzali swoich doradców, zwłaszcza tak skąpi jak Elżbieta.

– Więc teraz jesteś sir Ned Willard z Wigleigh.

– Mój ojciec zawsze mówił, że Wigleigh należy do naszej rodziny. Twierdził, że jesteśmy potomkami Merthina, budowniczego mostów. Z *Księgi Timothy'ego* wynika, że brat Merthina, Ralph, był lordem Wigleigh, a Merthin wybudował młyn wodny, który stoi tam do tej pory.

– Więc jesteś potomkiem arystokratów.

– Co najmniej szlachty.

– A o czym konkretnie chciałeś porozmawiać z Bartem?

– Jeden z moich dzierżawców wykarczował część lasu za strumieniem, na waszych terenach. Oczywiście nie miał do tego prawa. – Dzierżawcy zawsze próbowali na różne sposoby powiększać swe gospodarstwa. – Ale wolałbym go za to nie karać, więc chciałbym dojść z Bartem do ugody i wynagrodzić mu jakoś stratę tych kilku akrów.

– Więc może przyjedziesz w przyszłym tygodniu na obiad do New Castle i porozmawiasz z nim?

– Świetnie.

– Piątek w południe?

– Tak – odparł Ned, ogarnięty nagłą radością. – Może być piątek.

II

Margery było wstyd, że tak bardzo ekscytuje ją myśl o wizycie Neda.

Wierzyła w wierność. Uważała, że choć zmuszono ją do małżeństwa z Bartem, powinna być wobec niego lojalna. Nieważne, że coraz bardziej upodabniał się do swego nieżyjącego ojca, że stawał się brutalny, ordynarny i rozwiązły. Zdaniem Margery niczego to nie zmieniało: grzech pozostawał grzechem.

Z zażenowaniem wspominała falę podniecenia, jaka ogarnęła ją w chwili, gdy Ned obiecał przyjechać do New Castle. Obiecała sobie, że będzie go traktować z uprzejmością nie większą, niż każda dobrze wychowana gospodyni okazywałaby ważnemu gościowi. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Ned zakochał się w kimś innym i nie interesował się nią więcej. Wtedy może potrafiliby traktować się z należytym dystansem.

Dzień wcześniej kazała zabić i oporządzić parę tłustych gęsi. Kiedy rano zmierzała do

kuchni, by wydać kucharzowi dalsze instrukcje, zobaczyła dziewczynę wychodzącą z komnaty Barta.

Była to Nora Josephs, najmłodsza, bo zaledwie piętnastoletnia pokojówka w zamku. Miała rozczochrane włosy i krzywo włożoną suknię, jakby ubierała się w pośpiechu. Nie była ładna, ale miała młode pulchne ciało, a właśnie takie najbardziej podobały się Bartowi.

Margery i jej mąż już od pięciu lat mieli oddzielne sypialnie. Odpowiadał jej taki stan rzeczy. Co jakiś czas Bart nadal odwiedzał ją nocami, robił to jednak coraz rzadziej. Wiedziała, że sypia z innymi kobietami, lecz przekonywała siebie, że jej to nie obchodzi, bo go nie kocha. Jednocześnie żałowała, że ich małżeństwo nie wygląda inaczej.

Wiedziała również, że żadna z jego nałożnic nigdy nie zaszła w ciążę. On chyba się nad tym nie zastanawiał. Logiczne myślenie nie było jego mocną stroną, a jeśli nawet kiedykolwiek zwrócił uwagę na to, że poza Bartletem nie ma żadnego potomstwa, pewnie doszedł do wniosku, że taka była wola Boża.

Tego ranka gotowa była udać, że niczego nie zauważyła, lecz Nora obdarzyła ją wymownym, zuchwałym spojrzeniem. Margery nie zamierzała

pozwolić, by ktoś ją upokarzał; uznała, że od razu musi się rozprawić z młodą służącą. Nie po raz pierwszy znalazła się w takiej sytuacji, wiedziała więc, co robić.

– Chodź ze mną, dziewczyno – rozkazała władczym tonem, a Nora nie odważyła się przeciwstawić. Razem przeszły do sypialni Margery.

Hrabina usiadła, a Nora stanęła przy drzwiach. Dziewczyna wyglądała teraz na wystraszoną, Margery pomyślała więc, że być może uda jej się rozwiązać ten problem szybko i bezboleśnie.

– Słuchaj mnie uważnie, bo reszta twojego życia zależy od tego, jak będziesz się teraz zachowywać. Rozumiesz mnie?

– Tak, pani hrabino.

– Jeśli chcesz, możesz się obnosić z tym, że jesteś nałożnicą hrabiego. Możesz dotykać go w obecności innych służących. Możesz popisywać się prezentami, które ci da. Możesz mnie nawet poniżać, całując go w mojej obecności. Wszyscy ludzie w zamku i połowa mieszkańców hrabstwa Shiring będą wiedzieli, że jesteś nałożnicą hrabiego. Będziesz mogła czuć się dumna.

Umilkła na moment. Nora unikała jej wzroku.

– Ale co będzie, kiedy hrabia się tobą znudzi? – ciągnęła Margery. – Wtedy oczywiście cię wyrzucę, a mojego męża nie będzie to wcale obchodzić. Jeśli będziesz próbowała znaleźć pracę w innych domach, żadna kobieta cię nie zatrudni, bo wszystkie będą się bały, że uwiedziesz im męża. Wiesz, dokąd w końcu trafisz?

Zrobiła dramatyczną pauzę, a Nora wyszeptała:

– Nie, pani hrabino.

– Do portowego domu uciech w Combe, gdzie będziesz co noc ssała kutasy marynarzy, aż w końcu umrzesz na jakieś paskudne choróbsko.

Tak naprawdę Margery nie wiedziała, co właściwie dzieje się w domach uciech, lecz mówiła o tym z takim przekonaniem, że Nora z trudem powstrzymywała się od płaczu.

– Ale możesz też traktować mnie z szacunkiem – mówiła dalej Margery. – Jeśli hrabia zaciągnie cię do łóżka, wyjdź od niego, gdy tylko zaśnie, i wróć do kwater służby. Nie odpowiadaj na pytania innych służących. W ciągu dnia nie patrz i nie odzywaj się do niego, i nigdy nie dotykaj go w obecności innych osób. Potem, kiedy się już tobą znudzi, nadal będziesz

miała tu pracę, a twoje życie wróci do normy. Rozumiesz, jakiego wyboru musisz dokonać?

– Tak, pani hrabino – wyszeptała Nora.

– Idź już. – Kiedy służąca otwierała drzwi, Margery dorzuciła jeszcze z goryczą: – A kiedy sama będziesz myśleć o zamążpójściu, poszukaj sobie kogoś, kto nie przypomina mojego męża.

Nora oddaliła się pospiesznie, a Margery poszła do kuchni, by dopilnować przygotowań do obiadu.

Ned przyjechał w południe, ubrany w kosztowny czarny dublet i biały koronkowy kołnierz – odzienie typowe dla bogatych i wpływowych protestantów, jak zauważyła. Uważała, że Ned nie wygląda w nim najlepiej – wolała, gdy nosił radośniejsze kolory, złoto i zieleń.

Mick, pies Margery, polizał go po ręce. Bart również przywitał go przyjaźnie i poczęstował najlepszym winem. Hrabina przyjęła to z ulgą – może mąż zapomniał, że kiedyś chciała poślubić Neda. A może wcale go to nie obchodziło, bo w końcu i tak wyszła za niego. Dla ludzi pokroju Barta liczyło się tylko zwycięstwo.

Nie był zbyt bystry i nigdy nie podejrzewał, że to Ned doprowadził do egzekucji jego ojca. Miał całkiem inną teorię. Był przekonany, że pułapkę

zastawił Dan Cobley, przywódca purytanów, by zemścić się w ten sposób na sir Reginaldzie i na Rollo za śmierć własnego ojca. Zresztą było prawdą, że Dan wciąż pała nienawiścią do Rollo.

Pewne obawy Margery budziła również obecność Stephena Lincolna, który zasiadł z nimi do stołu. Ned domyślił się zapewne, jaką rolę pełnił Stephen w domu hrabiego, ale nie skomentował tego w żaden sposób. Wszyscy wiedzieli, że w domach katolickich arystokratów mieszkają księża, lecz nikt nie mówił o tym głośno. Margery zwykle nie tolerowała hipokryzji; nie mogła spokojnie patrzeć, gdy uznawano za sierotę dziecko, którego ojciec w rzeczywistości był wszystkim dobrze znany, kiedy pomijano milczeniem namiętną miłość dwóch zakonnic, gdy niezamężna gosposia rodziła raz po raz dzieci zadziwiająco podobne do księdza, który ją zatrudniał. Jednakże w tym przypadku taka zmowa milczenia działała na jej korzyść.

Z drugiej strony, nie miała pewności, czy Stephen będzie równie taktowny jak ich gość. Stephen nienawidził królowej Elżbiety, dzięki której Ned zrobił karierę. Ned z kolei miał powody, by nienawidzić Kościoła katolickiego, który surowo ukarał jego matkę za lichwę. Ten

obiad mógł przebiegać w wyjątkowo napiętej atmosferze.

– Podobno jesteś teraz jednym z najważniejszych doradców królowej – zaczął Bart przyjaznym tonem, w którym pobrzmiewała tylko lekka nuta żalu. Uważał, że doradcy monarchini powinni się wywodzić z arystokracji, a nie z kupieckich rodzin. W głębi serca wiedział jednak, że nigdy nie byłby w stanie doradzać królowej w kwestiach związanych z zawiłościami europejskiej polityki.

– Od dwunastu latu pracuję z sir Williamem Cecilem – odparł Ned. – To on jest naprawdę ważnym doradcą.

– Ale królowa pasowała cię na rycerza, jesteś teraz lordem Wigleigh.

– Jestem jej za to bardzo wdzięczny.

Margery ogarnęło nagle dziwne i nieznane, choć przyjemne uczucie, kiedy siedziała przy stole, popijała wino i obserwowała Neda. Był bardzo inteligentny, często się uśmiechał, mrużąc przy tym oczy. Mogłaby patrzeć na niego i przysłuchiwać się tej rozmowie bez końca.

– Na czym właściwie polega twoja praca dla Elżbiety, sir Nedzie? – spytał Stephen Lincoln.

– Staram się ostrzegać ją zawczasu przed problemami, które dopiero mogą jej zagrozić.

Margery pomyślała, że brzmi to jak wyuczona formułka, którą powtarzał za każdym razem, gdy ktoś zadawał mu podobne pytanie.

Stephen uśmiechnął się krzywo.

– Czy to oznacza, że szpiegujesz ludzi, którzy się z nią nie zgadzają?

Jęknęła w duchu. Ksiądz najwyraźniej dążył do konfrontacji i nie przejmował się wcale, że zepsuje przyjemną dotąd atmosferę.

Ned odchylił się na oparcie krzesła.

– Nie dba o to, czy ludzie się z nią nie zgadzają, dopóki zachowują te poglądy dla siebie. Wydaje mi się, że kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć, bo hrabia Bart nie chodzi do kościoła i co tydzień płaci za to szyling kary.

– Na większe uroczystości wybieram się do katedry w Kingsbridge – mruknął Bart.

– Co dowodzi twojej głębokiej mądrości, jeśli wolno mi tak powiedzieć. W Anglii królowej Elżbiety nie torturuje się nikogo za wyznanie, nikogo też nie spalono na stosie… w odróżnieniu od tego, co działo się za rządów jej poprzedniczki, królowej Marii.

– A co z powstaniem północnym? – spytał hrabia.

Margery dobrze wiedziała, o czym mówi jej mąż. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia

grupa katolickich arystokratów chwyciła za broń i wznieciła bunt przeciwko królowej Elżbiecie, pierwszy podczas jej panowania. Odprawili mszę katolicką w katedrze w Durham, zajęli kilka innych miast na północy, po czym ruszyli w stronę Tutworth, gdzie więziono Marię królową Szkotów. Bez wątpienia zamierzali ją uwolnić i proklamować królową Anglii. Powstanie nie zyskało jednak większego poparcia, więc wojska królowej szybko je stłumiły, a Maria Stuart pozostała uwięziona.

– Skończyło się klęską – odparł Ned.

– Powieszono pięciuset ludzi! – zauważył z oburzeniem Bart. – I zrobiła to królowa, która oskarża Marię Tudor o okrucieństwo!

– Ludzie, którzy próbują zrzucić panującego monarchę z tronu, zwykle trafiają na szafot – tłumaczył łagodnym tonem Ned. – Tak się dzieje we wszystkich państwach na świecie, o ile mi wiadomo.

Lecz Bart nie umiał słuchać, podobnie jak jego ojciec, mówił więc dalej, nie zważając na argumenty Neda:

– Północ i tak była już biedna, a teraz została jeszcze bezlitośnie złupiona, skonfiskowano ziemię buntowników, a ich bydło przepędzono na południe!

Margery zastanawiała się, czy ta uwaga przypomniała Nedowi, jak niegdyś to jego rodzina została bezlitośnie złupiona przez jej ojca. Jeśli jednak o tym myślał, to starannie ukrywał ból. Gniewna tyrada Barta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, co wcale nie zaskoczyło Margery – przypuszczała, że przebywając wśród doradców Elżbiety, nauczył się zachowywać spokój podczas najbardziej nawet zażartych sporów i kłótni.

– Mogę cię zapewnić, że królowa nie zgromadziła wielu łupów – odpowiedział ze spokojem. – Z pewnością nie tyle, by mogła z nich pokryć koszty stłumienia rebelii.

– Północ jest częścią Anglii, nie powinno się jej grabić jak obcego kraju.

– Więc jej mieszkańcy powinni zachowywać się jak Anglicy i być posłuszni swojej królowej.

Margery uznała, że to dobry moment, by zmienić temat rozmowy.

– Ned, opowiedz Bartowi o tym problemie w Wigleigh.

– Sprawa jest prosta, Bart. Jeden z moich dzierżawców wtargnął na twój teren i wykarczował kilka akrów lasu po twojej stronie rzeki.

– Więc wyrzuć go stamtąd – odparł Bart.

– Jeśli chcesz, po prostu każę mu opuścić tę ziemię.

– A jeśli cię nie posłucha?

– To spalę jego zbiory.

Margery wiedziała, że Ned udaje surowego pana, by udobruchać Barta.

Hrabia nie zdawał sobie sprawy, że pada ofiarą manipulacji.

– Zasłużył sobie na to – stwierdził z satysfakcją. – Ci chłopi dobrze wiedzą, gdzie kończy się ich ziemia. Jeśli wkroczył na mój teren, zrobił to całkiem świadomie.

– Zgadzam się, ale być może mam lepsze rozwiązanie – rzekł Ned niedbałym tonem, jakby właściwie było mu wszystko jedno, co zrobi Bart. – W końcu kiedy chłopom dobrze się powodzi, ich panowie też nie narzekają. Co ty na to, że oddam ci cztery akry lasu w innej okolicy za te dwa, które są już wykarczowane? W ten sposób obaj zyskamy.

Bart nie był zachwycony tą propozycją, ale nie potrafił znaleźć żadnego kontrargumentu. Postanowił więc grać na zwłokę.

– Wybierzmy się razem do Wigleigh – zaproponował. Abstrakcyjne myślenie nie należało do jego mocnych stron. Margery

wiedziała, że woli podjąć decyzję, widząc przed sobą ziemię, o której mowa.

– Oczywiście, bardzo chętnie, szczególnie jeśli uda nam się to zrobić w najbliższym czasie – zgodził się Ned. – Bo wkrótce będę musiał wracać do Londynu.

Margery, rozczarowana, dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo liczyła na to, że Ned zostanie w Kingsbridge nieco dłużej.

– Może w przyszły piątek? – zaproponował Bart.

Ned był zirytowany, jednak skutecznie to skrywał; tylko Margery dostrzegła lekkie drgnienie na jego twarzy. Najwyraźniej wolałby od razu załatwić tę trywialną sprawę i jak najszybciej zająć się problemami wagi państwowej.

– A nie znalazłbyś czasu w poniedziałek?

Tym razem to Bart poczuł się urażony, że on, hrabia, ma słuchać warunków zwykłego rycerza.

– Obawiam się, że nie – odburknął.

– Cóż, w takim razie niech będzie piątek.

III

Przez kilka dni po pogrzebie matki Ned często rozmyślał o chwili, kiedy sam stanie twarzą w twarz ze Stwórcą, i zastanawiał się, czy będzie wtedy dumny ze swoich wyborów i czynów. Poświęcił życie realizacji wizji dzielonej z królową Elżbietą – wizji Anglii, w której nikt nie cierpi i nie ginie za swoją religię. Czy będzie mógł powiedzieć, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by osiągnąć ten ideał?

Być może największym zagrożeniem był Filip II, król Hiszpanii, który nieustannie prowadził wojny, często o podłożu religijnym. Walczył z osmańską Turcją na Morzu Śródziemnym i z protestantami w Niderlandach. Ned był pewien, że wcześniej czy później zwróci się przeciwko Anglii i Kościołowi anglikańskiemu.

Hiszpania była najbogatszym i najpotężniejszym państwem na świecie i nikt na razie nie wiedział, jak obronić przed nią Anglię.

Ned podzielił się tymi obawami z bratem.

– Jedyną rzeczą, na którą Elżbieta chętnie wydaje pieniądze, jest marynarka wojenna – powiedział. – Ale nigdy nie będzie miała floty, która może się równać z hiszpańskimi galeonami.

Siedzieli w jadalni i kończyli śniadanie. Barney miał lada moment wyjechać do portu Combe, gdzie jego statek zaopatrywał się na następną podróż. Niedawno zmienił jego nazwę na *Alice*, oddając w ten sposób cześć matce.

– Anglia nie potrzebuje galeonów – odparł.

Jego brat przyjął tę uwagę ze zdumieniem. Podawał właśnie kawałek ryby Maddie, szylkretowej kotce – córce, a być może wnuczce jego ulubienicy z czasów dzieciństwa – znieruchomiał jednak i podniósł wzrok na Barneya.

– Więc czego, twoim zdaniem, potrzebujemy? – spytał.

– Hiszpanie budują duże okręty, które mogą przewozić setki żołnierzy i taranować wrogie statki. Wtedy ich wojsko przechodzi na pokład przeciwnika i wybija albo bierze do niewoli załogę.

– Brzmi całkiem rozsądnie.

– I zwykle jest skuteczne. Ale galeony mają wysoki kasztel rufowy, w którym mieszczą się kajuty dla wszystkich oficerów i arystokratów. Ta nadbudówka działa jak żagiel, którego nie można regulować i który pcha okręt z wiatrem, bez względu na to, gdzie chciałby go pokierować

kapitan. Innymi słowy, bardzo utrudnia sterowanie.

Zniecierpliwiona kotka miauknęła żałośnie. Ned podał jej przygotowany wcześniej kawałek ryby.

– No dobrze, skoro nie potrzebujemy galeonów, to jak się mamy bronić? – spytał.

– Królowa powinna budować statki wąskie i płytkie, bardziej sterowne. Takie jednostki mogą dosłownie tańczyć wokół galeonów i ostrzeliwać je, nie pozwalając, żeby większe jednostki zbliżyły się do nich i dokonały abordażu.

– Muszę jej to powiedzieć.

– Innym ważnym czynnikiem morskich bitew jest prędkość przeładowywania dział.

– Naprawdę?

– Owszem, tak naprawdę to ważniejsze niż kaliber i liczba armat. Sam uczę swoich ludzi, by oczyszczali lufy, a potem szybko i bezpiecznie przeładowywali działa. Odpowiednio wyszkoleni, mogą to zrobić w naprawdę krótkim czasie. Kiedy już jesteś dość blisko, żeby bez trudu trafić wrogi okręt, liczy się tylko liczba salw. Nieustanny ostrzał bardzo szybko demoralizuje wrogów i pozbawia ich woli walki.

Ned był zafascynowany. Elżbieta nie dysponowała zawodową armią lądową, więc jedyną niezachwianą i stałą siłą obronną Anglii była marynarka wojenna. W porównaniu z innymi europejskimi potęgami Anglia nie była zbyt bogata, a większość dochodów czerpała z handlu zamorskiego. Marynarka wojenna Jej Królewskiej Mości skutecznie odstraszała inne państwa od ataków na angielskie statki handlowe. Co równie istotne, pozwalała kontrolować wody kanału La Manche oddzielające Anglię od kontynentalnej Europy. Elżbieta była skąpa, wiedziała jednak, co jest naprawdę ważne dla jej kraju, więc flotę traktowała ze szczególną uwagą.

– Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy – powiedział Barney, wstając od stołu.

Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy, pomyślał Ned. Podniósł ciężki płaszcz brata i pomógł mu go włożyć.

– Uważaj na siebie, Barney – powiedział.

Rozstali się bez ceregieli, jak to bracia.

Ned przeszedł do frontowego salonu, usiadł za biurkiem, którego przez wiele lat używała matka, i zapisał wszystkie ważne informacje dotyczące bitew morskich, które przed chwilą usłyszał.

Skończywszy, spojrzał za okno, na zachodnią część katedry. Mam trzydzieści lat, pomyślał. Mój ojciec w tym wieku miał już mnie i Barneya. Za następne trzydzieści lat być może będę już leżał na cmentarzu obok rodziców. Kto stanie wtedy przy moim grobie?

Zobaczył Dana Cobleya zmierzającego do drzwi jego domu i odsunął od siebie ponure myśli.

– Brat właśnie wyszedł – powiedział Ned, zakładając, że Dan chce porozmawiać o swojej inwestycji w podróż morską Barneya. – Płynie barką do portu Combe. Jeśli się pospieszysz, jeszcze go złapiesz.

– Załatwiłem już wszystkie interesy z Barneyem, ku obopólnej satysfakcji, jak mi się wydaje – odparł Dan. – Przyszedłem zobaczyć się z tobą.

– W takim razie siadaj i rozgość się.

Trzydziestodwuletni Dan był grubszy niż kiedykolwiek dotąd i nadal zachowywał się tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy, co raziło Neda już przed laty, nim na dobre opuścił Kingsbridge. Dan miał jednak talent do interesów i systematycznie powiększał odziedziczony po ojcu majątek. Obecnie był prawdopodobnie najbogatszym mieszkańcem w mieście. Szukał

większego domu i zaoferował bardzo dobrą cenę za Priory Gate, choć Rollo wcale nie chciał sprzedawać tej rezydencji. Dan był również niekwestionowanym przywódcą miejscowych purytanów, którzy zwykle spotykali się w kościele Świętego Jana na przedmieściach Loversfield.

Ned domyślał się już, o czym chce rozmawiać z nim Dan, a jego obawy znalazły wkrótce potwierdzenie.

Gość pochylił się do przodu i oznajmił dramatycznym szeptem:

– Wśród duchownych katedry w Kingsbridge jest katolik.

– Naprawdę? – Ned westchnął ciężko. – Skąd to wiesz?

– Nazywa się ojciec Paul – dodał Dan, ignorując jego pytanie.

Paul Watson był dobrotliwym staruszkiem i ostatnim przeorem Kingsbridge. Prawdopodobnie nigdy nie zaakceptował nowej, zreformowanej religii.

– I jakiejż to konkretnie zbrodni dopuszcza się ojciec Watson? – spytał Ned.

– Potajemnie odprawia mszę w krypcie! – wyjaśnił triumfalnym tonem Dan.

– To już starzec. Takim ludziom trudno pozbyć się starych przekonań.

– Jest bluźniercą!

– Owszem, jest. – Ned zgadzał się z Danem w kwestiach teologicznych, różniło ich jednak podejście do innowierców. – Byłeś świadkiem tych nielegalnych obrzędów?

– Widziałem, jak w niedzielę o świcie ludzie zakradają się do katedry bocznymi drzwiami. Było wśród nich kilka osób, które już od dawna podejrzewałem o bałwochwalstwo, choćby Rollo Fitzgerald i jego matka lady Jane.

– Mówiłeś o tym biskupowi Luke'owi?

– Nie! Jestem pewien, że on to toleruje.

– Więc co proponujesz?

– Biskup Luke musi odejść.

– I chcesz pewnie, żeby jego miejsce zajął ojciec Jeremiah z kościoła Świętego Jana?

Dan zawahał się na moment, zaskoczony, że Ned tak łatwo odgadł jego zamiary.

– O tym zadecyduje Jej Wysokość – odparł z fałszywą obojętnością. – Sam wiesz, że w Kościele anglikańskim tylko monarcha może powoływać i odwoływać biskupów. Chcę jednak, byś powiedział królowej, co się tu dzieje, inaczej ja to zrobię.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Dan, choć pewnie ci się to nie spodoba. Elżbieta może i nie lubi katolików, ale purytanów nienawidzi. Jeśli pójdę do niej z tą historią, wyrzuci mnie z komnaty. Jej Wysokość chce tylko spokoju.

– Ale te msze są nielegalne i heretyckie!

– A prawo nie zawsze jest ściśle egzekwowane. Nie zauważyłeś jeszcze?

– Po co komu prawo, które nie jest egzekwowane?

– Po to, żeby wszyscy byli w miarę zadowoleni. Protestanci mają satysfakcję, bo msza jest nielegalna, a katolicy się cieszą, bo tak czy inaczej mogą się modlić po swojemu. Królowa jest zadowolona, ponieważ ludzie zajmują się swoimi sprawami, a nie zabijają się nawzajem z powodu religii. Dlatego szczerze ci radzę, żebyś nie zawracał jej tym głowy. Nie zrobi nic z ojcem Paulem, ale może zrobić coś z tobą.

– To oburzające – parsknął Dan, wstając z krzesła.

Ned nie chciał się z nim kłócić.

– Przykro mi, że zbywam cię w ten sposób. – Westchnął ciężko. – Ale tak to właśnie wygląda. Wprowadziłbym cię w błąd, mówiąc co innego.

– Doceniam twoją szczerość – odburknął Dan.

Przynajmniej rozstali się w dość przyjaznej atmosferze.

Pięć minut później Ned wyszedł z domu i ruszył w górę głównej ulicy. Gdy mijał Priory Gate, dom zbudowany, zdaniem Neda, za pieniądze skradzione jego matce, dojrzał wychodzącego z niego Rollo Fitzgeralda. Brat Margery miał teraz około trzydziestu pięciu lat i coraz większe zakola, które zajmowały miejsce kruczoczarnych włosów. Kiedy zmarł sir Reginald, Rollo chciał zająć jego miejsce na stanowisku celnika w porcie w Combe, lecz tak intratne posady wykorzystywano jako nagrody dla ludzi lojalnych wobec królowej, celnikiem został więc pewien żarliwy protestant. Fitzgeraldowie nadal jednak handlowali wełną, a Rollo rozbudował rodzinną firmę, zawiadując nią sprawniej niż ojciec.

Ned, nie odezwawszy się do niego, szybkim krokiem przeszedł do dużego starego domu w pobliżu kościoła Świętego Marka. Mieszkali tu mnisi z dawnego klasztoru w Kingsbridge. Król Henryk VIII przyznał drobne uposażenia wszystkim katolickim duchownym, których niegdyś wywłaszczył. Nieliczni pozostali jeszcze przy życiu nadal otrzymywali pieniądze od państwa. Do drzwi podszedł ojciec Paul,

zgarbiony starzec o czerwonym nosie i rzadkich rozwichrzonych włosach.

Zaprosił Neda do salonu.

– Przykro mi, że straciłeś matkę – powiedział. – Była dobrą kobietą.

Były biskup Julius również mieszkał w tym budynku. Teraz siedział w rogu salonu i wpatrywał się w przestrzeń. Był obłąkany, nie umiał już nawet normalnie mówić, ale wciąż mamrotał coś pod nosem, marszcząc gniewnie twarz.

– To miłe, że zajmujesz się Juliusem – zwrócił się Ned do ojca Paula.

– Tym właśnie powinni się zajmować mnisi: opieką nad chorymi, biednymi i wydziedziczonymi.

Gdyby kiedyś pamiętało o tym więcej spośród twoich pobratymców, być może nadal mielibyśmy klasztory, pomyślał Ned, zachował jednak to dla siebie.

– Oczywiście – odparł głośno. – Legendarna Caris, która założyła szpital, była niegdyś zakonnicą w Kingsbridge.

– Niech spoczywa w pokoju. – Paul westchnął, po czym dodał z nadzieją: – Może kieliszeczek wina?

– Nie, dziękuję – odparł Ned; nie lubił pić wina rano, bo stawał się wtedy nieprzyjemnie otępiały. – Nie zabawię długo. Przyszedłem, żeby was ostrzec.

Paul zmarszczył brwi, zaniepokojony.

– Ojej, to brzmi dość groźnie.

– I trochę takie jest. Powiedziano mi, że w niedzielę o świcie coś się dzieje w krypcie.

Paul zbladł.

– Nie mam pojęcia…

Ned podniósł rękę, przerywając mu w pół zdania.

– Nie pytam, czy to prawda, a ty nie musisz w ogóle tego komentować.

Ojciec Paul był poruszony, zdołał jednak zapanować jakoś nad nerwami.

– Oczywiście.

– Ten, kto korzysta w tym czasie z krypty, powinien wiedzieć, że miejscowi purytanie nabrali podejrzeń. Aby uniknąć kłopotów, najlepiej byłoby przenieść te nabożeństwa, jeśli w ogóle mówimy tu o nabożeństwach, w inne miejsce.

– Rozumiem. – Paul z trudem przełknął ślinę.

– Jej Wysokość uważa, że religię podarowano nam dla pociechy w tym życiu i dla zbawienia w przyszłym i że możemy się nie zgadzać

w szczegółach, ale nie powinniśmy pozwolić, by stało się to przyczyną wojny i nienawiści między Anglikami.

– Tak.

– Być może nie muszę już mówić nic więcej.

– Wydaje mi się, że doskonale cię zrozumiałem.

– Byłoby też dobrze, gdybyś nikomu nie opowiadał o tej wizycie.

– Oczywiście.

Ned uścisnął dłoń ojca Paula.

– Cieszę się, że mieliśmy okazję porozmawiać – powiedział.

– Ja też.

– Do widzenia, ojcze.

– Nie Bóg cię błogosławi, Ned – odrzekł mnich.

IV

W piątek rano mąż Margery nie czuł się najlepiej. Zdarzało mu się to dość często, zwłaszcza po obfitej kolacji zakrapianej suto winem. Tego dnia jednak hrabia miał pojechać do Wigleigh i spotkać się z sir Nedem Willardem.

– Nie możesz go zawieść – powiedziała Margery. – Przyjedzie tam specjalnie na to

spotkanie.

– Więc będziesz musiała mnie zastąpić – odparł Bart, nie ruszając się z łóżka. – Opowiesz mi potem o wszystkim – dodał i zakrył głowę pierzyną.

Ucieszyła się na myśl o kilku godzinach spędzonych sam na sam z Nedem. Serce zabiło jej mocniej, oddech wyraźnie przyspieszył. Całe szczęście, że Bart akurat na nią nie patrzył.

Ta reakcja uświadomiła jej, że spotkanie z Nedem to niezbyt rozsądny pomysł.

– Nie chcę tam jechać – skłamała. – Mam mnóstwo pracy w zamku.

Odpowiedź Barta, choć stłumiona przez pierzynę, była wyraźna i jednoznaczna:

– Nie bądź głupia – burknął. – Jedź.

Musiała być posłuszna mężowi.

Poleciła, by osiodłano jej najlepszego konia, potężną klacz o imieniu Russet. Wezwała służącą i zbrojnego, którzy jej zazwyczaj towarzyszyli, uznała bowiem, że ich obecność zapewni jej bezpieczeństwo. Włożyła ubrania podróżne: długą niebieską pelerynę, czerwony szal oraz czapkę, która chroniła włosy przed kurzem i pyłem. Wmawiała sobie, że to bardzo praktyczny strój i że tylko przez przypadek

kolory pasują do jej cery, a czapka podkreśla rysy twarzy.

Ucałowała syna na pożegnanie, przywołała gwizdnięciem psa Micka, który uwielbiał towarzyszyć jej podczas konnych przejażdżek, po czym ruszyła w drogę.

Był piękny wiosenny dzień, postanowiła więc zapomnieć choć na chwilę o obawach i cieszyć się słońcem. Miała dwadzieścia siedem lat, nosiła hrabiowski tytuł, była bogata, zdrowa i piękna – czegóż więcej potrzebowała do szczęścia?

Zatrzymała się w przydrożnej karczmie na kufel piwa i kawałek sera. W tym czasie Mick, który wydawał się niezmordowany, chłeptał wodę ze stawu, a zbrojny karmił konie owsem.

Dotarli do Wigleigh wczesnym popołudniem. Była to bogata wioska, gdzie na niektórych polach stosowano jeszcze stary system uprawy wstęgowej, a znaczna część terenów była dzierżawiona. Szeroki strumień napędzał młyn wodny, zwany młynem Merthina, wykorzystywany do folowania tkanin. Pośrodku osady znajdowała się karczma, kościół i mały dwór. Ned czekał w karczmie.

– Gdzie Bart? – spytał.

– Zachorował – odparła Margery.

Na jego twarzy pojawił się najpierw wyraz zaskoczenia, potem zadowolenia, a w końcu niepokoju, wszystko niemal w jednej chwili. Wiedziała, co budzi jego obawę – pokusa, której mógł ulec. Czuła ten sam lęk.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedział Ned.

– Nie. To choroba, na którą cierpią zwykle mężczyźni, gdy wypiją za dużo wina.

– Ach…

– Musisz więc zadowolić się moim towarzystwem. Wiem, że to raczej kiepska zamiana, ale nie masz wyjścia – dodała pół żartem, pół serio.

Ned uśmiechnął się szeroko.

– Nie zamierzam narzekać.

– Pojedziemy na to pole?

– Nie chciałabyś najpierw czegoś zjeść albo się napić?

Nie miała ochoty siedzieć w dusznej izbie w towarzystwie kilku wieśniaków, którzy otwarcie się na nią gapili.

– Nie jestem zmęczona – odparła i ruszyli w drogę.

Jechali między polami pszenicy i żyta.

– Zamieszkasz w tym dworze? – spytała Margery.

– Nie, za bardzo lubię stary dom w Kingsbridge. Będę się tu zatrzymywał tylko na dzień czy dwa, kiedy będę miał coś do załatwienia.

Wyobraziła sobie, jak zakrada się nocą do jego domu, i musiała szybko odsunąć od siebie tę wizję.

Zagłębili się w las. Strumień napędzający młyn wodny wyznaczał odcinek granicy Wigleigh, a tereny położone po jego drugiej stronie należały do hrabiego. Jechali wzdłuż strumienia mniej więcej przez milę, aż dotarli na miejsce. Margery od razu zrozumiała, co się tu stało. Jeden z chłopów, bardziej przedsiębiorczy lub chciwy od pozostałych, wykarczował fragment lasu po stronie hrabiego i wypasał tu teraz owce.

– Zaraz za tym polem jest kawałek lasu, który chcę w zamian oddać twojemu mężowi – wyjaśnił Ned.

Spojrzała na zalesiony teren należący jeszcze do Wigleigh. Po przejechaniu przez strumień zsiedli z koni i wprowadzili je między drzewa. Margery dostrzegła sporo wyrośniętych dębów, z których mogliby pozyskać cenne drewno. Zatrzymali się na ładnej ukwieconej polanie

z łagodnym trawiastym brzegiem opadającym ku strumieniowi.

– Nie wydaje mi się, żeby Bart mógł mieć coś przeciwko tej wymianie – powiedziała. – Właściwie tylko na tym zyskamy.

– Świetnie. – Ned skinął głową. – Odpoczniemy chwilę?

– O, tak, bardzo chętnie – rzuciła, zachwycona pomysłem.

Uwiązali konie w miejscu, gdzie mogły spokojnie skubać trawę.

– Moglibyśmy wysłać twoich ludzi do tawerny po coś do jedzenia i picia – zaproponował Ned.

– Dobry pomysł. – Odwróciła się do służącej i zbrojnego. – Wrócicie do wioski, ale na piechotę, konie potrzebują odpoczynku. Przynieście dzban piwa, trochę zimnej szynki i chleb. Weźcie tyle, żeby starczyło i dla was.

Gdy tych dwoje zniknęło między drzewami, Margery usiadła na trawie nad strumieniem, a Ned ułożył się obok niej. Otaczała ich cudowna cisza, słychać było jedynie szmer strumienia i delikatny szelest wiatru pośród drzew. Mick również ułożył się wygodnie i zamknął ślepia, Margery wiedziała jednak, że jeśli tylko ktoś się zbliży, natychmiast podniesie łeb i warknie ostrzegawczo.

– Wiem, co zrobiłeś dla ojca Paula – odezwała się po chwili.

Ned uniósł lekko brwi.

– Wieści rozchodzą się szybko.

– Chciałabym ci za to podziękować.

– Przypuszczam, że to ty dostarczasz święcone opłatki. – Margery milczała, skonsternowana, więc szybko dodał: – Nie chcę znać szczegółów, zapomnij, proszę, że w ogóle o tym wspomniałem.

– Ale musisz wiedzieć, że nigdy nie spiskowałabym przeciwko Elżbiecie – oznajmiła z naciskiem. – Jest naszą królową, została namaszczona. Mogę się zastanawiać, dlaczego Bóg w swojej mądrości posadził na tronie heretyczkę, ale nie zamierzam kwestionować jego wyborów.

Ned spojrzał na nią z dołu i uśmiechnął się.

– Miło mi to słyszeć. – Dotknął delikatnie jej dłoni.

Wpatrywała się w jego miłą, mądrą twarz. Dostrzegła w jego oczach tęsknotę i pragnienie tak wielkie, że mogłoby jej złamać serce. Wiedziała, że nikt inny nie darzył jej takim uczuciem. W tym momencie wydawało jej się, że jedynym możliwym grzechem byłoby odrzucenie

tej namiętności. Pochyliła się i pocałowała go w usta.

Zamknęła oczy i oddała się miłości, która wypełniała jej duszę tak, jak krew wypełnia ciało. Myślała o tym od czasu, odkąd całowali się po raz ostatni, choć teraz, po tak długim oczekiwaniu, było to jeszcze słodsze. Przygryzła jego dolną wargę, przez chwilę pieściła czubkiem języka górną, a potem mocno wsunęła język do jego ust. Nie mogła się nim nacieszyć.

Pochwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Leżąc na nim, Margery czuła przez halki jego nabrzmiałą męskość. Przestraszyła się, że sprawia mu ból, i chciała się stoczyć na ziemię, lecz on mocno ją przytrzymał. Rozluźniła się i oddała cudownemu poczuciu bliskości, przeświadczeniu, że mogliby teraz złączyć się w jedno. Wydawało się, że na całym świecie nie ma nic prócz ich dwojga, prócz ich splecionych ciał.

Nawet to nie zadowoliło jej na dłużej; wszystko, co robili, sprawiało, że chciała więcej. Usiadła okrakiem na jego udach i rozpięła mu pludry. Wpatrywała się przez chwilę w jego męskość i pieściła ją. Członek był blady i lekko zakrzywiony; wyrastał z gęstwiny kręconych rudych włosów. Pochyliła się i pocałowała go,

a Ned jęknął z rozkoszy. Na końcu pojawiła się kropelka cieczy. Margery nie mogła oprzeć się pokusie i zlizała ją.

Nie była w stanie już dłużej wytrzymać. Przesunęła się do przodu, na biodra Neda, układając suknię tak, by przykrywała jego ciało, a potem opadła powoli, wprowadzając go w siebie. Była tak wilgotna, że wsunął się bez trudu. Pochyliła się do przodu, by móc całować Neda. Przez długi czas kołysali się w łagodnym, powolnym rytmie, a Margery czuła, że mogłaby to robić bez końca.

Potem to on chciał więcej. Nie wysuwając się z niej, przetoczył ją na plecy. Rozłożyła szeroko nogi i podciągnęła kolana. Chciała, by wszedł w nią jeszcze głębiej, wypełnił ją całkowicie. Czuła, że traci nad sobą kontrolę. Spojrzała mu oczy i powiedziała:

– To ty, Ned, to ty…

Potem zadrżała gwałtownie, oddając się paroksyzmowi rozkoszy. Po raz pierwszy od wielu lat czuła się naprawdę szczęśliwa.

V

Rollo Fitzgerald wolałby raczej umrzeć, niż zmienić wyznanie. W tej kwestii nie uznawał żadnych kompromisów. Kościół katolicki miał rację, a jego rywale się mylili. To było jasne jak słońce, a Bóg nie wybaczy tym, którzy ignorowali rzeczy oczywiste. Każdy człowiek trzyma swoją duszę niczym perłę w dłoni, a jeśli wrzuci ją do oceanu, już jej nie odnajdzie.

Nie rozumiał, jak to możliwe, że Elżbieta Tudor już od dwunastu lat bezprawnie zasiadała na tronie Anglii. Dała swoim poddanym nieco swobody religijnej, a jej heretyckie rządy – o dziwo – jeszcze nie upadły. Katoliccy arystokraci nie zdołali jej obalić, a monarchowie Europy wstrzymywali się z działaniami, dopóki Elżbieta udawała, że być może wyjdzie za dobrego katolika. Rollo czuł więc ogromne rozczarowanie. Być może uznałby, że Bóg po prostu przysnął, gdyby taka myśl nie była bluźnierstwem.

W maju 1570 roku wszystko się zmieniło, nie tylko dla Rollo, ale i dla wszystkich mieszkańców Anglii. Podczas śniadania w Priory Gate usłyszał niezwykłe wieści. Przy stole siedziała również jego siostra. Margery przyjechała na dłuższy czas

do Kingsbridge, by opiekować się ich chorą matką. Lady Jane poczuła się lepiej, ostatnio zasiadła nawet z nimi do stołu, lecz Margery wcale nie spieszyło się do domu.

Do jadalni weszła służąca Peggy i wręczyła Rollo list, wyjaśniając, że przywiózł go posłaniec z Londynu. Był to duży arkusz grubego, ciężkiego papieru, złożony na kształt koperty i zabezpieczony kroplą czerwonego wosku, w którym odciśnięto pieczęć Fitzgeraldów. Wiadomość została napisana ręką Davy'ego Millera, który reprezentował w stolicy interesy Fitzgeraldów.

Jego listy dotyczyły zwykle cen wełny, ten był jednak inny. Davy pisał, że papież wydał ważny dokument zwany bullą papieską. Oczywiście w Anglii nie rozpowszechniano tego rodzaju pism. Rollo słyszał już wcześniej plotki o owej bulli, lecz niedawno, jak donosił Davy, jakiś śmiałek przybił kopię dokumentu do bramy pałacu biskupa Londynu, by wszyscy mogli się zapoznać z jego treścią. Rollo aż zachłysnął się ze zdumienia, czytając list.

Papież Pius V ekskomunikował królową Elżbietę.

– To wspaniałe wieści! – wykrzyknął Rollo. – Papież nazywa Elżbietę „rzekomą królową Anglii

i służebnicą nieprawości”. Wreszcie!

– Elżbieta musi być wściekła – mruknęła Margery. – Ciekawe, czy Ned Willard o tym wie.

– Ned Willard wie wszystko – rzuciła posępnie lady Jane.

– Potem jest jeszcze lepiej! – Jej syn nie krył radości. – Papież zwalnia Anglików z obowiązku posłuszeństwa wobec Elżbiety, nawet jeśli jej to przysięgali.

Zaniepokojona Margery zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, czy jest się z czego cieszyć. To oznacza kłopoty.

– Ale to prawda! Elżbieta jest heretyczką i nie ma prawa do tronu Anglii. Nikt nie powinien jej słuchać.

– Twoja siostra ma rację, Rollo – wtrąciła ich matka. – Być może to wcale nie są dla nas dobre wieści.

Syn zignorował jej uwagę i czytał dalej.

– Co więcej, ludziom nie wolno jej słuchać, a każdego, kto będzie to robił, również obejmie ekskomunika.

Margery załamała ręce.

– To katastrofa!

Rollo zupełnie nie rozumiał siostry i matki.

– Przecież trzeba to było powiedzieć, i papież w końcu to zrobił! Niby dlaczego miałyby to być

złe wieści?

– Nie rozumiesz, co to oznacza? – jęknęła Margery. – Papież zrobił ze wszystkich angielskich katolików zdrajców!

– Mówi tylko wprost to, co i tak każdy wie.

– Czasem lepiej nie mówić tego, co każdy wie.

– Nie rozumiem.

– Wszyscy wiedzą, że ojciec Paul odprawia dla nas mszę, że robi to również Stephen Lincoln i wielu innych księży, ale nikt nie mówi o tym głośno. Tylko dlatego możemy się spokojnie modlić. Teraz jesteśmy potencjalnymi zdrajcami, więc nie wiadomo, co nam grozi.

Rollo zrozumiał w końcu, o co chodzi kobietom, uznał jednak, że się mylą. Wolność nie zawsze jest bezpieczna, pomyślał. Mimo to należy walczyć z herezją Elżbiety, nawet jeśli wiąże się to z niedogodnościami, a nawet zagrożeniami.

– Wy, kobiety, nie znacie się na polityce – orzekł i westchnął ciężko.

Do jadalni wszedł Bartlet, syn Margery. Rollo spojrzał z dumą na siostrzeńca, który pewnego dnia zostanie hrabią Shiring.

– Możemy pobawić się dzisiaj z kotkami? – spytał chłopczyk.

– Oczywiście, kochanie. – Margery uśmiechnęła się i wyjaśniła: – Szylkretowa kotka Neda miała młode i Bartlet jest w nich zakochany.

– Na twoim miejscu nie siedziałabym zbyt długo w domu Willardów – wyraziła swoje zdanie lady Jane.

Rollo podniósł wzrok, zaskoczony ostrym tonem matki, ale przypomniał sobie, ile sił i czasu musieli poświęcić rodzice, by zmusić Margery do małżeństwa z Bartem, a nie z Nedem. Od tamtej pory minęło już wiele lat, lecz lady Jane obawiała się zapewne, że ludzie zaczną obmawiać jej córkę i dopatrywać się w jej wizytach u Neda Willarda ukrytych motywów.

Może rzeczywiście coś się za nimi kryło.

Odsunął od siebie te rozmyślania – miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Muszę iść na zebranie rady miasta – powiedział. – Zobaczymy się na kolacji.

Rządy w Kingsbridge sprawowała rada złożona z dwunastu radnych, wyłącznie miejscowych kupców, którym przewodniczył burmistrz. Rollo zajął miejsce ojca w tym gremium, gdy przejął rodzinny interes; funkcję burmistrza sprawował obecnie Elijah

Cordwainer, przyjaciel Dana Cobleya. Rada od kilkuset lat zbierała się zawsze w ratuszu.

Rollo dotarł główną ulicą do skrzyżowania, wszedł do ratusza i wspiął się po schodach do sali obrad, świadom, że za moment weźmie udział w uświęconym wielowiekową tradycją spektaklu. Ściany sali wyłożone były okopconym drewnem, wokół stołu zdobionego starymi rycinami stały krzesła obite skórą. Na kredensie stał dzban z piwem, a obok niego leżała zimna wołowina – śniadanie dla tych, którzy nie zdążyli zjeść w domu.

Zajął swoje miejsce. Był jedynym katolikiem na sali: żaden z pozostałych radnych nie pojawiał się na tajnych nabożeństwach ojca Paula. Rollo czuł się trochę niepewnie w tym towarzystwie, niczym szpieg pośród wrogów. Nigdy dotąd nie miał takich obaw i zastanawiał się, czy to nie skutek lektury bulli papieskiej. Być może Margery miała rację. Oby nie.

Rada zajmowała się kwestiami związanymi z handlem i rzemiosłem w mieście, a to zebranie miało dotyczyć miar i wag, cen i zarobków oraz mistrzów i terminatorów. Podobno jacyś wędrowni handlarze używali na targowisku zabronionego funta tower, który był lżejszy od zatwierdzonego przez władze funta troy.

Dyskutowano również o pogłoskach, że królowa Elżbieta może dokonać standaryzacji mili i wydłużyć ją z obecnych pięciu tysięcy stóp do pięciu tysięcy dwustu osiemdziesięciu. Mieli już rozejść się na obiad, gdy burmistrz Cordwainer ogłosił, że dodał do programu obrad jeszcze jeden punkt: bullę papieską.

Rollo był zdumiony. Rada nigdy nie rozmawiała o religii. Dlaczego zdecydowała się na to tym razem?

– Niestety, papież uznał za właściwe rozkazać Anglikom, by wymówili posłuszeństwo Jej Królewskiej Mości Elżbiecie – oznajmił Cordwainer.

– Co to ma wspólnego z tą radą? – spytał Rollo, nie kryjąc irytacji.

Burmistrz odchrząknął z zakłopotaniem.

– Cóż, radny Cobley uważa, że bulla może zrodzić pewne dylematy…

Rollo zrozumiał, że Dan Cobley, który wciąż obwiniał go o egzekucję jego ojca i łaknął zemsty, coś knuje, i ta myśl mocno go zaniepokoiła.

Wszyscy spojrzeli na Dana.

– Nie byłoby dobrze, gdyby na Kingsbridge padł choć cień podejrzenia o zdradę – zaczął Cobley, wygłaszając bez wątpienia przygotowane

wcześniej przemówienie. – Jestem pewien, że wszyscy się ze mną zgodzicie.

Wokół stołu przebiegł pomruk akceptacji. Margery powiedziała przy śniadaniu, że bulla uczyniła ze wszystkich katolików zdrajców, a Rollo zrozumiał teraz, że jej słowa mogły się ziścić szybciej, niż przypuszczała.

– Mam więc prostą propozycję, która pozwoli nam uniknąć wszelkich posądzeń – kontynuował Dan. – Każdy kupiec z Kingsbridge powinien złożyć przysięgę na trzydzieści dziewięć artykułów religii.

W sali zapadła cisza. Wszyscy zdawali sobie sprawę, co to oznacza – bezpośredni atak na Rollo. Trzydzieści dziewięć artykułów religii określało doktrynę Kościoła anglikańskiego. Żaden katolik nie mógłby ich zaakceptować, nie zdradzając tym samym swojej wiary. Rollo wolałby raczej umrzeć, niż złożyć taką przysięgę.

Obecni w sali obrad dobrze o tym wiedzieli.

Niewielu protestantów z Kingsbridge było tak radykalnych jak Dan. Większość z nich chciała tylko prowadzić w spokoju interesy. Dan potrafił być jednak przekonujący.

Paul Tinsley, miejscowy sędzia pokoju, próbował protestować:

– Parlament już kilkakrotnie chciał uchwalić prawo, które zmuszałoby wszystkich urzędników państwowych do złożenia przysięgi na artykuły, ale królowa nigdy nie podpisała takiej ustawy.

– Następnym razem nie odmówi – odparł Dan. – Nie po tej bulli. Będzie musiała podjąć zdecydowane kroki.

– Być może. – Tinsley skinął głową. – Ale możemy poczekać, aż parlament podejmie taką decyzję, zamiast brać sprawy w swoje ręce.

– Po co czekać? – Dan wzruszył ramionami. – Z pewnością nie ma w tej sali nikogo, kto zaprzeczałby prawdziwości artykułów. A jeśli jest, to czy powinien mieć prawo do prowadzenia handlu w Kingsbridge?

– Być może masz rację, Cobley – przyznał Tinsley łagodnym tonem. – Sugeruję tylko, że nie powinniśmy działać w pośpiechu.

– Radny Tinsley ma rację – przemówił Rollo. – Ja, na przykład, nie podpiszę deklaracji religijnej, którą podsunie mi radny Cobley. Co innego, gdyby zrobiła to Jej Królewska Mość – dodał, świadomie mijając się z prawdą. Nie wpłynęłoby to wcale na jego decyzję, ale musiał blefować: od tego zależał jego byt.

– A jeśli rozejdą się wieści, że odbyliśmy taką dyskusję i nie podjęliśmy żadnych działań? – Nie

dawał za wygraną Cobley. – Czy wtedy sami nie stalibyśmy się obiektem podejrzeń?

Radni kiwali w milczeniu głowami, a Rollo po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że Dan dopnie swego.

– Sądzę, że powinniśmy przeprowadzić głosowanie – powiedział Cordwainer. – Kto popiera propozycję radnego Cobleya, niech podniesie rękę.

W górę powędrowało dziesięć rąk. Tylko Rollo i Tinsley byli przeciw.

– Wniosek został przyjęty – oznajmił burmistrz.

Rollo wstał i wyszedł z sali.

VI

Wczesnym lipcowym porankiem Margery leżała w swojej sypialni w New Castle i słuchała śpiewu ptaków. Była szczęśliwa, lecz jednocześnie dręczyło ją poczucie winy i lęk.

Była szczęśliwa, bo kochała Neda, a Ned kochał ją. Został w Kingsbridge na cały maj, spotykali się kilka razy w tygodniu. Potem musiał wyjechać na południowe wybrzeże, by sprawdzić tamtejsze linie obronne. Margery miała

w zwyczaju co najmniej raz na tydzień wyjeżdżać ze Stephenem Lincolnem do odległych wiosek i podmiejskich szop, gdzie ksiądz potajemnie odprawiał msze, ułożyła więc plan podróży tak, by spotykać się z Nedem. Przyjeżdżali do tego samego miasta lub wioski, a po zmroku, gdy większość ludzi kładła się spać, spotykali się w ukryciu. Jeśli Margery nocowała w gospodzie, Ned zakradał się do jej pokoju. W ciepłe noce umawiali się w lesie. Atmosfera tajemnicy sprawiała, że ich spotkania były niezwykle ekscytujące. Obecnie Ned przebywał w odległości zaledwie kilku mil od New Castle, a Margery miała nadzieję, że znajdzie jakiś pretekst, by wymknąć się z zamku i zobaczyć z ukochanym. Żyła w stanie nieustannego podniecenia; była tak rozgorączkowana, że z trudem zmuszała się do jedzenia. Odżywiała się niemal wyłącznie chlebem z masłem i rozwodnionym winem.

Bart nie był niczego świadomy. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że żona może być mu niewierna, prędzej obawiałby się ataku ze strony własnego psa. Lady Jane prawdopodobnie miała pewne podejrzenia, ale nie wypowiadała ich głośno, by nie narobić córce kłopotów. Margery wiedziała jednak, że nie da się prowadzić tej gry

bez końca. Być może uda im się to jeszcze przez tydzień, miesiąc czy rok, ale wcześniej czy później ktoś ich zdemaskuje. Mimo to nie mogli się powstrzymać.

Była więc szczęśliwa, ale jednocześnie dręczyły ją wyrzuty sumienia. Często zastanawiała się, gdzie zboczyła z właściwej drogi. Prawdopodobnie był to ten moment, kiedy wysłała służącą i zbrojnego do Wigleigh po jedzenie. W głębi duszy wiedziała wtedy, że będzie się kochać z Nedem pośród polnych kwiatów nad brzegiem strumienia, ale ta perspektywa była tak kusząca, że nie mogła się jej oprzeć. Widziała trudną i ciernistą drogę do nieba, lecz wybrała przyjemną ścieżkę romansu. Popełniała grzech, czerpała z niego radość i wracała do niego. Codziennie przyrzekała sobie, że z tym skończy, lecz na widok Neda natychmiast zapominała o swoim postanowieniu.

Bała się konsekwencji własnej słabości, zarówno w tym, jak i w przyszłym życiu. Była pewna, że Bóg ją ukarze. Może ześle na nią jakąś okropną chorobę, doprowadzi ją do szaleństwa albo odbierze wzrok. Czasami sama myśl o tych okropieństwach przyprawiała ją o ból głowy. Miała też inne powody do obaw. Jej ponure prognozy dotyczące konsekwencji bulli

papieskiej okazały się prawdziwe. Purytanie mogli teraz z satysfakcją wskazywać na katolików jako na zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Nietolerancja zyskała mocny pretekst.

Bart musiał teraz płacić co tydzień całego funta za nieobecność na niedzielnej mszy. Za funta można było kupić muszkiet, bogato zdobioną koszulę lub kucyka. Te opłaty stanowiły znaczącą pozycję w cotygodniowych dochodach hrabiego z dzierżawy, wynoszących około pięćdziesięciu funtów. Administrator kościelny z miejscowej parafii obawiał się nieco hrabiego, ale co tydzień zbierał się na odwagę, przychodził do zamku i prosił o pieniądze, a Bart musiał płacić.

Znacznie gorszy los spotkał Rollo, który stracił swoją firmę, bo nie chciał przysiąc na trzydzieści dziewięć artykułów. Został też zmuszony do sprzedaży Priory Gate. Dan Cobley z radością kupił jego dom. Lady Jane mieszkała teraz w New Castle z córką i zięciem. Rollo wyjechał w nieznanym kierunku – nawet jego matka nie wiedziała, dokąd się udał.

Ned nie posiadał się z wściekłości. Królowa Elżbieta ryzykowała wszystko dla idei wolności religijnej i podtrzymywała ją przez całą dekadę,

dowodząc, że nie jest to tylko mrzonka – teraz jednak jej starania obróciły się wniwecz, i to za sprawą papieża. Margery nie lubiła słuchać, jak Ned krytykuje Ojca Świętego – choć w gruncie rzeczy zgadzała się z nim – starała się więc unikać tego tematu.

Właściwie unikała wszelkich poważnych rozważań; skupiała się na miłości. Kiedy nie była z Nedem, pogrążała się w marzeniach o ich najbliższym spotkaniu i o tym, co będą wtedy robić. Teraz gdy wyobraźnia podsunęła jej obrazy wspólnych chwil, gdy przypomniała sobie czułe słówka, jakie szeptał jej Ned podczas pieszczot, poczuła znajome mrowienie w lędźwiach, a jej dłoń sama przesunęła się do tego miejsca między nogami, gdzie rodziła się rozkosz. Co ciekawe, spotkania z Nedem nie zaspokajały jej pożądania, lecz rozpalały je jeszcze mocniej, jakby jeden grzech był pożywką dla następnego.

Mick, który jak zwykle leżał obok jej łóżka, obudził się i warknął.

– Tss… – próbowała go uspokoić, lecz pies warknął jeszcze głośniej, a potem zaszczekał. Kilka sekund później ktoś załomotał do drzwi domu.

Margery od razu zrozumiała, że ten dźwięk zwiastuje kłopoty. Przybysz uderzał w drzwi mocno, natarczywie, niemal nieprzerwanie. Tylko nieliczni mogli dobijać się do zamku hrabiego w tak arogancki sposób. Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Na zewnątrz stał szeryf Matthewson z grupą dziesięciu mężczyzn.

Nie wiedziała, czego dokładnie może chcieć szeryf, domyślała się jednak, że ma to coś wspólnego z religią.

Wybiegła na korytarz, okrywając się po drodze peleryną. Bart wyglądał zza drzwi swojej sypialni w głębi korytarza.

– Co się dzieje? – spytał zaspany.

– Nie otwieraj drzwi – przestrzegła go Margery.

Łomotanie nie ustawało.

Przebiegła do pokoju Stephena Lincolna i wpadła do środka, nie trudząc się pukaniem – nie mieli czasu na uprzejmości. Ksiądz był już ubrany i modlił się na klęczniku.

– Pod bramą stoi szeryf – oznajmiła hrabina. – Chodź ze mną. Zabierz Przenajświętszy Sakrament.

Stephen podniósł skrzynkę zawierającą wszystko, czego potrzebował do odprawiania mszy, i wyszedł za Margery na korytarz.

Zobaczyła Bartleta w koszuli nocnej i jego zaspaną młodą opiekunkę.

– Wracaj do swojego pokoju, synku – poleciła. – Zawołam cię, kiedy śniadanie będzie gotowe.

Zbiegła po schodach, modląc się w duchu, by służba nie wpuściła szeryfa bez jej pozwolenia. Niewiele brakowało, a spóźniłaby się: Nora Joseph sięgała już do zasuwy przy drzwiach, wołając:

– Chwila, już idę!

– Poczekaj! – syknęła Margery.

Wszyscy służący w zamku byli katolikami, mogła więc mieć pewność, że wypełnią jej polecenia i zachowają tajemnicę.

Hrabina i ksiądz przebiegli przez korytarz i spiżarnię i dotarli do spiralnych schodów. Margery wspięła się na górę, a potem zbiegła kilka stopni w dół, do ślepego korytarza, gdzie niegdyś mieścił się obecnie nieużywany wielki piec chlebowy, w którym przed wielu laty całowała się z Nedem. Otworzyła jego żelazne drzwi.

– Wchodź! – syknęła. – Schowasz się tutaj!

– Nie będą tu zaglądali?

– Idź do samego końca i pchnij mocno ścianę, prowadzi do ukrytego pokoju. Szybko!

Stephen wszedł do pieca wraz ze swoją skrzynką, a Margery zatrzasnęła drzwi.

Dysząc ciężko, wróciła do sieni. Była tam już jej matka z czepkiem nocnym na głowie, wyraźnie zmartwiona. Margery otuliła się szczelniej szlafrokiem i skinęła na Norę.

– Teraz już możesz.

Służąca otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, szeryfie! – przywitała się Margery pogodnym tonem. – Ależ pan mocno stukał! Gdzieś się panu tak spieszy?

Matthewson był potężnym mężczyzną, który nie znał litości dla złoczyńców, lecz w obecności hrabiny czuł się dość niepewnie. Aby dodać sobie odwagi, uniósł dumnie głowę i oznajmił głośno:

– Jej Królewska Mość kazała aresztować Stephena Lincolna, podejrzanego o zdradzieckie spiskowanie z królową Szkotów.

Margery omal nie parsknęła śmiechem, słysząc ten absurdalny zarzut. Stephen nigdy nawet nie widział Marii Stuart, był też zbyt nerwowy, by uczestniczyć w jakimkolwiek spisku. Nie miała wątpliwości, że za tego rodzaju nikczemnymi oskarżeniami stoi Dan Cobley. Zachowując jednak zimną krew, uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Więc niepotrzebnie budził nas pan tak wcześnie. Po pierwsze, Stephen nie jest wrogiem królowej, a po drugie, nie ma go tutaj.

– Przecież tu mieszka!

– Owszem, pracował dla mojego męża, ale wyjechał. Chyba do Canterbury – dodała, improwizując naprędce. – Zresztą jestem pewna, że nie miał nic wspólnego z Marią królową Szkotów. Przykro mi, że zmarnował pan tyle czasu. Ale skoro już dane było nam się spotkać, to może pan i pańscy pomocnicy zechcecie zjeść z nami śniadanie?

– Nie, dziękuję. – Szeryf odwrócił się do swoich ludzi. – Przeszukajcie dom.

– O nie, nie ma mowy – rozległ się nagle głos Barta. Margery odwróciła się i zobaczyła męża, który schodził właśnie do sieni. Zdążył się ubrać, a w dłoni trzymał obnażony miecz. – Co ty, do diabła, wyprawiasz, Matthewson?

– Wykonuję rozkazy królowej, panie hrabio, i mam nadzieję, że nie zamierzasz obrazić Jej Królewskiej Mości, utrudniając mi to zadanie.

Margery stanęła przed mężem.

– Nie walcz z nim – zwróciła się do niego cicho. – Nie dopuść, żeby cię stracili jak twojego ojca. Pozwól mu przeszukać dom. Niczego nie znajdą.

– Do diabła z nimi!

– Panie, jesteś podejrzany o udzielanie schronienia katolickiemu księdzu i zdrajcy, Stephenowi Lincolnowi – oznajmił szeryf. – Lepiej będzie, jeśli od razu go wydasz.

Margery westchnęła.

– Tłumaczyłam już, że Stephen nie jest zdrajcą ani księdzem, i że już tu nie mieszka – powiedziała głośno.

Bart spojrzał na nią ze zdumieniem. Przysunął się do żony i wyszeptał:

– Ale co z…

– Zaufaj mi! – syknęła.

Umilkł, a ona ponownie zabrała głos:

– Może powinniśmy pozwolić szeryfowi przeszukać dom i przekonać się, że mówimy prawdę. Wtedy wszyscy będą zadowoleni.

Bart doznał w końcu olśnienia.

– W starym piecu? – wyszeptał bezgłośnie.

– Tak – odpowiedziała głośno Margery. – Myślę, że powinniśmy mu na to pozwolić.

Hrabia spojrzał na Matthewsona.

– Zgoda, ale nie zapomnę o tym, a zwłaszcza o twoim udziale.

– Panie, sam dobrze wiesz, że to nie moja decyzja.

Bart parsknął pogardliwie.

– Do roboty! – zwrócił się szeryf do swoich ludzi. – Uważajcie szczególnie na pozostałości starego zamku, na pewno są tam jakieś kryjówki – dodał, dowodząc, że nie jest wcale głupcem.

– Podaj śniadanie w jadalni, tylko dla rodziny – poleciła Margery Norze. Nie zamierzała już dłużej odgrywać roli gościnnej pani domu.

Rozwścieczony Bart przeszedł do jadalni, gdzie dołączyła do niego teściowa. Margery nie była jednak w stanie siedzieć spokojnie i jeść w czasie, gdy trwały poszukiwania Stephena, towarzyszyła więc szeryfowi.

Choć jego ludzie sprawdzili także korytarze i komnaty nowego zamku, jego interesował raczej stary budynek, więc z lampą w dłoni oglądał wszystkie ciemne zakamarki. Najpierw zajrzał do kaplicy. Jego uwagę przykuł grobowiec zapomnianego przodka rodu, chwycił więc za posąg rycerza zdobiący wieko i próbował go poruszyć. Kamienna rzeźba nawet nie drgnęła.

Do pieca chlebowego dotarł niemal na samym końcu. Otworzył drzwi i oświetlił wnętrze, a Margery wstrzymała oddech, starając się jednocześnie udawać znudzenie i obojętność. Szeryf pochylił się do przodu, wsunął do środka głowę i ramiona, a potem przez chwilę przesuwał lampę na lewo i na prawo. Hrabina

zastanawiała się nerwowo, czy drzwi na przeciwległej ścianie pieca rzeczywiście są tak widoczne, jak jej się teraz wydawało.

W końcu Matthewson mruknął coś pod nosem, wycofał się i zatrzasnął drzwi.

– Myślał pan, że trzymamy księży w piecu? – spytała Margery żartobliwie. Miała nadzieję, że szeryf nie dosłyszał lekkiego drżenia w jej głosie.

Matthewson, wyraźnie zirytowany, nie raczył odpowiedzieć na tę zaczepkę.

Wrócili do sieni. Szeryf był wściekły – przypuszczał, że go oszukano, nie wiedział jednak jak.

Kiedy miał już wychodzić, otworzyły się drzwi zamku i do wnętrza wkroczył sir Ned Willard.

Margery spojrzała na niego z przerażeniem. Znał ukryte pomieszczenie za starym piecem. Dlaczego zjawił się tutaj właśnie teraz?

Dyszał ciężko, a jego czoło rosiły krople potu – najwyraźniej bardzo się spieszył do New Castle. Margery domyśliła się, że dotarły do niego wieści o niespodziewanej wizycie szeryfa. Po co tu jednak przyjechał? Być może martwił się o nią. Był jednak protestantem, więc niewykluczone, że chciał dopaść działającego w ukryciu księdza. Jego lojalność wobec królowej Elżbiety była niemal równie szczera i głęboka jak jego miłość

do Margery. Która z tych dwóch kobiet zajmowała ważniejsze miejsce w jego sercu?

Obdarzył Matthewsona gniewnym spojrzeniem.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Stephen Lincoln jest podejrzany o zdradę – wyjaśnił po raz kolejny szeryf.

– Nie słyszałem o takich podejrzeniach.

– O ile mi wiadomo, sir Nedzie, ostatnio byłeś w Londynie jeszcze przed Wielkanocą, więc być może nie dotarły do ciebie te wieści – odpowiedział szeryf uprzejmymi słowy, w których pobrzmiewała jednak nuta szyderstwa.

Ned poczuł się głupio; Margery widziała to po jego minie. Zawsze chlubił się tym, że jako pierwszy znał wszystkie ważne informacje, ostatnio jednak wyraźnie się zaniedbał – i to przez nią.

– Stephena Lincolna tu nie ma – oznajmiła głośno hrabina. – Szeryf dokładnie przeszukał cały dom. Gdybyśmy mieli w spiżarni katolicką mysz, na pewno by ją znalazł.

– Miło mi słyszeć, że rozkazy królowej są wykonywane tak skrupulatnie – powiedział Ned, zmieniając nagle front. – Dobra robota, szeryfie.

Margery była tak zdenerwowana, że miała ochotę krzyczeć. Czy Ned spyta zaraz: „Ale czy zajrzałeś do ukrytego pomieszczenia za starym piecem…?”.

– Jeśli to już wszystko, szeryfie… – odezwała się, starając się panować nad głosem.

Matthewson zawahał się na moment, lecz właściwie nie mógł tu już nic więcej zrobić. Ponury niczym chmura gradowa opuścił zamek, nie pożegnawszy się nawet z gospodarzami.

Jego ludzie również wyszli na zewnątrz.

– Poszli już sobie? – spytał Bart, wychodząc z jadalni.

Jego żona nie mogła dłużej utrzymywać emocji na wodzy i wybuchła płaczem.

Bart wziął ją w ramiona.

– Już, już – powtarzał. – Byłaś wspaniała.

Zerknęła ponad jego ramieniem na Neda. Na twarzy królewskiego doradcy malował się wyraz głębokiego cierpienia.

VII

Rollo pragnął zemsty.

Zmęczony, brudny, wściekły i przepełniony nienawiścią dotarł w lipcu 1570 roku na

uniwersytet w mieście Douai we francuskojęzycznej południowo-zachodniej części Niderlandów. Douai przypominało mu Oksford, gdzie niegdyś studiował – tam również było wiele kościołów, pięknych budynków uniwersyteckich oraz sadów i ogrodów, gdzie nauczyciele mogli przechadzać się z uczniami, tocząc uczone dysputy. To były złote czasy, pomyślał z goryczą. Jego ojciec był wtedy w pełni sił, rodzinny interes świetnie prosperował, na tronie Anglii zasiadała zdeklarowana katoliczka, a przyszłość Rollo malowała się w jasnych barwach.

Pokonał pieszo długą drogę przez równiny Flandrii, bardziej bolało go jednak serce niż nogi. Z wściekłością myślał o tym, że protestanci nie znają umiaru. Anglia miała protestancką królową, posłusznych biskupów, angielskojęzyczną Biblię i zreformowany modlitewnik. Zdjęli ze ścian obrazy, utrącili głowy posągom, przetopili złote krucyfiksy. Wciąż im jednak było mało. Musieli mu odebrać interes, dom i wygnać go z ojczyzny.

Kiedyś gorzko tego pożałują.

Posługując się łamaną francuszczyzną, do której wtrącał angielskie słowa, dowiedział się, jak trafić do ceglanej kamienicy, wielkiej, lecz

niezbyt urodziwej, położonej przy ulicy pełnej sklepów i czynszówek. Wszystkie jego nadzieje skupiały się teraz w tym zaskakująco pospolitym budynku. Jeśli Anglia miała wrócić do prawdziwej wiary, a on miał dokonać zemsty na wrogach, musiał zacząć od tego właśnie miejsca.

Drzwi były otwarte.

W korytarzu natknął się na energicznego mężczyznę o różowej twarzy, który miał zapewne około dwudziestu pięciu lat – dziesięć lat mniej niż Rollo.

– *Bonjour*, *monsieur* – przywitał się uprzejmie.

– Pan jest Anglikiem, prawda? – spytał mężczyzna.

– Czy to Angielski College? – odpowiedział pytaniem Rollo.

– Oczywiście.

– Bogu dzięki. – Znużony wędrowiec odetchnął z ulgą. Pokonał długą drogę, ale w końcu osiągnął cel. Teraz musiał się tylko przekonać, czy rzeczywistość sprosta jego oczekiwaniom.

– Jestem Leonard Price, ale możesz mnie nazywać Lenny. Co cię tu sprowadza?

– Straciłem interes w Kingsbridge, bo nie chciałem podpisać trzydziestu dziewięciu artykułów religii.

– Brawo!

– Dziękuję. Chciałbym przywrócić w Anglii prawdziwą wiarę, a powiedziano mi, że temu właśnie służą wasze działania.

– Owszem. Szkolimy księży, a potem wysyłamy ich do ojczyzny… w tajemnicy oczywiście… by służyli katolikom i dostarczali im Przenajświętszy Sakrament.

Rollo był zachwycony. Teraz gdy królowa Elżbieta zaczęła ukazywać swą prawdziwą tyrańską naturę, Kościół stawał do walki. To samo zamierzał zrobić on. Jego życie legło w gruzach, nie miał więc nic do stracenia. Powinien być bogatym radnym, mieszkać w najpiękniejszym domu w mieście i szykować się do objęcia stanowiska burmistrza, jak niegdyś jego ojciec. Tymczasem był wyrzutkiem i błąkał się po bezdrożach obcego kraju. Wierzył jednak, że kiedyś sytuacja się odwróci.

Lenny przechylił się do niego i dodał półgłosem:

– Jeśli spytasz Williama Allena, założyciela naszej organizacji, powie ci, że szkolenie księży to nasze jedyne zadanie. Ale niektórzy z nas mają ambitniejsze plany.

– Co masz na myśli?

– Elżbieta musi zostać obalona, a Maria powinna zająć jej miejsce.

Właśnie to Rollo chciał usłyszeć.

– Naprawdę do tego dążycie?

Lenny zawahał się na moment, uświadomiwszy sobie zapewne, że dopuścił się niedyskrecji.

– Powiedzmy, że to nasze marzenie – odparł wymijająco. – Ale dzieli je z nami wielu ludzi.

Tak, w to akurat Rollo nie wątpił. Prawa Marii Stuart do tronu były stałym tematem rozmów przy stołach katolików.

– Mogę się zobaczyć z Williamem Allenem? – spytał z niecierpliwością.

– Chodźmy. Przyjmuje właśnie bardzo ważnego gościa, ale może obaj chcieliby porozmawiać z potencjalnym nowym rekrutem. Proszę za mną.

Lenny poprowadził gościa na piętro. Rollo był podekscytowany i pełen optymizmu. Być może jednak czekała go lepsza przyszłość. Lenny zapukał do drzwi i otworzył je, odsłaniając przestronne, jasne pomieszczenie o ścianach zasłoniętych niemal w całości książkami. Pośrodku siedzieli dwaj mężczyźni zatopieni w rozmowie. Ten, do którego zwrócił się Lenny, był prawdopodobnie o kilka lat starszy od Rollo,

miał szczupłą twarz i nosił się w niedbały sposób, który przywodził Rollo na myśl nauczycieli z Oksfordu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałem, że może zechce pan porozmawiać z kimś, kto przybył właśnie z Anglii – odezwał się Lenny.

Allen odwrócił się do swego gościa.

– Pozwoli pan…? – spytał po francusku.

Drugi mężczyzna, z jasnobrązowymi oczami i gęstymi blond włosami był młodszy, niezwykle przystojny i nosił bogatsze ubrania; jego zielony dublet był wyszywany złotem.

– Jak pan sobie życzy – odparł.

Rollo wystąpił o krok do przodu i wyciągnął rękę na powitanie.

– Nazywam się Rollo Fitzgerald, przyjechałem właśnie z Kingsbridge – oznajmił.

– William Allen – odpowiedział Anglik, ściskając jego dłoń, po czym wskazał na swego gościa. – To wielki przyjaciel college'u, monsieur Pierre Aumande Gwizjusz z Paryża.

Francuz spojrzał obojętnie na Rollo i pozdrowił go oszczędnym skinieniem głowy.

– Rollo stracił rodzinny interes, bo nie chciał podpisać trzydziestu dziewięciu artykułów religii – powiedział Lenny.

– Brawo! – zawołał z uznaniem Allen.

– I chce do nas dołączyć.

– Usiądźcie.

– Jakie masz wykształcenie, Rollo? – spytał po angielsku monsieur Aumande Gwizjusz, starannie dobierając słowa.

– Uczyłem się w Oksfordzie, a potem studiowałem prawo w londyńskim Gray's Inn, zanim odziedziczyłem interes po ojcu. Nie przyjąłem święceń, ale teraz chcę to zrobić.

– Świetnie – rzucił Aumande, nieco już życzliwszym tonem.

– Nasi uczniowie przygotowują się do misji, która może kosztować ich życie – rzekł z powagą Allen. – Jesteś tego świadom? Jeżeli cię schwytają, możesz trafić na szafot. Nie powinieneś do nas przystępować, jeśli nie jesteś na to gotów.

Rollo zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Byłbym głupcem, gdybym nie obawiał się takiego obrotu spraw – odezwał się w końcu i poczuł głęboką satysfakcję, gdy Allen z aprobatą pokiwał głową. – Wierzę jednak, że z Bożą pomocą mogę stawić czoło takiemu zagrożeniu – dokończył.

– Jaki jest twój stosunek do protestantów? – spytał Aumande. – Chodzi mi o twoje osobiste

odczucia.

– O moje osobiste odczucia? – Rollo próbował ułożyć w głowie jakąś wyważoną i rozsądną odpowiedź, nie zdołał jednak zapanować nad emocjami. – Nienawidzę ich – wyrzucił, zaciskając dłonie w pięści. Był tak poruszony, że z trudem wydobywał z siebie głos. – Chcę ich zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi, wybić co do jednego. To właśnie czuję.

Francuz uśmiechnął się pod nosem.

– W takim razie chyba znajdziesz pośród nas miejsce dla siebie.

Rollo zrozumiał, że powiedział właśnie to, czego od niego oczekiwano.

– Cóż… – Allen, który przyjął deklarację Rollo z nieco większą rezerwą, odchrząknął. – Mam nadzieję, że zostaniesz z nami przynajmniej przez kilka dni, byśmy mogli lepiej się poznać. Potem porozmawiamy o twojej przyszłości.

– Potrzebuje pseudonimu – powiedział Aumande.

– Już w tym momencie? – zdziwił się Allen.

– Im mniej ludzi zna jego prawdziwe nazwisko, tym lepiej.

– Pewnie masz rację….

– Będziemy go nazywać Jean Langlais.

– Czyli Jan Anglik, tyle że po francusku. Niech będzie. – Allen spojrzał na Rollo. – Od tej pory jesteś Jean Langlais.

– Ale dlaczego? – dziwił się Rollo.

– Zobaczysz – odpowiedział mu Aumande. – Wszystko w swoim czasie.

VIII

Tego lata cała Anglia żyła w strachu przed inwazją. Ludzie uważali, że wszystkie kraje katolickie potraktują bullę papieską jako zachętę do ataku, obawiali się więc, że lada dzień zobaczą na horyzoncie potężne galeony, pełne uzbrojonych po zęby żołnierzy, gotowych palić, łupić i gwałcić bez opamiętania. Wzdłuż całego południowego wybrzeża kamieniarze naprawiali nadszarpnięte zębem czasu mury, rusznikarze czyścili, oliwili i sprawdzali zardzewiałe armaty. Gromady krzepkich parobków wstępowały do oddziałów milicji i w słoneczne niedzielne popołudnia ćwiczyły strzelanie z łuku.

Hrabina Shiring również żyła jak w amoku, choć zupełnie innego rodzaju. W drodze na spotkanie z Nedem wyobrażała sobie, co będą robić, i czuła przyjemne pulsowanie w dole

brzucha. Słyszała kiedyś, że francuskie kurtyzany codziennie myją i perfumują intymne części ciała na wypadek, gdyby mężczyźni chcieli je tam całować. Wtedy w to nie wierzyła, a Bart z pewnością nigdy jej tam nie pocałował, lecz Ned ciągle się tego dopominał, więc teraz myła się jak kurtyzana. Robiąc to, wiedziała, że przygotowuje się do popełnienia grzechu śmiertelnego i że wcześniej czy później spotka ją za to kara, lecz takie myśli przyprawiały ją tylko o ból głowy, odsuwała je więc od siebie.

Pojechała do Kingsbridge i zatrzymała się w należącym do jej męża domu na Wyspie Trędowatych. Pretekstem do podróży było spotkanie z Guillaume'em Forneronem, protestanckim uchodźcą z Francji, który wytwarzał najdelikatniejszy batyst na południu Anglii. Margery kupowała u niego koszule dla Barta oraz halki i koszule nocne dla siebie.

Następnego ranka po przybyciu wyszła sama do miasta i udała się na spotkanie z Nedem w domu jej przyjaciółki, obecnie lady Twyford. Susannah nadal miała w Kingsbridge dom, który odziedziczyła po ojcu, i zatrzymywała się tam, gdy jej mąż podróżował. Ned zaproponował, by skorzystali z tego miejsca, a zarówno on, jak

i Margery byli przekonani, że lady Twyford jest osobą godną zaufania i dochowa tajemnicy.

Margery przywykła już do myśli, że była ona niegdyś kochanką Neda, choć Susannah nieco się zawstydziła, gdy hrabina spytała ją o to wprost.

– Ty miałaś jego serce – powiedziała wtedy. – Ja miałam tylko ciało i na szczęście nie chciałam niczego więcej.

Margery z satysfakcją przyjęła tę odpowiedź, choć, ogarnięta gorączką pożądania, i tak nie zastanawiała się nad nią dłużej niż przez chwilę.

Susannah przyjęła ją w swoim salonie. Na powitanie pocałowała ją w usta i powiedziała z uśmiechem:

– Idź na górę, szczęściaro.

Dyskretnie ukryte schody prowadziły z salonu prosto do sypialni lady Twyford, gdzie czekał już Ned.

Padli sobie w ramiona i zaczęli się namiętnie całować jak wygłodniali miłości. Po chwili Margery odsunęła się odrobinę i rzuciła krótko:

– Łóżko.

Przeszli do łoża i zdjęli ubrania. Ciało Neda było szczupłe, skóra jasna, a klatka piersiowa porośnięta gęstwiną włosów. Margery uwielbiała na niego patrzeć.

Tym razem jednak stało się coś dziwnego. Członek Neda był miękki. Bart często miał taki problem, gdy był pijany, lecz Nedowi przydarzyło się to po raz pierwszy. Margery uklękła przed kochankiem i zaczęła go ssać tak, jak nauczył ją tego Bart. Jemu czasem to pomagało, lecz Ned nie reagował i na te pieszczoty. Wstała, ujęła jego twarz i spojrzała prosto w złotobrązowe oczy. Widziała, że jest zażenowany.

– O co chodzi, kochanie? – spytała.

– Dręczy mnie pewna myśl…

– Jaka?

– Co zrobimy? Jak będzie wyglądać nasza przyszłość?

– Po co się nad tym zastanawiać? Kochajmy się.

Pokręcił głową.

– Muszę podjąć decyzję.

Sięgnął do kieszeni ubrania, które przed chwilą odrzucił, i wyjął list.

– Od królowej? – spytała hrabina.

– Od sir Williama Cecila.

Margery poczuła się tak, jakby w ciepły letni dzień wtargnął nagle podmuch lodowatego wiatru.

– Złe wieści?

Ned rzucił list na łóżko.

– Sam nie wiem, czy złe, czy dobre.

Margery spojrzała na kawałek papieru, który przypominał jej teraz martwego ptaka – złożone w trójkąt rogi sterczały na boki niczym skrzydła, rozerwana pieczęć wyglądała jak plama krwi. Intuicja podpowiadała jej, że treść listu zdecyduje o jej losie.

– Powiedz mi, co tam jest – poprosiła cicho.

Ned usiadł na łóżku i skrzyżował nogi.

– Chodzi o Francję – zaczął, wzdychając. – Tamtejsi protestanci, zwani hugenotami, zaczynają zwyciężać w wojnie domowej, głównie dzięki ogromnej pożyczce od królowej Elżbiety.

Margery już o tym wiedziała. Przerażały ją kolejne sukcesy heretyków, lecz Ned przyjmował takie wieści z zadowoleniem, a ona starała się nie myśleć o sprawach, które ich dzieliły.

– Dlatego też – ciągnął Ned – katolicki król Francji prowadzi rozmowy pokojowe z przywódcą protestantów, niejakim Gaspardem de Coligny.

To przynajmniej cieszyło ich oboje, bo zarówno jedno, jak i drugie pragnęło, by chrześcijanie przestali się nawzajem zabijać. Dlaczego jednak miało to zniszczyć ich miłość?

– Królowa Elżbieta wysyła do Francji swojego doradcę, sir Francisa Walsinghama, który ma pełnić rolę mediatora podczas tych rozmów.

Margery spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czy Francuzi naprawdę potrzebują Anglika, żeby porozumieć się między sobą?

– Nie, to tylko pretekst. – Ned skrzywił się, a po chwili wahania dodał: – Cecil nie pisze o tym w liście, ale ja domyślam się prawdy. Chętnie ci ją zdradzę, jeśli zachowasz to tylko dla siebie.

– Zgoda – odparła Margery bez entuzjazmu. Właściwie prowadziła tę rozmowę tylko po to, by jak najdłużej odwlekać tę przerażającą chwilę, w której pozna swój los.

– Walsingham jest szpiegiem. Królowa chce wiedzieć, co król Francji zamierza zrobić w sprawie Marii królowej Szkotów. Jeśli katolicy i hugenoci naprawdę zawrą pokój, król może skierować swą uwagę na Szkocję, a może nawet na Anglię. Elżbieta zawsze chce wiedzieć zawczasu, co mogą knuć jej potencjalni wrogowie.

– Więc wysyła do Francji szpiega.

– Owszem, ale lepiej, byś nie ujmowała tego tak dosadnie.

– Więcej już tego nie powtórzę. No dobrze, ale co, na miłość boską, to wszystko ma wspólnego

z tobą i ze mną?

– Walsingham potrzebuje pomocnika, który mówi płynnie po francusku, a Cecil chce, bym to właśnie ja mu towarzyszył. Chyba ma mi za złe, że tak długo przebywam poza Londynem.

– Więc zamierzasz mnie opuścić – rzuciła Margery żałosnym tonem. Taki wyrok przyniósł jej martwy ptak.

– Niekoniecznie. Nie musimy niczego zmieniać, nadal możemy się kochać i spotykać potajemnie, gdy nadarzy się okazja.

Pokręciła głową. Po raz pierwszy od wielu tygodni myślała trzeźwo, jakby jej umysł oczyścił się nagle z otępiającej mgły pożądania.

– Za każdym razem podejmujemy ogromne ryzyko. Wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Wtedy Bart cię zabije, rozwiedzie się ze mną i odbierze mi Bartleta.

– Więc ucieknijmy razem. Powiemy ludziom, że jesteśmy małżeństwem: państwem Weaver. Możemy popłynąć do Antwerpii, mam tam dalekiego krewnego, Jana Wolmana, który da mi jakąś pracę.

– A Bartlet?

– Zabierzemy go ze sobą, przecież naprawdę i tak nie jest synem Barta.

– Zostalibyśmy oskarżeni o porwanie hrabiowskiego dziedzica. Takie rzeczy karze się prawdopodobnie śmiercią. Oboje trafilibyśmy na szafot.

– Jeśli dotrzemy szybko do portu Combe, będziemy na pełnym morzu, nim ktokolwiek się zorientuje, co zrobiliśmy.

Margery całym sercem pragnęła przystać na jego propozycję. W ciągu ostatnich trzech miesięcy była naprawdę szczęśliwa, po raz pierwszy, odkąd skończyła piętnaście lat. Miłość do Neda pożerała jej ciało niczym gorączka. Wiedziała jednak dobrze – nawet jeśli on jeszcze tego nie zrozumiał – że nigdy nie zaznałby szczęścia, pracując dla swojego krewnego w Antwerpii. Przez całe dorosłe życie angażował się głęboko w politykę i lubił to bardziej niż cokolwiek innego. Uwielbiał królową Elżbietę, szanował sir Williama Cecila, był zafascynowany wyzwaniami, jakie przed nimi stały. Gdyby odciągnęła go od tego, życie Neda straciłoby sens.

Poza tym ona też miała ważną misję do wykonania. W ciągu ostatnich tygodni wykorzystywała swe święte posłannictwo jako pretekst do grzesznych schadzek, ale była szczerze oddana zadaniu, które powierzył jej

Bóg. Rezygnacja z tej misji byłaby nikczemnością równie wielką jak cudzołóstwo.

Zrozumiała, że czas położyć temu kres. Wyspowiada się i poprosi Boga o litość. Ponownie poświęci się świętemu obowiązkowi, jakim było dostarczenie sakramentu angielskim katolikom. Może kiedyś poczuje, że wszystkie grzechy zostały jej wybaczone.

Podjąwszy decyzję, zalała się łzami.

– Nie płacz – prosił ją Ned. – Wymyślimy coś razem.

Wiedziała, że to niemożliwe. Objęła go i przytuliła. Położyli się na łożu.

– Ned, mój kochany Ned – szeptała. Jej łzy spływały mu na twarz, gdy się całowali. Poczuła, że jego członek zrobił się nagle twardy.

– Jeszcze tylko dziś – poprosiła.

– To nie jest ostatni raz – odpowiedział, kładąc się na niej.

Owszem, jest, pomyślała, nie mogła jednak wydobyć głosu z zaciśniętej krtani, oddała się więc całkowicie smutkowi i rozkoszy.

IX

Sześć tygodni później Margery wiedziała już z całą pewnością, że jest w ciąży.

ROZDZIAŁ 17

I

Sir Francis Walsingham wierzył w listy i wykazy równie mocno jak w ewangelie. Sporządził listę ludzi, z którymi spotkał się poprzedniego dnia, i tych, z którymi miał się widzieć nazajutrz. Wraz z sir Nedem Willardem przygotował też spis wszystkich podejrzanych Anglików przybyłych do Paryża.

W 1572 roku Walsingham pełnił funkcję ambasadora królowej Elżbiety we Francji. Jego zastępca Ned szanował go tak samo jak sir Williama Cecila, nie był mu jednak tak bezgranicznie oddany. Odnosił się do Walsinghama z uznaniem, lecz nie z uwielbieniem; był wobec niego lojalny, ale nie traktował go ja wyroczni. Wynikało to z tego, że ci dwaj najważniejsi doradcy Elżbiety bardzo się między sobą różnili, ale chodziło nie tylko o to.

Ned po prostu nie był już tym gorliwym i niedoświadczonym młodzieńcem, który korzystał z protekcji Cecila. Dorósł.

Odkąd tylko zaczął pracować dla królowej Elżbiety, wykonywał tajne misje, teraz jednak tworzył wraz z Walsinghamem sieć rozrastających się gwałtownie służb wywiadowczych, które miały chronić królową i jej rząd przed wywrotowymi działaniami wrogów.

Kruchy pokój, który panował między angielskimi katolikami i protestantami przez pierwsze dziesięć lat panowania Elżbiety, został gwałtownie zaburzony przez papieską bullę. Zorganizowano już jeden groźny spisek przeciwko królowej. Działający w Anglii człowiek papieża, Roberto Ridolfi, zamierzał zamordować Elżbietę i osadzić na tronie Marię Stuart, a potem wydać ją za księcia Norfolk. Tajne służby Walsinghama w porę odkryły spisek i książę pożegnał się z życiem i głową. Nikt jednak nie łudził się nadzieją, że to ostatnia tego rodzaju intryga.

Ned, podobnie jak wszyscy doradcy Elżbiety, obawiał się kolejnych prób zamachu stanu. Wszystko, nad czym pracował przez ostatnie czternaście lat, mogło z dnia na dzień lec

w gruzach. Marzenie o wolności religijnej mogło się zamienić w koszmar inkwizycji i tortur, Anglia znów mogła poznać odrażający zapach palonych żywcem mężczyzn i kobiet.

Z kraju uciekły dziesiątki bogatych katolików, większość z nich do Francji. Ned i Walsingham uważali, że następny spisek przeciwko Elżbiecie zostanie zawiązany właśnie tutaj, w Paryżu. Wysłannicy królowej mieli za zadanie namierzyć spiskowców, poznać ich plany i udaremnić je.

Ambasada Anglii mieściła się w dużym domu na lewym brzegu Sekwany, w dzielnicy uniwersyteckiej. Walsingham nie był bogatym człowiekiem, a Anglia nie była bogatym krajem, nie mogli więc pozwolić sobie na rezydencję po drugiej stronie Sekwany, gdzie mieściły się pałace francuskiej arystokracji.

Tego dnia obaj wybierali się na dwór królewski, do Luwru. Ned bardzo się cieszył na tę wizytę. Spotkanie najpotężniejszych ludzi we Francji było doskonałą okazją do zbierania informacji. Dworzanie chętnie plotkowali, niektórym zdarzało się przy tym ujawniać cenne tajemnice. Ned zamierzał jak najwięcej rozmawiać z poznanymi w pałacu Francuzami i szukać w ich wypowiedziach ważnych podtekstów.

Jednocześnie obawiał się trochę tej wizyty, z powodu Walsinghama. Ten czterdziestoletni mężczyzna był niezwykle inteligentnym człowiekiem, ale brakowało mu taktu. Jego pierwsze spotkanie z Karolem IX nie wypadło najlepiej. Jako nieustępliwy purytanin, Walsingham ubrał się na czarno; zawsze tak się nosił, lecz na barwnym francuskim dworze odebrano to jako protestancką prowokację.

Podczas tej pierwszej wizyty Ned spotkał Pierre'a Aumande'a Gwizjusza, którego poznał kiedyś w Saint-Dizier przy okazji spotkania z Marią Stuart. Od tamtego dnia minęło już dwanaście lat, lecz Ned doskonale go pamiętał. Aumande był wprawdzie przystojny i elegancki, ale w jego zachowaniu kryło się coś niepokojącego i odpychającego.

Podczas poprzedniej wizyty w Luwrze król Karol IX spytał Walsinghama, czy Elżbieta naprawdę musi więzić jego szwagierkę Marię Stuart, byłą królową Francji i zdetronizowaną królową Szkocji. Angielski ambasador powinien był znać Księgę Przysłów na tyle dobrze, by pamiętać, że *Odpowiedź łagodna uśmierza zapalczywość*[9], zareagował jednak świętym oburzeniem – co zawsze było słabością

purytanów – i tym samym skutecznie zraził do siebie francuskiego monarchę.

Od tamtego czasu Ned starał się być zdecydowanie życzliwszy i bardziej wyrozumiały niż jego bezkompromisowy zwierzchnik. Ubierał się w sposób właściwy niższemu rangą dyplomacie, który nie obnosi się ze swoimi przekonaniami religijnymi. Na ten wieczór włożył pastelowy niebieski dublet z rozcięciami odsłaniającymi brązową podszewkę, strój dość skromny jak na paryskie standardy, ale wystarczająco elegancki, by zrównoważyć surową czerń, której uparcie hołdował Walsingham.

Ze swego okna na poddaszu Ned widział panoramę miasta po drugiej stronie rzeki i górujące nad nią wieże katedry Notre Dame. Obok jego przydymionego lusterka stał portrecik, który podarowała mu Margery. Jej wizerunek był nieco wyidealizowany, przedstawiał bowiem nierealistycznie białą skórę i różane policzki, lecz artysta udanie oddał ciemne loki i szelmowski uśmiech, który Ned tak uwielbiał.

Wciąż ją kochał. Dwa lata temu musiał pogodzić się z myślą, że Margery nigdy nie opuści męża, a pozbawiona nadziei namiętność mocno przygasła, jednak nie wypaliła się do końca.

Nie miał żadnych wieści z Kingsbridge. Nie wiedział, co dzieje u brata, który zapewne nadal był gdzieś na morzu. Ustalili z Margery, że nie będą torturować się nawzajem listami. Ostatnie, co zrobił przed wyjazdem z Anglii, było uchylenie nakazu aresztowania Stephena Lincolna, wydanego na podstawie dowodów sfabrykowanych przez Dana Cobleya. Jeśli Margery uważała, że jej świętym obowiązkiem jest niesienie pociechy porzuconym katolikom, Ned nie zamierzał pozwolić, by Dan Cobley jej w tym przeszkodził.

Raz jeszcze przejrzał się w lustrze i poprawił koronkowy kołnierz, uśmiechając się na wspomnienie sztuki, którą widział poprzedniego wieczoru, zatytułowanej *Rywale*. Była to bardzo oryginalna komedia o zwykłych ludziach, którzy mówili normalnym językiem, a nie wierszem. Dwaj główni bohaterowie, młodzi mężczyźni, chcieli uprowadzić tę samą dziewczynę – jak się okazało w zaskakującym zakończeniu, była ona siostrą jednego z nich. Cały spektakl przedstawiał tylko jedno miejsce, krótki odcinek ulicy, a opowiedziana w nim historia rozgrywała się w ciągu niecałej doby. Ned nigdy jeszcze nie widział czegoś równie pomysłowego, ani w Londynie, ani w Paryżu.

Miał już wychodzić, gdy do pokoju wszedł służący.

– Przyszła do pana jakaś kobieta, twierdzi, że sprzedaje papier i atrament po najniższych cenach w Paryżu – powiedział po francusku. – Mam ją wpuścić?

Ned zużywał ogromne ilości papieru i atramentu na pisanie i szyfrowanie tajnych listów Walsinghama do królowej i Cecila. Elżbieta traktowała swoich szpiegów z takim samym skąpstwem jak wszystkich innych poddanych, więc Ned zawsze szukał jak najniższych cen.

– Co robi sir Francis?

– Czyta Biblię.

– Więc mam czas. Przyślij ją tutaj.

Chwilę później do pokoju weszła mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Ned przyglądał jej się z zainteresowaniem. Może nie piękna, ale całkiem niebrzydka; skromnie ubrana, a na jej twarzy malował się wyraz determinacji złagodzony nieco spojrzeniem niebieskich oczu. Przedstawiła się jako Thérèse St Quentin. Wyjęła ze skórzanej torby próbki papieru i atramentu, a potem zachęciła Neda, by je wypróbował.

Usiadł przy sekretarzyku. Zarówno papier, jak i atrament były dobrej jakości.

– Skąd bierze pani towar? – spytał.

– Papier produkowany jest pod Paryżem, w Saint-Marcel – odparła. – Mam też piękny papier z Fabriano we Włoszech, doskonały na listy miłosne.

Zabrzmiało to jak wstęp do flirtu, ale poza tym kobieta nie zachowywała się kokieteryjnie, domyślił się więc, że to tylko forma zachwalania towaru.

– A atrament?

– Robię go sama. Dlatego tak mało kosztuje, choć jest bardzo dobry.

Porównał jej ceny z tym, co zwykle płacił za materiały piśmienne, i stwierdził, że rzeczywiście jest tania, więc złożył zamówienie.

– Przyniosę wszystko jeszcze dzisiaj – zapewniła, po czym spytała przyciszonym głosem: – Ma pan Biblię po francusku?

Ned był zdumiony. Czyżby ta niepozorna, szacowna kobieta handlowała nielegalną literaturą?

– Przecież to wbrew prawu! – zaprotestował głośno.

– Ale zgodnie z porozumieniem z Saint-Germain łamanie tego prawa nie jest już karane śmiercią – odparła spokojnie.

Mówiła o porozumieniu zawartym na konferencji pokojowej w Saint-Germain, w której Ned uczestniczył jako zastępca Walsinghama, znał więc wszystkie szczegóły. Traktat przyznawał hugenotom ograniczoną wolność wyznania. Według Neda katolicki kraj tolerujący protestantów nie różnił się szczególnie od kraju protestanckiego tolerującego katolików; liczyła się przede wszystkim wolność. Ta była jednak krucha: we Francji zawierano już wcześniej traktaty pokojowe, lecz żadnego z nich nie udało się utrzymać przez dłuższy czas. Francuscy kaznodzieje, słynący ze swej nieprzejednanej postawy, potępiali wszystkie próby porozumienia. Ten traktat miał zostać przypieczętowany małżeństwem – awanturnicza siostra króla, księżniczka Małgorzata – nazywana przez swoich braci Margot – była zaręczona z Henrykiem Burbonem, protestanckim królem Nawarry – lecz choć od konferencji minęło już półtora roku, ślub nadal nie został zawarty.

– Traktat może zostać zerwany, a ludzie tacy jak pani padną ofiarą niespodziewanego ataku – przestrzegł kobietę Ned.

– Pewnie nie byłby wcale niespodziewany – odparła. Chciał spytać dlaczego, ale ona mówiła już dalej: – Poza tym myślę, że mogę panu zaufać.

Jako wysłannik Elżbiety musi pan być protestantem.

– No dobrze, ale dlaczego to panią interesuje? – spytał ostrożnie.

– Jeśli chce pan francuską Biblię, mogę ją panu załatwić.

Ned był zdumiony jej odwagą. Tak się składało, że chciał mieć Biblię po francusku. Mówił tym językiem jak rodowity Francuz, ale czasami w rozmowie nie wychwytywał biblijnych cytatów i aluzji, których bez przerwy używali protestanci, doszedł więc do wniosku, że powinien przeczytać najbardziej znane księgi we francuskim tłumaczeniu. Jako zagraniczny dyplomata nie miałby większych kłopotów, gdyby znaleziono przy nim francuską Biblię, co tak czy inaczej wydawało się mało prawdopodobne.

– Ile? – spytał.

– Mam dwie edycje, obie wydrukowane w Genewie: standardową, po okazyjnej cenie dwóch liwrów, i pięknie oprawioną wersję w dwóch kolorach, z ilustracjami, za siedem liwrów. Mogę przynieść obie i pokazać panu.

– Zgoda.

– Widzę, że gdzieś się pan wybiera. Pewnie do Luwru, w takim pięknym dublecie…

– Owszem.

– Wróci pan na kolację?

– Prawdopodobnie.

Ned czuł się nieco speszony. Kobieta przejęła całkowicie kontrolę nad rozmową, on jedynie akceptował jej propozycje. Była apodyktyczna, ale tak szczera i sympatyczna, że nie mógł się na nią obrazić.

– W takim razie przyniosę panu papier i atrament oraz dwa wydania Biblii, żeby mógł pan sam wybrać egzemplarz, który bardziej panu odpowiada.

Nie przypominał sobie, by zobowiązał się do kupna Biblii, ale postanowił to przemilczeć.

– Chętnie je zobaczę.

– W takim razie przyjdę tu przed wieczorem.

Jej opanowanie było imponujące.

– Jest pani bardzo odważna – zauważył Ned.

– Nasz Pan daje mi siłę.

Bez wątpienia, pomyślał. Ale musiała przecież od czegoś zacząć.

– Proszę mi coś zdradzić. – W końcu przejął inicjatywę. – Jak to się stało, że zajęła się pani handlem nielegalnymi wydawnictwami?

– Mój ojciec był drukarzem. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym dziewiątym spalono go na stosie jako heretyka, a cały jego majątek

skonfiskowano, więc matka i ja zostałyśmy bez środków do życia. Miałam wtedy jedynie kilka egzemplarzy Biblii, które zdążył wydrukować.

– Więc zajmuje się pani tym od trzynastu lat?

– Prawie.

Jej odwaga zapierała Nedowi dech w piersiach.

– Przecież przez większość tego czasu w każdej chwili mogła pani zostać aresztowana i stracona jak ojciec.

– Owszem.

– Ale z pewnością mogła pani prowadzić bezpieczne interesy i sprzedawać tylko papier i atrament.

– Oczywiście. Uważamy jednak, że ludzie mają prawo sami czytać Słowo Boże i sami decydować o tym, co głosił nasz Pan.

Ned również w to wierzył.

– I gotowa jest pani ryzykować dla tego życie.

Nie wspominał już, że gdyby ją schwytano, przed egzekucją zostałaby poddana okrutnym torturom.

– Tak – potwierdziła.

Ned wpatrywał się w nią z fascynacją. Odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem, po czym rzuciła:

– W takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Kiedy opuściła jego pokój, Ned podszedł do okna i spojrzał na zatłoczony targ warzywny w dzielnicy Maubert. Ta niezwykła kobieta nie obawiała się pogromu protestantów. „Pewnie nie byłby wcale niespodziewany” – powiedziała. Zastanawiał się, jakim sposobem może znać z wyprzedzeniem zamiary skrajnie radykalnych katolików.

Chwilę później wyszła z jego kamienicy i ruszyła przed siebie, drobna, wyprostowana, zdecydowana; gotowa umrzeć za ideał tolerancji, któremu hołdował również Ned. Co za kobieta! – pomyślał. Prawdziwa bohaterka.

Obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

II

Pierre Aumande Gwizjusz przycinał swą jasną brodę, przygotowując się do wizyty na królewskim dworze w Luwrze. Zawsze nadawał jej spiczasty kształt, by upodobnić się do swojego młodego mistrza, dwudziestojednoletniego księcia Henryka Gwizjusza.

Przyjrzał się uważnie swemu odbiciu. Nabawił się jakiejś choroby skóry, przez którą w kącikach oczu i ust oraz pod włosami pojawiały się czerwone łuszczące się plamy. Podobne przebarwienia wystąpiły po wewnętrznych stronach kolan oraz łokci i choć tam pozostawały niewidoczne, te miejsca okropnie go swędziały. Medyk Gwizjuszów uznał, że to skutek zbyt wysokiej temperatury, i przepisał maść, która zdaniem Pierre'a tylko nasilała objawy.

Do komnaty wszedł jego dwunastoletni pasierb Alain. Był żałosnym dzieckiem, niewyrośniętym i nieśmiałym jak dziewczyna. Pierre wysłał go do sklepu na rogu, by kupił mleko i ser. Chłopak przyniósł ze sobą dzbanek i kielich.

– Gdzie ser? – spytał Pierre.

– Nie mieli dzisiaj dostawy – odparł Alain po chwili wahania.

Pierre spojrzał mu prosto w oczy.

– Kłamca – warknął. – Zapomniałeś.

Dzieciak był przerażony.

– Nie, naprawdę nie mieli! – odparł z płaczem.

W drzwiach stanęła chuda pokojówka Nath.

– Co się stało, Alain? – spytała.

– Okłamał mnie, a teraz boi się lania – odpowiedział jej Pierre. – Czego chcesz?

– Przyszedł do pana jakiś ksiądz. Nazywa się Jean Langlais.

Tak brzmiał pseudonim, który Pierre nadał Rollo Fitzgeraldowi, najbardziej obiecującemu z angielskich emigrantów studiujących w Angielskim College'u.

– Przyślij go tutaj. Zabierz tego płaksę i kup trochę sera na śniadanie.

Po pierwszym spotkaniu Pierre widział się z Rollo jeszcze dwukrotnie i przy obu tych okazjach Anglik zrobił na nim duże wrażenie. Był inteligentny i oddany sprawie, a w jego oczach płonął ogień świętej sprawy. Z całego serca nienawidził protestantów, niewątpliwie dlatego, że purytanie zrujnowali jego rodzinę w Kingsbridge, skąd pochodził. Pierre wiązał z nim wielkie nadzieje.

Chwilę później pojawił się Rollo ubrany w sutannę, z drewnianym krzyżem na piersiach.

Uścisnęli sobie dłonie i Pierre zamknął drzwi.

– Czy ta młoda dama jest twoją żoną? – spytał Rollo.

– Ależ skąd! – żachnął się Pierre. – Moja żona była damą dworu Véronique z Gwizjuszów. – Mijał się z prawdą. Odette była zwykłą służącą,

a nie damą dworu, ale nie chciał, by ludzie o tym wiedzieli. – Właśnie wyszła. – Odette poszła na targ rybny. – A kobieta, która cię wpuściła, to zwykła pokojówka.

Rollo był zażenowany.

– Wybacz mi, proszę.

– Nic się nie stało. Witaj w naszych skromnych progach. Większość czasu spędzam w pałacu Gwizjuszów przy Vieille rue du Temple, ale gdybyśmy się tam spotkali, widziałoby nas co najmniej dwadzieścia osób. Moje mieszkanie ma jedną dużą zaletę: jest tak niepozorne, że nikomu nie przyjdzie do głowy przysyłać tu szpiegów.

W rzeczywistości nie mógł się już doczekać, kiedy opuści tę norę, ale nie zdołał jeszcze namówić młodego księcia Henryka, by dał mu komnatę w pałacu. Pierre był teraz najważniejszym z doradców Gwizjuszów, ale ci nie spieszyli się z przyznaniem mu takiego statusu, na jaki sobie zasłużył.

– Jak sprawy w Douai? – spytał.

– Doskonale. Odkąd papież ekskomunikował Elżbietę, dołączyło do nas kolejnych piętnastu młodych Anglików oddanych sprawie prawdziwej wiary. Właściwie William Allen przysłał mnie tutaj z wiadomością, że jesteśmy

już prawie gotowi, by wysłać grupę młodzieńców z powrotem do Anglii.

– Jak to zostanie zorganizowane?

– Ojciec Allen poprosił mnie, bym zajął się tą operacją.

Pierre pomyślał, że to dobra decyzja. Rollo bez wątpienia nadawał się na kogoś więcej niż zwykłego księdza.

– Więc jak wygląda twój plan?

– Wysadzimy ich o zmierzchu na jakiejś odległej pustej plaży, skąd udadzą się nocą do zamku mojej siostry, hrabiny Shiring. Od lat organizuje tajne katolickie nabożeństwa i dysponuje już całą siecią księży działających w ukryciu. Stamtąd rozjadą się po całej Anglii.

– Do jakiego stopnia można polegać na twojej siostrze?

– Całkowicie, z wyjątkiem działań, które wiążą się z rozlewem krwi. Niestety, tu kończy się jej oddanie i dobra wola. Nigdy nie umiała zrozumieć, że przemoc jest czasem koniecznym elementem służby dla Kościoła.

– Cóż, jest kobietą. – Pierre westchnął, zadowolony, że jego rozmówca najwyraźniej rozumie potrzebę używania przemocy.

– A co w Paryżu? – spytał Rollo. – Przyznam, że w Douai martwią nas wieści ze stolicy.

– Pokój z Saint-Germain to dla nas prawdziwa porażka, nie da się temu zaprzeczyć. Papież Pius Piąty dąży niewątpliwie do wytępienia wszystkich protestantów, ale król Karol Dziewiąty odrzucił tę politykę na rzecz pokojowego współistnienia.

Rollo skinął głową.

– W pewnym stopniu zmusiły go do tego klęski militarne.

– Owszem. Wielka szkoda, że Coligny okazał się tak zdyscyplinowanym i utalentowanym generałem wojsk hugenotów. W dodatku królowa matka, Katarzyna, też toleruje tę plugawą herezję. – Czasami Pierre miał wrażenie, że wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu. – Ale widzieliśmy już podobne edykty głoszące tolerancję i żaden z nich nie przetrwał zbyt długo – dodał z satysfakcją.

– Czy księżniczka Margot poślubi Henryka Burbona?

Rollo zadawał odpowiednie pytania. Henryk był synem nieżyjącego już Antoniego Burbona i jako król Nawarry był najwyższym rangą członkiem propagującego tolerancję sojuszu między Burbonami i rodem Montmorencych. Gdyby wżenił się w królewską rodzinę Walezjuszów, mógłby utrzymać porozumienie

z Saint-Germaine, a Burbonowie, Montmorency i Walezjusze, połączeni, byliby w stanie doprowadzić do upadku Gwizjuszów.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – odpowiedział Pierre. – Ale Coligny wciąż gdzieś się czai. Musimy go traktować jako stałe zagrożenie.

– Szkoda, że ktoś nie wbije mu noża w serce.

– Wielu ludzi chciałoby to zrobić, uwierz mi – zapewnił go Pierre; mówił również o sobie. – Ale Coligny nie jest głupi, nie daje nikomu takiej okazji. Rzadko pojawia się w Paryżu. – Usłyszał, jak dzwon kościoła Saint-Étienne wybija dziesiątą. – Muszę iść do Luwru – powiedział. – Gdzie się zatrzymasz?

Rollo rozejrzał się. Najwyraźniej zakładał, że znajdzie nocleg w domu Pierre'a, ale teraz uświadomił sobie, że jest to niemożliwe.

– Nie wiem.

– Hrabia Beaulieu zawsze chętnie przyjmuje angielskich katolików. Możesz poznać w jego domu ludzi, którzy pomogą ci zrealizować twoje plany. Ale uważaj też na angielskich protestantów.

– Ilu ich jest w Paryżu?

– Trochę, głównie w ambasadzie. Ambasadorem jest sir Francis Walsingham,

bardzo bystry, choć zrzędliwy.

– A do tego przeklęty purytański bluźnierca – dodał Rollo.

– Mam go na oku. Niebezpieczniejszy jest jego zastępca, bo ma nie tylko tęgi umysł, ale i sporo wdzięku. To sir Ned Willard.

– Niemożliwe – zdumiał się Rollo. – Ned Willard jest zastępcą ambasadora?

– Widzę, że go znasz.

– Pochodzi z Kingsbridge. Nie wiedziałem, że stał się tak ważną postacią.

– O, tak. – Pierre przypomniał sobie młodego mężczyznę, który udawał w Saint-Dizier szkockiego protestanta. Później Pierre przeczytał w przemyconym liście od Alison McKay, jak Willard przyjechał do zamku Carlisle, by powiedzieć Marii Stuart, że jest uwięziona. Teraz ten sam człowiek pojawił się w Paryżu. – Neda Willarda nie należy lekceważyć.

– Tłukłem go, kiedy chodziliśmy razem do szkoły.

– Naprawdę?

– Teraz żałuję, że nie pobiłem go na śmierć.

Pierre podniósł się z krzesła.

– Hrabia Beaulieu mieszka przy rue Saint-Denis. Pokażę ci drogę. – Wyprowadził Rollo na dół i na ulicę. – Odwiedź mnie jeszcze przed

wyjazdem z Paryża. Być może będę miał listy dla Williama Allena. – Pokazał Anglikowi, jak trafić do pałacu hrabiego, po czym pożegnali się uściskiem dłoni.

Gdy Rollo ruszył w drogę, Pierre zauważył kobietę zmierzającą w tym samym kierunku. Wydawała mu się znajoma, była jednak odwrócona plecami i zniknęła za rogiem, nim zdołał ją rozpoznać. Pomyślał, że nie miała na sobie kosztownego stroju, a więc nie mogła być nikim ważnym. Gdy wrócił do środka, całkiem o niej zapomniał.

Zastał Alaina w kuchni. Oznajmił:

– Alainie, mam ci coś smutnego do powiedzenia – odezwał się do niego łagodniejszym niż zazwyczaj głosem. – Doszło do wypadku. Twoją matkę stratował koń. Niestety, nie żyje.

Chłopiec przez chwilę wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, a potem wykrzywił twarz w grymasie rozpaczy:

– Mamo! – krzyknął. – Mamusiu! Mamusiu!

– Nie ma sensu jej wołać – warknął Pierre, wracając do pełnego irytacji tonu, którego używał zazwyczaj w rozmowach z synem Odette. – Nie usłyszy cię. Nie żyje. Odeszła i już nigdy jej nie zobaczymy.

Alain zawodził przeraźliwie. Kłamstwo Pierre’a okazało się tak sugestywne, że sam omal go nie pożałował.

Chwilę później do pokoju wpadła Odette z koszem pełnym ryb.

– Alainie, co się stało?! – zawołała.

Chłopiec otworzył oczy, zobaczył swoją matkę i rzucił się jej w ramiona.

– On powiedział, że umarłaś!

– Ty świnio – warknęła Odette, odwracając się do Pierre’a. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Żeby dać mu nauczkę – odparł zadowolony z siebie Pierre. – Okłamał mnie, więc i ja go okłamałem. Więcej tego nie zrobi.

III

Luwr był kwadratową średniowieczną fortecą z okrągłymi wieżami o stożkowatych dachach, ustawionymi na rogach umocnień. Walsingham i Ned przeszli po moście zwodzonym nad fosą i wkroczyli na dziedziniec. Ned był czujny, podekscytowany, gotowy do działania. Tu skupiała się władza. W tym budynku znajdowali się ludzie, którzy dowodzili armiami i wszczynali wojny, którzy mogli wynosić swoich przyjaciół

na wysokie stanowiska i niszczyć wrogów, ludzie, którzy decydowali o życiu i śmierci swoich poddanych. A Ned właśnie miał się z nimi spotkać.

Nieżyjący już król Henryk II zniszczył mur po zachodniej stronie kwadratu i zastąpił go nowoczesnym pałacem we włoskim stylu, ze żłobkowanymi filarami, niezwykle wysokimi oknami i masą rzeźb. Ned uświadomił sobie, że w Londynie próżno by szukać podobnej budowli. Całkiem niedawno syn Henryka II, Karol IX, powiększył nowy pałac, nadając mu kształt litery L.

Jak zawsze, dwór zbierał się w szeregu połączonych ze sobą pomieszczeń, zgodnie z przypadającym im miejscem w hierarchii. Stajenni, służące i strażnicy pozostawali na dziedzińcu, bez względu na pogodę. Ned i Walsingham weszli środkowymi drzwiami do sali balowej, która zajmowała cały parter zachodniego skrzydła. W tym pomieszczeniu przebywała wyższa rangą służba, między innymi damy dworu. Przechodząc na następny poziom, zwrócił uwagę na olśniewająco piękną kobietę, która wpatrywała się w niego z dziwną miną wyrażającą zdumienie, nadzieję i szok jednocześnie.

Zaskoczony, przyjrzał się jej uważniej. Była mniej więcej w jego wieku, miała klasyczną śródziemnomorską urodę, gęste ciemne włosy, wyraźnie zaznaczone brwi i zmysłowe usta. Dzięki charakterystycznej czarno-czerwonej sukni była bez wątpienia najbardziej ekstrawagancko – choć nie najdrożej – ubraną kobietą na sali. Było w niej coś, co skłoniło Neda do przypuszczeń, że nie jest zwykłą damą dworu.

W jej francuszczyźnie słychać było wyraźnie obcy – choć nie angielski – akcent.

– Nie, pan na pewno nie jest Barneyem – odezwała się nieoczekiwanie.

Zaskoczony Ned uniósł brwi, potem jednak zrozumiał.

– Mój brat ma na imię Barney, ale jest ode mnie wyższy i przystojniejszy.

– Więc musi być pan Nedem!

Teraz uświadomił sobie, że kobieta mówi z hiszpańskim akcentem.

– Owszem, to właśnie ja, señorita – odpowiedział, kłaniając się nisko.

– Barney często o panu wspominał. Uwielbia swojego młodszego braciszka.

– Idę dalej – rzucił zniecierpliwiony Walsingham. – Nie zabaw tu zbyt długo.

– Jestem Jeronima Ruiz – przedstawiła się Nedowi kobieta.

To nazwisko z czymś mu się kojarzyło.

– Poznała pani Barneya w Sewilli, prawda?

– Czy go poznałam? Chciałam za niego wyjść. Ale nie było nam to pisane.

– A teraz jest pani w Paryżu.

– Jestem bratanicą kardynała Romero, który przyjechał tutaj z misją dyplomatyczną w imieniu króla Hiszpanii, Filipa.

Gdyby była to oficjalna misja, Ned z pewnością by o niej słyszał, więc chodziło zapewne o jakieś ciche spotkanie.

– Przypuszczam, że król Filip nie chce, by księżniczka Margot wychodziła za hugenota. – Próbował wyciągnąć od swojej rozmówczyni jakieś informacje. Oboje dobrze wiedzieli, że król Hiszpanii popiera francuskich katolików, tak jak królowa Anglii pomaga protestantom.

– Jestem tylko kobietą, nie interesują mnie takie sprawy.

– Odpowiedź godna wytrawnego dyplomaty. – Ned uśmiechnął się.

– Przyjechałam do Paryża, by pełnić honory gospodyni przy stole mojego wuja – oznajmiła Jeronima, trzymając się swojej roli. – Kardynał oczywiście nie ma żony. W odróżnieniu od

waszych angielskich kapłanów, którym wolno robić wszystko – dodała, spoglądając prowokacyjnie na Neda.

Jest naprawdę urzekająca, pomyślał.

– Dlaczego nie wyszła pani za mojego brata? – spytał.

Zacisnęła usta w gniewnym grymasie.

– Mój ojciec umarł podczas „przesłuchania" prowadzonego przez inkwizycję. Moja rodzina straciła wszystko. Archidiakon Romero, bo wtedy pełnił taką funkcję, zaprosił mnie do siebie. Uratował mnie, ale musiałam porzucić myśli o małżeństwie.

Ned już wszystko rozumiał. Nie była bratanicą, lecz kochanką Romero, który wykorzystał ją w chwili, gdy zawalił się cały jej świat.

Spojrzał jej prosto w oczy i dostrzegł w nich głęboki ból.

– Została pani okrutnie potraktowana – powiedział cicho.

– To była moja decyzja.

Zastanawiał się, czy te doświadczenia nie uczyniły z niej wroga Kościoła katolickiego, a jeśli tak, to czy nie chciałaby się zemścić, pomagając protestantom. Wolał jednak nie pytać jej o to wprost.

– Chciałbym jeszcze kiedyś z panią porozmawiać.

Obrzuciła go taksującym spojrzeniem, jakby dobrze wiedziała, o co mu naprawdę chodzi.

– Zgoda – rzuciła.

Ned pożegnał ją uprzejmym ukłonem. Przeszedł pod galerią dla muzyków podtrzymywaną przez cztery kariatydy i wstąpił na schody. Co za piękna kobieta! – pomyślał, choć była bardziej w typie jego brata. A jaki jest mój typ? – zadał sobie pytanie. Ktoś taki jak Margery, oczywiście.

Przeszedł przez wartownię obsadzoną szwajcarskimi najemnikami, którzy tworzyli straż przyboczną króla, i wkroczył do dużej, jasnej komnaty zwanej poczekalnią. Tu zatrzymywali się ludzie, którzy przy odrobinie szczęścia mogli zostać dopuszczeni przed oblicze króla, pomniejsi arystokraci i inni petenci.

– Nie żałowałeś czasu na flirty z tą hiszpańską zdzirą – burknął gniewnie Walsingham.

– Owszem, ale rzecz była warta zachodu – odparł Ned.

– Doprawdy… – Walsingham nie krył sceptycyzmu.

– Jest kochanką kardynała Romero. Chyba uda mi się ją zwerbować.

Walsingham natychmiast zmienił ton.

– Świetnie! Chciałbym wiedzieć, co kombinuje ten oślizgły hiszpański klecha.

Umilkł, dojrzawszy w tłumie markiza Lagny, sympatycznego grubaska, który ukrywał łysinę pod wysadzaną klejnotami czapką. Lagny był protestantem, obracał się w kręgach zbliżonych do Gasparda de Coligny. Dwór musiał tolerować hugenotów należących do arystokracji, przynajmniej dopóki w jakiś oczywisty sposób nie obrazili króla.

– Chodź ze mną – rzucił Walsingham, po czym obaj przeszli przez salę.

Ambasador pozdrowił markiza nienaganną francuszczyzną – żył na wygnaniu przez większość rządów starszej siostry Elżbiety, katolickiej królowej Marii Tudor, zwanej Krwawą Mary, i mówił płynnie w kilku językach.

Spytał Lagny'ego o sprawę, która zajmowała obecnie umysły wszystkich, którzy choć trochę interesowali się polityką lub religią, czyli o Niderlandy Hiszpańskie. Bezwzględny generał króla Filipa, książę Alba, rozprawiał się okrutnie z protestanckimi powstańcami. Na pomoc buntownikom zmierzała armia francuskich protestantów dowodzona przez Jeana de Hangesta, dziedzica Genlis.

– Coligny rozkazał Hangestowi połączyć siły z Wilhelmem Orańskim – relacjonował markiz. Książę Oranii był przywódcą Niderlandczyków. – Wilhelm poprosił królową Elżbietę o pożyczkę w wysokości trzydziestu tysięcy funtów. Myślisz, że Jej Wysokość się zgodzi, sir Francisie? – pytał Francuz.

– Być może – odparł Walsingham.

Ned uważał, że to mało prawdopodobne. Elżbieta raczej nie miała wolnych trzydziestu tysięcy funtów, a gdyby nawet je znalazła, zapewne wydałaby te pieniądze na coś innego.

Musiał oderwać się na chwilę od rozmowy dyplomatów, gdy zaczepiła go bogato odziana kobieta w średnim wieku.

– Sir Ned! Wygląda pan niezwykle elegancko – odezwała się do niego po angielsku.

Ukłonił się Marianne hrabinie Beaulieu, angielskiej katoliczce, która poślubiła francuskiego arystokratę. Była tu z córką, pulchną i pełną życia osiemnastolatką. Dziewczyna nosiła imię Afrodyta, gdyż jej ojciec studiował Grekę. Księżna miała słabość do Neda i zachęcała go do rozmowy z córką. Oczywiście, nigdy nie pozwoliłaby jej wyjść za protestanta, miała jednak nadzieję, że Ned kiedyś się nawróci. Nawet lubił tę młodziutką arystokratkę, ale nie

żywił do niej żadnych głębszych uczuć; była wesołą, beztroską dziewczyną, pozbawioną poważniejszych zainteresowań, i szybko go nudziła. Mimo to flirtował zarówno z matką, jak i córką, bo chciał się dostać do pałacu hrabiego Beaulieu przy rue Saint-Denis. Wiedział, że znajduje tam schronienie wielu katolickich emigrantów z Anglii, i przypuszczał, że właśnie tam zawiązuje się kolejny spisek przeciwko królowej Elżbiecie. Jak dotąd jednak nie został tam zaproszony.

Teraz rozmawiał z obiema kobietami o historii, którą żył cały Paryż, czyli romansie księżniczki Margot z Henrykiem Gwizjuszem.

– Książę Henryk wcale nie jest pierwszym mężczyzną, który zabiega o łaski księżniczki – powiedziała posępnym tonem hrabina.

Afrodyta była zszokowana i podekscytowana sugestią, że księżniczka może prowadzić rozwiązłe życie.

– Mamo! – wykrzyknęła. – Nie powinnaś powtarzać takich oszczerstw. Księżniczka jest zaręczona z Henrykiem Burbonem!

– Może pomylili jej się dwaj Henrykowie – mruknął Ned.

– Tak, w tym kraju jest za dużo Henryków. – Hrabina zachichotała.

Nawet nie wspomniał o szokujących plotkach głoszących, że Margot utrzymuje kazirodczy związek ze swoim siedemnastoletnim bratem Franciszkiem Herkulesem.

Przerwali rozmowę, gdy podszedł do nich Bernard Housse, bystry młody dworzanin, który dobrze wiedział, jak przysłużyć się królowi. Afrodyta przywitała go radosnym uśmiechem, a Ned pomyślał, że to właśnie może być jej wymarzona partia.

Odwrócił się od swoich rozmówczyń zajętych nowo przybyłym gościem i natknął się na markizę Nîmes, która była protestantką. Ponętna Louise de Nîmes, która mniej więcej dorównywała wiekiem Nedowi, była drugą żoną znacznie starszego od niej markiza. Jej ojciec, podobnie jak w przypadku Neda, był bogatym kupcem. Natychmiast podzieliła się z Anglikiem najnowszymi plotkami.

– Król dowiedział się o Margot i Henryku Gwizjuszu! Przyłapał ich na gorącym uczynku!

– Naprawdę? I co zrobił?

– Wyciągnął ją z łóżka i kazał wychłostać!

– O mój Boże… Przecież ona ma osiemnaście lat. Nie jest już trochę za stara na chłostę?

– Król może robić, co tylko zechce.

Louise przeniosła wzrok nad ramię Neda, a uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy. Wyglądała tak, jakby zobaczyła zdechłego szczura.

Jej reakcja była tak zadziwiająca, że Ned obrócił się w miejscu, by zobaczyć, co ją wywołało, i ujrzał Pierre'a Aumande'a.

– Coś mi się wydaje, że nie lubisz, pani, monsieur Aumande'a de Gwizjusza – zauważył.

– To żmija. I wcale nie jest Gwizjuszem. Wychowałam się w tych samych stronach co on i znam jego pochodzenie.

– Tak? Powiedz mi coś o tym, pani.

– Jego ojciec jest nieślubnym synem kogoś, kto należał do mniej znaczącej gałęzi rodu Gwizjuszów. Rodzina wysłała bękarta do szkoły i załatwiła mu posadę proboszcza w parafii Thonnance-lès-Joinville.

– Skoro był księdzem, to jak mógł być ojcem Pierre'a?

– Matka Pierre'a była gosposią proboszcza.

– Więc Pierre jest nieprawym synem nieślubnego syna Gwizjusza.

– Na domiar wszystkiego kazali mu poślubić służącą, która nosiła dziecko innego jurnego Gwizjusza.

– Fascynujące. – Ned odwrócił się ponownie i przyglądał się przez chwilę Pierre’owi. Francuz miał na sobie kosztowny lawendowy dublet z rozcięciem ukazującym fioletową podszewkę. – Chyba wcale mu to nie przeszkadza.

– To okropny człowiek. Kiedyś był wobec mnie niemiły, więc go zbeształam, i od tej pory mnie nienawidzi.

Pierre rozmawiał właśnie z jakimś mężczyzną o groźnej powierzchowności, ubranym zbyt skromnie jak na to miejsce i okazję.

– Ten człowiek zawsze wydawał mi się trochę złowrogą postacią – zauważył Ned.

– Trochę!?

Walsingham przywołał go gestem, więc Ned przeprosił Louise i dołączył do ambasadora. Razem przeszli przez drzwi prowadzące do ostatniego i najważniejszego pomieszczenia, prywatnej komnaty króla.

IV

Pierre obserwował ukradkiem, jak Walsingham w towarzystwie Neda Willarda przechodzi do prywatnej komnaty króla. Poczuł odrazę przyprawiającą go niemal o mdłości; ci

dwaj byli wrogami wszystkiego, co zapewniało Gwizjuszom władzę i bogactwo. Nie byli wcale arystokratami – pochodzili z biednej prowincji – i na dodatek wyznawali herezję, ale tak czy inaczej, budzili w nim lęk i nienawiść.

Rozmawiał właśnie ze swoim najważniejszym szpiegiem, Georges'em Bironem, dziedzicem Montagny, małej miejscowości w Poitiers. Biron był pomniejszym arystokratą z maleńkimi dochodami. Miał tylko tę zaletę, że potrafił poruszać się sprawnie w kręgach arystokracji. Jako pilny uczeń Pierre'a, stał się człowiekiem chytrym i bezwzględnym.

– Obserwuję Walsinghama od miesiąca, ale nie zrobił nic, co moglibyśmy wykorzystać przeciwko niemu – oznajmił Biron. – Nie ma kochanek ani kochanków, nie uprawia hazardu i nie pije, nie próbuje przekupywać służących króla ani nikogo innego. Jest albo niewinny jak dziecko, albo bardzo dyskretny.

– Stawiałbym na to drugie.

Biron wzruszył tylko ramionami.

Instynkt podpowiadał Pierre'owi, że ci dwaj angielscy protestanci coś knują.

– Każ obserwować zastępcę, a nie ambasadora – polecił, podejmując spontaniczną decyzję.

– Willarda – potwierdził Biron, choć Francuzowi nie było łatwo wypowiedzieć to nazwisko.

– Ta sama procedura. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Znajdź jego słabe punkty.

– Tak jest.

Pierre pożegnał swojego szpiega i przeszedł za Walsinghamem do komnaty audiencyjnej. Był dumny, że należy do wąskiego grona uprzywilejowanych, choć wspominał też z nostalgią czasy, gdy on i inni Gwizjusze mieszkali w pałacu wraz z rodziną królewską.

Jeszcze tu wrócimy, obiecał sobie.

Przeszedł przez salę i ukłonił się młodemu księciu Henrykowi Gwizjuszowi. Henryk miał dwanaście lat, gdy Pierre przyniósł mu wiadomość o zabójstwie jego ojca i zapewnił go, że zbrodni dokonał Gaspard de Coligny. Choć teraz był już dwudziestojednoletnim młodzieńcem, nie zapomniał o zemście – Pierre już tego dopilnował.

Książę bardzo przypominał swego ojca: miał jasną cerę i włosy, był wysoki, przystojny i agresywny. W wieku piętnastu lat pojechał na Węgry, by walczyć z Turkami. W odróżnieniu od ojca, Człowieka z Blizną, nie został jeszcze oszpecony i mógł cieszyć się nieskazitelną urodą.

Od wczesnego dzieciństwa wpajano mu, że jego przeznaczeniem jest stać na straży Kościoła katolickiego i rodu Gwizjuszów, a on nigdy tego nie kwestionował.

Jego romans z Margot był z pewnością świadectwem odwagi, jak twierdził jeden z nadwornych żartownisiów, bo księżniczka nie należała do osób o łagodnym usposobieniu. Pierre przypuszczał, że tworzyli niezwykle wybuchową parę.

Z rozmyślań wyrwał go głos trąbki zwiastujący przybycie króla. W komnacie zapadła cisza, a wszyscy zgromadzeni wbili wzrok w drzwi, zza których wyszedł Karol.

Miał dziesięć lat, gdy został monarchą. W tym czasie wszystkie decyzje podejmowali za niego inni ludzie, głównie matka, królowa Katarzyna. Teraz skończył już dwadzieścia jeden lat i mógł rządzić samodzielnie, ale wciąż chorował – podobno miał jakieś problemy z klatką piersiową – więc łatwo ulegał wpływom ludzi ze swego otoczenia, czasami Katarzyny, czasami innych. Pierre pomyślał z żalem, że obecnie do tego grona nie zaliczali się niestety Gwizjusze.

Król zaczął audiencję od zwyczajowych uprzejmości i powitań, które od czasu do czasu przerywał chrapliwym, nieprzyjemnym kaszlem.

Siedział na rzeźbionym i malowanym tronie, podczas gdy wszyscy inni stali. Pierre wyczuwał jednak, że monarcha chce jak najszybciej przejść do rzeczy i wygłosić jakieś oświadczenie. Wkrótce okazało się, że instynkt go nie zawiódł.

– Przed niemal dwoma laty, w sierpniu, uzgodniono, że nasza siostra oraz Henryk Burbon król Nawarry zostaną małżeństwem – przemówił król.

Pierre zauważył kątem oka, że stojący obok niego Henryk Gwizjusz znieruchomiał, jakby czekał w napięciu na wyrok. I nie chodziło o to, że miał romans z księżniczką Margot, lecz o to, że Burbonowie i Gwizjusze byli śmiertelnymi wrogami. Oba rody walczyły między sobą o pozycję na królewskim dworze od kilkudziesięciu lat, nim jeszcze którykolwiek z dwóch młodych Henryków przyszedł na świat.

– To małżeństwo – mówił dalej król – wzmocni pokój i jedność w naszym królestwie.

Właśnie tego obawiali się Gwizjusze. Pierre wyczuwał, że za słowami Karola kryje się pojednawcze nastawienie jego matki.

– Postanowiłem więc, że ślub odbędzie się osiemnastego sierpnia tego roku.

Przez komnatę przebiegł szmer podniecenia: to była naprawdę ważna wiadomość. Dotąd

wielu ludzi miało nadzieję – lub obawiało się – że do ślubu nigdy nie dojdzie. Teraz ustalono ostatecznie datę, co dla Burbonów oznaczało zwycięstwo, a dla Gwizjuszów potężny cios.

Książę Henryk gotował się z wściekłości.

– Burbon i bluźnierca wchodzi do królewskiej rodziny – stwierdził z obrzydzeniem.

Pierre był przybity. Zagrożenie dla Gwizjuszów stanowiło również zagrożenie dla niego. Mógł stracić wszystko, co do tej pory udało mu się zdobyć.

– Kiedy twoja szkocka kuzynka Maria Stuart poślubiła Franciszka, staliśmy się najważniejszą rodziną – mruknął ponuro, zwracając się do Henryka. – Teraz będą nią Burbonowie.

Ta ocena sytuacji politycznej z pewnością była zgodna z prawdą, ale gniew Henryka Gwizjusza wynikał również z zazdrości o kobietę. Margot, która miała w sobie ekscytującą dzikość, była pewnie fantastyczną kochanką. Teraz książę stracił ją na rzecz Burbona.

Pierre zachował większy spokój i zdolność trzeźwego myślenia. Zauważył coś, co umknęło uwadze młodego Henryka.

– Wciąż może się zdarzyć tak, że do ślubu nie dojdzie – powiedział.

Książę Henryk Gwizjusz, podobnie jak jego ojciec, miał naturę żołnierza i nie znosił niedomówień.

– Co masz na myśli, do cholery?

– Ślub będzie największym wydarzeniem w historii francuskiego protestantyzmu. Będzie triumfem hugenotów.

– I co może być w tym dobrego?

– Zjadą się do Paryża z całego kraju. Wszyscy zaproszeni goście i tysiące innych, którzy będą tylko chcieli obejrzeć uroczystość i świętować.

– To będzie obrzydliwe widowisko. Już widzę, jak paradują po ulicach i obnoszą się ze swoimi czarnymi ubraniami.

– I wtedy zaczną się problemy – dodał Pierre półgłosem.

Henryk zaczynał rozumieć.

– Chcesz powiedzieć, że może dojść do aktów przemocy między triumfującymi protestantami i oburzonymi katolickimi obywatelami Paryża?

– Otóż to. I tu właśnie możemy upatrywać naszej szansy.

V

W drodze do magazynu Sylvie zatrzymała się w karczmie Saint-Étienne i zamówiła na obiad wędzonego łososia. Kupiła również kufel słabego piwa i opłaciła służącego, który zaniósł trunek do tylnych drzwi domu Pierre’a Aumande’a. Był to sygnał dla służącej Nath, by w miarę możliwości jak najszybciej przyszła do tawerny. Pojawiła się tam kilka minut później.

Dwudziestopięcioletnia Nath wyglądała mizerniej niż kiedykolwiek dotąd, lecz nie patrzyła już na świat ze strachem. Była oddanym członkiem protestanckiej wspólnoty zbierającej się w sali nad stajniami, a przynależność do grupy dodała jej pewności siebie. Dzięki przyjaźni z Sylvie służąca się zmieniła.

Sylvie przeszła od razu do rzeczy.

– Dziś rano widziałam Pierre’a z księdzem, którego nie znam – zaczęła. – Przechodziłam przypadkiem obok, kiedy wyszli z domu. – Coś w zachowaniu nieznajomego ją uderzyło. Wyglądał raczej przeciętnie; miał ciemne włosy, zakola i rudawą brodę, lecz w jego oczach i wyrazie twarzy kryła się ogromna zaciętość typowa dla niebezpiecznych fanatyków.

– Tak, właśnie chciałam ci o nim powiedzieć – potwierdziła Nath. – Jest Anglikiem.

– O, to ciekawe! Wiesz, jak się nazywa?

– Jean Langlais.

– Brzmi jak fałszywe nazwisko dla Anglika.

– Pojawił się po raz pierwszy, ale Pierre chyba go znał, więc pewnie poznali się gdzie indziej.

– Słyszałaś, o czym rozmawiali?

Nath pokręciła głową.

– Pierre zamknął drzwi.

– Szkoda – rzuciła Sylvie.

– Nie widział cię, kiedy tamtędy przechodziłaś? – spytała zaniepokojona służąca.

Sylvie pomyślała, że dziewczyna ma prawo się denerwować. Nie chciały, by Pierre się domyślał, że jest uważnie obserwowany przez protestantów.

– Chyba nie. Na pewno nie widział mojej twarzy, a nie wiem, czy byłby w stanie rozpoznać mnie od tyłu.

– To chyba niemożliwe, by cię zapomniał?

– Też tak myślę. W końcu był moim mężem. – Sylvie wzdrygnęła się na to wspomnienie.

– Choć z drugiej strony nigdy o tobie nie wspomina.

– Myśli, że nie jestem już ważna. I dobrze.

Sylvie dokończyła posiłek, po czym obie opuściły karczmę i każda ruszyła w swoją stronę. Sylvie poszła na północ, w stronę rue du Mur. Pomyślała, że Neda na pewno zainteresuje informacja o angielskim księdzu.

Polubiła zastępcę ambasadora królowej Elżbiety. Wielu mężczyzn uważało kobietę, która coś sprzedaje, za obiekt niedwuznacznych zaczepek, niektórzy byli wręcz przekonani, że jest gotowa rozłożyć przed nimi nogi, byle tylko zechcieli kupić od niej butelkę atramentu. Ned Willard traktował ją jednak z szacunkiem i zainteresowaniem. Był ważną i wpływową postacią, ale nie zachowywał się arogancko – wręcz przeciwnie, cechowała go skromność. Nie sądziła jednak, by oznaczało to, że jest mięczakiem. Obok jego płaszcza wisiała szpada i długi hiszpański sztylet, które nie wyglądały tak, jakby służyły tylko do ozdoby.

Na rue du Mur było pusto, gdy wyjęła klucz zza luźnej cegły i weszła do starej stajni bez okien, która przez wiele lat służyła jej za tajny magazyn nielegalnych książek.

Znów kończył się jej towar. Będzie musiała zamówić następną partię u Guillaume'a w Genewie.

Korespondencję między Guillaume’em i Sylvią przekazywał pewien protestancki bankier z Rouen, który miał w Genewie kuzyna. Przyjmował od niej pieniądze i prosił kuzyna, by zapłacił w jej imieniu Guillaume’owi. Sylvie musiała co prawda płynąć Sekwaną do Rouen, by załatwiać interesy, ale i tak było to znacznie prostsze niż podróż do Genewy. Odbierała towar osobiście i przywoziła go rzeką do Paryża. Korzystając z pomocy znajomego, Luca Mauriaca, opłacała wszystkie niezbędne łapówki, by mieć pewność, że celnicy nie zajrzą do skrzyń z „materiałami piśmiennymi”. Oczywiście, było to ryzykowane, jak każda działalność przestępcza, ale dotąd jakoś sobie radziła.

Znalazła dwie Biblie, schowała je do torby, a potem przeszła do sklepu przy rue de la Serpente, wąskiej uliczce w dzielnicy uniwersyteckiej. Weszła tylnymi drzwiami, wołając do matki:

– To tylko ja!

– Jestem z klientem!

Sylvie zabrała papier oraz atrament zamówione przez Neda i ułożyła je na małym wózku. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć matce o dużym zamówieniu, które dostała od czarującego Anglika, uznała jednak, że lepiej tego

nie robić. Było jej trochę głupio, że polubiła go tak bardzo już po jednym krótkim spotkaniu. Jej matka była kobietą o silnym charakterze i jednoznacznych opiniach, a Sylvie zawsze musiała być gotowa na to, by się z nią zgodzić lub przedstawić jej dobre kontrargumenty. Nie miały przed sobą tajemnic; wieczorami opowiadały sobie o wszystkim, co spotkało je w ciągu dnia. Ale do tej pory Sylvie będzie już miała za sobą drugie spotkanie z Nedem. Może tym razem wcale nie przypadnie jej do gustu.

– Muszę zawieźć zamówienie! – krzyknęła i opuściła sklep.

Pchając przed sobą wózek, przeszła rue de la Serpente, obok wielkiego kościoła Saint-Severin, przez szeroką rue Saint-Jacques, wzdłuż bladego kościółka Saint-Julien-le-Pauvre, przez zatłoczone targowisko Maubert, na którym stały szubienice, aż dotarła do ambasady Anglii. Wędrówka z ciężkim wózkiem po brukowanych ulicach nie była łatwa, ale Sylvie przywykła już do tego rodzaju wysiłku, więc pokonanie całego dystansu zajęło jej zaledwie kilka minut.

Gdy zapukała do drzwi, okazało się, że Ned Willard nie wrócił jeszcze z Luwru. Wyładowała więc towar z wózka, a służący pomógł jej wnieść wszystko na piętro.

Potem usiadła na ławce w sieni i czekała, ułożywszy u stóp torbę z Bibliami. Czasami obwiązywała jej pasek wokół nadgarstka, by nikt jej nie okradł – książki były drogie, a po ulicach Paryża kręciło się wielu złodziei. Przypuszczała jednak, że w tym miejscu jest całkowicie bezpieczna.

Kilka minut później do sieni wszedł Walsingham o surowej, inteligentnej twarzy. Sylvie natychmiast zrozumiała, że to ktoś, z kim należy się liczyć. Był ubrany na czarno, wyjątek stanowił biały kołnierz, ze zwykłego lnu, a nie koronki. Na głowie miał prostą, również czarną czapką, bez piór czy jakichkolwiek innych ozdób. Najwyraźniej chciał, by każdy, kto na niego spojrzy, wiedział od razu, że ma do czynienia z purytaninem.

Tuż za nim pojawił się Ned w niebieskim dublecie. Uśmiechnął się na widok Sylvie.

– To jest ta młoda dama, o której mówiłem – zwrócił się do Walsinghama, z grzeczności po francusku, by Sylvie mogła go zrozumieć. – Mademoiselle Thérèse St Quentin.

Ambasador uścisnął jej dłoń.

– Jest pani dzielną kobietą – powiedział. – Proszę kontynuować swoje dzieło.

Zniknął w sąsiednim pokoju, a Ned Willard zaprowadził ją na górę, do komnaty, która najwyraźniej służyła mu zarówno za gabinet, jak i garderobę. Na biurku leżały już materiały dostarczone przez Sylvie.

– Król ogłosił datę ślubu – powiedział.

Nie musiała pytać, o jaki ślub chodzi.

– To dobre wieści! – ucieszyła się. – Być może traktat nie zostanie jednak zerwany.

Ned podniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Ślub jeszcze się nie odbył. Ale jest zaplanowany na osiemnastego sierpnia.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy powiem o tym matce.

– Proszę usiąść.

Sylvie posłusznie to zrobiła.

– Mam informacje, które mogą pana zainteresować – oznajmiła. – Zna pan niejakiego Pierre'a Aumande'a Gwizjusza?

– Oczywiście. – Skinął głową. – Dlaczego pani pyta?

– Dziś rano odwiedził go angielski ksiądz posługujący się nazwiskiem Jean Langlais.

– Dziękuję pani. Rzeczywiście, takie wieści bardzo mnie interesują.

– Przypadkiem przechodziłam obok domu Aumande'a, gdy wyszedł z nich ten ksiądz, więc

widziałam go przez moment.

– Jak wyglądał?

– Miał sutannę i drewniany krzyż. Jest dość wysoki, ale poza tym niczym się nie wyróżnia. Jak już mówiłam, widziałam go tylko przez chwilę.

– Rozpoznałaby go pani?

– Chyba tak.

– Jeszcze raz dziękuję. Jest pani świetnie poinformowana. Skąd pani zna Pierre'a Aumande'a?

Odpowiedź na to pytanie była bolesna i bardzo osobista. Sylvie nie znała Neda Willarda na tyle dobrze, by mu o tym mówić.

– To długa historia…. A zmieniając temat: czy żona przyjechała z panem do Paryża?

– Nie jestem żonaty.

Sylvie zrobiła zdumioną minę.

– W Kingsbridge, skąd pochodzę, była pewna dziewczyna, którą chciałem poślubić – wyznał.

– To ta dziewczyna na obrazku?

Wydawał się zaskoczony, jakby nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Sylvie może zobaczyć portret ustawiony obok lustra i wyciągnąć oczywiste wnioski.

– Tak, ale w końcu wyszła za kogoś innego.

– To smutne.

– To było dawno.

– Jak dawno?

– Czternaście lat temu.

„I nadal ma pan jej miniaturę?” – chciała spytać Sylvie, lecz w porę ugryzła się w język. Sięgnęła do torby i wyjęła dwie książki.

– To prostsze wydanie jest bardzo dobre – powiedziała. – Dobry przekład, wyraźny druk, doskonałe dla rodziny, która musi się liczyć z każdym groszem. – Zrobiła pauzę i otworzyła luksusowe wydanie, które sprzedałaby mu znacznie chętniej. – Ta wersja jest wspaniała. Wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać księga zawierająca Słowo Boże. – Lubiła tego Anglika, ale potrzebowała pieniędzy, a wiedziała z doświadczenia, że najlepiej wmówić klientowi, że dzięki kosztownej książce będzie uchodził w oczach innych za kogoś wyjątkowego.

Ned, choć skromny, dał się uwieść jej kupieckim sztuczkom i wybrał droższą Biblię. Wypłacił Sylvie całą kwotę i odprowadził ją do drzwi.

– Gdzie się mieści pani sklep? – spytał. – Może wpadłbym tam kiedyś.

– Na rue de la Serpente. Będzie nam bardzo miło, jeśli pan nas odwiedzi. – Mówiła całkiem szczerze. – Do widzenia.

Gdy pchała pusty wózek do domu, było jej cudownie lekko na duszy. Katolicka księżniczka miała poślubić protestanckiego króla, i to tutaj, w Paryżu! Może prześladowania wreszcie dobiegną końca.

Znalazła też nowego klienta i sprzedała sporo towaru. Złote liwry Anglika przyjemnie brzęczały w jej kieszeni.

Zastępca ambasadora był bardzo miły. Zastanawiała się, czy rzeczywiście przyjdzie do ich sklepu. Jak bardzo kochał tę dziewczynę, której portret wciąż woził ze sobą?

Nie mogła się doczekać, kiedy przekaże matce wiadomość o królewskim weselu, lecz nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć jej o Nedzie Willardzie. Były sobie bardzo bliskie, razem przetrwały niebezpieczeństwa i biedę, i Sylvie rzadko miała ochotę coś przed nią zataić. Teraz problem polegał na tym, że sama nie do końca wiedziała, co czuje.

Wróciła do domu, schowała wózek w szopie na tyłach budynku i weszła do środka.

– Wróciłam! – zawołała, idąc do sklepu, z którego właśnie wychodził klient.

Matka odwróciła się i spojrzała na Sylvie.

– Mój Boże, wyglądasz na szczęśliwą! – zawołała. – Zakochałaś się?

ROZDZIAŁ 18

Barney Willard zakotwiczył *Alice* w zatoce przy nienazwanym jeszcze miasteczku na północnym wybrzeżu Hispanioli. Przypłynął do Belli.

Nie zacumował przy molo – wtedy wrogie wojska mogłyby z łatwością zająć statek z lądu. Ustawił *Alice* tak, by armaty z prawej burty mierzyły prosto w mały pałac z wapienia koralowego – nadal największy budynek w miasteczku. Armaty z lewej burty skierowane były na morze, skąd mogły napłynąć wrogie okręty.

Zachowywał konieczne środki ostrożności, choć nie spodziewał się kłopotów.

Alice była trzymasztowym statkiem handlowym, miała dziewięćdziesiąt stóp długości i sto sześćdziesiąt ton angielskich wyporności. Barney zmodernizował konstrukcję, obniżając kasztele dziobowy i rufowy. Zamontował też

szesnaście armat średniej wielkości, zwanych kolubrynami, ładowanych kulami o wadze osiemnastu funtów. Specjalnie na jego zamówienie armaty wyposażono w mierzące piętnaście stóp lufy. Ponieważ statek w najszerszym miejscu mierzył tylko trzydzieści stóp, armaty musiano ustawić po obu stronach pokładu tak, by po oddaniu strzału nie wpadały na siebie. Działa o długich lufach strzelały jednak dalej i celniej, a Barney wiedział z doświadczenia, że potężne hiszpańskie galeony można pokonać, jedynie uszkadzając je poważnie z większej odległości, nim zbliżą się do celu ataku.

Załoga *Alice* liczyła dwadzieścia osób. Większość statków tej wielkości miała czterdziestu lub nawet więcej załogantów, gdyż kapitanowie zakładali z góry, że spora ich część umrze podczas rejsu, głównie z powodu chorób zakaźnych szerzących się wśród marynarzy. Barney postanowił podejść do sprawy inaczej. Uważał, że ludzie łatwiej zarażają się nawzajem, gdy na statku panuje tłok, i dowiódł sobie oraz innym, że lepiej mieć na pokładzie mniej marynarzy i zapewnić im godziwe warunki pracy. Wzorując się na piracie Johnie Hawkinsie, woził też żywy inwentarz oraz beczki z jabłkami

i gruszkami, by załoganci mieli świeże jedzenie. Gdy pomimo wszystkich tych środków ostrożności tracił jednak ludzi, zastępował ich nowymi rekrutami, których w portowych miastach nigdy nie brakowało. Tak właśnie na pokład *Alice* trafiło trzech ciemnoskórych Afrykanów, których zwerbował w Agadirze.

Późnym popołudniem wysłał na ląd łódź z kilkoma ludźmi. Kupili kurczaki i ananasy, wyszorowali beczki i napełnili je wodą ze strumienia płynącego przez miasto. Przywieźli też wieści, że mieszkańcy byli ogromnie podekscytowani, słysząc o ładunku *Alice* – nożyczkach i nożach z toledańskiej stali, belach delikatnych niderlandzkich tkanin, kapeluszach, butach i rękawiczkach – towarach codziennego użytku i luksusowych, których nie można było wyprodukować na tej karaibskiej wyspie.

Barney miał ogromną ochotę natychmiast dobić do brzegu i poszukać Belli. Podczas długiego rejsu przez Atlantyk najpierw myślał o swej ukochanej z czułością i zaciekawieniem, a potem z coraz silniejszą tęsknotą. Przezwyciężył jednak pokusę i postanowił jeszcze trochę poczekać. Nie wiedział, czego może się spodziewać. Czułby się zażenowany i upokorzony, gdyby swym przybyciem zakłócił

rodzinną sielankę. Kiedy opuścił Hispaniolę, Bella była piękna i młoda, czemu więc nie miałaby wyjść za mąż? Z drugiej strony, prowadziła własny dochodowy interes, więc nie potrzebowała mężczyzny, który by ją utrzymywał. Miał nadzieję, że nie zrezygnowała ze swojej destylarni rumu. Z pewnością była na to dość silna i energiczna.

Gdy Barney wcieli się, przynajmniej na początku, w rolę starego przyjaciela, poradzi sobie ze wszystkim, co może tam zastać. Jeśli się okaże, że Bella ma męża, ukryje rozczarowanie, uściśnie dłoń szczęściarza i pogratuluje mu. A jeżeli będzie wciąż sama – proszę, Boże! – weźmie ją od razu w ramiona.

Rankiem włożył zielony dublet ze złotymi guzikami, który nadawał mu oficjalny wygląd i skrywał częściowo szpadę zawieszoną u pasa, dzięki czemu nie rzucała się tak bardzo w oczy, i wybrał się wraz z Jonathanem Greenlandem z wizytą do burmistrza.

Miasto było większe niż ostatnio, ale poza tym właściwie się nie zmieniło. Gdy szli przez rynek, ludzie przyglądali im się z zaciekawieniem, tak samo jak dziewięć lat temu – być może byli to nawet ci sami gapie. Tym razem Barney również śmiało na nich patrzył, szukając afrykańskiej

dziewczyny z niebieskimi oczami. Nie dostrzegł jej.

W chłodnym wnętrzu pałacu musieli czekać dość długo, by zrozumieć, jak ważna jest osobistość, z którą chcieli się zobaczyć.

Na górę poprowadził ich młody mężczyzna w sutannie, ojciec Ignacio lub jego następca – Barney nie pamiętał już twarzy księdza.

Pamiętał jednak dobrze otyłego Alfonsa, ojca Belli. Z pewnością nie był nim młody mężczyzna zasiadający w gabinecie burmistrza.

– Don Alfonso nie żyje – wyjaśnił młodzieniec. – Od pięciu lat.

Barney nie był szczególnie zaskoczony tą wiadomością: Europejczycy przybywający na Karaiby często padali ofiarą dziwnych tropikalnych chorób.

– Teraz ja jestem burmistrzem – oznajmił następca Alfonsa. Wydawało się, że mimo młodego wieku on też może niedługo piastować to stanowisko: świadczył o tym chorobliwy kolor jego skóry, typowy dla żółtaczki. – Jestem don Jordi. A wy kim jesteście?

Barney przedstawił siebie i Jonathana, po czym przeszli do rytualnego tańca, podczas którego don Jordi udawał, że nie chce łapówki, a Barney, że niczego mu nie proponuje. Gdy

uzgodnili już cenę „czasowego pozwolenia na handel”, ksiądz przyniósł butelkę i szklanice.

Po upiciu łyka Barney spytał:

– To rum od Belli?

– Nie mam pojęcia – odparł don Jordi. – Kim jest Bella?

Barney uznał to za zły znak.

– Kiedyś robiła tu najlepszy rum – wyjaśnił, kryjąc rozczarowanie. – Może się wyprowadziła?

– Całkiem prawdopodobne. Nie smakuje panu?

– Wręcz przeciwnie. Za przyjaźń!

Opuściwszy pałac, Barney i Jonathan udali się do budynku, w którym mieszkała kiedyś Bella. Przeszli pod łukowatym sklepieniem i znaleźli się na dziedzińcu. Destylarnia się rozrosła; teraz stały tu dwie kadzie, z których do beczek spływał rum.

Gdy przystanęli, podszedł do nich wysoki, pewny siebie mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, ciemną afrykańską skórę i proste włosy, co oznaczało, że mógł być synem plantatora i niewolnicy.

– Dzień dobry – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie. – Pewnie przyszliście, panowie, kupić trochę najlepszego rumu na świecie.

Barney pomyślał z niepokojem, że właśnie takiego człowieka mogłaby poślubić Bella.

– Oczywiście – odparł. – A przy okazji może sprzedamy panu parę hiszpańskich pistoletów.

– Wejdźcie do środka i spróbujcie naszego trunku – zaprosił ich mężczyzna. – Jestem Pablo Trujillo, właściciel.

– Co się stało z Bellą? – nie wytrzymał Barney.

– Kupiłem od niej tę destylarnię dwa lata temu. Nadal korzystam z jej receptur. – Wprowadził ich do domu i zaczął przygotowywać rum z sokiem z limonek, jak niegdyś Bella.

– A gdzie jest teraz? – pytał dalej Barney.

– Mieszka w domu w posiadłości don Alfonsa. Umarł kilka lat temu, plantację przejął ktoś inny, ale Alfonso zostawił jej dom.

Barney miał wrażenie, że ten człowiek coś przed nim ukrywa.

– Wyszła za mąż?

– Nie wydaje mi się – odpowiedział Pablo, wyjmując butelkę i szklanice.

Barney wstydził się trochę, że tak wypytuje o Bellę. Nie chciał, by ludzie uważali go za wariata, który przepłynął przez Atlantyk dla dziewczyny. Nie poruszał już więcej tego tematu,

gdy smakowali rum i przystali na absurdalnie niską cenę za dwie beczki.

Kiedy mieli już wyjść, przełamał się jednak ponownie i powiedział:

– Być może będę chciał odwiedzić Bellę. Znajdę tu kogoś, kto mnie do niej zaprowadzi?

– Tuż obok. Mauricio Martinez co kilka dni wozi swoim mułem zapasy na plantację.

– Dziękuję.

W sąsiednim budynku mieścił się wypełniony miłym zapachem sklep z ryżem i fasolą w beczkach, pęczkami ziół, garnkami, gwoździami i kolorowymi wstążkami. Mauricio zgodził się od razu zamknąć sklep i pojechać z Barneyem na plantację.

– I tak niedługo muszę jechać – oznajmił. – Potrzebne mąka i oliwa. – Mówił krótkimi, uproszczonymi zdaniami, jakby chciał zmieścić jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie.

Barney odesłał Jonathana na *Alice*, by zajął się bieżącymi sprawami.

Mauricio osiodłał konia dla gościa, sam jednak szedł na piechotę, prowadząc objuczonego muła. Podążali drogą gruntową, która wyprowadziła ich za miasto i między wzgórza. Barney nie był w nastroju do rozmowy,

w przeciwieństwie do Mauricia, który miał bardzo dużo do powiedzenia, choć wciąż posługiwał się swoim skrótowym, skondensowanym stylem. Na szczęście nie obchodziło go chyba wcale, czy Barney odpowiada ani czy w ogóle go rozumie. Dzięki temu Anglik mógł spokojnie oddać się wspomnieniom.

Wkrótce dotarli do rozległych pól trzciny cukrowej o zielonych łodygach sięgających wyżej niż głowa Barneya. Mężczyźni nosili poszarpane krótkie portki, kobiety proste, luźne sukienki, a dzieciaki chodziły nago. Wszyscy mieli słomiane kapelusze domowej roboty. Na jednym z pól niewolnicy kopali doły i sadzili w nich nowe rośliny, oblewając się potem w palącym słońcu. Potem Barney zobaczył inną grupę robotników, którzy pracowali przy wielkiej drewnianej prasie; zgniatali łodygi trzciny i wyciskali z nich sok, który spływał do ustawionego niżej zbiornika.

Następnie Barney i jego przewodnik minęli drewniany budynek, nad którym unosiły się kłęby pary.

– Zagęszczalnia – wyjaśnił Mauricio.

– Jak można przeżyć, pracując w takim miejscu, przy takiej pogodzie?

– Wielu nie przeżywa. Niewolnicy w zagęszczalni to duży problem. Kosztowny.

W końcu dotarli do rezydencji właściciela plantacji, piętrowego budynku z wapienia koralowego, takiego samego materiału, z jakiego wzniesiono pałacyk w mieście. Kiedy podjechali bliżej, Mauricio wskazał na mały drewniany dom stojący w cieniu palmowego zagajnika.

– Bella – rzucił, po czym skręcił w stronę dużego domu.

Barney z trudem panował nad emocjami, kiedy zeskakiwał z konia i przywiązywał go do palmy. Dziewięć lat, pomyślał. Wszystko może się zdarzyć w ciągu dziewięciu lat.

Podszedł do domu. Drzwi były otwarte, więc wkroczył do środka.

Na wąskim łóżku w rogu leżała stara kobieta. Poza tym w pokoju nie było nikogo.

– Gdzie jest Bella? – spytał Barney po hiszpańsku.

Kobieta wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, po czym odezwała się znajomym głosem:

– Wiedziałam, że wrócisz.

Był zszokowany.

– Bella? – Spojrzał na kobietę z niedowierzaniem.

– Umieram – powiedziała.

Dwoma krokami przeszedł przez małą izbę i ukląkł przy łóżku.

To rzeczywiście była Bella. Straciła większość włosów, jej złota skóra przybrała odcień starego pergaminu, krzepkie ciało zamieniło się w szkielet obciągnięty skórą – Barney jednak od razu rozpoznał jej niebieskie oczy.

– Co ci się stało? – spytał.

– Denga.

Nigdy nie słyszał o takiej chorobie, ale nie miało to większego znaczenia: gołym okiem widać było, że Bella jest bliska śmierci.

Pochylił się, by ja pocałować, lecz odwróciła głowę.

– Jestem odrażająca.

Pocałował ją w policzek.

– Moja kochana Bella – wyszeptał. Przytłoczony ogromnym żalem, z trudem wydobywał głos z gardła. Przez chwilę walczył ze łzami, które nie przystoją przecież prawdziwemu mężczyźnie. W końcu zdołał wykrztusić: – Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Tak – odparła. – Chciałabym cię prosić o przysługę.

– Zrobię, co tylko zechcesz.

Nim zdołała wyjawić swą prośbę, za plecami Barneya rozległ się dziecięcy głos:

– Kim jesteś?

Odwrócił się. W drzwiach stał chłopiec. Miał złotą skórę, kręcone rudawokasztanowe włosy i zielone oczy.

– Ma około ośmiu lat… – zauważył Barney, spoglądając na Bellę.

Skinęła głową.

– Nazywa się Barnardo Alfonso Willard. Zaopiekuj się nim.

Barney poczuł się nagle tak, jakby staranował go szarżujący koń. Przez chwilę nie był nawet w stanie zaczerpnąć oddechu. Musiał stawić czoło dwóm szokującym wiadomościom: Bella umierała, a on miał syna. W jednej chwili całe jego życie wywróciło się do góry nogami.

– Alfo, to jest twój ojciec. Opowiadałam ci o nim.

Chłopiec spojrzał gniewnie na Barneya, wykrzywiając twarz w grymasie dziecięcej wściekłości.

– Po co tu przyjechałeś? – wybuchnął. – Czekała na ciebie, a teraz umiera!

– Alfo, cicho – upomniała go Bella.

– Idź sobie! – wrzasnął dzieciak. – Wracaj do Anglii! Nie chcemy cię tu!

– Alfo! – powtórzyła z naciskiem.

– W porządku – uspokoił ją Barney. – Niech się wykrzyczy. – Spojrzał ponownie na chłopca. – Moja mama umarła, Alfo. Rozumiem to.

Złość chłopca zamieniła się w rozpacz. Rozpłakał się i rzucił na łóżko obok matki.

Bella objęła go swą kościstą ręką. Ukrył twarz w jej boku i szlochał cicho.

Barney pogłaskał go po włosach. Były miękkie i sprężyste. Mój syn, pomyślał. Mój biedny synek.

Przez długi czas trwali w tej samej pozycji, w całkowitym milczeniu. Alfo w końcu przestał płakać. Ssał kciuk i wpatrywał się w Barneya.

Bella zamknęła oczy. To dobrze, pomyślał Barney. Odpoczywa.

Śpij dobrze, moja miłości.

ROZDZIAŁ 19

I

Sylvie była pochłonięta pracą – ciężką i niebezpieczną.

Na królewski ślub zjechało do Paryża mnóstwo hugenotów, którzy kupowali duże ilości papieru i atramentu w sklepie przy rue de la Serpente. Pytali również o nielegalne książki – nie tylko Biblię po francusku, ale i o dzieła Jana Kalwina i Marcina Lutra, atakujące Kościół katolicki. Sylvie nieustannie krążyła po mieście; zabierała książki z magazynu przy rue de Mur i roznosiła je do domów i kwater protestantów w różnych zakątkach Paryża.

I musiała robić to ostrożnie i dyskretnie. Oczywiście prowadziła podobną działalność już wcześniej, ale nigdy nie tak intensywnie. Teraz ryzykowała życie trzy razy dziennie, a nie

tygodniowo. To nieustanne napięcie odciskało na niej swe piętno.

Czas spędzany z Nedem Willardem był jak odpoczynek w oazie spokoju i bezpieczeństwa. Anglik okazywał troskę, ale nie lęk. Nigdy nie panikował. Uważał, że Sylvie jest bardzo odważna – nazywał ją bohaterką. Schlebiało jej to, choć dobrze wiedziała, że jest tylko wystraszoną dziewczyną.

Podczas jego trzeciej wizyty w sklepie matka Sylvie zdradziła mu ich prawdziwe nazwiska i zaprosiła na obiad.

Isabelle nie konsultowała tego wcześniej z córką. Zrobiła to spontanicznie, zaskakując ją. Ned chętnie się zgodził, a Sylvie, choć nieco zbita z tropu, się ucieszyła.

Zamknęli drzwi frontowe na klucz i przeszli do pokoju na tyłach sklepu. Gość zjadł z apetytem przyrządzonego przez Isabelle świeżego pstrąga z kabaczkami i aromatycznym koprem. Potem matka Sylvie postawiła na stole misę żółtych renklod z czerwonymi cętkami i butelkę złocistej brandy. Zwykle nie trzymały w domu takich trunków; nie piły nic mocniejszego od wina, które i tak zwykle rozcieńczały. Najwyraźniej Isabelle już znacznie wcześniej zaplanowała ten posiłek.

Ned przekazał im niewesołe wieści z Niderlandów.

– Hangest zignorował rozkazy Coligny'ego, wpadł w zasadzkę i poniósł srogą klęskę, a sam trafił do niewoli.

Isabelle była zainteresowana Nedem, a nie Hangestem.

– Jak długo zostanie pan w Paryżu? – spytała.

– Tak długo, jak zechce tego królowa Elżbieta.

– A potem pewnie wróci pan do Anglii?

– Prawdopodobnie udam się tam, gdzie zechce wysłać mnie królowa.

– Jest pan jej bardzo oddany.

– Cieszę się, że mogę jej służyć.

Isabelle postanowiła zmienić taktykę.

– Czy angielskie domy różnią się bardzo od francuskich? – spytała. – Na przykład, pana dom?

– Urodziłem się w dużym domu naprzeciwko katedry w Kingsbridge. Teraz on należy do mojego starszego brata Barneya, ale mieszkam tam, kiedy akurat jestem w mieście.

– Naprzeciwko katedry? To musi być ładne miejsce.

– Piękne. Uwielbiam siedzieć w salonie i patrzeć na nią.

– Kim był pana ojciec?

– Mamo, zachowujesz się jak inkwizytor! – zaprotestowała Sylvie.

– Nic nie szkodzi – uspokoił ją Ned. – Mój ojciec był kupcem, miał magazyn w Calais. Po jego śmierci interesy prowadziła moja matka. – Uśmiechnął się smutno. – Ale straciła wszystko, gdy wy, Francuzi, odebraliście nam Calais.

– Czy w Kingsbridge mieszkają jacyś Francuzi?

– Prześladowani hugenoci szukali schronienia w całej Anglii. Guillaume Forneron ma tkalnię batystu w Loversfield, podmiejskiej dzielnicy Kingsbridge. Wszyscy chcą nosić koszule od Fornerona.

– A z czego żyje pański brat?

– Jest kapitanem na statku *Alice*.

– To jego statek?

– Tak.

– Sylvie wspominała też coś o majątku ziemskim.

– Królowa Elżbieta nadała mi tytuł szlachecki i dała mi posiadłość o nazwie Wigleigh, niedaleko Kingsbridge. To mała wioska, ale jest w niej dwór, bywam tam dwa, trzy razy w roku.

– We Francji nazywalibyśmy cię *sieur de Wigleigh*.

– Tak. – Wymowa tej nazwy sprawiała Francuzom trudność, podobnie jak wymowa nazwiska Willard.

– Widzę, że zdołaliście się podnieść po rodzinnych nieszczęściach. Pan jest ważnym dyplomatą, a pana brat ma własny statek.

Ned z pewnością już się domyślił, że Isabelle chce dobrze poznać jego położenie, ale wcale nie miał jej tego za złe. Wręcz przeciwnie, zależało mu na tym, by dowieść swojej stabilnej pozycji.

Sylvie jednak czuła się zażenowana – ich gość mógł pomyśleć, że matka chce go z nią wyswatać. Aby zakończyć to przesłuchanie, oznajmiła głośno:

– Musimy otworzyć sklep.

Isabelle wstała od stołu.

– Ja to zrobię. Wy posiedźcie jeszcze trochę i porozmawiajcie sobie. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebna – dodała, wychodząc z pokoju.

– Przepraszam, że matka tak cię maglowała – powiedziała Sylvie, gdy tylko zostali sami.

– Nie ma za co przepraszać. – Ned uśmiechnął się szeroko. – Matka ma prawo wiedzieć wszystko o młodym mężczyźnie, który zaprzyjaźnia się z jej córką.

– Miło, że tak mówisz.

– Z pewnością nie jestem pierwszym mężczyzną, którego przepytywała w ten sposób.

Zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiała opowiedzieć mu tę smutną historię.

– Owszem, był ktoś, dawno temu. Wtedy przepytywał go mój ojciec.

– Mogę spytać, co się potem stało?

– Tym mężczyzną był Pierre Aumande.

– Dobry Boże! Był wtedy protestantem?

– Nie, ale oszukał nas, żeby szpiegować naszą wspólnotę. Godzinę po ślubie aresztowano nas wszystkich.

Ned sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

– Cóż za okrucieństwo…

– Złamał mi serce.

– Znam jego pochodzenie. Jego ojcem był wiejski proboszcz, nieślubne dziecko jednego z Gwizjuszów, a matką gosposia tego księdza.

– Skąd to wiesz?

– Od markizy Nîmes.

– Od Louise? Należy do naszej wspólnoty, ale nigdy mi o tym nie mówiła.

– Może boi się, że sprawi ci tym przykrość.

– Pierre naopowiadał mi mnóstwo kłamstw. Pewnie dlatego potem nikomu już nie ufałam…

Spojrzał na nią pytająco. Wiedziała, że chce w ten sposób powiedzieć: „A co ze mną?”. Czuła jednak, że nie jest jeszcze gotowa udzielić mu odpowiedzi.

Odczekał chwilę, a zrozumiawszy, że Sylvie nie zamierza mówić nic więcej, westchnął.

– Cóż, to był pyszny obiad. Dziękuję bardzo.

Wstała, by go pożegnać. Wyglądał na zawiedzionego i przybitego. Zrobiło jej się go żal, więc wiedziona impulsem, przeszła na drugą stronę stołu, by pocałować gościa na pocieszenie.

Myślała, że będzie to jedynie przyjacielski całus, ale wyszło całkiem inaczej. Nawet nie wiedziała, jak ich usta się połączyły. To było jak pyszny smakołyk: odrobina sprawiła, że pragnęła więcej. Ujęła głowę Neda i wpiła się łapczywie w jego wargi.

Nie potrzebował dodatkowej zachęty. Objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Sylvie czuła, jak wypełnia ją zapomniane dawno doznanie – radość, jaką daje ciało drugiego człowieka. Obiecywała sobie w myślach, że zaraz przestanie.

Położył dłonie na jej piersiach i ścisnął je lekko, wydając przy tym gardłowy dźwięk. Jego dotyk sprawił jej ogromną przyjemność, ale i przywołał do rzeczywistości. Przerwała

pocałunek i odepchnęła go od siebie, dysząc ciężko.

– Nie zamierzałam tego robić.

Ned uśmiechnął się radośnie.

– Idź już lepiej, zanim zrobię coś, czego później będę żałowała – dorzuciła surowym na pozór tonem.

Te słowa ucieszyły go jeszcze bardziej.

– Dobrze – odrzekł posłusznie. – Kiedy znów się zobaczymy?

– Wkrótce. Idź i pożegnaj się z moją matką.

Próbował pocałować ją raz jeszcze, powstrzymała go jednak, kładąc dłoń na jego piersi.

– Wystarczy – szepnęła.

Skinął głową i przeszedł do sklepu.

– Dziękuję pani za gościnę, madame Palot – zwrócił się do Isabelle.

Słysząc trzask zamykanych drzwi, Sylvie opadła na krzesło.

Do pokoju weszła matka, wyraźnie zadowolona z przebiegu wizyty.

– Poszedł, ale wróci.

– Pocałowałam go – wyznała Sylvie.

– Domyśliłam się. Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nie powinnam była tego robić.

– A niby dlaczego? Sama bym go pocałowała, gdybym miała dwadzieścia lat mniej.

– Mamo, nie bądź wulgarna. Teraz będzie oczekiwał, że za niego wyjdę.

– Na twoim miejscu szybko bym to zrobiła, zanim sprzątnie ci go sprzed nosa jakaś inna dziewczyna.

– Przestań. Doskonale wiesz, że nie mogę za niego wyjść.

– Dlaczego? O czym ty mówisz?

– Mamy do wypełnienia misję. Musimy nieść światu prawdziwą Bożą naukę.

– Może zrobiłyśmy już wystarczająco dużo.

Sylvie była zszokowana. Jej matka nigdy nie mówiła w ten sposób.

Isabelle dostrzegła jej reakcję i dodała obronnym tonem:

– Nawet Bóg odpoczywał siódmego dnia po stworzeniu świata.

– Nasze dzieło nie jest jeszcze skończone.

– Być może nigdy nie będzie, aż do Sądu Ostatecznego.

– Tym bardziej powinniśmy je realizować.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jesteś moją córeczką.

– Ale czego chce Bóg? Uczyłaś mnie, że zawsze powinnam zadawać sobie to pytanie.

Isabelle westchnęła ciężko.

– Owszem. W młodości byłam surowsza.

– Byłaś mądra. Nie mogę wyjść za mąż. Mam misję.

– Tak czy inaczej, pewnego dnia być może będziemy musiały znaleźć jakiś inny sposób na wypełnianie woli Bożej.

– Nie bardzo rozumiem jaki.

– Może Pan dopiero nam go ujawni – powiedziała Isabelle.

– A zatem trzeba to zostawić w rękach Boga, prawda?

– Tak.

– Więc powinnyśmy być zadowolone z tego, co mamy – rzekła Sylvie.

– Amen. – Isabelle westchnęła ponownie, ale jej córka wcale nie była pewna, czy naprawdę się z nią zgadza.

II

Wychodząc ze sklepu, Ned zauważył obdartego młodego mężczyznę, który stał pod karczmą po drugiej stronie ulicy i wyraźnie się nudził. Ned skręcił na wschód, zmierzając do

angielskiej ambasady. Kiedy zerknął za siebie, zobaczył, że obdartus idzie w tę samą stronę.

Ned był w świetnym nastroju. Sylvie obdarowała go szczerym, żarliwym pocałunkiem. Uwielbiał ją. Po raz pierwszy w życiu poznał kobietę, która dorównywała Margery. Sylvie była inteligentna i odważna, a zarazem ciepła i pociągająca. Nie mógł się już doczekać następnego spotkania.

Nie zapomniał o Margery. Wiedział, że nigdy o niej nie zapomni, ale nie chciała z nim uciec, musiał więc spędzić resztę życia bez niej. Miał prawo pokochać kogoś innego.

Polubił też matkę Sylvie. Isabelle wciąż była atrakcyjną kobietą, miała pełną figurę i ładną twarz, a zmarszczki w kącikach jej niebieskich oczu tylko dodawały jej charakteru. Dała też jasno do zrozumienia, że go akceptuje.

Rozgniewała go opowieść Sylvie o Pierze Aumandzie. Naprawdę się z nią ożenił, żeby potem ją zdradzić! Nic dziwnego, że tak długo pozostawała samotna. Na myśl o podłości Aumande'a miał ochotę udusić go gołymi rękami.

Nie pozwolił jednak, by te rozmyślania popsuły mu humor. Miał zbyt wiele powodów do radości. Po cichu liczył nawet, że Francja będzie

drugim dużym krajem, który wprowadzi wolność wyznania.

Przechodząc przez rue Saint-Jacques, ponownie obejrzał się za siebie i zobaczył obdartego młodzieńca wychodzącego z rue de la Serpente.

Musiał coś z tym zrobić.

Przystanął po drugiej stronie ulicy, by spojrzeć na imponujący kościół Saint-Severin. Obdartus przemknął, unikając wzroku Neda, i zniknął w bocznej alejce.

Ned wkroczył na teren małego kościółka Saint-Julien-le-Pauvre. Przeszedł przez opuszczony cmentarz, a skręciwszy za wschodnią ścianę świątyni, ukrył się w głębokich odrzwiach. Wyjął sztylet i pochwycił go tak, by gałka rękojeści wystawała spomiędzy kciuka i palca wskazującego prawej dłoni.

Gdy obdartus zrównał się z drzwiami, Ned zrobił krok do przodu i uderzył go gałką sztyletu w twarz. Mężczyzna krzyknął i zachwiał się, krwawiąc obficie z nosa i ust. Odzyskał jednak równowagę, obrócił się w miejscu i rzucił do ucieczki. Ned natychmiast go dopadł i powalił na ziemię, a potem uklęknął mu na plecach i przystawił czubek ostrza do szyi.

– Kto cię nasłał? – spytał.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł mężczyzna, przełknąwszy krew.

Ned pchnął mocniej sztylet, aż ostrze przebiło brudną skórę i z szyi obdartusa spłynęła strużka krwi.

– Nie, proszę! – krzyknął.

– Nikt nas nie widzi. Zabiję cię i pójdę sobie, chyba że powiesz, kto kazał ci mnie śledzić.

– Dobrze, powiem! Georges Biron.

– A kto to jest, do diabła?

– Dziedzic Montagny.

To nazwisko coś Nedowi mówiło.

– Dlaczego chce wiedzieć, dokąd chodzę?

– Nie mam pojęcia, przysięgam na Boga! On nigdy nam nie mówi, po prostu wysyła nas do miasta.

A więc ten człowiek należał do większej grupy, której przewodził Biron. A Biron lub ktoś, dla kogo pracował, kazał obserwować Neda.

– Kogo jeszcze śledzisz?

– Przedtem Walsinghama, ale potem kazał go zostawić i zająć się tobą.

– Czy Biron pracuje dla jakiegoś ważnego arystokraty?

– Być może, ale nic nam nie mówi. Proszę, to prawda.

Ned uznał, że to całkiem sensowne. Biron uważał pewnie, że nie ma potrzeby wyjaśniać takiemu nędznikowi, dlaczego wykonuje takie, a nie inne zadanie.

Wstał, schował sztylet do pochwy i opuścił cmentarz.

Minąwszy plac Maubert, wszedł do ambasady. Walsingham był w sieni.

– Wiadomo ci coś o niejakim Georges'u Bironie, dziedzicu Montagny?

– Tak. Jest na liście współpracowników Pierre'a Aumande'a Gwizjusza.

– Ach, to wszystko tłumaczy.

– Co tłumaczy?

– Dlaczego kazał śledzić ciebie i mnie.

III

Pierre patrzył na mały sklep przy rue de la Serpente. Znał tę ulicę; mieszkał w tej dzielnicy, gdy przed wielu laty był studentem. Często odwiedzał wówczas karczmę naprzeciwko sklepu, choć ten jeszcze wtedy nie istniał.

Wizyta w tym miejscu skłoniła go do refleksji nad życiem. Tamten młody student pragnął wielu rzeczy, które później osiągnął, co teraz

konstatował z ogromną satysfakcją. Został najbardziej zaufanym doradcą Gwizjuszów. Miał piękne ubrania i chodził w nich na audiencje u króla. Nie brakowało mu pieniędzy i czegoś, co uważał za jeszcze cenniejsze: władzy.

Ale miał też problemy. Hugenoci nie zostali wyplenieni – co więcej, rośli w siłę. Kraje skandynawskie i niektóre niemieckie prowincje wpadły w ręce protestantów, podobnie jak maleńkie królestwo Nawarry. Walka o rząd dusz wciąż toczyła się w Szkocji i Niderlandach.

Ostatnio z Niderlandów nadeszły dobre wieści: przywódca hugenotów Hangest został pokonany pod Mons i siedział teraz w lochu wraz ze swymi porucznikami, poddawany torturom przez katów okrutnego księcia Alby. Triumfujący paryscy katolicy ułożyli prostą pieśń, którą można było co wieczór usłyszeć w karczmach:

Hang-est!
Ha! Ha! Ha!
Hang-est!
Ha! Ha! Ha!

Lecz bitwa pod Mons nie zakończyła wojny, a powstanie nie zostało stłumione.

Co gorsza, Francja chwiała się niczym pijak, który próbuje iść do przodu, ale robi krok do tyłu, w stronę odrażającego kompromisu zastosowanego już w Anglii przez królową Elżbietę. Takie rozwiązanie miało sprawić, że kraj nie będzie już jednoznacznie katolicki ani protestancki, lecz zapanuje w nim kompletny chaos. Do królewskiego ślubu zostało zaledwie kilka dni, lecz jak dotąd nie doszło do zamieszek, które mogłyby mu zapobiec.

Pierre nie miał jednak wątpliwości, że wcześniej czy później do nich dojdzie, i był na to przygotowany. Jego czarna księga paryskich protestantów rozrosła się znacząco, gdy dopisał do niej przybyszów z innych części kraju. W ostatnich dniach poczynił z księciem Henrykiem Gwizjuszem dodatkowe plany. Sporządzili listę radykalnych katolickich arystokratów, którzy gotowi byli dopuścić się morderstwa w imię wiary. W chwili rozpoczęcia powstania hugenotów zacznie bić dzwon kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois, co dla każdego katolickiego arystokraty miało stanowić sygnał do zamordowania przydzielonego mu protestanta.

Wszyscy zgodzili się na takie rozwiązanie. Pierre wiedział, że nie każdy dotrzyma słowa, ale

wystarczy, jeśli zrobi to większość. Gdy tylko hugenoci się zbuntują, katolicy przejdą do kontrataku. Zabiją bestię, odcinając jej głowę. Potem straż miejska zajmie się pozostałymi. Ruch hugenotów zostanie okaleczony, a być może nawet całkiem zlikwidowany. Skończy się nikczemna polityka tolerancji wobec protestantyzmu. A Gwizjusze znów będą najpotężniejszym rodem we Francji.

Teraz Pierre widział przed sobą kolejny adres, który mógł wpisać do czarnej księgi.

– Anglik się zakochał – powiedział mu niedawno Georges Biron.

– W kim? Możemy szantażować tę osobę? – spytał Pierre.

– W kobiecie, która ma na lewym brzegu sklep z materiałami piśmiennymi.

– Jak się nazywa?

– Thérèse St Quentin. Prowadzi sklep ze swoją matką, Jacqueline.

– To na pewno protestantki. Anglik nie zadawałby się z katoliczką.

– Mam się nimi zająć?

– Sam się tam przejdę.

Teraz widział, że St Quentin i jej matka mają skromny piętrowy dom, obok którego znajdowała się wąska alejka prowadząca

zapewne na podwórko z tyłu. Fasada była w dobrym stanie, a wszystkie drewniane elementy wyglądały na niedawno pomalowane; prawdopodobnie kobietom nie wiodło się źle. Drzwi sklepu były otwarte, by w sierpniowym upale do środka wpadała choć odrobina świeżego powietrza. Witrynę zdobiła starannie przygotowana wystawa: arkusze papieru ułożone na kształt wachlarza, pęk piór w wazonie i różnych rozmiarów butelki z atramentem.

– Poczekajcie tu – rzucił Pierre do swojej obstawy.

Wszedł do środka i zdumiał się, ujrzawszy Sylvie Palot.

To z pewnością była ona. Miała teraz trzydzieści jeden lat, jak obliczył szybko w myślach, ale wyglądała nieco starzej, bez wątpienia z powodu tego, przez co przeszła. Była szczuplejsza niż dawniej, straciła też urok podlotka. Na jej twarzy rysowały się pierwsze zmarszczki, ale niebieskie oczy wyglądały dokładnie tak samo jak przed laty. Nosiła prostą sukienkę z niebieskiego lnu, pod którą kryło się wciąż zgrabne i jędrne ciało.

Przez moment czuł się tak, jakby za sprawą magicznego zaklęcia cofnął się w czasie

o czternaście lat: na targ rybny, gdzie ją poznał, do księgarni w cieniu katedry, do tajnego kościoła w domku myśliwskim. Znów był młodszym, niedoświadczonym Pierre'em, który nie miał nic, ale chciał wszystkiego.

Sylvie była sama. Stała przy stole i w skupieniu studiowała księgę rachunkową.

Pierre przyglądał się jej przez chwilę. Przetrwała jakoś śmierć ojca i konfiskatę drukarni. Przyjęła fałszywe nazwisko, założyła nowy interes i całkiem nieźle się jej powodziło. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Bóg pozwalał tak wielu bluźnierczym protestantom osiągać sukcesy w handlu i interesach. Z zysków opłacali pastorów, budowali miejsca spotkań i kupowali zakazane książki. Czasami Boże plany wydawały się naprawdę niepojęte.

A teraz miała jeszcze adoratora – znienawidzonego wroga Pierre'a.

– Dzień dobry, Sylvie – odezwał się w końcu.

Choć starał się mówić przyjaznym tonem, aż krzyknęła ze strachu. Mimo upływu lat musiała rozpoznać jego głos.

Grymas przerażenia na jej twarzy sprawił mu prawdziwą przyjemność.

– Skąd się tu wziąłeś? – spytała drżącym głosem.

– Czysty przypadek. I cudowna niespodzianka.

– Nie boję się ciebie – oznajmiła, choć Pierre wiedział, że kłamie. – Co możesz mi zrobić? Już zrujnowałeś mi życie.

– Mogę zrobić to ponownie.

– Nie, nie możesz. Mamy pokój z Saint-Germain.

– Ale sprzedaż zakazanych ksiąg nadal jest przestępstwem.

– Nie sprzedajemy książek.

Pierre rozejrzał się po sklepie. Rzeczywiście, nie było tu żadnych książek, tylko księgi rachunkowe jak ta, która właśnie leżała przed Sylvie, oraz mniejsze notesy zwane *livres de raison*. Być może jej ewangeliczny zapał przygasł, gdy zobaczyła ojca płonącego na stosie – na to właśnie zawsze liczył Kościół. Czasami jednak takie egzekucje przynosiły skutek odwrotny od zamierzonego, a męczeństwo zabijanych heretyków stawało się inspiracją dla kolejnych. Może ta kobieta poświęciła życie kontynuowaniu misji ojca i miała gdzieś ukryty magazyn z nielegalnymi księgami. Mógł kazać ją śledzić, by się tego dowiedzieć. Niestety, jego wizyta była dla niej przestrogą, więc z pewnością podjęłaby szczególne środki ostrożności.

Pierre postanowił obrać inną linię ataku.

– Kiedyś mnie kochałaś.

Zbladła jak ściana.

– Oby Bóg mi to wybaczył.

– Daj spokój, lubiłaś mnie przecież całować.

– Cykuta ukryta w miodzie.

Zrobił krok w jej stronę, przybierając groźną minę. Tak naprawdę wcale nie chciał jej pocałować – nigdy tego nie pragnął. Bardziej ekscytował go jej strach.

– Wiem, że znów byś mnie pocałowała.

– Odgryzłabym ci ten cholerny nos.

Odniósł wrażenie, że nie były to czcze pogróżki, ale trzymał się swojej taktyki.

– Nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz o miłości.

– Nauczyłeś mnie, że człowiek może być chrześcijaninem i obrzydliwym kłamcą jednocześnie.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami. Dlatego potrzebujemy Bożego miłosierdzia.

– Niektórzy grzesznicy są gorsi od innych i część z nich idzie do piekła.

– Całowałaś się ze swoim angielskim adoratorem?

Zauważył z satysfakcją, że teraz jeszcze bardziej się przeraziła. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że może wiedzieć o sir Nedzie.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz – skłamała.

– Owszem, wiesz.

Sylvie odzyskała panowanie nad sobą i przeszła do kontrataku.

– Jesteś zadowolony ze swojej nagrody, Pierre? – spytała, wskazując na jego dublet. – Masz piękne ubrania, widziałam też, że jeździsz u boku księcia Gwizjusza. Masz to, czego chciałeś. Czy to naprawdę jest warte całego zła, które wyrządziłeś po drodze?

– Mam pieniądze i więcej władzy, niż mogłem sobie wymarzyć – odparł chełpliwie, nie mogąc się oprzeć pokusie.

– Ale tak naprawdę pragnąłeś czegoś innego. Zapominasz, jak dobrze cię znam.

Te słowa obudziły w nim niepokój, który przybierał na sile, w miarę jak Sylvie mówiła dalej:

– Chciałeś przede wszystkim być jednym z nich, członkiem rodu Gwizjuszów, którzy odrzucili cię, gdy byłeś dzieckiem.

– Jestem Gwizjuszem.

– Nie, nie jesteś. Oni wszyscy znają twoje prawdziwe pochodzenie.

Pierre czuł, jak ogarnia go panika.

– Jestem najbardziej zaufanym doradcą księcia!

– Ale nie jego kuzynem. Patrzą na twoje piękne ubrania, przypominają sobie, że jesteś nieprawym dzieckiem nieślubnego dziecka, i śmieją się z twoich aspiracji.

– Kto naopowiadał ci tych kłamstw?

– Markiza Nîmes wie o tobie wszystko. Pochodzi z tych samych stron co ty. Ożeniłeś się ponownie, prawda?

Skrzywił się odruchowo. Wiedziała, czy zgadywała?

– I pewnie nieszczęśliwie – kontynuowała bezlitośnie. Nie był w stanie ukryć swoich uczuć, a ona bez trudu odczytała wszystko z jego twarzy. – Ale nie z arystokratką. Z kimś niskiego urodzenia. Dlatego jej nienawidzisz.

Miała rację. Gdyby kiedykolwiek zapomniał, jak zdobył prawo do używania nazwiska Gwizjuszów, natychmiast przypomniałaby mu o tym jego wstrętna żona albo irytujący pasierb. Nie potrafił ukryć grymasu, który wykrzywił mu twarz.

Sylvie to dostrzegła i westchnęła.

– Biedna kobieta – rzuciła.

Powinien był przejść za stół i powalić ją na podłogę, a potem zawołać swoich ludzi i kazać ją pobić, nie mógł jednak znaleźć w sobie dość energii. Zamiast unieść się gniewem, który

dodałby mu sił, czuł się bezradny, przytłoczony zwątpieniem. Miała rację, znała go zbyt dobrze. Zraniła go, a on chciał teraz tylko uciec, zaszyć się gdzieś i lizać rany.

Odwracał się już do wyjścia, gdy z zaplecza wyszła jej matka. Natychmiast go rozpoznała. Była tak zszokowana, że cofnęła się o krok, powodowana strachem i odrazą jednocześnie, jakby zobaczyła wściekłego psa. Potem jej zdumienie zamieniło się w furię.

– Ty diable! – wrzasnęła. – Zabiłeś mojego Giles'a. Zrujnowałeś życie mojej córce. – Jej głos zamienił się w przeraźliwy pisk, jakby wpadła w szał. Pierre zaczął się cofać do drzwi. – Gdybym miała nóż, wyprułabym ci te śmierdzące flaki! – krzyczała. – Ty gnoju! Ty wstrętny pomiocie chorej ladacznicy! Ty obrzydliwa cuchnąca kreaturo, uduszę cię!

Pierre wypadł szybko na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi.

IV

Od samego początku na weselu panowała ponura atmosfera.

W poniedziałkowy poranek zebrał się tłum gapiów, bo paryżanie nigdy nie opuściliby takiego spektaklu. Na placu przed katedrą Notre Dame wzniesiono amfiteatr o drewnianej konstrukcji, przykryty złotogłowiem i wyposażony w podniesione pomosty prowadzące do świątyni i pałacu biskupiego. Jako oficjel niższej rangi, Ned zajął miejsce na trybunie kilka godzin przed planowanym rozpoczęciem ceremonii. Był gorący sierpniowy dzień, obywatele stłoczeni wokół prowizorycznej konstrukcji pocili się w palącym słońcu. Wielu ludzi obserwowało katedrę z okien i dachów okolicznych kamienic. Mimo tak wielkiej liczby gapiów nad placem zalegało złowieszcze milczenie. Radykalni katolicy z Paryża nie chcieli, by ich niesforna księżniczka wychodziła za protestancką szuję. Co niedzielę ich gniew podsycali agresywni księża głoszący, że to małżeństwo jest obrazą dla Boga.

Ned wciąż nie mógł do końca uwierzyć, że do ślubu dojdzie. Tłum mógł wszcząć zamieszki i zapobiec ceremonii. Pojawiały się też plotki, że księżniczka Margot w ostatniej chwili odmówi wstąpienia w związek małżeński.

Trybuna wypełniała się powoli gośćmi. Około trzeciej po południu obok Neda usiadła Jeronima

Ruiz. Po intrygującej rozmowie w Luwrze chciał się z nią skontaktować, ale do tej pory nie miał okazji. Przywitał się serdecznie z piękną Hiszpanką, ta zaś westchnęła nostalgicznie.

– Uśmiechasz się tak samo jak Barney.

– Kardynał Romero jest pewnie rozczarowany – zauważył Ned. – Wygląda na to, że ślub dojdzie do skutku.

– Powiedział mi coś, co cię zainteresuje – odparła Jeronima półgłosem.

– Świetnie! – Ned miał nadzieję, że uda mu się namówić Hiszpankę, by zdradziła mu jakieś ważne informacje, wyglądało jednak na to, że wcale nie musiał jej do tego zachęcać.

– Książę Gwizjusz ma listę nazwisk i adresów najważniejszych paryskich protestantów. Każdego z nich przypisano jakiemuś katolickiemu arystokracie. Jeśli dojdzie do zamieszek, wszyscy hugenoci zostaną zamordowani.

– Mój Boże! Są aż tacy bezwzględni?

– Gwizjusze, owszem.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

– Chętnie zabiłabym Romera, ale nie mogę, bo go potrzebuję – odpowiedziała. – To, co teraz robię, jest niemal równie satysfakcjonujące.

Wpatrywał się w nią przez chwilę z fascynacją i odrobiną lęku. Wyglądało na to, że nie tylko Gwizjusze są bezwzględni.

Przerwali rozmowę, gdy przez tłum przebiegł głuchy pomruk. Odwrócili się i zobaczyli pana młodego ze świtą. Cała grupa wyszła z Luwru i przeszła po pomoście na prawą stronę amfiteatru. Henryk Burbon, król Nawarry, był w jasnożółtym satynowym stroju wyszywanym srebrem i zdobionym różnego rodzaju klejnotami. Towarzyszyli mu protestanccy arystokraci, między innymi markiz de Nîmes i hrabia Beaulieu. Obywatele Paryża obserwowali ich w ponurym milczeniu.

Ned odwrócił się, by podjąć przerwaną rozmowę z Jeronimą, lecz ta już odeszła, a jej miejsce zajął Walsingham.

– Dowiedziałem się właśnie czegoś przerażającego – wyznał Ned i powtórzył mu słowa Jeronimy.

– Może nie powinno nas to dziwić – mruknął ambasador. – To oczywiste, że poczynili jakieś plany.

– A my je poznaliśmy dzięki tej hiszpańskiej zdzirze.

Walsingham odpowiedział uśmiechem, co nie zdarzało mu się często.

– W porządku, Ned, trochę wtedy przesadziłem.

Z pałacu biskupiego wyszedł król Karol IX, który prowadził pod rękę siostrę, pannę młodą. Włożył ubranie z takiej samej jasnożółtej satyny jak Henryk Burbon, co miało symbolizować braterstwo. Strój króla zdobiło jednak więcej klejnotów, i wszystkie były bardziej okazałe niż te na szacie pana młodego. Kiedy zbliżyli się do katedry, Walsingham nachylił się do swojego zastępcy.

– Podobno ubranie króla kosztowało pięćset tysięcy ecu – wyszeptał.

Ned nie mógł w to uwierzyć.

– To sto pięćdziesiąt tysięcy funtów!

– Czyli połowa rocznego budżetu angielskiego rządu.

Choć raz Ned podzielał opinię Walsinghama w kwestii grzesznego przepychu.

Księżniczka Margot włożyła aksamitną suknię w pięknym odcieniu fioletu oraz czarną pelerynę z długim trenem podtrzymywanym przez trzy damy. Ned pomyślał, że będzie jej w tym bardzo gorąco. O wszystkich księżniczkach mówiono, że są piękne, lecz w przypadku Margot była to prawda. Miała zmysłową twarz o dużych oczach i ciemnych brwiach oraz czerwone usta, które

wyglądały tak, jakby chciały być całowane. Dziś jednak tę śliczną twarz wykrzywiał grymas gniewu i urazy.

– Nie jest zadowolona – mruknął do Walsinghama.

Ten wzruszył ramionami.

– Od dziecka wiedziała, że nie będzie mogła sama wybrać męża. Taka jest cena za nieprzyzwoicie rozrzutne życie, jakie prowadzi francuska rodzina królewska.

Ned pomyślał o małżeństwie Margery zaaranżowanym przez jej rodziców.

– Współczuję Margot – powiedział.

– Plotki głoszą, że nie zamierza pozwolić, by ślubna przysięga w jakikolwiek sposób ją ograniczała.

Za królem szli jego bracia, wszyscy w szatach z żółtej satyny. Chcieli dać tłumom jednoznaczny sygnał: od tej pory Walezjusze i Burbonowie będą braćmi. Pannie młodej towarzyszyło co najmniej sto arystokratek. Ned nigdy jeszcze nie widział tylu brylantów i rubinów w jednym miejscu. Każda z tych kobiet miała na sobie więcej klejnotów niż królowa Elżbieta w swym skarbcu.

Tłum wciąż milczał.

Pochód przeszedł powoli do amfiteatru, a panna młoda zajęła miejsce obok przyszłego męża. Ponieważ po raz pierwszy dochodziło do małżeństwa katolicko-protestanckiego na tak wysokim szczeblu, przygotowano skomplikowaną ceremonię, by nie urazić przypadkiem żadnej ze stron.

Zgodnie ze zwyczajem, uroczystość odbywała się przed kościołem, a sprawował ją kardynał Burbon. W miarę jak wypowiadano kolejne ważne słowa, Ned coraz wyraźniej odczuwał powagę chwili: oto wielki kraj zmierzał, choć powoli i nie bez trudności, ku ideałowi wolności wyznania. Ned bardzo tego pragnął. Tego też chciała królowa Elżbieta i tego potrzebowała Sylvie Palot.

W końcu kardynał spytał Margot, czy chce wziąć za męża króla Nawarry.

Księżniczka patrzyła na niego w milczeniu, zaciskając mocno usta.

Ned nie wierzył, by zamierzała w tym momencie zniweczyć cały trud obu stron. Ludzie mówili jednak, że jest bardzo nieposłuszna…

Zniecierpliwiony pan młody przestąpił z nogi na nogę.

Księżniczka i kardynał jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

W końcu król Karol, który stał obok siostry, podniósł rękę, położył dłoń na tył jej głowy i lekko ją pchnął.

Wyglądało to tak, jakby księżniczka skinęła głową.

Ned pomyślał, że z pewnością nie oznacza to zgody. Wiedział to Bóg i tłum zgromadzony przed katedrą. Ten gest jednak wystarczył i kardynał pospiesznie ogłosił Henryka i Margot mężem i żoną.

Byli małżeństwem – lecz gdyby coś się stało jeszcze przed skonsumowaniem tego związku, ślub można by było unieważnić.

Świta panny młodej przeszła do katedry na mszę ślubną. Pan młody również wszedł do wnętrza świątyni, ale po chwili z niej wyszedł i wdał się przed katedrą w rozmowę z hugenockim generałem Gaspardem de Coligny. Być może nie mieli złych zamiarów, lecz ich swobodne zachowanie sugerowało, że szydzą z nabożeństwa odbywającego się w środku. Z pewnością takie wrażenie odniósł tłum, bo zaczął gwałtownie protestować. Potem krzyki przerodziły się w głośne skandowanie:

Hang-est!
Ha! Ha! Ha!

Hang-est!
Ha! Ha! Ha!

To rozwścieczyło hugenotów, których przywódcy znosili okrutne tortury w lochach księcia Alby.

Arystokraci stojący na podeście rozmawiali ze sobą swobodnie, lecz w miarę jak pieśń tłumu przybierała na sile, milkli i rozglądali się niespokojnie.

Grupa hugenotów na pobliskim dachu wzięła odwet, śpiewając głośno psalm, do którego przyłączały się coraz to nowe głosy. Przez tłum zgromadzony na dole zaczęli się przeciskać młodzi awanturnicy zmierzający w stronę kamienicy zajętej przez hugenotów.

Wszystko wskazywało na to, że lada moment może dojść do zamieszek. Gdyby tak się stało, ślub, który miał scementować pokój, przyniósłby całkiem odwrotny skutek.

Ned dostrzegł przyjaciela Walsinghama, markiza Lagny, który włożył na tę okazję wysadzaną klejnotami czapkę.

– Nie może pan rozkazać tym hugenotom, żeby przestali śpiewać? – zwrócił się do markiza. – To rozwściecza tłum. Jeśli dojdzie do zamieszek, stracimy wszystko, co udało nam się dziś zyskać.

– Mógłbym ich uciszyć, gdyby katolicy przestali skandować.

Ned rozejrzał się pospiesznie, wypatrując jakiegoś znajomego i przyjaznego katolika. Dostrzegł Afrodytę Beaulieu i podbiegł do niej.

– Mogłabyś, mademoiselle, poprosić jakiegoś księdza, żeby uciszył tłum? Za chwilę rozpęta się tu piekło.

Afrodyta była rozsądną dziewczyną i rozumiała zagrożenie.

– Wejdę do katedry i porozmawiam z ojcem – obiecała.

Wzrok Neda zatrzymał się na Henryku Burbonie i Gaspardzie de Coligny. Nagle uświadomił sobie, że to właśnie ci dwaj stanowią źródło problemu. Przeszedł ponownie do Lagny'ego.

– Mógłby pan powiedzieć królowi Nawarry i Gaspardowi de Coligny, żeby gdzieś się schowali? – poprosił. – Nie sądzę, by robili to celowo, ale ich widok prowokuje tłum.

Lagny skinął głową.

– Porozmawiam z nimi. Na pewno nie chcą problemów.

Chwilę później Henryk i Gaspard zniknęli w pałacu arcybiskupa. Tymczasem z katedry wyszedł ksiądz i powiedział zgromadzonym na

placu, że przeszkadzają w odprawianiu mszy. Skandowanie ucichło. Hugenoci na dachach również przestali śpiewać. Nad placem ponownie zapadła cisza.

Ned pomyślał, że kryzys został zażegnany. Na razie.

V

Przez kolejne trzy dni hucznie świętowano królewski ślub i nie doszło do żadnych zamieszek. Pierre był gorzko rozczarowany.

Oczywiście tu i ówdzie zdarzały się bójki między rozradowanymi protestantami i wściekłymi katolikami, ale żadna z nich nie zamieniła się w prawdziwą bitwę obejmującą całe miasto, na którą liczył Pierre i jego ludzie.

Królowa Katarzyna wolała rozwiązania pokojowe, a nie brutalną konfrontację. Coligny, jak wszyscy sprytniejsi hugenoci, uważał, że najlepszą strategią jest unikanie rozlewu krwi. I tak pozbawieni charakteru ugodowcy po obu stronach skutecznie utrzymywali pokój.

Gwizjusze byli zdesperowani. Widzieli, jak władza i prestiż nieodwracalnie wymykają im się z rąk. Pierre wymyślił więc nowy plan.

Zamierzał zamordować Gasparda de Coligny.

W czwartek, gdy arystokraci oglądali turniej będący zwieńczeniem weselnych uroczystości, spotkał się z Georges'em Bironem w jednej ze średniowiecznych komnat w starej części Luwru, gdzie podłogę zastępowało zwykłe klepisko, a ściany były z szorstkiego kamienia.

Biron przysunął stół do okna i wyjął z płóciennego worka broń o długiej lufie.

– To arkebuz – rzucił Pierre. – Ale z dwiema lufami, jedną pod drugą.

– Więc jeśli nie trafi za pierwszym razem, będzie miał drugą szansę.

– Świetnie.

Biron wskazał na mechanizm spustowy.

– To zamek kołowy.

– Czyli z samozapłonem, rozumiem. Ale czy go zabije?

– W zasięgu stu jardów na pewno.

– Hiszpański muszkiet byłby lepszy. – Muszkiety były większe i cięższe, a tym samym skuteczniejsze przy strzałach z większej odległości.

Biron pokręcił głową.

– Za duży. Nie dałoby się go ukryć, więc wszyscy od razu wiedzieliby, co się kroi. Poza

tym Louviers nie jest już młody. Nie wiem, czy poradziłby sobie z muszkietem.

Utrzymanie muszkietu wymagało sporej siły, dlatego na muszkieterów wybierano tylko potężnie zbudowanych mężczyzn.

Pierre sprowadził do Paryża Charles'a Louviersa, który zachował zimną krew w Orleanie. Do zabójstwa Antoniego Burbona nie doszło z powodu rozterek króla Franciszka II; Louviers nie był temu w żaden sposób winny. Kilka lat później zabił hugenockiego przywódcę zwanego Kapitanem Luzé i zdobył nagrodę w wysokości dwóch tysięcy ecu. Poza tym był arystokratą, co zdaniem Pierre'a gwarantowało, że dotrzyma słowa, podczas gdy jakiś zwykły oprych z ulicy przeszedłby na drugą stronę za równowartość butelki wina. Pierre miał nadzieję, że podjął właściwą decyzję.

– No dobrze, przyjrzyjmy się trasie – zaproponował.

Biron schował broń do worka, po czym obaj wyszli na dziedziniec. Z dwóch stron zamykały go mury średniowiecznego zamku, a z dwóch pozostałych pałace we włoskim stylu.

– Kiedy Gaspard de Coligny przechodzi tędy do swojej kwatery albo kiedy z niej wychodzi,

towarzyszy mu około dwudziestu uzbrojonych ludzi.

– To może być problem.

Pierre przeszedł tą samą drogą, którą musiał iść Coligny – przez średniowieczną bramę do rue des Poulies. Burbonowie mieli pałac dokładnie naprzeciwko Luwru. Tuż obok stała rezydencja brata króla, Franciszka Herkulesa. Pierre rozejrzał się po ulicy.

– Gdzie zatrzymał się Coligny?

– Za rogiem, przy rue de Béthisy. To tylko kilka kroków.

– Rzućmy na to okiem.

Ruszyli na północ, oddalając się od rzeki.

Na ulicach wciąż panowało ogromne napięcie. Pierre z niechęcią spoglądał na hugenotów w stonowanych, lecz kosztownych strojach; przechadzali się z taką swobodą, jakby Paryż należał do nich. Gdyby mieli choć trochę rozumu, nie zadzieraliby tak nosa. Ale przecież jeśli mieli go choć trochę, nie byliby w ogóle protestantami, pomyślał.

Paryżanie, czyli radykalni katolicy, nienawidzili tych zarozumiałych przybyszów. Ich cierpliwość słabła z godziny na godzinę; przypominała już słomiany most podtrzymujący wóz na żelaznych kołach.

Wystarczył dobry pretekst, by któraś ze stron wpadła w szał. Gdyby potem zginęło wystarczająco dużo ludzi, wojna domowa wybuchłaby na nowo, a pokój z Saint-Germain zostałby zerwany pomimo królewskiego małżeństwa.

Pierre zamierzał dać im ten pretekst.

Rozejrzał się po ulicy, wypatrując miejsca, z którego strzelec mógłby trafić przechodzącego nieopodal człowieka – wieży, wysokiego drzewa, okna wykuszowego – a potem uciec przed strażą zamordowanego, która z pewnością ruszyłaby za nim w pościg.

Zatrzymał się przed znajomym domem. Należał do matki Henryka Gwizjusza, Anny d'Este. Anna wyszła ponownie za mąż i była teraz księżną Nemours, nadal jednak nienawidziła Coligny'ego, przekonana, że to właśnie on jest odpowiedzialny za śmierć jej pierwszego męża. Z pewnością chętnie pomogłaby Pierre'owi.

Przyjrzał się uważnie fasadzie. Nad oknami na piętrze były drewniane kratownice oplecione pnącymi roślinami, co stanowiło miły dla oka akcent, dodany tu z pewnością przez księżną. Dziś jednak na kratownicach wisiało świeże

pranie, co oznaczało, że gospodyni nie ma w domu. To nawet lepiej, uznał Pierre.

Zastukał do drzwi i po chwili otworzył je służący. Rozpoznał Pierre'a i przemówił tonem pełnym szacunku podszytego strachem:

– Dzień dobry, monsieur, miło pana widzieć. Co mogę dla pana zrobić?

Pierre lubił, gdy inni zachowywali się wobec niego służalczo, ale zawsze udawał, że tego nie dostrzega. Teraz także zignorował pytanie sługi i przeszedł obok niego bez słowa.

Wszedł na górę, prowadząc za sobą Birona, który wciąż niósł długi worek z arkebuzem.

Na piętrze od frontu znajdował się duży salon. Pierre otworzył okno. Choć pranie przesłaniało część widoku od góry, poniżej widać było doskonale obie strony ulicy ciągnącej się w stronę Luwru.

– Podaj mi broń – rozkazał Pierre.

Biron wyjął z worka arkebuz. Pierre oparł go o parapet, pochylił się nad lufą i zaczął szukać celu. Zobaczył elegancką parę, która trzymając się pod ręce, zmierzała w jego stronę. Wymierzył broń w mężczyznę. Ku swemu zdumieniu rozpoznał w nim markiza Nîmes. Przesunął wylot lufy na bok i przyjrzał się kobiecie w jasnożółtej sukni. Tak, to była markiza Louise,

przez którą dwukrotnie został upokorzony: raz, dawno temu, gdy okazała mu lekceważenie podczas protestanckiego nabożeństwa w starym domku myśliwskim, oraz zaledwie tydzień temu, gdy w sklepie przy rue de la Serpente Sylvie wydrwiła go, wykorzystując tajemnice pozyskane od Louise. Teraz mógł się zemścić, wystarczyło tylko nacisnąć spust. Wycelował w jej dekolt. Miała już około trzydziestu pięciu lat, ale nadal zachwycała bujnymi kształtami, a jej piersi były chyba jeszcze większe niż kiedyś. Pierre pragnął splamić tę żółtą suknię jej krwią. Niemal już słyszał jej przeraźliwy krzyk.

Pewnego dnia, obiecał sobie. Ale jeszcze nie teraz.

Pokręcił głową, otrząsając się z tych rozmyślań, i stanął prosto.

– Jest dobrze – rzucił do Birona, oddając mu broń.

Kiedy wyszli obaj z salonu, służący stał na podeście schodów, czekając na rozkazy.

– Na pewno jest tutaj tylne wyjście – zwrócił się do niego Pierre.

– Tak, monsieur. Pokazać?

Zeszli na parter, a potem wydostali się przez kuchnię i pralnię na dziedziniec. Pierre otworzył

bramę i znalazł się na terenach okalających kościół Saint-Germain-l'Auxerrois.

– Idealnie – zwrócił się półgłosem do Birona. – Louviers może zostawić tu osiodłanego konia i po oddaniu strzału natychmiast odjechać.

Biron skinął głową.

– Tak, to może się udać.

Gdy wrócili do wnętrza domu, Pierre dał służącemu złote ecu.

– Nie było mnie tutaj – powiedział. – Nikogo nie było. Nic nie widziałeś.

– Dziękuję, monsieur – odrzekł z uniżeniem służący.

Pierre uświadomił sobie, że same pieniądze mogą nie wystarczyć, by zamknąć słudze usta.

– Nie muszę ci chyba mówić, jak Gwizjusze karzą za nielojalność – dodał groźnym tonem.

Służący wyglądał na przerażonego.

– Rozumiem, panie, naprawdę rozumiem.

Pierre skinął głową i wyszedł. Zawsze uważał, że lepiej budzić strach niż miłość.

Ruszył ulicą w stronę małego cmentarza okolonego niskim murkiem i szpalerem drzew. Kiedy tam dotarł, przeszedł na drugą stronę drogi i obejrzał się za siebie. Miał stąd niczym niezmącony widok na dom Nemoursów.

– Idealnie – powtórzył.

VI

W piątek rano Gaspard de Coligny musiał iść na spotkanie rady królewskiej w Luwrze. Nieobecność na tego rodzaju naradach uważano za akt nieposłuszeństwa i obrazę królewskiego majestatu. Gdyby nawet ktoś był zbyt chory, by wstać z łóżka, i wysłał w związku z tym uniżone przeprosiny, król mógłby tylko parsknąć szyderczo i powiedzieć, że skoro choroba jest poważna, to dlaczego jeszcze ten człowiek nie umarł?

Pierre zakładał, że jeśli Coligny będzie się trzymał swojej ulubionej trasy, to w drodze powrotnej z Luwru przejdzie obok domu Nemoursów.

Wczesnym przedpołudniem Charles de Louviers zajął pozycję w oknie na piętrze. Biron stał przy tylnej bramie, trzymając w gotowości osiodłanego konia. Pierre ukrył się na cmentarzu i obserwował zza muru całą ulicę.

Teraz musieli tylko cierpliwie czekać.

Książę Henryk Gwizjusz zatwierdził już plan Pierre’a; żałował tylko, że nie może sam wystrzelić kuli, która zabiłaby człowieka odpowiedzialnego za śmierć jego ojca.

Na przeciwległym końcu ulicy pojawiło się piętnastu, może dwudziestu mężczyzn.

Pierre znieruchomiał.

Coligny był przystojnym pięćdziesięciolatkiem o siwiejących, starannie przystrzyżonych włosach i podobnej brodzie. Zawsze wyprostowany, jak przystało na żołnierza, poruszał się energicznym krokiem. Tym razem jednak czytał po drodze, a tym samym szedł wolno, co oczywiście sprzyjało zamachowcom. Generała otaczało kilkunastu zbrojnych, którzy nie zachowywali szczególnej czujności. Gawędzili między sobą i tylko co jakiś czas rozglądali się pobieżnie dokoła, jakby byli pewni, że ich przywódcy nie może przytrafić się nic złego. Najwyraźniej po ostatnich wydarzeniach poczuli się zbyt pewni siebie.

Byli już w połowie ulicy. Jeszcze nie, pomyślał Pierre. Jeszcze nie strzelaj. Oddając strzał ze zbyt dużej odległości, Louviers mógłby nie trafić Coligny'ego, zasłaniali go bowiem inni ludzie. Musiał więc zaczekać, aż cel znajdzie się naprzeciwko domu Nemoursów, dokładnie na linii strzału.

Coligny był coraz bliżej. Jeszcze kilka sekund, a będzie go miał jak na talerzu, przemknęło

przez głowę Pierre’a. Louviers z pewnością już mierzył do Coligny’ego.

Już! – krzyknął w myślach Pierre. Nie czekaj za długo!

W tym momencie Coligny zatrzymał się raptownie i obrócił w miejscu, by powiedzieć coś do jednego ze swoich towarzyszy. Gdy rozległ się huk wystrzału, Pierre wstrzymał oddech. Ludzie protestanckiego generała zastygli w bezruchu. Sam Coligny zaklął i złapał się prawą ręką za lewe ramię. Został ranny.

Pierre był wściekły. Gdyby Coligny nie zatrzymał się właśnie w tej chwili, już by zapewne nie żył.

Lecz arkebuz Louviersa miał dwie lufy, więc tuż po pierwszym strzale rozległ się następny. Tym razem Coligny upadł. Pierre nie widział go ze swej kryjówki. Czy zginął?

Zbrojni otoczyli generała ciasnym kręgiem. Na ulicy zapanował chaos. Pierre chciał wiedzieć, co się dzieje, ale nadal niewiele widział. Po chwili pośród zbrojnych pojawiła się siwa głowa generała. Podnieśli jego zwłoki? Pierre dostrzegł, że Coligny ma otwarte oczy i mówi coś do swoich towarzyszy. Stał o własnych siłach. Żył!

Przeładuj, Louviers, i strzelaj jeszcze raz, szybko, gorączkował się Pierre. Lecz kilku

spośród mężczyzn ze straży Coligny'ego otrząsnęło się w końcu z szoku i zaczęło rozglądać się po ulicy. Jeden z nich wskazał na otwarte okno na piętrze domu Nemoursów i czterech zbrojnych natychmiast pobiegło w tę stronę. Czy Louviers mimo to przeładowywał jeszcze broń i z zimną krwią przymierzał się do kolejnej próby? Zbrojni wpadli do wnętrza budynku. Pierre stał nieruchomo jak posąg, wpatrując się w okno budynku i wyczekując następnego wystrzału. Nadaremnie. Jeśli Louviers nadal był na swoim stanowisku, został już zapewne obezwładniony przez protestantów.

Pierre przeniósł wzrok na Coligny'ego. Generał stał prosto, ale może podtrzymywali go jego towarzysze. Niewykluczone, że został ciężko ranny i wkrótce umrze. Po chwili jednak Coligny rzucił coś gniewnie do swoich zbrojnych, jakby domagał się więcej miejsca, a ci posłusznie odsunęli się do tyłu. Teraz już Pierre widział wyraźnie, że protestancki przywódca stoi o własnych siłach. Przyciskał obie ręce do ciała, na połach i rękawach jego dubletu widniały plamy krwi, lecz wyglądało na to, że obie rany są powierzchowne. Kiedy tylko zbrojni od niego odstąpili, ruszył w stronę swojej kwatery, jakby

uznał, że nie potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarza.

Ludzie, którzy wcześniej wbiegli do domu Nemoursów, wrócili teraz na ulicę. Jeden z nich niósł dwulufowy arkebuz. Pierre nie słyszał ich słów, ale bez trudu odczytał znaczenie gestów: kręcenie głową, bezradne wzruszenie ramion, ruchy pokazujące ucieczkę. Louviers zdążył umknąć.

Gdy zbrojni generała zaczęli się zbliżać do kryjówki Pierre'a, ten, ogromnie zawiedziony, odwrócił się szybko i opuścił cmentarz tylną bramą.

VII

Gdy tylko dotarły do nich wieści o zamachu, Ned i Walsingham zrozumieli, że może to oznaczać koniec wszystkiego, na co liczyli oni i królowa Elżbieta.

Natychmiast pospieszyli na rue de Béthisy. Zastali Coligny'ego w łożu, w otoczeniu kilku spośród najważniejszych hugenotów, między innymi markiza Lagny. Rannego doglądało kilku lekarzy, przede wszystkim Ambroise Paré, królewski medyk. Był to sześćdziesięcioletni

mężczyzna o rzednących włosach i długiej ciemnej brodzie, która nadawała mu wyraz głębokiego zamyślenia.

Ned wiedział, że rany najczęściej dezynfekuje się wrzącym olejem lub rozpalonym do czerwoności żelazem. Był to zabieg tak bolesny, że niektórzy pacjenci umierali w następstwie szoku. Paré wolał zapobiegać infekcji, stosując maść z terpentyną. Napisał nawet książkę zatytułowaną *Metoda leczenia ran zadanych pociskami z arkebuza i strzałami*. Choć odnosił sukcesy, jego metody się nie przyjęły; środowisko medyków było bardzo konserwatywne.

Coligny, mimo że blady i obolały, zachował pełnię władz umysłowych. Jak wyjaśnił Paré, jedna kula urwała mu czubek palca wskazującego prawej ręki, a druga utknęła w lewym łokciu. Medyk zdołał ją wyjąć – był to niezwykle bolesny zabieg, który zapewne przyczynił się też do chorobliwej bladości generała – mógł więc pokazać im teraz ołowianą kulę o średnicy połowy cala.

Zapewnił, że Coligny będzie żył, co wszyscy przyjęli z ogromną ulgą. Mimo to hugenoci byli oburzeni i rozwścieczeni próbą zamachu na ich bohatera, a powstrzymanie ich od gwałtownej reakcji mogło się okazać nie lada wyzwaniem.

Co najmniej kilku spośród hugenotów stojących wokół łoża rwało się do walki. Przyjaciele generała pragnęli zemsty. Wszyscy byli pewni, że za zamachem stoi książę Gwizjusz. Chcieli czym prędzej pójść do Luwru i spotkać się z królem, by zażądać natychmiastowego aresztowania Henryka Gwizjusza, a w razie odmowy zagroziliby ogólnokrajowym powstaniem hugenotów. Niektórzy wspominali nawet o uwięzieniu króla.

Sam Coligny nawoływał do powściągliwości, ale był to jedynie słaby głos rannego, przykutego do łoża człowieka.

Walsingham również próbował ich powstrzymać.

– Mam pewne informacje, które mogą być dla was ważne – zaczął. Był przedstawicielem jedynego dużego państwa, w którym panował protestantyzm, więc hugenoccy arystokraci słuchali go z wielką uwagą. – Radykalni katolicy są przygotowani na wasze powstanie. Książę Gwizjusz ma plan stłumienia wszelkich działań zbrojnych protestantów, do których mogło dojść po ślubie. Każdej osobie obecnej w tej komnacie… – Walsingham rozejrzał się znacząco – każdej obecnej tu osobie przydzielono jednego

zabójcę spośród fanatycznych katolickich arystokratów.

Wiadomość była naprawdę szokująca, a w sypialni generała podniósł się szmer grozy i oburzenia.

Markiz Lagny zdjął wysadzaną klejnotami czapkę i podrapał się po łysej głowie.

– Pan wybaczy, ambasadorze – odezwał się sceptycznym tonem – ale skąd może pan wiedzieć takie rzeczy?

Ned znieruchomiał, wyczekując nerwowo odpowiedzi swojego zwierzchnika, choć był niemal pewien, że ten nie wspomni o Jeronimie Ruiz. Mogła jeszcze przekazać im jakieś cenne informacje.

Na szczęście Walsingham również zdawał sobie z tego sprawę.

– Oczywiście mam szpiega w domu Gwizjuszów – skłamał.

Langy zwykle dążył do zachowania pokoju, teraz jednak oznajmił wyzywającym tonem:

– W takim razie wszyscy musimy przygotować się do obrony.

– Najlepszą obroną jest atak! – krzyknął któryś z hugenotów.

Wszyscy się z tym zgodzili.

Ned był w tym gronie najmłodszy, ale miał coś ważnego do powiedzenia, więc zabrał głos:

– Właśnie na to liczy książę Gwizjusz, na powstanie protestantów, by zmusić króla do zerwania pokoju z Saint-Germain. Tylko ułatwilibyście mu, panowie, zadanie.

Jednakże do rozwścieczonych mężczyzn nie przemawiały żadne argumenty.

Wtedy do komnaty wszedł król Karol.

Wszyscy obecni zastygli w bezruchu. Pojawił się bez zapowiedzi, nikt nie oczekiwał jego przybycia. Towarzyszyła mu matka, królowa Katarzyna. Ned domyślił się, że ta wizyta była jej pomysłem. Za królem szła grupa najważniejszych dworzan, w tym większość katolickich arystokratów, którzy nienawidzili Coligny'ego. Ned zauważył jednak, że nie ma wśród nich księcia Gwizjusza.

Karol IX był królem od ponad dekady, ale miał dopiero dwadzieścia jeden lat, a tego dnia wydawał się wyjątkowo młody i bezbronny. Na jego bladej twarzy z cienkimi wąsami i ledwie widocznym zarostem malowały się szczera troska i cierpienie.

Ned nabrał nieco otuchy. Taka wizyta króla była niezwykłą manifestacją współczucia, której hugenoci nie mogli zignorować. Słowa Karola

również dawały nadzieję na pokojowe zamknięcie całej sprawy. Zwracając się do Coligny'ego, Karol oznajmił:

– Twoje jest cierpienie, ale mój gniew i zemsta.

Zabrzmiało to jak starannie przećwiczona kwestia przygotowana specjalnie po to, by później powtarzał ją cały Paryż, ale nie umniejszało to jej znaczenia.

Przyniesiono szybko krzesło i król usiadł naprzeciwko łoża rannego.

– Przysięgam, że dowiem się, kto jest za to odpowiedzialny…

– Henryk Gwizjusz… – mruknął któryś z hugenotów.

– …bez względu na jego status i pozycję – kontynuował król. – Powołałem już komisję śledczą, a jej przedstawiciele przesłuchują właśnie służących w domu, z którego strzelał zamachowiec.

Ned uznał, że to jedynie pozorne działania. W oficjalnych śledztwach nigdy nie chodziło o poznanie prawdy. Żaden rozsądny król nie pozwoliłby niezależnej komisji kontrolować dochodzenia, którego wyniki mogłyby zaważyć na losach państwa. W rzeczywistości miało to jedynie rozciągnąć sprawę w czasie – nie ustalić

fakty, lecz ostudzić emocje, co również było istotne.

– Proszę, byś zechciał przenieść się do Luwru. Tylko tam będziesz całkowicie bezpieczny.

Ned pomyślał, że nie jest to najlepszy pomysł. Coligny nigdzie nie był bezpieczny, ale na pewno mógł liczyć na skuteczniejszą ochronę tutaj, wśród przyjaciół, niż pod opieką Karola.

Twarz generała zdradzała podobne wątpliwości, nie mógł jednak wypowiedzieć ich głośno, by nie obrazić króla.

Sytuację uratował Ambroise Paré.

– Musi zostać tutaj, Wasza Wysokość – powiedział. – Każdy gwałtowniejszy ruch może doprowadzić do ponownego otwarcia ran, a stracił już bardzo dużo krwi.

Król przyjął uwagę medyka skinieniem głowy.

– W takim razie przyślę tu pana Cosseinsa z pięćdziesięcioma pikinierami i muszkieterami, by wzmocnili twoją straż przyboczną.

Ned zmarszczył brwi. Cosseins był człowiekiem króla. Gwardziści podlegający komuś innemu niż osobie, którą mieli ochraniać, nie byli ludźmi godnymi zaufania. Czy Karol w swej naiwności próbował uczynić z tego gest pojednania? Był wystarczająco młody i niewinny,

by nie zdawać sobie sprawy, że jego propozycja nie jest mile widziana.

Tylko że jedna prośba króla została już odrzucona, Coligny musiał więc odpowiedzieć:

– To bardzo uprzejme ze strony Waszej Królewskiej Mości.

Karol wstał, szykując się do wyjścia.

– Pomszczę tę zniewagę – oznajmił z mocą.

Ned spojrzał na twarze zgromadzonych hugenotów. Wydawało się, że wielu z nich skłonnych jest uwierzyć w szczerość intencji monarchy i przynajmniej dać mu szansę na powstrzymanie rozlewu krwi.

Król opuścił komnatę. Gdy Katarzyna ruszyła jego śladem, napotkała wzrok Neda. Ten skinął lekko głową, dziękując jej w ten sposób za przyprowadzenie króla i ocalenie kruchego pokoju. Kąciki ust królowej matki wykrzywiły się na moment w ledwie dostrzegalnym, porozumiewawczym uśmiechu.

VIII

Prawie całą sobotę Ned spędził na szyfrowaniu długiego listu od Walsinghama do królowej Elżbiety. Ambasador opisywał w nim

szczegółowo wypadki minionego tygodnia i starania królowej Katarzyny o zachowanie pokoju. Skończył pracę późnym popołudniem, a potem wyszedł z ambasady i udał się na rue de la Serpente.

Był ciepły wieczór, przed karczmami przesiadywali młodzi mężczyźni, którzy szydzili z przechodzących obok żebraków i gwizdali na dziewczyny. Nie różnili się niczym od hałaśliwych chłopców z Kingsbridge, którym nie brakowało wolnego czasu, pieniędzy i energii. Ned wiedział, że później zabiorą się też do bitki – sobotnia noc zawsze kończyła się bójkami – nie widział jednak nigdzie hugenotów. Wyglądało na to, że posłuchali głosu rozsądku i nie wychodzili na ulicę, a kolację jedli w domu, za zamkniętymi na klucz drzwiami. Być może tego wieczoru uda się uniknąć zamieszek, a nazajutrz była przecież niedziela.

Usiadł na zapleczu sklepu z Sylvie i jej matką. Opowiedziały mu o wizycie Pierre'a Aumande'a.

– Myślałyśmy, że o nas zapomniał – rzekła zdenerwowana Isabelle. – Nie wiemy, jak nas znalazł.

– Ja wiem – odparł Ned z poczuciem winy. – Śledził mnie jeden z jego ludzi. Musiałem go tutaj doprowadzić w zeszłym tygodniu, kiedy

przyszedłem na obiad. Bardzo mi przykro. Nie miałem pojęcia, że jestem śledzony, zauważyłem to dopiero po wyjściu z waszego domu.

– Skąd wiesz, że człowiek, który cię śledził, pracował dla Pierre'a? – spytała Sylvie.

– Dopadłem go, przystawiłem mu nóż do szyi i zagroziłem, że poderżnę mu gardło, jeśli mi nie powie.

– Och…

Obie kobiety milczały przez chwilę, jakby po raz pierwszy uświadomiły sobie, że Ned zdolny jest do takich brutalnych działań. W końcu przerwał ciszę, mówiąc:

– Co, waszym zdaniem, zrobi Aumande?

– Nie wiem. – Sylvie pokręciła głową. – Przez jakiś czas muszę być wyjątkowo ostrożna.

Opowiedział im o wizycie króla u rannego Coligny'ego. Sylvie zwróciła szczególną uwagę na informację o liście protestantów z przydzielonymi im zabójcami.

– Jeśli książę Gwizjusz ma taką listę, to pewnie przygotował ją Pierre – zauważyła.

– Wydaje się to prawdopodobne – przyznał Ned. – Wygląda na to, że to on dowodzi siatką szpiegowską księcia.

– W takim razie wiem, gdzie ta lista jest – oznajmiła Sylvie.

Ned wyprostował się na krześle.

– Naprawdę? Gdzie?

– Ma notes, który trzyma zawsze w domu. Uważa, że tam jest bezpieczniejszy niż w pałacu Gwizjuszów.

– Widziałaś go?

Skinęła głową.

– Wiele razy. Dlatego wiem, którym protestantom grozi niebezpieczeństwo.

Ned wreszcie zrozumiał, stąd pochodzą jej informacje.

– Ale nigdy nie było w nim listy morderców – dodała Sylvie.

– Mógłbym go zobaczyć?

– Być może.

– Teraz?

– Nie jestem pewna, ale sobotni wieczór to zwykle dobra pora. Spróbujmy – zaproponowała, wstając.

– Na ulicach nie jest bezpiecznie – sprzeciwiła się Isabelle. – Wszędzie kręcą się pijani mężczyźni, którzy szukają tylko zaczepki. Zostań lepiej w domu.

– Mamo, nasi przyjaciele mogą zginąć. Musimy ich ostrzec.

– Więc bądźcie ostrożni, na miłość boską.

Zapadał zmrok, gdy Ned i Sylvie opuścili sklep i przeszli przez Île de la Cité. Nad niespokojnym miastem wznosiła się potężna bryła katedry, ciemna i groźna w gęstniejącym mroku. Kiedy znaleźli się na prawym brzegu, Sylvie przeprowadziła swojego towarzysza ciasnymi ulicami w pobliżu Hali do karczmy przy kościele Saint-Étienne.

Poleciła, by do tylnych drzwi domu przy sąsiedniej ulicy zaniesiono kufel piwa – co, jak domyślił się Ned, było umówionym sygnałem. W karczmie panował tłok, brakowo miejsc siedzących, stanęli więc w rogu. Ned był ogromnie podekscytowany. Czy za moment rzeczywiście zobaczy tajną listę Pierre'a Aumande'a?

Kilka minut później dołączyła do nich szczupła dwudziestokilkuletnia kobieta. Sylvie przedstawiła ją jako Nath, służącą Pierre'a.

– Należy do naszej wspólnoty – dodała.

Ned wszystko już rozumiał. Sylvie zwerbowała służącą Aumande'a i dzięki temu zdobyła dostęp do jego dokumentów. Sprytna kobieta.

– To jest Ned – zwróciła się Sylvie do Nath. – Możemy mu ufać.

Nath uśmiechnęła się szeroko.

– Wyjdziesz za niego? – wypaliła.

Ukrył uśmiech.

Sylvie była ogromnie zakłopotana, ale zbyła jej słowa żartem:

– Nie dziś. – Po czym szybko zmieniła temat. – Co dzieje się w domu?

– Pierre jest w kiepskim nastroju. Coś mu się wczoraj nie udało.

– Coligny nie zginął, to mu się nie udało – mruknął Ned.

– Tak czy inaczej, poszedł dziś do pałacu Gwizjuszów.

– A Odette jest w domu? – wypytywała dalej Sylvie.

– Pojechała do swojej matki i zabrała ze sobą Alaina.

– Odette jest żoną Pierre’a, a Alain jego pasierbem – wyjaśniła Nedowi.

Był zaintrygowany tym opisem prywatnego życia słynnego złoczyńcy.

– Nie wiedziałem, że jest żonaty.

– To długa historia. Opowiem ci innym razem. – Sylvie odwróciła się do Nath: – Ned chciałby rzucić okiem na jego notes.

– Więc chodźmy – powiedziała Nath, wstając. – To idealny moment.

Przeszli do następnej przecznicy. Dzielnica należała do biedniejszych, a dom Pierre’a był zadziwiająco mały, podobnie jak inne budynki, co mocno zaskoczyło Neda. Wydawało się, że Aumande, który nosił drogie ubrania i klejnoty, jest zamożnym człowiekiem. Z drugiej strony, ludzie tacy jak książę Gwizjusz lubili czasami umieszczać swych doradców w skromnych kwaterach, by ci nie urośli za bardzo w ambicje. Poza tym takie niepozorne domy doskonale nadawały się na miejsce tajnych spotkań.

Nath wprowadziła ich do środka tylnymi drzwiami. Na parterze mieściły się zaledwie dwa pomieszczenia, pokój dzienny i kuchnia. Ned nie mógł uwierzyć, że tak wygląda wnętrze domu budzącego postrach Pierre’a Aumande’a. Czuł się jak Jonasz w brzuchu wieloryba.

W salonie stała skrzynia na dokumenty. Nath sięgnęła po woreczek z przyborami do szycia, wyjęła z niego agrafkę wygiętą starannie na kształt haczyka i otworzyła nią skrzynię.

Zdumiewające, pomyślał Ned. Tak po prostu. Tak łatwo.

Służąca podniosła wieko.

Skrzynia była pusta.

– Och! Księga zniknęła! – wykrzyknęła dziewczyna.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli, kompletnie zaskoczeni. Jako pierwsza otrząsnęła się ze zdumienia Sylvie.

– Zabrał ją ze sobą do pałacu Gwizjuszów – powiedziała w zamyśleniu. – Ale dlaczego?

– Bo chce jej pewnie użyć – odpowiedział jej Ned. – Co oznacza, że zamierza wprowadzić w życie plan wymordowania wszystkich protestantów w mieście, i to jeszcze tej nocy.

– Boże, miej nas w swojej opiece – wyszeptała przerażona Sylvie.

– Musisz ostrzec ludzi.

– Powinni wyjechać z Paryża, jeśli tylko będą mogli – rzekła.

– A jeżeli nie będą mogli, powiedz im, by przyszli do ambasady Anglii.

– Będą ich setki, do tego jeszcze ci, którzy przyjechali spoza Paryża na ślub. Nie zmieszczą się wszyscy w ambasadzie.

– Tak czy inaczej nie zdążysz ostrzec setek ludzi, zajęłoby ci to kilka dni.

– Więc co możemy zrobić?

– Wszystko, co w naszej mocy, by uratować tylu, ilu tylko się da.

ROZDZIAŁ 20

I

W ten sam sobotni wieczór książę Henryk Gwizjusz szalał z wściekłości. Nie mógł pogodzić się z faktem, że świat działa na innych zasadach, niż on tego oczekiwał.

– Zejdź mi z oczu! – ryczał na Pierre'a. – Zwalniam cię! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć!

Po raz pierwszy w życiu Pierre bał się młodego Henryka równie mocno, jak kiedyś jego ojca. Czuł przejmujący ból w brzuchu, jakby ktoś wbił mu tam sztylet.

– Rozumiem twój gniew, książę – odezwał się pojednawczym tonem. Wiedział, że jeśli nie uda mu się jakoś z tego wywinąć, jego kariera dobiegnie końca.

– Obiecywałeś zamieszki! – ryknął Henryk. – I co? Nic się nie stało!

Pierre rozłożył ręce w geście bezradności.

– Królowa matka im zapobiegła.

Byli w pałacu Gwizjuszów przy Vieille rue du Temple, w bogato zdobionej komnacie, gdzie Pierre po raz pierwszy spotkał starego księcia i kardynała Karola. Dziś czuł się równie upokorzony jak tamtego dnia przed czternastoma laty, kiedy był zwykłym studentem oskarżonym o bezprawne posługiwanie się nazwiskiem Gwizjuszów. Lada moment mógł stracić wszystko, co zdobył od tamtej pory. Gdy wyobraził sobie miny swoich wrogów, pełne zadowolenia i pogardy, z trudem powstrzymał się od łez.

Żałował, że nie ma tu teraz kardynała Karola. Gwizjuszom przydałby się jego polityczny spryt i chłodny, bezwzględny ogląd sytuacji. Lecz Karol przebywał obecnie w Rzymie, gdzie załatwiał jakieś sprawy kościelne. Pierre musiał radzić sobie sam.

– Próbowałeś zabić Coligny’ego i to też ci się nie udało! – pieklił się Henryk. – Jesteś nieudacznikiem.

– To nie moja wina – wił się Pierre. – Mówiłem Bironowi, żeby dał Louviersowi muszkiet, ale on twierdził, że będzie za duży.

– Powiedziałeś, że hugenoci i tak podniosą bunt, nawet jeśli Coligny będzie tylko ranny.

– Uspokoiła ich wizyta króla u admirała.

– Żaden z twoich planów nie wypalił! Wkrótce wszyscy hugenoccy arystokraci spoza Paryża wyjadą, a ja stracę szansę, bo posłuchałem ciebie. Czego nie zrobię nigdy więcej.

Pierre próbował zachować zimną krew i wymyślić coś, co uchroniłoby go przed gniewem Henryka. Właściwie wiedział już, co trzeba zrobić – ale czy książę zechce go posłuchać?

– Zadawałem sobie pytanie, książę, co doradziłby nam w tej sytuacji twój wuj Karol – zaczął sprytnie.

Zaintrygowany tą myślą Henryk nieco się uspokoił.

– No i co by, twoim zdaniem, powiedział? – spytał z zainteresowaniem.

– Zasugerowałby pewnie, byśmy zachowywali się tak, jakby jednak doszło do powstania hugenotów.

– Co masz na myśli? – Młody książę nie mógł się poszczycić szczególnie lotnym umysłem.

– Uderzmy w dzwon Saint-Germain-l'Auxerrois. – Pierre podniósł oprawny w czarną skórę notes zawierający nazwiska hugenotów i przypisanych im zabójców. – Nasi ludzie uwierzą, że hugenoci wzniecili powstanie,

i zamordują ich przywódców, by ocalić życie króla.

Henryk był zaskoczony zuchwałością tego planu, nie odrzucił go jednak od razu, co na nowo rozbudziło nadzieje Pierre'a.

– Hugenoci będą się mścić – rzucił książę.

– Więc trzeba uzbroić straż miejską.

– Taki rozkaz może wydać tylko burmistrz, a nie zrobi tego na moje zawołanie.

– Zostaw to mnie. – Pierre nie miał jeszcze pojęcia, jak to osiągnie, ale nie zamierzał pozwolić, by przez jakieś szczegóły znów ściągnął na siebie gniew księcia.

– Możemy być pewni, że straż pokona hugenotów? Na obrzeżach Paryża są ich tysiące. A jeśli wjadą do miasta, żeby bronić swoich braci? Nie wiadomo, kto wtedy wygra.

– Zamkniemy bramy. – Paryż otoczony był murem, a na większości obwodu również fosą. Każda z bram w umocnieniach prowadziła na most. Po zamknięciu wrót nie dało się ani wejść do miasta, ani go opuścić.

– To też może zrobić tylko burmistrz.

– Więc zostaw to, książę, również mnie. – W tym momencie Pierre gotów był obiecać mu wszystko, byle tylko odzyskać jego przychylność. – Jedyne, co musisz zrobić, to czekać ze swoimi

ludźmi w pogotowiu, by na mój sygnał pojechać do domu Coligny'ego i go zabić.

– Strzegą go hugenoci i Cosseins z pięćdziesięcioma królewskimi gwardzistami.

– Cosseins jest człowiekiem króla.

– Myślisz, że król zechce go odwołać?

Pierre dał mu pierwszą odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy.

– Cosseins będzie sądził, że król go odwołał.

Henryk wpatrywał się w Pierre'a przez dłuższą chwilę.

– Jesteś pewien, że uda ci się to wszystko osiągnąć? – spytał wreszcie.

– Tak – skłamał Pierre. Musiał zaryzykować. – Ale tobie, książę, nic nie grozi – zapewnił solennie. – Jeśli mnie się nie uda, skończy się tylko na tym, że niepotrzebnie przygotujesz ludzi do ataku.

Ten argument ostatecznie przekonał Henryka.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Wrócę przed północą – odpowiedział Pierre, składając kolejną obietnicę, której być może nie będzie w stanie dotrzymać.

Wstał i wyszedł z komnaty, zabierając ze sobą czarny notes.

Georges Biron czekał na niego na zewnątrz.

– Osiodłaj dwa konie – polecił mu Pierre. – Mamy dużo pracy.

Nie mogli wyjechać główną bramą, bo czekał tam tłum rozwrzeszczanych hugenotów. Protestanci – podobnie jak wszyscy inni – uważali, że to Henryk odpowiada za zamach na Coligny'ego, i domagali się jego krwi, choć, jak dotąd, nie zrobili nic, co mogłoby dać ludziom księcia Gwizjusza pretekst do otwarcia ognia. Na szczęście pałac Gwizjuszów był bardzo duży, zajmował cały kwartał, nie brakowało więc innych wyjść. Pierre i Biron wyjechali boczną bramą.

Ruszyli w stronę place de Grève, centralnego placu, gdzie mieszkał burmistrz. Wąskie, kręte uliczki Paryża były równie zawiłe jak plan, który formował się w głowie Pierre'a. Od dawna myślał o tej chwili, rzeczywistość jednak znów go zaskoczyła i musiał improwizować. Wziął kilka głębokich oddechów, starając się uspokoić i uporządkować myśli. Zaczynał właśnie najryzykowniejszą rozgrywkę w swoim życiu. Wiele rzeczy mogło pójść nie po jego myśli, a wystarczyło tylko jedno niepowodzenie, by cały misterny plan wziął w łeb. Wtedy Pierre'a czekałaby katastrofa. Jego życie w roli

bogatego i potężnego doradcy Gwizjuszów zakończyłoby się haniebną porażką.

Starał się o tym nie myśleć.

Funkcję burmistrza sprawował bogaty drukarz i księgarz, Jean Le Charron. Pierre przerwał mu rodzinną kolację, informując, że król wzywa go do siebie, co oczywiście było nieprawdą. Czy Le Charron uwierzy?

Tak się składało, że był on burmistrzem dopiero od tygodnia i czuł się zaszczycony, że odwiedził go sławny Pierre Aumande Gwizjusz. Wiadomość o królewskim wezwaniu zrobiła na nim takie wrażenie, że nawet nie przyszło mu do głowy, by kwestionować jej autentyczność. Natychmiast zgodził się pojechać z Pierre'em. Pierwsza przeszkoda została pokonana.

Le Charron osiodłał konia i wszyscy trzej ruszyli do Luwru.

Biron został na dziedzińcu, podczas gdy Pierre wprowadził Le Charrona do środka. Był na tyle znaczącą postacią, że mógł wejść do poczekalni przy komnacie audiencyjnej króla, tu jednak kończyły się jego możliwości.

Zaczynał się kolejny niebezpieczny punkt planu. Król Karol nie wzywał do siebie Pierre'a ani Le Charrona, a żaden z nich nie był

dostatecznie wysoko urodzony, by odwiedzać władcę bez zaproszenia.

Zostawiwszy burmistrza pod przeciwległą ścianą komnaty, Pierre zwrócił się do odźwiernego spokojnym, pewnym siebie tonem sugerującym, że ten musi bezwarunkowo wykonać jego polecenie.

– Bądź tak dobry i powiedz Jego Wysokości, że przywożę wiadomość od księcia Henryka Gwizjusza.

Król nie widział się z młodym księciem od czasu nieudanego zamachu. Pierre zakładał, że Karol będzie bardzo ciekaw, co Henryk ma do powiedzenia na swoją obronę.

Po dłuższej chwili wezwano Pierre’a do środka.

Powiedział Le Charronowi, by nie ruszał się z poczekalni, dopóki on również nie zostanie wezwany, po czym wszedł do komnaty audiencyjnej.

Król Karol i jego matka siedzieli przy stole i kończyli właśnie kolację. Pierre bardzo żałował, że zastał tu królową. Bez trudu mógł oszukać jej syna, ale Katarzyna była bystrzejsza i bardziej podejrzliwa.

– Mój szlachetny pan książę Gwizjusz pokornie przeprasza Waszą Wysokość, że nie

mógł przybyć na dwór osobiście – zaczął.

Karol skinął tylko głową, przyjmując przeprosiny, ale Katarzyna, która siedziała naprzeciwko niego, nie dała się tak łatwo zbyć.

– A z jakiegoż to powodu nie mógł się tu pofatygować? – spytała ostro. – Czyżby dręczyło go sumienie?

Pierre oczekiwał tego pytania i miał gotową odpowiedź.

– Książę obawia się o swoje życie, Wasza Wysokość. Pod jego bramami dzień i noc stoi tłum uzbrojonych hugenotów. Opuszczając swój dom, ryzykowałby życie. Hugenoci przygotowują zemstę. W mieście i na przedmieściach są ich tysiące, uzbrojonych i żądnych krwi…

– Mylisz się – przerwała mu matka królowa. – Jego Wysokość już rozwiał ich obawy i uspokoił nastroje. Nakazał przeprowadzić śledztwo w sprawie zamachu i obiecał karę. Odwiedził generała Coligny’ego. Być może przy Vieille rue de Temple zebrało się kilku bardziej krewkich hugenotów, ale ich przywódcy są usatysfakcjonowani.

– Właśnie to powiedziałem księciu Henrykowi. – Pierre skinął głową. – Ale on uważa, że hugenoci szykują się do powstania. Obawia się też, że jedyną nadzieją na ocalenie

będzie atak wyprzedzający, który uniemożliwi im zamach na jego osobę.

– Powiedz mu, że ja, król Karol Dziewiąty, gwarantuję mu bezpieczeństwo.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Oczywiście przekażę mu tę radosną wieść. – W rzeczywistości taka gwarancja była praktycznie bezwartościowa. Silny król, budzący strach pośród swoich baronów, być może byłby w stanie zapewnić bezpieczeństwo księciu, ale Karol był fizycznie i psychicznie słaby. Katarzyna rozumiała to znacznie lepiej niż on sam, więc właśnie do niej Pierre skierował następne zdanie. – Książę Henryk pyta jednak, czy może zasugerować coś jeszcze?

Wstrzymał oddech. Zachował się naprawdę zuchwale: król może zechcieć słuchać rad arystokratów, ale nie w postaci wiadomości przyniesionej przez posłańca.

W komnacie zapadła cisza. Pierre obawiał się, że lada moment zostanie wyrzucony za drzwi.

Katarzyna patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Wiedziała, że to właśnie ta propozycja jest prawdziwym powodem wizyty Pierre’a. Nie skarciła go jednak, co świadczyło o tym, jak słaba jest jej kontrola nad miastem

i jak niewiele brakuje, by zapanował w nim chaos.

– Czego chcesz? – spytał w końcu król.

– Podjęcia pewnych prostych środków ostrożności, które zapobiegłyby aktom przemocy po obu stronach.

– Jakich środków? – spytała Katarzyna podejrzliwym tonem.

– Dobrze byłoby zamknąć bramy miasta, by nie mógł do niego wejść nikt spoza murów, ani hugenoci mieszkający na przedmieściach, ani katolickie posiłki. – Pierre zamilkł. Oczywiście nie chodziło mu wcale o katolickie wojska, których i tak w pobliżu nie było. Przede wszystkich chciał zatrzymać za murami hugenotów. Czy Katarzyna przejrzy ten wybieg?

– Właściwie to całkiem dobry pomysł – stwierdził król.

Jego matka milczała.

– Warto też – mówił dalej Pierre, jakby otrzymał na to zgodę – przykuć łodzie do nabrzeża i przeciągnąć żelazne łańcuchy przez Sekwanę, by uniemożliwić wrogim okrętom wpłynięcie do miasta. Żadni awanturnicy nie dostaliby się wtedy do Paryża. – A hugenoci nie mogliby uciec tą drogą.

– Także rozsądne rozwiązanie. – Król skinął głową.

Pierre poczuł, że wygrywa, i śmiało parł dalej:

– Burmistrz mógłby uzbroić straż miejską i postawić strażników na ważniejszych skrzyżowaniach w mieście, by zawracali wszystkich uzbrojonych ludzi, bez względu na to, jaką religię wyznają.

Katarzyna od razu zrozumiała, że nie jest to neutralne posunięcie.

– Wszyscy strażnicy miejscy są katolikami – wtrąciła.

– Oczywiście – zgodził się z nią Pierre. – Ale tylko przy ich pomocy możemy utrzymać porządek i spokój w mieście.

Na tym skończył. Wolał nie wdawać się w dyskusję o bezstronności, bo prawdę mówiąc, żaden z elementów jego planu nie był bezstronny. Katarzynie jednak bardzo zależało na utrzymaniu porządku.

– Moim zdaniem – zwrócił się do swej matki król – to rzeczywiście zwykłe środki ostrożności. Nie widzę w nich nic złego.

– Być może masz rację – przyznała Katarzyna. Nie ufała żadnemu Gwizjuszowi, ale to, co usłyszała, wydawało się rozsądne.

– Książę ma jeszcze jedną propozycję – ośmielił się dorzucić Pierre. Oczywiście książę Henryk nie miał pojęcia o żadnym z tych pomysłów, lecz etykieta wymagała, by Pierre udawał, że to właśnie jego pan podsuwa takie rozwiązania. – Proponuje przygotować miejską artylerię. Jeśli ustawimy armaty na placu de Grève, będą gotowe do obrony ratusza. W razie potrzeby można je będzie bez trudu przenieść w inne miejsce. – Albo skosić tłum protestantów, dodał w myślach.

Król ponownie skinął głową.

– Powinniśmy zrobić wszystkie te rzeczy. Wygląda na to, że książę Gwizjusz to utalentowany strateg. Przekaż mu, proszę, moje podziękowania.

Pierre skłonił się nisko.

– Będziesz musiał wezwać burmistrza – powiedziała Katarzyna do Karola. Bez wątpienia miała nadzieję, że zyska w ten sposób na czasie i będzie mogła spokojnie przemyśleć propozycje Gwizjusza.

Pierre nie zamierzał jednak dać jej tej szansy.

– Wasza Wysokość, pozwoliłem sobie przyprowadzić burmistrza – oznajmił. – Jest tu, za drzwiami, i czeka na rozkazy Jego Królewskiej Wysokości.

– Świetnie – pochwalił go Karol. – Niech wejdzie.

Le Charron wkroczył do komnaty i ukłonił się nisko, podekscytowany i onieśmielony jednocześnie królewską obecnością.

Pierre postanowił wyręczyć króla i przekazał burmistrzowi polecenia dotyczące wszystkich rozwiązań, które sam wcześniej zaproponował. Wygłaszając tę przydługą instrukcję, cały czas obawiał się, że Karol lub – co było bardziej prawdopodobne – Katarzyna zmienią zdanie, lecz oni tylko kiwali potakująco głowami. Królowa miała taką minę, jakby nie do końca wierzyła, że książę Henryk chce tylko ratować własną skórę i zapobiec zamieszkom, ale najwyraźniej nie potrafiła odgadnąć, jakie inne motywy mogły nim kierować, więc nie protestowała.

Burmistrz podziękował królowi wylewnie za zaszczyt, jakim była możliwość wysłuchania jego instrukcji, i obiecał, że skrupulatnie je wypełni. W końcu obaj zostali odprawieni. Do samego końca audiencji, gdy jeszcze cofał się do wyjścia i bił pokłony, Pierre nie mógł uwierzyć, że jego podstęp się powiódł – był niemal pewien, że lada moment Katarzyna nabierze podejrzeń i wezwie go ponownie. Dopiero gdy zamknięto za nim

drzwi komnaty audiencyjnej, uznał, że naprawdę udało mu się zrobić kolejny krok ku zwycięstwu.

Wraz z Le Charronem przeciął poczekalnię i wartownię, a potem zszedł na dół po schodach. Gdy wreszcie znaleźli się na dziedzińcu, gdzie czekał Biron z końmi, nad miastem zapadła już ciemność.

Przed rozstaniem z burmistrzem Pierre musiał się dopuścić jeszcze jednego oszustwa.

– Ach, król zapomniał wspomnieć o jednej rzeczy – powiedział.

Po takim wstępie doświadczony dworzanin natychmiast nabrałby podejrzeń, lecz Le Charron był pod ogromnym wrażeniem bliskich – na pozór – relacji Pierre'a z monarchą i bardzo chciał mu się przypodobać.

– Oczywiście, słucham – rzekł.

– Jeśli życie króla będzie zagrożone, nasi ludzie uderzą w dzwon Saint-Germain-l'Auxerrois, a potem dołączą do niego dzwony innych prawdziwie katolickich świątyń w całym Paryżu. To będzie sygnał oznaczający, że hugenoci powstali przeciwko królowi i że trzeba ich zaatakować.

– Naprawdę może do tego dojść? – spytał Le Charron z przejęciem.

– Tak, nawet dzisiejszej nocy, więc musicie być przygotowani.

Burmistrzowi nie przyszło nawet do głowy, by powątpiewać w te słowa. Przyjmował wszystkie rozkazy i przestrogi Pierre'a bez najmniejszych zastrzeżeń.

– Będę gotowy – obiecał.

Pierre wyjął z sakwy przy siodle swój czarny notes. Wyrwał strony z nazwiskami hugenockich arystokratów i ich zabójców. Na pozostałych znajdowały się dane innych paryskich hugenotów. Podał księgę Le Charronowi.

– Oto lista wszystkich protestantów mieszkających w Paryżu, łącznie z adresami – wyjaśnił.

– Nie miałem pojęcia, że istnieje taki dokument! – zdumiał się burmistrz.

– Przygotowywałem go przez wiele lat – odrzekł Pierre, nie bez dumy.

Le Charron z nabożną czcią odebrał od niego notes.

– Dziękuję.

– Jeśli usłyszycie głos dzwonów, waszym obowiązkiem będzie zabić wszystkie osoby wymienione na tej liście – oznajmił z powagą Pierre.

Burmistrz przełknął z trudem ślinę. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że może brać udział w masakrze, lecz Pierre podprowadzał go do tego punktu tak powoli, ostrożnie i przekonująco, że teraz Le Charron skinął tylko głową. Dorzucił nawet własną propozycję:

– Gdyby doszło do walk, każę strażnikom miejskim włożyć coś, po czym mogliby się nawzajem rozpoznawać, na przykład białą opaskę.

– Świetny pomysł – pochwalił go Pierre. – Powiem Jego Wysokości, że pan to wymyślił.

Le Charron był zachwycony.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

– A teraz niech już pan lepiej idzie. Ma pan sporo do zrobienia.

– Tak. – Burmistrz dosiadł konia, wciąż ściskając w dłoni czarny notes. Przed odjazdem pozwolił sobie jeszcze na chwilę niepewności. – Miejmy nadzieję, że żaden z tych środków ostrożności nie okaże się potrzebny.

– Amen – odrzekł Pierre nieszczerze.

Burmistrz odjechał, a Biron dosiadł swojego wierzchowca.

Pierre przystanął jeszcze na moment, by spojrzeć na pałac we włoskim stylu, który właśnie opuścił. Wciąż nie mógł uwierzyć, że

zdołał przechytrzyć króla i jego matkę. Jednakże gdy władcy mają wrażenie, że sytuacja wymyka im się spod kontroli, gotowi są podejmować wszelkie działania i realizować wszelkie plany, które wydają się choć trochę obiecujące.

Ale jego misja nie dobiegła końca. Wszystkie wysiłki i plany Pierre'a z ostatnich dni spełzły na niczym, a dzisiejszy, jeszcze bardziej skomplikowany spisek, również mógł zakończyć się fiaskiem.

Wskoczył na konia.

– Rue de Béthisy – rzucił do Birona. – Jedziemy.

Rezydencja Coligny'ego była zamknięta. Przed bramą stali królewscy gwardziści. Niektórzy trzymali w pogotowiu arkebuzy i lance, inni odpoczywali na ziemi, choć i oni nie odkładali broni zbyt daleko. Tworzyli groźną i trudną do pokonania zaporę.

Pierre osadził konia w miejscu i zwrócił się do strażnika:

– Wiadomość od Jego Wysokości do pana Cosseinsa.

– Przekażę mu – odparł strażnik.

– Nie. Idź po niego.

– Śpi.

– Chcesz, żebym wrócił do Luwru i powiedział, że twojemu panu nie chciało się wstać z łóżka, żeby odebrać wiadomość od króla?

– Nie, panie, oczywiście, że nie, proszę wybaczyć.

Strażnik oddalił się pospiesznie i po minucie wrócił z Cosseinsem, który najwyraźniej spał w ubraniu.

– Zmiana planów – powiedział mu Pierre. – Hugenoci zawiązali spisek, chcieli uwięzić króla i przejąć kontrolę nad dworem. Wierni słudzy króla pokrzyżowali im plany, ale jego wysokość chce aresztować Coligny'ego.

Cosseins nie był tak naiwny jak Le Charron. Przyjął tę wiadomość z nieskrywanym sceptycyzmem, pomyślawszy być może, że król raczej nie wybrałby na posłańca doradcy Gwizjuszów.

– Masz jakieś potwierdzenie tego rozkazu? – spytał.

– Ty nie musisz go aresztować. Król kogoś tu przyśle.

Dowódca królewskich gwardzistów wzruszył ramionami. Takie rozwiązanie oznaczało, że sam nie musi wykonywać żadnego zadania.

– Niech i tak będzie – mruknął.

– Bądźcie tylko gotowi – dorzucił Pierre i odjechał.

Zrobił wszystko, co mógł. Wykorzystując cały arsenał drobnych oszustw i kłamstw, przygotował grunt pod Armagedon. Teraz mógł tylko liczyć na to, że wszyscy ludzie, których zmanipulował – od króla po księdza z Saint-Germain-l'Auxerrois – będą się zachowywać zgodnie z jego kalkulacjami.

Po zmroku tłum przy Vieille rue du Temple nieco się zmniejszył, wciąż jednak było tu wystarczająco wielu hugenotów, by skłonić Pierre'a i Birona do wejścia boczną bramą.

Najpierw musieli sprawdzić, czy Henryk jest gotowy. Młody książę zwykle rwał się do czynu, ale ostatnio stracił wiarę w Pierre'a, mógł więc zmienić zdanie i nie zebrać swoich ludzi.

Pierre odetchnął z ulgą, ujrzawszy pięćdziesięciu zbrojnych zgromadzonych na wewnętrznym dziedzińcu. Stajenni przytrzymywali za uzdy ich osiodłane konie. Zauważył Rasteau, mężczyznę bez nosa, oraz jego wieloletniego kompana, Brocarda. Blask pochodni odbijał się w lśniących hełmach i napierśnikach. Była to zdyscyplinowana grupa szlachetnie urodzonych mężczyzn i żołnierzy,

którzy w cierpliwym milczeniu czekali na dalsze rozkazy.

Przepchnął się na środek dziedzińca, gdzie stał książę Henryk. Ten na widok swego doradcy spytał krótko:

– No i?

– Wszystko gotowe – odparł Pierre. – Król zgodził się na to, czego chcieliśmy. Burmistrz uzbraja właśnie straż miejską i przygotowuje artylerię. – A przynajmniej taką mam nadzieję, dodał w myślach.

– A Cosseins?

– Powiedziałem mu, że król przyśle kogoś, kto zaaresztuje Coligny'ego. Jeśli mi nie uwierzył, będziesz musiał, książę, wedrzeć się tam siłą.

– Niech i tak będzie. – Henryk odwrócił się do swoich ludzi i zawołał: – Wyjeżdżamy główną bramą! Śmierć każdemu, kto stanie nam na drodze!

Zbrojni dosiedli wierzchowców. Stajenny podał Pierre'owi pas z mieczem ukrytym w pochwie. Aumande zapiął pas i wskoczył na siodło. Zamierzał w miarę możliwości unikać bezpośredniego udziału w bitwie, ale wolał być odpowiednio przygotowany.

Spojrzał pod łukiem dziedzińca w stronę głównego wejścia. Dwaj służący przesuwali

właśnie żelazne skrzydła bramy. Tłum zgromadzony na zewnątrz zbaraniał, kompletnie zaskoczony. Protestujący hugenoci nie przypuszczali, że książę otworzy bramę pałacu, nie mieli więc pojęcia, co robić w tej sytuacji. Nim zdążyli podjąć jakąkolwiek decyzję, Henryk poderwał konia do galopu. Cały oddział ruszył gwałtownie naprzód, a dziedziniec wypełnił się hukiem podków uderzających o bruk. Przerażony tłum rozstąpił się na boki, nie wszyscy jednak zdążyli uciec. Pośród okrzyków grozy i bólu potężne rumaki tratowały tych, którzy stanęli im na drodze, a jeźdźcy niestrudzenie cięli mieczami. Dziesiątki rannych i zabitych hugenotów padały na ziemię.

Zaczęła się rzeź.

Ludzie księcia pędzili na oślep ulicami. Nieliczni przechodnie salwowali się ucieczką pod ściany domów. Pierre był podekscytowany, ale i pełen obaw. Dążył do tego momentu, odkąd król Karol podpisał haniebne porozumienie pokojowe w Saint-Germain. Ta noc miała pokazać wszystkim, że Francja nie będzie tolerowała herezji – i że nie można ignorować Gwizjuszów. Pierre był wystraszony, choć wzbierał w nim też desperacki entuzjazm.

Niepokoił się tym, co zrobi Cosseins. Żałował, że nie udało mu się go przekonać do współpracy, ale dowódca królewskiej gwardii nie był głupcem. Gdyby postanowił stawić im opór, doszłoby do krwawej potyczki – a Coligny mógłby mieć dość czasu na ucieczkę. Powodzenie całego planu zależało teraz od tego jednego szczegółu.

Pałac Gwizjuszów znajdował się po wschodniej stronie miasta, a kwatera Coligny'ego po zachodniej, dzieliła je jednak niewielka odległość, a o tej porze ulicy były praktycznie puste. Już wkrótce jeźdźcy znaleźli się na rue de Béthisy.

Ludzie Cosseinsa musieli usłyszeć z daleka stukot kopyt, bo teraz, ustawieni w szyku bojowym przed bramą, z bronią gotową do walki prezentowali się znacznie porządniej i groźniej niż pół godziny temu.

Książę Henryk zatrzymał konia i krzyknął:

– Przybywam tu w imieniu króla, by aresztować Gasparda de Coligny! Otwierać bramę!

Cosseins wystąpił do przodu. Blask pochodni trzymanych przez ludzi księcia Henryka kładł się na jego twarzy krwawą czerwienią.

– Nie otrzymałem takich instrukcji – powiedział królewski gwardzista.

– Cosseins, jesteś dobrym katolikiem i wiernym sługą Jego Wysokości króla Karola, ale nie zaakceptuję twojej odmowy – odparł Henryk. – Mam królewskie rozkazy i wykonam je, nawet jeśli najpierw będę musiał cię zabić.

Cosseins milczał niezdecydowany. Znalazł się w trudnej sytuacji – zgodnie z planem Pierre'a. Przydzielono go do ochrony Coligny'ego, ale wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że król zmienił zdanie i polecił aresztować protestanckiego generała. Gdyby gwardziści stawili teraz opór oddziałowi Henryka, doszłoby do bratobójczej walki i tragicznego rozlewu krwi – najpewniej także krwi samego Cosseinsa.

Zrobił zatem w końcu to, na co liczył Pierre: postanowił na razie ocalić życie, a potem radzić sobie z konsekwencjami tej decyzji.

– Otwierać! – krzyknął.

Skrzydła bramy rozsunęły się na boki i ludzie Gwizjusza wjechali na dziedziniec.

Głównego wejścia do domu strzegły duże podwójne drzwi z ciężkiego drewna wzmocnionego żelazem. Kiedy Pierre podjechał bliżej, zobaczył, że są zamknięte. Przypuszczał, że po drugiej ich stronie czeka już straż Coligny'ego. Ludzie księcia Henryka zaatakowali twarde drewno mieczami, a jeden z nich

przestrzelił zamek. Pierre pomyślał z irytacją, że gdyby mieli więcej rozumu, zabraliby ze sobą parę ciężkich młotów. Znów zaczął się obawiać, że Coligny zdąży uciec, tym bardziej że nikt z nich nie sprawdził, czy w domu nie ma tylnego wyjścia.

W końcu drzwi ustąpiły pod zmasowanym atakiem i otworzyły się gwałtownie. Na schodach doszło do zaciętej walki, gdy sześciu zbrojnych Coligny'ego próbowało powstrzymać intruzów. Oddział księcia Henryka miał jednak ogromną przewagę liczebną, więc już po chwili wszyscy hugenoci leżeli martwi na schodach lub dokonywali tam żywota.

Pierre zeskoczył z konia i wbiegł na schody. Zbrojni wyważali drzwi kolejnych komnat.

– Tutaj! – wrzasnął jeden z nich, a Pierre pobiegł w jego stronę, do wielkiej sypialni.

Coligny, z ręką na temblaku, klęczał u stóp łóżka, ubrany w koszulę nocną i czapkę okrywającą siwe włosy. Wpatrzony w przestrzeń, modlił się głośno.

Zbrojni zawahali się na moment, nie chcąc zabijać człowieka pogrążonego w modlitwie.

Robili już jednak gorsze rzeczy.

– Czego się boicie?! – wrzasnął Pierre. – Zabijcie go, do cholery!

Zbrojny Gwizjuszów zwany Besme wbił miecz w pierś Coligny'ego. Gdy wyjął ostrze, z rany trysnęła jasna krew. Protestancki generał upadł twarzą na podłogę.

Pierre podbiegł do okna i otworzył je na całą szerokość. Henryk wciąż siedział na swoim koniu, na dziedzińcu przed domem.

– Książę! – zawołał Pierre. – Z dumą ogłaszam, że Coligny nie żyje!

– Pokażcie mi jego ciało! – odkrzyknął Henryk.

Pierre odwrócił się do wnętrza komnaty.

– Besme, przynieś tu ciało – rozkazał.

Zbrojny wsunął ręce pod pachy Coligny'ego i przeciągnął go po podłodze.

– Podnieś go do okna – polecił Pierre.

Besme zrobił, co mu kazano.

– Nie widzę twarzy! – krzyknął Henryk.

Zniecierpliwiony Pierre pochwycił zwłoki w pasie i podniósł je. Trup przetoczył się przez parapet, poleciał w dół i uderzył o bruk z głośnym plaśnięciem.

Henryk zsiadł z konia. Krzywiąc twarz w pogardliwym grymasie, podszedł do zwłok i odwrócił je butem na plecy.

– Oto on, człowiek, który zabił mojego ojca – oznajmił.

Jego ludzie wznieśli radosny okrzyk.

– Dokonało się – powiedział książę. – Uderzcie w dzwon Saint-Germain-l’Auxerrois.

II

Sylvie żałowała, że nie ma konia.

Gdy gnała od domu do domu, by porozmawiać z członkami wspólnoty, która spotykała się na strychu nad stajnią, była bliska histerii. Za każdym razem musiała najpierw odnaleźć właściwy dom, wytłumaczyć rodzinie sytuację, przekonać ją, że niczego nie zmyśliła, a potem pędzić do następnego domostwa. Działała według logicznego planu: szła rue Saint-Martin, główną arterią pośrodku miasta, i po drodze wbiegała w boczne uliczki, jeśli dystans nie był zbyt duży. Mimo to nie była w stanie odwiedzić więcej niż trzech do czterech domów w ciągu godziny. Gdyby miała konia, mogłaby zwiększyć tempo co najmniej dwukrotnie.

Czułaby się też bezpieczniej. Pijani mężczyźni raczej nie mieli dość sił, by ściągnąć młodą i silną kobietę z konia, podczas gdy samotna dziewczyna chodząca po ciemnych ulicach Paryża stanowiła łatwy łup.

Kiedy zbliżała się do domu markiza Lagny, niedaleko jej magazynu w pobliżu miejskich murów, usłyszała odległy głos dzwonów. Uniosła brwi. Co to mogło oznaczać? Dzwony rozbrzmiewające o niezwykłej porze zwiastowały zwykle niebezpieczeństwo. Dźwięk przybierał na sile i Sylvie uświadomiła sobie, że to kolejne kościoły dołączają do chóru dzwonów. Alarm obejmujący całe miasto mógł oznaczać tylko jedno. Obawy, które dzieliła z Nedem, odkąd dowiedzieli się o zaginięciu księgi Pierre'a, potwierdziły się.

Kilka minut później zapukała do drzwi domu markiza. Otworzył jej sam gospodarz – w odróżnieniu od swoich służących, jeszcze nie położył się spać. Sylvie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi go bez wysadzanej klejnotami czapki. Był niemal całkiem łysy, jego głowę okalało tylko cienkie pasmo włosów przypominające tonsurę.

– Dlaczego biją w dzwony? – spytał.

– Bo chcą nas wszystkich zabić – odparła i weszła do środka.

Zaprowadził ją do salonu. Był wdowcem, a jego dorosłe dzieci nie mieszkały z nim, więc nie licząc służby, był tu całkiem sam. Wyglądało na to, że przed otworzeniem jej drzwi czytał coś

w blasku świec. Rozpoznała książkę jako jedną z tych, które sama mu sprzedała. Przy krześle stała butla z winem. Dopiero gdy spytał Sylvie, czy się napije, uzmysłowiła sobie, że jest głodna i spragniona – od kilku godzin nie miała nic w ustach. Wypiła duszkiem kielich, ale za drugi podziękowała.

Wyjaśniła, że bicie dzwonów to prawdopodobnie sygnał do ataku dla radykalnych katolików, a ona próbuje ostrzec jak najwięcej protestanckich rodzin. Obawiała się jednak, że jest już za późno na przestrogi.

– Muszę wracać do domu – oznajmiła.

– Jest panie pewna? Może tu będzie pani bezpieczniejsza.

– Muszę sprawdzić, czy nic się nie stało mojej matce.

Odprowadził ją do wyjścia. Kiedy przekręcał gałkę u drzwi, ktoś głośno w nie zastukał.

– Proszę nie otwierać! – krzyknęła, lecz było już za późno.

Spoglądając ponad ramieniem Lagny'ego, dostrzegła mężczyznę, który stał za progiem w towarzystwie kilku innych. Lagny rozpoznał gościa.

– Wicehrabia Villeneuve! – zawołał ze zdumieniem.

Villeneuve był w kosztownym czerwonym płaszczu, ale, ku przerażeniu Sylvie, trzymał w dłoni obnażony miecz.

Gospodarz zachował spokój.

– Co pana do mnie sprowadza o tak późnej porze, wicehrabio? – spytał.

– Dzieło Boże – odparł Villeneuve i jednym szybkim ruchem wbił miecz w brzuch Lagny'ego.

Sylvie wrzasnęła przeraźliwie.

Markiz krzyknął z bólu i osunął się na kolana.

Gdy wicehrabia wyciągał miecz z wnętrzności Lagny'ego, Sylvie pobiegła korytarzem na tyły domu. Otworzyła drzwi i wpadła do dużej kuchni.

W Paryżu, jak i w innych miastach, służący nie mieli dostępu do takich luksusów jak własne łóżko – spali na prowizorycznych posłaniach na kuchennej podłodze. Teraz kilkanaście osób budziło się gwałtownie i pytało z przerażeniem, co się dzieje.

Przebiegła przez pomieszczenie, zręcznie wymijając zaspaną służbę, i dopadła do drzwi po przeciwległej stronie. Były zamknięte na klucz.

Zobaczyła otwarte okno, przez które do dusznej kuchni wpadało świeże sierpniowe powietrze, i bez namysłu wyskoczyła na zewnątrz.

Znalazła się na podwórku z kurnikiem i gołębnikiem. Przebiegła na drugą stronę zamkniętą wysokim kamiennym murem z bramą. Próbowała ją otworzyć, lecz furtka była zamknięta na klucz. Chciało jej się płakać ze strachu i złości.

Tymczasem z tyłu dobiegły przeraźliwe krzyki: Villeneuve i jego ludzie weszli do kuchni. Zakładali zapewne, że wszyscy słudzy są protestantami, jak ich pan – bo tak zwykle było – i zamierzali ich najpierw wymordować, a dopiero potem ruszyć w pościg za nią.

Wspięła się na kurnik, wywołując gdakanie. Dach kurnika dzielił od muru zaledwie jard wolnej przestrzeni, więc Sylvie zdecydowała się na skok. Lądując na wąskim ogrodzeniu, zachwiała się i upadła, tłukąc sobie kolana, odzyskała jednak równowagę. Zeskoczyła na drugą stronę muru i znalazła się w śmierdzącej uliczce.

Popędziła na jej koniec i dotarła do rue du Mur. Biegnąc co sił w nogach, zmierzała w stronę swojego magazynu. Niezauważona przez nikogo, stanęła przed jego drzwiami, otworzyła je, wemknęła się do środka i zamknęła na klucz.

Była bezpieczna. Opierając się o ścianę, przyłożyła policzek do muru. Na myśl o tym, że

udało jej się uciec, ogarnęła ją dziwna euforia.

W głowie Sylwie pojawiła się zaskakująca myśl. Nie chcę umierać, teraz gdy poznałam Neda Willarda.

III

Walsingham natychmiast zrozumiał znaczenie zaginionego notesu i polecił Nedowi oraz kilku innym, by udali się do domów angielskich protestantów w Paryżu i zaoferowali im schronienie w ambasadzie. Nie dla wszystkich wystarczyło wierzchowców, więc Ned szedł na piechotę. Choć noc była ciepła, włożył wysokie buty do jazdy konnej i skórzaną kamizelkę; uzbroił się w miecz oraz sztylet o ostrzu mierzącym aż dwie stopy.

Wykonał swoje zadanie i opuszczał właśnie ostatnie z przypisanych mu domostw, gdy rozległ się głos dzwonów.

Martwił się o Sylvie. Plan Pierre’a dotyczył wprawdzie tylko protestanckich arystokratów, ale Ned wiedział, że gdy ludzie zaczynają mordować, trudno ich potem powstrzymać. Jeszcze dwa tygodnie temu Sylvie mogłaby się czuć bezpieczna, bo tylko życzliwi jej ludzie

wiedzieli, że jest protestantką i sprzedaje zakazane książki, ale w zeszłym tygodniu doprowadził Pierre'a do jej domu i zapewne trafiła na jego listę. Ned chciał zaprowadzić ukochaną i jej matkę do bezpiecznego schronienia, jakim była angielska ambasada.

Poszedł szybko na rue de la Serpente i zapukał do drzwi domu. Z okna na piętrze wychyliła się jakaś postać.

– Kto tam?

Rozpoznał głos Isabelle.

– Ned Willard.

– Poczekaj, zejdę do ciebie.

Skrzydła okna zamknęły się z trzaskiem, a chwilę później matka Sylvie otworzyła drzwi.

– Wejdź do środka – rzuciła.

Gdy posłusznie przestąpił próg, gospodyni zamknęła za nim drzwi. Wnętrze sklepu, wypełnione notesami, księgami i butelkami z atramentem, oświetlała tylko jedna świeczka.

– Gdzie jest Sylvie? – spytał Ned.

– W mieście, ostrzega ludzi.

– Już na to za późno.

– Więc może gdzieś się ukryła.

Ned był rozczarowany i zmartwiony.

– Gdzie może być teraz?

– Zamierzała iść na północ rue Saint-Martin, aż do domu markiza Lagny. Może być właśnie tam. Albo… – Isabelle zawahała się i spojrzała niepewnie na Anglika.

– Gdzie jeszcze? – niecierpliwił się. – Jej życie jest w niebezpieczeństwie!

– Jest pewne tajne miejsce. Musisz przysiąc, że nikomu o nim nie powiesz.

– Przysięgam.

– Przy rue du Mur, dwieście jardów od skrzyżowania z rue Saint-Denis, stoi stara murowana stajnia bez okien.

– Dobrze. – Ruszył do drzwi, zatrzymał się jednak w pół kroku. – Poradzi pani sobie? – spytał.

Otworzyła szufladę w stole i pokazała mu mały dwustrzałowy pistolet z zamkiem kołowym oraz kilka kul i pudełko z prochem.

– Przydaje się, gdy czasami jakiś pijak z karczmy po drugiej stronie ulicy chce sprawdzić, czy łatwo obrabować sklep prowadzony przez dwie kobiety.

– Postrzeliła pani już kogoś?

– Nie. Dotąd wystarczało pomachać bronią.

Położył dłoń na klamce.

– Proszę zaryglować za mną drzwi.

– Oczywiście.

– I sprawdzić, czy wszystkie okiennice są zamknięte na skobel.

– Tak.

– Proszę także zgasić świecę. I nikomu nie otwierać. Jeśli ktoś zapuka, proszę się nie odzywać. Niech myślą, że w domu nikogo nie ma.

– Dobrze.

– Wrócimy tu z Sylvie, a potem wszyscy troje pójdziemy do angielskiej ambasady.

Ned otworzył drzwi, lecz Isabelle chwyciła go za ramię.

– Opiekuj się nią – poprosiła dziwnie drżącym głosem. – Cokolwiek by się stało, opiekuj się moją kochaną dziewczynką.

– Właśnie to zamierzam zrobić – odparł Ned i wyszedł na zewnątrz.

Dzwony wciąż biły. Na ulicach po lewej stronie rzeki było niemal pusto. Gdy jednak przechodził po moście Notre Dame, wzdłuż drogich sklepów, odkrył z przerażeniem dwa ciała na bruku. Kobieta i mężczyzna w bieliźnie nocnej zostali bezlitośnie zadźgani na śmierć. Leżeli teraz obok siebie w bezruchu, jakby spali razem na łóżku, tyle że ich ubrania były przesiąknięte krwią.

Drzwi pobliskiego sklepu jubilerskiego stały otworem; Ned zobaczył dwóch wychodzących

stamtąd mężczyzn z workami pełnymi zapewne zrabowanych kosztowności. Włamywacze spojrzeli na niego groźnie i poszli w swoją stronę. Nie chciał tracić czasu na awantury, więc ruszył dalej.

Na prawym brzegu zobaczył grupę mężczyzn łomoczących do drzwi domu. Każdy z nich nosił na ramieniu białą przepaskę. Ned domyślił się, że to znak rozpoznawczy. Większość była uzbrojona w sztylety i pałki, ale jeden z nich, ubrany lepiej od pozostałych, miał miecz. Właśnie ten krzyknął:

– Otwierać, bluźniercze protestanckie ścierwo! – Sądząc po akcencie, był szlachetnie urodzony.

Napastnicy byli więc katolikami i tworzyli oddział dowodzony przez oficera. Ned przypuszczał, że to członkowie straży miejskiej. Informacje dostarczone przez Jeronimę mówiły o rzezi protestantów ze szlacheckich rodów, ale ten budynek wyglądał na dom zwykłego obywatela Paryża, rzemieślnika albo kupca. Oto potwierdzały się najgorsze obawy Neda – mordowano nie tylko szlachetnie urodzonych, ale i wszystkich paryskich protestantów. Skutki mogły być przerażające.

Przekradając się obok mężczyzn z białymi opaskami i modląc się w duchu, by żaden z nich go nie zauważył, czuł się jak tchórz. Ale cóż miał robić? Sam nie zdołałby ocalić mieszkańców domu przed sześcioma napastnikami. Gdyby stawił im czoło, zabiliby go, a potem podjęli przerwane zadanie. A on musiał znaleźć Sylvie.

Szedł szeroką rue Saint-Martin na północ, obserwując uważnie obie strony ulicy i zaglądając w boczne zaułki. Miał nadzieję, że lada moment dostrzeże tam drobną wyprostowaną kobietę, która zmierza w jego stronę energicznym krokiem i uśmiecha się z ulgą. W pewnym momencie zobaczył kolejnych mężczyzn z białymi opaskami, tym razem było ich trzech. Choć wyglądali na bezwzględnych oprawców, żaden nie miał miecza. Gdy Ned ich mijał, jego uwagę przykuł pewien szczegół.

Strażnicy stali odwróceni do niego plecami i patrzyli w dół, na ziemię. Stwierdził z przerażeniem, że widać tam kształt przypominający smukłe kobiece nogi.

Zatrzymał się i wytężył wzrok. Było ciemno, lecz jeden z mężczyzn trzymał latarnię. Kiedy Ned przyjrzał się uważniej, zobaczył, że na ulicy leży kobieta, a między jej nogami klęczy czwarty

mężczyzna. Jęczała żałośnie, powtarzając w kółko:

– Nie, nie, nie…

Instynkt pchał go do ucieczki, ale Ned nie mógł ruszyć się z miejsca. Wyglądało na to, że jeszcze nie doszło do gwałtu. Jeśli szybko zainterweniuje, zapobiegnie mu.

Albo zginie.

Mężczyźni wpatrywali się w zniewoloną kobietę i jeszcze go nie zauważyli, ale w każdej chwili któryś z nich mógł się obejrzeć do tyłu. Nie było czasu na rozmyślania.

Odstawił latarnię i wyjął miecz.

Podkradł się do nich od tyłu. Nim strach mógł go powstrzymać, wbił czubek ostrza w udo najbliższego gwałciciela.

Ten zawył z bólu.

Ned wyjął miecz z nogi rannego w chwili, gdy towarzysz tamtego odwracał się właśnie, by zobaczyć, co się dzieje. Ned dźgnął go bez namysłu; czubek ostrza rozciął twarz od brody do lewego oka. Mężczyzna wrzasnął z bólu i przyłożył obie dłonie do twarzy; krew spływała strumieniem między palcami.

Trzeci spojrzał na swoich rannych przyjaciół, spanikował i rzucił się do ucieczki.

Po chwili dwaj napastnicy okaleczeni przez Neda zrobili to samo.

Ten, który klęczał między nogami kobiety, zerwał się na równe nogi i pobiegł w ciemność, przytrzymując nogawice obiema rękami.

Ned schował zakrwawiony miecz do pochwy, a potem przykląkł obok dziewczyny i zsunął suknię, by zakryć jej nagość.

Dopiero wtedy spojrzał na jej twarz i uświadomił sobie, że to Afrodyta Beaulieu.

Nawet nie była protestantką. Zastanawiał się, co robiła na ulicy o tak późnej porze. Rodzice nie pozwoliliby jej wałęsać się samotnie po mieście nawet w środku dnia. Pomyślał, że pewnie umówiła się z kimś na spotkanie, i przypomniał sobie, jak w Luwrze uśmiechała się radośnie do Bernarda Housse'a. Pewnie zrealizowałaby swój plan i wszystko uszłoby jej na sucho, gdyby akurat tej nocy ktoś nie spuścił ze smyczy wściekłych psów.

Spojrzała na niego i otworzyła szeroko oczy.

– Ned Willard? Bogu dzięki! Ale skąd…?

Podał jej rękę i pomógł wstać.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odparł. Dom hrabiego Beaulieu znajdował się niedaleko, przy rue Saint-Denis. – Pozwolisz, mademoiselle, że

odprowadzę cię do domu. – Podniósł latarnię i wziął dziewczynę pod rękę.

Wydawała się zbyt zszokowana, by cokolwiek odpowiedzieć, nie miała nawet siły na płacz.

Po drodze Ned nieustannie się rozglądał. Żaden z mieszkańców Paryża nie mógł czuć się tej nocy bezpieczny.

Byli już niemal na miejscu, gdy z bocznej uliczki wyszło czterech mężczyzn z białymi opaskami na ramionach.

– Próbujecie uciekać, protestanci? – spytał jeden z nich, zastępując im drogę.

Ned zmartwiał. W pierwszej chwili chciał sięgnąć po miecz, ale w porę uświadomił sobie, że ma przed sobą czterech równie dobrze uzbrojonych przeciwników. Strażnicy, z którymi rozprawił się przed chwilą, nie mieli mieczy, a poza tym zaatakował ich z zaskoczenia. Ci czterej trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, gotowi do ataku. W bezpośrednim starciu nie miałby najmniejszych szans.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to uciec się do dyplomacji. Miejscowi strażnicy natychmiast nabraliby podejrzeń wobec cudzoziemca, więc musiał uważać na każde słowo. Mówił bez obcego akcentu – paryżanie uważali, że pochodzi z Calais – ale czasami robił głupie błędy

gramatyczne. Miał nadzieję, że nie straci za chwilę życia tylko dlatego, że zamiast *la maison* powie *le maison*.

– To mademoiselle Beaulieu, ty głupcze – powiedział, przywołując na twarz szyderczy uśmiech. – Jest dobrą katoliczką, córką hrabiego Beaulieu i mieszka tuż obok. Spróbuj ją tknąć, a postawię na nogi całą służbę hrabiego. – Nie była to wcale czcza groźba; od domu Afrodyty dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

W tym momencie jednak dziewczyna ścisnęła go mocno za ramię, dając mu do zrozumienia, że nie chce, by jej rodzice dowiedzieli się o tej nocnej wycieczce.

Przywódca oddziału nie był głupi i nie dał się łatwo zastraszyć.

– Skoro jest katoliczką i córką hrabiego, to co robi o tej porze na ulicy?

– Spytajmy o to jej ojca. – Ned wciąż starał się zachowywać z wyniosłą pewnością siebie, ale nie było to łatwe. – A potem on spyta ciebie, dlaczego, do diabła, napastujesz jego córkę. – Wziął głęboki oddech i podniósł głowę, jakby chciał zawołać pomoc.

– Dobrze już, dobrze – mruknął tamten. – Hugenoci powstali przeciwko królowi, a straż miejska dostała rozkaz, by wszystkich ich

wyłapać i pozabijać, więc lepiej wracajcie do domu i nigdzie już dzisiaj nie wychodźcie.

Ned odetchnął w duchu z ulgą.

– A wy lepiej uważajcie, jak zwracacie się do katolickich, szlachetnie urodzonych panien – odparł i przeprowadził dziewczynę obok uzbrojonych mężczyzn. Ich przywódca już się nie odezwał.

– Muszę wrócić tylnym wejściem – powiedziała cicho Afrodyta, gdy tylko znaleźli się w bezpiecznej odległości od czterech mężczyzn.

Ned skinął głową. Domyślał się tego.

– Drzwi są otwarte?

– Czeka tam moja pokojówka.

Historia stara jak świat. Służąca pomagająca swej pani wyjść na sekretną schadzkę. Cóż, Neda w żaden sposób to nie dotyczyło. Zaprowadził dziewczynę na tyły domu, a ta zastukała do wysokiej drewnianej bramy. Natychmiast otworzyła jej młoda służąca.

Afrodyta ścisnęła mocno dłoń Neda i ucałowała jego palce.

– Zawdzięczam ci życie – powiedziała, wślizgnęła się do środka i zamknęła za sobą bramę.

Ruszył w stronę domu Lagny’ego, jeszcze ostrożniejszy niż do tej pory. Teraz był sam,

przez co budził większe podejrzenia. Co jakiś czas nerwowo dotykał rękojeści miecza.

W wielu domach paliło się światło. Mieszkańcy, zaalarmowani biciem dzwonów, wstali zapewne z łóżek i zapalili świece. Tu i ówdzie w oknach pokazywały się wystraszone, blade twarze ludzi wyglądających z niepokojem na ulicę.

Na szczęście dom Lagny'ego był niedaleko. W środku panowała cisza, a za oknami zalegały ciemności. Może właściciel i służba udawali, że dom jest pusty, podobnie jak miała to robić za jego namową Isabelle.

Kiedy zapukał do drzwi, same się otworzyły. Najwyraźniej ktoś ich nie domknął, a teraz ustąpiły pod jego dotykiem. Ned poczuł paskudny zapach, niczym w rzeźni. Podniósł wyżej latarnię i aż zachłysnął się z przerażenia.

Wszędzie leżały martwe ciała, podłoga i ściany zbryzgane były krwią. Rozpoznał markiza, który leżał na plecach, z ranami na piersiach i brzuchu. Ned wstrzymał oddech. Oświetlał twarze kolejnych ciał, przejęty strachem, że lada moment odnajdzie wśród nich Sylvie. Wszyscy byli mu jednak obcy, a sądząc po strojach, należeli do służby markiza.

Przeszedł do kuchni, gdzie odnalazł kolejne zwłoki. Zobaczył otwarte okno prowadzące na podwórze i pomyślał z nadzieją, że przynajmniej niektórzy ze służących zdołali uciec.

Przeszukał cały dom, oświetlając twarz każdego trupa. Z ogromną ulgą stwierdził, że nie ma wśród nich Sylvie.

Powinien znaleźć jej kryjówkę. Gdyby się okazało, że tam też jej nie ma, musiałby liczyć się z najgorszym.

Przed opuszczeniem budynku oderwał od koszuli koronkowy kołnierz i obwiązał nim lewą rękę, by upodobnić się do strażników miejskich. Oczywiście ktoś mógł go zaczepić i odkryć, że jest oszustem, mimo wszystko warto było zaryzykować.

Ogarniała go coraz większa desperacja. W ciągu tych kilku tygodni znajomości Sylvie stała się dla niego całym światem. Straciłem Margery, nie mogę stracić też ciebie, myślał. Co bym wtedy zrobił?

Dotarł do rue du Mur i odnalazł ceglany budynek bez okien. Podszedł do drzwi i zastukał w nie.

– To ja – powiedział cicho. – Ned. Jesteś tu, Sylvie?

Cisza. Czuł, jak serce zamiera mu w piersiach. Potem usłyszał zgrzyt zasuwki i trzask otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się lekko i wszedł do środka. Sylvie zamknęła je, przekręciła klucz w zamku i odwróciła się do Neda. Podniósł latarnię, by spojrzeć na jej twarz. Była zdenerwowana, wystraszona i zapłakana, wydawało się jednak, że nie odniosła żadnych ran.

– Kocham cię – powiedziała.

Rzuciła mu się w ramiona.

IV

Pierre był pod wrażeniem skutków swoich manipulacji. Paryska straż miejska dokonywała masakry protestantów z większym zapałem i nienawiścią, niż śmiał przypuszczać.

Wiedział jednak, że tak naprawdę to nie jego intryga stanowiła główną przyczynę tych wydarzeń. Paryżanie byli wściekli, że królewski ślub doszedł do skutku, a księża mówili im, że mają prawo się tak czuć. Ich nienawiść była niczym beczka prochu, pod którą wystarczyło podłożyć ogień. Pierre zapalił tylko zapałkę.

Gdy w niedzielę, dzień świętego Bartłomieja, wstał świt, na ulicach miasta leżały setki martwych i umierających hugenotów. Wyglądało na to, że wymordowanie wszystkich protestantów we Francji naprawdę jest możliwe. Pierre uświadomił sobie ze zdumieniem i triumfem zarazem, że tak właśnie może wyglądać ostateczne rozwiązanie.

Zebrał pod swoim dowództwem mały oddział zbirów, którym obiecał, że będą mogli ukraść wszystko, co należy do ich ofiar. Byli wśród nich Brocard i Rasteau, Biron, główny szpieg Pierre'a, oraz garstka ulicznych oprychów, którym Biron zlecał wcześniej drobne zadania.

Pierre oddał wcześniej swój czarny notes burmistrzowi Le Charronowi, pamiętał jednak wiele nazwisk i adresów. Szpiegował tych ludzi od czternastu lat.

Najpierw udali się do domu René Duboeufa, krawca mieszkającego przy rue Saint-Martin.

– Nie zabijajcie jego ani jego żony, dopóki wam nie rozkażę – pouczył ich.

Wyważyli drzwi i weszli do warsztatu. Niektórzy udali się na górę.

Pierre wysunął szufladę, w której znalazł notes krawca z nazwiskami i adresami klientów.

Zawsze chciał się do tego dostać. Wiedział, że dziś w nocy wykorzysta swoją zdobycz.

Ludzie Pierre'a zwlekli Duboefów na parter. Oboje mieli na sobie bieliznę nocną.

René był drobnym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Był łysy już trzynaście lat temu, gdy Pierre odwiedził go po raz pierwszy. Jego żona, wtedy młoda i ładna, nawet teraz, choć przerażona, wydawała się całkiem atrakcyjna. Pierre uśmiechnął się do niej.

– Françoise, jeśli dobrze pamiętam. – Odwrócił się do Rasteau. – Utnij jej palec.

Rasteau wydał z siebie paskudny, piskliwy chichot.

Nie zważając na płacz kobiety i błagania krawca, pomocnicy Pierre'a ułożyli dłoń ofiary płasko na stole, a Rasteau uciął jej mały palec i część serdecznego. Krew trysnęła na blat, plamiąc belę szarej wełny. Kobieta krzyknęła przeraźliwie i zemdlała.

– Gdzie trzymasz pieniądze? – spytał krawca Pierre.

– Pod łóżkiem, za nocnikiem – odparł gospodarz. – Proszę, nie róbcie jej już krzywdy.

Pierre skinął głową na Birona i ten wszedł na piętro.

– Każcie jej wstać – rozkazał Pierre, widząc, że Françoise otworzyła już oczy.

Biron wrócił ze skórzaną torbą i wysypał jej zawartość na stół, prosto w kałużę krwi kobiety. Zebrała się tam spora sterta monet o różnej wartości.

– On na pewno ma więcej – rzucił Pierre. – Zedrzyjcie z niej koszulę nocną.

Była młodsza od męża i miała ładną figurę. Mężczyźni umilkli.

– Gdzie jest reszta pieniędzy? – spytał Pierre, odwracając się do krawca.

Duboeuf milczał.

– Mam jej obciąć cycki? – dopytywał się podekscytowany Rasteau.

– W kominie, nad paleniskiem – powiedział szybko krawiec. – Proszę, zostawcie ją w spokoju.

Biron wsunął rękę do komina – zimnego o tej porze roku – i wyjął z niego drewnianą skrzynkę. Wyłamał zamek czubkiem miecza i wysypał na stół kolejną stertę złotych monet.

– Poderżnijcie im gardła i podzielcie się pieniędzmi – polecił Pierre, po czym wyszedł na zewnątrz.

Najbardziej zależało mu na uśmierceniu markiza i markizy Nîmes. Z radością zabiłby go na oczach żony. To byłaby naprawdę cudowna

zemsta. Mieszkali jednak za murami, na przedmieściu Saint-Jacques, a bramy miejskie były zamknięte, więc gniew Pierre'a nie mógł ich dosięgnąć. Na razie.

Skoro w tej sprawie był na razie bezsilny, postanowił zająć się Sylvie i Isabelle Palot.

Kiedy kilka dni temu pojawił się w ich sklepie, starsza z kobiet nie tylko go obraziła, lecz zrobiła coś gorszego: przestraszyła go. Na oczach Sylvie. Czas, żeby obie poniosły karę.

Jego pomocnicy długo dzielili między siebie łup. Domyślił się, że zgwałcili żonę krawca, nim odebrali jej życie. Już dawno zauważył, że kiedy podczas wojny domowej żołnierze zaczynają zabijać, zawsze też dopuszczają się gwałtów, jakby zwolnieni z jednego zakazu czuli się całkiem bezkarni.

W końcu wyszli na zewnątrz. Pierre poprowadził ich na południe rue Saint-Martin, a potem przez Île de la Cité. Przypominał sobie obelgi, jakimi obrzucała go Isabelle: „gnój", „pomiot chorej ladacznicy", „cuchnąca kreatura". Zamierzał przypomnieć jej to wszystko, gdy będzie umierała.

V

Ned przekonał się, że zapas nielegalnych książek Sylvie jest sprytnie ukryty. Każdy, kto wchodził do magazynu, widział tylko beczki ustawione od podłogi do sufitu. Większość z nich była wypełniona piaskiem, ale Sylvie pokazała mu, że kilka jest pustych i można je łatwo przesunąć, by zyskać dostęp do skrzynek z książkami. Jak dotąd, nikt nie odkrył tej kryjówki.

Zgasili latarnię Neda, obawiając się, że ktoś dostrzeże jej blask przez szpary między deskami drzwi, i siedzieli w ciemności, trzymając się za ręce. Dzwony biły nieustannie jak oszalałe. Z dala niosły się odgłosy walki: krzyki, zachrypłe wrzaski mężczyzn, huk wystrzałów. Sylvie martwiła się o matkę, lecz Ned przekonał ją, że Isabelle jest bezpieczniejsza w domu, niż oni dwoje byliby na ulicy.

Siedzieli przez kilka godzin, nasłuchując i czekając. Hałas dobiegający z ulicy zaczął przycichać, gdy przy drzwiach pojawiły się wąskie paski światła, zwiastun świtu.

– Nie możemy siedzieć tu bez końca – powiedziała Sylvie.

Ned uchylił lekko drzwi, wysunął głowę i rozejrzał się po ulicy.

– Pusto – rzucił i wyszedł na zewnątrz.

Sylvie podążyła za nim i zamknęła drzwi.

– Może to już koniec tej rzezi – powiedziała.

– Tak, być może wstyd im zabijać w blasku dnia.

– *…lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki*[10] – zacytowała ustęp z Ewangelii świętego Jana.

Ruszyli szybkim krokiem ulicą, ramię przy ramieniu. Ned wciąż nosił białą przepaskę, choć nie wiedział, czy może mu to w czymkolwiek pomóc. Większe zaufanie pokładał w mieczu, więc trzymał dłoń na rękojeści. Zmierzali na południe, w stronę rzeki.

Za pierwszym rogiem ujrzeli dwóch martwych mężczyzn leżących przed sklepem z siodłami. Ned stwierdził ze zdziwieniem, że obaj są półnadzy. Nad zwłokami pochylała się siwowłosa staruszka w brudnej opończy. Dopiero po chwili Anglik zrozumiał, że kobieta zdejmuje ubrania z trupów.

Używane stroje były cennym towarem – tylko bogacze mogli sobie pozwolić na nowe. Nawet brudną bieliznę można było sprzedać jako szmaty wytwórcom papieru. Ned uświadomił

sobie, że ta nieszczęsna staruszka kradnie ubrania, by wymienić je na jedzenie. Zdarła pludry z nóg jednego trupa, włożyła je pod pachę i uciekła. Nagość zakłutych bezlitośnie mężczyzn sprawiała, że cała scena wydawała się jeszcze bardziej odrażająca. Sylvie odwróciła oczy, przechodząc obok zabitych.

Unikali szerokich głównych ulic i przemieszczali się bocznymi krętymi zaułkami w pobliżu Hali. Nawet tutaj leżały ciała zmarłych. Większość została odarta z ubrań, tu i ówdzie zwłoki ułożono w stertę, jakby ktoś chciał zrobić miejsce dla przechodzących ludzi. Ned widział opalone twarze mężczyzn z plebsu, delikatne białe dłonie bogatych dam, szczupłe rączki i nóżki dzieci. Wszystko to przypominało obrazy piekła wiszące w katolickich kościołach, choć działo się w rzeczywistości, w centrum jednego z największych miast świata. Groza podchodziła Nedowi do gardła, wywoływała mdłości – zwymiotowałby zapewne, gdyby nie miał pustego żołądka. Zerknął na Sylvie, która była blada jak ściana i zaciskała usta w grymasie ponurej determinacji.

Lecz najgorsze było dopiero przed nimi.

Straż miejska ustawiona wzdłuż rzeki pozbywała się ciał. Martwych i ciężko rannych

protestantów wrzucano do Sekwany z taką obojętnością, jakby było to ścierwo zatrutych szczurów. Niektóre zwłoki spływały z prądem, ale inne tkwiły w miejscu, więc płycizna przy brzegu była już szczelnie wypełniona trupami. Mężczyzna z długim drągiem w ręce próbował spychać ciała na środek rzeki, by zrobić miejsce dla następnych, ale te obracały się tylko nieruchawo, jakby nie chciały opuścić miasta.

Strażnicy byli zbyt pochłonięci pracą, by zauważyć Neda i Sylvie, gdy ci przemknęli obok nich i weszli na most.

VI

W miarę jak zbliżali się do małego sklepu przy rue de la Serpente, Pierre był coraz bardziej podekscytowany.

Zastanawiał się, czy zachęcać swych ludzi, by zgwałcili Sylvie. To byłaby odpowiednia kara. Potem wpadł na lepszy pomysł: niech zgwałcą ją na oczach jej matki. Największym cierpieniem dla matki jest cierpienie jej dziecka – nauczył się tego od swojej żony Odette. Przyszło mu też do głowy, że mógłby sam zgwałcić Sylvie, ale to pewnie umniejszyłoby jego autorytet w oczach

podwładnych. Niech oni wykonują brudną robotę.

Nie pukał do drzwi sklepu. Po kilku godzinach rzezi nikt w Paryżu nie wpuszczał obcych do swego domu. Ludzie Pierre'a w ciągu zaledwie kilku sekund rozbili drzwi i wpadli do środka.

Przekraczając próg, Pierre usłyszał strzał. Stanął jak wryty. Jego pomocnicy nie mieli broni palnej: była droga, zwykle tylko szlachetnie urodzeni pozwalali sobie na taki luksus. Po chwili ruszył ponownie naprzód i zobaczył Isabelle stojącą we wnętrzu sklepu. Jeden z jego ludzi leżał martwy u jej stóp. Kobieta podniosła pistolet i starannie wymierzyła w znienawidzonego wroga. Nim jednak zdążyła pociągnąć za spust, inny z bandziorów przebił ją mieczem. Osunęła się bezwładnie na podłogę.

Pierre zaklął szpetnie. Planował znacznie bardziej wyszukaną zemstę. Ale mógł jeszcze odbić to sobie na Sylvie.

– Jest tu jeszcze jedna kobieta! – krzyknął. – Przeszukajcie dom.

Biron pobiegł na górę i po chwili zjawił się z powrotem.

– Nie ma nikogo – oznajmił.

– Wyciągnijcie ją na zewnątrz – rozkazał Pierre, wskazując na Isabelle. W półmroku nie

widział, czy jeszcze żyje, czy wyzionęła już ducha.

W blasku dnia zobaczył, że z głębokiej rany na ramieniu kobiety wypływa strumień krwi. Pochylił się nad nią i wrzasnął gniewnie:

– Gdzie jest Sylvie?! Mów, suko!

Musiała bardzo cierpieć, ale odpowiedziała mu pogardliwym uśmiechem.

– Ty diable – wyszeptała. – Idź do piekła, gdzie twoje miejsce.

Pierre zawył wściekle. Wyprostował się i kopnął Isabelle w przebite ramię. Nie miało to już jednak żadnego sensu: przestała oddychać, a jej oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń.

Uciekła mu.

Wrócił do środka. Jego ludzie szukali pieniędzy. Sklep był pełen materiałów piśmiennych różnego rodzaju. Pierre przechodził od półki do półki, zrzucał z nich księgi i notesy, opróżniał szafki i szuflady, wysypując wszystko na środek pomieszczenia. Potem wziął od Brocarda lampę, otworzył ją i przytknął ogień do papierów. Natychmiast strzeliły w górę wysokim płomieniem.

VII

Gdy udało im się niepostrzeżenie dostać na drugi brzeg, Ned uznał, że mają wyjątkowe szczęście. Co prawda straż miejska raczej nie atakowała przypadkowych osób, lecz korzystała z nazwisk i adresów, które dostarczył im zapewne Pierre, ale Ned został przecież zatrzymany, gdy wracał z Afrodytą Beaulieu, czyli historia mogła się powtórzyć, z niewiadomym skutkiem.

Odetchnął więc z ulgą, gdy znaleźli się na rue de la Serpente i ruszyli w stronę sklepu.

Na widok zwłok leżących na ulicy zmartwiał, tknięty straszliwym przeczuciem. Sylvie pomyślała zapewne o tym samym, bo krzyknęła przeraźliwie i poderwała się do biegu. Chwilę później oboje pochylali się nad nieruchomym ciałem. Ned od razu wiedział, że Isabelle nie żyje, choć jej twarz była jeszcze ciepła. Zmarła niedawno, co tłumaczyło, dlaczego jeszcze nie skradziono jej ubrań.

– Możesz ją stąd zabrać? – spytała Sylvie, szlochając.

– Tak. Pomóż mi ją tylko przerzucić przez ramię.

Zwłoki były dość ciężkie, ale od ambasady dzieliła ich już niewielka odległość. Ned uznał, że będzie wyglądał jak strażnik miejski, który chce się pozbyć ciała, więc nie powinien wzbudzać podejrzeń.

Miał już podnieść Isabelle, gdy poczuł swąd spalenizny i zawahał się. Spojrzał w stronę sklepu i dojrzał w środku jakiś ruch. Czyżby się tam paliło? Płomień rozrósł się gwałtownie, oświetlając kilku mężczyzn, którzy kręcili się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukali – zapewne kosztowności.

– Oni jeszcze tu są! – rzucił do Sylvie.

W tym samym momencie dwaj mężczyźni wyszli na zewnątrz – jeden z okaleczoną twarzą pozbawioną nosa, po którym zostały tylko dwa otwory otoczone blizną; drugi ze spiczastą brodą i gęstymi blond włosami – Ned od razu rozpoznał w nim Pierre’a.

– Musimy ją zostawić! – syknął. – Chodź!

Ogarnięta rozpaczą Sylvie zawahała się na moment, potem jednak poderwała się do biegu. Ned popędził za nią, lecz oboje zostali już rozpoznani. Słyszał, jak Pierre krzyczy:

– Jest tam! Goń ją, Rasteau!

Ned i Sylvie biegli ramię przy ramieniu. Kiedy mijali wielkie okna kościoła Saint-Severin,

obejrzał się i zobaczył mężczyznę nazwanego Rasteau, który sadził za nimi wielkimi susami, trzymając miecz podniesiony do uderzenia.

Przecięli szeroką rue Saint-Jacques i wpadli na cmentarz przy Saint-Julien-le-Pauvre. Sylvie opadała już jednak z sił, a Rasteau był coraz bliżej. Ned zastanawiał się gorączkowo, co zrobić w tej sytuacji. Zbir miał około trzydziestu lat, był duży i silny, a nos stracił zapewne podczas jakiejś potyczki. Prawdopodobnie świetnie władał mieczem i miał spore doświadczenie, był więc groźnym przeciwnikiem. W dłuższej walce jego siła i umiejętności mogły się okazać decydujące. Ned mógł liczyć tylko na to, że uda mu się go zaskoczyć i szybko zabić.

Dobrze znał tę okolicę. Właśnie tu pochwycił mężczyznę, który go śledził. Skręciwszy za wschodnią ścianę kościoła, na moment zniknął Rasteau z oczu. Zatrzymał się raptownie i wciągnął Sylvie do głębokich, ciemnych odrzwi.

Oboje dyszeli, wyczerpani długim biegiem. Ned słyszał ciężkie kroki ich prześladowcy, przygotował więc broń – w prawej ręce trzymał miecz, a w lewej sztylet. Musiał to dobrze rozegrać i nie pozwolić, by Rasteau przebiegł obok nich. Nie miał jednak czasu na dłuższe

zastanowienie. Tuż przed tym, jak zbir znalazł się przy nich, Ned wyszedł z cienia.

Nie udało mu się. Chwilę wcześniej Rasteau, obawiając się zapewne pułapki, zwolnił kroku i teraz znalazł się poza jego zasięgiem. Ned mimo to zaatakował, lecz Francuz zdołał sparować cios.

Ned natychmiast przeszedł do następnego ataku i wyprowadził błyskawiczne pchnięcie. Ostrze jego miecza wbiło się w bok zbira w momencie, gdy ten odskakiwał, więc wysunęło się z jego ciała. Rasteau zrobił pół obrotu, zachwiał się i opadł ciężko na kolana. Ned bez zastanowienia pchnął ponownie. Przeciwnik wykonał szybki zamach i wytrącił mu miecz z ręki. Broń wyleciała w powietrze i spadła na pobliski grób.

Rasteau błyskawicznie poderwał się z ziemi. Był niezwykle szybki jak na tak dużego mężczyznę. Kątem oka Ned dojrzał, że Sylvie wysuwa się z cienia.

– Uciekaj, Sylvie, uciekaj!

W tym samym momencie Rasteau natarł na niego ze zdwojoną siłą, tnąc i pchając. Ned cofał się krok po kroku, parował sztyletem kolejne uderzenia, wiedział jednak, że nie zdoła długo odpierać ataków przeciwnika. Rasteau zamarkował cięcie od dołu, a potem

z zaskakującą sprawnością zmienił je w pchnięcie, które ominęło gardę Neda.

Nagle zbir znieruchomiał, a z jego brzucha wynurzył się czubek miecza. Ned odskoczył do tyłu, unikając groźnego ciosu, choć okazało się to niepotrzebne – Rasteu krzyknął przeraźliwie i runął na ziemię. Ned zobaczył za nim drobną sylwetkę Sylvie, która trzymała w dłoni jego miecz i wyciągała go właśnie z pleców napastnika.

Nie czekali, by zobaczyć śmierć Rasteau. Ned wziął Sylvie za rękę, po czym oboje przebiegli przez plac Maubert, obok szubienic, do ambasady.

Przed budynkiem stało dwóch uzbrojonych strażników – Ned nigdy dotąd ich nie widział. Jeden z nich stanął przed drzwiami i powiedział groźnym tonem:

– Nie wolno wam tu wchodzić.

– Jestem zastępcą ambasadora, a to moja żona. Zejdź mi z drogi – odrzekł równie groźnie Ned.

Z okna na górze dobiegł władczy głos Walsinghama:

– Ci ludzie są pod ochroną króla, przepuście ich!

Strażnik odsunął się na bok, a Sylvie i Ned wbiegli na schody. Drzwi otworzyły się, nim jeszcze zdążyli zapukać.

Weszli do środka, do oazy bezpieczeństwa.

VIII

Ożeniłem się z Sylvie dwukrotnie: najpierw w małym kościele Saint-Julien-le-Pauvre, przed którym zabiła człowieka bez nosa, a potem podczas protestanckiego nabożeństwa w kaplicy w ambasadzie Anglii.

W wieku trzydziestu jeden lat Sylvie wciąż była dziewicą. Jakby chcąc nadrobić stracony czas, przez wiele miesięcy kochaliśmy się każdej nocy i każdego ranka. Gdy na niej leżałem, obejmowała mnie mocno, jakbym ratował ją przed utonięciem, a potem często płakała w moich ramionach, aż zapadała w sen.

Nie udało nam się znaleźć ciała jej matki, co sprawiło, że Sylvie jeszcze mocniej przeżywała żałobę. W końcu postanowiliśmy traktować spalony sklep jako jej grób. Każdej niedzieli staliśmy przed nim przez kilka minut, trzymając się za ręce i wspominając silną, dzielną kobietę.

Choć trudno w to uwierzyć, protestanci podnieśli się po nocy świętego Bartłomieja. W samym Paryżu zabito wtedy trzy tysiące osób, a kilkanaście kolejnych tysięcy w innych masakrach wzorowanych na tej zbrodni, lecz hugenoci nie złożyli broni. Miasta zamieszkane w większości przez protestantów przyjęły tłumy uchodźców i zamknęły bramy przed wysłannikami króla. Gdy wojna domowa wybuchła na nowo, Gwizjusze, jako potężna rodzina katolików wspierających władcę, wrócili do jego łask.

Znów zaczęto odprawiać nabożeństwa na strychu nad stajnią i w innych kryjówkach na terenie całego kraju.

Walsingham został odwołany do Londynu, a my pojechaliśmy z nim. Przed wyjazdem Sylvie pokazała Nath magazyn przy rue de Mur – służąca Pierre'a Aumande'a zajęła się więc sprzedażą nielegalnych protestanckich ksiąg. Moja żona nie chciała jednak porzucić swej misji. Oświadczyła, że nadal będzie zamawiać księgi z Genewy. Przeprawiała się przez kanał La Manche do Rouen, odbierała tam towar, woziła go do Paryża, opłacała łapówki i dostarczała księgi na rue du Mur.

Martwiłem się o nią, ale dzięki przykładowi królowej Elżbiety wiedziałem już, że niektórym kobietom żaden mężczyzna nie zdoła narzucić swej woli. Poza tym nie wiem, czy próbowałbym ją powstrzymać, nawet gdybym mógł. Miała swoją świętą misję, a ja nie mogłem jej tego odebrać, choć wiedziałem, że wcześniej czy później zostanie schwytana, a wtedy zginie.

Takie było jej przeznaczenie.

ROZDZIAŁ 21

I

Rollo stał na pokładzie frachtowca *Petite Fleur*, który zbliżał się właśnie do wybrzeży Anglii. To był najniebezpieczniejszy moment misji.

Statek, który wypłynął z Cherbourga, zmierzał do portu Combe. Wiózł beczki z jabłkową brandy, wielkie kręgi sera i ośmiu młodych księży z Angielskiego College'u w Douai.

Rollo był odziany w sutannę, a na piersiach nosił pektorał. Choć zdążył już nieco wyłysieć, nadrabiał ten brak bujną brodą. Na ramiona narzucił białą pelerynę, szatę nietypową dla kapłanów, która stanowiła umówiony sygnał.

Przygotował tę misję w najdrobniejszych szczegółach, ale w praktyce wiele rzeczy mogło pokrzyżować jego plany. Nie był nawet pewien, czy może w pełni ufać kapitanowi. Zapłacono mu

hojnie za dodatkowy postój u wybrzeży Anglii, ale ktoś inny – choćby Ned Willard – mógł zapłacić jeszcze więcej za zdradzenie Rollo.

Żałował, że w tak dużym stopniu musi polegać na siostrze. Choć bystra, zorganizowana i nieustraszona, była w końcu tylko kobietą. Rollo nie chciał jednak schodzić na angielską ziemię – jeszcze nie – więc musiał jej zaufać.

O zmierzchu kapitan zarzucił kotwicę w zatoce odległej o trzy mile od portu docelowego. Na szczęście morze było spokojne. W tej samej zatoce kotwiczyła przy plaży mała łódź rybacka z masztem i wiosłami. Rollo znał ją z czasów, gdy jego ojciec był celnikiem w porcie Combe; niegdyś nazywała się *Saint Ava*, co później skrócono do *Ava*.

Za plażą, w zagłębieniu u szczytu pagórka, stała solidna chata z jasnego kamienia. Z komina domostwa wypływała smuga dymu.

Rollo wpatrywał się niespokojnie w chatę, wyczekując umówionego sygnału. Był tak przejęty, że napinał odruchowo wszystkie mięśnie i miał wrażenie, że lada moment zwymiotuje ze zdenerwowania. To był początek końca. Eskortowani przez niego młodzi ludzie byli tajnymi agentami Boga. Tworzyli małą forpocztę, przecierając drogę kolejnym

oddziałom. Kiedyś ciemne dni ustąpią, Anglia porzuci idiotyczną ideę wolności wyznania, a masy ciemnych chłopów i miejskiej biedoty ponownie z radością skłonią kark przed władzą jedynego prawdziwego Kościoła. Fitzgeraldowie odzyskają należną im pozycję, a może nawet zyskają coś więcej; Rollo może zostać biskupem, a jego szwagier Bart – księciem. Kingsbridge zostanie oczyszczone z purytanów, tak jak Paryż z hugenotów w noc świętego Bartłomieja – choć Rollo musiał ukrywać tę część swoich marzeń przed Margery, która z pewnością nie zechciałaby mu pomóc w realizacji morderczego planu.

W końcu zobaczył umówiony sygnał: białe prześcieradło powiewające w oknie na piętrze.

Oczywiście mógł to być podstęp. Być może Mal Roper, rybak i żarliwy katolik, który mieszkał w tej chacie, wpadł w ręce Neda Willarda, a ten torturami wydobył z niego informacje i zastawił pułapkę. Tego jednak Rollo nie był w stanie sprawdzić. On i jego towarzysze ryzykowali życie, i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Gdy niebo pociemniało, zgromadził na pokładzie księży. Każdy z nich miał torbę zawierającą rzeczy osobiste oraz przedmioty

przeznaczone dla katolickich rodzin pozbawionych dostępu do sakramentu: hostię, wino, oleje do bierzmowania, wodę święconą.

– Zachowajcie całkowitą ciszę, dopóki nie dotrzecie do domu – poinstruował ich szeptem. – Nawet przytłumione głosy niosą się nad wodą. Zwykle w tej okolicy nie ma nikogo prócz rybaka i jego rodziny, ale nigdy nie wiadomo. Jeśli nie będziecie ostrożni, wasza misja może się skończyć, nim jeszcze dotrzecie do Anglii.

Jednym z księży był tryskający energią Lenny Price, pierwszy człowiek, którego Rollo poznał w Angielskim College'u w Douai, a zarazem najstarszy członek grupy.

– Lenny, kiedy już przybijecie do brzegu, obejmiesz dowództwo.

Kapitan spuścił łódź i gdy ta z głośnym pluskiem osiadła na wodzie, księża zeszli do niej po drabinie sznurowej. Kiedy Rollo, jako ostatni z kapłanów, znalazł się w szalupie, dwaj marynarze chwycili za wiosła. Sunęli cicho przez fale. Rollo widział już z daleka sylwetkę kobiety z psem czekającej na brzegu; to mogła być tylko jego siostra. Odetchnął cicho z ulgą.

Dziób łodzi uderzył o piasek plaży. Księża wskoczyli do płytkiej wody i podeszli do Margery. W milczeniu ściskała ich dłonie. Jej

doskonale wyszkolony pies również zachowywał ciszę.

Rollo został w łodzi. Margery spojrzała na niego, uśmiechnęła się i pogłaskała się po podbródku, jakby przeciągała dłonią po brodzie – nie widziała go jeszcze z takim zarostem. Idiotka! – pomyślał i odwrócił szybko wzrok. Księża nie mogli się dowiedzieć, że jest jej bratem; znali go tylko jako Jeana Langlais'go.

Gdy marynarze odepchnęli łódź od brzegu i ruszyli w drogę powrotną do *Petite Fleur*, Rollo spojrzał jeszcze raz na brzeg, gdzie Margery prowadziła kapłanów przez pas kamieni do chaty rybaka. Przez chwilę tłoczyli się przy drzwiach, po czym weszli do środka i zniknęli mu z oczu.

II

Mal Roper, jego żona Peg oraz ich trzej dorośli synowie klęczeli na kamiennej podłodze jedynej izby na parterze chaty, podczas gdy Lenny Price odprawiał mszę. Margery omal się nie rozpłakała, widząc, z jaką radością ci prości ludzie przyjmują sakramenty. Pomyślała, że

gdyby przyszło jej stracić życie dla tej jednej chwili, tak czy inaczej byłoby warto.

Często rozmyślała o swojej stryjecznej babce, nieżyjącej już siostrze Joan. Kiedy jako zrozpaczona szesnastoletnia panna młoda Margery wspięła się kiedyś na najwyższe piętro domu rodzinnego domu, gdzie Joan zamieniła dwa małe pokoje w klasztorną celę i kaplicę, staruszka powiedziała, że Bóg na pewno ma dla niej jakieś ważne zadanie, musi tylko poczekać, by je poznać. Joan miała rację. Margery cierpliwie czekała i Bóg w końcu jej objawił, na czym polega jej misja. A teraz właśnie ją wypełniała.

Zapotrzebowanie na katolickich księży było bardzo duże. Gdy jej mąż Bart wybierał się na posiedzenia parlamentu, Margery rozmawiała z bogatymi i szlachetnie urodzonymi katolikami w Londynie. Sondowała ich dyskretnie i zwykle odkrywała, że wielu z nich jest spragnionych katolickich sakramentów. Podczas pobytu w stolicy trzymała się z dala od ambasady Francji i Hiszpanii, by uniknąć wszelkich podejrzeń o spiskowanie. Przekonała też Barta, by był równie ostrożny. Mąż wspierał jej misję. Nienawidził protestantyzmu, ale wkroczywszy w wiek średni, zrobił się leniwy i gnuśny, chętnie

więc pozwalał jej wykonywać całą pracę, jeśli tylko ona pozwalała jemu, by czuł się jak bohater. Nie miała nic przeciwko takiemu układowi.

Po nabożeństwie Peg Roper podała wszystkim pożywną potrawkę z ryb i chleb domowego wypieku. Margery cieszyła się, że wszyscy księża mają apetyt – przed świtem musieli jeszcze pokonać długą drogę.

Roperowie nie byli bogaci, ale Mal nie chciał przyjąć pieniędzy.

– Dziękuję, pani, ale nie trzeba nam płacić za spełnianie Bożej woli – oznajmił.

Widziała, że mówi to z prawdziwą dumą, i nie naciskała.

Ruszyli w drogę o północy.

Margery miała dwie latarnie. Sama niosła jedną z nich, idąc na przedzie i prowadząc pozostałych, drugą zaś trzymał Lenny, który zamykał pochód. Zmierzała na północ, dobrze jej znaną trasą. Za każdym razem, gdy zbliżali się do jakiejś wioski lub domu, uciszała stanowczo księży, nie chciała bowiem, by ktokolwiek ich usłyszał lub zobaczył. Dziewięcioosobowa grupa wędrująca późną nocą wzbudziłaby podejrzenia i wrogość każdego, kto znalazłby się na ich drodze. Szczególną ostrożność Margery

zachowywała w pobliżu dużych miejskich domów, gdyż ich mieszkańcy mogliby wysłać zbrojnych z pochodniami i zatrzymać dziwnych wędrowców.

Noc była ciepła, a droga sucha, mimo to marsz dawał się we znaki. Od narodzin drugiego dziecka, Rogera, Margery cierpiała co jakiś czas na bóle pleców, szczególnie gdy musiała pokonać na piechotę dużą odległość. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak zacisnąć zęby i mężnie znosić cierpienia.

Mniej więcej co dwie godziny zatrzymywali się w wybranym wcześniej miejscu, z dala od ludzkich siedzib, by odpocząć, napić się wody ze strumienia, zjeść trochę chleba, który dała im na drogę Peg Roper, i załatwić potrzeby fizjologiczne.

Podczas wędrówki Margery cały czas nasłuchiwała uważnie wszelkich odgłosów, które mogłyby świadczyć o obecności innych ludzi na drodze. W mieście zagrażaliby im bandyci czyhający na nieostrożne ofiary, na wsi jednak panowała bieda, więc rzadziej spotykało się tu zbójców. Mimo to wolała zachować czujność.

Na wieść o masakrze w noc świętego Bartłomieja przepłakała cały dzień. Wszyscy ci ludzie zostali zamordowani przez katolików! To

było coś znacznie gorszego od bitwy, w której żołnierze zabijają żołnierzy. W Paryżu zwykli obywatele zamordowali setki bezbronnych kobiet i dzieci. Jak Bóg mógł na to pozwolić? A potem, jakby tego było mało, papież wysłał królowi Francji list gratulacyjny. To nie mogła być wola Boża. Choć z trudem przychodziło jej w to uwierzyć, uważała, że tym razem papież popełnił błąd.

Wiedziała, że Ned przebywał w tym czasie w Paryżu, i obawiała się o jego życie, potem jednak ogłoszono, że przeżyli wszyscy, którzy schronili się w ambasadzie Anglii. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że Ned poślubił jakąś Francuzkę, co bardzo zasmuciło Margery – choć zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne. Miała okazję uciec razem z Nedem i odmówiła. Nie mógł do końca życia myśleć tylko o niej. Powinna się cieszyć, że znalazł szczęście u boku innej kobiety, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

Zastanawiała się, jaka jest ta pani Willard. Ludzie mówili, że Francuzki są bardzo wytworne. Czy będzie pięknie ubrana i obwieszona biżuterią? Wbrew sobie Margery miała nadzieję, że ta kobieta to jakaś próżna trzpiotka i Ned szybko się nią znudzi. Co za podła

myśl! – ganiła się w duchu. Powinnam życzyć mu szczęścia. I życzę.

Kiedy zbliżali się do New Castle, niebo na wschodzie zaczęło już jaśnieć, podświetlając mury zamku. Margery odetchnęła z ulgą. To był bardzo długi marsz.

Droga prowadziła prosto do wejścia. Jak zawsze gawrony siedzące na murach szydziły głośno z nowo przybyłych.

Margery załomotała do bramy. W wąskim oknie wartowni pojawiła się na moment czyjaś twarz, a minutę później zaspany strażnik otworzył ciężkie drewniane drzwi. Gdy wszyscy weszli na dziedziniec, zaryglował bramę. Margery czuła się w końcu całkiem bezpieczna.

Przeprowadziła swoich podopiecznych do kaplicy.

– Za kilka minut służący przyniosą wam śniadanie i pościel – oznajmiła. – Potem możecie się położyć i spać choćby przez cały dzień i całą noc. Pamiętajcie jednak, że musicie zachowywać tajemnicę. Wszyscy mieszkańcy tego zamku są katolikami, nie powinniście jednak pytać ich o nazwiska ani podawać swoich. Nie pytajcie, gdzie jesteście ani kto jest właścicielem zamku. Choćby was torturowano, nie zdradzicie tego, czego nie wiecie.

Słyszeli już wcześniej wszystkie te przestrogi, na przykład z ust Rollo, ale zawsze warto było im je przypomnieć.

Nazajutrz miała wyprowadzać ich parami i wysyłać w drogę do różnych miejsc. Dwaj wybierali się na zachód, do Exeter, dwaj na północ do Wells, kolejni dwaj na północny wschód do Salisbury, a dwaj ostatni na wschód do Arundel. Po opuszczeniu zamku byli już zdani tylko na siebie.

Wyszła z kaplicy i udała się do domu. Przybycie księży zmusiło służbę do wzmożonej aktywności, wszyscy byli już na nogach i zajmowali się pracą. Margery weszła na górę, do pokoju chłopców. Spali obok siebie na zsuniętych razem łóżkach. Pochyliła się nad Bartletem, który miał teraz siedem lat i był chłopcem wyjątkowo dużym jak na swój wiek, i ucałowała go czule w czoło. Potem przeszła do małego jasnowłosego Rogera; ten nie miał jeszcze dwóch lat. Pocałowała go w delikatny miękki policzek.

Roger otworzył oczy. Były złotobrązowe. Takie same jak oczy Neda.

III

Sylvie nie mogła się już doczekać pierwszej wizyty w Kingsbridge, mieście, w którym urodził się jej ukochany. Byli małżeństwem dopiero od niecałego roku i miała wrażenie, że nie wie jeszcze mnóstwa rzeczy o Nedzie. Wiedziała oczywiście, że jest odważny, bystry i dobry. Znała i uwielbiała każdy cal jego ciała, a gdy się kochali, czuła się tak, jakby była w głowie męża i mogła odczytać każdą jego myśl. Poza tym jednak jej wiedza o życiu Neda była mocno ograniczona – niektórych tematów nigdy nie poruszał, rzadko odnosił się do pewnych okresów ze swej przeszłości. Mówił dużo o Kingsbridge, więc Sylvie bardzo chciała je zobaczyć. Przede wszystkim jednak pragnęła poznać ludzi, którzy byli dla niego ważni, ludzi, których kochał i nienawidził – a szczególnie kobietę z małego portretu stojącego niegdyś obok lusterka w jego paryskiej kwaterze.

Do wizyty skłonił ich list od brata Neda. Barney pisał, że przypłynął do Kingsbridge ze swoim synem.

– Nie wiedziałem, że ma syna – mruknął Ned, czytając list w salonie małego wynajętego domu, w pobliżu katedry świętego Pawła.

– A ma żonę?

– Chyba tak. Inaczej przecież nie mógłby mieć dzieci. Ale to dziwne, że o niej nie wspomina.

– Dostaniesz od Walsinghama pozwolenie na wyjazd?

Sylvie wiedziała, że Ned i Walsingham są pochłonięci rozbudową tajnych służb królowej Elżbiety i że tworzą listy ludzi, którzy mogliby przygotowywać spisek zmierzający do obalenia królowej i posadzenia na tronie Marii Stuart.

– Tak – odrzekł Ned. – Pewnie każe mi przy okazji wypytać dyskretnie o katolików w hrabstwie Shiring, szczególnie o hrabiego Barta, ale to żaden problem.

Pojechali do Kingsbridge konno, nie spiesząc się i przeznaczając na podróż całe pięć dni. Sylvie nie była jeszcze w ciąży, mogła więc bez obaw dosiadać konia. Czuła z tego powodu rozczarowanie, ale na szczęście Ned nie narzekał.

Przywykła do życia w stolicach: od urodzenia mieszkała w Paryżu, a po ślubie z Nedem przeprowadzili się do Londynu. Miasta prowincjonalne wydawały jej się bezpieczniejsze, spokojniejsze, bardziej ludzkie. Kingsbridge natychmiast przypadło jej do gustu.

Zdumiał ją kamienny anioł na szczycie wieży katedry. Ned powiedział jej, że zgodnie z legendą anioł miał twarz Caris, zakonnicy, która założyła szpital. Sylvie pytała z dezaprobatą, dlaczego posąg nie został pozbawiony głowy jak inne bluźniercze wyobrażenia świętych i aniołów.

– Nie dosięgną go. Musieliby zbudować rusztowanie – wytłumaczył Ned beztrosko; nie był szczególnie ortodoksyjny w takich sprawach. – Ale powinnaś kiedyś wejść na wieżę. Widok na miasto jest naprawdę wspaniały.

Kingsbridge przypominało jej Rouen, z jego nadrzecznymi portami i wielką katedrą w samym centrum. Panowała tu podobna atmosfera ożywionej działalności prowadzącej do dobrobytu. Na myśl o Rouen przypomniała sobie o planach związanych z przemytem protestanckiej literatury do Paryża. Niedawno dotarł do niej list od Nath, przekazany przez angielską ambasadę. Nath pisała z entuzjazmem, że jej tajny interes prosperuje doskonale, ale na razie ma jeszcze dużo towaru. Obiecała, że napisze, gdy tylko zacznie jej brakować książek.

Tymczasem Sylvie obmyśliła inne przedsięwzięcie, które zamierzała realizować równolegle z tamtym. W Londynie zamieszkały tysiące hugenockich uchodźców, a wielu z nich

miało problemy z nauką angielskiego, wpadła więc na pomysł, że będzie im sprzedawać książki po francusku. Jak powiedział jej Ned, obcokrajowcy nie mogli otwierać księgarń w obrębie murów miejskich Londynu, szukała więc jakiegoś lokalu poza murami, na przykład w Southwark, gdzie mieszkało wielu uciekinierów.

Sylvie natychmiast polubiła szwagra; zresztą, jak powiedział z uśmiechem, większość kobiet czuła do niego sympatię. Barney nosił workowate marynarskie portki z ciasno zasznurowanymi butami oraz futrzaną czapkę. Miał bujną rudą brodę, która zakrywała większość ogorzałej twarz. Szelmowski uśmiech Barneya miał w sobie coś niezwykle ujmującego i Sylvie przypuszczała, że na jego widok wiele kobiet traci głowę. Kiedy dotarli do domu stojącego naprzeciwko katedry, uściskał serdecznie Neda, a potem wycałował Sylvie z nieco większym entuzjazmem, niż wypadało.

Zarówno Ned, jak i jego żona przypuszczali, że syn Barneya to jeszcze niemowlę, okazało się jednak, że Alfo ma już dziewięć lat. Nosił pomniejszoną wersję marynarskiego ubrania ojca, łącznie z futrzaną czapką. Miał jasnobrązową skórę, kręcone rude włosy, jak

ojciec, i takie same jak on zielone oczy. Bez wątpienia miał afrykańskie korzenie i bez wątpienia był synem Barneya.

Sylvie przykucnęła, by z nim porozmawiać.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Barnardo Alfonso Willard.

– Wszyscy mówimy do niego Alfo – wtrącił Barney.

– Witaj, Alfo – przywitała się Sylvie. – Jestem twoją ciotką Sylvie.

– Miło mi panią poznać – odpowiedział chłopiec oficjalnym tonem. Ktoś nauczył go dobrych manier.

– A jego matka? – zwrócił się Ned do brata.

W oczach marynarza pojawiły się łzy.

– Najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałem.

– Gdzie teraz jest?

– Na cmentarzu na Hispanioli, w Nowej Hiszpanii.

– Tak mi przykro, bracie…

– Eileen się mną opiekuje – wyjaśnił Alfo.

Dom prowadzili Fife’owie, starsze małżeństwo, oraz ich dwudziestokilkuletnia córka Eileen.

Ned uśmiechnął się do chłopca.

– Wkrótce pójdziesz do szkoły w Kingsbridge, jak twój tata i ja. Będziesz się uczył łaciny i liczenia pieniędzy.

– Nie chcę iść do szkoły – odparł chłopiec. – Chcę być marynarzem, jak kapitan.

– Zobaczymy – mruknął Barney. Zwracając się do Neda, wyjaśnił: – Wie, że jestem jego ojcem, ale na statku przywykł nazywać mnie kapitanem, jak wszyscy inni.

Nazajutrz po przyjeździe Ned zabrał żonę na spotkanie z Forneronami, wiodącą rodziną hugenotów w Kingsbridge, dzięki czemu wszyscy mogli porozmawiać po francusku. Sylvie szybko uczyła się angielskiego, ucieszyła się jednak, że może choć na chwilę swobodnie pogawędzić i nie szukać właściwych słów. Forneronowie mieli dziesięcioletnią, nad wiek rozwiniętą córkę Valerie. Dziewczynka postanowiła nauczyć Sylvie kilku przydatnych angielskich fraz, co serdecznie wszystkich ubawiło.

Francuska rodzina chciała się dowiedzieć jak najwięcej o nocy świętego Bartłomieja, o której wciąż rozprawiano ze zgrozą w całej Europie. Wszyscy ludzie, których poznała Sylvie, wypytywali ją właśnie o to.

Trzeciego dnia Sylvie otrzymała kosztowny podarunek, belę pięknego antwerpskiego

materiału, z którego mogła uszyć suknię. Darczyńcą był Dan Cobley, najbogatszy człowiek w mieście. Słyszała już wcześniej jego nazwisko: przypłynęła z Paryża do Londynu na jednym ze statków Dana.

– Chce mi się przypochlebić – rzekł Ned. – Na wypadek gdyby kiedyś potrzebował mojego wstawiennictwa u królowej.

Cobley odwiedził ich następnego dnia. Sylvie zaprowadziła go do salonu, pokoju z widokiem na katedrę, i poczęstowała winem oraz ciastkami. Był napuszonym grubasem, a Ned rozmawiał z nim wyjątkowo oschłym tonem. Gdy Cobley opuścił ich dom, Sylvie spytała męża, dlaczego tak go nie lubi.

– Jest hipokrytą – odparł bez namysłu Ned. – Udaje przykładnego purytanina, ubiera się na czarno i narzeka, gdy w sztukach pokazują pocałunki, a potem oszukuje ludzi w interesach.

Ważniejsza luka w historii życia Neda została wypełniona, gdy zaproszono ich na kolację do domu lady Twyford, pięćdziesięciolatki o obfitych kształtach. Sylvie potrzebowała zalewie kilku minut, by domyślić się, że Sussannah była kiedyś kochanką jej męża. Rozmawiała z nim ze swobodą, jaka mogła być jedynie wynikiem tego rodzaju relacji. Ned

wydawał się zadowolony i zrelaksowany w jej towarzystwie, co krępowało Sylvie. Wiedziała, że mąż miał przed nią inne kobiety, ale nie umiała zachowywać się obojętnie wobec jego dawnej kochanki.

Susannah musiała wyczuć zdenerwowanie Sylvie, usiadła bowiem obok niej i ujęła ją za obie ręce.

– Ned jest z tobą bardzo szczęśliwy, a ja rozumiem dlaczego – powiedziała. – Zawsze miałam nadzieję, że pozna kogoś odważnego i mądrego, a do tego pięknego. Jest wyjątkowym mężczyzną i zasługuje na wyjątkową kobietę.

– Wydaje się, że bardzo panią lubi.

– Owszem – przyznała Susannah. – A ja bardzo lubię jego. Ale kocha ciebie, a to coś zupełnie innego. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

– Ja też. – Sylvie skinęła głową. – Poznałam Neda, gdy miał trzydzieści dwa lata, więc musiałabym być idiotką, by wyobrażać sobie, że jestem pierwszą kobietą, która mu się spodobała.

– Owszem, ale kiedy jesteśmy zakochani, wyobrażamy sobie czasem naprawdę głupie rzeczy.

Sylvie zrozumiała, że ta kobieta jest dobra i mądra, i od razu poczuła się lepiej w jej

towarzystwie.

Po raz pierwszy weszła do katedry w niedzielę w Zielone Świątki.

– Jak tu cudownie – zachwycała się, gdy szli główną nawą.

– Tak, to wspaniały kościół – zgodził się z nią Ned. – Nigdy nie mogę się na niego napatrzeć.

– Tak. Ale nie o to mi chodziło. Nie ma tu żadnych marmurowych posągów, żadnych kolorowych obrazów, żadnych ozdobnych skrzynek ze starymi kośćmi.

– Wasze hugenockie kościoły i kaplice wyglądają podobnie.

Sylvie przeszła na francuski, by nieco precyzyjniej wypowiedzieć myśli.

– Ale to katedra! Jest ogromna i piękna, ma kilkaset lat, wygląda jak prawdziwy kościół, a jest protestancka! We Francji hugenockie nabożeństwa odprawia się w małych salkach i kryjówkach, które nie bardzo się do tego nadają. Moje serce się raduje, gdy widzę protestanckie nabożeństwo w miejscu, w którym ludzie chwalą Boga od stuleci.

– Bardzo mnie to cieszy. – Ned się uśmiechnął. – Wycierpiałaś więcej niż pięciu ludzi razem wziętych. Masz prawo do odrobiny radości.

Podeszli do wysokiego mężczyzny w wieku Sylvie. Miał przystojną twarz, choć wyraźnie poczerwieniałą od nadmiaru alkoholu, i korpulentną figurę, którą okrywał kosztownym żółtym płaszczem.

– Sylvie, to jest Bart, hrabia Shiring.

Przypomniała sobie, że Ned miał wypytywać o miejscowych katolików, pośród których hrabia był najbardziej znaczącą postacią. Ukłoniła się grzecznie.

Bart uśmiechnął się, odpowiedział lekkim skinieniem głowy i obrzucił ją szelmowskim spojrzeniem.

– Spryciarz z ciebie, Ned. Sprowadziłeś sobie naprawdę ładną francuską dziewkę.

Miała wrażenie, że słowo „dziewka” nie jest zbyt uprzejme, postanowiła to jednak zignorować. Obok hrabiego stał chłopiec w kosztownym stroju.

– A kim jest ten młody człowiek? – spytała.

– To mój syn, Bartlet, wicehrabia – wyjaśnił Bart. – Skończył właśnie dziewięć lat. Przywitaj się, Bartlet.

Chłopiec posłusznie uścisnął dłoń Sylvie i wypowiedział odpowiednią formułkę. Choć jeszcze mały, wydawał się równie energiczny

i pogodny jak jego ojciec. Sylvie uśmiechnęła się na widok drewnianego miecza u jego boku.

– A to jest hrabina Margery – oznajmił Ned.

Sylvie podniosła wzrok i doznała szoku, ujrzawszy kobietę z małego portretu. Równie zdumiewający był fakt, że w rzeczywistości wyglądała jeszcze piękniej. Choć starsza niż na obrazku – miała już kilka lekkich zmarszczek w okolicach oczu i ust i Sylvie dawała jej jakieś trzydzieści lat – emanowała temperamentem i charyzmą, które przywodziły na myśl napiętą atmosferę zwiastującą burzę. Na gęstych, kręconych włosach, nie do końca równo ułożonych, miała zawadiacko przekrzywioną małą czerwoną czapkę. Nic dziwnego, że cię pokochał, przemknęło przez myśli Sylvie.

Margery odpowiedziała pozdrowieniem na ukłon Sylvie, przyglądając się jej ze szczerym zainteresowaniem. Gdy spojrzała na Neda, Sylvie dostrzegła w jej oczach miłość. Margery wręcz tryskała radością, witając się z jej mężem. Nie zapomniałaś o nim, pomyślała Sylvie. Nigdy o nim nie zapomnisz. Jest miłością twojego życia.

Spojrzała na Neda. On także wydawał się szczęśliwy. Margery wciąż zajmowała w jego sercu ważne miejsce, to było oczywiste.

Sylvie poczuła strach. Susannah Twyford była odrobinę irytująca, ale ona co najwyżej lubiła Neda. Uczucia Margery wydawały się znacznie silniejsze, a to budziło głęboki niepokój Sylvie. Ona pragnie mojego męża, pomyślała.

Nie dostanie go!

Potem zauważyła drugie dziecko, co najwyżej dwuletnie, które kryło się za czerwoną suknią Margery.

– A to mój drugi syn, Roger. – Hrabina pochyliła się i płynnym ruchem wzięła malca na ręce. – Rogerze, to jest sir Ned Willard – oznajmiła. – Jest bardzo ważnym człowiekiem, który pracuje dla królowej.

– Cy to jest klólowa? – spytał Roger, wskazując na Sylvie.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– To jest moja królowa – odpowiedział Ned.

Dziękuję ci, kochany, pomyślała Sylvie.

– Twój brat jest w Kingsbridge? – zwrócił się Ned do Margery.

– Ostatnio rzadko widujemy Rollo – odparła.

– Gdzie jest?

– Został doradcą hrabiego Tyne.

– Hrabia na pewno docenia jego wykształcenie prawnicze i doświadczenie w interesach. Mieszka w zamku Tyne?

– Zasadniczo tak, ale hrabia ma posiadłości w całej północnej Anglii, więc Rollo sporo podróżuje.

Ned nadal wypytywał o miejscowych katolików, ale Sylvie patrzyła na małego chłopca, Rogera. Było w nim coś, co ją niepokoiło. Po chwili uświadomiła sobie, że chłopczyk ma znajome rysy.

Przypominał Neda.

Spojrzała na męża, który wpatrywał się właśnie w malca, marszcząc lekko brwi. On także coś zauważył. Umiała już bez trudu odczytywać wyraz jego twarzy, wiedziała więc, że jeszcze nie domyślił się prawdy. Mężczyźni nie dostrzegają podobieństw równie szybko jak kobiety. Sylvie pochwyciła spojrzenie Margery i obie natychmiast się zrozumiały, podczas gdy Ned był tylko zaintrygowany, a hrabia Bart nie miał o niczym pojęcia.

Zaczęło się nabożeństwo, musieli więc przerwać rozmowę. Potem Willardowie podejmowali obiadem gości i praktycznie przez cały dzień nie mieli okazji, by swobodnie porozmawiać tylko we dwoje.

Była wiosna, więc kładli się do łóżka całkiem nadzy. Sylvie dotknęła włosów na piersiach Neda.

– Margery cię kocha – powiedziała.

– Jest żoną hrabiego.

– To jej nie powstrzymuje.

– Skąd wiesz?

– Już się z tobą kochała.

Ned milczał.

– To musiało być jakieś trzy lata temu, tuż przed twoim przyjazdem do Paryża.

– Skąd wiesz? – spytał ponownie Ned.

– Bo Roger ma dwa lata.

– Och… więc zauważyłaś.

– Ma twoje oczy. – Spojrzała prosto w oczy męża. – Cudownie złotobrązowe.

– Jesteś na mnie zła?

– Kiedy za ciebie wychodziłam, wiedziałam, że nie jestem twoją pierwsza miłością. Ale…

– Mów dalej.

– Ale nie wiedziałam, że możesz ją ciągle kochać ani że masz z nią dziecko.

Ned ujął jej dłonie.

– Nie mogę ci powiedzieć, że jest mi obojętna, że mnie nie obchodzi – powiedział z powagą. – Ale zrozum, proszę, że ty jesteś wszystkim, czego chcę.

Zabrzmiało to mądrze i szczerze, lecz Sylvie wciąż nie była pewna, czy mu wierzy. Wiedziała

tylko, że go kocha i że nie pozwoli, by ktokolwiek jej go odebrał.

– Kochaj się ze mną – poprosiła.

Pocałował ją.

– Mój Boże, jakaś ty wymagająca – zażartował, po czym pocałował ją ponownie.

Lecz jej chodziło o coś więcej. Chciała dzielić z Nedem coś, czego nie dzieliła z nim nigdy ani Susannah Twyford, ani Margery Shiring.

– Chwileczkę – mruknęła, zastanawiając się. – Czy jest coś, co zawsze chciałeś robić z kobietą? – Nigdy wcześniej nie rozmawiała z nim w ten sposób, nie rozmawiała tak z nikim. – Coś, co cię podnieca, gdy o tym myślisz, ale czego jeszcze nie robiłeś? – Wstrzymała oddech. Co powie?

Wydawał się nieco zawstydzony.

– A więc jest coś takiego – rzuciła triumfalnie. – Widzę to. – Cieszyła się, że tak łatwo odczytuje uczucia z jego twarzy. – Co?

– Krępuję się o tym mówić…

Teraz wydawał się onieśmielony. To było naprawdę cudowne. Przysunęła się na łóżku bliżej i przywarła do niego całym ciałem.

– Więc wyszeptaj – poprosiła cicho.

Wyszeptał jej do ucha.

Spojrzała na niego, uśmiechając się szeroko, nieco zaskoczona, ale i podniecona.

– Naprawdę?

Pokręcił głową.

– Zapomnij o tym. Nie powinienem był tego mówić.

Czuła coraz większe podniecenie i widziała, że on również jest podniecony.

– Możemy spróbować – zaproponowała.

I spróbowali.

CZĘŚĆ CZWARTA
1583–1589

ROZDZIAŁ 22

I

Ned patrzył na twarz swojego syna Rogera. Jego serce było przepełnione czułością, która niemal odbierała mu dech. Roger wkraczał właśnie w wiek dorastania, rósł szybko, ale nadal miał gładkie policzki i dziecięcy głos. Odziedziczył po Margery ciemne włosy i szelmowski uśmiech, ale miał złotobrązowe oczy Neda.

Siedzieli w salonie domu naprzeciwko katedry. Hrabia Bart przyjechał do Kingsbridge na wiosenne kwartalne posiedzenie sądu i przywiózł ze sobą dwóch chłopców, których uważał za swoich synów: Bartleta, który miał już osiemnaście lat, oraz dwunastoletniego Rogera. Ned również przyjechał na posiedzenie sądu; był teraz posłem do parlamentu reprezentującym Kingsbridge.

Nie miał innych dzieci. Już od dziesięciu lat kochał się z Sylvią, z niesłabnącym niemal zapałem, ale nie zaszła w ciążę. Ten fakt zasmucał ich oboje i sprawiał, że Roger stał się oczkiem w głowie Neda.

Przypominał sobie czasy, gdy sam przechodził przez dorastanie. Wiem, co cię czeka, myślał, patrząc na Rogera. Chciałbym wszystko ci o tym powiedzieć, ułatwić ci to, ale kiedy byłem w twoim wieku, nigdy nie wierzyłem dorosłym, którzy mówili, że wiedzą, co to młodość. Z tobą pewnie jest tak samo.

Roger miał z nim dobry kontakt. Ned był przyjacielem jego matki, więc chłopiec traktował go jak przyszywanego wujka. Ten mógł wyrażać miłość jedynie poprzez uważne słuchanie chłopca, poważne traktowanie jego słów i przemyślane odpowiedzi. Być może właśnie dlatego Roger czasami mu się zwierzał – co ogromnie radowało Neda.

– Sir Nedzie, znasz królową – odezwał się teraz Roger. – Dlaczego nienawidzi katolików?

Jego ojciec nie spodziewał się takiego pytania, choć być może powinien był. Roger wiedział, że jego rodzice są katolikami w protestanckim kraju, i był już dość duży, by się nad tym zastanawiać.

– Królowa wcale nie nienawidzi katolików – odparł Ned, próbując grać na czas.

– Każe płacić mojemu ojcu wysoką grzywnę za to, że nie chodzi do kościoła.

Ned zrozumiał, że Roger szybko kojarzy fakty, co napełniło go ojcowską dumą, a zarazem smutkiem, że musi ją ukrywać, szczególnie przed synem.

Powiedział mu to, co mówił wszystkim:

– Kiedy Elżbieta była jeszcze młodą księżniczką, powiedziała mi, że jeśli zostanie królową, żaden Anglik nie umrze z powodu swej wiary.

– Nie dotrzymała obietnicy.

– Próbowała. – Ned szukał słów, którymi mógłby wyjaśnić zawiłości polityki dwunastoletniemu chłopcu. – Z jednej strony, ma w parlamencie purytanów, którzy mówią jej codziennie, że jest zbyt łagodna, że powinna palić katolików na stosach, tak jak jej poprzedniczka, królowa Maria Tudor, paliła protestantów. Z drugiej strony, musi radzić sobie z katolickimi zdrajcami, którzy chcą ją zabić, takimi jak książę Norfolk.

– Ale zabija się księży tylko dlatego, że nawracają ludzi na wiarę katolicką, prawda?

Uzmysłowił sobie, że Roger zbierał w głowie wszystkie te pytania, by zadać je w dogodnym momencie. Zapewne bał się rozmawiać o tym z rodzicami. Ned cieszył się, że syn ufa mu na tyle, by podzielić się z nim swoimi wątpliwościami. Tylko dlaczego ten chłopiec tak bardzo się tym przejmował? Ned podejrzewał, że ksiądz Stephen Lincoln wciąż mieszka w New Castle. Zapewne był nauczycielem Bartleta i Rogera i regularnie odprawiał mszę katolicką dla całej rodziny. Roger obawiał się zapewne, że jego nauczyciel zostanie zdemaskowany i stracony.

W Anglii było teraz znacznie więcej takich księży niż kiedyś. Stephen należał do grupy niedobitków, którzy zostali w kraju po tym, jak królowa Elżbieta zasiadła na tronie, ale wspomagały go dziesiątki, jeśli nie setki, nowych kapłanów. Ned i Walsingham schwytali siedemnastu z nich. Wszyscy zostali oskarżeni o zdradę i straceni.

Ned przesłuchiwał większość spośród tych siedemnastu. Nie dowiedział się zbyt wiele, po części dlatego, że szkolono ich, jak opierać się przesłuchaniom i torturom, ale przede wszystkim dlatego, że sami niewiele wiedzieli. Ich zwierzchnik nosił pseudonim Jean Langlais

i podawał im tylko minimum informacji dotyczących przedsięwzięcia, w którym brali udział. Nie mieli pojęcia, w której części wybrzeża ich wysadzono, nie znali nazwisk ludzi, którzy przyjęli ich na miejscu i wyprawili w dalszą drogę.

– Ci księża przechodzą szkolenie za granicą, a potem nielegalnie przedostają się do Anglii – tłumaczył Rogerowi. – Są wierni papieżowi, a nie królowej. Niektórzy należą do szczególnie radykalnej grupy katolików, zwanej jezuitami. Elżbieta się obawia, że szykują spisek, by ją obalić.

– A szykują? – spytał Roger.

Gdyby Ned prowadził tę rozmowę z dorosłym, zachowywałby się zapewne znacznie agresywniej. Szydziłby z naiwności każdego, kto przypuszcza, że działający skrycie księża nie są winni zdrady. Nie chciał jednak kłócić się z własnym synem. Chciał jedynie, by chłopiec poznał prawdę.

Wszyscy księża uważali, że Elżbieta bezprawnie zasiada na tronie Anglii, który należy się Marii Stuart, królowej Szkocji, żaden z nich nie próbował jednak zmieniać tego stanu rzeczy, przynajmniej na razie. Nikt nie kontaktował się z Marią Stuart, nikt nie

gromadził grup niezadowolonych katolików, nikt nie szykował zamachu na życie Elżbiety.

– Nie – przyznał głośno Ned. – O ile mi wiadomo, nie spiskują przeciwko królowej Elżbiecie.

– Więc zabija się ich tylko dlatego, że są katolickimi księżmi.

– Moralnie rzecz ujmując, masz rację. I bardzo mnie smuci fakt, że Jej Wysokość nie była w stanie dotrzymać swojej obietnicy. Jako polityk nie może jednak tolerować na terenie swojego królestwa siatki ludzi wiernych zagranicznemu władcy, papieżowi, który otwarcie nazywa siebie jej wrogiem. Żaden monarcha na ziemi nie godziłby się na taką sytuację.

– A jeśli ukrywasz księdza w swoim domu? Grozi ci za to śmierć?

Więc to najbardziej martwiło Rogera. Gdyby schwytano Stephena Lincolna podczas odprawiania mszy lub dowiedziono mu, że trzyma w New Castle przedmioty sakralne, zarówno Bart, jak i Margery mogliby trafić na szafot.

Ned również obawiał się o Margery. Nie wiedział, czy byłby w stanie ocalić ją przed karzącą ręką prawa.

– Uważam, że powinniśmy wielbić Boga w taki sposób, jaki uznajemy za słuszny, i nie przejmować się tym, co robią inni – powiedział. Nie nienawidzę katolików. Przyjaźnię się z twoją matką… i twoim ojcem… przez całe życie. Uważam, że chrześcijanie nie powinni się nawzajem zabijać z powodu sporów teologicznych.

– Nie tylko katolicy palą ludzi na stosach. Protestanci w Genewie spalili Miguela Serveta.

Ned miał ochotę wytknąć Rogerowi, że nazwisko Serveta jest znane w całej Europie właśnie dlatego, że protestanci nie mają w zwyczaju palić ludzi na stosie, nie chciał się z nim jednak kłócić.

– To prawda – rzucił. – I ta zbrodnia będzie się kładła cieniem na nazwisku Jana Kalwina aż do dnia Sądu Ostatecznego. Jednakże po obu stronach jest wielu ludzi, którzy dążą do tolerancji, choćby królowa Katarzyna, matka króla Francji, która jest katoliczką. Inny przykład to królowa Elżbieta.

– Ale obie zabijają ludzi!

– Żadna z tych kobiet nie jest święta. Musisz coś zrozumieć, Rogerze. W polityce nie ma świętych, lecz nawet niedoskonali ludzie mogą zmienić świat na lepsze.

Ned starał się jak mógł, ale chłopiec wciąż wyglądał na niezadowolonego. Nie chciał, by mówiono mu, że życie jest skomplikowane. Miał dwanaście lat i szukał niezachwianych pewników. Musiał uczyć się powoli, jak wszyscy inni.

Przerwali rozmowę, gdy do salonu wszedł Alfo. Roger natychmiast umilkł, a po chwili pożegnał się uprzejmie i wyszedł.

– Czego on chciał? – spytał Alfo Neda.

– Trapią go różne młodzieńcze rozterki. Traktuje mnie jak starego nieszkodliwego przyjaciela rodziny. Jak tam w szkole?

Alfo usiadł. Skończył już dziewiętnaście lat, podobnie jak Barney miał długie kończyny i swobodny, niefrasobliwy sposób bycia.

– Prawda jest taka, że już rok temu szkoła nauczyła mnie wszystkiego, czego mogła. Teraz połowę czasu spędzam na czytaniu, a połowę na uczeniu młodszych.

– Naprawdę? – Najwyraźniej był to dla Neda dzień doradzania młodzieńcom. Miał dopiero czterdzieści trzy lata, uważał, że jest jeszcze za młody, by brać na siebie taką odpowiedzialność. – Może powinieneś pojechać do Oksfordu i studiować na uniwersytecie. Mógłbyś zamieszkać w Angielskim College'u.

Sam nie był szczególnie zachwycony tym pomysłem. Nigdy nie studiował na uniwersytecie i jakoś nie cierpiał z tego powodu. Był równie bystry jak większość znanych mu duchownych. Z drugiej strony, zauważył, że czasami ludzie z wykształceniem uniwersyteckim radzą sobie lepiej od niego w uczonych dysputach, i wiedział, że nauczyli się tego właśnie na studiach.

– Nie nadaję się na duchownego.

Stryj młodzieńca uśmiechnął się pod nosem. Alfo lubił dziewczyny – a dziewczyny lubiły jego. Odziedziczył po Barneyu wrodzony czar. Nieśmiałe dziewczyny odstraszał jego afrykański wygląd, ale te odważniejsze były nim wyraźnie zainteresowane.

Ned przekonał się, że Anglicy są niekonsekwentni w podejściu do cudzoziemców: nienawidzili Turków i uważali, że Żydzi są źli, Afrykanów zaś traktowali jako niegroźnych i egzotycznych. Ludzie jak Alfo, którzy jakimś zrządzeniem losu trafili do Anglii, zwykle łatwo wżeniali się w miejscową społeczność, a ich potomkowie po trzech lub czterech pokoleniach całkiem tracili nietypowe rysy twarzy i kolor skóry.

– Po studiach nie musisz wcale zostać kapłanem. Ale widzę, że masz już jakiś inny

pomysł.

– Moja babka Alice marzyła kiedyś o tym, żeby zamienić stary klasztor w zadaszone targowisko.

– To prawda. – Było to już wiele lat temu, ale Ned wciąż pamiętał, jak oglądał z matką ruiny klasztoru i wyobrażał sobie stragany rozstawione w krużgankach. – Ciągle można to zrobić.

– Mógłbym kupić ruiny za pieniądze kapitana?

Ned zastanowił się nad tym. Rozporządzał pieniędzmi Barneya, gdy ten przebywał na morzu. Sporą część trzymał w gotówce, ale poczynił też pewne inwestycje – kupił sad w Kingsbridge i mleczarnię w Londynie – dzięki czemu zarabiał w imieniu brata.

– Myślę, że tak, jeśli tylko cena będzie odpowiednia – odparł w końcu ostrożnie.

– Mogę więc zgłosić taką ofertę?

– Najpierw zbierz informacje. Wypytaj o ostatnie transakcje dotyczące terenów budowlanych w Kingsbridge… ile średnio kosztował akr.

– Zrobię to – zapewnił go z entuzjazmem Alfo.

– Zachowaj dyskrecję. Nie mów ludziom o swoich planach. Gdyby pytali, powiedz, że to ja

szukam działki budowlanej dla siebie. Potem się zastanowimy, jaką cenę zaoferować za klasztor.

Do komnaty weszła Eileen Fife z paczką w dłoni. Uśmiechnęła się czule do Alfa i podała paczkę Nedowi.

– Przywiózł to dla pana posłaniec z Londynu, sir Nedzie. Jest w kuchni, jeśli chce pan z nim porozmawiać.

– Daj mu coś do jedzenia – polecił Ned.

– Już to zrobiłam – odparła Eileen, oburzona przypuszczeniem, że mogła tak zaniedbać gościa.

– Oczywiście, wybacz. – Otworzył zawiniątko. Był tam list do Sylvie zaadresowany dziecinnym charakterem pisma Nath i przekazany zapewne przez ambasadę angielską w Paryżu. Prawdopodobnie zawierał prośbę o nowy transport książek – w ciągu dziesięciu ostatnich lat Nath trzykrotnie odnawiała zapasy nielegalnych ksiąg.

Ned wiedział od Sylvie, że Nath prowadziła też innego rodzaju działalność. Nadal pracowała jako służąca u Pierre'a Aumande'a Gwizjusza i śledziła jego poczynania, a potem przekazywała relacje paryskim protestantom. Pierre przeprowadził się do pałacu Gwizjuszów, wraz z Odette, jej synem Alainem, który miał teraz dwadzieścia dwa lata i był studentem, oraz

z Nath. Dzięki temu służąca mogła zbierać jeszcze więcej informacji niż dawniej, szczególnie na temat angielskich katolików w Paryżu. Nawróciła na protestantyzm Alaina, o czym nie wiedzieli ani Odette, ani Pierre. Komunikowała się z Sylvie za pomocą takich właśnie listów.

Odłożył przesyłkę na bok, by przekazać ją żonie.

Drugi list był zaadresowany do niego – prostym, pochyłym w prawo pismem, charakterystycznym dla metodycznego człowieka, który się spieszy. Ned od razu rozpoznał w nim rękę sir Francisa Walsinghama. Nie mógł jednak przeczytać wiadomości od razu, gdyż była zaszyfrowana.

– Potrzebuję czasu na odpowiedź – zwrócił się do Eileen. – Przygotuj posłańcowi nocleg.

Alfo zbierał się do wyjścia.

– A ja zajmę się naszym nowym przedsięwzięciem! Dziękuję ci, stryju.

Ned zaczął rozszyfrowywać list złożony zaledwie z trzech zdań. Najchętniej zapisałby ostateczną wiadomość nad zaszyfrowanym tekstem, ale takie praktyki były zabronione. Gdyby tekst opisany w ten sposób trafił w niepowołane ręce, nieprzyjaciel zyskałby klucz

do wszystkich wiadomości sporządzonych za pomocą tego szyfru. Deszyfranci Neda, którzy pracowali nad przechwyconą korespondencją ambasad działających w Londynie, już kilkakrotnie skorzystali na podobnej nieostrożności szpiegowanych przez nich ludzi. Ned zapisywał więc odszyfrowaną wiadomość żelaznym rysikiem na płytce, by potem zetrzeć ją bez trudu wilgotną ściereczką.

Znał szyfr na pamięć, więc szybko odczytał pierwsze zdanie: *Wiadomości z Paryża.*

Serce zabiło mu mocniej. Angielskie służby specjalne bardzo chciały poznać plany Francuzów. Przez całe lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte królowa Elżbieta trzymała swoich wrogów w szachu, udając, że rozważa propozycje matrymonialne katolickich książąt. Jej ostatnią ofiarą był Franciszek Herkules, brat króla Francji Henryka III. Elżbieta kończyła w tym roku pięćdziesiąt lat, ale nadal fascynowała mężczyzn – oczarowała dwudziestokilkuletniego Franciszka, zwracając się do niego „Moja mała żabko”. Zwodziła go przez trzy lata, aż w końcu, podobnie jak wszyscy jej poprzedni zalotnicy, doszedł do wniosku, że królowa Anglii nie zamierza w ogóle wychodzić za mąż. Ned czuł jednak, że zagrała tą

matrymonialną kartą po raz ostatni, co oznaczało, że jej wrogowie mogą zrobić to, o czym mówili już od dawna, czyli podjąć próbę zrzucenia jej z tronu.

Pracował właśnie nad drugim zdaniem, gdy drzwi komnaty otworzyły się raptownie i wpadła Margery.

– Jak śmiesz? – spytała gniewnie. – Jak śmiesz!?

Oniemiał ze zdumienia. Margery słynęła z nagłych napadów gniewu, których panicznie bali się jej służący, lecz on nigdy jeszcze nie był obiektem takiej napaści. Utrzymywali przyjacielskie, niemal czułe relacje.

– A co ja takiego zrobiłem, na miłość boską? – spytał, odzyskawszy w końcu głos.

– Jak śmiesz karmić mojego syna protestancką herezją?

Ned zmarszczył czoło.

– Zadawał mi pytania – odpowiedział, starając się trzymać nerwy na wodzy. – Starałem się odpowiadać mu szczerze i uczciwie.

– Wychowam moich synów w wierze ich ojców i nie pozwolę, byś ich zepsuł.

– Jasne – parsknął Ned, zirytowany. – Ale wcześniej czy później ktoś im powie, że istnieją też inne punkty widzenia. Ciesz się, że to byłem

ja, a nie jakiś radykalny purytanin pokroju Dana Cobleya.

Choć był na nią zły, nie uszło jego uwagi, że wygląda wyjątkowo powabnie, gdy tak odrzuca do tyłu bujne włosy i ciska wzrokiem błyskawice gniewu. Była piękniejsza w wieku lat czterdziestu niż czternastu, kiedy całował się z nią za grobowcem przeora Philipa.

– Zrozumieliby od razu, że Cobley to łajdak i bluźnierca. Ty pozujesz na rozsądnego człowieka, zatruwając im jednocześnie umysły.

– Ach, rozumiem! Nie przeszkadza ci mój protestantyzm, tylko mój rozsądek. Nie chcesz, by twoi synowie wiedzieli, że można spokojnie rozmawiać o religii i mieć odmienne zdanie, a mimo to nie mordować się nawzajem. – Już wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy Margery nie jest zła na niego i nie uważa, by naprawdę zatruwał umysł Rogera. Złościła się na los, który ich rozdzielił i sprawił, że nie mogą wspólnie wychowywać syna.

Hrabina zachowywała się jednak jak szarżujący koń, którego nie można żadną siłą powstrzymać.

– Och, straszny z ciebie mądrala! – grzmiała.

– Nie, ale nie udaję, że jestem głupi, a ty właśnie to robisz.

– Nie przyszłam się tu kłócić. Zabraniam ci rozmawiać z moimi dziećmi.

– Roger jest także moim dzieckiem – odparł ściszonym głosem.

– Nie pozwolę, by cierpiał za moje grzechy.

– Więc nie wpychaj mu do gardła swojej religii. Powiedz mu, w co sama wierzysz, i przyznaj, że dobrzy ludzie nie zawsze zgadzają się ze sobą. Będzie cię bardziej szanował.

– Nie waż się uczyć mnie, jak mam wychowywać własne dzieci.

– Więc ty mi nie mów, o czym mogę rozmawiać z własnym synem.

Podeszła do drzwi.

– Kazałabym ci wynieść się do piekła, ale i tak jesteś na najlepszej drodze do tego miejsca. – Wyszła, a chwilę później rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Ned wyjrzał przez okno, lecz tym razem piękno katedry nie cieszyło go tak jak zwykle. Było mu przykro, że pokłócił się z Margery.

Dawno już ustalili jedno: nigdy nie powiedzą Rogerowi, kto naprawdę jest jego ojcem. Oboje byli przekonani, że chłopiec – a może i mężczyzna, gdyby stało się to później – nie

mógłby pogodzić się ze świadomością, że oszukiwano go przez całe życie. Choć oznaczało to, że Ned nigdy nie będzie mógł w pełni cieszyć się ojcostwem, musiał się zdobyć na takie poświęcenie dla chłopca. Dobro Rogera było ważniejsze niż uczucia Neda; na tym właśnie polega rodzicielstwo.

Spojrzał ponownie na list i odszyfrował drugie zdanie: *Wrócił kardynał Romero ze swoją kochanką*. Ta informacja miała niebagatelne znaczenie. Romero był nieoficjalnym wysłannikiem króla Hiszpanii, a jego przyjazd do Paryża mógł świadczyć o tym, że Hiszpania spiskuje z radykalnymi francuskimi katolikami. Jego kochanka Jeronima Ruiz szpiegowała dla Neda w dniach poprzedzających noc świętego Bartłomieja. Może i teraz zechce wyjawić, co planuje Romero.

Kiedy pracował nad trzecim zdaniem, do salonu weszła Sylvie. Gdy podał jej list od Nath, nie otworzyła go od razu.

– Słyszałam twoją rozmowę z Margery – powiedziała. – A przynajmniej jej głośniejsze fragmenty. Nie brzmiało to dobrze.

Zakłopotany Ned ujął jej dłoń.

– Nie próbowałem nawracać Rogera. Chciałem tylko szczerze odpowiadać na jego

pytania.

– Wiem.

– Przepraszam, jeśli poczułaś się zażenowana z powodu mojej dawnej miłości.

– Nie czułam się tak – odparła Sylvie. – Już dawno temu zrozumiałam, że kochasz nas obie.

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Rzeczywiście, kochał je obie, ale nigdy się do tego nie przyznał.

– Nie da się ukryć takich rzeczy przed własną żoną – powiedziała Sylvie, jakby czytając w jego myślach. Potem otworzyła swój list.

Ned zajął się ponownie wiadomością od Walsinghama. Choć pochłonięty myślami o tym, co powiedziała Sylvie, odcyfrował szybko ostatnie zdanie.

Jeronima chce rozmawiać tylko z tobą.

Podniósł wzrok na żonę i wypowiedział słowa, które wydały mu się najodpowiedniejsze w tej sytuacji:

– W takim razie wiesz też, że kocham ciebie.

– Tak. – Spojrzała na list. – To od Nath. Potrzebuje więcej książek. Muszę jechać do Paryża.

– Ja też.

II

Sylvie nie wybrała się do tej pory na katedralną wieżę, by obejrzeć stamtąd widok na miasto i okolicę. W słoneczną wiosenną niedzielę po nabożeństwie rozejrzała się po świątyni, szukając schodów prowadzących na górę. W ścianie południowego transeptu znajdowały się małe drzwi prowadzące na spiralną klatkę schodową. Zastanawiała się właśnie, czy powinna prosić o pozwolenie, czy też po prostu wejść do wieży, gdy podeszła do niej Margery.

– Nie miałam prawa wdzierać się do waszego domu i robić takiej sceny – oznajmiła hrabina. – Wstyd mi.

Sylvie zamknęła drzwi. To było ważne, a wyprawa na wieżę mogła poczekać.

Uważała, że to jej dopisało w miłości szczęście, i w związku z tym powinna być wspaniałomyślna dla Margery.

– Rozumiem, dlaczego się tak zdenerwowałaś – odpowiedziała. – A przynajmniej tak mi się wydaje. I naprawdę nie mam do ciebie pretensji.

– Co masz na myśli?

– Ty i Ned powinniście wychowywać Rogera razem. Nie możecie jednak tego robić, i dlatego cierpisz.

Margery była zszokowana.

– Ned przysięgał, że nikomu o tym nie powie.

– I nie mówił. Sama się domyśliłam, a on nie mógł zaprzeczyć. Nikomu nie zdradzę waszego sekretu.

– Bart mnie zabije, jeśli się dowie.

– Nie dowie się.

– Dziękuję. – W oczach Margery błysnęły łzy.

– Gdyby Ned się z tobą ożenił, miałby dom pełen dzieci. Niestety, wygląda na to, że ja nie mogę zajść w ciążę. Choć oczywiście stale próbujemy. – Sylvie sama nie wiedziała, dlaczego rozmawia tak szczerze z kobietą, która kochała jej męża. Po prostu udawanie wydawało jej się bezsensowne.

– Przykro mi to słyszeć… choć domyślałam się tego.

– Jeśli umrę wcześniej niż Ned, a twój mąż umrze przed tobą, powinnaś wyjść za Neda.

– Jak możesz mówić takie rzeczy?!

– Spojrzę na was z nieba i pobłogosławię wasze małżeństwo.

– Nie dojdzie do tego, ale dziękuję, że tak mówisz. Jesteś dobrą kobietą.

– Ty też. – Sylvie się uśmiechnęła. – Szczęściarz z niego, prawda?

– Z Neda?

– Ma miłość nas obu.
Margery pokręciła głową.
– Nie wiem, czy jest z tego powodu szczęśliwy.

III

Pałac Gwizjuszów zrobił na Rollo ogromne wrażenie. Był większy niż Luwr. Kręciły się tu tłumy służących, zbrojnych, dalekich krewnych i pieczeniarzy, którzy codziennie mogli liczyć na nocleg i wyżywienie. Sama stajnia była większa niż cały dom, który zbudował w Kingsbridge jego ojciec, gdy świetnie mu się powodziło.

Rollo został tam zaproszony w czerwcu 1583 roku na spotkanie z księciem Gwizjuszem.

Książę Franciszek od dawna już nie żył, podobnie jak jego brat kardynał Karol. Teraz księciem był syn Franciszka, trzydziestodwuletni Henryk. Rollo przyglądał mu się z fascynacją. Za sprawą przypadku, uważanego przez większość Francuzów za boskie zrządzenie, Henryk został ranny w twarz, podobnie jak jego ojciec. Choć Franciszka raniono włócznią, a Henryka postrzelono z arkebuza, obaj nosili na twarzy podobne blizny i obu nazywano Człowiekiem z Blizną.

Kardynał Karol, znany z niezwykłej przebiegłości, był jednym z najważniejszych polityków wśród Gwizjuszów. Jego miejsce zajął Pierre Aumande Gwizjusz, nisko urodzony i odległy krewny rodziny, a zarazem protegowany Karola. Pierre był mecenasem Angielskiego College'u i to on nadał Rollo pseudonim Jean Langlais, którym ten posługiwał się zawsze podczas wykonywania tajnych misji.

Rollo spotkał się z księciem Henrykiem w małej, lecz bogato zdobionej komnacie. Wszystkie ściany obwieszone były obrazami przedstawiającymi sceny biblijne, na których nie brakowało nagich kobiet i mężczyzn. Anglik miał wrażenie, że mimo pozorów bogobojności panuje tu atmosfera zepsucia, która nieco go krępowała.

Czuł się zaszczycony, ale i onieśmielony, gdy zobaczył, w jak dostojnym gronie przyszło mu zasiadać. W naradzie brali udział przedstawiciel króla Hiszpanii kardynał Romero, wysłannik papieża Giovanni Castelli oraz Claude Matthieu, prowincjał francuskich jezuitów. Ludzie ci stanowili ciężką artylerię ortodoksyjnego katolicyzmu, a Rollo nie mógł uwierzyć, że znalazł się w ich towarzystwie.

Pierre siedział obok księcia Henryka. Choroba skóry, z którą zmagał się od lat, dokuczała mu

coraz bardziej; czerwone łuszczące się plamy pokrywały jego dłonie i szyję, objęły kąciki oczu i ust. Nieszczęśnik bez ustanku się drapał.

Gdy dostojnicy zajęli miejsca, trzej służący Gwizjuszów podali wino i łakocie, a potem usiedli przy drzwiach i czekali na dalsze polecenia. Rollo zakładał, że wszyscy cieszą się pełnym zaufaniem księcia, ale sam kazałby im wyjść na zewnątrz. Zachowanie tajemnicy stało się jego obsesją. Jedyną spośród obecnych w pomieszczeniu osób, która znała jego prawdziwe imię i nazwisko, był Pierre. W Anglii nikt nie wiedział, że Rollo Fitzgerald nazywany jest Jeanem Langlais'em – nawet jego siostra Margery. Teoretycznie zatrudniał go hrabia Tyne, strachliwy katolik, pobożny, ale stroniący od wszelkich spisków. Hrabia wypłacał mu pensję, dawał mu tyle wolnego, ile tylko Rollo zechciał, i wstrzymywał się od wszelkich pytań.

Książę Henryk rozpoczął dyskusję oświadczeniem, które przyprawiło Anglika o dreszcz emocji.

– Zebraliśmy się tutaj, by porozmawiać o inwazji na Anglię.

Rollo od dawna o tym marzył. Praca, jaką zajmował się od dziesięciu lat, czyli szmuglowanie księży do Anglii, była ważna, lecz

stanowiła tylko półśrodek: pomagała zachować prawdziwą wiarę, ale nie zmieniała *status quo*. Jej prawdziwą wartością było przygotowanie gruntu pod ten właśnie akt. Inwazja dowodzona przez księcia Gwizjusza mogła przywrócić Anglię Kościołowi katolickiemu i zapewnić Fitzgeraldom należną im pozycję.

Widział to już oczami wyobraźni: flota z rozwiniętymi flagami, okryci zbrojami mężczyźni zstępujący na plażę, triumfalne wejście do Londynu, radosne okrzyki tłumu, koronacja Marii Stuart, on w biskupich szatach odprawiający mszę w katedrze w Kingsbridge.

Dzięki dyskusjom z Pierre'em Rollo wiedział, że królowa Elżbieta nieustannie utrudnia życie Gwizjuszom. Gdy tylko radykalni katolicy zyskiwali przewagę we Francji, tłumy hugenotów szukały schronienia w Anglii, gdzie witano ich z otwartymi ramionami i doceniano ich umiejętności oraz przedsiębiorczość. Zbijali tam majątki i wysyłali pieniądze swoim współwyznawcom. Elżbieta mieszała się również do konfliktu w Hiszpańskich Niderlandach, pozwalając, by angielscy ochotnicy walczyli tam po stronie buntowników.

Książę Henryk miał jednak jeszcze inny motyw.

– To niedopuszczalne, by Elżbieta, którą papież uznał za uzurpatorkę, rządziła nadal Anglią i przetrzymywała prawdziwą królową, Marię Stuart, w więzieniu – powiedział.

Maria Stuart, królowa Szkotów, była kuzynką Henryka. Gdyby zasiadła na tronie Anglii, Gwizjusze staliby się najpotężniejszą rodziną w Europie. Bez wątpienia właśnie ta myśl kierowała Henrykiem i Pierre'em.

Rollo zastanawiał się przez chwilę, czy naprawdę chce, by jego ojczyzną rządziła obca rodzina, uznał jednak, że to niska cena za powrót do prawdziwej wiary.

– Moim zdaniem, należy przypuścić atak z dwóch stron – ciągnął Henryk. – Armia złożona z dwunastu tysięcy ludzi wyląduje w porcie na wschodnim wybrzeżu, poderwie do walki katolicką szlachtę i przejmie kontrolę nad północą kraju. Inny oddział, być może mniejszy, wyląduje na południowym wybrzeżu i również zmobilizuje miejscowych katolików. Obie grupy, wspierane przez angielskich zwolenników Marii Stuart, pomaszerują na Londyn.

– Świetnie, ale kto za to zapłaci? – spytał prowincjał jezuitów.

– Król Hiszpanii obiecał pokryć połowę kosztów – odpowiedział mu kardynał Romero. –

Król Filip ma już dość ataków angielskich piratów na jego galeony pływające po Atlantyku. Ci bandyci kradną ogromne ładunki złota i srebra z Nowej Hiszpanii.

– A druga połowa?

– Myślę, że papież się dołoży, jeśli plan inwazji wyda mu się rozsądny i wiarygodny.

Rollo doskonale wiedział, że królowie i papież znacznie chętniej rozdają obietnice niż pieniądze. Jednak w tym momencie pieniądze nie były tak istotne jak zwykle. Książę Henryk właśnie odziedziczył po babce pół miliona liwrów, więc w razie konieczności mógł sam pokryć koszty tej operacji.

– Będziemy potrzebowali map wybrzeża i zatok nadających się do zejścia na ląd.

Rollo zrozumiał, że Pierre zaplanował już dokładnie całą inwazję. Znał odpowiedź na każde pytanie. Zorganizował to spotkanie tylko po to, by się upewnić, że każdy z jego uczestników gotów jest wykonać swoje zadanie.

– Zdobędę mapy – oznajmił.

– Sam? – spytał książę, spoglądając na Rollo.

– Nie, nie sam. Mam w Anglii sieć potężnych i bogatych katolików.

Właściwie była to sieć Margery, ale nikt z tu zebranych nie musiał o tym wiedzieć. Poza tym

Rollo zawsze sprawdzał, gdzie wysyła się jego księży; mówił przy tym, że chce być pewny, czy pasują do swoich protektorów.

– Można polegać na tych ludziach? – pytał Henryk.

– Książę, to nie są zwykli katolicy. Już teraz ryzykują życie, przyjmując pod swój dach duchownych, których wysyłam do Anglii od dziesięciu lat. Trudno o kogoś bardziej godnego zaufania.

– Rozumiem – odparł Henryk z mimowolnym podziwem.

– Ci ludzie nie tylko dostarczą mapy. To oni wzniecą powstanie, które wesprze inwazję.

– Doskonale. – Książę skinął głową.

– Pozostaje jeszcze jedna bardzo istotna kwestia, czyli Maria królowa Szkotów – wtrącił Pierre, po raz pierwszy zabierając głos w dyskusji. – Nie możemy zabierać się do realizacji tego projektu, dopóki Maria nie potwierdzi jednoznacznie, że udzieli wsparcia powstaniu, zgodzi się na egzekucję Elżbiety i sama przejmie po niej koronę.

Rollo wziął głęboki oddech.

– Jestem gotów uzyskać od niej takie zapewnienie – oświadczył, modląc się w duchu, by był w stanie dotrzymać tej ambitnej obietnicy.

– Maria jest w więzieniu, a wszystkie jej listy przechodzą przez ręce Anglików – zauważył Henryk.

– Owszem, jest to pewien problem, ale da się go przezwyciężyć.

Książę wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Rozejrzał się po komnacie, po czym oświadczył z aroganckim zniecierpliwieniem typowym dla ludzi dysponujących wielką władzą:

– To chyba wszystko, panowie. Dziękuję wam za przybycie.

Rollo spojrzał w stronę drzwi i zauważył ze zdumieniem, że do trojga służących dołączył dwudziestokilkuletni mężczyzna o krótkiej, modnej wśród studentów fryzurze. Wydawał mu się dziwnie znajomy. Kimkolwiek był, prawdopodobnie słyszał, jak Rollo obiecuje zdradzić ojczyznę. Zaniepokojony Anglik wskazał na młodzieńca i spytał:

– Kim jest ten człowiek?

– To mój pasierb – wyjaśnił Pierre. – Co ty tu robisz, do diabła, Alain?

– Mama źle się czuje – odparł młodzieniec.

Rollo obserwował z zainteresowaniem całą gamę emocji, które pojawiały się kolejno na twarzy Pierre’a. Najpierw, przelotnie, był to

wyraz nadziei, szybko skryty pod niezbyt przekonującym grymasem zatroskania, który z kolei ustąpił minie wyrażającej gotowość do działania.

– Natychmiast wezwij medyka. Biegnij do Luwru i sprowadź Ambroise'a Paré. Koszty nie mają znaczenia. Moja ukochana Odette musi mieć najlepszą opiekę. No już, chłopcze, ruszaj się! – Pierre odwrócił się do księcia i dodał: – Jeśli nie jestem ci już potrzebny, panie…

– Śmiało, Pierre, idź. – Henryk skinął głową.

Pierre opuścił komnatę, a Rollo pomyślał: o co właściwie chodziło w tym teatrzyku?

IV

Ned Willard przyjechał do Paryża, by spotkać się z Jeronimą Ruiz, ale musiał być bardzo ostrożny. Gdyby Hiszpankę posądzono o przekazywanie mu informacji, zostałaby stracona – a on być może wraz z nią.

Stał w księgarni, w cieniu katedry Notre Dame. Księgarnia należała niegdyś do ojca Sylvie. Ned nie znał jej wtedy, pokazała mu to miejsce w 1572 roku, gdy zaczęli się spotykać. Teraz sklep

miał innego właściciela, ale stanowił świetny punkt obserwacyjny, więc Ned często tu wpadał.

Przeglądał tytuły na grzbietach książek i jednocześnie obserwował zachodnią część fasady świątyni, wraz z jej bliźniaczymi wieżami. Gdy tylko drzwi świątyni się otworzyły, zapomniał o książkach i wyszedł na zewnątrz.

Jako pierwszy katedrę opuścił Henryk III, który został królem Francji przed dziewięcioma laty, gdy zmarł jego brat Karol IX. Ned obserwował, jak monarcha uśmiecha się i macha do tłumu paryżan zgromadzonych na placu. Król miał trzydzieści jeden lat, ciemne oczy i ciemne włosy, które zaczynały już rzednąć na skroniach. Był, jak to mówiono w Anglii, „politykiem" – po francusku *un politique* – czyli podejmując decyzje dotyczące religii, kierował się dobrem kraju, a nie odwrotnie.

Tuż za nim szła królowa Katarzyna, teraz już korpulentna starsza pani, sześćdziesięcioczteroletnia, z żałobnym nakryciem głowy. Królowa matka urodziła pięciu synów, ale wszyscy byli chorowici i trzech z nich zmarło w młodym wieku. Co gorsza, żaden jeszcze nie spłodził syna, dlatego też przejmowali kolejno po sobie tron Francji. Jednakże to pasmo nieszczęść uczyniło z Katarzyny najpotężniejszą

kobietę w Europie. Podobnie jak Elżbieta, wykorzystywała swą władzę, by rozstrzygać spory religijne na drodze kompromisu, a nie zbrojnego konfliktu; i podobnie jak Elżbieta, odnosiła umiarkowane sukcesy na tym polu.

Gdy królewska świta zniknęła za mostem, na prawym brzegu rzeki, z trzech wielkich wrót katedry wysypał się tłum wiernych. Ned dołączył do niego, w nadziei że pozostanie niezauważony wśród tak wielu ludzi, którzy przyszli zobaczyć króla.

Natychmiast wypatrzył Jeronimę Ruiz, co nie było zbyt trudne – jak zawsze nosiła się na czerwono. Miała teraz około czterdziestu lat; nie była już tak szczupła i zgrabna jak kiedyś, nie miała też tak bujnych włosów i pełnych ust. Nadal jednak zmysłowo się poruszała i zerkała kusząco spod czarnych rzęs. Emanowała zmysłowością mocniej niż którakolwiek z kobiet obecnych na placu, choć Ned wyczuwał, że nie było to już naturalne, lecz stanowiło efekt świadomych, starannych zabiegów.

Ich spojrzenia się spotkały. Rozpoznała go i odwróciła wzrok.

Nie mógł podejść do niej otwarcie. Ich spotkanie musiało wyglądać na przypadkowe. I musiało być krótkie.

Starał się manewrować tak, by zmierzać w jej stronę. Towarzyszyła kardynałowi Romero, choć dla zachowania pozorów szła kilka kroków za nim. Gdy kardynał przystanął, by porozmawiać z wicehrabią Villeneuve, Ned znalazł się u jej boku.

Wciąż uśmiechając się do tłumu, Jeronima powiedziała:

– Ryzykuję życie. Możemy rozmawiać tylko przez chwilę.

– Dobrze.

Ned rozejrzał się od niechcenia, jakby ciekaw paryżan i paryżanek, lecz jednocześnie wypatrywał uważnie ludzi, którzy mogli ich zauważyć.

– Książę Gwizjusz planuje inwazję na Anglię – zaczęła.

– Dobry Boże! – Ned aż się zachłysnął. – Jak…

– Milcz i słuchaj – warknęła. – Inaczej nie zdążę ci wszystkiego powiedzieć.

– Przepraszam.

– Wojska wylądują w dwóch miejscach, na wschodnim i na południowym wybrzeżu.

– Ilu ludzi? – musiał spytać Ned.

– Nie wiem.

– Mów dalej.

– Niewiele więcej wiem. Obie armie mają zwerbować miejscowych katolików i pomaszerować na Londyn.

– Te informacje są bezcenne.

Dziękował Bogu, że Jeronima znienawidziła Kościół katolicki za torturowanie jej ojca. Zdał sobie sprawę, że oboje kierują się podobnymi motywami: on nienawidził autorytarnej religii, odkąd biskup Julius i jego pomagierzy zrujnowali jego rodzinę. Gdy tylko czuł, że jego determinacja słabnie, przypominał sobie, jak ukradli matce wszystko, na co pracowała przez całe życie, i jak ta silna, mądra kobieta gasła mu na oczach aż do śmierci. Ból związany z tymi wspomnieniami palił jak stara niezaleczona rana i zawsze dodawał Nedowi sił.

Zerknął z ukosa na Jeronimę. Z bliska widział zmarszczki na jej twarzy, wyczuwał też wyraźniej, że pod zmysłową maską Hiszpanki kryje się twardy cynizm. Została kochanką Romera, gdy miała osiemnaście lat. Choć przekroczyła już czterdziestkę, nadal cieszyła się jego względami, z pewnością jednak musiała o to coraz mocniej zabiegać.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Naprawdę był jej głęboko wdzięczny. Musiał jednak dowiedzieć się czegoś jeszcze. – Książę

Gwizjusz na pewno ma jakichś angielskich współpracowników.

– Niewątpliwie.

– Wiesz, kim są ci ludzie?

– Nie. Pamiętaj, że zdobywam te wszystkie informacje w łóżku. Nie mogę zadawać pytań. Gdybym to zrobiła, Romero natychmiast nabrałby podejrzeń.

– Rozumiem, oczywiście.

– Co słychać u Barneya? – spytała z tęskną nutą w głosie.

– Większość życia spędza na morzu. Nie ożenił się. Ale ma dziewiętnastoletniego syna.

– Dziewiętnastoletniego – powtórzyła z niedowierzaniem. – Jak ten czas leci…

– Nazywa się Alfo. Coś mi się wydaje, że odziedziczył po ojcu talent do zarabiania pieniędzy.

– A więc bystry z niego chłopak, jak ze wszystkich Willardów.

– Jest bystry, owszem.

– Pozdrów ode mnie Barneya.

– Jeszcze tylko jedna sprawa.

– Szybko, Romero już idzie.

Ned musiał nawiązać z nią stały kontakt.

– Kiedy wrócisz do Madrytu, zgłosi się do ciebie człowiek sprzedający kremy, które

zachowują młodą skórę na twarzy – powiedział, improwizując naprędce.

Hiszpanka uśmiechnęła się smutno.

– Używam mnóstwa takich maści.

– Wszelkie informacje, które mu przekażesz, dotrą do mnie do Londynu.

– Rozumiem.

Odwróciła się od Neda i uśmiechnęła promiennie do kardynała, wypinając piersi. Kiedy odchodzili razem, Jeronima kręciła zmysłowo biodrami. Ned pomyślał, że to naprawdę smutny widok: niemłoda już kurtyzana, która stara się maksymalnie wykorzystać swe sterane życiem wdzięki, by zatrzymać względy zdeprawowanego, starego i grubego hierarchy kościelnego.

Czasami miał wrażenie, że przyszło mu żyć w zepsutym do cna świecie.

V

Choroba żony uradowała Pierre’a bardziej niż plany inwazji na Anglię.

Odette stanowiła jedyną przeszkodę na jego drodze ku wielkości. Był głównym doradcą księcia, słuchano go uważniej i ufano mu

bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Mieszkał w pałacu przy Vieille rue du Temple wraz z Odette, Alainem i ich wieloletnią służącą Nath. Otrzymał we władanie małą wioskę w Szampanii, dzięki czemu mógł nazywać siebie *sieur de Mesnil*, co oznaczało przynależność do szlachty, choć nie do arystokracji. Zdawał sobie sprawę, że być może książę Henryk nigdy nie nada mu tytułu hrabiego, ale francuska arystokracja zyskała prawo mianowania ludzi na wysokie stanowiska kościelne bez konsultacji z Rzymem. Pierre mógł więc poprosić Henryka, by uczynił go opatem klasztoru lub nawet biskupem – gdyby tylko nie był żonaty.

Teraz śmierć Odette wydawała się bardziej prawdopodobna niż kiedykolwiek dotąd. Ta myśl wypełniała go bolesną niemal nadzieją. Byłby wolny, mógłby spokojnie zdobywać coraz to wyższe stanowiska i przywileje, praktycznie bez żadnych ograniczeń.

Choroba Odette objawiała się bólem po jedzeniu, krwawą biegunką i zmęczeniem. Zawsze była otyła, teraz jednak schudła, zapewne dlatego, że ból odstręczał ją od jedzenia. Medyk Paré uznał, że to niestrawność nasilająca się za sprawą upału, i zalecił jej pić dużo słabego piwa i rozwodnionego wina.

Pierre obawiał się, że Odette może wyzdrowieć.

Niestety, Alain bardzo się o nią troszczył. Zrezygnował ze studiów i stale czuwał przy jej łożu. Pierre pomiatał młodzieńcem, ale służba pałacowa darzyła chłopca zaskakującą sympatią i współczuciem z powodu choroby matki. Dzięki temu Alain mógł spać na podłodze w komnacie chorej, gdzie przynoszono im posiłki.

Gdy tylko mógł, Pierre karmił Odette wszystkim tym, czego Paré zabronił jej podawać: brandy i mocnym winem, przyprawami i słonym jedzeniem. Potem często cierpiała na skurcze żołądka i ból głowy, czemu towarzyszył paskudny oddech. Gdyby tylko Pierre opiekował się żoną, szybko doprowadziłby do jej śmierci, ale Alain nigdy nie opuszczał matki na dłużej.

Kiedy Odette poczuła się lepiej, Pierre zrozumiał, że perspektywa biskupstwa znów coraz bardziej się oddala, i wpadł w rozpacz.

Podczas następnej wizyty doktor Paré orzekł, że Odette wraca do zdrowia, i Pierre załamał się jeszcze bardziej. Cudowne marzenie o wolności przyblakło, a rozczarowanie stało się równie dokuczliwe i bolesne jak niezaleczona rana.

– Powinna teraz pić specjalną miksturę wzmacniającą – powiedział medyk. Poprosił

o pióro, papier i atrament i Alain natychmiast to przyniósł. – Giglio, włoski aptekarz po drugiej stronie ulicy, może to zrobić na poczekaniu, to tylko miód, lukrecja, rozmaryn i pieprz. – Zapisał skład na kartce i podał ją młodzieńcowi.

Pierre wpadł nagle na szalony pomysł. Nie zastanawiając się nad szczegółami, postanowił pozbyć się na chwilę pasierba.

– Idź po tę miksturę – nakazał, podając mu monetę.

Alain wcale nie miał na to ochoty. Spojrzał na matkę, która właśnie zasnęła.

– Nie lubię jej zostawiać.

Czyżby domyślał się zamiarów Pierre’a? Nie, z pewnością nie.

– Wyślij Nath – powiedział młodzieniec.

– Nath poszła na targ rybny. Idź do apteki, a ja będę czuwał przy twojej matce. Nie zostawię jej samej, nie martw się.

Alain wciąż się wahał. Bał się Pierre’a – większość ludzi się go bała – ale ten czasami potrafił być naprawdę uparty.

– Idź, chłopcze – ponaglił go Paré. – Im szybciej wypije tę miksturę, tym szybciej wróci do zdrowia.

Młodzieniec nie mógł sprzeciwiać się medykowi, opuścił więc sypialnię matki.

– Dziękuję panu za troskę – powiedział Pierre tonem sugerującym, że chciałby już zostać sam. – Bardzo to doceniamy.

– Zawsze bardzo chętnie pomagam członkom rodziny Gwizjuszów.

– Nie zapomnę wspomnieć o tym księciu.

– A jak on się miewa?

Pierre koniecznie chciał się pozbyć medyka z pokoju przed powrotem pasierba.

– Doskonale – odparł, a gdy Odette mruknęła coś przez sen, rzucił szybko: – Chyba chce nocnik.

– W takim razie zostawię już państwa samych – odrzekł Paré i wyszedł.

Pierre miał w końcu swoją szansę. Serce podchodziło mu do gardła. Mógł szybko rozwiązać wszystkie swoje problemy.

Mógł zabić Odette.

Nim zachorowała, powstrzymywały go od tego dwie rzeczy. Po pierwsze, jej fizyczna siła – nie wiedział, czy będzie w stanie ją obezwładnić. Po drugie, bał się gniewu kardynała Karola. Duchowny ostrzegł go, że go zniszczy, jeśli Odette umrze, bez względu na to, co byłoby przyczyną jej śmierci.

Teraz jednak była słaba, a Karol nie żył.

Ale czy mimo to nie padną na niego podejrzenia? Starał się jak najlepiej odgrywać

rolę oddanego i kochającego męża. Karol nie dał się na to nabrać, podobnie jak Alain, inni jednak – jak książę Henryk, który nie znał historii ich małżeństwa – o nic go nie posądzali. Alain mógł oskarżyć Pierre'a, lecz ten przedstawiłby go wtedy jako osieroconego syna, który wpadł w histerię i obwinia ojczyma o śmierć, która nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Pierre zamknął drzwi.

Spojrzał z odrazą na śpiącą Odette. Wymuszone małżeństwo z tą kobietą było największym upokorzeniem w jego życiu. Uświadomił sobie, że aż drży z żądzy mordu. To będzie jego największa zemsta.

Przeciągnął ciężkie krzesło po podłodze i podstawił je pod drzwi, by nikt nie mógł ich otworzyć.

Hałas zbudził Odette. Podniosła głowę i spytała z niepokojem:

– Co się dzieje?

– Alain poszedł do aptekarza po miksturę wzmacniającą – odpowiedział kojącym tonem, po czym podszedł do łoża.

Odette wyczuła niebezpieczeństwo.

– Dlaczego zablokowałeś drzwi? – spytała, coraz bardziej wystraszona.

– Żeby nikt ci nie przeszkadzał – wyjaśnił. Wyrwał spod głowy żony poduszkę i zakrył nią jej twarz. Zrobił to dość szybko, by stłumić krzyk narastający w jej gardle.

Broniła się z zaskakującą siłą. Zdołała wysunąć głowę spod poduszki i nabrać powietrza, nim Pierre ponownie ją zakrył. Wiła się tak gwałtownie, że musiał wejść na łóżko i uklęknąć na jej tułowiu. Wciąż jednak miała wolne ręce, zasypała go więc gradem ciosów w żebra i brzuch. Musiał zacisnąć zęby, by znieść w ciszy ból i nadal dociskać poduszkę do jej twarzy.

Czuł jednak, że to ona może wygrać i udaremnić wszystkie jego plany. Ta myśl, podszyta panicznym strachem, dodała mu jeszcze sił i pozwoliła mocniej trzymać poduszkę.

W końcu Odette osłabła. Zadała jeszcze kilka anemicznych ciosów, a potem jej ręce opadły bezwładnie na łóżko. Wierzgnęła ostatnich kilka razy i znieruchomiała. Pierre nadal trzymał mocno poduszkę. Nie chciał ryzykować i pozwolić, by Odette przeżyła. Miał nadzieję, że Alain nie wróci w tym momencie; Giglio na pewno potrzebował więcej czasu, by sporządzić miksturę.

Pierre nigdy jeszcze nie zabił człowieka. Był odpowiedzialny za śmierć setek heretyków i wielu przypadkowych ofiar, wciąż też prześladowały go koszmary o stertach nagich ciał na ulicach Paryża po masakrze dokonanej w noc świętego Bartłomieja. Co więcej, planował teraz wojnę, która z pewnością będzie kosztować życie tysięcy ludzi. Lecz do tej pory nikt jeszcze nie zginął z jego ręki. To było coś innego. Dusza jego żony opuszczała jej ciało, gdy on dusił ją poduszką. To było straszne.

Po kilku minutach, gdy Odette nadal się nie ruszała, ostrożnie podniósł poduszkę i spojrzał na jej wychudłą twarz. Nie oddychała. Przyłożył dłoń do jej piersi, ale nie wyczuł bicia serca.

Umarła.

Ogarnęła go euforia. Był wolny!

Odłożył poduszkę pod głowę zmarłej. Wyglądała spokojnie, niemal pogodnie. Na jej twarzy nie pozostały żadne ślady gwałtownej walki o życie, którą przed chwilą stoczyła.

Radość ze zwycięstwa powoli opuszczała Pierre’a; zastanawiał się, co powinien zrobić, by nie został zdemaskowany. Odsunął krzesło od drzwi. Nie był pewien, gdzie wcześniej stało. Chyba nikt nie zwróci na to uwagi.

Rozejrzał się uważnie, wypatrując podejrzanych szczegółów. Zauważył, że pościel jest bardzo wygnieciona, poprawił więc pierzynę na ciele Odette.

Nie wiedział, co robić dalej.

Chciał wyjść z pokoju, lecz obiecał Alainowi, że tu zostanie, a ucieczka stanowiłaby przyznanie się do winy. Lepiej udawać niewinnego. Z drugiej strony, nie mógł znieść obecności zwłok w tym samym pomieszczeniu. Nienawidził Odette i cieszył się, że umarła, ale popełnił straszliwą zbrodnię.

Uświadomił sobie, że Bóg będzie wiedział, co zrobił, nawet jeśli nikt inny tego nie odkryje. Zamordował własną żonę. Jak uzyska przebaczenie za taki grzech?

Jej oczy wciąż były otwarte. Nie chciał na nie patrzeć, bo bał się, że spojrzą na niego. Chętnie by je zamknął, ale brzydził się dotykać trupa.

Próbował wziąć się w garść. Ojciec Moineau zawsze go zapewniał, że wszystko zostanie mu wybaczone, bo realizuje dzieło Boże. Czy to odnosiło się również do tej zbrodni? Nie, oczywiście, że nie. To był akt egoizmu, tylko i wyłącznie. Nic go nie usprawiedliwiało.

Czuł się potępiony. Zauważył, że drżą mu ręce – te same ręce, które przyciskały poduszkę do

twarzy Odette tak mocno, że ją udusiły. Usiadł na ławce przy oknie i wyglądał na zewnątrz, by nie patrzeć na zwłoki. Odwracał się jednak co chwilę, by sprawdzić, czy nadal leży na łóżku – wciąż mimowolnie wyobrażał sobie, jak jej ciało siada prosto, odwraca ku niemu niewidzące oczy, a potem wskazuje na niego palcem, mamrocząc: „On mnie zamordował”.

W końcu otworzyły się drzwi i do komnaty wszedł Alain. Pierre poddał się na moment panice i omal nie krzyknął: „To moja wina, ja ją zabiłem!”, szybko jednak odzyskał opanowanie.

– Tss… – szepnął, choć Alain poruszał się bardzo cicho. – Śpi.

– Nie, nie śpi – odparł młodzieniec. – Ma otwarte oczy. – Uniósł brwi. – Poprawiłeś pościel.

– Była trochę pomięta.

– To miłe z twojej strony – rzekł wyraźnie zaskoczony młodzieniec. Potem znów uniósł brwi. – Dlaczego przesunąłeś krzesło?

Pierre był zdumiony, że Alain pamięta takie szczegóły. Nie przychodziła mu do głowy żadna rozsądna wymówka, więc uciekł się do zaprzeczenia.

– Stoi tam, gdzie stało.

Alain wydawał się zdziwiony, ale nie drążył tematu. Postawił butelkę z miksturą na stoliku

i oddał Pierre’owi garść drobnych monet.

– Przyniosłem ci lekarstwo, mamo – powiedział, patrząc na matkę. – Możesz od razu wypić część. Trzeba je wymieszać z wodą albo winem.

Pierre miał ochotę krzyknąć: „Spójrz tylko! Ona nie żyje!”.

Na stoliku stał dzban z winem i kubek. Alain nalał trochę mikstury do kubka, dodał wina i wymieszał wszystko nożem.

– Usiądź prosto, dobrze? – odezwał się, podchodząc do łoża. Odette nie zareagowała, więc przyjrzał się jej uważniej i zmarszczył czoło. – Mamo? – Zniżył głos do szeptu. – Najświętsza Panno, nie!

Kubek wypadł mu z dłoni, a gęsta mikstura rozlała się na posadzce.

Pierre obserwował go z dziwną, obrzydliwą fascynacją. Po pierwszym szoku Alain doskoczył do łóżka i pochylił się nad nieruchomym ciałem.

– Mamo! – krzyknął, jakby podnosząc głos, mógł przywrócić ją do życia.

– Coś się stało? – spytał Pierre.

Alain pochwycił matkę za ramiona i podniósł ją. Głowa kobiety opadła bezwładnie do tyłu.

Pierre podszedł do łoża i stanął po drugiej stronie, poza zasięgiem Alaina. Nie bał się

chłopca – to on miał tutaj przewagę fizyczną – ale wolał unikać awantur.

– Co się stało? – powtórzył.

Alain wbił w niego pełen nienawiści wzrok.

– Coś ty zrobił?

– Pilnowałem jej tylko – odrzekł Pierre. – Ale chyba jest nieprzytomna.

Młodzieniec delikatnie położył matkę na łóżku, na tej samej poduszce, która przed chwilą ją zabiła. Dotknął jej piersi, sprawdzając, czy bije serce, potem szukał pulsu na szyi. W końcu przytknął policzek do nosa, starając się wyczuć oddech.

– Nie żyje – powiedział, tłumiąc szloch.

– Jesteś pewien? – Pierre sam dotknął piersi zmarłej, po czym pokiwał głową ze smutkiem. – To straszne… A myśleliśmy, że wraca do zdrowia.

– Bo wracała! Ty ją zabiłeś, diable.

– Jesteś bardzo zdenerwowany, Alainie.

– Nie wiem, co dokładnie zrobiłeś, ale zabiłeś ją.

Pierre przeszedł do drzwi, otworzył je i zawołał służbę:

– Niech ktoś tu przyjdzie! Ktokolwiek! Szybko!

– Zabiję cię – syknął Alain.

Pierre uznał to za czczą, śmiechu wartą pogróżkę.

– Nie mów o rzeczach, których i tak nie zrobisz.

– Zrobię – odparł z naciskiem młodzieniec. – Tym razem posunąłeś się za daleko. Zamordowałeś moją matkę i dopadnę cię za to. Nawet jeśli zajmie mi to całe życie, zabiję cię własnymi rękami i będę patrzył, jak umierasz.

Na moment Pierre'a ogarnął strach, lecz szybko się z tego otrząsnął. Był pewien, że ten chłopak nie jest w stanie nikogo zabić.

Spojrzał w głąb korytarza i zobaczył nadchodzącą Nath, która niosła kosz, zapewne z zakupami z targowiska.

– Chodź tutaj, Nath – powiedział. – Szybko. Stało się coś bardzo smutnego.

VI

Sylvie włożyła czarne nakrycie głowy z gęstym woalem i poszła na pogrzeb Odette.

Chciała stać obok Nath i Alaina, którzy byli bardzo poruszeni tą śmiercią. Czuła też dziwną więź emocjonalną z Odette, bo obie miały Pierre'a za męża.

Ned jej nie towarzyszył. Poszedł do katedry Notre Dame, by sprawdzić, którzy z ważnych

angielskich katolików przebywają obecnie w Paryżu. Być może ludzie współpracujący z księciem Henrykiem Gwizjuszem byli na tyle głupi, by się ujawnić.

Padał deszcz, cmentarz pokryła warstwa lepkiego błota. Sylvie miała wrażenie, że większość żałobników to pomniejsi członkowie rodziny Gwizjuszów oraz służba. Jedynymi znaczniejszymi postaciami byli Veronique, która znała Odette od wczesnej młodości, oraz udający głęboki smutek Pierre.

Sylvie zerkała na Pierre'a nerwowo, choć była niemal pewna, że nie rozpozna jej w tym przebraniu. Miała rację; nawet nie spojrzał w jej stronę.

Tylko Nath i Alain płakali.

Kiedy ceremonia dobiegła już końca i większość żałobników, łącznie z Pierre'em, rozeszła się do swoich spraw, Sylvie, Nath i Alain stanęli pod rozłożystymi gałęziami dębu, by przez chwilę porozmawiać.

– Myślę, że on ją zabił – oznajmił Alain.

Zauważyła, że młodzieniec odziedziczył urodę Gwizjuszów; był przystojny nawet z czerwonymi od płaczu oczami.

– Twoja matka była chora – powiedziała Sylvie.

– Wiem. Ale zostawiłem ją z nim samą tylko na chwilę, żeby przynieść miksturę od aptekarza, a kiedy wróciłem, już nie żyła.

– Tak mi przykro. – Westchnęła ciężko. Nie miała pojęcia, czy Alain ma rację, była jednak pewna, że Pierre jest zdolny do morderstwa.

– Wyprowadzę się z pałacu – rzucił młodzieniec. – Teraz gdy jej już nie ma, nic mnie tam nie trzyma.

– Dokąd się przeniesiesz?

– Chyba do mojego college'u.

– Ja też muszę się wyprowadzić – wtrąciła Nath. – Zostałam zwolniona. Pierre zawsze mnie nienawidził.

– O mój Boże! I co teraz zrobisz?

– Nie muszę szukać zatrudnienia. Mam dość pracy przy sprzedaży książek.

Nath była niezłomna. Odkąd przed wielu laty Sylvie uczyniła z niej szpiega, stawała się coraz silniejsza i zaradniejsza.

– Musisz odejść? – spytała zaniepokojona Sylvie. – Jesteś naszym najważniejszym źródłem informacji o Pierze i Gwizjuszach.

– Nie mam wyboru. Wyrzucił mnie.

– Nie możesz go poprosić, żeby cię jednak zostawił?

– Dobrze wiesz, że to nic nie da.

Nath miała rację. Żadne prośby ani błagania nie mogły skłonić Pierre’a, by złagodził skutki aktu swej podłości.

Oddalenie Nath z pałacu Gwizjuszów stanowiło poważny problem, lecz Sylvie natychmiast znalazła inne rozwiązanie.

– Ty mógłbyś zostać z Pierre’em, prawda? – zwróciła się do Alaina.

– Nie.

– Musimy wiedzieć, co on robi!

Młodzieniec spojrzał na nią z udręką.

– Nie mogę mieszkać z człowiekiem, który zamordował moją matkę!

– Ale wierzysz w jedyną prawdziwą, protestancką religię.

– Oczywiście.

– A naszym obowiązkiem, jako wiernych, jest szerzenie prawdy.

– Wiem.

– Najlepiej przysłużysz się tej sprawie, jeśli będziesz mi mówił, co planuje twój ojczym.

– Naprawdę? – Alain wydawał się wewnętrznie rozdarty.

– Zostań jego sekretarzem, niech dojdzie do przekonania, że jesteś mu niezbędny.

– W zeszłym tygodniu poprzysiągłem mu zemstę i śmierć.

– Szybko o tym zapomni, zbyt wielu ludzi przysięgało już zabić Pierre'a. A najlepszym sposobem na dokonanie zemsty, i takim, który najbardziej spodoba się Panu, będzie udaremnianie jego prób zniszczenia prawdziwej wiary.

Alain zamyślił się na moment.

– W ten sposób uczciłbym godnie pamięć matki.

– Otóż to.

– Muszę się nad tym jeszcze zastanowić – powiedział Alain, nadal targany wątpliwościami.

Sylvie zerknęła na Nath, która dyskretnie wskazała na siebie, jakby chciała powiedzieć „Zostaw to mnie. Zajmę się tym". Prawdopodobnie rzeczywiście mogła tego dokonać – była dla Alaina drugą matką.

Sylvie zwróciła się ponownie do młodzieńca:

– Musimy znać nazwiska angielskich katolików współpracujących z Gwizjuszami. Trudno mi nawet opisać, jakie to dla nas ważne.

– W zeszłym tygodniu w pałacu odbyło się ważne spotkanie – poinformował ją Alain. – Rozmawiali o inwazji na Anglię.

– To straszne. – Sylvie nie przyznała, że wie już o tym spotkaniu. Jak nauczył ją Ned, nigdy nie należy zdradzać szpiegowi, że ma się inne

źródła informacji; była to jedna z podstawowych zasad tej gry. – Czy na spotkaniu byli jacyś Anglicy?

– Tak, jeden, ksiądz z Angielskiego College'u. Mój ojczym spotykał się z nim już kilka razy. Ten człowiek ma się skontaktować z Marią Stuart i dowiedzieć się, czy poprze inwazję.

Jeronima Ruiz nie znała tej istotnej informacji. Sylvie nie mogła się już doczekać, kiedy przekaże ją Nedowi. Najpierw jednak musiała ustalić jeszcze jeden ważny fakt.

– Jak nazywa się ten ksiądz? – spytała, wstrzymując oddech.

– Posługuje się pseudonimem Jean Langlais.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Proszę, proszę…

ROZDZIAŁ 23

I

Zamek Sheffield był jednym z najgorszych więzień, w jakich Alison spędziła z Marią Stuart ostatnie piętnaście lat. Wybudowano go przed trzystu laty i niestety, dało się to odczuć na każdym kroku. Wzniesiony u zbiegu dwóch rzek, z pozostałych dwóch stron otoczony był fosą, więc mówienie o nim, że jest wilgotny, wydawało się sporym niedopowiedzeniem. Właściciel fortecy, hrabia Shrewsbury, pokłócił się z królową Elżbietą o wysokość opłaty otrzymywanej w zamian za utrzymanie Marii; uważał ją za bardzo mizerną. W konsekwencji dostarczał królowej Szkotów najtańsze jedzenie i picie.

Jedynym jaśniejszym punktem pobytu w tym miejscu były wycieczki do zadrzewionego parku

o powierzchni czterech mil kwadratowych, położonego tuż za zamkową fosą.

Maria mogła jeździć tam konno, choć tylko w towarzystwie eskorty zbrojnych. Gdy z jakiegoś powodu nie miała ochoty na przejażdżkę, Alison wybierała się do parku sama; nikogo nie obchodziło, czy ucieknie, czy wróci. Miała czarnego konia o imieniu Garçon, który zwykle był jej posłuszny i spokojny.

Gdy tylko pojawiał się przed nią szpaler drzew orzecha, galopowała przez jakieś pół mili, by wierzchowiec pozbył się nadmiaru energii. Potem chętniej słuchał jej poleceń.

Szybka jazda dawała jej krótkie i iluzoryczne poczucie wolności. Kiedy zwalniała do stępa, przypominała sobie, że żyje w więzieniu. Zadawała siebie pytanie, dlaczego to robi. Nikt by jej nie powstrzymywał, gdyby wróciła do Szkocji lub Francji. Była jednak więźniem nadziei.

Od lat żyła nadzieją… i rozczarowaniami. Czekała, aż Maria zostanie królową Francji, lecz panowanie jej przyjaciółki trwało niecałe dwa lata. Potem wróciła na wyspy, by rządzić Szkocją, ale nigdy nie została w pełni zaakceptowana jako nowa władczyni i ostatecznie zmuszono ją do abdykacji. Teraz była prawowitą królową Anglii, co uznawali wszyscy prócz samych Anglików.

Nadal jednak mieszkały tu tysiące – jeśli nie miliony – lojalnych katolików, którzy byli gotowi walczyć za Marię i posadzić ją na tronie. Alison czekała z nadzieją na tę chwilę, gdy w końcu będą mieli okazję to zrobić.

Czekała już bardzo długo.

Kiedy przejeżdżała przez zagajnik, zza pnia potężnego dębu wyszedł nagle jakiś nieznajomy i stanął jej na drodze.

Wystraszony Garçon odskoczył na bok. Alison zapanowała szybko nad wierzchowcem, ale nieznajomy zdążył już do niej dostąpić i złapać zwierzę za uzdę.

– Puść mojego konia albo każę cię wychłostać – powiedziała groźnym tonem.

– Nie chcę zrobić ci krzywdy.

– Więc zrób, co ci mówię.

Posłusznie wypuścił z dłoni uzdę i cofnął się o krok.

Wyglądał na pięćdziesiąt lat, miał lekką łysinę i rudą krzaczastą brodę. Nie wyglądał groźnie – być może złapał za uzdę tylko po to, by pomóc jej uspokoić zwierzę.

– Jesteś, pani, Alison McKay? – spytał.

Uniosła dumnie głowę.

– Kiedy wyszłam za mąż, zostałam lady Ross, a gdy rok później pogrzebałam męża,

zachowałam tytuł i majątek, ale kiedyś rzeczywiście byłam Alison McKay… dawno temu. Kim pan jest?

– Jean Langlais.

Rollo zastanawiał się, czy nie powinien używać innych pseudonimów, by jeszcze bardziej mylić tropy. Jednakże Jean Langlais zdążył już zyskać sławę, był tajemniczą i potężną postacią, istotą przypominającą ducha, która przemieszczała się niepostrzeżenie między Anglią i Francją, pracując wytrwale dla katolickiej wiary. Znane nazwisko stało się jego atutem.

– Słyszałam o panu – przyznała Alison. – Ale nie jest pan Francuzem.

– Jestem posłańcem z Francji. Działam w imieniu Pierre'a Aumande'a Gwizjusza.

– Znam go. – Przypomniała sobie młodego mężczyznę o falujących blond włosach i manierach człowieka kompetentnego i bezwzględnego zarazem. Pragnęła kiedyś znaleźć się u jego boku, wyobrażała ich sobie jako parę, ale nie było jej to dane. Teraz musiał być już niemłody. – Jak się miewa?

– Jest prawą ręką księcia Gwizjusza.

– I biskupem albo nawet arcybiskupem? Nie, przecież ma żonę. – Służącą zapłodnioną przez

któregoś z jurnych podrostków z rodziny Gwizjuszów, jeśli dobrze pamiętała. Szkoda.

– Jego żona niedawno zmarła.

– Ach, więc teraz zacznie się piąć. Może skończy jako papież. Jakąż to wiadomość przekazuje?

– Niewola królowej Marii i twoja, pani, dobiega końca.

Serce Alison podskoczyło z radości, szybko jednak zapanowała nad euforią. Łatwo powiedzieć „Wasza niewola dobiega końca". Znacznie trudniej urzeczywistnić taką deklarację.

– To znaczy? – rzuciła beznamiętnym tonem.

– Książę zamierza najechać na Anglię, korzystając ze wsparcia króla Hiszpanii Filipa i papieża Grzegorza Trzynastego. Królowa Maria musi być symboliczną przywódczynią tej armii. Wojska księcia Henryka uwolnią ją i posadzą na tronie.

Czy te słowa mogły być prawdą? Alison na razie bała się w nie uwierzyć. Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Postanowiła grać na czas.

– Kiedy ostatnio widziałam Henryka Gwizjusza, był dziesięcioletnim chłopczykiem o blond włosach, a teraz chce podbijać Anglię! – Uśmiechnęła się.

– Gwizjusze to druga po rodzinie królewskiej siła we Francji. Jeśli książę Henryk mówi, że podbije Anglię, to podbije. Musi jednak mieć pewność, że królowa Maria odegra w pełni swoją rolę.

Alison przyjrzała mu się uważnie. Miał szczupłą, przystojną twarz, ale sprawiał wrażenie człowieka twardego i bezwzględnego. Przypominał jej pod tym względem Pierre'a. Po chwili wahania podjęła decyzję.

– Mogę dać panu taką gwarancję tu i teraz.

Jean Langlais pokręcił głową.

– Książę Henryk nie uwierzy pani na słowo. Ani mnie, jeśli chodzi o ścisłość. Chce mieć to na piśmie, z podpisem królowej Marii.

Nadzieje rozbudzone słowami posłańca znów przygasły. Alison wiedziała, że spełnienie tego warunku nie będzie łatwe.

– Wie pan zapewne, że wszystkie listy królowej czyta niejaki sir Ned Willard.

Alison poznała młodego Neda Willarda w Saint-Dizier, a potem widziała go w Carlisle. Podobnie jak Pierre, przebył od tego czasu długą drogę.

Langlais drgnął, usłyszawszy nazwisko Neda, i Alison domyśliła się natychmiast, że ten człowiek również zna Willarda.

– Musimy ustalić jakiś sposób kontaktowania się.

– Możemy się spotykać tutaj. Mniej więcej raz w tygodniu wyjeżdżam do parku sama.

Ponownie pokręcił głową.

– Owszem, na razie to może wystarczy. Obserwuję od jakiegoś czasu zamek i wiem, że królowa Maria nie jest zbyt pilnie strzeżona. Ale to może się w każdej chwili zmienić. Potrzebujemy czegoś, co będzie znacznie trudniejsze do wykrycia.

Alison przytaknęła. Miał rację.

– Co pan więc proponuje?

– Miałem zapytać panią o to samo. Czy wśród służących jest ktoś, kto regularnie opuszcza zamek i kto zechciałby przenosić listy?

Alison zastanawiała się nad tym przez chwilę. W Loch Leven udało jej się znaleźć sposób kontaktowania się ze światem zewnętrznym, więc mogła to zrobić ponownie. Zamek codziennie odwiedzało wielu ludzi, którzy dostarczali jedzenie, napoje i wszystkie inne rzeczy, których potrzebowała królowa Maria i jej trzydziestoosobowa świta – nawet uwięziona władczyni miała swój dwór. Oczywiście hrabia Shrewsbury, jego rodzina i służba również przyjmowali wielu gości i interesantów.

Pozostawało pytanie, którego z nich da się namówić, przekupić lub skłonić szantażem do podjęcia tak niebezpiecznej działalności?

Pomyślała o Peg Bradford, niepozornej, chudej osiemnastolatce, która zabierała z zamku brudną bieliznę, by prać ją w swoim domu. Nie kryła uwielbienia dla Marii Stuart. Królowa Szkotów miała już ponad czterdzieści lat, a jej uroda odeszła w przeszłość; w niewoli przybrała na wadze, a jej bujne niegdyś włosy wyglądały teraz tak, że w towarzystwie musiała nosić kasztanową perukę. Nadal jednak dla wielu była legendarną postacią – nieszczęsną królową, która godnie znosi cierpienia i niesprawiedliwość, a zarazem nieodparcie przyciąga ludzi. Maria odnosiła się do Peg – podobnie jak do wielu innych osób – z królewskim dystansem, ale i życzliwością, tak by myślały, że jest cudownie ciepła i ludzka. Alison wiedziała, że monarcha nie musi się szczególnie starać, by zdobyć sobie miłość ludu.

– Praczka, niejaka Peg Bradford – odpowiedziała w końcu. – Mieszka przy Brick Street, obok kościoła Świętego Jana.

– Skontaktuję się z nią. Ale musisz ją przygotować.

– Oczywiście. – To wydawało się łatwe. Alison wyobraziła sobie, jak Maria ujmuje dłoń Peg i mówi do niej przyciszonym, konfidencjonalnym głosem. Widziała radość i oddanie malujące się na twarzy dziewczyny w chwili, gdy królowa powierza jej specjalne zadanie.

– Powiedz jej, że odwiedzi ją pewien mężczyzna – dodał Langlais. – Z sakiewką pełną złota.

II

W Shoreditch, tuż za wschodnimi murami Londynu, między rzeźnią a stawem, w którym pojono konie, stał budynek zwany Teatrem.

Kiedy go budowano, Anglia nie widziała jeszcze podobnej konstrukcji. Pośrodku budowli znajdował się brukowany dziedziniec otoczony ośmiobokiem przykrytych dachówkami galerii z drewnianych bali. Do jednego z boków przylegało podwyższenie zwane sceną. Teatr został wzniesiony specjalnie do wystawiania sztuk i nadawał się do tego zdecydowanie bardziej niż dziedzińce czy sale karczm, gdzie zwykle odbywały się tego rodzaju pokazy.

Rollo Fitzgerald wybrał się tam jesienią 1583 roku. Śledził Francisa Throckmortona. Musiał stworzyć jeszcze jedno ogniwo komunikacji między księciem Gwizjuszem i królową Szkotów.

Margery nie wiedziała, że brat jest w Anglii, i wolał, by tak zostało. Nie mógł pozwolić, by choćby domyślała się jego zamiarów. Nadal pomagała mu szmuglować do kraju księży z Angielskiego College'u, ale była zdecydowanie przeciwna walkom między chrześcijanami. Gdyby dowiedziała się, że przygotowuje powstanie, mogłaby narobić mu kłopotów. Tak mocno trzymała się zasady pokojowego rozwiązywania konfliktów, że pewnie byłaby nawet gotowa wydać cały spisek, byle tylko uniknąć rozlewu krwi.

Na razie jednak wszystko układało się po myśli Rollo. Nie mógł wręcz uwierzyć, że udaje mu się realizować kolejne etapy bez żadnych problemów. To musiała być wola Boża.

Zgodnie z przewidywaniami Alison, praczka Peg Bradford dała się łatwo namówić do współpracy. Chciała przemycać listy przede wszystkim po to, by zadowolić królową Marię, a łapówka, którą wręczył jej Rollo, była właściwie niepotrzebna. Dziewczyna nie miała pojęcia, że za to, co robi, może trafić na szubienicę. Miał

nawet wyrzuty sumienia, że uczynił zdrajczynię z kogoś tak poczciwego i przepełnionego dobrymi intencjami.

Podczas gdy Rollo nawiązywał współpracę z otoczeniem królowej, Pierre Aumande Gwizjusz ustalił z ambasadą francuską w Londynie, że jego listy do Marii będą trafiać właśnie tam. Teraz Rollo musiał jedynie znaleźć kogoś, kto będzie odbierał tę korespondencję i dostarczał ją Peg w Sheffield. Jego wybór padł na Throckmortona.

Za wstęp do Teatru płaciło się pensa. Throckmorton dołożył drugiego pensa za miejsce na zadaszonej galerii i trzeciego za wynajęcie stołka. Rollo ustawił się tuż za nim, by przy najbliższej okazji dyskretnie go zaczepić, a potem porozmawiać.

Throckmorton pochodził z bogatej i sławnej rodziny, której motto brzmiało *Jedynym szlachectwem jest cnota*. Jego ojciec – podobnie jak ojciec Rollo – świetnie prosperował za rządów Marii Tudor, ale gdy na tronie zasiadła Elżbieta, popadł w niełaskę. Teraz senior rodziny bardzo chętnie przyjął do siebie jednego z księży Rollo.

Throckmorton nosił kosztowne ubrania z ekstrawagancką białą kryzą. Nie skończył

jeszcze trzydziestu lat, ale miał już zakola, które w połączeniu z ostrym nosem i spiczastą brodą nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka. Po studiach w Oksfordzie wyjechał do Francji i nawiązał kontakt z katolickimi uchodźcami z Anglii – właśnie dzięki temu Rollo poznał jego poglądy. Nigdy jednak nie spotkali się osobiście i Rollo wcale nie był pewien, czy uda mu się przekonać go, by narażał życie dla sprawy.

Sztuka zatytułowana była *Ralph Roister Doister* i takie też imię nosił jej główny bohater, fanfaron, którego czyny nigdy nie dorównywały jego przechwałkom. Wykorzystywał to psotny Matthew Merrygreek, wplątując go w absurdalne sytuacje budzące salwy śmiechu publiczności. Oglądając przedstawienie, Rollo przypomniał sobie dzieła rzymskiego dramaturga Terencjusza, który tworzył po łacinie w II wieku przed naszą erą. Jako student w Oksfordzie musiał czytać jego sztuki. Teraz bawił się tak świetnie, że na kilka minut zapomniał o swojej misji.

Przypomniał sobie o niej, gdy ogłoszono antrakt.

Wyszedł za Throckmortonem na zewnątrz i stanął za nim w kolejce po wino. W pewnym momencie przysunął się bliżej i powiedział cicho:

– Szczęść Boże, mój synu.

Throckmorton spojrzał na niego ze zdumieniem.

Rollo, który nie miał na sobie sutanny, sięgnął dyskretnie pod kołnierz, wyjął złoty krzyż, który ukrywał pod ubraniem, pokazał go na sekundę, a potem szybko ukrył. Krzyż świadczył o tym, że jest katolikiem – protestanci uważali noszenie symboli religijnych za przesąd.

– Kim jesteś? – spytał Throckmorton.

– Jean Langlais.

– Czego chcesz?

– Bóg ma dla ciebie zadanie do wykonania.

Na twarzy Throckmortona pojawił się wyraz ekscytacji, ale gdy uświadomił sobie, co to może oznaczać, wyraźnie się przestraszył.

– Jakie zadanie?

– Musisz po zmroku pójść do francuskiej ambasady, w pelerynie z kapturem, poprosić o listy od monsieur Gwizjusza, a potem zawieźć je do Sheffield i oddać pewnej praczce, Peg Bradford. Poczekać, aż Peg da ci w zamian inne listy, i zanieść je do ambasady. To wszystko.

Throckmorton skinął powoli głową.

– W Sheffield jest uwięziona Maria królowa Szkotów – powiedział.

– Tak.

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Mogą mnie za to powiesić.

– Tym szybciej trafisz do nieba.

– Dlaczego nie zrobisz tego sam?

– Nie ty jeden zostałeś wybrany przez Boga do realizacji jego dzieła. W Anglii są tysiące młodych ludzi takich jak ty, którzy pragną zmiany, a ja mówię im, co mogą zrobić, by przywrócić w naszej ojczyźnie jedyną prawdziwą wiarę. Ja też zapewne trafię do nieba raczej wcześniej niż później.

Dotarli do straganu i kupili po kubku wina. Rollo odprowadził Throckmortona na bok, na brzeg stawu. Stali wpatrzeni w czarną wodę.

– Muszę się nad tym zastanowić – powiedział Throckmorton.

– Nie, nie musisz. – Rollo chciał tego uniknąć za wszelką cenę. Potrzebował od niego wiążącej deklaracji natychmiast. – Papież ekskomunikował fałszywą królową, Elżbietę, i zabronił Anglikom słuchać jej poleceń. Twoim świętym obowiązkiem jest służba dla prawdziwej królowej, która powinna odzyskać tron. Wiesz o tym, prawda?

Throckmorton upił łyk wina.

– Tak, wiem – odrzekł.

– Więc podaj mi rękę i powiedz, że odegrasz swoją rolę.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym spojrzał Rollo w oczy i oznajmił:

– Zrobię to.

Uścisnęli sobie dłonie.

III

Podróż do Sheffield zajęła Nedowi cały tydzień.

Taką odległość, czyli sto siedemdziesiąt mil, można było pokonać szybciej, korzystając z rozstawnych koni, które czekały na podróżnika w stajniach na wybranej trasie. Tego rodzaju praktykę stosowali głównie kupcy, którzy potrzebowali stałego przepływu informacji między miastami takimi jak Paryż i Antwerpia, bo wiadomości przekładały się dla nich na zarobek. Między Londynem a Sheffield nie było rozstawnych koni.

W czasie podróży miał aż nadto czasu na smutne rozmyślania.

Jego koszmary senne zamieniały się w rzeczywistość. Radykalni katolicy z Francji, król Hiszpanii i papież postanowili w końcu połączyć siły i podjąć wspólne działania. Tworzyli śmiertelnie niebezpieczną koalicję.

Mieli razem dość pieniędzy i możliwości, by przypuścić atak na Anglię. Szpiedzy sporządzali już mapy zatok, w których miały wylądować wojska. Ned był też pewien, że niezadowoleni katoliccy arystokraci, tacy jak hrabia Bart, ostrzą miecze i polerują zbroję.

Najgorsze było jednak to, że do spisku dołączyła Maria Stuart.

Za pośrednictwem angielskiej ambasady w Paryżu Ned otrzymał wiadomość od Alaina, pasierba Pierre'a. Młodzieniec nadal mieszkał z ojczymem i szpiegował go; tak wyglądała jego zemsta. Pierre traktował go jak chłopca na posyłki, nieustannie zlecał mu jakieś zadania i wysługiwał się nim.

Alain informował, że ojczym bardzo się cieszy, gdyż udało mu się nawiązać kontakt z królową Szkotów.

To była naprawdę zła wiadomość. Aprobata Marii nadawała zdradzieckiemu planowi pozory świętej misji. Wielu ludzi uważało ją za prawowitą królową Anglii, a Elżbietę za uzurpatorkę. Dzięki poparciu Marii banda zagranicznych łajdaków mogła pozować na armię wyzwoleńczą.

Ta świadomość doprowadzała Neda do szaleństwa. Po wszystkim, co Elżbieta osiągnęła

w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat – pokój religijny, dobrą koniunkturę dla handlu i w konsekwencji dobrobyt – wrogowie wciąż nie zamierzali dać jej spokoju.

Choć Ned starał się chronić Elżbietę najlepiej, jak potrafił, zadanie to utrudniały mu dworskie intrygi i układy – nieodłączna część polityki. Jego purytański przełożony, Walsingham, ścierał się z hulaką Robertem Dudleyem, hrabią Leicester.

– Tajne szyfry i atrament sympatyczny! – drwił Leicester, gdy spotykał Walsinghama w pałacu White Hall lub w ogrodzie Hampton Court. – Władzę zdobywa się bronią i kulami, a nie piórem i atramentem!

Nie mógł przekonać królowej, by pozbyła się Walsinghama – była na to za mądra – ale jego sceptycyzm wzmagał jej skąpstwo, więc na działania tajnych służb ciągle brakowało pieniędzy.

Ned mógł dotrzeć do Sheffield wieczorem szóstego dnia podróży, nie chciał jednak przyjeżdżać tam zmęczony i brudny, mogłoby to bowiem podważyć jego autorytet. Zatrzymał się więc w gospodzie odległej o dwie mile od miasta. Nazajutrz wstał wcześnie, włożył czystą koszulę i o ósmej rano przybył pod bramę Sheffield Castle.

Zamek był potężną i groźną fortecą, Neda irytował jednak brak należytych środków bezpieczeństwa. Przekroczył most nad fosą z trojgiem innych ludzi: dziewczyną niosącą dwa przykryte wiadra, wypełnione zapewne mlekiem, krzepkim pomocnikiem murarza, który trzymał na ramieniu grubą belkę, oraz furmanem wiozącym olbrzymi ładunek siana. W drugą stronę szło czworo innych ludzi. Żaden z nich nie został zatrzymany przez dwóch strażników przy bramie, którzy jedli baraninę i wrzucali kości do fosy.

Ned zatrzymał konia na środku wewnętrznego dziedzińca i rozejrzał się. Zwrócił uwagę na wieżę, w której prawdopodobnie przetrzymywano Marię. Wóz z sianem wjechał do budynku pełniącego bez wątpienia funkcję stajni. W trzeciej – najprzyzwoitszej – budowli mieszkał zapewne hrabia.

– Hej! Ty! – krzyknął aroganckim tonem na młodego sługę, podjechawszy pod stajnię, po czym zsiadł z wierzchowca. – Zabierz mojego konia!

Wystraszony chłopiec wziął od niego wodze.

– Rozumiem, że tu znajdę hrabiego? – Ned wskazał na najbardziej okazały budynek.

– Tak, panie. Mogę spytać o nazwisko?

– Sir Ned Willard i lepiej to sobie zapamiętaj – rzucił i ruszył do wejścia.

Otworzył drewniane drzwi i wszedł do sieni z paleniskiem, w którym płonął ogień. Za otwartymi drzwiami poprzez smugi dymu widać było ciemną średniowieczną komnatę. Nikogo w niej nie było.

Starszy mężczyzna pełniący rolę odźwiernego nie dał się tak łatwo zastraszyć jak stajenny.

– Dzień dobry, panie – powiedział, stanąwszy na drodze Neda.

Zachowywał się należycie, ale nie sprawdziłby się jako strażnik: można by go powalić jedną ręką.

– Jestem sir Ned Willard, przywożę wiadomość od królowej Elżbiety. Gdzie znajdę hrabiego Shrewsbury?

Odźwierny zmierzył go wzrokiem. Ktoś ze zwykłym „sir” przed nazwiskiem stał niżej na drabinie społecznej niż hrabia. Z drugiej strony, nierozsądnie byłoby obrażać posłańca królowej.

– To dla nas zaszczyt, że możemy pana podejmować w naszym domu, sir Nedzie – odezwał się w końcu uprzejmie. – Natychmiast pójdę sprawdzić, czy hrabia może pana przyjąć.

Otworzył inne drzwi w sieni i Ned dojrzał jadalnię. Nim drzwi się zamknęły, usłyszał

jeszcze, jak odźwierny pyta:

– Panie, czy możesz przyjąć sir Neda Willarda z wiadomością od Jej Królewskiej Wysokości?

Ned nie czekał. Energicznym krokiem wszedł do komnaty, omijając zdumionego służącego. Pośrodku niewielkiego pomieszczenia stał okrągły stół, a w dużym palenisku płonął ogień, znacznie większy niż ten w sieni.

Przy stole siedziały cztery osoby, w tym dwie dobrze mu znane. Niezwykle wysoka kobieta koło czterdziestki, z podwójnym podbródkiem, była Marią królową Szkotów. Ostatnio widział ją piętnaście lat temu, gdy przyjechał do zamku Carlisle z wiadomością, że została więźniem królowej Elżbiety. Towarzyszyła jej nieco starsza kobieta, Alison, lady Ross, która była z nią również w Carlisle i jeszcze wcześniej, w Saint-Dizier. Łatwo domyślił się, kim są pozostali dwoje biesiadników. Łysiejący pięćdziesięciolatek z wielką brodą był z pewnością hrabią, a groźna kobieta mniej więcej w tym samym wieku – żoną, hrabiną, nazywaną Bess z Hardwick.

Neda ogarnął jeszcze większy gniew. Hrabia i jego żona byli niedbałymi głupcami narażającymi na zgubę wszystko, co osiągnęła do tej pory Elżbieta.

– Co, u diabła…? – zaczął hrabia.

– Jestem jezuickim szpiegiem, przysłał mnie tu król Francji, bym porwał Marię Stuart – oświadczył Ned. – Pod płaszczem mam dwa pistolety, z jednego zabiję hrabiego, a z drugiego hrabinę. Na zewnątrz czeka moich szesnastu ludzi ukrytych w wozie z sianem i uzbrojonych po zęby.

Nie wiedzieli, czy mają traktować go poważnie.

– Czy to ma być jakiś żart? – spytał niepewnie hrabia.

– To ma być inspekcja – warknął Ned. – Jej Wysokość poprosiła mnie, bym sprawdził, jak strzeżecie Marii. Co mam jej powiedzieć, panie? Że wszedłem tutaj niezatrzymywany przez nikogo? I że mogłem przyprowadzić ze sobą sześciu ludzi?

Hrabia miał głupią minę.

– Muszę przyznać, że byłoby lepiej, gdyby pan jej tego nie mówił.

– Jak śmiesz zachowywać się tak w mojej obecności? – przemówiła Maria wyniosłym tonem.

– Od tej pory królowa Maria będzie jadać w wieży – zwrócił się Ned do hrabiego, nie zwracając na nią uwagi.

– Twoja bezczelność przekracza wszelkie granice – odezwała się ponownie Maria.

Nadal ją ignorował. Nie zamierzał bawić się w uprzejmości wobec kobiety, która chciała zamordować jego królową.

Maria wstała i ruszyła do drzwi, a Alison pospieszyła za nią.

– Proszę iść z nimi, pani – polecił Ned hrabinie. – Na dziedzińcu nie ma w tej chwili jezuickich szpiegów, ale nie wiadomo, czy się tam nie pojawią, więc warto wyrabiać sobie dobre nawyki.

Hrabina nie przywykła do tego, by ktoś jej rozkazywał, wiedziała jednak, że ma kłopoty, i wahała się tylko przez moment, nim wykonała polecenie.

Ned przyciągnął sobie krzesło do stołu i usiadł.

– No dobrze, hrabio. – Westchnął ciężko. – Porozmawiajmy teraz o tym, co musi pan zrobić, nim będę mógł przedstawić Jej Wysokości zadowalający raport.

IV

Po powrocie do Londynu, podczas spotkania w domu Walsinghama przy Seething Lane, Ned zameldował przełożonemu, że Maria Stuart jest teraz lepiej strzeżona niż dotychczas.

Walsingham od razu przeszedł do sedna.

– Możesz zagwarantować, że nie utrzymuje żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym?

– Nie – przyznał Ned z frustracją. – Musiałbym najpierw zabrać stamtąd wszystkich służących i zamknąć ją w lochu.

– Nawet nie wiesz, jak chętnie bym to zrobił. – Walsingham westchnął. – Ale królowa Elżbieta nie pozwoli traktować jej tak surowo.

– Jej Wysokość ma miękkie serce.

Walsingham oceniał Elżbietę cyniczniej.

– Wie, jak bardzo zaszkodziłyby jej opowieści o okrucieństwie wobec królewskiej krewnej.

– Tak czy inaczej, w Sheffield nie możemy zrobić już nic więcej – powiedział Ned, który nie zamierzał się z nim spierać.

Jego przełożony pogłaskał się po brodzie.

– Więc musimy skupić się na drugim końcu łańcucha – rzekł. – Na pewno w sprawę zaangażowana jest francuska ambasada.

Sprawdź, którzy z angielskich katolików regularnie tam bywają. Mamy listę.

– Zajmę się tym od razu.

Ned wyszedł na górę, do zamykanego na klucz pomieszczenia, w którym Walsingham trzymał cenne dokumenty, i zasiadł do pracy.

Najdłuższa lista obejmowała nazwiska szlachetnie urodzonych angielskich katolików. Walsingham nie musiał się szczególnie namęczyć, by ją sporządzić. Wszystkie rodziny, które prosperowały za czasów Marii Tudor i popadły w niełaskę za rządów Elżbiety, były automatycznie podejrzane. Ich członkowie na różne sposoby – czasem całkiem otwarcie – dawali wyraz swoim poglądom. Ubierali się kolorowo, szydząc z poważnych czerni i szarości pobożnych protestantów. W katolickich domach nie było angielskojęzycznych Biblii. O takich rzeczach donosili Walsinghamowi biskupi i przedstawiciele korony w hrabstwach.

Wśród podejrzanych znajdowali się również hrabia Bart i Margery.

Lista wydawała się jednak zbyt długa. Większość z tych ludzi nie była winna zdrady. Ned odnosił czasami wrażenie, że ma za dużo informacji. Odsianie ziarna od plew mogło się okazać bardzo trudne. Wrócił do alfabetycznego

spisu katolików w Londynie. Oprócz informacji o stałych mieszkańcach Walsingham otrzymywał codziennie raporty o katolikach wjeżdżających do miasta i opuszczających je. Katolicy przybywający do Londynu zatrzymywali się zwykle u innych katolików lub w gospodach odwiedzanych przez ich współwyznawców. Z pewnością lista nie była kompletna; Londyn miał przecież sto tysięcy mieszkańców i nie dało się postawić szpiega na każdej ulicy. Walsingham i Ned mieli jednak informatorów we wszystkich miejscach, gdzie bywali katolicy, zwykle wiedzieli więc, jeśli pojawiał się ktoś nowy.

Przejrzał pobieżnie księgę. Znał setki tych nazwisk – takie spisy stanowiły część jego życia – ale uznał, że warto odświeżyć pamięć. Znów pojawiały się tutaj imiona Barta i Margery, którzy podczas obrad parlamentu zatrzymywali się w Shiring House przy Strandzie.

Zajął się listą ludzi odwiedzających francuską ambasadę przy Salisbury Square. Od czasu powrotu Walsinghama z Paryża w 1573 roku budynek ambasady był pod stałą obserwacją prowadzoną z karczmy po drugiej stronie ulicy. Cofając się w czasie, Ned porównywał każde z nazwisk z alfabetycznym spisem.

Nie znalazł tu Margery. Ani ona, ani Bart podczas pobytów w Londynie nigdy nie kontaktowali się z zagranicznymi ambasadorami czy innymi podejrzanymi osobami. Oczywiście, bywali w towarzystwie katolików, a ich służący chodzili do stojącej nieopodal katolickiej karczmy Irlandzki Chłopiec. Nic jednak nie świadczyło o tym, by prowadzili działalność wywrotową.

Niestety, wielu ludzi odwiedzających francuską ambasadę nie można było zidentyfikować. Lista zawierała zbyt wiele irytujących wpisów w rodzaju *Nieznany mężczyzna z węglem*, *Niezidentyfikowany kurier z listami*, *Kobieta słabo widoczna w ciemności*… Mimo to Ned nie ustawał w poszukiwaniach, licząc na łut szczęścia, jedną istotną informację.

Nagle jego uwagę przykuł wpis sprzed dwóch tygodni: *Madame Afrodyta Housse, żona zastępcy ambasadora*.

Poznał w Paryżu mademoiselle Afrodytę Beaulieu, która miała słabość do młodego dworzanina, Bernarda Housse'a. To musiała być ona – dziewczyna, którą uratował przed gwałcicielami w noc świętego Bartłomieja.

Wrócił do alfabetycznego spisu katolików i dowiedział się, że monsieur Housse, zastępca

ambasadora Francji, ma dom przy Strandzie.

Włożył płaszcz i wyszedł.

Spiesząc na zachód, zastanawiał się nad dwoma pytaniami. Czy Afrodyta znała nazwisko posłańca jeżdżącego do Sheffield? A jeśli tak, to czy uzna, że winna spłacić dług wdzięczności, zdradzając to nazwisko Nedowi?

Wkrótce miał się przekonać.

Opuścił otoczoną murami część miasta przy Ludgate, przeszedł nad śmierdzącą rzeką Fleet i znalazł dom Housse'ów – ładny, skromny, po tańszej, północnej stronie Strandu. Zapukał do drzwi i podał swoje nazwisko służącej. Czekając, rozważał mało prawdopodobną możliwość, że Bernard Housse ożenił się z jakąś inną Afrodytą. W końcu zaprowadzono go na górę, do małego wygodnego salonu.

Pamiętał wesołą, zalotną osiemnastolatkę, teraz jednak zobaczył uprzejmą dwudziestodziewięcioletnią kobietę, której figura świadczyła o tym, że niedawno urodziła dziecko i nadal karmi je piersią. Przywitała go ciepło po francusku.

– To naprawdę pan! – powiedziała. – Tyle czasu…

– Więc wyszła pani za Barnarda Housse'a. – Ned pokiwał głową.

– Tak – odparła z uśmiechem zadowolenia.

– Macie dzieci?

– Troje. Na razie!

Usiedli. Ned zaczął powątpiewać w sukces swej misji. Zdrajcami zostawali zwykle udręczeni, sfrustrowani ludzie szukający zemsty, tacy jak Alain, pasierb Pierre'a Aumande'a, czy Jeronima Ruiz. Tymczasem kobieta, którą miał przed sobą, była szczęśliwą mężatką z trojgiem dzieci i najwyraźniej ukochanym mężem. Nie sądził, by zechciała zdradzić mu jakieś sekrety, musiał jednak spróbować.

Powiedział jej, że ożenił się z Francuzką i wrócił z nią do Londynu. Afrodyta chciała ją poznać. Przedstawiła mu imiona trojga swoich dzieci, a on zachował je w pamięci, bo zawsze starał się zapamiętywać imiona i nazwiska. Po kilku minutach pogawędki przeszedł do interesującego go tematu.

– Kiedyś w Paryżu uratowałem pani życie – powiedział.

Natychmiast spoważniała.

– Zawsze będę panu wdzięczna – odparła. – Ale proszę… mój mąż nic o tym nie wie.

– Teraz próbuję ocalić życie innej kobiety.

– Naprawdę? Czyje?

– Królowej Elżbiety.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

– Nie powinniśmy rozmawiać o polityce.

Ned nie ustępował.

– Książę Henryk Gwizjusz planuje ją zabić i posadzić na tronie Marię Stuart. Chyba nie pochwala pani morderstwa.

– Oczywiście, że nie, ale…

– Do waszej ambasady przychodzi pewien Anglik, który zabiera listy Henryka Gwizjusza i zawozi je do Sheffield, do królowej Marii. – Ned wolałby nie ujawniać, co już wie na ten temat, lecz obawiał się, że tylko w ten sposób zdoła ją przekonać. – Potem przywozi odpowiedzi Marii. – Uważnie obserwował Afrodytę, czekając na jej reakcję, i miał wrażenie, że odgadła, o kogo mu chodzi. – Prawdopodobnie zna pani tego człowieka – dodał z naciskiem.

– To nie w porządku.

– Muszę znać jego nazwisko. – Stwierdził z niesmakiem, że w jego głosie pobrzmiewa nuta desperacji.

– Jak może mi pan to robić?

– Muszę bronić królowej Elżbiety przed nikczemnikami, tak jak kiedyś obroniłem panią.

Afrodyta wstała.

– Przykro mi, że pan tu przyszedł, by uzyskać ode mnie informacje.

– Proszę, by ratowała pani życie królowej.

– Prosi pan, bym dopuściła się zdrady wobec męża i ojczyzny, a także człowieka, który był gościem w domu mojego ojca!

– Jest mi pani coś winna!

– Jestem panu winna życie, ale nie duszę.

Ned wiedział, że poniósł porażkę. Było mu wstyd, że w ogóle podjął taką próbę. Chciał zdeprawować uczciwą kobietę, która go lubiła. Czasami nienawidził swojej pracy.

On także wstał.

– Pójdę już – powiedział.

– Tak będzie najlepiej.

Dręczyło go dziwne przekonanie, że coś przeoczył – że Afrodyta powiedziała coś ważnego, a on nie zwrócił na to uwagi. Chciał przedłużyć jeszcze tę wizytę i zadawać jej pytania, dopóki tego nie powtórzy, ale gospodyni patrzyła na niego gniewnie. Wiedział, że jeśli on nie wyjdzie z salonu, zrobi to ona.

Pożegnał się i wrócił przygnębiony do miasta. Wspiął się na Ludgate Hill i minął gotycką bryłę katedry Świętego Pawła, niegdyś szarą, a teraz poczerniałą od dymu tysięcy londyńskich palenisk. Po chwili ujrzał Tower, gdzie przesłuchiwano i torturowano zdrajców, a potem skręcił w Seething Lane.

Wchodząc do domu Walsinghama, przypomniał sobie nagle, co takiego powiedziała Afrodyta: „Prosi pan, bym dopuściła się zdrady wobec męża i ojczyzny, a także człowieka, który był gościem w domu mojego ojca!”.

Człowieka, który był gościem w domu mego ojca.

Pierwszą listą, którą przed dziesięciu laty sporządził Ned po przyjeździe do Paryża, był spis angielskich katolików odwiedzających hrabiego Beaulieu przy rue Saint-Denis.

Walsingham nigdy nie wyrzucał takich rzeczy.

Ned wybiegł na górę, do pomieszczenia, gdzie przechowywano dokumenty. Księga zawierająca paryską listę leżała na dnie skrzyni. Wyjął ją i zdmuchnął z niej kurz.

Afrodyta mówiła zapewne o paryskim domu swego ojca. Hrabia miał też wiejską rezydencję we Francji, ale tam prawdopodobnie nie przyjmował angielskich uchodźców. Beaulieu nigdy też nie pojawił się na liście katolików mieszkających w Londynie.

Nic nie było pewne.

Ned otworzył z przejęciem księgę i zaczął odczytywać kolejne nazwiska, zapisane jego własną ręką przed dziesięciu laty. Starał się nie

spieszyć; przypominał sobie twarze tych gniewnych młodych Anglików, którzy przyjechali do Francji, bo nie czuli się dobrze we własnej ojczyźnie. Wraz z tymi obrazami wracały wspomnienia z Paryża: przepych sklepów, bajeczne stroje, smród ulic, kosztowne królewskie rozrywki, okrucieństwo masakry w noc świętego Bartłomieja.

Jedno nazwisko rzuciło mu się w oczy, uderzyło go niczym pięść. Nigdy nie spotkał tego człowieka, ale słyszał o nim.

Serce zamarło mu na moment w piersiach. Wrócił do alfabetycznej listy katolików w Londynie. Tak, jeden z ludzi, którzy odwiedzali hrabiego Beaulieu w Paryżu, przebywał teraz w Londynie.

Nazywał się sir Francis Throckmorton.

– Mam cię, diable – syknął Ned.

V

– Cokolwiek by się działo, nie wolno ci go aresztować – powiedział Walsingham.

Ned był zdumiony.

– Myślałem, że właśnie o to chodzi.

– Zastanów się. Zawsze znajdą innego Throckmortona. Oczywiście, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by chronić królową Elżbietę, ale pewnego dnia jeden z tych zdrajców nam się wymknie.

Zawsze podziwiał Walsinghama za umiejętność przewidywania, która pozwalała mu wyprzedzać wroga o krok, lecz tym razem nie miał pojęcia, do czego przełożony zmierza.

– A cóż innego prócz zachowania czujności możemy zrobić w tej sytuacji? – spytał.

– Spróbujmy zdobyć dowód, że Maria Stuart spiskuje przeciwko Jej Wysokości, by przejąć tron – odparł Walsingham.

– Elżbieta prawdopodobnie zezwoli na torturowanie Throckmortona, bo uczestniczył w spisku przeciwko niej. On przyzna się do winy, ale wszyscy wiedzą, że takie zeznania nie są wiarygodne.

– Owszem. Musimy zdobyć niepodważalny dowód.

– I postawić Marię Stuart przed sądem?

– Otóż to.

Ned był zaintrygowany, lecz nadal nie wiedział, jaki to plan zrodził się w pokrętnym umyśle Walsinghama.

– Co by nam to dało?

– Choćby tyle, że Maria straciłaby resztki sympatii Anglików. Tylko skrajnie radykalni katolicy popieraliby kogoś, kto chciał pozbawić tronu tak ukochaną przez lud królową jak Elżbieta.

– To nie powstrzyma zamachowców.

– Ale pozbawi ich poparcia. I da nam do ręki dodatkowe argumenty, gdy poprosimy, by zaostrzono warunki więzienia dla Marii Stuart.

Ned skinął głową.

– A Elżbieta nie będzie się martwić, że ktoś ją oskarży o okrucieństwo względem kuzynki – dodał. – Mimo wszystko…

– Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy mogli dowieść, że Maria nie tylko planowała pozbawić Elżbietę tronu, ale i zamordować ją.

Zaczynał w końcu pojmować, do czego zmierza Walsingham. Bezwzględność tego planu zaskoczyła nawet jego.

– Chcesz, by Maria została skazana na śmierć?

– Tak.

Ned aż wzdrygnął się ze zgrozy. Stracenie szkockiej królowej graniczyło ze świętokradztwem.

– Ale Jej Wysokość nigdy by tego nie zrobiła.

– Nawet gdybyśmy udowodnili, że Maria planowała ją zabić?

– Nie wiem – przyznał Ned.
– Ja również.

VI

Ned kazał śledzić Throckmortona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Afrodyta z pewnością powiedziała mężowi o jego wizycie, a francuska ambasada zapewne ostrzegła Throckmortona. Ten wiedział już więc, że Ned podejrzewa Marię o korespondowanie z Francuzami, prawdopodobnie nie przypuszczał jednak, że Ned zna już tożsamość posłańca.

Zespół obserwujący Throckmortona zmieniał się dwa razy dziennie, lecz nadal istniało ryzyko, że śledzony ich zauważy. Choć na razie nic na to nie wskazywało. Ned przypuszczał, że Throckmorton nie zajmował się wcześniej czymś takim i nie przyszło mu nawet do głowy, by sprawdzić, czy nikt za nim nie chodzi.

Alain Gwizjusz napisał z Paryża, że jego ojczym wysłał do Marii Stuart ważny list. Throckmorton będzie go teraz musiał dostarczyć królowej. Gdyby podczas aresztowania znaleziono u niego korespondencję

Pierre’a Aumande’a, byłby to niepodważalny dowód jego zdrady.

Tylko że Walsingham chciał dopaść Marię Stuart, a nie posłańca. Ned postanowił więc poczekać i sprawdzić, czy kurier Throckmorton dostanie odpowiedź od królowej Szkotów. Gdyby przystąpiła do spisku obcych sił, a zwłaszcza jeśliby zachęcała do jego realizacji, mogłaby zostać oskarżona o zdradę.

Pewnego październikowego dnia, gdy Ned czekał niecierpliwie na jakiś krok ze strony Throckmortona, na Seething Lane przybył dworzanin Ralph Ventnor z wiadomością, że królowa Elżbieta chce natychmiast spotkać się z Walsinghamem i Nedem. Ventnor nie znał powodu tego pośpiechu. Włożyli płaszcze i przeszli szybko do Tower. Przy nabrzeżu czekała barka Ventnora, którą mieli popłynąć do White Hall.

Ned z niepokojem myślał o czekającym ich spotkaniu. Takie nagłe wezwania rzadko wróżyły coś dobrego. A Jej Wysokość zawsze była kapryśna. Równie szybko, jak zamieniała się w burzę gradową, rozpogadzała się.

W White Hall Ventnor poprowadził ich przez wartownię pełną zbrojnych, salę audiencyjną,

a potem korytarzem do prywatnej komnaty królewskiej.

Elżbieta siedziała na rzeźbionym krześle z pozłacanego drewna. Miała na sobie biało-czerwoną suknię z górą ze srebrzystej gazy i rękawami rozciętymi tak, by odsłaniać podszewkę z czerwonej tafty. Całość wyglądała młodzieńczo i radośnie. Królowa nie mogła jednak ukryć upływu czasu; skończyła właśnie pięćdziesiąt lat, co widać było szczególnie na jej twarzy, mimo grubej warstwy pomady. Mówiąc, odsłaniała nierówne i niekompletne uzębienie.

W komnacie towarzyszył jej hrabia Leicester. Był w wieku królowej, ale ubierał się jak bogaty młokos. Tego dnia miał strój z jasnoniebieskiego jedwabiu ze złotymi haftami i z ozdobnymi kryzami na szyi i nadgarstkach. Ned uznał ten strój za nieprzyzwoicie kosztowny.

Zauważył z niepokojem, że Leicester jest wyraźnie zadowolony z siebie. Zapewne zamierzał właśnie wyrównać rachunki z Walsinghamem.

Ned i jego przełożony stanęli obok siebie i złożyli pokłon.

– W karczmie w Oksfordzie aresztowano mężczyznę, który twierdził, że jedzie do

Londynu, by zabić królową. – Głos Elżbiety był zimny jak pogoda w lutym.

A niech to! – pomyślał Ned. Przypomniał sobie słowa Walsinghama: „Pewnego dnia jeden z tych zdrajców nam się wymknie”.

– Ów człowiek – Leicester mówił wyniosłym tonem, który miał zapewne sugerować, że cała ta sytuacja zakrawa na absurd – był uzbrojony w duży pistolet i mówił, że królowa jest żmiją i że zatknie jej głowę na palu.

Ned pomyślał, że Leicester po prostu nie mógł przegapić takiej okazji. Ten zamachowiec nie mógł stanowić poważnego zagrożenia dla królowej, skoro był na tyle niedyskretny, że zatrzymano go sześćdziesiąt mil od celu.

– Czy nie płacę wam właśnie za to, żebyście zatrzymywali takich ludzi? – spytała Elżbieta z pretensją.

To było wręcz oburzające. Dawała im tylko siedemset pięćdziesiąt funtów rocznie, co pokrywało zaledwie część podstawowych kosztów. Walsingham opłacał resztę z własnych pieniędzy. No, ale królowym wolno mijać się z prawdą.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Walsingham.

– John Somerfield – odpowiedział Leicester.

Ned znał to nazwisko; znajdowało się na ich liście.

– Znamy go, Wasza Wysokość. To katolik z hrabstwa Warwick. Jest szalony.

Hrabia roześmiał się drwiąco.

– A to oznacza, że nie stanowi zagrożenia dla królowej, tak?

– To oznacza – Ned aż poczerwieniał ze złości – że prawdopodobnie nie bierze udziału w jakimś naprawdę groźnym spisku.

– Och, świetnie! Więc jego kule nie mogą nikogo zabić, prawda?

– Nie to…

Leicester nie pozwolił mu dokończyć.

– Wasza Wysokość, byłoby dobrze, gdybyś zadanie ochrony twej cennej osoby powierzyła komuś innemu. – Po krótkiej pauzie dodał lizusowskim tonem: – To najważniejsze zadanie w naszym królestwie.

Dobrze wiedział, jak przypochlebiać się Elżbiecie, która najwyraźniej uległa jego urokowi.

– Zawiodłem, Wasza Wysokość – przyznał Walsingham, odzywając się po raz pierwszy. – Nie zrozumiałem w porę, jakie zagrożenie stanowi Somerfield. W Anglii bez wątpienia jest wielu ludzi, którzy umieją lepiej wykonywać tę

pracę. Błagam, przekaż pani tę odpowiedzialność któremuś z nich. Ja chętnie pozbędę się brzemienia, które dźwigam już tak długo, i pozwolę odpocząć starym kościom.

Oczywiście, nie mówił tego poważnie, ale prawdopodobnie tylko w ten sposób można było udobruchać królową. Ned zrozumiał, że popełnił błąd, wdając się w dyskusję. Jeśli była zdenerwowana, to powtarzanie, że nie ma się czym martwić, denerwowało ją jeszcze bardziej. Znacznie skuteczniejsza była samokrytyka i gotowość do zrzeczenia się stanowiska.

– Jesteś w tym samym wieku co ja – odparowała Elżbieta. Wydawało się, że słowa Walsinghama nieco poprawiły jej humor, a może zrozumiała, że nie ma w Anglii innego człowieka, który pracowałby tak ciężko i tak sumiennie jak Walsingham, by chronić ją przed szaleńcami i spiskowcami dybiącymi na jej życie. Na razie jednak nie była chyba jeszcze gotowa całkiem mu wybaczyć. – Co zamierzasz zrobić, żebym poczuła się bezpieczniej?

– Wasza Wysokość, jestem bliski zniszczenia doskonale zorganizowanego spisku twych wrogów o randze i możliwościach zupełnie innych niż te Johna Somerfielda. Ci ludzie nie będą wymachiwać bronią i opowiadać

w karczmach o swoich planach. Współpracują z papieżem i królem Hiszpanii, czego z całą pewnością nie można powiedzieć o Somerfieldzie. Są zdeterminowani, mają mnóstwo pieniędzy i działają w tajemnicy. Niemniej jednak planuję aresztować w ciągu kilku dni ich przywódcę.

Był to naprawdę potężny argument, niweczący złośliwą intrygę Leicestera, mimo to oświadczenie przełożonego zdumiało Neda. Taka deklaracja była przedwczesna. Aresztowanie spiskowców zakończyłoby śledztwo, a w konsekwencji nie pozwoliło im zdobyć dowodów na współdziałanie z nimi Marii Stuart. Osobiste porachunki znów okazały się ważniejsze od interesów państwa.

– Kim są ci ludzie? – spytała królowa.

– Nie chcę, by zostali zawczasu ostrzeżeni, więc wolałbym nie wymieniać nazwisk… publicznie. – Tu Walsingham spojrzał znacząco na Leicestera.

Oburzony hrabia już miał zaprotestować, lecz królowa go uprzedziła.

– Słusznie, nie powinnam była pytać. Cóż, sir Francisie, w takim razie lepiej wracaj do pracy.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odrzekł Walsingham.

VII

Rollo Fitzgerald miał spore obawy związane z Francisem Throckmortonem, który nie był jak ludzie wyszkoleni w Angielskim College'u. Ci poświęcali całe życie służbie Kościołowi i podporządkowywali się jego zasadom. Wiedzieli, czym jest posłuszeństwo i oddanie. Opuścili Anglię, studiowali przez kilka lat, składali śluby i wracali do domu, by wykonywać zadania, do których się przygotowali. Wiedzieli, że ryzykują życie. Za każdym razem, gdy któryś z nich wpadał w ręce Walsinghama i ginął, jego śmierć celebrowano w college'u jako akt męczeństwa.

Throckmorton nie składał żadnych ślubów. Był bogatym, młodym arystokratą związanym uczuciowo z katolicyzmem. Przez całe życie robił wszystko, by zadowolić siebie, a nie Boga. Jego odwaga i determinacja pozostawały zagadką. W każdej chwili mógł się wycofać.

Do tego dochodziły inne zagrożenia. Czy zachowywał należytą dyskrecję? Nie miał żadnego doświadczenia w wykonywaniu tajnych misji. Czy nie zdarzy się tak, że wypiwszy za dużo wina, zacznie się przechwalać w towarzystwie i robić aluzje do swojego zadania?

Rollo martwił się też o Peg Bradford. Alison twierdziła, że dziewczyna zrobi wszystko dla Marii królowej Szkotów, ale Alison mogła się mylić, a Peg – popełnić jakiś głupi błąd.

Największe jednak obawy budziła w nim sama Maria. Czy zechce współpracować? Bez niej spisek tracił sens.

Wszystko po kolei, przykazał sobie w myślach. Najpierw Throckmorton.

Ze względów bezpieczeństwa wolałby nie kontaktować się z nim więcej, ale nie było to możliwe. Rollo musiał wiedzieć, czy wszystko idzie zgodnie z planem. Dlatego też, choć niechętnie, wybrał się do domu Throckmortona przy St Paul's Wharf, niedaleko katedry. Poszedł tam o zmierzchu, gdy nawet z niedużej odległości trudno było dostrzec rysy twarzy.

Pech chciał, że Throckmorton akurat wyszedł z domu, o czym poinformował go służący. Rollo zastanawiał się przez chwilę, czy nie wrócić do siebie i nie przyjść tu innym razem, chciał jednak dowiedzieć się najszybciej, jak wygląda sytuacja, więc powiedział służącemu, że zaczeka.

Zaprowadzono go do małego salonu z oknem wychodzącym na ulicę. Na tyłach pomieszczenia znajdowały się podwójne drzwi, lekko uchylone. Rollo zajrzał do ukrytej za nimi większej

komnaty, wygodnej i bogato umeblowanej, choć teraz wypełnionej śmierdzącym dymem – służący palił śmieci na podwórku za domem.

Rollo chętnie przyjął kubek wina, którym go poczęstowano, i wypełniał czas oczekiwania rozmyślaniami o swoich tajnych planach. Gdy tylko Pierre Aumande Gwizjusz i Maria Stuart nawiążą stały kontakt, on będzie musiał wybrać się w podróż po Anglii i odwiedzić swoich tajnych księży. Musiał odebrać od nich lub od ich protektorów mapy i potwierdzić gwarancję wsparcia dla katolickiej armii. Miał sporo czasu – inwazję zaplanowano na wiosnę przyszłego roku – ale i mnóstwo pracy.

Throckmorton przyszedł, gdy było już całkiem ciemno. Rollo słyszał, jak służący otwiera drzwi i informuje swego pana:

– W salonie czeka jakiś pan. Wolał nie podawać nazwiska.

Na widok Rollo Throckmorton ucieszył się, wyjął z kieszeni płaszcza mały pakiecik i triumfalnym gestem rzucił go na stół.

– Listy do królowej Marii! – oznajmił w radosnym uniesieniu. – Właśnie wróciłem z francuskiej ambasady.

– Brawo! – Rollo zerwał się z miejsca i zaczął przeglądać listy. Rozpoznał pieczęć księcia

Gwizjusza i człowieka Marii w Paryżu, Johna Lesliego. Bardzo chętnie zapoznałby się z ich zawartością, ale gdyby złamał pieczęcie, narobiłby sobie kłopotów.

– Kiedy możesz zawieźć je do Sheffield?

– Jutro – odrzekł Throckmorton.

– Doskonale.

Ktoś zapukał głośno do drzwi i obaj znieruchomieli. Nie było to uprzejme pukanie przyjaznego gościa, lecz arogancki łomot wroga. Rollo podszedł do okna i w blasku latarni wiszącej nad drzwiami zobaczył dwóch dobrze ubranych mężczyzn. Gdy jeden z nich odwrócił głowę do światła, Rollo natychmiast rozpoznał Neda Willarda.

– Do diabła! – zaklął. – Ludzie Walsinghama.

Zrozumiał natychmiast, że ludzie Willarda musieli śledzić Throckmortona i poszli za nim do francuskiej ambasady, a Ned sam już sobie dopowiedział, co mogło być powodem tej wizyty. Ale jak w ogóle trafił na ślad Throckmortona? Rollo uzmysłowił sobie, że tajne służby Walsinghama są znacznie sprawniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał.

A on, Rollo, za chwilę wpadnie w ich ręce.

– Powiem służącemu, żeby ich odprawił – odezwał się Throckmorton. Otworzył drzwi

salonu, ale było już za późno. Rollo usłyszał trzask otwieranych drzwi i gniewne głosy. Wszystko działo się zbyt szybko.

– Idź, powstrzymaj ich – polecił Rollo.

Throckmorton wszedł do sieni.

– Hola, hola, co to za awantura?! – zawołał.

Rollo spojrzał na listy leżące na stole. Bez wątpienia stanowiły obciążający dowód. Jeśli było w nich to, czego się spodziewał, jego i Throckmortona czekała śmierć.

Cały plan legnie w gruzach, jeśli Rollo natychmiast stąd nie zniknie.

Zabrał listy i przeszedł przez uchylone drzwi do pomieszczenia na tyłach domu. Znajdowało się tam okno wychodzące na dziedziniec. Otworzył je szybko i wyskoczył na zewnątrz. W tym samym momencie usłyszał dochodzący z salonu głos Neda Willarda, znany mu dobrze od dzieciństwa.

Pośrodku dziedzińca płonęła sterta suchych liści, śmieci z kuchni i brudnej słomy ze stajni. Kiedy Rollo podniósł wzrok, zobaczył w ciemności sylwetkę mężczyzny idącego między drzewami w jego stronę. Domyślił się, że to ktoś z tajnych służb; Willard był skrupulatny, nie zapomniałbym o tylnym wyjściu z domu.

– Hej, ty! – krzyknął mężczyzna.

Rollo miał tylko krótką chwilę na podjęcie decyzji.

Los Throckmortona był już przesądzony. Rollo wiedział, że zostanie on aresztowany i poddany torturom, a przed egzekucją powie wszystko, co wie. Na szczęście jednak nie znał prawdziwej tożsamości Jeana Langlais'go. Nie mógł zdradzić nikogo prócz praczki Peg Bradford, ta zaś była jedynie prostą dziewczyną, która nie dokonałaby w swym bezwartościowym życiu niczego prócz wydania na świat kolejnych prostych nieszczęśników. Throckmorton nie mógł więc właściwie zaszkodzić Marii Stuart. Jedynym dowodem przeciwko królowej były listy, które Rollo trzymał w dłoni.

Zmiął je i wrzucił w płomienie.

Nieznajomy mężczyzna ruszył biegiem w jego stronę.

Rollo odczekał chwilę, by zobaczyć, jak papier zajmuje się ogniem, czernieje, a potem zamienia w popiół.

Zniszczywszy dowody, zaskoczył mężczyznę, biegnąc prosto na niego. Pchnął go gwałtownie, przewrócił na ziemię i popędził dalej, na drugą stronę podwórza wychodzącą prosto na błotnisty brzeg Tamizy.

Wpadł na nabrzeże, skręcił i pobiegł w ciemność.

VIII

Wiosną 1584 roku Pierre poszedł obejrzeć, jak markiza Nîmes zostaje eksmitowana z własnego domu.

Jej mąż markiz przez długie dziesięciolecia bezkarnie obnosił się ze swą protestancką wiarą, ale Pierre był cierpliwy. Wiejska rezydencja na przedmieściu Saint-Jacques stanowiła centrum heretyckiej działalności nawet po wielkim wyczynie Pierre'a z 1559 roku, kiedy to aresztowano całą wspólnotę. Jednakże teraz, w roku 1584, Paryż stał się areną działań nieoficjalnej grupy zwanej Ligą Katolicką, która postawiła sobie za cel wyplenienie protestantyzmu, a Pierre zdołał postawić markiza przed sądem najwyższym zwanym Parlement de Paris, który skazał arystokratę na śmierć.

Właściwie stary markiz nie obchodził Pierre'a. Nienawidził przede wszystkim markizy Louise, obecnie atrakcyjnej wdowy po czterdziestce. Majątek heretyków takich jak

markiz ulegał konfiskacie, więc po jego śmierci markiza została bez środków do życia.

Pierre czekał na ten moment dwadzieścia pięć lat.

Przybył na miejsce w chwili, gdy markiza kłóciła się w sieni z komornikiem. Pierre stał razem z ludźmi komornika i spokojnie przysłuchiwał się ich rozmowie, więc początkowo go nie zauważyła.

Otaczało ją bogactwo, które właśnie utraciła: olejne wiejskie pejzaże wiszące na wykładanych drewnem ścianach, rzeźbione krzesła, marmurowe podłogi i wielkie żyrandole. Miała na sobie suknię z zielonego jedwabiu, która spływała po jej obfitych biodrach niczym woda. Kiedy była młodsza, żaden mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od jej wielkiego biustu; zresztą do tej pory zachował kuszące kształty.

– Jak śmiesz?! – krzyknęła do komornika władczym tonem. – Nie możesz zmusić mnie, markizy Nîmes, do opuszczenia mojego własnego domu!

Komornik bez wątpienia robił to już wiele razy.

– Radzę spokojnie opuścić dom, pani – odpowiedział uprzejmie, ale stanowczo. – Jeśli

nie wyjdzie pani sama, moi ludzie panią wyniosą, a to nie przystoi damie.

Zbliżyła się do niego i ściągnęła łopatki, eksponując biust.

– Może pan przecież zmienić decyzję – powiedziała znacznie cieplejszym tonem. – Proszę wrócić za tydzień, zdążę się w tym czasie przygotować.

– Sąd dał pani już dość czasu.

Jako że komornik okazał się obojętny zarówno na groźby markizy, jak i na jej wdzięki, postawiła w końcu na szczerość.

– Nie mam dokąd pójść! – powiedziała. – Nie mogę nawet wynająć pokoju, bo nie mam pieniędzy, ani jednego su! Moi rodzice nie żyją, a przyjaciele nie chcą mi pomóc, bo boją się, że i oni zostaną oskarżeni o herezję!

Pierre sycił się widokiem łez na jej twarzy i nutą paniki w jej głosie. To właśnie ta kobieta ćwierć wieku temu upokorzyła go. Gdy Sylvie przedstawiła go młodej Louise, Pierre rzucił jakąś żartobliwą uwagę, która nie przypadła jej do gustu. „Nawet w Szampanii powinni uczyć młodych mężczyzn, że należy okazywać szacunek szlachetniej urodzonym”, powiedziała wtedy markiza, po czym odwróciła się do niego

plecami. Na wspomnienie tej sceny Pierre wciąż krzywił się ze złości.

Teraz delektował się świadomością, że role się odwróciły. Niedawno został opatem klasztoru, do którego należało tysiąc akrów ziemi w Szampanii. Zgarniał cały dochód dla siebie, pozwalając mnichom żyć w nędzy, zgodnie z ich ślubami. Miał władzę i bogactwo, podczas gdy Louise była biedna i bezradna.

– Jest ciepło – odparł komornik. – Może pani spać w lesie. A jeśli będzie padało, może pani przenieść się do klasztoru Świętej Marii Magdaleny przy rue de la Croix. Przyjmują tam bezdomne kobiety.

– To miejsce dla ladacznic! – rzuciła zszokowana Louise.

Komornik tylko wzruszył ramionami.

Markiza zaczęła płakać. Zgarbiła się, zakryła twarz dłońmi, a jej piersi falowały w rytm szlochu.

Pierre nagle poczuł, że jej nieszczęście go podnieca, i ruszył jej na „ratunek”.

Wystąpił spośród małej grupki zgromadzonej przy drzwiach i stanął między komornikiem i markizą.

– Proszę się uspokoić, madame – powiedział. – Rodzina Gwizjuszów nie pozwoli, by markiza

spała w lesie.

Podniosła głowę i spojrzała na niego przez łzy.

– Pierre Aumande… Przyszedłeś ze mnie szydzić?

Postanowił, że będzie cierpieć jeszcze bardziej za to, że nie nazwała go Pierre Aumande Gwizjusz.

– Jestem tu, by pomóc pani w trudnych chwilach – oznajmił. – Jeśli zechce pani pójść ze mną, zaprowadzę panią w bezpieczne miejsce.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czyli dokąd?

– Wynajęliśmy mieszkanie w spokojnej okolicy. Będzie pani nawet miała służącą. To nie pałac, ale jest wystarczająco wygodnie. Może zechce pani rzucić na nie okiem. Jestem pewien, że będzie dobrze pani służyć, przynajmniej na jakiś czas.

Najwyraźniej wciąż nie wiedziała, czy mu wierzyć. Gwizjusze nienawidzili protestantów, więc dlaczego miałby jej pomagać? Po dłuższym namyśle doszła jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia.

– Pozwól, że spakuję parę rzeczy – powiedziała.

– Żadnej biżuterii – wtrącił komornik. – Sprawdzę, kiedy będzie pani wychodziła.

Nie zaszczyciwszy go odpowiedzią, obróciła się na pięcie i odeszła z dumnie uniesioną głową.

Pierre z trudem utrzymywał emocje na wodzy, świadom, że wkrótce ta kobieta będzie zdana na jego łaskę i niełaskę.

Markiza nie była w żaden sposób spokrewniona z Gwizjuszami, stała po drugiej stronie barykady w wojnie religijnej, lecz w oczach Pierre'a wszyscy ci ludzie stanowili jedno. Gwizjusze wykorzystywali go jako doradcę i człowieka od brudnej roboty, lecz wciąż nim pogardzali. Był ich najbardziej wpływowym i szczodrze nagradzanym sługą, ale tylko sługą; zawsze zapraszano go na narady wojenne, nigdy na rodzinne kolacje. Nie mógł zemścić się na nich za to wieczne odrzucanie go. Ale mógł ukarać Louise.

Wróciła z wyładowaną po brzegi skórzaną sakwą. Komornik zgodnie z zapowiedzią otworzył bagaż i przejrzał uważnie jego zawartość. Zapakowała kilkadziesiąt sztuk pięknej, jedwabnej i lnianej bielizny, bogato wyszywanej i zdobionej wstążkami. Na ten widok Pierre zaczął się zastanawiać, co nosi tego dnia pod zieloną suknią.

Z typową dla siebie arogancją wręczyła mu sakwę, jakby był jej lokajem.

Nie rozwiewał jej złudzeń. Jeszcze miał na to czas.

Wyszli razem z domu. Biron i Brocard czekali z końmi. Przyprowadzili dodatkowego wierzchowca dla markizy. Opuścili we czwórkę posiadłość, wjechali do Paryża przez bramę Świętego Jakuba i zmierzając rue Saint-Jacques, dotarli do Petit Pont. Przejechali przez Île de la Cité i zatrzymali się przy szeregu kamienic niedaleko pałacu Gwizjuszów. Pierre odprawił Birona i Brocarda, przykazując im, by zabrali konie do domu, po czym wprowadził Louise do środka.

– Pani apartament jest na ostatnim piętrze – powiedział.

– Kto jeszcze tu mieszka? – spytała z niepokojem.

– Na każdym piętrze inny lokator – odparł zgodnie z prawdą. – Większość z nich pracowała w przeszłości dla Gwizjuszów: stary nauczyciel, krawcowa, której popsuł się wzrok, Hiszpanka, która czasem coś dla nas tłumaczy. Sami przyzwoici i szacowni ludzie. – I żaden z nich nie chciałby stracić mieszkania, narażając się Pierre’owi.

Louise nieco się uspokoiła.

Nim dotarli na ostatnie piętro, dyszała ciężko ze zmęczenia.

– Te schody mnie zabiją – poskarżyła się.

Pierre był zadowolony. Markiza najwyraźniej pogodziła się już ze swoim losem i zamierzała tu mieszkać.

Służąca przywitała ich ukłonem i wprowadziła do środka. Pierre pokazał Louise salon, kuchnię, spiżarnię i sypialnię. Markiza była zaskoczona. Wcześniej uprzedzał ją, że nie będzie to pałac, ale małe mieszkanie zostało wystawnie urządzone, bo zamierzał spędzić tu trochę czasu.

Louise była skonsternowana. Ktoś, kogo uważała za wroga, okazał jej dobroć i szczodrość. Pierre widział po jej twarzy, że nic z tego nie rozumie. Świetnie.

Dopiero gdy zamknął drzwi sypialni, zaczęła coś podejrzewać.

– Pamiętam, jak się na nie gapiłem – powiedział, kładąc ręce na jej piersiach.

Cofnęła się o krok.

– Myślałeś, że zostanę twoją kochanką? – spytała z pogardą.

– Jesteś moją kochanką – odpowiedział z uśmiechem. Te słowa sprawiły mu niekłamaną przyjemność. – Zdejmuj suknię.

– Nie.

– Więc zedrę ją z ciebie.

– Będę krzyczeć.

– Proszę bardzo. Służąca się tego spodziewa. – Pchnął ją mocno, aż upadła na łóżko.

– Nie, proszę…

– Pewnie nawet tego nie pamiętasz – warknął. – „Nawet w Szampanii powinno się uczyć młodych mężczyzn, by odnosili się z szacunkiem do osób o wyższej pozycji społecznej”. Właśnie to powiedziałaś mi dwadzieścia pięć lat temu.

Wpatrywała się w niego ze zgrozą i niedowierzaniem.

– I za to chcesz ukarać mnie w taki sposób?

– Rozłóż nogi – rozkazał. – To dopiero początek.

IX

Wracając później do pałacu Gwizjuszów, Pierre czuł się podobnie jak czasami po wystawnej uczcie: był nasycony, ale i zbierało mu się na wymioty. Uwielbiał upokarzać arystokratów, ale tym razem przesadził. Oczywiście zamierzał tam wrócić, lecz dopiero za kilka dni. Markiza była bardzo sycąca.

W jego apartamencie czekał Rollo Fitzgerald, Anglik, któremu nadał pseudonim Jean Langlais.

Pierre był zirytowany. Chciał mieć godzinę tylko dla siebie, ochłonąć po tym, co właśnie zrobił, uporządkować myśli. Tymczasem musiał się od razu zabierać do pracy.

Rollo miał ze sobą paczkę owiniętą płótnem. Odwinął je teraz, pokazując plik map.

– Wszystkie większe porty i zatoki na południowym i wschodnim wybrzeżu Anglii – oznajmił z dumą, kładąc mapy na biurku.

Pierre przeglądał je przez chwilę. Niemal każdą z nich sporządzono inną ręką, niektóre były bardziej artystyczne od innych, wszystkie jednak wydawały się niezwykle dokładne, przedstawiały miejsca cumowania, keje i niebezpieczne płycizny.

– Są naprawdę dobre – stwierdził w końcu. – Choć trochę za długo na nie czekałem.

– Wiem i przepraszam – odparł Rollo. – Ale aresztowanie Throckmortona pokrzyżowało nam plany.

– Co się z nim dzieje?

– Został oskarżony o zdradę i skazany na śmierć.

– Kolejny męczennik – rzucił Pierre.

– Mam nadzieję, że jego śmierć nie pójdzie na marne.

– Co masz na myśli?

– Czy książę Gwizjusz nadal planuje inwazję na Anglię?

– Oczywiście. Chce, by na angielskim tronie zasiadła Maria Stuart. Chcą tego niemal wszyscy europejscy monarchowie.

– Doskonale. Strażnicy pilnują teraz Marii uważniej niż wcześniej, ale znajdę jakiś sposób, by ponownie nawiązać z nią kontakt.

– Więc możemy planować inwazję na osiemdziesiąty piąty rok?

– Jak najbardziej.

Do komnaty wszedł pasierb Pierre'a.

– Wieści z Picardy – powiedział. – Franciszek Herkules nie żyje.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Pierre. Franciszek Herkules był najmłodszym synem króla Henryka i królowej Katarzyny. – To katastrofa – zwrócił się do Anglika. – Był następcą tronu.

Rollo zmarszczył brwi.

– Przecież król Henryk Trzeci jest cały i zdrowy – powiedział. – Dlaczego martwisz się o jego następcę?

– Henryk jest trzecim z braci, którzy obejmowali po sobie tron. Dwaj poprzedni umarli młodo i to samo może spotkać Henryka.

– Więc kto po śmierci Franciszka Herkulesa jest następcą tronu?

– To właśnie ta katastrofa. Król Nawarry, który jest protestantem.

– Francją nie może rządzić protestancki król! – zawołał z oburzeniem Rollo.

– Z całą pewnością. – Poza tym król Nawarry był również członkiem rodu Burbonów, odwiecznych wrogów Gwizjuszów, więc tym bardziej należało trzymać go z dala od tronu. – Musimy namówić papieża, by pozbawił go prawa dziedziczenia – rozmyślał głośno Pierre. Wiedział, że wieczorem książę Henryk zwoła naradę, powinien więc mieć gotowy plan. – Znów wybuchnie wojna domowa, a książę poprowadzi wojska katolickie. Muszę do niego iść – oznajmił, wstając.

Rollo wskazał na mapy.

– A co z inwazją na Anglię?

– Anglia będzie musiała poczekać.

ROZDZIAŁ 24

I

W czterdzieste trzecie urodziny Marii Stuart ona i Alison wybrały się na przejażdżkę. Kłęby pary z ich oddechów bieliły się w zimnym powietrzu poranka; Alison cieszyła się, że ma pod sobą ciepły grzbiet Garçona. Towarzyszył im oddział zbrojnych. Maria i jej świta nie mogli pod żadnym pozorem z nikim rozmawiać. Gdyby jakieś dziecko chciało poczęstować królową jabłkiem, któryś ze zbrojnych musiałby zaingerować.

Od jakiegoś czasu odpowiadał za nie nowy dowódca straży, sir Amias Paulet, purytanin tak nieprzejednany, że Walsingham wydawał się przy nim libertynem. Paulet był pierwszym znanym Alison mężczyzną zupełnie odpornym na urok Marii. Gdy królowa dotykała jego ramienia lub uśmiechała się ujmująco albo gdy

mówiła swobodnym tonem o rzeczach takich jak pocałunki, piersi czy łóżko, patrzył na nią jak na obłąkaną i milczał.

Nawet nie próbował ukrywać, że czyta listy Marii; wręczał jej otwarte koperty bez słowa przeprosin. Wolno jej było pisać do krewnych i przyjaciół we Francji i Szkocji, ale oczywiście w tych okolicznościach nie mogła nawet wspomnieć o inwazji na Anglię, ucieczce z więzienia, zamachu na Elżbietę czy przejęciu tronu.

Przejażdżka jak zwykle poprawiła Alison humor, lecz gdy zawróciły w stronę domu, ogarnęło ją znajome przygnębienie. Były to już dwudzieste z rzędu urodziny, która Maria obchodziła w więzieniu. Alison miała czterdzieści pięć lat i spędziła wszystkie te rocznice z królową. Za każdym razem łudziła się nadzieją, że po raz ostatni świętują w niewoli. Miała wrażenie, że przez całe życie zajmowały się czekaniem i podsycaniem nadziei. Upłynęło bardzo dużo czasu, odkąd były najlepiej ubranymi dziewczętami w Paryżu.

Syn Marii, dwudziestojednoletni Jakub, był teraz królem Szkocji. Nie widziała go od czasu, gdy skończył rok. Nie okazywał żadnego zainteresowania matką i nie próbował pomóc jej

w żaden sposób, ale dlaczego właściwie miałby to robić? Nie znał jej. Maria była wściekła na królową Elżbietę za to, że na całe życie oddzieliła ją od jej dziecka.

Zbliżały się do swojego obecnego więzienia. Chartley Manor miał fosę i mury, lecz poza tym był raczej domem niż zamkiem, rezydencją z muru pruskiego, z wieloma paleniskami i oknami, dzięki którym w środku było pogodnie i jasno. Miejsca starczało ledwie dla rodziny Pauletów i ich służby oraz Marii i jej świty, więc zbrojni mieszkali w okolicznych domach. Maria i Alison nie czuły się nieustannie osaczone przez strażników, mimo to mieszkały w więzieniu.

Przejechali po moście nad fosą i znaleźli się na rozległym dziedzińcu, gdzie zatrzymali konie. Alison zeskoczyła na ziemię i pozwoliła, by Garçon napił się wody z koryta. Z boku stał wóz z browaru, a krępi mężczyźni wtaczali do kuchni przy kwaterach królowej beczki z piwem. Alison dostrzegła grupkę kobiet stojących przy głównym wejściu. Lady Margaret Paulet wraz z kilkoma służącymi rozmawiała z mężczyzną w znoszonym stroju. Lady Margaret była życzliwsza niż jej mąż, więc Alison przeszła przez dziedziniec, by zobaczyć, co się tam dzieje.

Mężczyzna stojący pośrodku grupy trzymał otwartą skrzynię podróżną, pełną wstążek, guzików i taniej biżuterii. Maria również podeszła bliżej i stanęła za Alison. Kobiety dotykały towarów, pytały o cenę i rozmawiały z ożywieniem o tym, co podoba im się najbardziej.

– Masz jakieś napoje miłosne? – spytała figlarnym tonem jedna z nich.

Była to niewinna, zalotna uwaga, a obwoźni sprzedawcy zwykle umieli czarować swoje klientki, ten jednak wydawał się zakłopotany i mruknął tylko, że wstążeczki są lepsze od napojów.

Z domu wyszedł sir Amias Paulet, zaintrygowany hałasem i zamieszaniem. Miał pięćdziesiąt kilka lat i nie licząc siwej grzywki, był niemal całkiem łysy, ale brak ten nadrabiał bujnymi siwymi wąsami.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Och, nic takiego – odparła lady Margaret ze skruchą.

– Mojej żony nie interesują takie świecidełka – oznajmił Paulet. Gdy ona i jej służące odchodziły z ociąganiem, dodał pogardliwie: – Pokaż je szkockiej królowej, to bardziej w jej typie.

Maria i kobiety z jej świty, przyzwyczajone już do zachowania Pauleta, zignorowały tę prostacką uwagę. Pragnęły jakiejkolwiek odmiany od szarej codzienności, szybko więc otoczyły sprzedawcę, zastępując rozczarowane służące Pauletów.

W tym momencie Alison przyjrzała się sprzedawcy uważniej i aż zachłysnęła się ze zdumienia. Miał rzednące włosy i krzaczastą rudą brodę. Był to ten sam mężczyzna, który rozmawiał z nią w parku przy Sheffield Castle i przedstawił się jako Jean Langlais.

Spojrzała na Marię i przypomniała sobie, że królowa nigdy go nie widziała. Poczuła dreszcz podniecenia i nadziei. Bez wątpienia przybył tu, by znów nawiązać z nią kontakt.

Poczuła również nagły przypływ pożądania. Od czasu ich spotkania w parku pozwalała sobie na snucie fantazji, w których byli małżeństwem i wiodącą parą na dworze Marii, katolickiej królowej Anglii. Wiedziała, że zachowuje się niemądrze, rozmyślając w ten sposób o mężczyźnie, którego widziała zaledwie przez kilka minut, ale być może więźniowie mają prawo do niemądrych marzeń.

Musiała przeprowadzić Langlais'go z dziedzińca do miejsca, gdzie nie musiałby już

udawać obwoźnego handlarza i mógłby porozmawiać z nią szczerze.

– Zimno mi – powiedziała. – Chodźmy do środka.

– A mnie jest jeszcze ciepło po przejażdżce – odparła Maria.

– Pani, proszę, pamiętaj o swoich słabych płucach i chodź do domu – nalegała Alison.

Maria wydawała się obrażona, że Alison wydaje jej polecenia, lecz musiała usłyszeć w jej głosie jakiś dziwny ton, podniosła bowiem pytająco brwi i ujrzała w oczach przyjaciółki niemą prośbę.

– Właściwie masz rację, chodźmy do środka – rzuciła.

Zaprowadziły Langlais'go prosto do prywatnej komnaty Marii i Alison odprawiła całą służbę.

– Wasza Wysokość, to jest Jean Langlais, posłaniec księcia Henryka Gwizjusza – powiedziała po francusku.

Maria natychmiast się ożywiła.

– Co książę ma mi do powiedzenia? – spytała.

– Sytuacja się poprawiła, Wasza Wysokość – odparł Langlais po francusku z angielskim akcentem. – Podpisano traktat z Nemours, protestantyzm znów jest we Francji nielegalny.

Maria machnęła z lekceważeniem ręką.

– Stare wieści.

Nie przejął się jej słowami i spokojnie kontynuował:

– Traktat jest triumfem Kościoła, księcia Gwizjusza i całej francuskiej rodziny Waszej Wysokości.

– Tak, wiem.

– Co oznacza, że kuzyn Waszej Wysokości, książę Henryk, może spokojnie wrócić do planu, który od dawna nosił w sercu, czyli posadzenia Waszej Wysokości na należnym jej tronie Anglii.

Alison nie okazywała na razie radości. Zbyt często cieszyła się za wcześnie. Mimo to serce zabiło jej mocniej. Dostrzegła też, jak pojaśniała twarz Marii.

– Znów naszym pierwszym zadaniem – ciągnął Langlais – jest stworzenie drogi przekazywania informacji między księciem i Waszą Wysokością. Zwerbowałem dobrego angielskiego katolika, który będzie naszym kurierem. Muszę jednak znaleźć sposób, by przekazywać wiadomości i odbierać je poza kontrolą Pauleta.

– Robiliśmy to już kiedyś, ale za każdym razem jest coraz trudniej. Nie możemy korzystać z pomocy praczki. Walsingham przejrzał już ten podstęp.

Langlais skinął głową.

– Throckmorton prawdopodobnie wydał tę tajemnicę na torturach.

Alison zdumiał chłód, z jakim ten człowiek mówił o męczeństwie sir Francisa Throckmortona. Zastanawiała się, ilu innych współpracowników spiskowca zostało poddanych torturom i straconych.

Odsunęła od siebie tę myśl.

– Tak czy inaczej, Paulet nie pozwoli nam oddawać naszych rzeczy do prania – powiedziała. – Służące królowej muszą prać je w fosie.

– Więc będziemy musieli wymyślić coś innego – rzekł Langlais.

– Nikt z naszej świty nie może kontaktować się bez nadzoru ze światem zewnętrznym – oznajmiła ponuro Alison. – Dziwię się, że Paulet pana stąd nie wyrzucił.

– Zauważyłem, że wnoszono tu beczki z piwem.

– Ach… – Alison skinęła głową. – Świetna myśl. Jest pan bardzo bystry.

– Skąd je przywożą?

– Z gospody Pod Lwem w Burton, najbliższym mieście.

– Paulet do nich zagląda?

– Czy patrzy na piwo? Nie.

– Świetnie.

– Ale jak możemy przewozić listy w piwie? Papier rozmięknie, atrament się rozmyje…

– A gdybyśmy tak wkładali je do szczelnie zamkniętych butelek?

Alison skinęła powoli głową.

– To samo moglibyśmy robić z odpowiedziami królowej.

– Tak, można by je wkładać do tych samych butelek i ponownie uszczelniać woskiem. Na pewno macie wosk do pieczęci.

– Butelki będą grzechotały w pustych beczkach. Ktoś może się tym zainteresować.

– Z pewnością i na to znajdzie się sposób. Można napełnić beczkę słomą. Albo owinąć butelki szmatami i przybić je do drewna, żeby się nie ruszały.

Alison ogarniało coraz większe podniecenie.

– Wymyślimy coś – rzuciła. – Ale musiałybyśmy nakłonić właściciela gospody do współpracy.

– Owszem – zgodził się z nią Langlais. – Zostawcie to mnie.

II

Ned Willard pomyślał, że niewinna powierzchowność Gilberta Gifforda może wprowadzić w błąd. Gifford miał prawie dwadzieścia cztery lata, ale nie wyglądał na tyle; jego gładką twarz pokrywał młodzieńczy zarost, wydawało się wręcz, że jeszcze nigdy się nie golił. Jednakże w liście, który przekazano za pośrednictwem angielskiej ambasady w Paryżu, Alain Gwizjusz poinformował Sylvie, że ten człowiek spotkał się niedawno z Pierre'em Aumande'em. Zdaniem Neda Gifford był bardzo niebezpiecznym agentem wrogów królowej Elżbiety.

Mimo to zachowywał się naiwnie. W grudniu 1585 roku przepłynął z Francji przez kanał la Manche i przybił do Rye. Oczywiście nie miał królewskiego pozwolenia, którego wymagano od Anglików podróżujących za granicę, wręczył więc kapitanowi portu w Rye łapówkę. Dawniej pewnie uszłoby mu to na sucho, ale czasy się zmieniły. Ktoś, kto wpuściłby do kraju podejrzanego osobnika, mógłby zostać skazany na śmierć, przynajmniej teoretycznie. Kapitan portu aresztował Gifforda, a Ned kazał go przywieźć do Londynu na przesłuchanie.

I właśnie przesłuchiwał go wraz z Walsinghamem w mieszkaniu przy Seething Lane.

– Skąd ci przyszło do głowy, że uda ci się coś podobnego? – spytał Walsingham. – Twój ojciec jest znanym katolikiem. Królowa Elżbieta potraktowała go z wielką pobłażliwością, mianowała go nawet szeryfem hrabstwa Stafford, a on mimo to nie przyszedł na nabożeństwo, nawet gdy w jego parafialnym kościele pojawiła się sama królowa!

Gifford wydawał się zadziwiająco spokojny jak na kogoś, kto jest przesłuchiwany przez człowieka, który posłał na śmierć całą rzeszę katolików. Ned przypuszczał, że chłopak nie zdaje sobie sprawy, w jakie wpakował się kłopoty.

– Wiem, że zrobiłem źle, wyjeżdżając z Anglii bez pozwolenia – powiedział tonem człowieka spowiadającego się z drobnych grzeszków. – Proszę pamiętać, że miałem wtedy zaledwie dziewiętnaście lat – dodał, uśmiechając się porozumiewawczo. – Czy pan nie popełniał w młodości żadnych głupstw, sir Francisie?

– Nie, nie popełniałem – odparł Walsingham oschle.

Ned omal nie parsknął śmiechem. Bo jego przełożony najprawdopodobniej mówił prawdę.

– Dlaczego wróciłeś do Anglii? – spytał podejrzanego. – Co jest celem twej podróży?

– Od prawie pięciu lat nie widziałem ojca.

– Dlaczego właśnie teraz? – drążył Ned. – Dlaczego nie w zeszłym albo w przyszłym roku?

Gifford wzruszył ramionami.

– Ten wydawał się równie dobry jak każdy inny.

Ned postanowił podejść go od innej strony.

– Gdzie zatrzymasz się w Londynie, jeśli nie zamkniemy cię w Tower?

– W Plough.

Mówił o gospodzie tuż za Temple Bar, na zachód od miasta, odwiedzanej przede wszystkim przez katolików. Główny stajenny był opłacany przez Walsinghama i przedstawiał wiarygodne raporty dotyczące gości gospody.

– Do jakich miejsc w Anglii zamierzasz się jeszcze wybrać?

– Do Chillington, oczywiście.

W Chillington, w hrabstwie Stafford, mieszkał ojciec Gifforda. Zaledwie pół dnia jazdy konnej dalej znajdowało się Chartley, obecne więzienie Marii Stuart. Czy był to tylko zwykły zbieg

okoliczności? Ned nie wierzył w zbiegi okoliczności.

– Kiedy ostatnio widziałeś się z księdzem Jeanem Langlais'm?

Młody człowiek nie odpowiedział.

Ned dał mu trochę czasu. Koniecznie chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej tajemniczej postaci. Sylvie przez moment widziała Langlais'go w Paryżu w 1572 roku, lecz dowiedziała się wtedy tylko tyle, że jest Anglikiem. Nath i Alain widywali go co jakiś czas w ciągu kilku następnych lat i opisywali go jako dość wysokiego mężczyznę z rudokasztanową brodą i rzednącymi włosami, który mówi po francusku płynnie, ale z wyraźnym angielskim akcentem. Dwaj spośród tajnych księży przesłuchiwanych przez Neda wymienili go jako organizatora ich nielegalnej podróży do Anglii. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, nikt też nie wiedział, skąd pochodzi.

– No więc? – spytał Ned.

– Zastanawiam się, ale chyba nie znam takiego człowieka.

– Myślę, że to mi wystarczy – rzucił Walsingham.

Ned podszedł do drzwi i wezwał służącego.

– Zaprowadź pana Gifforda do salonu i zostań z nim tam.

– Co o tym myślisz? – spytał Walsingham, kiedy zostali sami.

– Kłamie – odparł Ned.

– Zgadzam się. Powiadom wszystkich naszych ludzi, żeby mieli na niego oko.

– Oczywiście. I być może nadszedł już czas, żebym złożył wizytę w Chartley.

III

W ciągu tygodnia, który sir Ned Willard spędził w Chartley Manor, wydawał się Alison wręcz irytująco miły. Miał teraz około czterdziestu lat, był uprzejmy i czarujący, nawet gdy robił jakieś okropne rzeczy. Chodził wszędzie i widział wszystko. Kiedy rankiem wyglądała przez okno, był na dziedzińcu, siedział przy studni, jadł chleb i obserwował czujnie mieszkańców. Nigdy nie pukał do drzwi. Po prostu wchodził do czyjejś sypialni – nieważne, czy był to pokój mężczyzny, czy kobiety – mówiąc: „Mam nadzieję, że nie przeszkadzam”. Jeśli usłyszał w odpowiedzi, że owszem, przeszkadza, zapewniał, że za chwilę sobie

pójdzie, po czym zostawał tam tak długo, jak chciał. Jeśli ktoś pisał list, sir Ned Willard czytał go przez ramię piszącego. Wchodził do jadalni, gdy królowa Maria oraz ludzie z jej świty spożywali posiłek, i słuchał ich rozmów. Przechodzenie na francuski nie miało sensu, bo doskonale znał ten język. Gdy ktoś protestował, tłumaczył się: „Bardzo mi przykro, ale wiecie, państwo, więźniowie nie mają prawa do prywatności”. Wszystkie kobiety mówiły, że jest cudowny, a jedna przyznała nawet, że chodzi po swoim pokoju nago, w nadziei że on właśnie wtedy tam przyjdzie.

Jego skrupulatność była frustrująca przede wszystkim dlatego, że w ostatnich tygodniach Maria zaczęła otrzymywać listy w beczkach z gospody Pod Lwem w Burton, a od czasu aresztowania ponad rok temu Throckmortona zebrał się we francuskiej ambasadzie spory plik tajnej korespondencji. Maria i jej wierny sekretarz Claude Nau codziennie pracowali nad tą lawiną wiadomości, aktualizując sekretne powiązania Marii z jej potężnymi poplecznikami w Szkocji, Francji, Hiszpanii i Rzymie. Było to naprawdę ważne zadanie; Alison i Maria wiedziały, że ludzie szybko zapominają o bohaterach, którzy zniknęli im z oczu. Teraz

europejskie dwory dowiadywały się ponownie, że Maria żyje, dobrze się miewa i jest gotowa przejąć należny jej tron.

Po przybyciu sir Neda Willarda wszystko to musiało ustać. Ludzie Marii nie mogli pisać ani odszyfrowywać listów, doradca Elżbiety mógł bowiem w każdej chwili wejść do ich komnaty i odkryć kompromitujące dokumenty. Wiele gotowych już listów zamknięto w butelkach i umieszczono w pustej beczce, którą miał zabrać wóz z gospody Pod Lwem. Alison i Maria odbyły długą dyskusję, zastanawiając się wspólnie, co z nimi zrobić. Doszły do wniosku, że mogą niepotrzebnie ściągnąć na siebie uwagę, jeśli spróbują wyjąć butelki, zostawiły je więc w beczce. Z tego samego powodu nie dokładały też nowych wiadomości.

Alison modliła się, by Ned wyjechał przed następną dostawą piwa. Człowiek nazywający siebie Jeanem Langlais'm pomyślał, że można ukrywać wiadomości w beczkach, gdy zobaczył transport piwa. Czy Willard nie wpadnie na podobny pomysł, i to równie szybko? Jej modlitwy nie zostały jednak wysłuchane.

Alison i Maria obserwowały przez okno doradcę Elżbiety, który stał właśnie na dziedzińcu, gdy na teren rezydencji wjechał

ciężki wóz z trzema trzydziestodwugalonowymi beczkami.

– Idź tam i zajmij go rozmową – poleciła zaniepokojona Maria. – Odciągnij jego uwagę.

Alison wyszła szybko na zewnątrz i zbliżyła się do Neda.

– I cóż, sir Nedzie – zaczęła swobodnym tonem. – Jest pan zadowolony ze środków bezpieczeństwa podjętych przez sir Amiasa Pauleta?

– Jest o wiele skrupulatniejszy od hrabiego Shrewsbury.

Alison roześmiała się perliście.

– Nigdy nie zapomnę, jak napadł pan na nas przy śniadaniu w Sheffield Castle – powiedziała. – Wyglądał pan jak anioł zemsty. Przerażająco!

Ned uśmiechnął się w odpowiedzi, wiedziała jednak, że ją przejrzał. Domyślił się, że z nim flirtuje, i nie miał nic przeciwko temu, ale nie wierzył w jej pochlebstwa.

– Spotkaliśmy się wtedy już po raz trzeci, ale nigdy wcześniej nie widziałam pana w takim nastroju – kontynuowała. – Dlaczego był pan tak rozgniewany?

Przez chwilę nie odpowiadał. Spojrzał za nią, na ludzi, którzy wyładowywali beczki pełne piwa i toczyli je do kuchni. Alison czuła, jak serce

podchodzi jej do gardła; te beczki niemal z pewnością zawierały tajne wiadomości od wrogów królowej Elżbiety. Wystarczyło, by Ned z typową dla siebie grzeczną stanowczością zatrzymał ludzi, którzy je przywieźli, i zażądał, by otworzyli beczki i pokazali mu zawartość. Wtedy gra dobiegłaby końca, a kolejny spiskowiec zostałby poddany torturom i stracony.

Lecz sir Ned Willard nic nie robił. Jego atrakcyjna twarz nie wyrażała szczególnych emocji, a po chwili milczenia spojrzał ponownie na Alison i spytał:

– Mogę odpowiedzieć pani pytaniem?

– Proszę.

– Dlaczego pani tu jest?

– Co ma pan na myśli?

– Maria Stuart jest więźniem, ale pani nie. Nie stanowi pani żadnego zagrożenia dla korony Anglii. Nie udaje pani, że ma prawa do angielskiego tronu. Nie ma pani potężnych przyjaciół na dworze króla Francji. Nie pisze pani listów do papieża i króla Hiszpanii. Mogłaby pani po prostu wyjechać z Chartley Manor i nikt by się temu nie sprzeciwiał. Dlaczego pani tego nie zrobi?

Alison czasami sama zadawała sobie to pytanie.

– Królowa Maria i ja wychowywałyśmy się razem od dziecka – odparła. – Jestem trochę starsza, więc kiedyś się nią opiekowałam. Potem wyrosła na piękną, czarującą kobietę, a ja w pewnym sensie zakochałam się w niej. Po powrocie do Szkocji wyszłam za mąż, ale mąż umarł wkrótce po ślubie. Wygląda na to, że służba Jej Wysokości jest moim przeznaczeniem.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

Kątem oka Alison widziała, jak mężczyźni wytaczają z kuchni puste beczki – także tę z tajnymi listami – i ładują je na wóz. I znów wystarczyło tylko, by Ned wydał odpowiedni rozkaz, a ich tajemnica wyszłaby na jaw. Lecz doradca Elżbiety nawet nie patrzył w stronę wozu.

– Rozumiem – zwrócił się do Alison, kontynuując ich rozmowę – bo czuję to samo w stosunku do królowej Elżbiety. I dlatego byłem taki rozgniewany, gdy odkryłem, że hrabia Shrewsbury ją zawiódł.

Mężczyźni, którzy przywieźli piwo, po raz ostatni weszli do kuchni, by przed wyjazdem zjeść jeszcze kolację. Udało się!

– Na mnie już czas – oświadczył niespodziewanie Ned. – Muszę wracać do Londynu. Do widzenia, lady Ross.

Nie miała pojęcia, że on wyjeżdża.

– Do widzenia, sir Nedzie – odparła.

Wszedł do domu, a ona wróciła do Marii i razem wyglądały przez okno. Ned wyszedł z jukami zawierającymi zapewne jego rzeczy osobiste. Powiedział coś do stajennego, który przyprowadził mu konia, wyjechał, nim mężczyźni w kuchni skończyli jeść.

– Co za ulga. – Maria westchnęła. – Bogu dzięki.

– Tak. – Alison skinęła głową. – Wygląda na to, że się nam upiekło.

IV

Ned nie wrócił do Londynu. Pojechał do Burton i wynajął pokój w gospodzie Pod Lwem.

Kiedy zajęto się jego koniem i zdjęto z niego juki, poszedł obejrzeć gospodę. Przez łukowatą bramę wjeżdżało się z ulicy na dziedziniec ze stajniami po jednej stronie i kwaterami dla gości po drugiej. Na tyłach znajdował się browar, z którego dolatywał charakterystyczny zapach

drożdży. W sumie był to całkiem spory interes; w gospodzie kłębił się tłum gości, podróżni przyjeżdżali i wyjeżdżali, a z browaru nieustannie wywożono beczki pełne piwa lub przywożono puste.

Ned zauważył, że puste beczki z wozów powracających do browaru przetaczano w róg podwórza, gdzie chłopiec zdejmował wieko, czyścił beczkę od środka wodą i szczotką, a potem ustawiał do góry dnem, by obeschła.

Właścicielem był potężny mężczyzna z równie potężnym brzuchem, żywym dowodem na to, że sam spożywał spore ilości swojego produktu. Ned słyszał, że pracownicy mówią do niego Hal. Nieustannie kręcił się po swoich włościach, przechodził z browaru do stajni, poganiał pracowników i wykrzykiwał polecenia.

Kiedy Ned miał już w głowie plan wszystkich zabudowań, usiadł na ławce z kuflem piwa w ręce i czekał. Na dziedzińcu panował duży ruch, więc nikt nie zwracał na niego uwagi.

Był niemal pewien, że wiadomości trafiają do Chartley Manor w beczkach i w ten sam sposób opuszczają to miejsce. Był tam przez tydzień, obserwował uważnie wszystko, co działo się w posiadłości, i uznał, że to jedyna możliwość. Kiedy przywieziono piwo, jego uwagę zajmowała

częściowo rozmowa z Alison. Być może przypadkiem wyszła do niego właśnie w tej chwili. Ned nie wierzył jednak w przypadki.

Zakładał, że wóz z beczkami z Chartley będzie jechał znacznie wolniej od niego, on miał bowiem wypoczętego konia i praktycznie żadnego dodatkowego obciążenia. Ostatecznie wóz zajechał na dziedziniec gospody Pod Lwem dopiero wczesnym wieczorem. Ned nadal czuwał na dziedzińcu. Jeden z robotników wszedł do budynku i wrócił z Halem, podczas gdy pozostali wyprzęgali konie. Następnie przetoczyli puste beczki do chłopca z wodą i szczotką.

Hal patrzył, jak chłopiec zdejmuje wieka beczek za pomocą łomu. Oparty o ścianę, spoglądał na niego od niechcenia, jakby w gruncie rzeczy wcale go to nie obchodziło. Być może rzeczywiście tak było. Ned przypuszczał jednak, że wolał nie otwierać beczek w ukryciu, by pracownicy nie domyślili się, że robi coś niezgodnego z prawem. Udawał nonszalancję, by nie wzbudzać podejrzeń.

Gdy beczki były już otwarte, zajrzał do każdej z nich. Pochylił się nad jedną, sięgnął do środka i wyjął dwa przedmioty w kształcie butelek, owinięte szmatami i przewiązane sznurkiem.

Ned westchnął z satysfakcją.

Hal skinął głową na chłopca, a potem przeszedł przez dziedziniec do drzwi, których nie używał do tej pory, i wszedł do środka.

Ned ruszył za nim.

Drzwi prowadziły do pomieszczeń tworzących zapewne mieszkanie właściciela. Ned przeszedł przez salon do sypialni. Hal stał przy otwartej szafce, do której chował dwa przedmioty zabrane z beczki. Słysząc kroki Neda, odwrócił się i rzucił gniewnie:

– Wynoś się stąd, to prywatne mieszkanie.

– Nawet nie wiesz, jak niewiele dzieli cię od szubienicy – odpowiedział cicho Ned.

Zachowanie Hala natychmiast uległo zadziwiającej przemianie. Zbladł i otworzył usta. Był zszokowany i przerażony, co w przypadku tak wielkiego mężczyzny wyglądało niemal komicznie. Ned domyślił się, że właściciel browaru – w odróżnieniu od biednej Peg Bradford – doskonale wiedział, jakiej zbrodni się dopuszcza. Po chwili wahania spytał drżącym głosem:

– Kim jesteś?

– Jestem jedynym człowiekiem na świecie, który może cię jeszcze uratować.

– Och, Boże, dopomóż.

– Może i tak się stanie, jeśli ty pomożesz mnie.

– Co mam zrobić?

– Powiedz mi, kto przychodzi po butelki z Chartley i przynosi ci nowe, które tam wysyłasz.

– Nie znam jego nazwiska, naprawdę! Przysięgam!

– Kiedy pojawi się tu następnym razem?

– Nie wiem. Nigdy się nie zapowiada. Nie zjawia się regularnie.

Bo jest ostrożny, pomyślał Ned.

– Boże, jaki był ze mnie głupiec – jęknął Hal.

– Niewątpliwie – zgodził się z nim Ned. – Dlaczego to robiłeś? Jesteś katolikiem?

– Wyznaję taką wiarę, jaką każą mi wyznawać.

– Robiłeś to dla pieniędzy.

– Może Bóg mi wybaczy.

– Wybaczał gorsze rzeczy. A teraz mnie posłuchaj. Masz robić dalej to, co robiłeś. Odbieraj butelki od człowieka, który ci je przywozi, dostarczaj je do Chartley Manor, zabieraj stamtąd odpowiedzi, wszystko dokładnie tak jak dotychczas. I nie mów nikomu o mnie. Ani słowa.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz rozumieć. Po prostu zapomnij, że kiedykolwiek się spotkaliśmy. Czy to jasne?

– Tak, i dziękuję za zmiłowanie.

Nie zasługujesz na nie, ty zachłanny zdrajco, pomyślał Ned.

– Zostanę tu do przyjazdu kuriera, bez względu na to, jak długo będę musiał czekać – powiedział.

Przyjechał dwa dni później. Ned od razu go rozpoznał.

To był Gilbert Gifford.

V

Werbowanie ludzi do spisku przeciwko aktualnej królowej było niebezpiecznym zajęciem. Rollo musiał być bardzo ostrożny. Gdyby wybrał niewłaściwego człowieka, mógłby się znaleźć w poważnych tarapatach.

Przekonał się, że należy szukać odpowiedniego wyrazu oczu – takiego, który łączy ze sobą szlachetność celu i wyniosłe lekceważenie dla konsekwencji. Takie podejście nie było jeszcze szaleństwem, ale swego rodzaj irracjonalnością. Czasami zastanawiał się, czy i on sprawia na innych takie wrażenie. Nie sądził, ponieważ jego ostrożność graniczyła z obsesją. Może wyglądał tak w młodości, ale

potem pozbył się tych zdradliwych cech, inaczej bowiem dawno już zostałby powieszony, wypatroszony i poćwiartowany jak Francis Throckmorton i wszyscy inni młodzi idealiści schwytani przez Neda Willarda. W takim wypadku byłby już w niebie jak oni, lecz człowiekowi nie wolno samemu wybierać chwili, w której wybierze się w tę podróż.

Rollo uważał, że w oczach Anthony'ego Babingtona kryje się właśnie ta odrobina szaleństwa.

Obserwował go od trzech tygodni, z daleka. Jeszcze ze sobą nie rozmawiali. Nie chodził nawet do domów i karczm, w których bywał Babington, bo wiedział, że obserwują je szpiedzy Neda Willarda. Zbliżał się do Babingtona tylko w miejscach, które nie były popularne wśród katolików, oraz tam, gdzie gromadziło się wiele osób i nikt nie zwróciłby na niego szczególnej uwagi: w kręgielni, podczas walk kogutów i pokazów z niedźwiedziem szczutym psami oraz podczas publicznych egzekucji. Nie mógł jednak bez końca zachowywać tak daleko idących środków ostrożności. Wcześniej czy później musiał nadstawić karku.

Młody Babington pochodził z hrabstwa Derby, z bogatej katolickiej rodziny, która przyjęła

jednego z tajnych księży Rollo. Znał Marię Stuart; jako chłopiec był paziem w zamku hrabiego Shrewsbury i uległ urokowi uwięzionej królowej, która przebywała wtedy u hrabiego. Czy to wystarczy, by zgodził się na współpracę? Rollo mógł się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

W końcu zaczepił go podczas walki byków odbywającej się w Paris Gardens w Southwark, po południowej stronie rzeki. Wstęp kosztował pensa, ale Babington zapłacił dwa za miejsce na galerii, z dala od śmierdzącego tłumu tłoczącego się na dole.

Byk był uwiązany na arenie, poza tym jednak mógł się swobodnie poruszać. Na arenę wpuszczono sześć wielkich psów myśliwskich, które natychmiast rzuciły się na bydlę i próbowały kąsać je po nogach. Byk, choć potężny, był zadziwiająco zwinny; bez ustanku odwracał swój wielki łeb i bronił się rogami. Psy starały się ich unikać, ale nie zawsze im się to udawało. Niektóre odlatywały tylko do tyłu, te, które miały mniej szczęścia, nabijały się na rogi byka i wisiały na nich, dopóki ich nie zrzucił. Powietrze wypełniło się zapachem krwi.

Publiczność wrzeszczała i zachęcała zwierzęta do walki, ludzie zakładali się o to, czy

byk zabije wszystkie psy, nim padnie od licznych ran.

Wszyscy wpatrywali się w arenę.

Na początek Rollo jak zawsze dał do zrozumienia swojemu wybrańcowi, że jest katolickim księdzem.

– Szczęść Boże, mój synu – powiedział cicho do Babingtona, a gdy ten spojrzał na niego z przestrachem, pokazał mu złoty krzyż.

Babington był zszokowany i uradowany jednocześnie.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Jean Langlais.

– Czego ode mnie chcesz?

– Nadchodzi czas Marii Stuart.

Młody człowiek otworzył szeroko oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Rollo pomyślał, że jego wybraniec doskonale wie, co chciał przez to powiedzieć.

– Książę Gwizjusz stoi w pogotowiu z sześćdziesięciotysięczną armią – oznajmił, podkolorowując nieco fakty: Henryk nie był wcale gotowy i nie był też zapewne w stanie zgromadzić aż sześćdziesięciu tysięcy zbrojnych, ale Rollo chciał przekonać Babingtona, że wygrana jest niemal pewna. – Książę ma mapy wszystkich ważniejszych portów i zatok na

południowym i wschodnim wybrzeżu, gdzie wysadzi swoją armię. Ma też listę lojalnych, szlachetnie urodzonych katolików, którzy wesprą inwazję i będą walczyć o przywrócenie prawdziwej wiary. Jest wśród nich twój ojczym. – Tego akurat Rollo nie zmyślił.

– Czy to może być prawda? – Babington bardzo pragnął uwierzyć w jego słowa.

– Brakuje nam tylko jednej rzeczy i potrzebujemy jakiegoś dzielnego człowieka, który pomoże nam wypełnić tę lukę.

– Mów.

– Szlachetnie urodzony katolik o niekwestionowanej wierze musi przygotować grupę podobnych mu ludzi i w odpowiednim momencie uwolnić królową. Tym człowiekiem jesteś ty, Anthony Babington.

Rollo odwrócił się od młodego człowieka, by ten mógł spokojnie pomyśleć o wszystkim, co właśnie usłyszał. Tymczasem z areny ściągnięto już byka i zabite lub dogorywające psy. Nadszedł czas na największą atrakcję wieczoru. Na arenę wbiegł stary koń z małpą w siodle, a publiczność zakrzyknęła radośnie, czekając na swą ulubioną rozrywkę. Po chwili na plac wybiegło sześć młodych psów. Zaatakowały konia, który rozpaczliwie bronił się przed ich zębami. Skakały

również do małpy, która najwyraźniej wzbudzała w nich jeszcze większą agresję. Tłum ryczał ze śmiechu, gdy przerażona małpa próbowała uciekać przed psami, przeskakując z jednego krańca konia na drugi, a nawet wchodząc na jego łeb.

Rollo spojrzał na Babingtona, który całkiem zapomniał o zabawie. Na jego twarzy malowały się duma, uniesienie i strach. Rollo mógł właściwie czytać w jego myślach. Młodzieniec miał dwadzieścia trzy lata, a to była chwila jego chwały.

– Królowa Maria przebywa w Chartley Manor, w hrabstwie Stafford – oznajmił Rollo. – Musisz tam pojechać i przeprowadzić rozpoznanie. Nie próbuj z nią rozmawiać, bo niepotrzebnie ściągniesz na siebie uwagę. Kiedy już będziesz miał gotowy plan, napiszesz do niej i przedstawisz wszystkie szczegóły, a list oddasz w moje ręce. Ja już dopilnuję, by do niej dotarł.

Oczy Babingtona zapłonęły blaskiem.

– Zrobię to – oznajmił. – Z ochotą.

Na arenie koń upadł, a psy dopadły małpę i rozerwały ją na strzępy.

Rollo uścisnął dłoń Babingtona.

– Jak się z tobą skontaktuję? – spytał młody człowiek.

– Nie musisz tego robić. To ja skontaktuję się z tobą.

VI

Ned zabrał Gifforda do Tower. Prawa ręka więźnia przywiązana była sznurem do lewego nadgarstka strażnika.

– Tutaj torturuje się zdrajców – oznajmił Ned swobodnym tonem, gdy weszli na kamienne schody. Gifford był przerażony. Weszli do izby ze stołem i paleniskiem, pustym o tej porze roku. Usiedli po przeciwnych stronach stołu, Gifford wciąż związany ze strażnikiem, który stał obok niego.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł przeraźliwy krzyk mężczyzny.

Gifford zbladł.

– Kto to? – spytał.

– Zdrajca o imieniu Launcelot – wyjaśnił Ned. – Planował zastrzelić królową Elżbietę, kiedy będzie jeździła konno po St James's Park. Podzielił się tym pomysłem z innym katolikiem. Tak się złożyło, że ten był lojalnym poddanym królowej. – Tak się też złożyło, że był również informatorem Neda. – Przypuszczamy, że

Launcelot jest szaleńcem i działa sam, ale sir Francis Walsingham woli się upewnić.

Chłopięca twarz Gifforda była śmiertelnie blada; jego ręce drżały niepowstrzymanie.

– Jeśli nie chcesz przechodzić przez to samo co Launcelot, musisz jedynie zacząć ze mną współpracować. To nic trudnego.

– Nigdy – odparł Gifford, nie potrafił jednak zapanować nad drżeniem głosu.

– Kiedy odbierzesz listy z francuskiej ambasady, przyniesiesz je najpierw do mnie, bym mógł zrobić kopie, a dopiero potem zawieziesz wszystko do Chartley.

– Nie odczytacie ich – powiedział Gifford. – Ja też nie. Są zaszyfrowane.

– To już moje zmartwienie. – Ned miał genialnego deszyfranta o nazwisku Phelippes.

– Królowa Maria zobaczy złamane pieczęcie na listach i domyśli się, co zrobiłem.

– Pieczęcie zostaną odtworzone. – Phelippes był również zdolnym fałszerzem. – Nikt nie zauważy różnicy.

Gifford był zdumiony tymi informacjami. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak fachowe i skuteczne są tajne służby królowej Elżbiety. Zgodnie z tym, czego domyślał się wcześniej Ned,

ten młody człowiek nie miał pojęcia, w co się wplątuje.

– To samo zrobisz po odebraniu listów z Chartley – kontynuował Ned. – Przyniesiesz je do mnie, poczekasz, aż je skopiujemy, a potem zabierzesz do francuskiej ambasady.

– Nigdy nie zdradzę królowej Marii.

Launcelot znów zawył, potem jego krzyk zamienił się w szloch i błagania o litość.

– Szczęściarz z ciebie – rzucił Ned.

Młodzieniec prychnął.

– O, tak. Twoje szczęście polega na tym, że niewiele wiesz – wyjaśnił Ned. – Nie znasz nawet nazwiska Anglika, który zwerbował cię w Paryżu. – Domyślał się, że choć Gifford milczał, znał to nazwisko. – Nazywał się Jean Langlais – rzucił od niechcenia, spoglądając na więźnia.

Gifford nie umiał ukrywać emocji, także zaskoczenia.

– To oczywiście tylko pseudonim, ale nic więcej ci nie powiedział.

Gifford ponownie wydawał się zniechęcony faktem, że Ned tak dużo o nim wie.

– Masz szczęście, bo mogę cię wykorzystać do moich planów, więc jeśli zrobisz, co ci każę, unikniesz łamania kołem.

– Nie zrobię tego.

Launcelot krzyknął jak dusza dręczona w piekle.

Gifford odwrócił się szybko i zwymiotował na podłogę. Pomieszczenie wypełniło się kwaśnym zapachem wymiocin.

Ned wstał.

– Załatwiłem ci tortury na dzisiejsze popołudnie. Wrócę do ciebie jutro. Do tego czasu na pewno zmienisz zdanie.

– Nie, błagam, przestańcie – zaszlochał Launcelot.

Gifford otarł usta i wyszeptał:

– Zrobię to.

– Nie słyszałem. – Ned westchnął.

– Zrobię to, do diabła! – rzucił głośniej Gifford.

– Świetnie. – Ned skinął głową, po czym zwrócił się do strażnika: – Rozwiąż sznur i puść go wolno.

Gifford nie mógł w to uwierzyć.

– Jestem wolny?

– Jeśli zrobisz to, o czym ci mówiłem. Będziesz cały czas pod obserwacją, więc nie myśl sobie, że możesz mnie oszukać.

Launcelot zaczął wzywać swą matkę.

– Kiedy trafisz tu następnym razem, nie będzie już żadnej drogi ucieczki.

– Rozumiem.

– Idź.

Gifford opuścił izbę, a Ned jeszcze przez moment słyszał jego pospieszne kroki na kamiennych schodach. Skinął głową na strażnika i ten również wyszedł. Wyczerpany Ned opadł na krzesło. Zamknął oczy, lecz po minucie Launcelot znów zaczął krzyczeć, musiał więc wyjść.

Opuściwszy Tower, ruszył wolnym krokiem wzdłuż brzegu rzeki. Świeża bryza znad wody zabrała ze sobą zapach wymiocin, który zalegał w jego nozdrzach. Rozglądał się, patrzył na marynarzy, rybaków, ulicznych sprzedawców, ludzi zajętych pracą i wałkoni, setki twarzy, zajętych rozmową, roześmianych, krzyczących, ziewających, śpiewających – ale nie krzyczących z bólu ani spoconych z przerażenia. Normalne życie.

Przeszedł po Moście Londyńskim na południowy brzeg. Tu mieszkała większość hugenotów. Przywieźli z Francji i Niderlandów nowoczesną technologię tkacką i zbijali w Londynie majątki. Byli też klientelą Sylvie.

Jej sklep znajdował się na parterze budynku z muru pruskiego, jednego z szeregu typowo londyńskich domów, gdzie każde piętro wystawało nieco dalej niż to poniżej. Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka. Od razu poczuł

się lepiej, gdy zobaczył rzędy książek i poczuł znajomy zapach papieru i atramentu.

Sylvie rozpakowywała właśnie skrzynkę z Genewy. Na dźwięk jego kroków wyprostowała się i podniosła głowę. Spojrzał w niebieskie oczy żony i pocałował jej miękkie usta.

Odsunęła go od siebie i spytała po angielsku z lekkim francuskim akcentem:

– Co się stało, na miłość boską?

– Musiałem wypełnić nieprzyjemny obowiązek. Opowiem ci o wszystkim, ale najpierw chcę się umyć. – Wyszedł na tylny dziedziniec i zanurzył miskę w beczce z deszczówką. Umył ręce i twarz w zimnej wodzie.

Wróciwszy do domu, wszedł na górę, do pomieszczeń mieszkalnych, i opadł ciężko na swoje ulubione krzesło. Gdy tylko zamknął oczy, znów usłyszał krzyk Launcelota wzywającego matkę.

Po chwili dołączyła do niego Sylvie. Poszła do spiżarni, wyjęła butelkę wina i rozlała je do dwóch pucharów. Wręczyła mu jeden, pocałowała w czoło i usiadła obok, kolano przy kolanie. Ned upił łyk wina i wziął ją za rękę.

– Opowiedz – poprosiła.

– W Tower torturowano dziś człowieka. Groził, że zabije królową. To nie ja go torturowałem, nie umiem tego robić, nie mam do tego nerwów. Ale zaplanowałem przesłuchanie w sąsiednim pokoju, żeby mój podejrzany słyszał krzyki.

– Okropne.

– Podziałało. Zamieniłem naszego wroga w podwójnego agenta. Teraz pracuje dla mnie. Ale wciąż słyszę te krzyki.

Sylvie milczała, ściskając tylko jego dłoń.

– Czasami nienawidzę swojej pracy – wyznał po chwili.

– Dzięki tobie ludzie tacy jak książę Gwizjusz i Pierre Aumande nie mogą zrobić w Anglii tego, co robią we Francji: palić ludzi na stosach za ich przekonania.

– Tylko że aby ich pokonać, stałem się podobny do nich.

– Wcale nie – zaprotestowała. – Nie walczysz o obowiązek wyznawania protestantyzmu, tak jak oni walczą o przymusowy katolicyzm. Ty bronisz tolerancji.

– Na początku tak było. Ale teraz, gdy schwytamy działających potajemnie księży, zabijamy ich bez względu na to, czy stanowią

zagrożenie dla królowej, czy nie. Wiesz, co zrobiliśmy Margaret Clitherow?

– To ta kobieta, którą stracono w Yorku za ukrywanie katolickiego księdza?

– Tak. Rozebrano ją do naga i ułożono na ziemi. Potem przykryto ją jej własnymi drzwiami i kładziono na nich kamienie, aż umarła zmiażdżona ich ciężarem.

– O Boże, nie wiedziałam o tym.

– Obrzydliwość.

– Ale nigdy nie chciałeś, żeby tak to wyglądało! Marzyłeś o tym, by ludzie różnych wyznań byli dobrymi sąsiadami.

– Owszem, ale być może to niemożliwe.

– Roger powiedział mi coś, co ty kiedyś mówiłeś jemu. Pamiętasz, jak spytał cię kiedyś, dlaczego królowa nienawidzi katolików?

– Pamiętam. – Ned się uśmiechnął.

– Nie zapomniał tej rozmowy.

– Może jednak zrobiłem coś dobrego. Co mu odpowiedziałem?

– Że w polityce nie ma świętych, ale nawet niedoskonali ludzie mogą uczynić świat lepszym.

– Naprawdę tak powiedziałem?

– Tak mi to przekazał.

– To dobrze. – Skinął głową. – Mam nadzieję, że to prawda.

VII

Lato przyniosło nową nadzieję Alison; rozpromieniała się wraz z pogodą. Tylko nieliczni mieszkańcy Chartley Manor wiedzieli o sekretnej korespondencji z Anthonym Babingtonem, ale dobry humor Marii dodawał otuchy wszystkim.

Alison była optymistką, ale nie dawała się ponieść euforii. Żałowała, że nie wie więcej o Babingtonie. Pochodził z dobrej katolickiej rodziny i właściwie tyle można było o nim powiedzieć. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. Czy naprawdę będzie w stanie wzniecić i poprowadzić powstanie przeciwko królowej, która dzierżyła władzę od dwudziestu siedmiu lat? Alison chciała znać jego plany.

Szczegóły przedstawiono im w lipcu 1586 roku.

Po wymianie pierwszych listów, które miały służyć nawiązaniu kontaktu i upewnić obie strony, że droga przekazywania informacji została otwarta, Babington przesłał im pełny opis swoich propozycji. Wiadomość dotarła w beczce z piwem i została odszyfrowana przez sekretarza Marii, Claude’a Nau. Alison siedziała z Marią

i Nau w sypialni królowej w Chartley Manor i pochylała się nad listem.

Jego treść napełniała ją ogromną radością.

– Babington pisze o „tym wspaniałym i zaszczytnym przedsięwzięciu” i „ostatniej szansie na odzyskanie wiary naszych ojców”, ale to tylko początek – powiedział Nau, spoglądając na dokument. – Wylicza sześć różnych elementów niezbędnych do tego, by powstanie odniosło sukces. Po pierwsze, obce wojska muszą dokonać inwazji na Anglię. Po drugie, muszą być na tyle liczne, by gwarantować zwycięstwo.

– Podobno książę Gwizjusz ma sześćdziesiąt tysięcy ludzi – wtrąciła Maria.

Alison miała nadzieję, że to prawda.

– Po trzecie, należy wybrać porty, w których można będzie wysadzić armię i dostarczać jej zaopatrzenie.

– Zdaje się, że to zostało załatwione już dawno temu, a mapy trafiły do mojego kuzyna księcia Henryka – rzekła Maria. – Choć Babington może o tym nie wiedzieć.

– Po czwarte, kiedy wylądują tu obce wojska, powinny je wspomóc znaczące miejscowe siły, które ochronią swoje ziemie przed kontratakiem.

– Ludzie spontanicznie przyłączą się do powstania – stwierdziła Maria.

Alison pomyślała, że będą potrzebować do tego jakiejś zachęty, ale nad tym mogli zastanowić się później.

– Babington już o tym pomyślał – poinformował je Nau. – Wybrał mężczyzn, których opisuje jako „swoich poruczników” na zachodzie, na północy, w południowej Walii, w północnej Walii oraz w hrabstwach Lancaster, Derby i Stafford.

Alison uznała, że przygotowania poczynione przez Babingtona są naprawdę imponujące.

– Po piąte, należy uwolnić królową Marię – czytał głośno Nau. – Ja sam wraz z grupą dziesięciu szlachetnie urodzonych mężczyzn i stu wiernych nam ludzi wyrwę Waszą Królewską Mość z rąk nieprzyjaciela.

– Wspaniale. – Maria westchnęła. – Sir Amias Paulet na pewno nie ma stu strażników, a większość z nich i tak mieszka w okolicy, a nie w dworze. Zanim ich zbierze, nas już dawno tu nie będzie.

Alison czuła, że wzbiera w niej coraz większa ochota do działania.

– Po szóste, trzeba zabić Elżbietę. „Aby usunąć uzurpatorkę, posłuszni temu, kim jesteśmy, i wolni za sprawą ekskomuniki Elżbiety, wyślemy sześciu szlachetnie urodzonych

mężczyzn, wyłącznie moich przyjaciół, którzy gorliwie służą sprawie katolickiej i Waszej Wysokości, do wykonania tej tragicznej egzekucji" – przeczytał Nau i dodał: – Sądzę, że jaśniej nie mógł tego ująć.

Bez wątpienia, pomyślała Alison, przejęta dreszczem na myśl o zamordowaniu królowej.

– Muszę szybko na to odpowiedzieć – powiedziała Maria.

– Powinniśmy zważać na słowa – poradził Nau z niepokojem.

– Mogę powiedzieć tylko jedno: Tak.

– Gdyby ten list wpadł w niepowołane ręce…

– Przekażemy go w odpowiednie ręce, a poza tym będzie zaszyfrowany.

– Jeśli jednak wydarzy się coś nieprzewidzianego…

Maria poczerwieniała. Alison znała ją wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że odreagowuje dwadzieścia lat frustracji i gniewu.

– Muszę wykorzystać tę szansę. Inaczej nie ma dla mnie nadziei.

– Odpowiedź na list Babingtona będzie dowodem zdrady.

– Trudno – odrzekła Maria.

VIII

W lipcu 1586 roku Ned po raz kolejny doszedł do wniosku, że praca w tajnych służbach wymaga mnóstwa cierpliwości.

W 1583 roku miał nadzieję, że Francis Throckmorton doprowadzi go do niezbitych dowodów zdrady Marii Stuart. Nadzieje zostały zniweczone, gdy przez złośliwe knowania hrabiego Leicestera musiał zbyt wcześnie ująć Throckmortona. Potem w 1585 roku znalazł jego następcę w postaci Gilberta Gifforda. Tym razem hrabia Leicester nie mógł wejść im w drogę: królowa Elżbieta wysłała go do Niderlandów Hiszpańskich na czele armii, która miała walczyć po stronie zbuntowanych niderlandzkich protestantów przeciwko ich katolickim władcom z Hiszpanii. Leicester w ogóle sobie z tym nie radził – znał się na flirtowaniu i czarowaniu dam, a nie na walce i zabijaniu – ale przynajmniej nie mógł uprzykrzać życia Walsinghamowi.

W rezultacie pozycja Neda była teraz wyjątkowo silna. Maria Stuart nie miała pojęcia, że sir Ned Willard czyta wszystkie wysyłane i odbierane w sekrecie listy. Mimo to po sześciu

miesiącach starań nadal nie znalazł tego, czego szukał.

Oczywiście aluzje do zdrady pojawiały się w każdym liście od Marii Stuart i do niej, bez względu na to, czy korespondowała z Pierre'em Aumande'em czy królem Hiszpanii – Ned potrzebował jednak czegoś, co będzie jednoznaczne i bezdyskusyjne. Taki właśnie list wysłał jej Babington na początku lipca, za co niewątpliwie czekała go śmierć. Teraz Ned wyczekiwał w napięciu odpowiedzi Marii. Chyba będzie musiała jasno przedstawić swoje intencje? Słowa, których użyje w liście, może w końcu doprowadzą ją do zguby.

Odpowiedź trafiła w ręce Neda dziewiętnastego lipca. Miała siedem stron.

Jak zwykle, list napisał i zaszyfrował sekretarz królowej, Claude Nau. Ned dał go do rozszyfrowania Phelippesowi i teraz czekał na wynik jego pracy. Nie mógł się na niczym skoncentrować. Dostał długi list z Madrytu od Jeronimy Ruiz, która opisywała wewnętrzne rozgrywki na hiszpańskim dworze – przeczytał go trzykrotnie, nie zrozumiawszy jednak ani słowa. Poddał się i opuścił dom Walsinghama przy Seething Lane, by wrócić do własnego domu

na obiad. Towarzystwo Sylvie zawsze koiło jego nerwy.

Zamknęła sklep i przygotowała mu łososia w winie z rozmarynem. Kiedy siedzieli w jadalni nad sklepem, opowiedział jej o liście Babingtona i odpowiedzi Marii. Nie miał przed żoną żadnych tajemnic. Przecież oboje byli szpiegami.

Kończyli już posiłek, gdy jeden z asystentów Neda przyniósł odszyfrowaną wiadomość.

List napisany był po francusku. Ned doskonale znał ten język, lecz przekazał tekst Sylvie.

Maria zaczynała od ogólnych pochwał planów Babingtona.

– Już to wystarczy, by oskarżyć ją o zdradę – stwierdził Ned z satysfakcją.

– Jakie to smutne… – Sylvie westchnęła.

Ned spojrzał na nią, unosząc brwi w niemym pytaniu. Była wojującą protestantką, która dla swej wiary wielokrotnie ryzykowała życie, a mimo to litowała się nad Marią Stuart.

Pochwyciła spojrzenie męża.

– Pamiętam jej ślub. Była jeszcze dziewczyną, ale naprawdę piękną; wydawało się, że czeka ją wspaniała przyszłość. Miała zostać królową Francji. Wyglądała wtedy na najszczęśliwszą

młodą kobietę na świecie. I spójrz tylko, co się z nią stało.

– Sama ściągnęła na siebie wszystkie te kłopoty.

– Czy ty w wieku siedemnastu lat podejmowałeś same dobre decyzje?

– Pewnie nie.

– Kiedy ja miałam dziewiętnaście lat, poślubiłam Pierre'a Aumande'a. Czy można nazwać to inaczej niż ściąganiem na siebie kłopotów?

– Rozumiem.

Ned wziął od niej list i czytał dalej. Maria wychodziła poza ogólne pochwały. Komentowała każdy punkt planu Babingtona, zachęcała go, by poczynił jeszcze bardziej szczegółowe przygotowania dotyczące przyjęcia najeźdźców, werbunku miejscowych powstańców oraz gromadzenia zapasów i broni. Prosiła też o dokładniejszy plan uwolnienia jej z Chartley Manor.

– Coraz lepiej… – mruknął.

Co najistotniejsze, prosiła Babingtona, by zastanowił się dobrze, jak zabójcy Elżbiety zrealizują swój morderczy plan.

Przeczytawszy to zdanie, Ned poczuł się tak, jakby ktoś zdjął ogromne brzemię z jego

obolałych pleców. To był niepodważalny dowód. Maria brała aktywny udział w planowaniu królobójstwa. Była równie winna, jakby sama trzymała nóż.

Tak czy inaczej, los Marii Stuart wydawał się przesądzony.

IX

Kiedy Rollo poszedł się zobaczyć z Anthonym Babingtonem, ten bawił się w najlepsze. Przebywał wraz z kilkoma innymi spiskowcami w okazałym londyńskim domu Roberta Pooleya. Wszyscy siedzieli przy stole pełnym pieczonych kurczaków, misek smażonej na maśle cebuli, bochenków świeżego chleba i dzbanów sherry.

Ich beztroska zdumiała i zaniepokoiła Rollo. Ludzie, którzy planują zamach stanu, nie powinni się upijać w środku dnia. Jednakże w odróżnieniu od niego nie byli doświadczonymi spiskowcami, lecz amatorami, którzy wyruszyli na wielką przygodę. Pewność siebie, jaką daje młodość i wysokie urodzenie, sprawiała, że narażali życie.

Rollo złamał własną zasadę, przychodząc do domu Pooleya. Zwykle trzymał się z dala od

miejsc odwiedzanych przez katolików, gdyż wszystkie znajdowały się pod stałą obserwacją ludzi Neda Willarda. Rollo nie widział jednak Babingtona już od tygodnia i musiał sprawdzić, co się dzieje.

Zajrzał do komnaty i przywołał go gestem. Nie czuł się dobrze w domu znanego katolika, wyszli więc obaj na zewnątrz. Obok rozciągał się rozległy ogród i mały sad, w którym rosły figowce i drzewa morwowe. Lecz nawet to miejsce nie wydawało mu się wystarczająco bezpieczne, bo tylko niski murek oddzielał ich od ruchliwej ulicy, turkotu kół wozów, nawoływań sprzedawców i głuchych uderzeń dobiegających z budowy po drugiej stronie domu. Zaproponował, by wyjść z ogrodu.

– Co się dzieje? – spytał, gdy zatrzymali się w cienistym przedsionku pobliskiego kościoła. – Wszystko jakoś ucichło.

– Proszę zetrzeć z twarzy ten ponury grymas, monsieur Langlais – odparł Babington wesoło. – Mam dobre wieści. – Wyjął z kieszeni plik papierów i podał je Rollo teatralnym gestem.

Był to zaszyfrowany list wraz z odszyfrowaną wersją sporządzoną przez Babingtona. Rollo wysunął się z cienia i przeczytał list w blasku słońca. Maria pisała w nim po francusku do

Babingtona, chwaląc jego plany i nakłaniając go do dalej posuniętych przygotowań.

Rollo od razu się uspokoił. Ten list był spełnieniem jego nadziei, ostatnim i decydującym elementem planu. Kiedy zawiezie go księciu Gwizjuszowi, ten natychmiast zacznie werbować armię. Bezbożna dwudziestoośmioletnia tyrania Elżbiety była bliska końca.

– Dobra robota – orzekł Rollo, chowając list do kieszeni. – Jutro wyjeżdżam do Francji. Z Bożą pomocą wrócę z wyzwolicielską armią.

Babington poklepał go po plecach.

– Brawo. A teraz chodź, pobaw się z nami.

Rollo już miał odmówić, lecz nim otworzył usta, instynkt podpowiedział mu, że dzieje się coś niedobrego. Zmarszczył brwi. Na ulicy zapadła dziwna cisza. Wozy się zatrzymały, sprzedawcy umilkli, robotnicy na budowie przerwali pracę. Co się działo?

Złapał Babingtona pod łokieć.

– Musimy się stąd wynosić – syknął.

Babington parsknął śmiechem.

– A niby dlaczego? W jadalni Pooleya zostało jeszcze pół beczki przedniego wina!

– Zamknij się, głupcze, i chodź za mną, jeśli ci życie miłe. – Rollo wszedł do kościoła, o tej porze

cichego pustego, i szybko przedostał się do wyjścia po drugiej stronie budynku. Uchylił drzwi: wychodziły na ulicę. Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz.

Tak jak się obawiał, dom Pooleya został otoczony.

Zbrojni zajmowali pozycje wzdłuż ulicy, obserwowani przez zaintrygowanych budowniczych, kupców i przechodniów. Kilka jardów od Rollo dwaj krzepcy mężczyźni z mieczami zajmowali pozycje przy bramie ogrodu, by w razie potrzeby zatrzymać tam uciekinierów. W tym samym momencie pojawił się Ned Willard, który załomotał do drzwi domu Pooleya.

– Do diabła – syknął Rollo. Jeden ze zbrojnych zaczął odwracać się w jego stronę, więc szybko zamknął drzwi. – Znaleźli nas.

Babington spojrzał na niego przestraszony.

– Kto?

– Willard. To prawa ręka Walsinghama.

– Możemy się ukryć tutaj.

– Nie na długo. Willard jest bardzo skrupulatny. Znajdzie nas, jeśli tu zostaniemy.

– Więc co zrobimy?

– Nie wiem. – Rollo ponownie wyjrzał na zewnątrz.

Drzwi domu Pooleya stały teraz otworem, a Willard zniknął w środku. Zbrojni rozglądali się czujnie, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji. Rollo zamknął drzwi.

– Jak szybko potrafisz biegać?

Babington beknął głośno i pozieleniał.

– Stanę do walki – oświadczył bez przekonania. Sięgnął po miecz, ale okazało się, że go nie ma. Rollo domyślił się, że wisi na haku w holu domu Pooleya.

Nagle usłyszał beczenie owiec.

Zmarszczył brwi. Wytężył słuch i zrozumiał, że to nie jedna owca, lecz całe ich stado. Przypomniał sobie, że przy tej ulicy znajduje się rzeźnia. Jakiś chłop prowadził tam owce, normalna rzecz w każdym mieście świata.

Beczenie się zbliżało.

Rollo wyjrzał na zewnątrz po raz trzeci. Widział teraz stado i czuł jego zapach. Było około stu owiec, szły całą szerokością ulicy. Przechodnie przeklinali je głośno i wchodzili w odrzwia, by zejść im z drogi. Pierwsze zwierzęta zrównały się właśnie z domem Pooleya, a Rollo uświadomił sobie nagle, że te owce mogą mu uratować życie.

– Przygotuj się – rzucił do Babingtona.

Zbrojni byli wściekli, że muszą ustępować przed owcami, ale nie mogli nic na to poradzić. Gdyby to ludzie próbowali ich zepchnąć, pogroziliby im bronią, lecz wystraszone zwierzęta nie reagowały już na żadne polecenia. Rollo parsknąłby śmiechem, gdyby nie bał się o własne życie.

Gdy przewodnicy stada minęli dwóch mężczyzn stojących przy bramie ogrodu, wszyscy zbrojni zostali unieruchomieni. W tym momencie Rollo syknął:

– Teraz! – I otworzył drzwi kościoła.

Wypadł na zewnątrz, prowadząc za sobą Babingtona. Chwilę później oni również zostaliby zablokowani przez owce. Rollo ruszył biegiem ulicą. Tuż obok rozbrzmiewały kroki Babingtona.

– Stać! Stać! – krzyknęli zbrojni. Rollo obejrzał się za siebie i zobaczył, jak kilku z nich próbuje przecisnąć się między owcami.

Przebiegł na ukos przez ulicę, obok karczmy. Jakiś próżniak z kuflem piwa w dłoni próbował podstawić mu nogę, ale Rollo ją przeskoczył. Inni tylko przyglądali się ucieczce. Londyńczycy nie przepadali za zbrojnymi, którzy często – zwłaszcza gdy byli pijani – terroryzowali ludzi. Niektórzy z przechodniów wręcz kibicowali uciekinierom.

Chwilę później Rollo usłyszał huk wystrzału z arkebuza, nie poczuł jednak żadnego uderzenia. Babington również nie zwolnił, więc strzał był niecelny. Tuż potem rozległ się drugi. On także nie przyniósł żadnego skutku, tyle że gapie uciekli do wnętrza budynków, świadomi, że kule nie zawsze lecą tam, gdzie życzyłby sobie strzelec.

Rollo skręcił w boczną uliczkę i w tym momencie uzbrojony w pałkę mężczyzna wyciągnął rękę, by go zatrzymać.

– Straż miejska! Stać!

Członkowie straży mieli prawo zatrzymać i przepytać każdego, kto wzbudził ich podejrzenia. Rollo próbował ominąć napastnika, ale ten zamachnął się pałką. Rollo poczuł ból w ramieniu, stracił równowagę i upadł. Kiedy przetoczył się i podniósł wzrok, zobaczył, jak ręka Babingtona zatacza szeroki łuk, trafia w głowę strażnika i ten pada na ziemię jak rażony gromem. Próbował wstać, ale był zbyt oszołomiony, i z powrotem osunął się na bruk.

Tymczasem Babington pomógł wstać Rollo i pobiegli dalej.

Skręcili w następną uliczkę, zanurkowali w alejkę, dotarli nią na targowisko i zwolnili do marszu. Przepychali się przez tłumy oblegające

stragany. Jeden z handlarzy próbował sprzedać Rollo książeczkę o grzechach papieża, a prostytutka zaproponowała, że zadowoli obu razem za cenę jednego. Rollo obejrzał się za siebie, nie widział jednak pościgu. Udało się! Może inni również mieli szczęście w tym zamieszaniu.

– Bóg zesłał nam na pomoc swoich aniołów – oświadczył z powagą.

– Pod postacią owiec – odrzekł Babington i zarechotał.

X

Alison była zdumiona, gdy gburowaty sir Amias Paulet zasugerował Marii Stuart, by wybrała się z nim oraz kilkoma szlachcicami z okolicy na polowanie. Maria uwielbiała jazdę konną i spotkania towarzyskie, więc natychmiast przystała na tę propozycję. Alison pomogła jej się ubrać. Maria chciała wyglądać ładnie i królewsko zarazem w towarzystwie ludzi, którzy wkrótce mieli zostać jej poddanymi. Przykryła siwiejące włosy peruką i docisnęła je mocno czapką.

Do polowania dopuszczono też Alison oraz sekretarza królowej. Opuścili dziedziniec

Chartley, przejechali nad fosą, a potem ruszyli przez bagna w stronę wioski, gdzie mieli się zebrać uczestnicy wyprawy.

Alison cieszyła się słońcem i wiatrem, ale myślami sięgała ku przyszłości. Wcześniej podejmowano już kilka prób uwolnienia Marii, wszystkie jednak kończyły się gorzkim rozczarowaniem. Wyglądało na to, że ta będzie inna, bo wzięto pod uwagę wszystkie okoliczności.

Minęły trzy tygodnie, odkąd Maria odpowiedziała na list Anthony'ego Babingtona i zaakceptowała jego plan. Jak długo musiały jeszcze czekać? Alison próbowała obliczyć w myślach, ile czasu książę Gwizjusz potrzebuje na zgromadzenie armii. Dwa tygodnie? Miesiąc? Być może wkrótce usłyszą pierwsze plotki o inwazji. Lada dzień mogły dotrzeć do Anglii wieści o flocie zbierającej się przy północnym wybrzeżu Francji i tysiącach żołnierzy wchodzących na pokład okrętów. A może książę Henryk wybierze dyskretniejsze rozwiązanie i do ostatniej chwili będzie ukrywał flotę na rzekach i niezamieszkanych zatokach, by zaskoczyć Anglików.

Kiedy oddawała się takim rozmyślaniom, dostrzegła w oddali grupę jeźdźców, którzy

zmierzali szybko w ich stronę. Serce zabiło jej mocniej. Czyżby to byli ich wybawcy?

Oddział był coraz bliżej. Składał się z sześciu mężczyzn. Alison z trudem panowała nad podnieceniem. Czy Paulet będzie walczył? Zabrał ze sobą dwóch zbrojnych, ale tak czy inaczej, byli w mniejszości.

Oddziałowi przewodził jakiś nieznany jej mężczyzna. Pomimo rosnącej ekscytacji zauważyła, że ma na sobie kosztowne ubranie z zielonej serży zdobionej misternymi haftami. Zapewne był to Anthony Babington.

Spojrzała na Pauleta, który ku jej zdumieniu nie wyglądał wcale na zaniepokojonego. Spotkanie z grupą szybkich jeźdźców na otwartym polu mogło być powodem do obaw, lecz on zachowywał się tak, jakby ich oczekiwał.

Odwróciła się ponownie ku jeźdźcom i z przerażeniem rozpoznała wśród nich szczupłą sylwetkę Neda Willarda. To oznaczało, że przybysze nie jadą im na ratunek. Willard od ćwierć wieku był nemezis Marii. Zbliżał się już do pięćdziesiątki, więc w jego ciemnych włosach pojawiły się pasma siwizny, a na twarzy zmarszczki. Choć jechał na końcu, Alison czuła, że to on jest przywódcą tej grupy.

Paulet przedstawił mężczyznę w zielonej serży jako sir Thomasa Gorgesa, wysłannika królowej Elżbiety. Alison ogarnął nagle lodowaty strach.

Gorges odwrócił się do Marii i wypowiedział zdanie, które bez wątpienia wcześniej już ułożył i przećwiczył:

– Pani, Jej królewska Mość jest ogromnie zdziwiona, że wbrew łączącym was zobowiązaniom i paktom postanowiłaś spiskować przeciwko niej i państwu, w co zapewne nigdy by nie uwierzyła, gdyby nie ujrzała na własne oczy dowodów potwierdzających ten fakt ponad wszelką wątpliwość.

Alison zrozumiała, że nie będzie żadnego polowania. Paulet je wymyślił, by wywabić królową i oddzielić ją od większości jej świty.

Maria była kompletnie zaskoczona. Opuściła ją nagle pewność siebie. Wytrącona z równowagi, mówiła nieskładnie:

– Ja nigdy… Zawsze byłam dobrą siostrą… Jestem przyjaciółką Elżbiety…

Gorges nie zwracał na to uwagi.

– Twoi słudzy, również winni udziału w spisku, będą musieli cię opuścić.

– Muszę zostać z Jej Wysokością! – zaprotestowała Alison.

Gorges spojrzał na Willarda, a ten pokręcił tylko głową.

– Pozostanie pani ze służącymi – odpowiedział jej Gorges.

– Nie pozwól im na to! – zwróciła się do swojego sekretarza Maria.

Nau wyglądał na przerażonego i Alison doskonale go rozumiała. Co mógł zrobić sekretarz?

Maria zeskoczyła z konia i usiadła na ziemi.

– Nigdzie nie pójdę! – oznajmiła.

Po raz pierwszy odezwał się Ned Willard.

– Jedź do tego domu – rozkazał jednemu ze swych ludzi, wskazując budynek za drzewami, jakąś milę dalej. – Na pewno mają wóz. Przyjedź nim tutaj. Jeśli będzie to konieczne, zwiążemy Marię Stuart i położymy ją na wozie.

Maria wstała.

– Pojadę – powiedziała z rezygnacją i z powrotem dosiadła konia.

Gorges wręczył Pauletowi jakiś dokument, prawdopodobnie nakaz aresztowania. Paulet odczytał go i skinął głową. Zatrzymał dokument, zapewne jako dowód, że zmuszono go do

wydania Marii – zabezpieczenie, na wypadek gdyby coś się nie powiodło.

– Czy zostanę stracona? – spytała drżącym głosem Maria. Była blada i drżała na całym ciele.

Alison chciało się płakać.

Paulet spojrzał pogardliwie na królową. Po okrutnie długim milczeniu odpowiedział na jej pytanie:

– Nie dzisiaj.

Oddział eskortujący aresztowaną ruszył w drogę. Jeden z jeźdźców kopnął konia Marii w zad i wystraszone zwierzę poderwało się raptownie, omal nie wyrzucając królowej z siodła. Maria była jednak dobry jeźdźcem, utrzymała się na wierzchowcu i uspokoiła go. Pozostali jechali obok niej i z przodu, otaczając uwięzioną szczelnym kręgiem.

Alison nie kryła już łez, gdy królowa oddalała się od niej, zmierzając zapewne do następnego więzienia. Ale jak do tego doszło? Wszystko wskazywało na to, że Ned Willard odkrył spisek Babingtona.

– Co się z nią stanie? – zwróciła się do Pauleta.

– Odpowie przed sądem za zdradę.

– A potem?

– A potem zostanie ukarana za swoje zbrodnie. Woli Bożej stanie się zadość.

XI

Babington nie dał się łatwo złapać. Ned przeszukał wszystkie londyńskie domy, w których mieszkał spiskowiec, nie znalazł jednak żadnych wskazówek. Wszczął poszukiwania obejmujące cały kraj – rozesłał rysopis Babingtona i jego wspólników szeryfom, kapitanom portów oraz przedstawicielom korony w hrabstwach. Posłał dwóch ludzi do domu rodziców Babingtona w hrabstwie Derby. We wszystkich listach groził karą śmierci każdemu, kto odważy się pomóc spiskowcom.

Właściwie nie przejmował się szczególnie Babingtonem, który nie stanowił już żadnego zagrożenia. Jego spisek został udaremniony. Maria Stuart trafiła do więzienia, a większość spiskowców była właśnie przesłuchiwana w Tower. Wszyscy szlachetnie urodzeni katolicy, którzy przygotowywali się do wsparcia inwazji, teraz pewnie chowali zbroje do skrzyń.

Ned wiedział jednak z długiego i smutnego doświadczenia, że z popiołów starego spisku może wyrosnąć nowy. Musiał znaleźć jakiś sposób na stłumienie go. Uważał, że proces Marii Stuart powinien ją zdyskredytować w oczach

większości jej popleczników, z wyjątkiem tych najbardziej fanatycznych.

Zależało mu jednak bardzo na schwytaniu innego człowieka. Wszyscy przesłuchiwani więźniowie wymieniali nazwisko Jeana Langlais'go. Mówili, że nie jest Francuzem, lecz Anglikiem, a niektórzy poznali go w Angielskim College'u. Opisywali go jako dość wysokiego mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat, z łysiną na czubku głowy – w jego wyglądzie nie było nic szczególnego, co ułatwiłoby identyfikację. Nikt też nie znał jego prawdziwego nazwiska ani pochodzenia.

Sam fakt, że o kimś tak ważnym wiedziano tak niewiele, świadczył zdaniem Neda, że jest to człowiek bardzo kompetentny, a tym samym niebezpieczny.

Przesłuchując Roberta Pooleya, dowiedział się, że zarówno Langlais, jak i Babington przebywali w jego domu zaledwie kilka minut przed nalotem. Prawdopodobnie byli to ci dwaj mężczyźni, którzy uciekli z pobliskiego kościoła, sprzed nosa kilkudziesięciu zbrojnych, korzystając z zamieszania wywołanego przez stado owiec. Zabrakło naprawdę niewiele, by wpadli w ręce Neda. Prawdopodobnie nadal przebywali razem, jeszcze z kilkoma innymi

spiskowcami, których nie udało się dotąd schwytać.

Ned wytropił ich po dziesięciu dniach.

Czternastego sierpnia do domu przy Seething Lane przybył wystraszony jeździec na spoconym koniu. Był to młody członek rodziny Bellamych, znanych katolików, których nie podejrzewano o zdradę. Babington i jego wspólnicy pojawili się na dworze Bellamych, Uxendon Hall, niedaleko wioski Harrow-on-the-Hill, jakieś dwanaście mil na zachód od Londynu. Wyczerpani i wygłodzeni, błagali o schronienie. Ballamy'owie dali im jeść i pić – z obawy o własne życie, jak twierdzili – chcieli jednak, by zbiegowie opuścili ich dom i pojechali dalej. Teraz rodzina bała się, że zostanie powieszona za udzielanie pomocy spiskowcom, i chciała dowieść lojalności, pomagając władzom w ich ujęciu.

Ned natychmiast kazał siodłać konie.

Po niecałych dwóch godzinach szybkiej jazdy dotarł wraz ze zbrojnymi do Harrow-on-the-Hill. Wioska leżała na szczycie wzgórza wznoszącego się nad okolicznymi polami i mogła się poszczycić małą szkołą, założoną niedawno przez miejscowego właściciela ziemskiego. Ned zatrzymał się w wiosce i dowiedział się tam, że

niedawno przeszła tędy grupa obcych obdartusów zmierzających na północ.

Prowadzony przez młodego Bellamy'ego oddział pojechał drogą do granicy parafii Harrow, oznaczonej starym pogańskim głazem, a potem do następnej wioski – Harrow Weald. Za wioską, w gospodzie Serce, dopadli uciekinierów.

Ned i jego ludzie weszli do budynku z mieczami w dłoniach, gotowi do walki, ale Babington i jego towarzysze nie stawiali oporu.

Ned obrzucił ich srogim spojrzeniem. Przedstawiali sobą żałosny widok – obcięli niewprawnie włosy i wysmarowali twarze jakimś sokiem, nieudanie próbując w ten sposób ukryć swą tożsamość. Byli szlachetnie urodzonymi młodymi ludźmi przywykłymi do miękkich łóżek, a przez ostatnie dziesięć dni musieli spać w spartańskich warunkach. Wydawało się, że niemal odetchnęli z ulgą, gdy w końcu zostali schwytani.

– Który z was to Jean Langlais? – spytał Ned.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Nie ma go tu – odparł w końcu Babington.

XII

Pierwszego dnia lutego 1587 roku frustracja Neda osiągnęła punkt kulminacyjny. Powiedział Sylvie, że zastanawia się nad odejściem z tajnych służb królowej. Gotów był wycofać się z życia dworskiego, pełnić obowiązki posła reprezentującego Kingsbridge i pomagać Sylvie prowadzić sklep. Byłoby to nudniejsze, ale szczęśliwsze życie.

Powodem jego irytacji była Elżbieta.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, by uwolnić ją od zagrożenia, jakie stanowiła dla niej Maria Stuart. Królowa Szkotów przebywała teraz w zamku Fotheringhay w hrabstwie Northampton i choć ostatecznie pozwolono jej zatrzymać przy sobie służbę, Ned dopilnował, by strzegł jej nieprzejednany sir Amias Paulet. W październiku na procesie Marii przedstawiono zgromadzony przez Neda materiał dowodowy i została oskarżona o zdradę. W listopadzie parlament skazał ją na śmierć. Na początku grudnia w całym kraju ogłoszono wiadomość o wyroku, przyjętą ogólną radością. Walsingham natychmiast sporządził rozkaz wykonania wyroku. Aby jednak mogło dojść do egzekucji, Elżbieta musiała go podpisać. Dawny mentor

Neda, sir William Cecil, obecnie lord Burghley, pochwalił dobór słów w uzasadnieniu wyroku.

Minęły niemal dwa miesiące, a Elżbieta wciąż nie podpisała dokumentu.

Ku zdumieniu Neda Sylvie ją popierała.

– Nie chce zabijać królowej – powiedziała. – To byłoby precedensem. A przecież sama jest królową. I nie ona jedna tak to widzi. Wszyscy monarchowie w Europie będą oburzeni, jeśli straci Marię. Kto wie, czy nie zapragną zemsty?

Nie potrafił zrozumieć takiego punktu widzenia. Poświęcił życie ochronie królowej i teraz miał poczucie, że ta odrzuca jego wysiłki.

Jakby na poparcie słów Sylvie, pierwszego lutego Elżbietę odwiedzili w pałacu Greenwich ambasadorzy z Francji i Szkocji, by błagać ją o zachowanie Marii przy życiu. Królowa Anglii nie chciała konfliktu z żadnych z tych krajów. Niedawno podpisała porozumienie pokojowe z królem Szkocji, Jakubem VI, synem Marii. Lecz jej życie wciąż było zagrożone. W styczniu niejaki William Stafford przyznał, że zamierzał otruć królową. Walsingham nagłośnił tę historię, przedstawiając ją jako znacznie groźniejszą, niż była w rzeczywistości, by w ten sposób zdobyć poparcie dla egzekucji Marii. Tak czy inaczej, był to kolejny dowód na to, że dopóki żyje Maria

Stuart, Elżbieta nigdy nie będzie mogła czuć się bezpiecznie.

Po wyjściu ambasadorów Ned postanowił ponownie przedstawić jej nakaz wykonania wyroku śmierci. Łudził się nadzieją, że może tym razem będzie w innym nastroju i zmieni zdanie.

Pracował z Williamem Davisonem, który zastępował chorego sekretarza stanu – Walsinghama. Davison przystał na plan Neda, zresztą wszyscy doradcy Elżbiety pragnęli, by w końcu zamknęła tę sprawę. Obaj włożyli nakaz w środek całego pliku dokumentów, które miała podpisać.

Ned wiedział, że królowa nie da się nabrać na ten mały podstęp. Ale może udawać, że się nabrała. Wyczuwał, że szuka rozwiązania, które pozwoli jej podpisać nakaz, a potem twierdzić, że wcale nie miała takiego zamiaru. Jeśli rzeczywiście tego chciała, był gotów jej pomóc.

Kiedy weszli do jej komnaty, zauważył z ulgą, że Elżbieta jest w dobrym humorze.

– Niezwykle łagodna pogoda jak na luty – powiedziała. Królowej często było za gorąco. Sylvie uważała, że to kwestia jej wieku; miała pięćdziesiąt trzy lata. – Dobrze się czujesz, Davison? Masz wystarczająco dużo ruchu? Zbyt ciężko pracujesz.

– Czuję się świetnie, to bardzo miłe, że Wasza Wysokość zechciała o to zapytać.

Nie przekomarzała się z Nedem. Wiedziała, że jest na nią zły za odkładanie tak ważnej decyzji. Nigdy nie umiał ukrywać przed nią swych uczuć. Znała go zbyt dobrze, prawdopodobnie równie dobrze jak Sylvie.

Miała niezwykłą intuicję, co zaprezentowała właśnie w tej chwili. Wciąż zwracając się do Davisona, spytała:

– Czy w tym pliku papierów, który tulisz do piersi jak ukochane dziecię, jest może nakaz wykonania wyroku?

Nedowi zrobiło się głupio. Nie miał pojęcia, jak na to wpadła.

– Tak – przyznał Davison.

– Daj mi go.

Davison wyjął właściwy dokument spośród pozostałych i podał go królowej, składając przy tym pokłon. Ned obawiał się, że Elżbieta zbeszta ich za próbę oszustwa, lecz nie zrobiła tego. Przeczytała dokument, trzymając go przed sobą w wyprostowanej ręce, miała bowiem coraz większe problemy ze wzrokiem.

– Przynieście mi pióro i atrament – poleciła w końcu.

Zdumiony Ned podszedł do stolika, wziął jedno i drugie i jej podał.

Naprawdę zamierzała podpisać? Czy tylko się z nim droczyła, jak z tymi wszystkimi europejskimi książętami, którzy chcieli ją poślubić? Nigdy nie wyszła za mąż i być może nigdy nie podpisze rozkazu wykonania wyroku śmierci na Marii Stuart.

Zanurzyła pióro w kałamarzu, który trzymał w dłoni. Zawahała się na moment, spojrzała na Neda z nieodgadnionym uśmiechem, a potem złożyła zamaszysty podpis na dokumencie.

Wciąż nie wierząc, że naprawdę to zrobiła, Ned wziął od niej nakaz i przekazał go Davisonowi.

– Nie jest wam przykro patrzeć na coś takiego? – spytała królowa, wyraźnie zasmucona.

– Wolę widzieć Waszą Wysokość przy życiu, nawet kosztem życia innej królowej – odrzekł Davison.

Dobra odpowiedź, pomyślał Ned. Przypominała Elżbiecie, że Maria Stuart, gdyby tylko mogła, zabiłaby ją.

– Zanieście ten papier do Lorda Kanclerza, niech złoży na nim pieczęć.

Jeszcze lepiej, ucieszył się Ned. Królowa na pewno nie żartowała.

– Tak, Wasza Wysokość – potwierdził Davison.

– Ale postępuj z tym dokumentem tak dyskretnie, jak tylko się da – dodała Elżbieta.

– Tak, Wasza Wysokość.

Ned pomyślał, że Davison może spokojnie jej potakiwać, ale co, u diaska, miała na myśli, mówiąc, by postępował dyskretnie? Postanowił o to nie pytać.

– Powiedz Walsinghamowi, co zrobiłam – zwróciła się do Neda. – Choć nie wiem, czy tak wielka ulga go nie zabije – dorzuciła sarkastycznym tonem.

– Nie jest aż tak chory, Bogu dzięki.

– Przekaż mu, że egzekucję trzeba wykonać w zamku Fotheringhay, nie na dziedzińcu. Nie publicznie.

– Oczywiście.

Królowa zamyśliła się na chwilę.

– Gdyby tak jakiś lojalny przyjaciel zadał jej skrycie śmiertelny cios… – odezwała się w końcu cicho, nie patrząc na żadnego z nich. – Ambasadorowie Francji i Szkocji nie mogliby mnie o to obwiniać.

Ned był zszokowany. Proponowała morderstwo. Natychmiast postanowił, że nie będzie miał nic wspólnego z takim planem, nikomu nawet o nim nie wspomni. Królowa

z łatwością mogłaby się wyprzeć takiej sugestii i dowieść swej niewinności, wieszając zabójcę.

Spojrzała prosto na Neda. Wyczuwając jego opór, odwróciła się do Davisona. On także milczał. Westchnęła więc ciężko.

– Wyślijcie wiadomość do sir Amiasa w Fotheringhay – nakazała. – Napiszcie, że królowej jest przykro, że nie znalazł sposobu na skrócenie życia Marii Stuart, która o każdej porze dnia i nocy jest narażona na wielkie niebezpieczeństwo.

Takie postawienie sprawy wydawało się bezwzględne nawet jak na Elżbietę. Określenia „skrócić jej życie" nie dało się nawet nazwać eufemizmem. Ned wiedział jednak, że Paulet nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego. Te same sztywne zasady, które kazały mu traktować więźniów z wielką surowością, powstrzymywały go od zabicia Marii. Nie byłby w stanie przekonać samego siebie, że to morderstwo jest wolą Boga. Odmówiłby prośbie Elżbiety, a ta prawdopodobnie ukarałaby go za to. Nie miała cierpliwości do ludzi, którzy nie byli jej posłuszni.

Odprawiła Davisona i Neda.

Gdy obaj wyszli z komnaty, Ned zwrócił się cicho do Davisona:

– Kiedy już dokument będzie opatrzony pieczęcią, zanieś go do lorda Burghleya. Prawdopodobnie zwoła nadzwyczajne posiedzenie Tajnej Rady Królewskiej. Jestem pewien, że rada postanowi wysłać nakaz do Fotheringhay, nie konsultując się więcej z Jej Wysokością. Wszyscy chcą załatwić to jak najszybciej.

– A co ty zrobisz? – spytał Davison.

– Ja? Wynajmę kata.

XIII

Jedynym członkiem dworu Marii Stuart, który nie płakał, była ona sama.

Kobiety siedziały przy jej łożu przez całą noc. Nikt nie spał. Z głównej sali dochodziły odgłosy pracy cieśli, którzy wznosili zapewne szafot. Za drzwiami komnaty Marii przez całą noc słychać było tupot nóg wartowników przechadzających się po korytarzu. Paulet obawiał się, że ktoś spróbuje ratować królową, i wzmocnił straże.

Maria wstała o szóstej, gdy było jeszcze ciemno, i Alison ubierała ją przy blasku świecy. Królowa wybrała ciemnoczerwoną spodnią suknię i gorset z czerwonego atłasu, z dużym

dekoltem. Na wierzch kazała sobie włożyć czarną atłasową suknię i pelerynę z takiej samej tkaniny ze złotymi haftami i rozcięciami na rękawach, ukazującymi fioletową podszewkę. Futrzany kołnierz chronił ją przed chłodem panującym we wnętrzu posępnego zamku Fotheringhay. Alison pomogła jej włożyć białe nakrycie głowy z długim koronkowym welonem, który opadał na plecy i sięgał samej ziemi. Przypominał Alison wspaniały tren z niebiesko-szarego aksamitu, który włożyła na ślub Marii w Paryżu, tak wiele smutnych lat temu.

Potem Maria poszła do małej kaplicy, by pomodlić się w samotności. Alison i inni pozostali na zewnątrz. Kiedy czekali na królową, za oknami wstał świt. Alison wyjrzała na zewnątrz – zanosiło się na piękny słoneczny dzień. Nie wiadomo czemu, ten drobny szczegół wzbudził w niej gniew.

Wkrótce po tym, jak zegar wybił ósmą, rozległo się głośne i natarczywe pukanie do drzwi kwater Marii.

– Lordowie czekają na królową! – zawołał jakiś mężczyzna.

Aż do tej chwili Alison nie wierzyła do końca, że Maria naprawdę zginie. Wyobrażała sobie, że to jakieś oszustwo, złośliwy teatrzyk

przygotowany przez Pauleta – albo przez Elżbietę, która w ostatniej chwili odwoła egzekucję. Przypomniała sobie, że William Appletree, który strzelał do Elżbiety, gdy ta pływała barką po Tamizie, został ułaskawiony, gdy stał już na szafocie. Jeśli jednak przybyli tu lordowie, którzy mieli być świadkami egzekucji, nie mogło być mowy o przedstawieniu. Alison poczuła, jak jej serce zamienia się w bryłę ołowiu, a nogi uginają się w kolanach. Najchętniej położyłaby się teraz, zamknęła oczy i zasnęła na zawsze.

Musiała jednak opiekować się królową.

Zapukała do drzwi kaplicy i zajrzała do środka. Maria klęczała przed ołtarzem, trzymając w rękach łacińską książeczkę do nabożeństwa.

– Dajcie mi jeszcze chwilę, chcę dokończyć modlitwę – powiedziała.

Alison przekazała tę prośbę mężczyznom stojącym na korytarzu, lecz ci nie mieli ochoty na ustępstwa. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i do komnaty wszedł szeryf.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli ciągnąć jej tam siłą. – W jego głosie pobrzmiewała nuta paniki. Z zaskoczeniem wyczuła, że on również jest zdenerwowany.

Gdy bez pukania otworzył drzwi kaplicy, Maria natychmiast podniosła się na równe nogi. Była blada, ale spokojna, a Alison – która znała ją doskonale – zrozumiała w tym momencie, że królowa zachowa swe monarsze maniery do samego końca. Odetchnęła z ulgą; czułaby się jeszcze gorzej, gdyby Maria straciła nie tylko życie, ale i godność.

– Proszę za mną – rzekł szeryf.

Maria odwróciła się na moment i sięgnęła po krucyfiks z kości słoniowej zawieszony na ścianie nad ołtarzem. Przyciskając krzyż do piersi i trzymając w dłoni modlitewnik, ruszyła za szeryfem. Alison podążyła za nią.

Maria była o wiele wyższa od szeryfa. Choć za sprawą choroby i niewoli nabrała ciała, a ostatnimi czasy zaczęła się garbić, teraz szła wyprostowana, równym krokiem, z wysoko uniesioną głową. Alison była z niej dumna.

Zatrzymano je w małym pomieszczeniu przed główną salą.

– Od tego miejsca królowa idzie sama – oznajmił szeryf.

Służące Marii zaczęły protestować, lecz mężczyzna był nieugięty.

– Rozkazy królowej Elżbiety – wyjaśnił.

– Nie wierzę ci – odezwała się stanowczym tonem Maria. – Jako królowa dziewica, Elżbieta nigdy nie pozwoliłaby innej kobiecie umierać bez towarzystwa damy.

Szeryf znów ją zignorował i otworzył drzwi sali.

Alison ujrzała prowizoryczne podium o wysokości około dwóch stóp, przykryte czarnym płótnem, oraz zgromadzony wokół niego tłum arystokratów.

Maria zrobiła krok do przodu, a potem zatrzymała się nagle, nie pozwalając, by zamknięto za nią drzwi.

– Błagam wasze lordowskie moście, pozwólcie członkom mojego dworu być ze mną, by później mogli opowiadać, jak umarłam – powiedziała donośnym, mocnym głosem.

– Mogą zanurzać chusteczki w jej krwi, a potem wykorzystywać je jako bluźniercze relikwie dla przesądnych głupców! – zawołał ktoś.

Alison zrozumiała, że niektórzy już się martwili, jak lud zareaguje na tę egzekucję, i zastanawiali się, jak w związku z tym postępować. Choćby nie wiadomo co robili, wszyscy, którzy biorą udział w tym nikczemnym

spektaklu, będą przez całą wieczność skazani na nienawiść i odrzucenie, pomyślała z gniewem.

– Nie zrobią tego – odpowiedziała Maria. – Daję wam moje słowo.

Lordowie zbili się w ciasną grupkę i naradzali przez chwilę przytłumionymi głosami. W końcu ktoś oznajmił:

– Dobrze, ale tylko sześć osób.

Maria ustąpiła. Wskazała palcem, które osoby wybiera – zaczynając od Alison – po czym ruszyła naprzód.

Alison widziała teraz całą salę. Podium znajdowało się pośrodku. Na stołkach ustawionych na szafocie siedzieli dwaj mężczyźni, w których rozpoznała hrabiów Kent i Shrewsbury. Trzeci stołek, z poduszką, przeznaczony był zapewne dla Marii. Przed nim stał pień przykryty czarnym płótnem, a na podłodze leżał wielki, świeżo naostrzony topór.

Przed szafotem siedzieli Paulet i nieznany Alison mężczyzna. Z boku stał krzepki mężczyzna w roboczym ubraniu – jedyny człowiek na sali w takim stroju. Po chwili konsternacji Alison zrozumiała, że to kat. Wokół stali w kręgu zbrojni. Nieco dalej za nimi czekał wielki tłum gapiów, bo egzekucja musiała odbyć się przy świadkach.

Alison dostrzegła w tłumie sir Neda Willarda. To głównie za jego sprawą dziś odbywało się to ponure widowisko. Potrafił przechytrzyć wrogów Elżbiety na każdym kroku. Teraz jednak wcale nie zachowywał się triumfująco. Wręcz przeciwnie, wydawał się przerażony widokiem szafotu, topora i skazanej królowej. Alison wolałaby, żeby chełpił się swoim zwycięstwem – mogłaby go wtedy bardziej nienawidzić.

W potężnym kominku płonęły grube polana, ale wydawało się, że trawiący je ogień nie daje wcale ciepła. Alison zdała sobie sprawę, że w zamku musi być zimniej niż na zalanym słońcem dziedzińcu, który widziała przez okna.

Kiedy Maria zbliżyła się do podestu, Paulet wstał, by podać jej rękę i pomóc wejść po schodach.

– Dziękuję – powiedziała. Dostrzegła jednak okrutną ironię tego gestu i dodała gorzko: – To ostatni kłopot, jaki panu sprawiam.

Z uniesioną głową pokonała trzy stopnie i spokojnie zajęła miejsce na stołku skazańca.

Gdy odczytywano uzasadnienie wyroku, siedziała w bezruchu, z kamienną twarzą, lecz kiedy kapłan zaczął się głośno i pompatycznie modlić, prosząc Boga, by w ostatniej chwili

nawrócił ją na protestancką wiarę, zaprotestowała:

– Trwam w starej religii rzymskokatolickiej – oświadczyła z królewską stanowczością. – I zamierzam przelać krew w jej obronie.

Kapłan modlił się dalej, jakby jej nie słyszał.

Odwróciła się do niego plecami i otworzyła swój łaciński modlitewnik. Zaczęła czytać, głośno i spokojnie, podczas gdy pastor kontynuował. Alison pomyślała z dumą, że spośród tych dwojga królowa zachowuje się zdecydowanie godniej. Po chwili Maria zsunęła się ze stołka na kolana i modliła się dalej przed pniakiem, jakby był to ołtarz.

Wreszcie modlitwy dobiegły końca. Maria musiała zdjąć wierzchnie okrycie, więc Alison wyszła na podest, by jej pomóc. Wydawało się, że królowa chce się szybko rozebrać, by mieć to wszystko już za sobą. Alison zdejmowała z niej pelerynę i wierzchnią suknię najsprawniej, jak potrafiła. Na koniec ściągnęła nakrycie głowy z welonem.

Maria stała nieruchomo, w krwistoczerwonych ubraniach, niczym ucieleśnienie katolickiej męczennicy. W tym momencie Alison zrozumiała, że wybrała ten strój właśnie z tego powodu.

Służące szlochały i modliły się głośno.

– Nie płaczcie po mnie – powiedziała Maria po francusku.

Kat wziął do ręki topór.

Jedna ze służących przyniosła białą opaskę i zasłoniła nią oczy królowej.

Maria uklękła. Chwyciła pień i ułożyła na nim głowę, odsłaniając białą szyję. Za chwilę ostrze topora miało się wbić w to delikatne ciało. Groza przejmowała Alison do szpiku kości.

Maria zawołała głośno po łacinie:

– W twoje ręce, o Panie, składam ducha mego!

Kat podniósł topór i uderzył z całych sił.

Nie trafił. Ostrze nie przecięło szyi Marii, lecz wbiło się w tył jej głowy. Alison nie mogła się już dłużej powstrzymać; zaszlochała głośno. Był to najstraszniejszy widok, jaki widziała w całym swym życiu.

Maria nie się ruszała ani nie wydawała żadnych dźwięków. Być może była już nieprzytomna.

Kat ponownie podniósł topór i uderzył po raz drugi, tym razem celniej. Stalowe ostrze przecięło szyję we właściwym miejscu, lecz nie przecięło jednego ścięgna i głowa nie spadła na szafot.

Kat, trzymając oburącz topór, przepiłował ścięgno.

W końcu głowa Marii spadła z pnia na warstwę słomy, którą ułożono tu specjalnie w tym celu.

Mężczyzna podniósł głowę za włosy, by wszyscy mogli ją zobaczyć.

– Boże, chroń królową! – powiedział.

W tym momencie, ku przerażeniu i odrazie Alison, peruka, którą nosiła Maria, oderwała się, głowa spadła na szafot i kat został z kręconą rudą peruką w ręce. Wszyscy zobaczyli krótkie, siwe włosy na leżącej na słomie głowie.

Wstrząśnięta tą ostatnią straszliwą zniewagą Alison zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ 25

I

Sylvie robiło się niedobrze na myśl o hiszpańskiej inwazji. Wyobrażała sobie kolejną noc świętego Bartłomieja. Miała przed oczami sterty okaleczonych nagich ciał na ulicach Paryża. Dotąd myślała, że udało jej się uciec od tego wszystkiego. Czy historia naprawdę mogła się powtórzyć?

Wrogowie królowej Elżbiety zmienili taktykę i zastąpili spiski otwartymi działaniami. Król Hiszpanii Filip gromadził armadę. Od dawna już zastanawiał się nad takim rozwiązaniem, lecz w oczach europejskich przywódców ścięcie Marii Stuart całkowicie usprawiedliwiało teraz inwazję. Skąpy papież Sykstus był do tego stopnia zszokowany egzekucją królowej, że obiecał wyłożyć milion złotych dukatów na pokrycie kosztów wojny.

Ned dawno już wiedział o armadzie, a obecnie był to najgorzej strzeżony sekret Europy. Sylvie słyszała dyskusje na ten temat w świątyni francuskich protestantów w Londynie. Król Filip nie mógł ukryć setek statków i tysięcy żołnierzy stacjonujących w pobliżu Lizbony. Jego marynarka wojenna kupowała miliony ton różnych towarów – jedzenia, prochu strzelniczego, kul armatnich i beczek do przechowywania zapasów – a zaopatrzeniowcy króla szukali tych produktów po całej Europie. Sylvie wiedziała, że dokonują zakupów nawet w Anglii, bo pewien kupiec z Kingsbridge, Elijah Cordwainer, został powieszony za handel z Hiszpanami.

Chcąc koniecznie poznać plany wojenne Filipa, Ned poprosił o pomoc żonę. Sylvie zwróciła się więc do swoich ludzi w Paryżu, by szukali wszelkich informacji na ten temat. Mniej więcej w tym samym czasie otrzymali wiadomość od Barneya. Jego statek *Alice* cumował krótko w Dover, w drodze do portu Combe, i Barney wykorzystał tę okazję, by napisać do brata. W liście informował go, że będzie w Kingsbridge za kilka dni i że z pewnego powodu bardzo chciałby się z nim zobaczyć.

Sylvie miała kompetentną pomocnicę, która mogła prowadzić sklep pod jej nieobecność. Ned również mógł sobie pozwolić na kilkudniowy wyjazd z Londynu. Dotarli do Kingsbridge przed Barneyem. Nie wiedzieli, kiedy mogą się go spodziewać, wychodzili więc na nabrzeże codziennie rano, gdy przypływała barka z portu Combe. Towarzyszył im syn Barneya, Alfo, który miał teraz dwadzieścia trzy lata, oraz Valerie Forneron.

Alfo spotykał się z Valerie, śliczną córką hugenockiego imigranta i wytwórcy batystu, Guillaume'a Fornerona. Była jedną z wielu dziewczyn, które pociągał urok Alfa – odziedziczony bez wątpienia po ojcu – oraz jego egzotyczna uroda. Sylvie zastanawiała się, czy Guillaume nie ma nic przeciwko zalotnikowi tak różniącemu się od większości Anglików. Wyglądało jednak na to, że dla niego liczyło się tylko wyznanie Alfa. Gdyby Valerie zakochała się w katoliku, nie obyłoby się bez awantury.

Alfo zwierzył się Sylvie, że są już z Valerie po słowie i że chcą się pobrać.

– Myślisz, że kapitan będzie miał coś przeciwko? – zapytał niespokojnie. – Nie miałem jak spytać go o zdanie.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Powiedz mu, że jest ci przykro, że nie mogłeś poprosić go o pozwolenie, bo nie było go tutaj przez trzy lata, ale wiedziałeś, że Valerie mu się spodoba. Myślę, że nie będzie miał do ciebie pretensji.

Barney przypłynął trzeciego ranka i miał dla nich ogromną niespodziankę. Zszedł z barki w towarzystwie rumianej, mniej więcej czterdziestoletniej kobiety z gęstymi, kręconymi włosami i szerokim uśmiechem.

– To jest Helga – oznajmił, wyraźnie z siebie zadowolony. – Moja żona.

Helga natychmiast podeszła do Alfa. Ujęła jego dłonie i odezwała się po angielsku z niemieckim akcentem.

– Twój ojciec opowiadał mi dużo o twojej matce, więc wiem, że nigdy nie będę w stanie jej zastąpić. Ale mam nadzieję, że się polubimy. Postaram się nie zachowywać tak jak te podłe macochy z bajek.

Sylvie pomyślała, że Helga nie mogła ująć tego lepiej.

Poznawali historię jej związku z Barneyem po kawałku, odkrywając coraz to nowe szczegóły. Helga była bezdzietną wdową z Hamburga; handlowała z powodzeniem złocistym niemieckim winem zwanym reńskim. Barney

został najpierw jej klientem, a potem kochankiem i narzeczonym. Sprzedała swój interes, by go poślubić, zamierzała jednak założyć nowy, właśnie w Kingsbridge, i importować wino z Nadrenii.

Alfo przedstawił ojcu i jego żonie Valerie i gdy szukał odpowiednich słów, by poinformować Barneya, że są zaręczeni, ten go uprzedził.

– Jest cudowna – powiedział. – Żeń się z nią, i to szybko.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Właśnie to zamierzam zrobić, kapitanie – bąknął Alfo.

Sylvie uwielbiała tego rodzaju spotkania; wszyscy ściskali się na powitanie, podawali sobie dłonie, dzielili się nowościami, kilka osób mówiło jednocześnie, rozmowy raz po raz przerywał radosny śmiech. W takich chwilach zawsze porównywała rodzinę Neda ze swoją. Było ich tylko troje, rodzice i ona, a potem tylko ona z matką. Na początku krewni męża trochę ją onieśmielali, teraz jednak cieszyła się na rodzinne uroczystości i zjazdy.

W końcu ruszyli główną ulicą w górę zbocza. Kiedy dotarli do domu, Barney spojrzał na drugą stronę rynku i zawołał:

– Ho, ho! A cóż to się stało z ruinami klasztoru?!

– Chodź, sam zobacz – odpowiedział mu syn i poprowadził wszystkich przez nowe wejście w zachodniej ścianie krużganków.

Wybrukował cały dziedziniec, by ludzie nie roznosili tam błota. Wyremontował arkady i sklepienia, umieszczając pod każdym z łuków oddzielny stragan, przy których kręciły się teraz tłumy kupujących.

– Czyżby ziścił się sen naszej matki? – odezwał się Barney. – Czyje to dzieło?

– Twoje, kapitanie – odparł Alfo.

– Kupiłem to miejsce za twoje pieniądze – wtrącił Ned, zwracając się do brata. – A Alfo zamienił je w zadaszone targowisko, o którym mama marzyła prawie trzydzieści lat.

– Jest wspaniałe! – zachwycił się Barney.

– I zarabia dla ciebie masę pieniędzy – dodał z dumą Alfo.

Sylvie, która doskonale znała potrzeby kupców, udzieliła mu wielu cennych rad, gdy planował remont klasztoru. Teraz Alfo, jak mają to w zwyczaju młodzi mężczyźni, nie wspominał o otrzymanej od niej pomocy, a Sylvie, jak mają to w zwyczaju kochające ciotki, nie wypomniała mu tego.

Należało jednak przyznać, że Alfo miał talent do interesów. Sylvie przypuszczała, że odziedziczył go po matce, która podobno robiła najlepszy rum w Nowej Hiszpanii.

– Straszny tu tłok – zauważył Barney.

– Chcę rozszerzyć targowisko i wykorzystać także stary refektarz – odpowiedział mu syn, po czym dodał szybko: – Jeśli nie masz nic przeciwko, kapitanie.

– To chyba dobry pomysł. – Barney skinął głową. – Później będziemy musieli razem przeanalizować koszty. Mamy mnóstwo czasu.

Wrócili na drugą stronę rynku i w końcu weszli do domu. Rodzina zgromadziła się przy stole w jadalni na wspólny obiad, i rozmowa w końcu zeszła na temat hiszpańskiej inwazji.

– I to po tym wszystkim, co zrobiliśmy – żalił się Ned ze smutkiem, który poruszał wrażliwą strunę w sercu jego żony. – Chcieliśmy tylko mieć kraj, w którym każdy będzie mógł sam godzić się z Bogiem, a nie powtarzać modlitw jak papuga. Ale nie pozwolą nam na to.

– Czy w Hiszpanii istnieje niewolnictwo, kapitanie? – zwrócił się Alfo do ojca.

Skąd to pytanie? – zastanawiała się Sylvie, zdziwiona nagłą zmianą tematu. Przypomniała sobie moment, gdy Alfo zainteresował się

tematem niewolnictwa. Miał wtedy trzynaście lub czternaście lat. Matka mówiła mu kiedyś, że jego babka była niewolnicą i że wielu niewolników ma ciemną skórę, jak on. Uspokoił się, gdy powiedziano mu, że w Anglii niewolnictwo jest zakazane, teraz jednak Sylvie uświadomiła sobie, że nie zapomniał o tym, co usłyszał od matki. Dla niego Anglia oznaczała wolność, a perspektywa hiszpańskiej inwazji obudziła stare lęki.

– Tak – potwierdził Barney. – W Hiszpanii istnieje niewolnictwo. W Sewilli, gdzie kiedyś mieszkałem, każda bogata rodzina ma niewolników.

– Czy ci niewolnicy są ciemnoskórzy?

– Owszem. – Barney westchnął ciężko. – Część jest Europejczykami, jeńcami wojennymi. Ci są głównie osadzeni na galerach. Ale większość niewolników pochodzi z Afryki lub Turcji.

– Czy jeśli Hiszpanie nas podbiją, zmienią też nasze prawo?

– Z całą pewnością. Zmuszą nas wszystkich do przyjęcia katolicyzmu. O to głównie chodzi.

– I wprowadzą niewolnictwo?

– Możliwe.

Alfo pokiwał posępnie głową, a Sylvie pomyślała, że być może do końca życia będzie

musiał zmagać się z tego rodzaju obawami.

– Nie możemy jakoś zapobiec inwazji? – spytała.

– No właśnie – rzucił Barney. – Nie powinniśmy czekać na Hiszpanów z założonymi rękami. Powinniśmy uderzyć pierwsi.

– Już przedstawiliśmy królowej taką propozycję: atak wyprzedzający – powiedział Ned.

– Zatrzymać ich, nim zaczną.

– Zaatakować, zanim wyruszą w drogę, i poczynić przynajmniej tyle szkód, by król Filip dobrze się zastanowił – dodał Ned.

– Królowa na to przystała? – spytał z przejęciem jego brat.

– Postanowiła wysłać sześć jednostek: cztery okręty wojenne i dwie pinasy. – Pinasy były mniejszymi, szybszymi statkami, używanymi często do przeprowadzania zwiadu i przekazywania wiadomości, ale rzadko brały udział w walce.

– Cztery okręty wojenne przeciwko najbogatszemu i najpotężniejszemu krajowi na świecie? – obruszył się Barney. – To za mało!

– Nie możemy narażać całej marynarki wojennej! Anglia zostałaby bez obrony. Ale zapraszamy statki handlowe, by dołączyły do

naszej floty. Jeśli misja zakończy się sukcesem, będzie można zgarnąć spore łupy.

– Płynę – postanowił natychmiast Barney.

– Och… – Helga do tej pory prawie nie zabierała głosu. Teraz uznała, że musi to zrobić. – Tak szybko?

Sylvie zrobiło się jej żal, ale w końcu Helga wyszła przecież za marynarza. Ludzie morza prowadzą niebezpieczne życie.

– Wezmę oba statki. – Barney miał *Alice* i *Bellę*. – Kto dowodzi?

– Sir Francis Drake – odparł Ned.

– Oto właściwy człowiek na właściwym miejscu! – ucieszył się Alfo.

Dla młodych Anglików Drake był prawdziwym bohaterem: okrążył Ziemię jako drugi kapitan w historii ludzkości. Sylvie pomyślała, że właśnie takie śmiałe wyprawy przemawiają do wyobraźni młodych ludzi.

– Pod dowództwem Drake’a na pewno wszystko się uda – dodał Alfo.

– Być może. – Sylvie westchnęła. – Ale będę się modliła, by Bóg miał was w swojej opiece.

– Amen – dorzuciła Helga.

II

Barney kochał morze. Żeglowanie sprawiało mu prawdziwą radość, mógł upajać się bez końca łopotem żagli i widokiem fal roziskrzonych słońcem.

W tym uwielbieniu kryła się odrobina szaleństwa. Morze jest przecież niebezpieczne. Choć angielska flota jeszcze nie zbliżyła się do wroga, straciła już jeden okręt, *Marengo*, podczas gwałtownego sztormu w Zatoce Biskajskiej. Nawet przy dobrej pogodzie żeglarze musieli się liczyć z ryzykiem ataku wrogich okrętów lub nawet piratów, udających do ostatniej chwili przyjaciół. Tylko nieliczni marynarze dożywali starości.

Syn Barneya również chciał wyruszyć w ten rejs. Pragnął walczyć na pierwszej linii, bronić ojczyzny. Kochał Anglię, a w szczególności Kingsbridge. Barney jednak stanowczo zaprotestował. Prawdziwą pasją Alfa był handel. Pod tym względem różnił się od ojca, który nienawidził ksiąg handlowych. Poza tym Barney gotów był ryzykować własne życie, ale nie życie ukochanego syna.

Zdradliwy Atlantyk uspokoił się, gdy flota podpłynęła bliżej ciepłego Morza Śródziemnego.

Z obliczeń Barneya wynikało, że znajdują się w odległości około dziesięciu mil od Kadyksu, w pobliżu Gibraltaru, na południowo-zachodnim krańcu Hiszpanii. Wtedy właśnie wystrzelono z armaty sygnałowej i podniesiono flagę na okręcie *Elizabeth Bonaventure*. Oznaczało to, że wiceadmirał sir Francis Drake wzywa wszystkich kapitanów na naradę wojenną.

Dochodziła czwarta po południu; był pogodny dzień, wtorek dwudziestego dziewiątego kwietnia 1587 roku. Mocny południowo-zachodni wiatr pchał dwadzieścia sześć okrętów i statków prosto do celu, rozpędzając je do prędkości pięciu węzłów. Barney z ociąganiem opuścił żagle. *Alice* zwolniła, a potem całkiem się zatrzymała i kołysała się na falach w jednostajnym rytmie, który przyprawiał szczury lądowe o chorobę morską.

Tylko sześć angielskich okrętów należało do marynarki wojennej królowej Elżbiety. Pozostałe jednostki, w tym dwie Barneya, były uzbrojonymi statkami handlowymi. Król Filip bez wątpienia zarzuciłby im, że właściwie są zwykłymi piratami – i, zdaniem Barneya, miałby w dużym stopniu rację. Jednakże w odróżnieniu od Filipa, Elżbieta nie miała w Hiszpanii ogromnych kopalni srebra i tylko w ten sposób

mogła zgromadzić flotę zdolną do skutecznego ataku.

Barney kazał opuścić na wodę szalupę i popłynął nią na *Elizabeth Bonaventure*. Widział, że inni kapitanowie robią to samo. Kilka minut później łódź dobiła do burty okrętu flagowego i Barney wspiął się po drabince sznurowej na pokład.

Była to duża jednostka; miała sto stóp długości i potężne uzbrojenie – czterdzieści siedem armat, w tym dwie strzelające kulami o wadze sześćdziesięciu funtów – lecz żadna z jej kajut nie była w stanie pomieścić wszystkich zebranych. Stali więc na pokładzie, wokół rzeźbionego krzesła, na którym nikt nie ważył się usiąść.

Kilka okrętów i statków zostało nieco w tyle, więc nie wszyscy kapitanowie byli obecni, gdy na naradzie pojawił się zniecierpliwiony Drake.

Był krępym mężczyzną po czterdziestce, miał kręcone rude włosy, zielone oczy i różowobiałą cerę, którą niektórzy nazywali „świeżą”. Wydawało się, że jego głowa jest nieco za mała w stosunku do reszty ciała.

Barney zdjął czapkę i to samo zrobili pozostali kapitanowi. Drake był człowiekiem bardzo dumnym, być może dlatego, że osiągnął tak wysokie stanowisko, choć zaczynał jako syn

skromnego rolnika z hrabstwa Devon. Kapitanowie darzyli go jednak ogromnym i szczerym szacunkiem. Wszyscy znali szczegóły jego trzyletniej podróży dokoła świata.

Usiadł na rzeźbionym krześle, spojrzał na niebo i oznajmił:

– Moglibyśmy dopłynąć do Kadyksu jeszcze przed zachodem słońca.

Celem dowodzonej przez niego wyprawy był Kadyks, a nie Lizbona, gdzie zbierała się hiszpańska flota. Drake, podobnie jak niegdyś matka Barneya, miał obsesję na punkcie zdobywania informacji, więc dokładnie przepytał kapitanów dwóch niderlandzkich statków handlowych, których spotkał w Lizbonie. Dowiedział się od nich, że statki zaopatrzeniowe wspierające inwazję dokonają załadunku w Kadyksie, i postanowił wykorzystać tę wiedzę. Jednostki zaopatrzeniowe były łatwiejszym łupem i – co być może miało największe znaczenie dla nienasyconego Drake'a – z pewnością przewoziły cenne towary.

Zastępcą Drake'a był William Borough, słynny nawigator, który napisał książkę o kompasie.

– Ale nie ma nawet jeszcze wszystkich statków – zauważył właśnie. – Kilka zostało z tyłu.

Barney uświadomił sobie, że trudno byłoby znaleźć dwóch mężczyzn tak bardzo się między sobą różniących jak Drake i Borough. Ten drugi był erudytą, człowiekiem wykształconym i ostrożnym, stworzonym właściwie do prowadzenia archiwów, przygotowywania dokumentów i map. Drake był impulsywny i energiczny, gardził nieśmiałością i niezdecydowaniem.

– Wiatr i pogoda nam sprzyjają – powiedział. – Musimy wykorzystać okazję.

– Kadyks to duży port, ale wejście do zatoki jest zdradliwe – rzekł Borough. Pokazał to na mapie, na którą Drake nie raczył spojrzeć. Niezrażony Borough mówił dalej: – Przy półwyspie jest tylko jedno miejsce z dostatecznie głęboką wodą, by tamtędy przepłynąć. Tylko że znajduje się ono obok fortecy najeżonej armatami.

– Wpłyniemy tam bez flag. Nie będą wiedzieli, kim jesteśmy, a gdy się zorientują, będzie już za późno – zaproponował Drake.

– Nie mamy pojęcia, jakie statki są w porcie – odparował Borough.

– Handlowe, mówili o tym niderlandzcy kapitanowie.

– Mogą też być okręty wojenne.

– Wszystkie są w Lizbonie. Dlatego właśnie płyniemy do Kadyksu.

Niefrasobliwość Drake’a doprowadzała jego zastępcę do szaleństwa.

– Więc jak wygląda plan działań? – spytał gniewnie Borough.

– Plan działań? – Drake wzruszył ramionami. – Płyńcie za mną!

Natychmiast zaczął wydawać polecenia swojej załodze. Barney i pozostali kapitanowie wrócili pospiesznie na swoje statki i okręty, rozbawieni zuchwałością wiceadmirała i spragnieni czynu. Głos rozsądku w głowie Barneya szeptał nieśmiało, że Borough miał rację, zalecając ostrożność, ale waleczny zapał Drake’a był zaraźliwy.

Gdy tylko Barney znalazł się na pokładzie *Alice*, polecił załodze rozwinąć żagle. Miał ich sześć, po dwa na maszcie, wszystkie kwadratowe. Marynarze wspinali się jak małpy i już po chwili wiatr nadymał płótno, dziób statku przecinał fale, a Barney był szczęśliwy.

Spojrzał do przodu. Na horyzoncie pojawiła się ciemna plama, która rozrastała się stopniowo, przyjmując kształt fortecy.

Znał Kadyks, miasto położone przy ujściu rzeki Gwadalkiwir, w odległości osiemdziesięciu

mil od Sewilli, gdzie niemal trzydzieści lat wcześniej mieszkał z Carlosem i Ebrimą. W głębi lądu, kilka mil od wybrzeża, znajdowała się miejscowość Jerez, gdzie wytwarzano mocne wino. Miasto Kadyks wraz z fortecą wznosiło się na końcu długiego półwyspu, okalającego naturalny port. Do szerokiej zatoki, na której brzegach zabudowano wioski i osady, wpadały dwie rzeki.

Angielskie jednostki bez dodatkowych rozkazów ustawiły się sprawnie w jednej linii za *Elizabeth Bonaventure*, najpierw okręty wojenne, za nimi statki handlowe. Gdy poruszali się w takiej formacji, wróg znajdujący się z przodu – a tam właśnie były teraz hiszpańskie jednostki – mógł ostrzeliwać tylko *Elizabeth Bonaventure*. Poza tym, gdyby Drake znalazł drogę przez płycizny, wszyscy płynęliby bezpiecznie jego śladem.

Barney odczuwał strach, który miał na niego osobliwy wpływ: budził również ekscytację i ożywiał lepiej niż mocne wino z Jerez. Miał wrażenie, że w chwili zagrożenia żyje intensywniej niż w jakichkolwiek innych okolicznościach. Nie był głupcem, wiedział, jak bolą rany, widział przerażenie tonących wraz ze statkiem marynarzy. Nie umniejszało to jednak

emocji, które odczuwał, szykując się do bitwy, gotów zabijać lub zginąć.

Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca *Elizabeth Bonaventure* wpłynęła do portu w Kadyksie.

Barney przyglądał się fortecy. Nie widział żadnego ruchu przy armatach, nikt nie wkładał kul do luf, nikt nie biegał po proch, wiadra i długie wyciory zwane grajcarami. Wypatrzył tylko garstkę żołnierzy opartych o mury i przyglądających się z umiarkowanym zaciekawieniem nieznanej flocie. Najwyraźniej nikt nie podniósł do tej pory alarmu.

Gdy *Alice* śladem pozostałych jednostek wpłynęła do portu, przyjrzał się miastu. Dostrzegł coś, co wyglądało jak główny rynek pełen ludzi. Tu nie było już armat, bo gdyby je tam umieszczono, wystrzelone przez nie kule mogłyby uszkodzić statki zacumowane jeden przy drugim wzdłuż nadbrzeża.

Ze zdumieniem zauważył, że z niektórych usunięto żagle, pozostawiając tylko nagie maszty. Dlaczego to zrobiono? Żagle wymagały czasem naprawy, ale nie wszystkie jednocześnie. Przypomniał sobie słowa Neda, który twierdził, że król Filip zarekwirował dziesiątki zagranicznych statków i włączył je do swojej

armady, nie przejmując się protestami ich właścicieli. Być może zdjęto z nich żagle, by nie mogły wymknąć się z portu. W ten sposób zostały jednak unieruchomione i nie mogły uciec przed angielskimi armatami. Mieli podwójne szczęście.

Barney wytężył wzrok i zauważył, że większość ludzi na rynku stoi odwrócona plecami do morza. Tworzyli dwie grupy, a gdy flota podpłynęła bliżej, zobaczył, że jedna z nich ogląda sztukę wystawianą na scenie, a druga otacza trupę akrobatów. Kadyks nie zaznał wojny od dobrych kilkudziesięciu lat, więc jego mieszkańcy czuli się zapewne bezpiecznie. Żaden nie spoglądał na port i nikogo nie dziwił widok przypływających statków.

Za kilka minut mieli przeżyć straszliwy szok.

Rozejrzał się po zatoce. Naliczył około sześćdziesięciu jednostek, z czego połowę stanowiły duże statki przewożące towary, a resztę mniejsze handlowe; wszystkie były zacumowane przy nabrzeżu lub zakotwiczone nieco dalej. Większość załogantów wyszła na ląd – jedli świeże ryby, pili w tawernach i cieszyli się towarzystwem kobiet. Wielu z nich dołączyło zapewne do tłumu wypełniającego rynek. Barneya ogarnęła euforia: zadaliby inwazyjnym planom króla Filipa prawdziwie druzgoczący

cios, gdyby udało im się zniszczyć wszystkie te statki!

Zatoczył niemal pełne koło i patrzył na północ, gdy zobaczył galery.

Dwie jednostki tego typu wypływały z portu Maryi Panny przy ujściu rzeki Guadalete. Rozpoznał je od razu po wąskich kadłubach i długich szeregach wioseł wystających z burt i poruszających się w jednym rytmie. Atlantyckie sztormy wywracały galery do góry dnem, ale na spokojniejszych wodach Morza Śródziemnego często z nich korzystano. Obsługiwane głównie przez niewolników, były szybkie i zwrotne, a przy tym niezależne od wiatru, co stanowiło sporą zaletę w porównaniu z żaglowcami.

Barney przyglądał im się z podziwem, gdy sunęły przez zatokę. Armaty galer zamontowane były z przodu, więc mogły strzelać tylko przed siebie. Zwykle miały spiczaste dzioby – wzmacniane żelazem lub miedzią – służące do taranowania wrogich okrętów. Na pokład unieruchomionej jednostki wchodzili wtedy pikinierzy i muszkieterzy i wybijali załogę. Nikt jednak nie wysłałby dwóch galer do walki z dwudziestoma sześcioma statkami, Barney uznał więc, że mają tylko za zadanie sprawdzić,

kto wpłynął do portu, i skontaktować się z dowódcą obcej floty.

Nie zdążyli tego zrobić.

Drake skierował *Elizabeth Bonaventure* ku galerom, wykonując płynny, perfekcyjny manewr. Mógłby mieć kłopoty, gdyby w zatoce nie wiał akurat wiatr, gdyż żaglowce są w takiej sytuacji bezradne, ale tego dnia dopisywało mu szczęście.

Kolejne okręty wojenne płynęły za Drakiem w idealnie równej linii.

Statki handlowe trzymały się kursu, mijały fort i rozpływały się promieniście po porcie.

Barney wciąż obserwował galery. Miały po dwadzieścia cztery wiosła, a każdym z nich poruszało pięciu niewolników. Ci ludzie nie utrzymywali się długo przy życiu; przykuci łańcuchami do ławek, paleni słońcem, oblepieni własnymi odchodami, zapadali na różne choroby zakaźne. Słabsi mogli wytrzymać kilka tygodni, silniejsi – rok lub dwa. Gdy umierali, ich ciała wyrzucano bezceremonialnie do morza.

Galery zbliżały się do *Elizabeth Bonaventure*, a Barney czekał niecierpliwie na jakiś ruch ze strony Drake’a. Gdy zaczął się już obawiać, że wiceadmirał zbyt długo zwleka z atakiem, nad okrętem flagowym podniosła się chmura dymu

i chwilę później ponad wodami zatoki przetoczył się huk wystrzału. Pierwsza kula wpadła do wody, co oznaczało, że Anglicy niewłaściwie ocenili odległość; wbrew pozorom prowadzenie celnego ostrzału było nie lada sztuką, o czym Barney wiedział doskonale z własnego doświadczenia. Druga i trzecia kula również chybiły, być może więc artylerzysta Drake'a nie był zbyt biegły w tej sztuce.

Galery nie odpowiedziały ogniem, zresztą angielskie jednostki i tak znajdowały się poza zasięgiem ich małych armat.

Okazało się jednak, że dowódca artylerii na okręcie flagowym zna się na swojej robocie. Czwarta kula wbiła się w środek galery, a piąta trafiła w dziób.

Strzały oddane z wielkich armat Drake'a okazały się zabójczo skuteczne. Zaatakowana galera zaczęła natychmiast tonąć. Barney słyszał krzyki rannych i przerażone nawoływania tych, którym szczęśliwie nic się nie stało. Żołnierze odrzucali broń, skakali do wody i płynęli do drugiej galery, a ci, którzy nie mogli lub nie umieli pływać, trzymali się kawałków drewna. Chwilę później do żołnierzy dołączyli członkowie załogi. Z ławek zajmowanych przez wioślarzy podniósł się chór krzyków i błagań –

niewolnicy prosili, by ich rozkuto, lecz nikt nie miał dla nich czasu. Wkrótce więc, przy akompaniamencie wrzasków, jęków i zawodzeń, zatonęli wraz z galerą.

Druga jednostka zaczęła wybierać z wody ocalałych. Drake wstrzymał ogień, być może litując się nad bezbronnymi rozbitkami, choć Barney przypuszczał, że oszczędza po prostu amunicję.

Niemal natychmiast od strony portu Najświętszej Panny nadpłynęły kolejne galery. Ich wiosła unosiły się i opadały z gracją przywodzącą na myśl nogi konia wyścigowego. Barney naliczył sześć jednostek sunących po wodach zatoki. Musiał oddać sprawiedliwość ich dowódcy: trzeba było nie lada odwagi, by wystawić sześć galer do walki z dwudziestoma sześcioma jednostkami.

Stosując typową dla galer taktykę, płynęły w szeregu, burta w burtę, bo w ten sposób chroniły odkryte boki dwóch sąsiednich.

Angielskie okręty wojenne ponownie wykonały nawrót, a potem, gdy tylko galery znalazły się w ich zasięgu, wszystkie cztery otworzyły ogień.

Kiedy bitwa rozgorzała na dobre, Barney zauważył, że kilka statków stojących w zatoce

podnosi kotwice i rozwija żagle. Przypuszczał, że ich załogi nie zeszły jeszcze na brzeg, a kapitanowie zorientowali się, że Kadyks padł ofiarą ataku, i postanowili uciekać. Większość żaglowców utknęła jednak na dobre – marynarze nie wrócili jeszcze z tawern i domów uciech, a statek nie może pływać bez załogi.

Ludzie zebrani na rynku wpadli w panikę; niektórzy uciekali do domów, inni szukali schronienia w fortecy.

Barneya interesowały statki, które nie ruszyły się ze swoich miejsc w zatoce. Prawdopodobnie na pokładzie byli tylko pojedynczy strażnicy. Obejrzał kilka z nich i skupił się na małym trójmasztowcu, który z pewnością został zbudowany z myślą o przewożeniu towarów, a nie o walce. Nie dostrzegł żadnego ruchu na pokładzie.

Kazał załodze zrefować żagle, by wyhamować *Alice*, i podpłynąć do frachtowca. Gdy zmierzali w jego stronę, zauważył dwóch ludzi schodzących po linie do łodzi i płynących szybko do brzegu. To potwierdziło jego przypuszczenia. Statku nikt nie bronił.

Spojrzał w stronę angielskich okrętów wojennych i zobaczył, że zmusiły galery do odwrotu.

Kilka minut później *Alice* była już na tyle blisko frachtowca, że mogła całkiem zwinąć żagle i niemal stanąć w miejscu. Za pomocą lin i bosaków ludzie Barneya przyciągnęli frachtowiec, tak że niemal stykał się burtą z *Alice*. Po chwili mogli już przeskoczyć na jego pokład.

Nie znaleźli tam żywej duszy.

Pierwszy oficer Barneya, Jonathan Greenland, zszedł do ładowni, by sprawdzić, jakie towary przewozi frachtowiec.

Wrócił ogromnie rozczarowany, niosąc w jednej ręce drewniane listwy, a w drugiej metalowe obręcze.

– Klepki do beczek – wyjaśnił zdegustowany. – I żelazne obręcze.

Barney też był rozczarowany. Taki łup nie miał większej wartości. Z drugiej strony, niszcząc ten ładunek utrudniliby inwazję; armadzie brakowałoby bowiem beczek do przechowywania zapasów.

– Podpalić – rozkazał.

Marynarze przynieśli z *Alice* terpentynę i polali nią dolny i górny pokład frachtowca. Podłożyli ogień w kilku miejscach i pospiesznie wrócili na swój statek.

Robiło się już ciemno, ale płonący frachtowiec oświetlił pobliskie jednostki, więc Barney wybrał następny cel. Gdy *Alice* zbliżyła się do niego, ponownie okazało się, że wszyscy marynarze uciekli. Ludzie Barneya weszli na pokład, a Jonathan Greenland znów udał się do ładowni. Tym razem, wracając, miał zadowoloną minę.

– Wino – oświadczył. – Z Jerez. Mnóstwo mocnego wina.

Angielscy marynarze dostawali do picia piwo, ale bogatsi Hiszpanie mogli raczyć się winem. Flota inwazyjna potrzebowała tysiące galonów tego napoju – choć na ten konkretnie ładunek nie mogła już liczyć.

– Zabierzcie wszystko – rozkazał Barney.

Załoga zapaliła pochodnie i zabrała się do ciężkiej pracy, jaką było przeniesienie beczek z ładowni jednego statku do drugiego. Wszyscy byli jednak w doskonałych humorach, wiedzieli bowiem, że będą mieli swój udział w pieniądzach zarobionych na sprzedaży drogiego towaru.

Wrogi statek był w pełni zaopatrzony i przygotowany do rejsu; marynarze Barneya zabrali również solone mięso, sery i suchary. Na pokładzie znajdowały się armaty, więc Barney nie zapomniał również o zapasie prochu. Ponieważ kule nie pasowały do jego armat, kazał

je wrzucić do wody, by nigdy nie wystrzelono ich w kierunku angielskich żeglarzy.

Gdy ładownia była pusta, podpalił statek.

Rozejrzawszy się po zatoce, zobaczył jeszcze sześć płonących jednostek. Na brzegu rozpalono pochodnie; widział, jak żołnierze przy pomocy konnych zaprzęgów przeciągają działa z fortecy na nadbrzeże. Angielskie okręty i statki i tak znajdowały się poza ich zasięgiem, Barney przypuszczał jednak, że chodzi głównie o to, by powstrzymać najeźdźców od zejścia na ląd. Wydawało mu się, że dostrzega większe oddziały wojska gromadzące się na rynku. Mieszczanie uznali zapewne, że atak z morza jest tylko wstępem do inwazji, postanowili więc przezornie przygotować się na to. Nie mogli wiedzieć, że Drake ma za zadanie niszczyć hiszpańską flotę, a nie podbijać hiszpańskie miasta.

W ostatecznym rozrachunku Anglicy praktycznie nie napotkali oporu na morzu. Barney widział, jak jakiś masywny okręt strzela do angielskich jednostek, ale był to wyjątek; poza tym najeźdźcy mogli niemal bez przeszkód plądrować i palić hiszpańskie statki.

Barney rozejrzał się, wypatrując kolejnego celu.

III

Na wieść o udanym ataku Drake’a na Kadyks w Anglii zapanowała wielka radość, lecz mąż Margery, hrabia Bart, nie miał zamiaru dołączać do powszechnego świętowania.

Raporty różniły się w szczegółach, wszystkie jednak mówiły, że zniszczono około dwudziestu pięciu statków, a tysiące ton ładunku skradziono lub posłano na dno. Hiszpańska armada została sparaliżowana, nim jeszcze ruszyła na wojnę. Nie zginął ani jeden angielski marynarz; tylko jeden został pechowo raniony kulą wystrzeloną na oślep z galery. Królowa Elżbieta zarobiła na tej wyprawie.

– To był dzień hańby – pieklił się Bart przy stole w New Castle. – Żadnego ostrzeżenia, żadnego wypowiedzenia wojny. Zwykły napad ze strony bezczelnych piratów, którzy bezkarnie mordowali i rabowali.

Pięćdziesięcioletni mąż przypominał Margery teścia, który zgwałcił ją przed laty, tyle że Bart był jeszcze bardziej czerwony na twarzy i jeszcze grubszy niż jego ojciec.

– Hiszpańskie statki płynęły do nas, żeby zabijać Anglików, także moich synów – odparła uszczypliwie. – Cieszę się, że zatonęły.

Starszy syn zawsze brał stronę Barta. W wieku dwudziestu trzech lat przypominał ojca Margery – był wysoki i piegowaty – ale charakter odziedziczył niestety po Barcie, a właściwie po jego ojcu. Kochała go, ale nie do końca lubiła – bo nie było to łatwe – co budziło w niej poczucie winy.

– Król Filip chce tylko, by Anglia wróciła do katolicyzmu – powiedział Bartlet. – Większość Anglików ucieszyłaby się z tego.

– Owszem. Ale nie w sytuacji, gdy ceną byłby najazd obcego państwa – odparowała Margery.

Stephen Lincoln wydawał się zszokowany jej słowami.

– Pani, jak możesz mówić takie rzeczy? Papież zaakceptował plan króla Hiszpanii.

Okazał się kiepskim przyjacielem Margery, mimo to darzyła go odrobiną sympatii. Przez trzydzieści lat pracował w ukryciu jako katolicki ksiądz, odprawiając po zmroku tajne nabożeństwa, i przechowywał najświętsze sakramenty w różnych kryjówkach, jakby było to coś wstydliwego. Poświęcił się Bogu, ale żył jak przestępca, co doprowadziło go na skraj wyczerpania i napełniło zgorzknieniem. Mylił się jednak w tej kwestii, podobnie jak papież.

– Uważam, że to błąd – oznajmiła ostrym tonem. – Inwazja zniechęciłaby ludzi do katolicyzmu, bo kojarzyliby ją z obcą dominacją.

– Skąd możesz to wiedzieć? – W myślach dodał zapewne: „Jesteś tylko kobietą”, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno.

– Stąd, że coś podobnego wydarzyło się w Niderlandach. Niderlandzcy patrioci walczą w imię protestantyzmu nie ze względu na religię, tylko dlatego, że chcą być niezależni od Hiszpanii.

Do rozmowy włączył się Roger. Jeszcze niedawno był ślicznym dzieckiem, teraz miał już siedemnaście lat, a na jego twarzy pojawił się ciemny zarost. Odziedziczył po matce szelmowski urok i pełną energii, niemal prowokującą pewność siebie, która zjednywała mu sympatię ludzi. Miał złotobrązowe oczy Neda. Na szczęście Bart, jak większość mężczyzn w jego typie, nigdy nie zwracał uwagi na kolor oczu, a ludzie, którzy domyślali się, kim naprawdę jest ojciec Rogera, nie mówili o tym głośno w obawie przed gniewem Barta.

– Mamo, więc jak, twoim zdaniem, moglibyśmy przywrócić nasz kraj katolicyzmowi?

Była dumna, że ma syna, który zadaje tak przemyślane i trudne pytania. Mógł się poszczycić nieprzeciętną inteligencją i zamierzał studiować w Oksfordzie. Roger był zagorzałym katolikiem i brał czynny udział w szmuglowaniu księży. Mimo to Stephen, jego nauczyciel, nie był w stanie poskromić ducha niezależności, który chłopiec odziedziczył po Nedzie.

– Pozostawieni sami sobie, Anglicy powoli i spokojnie wrócą do starej wiary – odparła Margery.

Lecz Anglikom nie było dane cieszyć się spokojem.

Wprawdzie w 1587 roku hiszpańska armada nie wypłynęła z portów, lecz gdy lato przeszło w jesień, Margery i wszyscy pozostali zrozumieli, że ich radość była przedwczesna. Zakładali, że Drake powstrzymał inwazję, ale atak na Kadyks tylko odsunął ją w czasie. Król Filip był tak bogaty, że ku konsternacji Anglików po prostu zaczął budować nowe statki i kupować zapasy.

Królowa Elżbieta i jej rząd zaczęli się przygotowywać do walki na śmierć i życie.

Tej zimy remontowano umocnienia wzdłuż całego wybrzeża. Wzmacniano twierdze i sypano nowe wały ziemne wokół miast, które od stuleci nie widziały żadnej bitwy. Odbudowano mury

obronne Kingsbridge, jako że stare dawno już zniknęły w gęstwinie miejskiej zabudowy. Rdzewiejące armaty w porcie Combe zostały oczyszczone i przygotowane do użycia. Zbudowano sieć punktów obserwacyjnych, sięgającą od wybrzeża do Londynu, by w razie potrzeby błyskawicznie przekazać straszliwą wieść o galeonach zbliżających się do Anglii.

Margery była przerażona. Katolicy mieli zabijać protestantów, a protestanci katolików. Tymczasem nauczanie Chrystusa nie miało nic wspólnego z armatami, mieczami, zabijaniem i okaleczaniem. W ewangeliach tylko wrogowie Chrystusa rozlewali krew.

Mimowolnie wciąż wracała myślami do tego, że Ned podzielał jej zdanie i uważał, iż chrześcijanie nie powinni zabijać się nawzajem z powodu wyznania. Twierdził, że królowa Elżbieta też w to wierzy, choć przyznawał jednocześnie, że nie zawsze jest wierna swoim ideałom.

Na początku 1588 roku, gdy pojawiły się informacje o rozmiarach i sile nowej armady, Margery cierpiała prawdziwe katusze. Plotki głosiły, że hiszpańska flota liczy ponad sto okrętów. Taka liczba musiała przerażać

Anglików, skoro na ich marynarkę wojenną składało się tylko trzydzieści osiem jednostek.

W ramach działań prewencyjnych rząd uwięził katolików znanych z wrogiego nastawienia do królowej. Margery miała nadzieję, że mężczyźni z jej rodziny trafią do więzienia, gdzie będą bezpieczni. Uznano jednak, że Bart, który nigdy nie brał udziału w żadnym spisku, nie jest niebezpieczny. To Margery wykonywała tajną misję, ale zawsze zachowywała daleko idącą ostrożność i nikt jej nie podejrzewał.

Potem do New Castle przywieziono broń.

Do zamku wjechały dwa wozy wyładowane sianem, ale po rozładowaniu siana okazało się, że pod spodem leży sześć toporów, około czterdziestu mieczy, dziesięć arkebuzów, worek kul i beczułka prochu. Margery patrzyła ze zdumieniem, jak cały ten arsenał wędruje do starego pieca chlebowego.

– Czemu to ma służyć? – spytała męża.

Naprawdę nie wiedziała. Zastanawiała się, czy Bart będzie walczył dla królowej i ojczyzny czy dla Kościoła katolickiego?

Opisał jej swój plan.

– Zwerbuję armię lojalnej katolickiej szlachty i chłopów, a potem podzielę ich na dwa oddziały.

Sam poprowadzę jeden do portu Combe, by powitać hiszpańskich wyzwolicieli, a Bartlet zaprowadzi drugi do Kingsbridge. Przejmą miasto i odprawią w katedrze mszę po łacinie.

Chciała głośno zaprotestować, lecz w porę się powstrzymała. Gdyby powiedziała mężowi, co myśli o jego zamiarach, nie zdradziłby jej nic więcej.

Był przekonany, że po prostu mierzi ją myśl o rozlewie krwi i cierpieniu, ale Margery traktowała tę sprawę znacznie poważniej. Nie zamierzała siedzieć z założonymi rękami. Musiała jakoś temu zapobiec.

Zamiast protestować, próbowała pociągnąć Barta za język.

– Sam nie poradzisz sobie z tym wszystkim.

– Nie będę sam. Katolicy w całym kraju chwycą za broń.

– Skąd wiesz?

– Twój brat się tym zajmuje.

– Rollo? Przecież on jest we Francji.

– Już nie. Organizuje powstanie katolików.

– Skąd wie, jak to robić? – Już zadając to pytanie, Margery uświadomiła sobie z przerażeniem, że chyba zna odpowiedź.

Bart potwierdził jej obawy.

– Wszyscy, którzy ryzykowali życie, udzielając schronienia katolickim księżom, są gotowi walczyć przeciwko Elżbiecie Tudor.

Margery zabrakło nagle tchu, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios w żołądek. Starała się zapanować nad emocjami i ukryć je przed mężem, który na szczęście nie był zbyt spostrzegawczy.

– Więc… – Przełknęła z trudem ślinę, wzięła głęboki oddech i zaczęła ponownie: – Więc Rollo wykorzystywał moją sieć ukrytych księży do organizowania zbrojnego powstania przeciwko królowej Elżbiecie.

– Tak. Uznaliśmy, że lepiej ci o tym nie mówić.

Oczywiście, pomyślała.

– Kobiety nie lubią rozmawiać o wojnie – kontynuował Bart, jakby był znawcą kobiecej natury. – Ale wcześniej czy później musiałaś się o tym dowiedzieć.

Margery była wściekła i zrozpaczona, nie chciała jednak, by mąż o tym wiedział. Zadała mu kolejne, bardziej przyziemne pytanie:

– Gdzie będziecie trzymać broń?

– W starym piecu chlebowym.

– Nie wystarczy jej dla całej armii.

– Będzie tego więcej. A za piecem jest jeszcze mnóstwo miejsca.

Odwrócił się, by wydać instrukcje służącym, a Margery wykorzystała okazję i odeszła.

Czy była naiwna? Doskonale wiedziała, że Rollo okłamałby ją bez mrugnięcia okiem, podobnie jak Bart. Myślała jednak, że brat, jak ona, chce tylko pomóc katolikom, którzy pragną otrzymywać święte sakramenty. Czy powinna była domyślić się jego prawdziwych intencji?

Być może przejrzałaby jego zamiary, gdyby mogła z nim porozmawiać, lecz od lat machała tylko do niego z plaży, gdy przypływał z nowymi grupami księży. Brak bezpośrednich kontaktów sprawił, że łatwiej przyszło mu ją oszukać.

Jednego była pewna: nie będzie już więcej szmuglować księży z Angielskiego College'u. Robiła to do tej pory, nieświadoma ich podwójnej roli, lecz teraz, gdy znała już prawdę, nie chciała mieć nic wspólnego ani z tą działalnością, ani z jakimkolwiek innym przedsięwzięciem organizowanym przez brata. Przy pierwszej okazji poinformuje go o tym, wysyłając mu zaszyfrowaną wiadomość. Na pewno będzie wściekły, co sprawi jej niekłamaną satysfakcję.

Nie mogła zasnąć tej nocy i przez kilka następnych, w końcu jednak postanowiła nie robić sobie więcej wyrzutów i podjąć jakieś konkretne działania. Nic nie obligowało jej do

dochowania tajemnic brata i męża. Czy mogła zrobić coś, co zapobiegłoby rozlewowi krwi i zapewniło bezpieczeństwo jej synom?

Postanowiła porozmawiać z Nedem Willardem.

Zbliżała się Wielkanoc, więc jak co roku miała pojechać z Bartem i synami do Kingsbridge na targ wielkanocny. Zamierzali brać udział we wszystkich nabożeństwach w katedrze. Bart nie mógł już unikać protestanckich uroczystości; byłoby to zbyt niebezpieczne i kosztowne – grzywna za nieobecność w kościele wynosiła obecnie dwadzieścia funtów.

Gdy zbliżali się do Kingsbridge i nad wierzchołkami drzew ukazała się katedralna wieża, ogarnęły ją nagle wątpliwości. Czy nie powinna wspierać hiszpańskiej inwazji i powiązanej z nią rebelii katolików? Być może w rezultacie w Anglii znów zapanuje prawdziwa religia, a przecież taka musiała być wola Boża.

Pod rządami protestantów Wielkanoc zamieniła się w szare, nudne święto. Nie przenoszono już ulicami Kingsbridge relikwii świętego Adolfa podczas kolorowej procesji. W katedrze nie wystawiano misteriów. Zamiast tego na dziedzińcu karczmy Bella codziennie występowała trupa aktorska, odgrywająca sztukę

zatytułowaną *Everyman*. Protestanci nie rozumieli, że ludzie potrzebują w kościele barw i pompy.

Czterdziestopięcioletnia Margery nie uważała już, że protestantyzm jest zły, a katolicyzm idealny. Liczyła się dla niej przede wszystkim różnica między tyranią i tolerancją, między ludźmi, którzy próbują narzucić swoje poglądy wszystkim innym, a tymi, którzy szanują wiarę swoich oponentów. Rollo i Bart należeli do ludzi, którymi gardziła. Ned był jednym z tych nielicznych wierzących w wolność wyzwania. Była gotowa mu zaufać.

Nie spotkała go pierwszego dnia pobytu w Kingsbridge ani też drugiego. Być może nie przyjeżdżał w te święta do rodzinnego miasta. Widziała jego bratanka Alfa, teraz dumnego męża Valerie Forneron. Widziała również szwagierkę Neda, Niemkę Helgę, ale nie Barneya, który przywiózł z Kadyksu małą fortunę, a potem, po krótkim pobycie w Kingsbridge, znów wypłynął w morze. Margery wolała nie pytać krewnych Neda o jego plany. Nie chciała, by odnieśli wrażenie, że pragnie się z nim spotkać – choć tak właśnie było.

W Wielką Sobotę wybrała się na targowisko urządzone w wyremontowanych i zadaszonych

ruinach klasztoru. Oglądała i dotykała z zainteresowaniem tkaniny o barwie ciemnego czerwonego wina, która mogłaby do niej pasować, bo przecież nie była już dziewczyną. Kiedy podniosła na chwilę wzrok, dostrzegła po drugiej stronie dziedzińca krzepką, niską postać żony Neda, Sylvie.

Sylvie pod wieloma względami przypominała Margery i obie o tym wiedziały. Margery bez fałszywej skromności uważała, że obie są niebrzydkie, inteligentne i zdeterminowane – i że przypominają onieśmielającą matkę Neda. Sylvie oczywiście była protestantką, i to wojującą, lecz nawet w tym aspekcie Margery dostrzegała pewne podobieństwo – obie były gotowe podejmować dla swej wiary ogromne ryzyko.

Chciała rozmawiać z Nedem, a nie z jego żoną, lecz Sylvie właśnie ją dostrzegła, uśmiechnęła się i ruszyła w jej stronę.

Margery pomyślała, że mogłaby przekazać jej wiadomość przeznaczoną dla Neda. Właściwie było to nawet lepsze rozwiązanie, bo nikt nie widziałby jej z nim i nie padłoby na nią podejrzenie o zdradę.

– Śliczne nakrycie głowy – powiedziała Sylvie z lekkim francuskim akcentem.

– Dziękuję. – Margery miała tego dnia aksamitną jasnoniebieską czapkę. Pokazała Sylvie materiał, który właśnie oglądała. – Jak ci się podoba ten kolor?

– Jesteś za młoda, żeby nosić bordo – odparła z uśmiechem żona Neda.

– To miłe z twojej strony.

– Widziałam twoich synów. Roger ma już brodę!

– Dorastają za szybko.

– Zazdroszczę ci. Wiem, że Ned jest rozczarowany, że nie mamy dzieci, ale się nie skarży.

Swoboda, z jaką Sylvie mówiła o najskrytszych, niewyjawionych uczuciach męża, sprawiła, że Margery ogarnęła nagle paląca zazdrość. Nie masz dzieci, ale masz jego, pomyślała.

– Martwię się o synów – powiedziała. – Jeśli napadną na nas Hiszpanie, będą musieli walczyć.

– Ned mówi, że okręty królowej postarają się nie dopuścić do inwazji.

– Nie wiem, czy mamy ich dość.

– Być może Bóg będzie po naszej stronie.

– Nie jestem już taka pewna jak kiedyś, po czyjej stronie stoi Bóg.

Sylvie uśmiechnęła się smutno.

– Ja też nie.

Kątem oka Margery dostrzegła Barta wchodzącego na targowisko. Musiała błyskawicznie podjąć decyzję.

– Przekażesz Nedowi wiadomość ode mnie?

– Oczywiście. Ale on gdzieś tu jest…

– Przykro mi, nie mam czasu. Poproś go, żeby najechał na New Castle i aresztował mojego męża i synów. W starym piecu znajdzie magazyn broni przeznaczonej dla popleczników najeźdźców.

Wiedziała, że to ryzykowny plan, ale ufała Nedowi.

– Powtórzę mu to – obiecała Sylvie, spoglądając na nią szeroko otwartymi oczami. – Dlaczego chcesz, żeby twoi synowie zostali aresztowani?

– Bo wtedy nie będą musieli walczyć. Lepiej niech trafią do więzienia niż na cmentarz.

Sylvie wydawała się zaskoczona. Być może nie przyszło jej wcześniej do głowy, że dzieci mogą być nie tylko przyczyną radości, ale i cierpienia.

Margery zerknęła na Barta. Nie zauważył jej jeszcze. Jeśli pożegna Sylvie teraz, mąż nie będzie nawet wiedział, że rozmawiały.

– Dziękuję – rzuciła i odeszła.

Zobaczyła Neda następnego dnia podczas wielkanocnego nabożeństwa w katedrze.

Pomimo upływu lat jego znajoma szczupła sylwetka wciąż była jej droga. Serce zwolniło na moment w piersiach, wypełniła ją dziwna mieszanka miłości i żalu, która sprawiała jej w takim samym stopniu radość co ból. Cieszyła się, że włożyła tego ranka nowy niebieski płaszcz. Nie rozmawiała jednak z Nedem, chociaż pokusa była silna. Margery pragnęła spojrzeć mu w oczy i zobaczyć, jak marszczą się w kącikach, gdy mówi coś wesołego, zdołała się jednak powstrzymać.

We wtorek po Wielkanocy opuściła Kingsbridge i wróciła z rodziną do New Castle. W środę przyjechał Ned Willard.

Była na dziedzińcu, gdy strażnik zawołał z murów:

– Jeźdźcy na drodze z Kingsbridge! Dwunastu… piętnastu… może dwudziestu!

Pospieszyła do domu. Mąż i synowie byli w głównej sali, wszyscy mieli już miecze przy pasach.

– To pewnie szeryf z Kingsbridge – powiedział Bart.

W sali pojawił się Stephen Lincoln.

– Kryjówka jest wypełniona bronią! – oznajmił przestraszony. – Co mam robić?

Margery pomyślała już o tym.

– Zabierz skrzynkę z sakramentami i wyjdź tylną bramą. Idź do karczmy w wiosce i czekaj, aż damy ci znać, że możesz wrócić.

Wszyscy mieszkańcy wioski byli katolikami, nie obawiała się więc, że go zdradzą.

– Wy dwaj siedzicie cicho i nie wtrącacie się, zrozumiano? – zwróciła się do synów, gdy ksiądz odszedł pospiesznie. – Ojciec będzie mówił w waszym imieniu.

– Chyba że każę im robić coś innego – wtrącił Bart.

– Chyba że ojciec każe wam robić coś innego – powtórzyła.

Bart nie był ojcem żadnego z chłopców, ale pilnie strzegła tego sekretu.

Uświadomiła sobie, że minęło już trzydzieści lat, odkąd spotkała się z Nedem w tej sali po jego powrocie z Calais. Jaką to sztukę wtedy widzieli? *Maria Magdalena*. Była tak podekscytowana po ich pocałunku, że oglądała sztukę, nic z niej nie rozumiejąc. Z nadzieją myślała o szczęśliwym życiu z Nedem. Gdybym wiedziała, jak potoczą się moje losy, być może rzuciłabym się wtedy z murów, przemknęło jej przez głowę.

Usłyszała konie wjeżdżające na dziedziniec i po chwili do głównej sali wkroczył szeryf. Był to Rob Matthewson, syn starego szeryfa

Matthewsona, który zmarł jakiś czas temu. Rob był równie potężnie zbudowany jak ojciec i równie mocno jak on przekonany, że może mu rozkazywać wyłącznie sama królowa.

Za szeryfem postępowała duża grupa zbrojnych, wśród nich Ned Willard. Zobaczywszy go z bliska, Margery zauważyła, że w okolicy jego ust i nosa pojawiły się zmarszczki świadczące o nadmiarze pracy i zmartwień, w ciemnych włosach zaś pobłyskiwały pasma siwizny.

Ned pozwolił, by szeryf przejął inicjatywę.

– Muszę przeszukać pański dom, panie hrabio – oznajmił Matthewson.

– Czego tu szukasz, do diabła, bezczelny psie? – warknął Bart.

– Otrzymałem informacje, że przebywa tu katolicki ksiądz, niejaki Stephen Lincoln. Pan i pańska rodzina musicie zostać tutaj, kiedy będę go szukał.

– Nigdzie się nie wybieram – odparł hrabia. – Tu mieszkam.

Szeryf wyszedł z sali, prowadząc za sobą zbrojnych. Ned zatrzymał się przy drzwiach.

– Bardzo mi przykro, że do tego doszło, hrabino – zwrócił się do Margery.

– Wcale nie jest panu przykro – odparła z udawanym gniewem, podejmując grę.

– Ale kiedy król Hiszpanii gotuje się do inwazji na naszą ojczyznę, nikogo nie można być pewnym – dodał.

Bart parsknął pogardliwie, lecz Ned zignorował go i wyszedł.

Po jakimś czasie usłyszeli triumfalne okrzyki. Margery domyśliła się, że Ned doprowadził Matthewsona do kryjówki za piecem chlebowym.

Spojrzała na męża, który najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku. Na twarzy hrabiego pojawiły się konsternacja i gniew. Margery wiedziała, że może oznaczać to tylko jedno – kłopoty.

Ludzie szeryfa zaczęli wnosić broń do głównej sali.

– Miecze! – zawołał Matthewson. – Dziesiątki! Muszkiety i amunicja. Topory. Łuki i strzały. Wszystko upchane w ukrytym pomieszczeniu. Panie hrabio, jest pan aresztowany.

Bart był wściekły. Zdemaskowano go! Wstał i zaczął się pieklić.

– Jak śmiesz?! – ryknął. – Jestem hrabią Shiring. Nie możesz robić czegoś takiego i ujść z życiem. – Czerwony z gniewu, jeszcze bardziej podniósł głos: – Straże! – wrzeszczał. – Tutaj!

A potem wyciągnął miecz.

Bartlet i Roger zrobili to samo.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie Margery. Zrobiła to, by zachować synów przy życiu, a tymczasem naraziła ich na śmiertelne niebezpieczeństwo. – Przestańcie!

Szeryf i jego ludzie również sięgnęli po broń.

– Wstrzymajcie się wszyscy! – zawołał Ned, podnosząc ręce. – Walka niczego nie rozwiąże, a każdy, kto zaatakuje ludzi szeryfa, trafi na szubienicę.

Dwie grupy spoglądały na siebie groźnie. Zbrojni Barta stanęli za jego plecami, do sali weszło więcej ludzi szeryfa. Margery nie mogła uwierzyć, że wszystko tak bardzo i tak szybko się skomplikowało. Walka w tych okolicznościach skończyłaby się straszliwą rzezią.

– Wyrżnąć ich! – ryknął Bart.

A potem upadł.

Runął na ziemię jak ścięte drzewo, uderzając w kamienną podłogę z paskudnym, głuchym hukiem.

Margery często widziała, jak mąż przewraca się upojony alkoholem, ale to wyglądało zupełnie inaczej. Przerażająco.

Wszyscy zastygli w bezruchu, a ona uklękła przy Barcie i położyła dłoń na jego piersiach. Dotknęła nadgarstka i szyi, lecz nie znalazła żadnych oznak życia.

Przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w męża. Był egoistą, który przez całe pięćdziesiąt lat życia myślał tylko o tym, jak sobie dogodzić, za nic mając innych.

– Nie żyje – powiedziała.

Czuła jedynie ulgę.

IV

Pierre Aumande wszedł do apartamentu zajmowanego przez Louise de Nîmes, która od czterech lat była jego kochanką. Miała na sobie elegancką kosztowną suknię, a jej włosy były upięte w misterną fryzurę, jakby wybierała się na dwór, czego oczywiście nigdy nie wolno było jej robić. Zawsze kazał jej ubierać się w ten sposób, stosownie do jej tytułu, bo wtedy czerpał większą przyjemność z jej upodlenia. Każdy mógł upokorzyć służącą, ale Louise była markizą.

Ta zabawa wciąż go bawiła i przypuszczał, że nigdy mu się nie znudzi. Nie bił markizy często, bo potem bolały go od tego ręce. Nawet nie chędożył jej zbyt często. Znał bardziej wyrafinowane sposoby zadawania bólu. Największą przyjemność sprawiało mu niszczenie jej godności.

Raz od niego uciekła, co go tylko rozbawiło, bo wiedział, jak to się skończy. Jej nieliczni przyjaciele i krewni bali się, że jeśli przyjmą ją pod swój dach, również zostaną oskarżeni o herezję, więc nie miała dokąd pójść. Urodzona i wychowana pośród bogactw i przywilejów, nie umiała w żaden sposób zarobić na własne utrzymanie. Jak wiele kobiet pozbawionych środków do życia, zaczęła się w końcu prostytuować, by nie umrzeć z głodu. Po jednej nocy spędzonej w burdelu, poprosiła go, by przyjął ją z powrotem.

Dla zabawy udawał, że nie ma ochoty tego zrobić; zmusił ją, by padła przed nim na kolana i błagała. Ale oczywiście była zbyt cenna, by mógł ją stracić.

Tego dnia zaskoczył go widok jego pasierba w mieszkaniu Louise. Alain i markiza siedzieli obok siebie na kanapie i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Alain i Louise! – zawołał.

Oboje aż podskoczyli.

– Co ty tu robisz? – spytał pasierba.

Młodzieniec wskazał na suknię przewieszoną przez krzesło.

– Kazałeś to tutaj przynieść.

Pierre przypomniał sobie, że rzeczywiście wydał mu takie polecenie.

– Ale nie kazałem ci spędzać tu całego popołudnia na plotkach – warknął. – Wracaj do pałacu. Powiedz księciu Henrykowi, że wkrótce do niego przyjdę i że poznałem plan hiszpańskiej inwazji na Anglię.

Alain uniósł brwi.

– A kto ci go przedstawił?

– Nieważne. Poczekaj na mnie przed komnatą diuka. Będziesz mógł robić notatki.

Podszedł do Louise i chwycił ją za piersi.

Młody człowiek wyszedł.

Zarówno Alain, jak i Louise bali się Pierre'a. W chwilach szczerości wobec siebie rozumiał, że właśnie dlatego wciąż trzyma ich przy sobie. Nie chodziło o gorliwość pasierba, którym wysługiwał się na każdym kroku, ani o wdzięki Louise. Te sprawy były podrzędne. Największą przyjemność sprawiał mu ich strach. Napędzał go.

Czy miał coś przeciwko temu, by tych dwoje było przyjaciółmi? Nie widział w tym nic złego. Potrafił nawet zrozumieć, dlaczego Alain lubi Louise. Była od niego o wiele starsza, mogła zastępować mu matkę.

Ścisnął mocniej jej piersi.

– To zawsze był twój największy atut – powiedział.

Skrzywiła się z odrazą, lecz natychmiast ukryła ten grymas. Pierre dostrzegł go jednak i uderzył ją w twarz.

– Żadnych min, jasne?

– Przepraszam – odezwała się pokornym tonem. – Chciałbyś, żebym ci possała?

– Nie mam na to czasu. Przyszedłem powiedzieć, że zaprosiłem tu jutro kogoś na kolację. Chcę nagrodzić człowieka, który zdradził mi hiszpańskie plany wojenne. Będziesz podawała do stołu.

– Oczywiście.

– Nago.

Otworzyła szerzej oczy.

– Nago? W obecności nieznajomego?

– Będziesz się zachowywać całkiem normalnie, tyle że nie będziesz miała na sobie żadnych ubrań. Przypuszczam, że to go rozbawi.

W jej oczach pojawiły się łzy.

– Żadnych ubrań?

– Możesz włożyć pantofle.

Zdołała powstrzymać się od płaczu, choć z najwyższym trudem.

– Masz jakieś inne życzenia? – spytała.

– Nie. Po prostu nas obsługuj.

– Dobrze.

Jej cierpienie go podniecało i miał ochotę zostać dłużej, ale chciał jak najszybciej zobaczyć się z księciem Henrykiem. Odwrócił się i wyszedł. Zamykając drzwi, usłyszał jej płacz i uśmiechnął się z satysfakcją.

V

Ned był uradowany, gdy dotarł do niego list od pasierba Pierre'a Aumande'a opisujący plany wojenne króla Hiszpanii.

Armada miała przepłynąć przez kanał la Manche i zarzucić kotwice w pobliżu Dunkierki. Tam miała do nich dołączyć hiszpańska armia z Niderlandów, dowodzona przez Alessandra Farnese z Parmy, najsprawniejszego generała, jakiego kiedykolwiek król Filip wysłał do tej części Europy. Po przyjęciu na pokład żołnierzy okręty miały zawrócić i pożeglować na zachód, prosto do ujścia Tamizy.

Ned otrzymał również list od Jeronimy Ruiz, która poinformowała go, że hiszpańska flota liczy sto dwadzieścia dziewięć okrętów. Policzyła je w Lizbonie osobiście, bo właśnie tam przebywała i widziała armadę na własne oczy. Udała się do

Lizbony z kardynałem, który razem z wieloma innymi hierarchami Kościoła miał pobłogosławić okręty i udzielić każdemu z dwudziestu sześciu tysięcy płynących na nich ludzi rozgrzeszenia za czyny, których dopuszczą się w Anglii.

Królowa Elżbieta była zdruzgotana. Jej marynarka wojenna liczyła trzydzieści osiem okrętów. Nie miała pojęcia, jak mogłaby odeprzeć inwazję – Ned także tego nie wiedział. Był niemal pewien, że Elżbieta zostanie pokonana, Anglią będzie rządził król Filip, a Europę zdominują radykalni katolicy.

Czuł potworny wstyd. Podejrzewał, że to wszystko jego wina, bo to on zachęcał królową do stracenia Marii Stuart.

Informacje Jeronimy potwierdzali inni szpiedzy. Liczba statków zmieniała się nieco w poszczególnych raportach, ale były to nieznaczne różnice.

Elżbieta chciała wiedzieć, ilu ludzi ma w Niderlandach książę Parmy i jak planuje przeprawić ich przez kanał La Manche. Meldunki, które Ned otrzymał od kilku szpiegów, różniły się od siebie istotnie, postanowił więc pojechać na miejsce i osobiście ustalić liczebność hiszpańskich wojsk.

Wiedział, że ryzykuje życie. Gdyby go schwytano i odkryto, że jest angielskim szpiegiem, śmierć przez powieszenie byłaby dla niego najlepszą z możliwych perspektyw. Ale skoro sam przyczynił się do katastrofy grożącej ojczyźnie, to uważał, że powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, by jej zapobiec, choćby za cenę życia.

Popłynął statkiem do Antwerpii. Odniósł wrażenie, że w tym kosmopolitycznym, pełnym życia mieście wszyscy przybysze są mile widziani, jeśli tylko spłacają swoje długi.

– I nie ma tu bzdurnych przepisów, które uznają lichwę za grzech – poinformował go Carlos Cruz.

Ned cieszył się, że w końcu poznał tego intrygującego człowieka, swego krewnego, bohatera wielu ciekawych opowieści. Carlos miał pięćdziesiąt jeden lat, był krzepkim mężczyzną o krzaczastej siwiejącej brodzie. Ned uznał, że przypomina wesołego wieśniaka z niderlandzkich obrazów przedstawiających ludowe zabawy. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że Carlos i Barney zabili sierżanta podczas bójki wywołanej grą w karty.

Carlos mieszkał niedaleko nabrzeża, w wielkim domu, za którym znajdował się

ogromny warsztat dymarski. Jego żona Imke była atrakcyjną kobietą o szerokim, ujmującym uśmiechu. Mieszkali razem z córką, jej mężem i dwójką ich dzieci. Mężczyźni chodzili w czarnych i szarych strojach, lecz kobiety nosiły szaty w cudownych kolorach, wśród których królowały jasny błękit, szkarłat, odcienie brzoskwini i lawendy. W domu Carlosa było mnóstwo kosztownych przedmiotów: obrazy olejne w rzeźbionych ramach, instrumenty muzyczne, lustra, ozdobne dzbany, misy i kielichy, księgi oprawne w skórę, dywany i kotary. Wyglądało na to, że Niderlandczycy uważają dom za najwyższą wartość, a jeśli popisują się bogactwem, to tylko w domach, z czym Ned nie zetknął się nigdzie indziej.

Aby wypełnić swą misję, potrzebował pomocy Carlosa, lecz wcale nie był pewien, czy uda mu się ją uzyskać. Carlos był Hiszpanem i katolikiem. Z drugiej strony, Kościół zmusił go do ucieczki z ojczyzny. Czy zechce działać przeciwko armadzie? Wkrótce Ned miał się tego dowiedzieć.

W dniu przyjazdu Neda Carlos gościł na kolacji swego wieloletniego wspólnika w interesach, Ebrimę Dabo, oraz jego żonę Evi. Ebrima miał siedemdziesiąt lat, a jego kręcone włosy były całkiem siwe. Evi nosiła złoty

naszyjnik z brylantami. Ned przypomniał sobie, jak Barney mówił mu kiedyś, że Ebrima jako niewolnik był kochankiem ich ciotki Betsy. Ten człowiek miał za sobą naprawdę niezwykłe życie: najpierw uprawiał ziemię w zachodniej Afryce, potem był wojownikiem, następnie jeńcem, niewolnikiem w Sewilli, później marynarzem, żołnierzem w Niderlandach, a na koniec został bogatym właścicielem warsztatu dymarskiego w Antwerpii.

Carlos chętnie dolewał wszystkim wina i sobie też nie żałował. Podczas rozmowy przy kolacji okazało się, że zarówno Carlos, jak i Ebrima obawiają się skutków inwazji Hiszpanów na Anglię.

– To po części dzięki królowej Elżbiecie Hiszpanie nie zdołali zdławić powstania w Niderlandach – powiedział Carlos po francusku, bo wszyscy obecni przy stole rozumieli ten język. – Kiedy już król Hiszpanii podbije Anglię, stracimy wsparcie Elżbiety, a Filip będzie mógł się skupić wyłącznie na naszym kraju.

– Interesy zawsze cierpią na tym, gdy do władzy dochodzi Kościół – zauważył Ebrima.

– A jeśli nasze powstanie upadnie, nic już nie powstrzyma świętej inkwizycji.

Paradoksalnie Neda cieszyły ich obawy. Uznał, że to dobry moment, by przedstawić im propozycję.

Wcześniej długo się nad tym zastanawiał. Byłby bezpieczniejszy, gdyby podróżował z Carlosem, który mówił biegnie po niderlandzku, znał kraj i setki ludzi w tym regionie. Lecz pomagając mu, Carlos ryzykował życie.

Ned wziął głęboki oddech.

– Jeśli chcecie pomóc Anglii – zaczął – możecie zrobić to w bardzo konkretny sposób.

– Powiedz w jaki – zachęcił go Carlos.

– Przybyłem tu, by ocenić siłę hiszpańskich wojsk szykujących się do inwazji na Anglię.

– Ach… – westchnął Ebrima jak człowiek, który doznał nagle oświecenia. – Tak się właśnie zastanawiałem…

– Hiszpańska armia stacjonuje głównie w okolicy Dunkierki i Nieuwpoort – powiedział Carlos.

– Zastanawiałem się, czy nie zechcielibyście sprzedać Hiszpanom partii kul armatnich. Na pewno potrzebują ich tysiące. Jeśli przywieźlibyśmy im kilka wozów kul, zostalibyśmy przyjęci z otwartymi rękami i nie wzbudzilibyśmy niczyich podejrzeń.

– Mnie nie bierzcie pod uwagę – zastrzegł się Ebrima. – Dobrze wam życzę, ale jestem już za stary na takie przygody.

Ned pomyślał z niepokojem, że w takim razie Carlos również zechce się wycofać. Jego krewny jednak uśmiechnął się szeroko.

– Będzie jak za starych dobrych czasów! – zawołał i Ned, odetchnąwszy z ulgą, upił kolejny łyk wina.

Nazajutrz Carlos załadował na wozy cały swój zapas kul armatnich i kupił jeszcze dodatkowe. W sumie miał osiem wozów. Ustawił je w parach ciągniętych po dwa woły każda i następnego dnia ruszyli w drogę.

Droga do Nieuwpoort biegła wzdłuż wybrzeża i Ned zobaczył wkrótce to, co go tu przywiodło: przygotowania do inwazji. Wzdłuż brzegu cumowały nowe płaskodenne barki, a w każdym warsztacie szkutniczym budowano nowe. Były to prymitywne, niełatwe do sterowania jednostki, które mogły służyć tylko jednemu celowi: przewożeniu dużej liczby ludzi. Wydawało się, że są ich setki, a każda, zdaniem Neda, mogła przewieźć od pięćdziesięciu do stu osób. Ile tysięcy żołnierzy miał książę Parmy? Los jego ojczyzny zależał od odpowiedzi na to pytanie.

Wkrótce Ned zobaczył również żołnierzy obozujących w głębi lądu, siedzących wokół ognisk, grających w kości i karty, znudzonych jak wszystkie armie świata. Oddział, który przechodził właśnie drogą, na widok wozów wzniósł radosny okrzyk. Ned ucieszył się, że zgodnie z jego przewidywaniami, kule armatnie zapewniają im przychylność hiszpańskich wojsk i bezpieczeństwo.

Próbował oszacować ich liczbę, lecz obozowiska ciągnęły się bez końca. Woły wytrwale ciągnęły wozy po drodze gruntowej, pokonując milę za milą i mijając kolejne oddziały.

Objechali Nieuwpoort i ruszyli dalej, w stronę Dunkierki, lecz obraz przygotowań wojennych się nie zmieniał.

Bez przeszkód dostali się do ufortyfikowanej Dunkierki i dotarli na rynek przy nabrzeżu. Podczas gdy Carlos targował się z kapitanem miejscowego oddziału o cenę kul, Ned poszedł na plażę, by spokojnie zebrać myśli.

Przypuszczał, że w Niderlandach stacjonuje mniej więcej tyle samo wojsk co w pobliżu Lizbony. Łącznie do inwazji na Anglię szykowało się prawdopodobnie ponad pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Była to ogromna armia, jakiej Europa

nie widziała od dziesięcioleci. Największą bitwą morską, o której słyszał, było oblężenie Malty; brało w nim udział od trzydziestu do czterdziestu tysięcy tureckich najeźdźców. Czuł się przytłoczony świadomością, że teraz celem tej potęgi jest zniszczenie jego ojczyzny.

Najpierw jednak wrogie wojska musiały się dostać do Anglii.

Czy te płaskodenne barki mogły przewieźć żołnierzy przez wody kanału La Manche? Byłoby to z pewnością niebezpieczne – wystarczyłby silniejszy wiatr, by barki zaczęły się przewracać do góry dnem. Prawdopodobnie służyły jedynie do transportu wojsk na większe okręty zakotwiczone w pobliżu wybrzeża – gdyby wszystkie galeony miały przybijać do portów i dokonywać załadunku w tradycyjny sposób, trwałoby to kilka tygodni.

Spojrzał na port i wyobraził sobie tysiące ludzi przewożonych na galeony oddalone od wybrzeża. Uświadomił sobie, że to jest właśnie słaby punkt bitewnych planów króla Hiszpanii. Kiedy już armia znajdzie się na pokładzie galeonów, nic nie zdoła jej powstrzymać.

Sytuacja wyglądała nieciekawie. Gdyby inwazja się powiodła, w Anglii znów zapłonęłyby stosy. Ned nie zapomniał przerażającego krzyku,

jaki wydawał z siebie Philbert Cobley, gdy płonął żywcem przed katedrą w Kingsbridge. Czy naprawdę mieli do tego wrócić?

Jedyną nadzieją było powstrzymanie armady w kanale La Manche, przed zaokrętowaniem żołnierzy. Flota Elżbiety była znacznie mniejsza, a szanse na zwycięstwo nikłe, ale nie pozostało im nic innego.

ROZDZIAŁ 26

I

W piątek dwudziestego dziewiątego lipca 1588 roku, o czwartej po południu, Rollo Fitzgerald ponownie zobaczył Anglię. Serce podskoczyło mu w piersiach z radości.

Stał na pokładzie *San Martina*, balansując bez wysiłku w rytm fal kołyszących hiszpańskim okrętem flagowym. Na razie Anglia była jedynie ciemną smugą na horyzoncie, ale marynarze mieli swoje sposoby na ustalenie dokładnej pozycji. Nawigator wyrzucił za rufę obciążoną linę, a gdy ta dotknęła dna, wyciągnął ją i zmierzył. Morze miało tu zaledwie dwieście stóp głębokości, a piasek wydobyty z dna był biały, co oznaczało, że okręt wpływa w zachodnią część kanału La Manche.

Rollo uciekł z Anglii po nieudanym spisku zmierzającym do uwolnienia Marii Stuart. Przez

kilka nerwowych dni wyprzedzał Neda Willarda zaledwie o krok, w końcu jednak zdołał wymknąć się obławie i opuścić kraj.

Udał się natychmiast do Madrytu, bo tam właśnie decydowały się losy Anglii. Ukrywając się wciąż pod pseudonimem Jean Langlais, pracował wytrwale na rzecz hiszpańskiej inwazji. Uchodził za bardzo wiarygodną osobę. Z raportów hiszpańskiego ambasadora, don Bernardina de Mendozy, słanych najpierw do Londynu, a potem do Paryża, wynikało jasno, że nikt nie zrobił tyle dla zachowania wiary katolickiej w protestanckiej Anglii co Jean Langlais. Pozycją ustępował tylko Williamowi Allenowi, który po inwazji miał zostać arcybiskupem Canterbury.

Datę rozpoczęcia inwazji przesuwano co najmniej kilkakrotnie, w końcu jednak dwudziestego ósmego maja 1588 roku armada wypłynęła z Rollo na pokładzie jednego z okrętów.

Król Hiszpanii twierdził, że jest to wojna obronna: zemsta za ataki angielskich piratów na hiszpańskie statki płynące przez Atlantyk, za angielską pomoc dla niderlandzkich powstańców oraz za napaść, jakiej Drake dopuścił się w Kadyksie. Jednakże Rollo czuł się jak

krzyżowiec. Wracał, by wyzwolić ojczyznę spod rządów niewiernych, którzy przejęli władzę przed trzydziestu laty. Był jednym z wielu angielskich katolików wracających z armadą. Wierzył, że wyzwoliciele zostaną radośnie powitani przez Anglików, którzy pozostali wierni prawdziwej religii. W nagrodę za długie lata trudnej i niebezpiecznej służby prowadzonej pod nosem Neda Willarda obiecano mu posadę biskupa Kingsbridge. Tamtejsza katedra znów miała się stać miejscem nabożeństw katolickich z krucyfiksami i kadzidłem, odprawianych przez Rollo odzianego we wspaniałe kapłańskie szaty odpowiadające jego statusowi.

Armadą dowodził książę Medyny-Sydonii, przedwcześnie wyłysiały trzydziestoośmiolatek. Był najbogatszym właścicielem ziemskim w Hiszpanii i miał niewielkie doświadczenie w sprawach morskich. Jego dewizą była ostrożność.

Gdy określono położenie armady, książę Medyny-Sydonii kazał podnieść na grotmaszt specjalną flagę poświęconą przez papieża i obniesioną w procesji we wnętrzu lizbońskiej katedry. Potem powiesił na fokmaszcie flagę królewską, ukośny czerwony krzyż. Na innych okrętach pojawiły się kolejne flagi: zamki

z Kastylii, smoki z Portugalii, chorągwie różnych arystokratów i symbole świętych, którzy ich chronili. Powiewały i trzepotały dzielnie na wietrze, wychwalając siłę i waleczność armady.

San Martin oddał potrójną salwę, co było sygnałem do modlitwy dziękczynnej, po czym zrefował żagle i zarzucił kotwicę. Książę Medyny-Sydonii zwoływał naradę wojenną, w której brał udział Rollo. W ciągu ostatnich dwóch lat nauczył się hiszpańskiego wystarczająco dobrze, by rozumieć dyskusję, a w razie konieczności również brać w niej udział.

Wiceadmirałem księcia był przystojny don Juan Martinez de Recalde, dowodzący okrętem *San Juan de Portugal*. Miał sześćdziesiąt dwa lata i największe doświadczenie wśród przywódców armady, gdyż całe dorosłe życie był oficerem marynarki wojennej. Kilka godzin wcześniej przejął angielską łódź rybacką i przesłuchał jej załogę. Teraz poinformował pozostałych kapitanów, że angielska flota ukrywa się przy ujściu rzeki Plym. Był to najbliższy duży port na południowym wybrzeżu.

– Jeśli popłyniemy teraz do Plymouth i zaskoczymy Anglików, zniszczymy połowę ich marynarki wojennej – powiedział Recalde. – To będzie zemsta za napaść Drake’a na Kadyks.

Rollo spojrzał na niego z nadzieją. Czy naprawdę zwycięstwo było już tak bliskie?

Lecz książę Medyny-Sydonii miał wątpliwości.

– Dostaliśmy wyraźne rozkazy od Jego Wysokości króla Filipa – przypomniał. – Płyniemy prosto pod Dunkierkę, na spotkanie z księciem Parmy i hiszpańską armią w Niderlandach. Król chce prowadzić inwazję, a nie bitwę morską.

– Tak czy inaczej, będziemy musieli walczyć z angielskimi okrętami – obstawał przy swoim Recalde. – Na pewno spróbują nas powstrzymać i zapobiec temu spotkaniu. Teraz nadarza się doskonała okazja, by ich zniszczyć. Głupotą byłoby z niej nie skorzystać.

Książę zwrócił się do Rollo:

– Zna pan to miejsce?

– Owszem – odparł Rollo.

Wielu Anglików uznałoby go w tej chwili za zdrajcę. Gdyby zobaczyli, jak płynie na okręcie flagowym sił inwazyjnych, pomagając i doradzając wrogowi, skazaliby go na śmierć. Nie zrozumieliby. Na szczęście to Bóg miał go osądzać, nie ludzie.

– Wejście do portu w Plymouth jest wąskie – oznajmił. – Mogą przez nie przepłynąć tylko dwa lub trzy okręty jednocześnie, nie więcej. Strzegą

go też armaty. Ale gdyby choć kilka galeonów dostało się do portu, dokonałyby masakry. Heretycy nie mieliby dokąd uciec.

Hiszpańskie okręty uzbrojone były w ciężkie armaty o krótkich lufach, bezużyteczne podczas walki na dystans, ale śmiertelnie groźne przy bliskich starciach. Co więcej, na pokładach armady kłębił się tłum żołnierzy żądnych czynu, podczas gdy angielskie statki obsługiwali niemal wyłącznie żeglarze. To byłaby rzeź, pomyślał Rollo z nadzieją.

– Samo miasto Plymouth liczy około dwóch tysięcy mieszkańców – mówił dalej. – Mniej niż jedną dziesiątą naszych sił. Nie mieliby żadnych szans.

Książę milczał przez dłuższą chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw.

– Nie – zadecydował w końcu. – Poczekamy tu na resztę okrętów.

Rollo był rozczarowany. Ale być może książę podjął właściwą decyzję. Hiszpanie mieli ogromną przewagę nad Anglikami, więc nie musieli ryzykować. Miejsce i czas rozprawy z angielską marynarką wojenną nie miały znaczenia – tak czy inaczej, zwycięstwo armady było przesądzone.

II

Barney Willard był w Plymouth Hoe – na niskich klifach, z których rozciągał się widok na wejście do portu. Stał tam wraz z grupą mężczyzn towarzyszących dowódcy angielskiej marynarki wojennej, lordowi Howardowi. Z Hoe widzieli całą swoją flotę, która zaopatrywała się teraz w słodką wodę i żywność. Do okrętów marynarki wojennej dołączyły mniejsze, uzbrojone statki handlowe, w tym dwa Barneya: *Alice* i *Bella*. W sumie w porcie przebywało teraz około dziewięćdziesięciu jednostek.

Południowo-zachodnia bryza niosła ze sobą zapach morza, który zawsze podnosił Barneya na duchu, lecz kierunek wiatru sprzyjał, niestety, hiszpańskiej armadzie wpływającej do kanału La Manche z Atlantyku i zmierzającej na wschód.

Królowa Elżbieta podjęła ogromne ryzyko. Podczas narady z dowódcami marynarki – lordem Howardem, sir Francisem Drakiem i sir Johnem Hawkinsem – postanowiła wysłać większość floty na spotkanie armady na zachodni kraniec kanału La Manche. Wschodniego końca – zwanego Wąskim Morzem – gdzie zamierzał płynąć książę Parmy ze swoją

armią, broniło zaledwie kilka okrętów. Wszyscy wiedzieli, jak ryzykowny jest ten plan.

Atmosfera panująca w Plymouth Hoe była bardzo napięta. Losy Anglii spoczywały w ich rękach, a wróg, któremu musieli stawić czoło, miał przytłaczającą przewagę. Barney wiedział, że podczas bitwy morskiej o wszystkim może zadecydować nieprzewidywalna pogoda, lecz tak czy inaczej, mieli bardzo niewielkie szanse na wygraną. Nic więc dziwnego, że angielscy dowódcy byli zmartwieni i przybici… z jednym wyjątkiem – wiceadmirał Francis Drake dawał właśnie świadectwo swej słynnej niefrasobliwości, grając z miejscowymi w kręgle.

Kiedy Barney nerwowo wodził wzrokiem po morzu, w cieśninie ukazała się pinasa. Był to mały statek o wyporności około pięćdziesięciu ton, który rozwinął teraz wszystkie żagle i sunął nad falami jak ptak. Barney znał tę jednostkę.

– To *Złota Łania*! – zawołał.

Wśród zgromadzonych podniósł się pomruk zainteresowania. *Złota Łania* była jednym z kilku szybkich okrętów, które patrolowały zachodnie obrzeża Anglii i wypatrywały najeźdźców. Barney zrozumiał, że może tu płynąć tylko z jednego powodu, i po jego plecach przebiegł zimny dreszcz.

Obserwował w milczeniu, jak *Złota Łania* wpływa do portu, opuszcza żagle i cumuje przy plaży. Nim jeszcze zarzucono wszystkie liny, z pokładu zeszli dwaj mężczyźni, którzy udali się pospiesznie do miasta. Kilka minut później na zboczu pojawiło się dwóch jeźdźców zmierzających do Plymouth Hoe. Drake, ciekaw wieści z morza, przerwał grę i powłócząc lekko lewą nogą, w którą został niegdyś postrzelony, przeszedł przez trawę.

Starszy z dwóch mężczyzn przedstawił się jako Thomas Fleming, kapitan *Złotej Łani*.

– O świcie natknęliśmy się na Hiszpanów – powiedział zdyszany. – Natychmiast popłynęliśmy tutaj.

– Bardzo dobrze – pochwalił go admirał Charles Howard, energiczny pięćdziesięciodwulatek z siwą brodą. – Proszę powiedzieć, co widzieliście.

– Pięćdziesiąt hiszpańskich okrętów w pobliżu archipelagu Scilly.

– Jakiego typu?

– Głównie duże galeony, do tego kilka statków towarowych i parę ciężkozbrojnych galeasów.

Barney poczuł nagle, jak ogarnia go osobliwy spokój. Chwila, której obawiali się od tak dawna, w końcu nadeszła. Najpotężniejszy kraj na

świecie atakował Anglię. Ta świadomość przyniosła mu dziwną ulgę. Teraz nie pozostało im nic innego, jak walczyć do ostatniej kropli krwi.

– W jakim kierunku płynęli Hiszpanie? – spytał Howard.

– Nie płynęli, panie admirale. Mieli zwinięte żagle i wyglądało na to, że czekają na inne okręty.

– Jest pan pewny, że było ich pięćdziesiąt? – wtrącił lord Parminter.

– Nie podpływaliśmy za blisko, bo baliśmy się, że zostaniemy schwytani i nie będziemy mogli przekazać wiadomości.

– Bardzo słusznie, Fleming. – Lord Howard skinął głową.

Barney wiedział, że wyspy Scilly leżą w odległości około stu mil od Plymouth. Fleming pokonał tę odległość w ciągu niecałego dnia. Armada nie mogła poruszać się z taką samą prędkością, lecz tak czy inaczej, byłaby w stanie dotrzeć do Plymouth przed zmrokiem, zwłaszcza gdyby zostawiła w tyle wolniejsze jednostki z zaopatrzeniem.

– Powinniśmy natychmiast podnieść żagle! – rzekł Parminter, który najwyraźniej podzielał

jego obawy. – Musimy przypuścić bezpośredni atak na armadę, nim wysadzą na ląd wojsko.

Parminter nie był żeglarzem. Barney wiedział, że bezpośrednie starcie to ostatnia rzecz, jakiej chcieliby Anglicy.

– Trwa przypływ, a wiatr wieje z południowego zachodu – tłumaczył cierpliwie lord Howard. – Bardzo trudno wypłynąć z portu przy przeciwnym wietrze i pływie. W przypadku całej floty to niemożliwe. Ale o dziesiątej wieczorem zacznie się odpływ i wtedy będziemy mogli wypłynąć na pełne morze.

– Do tego czasu Hiszpanie mogą już tu być!

– Owszem. Całe szczęście, że ich dowódca postanowił poczekać i przegrupować siły.

– Ja bym nie czekał – rzucił Drake, po raz pierwszy zabierając głos w dyskusji. – Kto się waha, przegrywa.

Howard uśmiechnął się pod nosem. Drake był chwalipiętą, ale miał ku temu powody.

– Hiszpanie się wahają, ale, niestety, jeszcze nie przegrali. – Admirał westchnął ciężko.

– Jesteśmy w gorszej sytuacji – powiedział Drake. – Mają sprzyjający wiatr, a to daje im dużą przewagę.

Barney posępnie skinął głową. Wiedział z doświadczenia, że podczas bitwy morskiej

wiatr może być rozstrzygającym czynnikiem.

– A gdybyśmy tak podpłynęli do nich od strony morza, a nie lądu? – spytał Howard. – Wtedy wiatr by nam sprzyjał. Czy to w ogóle możliwe?

Barney wiedział, jak trudno jest żeglować pod wiatr. Gdy statek znajdował się na kursie prostopadłym do kierunku wiatru, mógł ustawić żagle pod kątem i płynąć szybko w pożądanym kierunku. Innymi słowy, przy północnym wietrze mógł bez problemu kierować się nie tylko na południe, ale i na wschód lub zachód. Dobrze skonstruowana jednostka, obsadzona przez sprawną załogę, mogła dokonać jeszcze trudniejszej sztuki – płynąć na północny wschód lub północny zachód, czyli „iść maksymalnie ostro na wiatr". Taka żegluga stanowiła nie lada wyzwanie, bo drobny błąd w ocenie mógł sprawić, że statek ustawi się dokładnie pod wiatr i zatrzyma. Jeśli angielska flota chciała popłynąć na południowy zachód przy południowo-zachodnim wietrze, musiała najpierw pożeglować na południe, a potem zygzakiem na zachód, stosując żmudny manewr zwany fastrygą.

Drake skrzywił się z powątpiewaniem.

– Musielibyśmy nie tylko płynąć pod wiatr, ale i trzymać się poza zasięgiem wzroku Hiszpanów, inaczej zmieniliby kurs, żeby nas powstrzymać.

– Nie pytałem, czy to będzie trudne. Pytałem, czy to możliwe.

Drake uśmiechnął się szeroko. Lubił takie podejście.

– Tak, to możliwe – odparł.

Brawura Drake'a dodała Barneyowi otuchy. Nie mogli liczyć na nic innego.

– Więc zróbmy to – powiedział Howard.

III

Prawie przez całą sobotę Rollo stał przy lewej burcie okrętu *San Martin*, który korzystając ze sprzyjającego wiatru, płynął kanałem La Manche w stronę Portsmouth. Armada tworzyła szeroką kolumnę, w której najlepsze jednostki zajmowały miejsce z przodu i z tyłu, a statki z zaopatrzeniem w środku, pod ich osłoną.

Spoglądając na skaliste brzegi Kornwalii, Rollo doświadczał sprzecznych emocji; poddawał się na przemian euforii i poczuciu winy. To była jego ojczyzna, a on ją atakował. Wiedział, że wykonuje wolę Bożą, ale jakiś głos z tyłu głowy

mówił mu, że być może wcale nie przynosi to zaszczytu jego rodzinie i jemu. Nie obchodzili go wcale ludzie, którzy mieli zginąć podczas bitwy, nigdy nie przejmował się takimi rzeczami – ludzie tak czy inaczej umierają, tak już urządzony jest ten świat. Nie mógł jednak pozbyć się obaw, że jeśli inwazja zakończy się klęską, on przejdzie do historii jako zdrajca. Ta świadomość ogromnie mu dokuczała.

Właśnie na ten moment czekali obserwatorzy rozstawieni wzdłuż angielskiego wybrzeża. Na odległych wzgórzach zapalały się kolejne ogniska, przesyłając wiadomość o inwazji szybciej, niż byłby to w stanie zrobić najszybszy nawet statek czy jeździec. Rollo obawiał się, że ostrzeżona zawczasu angielska flota może wypłynąć z portu w Plymouth i udać się na wschód, by uniknąć pułapki. Przez nadmierną ostrożność księcia Medyny-Sydonii stracili doskonałą okazję.

Gdy tylko armada przepływała bliżej brzegu, Rollo widział zgromadzone na urwiskach tłumy, które wpatrywały się w ciszy w okręty, jakby oniemiałe z wrażenia; w całej historii świata nikt jeszcze nie widział tylu statków naraz.

Pod wieczór hiszpańscy żeglarze dostrzegli ławice piasku i groźne czarne skały – część

niebezpiecznej rafy zwanej Eddystone – odpłynęli więc od brzegu, by je ominąć. To słynne miejsce znajdowało się na południe od Plymouth. Wkrótce potem w oddali pokazało się kilka żagli oświetlonych przedwieczornym słońcem. Rollo uświadomił sobie z przejęciem, że dotarli w końcu do angielskiej floty.

Książę Medyny-Sydonii kazał swoim okrętom zakotwiczyć, by mieć pewność, że zbliżą się do Anglików z wiatrem. Nazajutrz czekała ich bitwa, chciał więc zachować tę przewagę nad nieprzyjacielem.

Mało kto spał tej nocy na pokładzie *San Martin*. Żołnierze ostrzyli miecze, sprawdzali pistolety i proch, polerowali zbroje. Artylerzyści układali kule, zaciskali liny mocujące armaty i napełniali beczki wodą morską, by w razie potrzeby gasić nią pożary. Odsuwano od burt wszystkie większe przedmioty, by w razie potrzeby cieśle mogli szybko dostać się do poszycia i łatać dziury.

O drugiej w nocy wstał księżyc. Rollo stał na pokładzie i spoglądał w dal, wypatrując angielskiej floty, widział jednak tylko jakieś niewyraźne kształty, które mogły być kłębami mgły. Modlił się za armadę i za siebie, prosząc

Boga, by przeżył jutrzejszą bitwę i został biskupem Kingsbridge.

Letni świt nadszedł szybko, odsłaniając pięć angielskich okrętów z przodu. Gdy jednak zrobiło się całkiem jasno, Rollo obejrzał się za siebie i doznał szoku. Angielska flota była za armadą. Jak to się stało, u diabła?!

Pięć okrętów z przodu stanowiło tylko przynętę. Pozostałe, pomimo przeciwnego wiatru, zdołały jakoś opłynąć armadę i zajęły dogodną pozycję, gotowe do bitwy.

Hiszpańscy żeglarze byli zdumieni. Nikt nie zdawał sobie dotąd sprawy, że węższy kadłub angielskich okrętów, budowanych zgodnie z nowymi trendami konstrukcyjnymi, ma aż tak duży wpływ na ich sterowność. Rollo był załamany. Jeszcze nie doszło do bitwy, a Hiszpanie już stracili jeden z najważniejszych atutów!

Na północy widać było ostatnie jednostki angielskiej floty płynące zygzakiem wzdłuż wybrzeża. Ku zdumieniu Rollo, kiedy prowadzący okręt dotarł na południowy kraniec zygzakowatego kursu, otworzył ogień skierowany na północną flankę armady. Opróżnił szybko armaty, a później znów skręcił na północ. Żaden z hiszpańskich okrętów nie

został trafiony, więc Anglicy zmarnowali amunicję, ale Hiszpanie byli zadziwieni zarówno sprawnością wrogiej jednostki, jak i zuchwałością jej kapitana.

Tak padły pierwsze strzały w tej bitwie.

Za pomocą armat i flag książę Medyny-Sydonii polecił armadzie ustawić się w szyku bojowym.

IV

Tym razem to Anglicy przeżyli chwilę zdumienia. Hiszpańskie okręty zmierzające na wschód, z dala od floty Howarda, ustawiły się w formacji obronnej z precyzją, jakiej angielska marynarka wojenna nigdy nie osiągnęła. Jakby kierowane niewidzialną ręką, utworzyły idealny łuk o długości kilku mil – ogromny półksiężyc, którego końce skierowane były ku angielskiej flocie.

Ned Willard przyglądał się temu z pokładu okrętu flagowego *Ark Royal*, gdzie trafił jako wysłannik Walsinghama. *Ark Royal* był czteromasztowym galeonem o długości nieco ponad stu stóp. Zbudował go podróżnik sir Walter Raleigh, który sprzedał go królowej

Elżbiecie, choć skąpa władczyni nie zapłaciła mu ani pensa, tylko odjęła pięć tysięcy funtów od kwoty, którą rzekomo był jej winien. Okręt był uzbrojony w trzydzieści dwie armaty ustawione na dwóch pokładach i na dziobówce. Ned nie miał własnej kajuty, ale zapewniono mu luksus w postaci własnej koi w pomieszczeniu zajmowanym przez czterech mężczyzn. Marynarze spali na pokładach – trzystu załogantów i ponad stu żołnierzy z trudem znajdowało sobie odrobinę wolnego miejsca na okręcie, który w najszerszym miejscu mierzył zaledwie trzydzieści siedem stóp.

Obserwując niemal magiczny manewr Hiszpanów, Ned zauważył, że statki z zaopatrzeniem znajdowały się pośrodku szyku, a okręty bojowe albo z przodu, albo na rogach. Zrozumiał od razu, że Anglicy mogli atakować tylko końce półksiężyca, gdyż okręt wpływający na środek półkola byłby narażony na atak od tyłu. Każda z jednostek – prócz tych na skrajnych pozycjach – była ochraniana przez inną, ustawioną za nią. Całość stanowiła skuteczną i przemyślaną formację.

Hiszpańska armada zadziwiała Neda także z innych powodów. Okręty lśniły farbą w jaskrawych barwach; nawet z daleka widać

było, że ludzie stojący na pokładzie noszą porządne ubrania – kaftany i rajtuzy w różnych odcieniach szkarłatu, królewskiego błękitu, fioletu i złota. Nawet niewolnicy na galeasach mieli jasnoczerwone kubraki. Kto ubiera się na wojnę jak na przyjęcie?! Na angielskich okrętach tylko arystokraci nosili eleganckie stroje. Nawet dowódcy, jak Drake czy Hawkins, mieli zwyczajne wełniane rajtuzy i skórzane kubraki.

Lord Howard stał na pokładzie rufowym *Ark Royal*, na podwyższeniu za grotmasztem, skąd widział większość własnych i wrogich jednostek. Ned zajął miejsce obok niego. Z tyłu płynęła angielska flota w chaotycznym, poszarpanym szyku.

Zobaczył, że jeden z marynarzy posypuje główny pokład trocinami. Dopiero po chwili zrozumiał, że robi to, by podczas walki żeglarze i żołnierze nie ślizgali się na okrwawionym drewnie.

Howard wydał krótkie polecenie i jego okręt poprowadził flotę do bitwy.

Angielski admirał płynął w stronę północnego końca półksiężyca. W oddali, na południu, *Revenge* Drake’a atakował przeciwległy róg.

Ark Royal dotarł za hiszpański okręt pozostający najbardziej do tyłu, potężny galeon

o nazwie *Rata Coronada*. Gdy *Ark Royal* zaczął mijać rufę *Rata Coronada*, hiszpański kapitan obrócił swą jednostkę tak, że wrogie okręty ustawiły się burtami do siebie. Chwilę później oba oddały salwy ze wszystkich armat.

Ned przekonał się, że tak potężny huk armat jest niczym cios, a powstały dym jest gęstszy od najgorszej mgły. Gdy cuchnące opary wreszcie się rozwiały, zobaczył, że żadna kula nie trafiła w cel. Howard wiedział, że Hiszpanie chcą podpłynąć do nich dość blisko, by dokonać abordażu, zachował więc bezpieczną odległość, która jednak okazała się za duża, by jego salwa odniosła jakikolwiek skutek. Strzały nieprzyjaciela, oddane z cięższych armat o krótszym zasięgu, były równie nieskuteczne.

Ned przeżył właśnie pierwsze starcie na morzu, lecz, ku jego rozczarowaniu, nic się właściwie nie wydarzyło.

Okręty płynące za *Ark Royal* zaatakowały *Rata Coronada* i trzy lub cztery pobliskie galeony, ale bez większych sukcesów. Kilka angielskich kul uszkodziło takielunek wrogich jednostek, nie wyrządziło im jednak znaczących szkód.

Spojrzał na południe i przekonał się, że atak Drake’a na przeciwległy róg armady również nie przyniósł żadnych rezultatów.

Bitwa przenosiła się na wschód i Hiszpanie stracili wszelkie szanse na zaatakowanie Plymouth. Anglicy, którym właśnie o to chodziło, szybko się wycofali.

Ned pomyślał ponuro, że trudno nazwać to znaczącym triumfem. Armada nie odniosła praktycznie żadnych strat i nadal zmierzała na spotkanie z drugą częścią hiszpańskiej armii pod Dunkierką. Anglia nadal drżała ze strachu przed inwazją.

V

Optymizm Rollo rósł z dnia na dzień.

Armada płynęła majestatycznie na wschód, ścigana i nękana przez angielską marynarkę wojenną, która jednak nie była w stanie jej zatrzymać ani poważnie opóźnić. Pies kąsający nogi konia może być dokuczliwy, ale wcześniej czy później zostanie kopnięty w głowę. Hiszpanie stracili dwa galeony, a Drake, wierny swej naturze, opuścił na jakiś czas pozycję w szyku angielskiej floty, by przejąć jeden z nich, cenny okręt o nazwie *Rosario*. Mimo to armada była niepowstrzymana.

W sobotę szóstego sierpnia Rollo dojrzał nad bukszprytem *San Martina* znajomy zarys francuskiego portu w Calais.

Książę Medyny-Sydonii postanowił się tu zatrzymać. Musieli pokonać jeszcze dwadzieścia cztery mile, by dotrzeć do Dunkierki, gdzie miał czekać na nich książę Parmy ze swoją armią i flotyllą gotową dołączyć do armady. Tu jednak pojawiał się problem. Płycizny i łachy piasku na wschód od Calais sięgały aż piętnaście mil w głąb morza, stanowiąc zagrożenie dla statków, których nawigatorzy nie znali dobrze tych zdradliwych wód. Hiszpański admirał obawiał się, że zachodnie wiatry i wiosenne pływy zepchną jego okręty za daleko w tym kierunku, uznał więc ponownie, że nie warto niepotrzebnie podejmować ryzyka.

Na sygnał z armaty *San Martina* jednostki wielkiej floty opuściły jednocześnie żagle, zatrzymały się w ustalonym z góry szyku i zarzuciły kotwice.

Anglicy zatrzymali się pół mili za nimi, w znacznie mniej imponującym stylu.

Płynąc kanałem La Manche, Rollo obserwował z zazdrością małe statki, które odbijały od angielskiego wybrzeża i przewoziły na angielskie okręty beczki z prochem czy

wielkie płaty bekonu. Hiszpanie nie otrzymywali żadnych dostaw od czasu, gdy minęli A Coruñę. Francuzom zabroniono prowadzenia interesów z armadą, bo ich król chciał zachować neutralność w tej wojnie. Podczas swych licznych podróży Rollo wielokrotnie bywał w Calais i wiedział, że mieszkańcy tego miasta nienawidzą Anglików. Gubernator Calais przed trzydziestu laty stracił nogę w bitwie, gdy próbował uwolnić miasto spod angielskiej okupacji. Rollo doradził więc księciu Medyny-Sydonii, by wysłał na brzeg małą delegację z pozdrowieniami i prezentami. W rezultacie Hiszpanom pozwolono kupować tu wszystko, czego tylko zapragnęli. Niestety, okazało się, że nie poprawi to w znaczącym stopniu ich sytuacji – w Calais nie było dość prochu, by uzupełnić choć dziesiątą część tego, co armada straciła w ciągu minionego tygodnia.

Potem nadeszła wiadomość, która doprowadziła księcia Medyny-Sydonii do szału: książę Parmy nie był gotowy. Żadna z jego jednostek nie przygotowała jeszcze zapasów, nie zaokrętował się ani jeden żołnierz. Potrzebowali co najmniej kilku dni, by wyruszyć w drogę do Calais.

Rollo uważał, że gniew admirała nie jest do końca uzasadniony. Nikt nie mógł przecież

oczekiwać od Parmy, że zaokrętuje żołnierzy i każe im czekać nie wiadomo jak długo. Znacznie rozsądniej było wstrzymać się z tym do przybycia Hiszpanów.

Późnym popołudniem tego dnia spotkało go nieprzyjemne zaskoczenie. Od północnego wschodu napłynęła druga angielska flota. Przypuszczał, że to druga część żałosnej marynarki wojennej Elżbiety – okręty, których nie wysłano do Plymouth na spotkanie z armadą. Na szczęście większość z nich stanowiły małe statki handlowe, uzbrojone wprawdzie, ale nie na tyle ciężko, by mogły się równać z potężnymi hiszpańskimi galeonami.

Armada nadal była znacznie silniejsza, a opóźnienie nie stanowiło większego problemu. Już od tygodnia radzili sobie z atakami angielskiej marynarki, teraz musieli tylko poczekać na Parmę. Kiedy ten się zjawi, zwycięstwo będzie w ich zasięgu.

VI

Ned wiedział, że angielska marynarka wojenna zawiodła. Hiszpańska armada, doposażona i prawie nietknięta, lada dzień miała

się spotkać z księciem Parmy i jego niderlandzką armią. Od angielskiego wybrzeża będzie ich dzielił niecały dzień żeglugi.

W niedzielny poranek lord Howard zwołał naradę wojenną na pokładzie *Ark Royal*. To była jego ostatnia szansa na powstrzymanie inwazji.

Bezpośredni atak równałby się samobójstwu. Armada miała więcej okrętów i więcej armat, a Anglicy nie mogliby skorzystać nawet ze swego największego atutu, jakim była większa sterowność ich statków. Z drugiej strony, księżycowaty szyk hiszpańskich sił wydawał się praktycznie niemożliwy do złamania.

Co mogli zrobić w tej sytuacji?

Kilku kapitanów zaczęło mówić jednocześnie, sugerując zastosowanie płonących statków.

Ned czuł, że takie rozwiązanie byłoby aktem desperacji. Musieliby poświęcić kilka kosztownych jednostek, które po podpaleniu posłaliby w stronę wroga. Jednakże po pierwsze, kapryśne wiatry i prądy morskie mogły znieść je z kursu, a po drugie, wrogie okręty mogły się okazać na tyle sprawne, by ominąć te płonące, nie było więc żadnej gwarancji, że dotarłyby one do celu i przyniosły pożądany skutek, czyli podpaliły wrogą flotę.

Nikt jednak nie miał lepszego pomysłu.

Wybrano więc osiem starszych jednostek i na czas przygotowań przesunięto je na środek angielskiej floty, by wróg nie przejrzał ich zamiarów.

Ładownie okrętów wypełniono pakiem, szmatami i starym drewnem, a maszty pomalowano smołą.

Ned przypomniał sobie, jak rozmawiał z Carlosem o oblężeniu Antwerpii, kiedy to niderlandzcy powstańcy zastosowali podobną taktykę, i zasugerował Howardowi, by naładować armaty na płonących okrętach. Ogień podpaliłby proch i doprowadził do wystrzału, być może właśnie w momencie, gdy statki znajdowałyby się pośród wrogiej floty. Admirałowi spodobał się ten pomysł, wydał więc odpowiednie rozkazy, a Ned nadzorował ładowanie armat, sprawdzając, czy odbywa się to w opisany przez Carlosa sposób, czyli z podwójną dawką prochu, kulą i drobniejszą amunicją.

Do rufy każdego z okrętów przywiązano łódź, by ograniczone do minimum załogi płynące w stronę wroga mogły w ostatniej chwili salwować się ucieczką.

Ku rozczarowaniu Neda nie udało się ukryć przed nieprzyjacielem tych działań. Hiszpanie nie byli głupi i domyślili się, co szykują Anglicy.

Dostrzegł kilka wrogich pinas i łodzi, które wypłynęły do przodu i utworzyły swego rodzaju barierę rozdzielającą obie floty. Najwyraźniej książę Medyny-Sydonii przygotował się na taką ewentualność, choć Ned nie rozumiał do końca, na czym polega jego plan.

Zapadła noc, wiatr przybrał na sile, zmienił się też kierunek pływu. O północy warunki wydawały się wręcz idealne. Zredukowane do minimum załogi podniosły żagle i skierowały okręty ku lśniącym latarniom hiszpańskiej armady. Ned wytężał wzrok, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł, więc wszystkie statki wyglądały jak ciemne plamy na tle niemal równie ciemnego morza. Wrogie floty dzieliła odległość zaledwie pół mili, lecz oczekiwanie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Serce Neda biło jak szalone. Wszystko zależało od tego ataku. Nie modlił się zbyt często, ale teraz słał żarliwe prośby do nieba.

Nagle nad wodą rozbłysło światło. Osiem okrętów niemal jednocześnie zamieniło się w kule ognia. Ned widział na tle płomieni żeglarzy skaczących do łodzi. Wydawało się, że po chwili osiem oddzielnych płomieni połączyło się w jeden piekielny pocisk, pchany wiatrem prosto na wrogą flotę.

VII

Serce Rollo biło jak młot, gdy obserwował rozwój sytuacji. Płonące okręty zbliżały się do zapory złożonej z małych statków, które wysłał im na spotkanie książę Medyny-Sydonii. Dym wypełniający nozdrza Rollo niósł ze sobą zapach drewna i smoły. Czuł nawet żar bijący od ognia.

Od zapory odłączyły dwie pinasy i skierowały się ku przeciwległym krańcom szeregu płonących okrętów. Załogi, ryzykując życie, zarzuciły bosaki na dwie płonące jednostki i odciągnęły je na bok. Rollo, choć drżał ze strachu o własne życie, nie mógł się nadziwić odwadze i sprawności tych hiszpańskich żeglarzy. Potem pinasy odpłynęły na pełne morze, gdzie płonące okręty nie mogły zrobić nikomu krzywdy.

Zostało ich jednak jeszcze sześć. Dwie kolejne pinasy wykonały podobny manewr i zbliżyły się do skrajnych płonących okrętów. Rollo pomyślał, że jeśli dopisze im szczęście, Hiszpanie zdążą unieszkodliwić w ten sam sposób wszystkie żeglujące pochodnie i oddalić zagrożenie. Wyglądało na to, że taktyka księcia się sprawdza. Rollo powoli zaczął nabierać otuchy.

Nagle jednak zastygł w bezruchu, zszokowany hukiem armatnich wystrzałów.

Na płonących okrętach z pewnością nie było już żywej duszy, ale ich armaty oddały salwę, jakby kierowane magią. Czy pojawił się tam sam szatan, który ładował pośród płomieni działa, pomagając heretykom? W końcu Rollo uświadomił sobie, że broń została naładowana wcześniej i wystrzeliła, gdy ogień podpalił proch.

Skutki podstępnej salwy okazały się przerażające. Na tle płomieni widać było sylwetki marynarzy z pinas, którzy, zasypani gradem pocisków, wykonywali gwałtowne ruchy, niczym dusze zmuszone do piekielnego tańca. Armaty musiały zostać załadowane śrutem lub drobnymi kamieniami. Umierający ludzie zapewne przeraźliwie krzyczeli, lecz ich głosy zagłuszał ryk ognia i huk wystrzałów.

Próba przejęcia i unieszkodliwienia płonących okrętów skończyła się fiaskiem, martwi lub ciężko ranni marynarze padali na pokład lub lecieli do morza. Gigantyczne pochodnie niesione pływem nadal zmierzały ku armadzie.

W tym momencie Hiszpanom nie pozostało nic innego, jak ratować się ucieczką.

Książę Medyny-Sydonii wypalił z armaty sygnałowej *San Martina*, rozkazując w ten sposób swoim ludziom, by podnieśli kotwice i odpłynęli. Nie było to jednak konieczne – na wszystkich okrętach armady marynarze wspinali się już na maszty i rozwijali żagle. Niektórzy, kierowani strachem, nie podnosili kotwic, lecz przecinali grube liny toporami, by jak najszybciej uciec z zagrożonego obszaru.

Początkowo *San Martin* poruszał się przeraźliwie powoli. Jak wszystkie okręty, był zakotwiczony dziobem pod wiatr, co zapewniało większą stabilność, najpierw więc należało go obrócić za pomocą małych żagli. Rollo był pewien, że galeon się zapali, nim zdoła odpłynąć na bezpieczną odległość, był więc gotów w każdej chwili wskoczyć do wody i płynąć do brzegu.

Książę zachowywał na razie spokój. Wysłał do innych statków pinasę z rozkazem, by wszyscy popłynęli na północ, żeby się przegrupować, lecz Rollo nie był wcale pewien, czy wielu kapitanów go posłucha. Bliskość płonących okrętów była tak przerażająca, że większość marynarzy myślała jedynie o ucieczce.

Gdy w końcu *San Martin* się obrócił, a jego żagle wypełniły się wiatrem, załoga musiała skupić się na tym, by nie uderzyć w inny okręt.

Większość tych, które były już zdolne do żeglugi, płynęła tak szybko, jak tylko pozwalały im na to wiatr i pływ, nie zastanawiając się nad kierunkiem ucieczki.

Nagle jedna z żeglujących pochodni zbliżyła się niebezpiecznie do okrętu flagowego, a niesione wiatrem iskry podpaliły foki.

Rollo spojrzał w dół, na czarną wodę, zastanawiając się, czy powinien już skakać.

Na szczęście załoga była przygotowana na pożar. Na pokładzie stały beczki i wiadra napełnione wodą morską. Jeden z marynarzy pochwycił wiadro i wylał jego zawartość na płonące płótno. Rollo sięgnął po następne i zrobił to samo. Natychmiast dołączyli do nich inni i już po chwili ogień został ugaszony.

W końcu galeon nabrał prędkości i oddalił się od niebezpieczeństwa. Gdy zatrzymał się milę dalej, Rollo wyjrzał za rufę. Anglicy tkwili spokojnie na swoich miejscach i obserwowali rozwój wydarzeń. Armada tymczasem wciąż nie uporała się z chaosem i paniką. Choć żaden z hiszpańskich okrętów nie zajął się ogniem, zagrożenie było tak wielkie, że wszyscy myśleli tylko o ratowaniu własnej skóry.

Przez jakiś czas *San Martin* był sam, narażony na atak nieprzyjaciela. W ciemnościach nie mógł

podjąć żadnych dalszych działań, ale liczyło się tylko to, że okręty ocalały. Rankiem książę musiał stanąć przed trudnym zadaniem przeformowania armady, ale nie było to zadanie niewykonalne. Plany inwazji pozostawały niezagrożone.

VIII

Kiedy nad Calais wstał świt, Barney Willard zobaczył z pokładu *Alice*, że atak z wykorzystaniem płonących okrętów nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Ich poczerniałe szczątki zaścielały wybrzeże w okolicy Calais, ale prócz nich nie spłonęła żadna jednostka. Barney dostrzegł tylko jeden wrak, *San Lorenzo*, dryfujący w stronę klifów.

W oddali widać było sylwetki hiszpańskiego okrętu flagowego *San Martin* oraz czterech innych galeonów. Reszta ogromnej floty odpłynęła poza zasięg wzroku Barneya. Rozproszyły się i wyłamały z ustalonej formacji, ale pozostały nietknięte. Pięć galeonów, które dostrzegł wcześniej, zawróciło już na wschód i nabrało prędkości. Książę Medyny-Sydonii płynął po swoje okręty. Pozbierawszy wszystkie,

mógł wrócić do Calais na spotkanie z księciem Parmy.

Mimo to Barney czuł, że szanse Anglików wzrosły. Rozproszona i pozbawiona jednolitego dowództwa armada nie była już tak groźna jak w zwartym szyku. Angielskie okręty mogły teraz atakować pojedyncze jednostki.

Co więcej, jednocześnie można by je było spychać w stronę niderlandzkich płycizn. Często pływał tędy do Antwerpii, Drake również doskonale znał te okolice, lecz dla większości hiszpańskich nawigatorów były to zupełnie nieznane wody. Ta okoliczność dawała Anglikom dodatkowy atut – choć nie na długo.

Ku ogromnemu zadowoleniu Barneya lord Howard doszedł do tych samych wniosków.

Ark Royal oddał strzał z armaty sygnałowej, a *Revenge* Drake'a podniósł kotwicę i rozwinął żagle. Barney zaczął wydawać rozkazy. Jego ludzie zrywali się ze snu, przecierali oczy i natychmiast zabierali się do działania. Doskonale zgrani, współpracowali ze sobą niczym dobrze wyszkolony chór wykonujący madrygał.

Angielska flota ruszyła w pościg za pięcioma galeonami.

Barney stał na dziobie, bez trudu utrzymując równowagę na rozkołysanym pokładzie. Sierpniowa pogoda była wyjątkowo kapryśna; wiatr nieustannie zmieniał siłę i kierunek, a padający od czasu do czasu deszcz ograniczał widoczność, co na kanale La Manche zdarzało się dość często. Barney delektował się pędem słonego powietrza, które wypełniało mu płuca, podczas gdy zimny deszcz chłodził jego twarz. Równie przyjemna była myśl o łupach, jakie mógł zdobyć pod koniec dnia.

Szybkie angielskie okręty zbliżały się coraz bardziej do wrogich galeonów. Uciekający Hiszpanie po wypłynięciu na Morze Północne napotkali kolejne rozproszone jednostki armady, mimo to Anglicy wciąż mieli nad nimi przewagę liczebną i byli coraz bliżej.

Dochodziła dziewiąta rano. Według obliczeń Barneya, znajdowali się w odległości około siedmiu mil od niderlandzkiego miasta Gravelines, gdy książę Medyny-Sydonii uznał, że dalsza ucieczka jest bezcelowa, i zwrócił się przeciwko wrogim okrętom.

Barney zszedł na pokład działowy. Bill Coory, jego główny artylerzysta, miał ciemną skórę i pochodził z północy Afryki. Kapitan nauczył go wszystkiego, co sam umiał, a teraz Bill radził

sobie równie dobrze jak on, a może nawet lepiej. Barney polecił mu przygotować załogę pokładu działowego *Alice* do walki.

Obserwował, jak *Revenge* Drake'a zmierza w stronę *San Martina*. Wydawało się, że te dwie jednostki przepłyną daleko od siebie i postraszą się jedynie kilkoma salwami, jak zdarzyło się to setki razy w ciągu ostatnich dni. Lecz to starcie miało wyglądać inaczej. Barney coraz bardziej się denerwował, widząc, jak *Revenge* obiera kurs, który mógł zaprowadzić go niebezpiecznie blisko hiszpańskiego okrętu. Drake poczuł krew, a może złoto, Barney obawiał się więc o życie angielskiego bohatera, gdy ten znalazł się w odległości stu jardów od przeciwnika. Jeśliby Drake zginął podczas pierwszego starcia tej bitwy, miałoby to fatalny wpływ na morale Anglików.

Oba potężne okręty wypaliły z dział rufowych, małej i nieszkodliwej broni, która mogła nastraszyć załogę, ale nie była w stanie uszkodzić poważnie wrogiej jednostki. Później, gdy *Revenge* i *San Martin* się zrównały, Barney zrozumiał, jak wielkim atutem będzie dla Drake'a sprzyjający wiatr. Hiszpański galeon, płynący z wiatrem, przechylił się na bok tak bardzo, że jego armaty, choć maksymalnie

obniżone, i tak mierzyły za wysoko. Płynący w przeciwnym kierunku Anglicy pochylali się w stronę nieprzyjaciela, a przy tak małej odległości ich armaty mierzyły w pokład i odsłonięte podbrzusze *San Martina*.

Zaczęła się wymiana ognia. Armaty obu okrętów brzmiały nieco inaczej. *Revenge* strzelał w równym rytmie przypominającym bicie w bęben; każde działo oddawało strzał w chwili, gdy znajdowało się w najdogodniejszej pozycji, utrzymując godną podziwu dyscyplinę, która radowała artyleryjskie serce Barneya. Broń *San Martina* miała głębszy i donośniejszy głos, lecz strzelała nieregularnie i z rzadka, jakby Hiszpanie oszczędzali amunicję.

Oba okręty unosiły się i opadały na wodzie jak korki, były jednak tak blisko siebie, że nawet na mocno wzburzonym morzu nie mogły chybić.

Revenge został trafiony kilkoma dużymi kulami, które uszkodziły takielunek, na szczęście nie naruszyły masztów. *San Martin* poniósł straty innego rodzaju: niektóre z armat Drake’a strzelały nietypową amunicją – małymi żelaznymi sześcianami rozrywającymi ciało, parami kul armatnich połączonych łańcuchem, które wirowały w powietrzu i niszczyły noki rei, a nawet kawałkami metalu rozrywającymi żagle.

Potem wszystko przesłoniły chmury dymu. Pomiędzy kolejnymi salwami słychać było krzyki rannych i umierających, powietrze wypełniło się zapachem prochu. Okręty odsunęły się od siebie, strzelając jeszcze z dział rufowych. Gdy wynurzyły się z dymu, Barney zobaczył, że Drake nie zamierza zwalniać i zawracać, by ponownie przypuścić atak na *San Martina*, lecz płynie prosto na najbliższy hiszpański okręt. Oznaczało to, że *Revenge* nie został poważnie uszkodzony.

Tymczasem do *San Martina* zbliżała się kolejna angielska jednostka, *Nonpareil*. Idąc za przykładem Drake'a, dowódca tego okrętu podpłynął bardzo blisko do wroga, choć nie na tyle, by ten mógł dokonać abordażu. Znów zagrzmiały działa. Barneyowi wydawało się, że tym razem Hiszpanie wystrzelili mniej kul, i podejrzewał, że ich artylerzyści nie nadążają z ładowaniem.

Uznał, że już wystarczająco długo przyglądał się walce i czas się do niej włączyć. Zależało mu na tym, by wszyscy widzieli, że *Alice* atakowała hiszpańskie okręty, bo to uprawniało Barneya i jego ludzi do udziału w łupach.

Następny hiszpański galeon, *San Felipe*, został już otoczony przez angielskie okręty, które zasypywały go gradem kul. Barney pomyślał, że

przypomina to jedną z ulubionych angielskich rozrywek, czyli walkę niedźwiedzia ze stadem psów. Jednostki podpływały do siebie tak blisko, że jakiś szalony Anglik przeskoczył na pokład *San Felipe*, gdzie natychmiast został pocięty na kawałki przez hiszpańskie miecze. Barney uświadomił sobie, że był to pierwszy od dziewięciu dni przypadek, gdy ktoś dostał się na pokład wrogiego okrętu – co było miarą tego, jak skutecznie Anglicy przeszkadzali Hiszpanom w stosowaniu ich ulubionej taktyki.

Gdy *Alice* ruszyła do ataku, płynąc śladem okrętu o nazwie *Antelope*, zerknął na horyzont i stwierdził, że pojawiły się tam wrogie okręty sunące ku bitwie. Przyjście z pomocą flocie, nad którą Anglicy w tym momencie mieli przewagę, wymagało odwagi, wydawało się jednak, że Hiszpanom jej nie brakuje.

Barney krzyknął do swego sternika, by zbliżył się do *San Felipe* na odległość stu jardów.

Żołnierze stojący na pokładzie galeonu strzelali z muszkietów i arkebuzów, a byli na tyle blisko, że udało im się trafić kilku spośród marynarzy z *Alice*. Barney upadł na kolana i wyszedł z tego bez szwanku, lecz co najmniej sześciu jego ludzi padło na pokład, zalewając go krwią. Wtedy na znak Billa Coory’ego zabrzmiały

działa *Alice*. Małe pociski uderzyły w pokład galeonu, siejąc zniszczenie wśród żołnierzy i marynarzy, podczas gdy większe kule wybiły dziury w kadłubie.

Galeon odpowiedział na osiem mniejszych pocisków *Alice* jedną wielką kulą. Gdy trafiła w rufę statku, Barney poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu potężny cios w brzuch. Okrętowy cieśla, który dotąd czekał bezczynnie na pokładzie, popędził w dół, by naprawić uszkodzenie.

Barney przeżył już niejedną bitwę. Nie był nieustraszony – ludzie, którzy nie znają strachu, nie żyją długo – wiedział jednak z doświadczenia, że gdy walka już się rozpocznie, jest dość pracy, by nie myśleć o zagrożeniu. Ogarnięty bitewnym podnieceniem, wykrzykiwał rozkazy, biegał z jednego krańca pokładu na drugi, szukając dogodniejszego widoku, i co jakiś czas schodził pod pokład, by wydać polecenia i dodać otuchy spoconym artylerzystom. Krztusił się dymem, ślizgał w kałużach krwi, przestępował nad ciałami zabitych i rannych.

Zawrócili za *Antelope* i ruszyli za nią, szykując się do kolejnego ataku i strzelając, tym razem z armat na lewej burcie. Barney zaklął, gdy kula z galeonu trafiła w tylny maszt *Alice*. Sekundę

później poczuł ostry, piekący ból na głowie. Sięgnął do niej ręką i wyjął z włosów wielką drzazgę. Czuł ciepłą wilgoć krwi, wiedział jednak, że to tylko powierzchowna rana.

Maszt nie przewrócił się, a cieśla natychmiast zaczął go wzmacniać żelaznymi elementami.

Gdy wiatr rozwiał dym zalegający nad *Alice*, Barney zauważył, że armada powoli ustawia się w swojej ulubionej półkolistej formacji. Był zdumiony dyscypliną, jaką zachowywali hiszpańscy dowódcy i ich ludzie pomimo wściekłych ataków Anglików. Okazało się, że hiszpańskie okręty są niepokojące wytrzymałe, a w dodatku za chwilę dołączą do nich kolejne jednostki.

Zawrócił *Alice*, by przypuścić następny atak.

IX

Bitwa toczyła się przez cały dzień, a w miarę upływu czasu Rollo ogarniała coraz większa rozpacz.

San Martin został trafiony setki razy. Trzy spośród jego wielkich armat wyrwały się z mocowań i nie mogły już być wykorzystane w walce, ale okręt miał jeszcze sporo innych

dział. Podziurawiony kadłub utrzymywał się na wodzie dzięki nurkom, najodważniejszym z odważnych, którzy schodzili pod wodę z ołowianymi płytami i konopnym szczeliwem, by pośród kul łatać kolejne otwory. Wszędzie dokoła Rollo leżeli zabici i ranni; wielu z nich błagało Boga lub swych świętych patronów, by skrócił im męczarnie. Powietrze miało smak krwi i dymu.

Maria Juan został zniszczony do tego stopnia, że nie mógł się już utrzymać na wodzie. Rollo patrzył z rozpaczą, jak wspaniały okręt tonie, zanurzając się powoli, lecz nieodwołalnie w szarych falach Morza Północnego, i w końcu zniknął w nim na zawsze. Podobny los groził *San Mateo*. Próbując utrzymać go na wodzie, marynarze wyrzucali za burtę wszystko, co się dało: broń, kraty, połamane deski, a nawet ciała poległych towarzyszy. *San Felipe* stracił sterowność i dryfował powoli w stronę płycizn.

Ta sytuacja była nie tylko rezultatem przewagi liczebnej Anglików. Hiszpanie byli dzielnymi żołnierzami i wytrawnymi żeglarzami, ale wygrywali bitwy, taranując wrogie jednostki i wchodząc na ich pokład. Anglicy wiedzieli, jak do tego nie dopuścić, i wciągnęli ich w bitwę polegającą głównie na wymianie ognia, w której

mieli przewagę. Opracowali technikę szybkiego ostrzału, a Hiszpanie nie mogli im w tym sprostać. Przeładowanie większych armat wymagało skomplikowanych zabiegów – czasami dwaj artylerzyści musieli się opuścić na linach za burtę, by włożyć kulę do lufy, co w bitewnym zamieszaniu było praktycznie niemożliwe.

Skutki okazały się katastrofalne.

Na domiar złego wiatr zmienił kierunek i wiał teraz od północy, uniemożliwiając ucieczkę w tym kierunku. Na wschodzie i południu rozciągały się płycizny, a od zachodu nacierali Anglicy. Hiszpanie znaleźli się w pułapce. Walczyli dzielnie, ale wcześniej czy później musieli zginąć od angielskich kul lub utknąć na mieliźnie.

Klęska wydawała się nieunikniona.

X

O czwartej po południu zmieniła się pogoda.

Od południowego zachodu nadciągnął nagle szkwał. Ned Willard, który nie opuszczał pokładu *Ark Royal*, zmagał się z porywistym wiatrem i ulewą. Nie przeszkadzałoby mu to wcale, gdyby nie fakt, że hiszpańska armada ukryła się za

zasłoną deszczu. Angielska flota podpłynęła niepewnie w miejsce, gdzie powinny się znajdować hiszpańskie jednostki, ale te zniknęły.

Chyba nie udało im się uciec?

Pół godziny później, gdy sztorm ustąpił równie szybko, jak się pojawił, a na niebie znów zaświeciło słońce, Ned odkrył z przerażeniem, że hiszpańska flota oddaliła się o dwie mile na północ i płynie pod pełnymi żaglami.

Ark Royal również podniósł żagle i ruszył w pościg, podobnie jak pozostałe angielskie okręty. Potrzebowali jednak czasu, by dogonić nieprzyjaciela, wszystko więc wskazywało na to, że przed zmrokiem nie dojdzie już do walki.

Obie floty trzymały się blisko angielskiego wybrzeża.

Zapadła noc. Ned był wyczerpany i położył się spać, nie zdejmując nawet ubrania. Kiedy nazajutrz wstał świt, wyszedł na pokład i zobaczył, że Hiszpanie znajdują się w tej samej odległości co poprzedniego dnia i nadal płyną na północ najszybciej, jak się da.

Lord Howard stał na swoim ulubionym miejscu na pokładzie rufowym i pił słabe piwo.

– Co się dzieje, panie admirale? – spytał Ned uprzejmie. – Chyba ich nie doganiamy.

– Nie musimy – odparł Howard. – Niech pan tylko spojrzy. Uciekają.

– Dokąd popłyną?

– Dobre pytanie. Moim zdaniem, będą musieli opłynąć Szkocję od północy, a potem skręcić na południe, na Morze Irlandzkie, które, jak pan zapewne wie, nie zostało jeszcze naniesione na mapy.

Ned nie miał o tym pojęcia.

– Towarzyszyłem panu od świtu do nocy przez ostatnie jedenaście dni i nadal nie rozumiem, jak do tego doszło.

– Prawda jest taka, sir Nedzie, że bardzo trudno podbić wyspę. Najeźdźca musi pokonać wiele trudności. Ma ograniczone zapasy, jest narażony na ataki, gdy próbuje wysadzić wojska na ląd, gubi się na nieznanym terytorium lub na nieznanych wodach. Można powiedzieć, że nękaliśmy wroga, aż ten nie mógł sobie dłużej poradzić z tymi trudnościami.

Ned skinął głową.

– A królowa Elżbieta postępowała słusznie, wydając pieniądze na marynarkę wojenną – dodał.

– Owszem.

Spojrzał na morze i na uciekającą armadę.

– Więc wygraliśmy – powiedział. Sam nie mógł jeszcze w to uwierzyć. Wiedział, że powinien skakać z radości, i przypuszczał, że zrobi to, gdy uświadomi sobie, co się stało, ale na razie był tylko oszołomiony.

– Tak. – Admirał się uśmiechnął. – Wygraliśmy.

Ned pokręcił głową.

– Niech mnie kule biją…

ROZDZIAŁ 27

I

Pierre Aumande, obudzony przez pasierba, otworzył oczy.

– Zwołano nadzwyczajne zebranie Tajnej Rady Królewskiej – powiedział Alain. Wydawał się zdenerwowany, zapewne dlatego, że musiał przerwać odpoczynek swego opryskliwego ojczyma i przełożonego.

Pierre usiadł prosto i zmarszczył czoło. Nie lubił niespodzianek, a to zebranie było dla niego nieprzyjemną niespodzianką. Jak to się stało, że nie wiedział o nim wcześniej? I dlaczego zwołano je w trybie nadzwyczajnym? Przeciągnął się w zamyśleniu, a na haftowaną pościel spadły płatki suchej skóry z jego ramion.

– Wiesz coś więcej?

– Dostaliśmy wiadomość od d'O – odparł Alain. Człowiek o niezwykłym nazwisku

d’O i całkiem zwyczajnym imieniu François zajmował się finansami na dworze króla Henryka III. – Chce, byś dopilnował, by książę Gwizjusz również przyszedł.

Pierre spojrzał na okno. Na zewnątrz zalegały nieprzeniknione ciemności, a ulewny deszcz bębnił głośno o szyby i dach. Na pewno nie dowiem się niczego więcej, leżąc w łóżku, pomyślał i wstał.

Był dwudziesty drugi grudnia 1588 roku. Znajdowali się w królewskim château de Blois, ponad sto mil na południowy zachód od Paryża. Był to olbrzymi pałac, w którym mieściło się co najmniej sto pomieszczeń. Pierre zajmował wspaniałe komnaty o takiej samej wielkości jak te, w których przebywał jego pan, książę Henryk Gwizjusz, i niemal równie duże jak królewskie.

Podobnie jak król i książę, Pierre przywiózł ze sobą własne luksusowe meble, między innymi nieprzyzwoicie wygodne łoże i symbolicznie olbrzymie biurko. Zabrał też jeden ze swych ukochanych skarbów: dwa zdobione srebrem pistolety z zamkami kołowymi – prezent od króla. Pierwszy i ostatni, jaki od niego dostał. Trzymał je przy łożu, gotowe do strzału.

Towarzyszyła mu cała świta służących dowodzona przez dwudziestoośmioletniego

Alaina, którego dawno już utemperował i zamienił w wiernego pomocnika. Była z Pierre'em również jego cudownie potulna kochanka, Louise de Nîmes.

Dzięki niemu książę Henryk Gwizjusz stał się jednym z najważniejszych ludzi w Europie, potężniejszym nawet od króla Francji. W miarę jak w siłę rósł książę, rosły też możliwości i znaczenie Pierre'a.

Król Henryk III był człowiekiem dążącym do pokoju – podobnie jak jego matka, królowa Katarzyna – i starał się traktować łagodnie heretyckich francuskich protestantów zwanych hugenotami. Pierre od samego początku dostrzegał w tym zagrożenie. To on namówił księcia Gwizjusza do utworzenia Ligi Katolickiej, stowarzyszenia radykalnych katolików, którzy aktywnie zwalczali herezję. Sukcesy, jakie Liga odnosiła w Paryżu, przerosły wszelkie oczekiwania Pierre'a. Dość powiedzieć, że stała się wystarczająco potężna, by wygnać króla z Paryża – właśnie dlatego mieszkał teraz w Blois. Dzięki staraniom Pierre'a książę został także generałem królewskich armii, co skutecznie pozbawiło monarchę kontroli nad wojskiem.

Od października w Blois trwała sesja Estates-General, francuskiego parlamentu. Pierre doradził księciu, by podczas negocjacji z królem pozował na przedstawiciela ludu, choć w rzeczywistości był liderem antykrólewskiej opozycji. Pierre miał nadzieję, że dzięki temu zabiegowi król spełni wszystkie żądania Ligi. Martwił się jednak trochę, że jego pan posuwa się za daleko w swej arogancji. Tydzień wcześniej, na uczcie wydawanej przez Gwizjuszów, brat księcia, kardynał Lotaryngii Ludwik Gwizjusz, wznosząc toast, zawołał:

– Za mojego brata, nowego króla Francji!

Oczywiście wieści o tej obrazie błyskawicznie dotarły do monarchy. Pierre nie sądził, by król był zdolny do odwetu, ale takie przejawy pychy kusiły los.

Pierre ubrał się w kosztowny biały dublet z rozcięciem odsłaniającym podszewkę ze złotego jedwabiu. Na białym tle nie widać było łupieżu, który nieustannie sypał się z jego wysuszonej głowy.

Zimowy świt nadchodził powoli i niechętnie, odsłaniając ciemne od chmur niebo i strugi deszczu. Pierre przywołał lokaja ze świecą i przeszedł za nim mrocznymi korytarzami wielkiego pałacu do komnat księcia Henryka.

Kapitan nocnej straży księcia, Szwajcar o nazwisku Colli, któremu Pierre na wszelki wypadek podsuwał łapówki, przywitał go uprzejmie.

– Książę spędził pół nocy z madame de Sauves. Wrócił o trzeciej.

Charlotte de Sauves, aktualna kochanka księcia, była zmysłowa i lubieżna, więc Henryk Gwizjusz zapewne chciał dzisiaj pospać dłużej.

– Muszę go obudzić. – Pierre westchnął ciężko. – Poślij po kubek piwa. Nie będzie miał czasu na nic więcej.

Wszedł do komnaty sypialnej. Książę przyjechał do Blois sam; jego żona została w Paryżu, wkrótce bowiem miała urodzić ich czternaste dziecko. Pierre potrząsnął śpiącego arystokratę za ramię. Henryk, który nie skończył jeszcze czterdziestu lat, zachował sporo młodzieńczego wigoru, więc szybko się obudził i doszedł do siebie.

– Ciekawe, co jest takie ważne, że Tajna Rada nie może poczekać, aż człowiek zje śniadanie – gderał, wkładając dublet z szarego atłasu.

Pierre nie chciał przyznać, że tego nie wie.

– Król martwi się Estates-General.

– Chętnie udawałbym, że jestem chory, tylko że wtedy inni mogliby to wykorzystać

i spiskować przeciwko mnie.

– Nie „mogliby”, zrobiliby to na pewno.

Taka była cena sukcesu. Słabość francuskiej monarchii, która zaczęła się objawiać trzydzieści lat wcześniej wraz z przedwczesną śmiercią króla Henryka II, dała ogromne pole do popisu Gwizjuszom – ale zawsze, gdy rosła ich potęga, inni próbowali ją umniejszyć.

Do komnaty wszedł służący z kubkiem piwa. Książę opróżnił naczynie jednym długim łykiem i głośno beknął.

– Teraz lepiej – rzucił.

Jego dublet był cienki, a w korytarzach pałacu panował przejmujący chłód, Pierre okrył więc swego pana peleryną. Książę zabrał jeszcze czapkę i rękawice, po czym obaj wyszli.

Prowadził ich Colli. Książę nie ruszał się nigdzie bez dowódcy swej straży, nawet jeśli przechodził z jednej komnaty pałacu do drugiej. Jednakże do sali narad nie wpuszczano zbrojnych, więc Colli został na szczycie szerokich schodów, podczas gdy Pierre i Henryk weszli do środka.

W wielkim palenisku płonął ogień. Książę zdjął pelerynę i usiadł wraz z innymi członkami Tajnej Rady przy długim stole.

– Przynieś mi trochę damasceńskich rodzynek – zwrócił się do służącego. – Nie zdążyłem nic zjeść.

Pierre dołączył do doradców stojących pod ścianami, a rada rozpoczęła dyskusję o podatkach.

Król zwołał Estates-General, bo potrzebował pieniędzy. Bogaci kupcy, należący do trzeciego stanu – pierwszy tworzyła szlachta, a drugi kler – wcale nie chcieli się z nim dzielić swoimi ciężko zarobionymi pieniędzmi. Byli na tyle bezczelni, że wysłali księgowych do sprawdzenia królewskich finansów, a potem orzekli, że król nie musiałby podnosić podatków, gdyby tylko lepiej zarządzał swoimi finansami.

Królewski skarbnik François d'O przeszedł od razu do sedna.

– Trzeci stan musi dojść do kompromisu z królem – powiedział, patrząc prosto na księcia Henryka.

– Zrobi to – odparł książę. – Dajcie im tylko czas. Duma nie pozwoli im od razu zmienić zdania.

Pierre pomyślał, że to świetne rozwiązanie. Kiedy w końcu obie strony osiągną kompromis, książę Gwizjusz zostanie okrzyknięty jego autorem i bohaterem narodu.

– „Od razu”? – prychnął d’O. – Spierają się z królem już od dwóch miesięcy.

– W końcu się zgodzą.

Pierre podrapał się pod pachami. Dlaczego Tajna Rada Królewska została zwołana tak nagle? Ta dyskusja toczyła się od miesięcy i nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Służący podsunął księciu talerz.

– Panie, nie ma już rodzynek – powiedział. – Przyniosłem suszone śliwki z Prowansji.

– Dawaj – burknął książę. – Jestem taki głodny, że zjadłbym konia z kopytami.

D’O nie pozwolił mu odbiec od tematu.

– Wiecie, jak odpowiada trzeci stan, gdy mówimy im, że muszą kierować się rozsądkiem? – kontynuował. – Otóż twierdzą, że nie muszą iść na kompromis, bo mają poparcie księcia Gwizjusza. – Zrobił pauzę i rozejrzał się.

Książę zdjął rękawice i zaczął wpychać sobie do ust suszone śliwki.

– Twierdzisz, panie, że chcesz zaprowadzić pokój między królem i ludem – zwrócił się do niego d’O – ale stałeś się przeszkodą na drodze do porozumienia.

Pierre’owi nie podobały się te słowa. Brzmiały niemal jak wyrok.

Jego pan przełknął śliwkę. Wydawało się, że nie wie, jak zareagować.

Gdy zastanawiał się nad stosowną odpowiedzią, z drzwi prowadzących do prywatnych komnat królewskich wyszedł sekretarz stanu Revol. Zbliżył się do księcia i odezwał się zniżonym, lecz wyraźnym głosem:

– Panie, król chciałby z tobą porozmawiać.

Pierre był nieprzyjemnie zaskoczony. To już druga niespodzianka tego dnia. Działo się coś, o czym nie wiedział, i wyczuwał w tym niebezpieczeństwo.

Książę zareagował na prośbę króla z bezczelną opieszałością. Wyjął z kieszeni pudełeczko w kształcie muszli z pozłacanego srebra i schował do niego kilka śliwek, jakby zamierzał je podjadać podczas rozmowy z monarchą. Potem wstał i sięgnął po pelerynę. Ruchem głowy polecił Pierre’owi, by poszedł za nim.

W sąsiedniej komnacie stał oddział królewskiej gwardii, dowodzony przez kapitana Montséry’ego, który przywitał księcia nienawistnym spojrzeniem. Elitarni, wysoko opłacani gwardziści należeli do oddziału zwanego Czterdziestkąpiątką, a jakiś czas temu książę, za namową Pierre’a, zaproponował, by

rozwiązać tę formację i oszczędzić w ten sposób sporą kwotę – i oczywiście jeszcze bardziej osłabić pozycję króla. Nie był to zbyt dobry pomysł. Sugestia została odrzucona, a jedyny jej skutek był taki, że gwardziści znienawidzili księcia Gwizjusza.

– Czekaj tutaj, może będę cię potrzebował – polecił Pierre'owi.

Montséry podszedł do następnych drzwi, by otworzyć je przed arystokratą.

Książę ruszył do wyjścia, przystanął jednak i odwrócił się do Pierre'a.

– Choć może lepiej będzie, jak wrócisz na zebranie Tajnej Rady – rzekł. – Powiesz mi potem, co działo się pod moją nieobecność.

Kapitan straży otworzył drzwi i ukazał się w nich król. Trzydziestosiedmioletni Henryk III rządził Francją od piętnastu lat. Jego twarz była mięsista i zmysłowa, emanował jednak władczym spokojem. Spojrzał na księcia i powiedział:

– Oto ten, którego nazywają nowym królem Francji. – Odwrócił się do Montséry'ego i skinął lekko głową.

Dopiero w tym momencie Pierre zrozumiał, że naprawdę nadciąga katastrofa.

Szybkim płynnym ruchem kapitan wyjął z pochwy długi sztylet i pchnął nim księcia.

Ostrze bez trudu przebiło cienki atłasowy kubrak i zagłębiło się w muskularnej piersi.

Przejęty grozą Pierre zastygł w bezruchu.

Jego pan otworzył usta, jakby chciał krzyczeć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pierre zorientował się, że cios sztyletem był śmiertelny.

Gwardzistom jednak to nie wystarczyło. Otoczyli księcia ciasnym kręgiem i dźgali go bez litości sztyletami i mieczami. Krew wypływała nie tylko z ran, ale i z ust oraz nosa.

Pierre jeszcze przez chwilę stał nieruchomo, sparaliżowany strachem, a potem, gdy ciało Henryka, obficie brocząc krwią, runęło na podłogę, podniósł wzrok na króla, który przyglądał się wszystkiemu ze stoickim spokojem.

W końcu Pierre otrząsnął się z szoku. Jego pan został zamordowany, a on mógł zostać następną ofiarą. Odwrócił się szybko i wrócił do komnaty, w której obradowała Tajna Rada.

Jej członkowie spojrzeli na niego w milczeniu. Zrozumiał, że wiedzieli, co wydarzy się w sąsiedniej komnacie. „Zebranie nadzwyczajne” było tylko pretekstem, który pozwolił im

zaskoczyć księcia pozbawionego ochrony. Wszyscy brali udział w spisku.

Chcieli, by coś powiedział, nie wiedzieli bowiem jeszcze, czy doszło do morderstwa. Wykorzystując ich niepewność, przeszedł szybko przez salę i opuścił ją bez słowa. Nim zatrzasnął za sobą drzwi, usłyszał jeszcze gwar poruszonych głosów.

Dowódca straży księcia, Colli, spojrzał na niego ze zdumieniem, ale ten minął go w milczeniu i zbiegł ze schodów. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Był przerażony. Dyszał ciężko i mimo grudniowego chłodu lał się z niego pot. Książę nie żył, został zamordowany na rozkaz króla. Stał się zbyt pewny siebie. Podobnie jak Pierre. Dotąd żył w przekonaniu, że słaby król nigdy nie zdobędzie się na tak odważną decyzję – i popełnił tym samym katastrofalny w skutkach błąd.

Miał szczęście, że sam nie zginął. Zmagając się z paniką, przemierzał pospiesznie korytarze château. Król i jego współpracownicy prawdopodobnie nie sięgali w swych planach poza zabójstwo księcia, lecz teraz, po osiągnięciu celu, chyba zastanawiali się, jak utrwalić zwycięstwo. Najpierw będą zapewne chcieli usunąć braci księcia – kardynała Lotaryngii

Ludwika oraz arcybiskupa Lyonu – potem, skupią się na jego głównym doradcy, Pierze.

Na razie jednak musieli zapanować nad chaosem i zamieszaniem, miał więc czas, by się uratować.

Biegnąc kolejnym korytarzem, uświadomił sobie, że obecnie księciem Gwizjuszem jest najstarszy syn Henryka, Karol. Chłopiec miał siedemnaście lat, wystarczająco dużo, by zająć miejsce ojca. Przecież Henryk był zaledwie dwunastolatkiem, gdy stanął na czele rodu. Pierre pomyślał, że jeśli tylko uda mu się uciec, zrobi dokładnie to samo co po śmierci ojca Henryka: zdobędzie przychylność matki następcy i zostanie najlepszym i niezbędnym doradcą młodzieńca, zasieje w obojgu pragnienie zemsty i w końcu uczyni z nowego księcia postać równie potężną jak jego ojciec.

Nieraz już musiał ratować się z opresji i zawsze wychodził z nich silniejszy.

Zdyszany, dobiegł do swoich komnat. Jego pasierb był w salonie.

– Osiodłaj trzy konie – warknął Pierre. – Spakuj tylko pieniądze i broń. Musimy stąd natychmiast wyjechać.

– Dokąd? – spytał Alain.

Ten durnowaty dzieciak powinien spytać „dlaczego”, a nie „dokąd”.

– Jeszcze nie wiem, po prostu jedźmy! – ryknął Pierre.

Przeszedł do sypialni. Louise, wciąż w koszuli nocnej, modliła się na klęczniku.

– Ubieraj się, szybko – rzucił Pierre. – Jeśli nie będziesz gotowa, wyjadę bez ciebie.

Wstała i podeszła do niego, wciąż trzymając dłonie złożone do modlitwy.

– Masz kłopoty – powiedziała.

– Oczywiście, że mam kłopoty, dlatego uciekam. Ubieraj się.

Rozłożyła dłonie, odsłaniając krótki sztylet.

– Chryste! – krzyknął nie tyle z bólu, co ze zdumienia, gdy rozcięła mu twarz.

Byłby równie zszokowany, gdyby sztylet poruszał się o własnych siłach. A tymczasem zrobiła to Louise, ta wystraszona myszka, ta bezradna kobieta, nad którą znęcał się dla zabawy! Naprawdę go zraniła – to nie było powierzchowne draśnięcie, lecz głęboka rana w policzku, z której spływała teraz struga krwi.

– Ty dziwko, poderżnę ci gardło! – wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na nią, sięgając po nóż, lecz Louise odsunęła się zwinnie.

– Ty diable, wszystko skończone, jestem wolna! – krzyknęła, dźgając go w szyję.

I znów jego zdziwienie było równie dotkliwe, jak ból rozcinanego ciała. Co się działo? Dlaczego uważała, że jest wolna? Słaby król zabił księcia Gwizjusza, a teraz słaba kobieta pchnęła nożem Pierre'a. Nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

Louise nie miała jednak natury mordercy. Nie wiedziała, że pierwsze pchnięcie musi być śmiertelne. Zmarnowała okazję, więc teraz musiała umrzeć.

Furia dodawała Pierre'owi sił i kierowała jego poczynaniami. Prawą ręką sięgnął do zranionego gardła, a lewą odtrącił dłoń trzymającą nóż. Był ranny, ale żywy, i zamierzał zabić Louise. Rzucił się na nią i przewrócił na podłogę, nim mogła dźgnąć go ponownie. Nóż wypadł jej z ręki.

Pierre natychmiast go podniósł. Zmagając się z bólem, usiadł okrakiem na kobiecie i podniósł sztylet do ciosu. Znieruchomiał na moment, zastanawiając się, gdzie uderzyć najpierw: W twarz? Piersi? Gardło? Brzuch?

Nagle potężny cios w prawe ramię odrzucił go na lewo. Pierre na moment stracił czucie w prawej ręce i tym razem to on wypuścił z dłoni nóż. Stoczył się ciężko z Louise i legł na plecach.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył nad sobą Alaina.

Pasierb mierzył do niego z pistoletów – prezentu od króla Henryka.

Pierre wpatrywał się przez chwilę w lufy pistoletów. Strzelał z nich kilkakrotnie i wiedział, że są sprawne. Nie miał pojęcia, czy Alain jest dobrym strzelcem, ale nie mógł się też łudzić, że chybi z odległości dwóch kroków.

W chwili ciszy Pierre usłyszał bębnienie kropel deszczu w szyby. Uświadomił sobie, że Alain wiedział o planowanym zamachu na księcia – dlatego spytał „dokąd”, a nie „dlaczego”. Louise też o tym wiedziała. Zmówili się, by zabić go w chwili jego słabości. Nie musieli obawiać się konsekwencji: wszyscy i tak uznają, że został zamordowany na rozkaz króla, podobnie jak książę.

Jak to możliwe, że to wszystko spotkało właśnie jego, Pierre’a Aumande’a Gwizjusza, mistrza manipulacji?

Spojrzał na Louise, a potem na Alaina i zauważył, że na ich twarzach malują się te same emocje. Przede wszystkim była to nienawiść, połączona jednak z czymś jeszcze: z radością. Oto nadeszła chwila ich triumfu i oboje byli szczęśliwi.

– Nie jesteś mi już potrzebny – powiedział Alain. Jego palce zacisnęły się na długich wężowatych dźwigniach wystających spod pistoletów.

Co to miało oznaczać? Przecież to on zawsze wykorzystywał pasierba, a nie na odwrót. Co takiego przegapił? Po raz kolejny tego poranka Pierre nie posiadał się ze zdumienia.

Otworzył usta, by wołać o ratunek, lecz z jego rozciętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Zamki kołowe obróciły się jednocześnie, wzniecając iskry, a potem oba pistolety wystrzeliły.

Pierre poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w pierś wielkim młotem. Jego ciało wypełnił nieopisany ból.

Usłyszał jeszcze głos Louise, dziwnie przytłumiony, jakby dobiegający z oddali:

– Wracaj do piekła, skąd przyszedłeś.

Potem zapadła ciemność.

II

Hrabia Bartlet nazwał swego pierwszego syna Swithin, na cześć swojego dziadka, a drugiego Rollo, na cześć wuja. Obaj dzielnie walczyli

z protestantyzmem, a Bartlet był zagorzałym katolikiem.

Margery nie podobało się żadne z tych imion. Jej teść Swithin był odrażającą kreaturą, a brat Rollo oszukał ją i zdradził. Jednakże gdy chłopcy zaczęli przejawiać szczególne predyspozycje i cechy charakteru, zaczęto nazywać ich inaczej: Swithina, który wyjątkowo szybko raczkował – Swifty; a pulchnego Rollo – Roley.

Rankami Margery chętnie pomagała żonie Bartleta, Cecilii. Dziś przygotowała jajecznicę dla Swifty'ego, podczas gdy synowa karmiła piersią Roleya. Cecilia często przesadnie niepokoiła się o swoje dzieci, a teściowa miała na nią kojący wpływ; taka właśnie jest rola babć.

Nieco później odwiedził ich Roger, jej drugi syn, który chciał się zobaczyć z bratankami.

– Będzie mi brakowało tych urwisów, kiedy wyjadę do Oksfordu – powiedział.

Margery zauważyła, że młoda opiekunka Dot zawsze bardzo się ożywia w obecności Rogera. Jego dyskretny urok i ujmujący szelmowski uśmiech zapewniały mu ogromne powodzenie u płci przeciwnej, więc Dot bez wątpienia chętnie by go usidliła. Być może właśnie dlatego dobrze się składało, że wyjeżdżał na studia: Dot była

miłą dziewczyną i umiała zajmować się dziećmi, ale jej horyzonty były zbyt wąskie jak dla Rogera.

Sprowokowana tą myślą Margery zaczęła się zastanawiać, jak jej młodszy syn widzi swoją przyszłość.

– Myślałeś już o tym, co będziesz robić po Oksfordzie?

– Chcę studiować prawo – odparł.

– Dlaczego? – spytała zaintrygowana.

– Bo to bardzo ważne. Jakie prawo, taki kraj.

– Więc tak naprawdę interesuje cię praca rządu.

– Chyba tak. Zawsze fascynowało mnie to, co opowiadał ojciec po powrocie z parlamentu: jak ludzie manipulują sobą nawzajem i jak negocjują, dlaczego stają po tej albo po tamtej stronie.

Hrabia Bart nigdy nie był szczególnie zainteresowany pracami parlamentu, uczestniczył w obradach Izby Lordów tylko z obowiązku. Jednakże prawdziwy ojciec Rogera, Ned Willard, był urodzony do polityki. Margery pomyślała, że dziedziczność to fascynująca sprawa.

– Może zostaniesz kiedyś posłem z Kingsbridge i zasiądziesz w Izbie Gmin – powiedziała.

– W przypadku młodszego syna hrabiego to całkiem możliwe. Ale na razie naszym posłem jest sir Ned.

– Wcześniej czy później zrzeknie się tego zaszczytu. – Margery przypuszczała, że zrobi to bardzo chętnie, jeśli będzie mógł przekazać to stanowisko synowi.

Nagle z dołu dobiegły ich podniecone głosy. Roger zszedł na parter i po chwili wrócił z niezwykłą wieścią.

– Przyjechał wuj Rollo.

Margery była zszokowana.

– Rollo? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nie pojawiał się w New Castle od lat!

– Właśnie się pojawił.

Usłyszała, jak Bartlet z radością wita swojego bohatera.

– Chodźcie, musicie poznać swojego ciotecznego dziadka – zwróciła się do synów nie mniej uradowana Cecilia.

Margery wcale nie spieszyło się do tego spotkania. Oddała Swifty'ego Rogerowi.

– Przyjdę do was później – powiedziała.

Opuściła pokój dziecinny i przeszła do swoich komnat. Jej ukochany mastif Maximus deptał Margery po piętach. Oczywiście Bartlet i Cecilia zajęli najlepsze komnaty, ale wdowa po hrabim

miała do dyspozycji całkiem przyjemne pomieszczenia: sypialnię i buduar. Weszła do swych komnat i zamknęła drzwi.

Wypełniał ją gniew. Dowiedziawszy się, że Rollo wykorzystywał sieć tajnych księży do wzniecenia krwawej rebelii, przesłała mu krótką zaszyfrowaną wiadomość z deklaracją, że nie będzie już więcej szmuglować katolickich duchownych do Anglii. Brat nie odpowiedział i już się ze sobą nie kontaktowali. Wiele razy układała w myślach pełne oburzenia przemówienie, które miała wygłosić, gdyby się spotkali. Teraz jednak, kiedy się tu pojawił, nie miała pojęcia, co mu powiedzieć.

Maximus ułożył się przed kominkiem, a Margery stanęła przy oknie i patrzyła na zewnątrz. Był grudzień, służący chodzący po dziedzińcu nosili grube płaszcze. Pola rozciągające się wokół zamku pokrywała twarda, zmarznięta ziemia, nagie drzewa sięgały czarnymi gałęziami ku ołowianemu niebu. Myślała, że wystarczy jej odrobina czasu, by odzyskać panowanie nad sobą, nadal jednak nie mogła otrząsnąć się z szoku. Sięgnęła po różaniec i zaczęła się modlić.

Słyszała, jak służący ciągną przez korytarz za jej drzwiami ciężkie bagaże, i domyśliła się, że

Rollo zajmie swą starą sypialnię, naprzeciwko jej komnat. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

– Wróciłem! – oznajmił radośnie Rollo, wchodząc do środka.

Był teraz całkiem łysy i miał szpakowatą brodę.

– Co tutaj robisz? – spytała, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – parsknął drwiąco.

Maximus warknął ostrzegawczo.

– A czego się spodziewałeś, do diabła?! – żachnęła się Margery. – Okłamywałeś mnie przez lata. Wiesz, co myślę o wojnach religijnych między chrześcijanami, a mimo to wykorzystałeś mnie do wzniecenia wojny. Zamieniłeś moje życie w tragedię.

– Wykonywałem wolę Bożą.

– Wątpię. Pomyśl tylko, ilu ludzi straciło życie przez twoje knowania, łącznie z Marią królową Szkotów!

– Jest teraz świętą w niebie.

– Tak czy inaczej, nie będę ci więcej pomagać, a ty nie możesz korzystać z gościny w New Castle.

– Czas spiskowania dobiegł końca. Maria królowa Szkotów nie żyje, hiszpańska armada

została pokonana. Gdyby jednak pojawiła się jakaś okazja, znajdę sobie inne miejsce. Anglia nie kończy się na New Castle.

– Jestem jedyną osobą w tym kraju, która wie, że Jean Langlais to ty. Mogłabym cię wydać Nedowi Willardowi.

– Nie zrobisz tego. – Rollo uśmiechnął się z wyższością. – Możesz mnie zdradzić, ale ja mogę też zdradzić ciebie. Nawet gdybym tego nie chciał, trafiłbym zapewne na tortury. Przez lata ukrywałaś księży, a karą za to jest śmierć. Zostałabyś stracona, być może w taki sam sposób jak Margaret Clitherow, zmiażdżona własnymi drzwiami.

Spojrzała na niego ze zgrozą. Nie pomyślała o tym.

– Nie skończyłoby się na tobie – ciągnął Rollo. – Bartlet i Roger pomagali ci w szmuglowaniu księży. Sama więc widzisz, że jeśli mnie zdradzisz, wydasz na śmierć własnych synów.

Miał rację. Znalazła się w potrzasku. Choć Rollo był nikczemnikiem, nie miała wyjścia: musiała go chronić. Była wściekła, ale i bezsilna. Przez chwilę wpatrywała się gniewnie w jego twarz, na której malował się wyraz zadowolenia.

– Niech cię diabli wezmą! – warknęła. – I niech zaniosą cię prosto do piekła!

III

Dwanaście dni po Bożym Narodzeniu, w święto Trzech Króli, w domu Willardów w Kingsbridge odbyła się uroczysta rodzinna kolacja.

Tradycja dorocznego przedstawienia w New Castle upadła. Przez lata antykatolickiej dyskryminacji hrabstwo coraz bardziej ubożało, a hrabia Shiring nie mógł już pozwolić sobie na wystawne uczty. Dlatego też Willardowie urządzili własne przyjęcie.

Przy stole siedziało sześć osób. Barney wrócił do domu, rozradowany zwycięstwem nad hiszpańską armadą. Zajmował miejsce u szczytu stołu; po jego prawej ręce siedziała Helga, a po lewej Alfo. Sylvie zauważyła, że dobrobyt wyraźnie zaokrąglił rysy syna Barneya. Valerie, żona Alfa, trzymała na rękach ich maleńką córeczkę. Ned siedział naprzeciwko brata, a Sylvie obok niego. Eileen Fife wniosła wielki półmisek z wieprzowiną pieczoną z jabłkami. Wszyscy popijali złote reńskie wino sprowadzane przez Helgę.

Barney i Ned wspominali różne fragmenty wielkiej bitwy morskiej. Sylvie i Valerie gawędziły po francusku. Synowa Barneya jadła,

karmiąc dziecko piersią. Barney powiedział, że dziewczynka zaczyna przypominać swoją babcię Bellę. Sylvie pomyślała, że to mało prawdopodobne, bo dziewczynka miała w sobie tylko jedną ósmą afrykańskiej krwi i jej skóra na razie nie różniła się niczym od karnacji przeciętnego Anglika. Alfo opowiadał ojcu o usprawnieniach, jakie zamierza wprowadzić na zadaszonym targowisku.

Sylvie czuła się bezpieczna w otoczeniu rozgadanej rodziny, przy stole zastawionym jedzeniem i ciepłym kominku. Wrogowie Anglii zostali pokonani, choć bez wątpienia w przyszłości należało się spodziewać kolejnych prób podboju. Ned dowiedział się też niedawno, że Pierre Aumande nie żyje – zamordowano go tego samego dnia co jego pana, księcia Gwizjusza. Jednak istnieje sprawiedliwość na tym świecie.

Sylvie powiodła spojrzeniem po otaczających ją twarzach i uzmysłowiła sobie, że przepełniające ją uczucie jest po prostu szczęściem.

Po kolacji włożyli grube płaszcze i wyszli na zewnątrz. Aby zastąpić czymś spektakl wystawiany zwykle w New Castle, Bell, właściciel karczmy, sprowadził trupę aktorską, która grała na prowizorycznej scenie ustawionej na

dziedzińcu przed budynkiem karczmy. Willardowie zapłacili za wstęp i dołączyli do publiczności.

Sztuka zatytułowana *Gammer Gurton's Needle* była komedią opowiadającą o staruszce, która zgubiła swą jedyną igłę i nie mogła szyć. Wśród innych postaci znajdował się między innymi żartowniś Diccon, który udawał, że przyzywa diabła, oraz służący Hodge, który bał się tak bardzo, że popuszczał w spodnie. Publiczność ryczała ze śmiechu.

Ned był w doskonałym nastroju. Wraz z Barneyem opuścił na chwilę dziedziniec, by kupić we wnętrzu karczmy dzban wina.

Tymczasem na scenie Gammer wdała się w komiczną bójkę ze swoją sąsiadką panią Chat. Sylvie zwróciła uwagę na jedynego człowieka na dziedzińcu, który nawet się nie uśmiechnął. Uświadomiła sobie, że już kiedyś widziała tę twarz. Malowała się na niej fanatyczna zaciętość, której Sylvie nigdy nie zdołałaby zapomnieć.

Mężczyzna również na nią spojrzał, wydawało się jednak, że jej nie poznaje.

Nagle przypomniała sobie ulicę w Paryżu i Pierre'a Aumande'a stojącego przed małym domem i wydającego instrukcje księdzu z rudą brodą i zakolami łysiny.

– Jean Langlais? – wyszeptała z niedowierzaniem. Czyżby naprawdę był to człowiek, na którego Ned polował od tylu lat?

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i opuścił dziedziniec.

Sylvie musiała się upewnić, że to on. Wiedziała, że nie może stracić go z oczu. Nie mogła pozwolić, by znów zniknął. Jean Langlais był wrogiem protestantyzmu i jej męża.

Przyszło jej do głowy, że ten człowiek może być niebezpieczny. Rozejrzała się za Nedem, ale nie wrócił jeszcze z winem. Jeśli będzie na niego czekać, mężczyzna, który przypominał jej Jeana Langlais'go, zniknie jej z oczu. Nie miała czasu do stracenia. Nigdy nie wahała się ryzykować życia dla spraw, w które szczerze wierzyła. Ruszyła więc za nieznajomym.

IV

Rollo jakiś czas temu postanowił zamieszkać w zamku Tyne. Wiedział, że nie może już wykorzystywać New Castle do jakiejkolwiek tajnej działalności. Margery nie zdradziłaby go celowo – skończyłoby się to egzekucją jej synów – ale mogła stracić czujność i narazić go na

niebezpieczeństwo. Lepiej, żeby o niczym nie wiedziała.

Oficjalnie nadal zatrudniał go hrabia Tyne, a Rollo naprawdę od czasu do czasu wykonywał dla niego jakieś zlecenia, by nikt nie nabrał wobec niego podejrzeń. Z drugiej strony, nawet nie wiedział, jaką tajną działalnością mógłby się teraz zajmować. Plany katolickiego powstania wzięły w łeb. Wierzył jednak gorąco, że wcześniej czy później ktoś znów podejmie wysiłek przywrócenia w Anglii prawdziwej wiary, a on weźmie czynny udział w tym wysiłku.

Po drodze do Tyne zatrzymał się w Kingsbridge, gdzie dołączył do grupy podróżnych zmierzających do Londynu. Tak się złożyło, że był to dwunasty dzień po Bożym Narodzeniu, a na dziedzińcu karczmy Bella wystawiano sztukę, postanowili więc zobaczyć spektakl, a następnego ranka wyruszyć w drogę.

Rollo oglądał przez chwilę przedstawienie, lecz uznał, że jest prostackie. W pewnym momencie dostrzegł pośród publiczności drobną kobietę w średnim wieku, która wpatrywała się w niego, jakby próbowała sobie przypomnieć, skąd go zna.

Nie widział jej nigdy wcześniej i nie miał pojęcia, kim jest, lecz nie podobało mu się skupienie malujące się na jej twarzy, gdy na niego patrzyła. Nałożył kaptur na głowę, odwrócił się i opuścił dziedziniec karczmy.

Idąc przez rynek, spojrzał na zachodnią część katedry. Mogłem być tutaj biskupem, pomyślał gorzko.

Przybity, wszedł do środka. Wnętrze świątyni przejętej przez protestantów było szare i ponure. Rzeźby świętych i aniołów rozstawione we wnękach pozbawiono głów, by nie dopuścić do bałwochwalstwa. Pod warstwą wapna można było dojrzeć zarysy malowideł ściennych. Co zadziwiające, protestanci nie zniszczyli wspaniałych witraży, być może dlatego, że wymiana szyb byłaby zbyt kosztowna. W ciemne zimowe popołudnie kolory wydawały się smutne i przytłumione.

Zmieniłbym to wszystko, przemknęło mu przez głowę. Dałbym ludziom religię pełną barw, wspaniałych szat i drogocennych klejnotów, a nie ten zimny, racjonalny purytanizm. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o wszystkim, co stracił.

Katedra była pusta, bo wszyscy kapłani poszli zapewne obejrzeć przedstawienie. Kiedy jednak obrócił się i spojrzał w głąb głównej nawy,

zobaczył kobietę, która przedtem przyglądała mu się na dziedzińcu karczmy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, odezwała się do niego po francusku, a jej głos odbił się w pustym wnętrzu głębokim echem, niczym głos przeznaczenia.

– C*'est bien toi: Jean Langlais?* – To naprawdę ty, Jean Langlais?

Odwrócił się przerażony. Groziło mu straszliwe niebezpieczeństwo. Został rozpoznany jako Jean Langlais. Ta kobieta chyba nie znała jego prawdziwego nazwiska, ale wkrótce mogła je poznać. W każdym momencie mogła go zidentyfikować jako Jeana Langlais'go w obecności kogoś, kto znał go jako Rollo – na przykład Neda Willarda – a wtedy jego życie dobiegłoby końca.

Musiał od niej uciec.

Przeszedł pospiesznie przez południową nawę. Drzwi umieszczone w tej ścianie prowadziły do krużganków, lecz gdy nacisnął klamkę, okazało się, że są zamknięte. Zrozumiał, że zablokowano je, gdy Alfo Willard zamienił klasztorny dziedziniec w targowisko.

Usłyszał lekkie kroki kobiety biegnącej główną nawą. Domyślił się, że chce go zobaczyć z bliska i potwierdzić swoje przypuszczenia. Musiał tego uniknąć.

Przebiegł z powrotem przez nawę, szukając innego wyjścia. Miał nadzieję, że uda mu się zniknąć w mieście, nim kobieta znów na niego spojrzy. W południowym transepcie, u podstawy potężnej wieży, znajdowały się małe drzwi. Uznał, że mogą prowadzić na nowe targowisko, lecz kiedy je otworzył, ujrzał jedynie wąskie spiralne schody pnące się w górę. Podjąwszy błyskawicznie decyzję, wszedł na stopnie i zatrzasnął za sobą drzwi.

Miał nadzieję, że schody doprowadzą do drzwi wychodzących na galerię, która ciągnęła się wzdłuż południowej nawy, lecz gdy wszedł nieco wyżej, zrozumiał, że szczęście znów mu nie dopisało. Nadal słyszał za sobą kroki, nie miał więc innego wyjścia, jak iść dalej.

Coraz bardziej dyszał. Miał pięćdziesiąt trzy lata; wspinaczka na wysokie schody sprawiała mu większą trudność niż kiedyś. Na szczęście dla niego ścigająca go kobieta nie wyglądała na wiele młodszą.

Kim była? I skąd go znała?

Bez wątpienia pochodziła z Francji. Mówiła do niego per *toi*, a nie *vous*, co oznaczało, że albo dobrze go zna – a to wykluczał – albo że nie zasługuje, jej zdaniem, na pełne szacunku *vous*. Zapewne widziała go w Paryżu albo Douai.

Francuzka w Kingsbridge musiała być hugenotką. Mieszkała tu rodzina Forneronów, ci jednak pochodzili z Lille, a Rollo nigdy tam nie był.

Nagle przypomniał sobie, że Ned Willard ma żonę Francuzkę.

To z pewnością żona Willarda dyszała teraz ciężko, wspinając się za nim po schodach. Przywołał w pamięci jej imię: Sylvie.

Wciąż miał nadzieję, że lada moment dotrze do przejścia prowadzącego do jednego z licznych korytarzy połączonych z wieżą, lecz spiralne schody wciąż prowadziły tylko w górę i zdawały się nie mieć końca, niczym w sennym koszmarze.

Zdyszany i wyczerpany, dotarł w końcu do drewnianych drzwi na szczycie schodów. Otworzył je i poczuł na twarzy podmuch zimnego powietrza. Schylił się, by nie uderzyć głową w nadproże, i wyszedł na zewnątrz. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Znajdował się na wąskim kamiennym występie na szczycie wieży. Od przepaści głębokiej na co najmniej sto stóp dzielił go tylko niski, sięgający kolan murek. Spojrzał w dół, na dach prezbiterium. Po lewej znajdował się cmentarz, a po prawej stare krużganki, przykryte teraz dachem i zamienione w targowisko. Po drugiej stronie wieży, daleko

w dole, rozciągał się rynek. Zimny wiatr szarpał gwałtownie połami płaszcza Rollo.

Występ okrążał podstawę iglicy. Wyżej, na jej szczycie, stał wielki kamienny anioł, który z dołu wyglądał na postać ludzkich rozmiarów. Rollo ruszył wokół iglicy w nadziei, że znajdzie inne schody albo drabinę. Przeszedłszy na drugą stronę, spojrzał na rynek, niemal całkiem opustoszały o tej porze.

Nie znalazł innej drogi na dół. Gdy wrócił do punktu wyjścia na występie, z wnętrza wieży wynurzyła się ścigająca go kobieta.

Wiatr zarzucił jej włosy na oczy. Odgarnęła je i spojrzała na Rollo.

– To ty – powiedziała. – To ty jesteś księdzem, którego widziałam z Pierre'em Aumande'em. Musiałam się upewnić.

– Jesteś żoną Willarda?

– Od lat szuka Jeana Langlais'go. Co robisz w Kingsbridge?

Jego przypuszczenia okazały się słuszne: ta kobieta nie miała pojęcia, że jest Rollo Fitzgeraldem. Nigdy dotąd nie spotkali się w Anglii.

Do dziś. A teraz, gdy znała jego sekret, Rollo zostanie aresztowany, poddany torturom i powieszony za zdradę.

Nagle uzmysłowił sobie, że istnieje inne, proste rozwiązanie.

Zrobił krok w jej stronę.

– Ty idiotko – parsknął. – Nie rozumiesz, w jakim znalazłaś się niebezpieczeństwie?

– Nie boję się ciebie – odparła i rzuciła się na niego.

Przeciągnęła paznokciami po jego twarzy. Wrzasnął z bólu i odskoczył do tyłu. Co zdumiewające, kobieta nadal go atakowała.

Gdy chwycił ją za ręce, krzyknęła i zaczęła się szarpać. Rollo był od niej potężniejszy, lecz miała niespożytą energię; wiła się i kopała. W końcu udało jej się uwolnić jedną rękę i znów próbowała go podrapać, ale tym razem w porę się uchylił.

Popchnął ją i odwrócił plecami do niskiego murku, lecz kobieta zdołała jakoś przecisnąć się obok niego i przywarła do ściany iglicy. Teraz to on znalazł się na skraju przepaści. Pchnęła go z całej siły, utrzymał się jednak w pionie, odskoczył od murku i też przywarł plecami do iglicy. Francuzka krzyczała, wzywając pomocy, lecz porywisty wiatr unosił jej głos. Pociągnął ją, a gdy straciła równowagę, znów popchnął ją do murku. Prawie udało mu się ją zrzucić, lecz kobieta go przechytrzyła: osunęła się bezwładnie

i wyślizgnęła z jego rąk. Zerwała na równe nogi i rzuciła do ucieczki.

Popędził za nią, balansując na wąskim występie, o krok od przepaści. Nie mógł jej dogonić. Dobiegła do drzwi, lecz wiatr je zatrzasnął, musiała więc przystanąć, by je otworzyć. W tym momencie Rollo jej dopadł. Jedną ręką pochwycił ją za kołnierz, a drugą za spódnicę i zaczął ciągnąć w stronę murku.

Wlókł ją za sobą, choć wymachiwała ramionami i zapierała się obcasami o kamienną podłogę. Znów się osunęła, ale tym razem niczego nie osiągnęła, bo dociągnął ją do murku i postawiwszy na nim jedną stopę, starał się unieść kobietę, by ją zrzucić.

U podstawy murku znajdowały się otwory, przez które spływała deszczówka. Sylvie zdołała włożyć rękę do jednego z nich, żeby mieć się czego przytrzymać, ale napastnik kopnął ją w dłoń, chwycił ją za kołnierz i zdołał wypchnąć do połowy za murek. Zgięta wpół, zwrócona twarzą do dołu, patrzyła w przepaść i krzyczała przerażona. Puścił jej kołnierz i próbował złapać za kostki u nóg, by przechylić ją w dół. Chwycił jedną, ale drugiej mu się nie udało. Podniósł nogę kobiety najwyżej, jak potrafił. Francuzka była już niemal za murkiem, czepiała się go obiema

dłońmi, lecz udało mu się złapać jedną z nich i oderwać od murku.

W ostatniej chwili Sylvie złapała go za nadgarstek. Omal nie poleciał za nią, ale zabrakło jej sił i wypuściła jego rękę.

Przez moment Rollo balansował na krawędzi, wymachując rękami, w końcu jednak zdołał cofnąć się o krok i odzyskać równowagę.

Kobieta zadziwiająco powoli, niczym w koszmarze sennym, runęła w dół. Patrzył z satysfakcją i grozą zarazem, jak leci, obracając się w powietrzu i krzycząc przeraźliwie.

Usłyszał głuchy huk, gdy uderzyła w dach prezbiterium. Odbiła się i zaczęła się zsuwać w dół. Jej głowa była przekrzywiona pod dziwnym kątem; domyślił się, że złamała kark. Powoli stoczyła się z dachu, uderzyła o łuk przyporowy, spadła na dach przybudówki przy północnej nawie, zsunęła z jego krawędzi i w końcu spoczęła w bezruchu na cmentarzu.

W pobliżu nie było nikogo. Rollo spojrzał w drugą stronę, ale tu widok przesłaniały dachy. Wyglądało na to, że nikt nie widział ich bójki i śmiertelnego lotu Sylvie.

Wrócił do wnętrza wieży, zamknął za sobą drzwi i ruszył biegiem w dół spiralnych schodów.

Potknął się dwukrotnie i omal nie przewrócił, ale musiał się spieszyć.

Dotarłszy na dół, przystanął obok drzwi i przez chwilę nasłuchiwał. Nie słyszał nic prócz własnego oddechu, więc uchylił lekko drzwi. Z wnętrza świątyni nie dochodziły żadne głosy ani kroki. Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Katedra wydawała się pusta.

Wyszedł do transeptu, zamknął za sobą drzwi i przeszedł pospiesznie południową nawą, naciągając na głowę kaptur. Dotarł do zachodniego krańca świątyni i uchylił drzwi. Na rynku kręciło się kilka osób, ale nikt nie patrzył w jego stronę. Wyszedł na zewnątrz i skierował się na południe. Maszerował żwawym krokiem, starając się nie patrzeć na boki; nie chciał, by ktokolwiek zobaczył jego twarz.

Skręcił za pałacem biskupim i wrócił do głównej ulicy.

Zastanawiał się przez moment, czy nie opuścić natychmiast miasta i nigdy tu nie wracać. Kilka osób wiedziało jednak, że tu jest i że zamierzał ruszyć w drogę rano, z grupą innych podróżnych, więc nagły wyjazd mógłby wydać im się podejrzany. Straż miejska mogła nawet wysłać kogoś jego śladem i sprowadzić go

z powrotem. Uznał ostatecznie, że lepiej zrobi, jeśli zostanie i będzie udawał niewinnego.

Skierował się w stronę rynku.

Przedstawienie już się skończyło i publiczność opuszczała dziedziniec karczmy. Dostrzegł Richarda Grimesa, zamożnego przedsiębiorcę budowlanego z Kingsbridge, który zasiadał w radzie miasta.

– Dzień dobry, panie radny – przywitał się uprzejmie Rollo. Grimes będzie mógł potwierdzić, że widział go nadchodzącego główną ulicą od strony rzeki, a nie katedry.

Radny był zaskoczony, widząc go po tylu latach, i chciał już zacząć rozmowę, gdy obaj usłyszeli nagle okrzyki przerażenia dochodzące z cmentarza. Grimes ruszył w tę stronę, a Rollo po chwili podążył za nim.

Wokół ciała gromadził się tłum gapiów. Sylvie miała połamane ręce i nogi, jej głowa zamieniła się z jednej strony w krwawą miazgę. Ktoś uklęknął obok niej i szukał pulsu, choć bez wątpienia była martwa. Radny Grimes przepchał się przez tłum.

– To Sylvie Willard – powiedział. – Jak to się stało?

– Spadła z dachu – odparła Susan White, dawna miłość Rollo, niegdyś ładna dziewczyna

o twarzy w kształcie serca, a teraz siwowłosa pięćdziesięcioletnia matrona.

– Widziała to pani? – spytał ją Grimes.

Rollo znieruchomiał. Do tej pory był pewien, że nie było świadków. Jeśli jednak Susan spojrzała w górę, kiedy był na wieży z żoną Willarda, teraz na pewno by go rozpoznała.

– Nie, nie widziałam, ale to chyba oczywiste, prawda?

Tłum rozstąpił się na boki, przepuszczając sir Neda Willarda.

Przez moment wpatrywał się w ciało leżące na ziemi, a potem ryknął niczym ranne zwierzę:

– Nie!

Opadł na kolana obok Sylvie, delikatnie podniósł jej głowę i zobaczył, że część jej twarzy zamieniła się w krwawą miazgę. Zaczął płakać, wciąż powtarzając: „Nie, nie…”, teraz już cicho, między spazmami szlochu wypływającymi z samych trzewi.

– Czy ktoś widział, jak spadła? – spytał Grimes, rozglądając się.

Rollo cały się spiął, gotów do ucieczki. Nikt się jednak odezwał. Nie było świadków.

Los znów mu sprzyjał.

V

Margery stała przy grobie, gdy opuszczano trumnę z Sylvie. Był spokojny zimowy dzień, zza chmur prześwitywało co jakiś czas słabe słońce, ale ona czuła się tak, jakby trafiła w środek tornada.

Bardzo współczuła Nedowi, który cały czas płakał, wycierając oczy chusteczką, i nie był w stanie wydobyć z siebie choćby słowa. Po jego prawej ręce stał Barney, a po lewej Alfo. Margery znała Neda i wiedziała, że kochał żonę całym sercem. Stracił bratnią duszę.

Nikt nie miał pojęcia, dlaczego Sylvie postanowiła wyjść na wieżę. Margery wiedziała, że tego dnia w mieście był jej brat, i przyszło jej do głowy, że może on zna odpowiedź na to pytanie, wyjechał jednak, nim zdążyła z nim porozmawiać. Pytała kilka osób, czy widziały Rollo przed wyjazdem, a trzy z nich odpowiedziały coś w rodzaju: „Tak, na przedstawieniu, stał koło mnie”.

Ned mówił, że jego żona zawsze chciała zobaczyć widok z wieży. Być może sztuka nie przypadła jej do gustu, więc postanowiła wykorzystać wolną chwilę i spełnić to marzenie.

Po namyśle Margery doszła do wniosku, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Współczuciu dla Neda towarzyszyła myśl, której sama przed sobą się wstydziła: że ta tragedia może w końcu dać jej to, czego pragnęła od trzydziestu lat. Nie mogła jednak ukrywać przed sobą faktu, że Ned był teraz sam i mógł się z nią ożenić.

Lecz nawet gdyby do tego doszło, czy położyłoby to kres jej udręce? Wciąż miała tajemnicę, której nie mogła mu wyjawić. Zdradzając brata, wydałaby na śmierć synów. Czy potrafiłaby zachować tajemnicę i oszukiwać ukochanego mężczyznę? Czy raczej zaprowadziłaby na szubienicę własne dzieci?

Gdy żałobnicy odmawiali modlitwy nad zmasakrowanym ciałem Sylvie, Margery prosiła Boga, by nigdy nie zmusił jej do takiego wyboru.

VI

To było jak amputacja. Wiedziałem, że nigdy już nie odzyskam tej części siebie, która zniknęła wraz ze śmiercią Sylvie. Przypominałem człowieka, który próbuje chodzić, straciwszy nogę. Już zawsze musiałem zmagać się

z uczuciem, że czegoś mi brakuje, że coś powinno być w miejscu brakującej kończyny. W moim życiu powstała ogromna wyrwa, otchłań, której nic nie mogło wypełnić.

Lecz zmarli żyją nadal w naszej wyobraźni. Myślę, że takie jest prawdziwe znaczenie duchów. Sylvie zniknęła z tej ziemi, ale codziennie widziałem ją oczami umysłu. I słyszałem. Ostrzegała mnie przed niegodnym zaufania współpracownikiem, drwiła ze mnie, gdy podziwiałem sylwetkę młodej kobiety, śmiała się ze mną z nadętego radnego i płakała nad chorobą dziecka.

Z czasem huragan rozpaczy i gniewu przycichł, a wtedy ogarnął mnie spokój, smutna rezygnacja. Margery wróciła do mojego życia niczym stary przyjaciel, który przez długi czas przebywał w dalekich krajach. Tamtego lata przyjechała do Londynu i wprowadziła się do domu Shiringów przy Strandzie. Wkrótce zaczęliśmy się widywać codziennie. Poznałem znaczenie określenia „słodko-gorzki", goryczy straty i słodyczy nadziei zamkniętych w jednym owocu. Oglądaliśmy przedstawienia, jeździliśmy konno po polach Westminsteru, pływaliśmy po rzece i urządzaliśmy pikniki w Richmond. I kochaliśmy się – czasami rano, czasami po

południu, czasami nocą – a czasami o wszystkich porach jednego dnia.

Walsingham początkowo był wobec niej podejrzliwy, obłaskawiła go jednak połączeniem kokieterii i inteligencji, któremu nie mógł się oprzeć.

Jesienią duch Sylvie powiedział mi, bym poślubił Margery. „Oczywiście, że nie mam nic przeciwko – mówiła. – Miałam twoją miłość za życia. Teraz może ją mieć Margery. Chcę tylko patrzeć na ciebie z nieba i widzieć, że jesteś szczęśliwy".

Pobraliśmy się w katedrze w Kingsbridge w Boże Narodzenie, niemal rok po śmierci Sylvie. To była skromna, spokojna uroczystość. Zwykle ślub biorą młodzi ludzie, którzy dopiero zaczynają prawdziwe życie, tymczasem nasz przywodził raczej na myśl koniec. Walsingham i ja ratowaliśmy królową Elżbietę i walczyliśmy o jej ideał wolności wyznania. Barney, ja i angielscy marynarze pokonaliśmy hiszpańską armadę. A teraz Margery i ja byliśmy w końcu razem. Wydawało mi się, że wszystkie wątki naszego życia splotły się w końcu w jedno.

Myliłem się jednak. Nie wszystkie sprawy zostały zamknięte: nie do końca.

CZĘŚĆ PIĄTA
1602–1606

ROZDZIAŁ 28

I

Ostatnia dekada XVI wieku była dla Rollo Fitzgeralda czasem rozczarowania i frustracji. Wszystko, co próbował osiągnąć, obracało się wniwecz. Anglia stała się bardziej protestancka niż kiedykolwiek dotąd. Jego życie było klęską.

Lecz nagle, na przełomie wieków, uświadomił sobie, że jest jeszcze nadzieja, ostatnia szansa na odmianę losu.

Gdy zaczęło się nowe stulecie, królowa Elżbieta miała sześćdziesiąt sześć lat. Był to już zaawansowany wiek, a monarchini coraz bardziej mizerniała, bladła i popadała w melancholię. Nie chciała myśleć o przyszłości i uznawała za zdradę nawet dyskusje o tym, kto zastąpi ją na tronie.

– Ludzie zawsze wielbią wschodzące, a nie zachodzące słońce – mawiała i nie myliła się.

Pomimo zakazu wszyscy rozmawiali o tym, co wydarzy się po jej śmierci.

Późnym latem 1602 roku do Rollo, który nadal mieszkał w zamku Tyne, przyjechał gość z Rzymu. Był to Lenny Price, który pod koniec lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku studiował z Rollo w Angielskim College'u. Energiczny młodzieniec o różowej cerze był teraz siwowłosym pięćdziesięciopięciolatkiem.

– Kościół ma dla ciebie misję – oznajmił. – Chcemy, żebyś pojechał do Edynburga.

Stali na szczycie jednej z zamkowych wież i patrzyli w stronę Morza Północnego. Serce Rollo zabiło mocniej, gdy usłyszał słowa starego przyjaciela. Szkocją rządził król Jakub VI, syn Marii Stuart.

– Misję? – powtórzył.

– Elżbieta nie ma dziedzica – powiedział Lenny. – Żadne z trojga dzieci Henryka Ósmego nie miało potomka. Wygląda więc na to, że tron Anglii powinien przejąć po Elżbiecie król Jakub Szósty.

Rollo skinął głową.

– Kazał nawet wydać książkę, w której wyjaśnia swoje prawa do tronu.

Jakub VI wierzył w moc słowa pisanego, co wydawało się rozsądną filozofią w przypadku

władcy małego i biednego kraju, jakim była Szkocja.

– Najwyraźniej do tego zmierza. Szuka wsparcia, więc Rzym uważa, że to dobry moment, by uzyskać od niego ważne obietnice.

Rollo dał się na moment ponieść nadziei, zmusił się jednak do realistycznego myślenia.

– Jakub nie jest przecież katolikiem – przypomniał rozmówcy. – Odebrano go jego matce, Marii Stuart, kiedy miał ledwie rok, i od tej pory sączono mu do uszu truciznę protestantyzmu.

– Owszem, ale jest coś, o czym nie wiesz – odparł Lenny. – Prawie nikt tego nie wie, a tobie nie wolno nikomu o tym mówić. – Choć byli sami, zniżył głos do szeptu. – Żona Jakuba jest katoliczką.

– Anna Duńska, królowa Szkocji, jest katoliczką? – Rollo był zdumiony. – Przecież wychowano ją na protestantkę.

– Bóg postawił na jej drodze pobożnego człowieka i ujrzała światło.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś ją nawrócił?

– Została przyjęta na łono Kościoła – potwierdził Lenny, znów zniżając głos do szeptu.

– Bogu niech będą dzięki! To wszystko zmienia!

Lenny podniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Nie wydaje nam się jednak, by była w stanie nawrócić męża – rzekł.

– Nie kocha jej?

– Trudno powiedzieć. Nasi informatorzy w Szkocji mówią, że bardzo się lubią. I mają troje dzieci. Ale mówią też, że Jakub jest zboczeńcem.

Zaciekawiony Rollo uniósł brwi.

– Grzeszy z młodymi mężczyznami – wyjaśnił Lenny.

Mężczyźni obcujący z mężczyznami popełniali ciężki grzech, ale było wśród nich wielu księży, więc Rollo nie poczuł się szczególnie zszokowany.

– Jakub wie – ciągnął Lenny – że jego żona została katoliczką i zaakceptował to. Jeśli nie możemy mieć nadziei, że przywróci w Anglii katolicyzm, to może skłonimy go chociaż do tolerancji.

Rollo skrzywił się, słysząc słowo „tolerancja”. Uważał to pojęcie za niemoralne, było dla niego symbolem powrotu na złą drogę, błędu i dekadencji. Jak Kościół katolicki mógł się godzić na tolerancję?

– Musimy wykorzystać tę sytuację – kontynuował Lenny, który nie zauważył jego reakcji. – I tu właśnie zaczyna się twoja rola.

Zawieziesz do Edynburga wiadomość od Kościoła katolickiego w Anglii. Jeśli Jakub obieca nam wolność wyznania, nie będziemy się sprzeciwiać jego roszczeniom do tronu.

Rollo natychmiast zrozumiał, że to właściwe posunięcie, i nabrał otuchy. Dostrzegł jednak pewien szkopuł.

– Moja pozycja jest zbyt niska – powiedział. – Król Szkocji nie zechce mnie przyjąć.

– Ale królowa zechce. Teraz jest jedną z nas, więc możemy to zaaranżować.

– Tak bardzo jej na tym zależy?

– Owszem.

– To wspaniale – ucieszył się Rollo. – Pojadę, oczywiście.

– Brawo. – Lenny się uśmiechnął.

Sześć tygodni później Rollo był już w pałacu Holyrood, stojącym u podnóża góry zwanej Arthur's Seat. Droga biegnąca na zachód prowadziła do odległego o milę wzgórza, na którym stał Zamek Edynburski, znacznie mniej komfortowy i przytulny. Król Jakub i królowa Anna woleli mieszkać w Holyrood.

Rollo włożył sutannę, zawiesił na szyi krucyfiks, udał się do zachodniego skrzydła pałacu i podał królewskiemu urzędnikowi swój pseudonim Jean Langlais, wraz z łapówką

w stosownej wysokości. Zaprowadzono go do miłej komnaty z wysokimi oknami i dużym kominkiem, w którym płonął ogień. Pomyślał, że Szkocja nie jest taka zła, jeśli tylko ma się dość pieniędzy. Całkiem inaczej musiały się czuć w tym paskudnym zimnym klimacie bose dzieciaki, które widział wcześniej w mieście.

Minęła godzina. Wszyscy wiedzieli, że królewscy urzędnicy udają bardziej wpływowych, niż są w istocie, aby wyłudzać łapówki. Jednakże Rollo nie polegał tylko na łapówce. Ksiądz, który nawrócił królową Annę na katolicyzm, miał jej powiedzieć, że powinna spotkać się z Rollo. Lecz najpierw sam musiał się dowiedzieć, że Jean Langlais już tu jest.

Kobieta, która w końcu przyszła do komnaty, nie była dwudziestosiedmioletnią królową, lecz uprzejmą damą po sześćdziesiątce, która wydała mu się dziwnie znajoma.

– Witamy w Szkocji, ojcze Langlais – powiedziała. – Pamięta mnie ojciec? Minęło już prawie dwadzieścia lat.

W tym momencie rozpoznał w niej wieloletnią towarzyszkę Marii Stuart, Alison. Jej włosy były teraz siwe, miała jednak te same czujne, niebieskie oczy. Wstał i uścisnął jej dłoń.

– Lady Ross!

– Teraz jestem lady Thurston.

– Nie spodziewałem się tu pani zobaczyć.

– Królowa Anna jest dla mnie bardzo dobra.

Domyślił się już całej reszty. Po egzekucji Marii Stuart Alison wróciła do Szkocji i ponownie wyszła za mąż. Przysłużyła się jakoś królowej Annie i została jej damą dworu. Bez wątpienia to właśnie Alison przedstawiła żonie Jakuba katolickiego księdza, który potem ją nawrócił.

– Przypuszczam, że to pani poleciła mnie do tej misji – powiedział.

– Być może – odrzekła Alison.

Rollo uznał to za korzystną okoliczność, która zwiększała szanse powodzenia jego misji.

– Dziękuję pani za pomoc.

– Wiele panu zawdzięczam – odpowiedziała ciepło kobieta, a jemu przemknęło przez głowę, że być może ma do niego słabość. Nigdy jednak nie interesował się szczególnie kobietami. Miłość była uczuciem, które go omijało. Zastanawiał się właśnie, co jej powiedzieć, gdy do komnaty weszła królowa.

Miała pociągłą twarz z wysokim czołem i kręcone jasnokasztanowe włosy. Była zgrabna i nosiła suknię z dużym dekoltem, który odsłaniał jej bujny biust.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, ojcze Langlais – przywitała go uprzejmie.

– Wasza Wysokość czyni mi wielki zaszczyt. – Rollo ukłonił się nisko.

– Czynię zaszczyt Kościołowi, który reprezentujesz – poprawiła go monarchini.

– Oczywiście. – Królewska etykieta była irytująco skomplikowana. – Proszę mi wybaczyć.

– Usiądźmy i porozmawiajmy.

Kiedy Anna zajęła miejsce, Rollo i Alison zrobili to samo. Królowa spojrzała pytająco na księdza, czekając, aż ten rozpocznie rozmowę.

Przeszedł od razu do rzeczy.

– Jego Świątobliwość papież Klemens uważa, że Wasza Wysokość może wkrótce zostać królową Anglii.

– Oczywiście. Prawa mojego męża do angielskiego tronu są bezsporne.

Określenie „bezsporne” było w tym przypadku sporą przesadą. Maria Stuart została ścięta jako zdrajczyni, a zgodnie z powszechnie przyjętą zasadą, dzieci zdrajców nie mogły dziedziczyć tytułów.

– Niektórzy mogą się mu jednak sprzeciwić – zauważył taktownie.

Anna skinęła głową. Znała fakty.

– Jego Świątobliwość – ciągnął – polecił angielskim katolikom wesprzeć króla Jakuba w staraniach o tron, pod warunkiem że król obieca nam wolność wyznania.

– Jego Wysokość, mój mąż, jest człowiekiem wielbiącym tolerancję – odrzekła.

Na dźwięk znienawidzonego słowa „tolerancja” z ust Rollo wyrwał się jęk odrazy. Musiał go szybko zamaskować, symulując atak kaszlu.

Królowa chyba niczego nie zauważyła.

– Król zaakceptował moje nawrócenie na prawdziwą wiarę – dodała.

– Cudownie – mruknął Rollo.

– Mój mąż wpuszcza na swój dwór katolickich teologów i często wdaje się z nimi w dyskusje.

Rollo zauważył, że Alison kiwa dyskretnie głową na potwierdzenie tych słów.

– Mogę ojca zapewnić bez najmniejszych wątpliwości, że kiedy Jakub zostanie królem Anglii, zapewni nam, katolikom, wolność wyznania – oświadczyła Anna.

– To mnie ogromnie raduje – wyznał Rollo całkiem szczerze. W tej samej chwili usłyszał jednak w głowie głos Lenny’ego Price’a, pytający: „Ale czy to prawda?”. Musiał usłyszeć tę obietnicę z ust samego króla.

Nagle drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł Jakub we własnej osobie.

Rollo zerwał się na równe nogi i złożył niski pokłon.

Król miał trzydzieści sześć lat, okrągłą, mięsistą twarz sybaryty i przykryte ciężkimi powiekami oczy o przebiegłym spojrzeniu. Czule ucałował żonę w policzek.

– Ojciec Langlais przyjechał, by przekazać nam, że Jego Świątobliwość papież wspiera twoje roszczenia do tronu Anglii – oznajmiła Anna.

Jakub uśmiechnął się do gościa.

– Dziękuję, że przywiozłeś nam te dobre wieści, ojcze – odezwał się z silnym szkockim akcentem. Mówił nieco bełkotliwie, jakby jego język był za duży w stosunku do ust.

– Powiedziałam mu właśnie, że zapewnisz wolność wyznania angielskim katolikom.

– Doskonale. – Skinął głową. – Jak pewnie wiesz, moja matka była katoliczką, ojcze Langlais.

– *Requiescat in pace* – odrzekł Rollo, używając łacińskiego sformułowania „Niech spoczywa w spokoju” stosowanego przez katolików.

– Amen – dopowiedział król Jakub.

II

Ned Willard płakał, gdy królowa Elżbieta umarła.

Skonała w pałacu w Richmond wczesnym rankiem w deszczowy czwartek, dwudziestego czwartego marca 1603 roku. Ned był przy tym obecny, podobnie jak tłum dworzan, duchownych i dam dworu; królowa była zbyt ważna, by mogła umrzeć w spokoju.

Ned miał sześćdziesiąt trzy lata. Jego dwaj protektorzy, William Cecil i Francis Walsingham, zmarli przed wielu laty, lecz królowa wciąż potrzebowała usług tajnych służb, a Ned je zapewniał. Przy łożu Elżbiety stał obok drobnego zgarbionego sekretarza stanu, czterdziestoletniego Roberta Cecila, młodszego syna wielkiego Williama. Królowa, z nonszalanckim okrucieństwem właściwym monarchom, nazywała Roberta „swoim Pigmejkiem”. Słuchała go jednak, bo był równie błyskotliwy jak ojciec. Stary William mawiał o swoich dwóch synach: „Thomas nie potrafiłby rządzić kortem tenisowym, ale Robert mógłby rządzić Anglią”.

Teraz wszyscy jesteśmy pigmejami, pomyślał Ned ze smutkiem. Elżbieta była olbrzymem, a my

jej tylko służyliśmy.

Leżała w łożu od trzech dni i przez większość tego czasu nie była w stanie mówić. Poprzedniego wieczoru zasnęła około dziesiątej. O trzeciej nad ranem po prostu przestała oddychać.

Ned nie mógł powstrzymać się od płaczu. Kobieta, która zdominowała całe jego życie, odeszła. Po raz pierwszy od wielu lat przypomniał sobie chwilę, gdy zobaczył młodą księżniczkę wychodzącą z kąpieli, i poczuł niemal fizyczny ból na myśl, że ta piękna dziewczyna to teraz martwy zewłok leżący przed nim na łożu.

Robert Cecil wyszedł z komnaty, gdy tylko medycy orzekli zgon, a Ned, ocierając łzy rękawem płaszcza, ruszył jego śladem. Nie mieli czasu na opłakiwanie zmarłej. Czekało ich zbyt wiele pracy.

Wsiedli na barkę, która przeraźliwie wolno wiozła ich w ciemności do Londynu. Pomimo królewskiego zakazu rozmów o sukcesji, rada dawno już uzgodniła, że następnym władcą Anglii będzie Jakub, król Szkocji. Należało zająć się tym jak najszybciej. Radykalni katolicy wiedzieli, że królowa umiera, więc również mogli poczynić jakieś plany.

Jakub nie miał właściwie żadnych rywali w walce o tron, ale sukcesję można było zakłócić na inne sposoby. Radykałowie mogli porwać króla Jakuba i jego najstarszego syna, księcia Henryka. Potem zabiliby Jakuba lub zmusili go do abdykacji i ogłosili królem jego syna – tak właśnie objął tron Szkocji jako małe dziecko. Książę Henryk miał tylko dziewięć lat, więc w jego imieniu rządziłby regent, którym zostałby jeden z katolickich arystokratów, być może nawet pasierb Neda, hrabia Bartlet Shiring.

Potem protestanci utworzyliby armię, wybuchłaby wojna domowa i Anglia doświadczyłaby tej samej grozy wojen religijnych, jaka wstrząsała Francją.

Przez ostatnie trzy miesiące Ned i Cecil robili wszystko, by ta przerażająca wizja się nie ziściła. Ned przygotował listę najpotężniejszych katolików w kraju i za aprobatą Cecila uwięził ich. Przy skarbcu postawiono zbrojną straż, a w White Hall sprawdzono sprawność armat.

Uświadomił sobie, że nie żyją już wszystkie trzy wielkie kobiety XVI wieku: Elżbieta, królowa Francji Katarzyna oraz Małgorzata Parmeńska, namiestniczka Niderlandów. Wszystkie trzy starały się powstrzymać ludzi od walk religijnych. Z perspektywy czasu ich osiągnięcia

wydawały się żałośnie mizerne. Źli ludzie zawsze niweczyli wysiłki tych, którzy dążyli do pokoju. Krwawe wojny religijne przez dziesięciolecia pustoszyły Francję i Niderlandy. Tylko w Anglii było stosunkowo spokojnie.

Ned pragnął teraz jedynie utrzymać ten pokój, póki starczy mu sił.

O świcie byli jeszcze na rzece. Gdy tylko dotarli do White Hall, Cecil zwołał Tajną Radę Królewską.

Rada uzgodniła treść proklamacji, którą Robert Cecil własnoręcznie zapisał. Następnie członkowie rady wyszli na trawnik naprzeciwko Tiltyard, gdzie zebrał się tłum londyńczyków, których bez wątpienia ściągnęły tu plotki. Herold odczytał oświadczenie głoszące, że Elżbieta zmarła, a królem jest teraz Jakub.

Później pojechali do miasta, gdzie również gromadziły się tłumy, głównie w miejscach, w których zwykle odczytywano proklamacje. Herold odczytał ten sam tekst przed katedrą Świętego Pawła, a potem przy Cheapside Cross.

W końcu rada udała się do Tower i oficjalnie przejęła fortecę w imieniu króla Jakuba I, władcy Anglii.

Ned stwierdził z ulgą, że reakcja ludzi była powściągliwa. Elżbieta cieszyła się sympatią

londyńczyków, więc śmierć królowej ich zasmuciła. Londyńskim kupcom dobrze się wiodło za jej rządów, woleliby więc, by nic się nie zmieniło. Jakub pozostawał wielką niewiadomą; pochodził zza granicy, ale Szkot był lepszy od Hiszpana; wyznawał protestantyzm, lecz miał żonę katoliczkę; był mężczyzną, ale zachowywał się podobno jak kobieta.

Pogrzeb Elżbiety odbył się w czasie, gdy Jakub jeszcze nie dotarł z Edynburga.

Karawan na krótkiej trasie do Westminster Abbey odprowadzało tysiąc żałobników i co najmniej sto tysięcy ludzi obserwowało kondukt. Trumna była przykryta fioletowym aksamitem, a na jej wieku stał kolorowy posąg Elżbiety w królewskich szatach, wykonany z wosku.

Ned zajmował przydzielone mu wcześniej miejsce w kondukcie, lecz gdy weszli do katedry, udało mu się wymknąć i odszukać Margery. Podczas nabożeństwa trzymał ją za rękę i czerpał siłę z jej ciepła jak z ognia. Ona również była przybita, dzieliła bowiem z Nedem przekonanie, że pokój między chrześcijanami jest ważniejszy od sporów doktrynalnych, a Elżbieta symbolizowała ten ideał.

Gdy spuszczono trumnę do grobu w kaplicy Najświętszej Panny, Ned znów nie mógł

powstrzymać łez.

Zastanawiał się, co właściwie opłakuje. Po części idealizm Elżbiety, którym sam się kierował. Płakał, bo na przestrzeni lat polityka zmuszała go do haniebnych kompromisów brukających te ideały; bo ostatecznie Elżbieta straciła niemal tyle samo katolików, ilu protestantów zginęło za czasów królowej Marii Tudor, Krwawej Mary. Maria zabijała ich z powodu przekonań religijnych, a Elżbieta za zdradę, lecz różnica ta często była niemal niezauważalna. Elżbieta była ułomną istotą ludzką, a jej rządy miały swoje lepsze i gorsze strony. Mimo to Ned podziwiał ją bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Margery podała mu chusteczkę, by otarł łzy. Zdobił ją haft przedstawiający żołędzie. Ned uświadomił sobie ze zdumieniem, że to ta sama chusteczka, którą podał jej w podobnym celu prawie pół wieku temu. Otarł twarz, ale było to równie nieskuteczne jak wycieranie plaży: łzy płynęły z jego oczu szeroką niepowstrzymaną strugą.

Najważniejsi członkowie dworu królewskiego, zgodnie ze zwyczajem, połamali swoje białe pałki, symbole ich urzędu, po czym wrzucili kawałki do grobu, w ślad za trumną. Gdy

żałobnicy zaczęli się rozchodzić, Ned uzmysłowił sobie, że jego życie było jednak coś warte – dzięki ludziom, którzy go kochali, a najważniejsze pośród nich były cztery kobiety: matka, królowa Elżbieta, Sylvie i Margery. Dlatego tak mocno przeżywał śmierć Elżbiety. Gdy oddalali się razem od wielkiej katedry, uścisnął mocniej dłoń Margery, zrozumiawszy, że została mu już tylko ona.

III

Rok po śmierci Elżbiety Rollo Fitzgerald przysiągł, że zabije króla Jakuba.

Król złamał obietnicę daną katolikom. Przestrzegał uchwalonych przez Elżbietę praw skierowanych przeciwko katolicyzmowi i egzekwował je z jeszcze większą surowością niż jego poprzedniczka, jakby nigdy nie słyszał o tolerancji czy wolności wyznania. Rollo nie miał pojęcia, czy królową Anną kierowały szczere intencje, lecz raczej w to wątpił. Jakub i Anna okłamali jego, całą społeczność angielskich katolików i samego papieża. Gniew Rollo wynikał ze świadomości, że został

oszukany i że wykorzystano go jako narzędzie do oszukania innych.

Nie zamierzał się jednak poddać. Nie chciał oddać zwycięstwa kłamliwemu Jakubowi i nikczemnym purytanom, bluźniercom i wrogom prawdziwej wiary. Walka nie dobiegła jeszcze końca.

Najchętniej zastrzeliłby lub zasztyletował Jakuba, ale wydawało mu się to mało realistyczne. Nim zdołałby do niego dotrzeć, powstrzymaliby go zapewne gwardziści lub dworzanie. Przesiadując na szczycie wieży zamku Tyne, zastanawiał się, jak przeprowadzić zamach. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej pragnął zemsty, a jego plan przybierał coraz ambitniejszą postać. Bo dobrze by było zabić również królową Annę. I może jeszcze królewskie dzieci, Henryka, Elżbietę i Karola. I najważniejszych dworzan, zwłaszcza Neda Willarda. Żałował, że nie może wypalić do nich z podwójnie ładowanej armaty, jakich Anglicy użyli przeciwko armadzie. Pomyślał o płonących ogniach i zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby podpalić pałacu, kiedy będą tam wszyscy razem.

Powoli w jego głowie zaczął się formować konkretny plan.

Pojechał do New Castle i przedstawił swój pomysł hrabiemu Bartletowi oraz jego najstarszemu synowi, Swifty'emu, który miał teraz dwadzieścia lat. W dzieciństwie Bartlet ubóstwiał wuja i nadal pozostawał pod jego silnym wpływem. Swifty, odkąd tylko nauczył się mówić, słyszał, że hrabstwo Shiring podupadło za rządów Elżbiety. Ojciec i syn byli więc ogromnie rozczarowani, że król Jakub kontynuował antykatolicką politykę Elżbiety.

Młodszy brat Bartleta, Roger, nie uczestniczył w tej rozmowie. Pracował w Londynie dla Roberta Cecila i nie mieszkał już w New Castle – i bardzo dobrze. Ukształtowany w dużej mierze przez poglądy Margery oraz ojczyma Neda Willarda, Roger mógłby sprzeciwić się realizacji planu wuja.

– Otwarcie sesji parlamentu – zaczął Rollo, gdy służący opuścili po kolacji jadalnię i trzej mężczyźni zostali sami. – Dopadniemy ich wszystkich razem: króla Jakuba, królową Annę, sekretarza stanu Roberta Cecila, sir Neda Willarda i członków tego heretyckiego, bluźnierczego parlamentu. Uśmiercimy ich jednym potężnym ciosem.

– To kusząca perspektywa, oczywiście – powiedział Bartlet, który słuchał go uważnie. –

Ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak można by zrealizować taki plan.

– A ja potrafię – odrzekł Rollo.

ROZDZIAŁ 29

I

Ned Willard zachowywał wzmożoną czujność. Rozglądał się uważnie po kaplicy, obserwował obecnych, wypatrywał niebezpiecznych sygnałów. Na uroczystość ślubną miał przybyć król Jakub, a Ned obawiał się o jego życie nie mniej niż niegdyś o życie Elżbiety. Tajne służby nigdy nie mogą sobie pozwolić na chwilę wytchnienia.

Był dwudziesty ósmy grudnia 1604 roku.

Ned nie przepadał za królem Jakubem. Okazał się on mniej tolerancyjny niż Elżbieta, i to nie tylko wobec katolików. Miał bzika na punkcie czarownic – napisał nawet książkę na ten temat – i wprowadził surowe prawo skierowane przeciwko kobietom podejrzanym o czary. Ned uważał, że w większości wypadków były to nieszkodliwe staruszki. Niemniej jednak

zamierzał chronić Jakuba za wszelką cenę, by nie dopuścić do wojny domowej, której obawiał się najbardziej.

Panem młodym był Philip Herbert, dwudziestoletni syn hrabiego Pembroke. Philip wpadł w oko Jakubowi w tym żenującym sensie, w jakim czarujący młodzi mężczyźni często wzbudzali zainteresowanie trzydziestoośmioletniego króla. Jakiś dworski dowcipniś powiedział, że „mieliśmy króla Elżbietę, a teraz mamy królową Jakuba”, i wkrótce żart ten powtarzano w całym Londynie. Jakub zachęcił Philipa do małżeństwa, jakby chciał w ten sposób dowieść, że jego zamiary wobec młodzieńca są całkiem niewinne – w co nikt nie wierzył.

Panną młodą była Susan de Vere, wnuczka Williama Cecila i bratanica obecnego sekretarza stanu, Roberta Cecila, współpracownika i przyjaciela Neda. Wiedząc, że Jakub zaszczyci ich swoją obecnością, państwo młodzi czekali przy ołtarzu, król musiał bowiem przybyć ostatni. Znajdowali się w kaplicy pałacu White Hall, gdzie zamachowiec mógł bez trudu dokonać krwawego dzieła.

Szpiedzy Neda z Paryża, Rzymu, Brukseli i Madrytu powtarzali te same plotki: angielscy

katolicy rozsiani po całej Europie chcą się pozbyć króla Jakuba, który podobno ich zdradził. Ned nie znał jednak szczegółów spisków, na razie mógł więc jedynie trzymać oczy szeroko otwarte i nadstawiać uszu.

Gdyby w młodości zastanawiał się, jak będzie wyglądać jego życie czterdzieści lat później, zakładałby zapewne, że nie przyjdzie mu zmagać się z takimi samymi problemami. Spodziewałby się, że albo Elżbieta osiągnie swe cele i Anglia stanie się pierwszym na świecie krajem, w którym panuje wolność wyznania, albo poniesie klęskę i Anglicy znów będą płonąć na stosach za przekonania. Nigdy by nie przypuszczał, że kiedy Elżbieta umrze, a on będzie miał sześćdziesiąt pięć lat, walka o ideały okaże się równie zacięta – że parlament nadal będzie prześladował katolików, a ci wciąż będą próbowali zabić monarchę. Czy to się kiedyś skończy?

Spojrzał na Margery, która stała obok niego. Tego dnia włożyła jasnoniebieską czapkę, którą jak zwykle nosiła na bakier.

– Co? – spytała, pochwyciwszy jego spojrzenie.

– Nie chcę, żeby pan młody cię zobaczył – mruknął Ned. – Mógłby zmienić zdanie i ożenić się z tobą, zamiast z panną młodą.

– Jestem starszą panią. – Zachichotała.

– Jesteś najładniejszą starszą panią w Londynie – odparł z powagą, przekonany, że to święta prawda.

Znów rozejrzał się niespokojnie. Rozpoznawał większość obecnych osób. Z Cecilem przyjaźnił się niemal od ćwierćwiecza, znał też rodzinę pana młodego. Niektórzy z młodych ludzi siedzących z tyłu kaplicy byli mu całkiem obcy, przypuszczał więc, że są to przyjaciele młodej pary. W miarę upływu lat miał coraz większe problemy z rozróżnianiem młodzieńców i dziewcząt.

Siedział z Margery z przodu, ale nie czuł się tu dobrze i co chwila oglądał się przez ramię, aż w końcu zostawił żonę samą i przeniósł się do tyłu. Stąd mógł bez trudu obserwować wszystkich, niczym gołębica, która pilnuje swoich piskląt i strzeże ich przed sroką.

Wszyscy mężczyźni oczywiście mieli miecze, więc teoretycznie każdy z nich mógł być zabójcą. Tylko że takie założenie było właściwie bezużyteczne, więc łamał sobie głowę nad tym, jak zdobyć więcej informacji.

W końcu przybyli król i królowa, cali i zdrowi, a Ned odetchnął z ulgą, zobaczywszy, że towarzyszy im kilkunastu zbrojnych. Zabójca nie

zdołałby przedrzeć się przez tak silną ochronę. Ned mógł w końcu usiąść i nieco się rozluźnić.

Para królewska szła niespiesznie główną nawą, witając się z przyjaciółmi i protegowanymi, a także kiwając uprzejmie głowami tym, którzy składali im ukłony. Gdy w końcu znaleźli się z przodu, Jakub dał kapłanowi znak, by zaczynał.

Gdy podczas nabożeństwa ktoś ukradkiem wszedł do kaplicy, instynkt Neda natychmiast uderzył na alarm.

Nowo przybyły stanął z tyłu. Ned przyglądał mu się uważnie, nie dbając wcale o to, czy mężczyzna wie, że jest obserwowany. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był wysoki i barczysty, miał w sobie coś z żołnierza. Nie wydawał się zdenerwowany ani spięty. Oparty o ścianę, obserwował uroczystość, głaszcząc się po długich wąsach. Emanował arogancką pewnością siebie.

Ned postanowił z nim porozmawiać. Wstał i podszedł do niego. Kiedy znaleźli się obok siebie, mężczyzna przywitał go swobodnym skinieniem głowy.

– Dzień dobry, sir Nedzie – powiedział.

– Zna mnie pan…

– Wszyscy pana znają. – Zabrzmiało to jak komplement podszyty drwiną.

– …ale ja nie znam pana – dokończył Ned.

– Fawkes – przedstawił się mężczyzna. – Guy Fawkes, do usług.

– A kto tu pana zaprosił?

– Jestem przyjacielem pana młodego, jeśli to pana interesuje.

Człowiek, który zamierzałby za moment zabić króla, nie byłby w stanie przekomarzać się z nim w ten sposób. Mimo to wydawał się Nedowi podejrzany. W jego swobodnych manierach, skrywanym lekceważeniu i ironicznym tonie kryło się coś, co wskazywało na buntowniczą naturę. Ned postanowił dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Nie spotkaliśmy się jeszcze – powiedział.

– Pochodzę z Yorku. Mój ojciec był prokuratorem w tamtejszym sądzie konsystorskim.

– Ach… – A więc był prawnikiem w kościelnym trybunale. Takie stanowisko mógł zajmować tylko protestant o nieposzlakowanej opinii, który musiał złożyć przysięgę wierności budzącą odrazę wśród katolików. Fawkes niemal na pewno był niegroźny.

Mimo to, wracając na swoje miejsce, Ned postanowił mieć go na oku.

II

Rollo Fitzgerald przechadzał się po Westminsterze, szukając słabych punktów.

Pośrodku kompleksu mniejszych i większych budynków znajdował się dziedziniec zwany Westminster Yard. Rollo denerwował się trochę, że wzbudzi czyjeś podejrzenia, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Po ponurym placu kręciły się prostytutki, a po zmroku z pewnością dochodziło tu do różnych innych nikczemności. Cały kompleks otoczony był murem z bramami, ale te rzadko zamykano, nawet nocą. W obrębie ogrodzenia znajdowały się budynki parlamentu oraz kilka tawern, piekarnia i winiarnia z rozległymi piwniczkami.

Izba Lordów, w której król otwierał sesję parlamentu, była zbudowana na planie litery H. Największa sala, w której odbywały się obrady, odpowiadała poziomej kresce. W jednej z pionowych kresek znajdowała się Komnata Księcia, wykorzystywana jako przebieralnia, a w drugiej Malowana Komnata, gdzie odbywały się spotkania komisji. Jednakże te trzy pomieszczenia znajdowały się na piętrze. Rollo bardziej interesowały te położone niżej, na parterze.

Pod Komnatą Księcia znajdowała się portiernia oraz mieszkanie Strażnika Królewskiej Garderoby. Obok ciągnęło się wąskie przejście prowadzące do kei na lewym brzegu Tamizy zwanej Schodami Parlamentu.

Poszedł do pobliskiej karczmy Wioślarz i udawał sprzedawcę drewna opałowego, który szuka miejsca na magazyn i gotów jest postawić piwo każdemu, kto podsunie mu jakąś dobrą lokalizację. Tam zdobył dwie ważne informacje: po pierwsze, Strażnik Garderoby nie potrzebował swojego mieszkania i gotów był je wynająć, a po drugie, pod mieszkaniem znajdowała się piwnica. Powiedziano mu jednak, że miejsce to jest zarezerwowane dla dworzan i nie można go udostępniać zwykłym handlarzom. Rollo zrobił zawiedzioną minę i stwierdził, że w takim razie będzie musiał szukać gdzie indziej. Stali bywalcy karczmy podziękowali mu za darmowe piwo i życzyli powodzenia.

Już wcześniej zwerbował współspiskowca, dworzanina Thomasa Percy'ego. Jako katolik, Percy nie mógł nigdy zostać królewskim doradcą, ale Jakub przydzielił go do oddziału reprezentacyjnych królewskich gwardzistów. Wsparcie Percy'ego bywało czasami kłopotliwe,

gwardzista miewał bowiem bardzo zmienne nastroje: niekiedy wręcz tryskał energią, potem znów wpadał w apatię, czym przypominał nieco swego przodka Hotspura z popularnej sztuki o młodości Henryka V. Teraz jednak okazał się bardzo przydatny. Za namową Rollo oznajmił, że chce wynająć mieszkanie Strażnika Garderoby, by zatrzymywać się tam z żoną w czasie, gdy przebywał na dworze. Po długich negocjacjach udało mu się dopiąć swego i wynająć je.

Był to duży krok do przodu.

Oficjalnie Rollo przyjechał do Londynu na długi proces między hrabią Tyne i jego sąsiadem, dotyczący sporu o młyn wodny. W rzeczywistości wybrał się tu, by zabić króla. Do realizacji tego planu potrzebował jednak więcej ludzi.

Guy Fawkes był człowiekiem, jakiego szukał. Jego ojciec, gorliwy protestant, zmarł, gdy Guy miał osiem lat. Później chłopca wychowywała matka katoliczka i ojczym. Jako bogaty młodzieniec, Fawkes postanowił zrezygnować z próżniaczego życia, sprzedał majątek odziedziczony po ojcu i wyruszył na poszukiwanie przygód. Opuścił Anglię i walczył po stronie Hiszpanów z protestanckimi buntownikami w Niderlandach, gdzie podczas oblężeń nauczył się przygotowywać ładunki

wybuchowe. Teraz wrócił do Londynu, gotów na nowe wyzwania i przygody.

Niestety, Fawkes był obserwowany.

Tego popołudnia wybrał się do teatru Globe na południowym brzegu Tamizy, gdzie obejrzał nową sztukę zatytułowaną *Miarka za miarkę*. Na tej samej ławce co Guy siedział Nick Bellows, niepozorny, skromnie ubrany mężczyzna, w którym Rollo rozpoznał jednego z ludzi Neda Willarda.

W tym czasie Rollo był na dole, na dziedzińcu bez miejsc siedzących. Sztuka wystawiana w Globe budziła jego niesmak. Zawarta w niej historia o silnym władcy, który obłudnie łamie własne prawa, miała bez wątpienia prowokować lekceważenie dla władzy. Rollo wypatrywał okazji, by dyskretnie porozmawiać z Guyem, ale okazało się to zaskakująco trudne. Bellows nieustannie obserwował Fawkesa, nawet gdy ten poszedł kupić kubek wina, a potem wysikać się do rzeki.

Rollo nie zdołał porozumieć się z nim do samego końca sztuki. Gdy publiczność tłoczyła się już przy wyjściu, stanął tuż za Fawkesem i wyszeptał mu prosto do ucha:

– Nie oglądaj się za siebie, wysłuchaj mnie tylko uważnie.

Być może Fawkes pracował już kiedyś w tajnych służbach, bo nie okazał po sobie zaskoczenia. Skinął tylko ledwie dostrzegalnie głową, dając w ten sposób znać, że zrozumiał.

– Jego Świątobliwość papież ma dla ciebie zadanie – szeptał dalej Rollo. – Ale śledzi cię szpieg króla Jakuba, więc najpierw się go pozbądź. Idź do karczmy i wypij kubek wina, żebym mógł cię wyprzedzić. Potem idź wzdłuż rzeki na zachód, z dala od mostu. Poczekaj, aż na brzegu będzie tylko jedna łódź, i wtedy zapłać za kurs na drugą stronę. Kiedy tam dopłyniesz, idź szybko na Fleet Street i spotkaj się ze mną w karczmie York.

Fawkes ponownie skinął głową.

Rollo odsunął się od niego, a opuściwszy teatr, przeszedł szybko po Moście Londyńskim za mury miasta, na Fleet Street. Stanął naprzeciwko karczmy York, ciekaw, czy Fawkes przyjdzie na spotkanie. Przypuszczał, że były żołnierz zareaguje na zew przygody, i nie mylił się. Po chwili na ulicy pojawił się Fawkes idący pewnym siebie krokiem. Rollo odczekał jeszcze chwilę, ale nie dostrzegł Bellowsa ani nikogo innego, więc wszedł do środka.

Fawkes siedział w rogu z dzbanem wina i dwoma kubkami. Rollo usiadł naprzeciwko

niego, zwrócony plecami do sali – z przyzwyczajenia w publicznych miejscach starał się ukrywać twarz.

– Kto mnie śledził? – spytał Fawkes.

– Nick Bellows. Mały człowieczek w szarym płaszczu, siedział w teatrze na tej samej ławce co ty.

– Nie zauważyłem go.

– Płacą mu za to, żeby go nie zauważać.

– No tak. Czego ode mnie chcesz?

– Mam do ciebie jedno proste pytanie – odrzekł Rollo. – Czy odważysz się zabić króla?

Fawkes zmierzył go groźnym, taksującym spojrzeniem. Wielu ludzi wystraszyłoby się tego wzroku, ale Rollo był równie pewny siebie jak Fawkes i śmiało patrzył mu w oczy.

– Tak – odpowiedział w końcu żołnierz.

Usatysfakcjonowany Rollo skinął głową. Lubił takie szczere, jednoznaczne rozmowy.

– Byłeś żołnierzem, wiesz, czym jest dyscyplina – powiedział.

I znów Fawkes odpowiedział tylko krótkim „Tak”.

– Od tej pory nazywasz się John Johnson.

– Czy to nie zbyt oczywiste?

– Nie spieraj się ze mną. Będziesz dozorcą w małym mieszkaniu, które właśnie

wynajęliśmy. Zaprowadzę cię tam teraz. Nie możesz wrócić do swojego mieszkania, może być obserwowane.

– Zostawiłem tam parę pistoletów, które wolałbym odzyskać.

– Wyślę kogoś po twoje rzeczy, kiedy będę miał pewność, że zagrożenie minęło.

– Zgoda.

– Powinniśmy już iść.

– Gdzie jest to mieszkanie?

– W Westminsterze. W Izbie Lordów.

III

Zrobiło się już ciemno, a na dodatek padał deszcz, ale londyńskie karczmy i sklepy były jasno oświetlone pochodniami i latarniami, Margery miała więc pewność, że się jej nie przywidziało, gdy po drugiej stronie ulicy zobaczyła brata. Stał przed gospodą Biały Łabędź i żegnał się z wysokim mężczyzną, który wydawał się Margery znajomy.

Nie widziała brata od pięciu lat i wcale jej to nie przeszkadzało: nie lubiła przypominać sobie, że Rollo był Jeanem Langlais'm. Z powodu tego straszliwego sekretu przed piętnastu laty omal

nie odrzuciła oświadczyn Neda. Gdyby to jednak zrobiła, nigdy nie mogłaby mu wyjawić powodu. Bardzo go kochała, ale ostatecznie zadecydowała nie jej miłość do niego, lecz jego do niej. Wiedziała, że pragnie wieść z nią wspólnie życie, a gdyby go odtrąciła bez konkretnego i wiarygodnego powodu, do śmierci czułby się głęboko zraniony. Miała władzę nad jego życiem i nie mogła się oprzeć pokusie, by go uszczęśliwić.

Nie czuła się dobrze ze skrywaną od lat tajemnicą, lecz traktowała ją jak ból pleców, który dokuczał jej od narodzin Rogera – nigdy jej nie opuszczał, ale nauczyła się z nim żyć.

Przeszła przez ulicę. W tym czasie drugi mężczyzna odszedł, a Rollo odwrócił się, by wrócić do gospody.

– Rollo! – zawołała.

Stanął jak wryty przed drzwiami i przez moment wydawał się tak przerażony, że się o niego zaniepokoiła. Potem ją rozpoznał.

– To ty – powiedział z rezerwą.

– Nie wiedziałam, że jesteś w Londynie! Czy ten człowiek, z którym przed chwilą rozmawiałeś, to nie Thomas Percy?

– Owszem, to on.

– Tak też myślałam. Rozpoznałam go po przedwczesnej siwiźnie. – Margery nie wiedziała, jaką religię wyznaje Percy, lecz niektórzy z członków jego rodziny byli powszechnie znani jako gorliwi katolicy, nabrała więc pewnych podejrzeń. – Chyba nie wróciłeś do swoich starych intryg, co?

– Oczywiście, że nie. To już przeszłość.

– Mam nadzieję. – Nie była do końca przekonana. – Więc co tutaj robisz?

– Reprezentuję w sądzie hrabiego Tyne. Procesuje się z sąsiadem o młyn wodny.

Wiedziała, że to prawda, wspominał jej o tym młodszy syn.

– Roger mówi, że za wszystkie opłaty sądowe i łapówki można by już kupić ze trzy takie młyny.

– Mój bystry siostrzeniec ma rację. Ale hrabia jest uparty. Chodź do środka.

Weszli do gospody i usiedli. Mężczyzna z wielkim czerwonym nosem bez pytania przyniósł Rollo kubek wina. Jego ważna mina sugerowała, że jest właścicielem lokalu.

– Dziękuję, Hodgkinson – rzucił Rollo.

– Coś dla pani? – spytał mężczyzna.

– Piwo poproszę – odpowiedziała Margery. – Mieszkasz tu? – spytała, kiedy Hodgkinson odszedł.

– Tak.

– Hrabia Tyne nie ma w Londynie domu? – zdziwiła się.

– Nie, wynajmuje, kiedy przyjeżdża na obrady parlamentu.

– Mógłbyś korzystać z domu Shiringów. Mój syn z radością by cię ugościł.

– Pod nieobecność Bartleta nie ma tam służby, jest tylko dozorca.

– Bartlet chętnie przysłałby ci kilku ludzi z New Castle, gdybyś go o to poprosił.

Rollo wydawał się zirytowany.

– Wtedy wydawaliby jego pieniądze na wołowinę i wino dla siebie i karmili mnie tym samym, a gdybym się poskarżył, powiedzieliby Bartletowi, że jestem kapryśny i wymagający. Wolę już gospodę.

Margery nie była pewna, czy zirytowała go ona, czy też myśl o nieuczciwych służących, postanowiła jednak porzucić ten temat. Jeśli chciał mieszkać w gospodzie, to miał pełne prawo to robić.

– No tak… A jak się w ogóle miewasz? – spytała.

– Dobrze, jak zawsze. Hrabia Tyne jest przyzwoitym chlebodawcą. A co u ciebie? Ned dobrze się czuje?

– Jest teraz w Paryżu.

– Naprawdę? – zainteresował się Rollo. – Co tam robi?

– Pracuje – odparła wymijająco. – Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem.

Rollo domyślił się, że siostra kłamie.

– Pewnie szpieguje katolików. Wszyscy wiedzą, że na tym polega jego praca.

– Daj spokój, Rollo. Sam jesteś sobie winien, próbowałeś zamordować jego królową. Nie udawaj teraz świętego oburzenia.

– Jesteś z nim szczęśliwa?

– Tak. Bóg w swej mądrości dał mi dziwne życie, ale od piętnastu lat jestem naprawdę szczęśliwa. – Zauważyła, że jego buty i rajtuzy pokryte są błotem. – Gdzieś się tak ubrudził?

– Musiałem się przejść nad rzekę.

– Po co?

– To długa historia. – Zaczął się podnosić. – Poza tym zaraz mam spotkanie.

Zrozumiała, że chce się jej pozbyć. Pocałowała go w policzek i wyszła. Nie spytała, z czym związane jest jego spotkanie, a oddalając się od gospody, zastanawiała się, dlaczego tego nie zrobiła. Odpowiedź była oczywista: sądziła, że i tak nie powie jej prawdy.

IV

Rollo wprowadził w mieszkaniu Strażnika Garderoby surowe zasady bezpieczeństwa. Wszyscy przybywali przed świtem, by nikt nie widział, jak wchodzą do budynku. Każdy przynosił ze sobą własne jedzenie i nie wychodził na zewnątrz w ciągu dnia – mogli to robić dopiero po zmroku.

Siedemdziesięcioletni Rollo zostawił ciężką pracę młodszym mężczyznom, takim jak Fawkes i Percy, lecz i oni mieli spore trudności. Wszyscy pochodzili z bogatych rodzin, nie musieli więc dotąd podejmować tak żmudnych i męczących zajęć jak kopanie.

Najpierw musieli się przebić przez ceglaną ścianę piwnicy, a potem zaczęli wygarniać zza niej ziemię. Tunel musiał być na tyle duży, by dało się do niego wciągnąć sporo trzydziestodwugalonowych beczek z prochem. Starali się oszczędzać siły i czas, wykopując otwór dokładnie pod wymiar beczek, oznaczało to jednak, że musieli pracować zgięci wpół lub w pozycji leżącej. Na dodatek w ciasnym tunelu z dnia na dzień robiło się coraz goręcej.

Za dnia jedli solone ryby, suszone mięso i rodzynki. Rollo nie pozwalał im wychodzić na

bardziej wyszukane posiłki, by nie ściągali na siebie uwagi.

Przy tego rodzaju pracy nie dało się nie ubrudzić, dlatego też był tak ubłocony, gdy przypadkiem wpadł na siostrę. Ziemię usuwaną z tunelu trzeba było najpierw przerzucać na parter, a po zmroku wynosić na zewnątrz i wyrzucać do rzeki. Rollo wystraszył się trochę, gdy Margery spytała go o ubłocone rajtuzy, wyglądało jednak na to, że uwierzyła w jego tłumaczenie.

Spiskowcy byli dyskretni, ale nie niewidzialni. Nie chroniły ich nawet ciemności, czasami bowiem wpadali na ludzi, którzy nieśli latarnie. Aby uniknąć wszelkich podejrzeń i niepotrzebnych pytań, Percy rozpowiadał, że robi w mieszkaniu remont, by dostosować je do wymogów żony. Rollo miał nadzieję, że nikt nie będzie się zastanawiał, dlaczego zwykły remont wymaga wynoszenia takich ilości ziemi.

Potem napotkali naprawdę poważną przeszkodę, która mogła zniweczyć cały plan. Wykopawszy kilkanaście stóp tunelu, trafili na grubą kamienną ścianę. Rollo dopiero wtedy uświadomił sobie, że piętrowy budynek wznoszący się nad ich głowami musi mieć przecież solidne fundamenty. Powinien był to

przewidzieć. Posuwali się teraz wolniej i przy znacznie większym nakładzie pracy, ale nie mogli się zatrzymać – nie dotarli jeszcze wystarczająco daleko pod salę obrad, by mieć pewność, że eksplozja zabije wszystkich tam zgromadzonych.

Okazało się, że kamienne fundamenty mają kilka stóp grubości. Rollo zaczął się obawiać, że nie zdążą przez nie się przebić przed uroczystością otwarcia obrad. Na szczęście datę ceremonii przesunięto z powodu wybuchu zarazy w Londynie, zyskali więc potrzebny czas.

Mimo wszystko Rollo wciąż się zamartwiał. Prace postępowały straszliwie powoli, a im dłużej trwały, tym większe było ryzyko, że zostaną zdemaskowani. Musieli się też liczyć z innym zagrożeniem: tunel mógł się w każdej chwili zawalić. Fawkes podpierał sufit grubymi belkami i deskami – twierdził, że robił coś takiego podczas oblężeń, gdy podkopywał się pod niderlandzkie miasta – Rollo nie był jednak pewien, czy rzeczywiście się na tym zna. Poruszona ziemia mogła się osunąć i pogrzebać ich wszystkich, a może nawet doprowadzić do zawalenia całego budynku, co przyniosłoby pożądany skutek tylko wtedy, gdyby w środku akurat przebywał król.

Pewnego dnia zrobili sobie przerwę i rozmawiali o tym, kto będzie w sali obrad, gdy dojdzie do wybuchu. Król Jakub miał troje dzieci. Jedenastoletni książę Henryk i czteroletni książę Karol prawdopodobnie będą towarzyszyli rodzicom podczas uroczystości.

– Jeśli ci dwaj zginą, tron odziedziczy księżniczka Elżbieta – stwierdził Percy. – Będzie moja.

Rollo już się nad tym zastanawiał.

– Musimy być gotowi do porwania jej – powiedział. – Kto będzie miał Elżbietę, będzie miał tron.

– Ona przebywa w Coombe Abbey, w hrabstwie Warwick – poinformował ich Percy.

– Będzie potrzebowała opiekuna i to on będzie rządził Anglią.

– Proponuję mojego krewniaka, hrabiego Northumberland.

Rollo skinął głową. Northumberland był jednym z najważniejszych parów i sympatyzował z katolikami. Rollo miał jednak lepszy pomysł.

– A ja proponuję hrabiego Shiring.

Pozostali nie byli zachwyceni. Rollo wiedział dlaczego: Bartlet Shiring był dobrym katolikiem, ale nie dorównywał pozycją Northumberlandowi.

Nie chcąc w niczym umniejszyć siostrzeńcowi Rollo, Percy zaproponował:

– Musimy zaplanować powstania we wszystkich tych częściach kraju, gdzie katoliccy parowie mają silną pozycję. Nie możemy pozwolić, by protestanci przedstawili własnego pretendenta.

– Mogę zająć się przygotowaniami w hrabstwie Shiring – rzekł Rollo.

– Zginie wielu ludzi – zauważył ktoś z obecnych.

Rollo nie miał cierpliwości do osób, które obawiały się rozlewu krwi. Wojna domowa oczyściłaby kraj z niepożądanych elementów.

– Protestanci zasługują na śmierć – oznajmił. – A katolicy pójdą prosto do nieba.

W tym momencie dobiegł ich dziwny dźwięk. Najpierw przypominał szum wody płynącej nad ich głowami, potem zamienił się w głuchy pomruk przywodzący na myśl lawinę. Rollo od razu pomyślał o masach ziemi osuwających się do tunelu. Pozostali najwyraźniej mieli podobne skojarzenia, bo wszyscy rzucili się w górę wąskich schodów prowadzących z piwnicy na parter.

Tu przystanęli i zaczęli ponownie nasłuchiwać. Hałas przybierał na sile

i przycichał, nie czuli jednak żadnego drżenia pod stopami. Rollo zrozumiał, że niepotrzebnie się wystraszyli. Budynkowi nie groziło zawalenie. Ale co się działo?

– Chodź ze mną – zwrócił się do Fawkesa. – Sprawdzimy to. Reszta czeka tutaj, w ciszy.

Wyprowadził Fawkesa na zewnątrz i na drugą stronę budynku. Dziwny dźwięk ustał, ale Rollo był pewien, że dochodził mniej więcej z tego miejsca, gdzie biegł ich tunel.

Na tyłach budowli, na wysokości pierwszego piętra, ciągnął się szereg okien, przez które wpadało światło na salę obrad. Pośrodku szeregu znajdowały się małe drzwi prowadzące na drewnianą zewnętrzną klatkę schodową. Rzadko z niej korzystano, bo główne wejście było po drugiej stronie. Pod schodami, na poziomie parteru, kryły się podwójne drewniane drzwi, na które Rollo nie zwrócił dotąd uwagi. Gdyby zastanawiał się nad tym wcześniej, doszedłby do wniosku, że prowadzą do magazynu, w którym ogrodnicy trzymają łopaty. Teraz po raz pierwszy oba skrzydła były otwarte. Na zewnątrz cierpliwie czekał koń pociągowy.

Rollo i Fawkes weszli do środka.

Rzeczywiście, był to magazyn, wyjątkowo duży. Rollo przypuszczał, że ma taką samą

długość i szerokość jak sala obrad powyżej. Nie był tego pewien, bo w środku zalegały ciemności rozpraszane tylko światłem wpadającym przez drzwi. Wyglądało na to, że piwnica przypomina kościelną kryptę, z potężnymi filarami podpierającymi drewniany sufit, który był jednocześnie podłogą sali obrad. Rollo uświadomił sobie z przerażeniem, że prawdopodobnie, kopiąc tunel, rozbijali podstawę jednego z tych filarów. Ryzyko osunięcia ziemi było zatem jeszcze większe, niż przypuszczał.

Pomieszczenie było niemal całkiem puste, tu i ówdzie leżały tylko kawałki drewna i puste worki, a niedaleko wejścia stał kwadratowy stół z dziurą w blacie. Rollo odgadł w końcu, co było źródłem dziwnego dźwięku: mężczyzna o czarnej od pyłu twarzy przerzucał węgiel ze sterty na wóz.

Rollo spojrzał na Fawkesa i zrozumiał, że obaj myślą o tym samym. Gdyby udało im się przejąć to pomieszczenie, mogliby ułożyć proch jeszcze bliżej króla i nie musieliby dłużej kopać tunelu.

Człowiekowi przerzucającemu węgiel przyglądała się kobieta w średnim wieku. Gdy wóz był już załadowany, mężczyzna odliczył brudnymi dłońmi monety i wręczył je kobiecie;

bez wątpienia płacił jej za węgiel. Przeniosła monety do drzwi, by przyjrzeć im się uważnie w świetle dnia, i dopiero potem podziękowała woźnicy. Gdy ten zaprzągł konia do wozu, odwróciła się w końcu do Rollo i Fawkesa.

– Dzień dobry, panowie – przywitała ich uprzejmie. – Czy mogę dla was coś zrobić?

– Co to za pomieszczenie? – spytał Rollo.

– Zdaje się, że kiedyś była tu kuchnia, w czasach gdy w sali na górze urządzano uczty. Teraz to jest mój magazyn na węgiel. A właściwie był, bo idzie wiosna, więc pozbywam się zapasów. Może kupicie trochę. To najlepszy węgiel z brzegów rzeki Tyne, daje naprawdę dużo ciepła, kiedy się pali…

– Nie potrzebujemy węgla – przerwał jej Fawkes. – Ale szukamy dużego magazynu na drewno. Nazywam się John Johnson. Jestem dozorcą mieszkania Strażnika Garderoby.

– A ja jestem Ellen Skinner, wdowa po handlarzu węglem.

– Miło mi panią poznać, pani Skinner. Czy to miejsce jest do wynajęcia?

– Wydzierżawiłam je do końca roku.

– Ale sama pani mówi, że pozbywa się zapasów, bo idzie wiosna. Kto kupuje węgiel, kiedy jest ciepło?

– Może będę chciała wykorzystać je w jakiś inny sposób – odparła chytrze.

Udawała, że nie ma ochoty podnająć im magazynu, ale Rollo dostrzegł błysk chciwości w jej oczach. Jej argumenty stanowiły tylko element negocjacji. Czuł, jak rośnie w nim nadzieja.

– Mój pan dobrze by zapłacił – wtrącił.

– Odstąpiłabym dzierżawę za trzy funty – powiedziała. – Prócz tego musielibyście płacić właścicielowi. Ode mnie bierze cztery funty rocznie.

Rollo pomyślał, że to wyjątkowa okazja, i omal nie wypowiedział tego na głos. Cena nie miała znaczenia, ale gdyby byli zbyt rozrzutni, mogliby ściągnąć na siebie uwagę, a może i podejrzenia.

Dla zachowania pozorów Fawkes zaczął się targować.

– Och, proszę pani, to chyba za dużo – obruszył się. – Myślę, że funt odstępnego za dzierżawę w zupełności wystarczy.

– Mogę zatrzymać to miejsce dla siebie. We wrześniu znów będę potrzebowała magazynu.

– No dobrze – rzucił Fawkes. – Jeden funt i dziesięć szylingów.

– Gdyby pan powiedział dwa funty, moglibyśmy od razu dobić targu.

– Niech będzie. – Fawkes wyciągnął rękę.

– Przyjemnie ubija się z panem interesy, panie Johnson – powiedziała kobieta.

– Zapewniam panią, że cała przyjemność jest po mojej stronie.

V

W akcie desperacji Ned pojechał do Paryża, by dowiedzieć się, co dzieje się w Londynie. Wciąż docierały do niego plotki o katolickich spiskach przeciwko królowi Jakubowi. Nabrał jeszcze większych podejrzeń, gdy Guy Fawkes zgubił jego człowieka i zniknął bez śladu. Niestety, plotki były frustrująco niekonkretne.

Wiele spisków skierowanych przeciwko monarchom zawiązywano właśnie w Paryżu, często z pomocą radykalnie katolickiej rodziny Gwizjuszów. Protestanci mieli tam siatkę szpiegowską założoną niegdyś przez Sylvie i Ned miał nadzieję, że jeden z jej ludzi, najpewniej Alain Gwizjusz, uzupełni luki w jego wiedzy.

Po śmierci księcia Henryka i Pierre’a Aumande’a Ned obawiał się, że Alain nie będzie mu już więcej dostarczał informacji o angielskich katolikach we Francji, okazało się

jednak, że pasierb Pierre'a sporo się nauczył od ojczyma i przejął po nim szczególną przebiegłość. Wkupił się w łaski wdowy po Henryku i zaprzyjaźnił z nowym młodym księciem, dzięki czemu nadal mieszkał w paryskim pałacu Gwizjuszów i pracował dla rodziny. Ponieważ angielscy spiskowcy ufali Gwizjuszom, Alain zbierał sporo cennych informacji o ich planach, a potem przekazywał je zaszyfrowane tajnymi kanałami. W wielu przypadkach opowieści angielskich uchodźców okazywały się czczymi przechwałkami, ale kilka razy na przestrzeni lat wskazówki Alaina doprowadziły do aresztowań.

Ned czytał wszystkie jego listy, teraz miał jednak nadzieję, że dowie się czegoś więcej dzięki spotkaniu twarzą w twarz. Podczas takich rozmów wychodziły na jaw różne szczegóły, które czasami okazywały się zaskakująco cenne.

Choć płynął do Francji przytłoczony zmartwieniami, była to dla niego nostalgiczna podróż. Wspominał swoją młodość, wielkiego Walsinghama, z którym pracował przez dwie dekady, a przede wszystkim Sylvie. W drodze na spotkanie z Alainem poszedł na rue de la Serpente i stał przez chwilę przed domem, w którym niegdyś mieścił się sklep Sylvie i gdzie mieszkała. Przypomniał sobie ten radosny dzień,

gdy zaproszono go tutaj na obiad i całował się z Sylvie w pokoju na tyłach, a także ten straszliwy dzień, gdy zabito jej matkę.

Teraz była tu rzeźnia.

Przeszedł mostem na Île de la Cité, wszedł do katedry i odmówił modlitwę dziękczynną za życie Sylvie. Co prawda była to świątynia katolicka, a on wyznawał protestantyzm, lecz od dawna już uważał, że Boga nieszczególnie obchodzą takie różnice.

Obecny król Francji miał podobne poglądy. Henryk IV podpisał edykt nantejski, który wprowadzał wolność wyznania. Nowy książę Gwizjusz był jeszcze dzieckiem, więc tym razem Gwizjusze nie zdołali zablokować negocjacji. Dzięki temu czterdziestoletnia wojna domowa dobiegła wreszcie końca. Ned podziękował Bogu także za Henryka IV. Być może Francja, podobnie jak Anglia, powoli zmierzała ku prawdziwej tolerancji.

Nabożeństwa protestanckie nadal odprawiano dyskretnie, zwykle poza murami miasta, by nie prowokować radykalnych katolików. Ned szedł dalej na południe, wzdłuż rue Saint-Jacques, przez bramy miasta i na przedmieścia. Mężczyzna siedzący na poboczu i czytający książkę był drogowskazem, kierował

ku ścieżce prowadzącej przez las do domku myśliwskiego. Tu właśnie mieściła się tajna świątynia, do której uczęszczała Sylvie, nim ją poznał. Wytropił ją Pierre Aumande, który doprowadził do rozpadu wspólnoty, ale teraz znów odprawiano tu nabożeństwa.

Alain czekał tam już na niego z żoną i dziećmi. Towarzyszyła mu również jego wieloletnia przyjaciółka Louise, wdowa po markizie Nîmes. Oboje przebywali w château de Blois, gdy zamordowano tam księcia Henryka i Pierre'a, a Ned przypuszczał, że brali udział w spisku, nikt jednak nie ośmielił się dotąd przeprowadzić śledztwa w sprawie tych zabójstw, gdyż podobno dokonano ich na zlecenie króla. Ned dostrzegł też Nath, która po wyjeździe Sylvie zajęła się sprzedażą zakazanych ksiąg. Teraz była zamożną starszą panią w futrzanej czapce.

Usiadł obok Alaina, nie odzywał się jednak aż do hymnów, gdy w kościele zrobiło się na tyle głośno, że nikt nie słyszał ich rozmowy.

– Katolicy nienawidzą króla Jakuba – powiedział Alain po francusku. – Mówią, że złamał daną im obietnicę.

– I nie kłamią – przyznał Ned. – Mimo wszystko nie mogę pozwolić, żeby go zabili. Inaczej pokój i dobrobyt, który Elżbieta

wywalczyła z takim trudem, przepadnie w piekle wojny domowej. Co jeszcze słyszałeś?

– Chcą zabić całą rodzinę królewską, wszystkich prócz małej księżniczki, którą ogłoszą królową.

– Całą rodzinę – powtórzył Ned ze zgrozą. – Krwiożercze zwierzęta.

– Zamierzają też jednocześnie zamordować wszystkich ministrów, ważnych urzędników państwowych i arystokratów.

– Więc pewnie planują spalić jakiś pałac albo coś podobnego. Mogliby to zrobić w czasie, kiedy wszyscy siedzą na jakiejś uczcie albo oglądają sztukę. – Ned uzmysłowił sobie, że sam jest jednym z ważnych urzędników państwowych i że teraz walczy już nie tylko o ratowanie króla, ale i własnego życia. – Gdzie to zrobią?

– Tego nie udało mi się ustalić.

– Słyszałeś kiedyś o niejakim Gayu Fawkesie?

Alain pokręcił głową.

– Nie. Na spotkanie z księciem Gwizjuszem przybyła cała grupa angielskich katolików, ale nie wiem, kim byli ci ludzie.

– Nie wymieniano żadnych nazwisk?

– Żadnych prawdziwych.

– Co masz na myśli?

– Jedyne nazwisko, które padło, było fałszywe.

– Jakie?
– Jean Langlais.

VI

Margery martwiła się o brata. Wszystkie jego odpowiedzi brzmiały wiarygodnie, mimo to mu nie ufała. Z drugiej strony, nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić z tymi wątpliwościami. Oczywiście zawsze mogła wyjawić Nedowi, że Jean Langlais to Rollo, ale odstręczała ją od tego myśl, że wyda własnego brata na śmierć tylko dlatego, że miał ubłocone rajtuzy.

Podczas pobytu męża w Paryżu postanowiła wybrać się do New Castle ze swoim wnukiem Jackiem, synem Rogera. Uważała to za swój obowiązek. Bez względu na to, co Jack postanowi zrobić ze swoim życiem, zawsze przyda mu się świadomość, że może liczyć na pomoc krewnych. Nie musiał ich lubić, ale powinien ich poznać. Hrabiowski tytuł stryja mógł się okazać bardziej przydatny niż pieniądze. Poza tym, po śmierci Bartleta hrabią miał zostać jego syn Swifty, kuzyn Jacka.

Jack był dociekliwym i swarliwym dwunastolatkiem. Chętnie wdawał się w dyskusje

z Rogerem i Nedem; zawsze broniąc poglądów przeciwnych do tych, które prezentowali dorośli. Ned twierdził, że Jack jest taki sam jak Margery w młodości, lecz ona nie mogła uwierzyć, że była aż tak pewna siebie. Chłopiec był drobny i podobnie jak jego babka miał ciemne kręcone włosy. Na razie był ślicznym dzieckiem, wiedziała jednak, że za rok czy dwa zacznie się przemieniać w mężczyznę i straci delikatną dziecięcą urodę. Zdaniem Margery, obserwowanie dorastających dzieci i wnuków było jedną z największych radości, jakich można zaznać u schyłku życia.

Oczywiście gdy wyjaśniła Jackowi, dlaczego powinni wybrać się z wizytą do New Castle, natychmiast się sprzeciwił.

– Chcę być poszukiwaczem przygód, jak wuj Barney – oznajmił. – Hrabiowie i inni arystokraci nie mają nic wspólnego z handlem. Siedzą tylko i zbierają pieniądze od ludzi.

– Arystokraci utrzymują w kraju pokój i stoją na straży prawa – odparła. – Nie da się handlować bez ustalonych z góry zasad. Ile srebra jest w pensie? Jaką szerokość ma jard tkaniny? Co się dzieje, gdy ludzie nie spłacają długów?

– Uchwalają prawa, które są wygodne dla nich – obruszył się Jack. – Poza tym to Gildia Kingsbridge, a nie hrabia ustala miary.

Margery uśmiechnęła się.

– Może powinieneś zostać mężem stanu, jak sir Ned, a nie poszukiwaczem przygód.

– Dlaczego?

– Masz sprecyzowane poglądy na temat rządu, więc sam mógłbyś w nim zasiadać. Niektórzy spośród najpotężniejszych ludzi na dworze byli niegdyś zdolnymi uczniami, jak ty.

Jack zamyślił się na chwilę, rozważając jej słowa. Był w tym cudownym wieku, gdy wszystko wydaje się możliwe.

Chciała jednak, by mimo wszystko zachowywał się przyzwoicie w New Castle.

– Bądź miły – powiedziała, gdy zbliżali się do celu. – Nie kłóć się ze stryjem Bartletem. Jedziesz tam, żeby zawierać przyjaźnie, a nie robić sobie wrogów.

– Rozumiem.

Nie była wcale pewna, czy wziął sobie jej zalecenia do serca, ale zrobiła wszystko, co mogła. Dziecko zawsze będzie tym, kim jest naprawdę, a nie tym, kim my byśmy chcieli, pomyślała.

Przywitał ich jej syn, hrabia Bartlet, który wkroczył już jakiś czas temu w piątą dekadę życia. Był piegowaty jak ojciec Margery, ale wzorował się na Barcie, którego uważał za swojego ojca. Fakt, że był owocem gwałtu, jakiego dopuścił się na Margery teść, jakimś cudem nie zatruł całkiem relacji między matką a synem. Podczas gdy Jack zwiedzał zamek, Margery siedziała w głównej sali z Bartletem i popijała wino.

– Mam nadzieję, że Jack i Swifty poznają się lepiej – powiedziała.

– Wątpię, czy będą tego chcieli – odparł Bartlet. – Osiem lat to w tym wieku ogromna różnica.

– Niedawno wpadłam w Londynie na twego stryja. Mieszka w gospodzie. Nie wiem, dlaczego nie korzysta z domu Shiringów.

Bartlet wzruszył ramionami.

– Byłbym zachwycony, gdyby zechciał. Przynajmniej mój leniwy dozorca zabrałby się dla odmiany do jakiejś pracy.

Służący dolał Margery wina.

– Ty też pojedziesz niedługo do Londynu na otwarcie parlamentu, prawda?

– Niekoniecznie.

– Dlaczego nie? – spytała zaskoczona.

– Powiem, że jestem chory. – Hrabiowie mieli obowiązek uczestniczenia w obradach parlamentu, ale jeśli któryś chciał się od tego wyłgać, wystarczyło, by powiedział, że jest zbyt chory, by podróżować.

– No dobrze, a tak naprawdę?

– Mam za dużo pracy tutaj.

Margery wciąż nie mogła tego zrozumieć.

– Odkąd zostałeś hrabią, nie opuściłeś ani jednej sesji parlamentu. Nie zrobił tego także twój ojciec ani dziadek. Dlatego masz dom w Londynie.

– Nowego króla nie interesują poglądy hrabiego Shiring.

Takie podejście nie pasowało do Bartleta, który podobnie jak jej pierwszy mąż i teść chętnie – i głośno – wypowiadał swoje opinie, nie bacząc na to, czy ktoś ma ochotę ich słuchać.

– Nie chcesz się sprzeciwić kolejnym antykatolickim uchwałom?

– Myślę, że już przegraliśmy tę bitwę.

– Nie wiedziałam, że jesteś takim pesymistą.

– Trzeba wiedzieć, kiedy walczyć dalej, a kiedy nie ma to już sensu. – Bartlet wstał. – Pewnie chcesz się rozgościć w swojej komnacie przed kolacją. Masz wszystko, czego ci potrzeba?

– Chyba tak.

Pocałowała go i poszła na górę. Była zdumiona i zaintrygowana. Może jednak jej starszy syn nie był taki jak Bart i Swithin. Im duma nie pozwoliłaby powiedzieć „Myślę, że już przegraliśmy tę bitwę”. Nigdy nie przyznaliby, że mogli popełnić błąd.

Być może Bartlet dorastał.

VII

Najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą częścią planu Rollo był zakup trzydziestu sześciu beczek prochu i przewiezienie ich do Westminsteru.

Wraz z dwoma spośród młodszych spiskowców przepłynął na drugą stronę rzeki i udał się do Rotherhithe, dzielnicy doków i stoczni. Tam poszli do stajni i powiedzieli stajennemu, że chcą wynająć mocny wóz o płaskim dnie i dwa konie.

– Musimy zabrać ładunek drewna ze zniszczonego statku – wyjaśnił Rollo. – Zbuduję z niego szopę.

Drewno ze starych statków często wykorzystywano w ten właśnie sposób.

Stajennego to nie interesowało. Pokazał wóz i dwa mocne konie.

– Świetnie, tego właśnie mi trzeba – powiedział Rollo.

– Powoził będzie mój człowiek, Weston – zastrzegł stajenny.

Rollo zmarszczył brwi. Nie mógł się na to zgodzić.

– Wolałbym powozić sam – oznajmił, siląc się na swobodny ton. – Mam dwóch pomocników.

Stajenny pokręcił głową.

– Jeśli Weston z wami nie pojedzie, będziecie musieli wpłacić kaucję. Inaczej nie miałbym żadnej gwarancji, że oddacie mi wóz.

– Ile? – spytał Rollo dla zachowania pozorów, bo tak czy inaczej gotów był zapłacić.

– Dziesięć funtów za konie i funt za wóz.

– Będziesz musiał dać mi jakieś pokwitowanie.

Załatwiwszy wszystkie formalności, wyjechali ze stajni i udali się do dostawcy drewna opałowego, niejakiego Pearce'a. Tam Rollo kupił wiązki chrustu i grube polana, również powiązane w pęki, i załadowali na wóz. Pearce dziwił się trochę, że Rollo chce układać wszystkie wiązki tak, by w środku pozostawała pusta przestrzeń.

– Pewnie chce pan tu ukryć jakiś inny ładunek – domyślił się.

– Nic cennego – odparł Rollo, jakby obawiał się złodziei.

Pearce pokiwał znacząco głową.

– Jasna sprawa.

Następnie pojechali do Greenwich, gdzie Rollo był umówiony z kapitanem Radcliffe'em.

Guy Fawkes obliczył, ile prochu potrzebują, by mieć pewność, że Izba Lordów zostanie całkowicie zniszczona, a wszyscy w niej obecni zginą. Właściciel pistoletu lub arkebuza może kupić skrzynkę prochu na własny użytek i nikt nie będzie mu zadawał żadnych pytań, lecz zakup takiej ilości, jakiej potrzebował Rollo, musiałby wzbudzić podejrzenia.

Jedynym rozwiązaniem było ominięcie legalnych źródeł i transakcja z przestępcą.

Radcliffe był skorumpowanym kwatermistrzem, który zaopatrywał królewską marynarkę wojenną. Połowa jego zakupów nigdy nie trafiała na pokłady okrętów – odsprzedawał je potajemnie i chował zyski do własnej kieszeni. Jedynym problemem Radcliffe'a było teraz ukrycie ogromnego majątku, jakiego dorobił się na tym procederze.

Z punktu widzenia Rollo, największą zaletą kwatermistrza było to, że nie mógł nikomu powiedzieć o sprzedaży prochu, inaczej bowiem

powieszono by go za okradanie króla. Dla własnego dobra musiał zachować milczenie.

Rollo spotkał się z nim na dziedzińcu gospody. Załadowali na wóz osiem beczek, ustawiając je jedną na drugiej między wiązkami drewna. Postronny obserwator przypuszczałby zapewne, że beczki zawierają piwo.

– Chyba spodziewacie się wojny – powiedział Radcliffe.

Rollo przygotował sobie wcześniej wiarygodne wyjaśnienie.

– Jesteśmy właścicielami statków handlowych – odparł. – Musimy się bronić.

– W rzeczy samej.

– Nie jesteśmy piratami.

– Oczywiście, że nie.

Podobnie jak Pearce, Radcliffe skłonny był uwierzyć we wszystko, czemu Rollo zaprzeczał.

Skończywszy załadunek, ułożyli na beczkach wiązki drewna – teraz nikt nie mógł dostrzec sekretnego ładunku, nawet jeśli patrzył na wóz z okna wysokiego budynku – i Rollo ruszył do Westminsteru. Jechał powoli i ostrożnie. Na ulicach Londynu często dochodziło do zderzeń, które zwykle kończyły się bójką między woźnicami, a czasami prowadziły nawet do zamieszek. Londyńczycy nie przepuszczali

podobnych okazji i często okradali wozy, gdy woźnice byli zajęci walką. Gdyby przydarzyło mu się coś podobnego, cały plan wziąłby w łeb. Powoził więc wyjątkowo spokojnie, zawsze przepuszczając inne wozy, co budziło zdziwienie, a nawet podejrzliwość innych woźniców.

Dotarł do Westminsteru bez żadnych incydentów.

Czekający na dziedzińcu Fawkes, widząc wóz, otworzył drzwi magazynu, tak że Rollo mógł wjechać do środka, nie zatrzymując się ani na moment. Odetchnął z ulgą, gdy Fawkes zamknął magazyn. Udało się!

Teraz tylko musiał zrobić to samo jeszcze trzy razy.

Fawkes wskazał na nowe drzwi w ścianie, ledwie widoczne w bladym blasku latarni.

– Zrobiłem przejście między magazynem i mieszkaniem Strażnika Garderoby – wyjaśnił. – Teraz możemy przechodzić z jednego do drugiego bez obawy, że ktoś nas zobaczy.

– Doskonale – pochwalił go Rollo. – A co z piwnicą?

– Zatkałem wejście do tunelu cegłami.

– Pokaż.

Przeszli nowym wejściem do mieszkania, a potem udali się do piwnicy. Fawkes zamurował

dziurę, którą zrobili w ścianie, ale ślady były widoczne nawet w blasku świecy.

– Weź trochę błota albo sadzy i wysmaruj nowe cegły – polecił Rollo. – Możesz je też trochę obić kilofem, żeby wyglądały na stare i podniszczone.

– Dobry pomysł.

– Chcę, żeby ten kawałek ściany nie różnił się niczym od całej reszty.

– Oczywiście. Ale i tak nikt tutaj nie przyjdzie.

– Na wszelki wypadek. Ostrożności nigdy za wiele.

Gdy wrócili do magazynu, dwaj pozostali spiskowcy właśnie wyładowywali beczki i przetaczali je na drugi koniec pomieszczenia. Rollo kazał im obłożyć beczki drewnem, i to na tyle starannie, by sterta była stabilna. Jeden z młodych mężczyzn stał na stole, bacząc, by nie włożyć stopy do dziury, a drugi podawał mu wiązki drewna, które miały trafić na szczyt sterty.

Kiedy już skończyli, Rollo przyjrzał się uważnie ich dziełu. Nikt nie podejrzewałby, że kryje się tu coś więcej niż drewno na opał. Był zadowolony.

– Nawet gdyby ktoś miał przeszukać to miejsce, prawdopodobnie nie znalazłby prochu –

stwierdził z satysfakcją.

VIII

Ned i Margery mieszkali na St Paul's Churchyard, w ładnym domu szeregowym z gruszą na tylnym podwórku. Nie był szczególnie okazały, ale dzięki dywanom i obrazom rozmieszczonym przez Margery stał się bardzo przytulny. W zimie mogli ogrzewać wnętrze, paląc w kominkach węgiel. Ned lubił ten dom także dlatego, że widział przez okno katedrę, co przypominało mu Kingsbridge.

Wrócił z Paryża późnym wieczorem, zmęczony i zatroskany. Margery przygotowała mu lekką kolację, a potem poszli do łóżka i kochali się. Rankiem opowiedział jej o swojej podróży. Była zszokowana tym, co jej wyjawił, i z trudem ukrywała emocje. Na szczęście spieszył się na spotkanie z Robertem Cecilem i wyszedł zaraz po śniadaniu, dzięki czemu Margery mogła spokojnie pomyśleć.

Mąż powiedział jej, że ktoś planuje zabić całą rodzinę królewską – prócz księżniczki Elżbiety – a także wszystkich ministrów i ważnych urzędników, co oznaczało zapewne spalenie

pałacu. Ona wiedziała jednak więcej. Bartlet zamierzał opuścić otwarcie sesji parlamentu – po raz pierwszy, odkąd został hrabią Shiring. Nie mogła zrozumieć motywów jego decyzji, teraz jednak wszystko stało się jasne. Spiskowcy chcieli uderzyć w Westminster.

Do ceremonii otwarcia zostało dziesięć dni.

Skąd Bartlet o tym wiedział? Z informacji Neda wynikało, że w spisek zamieszany jest Jean Langlais. Rollo. Najwyraźniej ostrzegł siostrzeńca, by nie przyjeżdżał do parlamentu.

Teraz wiedziała już to wszystko, ale co miała zrobić? Mogła wydać brata Nedowi i być może w końcu nie pozostanie jej nic innego, choć przerażała ją myśl, że wyśle własnego brata na śmierć. Być może jednak istniało lepsze rozwiązanie. Mogła pójść do Rollo. Wiedziała, gdzie się zatrzymał. Powie mu, że wie o wszystkim, i zagrozi, że wyjawi to mężowi. Gdyby Ned poznał prawdę, spisek nie mógłby się udać. Rollo nie miałby wyboru i zrezygnowałby ze swego planu.

Włożyła gruby płaszcz i solidne buty i wyszła w londyńską jesień.

W gospodzie Biały Łabędź znalazła czerwononosego właściciela.

– Dzień dobry, panie Hodgkinson – przywitała go. – Byłam tu kilka tygodni temu.

Właściciel był w kiepskim nastroju, być może dlatego, że poprzedniego wieczoru wypił za dużo własnego wina. Spojrzał na nią obojętnie.

– Nie pamiętam każdego, kto przychodzi tu na kubek wina – odparł.

– Nieważne. Chciałam się widzieć z Rollo Fitzgeraldem.

– Nie ma tu nikogo o takim nazwisku – odrzekł cierpko.

– Mieszkał tutaj!

Hodgkinson zmierzył ją wrogim spojrzeniem.

– Mogę spytać, kim pani jest?

Przybrała wyniosłą pozę.

– Jestem hrabiną Shiring i radzę panu bardziej uważać na maniery.

Właściciel natychmiast zmienił ton. Lepiej się nie kłócić z arystokratami.

– Pani hrabina wybaczy, ale nie pamiętam gościa o nazwisku, które pani wymieniła.

– Ciekawa jestem, czy w takim razie nie zatrzymał się tu któryś z jego przyjaciół, na przykład Jean Langlais?

– O, tak! – Hodgkinson pokiwał głową. – Francuskie nazwisko, ale mówił jak rodowity Anglik. Niestety, wyjechał.

– Wie pan dokąd?

– Nie, pani hrabino. Monsieur Langlais nie należy do ludzi, którzy chętnie dzielą się informacjami. Jest bardzo dyskretny.

Oczywiście.

Wyszła z gospody, zastanawiając się, co robić. Nie miała pojęcia, gdzie może być jej brat. Mogła wydać go swojemu mężowi, ale teraz nie miałoby to większego sensu, bo Ned też nie mógłby go znaleźć. Gorączkowo szukała jakiegoś rozwiązania. Spiskowcy planowali straszliwą zbrodnię, a ona musiała ich powstrzymać.

Czy dałoby się jakoś ostrzec ludzi, którzy mogliby podjąć konkretne kroki? Być może rozwiązałaby wtedy problem, nie skazując brata na śmierć. Pomyślała o anonimowym liście. Mogłaby napisać do Neda, zmieniając charakter pisma i udając jednego ze spiskowców. Nie musiała wspominać ani słowem o Rollo. Ostrzegłaby po prostu Neda, by nie pojawiał się na uroczystości otwarcia sesji parlamentu, jeśli chce zachować życie.

Tyle że taka wiadomość nie byłaby przekonująca. Dlaczego katolicki spiskowiec miałby chcieć ocalić sławnego protestanckiego dworzanina? Ale przecież gdyby list trafił w ręce

jakiegoś katolika, ten mógłby poprzeć spisek i zachować wiadomość dla siebie.

Potrzebowała pośredniego rozwiązania: człowieka, który był lojalny wobec króla, a zarazem na tyle przyjaźnie nastawiony do katolików, że ci nie chcieliby go zabić. Na dworze było kilka takich osób. Margery pomyślała o lordzie Monteagle'u, katoliku, który chciał utrzymywać pokojowe stosunki z protestanckimi rodakami. Ludzie tacy jak Rollo i Bartlet mieli go za słabeusza, ale Margery uważała, że jest rozsądny. Gdyby go ostrzegła, na pewno podniósłby alarm.

Postanowiła napisać do niego list.

Wybrała się do jednego z wielu sklepów z materiałami piśmiennymi na St Paul's Churchyard i kupiła papier w gatunku, którego zwykle nie używała. Po powrocie do domu naostrzyła pióro. Trzymając je w lewej ręce, by zmienić charakter pisma, zaczęła:

Panie, przez wzgląd na sympatię, jaką darzę niektórych spośród Twych przyjaciół, mam na uwadze Twoje dobro.

Uznała, że właśnie taki mętny styl będzie najlepiej pasował do tego listu.

Dlatego jeśli cenisz swe życie, radzę Ci znaleźć jakąś wymówkę i zrezygnować z udziału w tej sesji parlamentu.

Tu przekaz był jednoznaczny: jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Co Rollo napisałby w takim liście? Może odwołałby się do Boga?

Albowiem Bóg i człowiek postanowili ukarać nikczemność tych czasów.

Tak, podobał jej się ten apokaliptyczny ton.

Nie lekceważ tych słów, lecz udaj się na wieś, gdzie bezpiecznie będziesz czekać na wieści.

Musiała napisać coś o tym, jak dojdzie do zamachu. Wiedziała jednak tylko tyle, że, zdaniem Neda, spiskowcy zamierzali podpalić budynek. Powinna zrobić aluzję do czegoś takiego.

Bo choć nikt nie naruszy pozoru spokoju, na parlament spadnie cios straszliwy. I nikt się

nie dowie, kto go zada.

O czym jeszcze myślałby spiskowiec? O zniszczeniu dowodów?

Nie gardź tą radą, bo dobrze chce Ci czynić, a krzywdy nie zrobi. A skoro już prawdę poznasz, lepiej, byś ten list spalił.

Co napisać na koniec? Coś szczerego.

Oby Bóg dał Ci łaskę zrozumienia i pozwolił dobrze tę wiedzę wykorzystać. Polecam Cię Jego opiece.

Złożyła list i zapieczętowała, odciskając w wosku monetę i poruszając nią lekko, by rozmazać odbicie, jakby ktoś przystawił sygnet w pośpiechu.

Teraz musiała jakoś dostarczyć list.

Przypuszczała, że zobaczą ją ludzie obecni w domu Monteagle'a, może nawet on sam, potrzebowała więc przebrania.

Willardowie zatrudniali służącą, która właśnie prała bieliznę na tylnym dziedzińcu. Margery kazała jej zrobić sobie wolne i dała jej

sześciopensówkę, by mogła wybrać się na walkę niedźwiedzia z psami.

Następnie poszła do garderoby męża, włożyła jego pludry i stary wysłużony kaftan. Ned był wprawdzie szczupły, ale jego ubrania i tak były na nią za duże, więc musiała je tu i tam powypychać. Zwykli posłańcy nie nosili drogich ubrań, więc wzuła parę zniszczonych butów męża, do których wcześniej włożyła szmaty, by nie spadły jej ze stóp. Niestety, miała zbyt szczupłe kostki jak na mężczyznę. Upięła włosy do góry i przykryła je czapką Neda.

Jej mąż bardzo by się zdziwił, gdyby wrócił w tej chwili do domu. Była jednak pewna, że nie pojawi się przed wieczorem; po długiej nieobecności na pewno miał mnóstwo spraw do załatwienia. Poza tym miał zjeść kolację u Cecila. Prawdopodobieństwo, że przyjdzie niespodziewanie do domu, było znikome – a przynajmniej taką miała nadzieję.

Przejrzawszy się w lustrze, stwierdziła, że nie wygląda jak mężczyzna. Była zbyt ładna i miała za małe dłonie. Wsunęła do komina łopatę do węgla, ściągnęła nią trochę sadzy i wysmarowała sobie dłonie i twarz. Lustro powiedziało jej, że teraz jest znacznie lepiej. Przypominała

brudnego drobnego mężczyznę, który zarabia na życie jako posłaniec.

Wyszła z domu tylnymi drzwiami i ruszyła szybko ulicą. Miała nadzieję, że nie rozpozna jej żaden z sąsiadów, na których mogła natknąć się po drodze. Skierowała się na wschód, do bramy Ald, i wyszła z miasta. Polami dotarła do wioski Hoxton, gdzie Monteagle miał podmiejski dom z ogrodem. Zapukała do tylnych drzwi, bo tak właśnie postąpiłby niepozorny posłaniec.

Otworzył jej mężczyzna z ustami pełnymi jedzenia. Podała mu list i odezwała się najgrubszym głosem, jaki mogła z siebie wydobyć:

– Dla lorda Monteagle’a, bardzo ważna sprawa osobista.

Mężczyzna przeżuł jedzenie i przełknął.

– A kto jest nadawcą?

– Szlachetnie urodzony pan, który dał mi pensa.

– W porządku, staruszku, tu masz drugiego.

Wyciągnęła rękę, małą, ale brudną, wzięła monetę i ruszyła w drogę powrotną.

IX

Ned Willard i większość członków Tajnej Rady Królewskiej siedzieli przy stole w jadalni Roberta Cecila, gdy służący poinformował gospodarza, że przybył lord Monteagle, który musi z nim pilnie porozmawiać.

Cecil poprosił Neda, by z nim poszedł, i przeprosił na chwilę pozostałych gości. Monteagle czekał w sąsiednim pomieszczeniu, wyraźnie zdenerwowany. Trzymał kartkę papieru, dotykając jej tylko dwoma palcami, jakby w każdej chwili mogła eksplodować. Zaczął od zdania, które bez wątpienia ułożył już wcześniej.

– Autor tego listu najwyraźniej uważa mnie za zdrajcę. Mam jednak nadzieję, że dowiodę, jak bardzo się myli, przynosząc go panu, sekretarzowi stanu, godzinę po tym, jak trafił w moje ręce.

Ned zauważył z rozbawieniem, że wysoki, potężnie zbudowany i młody lord Monteagle wyraźnie boi się maleńkiego Cecila.

– Nikt nie wątpi w pańską lojalność – mruknął Cecil łagodnym tonem.

Nie jest to do końca prawda, pomyślał Ned, ale sekretarz stanu starał się być miły.

Monteagle wręczył mu list. Cecil zaczął czytać, marszcząc przy tym wysokie, białe czoło.

– Cóż za paskudny charakter pisma – mruknął.

Przeczytał wiadomość do końca, a potem podał ją Nedowi. Dłonie sekretarza stanu były długie i wąskie jak dłonie wysokiej kobiety.

– Jak ten list do pana trafił? – spytał Monteagle'a.

– Przyniósł mi go służący, gdy jadłem kolację. Dostał go od posłańca, który zapukał do tylnych drzwi. Mój człowiek dał mu pensa.

– Czy po przeczytaniu listu wysłał pan kogoś na poszukiwanie tego posłańca?

– Oczywiście, ale zniknął. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że mój sługa dokończył najpierw kolację i dopiero wtedy przyniósł mi list, choć przysięga, że było inaczej. Nie udało nam się odnaleźć owego człowieka, więc osiodłałem konia i przyjechałem prosto tutaj.

– Postąpił pan słusznie.

– Dziękuję.

– Co o tym sądzisz, Ned?

– Moim zdaniem, to jakieś oszustwo.

– Naprawdę? – zdumiał się Monteagle.

– Proszę spojrzeć. Autor pisze, że dba o pańskie dobro przez wzgląd na sympatię, jaką

darzy niektórych spośród pańskich przyjaciół. Wydaje się to trochę mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Ten list jest dowodem zdrady. Jeśli jakiś człowiek wie o spisku przeciwko królowi, jego obowiązkiem jest poinformowanie o tym Tajnej Rady, a jeśli tego nie zrobi, może trafić na szubienicę. Czy ktoś narażałby życie dla przyjaciela przyjaciela?

Monteagle był skonsternowany.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał. – Założyłem z góry, że to prawda.

Cecil uśmiechnął się lekko.

– Sir Ned nigdy nie zakłada niczego z góry – powiedział.

– Co więcej – mówił dalej Ned – podejrzewam, że autor pana zna, a jeśli nie pana, to kogoś, komu mógłby pan pokazać ten list.

Monteagle znów zrobił zdumioną minę.

– Skąd to przypuszczenie?

– Nikt nie pisze tak niestarannie prócz uczniów, którzy nie nauczyli się jeszcze panować nad piórem. A tymczasem dobór słów świadczy o tym, że jest to dorosła osoba. To oznacza, że ktoś celowo zmienił charakter pisma, a zrobił to dlatego, że któryś z odbiorców listu zna go na tyle dobrze, że mógłby rozpoznać ten charakter.

– To okropne. – Monteagle pokręcił głową. – Kto mógł to zrobić?

– Fraza o nikczemnych czasach to zwykłe pustosłowie – rozmyślał głośno Ned. – Najważniejsza wiadomość kryje się w następnym zdaniu. Jeśli lord Monteagle pojedzie na otwarcie sesji parlamentu, może zginąć. Przypuszczam, że ta akurat część jest prawdziwa. Pasuje do tego, czego dowiedziałem się w Paryżu.

– Jak ma się to dokonać? – spytał Cecil.

– Kluczowe pytanie. Uważam, że autor anonimu tego nie wie. Używa samych ogólników. „Na parlament spadnie cios straszliwy. I nikt się nie dowie, kto go zada”. Może chodzić o atak zadany z większej odległości, na przykład ostrzał armatni, ale poza tym nic z tego nie wynika.

Cecil skinął głową.

– Albo, oczywiście, wszystko to jest wytworem chorej wyobraźni jakiegoś szaleńca.

– Nie sądzę. – Ned pokręcił głową.

Sekretarz stanu wzruszył ramionami.

– Nie mamy żadnych konkretnych dowodów, żadnych informacji, które moglibyśmy sprawdzić – rzekł. – Anonimowy list to tylko kawałek papieru.

Miał rację, dowody były marne, ale instynkt podpowiadał Nedowi, że zagrożenie jest całkiem

realne.

– Bez względu na to, co o tym sądzimy, musimy pokazać list królowi – powiedział.

– Oczywiście – zgodził się z nim Cecil. – Jest teraz na polowaniu w hrabstwie Hertford, ale to będzie pierwsza rzecz, jaką zobaczy po powrocie do Londynu.

X

Margery zawsze wiedziała, że wcześniej czy później ten straszliwy dzień nadejdzie. Udawało jej się o tym zapominać, czasami nawet przez całe lata, i była wtedy szczęśliwa, lecz w głębi serca wiedziała, że kiedyś przyjdzie jej za to zapłacić. Oszukiwała Neda przez dziesięciolecia, ale kłamstwo zawsze powraca. Teraz właśnie nadszedł ten czas.

– Wiem, że Jean Langlais zamierza zabić króla – powiedział jej Ned, zmartwiony i zdenerwowany. – Ale nie mogę z tym nic zrobić, bo nie wiem, kim on naprawdę jest ani gdzie go szukać.

Poczucie winy paliło Margery żywym ogniem. Wiedziała, że tym nieuchwytnym człowiekiem,

na którego Ned polował przez większość życia, jest jej brat, ale zatrzymała tę wiedzę dla siebie.

Teraz wyglądało jednak na to, że Rollo zamierza zabić króla i królową oraz ich dwóch synów, a do tego wszystkich najważniejszych członków rządu, także Neda. Nie mogła na to pozwolić, lecz nadal targały nią wątpliwości, bo mogło zdarzyć się tak, że wyjawienie prawdy niczego nie zmieni. Wiedziała, kim jest Langlais, ale nie miała pojęcia, gdzie się ukrywa ani jak zamierza dokonać zamachu.

Jej mąż był jeszcze w domu. Właśnie zjedli na śniadanie jajka i popili słabym piwem. Ned wkładał już czapkę, by udać się do Roberta Cecila. Często zwlekał w takich momentach z wyjściem; stawał przy kominku i dzielił się z żoną swoimi troskami.

– Langlais zawsze był bardzo, bardzo ostrożny – powiedział teraz.

Margery wiedziała, że to prawda. Księża, których szmuglowała z bratem do Anglii, znali go tylko pod nazwiskiem Langlais i żaden z nich nie wiedział, że jest jego siostrą. To samo dotyczyło ludzi, z którymi spiskował, by uwolnić Marię Stuart i uczynić ją królową: wszyscy znali go jako Jeana Langlais'go, nikt nie miał pojęcia, że jest Rollo Fitzgeraldem. Ta ostrożność odróżniała go

od większości jego współpracowników, którzy realizowali swą misję z lekkomyślną, szaleńczą brawurą. On doceniał wartość przeciwnika, szczególnie Neda, i nigdy nie podejmował niepotrzebnego ryzyka.

– Nie możecie odwołać otwarcia sesji parlamentu? – spytała.

– Nie. Możemy ją przełożyć albo przenieść w inne miejsce, ale to by źle wyglądało. Wrogowie Jakuba mówiliby, że król jest tak znienawidzony przez lud, że z obawy przed zamachem nie śmie nawet otworzyć sesji własnego parlamentu. Jakub będzie więc musiał podjąć decyzję sam. Ale uroczystość wcześniej czy później gdzieś się odbędzie. Ktoś musi rządzić krajem.

Nie mogła już dłużej tego znieść.

– Ned, zrobiłam coś strasznego – powiedziała.

Patrzył na nią przez chwilę, nie odzywając się.

– Co? – spytał w końcu.

– Nie okłamałam cię, ale ukrywałam coś przed tobą. Myślałam, że muszę to robić. Właściwie nadal tak uważam. Będziesz na mnie wściekły.

– O czym ty mówisz, na miłość boską?

– Wiem, kim jest Jean Langlais.

Ned był w szoku.

– Co? Jak mogłaś… Kto to jest?

– Rollo.

Wyglądał tak, jakby poinformowano go właśnie o śmierci kogoś bliskiego. Zbladł i otworzył usta. Zachwiał się, a potem usiadł ciężko.

– I wiedziałaś o tym?

Margery nie mogła wydobyć głosu. Czuła się tak, jakby ktoś ją dusił. Uświadomiła sobie, że po jej policzkach spływają strumienie łez. Skinęła głową.

– Od kiedy? – spytał Ned.

Zachłysnęła się, stłumiła szloch i zdołała wykrztusić:

– Od samego początku.

– Jak mogłaś to przede mną ukrywać?

Gdy w końcu się przemogła, zaczęła mówić szybko, wyrzucając z siebie całą prawdę.

– Myślałam, że tylko przemyca do Anglii niewinnych księży, którzy będą dostarczać sakramenty katolikom. Potem ty odkryłeś, że spiskował z Marią Stuart przeciwko królowej Elżbiecie, więc wyjechał z kraju, wrócił po klęsce hiszpańskiej armady, ale mówił, że z tym skończył i że nie będzie więcej spiskował. Zagroził, że jeśli go zdradzę, wyjawi, że Bartlet i Roger pomagali przemycać księży.

– To ty napisałaś list do Monteagle’a.

Skinęła głową.

– Chciałam cię ostrzec, nie narażając brata.

– Jak się dowiedziałaś?

– Bartlet powiedział mi, że nie jedzie na otwarcie sesji parlamentu. Dotąd nigdy nie opuszczał takich okazji. Rollo musiał go ostrzec.

– A ja nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Ja, kierujący szpiegami, oszukany przez własną żonę.

– Och, Ned…

Spojrzał na nią jak na najpodlejszego zbrodniarza.

– Rollo był w Kingsbridge w dniu, w którym zginęła Sylvie – powiedział.

Jego słowa były jak pocisk. Margery poczuła nagle, że opuszczają ją siły, i osunęła się na kolana.

– Widzę, że chcesz mnie zabić – powiedziała. – Śmiało, zrób to. I tak nie będę potrafiła już żyć.

– Byłem wściekły, kiedy ludzie mówili, że nie powinienem dłużej pracować dla królowej, bo ożeniłem się z katoliczką i nie można mi już ufać. Uważałem ich wtedy za głupców. Teraz się okazuje, że to ja nim byłem.

– Nie, to nieprawda.

Obdarzył ją spojrzeniem, w którym było tyle gniewu, że omal nie pękło jej serce.

– Owszem, byłem – powiedział.
I wyszedł.

XI

Ned i Cecil spotkali się z królem Jakubem pierwszego listopada. Przyjął ich w White Hall, w pomieszczeniu zwanym Długą Galerią, które biegło od jego prywatnych komnat aż do sadu. Wisiało tu wiele obrazów oraz bezcenne draperie ze złotego i srebrnego brokatu. Król lubował się w tego rodzaju ozdobach.

Ned wiedział, że Cecil wątpi w autentyczność listu Monteagle'a i podejrzewa, że ktoś chciał im zrobić głupi żart. Nie zmienił zdania nawet po tym, jak Ned powiedział mu, że hrabia Bartlet, katolik, zamierza opuścić ceremonię otwarcia sesji parlamentu, choć nie ma ku temu żadnych powodów, i że prawdopodobnie ostrzeżono go przed zamachem.

Sekretarz stanu był gotowy podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności, ale nie chciał zmieniać daty ani miejsca ceremonii. Ned miał inny plan.

Zamierzał zrobić coś więcej niż tylko zapobiec zamachowi. Zbyt często zdarzało się, że choć był

na tropie zdrajców, ci wymykali mu się z rąk, a potem organizowali kolejny spisek. Tym razem chciał aresztować spiskowców. Dopadnie w końcu Rollo.

Cecil podał Jakubowi list do Monteagle'a.

– Oczywiście nie mogliśmy ukrywać czegoś takiego przed Waszą Wysokością – powiedział. – Z drugiej jednak strony, być może nie warto traktować tego poważnie. Nie stoją za tym żadne fakty.

– Owszem, żadne fakty, Wasza Wysokość, ale pojawiają się pewne niepokojące sygnały – wtrącił Ned. – Słyszałem w Paryżu różne plotki.

Król wzruszył ramionami.

– Plotki – mruknął.

– Można w nie nie wierzyć, ale nie wolno ich lekceważyć – odparł Ned.

– Otóż to. – Jakub przeczytał list, przysuwając go do świecy, bo zimowe światło wpadające przez okna Długiej Galerii było zbyt słabe.

Nie spieszył się z odpowiedzią, a myśli Neda powędrowały ku Margery. Nie widział jej od czasu, gdy wyjawiła mu prawdę. Spał w gospodzie. Nie wyobrażał sobie, by mógł na nią patrzeć albo z nią rozmawiać; sama myśl o spotkaniu była zbyt bolesna. Właściwie nie potrafił nawet określić emocji, które go

wypełniały; nie wiedział, czy to gniew, nienawiść czy smutek. Wolał odwrócić wzrok i zająć myśli czymś innym.

Król opuścił upierścienioną dłoń, w której trzymał list, i stał przez dłuższą chwilę nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Ned widział inteligencję w jego oczach i determinację w zaciśniętych ustach, ale dostrzegał też świadectwa rozpasania: pryszcze i podpuchnięte oczy. Przypuszczał, że trudno zachować dyscyplinę i umiar, gdy dysponuje się nieograniczoną władzą.

Jakub przeczytał list raz jeszcze, po czym zwrócił się do Cecila:

– Co proponujesz?

– Możemy w każdej chwili obstawić Westminster Yard strażami i armatami. Potem zamkniemy bramy i przeszukamy dokładnie całą okolicę. Od tego momentu będziemy dokładnie kontrolować wszystkich, którzy tam wchodzą i wychodzą, dopóki ceremonia otwarcia nie dobiegnie końca.

Tak wyglądał plan obmyślony przez Cecila, obaj jednak wiedzieli, że muszą podsuwać królowi propozycje, a nie instrukcje.

Pomimo powtarzanych często deklaracji o tym, że jako król obdarzony boskimi prawami

nie musi liczyć się ze zdaniem ludu, Jakub zawsze przykładał dużą wagę do tego, jak widzi go lud.

– Nie powinniśmy podejmować zbyt gwałtownych działań z powodu czegoś, co może się okazać zupełnie nieistotne – powiedział. – Ludzie mogliby pomyśleć, że król jest słaby i przerażony.

– Najważniejsze jest zawsze bezpieczeństwo Waszej Wysokości. Ale sir Ned ma pewną propozycję.

Jakub spojrzał pytająco na Neda i ten od razu przeszedł do rzeczy.

– Proszę rozważyć, co następuje, Wasza Wysokość. Jeżeli spisek rzeczywiście istnieje, być może nie jest jeszcze do końca przygotowany. Jeśli więc przystąpimy do działania już teraz, być może nie uda nam się odnaleźć tego, czego szukamy. Co gorsza, może się zdarzyć, że nie zdobędziemy niezbitych dowodów spisku, które moglibyśmy przedstawić przed sądem. Katolicy rozgłaszaliby wtedy, że cała ta sprawa to oszustwo i pretekst do prześladowań.

Jakub nie rozumiał jeszcze, do czego zmierza Ned.

– Ale musimy coś zrobić – rzucił.

– Oczywiście. Aby schwytać spiskowców i zgromadzić jak najwięcej obciążających dowodów, musimy uderzyć w ostatniej chwili. To pozwoli nam ochronić Waszą Wysokość zarówno przy tej okazji jak i, co ważne, w przyszłości. – Ned wstrzymał oddech: to był kluczowy moment.

Jakub spojrzał na Cecila.

– Myślę, że może mieć rację – przyznał.

– Zostawiam to osądowi Waszej Wysokości – rzekł sekretarz stanu.

Król zwrócił się ponownie do Neda:

– Dobrze. Uderz czwartego listopada.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł Ned z ulgą.

Obaj doradcy króla zaczęli się już wycofywać, składając pokłony, gdy Jakubowi przyszło do głowy jeszcze jedno pytanie:

– Wiemy może, kto stoi za tą niegodziwością?

Wszystkie emocje związane z Margery ponownie wypełniły umysł Neda i niemal wprawiły w drżenie jego ciało.

– Tak, Wasza Wysokość – odparł, z trudem panując nad głosem. – To niejaki Rollo Fitzgerald z Shiring. Muszę wyznać ze wstydem, że ów człowiek jest moim szwagrem.

– W takim razie – przemówił Jakub tonem, w którym wyraźnie pobrzmiewała groźba –

radzę ci złapać tego bydlaka.

ROZDZIAŁ 30

I

Kiedy w niedzielę trzeciego listopada spiskowcy usłyszeli o liście do Monteagle’a, zaczęli oskarżać się nawzajem o zdradę. Atmosfera w mieszkaniu Strażnika Garderoby gęstniała z minuty na minutę.

– Zrobił to jeden z nas! – warknął rozwścieczony Guy Fawkes.

Rollo obawiał się, że rozsierdzeni i agresywni młodzieńcy rozpoczną za moment bójkę.

– Nieważne, kto to zrobił – wtrącił szybko. – Ten człowiek był raczej głupcem niż zdrajcą.

– Skąd ta pewność?

– Bo zdrajca podałby nasze nazwiska. Ten idiota ostrzegł tylko Monteagle’a, by trzymał się z daleka od parlamentu.

– Rzeczywiście, to ma sens. – Fawkes się uspokoił.

– Pozostaje pytanie, w jakim stopniu nam to zaszkodziło.

– Właśnie – przytaknął Thomas Percy. – Czy możemy działać zgodnie z planem, czy musimy zrezygnować?

– Po wszystkim, co już zrobiliśmy? Nie.

– Ale jeśli Cecil i Willard wiedzą…

– Podobno list nie zawierał żadnych konkretów, a Cecil sam nie wie, co o nim myśleć – rzekł Rollo. – Nadal mamy duże szanse na powodzenie. Nie możemy poddawać się tak łatwo. Zwycięstwo jest w naszym zasięgu!

– Jak możemy to sprawdzić?

– Ty możesz to zrobić – powiedział Rollo do Percy'ego. – Chcę, żebyś jutro rano ruszył na zwiady. Odwiedź swojego krewnego, hrabiego Northumberland. Wymyśl jakiś pretekst, poproś go może o pożyczkę.

– Po co?

– Przecież mówię, że to tylko pretekst, by się nie domyślił, że tak naprawdę chcesz się dowiedzieć, co wie Tajna Rada.

– Ale w jaki sposób mam się tego dowiedzieć?

– Obserwuj jego zachowanie. Jeśli jesteś podejrzany o zdradę, hrabia na pewno już o tym wie. Będzie się denerwował w twojej obecności i próbował jak najszybciej wyprosić cię z domu.

Może nawet od razu da ci pożyczkę, byle tylko się ciebie pozbyć.

Percy wzruszył ramionami.

– Dobrze.

Wszyscy rozeszli się do swoich zajęć, zostawiając mieszkanie pod opieką Fawkesa. Następnego ranka Percy pojechał w odwiedziny do hrabiego Northumberland. Po powrocie spotkał się z Rollo w karczmie niedaleko bramy Bishop's.

– Zastałem go w Syon Place – oznajmił Percy, który był w doskonałym humorze. Rollo wiedział, że Syon Place to dwór hrabiego, kawałek na zachód od Londynu. – Od razu powiedział, że nie da mi pożyczki, nazwał mnie nicponiem i zaprosił na kolację.

– Więc niczego nie podejrzewa.

– Albo jest aktorem lepszym niż sam Richard Burbage.

– Dobra robota.

– Nie wiem tylko, czy to ostatecznie rozstrzyga sprawę.

– Na pewno daje dużą nadzieję. Pójdę do Fawkesa i przekażę mu dobre wieści.

Rollo ruszył przez Londyn. Nie czuł się bezpiecznie – był od tego daleki, wiedział bowiem, że Ned Willard jest już na tropie. Na

razie jednak jeleń miał dużą przewagę nad chartami. I wystarczyło, by utrzymał tę przewagę jeszcze tylko przez kilka godzin. Nazajutrz o tej porze będzie już po wszystkim.

Gdy jednak zbliżył się do Izby Lordów, przeżył szok.

Na tyłach budynku, gdzie znajdowało się wejście do magazynu, kilku elegancko odzianych mężczyzn opuszczało właśnie salę obrad tylnymi drzwiami i schodziło po drewnianych stopniach. Rollo nigdy dotąd nie widział, by ktokolwiek korzystał z tych drzwi.

Rozpoznał mężczyznę prowadzącego całą grupę. Był to hrabia Suffolk, który jako Lord Szambelan musiał poczynić przygotowania do otwarcia sesji parlamentu.

Towarzyszył mu lord Monteagle.

Rollo zaklął pod nosem. Nie wyglądało to dobrze.

Wycofał się i schował za rogiem budynku. Strach pchał go do ucieczki, lecz Rollo zwalczył tę pokusę. Musiał się dowiedzieć, co się tu właściwie działo. Obecność tych ludzi stanowiła straszliwe zagrożenie dla jego planu. Obserwował ich z ukrycia, gotów w każdej chwili poderwać się do biegu.

Dotarli na dół schodów i podeszli do drzwi magazynu, w którym był ukryty proch. Rollo zauważył, że wszyscy są milczący i czujni. Suffolk próbował otworzyć drzwi, ale przekonał się, że są zamknięte na klucz. Po krótkiej dyskusji kazał je wyważyć.

Zrozumiawszy, że czegoś szukają, Rollo przeżył chwilę załamania. Był przybity i wściekły zarazem. Czy to możliwe, że tak łatwo przejrzeli jego plan?

Służący Suffolka sięgnął po łom. Rollo celowo nie wzmocnił drzwi – krył się za nimi nie skarbiec, lecz magazyn, a kraty lub jakiś wymyślny zamek mogłyby tylko niepotrzebnie przyciągnąć uwagę. Dlatego też służący poradził sobie z nimi bez trudu.

Cała grupa weszła do środka.

Rollo przeszedł szybko do mieszkania Strażnika Garderoby i przebiegł do nowego przejścia przygotowanego przez Fawkesa. Otworzył cicho drzwi magazynu i zajrzał do środka. Jak zawsze, panował tu mrok, a latarnie ludzi Suffolka tylko w niewielkim stopniu rozpraszały ciemności.

Mimo to dostrzegli Guya Fawkesa.

Boże, ratuj, modlił się w duchu Rollo. Bo inaczej już po nas.

Fawkes stał z boku, w pelerynie i wysokim kapeluszu; trzymał latarnię. Wyglądało na to, że ludzie Suffolka dopiero go dostrzegli.

– Kim jesteś, człowieku? – spytał właśnie ze zdumieniem hrabia.

Rollo wstrzymał oddech.

– Nazywam się John Johnson, panie – odrzekł Fawkes, zachowując podziwu godny spokój; był żołnierzem i nieraz już musiał radzić sobie w trudnych sytuacjach.

Teraz Rollo pożałował, że nie wybrał dla niego jakiegoś mniej oczywistego pseudonimu.

– I co ty tu robisz, u diabła, Johnsonie?

– Mój pan dzierżawi ten magazyn i mieszkanie obok. Kiedy go tu nie ma, ja pełnię rolę dozorcy.

Rollo pomyślał z nadzieją, że to wyjaśnienie brzmi całkiem sensownie. Dlaczego Suffolk miałby nie uwierzyć?

– I do czego twój pan używa tego magazynu?

– Przechowuje w nim drewno na opał, jak sami panowie widzicie.

Hrabia i jego towarzysze spojrzeli z zaskoczeniem na stertę, jakby dotąd jej nie widzieli – co przy tak bladym świetle było właściwie całkiem możliwe.

– Tyle drewna do jednego mieszkania? – zdziwił się Suffolk.

Fawkes nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Rollo uświadomił sobie z konsternacją, że nie pomyślał dotąd, jak to wytłumaczyć.

– A kim jest właściwie twój pan? – pytał dalej Suffolk.

– Nazywa się Thomas Percy.

Przez grupę przebiegł cichy pomruk. Wszyscy wiedzieli, że Percy jest królewskim gwardzistą i że ma katolickich krewnych.

Strach wypełniający Rollo był tak intensywny, że niemal przyprawiał go o mdłości. Ta chwila największego zagrożenia mogła zdecydować o wszystkim. Czy komuś przyjdzie do głowy, by zajrzeć do wnętrza sterty drewna? Przypomniał sobie, jak mówił z przekonaniem: „Nawet gdyby ktoś miał przeszukać to miejsce, prawdopodobnie nie znalazłby prochu”. Teraz miał się przekonać, czy to prawda. Bał się, że nie wytrzyma już dłużej tego napięcia.

Suffolk odprowadził Monteagle’a na bok i obaj zbliżyli się do drzwi, za którymi stał Rollo. Słyszał, jak Monteagle mówi z przejęciem:

– To obciąża hrabiego Northumberland!

– Uspokój się – zmitygował go Suffolk. – Nie możemy oskarżać o zdradę jednego

z najważniejszych parów tylko dlatego, że ktoś ma za dużo drewna na opał.

– Ale coś musimy zrobić!

– Wcale nie musimy. Wystarczy, że poinformujemy Tajną Radę o tym, co tu widzieliśmy.

Rollo zrozumiał, że Suffolk nie pomyślał o tym, by przeszukać stertę drewna… na razie.

Monteagle powoli odzyskiwał spokój.

– Tak, oczywiście, proszę mi wybaczyć. Obawiam się, że cała wina spadnie na mnie tylko dlatego, że ktoś przysłał mi anonimowy list.

Rollo miał nadzieję, że zachowanie Monteagle'a rozproszyło Suffolka i odciągnęło od poszukiwań.

– Rozumiem. – Suffolk poklepał go po ramieniu i dołączyli do pozostałych.

Mężczyźni wymienili jeszcze kilka zdawkowych uwag, po czym wyszli z budynku. Fawkes natychmiast zamknął za nimi wyłamane drzwi.

– Wszystko słyszałem – powiedział Rollo, wchodząc do magazynu. – Stałem za drzwiami.

Fawkes spojrzał na niego.

– Jezu, miej nas w swojej opiece – rzucił. – Niewiele brakowało.

II

Margery żyła w otchłani rozpaczy. Jej świat legł w gruzach. Po odejściu Neda przez tydzień niewiele piła i nic nie jadła. Nie miała sił ani ochoty, by rano wstawać z łóżka. Jeśli już się do tego zmusiła, siedziała przy kominku i płakała, aż na zewnątrz zapadły ciemności i mogła wrócić do łóżka. Jej życie się skończyło. Mogła przenieść się do domu młodszego syna, Rogera, ale wtedy musiałaby się tłumaczyć, do czego nie była teraz zdolna.

Dwa dni przed otwarciem sesji parlamentu ogarnął ją lęk. Czy Ned schwytał jej brata? Czy ceremonia się odbędzie? Czy Ned tam będzie? Czy wszyscy zginą?

Włożyła płaszcz i przeszła Strandem do White Hall. Nie weszła do pałacu; stała na zewnątrz, wypatrując męża za zasłoną listopadowego mroku. Dworzanie w futrzanych czapach wchodzili do budynku i wychodzili z niego. Zrobiło jej się nagle słabo z głodu; musiała oprzeć się o mur, by nie upaść. Znad rzeki nadpłynęła zimna mgła, lecz Margery była tak przybita, że niewiele ją to obchodziło.

Żałowała z całego serca, że tak długo ukrywała tajemnicę brata. Powinna była wyznać

prawdę wiele lat temu. Konsekwencje byłyby dramatyczne bez względu na to, kiedy by to zrobiła, ale wybrała w końcu najgorszy moment, gdy Ned tak bardzo wrósł w jej świat, że nie była w stanie żyć bez niego.

W końcu go zobaczyła. Przyszedł z małą grupą mężczyzn w grubych płaszczach – być może byli to członkowie Tajnej Rady Królewskiej. Miał posępną minę. Może było to tylko złudzenie, ale wydawało jej się, że postarzał się w ciągu tego tygodnia; jego twarz przecinały głębokie zmarszczki, policzki okrył siwy zarost.

Wyszła z ukrycia i stanęła przed nim. Zatrzymał się. Wpatrywała się w jego twarz, próbując wyczytać z niej jakieś emocje. Najpierw był tylko zaskoczony. Potem zaskoczenie ustąpiło miejsca złości. Instynkt podpowiedział Margery, że próbował zapomnieć o niej i o tym, co zrobiła, a teraz był zły, że przypomniała mu o sobie. Czy prócz gniewu były tam jakieś oznaki przebaczenia, odrobina litości? Nie wiedziała.

Zadała pytanie, które ją tu przywiodło.

– Znalazłeś Rollo?

– Nie – odpowiedział, po czym minął ją i wszedł do budynku.

Ogarnął ją smutek. Tak bardzo go kochała.

Odeszła od bram pałacu i oszołomiona żalem, zawędrowała na błotnisty brzeg Tamizy. Rzeka poddawała się morskim pływom; teraz prąd przybrał na sile i wzburzona woda pędziła szybko w stronę ujścia.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wejść do rzeki. Było już niemal całkiem ciemno, prawdopodobnie nikt by jej nie zobaczył. Nie umiała pływać. Jej życie dobiegłoby końca w ciągu kilku minut. Ogarnąłby ją dojmujący chłód, przez jakiś czas, ogarnięta panicznym strachem, próbowałaby łapać powietrze, ale potem wreszcie skończyłaby się ta męczarnia.

Wiedziała, że to grzech, grzech śmiertelny, nie sądziła jednak, by piekło mogło być gorsze od tego, co właśnie przeżywała. Przypomniała sobie sztukę, w której dziewczyna odrzucona przez księcia Danii utopiła się w rzece, a para komicznych grabarzy rozmawiała o tym, czy zasługuje na chrześcijański pochówek. Gdyby teraz weszła do rzeki, nikt nawet nie dyskutowałby o jej pochówku. Silny prąd zaniósłby jej ciało daleko stąd, aż do morza, gdzie opadłaby powoli na dno i spoczęła obok żeglarzy zabitych podczas bitwy z hiszpańską armadą.

A kto odprawiłby mszę za jej duszę? Protestanci nie wierzyli w modlitwy za zmarłych,

a katolicy nie modliliby się za samobójczynię. Byłaby potępiona.

Stała na brzegu Tamizy jeszcze przez długi czas, boleśnie rozdarta, spragniona spokoju, jaki daje śmierć, i przerażona perspektywą wiecznego gniewu Boga. W końcu zobaczyła swoją stryjeczną babkę, siostrę Joan, która szła do niej przez błoto, nie taką, jaką widywała ją za życia, lecz wyprostowaną, bez lasek. Mimo ciemności widziała twarz Joan, młodszą i uśmiechniętą. Zjawa bez słowa ujęła ją pod rękę i delikatnie odprowadziła od rzeki. Kiedy zbliżały się do White Hall, Margery zobaczyła dwóch mężczyzn, którzy szli obok siebie i śmiali się z czegoś do rozpuku. Odwróciła się do Joan, by spytać, czy oni również ją widzą, ale zjawa zniknęła i Margery znów została sama.

III

W poniedziałkowe popołudnie, czwartego listopada, Rollo siedział z Guyem Fawkesem na podłodze pośrodku magazynu i wydawał mu ostatnie instrukcje.

Wyjął długi lont wykonany z wysuszonego, łatwopalnego próchna oraz hubkę i krzesiwo.

Sięgnął po nóż i zrobił na loncie kilka nacięć odległych od siebie o długość jego kciuka.

– Zapal lont i odmów *Ojcze nasz*, ani szybko, ani wolno, po prostu tak, jakbyś się modlił w kościele – powiedział.

Fawkes posłusznie zapalił lont.

– *Pater noster*… – zaczął, po czym odmówił całą modlitwę po łacinie.

Nim skończył, lont wypalił się niemal do pierwszego nacięcia.

– No dobrze, ile razy musiałbyś odmówić *Ojcze nasz*, żeby stąd uciec na bezpieczną odległość? – spytał Rollo, zdmuchnąwszy płomień.

– Żeby wyjść, zamknąć drzwi i dotrzeć do rzeki, dwa razy – odparł Fawkes, marszcząc czoło. – Żeby wsiąść do łodzi, odwiązać cumę i zabrać się do wiosłowania, następne dwa razy. I jeszcze sześć, żeby odpłynąć na bezpieczną odległość. W sumie jakieś dziesięć.

– Więc musisz przygotować lont o długości równej dziesięciu długościom kciuka – rzekł Rollo, a kiedy Fawkes skinął głową, rzucił: – Czas odbezpieczyć proch. – Wstał z podłogi.

Fawkes przyciągnął stół, wszedł na niego, i zaczął zdejmować drewno z wierzchołka sterty. Nie rzucał wiązek na ziemię, lecz podawał je

Rollo, by potem ponownie przykryć nimi beczki – na wypadek drugiego przeszukania.

Rollo czuł dziwny ucisk w brzuchu. To działo się naprawdę, wreszcie. Wkrótce zabiją króla.

Po kilku minutach dostali się do beczek.

Miał ze sobą łom i narzędzie ogrodnicze przypominające małą łopatę. Korzystając z łomu, zdjął pokrywę z najbliższej beczki i przechylił ją na bok, wysypując na ziemię ciemnoszary proch. Następnie sięgnął po łopatę i usypał na podłodze pas prochu sięgający od beczki do przedniej części sterty, który miał pełnić rolę ostatniej części lontu. Przezornie wybrał do tej pracy drewnianą łopatę, bo narzędzie z żelaza mogło skrzesać iskrę przy uderzeniu o kamienną podłogę, a gdyby do tego doszło, wylecieliby w powietrze.

Wszystko było teraz przerażająco realne, a ta świadomość wprawiała Rollo w niezwykłe podniecenie. Tu leżał proch i lont; piętro wyżej była sala obrad; nazajutrz przypadała wyznaczona data. Eksplozja miała zachwiać całym królestwem i położyć kres angielskiemu protestantyzmowi. Zwycięstwo, do którego dążył od półwiecza, było o krok. Za kilka godzin miało się dokonać dzieło jego życia.

– Musimy dokładnie ułożyć drewno – powiedział. – Koniec tego pasa prochu powinien sięgać pod wiązkę na samym przedzie.

Razem ułożyli odpowiednio wiązki.

– Dziś wieczorem rozjedziemy się do poszczególnych hrabstw, żeby w odpowiednim momencie wywołać powstanie – powiedział Rollo.

Fawkes skinął głową.

– Jutro rano, gdy będziesz miał pewność, że król jest w komnacie, podpalisz lont, ułożysz go na podłodze tak, żeby drugi koniec dotykał prochu, i uciekniesz.

– Tak jest – potwierdził Fawkes.

– Usłyszysz eksplozję, kiedy będziesz już na rzece.

– Na pewno. – Fawkes się uśmiechnął. – Usłyszą ją nawet w Paryżu.

IV

W Długiej Galerii w pałacu White Hall, zaledwie kilka minut marszu od Westminster Yard, panował pozorny spokój, lecz instynkt Neda bił głośno i nieustannie na alarm.

Robert Cecil uważał, że Thomas Percy to nieciekawe indywiduum, nie widział jednak nic złego ani podejrzanego w stercie drewna na opał. Hrabia Suffolk obawiał się politycznej awantury, jaką wywołałoby fałszywe oskarżenie skierowane przeciwko hrabiemu Northumberland. Ned był jednak pewien, że ktoś zamierza zabić króla i że nie udało im się jeszcze odnaleźć tej osoby.

Na szczęście król Jakub podzielał obawy Neda. Miał żelazną osłonę, którą często wkładał pod koszulę w sytuacjach, gdy czuł się zagrożony, i postanowił, że skorzysta z niej podczas jutrzejszej ceremonii otwarcia sesji parlamentu. Ned uważał, że to za mało, i późnym wieczorem uzyskał od króla zgodę na drugie przeszukanie Izby Lordów.

Ci spośród członków Tajnej Rady, którzy wciąż obawiali się niepotrzebnego zamieszania, wymogli na Nedzie, by grupę prowadził westminsterski sędzia pokoju, Thomas Knevett, który miał udawać, że szuka zaginionych szat należących do króla. Nedowi zależało tylko na tym, by brać udział w przeszukaniu, więc bez oporów przystał na te żądania.

Pozostali członkowie grupy nieśli latarnie, lecz on zabrał ze sobą wielką pochodnię, co

wywołało pomruki dezaprobaty tych, którzy chcieli przede wszystkim zachować dyskrecję.

– Przeszukanie to przeszukanie – obstawał przy swoim. – Jeśli nic nie widzisz, to nic nie znajdziesz.

Kiedy prowadzeni migotliwym blaskiem latarni pokonywali krótki dystans dzielący pałac White Hall od Westminster Yard, myślał o Margery. Zajmowała jego uwagę w każdym momencie, nawet gdy musiał podejmować decyzje dotyczące życia króla. Był na nią potwornie wściekły, ale rozpaczliwie za nią tęsknił. Nie znosił wieczornych powrotów do hałaśliwej gospody i samotnych nocy spędzanych w obcym łóżku. Chciał opowiadać jej o różnych rzeczach i pytać ją o zdanie. Całym sercem pragnął znów znaleźć się u jej boku. W głębi duszy cieszył się, że właśnie teraz stanął przed wyjątkowo trudnym zadaniem, mógł bowiem zająć czymś myśli i nie poddawać się rozpaczy.

Weszli do Izby Lordów głównymi drzwiami, przeszukali główną salę, dwa sąsiednie pomieszczenia, Komnatę Księcia i Malowaną Komnatę.

Niestety, Ned nie wiedział, czego właściwie szuka. Przyczajonego zamachowcy? Ukrytej armaty? Nie znaleźli niczego podejrzanego.

Jak będę się czuł, jeśli to rzeczywiście fałszywy alarm? – zastanawiał się. Wyjdę na idiotę, ale król będzie żył, a tylko to się liczy.

Na parterze znajdowało się kilka mieszkań. Przeszukali portiernię i mieszkanie Strażnika Garderoby wynajmowane przez Thomasa Percy'ego. Następnie weszli do magazynu, korzystając z drzwi, które wcześniej wyłamał sługa hrabiego Suffolka. Ned był zaskoczony ogromnymi rozmiarami tego miejsca, poza tym jednak wszystko wyglądało dokładnie tak, jak opisał to hrabia, łącznie ze sługą w pelerynie i kapeluszu strzegącym sterty drewna.

– Ty pewnie jesteś Johnson – zwrócił się do niego Ned.

– Do usług, panie.

Ned zmarszczył brwi. Ten człowiek wydawał mu się dziwnie znajomy.

– Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

– Nie, panie.

Nie był tego taki pewien, ale w migotliwym blasku pochodni i tak niewiele by zobaczył.

Odwrócił się do sterty drewna.

Była naprawdę duża. Czy Thomas Percy chciał wzniecić pożar? Ogień szybko ogarnąłby drewniany sufit, który był jednocześnie podłogą sali w Izbie Lordów. Ale taka metoda zamachu

była bardzo niepewna. Najprawdopodobniej ktoś w porę poczułby dym i królewska rodzina zostałaby wyprowadzona w bezpieczne miejsce na długo przed tym, jak budynek stanąłby w ogniu. Aby doszło do realnego zagrożenia, ogień musiałby się rozprzestrzeniać bardzo szybko, wspomagany smołą i terpentyną, jak na płonących statkach. Wtedy rzeczywiście mogłoby się zdarzyć tak, że nikt nie zdołałby uciec przed szalejącym żywiołem. Czy była tu smoła lub terpentyna? Ned nie widział żadnych pojemników, które mogłyby zawierać te substancje.

Zbliżył się do sterty. Gdy robił kolejny krok, usłyszał zdławiony okrzyk Johnsona. Odwrócił się i spojrzał na niego.

– Co się dzieje?

– Pan wybaczy, ale ta pochodnia okropnie iskrzy. Proszę uważać, żeby nie podpalić drewna.

– Jeśli drewno się zapali, można zadeptać płomień – odparł Ned, nieco zdziwiony tą histeryczną reakcją dozorcy, po czym podszedł jeszcze bliżej.

Wiązki chrustu i grubszych polan ułożono z niezwykłą starannością. Ten obraz poruszył jakieś wspomnienie ukryte głęboko w pamięci Neda. Wiedział, że kojarzy mu się z podobną

sceną z odległej przeszłości, ale nie mógł jej przywołać. Miał wrażenie, że kiedyś już stał w równie mrocznym magazynie i patrzył na stertę jakichś przedmiotów, nie pamiętał jednak, gdzie i kiedy to było.

Odwrócił się i zobaczył, że wszyscy obserwują go w milczeniu. Mieli go za wariata. Nie przejmował się tym.

Spojrzał ponownie na dozorcę Percy'ego i zauważył ostrogi przymocowane do jego butów.

– Wybierasz się gdzieś, Johnson? – spytał.

– Nie, panie.

– Więc dlaczego nosisz ostrogi?

– Jeździłem, zanim tu przyszedłem.

– Hm… Jak na człowieka, który jeździł konno w listopadowej plusze, masz zadziwiająco czyste buty. – Nie czekając na reakcję Johnsona, Ned odwrócił się ponownie do zapasu drewna.

Obok sterty stał stary stół z dziurą w blacie. Ned domyślił się, że ktoś wchodził na niego, by starannie ułożyć wiązki drewna na samej górze.

Nagle sobie przypomniał.

To była ta straszliwa noc w Paryżu, noc świętego Bartłomieja. Ukryli się z Sylvie w magazynie przy rue du Mur, gdzie trzymała zapas zakazanych ksiąg. Wsłuchiwali się w przytłumione odgłosy masakry, krzyki

walczących, jęki rannych, huk wystrzałów i oszalałe bicie setek dzwonów. Patrzył wtedy na oświetlone płomieniem latarni beczki ustawione starannie w rzędach sięgających od ściany do ściany, od podłogi do sufitu.

Lecz niektóre beczki można było odsunąć i dostać się do skrzynek z zakazaną literaturą.

– A niech mnie… – powiedział cicho.

Oddał pochodnię jednemu z mężczyzn i wszedł na stół, uważając, by nie włożyć stopy do dziury w blacie.

Kiedy już przyjął w miarę stabilną pozycję, sięgnął wysoko i zdjął górną wiązkę chrustu. Rzucił ją na ziemię i sięgał po następną, kiedy usłyszał jakieś szuranie. Odwrócił się i zobaczył dozorcę biegnącego co sił w nogach na drugą stronę magazynu.

Krzyknął ostrzegawczo, ale jeden z jego towarzyszy, Edmund Doubleday, już pędził za Johnsonem.

Dozorca dopadł drzwi w ścianie, niewidocznych dotąd w nikłym blasku lamp, i otworzył je gwałtownym szarpnięciem.

W tym momencie Doubleday rzucił się przed siebie i uderzył w niego niczym kula armatnia. Obaj runęli na ziemię.

Johnson chciał się wyrwać, ale Doubleday chwycił go za nogę. Dozorca kopnął go w twarz, lecz nim mógł ponownie rzucić się do ucieczki, otoczyli ich pozostali mężczyźni. Gdy Johnson raz jeszcze próbował się podnieść, wspólnymi siłami przycisnęli go do podłogi. Jeden usiadł na nim okrakiem, drugi złapał go za ręce, a trzeci unieruchomił mu nogi.

Johnson przestał się szamotać.

Ned zeskoczył ze stołu, podszedł i spojrzał na niego z góry. W świetle kilku latarni widział teraz wyraźnie jego twarz.

– Poznaję cię – powiedział. – Jesteś Guy Fawkes.

– Idź do diabła!

– Związcie mu ręce za plecami – polecił Ned. – I spętajcie nogi w kostkach tak, żeby mógł iść, ale nie biec.

– Nie mamy sznura – zauważył ktoś.

– Zdejmijcie z niego portki i podrzyjcie je na pasy. – Mężczyzna bez portek nie mógłby uciec daleko.

Ned dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co skłoniło go do ucieczki.

– Czego się boisz? – spytał.

Fawkes nie odpowiadał.

Zaczął uciekać wtedy, kiedy zrzuciłem drugą wiązkę drewna, rozmyślał Ned. Jakie to mogło mieć znaczenie?

– Przeszukajcie go – polecił.

Doubleday uklęknął obok pojmanego mężczyzny i sięgnął do jego kieszeni. Dzielny młodzieniec miał na twarzy dużą czerwoną plamę pozostałą po kopniaku, która zaczęła już puchnąć, wydawało się jednak, że na razie jeszcze nie czuł bólu.

Wyjął z kieszeni płaszcza Fawkesa krzesiwo z hubką i lont.

Więc miał podłożyć pod coś ogień, zgadywał dalej Ned. Na loncie widniały niewielkie nacięcia, które miały zapewne pomóc w oszacowaniu czasu potrzebnego na wypalenia całego kawałka. Chodziło być może o to, by osoba, która podpali lont, zdążyła uciec, nim…

Nim co?

Ned spojrzał ponownie na stertę drewna, a potem na mężczyznę trzymającego jego pochodnię. Nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl.

– Proszę natychmiast wynieść moją pochodnię na zewnątrz i zgasić ją – nakazał, z trudem zachowując spokój. – Natychmiast.

Człowiek, któremu oddał pochodnię, wyszedł szybko z magazynu. Ned usłyszał syk płomieni gasnących w wodzie, zapewne w pobliskim korycie dla koni, i zaczął oddychać nieco swobodniej.

Wnętrze magazynu nadal oświetlały latarnie trzymane przez pozostałych mężczyzn.

– No dobrze – powiedział. – Sprawdźmy teraz, czy za tą ścianą drewna kryje się to, co spodziewam się tam zobaczyć.

Młodsi mężczyźni zaczęli odrzucać na bok wiązki chrustu i polan. Niemal od razu Ned dostrzegł na podłodze ciemnoszary proch. Miał prawie taką samą barwę jak kamienie, z których wykonano podłogę. Wyglądał jak proch strzelniczy.

Wzdrygnął się na myśl o tym, jak blisko tego miejsca trzymał płonącą, strzelającą iskrami pochodnię. Nic dziwnego, że Fawkes się denerwował.

Za wiązkami znajdowała się otwarta przestrzeń, podobnie jak w magazynie Sylvie. Tutaj jednak nie ukryto Biblii, lecz beczki – dziesiątki beczek. Jedną z nich przechylono na bok, wysypując na podłogę kopiec prochu. Ned podniósł latarnię, by oświetlić większą przestrzeń, i oniemiał z wrażenia. W jednym

miejscu zgromadzono ponad trzydzieści beczek różnych rozmiarów, zawierających w sumie dość prochu, by zrównać z ziemią Izbę Lordów i zabić wszystkich obecnych w niej ludzi.

Łącznie z nim.

Zaskoczyła go złość, jaką poczuł na myśl, że Rollo planował zabić jego, rodzinę królewską, pozostałych członków Tajnej Rady i większość członków parlamentu.

Nie on jeden o tym myślał.

– Chcieli nas wszystkich zamordować! – zawołał Doubleday. Pozostali głośno dawali upust emocjom.

Jeden z mężczyzn stojących przy Fawkesie kopnął go w krocze, tak że zamachowiec zwinął się z bólu.

Ned rozumiał ich wściekłość, ale nie mógł pozwolić, by zakatowali więźnia.

– Będzie nam potrzebny przytomny i skłonny do rozmowy – powiedział. – Poda nam nazwiska wszystkich swoich towarzyszy.

– Szkoda – mruknął jeden z mężczyzn. – Chętnie zatłukłbym go na śmierć.

– Nie martw się – odpowiedział mu Ned. – Za kilka godzin będzie leżał rozciągnięty na kole. Będzie wył z bólu, zanim wyda przyjaciół. A kiedy już skończy, zostanie powieszony

i poćwiartowany. – Wpatrywał się przez chwilę w człowieka leżącego na podłodze. – To chyba wystarczająca kara.

V

Rollo jechał przez noc, zmieniając przy każdej okazji konie. Dotarł do New Castle rankiem we wtorek piątego listopada. Tutaj wraz z hrabią Bartletem wypatrywał niecierpliwie posłańca, który przywiezie im z Londynu radosną wieść o śmierci króla.

W zamkowej kaplicy leżały dziesiątki mieczy, muszkietów i zbroi. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o śmierci Jakuba Bartlet miał zwołać lojalnych katolików, uzbroić ich i pomaszerować na Kingsbridge, gdzie jego wuj odprawi łacińską mszę w katedrze.

Rollo miał również awaryjny plan, na wypadek gdyby z Londynu nadeszły wieści inne od tych, których oczekiwał. W pobliżu czekał szybki koń i dwie sakwy z najpotrzebniejszymi rzeczami. Pojechałby do portu Combe i popłynął pierwszym statkiem do Francji. Przy odrobinie szczęścia opuściłby kraj, nim Ned Willard

zamknąłby angielskie porty, polując na uczestników spisku prochowego.

Nie spodziewali się otrzymać jakichkolwiek wiadomości we wtorek, bo było to praktycznie niemożliwe, ale i tak na wszelki wypadek do późna nie kładli się spać. Po niespokojnej nocy Rollo wstał w środę o świcie. Czy świat się zmienił? Czy w Anglii trwało już powstanie? Był pewien, że jeszcze przed zachodem słońca poznają odpowiedzi.

Poznali je wcześniej.

Jadł śniadanie z Bartletem i resztą rodziny, gdy z dziedzińca dobiegł stukot kopyt. Wszyscy, spragnieni wiadomości, zerwali się od stołu i pobiegli do głównego wyjścia.

Po dziedzińcu kręciło się kilkunastu jeźdźców i pieszych. Na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć, kto nimi dowodzi. Rollo patrzył na twarze nowo przybyłych, szukając kogoś znajomego. Wszyscy mężczyźni byli uzbrojeni, niektórzy w miecze i sztylety, inni w broń palną.

Nagle zobaczył Neda Willarda.

Zamarł w bezruchu. Co to oznaczało? Czy plan zawiódł? A może zaczęło się powstanie, a oddział Neda próbował jeszcze bronić resztek honoru obalonego rządu protestantów?

Ned natychmiast udzielił mu odpowiedzi.

– Znalazłem twój proch! – zawołał.

Te słowa uderzyły Rollo z siłą pocisków, trafiły go prosto w serce. Spisek się nie powiódł. Rollo czuł, jak wzbiera w nim wściekłość podsycana myślą, że na przestrzeni lat Ned raz za razem niweczył jego plany. Niczego nie pragnął teraz bardziej, niż zacisnąć dłonie na jego szyi i pozbawić go życia.

Próbował zapanować nad emocjami i myśleć trzeźwo. No dobrze, znalazł proch, ale skąd wiedział, że to on go tam umieścił?

– Czy zdradziła mnie moja siostra? – spytał.

– Ukrywała twoją tajemnicę trzydzieści lat dłużej, niż powinna.

Zdradzony przez kobietę! Nigdy nie powinien był jej zaufać.

Pomyślał o koniu przyszykowanym do ucieczki. Czy miał choć najmniejsze szanse, by przechytrzyć ten tłum młodych silnych mężczyzn, dotrzeć do stajni i odjechać?

Ned jakby czytał w jego myślach. Wskazał na Rollo i powiedział:

– Pilnujcie go jak oka w głowie. Wymykał mi się przez trzydzieści lat.

Jeden ze zbrojnych podniósł arkebuz o długiej lufie i wymierzył w nos Rollo. Była to stara broń z zamkiem lontowym. Rollo dostrzegł nawet

rozżarzony lont, który wystarczyło jedynie przytknąć do panewki.

W tym momencie zrozumiał, że to już naprawdę koniec.

Hrabia Bartlet zaczął gwałtownie protestować, ale Rollo pragnął już tylko śmierci. Nie miał teraz po co żyć. Przez dziesięciolecia próbował zniszczyć heretycką monarchię i poniósł klęskę. Miał siedemdziesiąt lat i wiedział, że nie dostanie już następnej szansy.

Szeryf Matthewson, wnuk szeryfa, którego pamiętał z młodości, zwrócił się do Bartleta spokojnym, lecz stanowczym tonem:

– Proszę nie robić problemów, panie hrabio. Nikomu nie wyjdzie to na dobre.

Rozsądne tłumaczenia szeryfa i napastliwe wrzaski Bartleta zlewały się w umyśle Rollo w jednostajny, pozbawiony znaczenia hałas; miał wrażenie, że znalazł się w koszmarze sennym albo sztuce. Wciąż ogarnięty tym przedziwnym uczuciem, sięgnął do kaftana i wyjął sztylet.

Zastępca szeryfa, który mierzył do niego z arkebuza, krzyknął histerycznym głosem:

– Rzuć ten nóż!

Broń trzęsła mu się w rękach, ale zdołał utrzymać ją naprzeciwko twarzy Rollo.

Na dziedzińcu zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w Rollo.

– Zabiję cię – powiedział do zastępcy szeryfa.

Nie miał zamiaru tego robić, ale podniósł sztylet, uważając przy tym, by cały czas trzymać głowę na linii strzału arkebuza.

– Przygotuj się na śmierć – dodał.

Za plecami zastępcy szeryfa pojawił się nagle Ned.

Przerażony strzelec pociągnął za spust, a zapalony lont dotknął prochu. Rollo zobaczył błysk i usłyszał huk wystrzału, lecz rozumiał natychmiast, że odebrano mu szansę na szybką śmierć. W ostatnim momencie bowiem Ned odepchnął lufę na bok. Rollo poczuł ból z boku głowy i ciepło krwi na uchu, ale wiedział, że kula zraniła go tylko powierzchownie.

Ned pochwycił go za rękę i odebrał sztylet.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – powiedział.

VI

Margery została wezwana przed oblicze króla.

Nie byłoby to ich pierwsze spotkanie. W ciągu dwóch lat jego dotychczasowych rządów kilkakrotnie bywała zapraszana wraz z Nedem

na królewski dwór – na uczty, widowiska czy spektakle teatralne. Ned uważał Jakuba za sybarytę, którego interesują głównie zmysłowe przyjemności, ale Margery dostrzegała w nim również skłonność do okrucieństwa.

Jej brat musiał wyznać na torturach wszystko, co wiedział, wspomniał więc też zapewne o jej udziale w procederze szmuglowaniu księży do Anglii. Przypuszczała, że zostanie aresztowana, oskarżona o zdradę i stracona wraz z nim.

Pomyślała o Marii Stuart, dzielnej katolickiej męczennicy. Chciała umrzeć z godnością, jak królowa Maria. Ale Maria była królową i została miłosiernie ścięta. Zwykle kobiety, które dopuściły się zdrady, palono na stosach. Czy zdoła zachować godność i umierając, modlić się za swoich prześladowców? Czy też będzie płakać, krzyczeć, przeklinać papieża i błagać o litość? Nie miała pojęcia.

Bardziej jednak przerażała ją myśl, że ten sam los spotka Bartleta i Rogera.

Włożyła swoje najlepsze ubrania i poszła do White Hall.

Ku jej zdumieniu przed wejściem do komnaty króla czekał na nią Ned.

– Wchodzimy razem – powiedział.

– Dlaczego?

– Zobaczysz.

Był spięty i milczący. Nie potrafiła odgadnąć, czy nadal jest na nią zły.

– Zabiją mnie? – spytała.

– Nie wiem.

Nagle zakręciło jej się w głowie, bała się, że upadnie. Ned zobaczył, że się chwieje, i pochwycił ją. Przez moment była w jego ramionach, zbyt oszołomiona, by ustać o własnych siłach. Potem jednak odsunęła się od niego. Nie zasługiwała na jego objęcia.

– Poradzę sobie – powiedziała.

Przytrzymał ją jeszcze przez chwilę, a potem, gdy odzyskała już siły, wypuścił. Nadal jednak patrzył na nią z gniewnym grymasem. Co to oznaczało?

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać, gdyż chwilę potem królewski sługa skinieniem głowy dał im znać, że mają wejść.

Razem wkroczyli do Długiej Galerii. Słyszała, że król Jakub lubi organizować spotkania właśnie tutaj, bo gdy się nudzi, może patrzeć na obrazy.

Ned złożył ukłon, a Margery dygnęła.

– Człowiek, który ocalił mi życie? – przemówił Jakub.

Mówiąc, lekko się ślinił, lecz to łagodne upośledzenie pasowało do jego sybaryckich upodobań.

– Wasza Królewska Mość jest bardzo łaskawy – odparł Ned. – Oczywiście znasz, panie, lady Margery, wdowę po hrabim Shiring i moją żonę od szesnastu lat.

Jakub skinął głową, ale nie odpowiedział. Margery wywnioskowała z tej chłodnej reakcji, że król zna jej poglądy religijne.

– Chciałbym o coś poprosić Waszą Królewską Mość – odezwał się Ned.

– Odpowiedziałbym chętnie „Nawet połowę mojego królestwa”, gdyby nie smutna historia tych słów. – Odnosił się do biblijnej opowieści o Salome, która poprosiła o głowę Jana Chrzciciela na misie.

– Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek o cokolwiek prosił Waszą Wysokość, choć być może moja służba zyskała mi twoją przychylność, panie.

– Uratowałeś mnie przed tymi diabłami i ich prochem. Mnie, moją rodzinę i cały parlament – odpowiedział Jakub. – Mów śmiało. Czego pragniesz?

– Podczas przesłuchania Rollo Fitzgerald wygłosił pewne oskarżenia dotyczące

przestępstw popełnionych wiele lat temu, między rokiem siedemdziesiątym i osiemdziesiątym, za rządów królowej Elżbiety.

– O jakich przestępstwach mowa?

– Przyznał się do szmuglowania katolickich księży do Anglii.

– I tak będzie wisiał.

– Twierdzi, że miał wspólników.

– Kim byli ci ludzie?

– Nieżyjący już hrabia Shiring, Bart, jego ówczesna żona Margery, która teraz jest moją żoną, oraz ich dwóch synów, Bartlet, obecny hrabia, oraz lord Roger.

Oblicze króla spochmurniało.

– To poważny zarzut.

– Proszę, byś zechciał, panie, wziąć pod uwagę, że kobieta może zostać zdominowana przez silnego męża i równie władczego brata oraz że ani ona, ani jej dzieci nie są w pełni odpowiedzialne za zbrodnie popełnione pod tak silnym męskim wpływem.

Margery wiedziała, że to nieprawda. Była przywódczynią, a nie pomocnicą. Być może nawet przyznałaby się do tego, gdyby chodziło tylko o jej życie. Teraz jednak milczała.

– Proszę Waszą Wysokość o darowanie im życia – kontynuował Ned. – To jedyna nagroda,

jakiej pragnę za uratowanie twego życia, panie.

– Przyznam, że ta prośba nie jest mi miła – odpowiedział król.

Ned milczał.

– Ale powiadasz, że to wszystko działo się dawno temu…

– Skończyło się po klęsce hiszpańskiej armady. Od tamtego czasu Rollo Fitzgerald nie wciągał rodziny w swoją zbrodniczą działalność.

– Nie chciałbym nawet o tym słyszeć, gdyby nie twoja wybitna i długoletnia służba dla angielskiej korony.

– Służę jej całe życie, Wasza Królewska Mość.

Jakub nie wyglądał na zadowolonego, ale w końcu skinął głową.

– Dobrze. Nie wniesiemy oskarżenia przeciwko tym wspólnikom.

– Dziękuję Waszej Królewskiej Mości.

– Możecie odejść.

Ned złożył pokłon, Margery dygnęła i oboje opuścili komnatę.

Szli obok siebie bez słowa przez kolejne pomieszczenia, a potem opuścili pałac i znaleźli się na ulicy. Oboje skręcili na wschód, minęli kościół St-Martin-in-the-Fields i kroczyli dalej Strandem. Margery nie czuła nic prócz

wszechogarniającej ulgi. Nie musiała już niczego ukrywać ani udawać.

Minęli pałace ciągnące się wzdłuż brzegu Tamizy i dotarli do mniej zamożnej Fleet Street. Margery nie miała pojęcia, co dzieje się w głowie Neda, wyglądało jednak na to, że idzie z nią do domu. Czy może liczyła na zbyt wiele?

Weszli do centrum miasta bramą Lud i ruszyli w górę zbocza. Widoczna z przodu, na szczycie wzgórza, bryła katedry Świętego Pawła pochylała się nad szeregami niskich krytych strzechą domów niczym lwica nad swymi młodymi. Ned nadal milczał, lecz Margery wyczuwała zmianę w nastroju męża. Jego twarz powoli się wypogadzała, zmarszczki zrodzone z gniewu i napięcia znikały, dostrzegła nawet cień dawnego cierpkiego uśmiechu. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

Przez dłuższy czas nie reagował na ten gest, jego dłoń leżała bezwładnie w jej uścisku. Wreszcie poczuła, jak i on ściska jej palce, delikatnie, lecz stanowczo, i wiedziała już, że wszystko będzie dobrze.

VII

Powiesiliśmy go przed katedrą w Kingsbridge.

Margery i ja nie chcieliśmy stać razem z tłumem, ale nie mogliśmy też być nieobecni, więc oglądaliśmy wszystko z okna starego domu. Szlochała, gdy wyszli z ratusza i prowadzili Rollo główną ulicą, przez rynek i na szafot.

Kiedy w końcu zawisł, zaczęła się modlić za jego duszę. Jako protestant nigdy nie wierzyłem w modlitwy za dusze zmarłych, ale przyłączyłem się ze względu na nią. Zrobiłem też coś konkretniejszego, także ze względu na nią. Prawo nakazuje odciąć zdrajcę, nim umrze, wypatroszyć go żywcem i poćwiartować, ale przekupiłem kata, który pozwolił mu się udusić – ku rozczarowaniu tłumu, który chciał oglądać cierpienia zdrajcy.

Potem wycofałem się z dworskiego życia. Wróciliśmy z Margery do Kingsbridge i osiedliśmy tu na stałe. Roger, który nigdy się nie dowiedział, że jestem jego ojcem, zajął moje miejsce jako poseł z Kingsbridge. Mój bratanek Alfo został najbogatszym człowiekiem w mieście. Ja zostałem lordem Wighleigh – bardzo się przywiązałem do mieszkańców mojej małej wioski.

Rollo był więc ostatnim człowiekiem, którego wysłałem na szubienicę. Ale mam do opowiedzenia jeszcze jedną część tej historii…

EPILOG
1620

W wieku osiemdziesięciu lat Ned poświęcał mnóstwo czasu na sen. Drzemał po południu, kładł się wcześnie do łóżka, czasami przysypiał po śniadaniu, we frontowym salonie domu w Kingsbridge.

Dom zawsze był pełen ludzi. Jego syn Roger i syn Barneya, Alfo, mieli dzieci i wnuki. Roger kupił sąsiedni dom, a młodzi członkowie rodziny traktowali oba budynki jako jedną całość.

Ktoś im powiedział, że dziadek Ned wie wszystko, więc prawnuki często przybiegały do niego z różnymi pytaniami, które nieodmiennie go zadziwiały: Ile czasu trwa podróż do Egiptu? Czy Jezus miał siostrę? Jaka jest największa liczba?

Obserwował je z ogromną przyjemnością, zafascynowany przypadkowością rodzinnych

podobieństw: w jednym widział szelmowski urok Barneya, w innym niesłabnącą determinację swojej matki Alice, a jeszcze inne – mała dziewczynka – doprowadzała go do łez, gdy uśmiechała się dokładnie tak samo jak Margery.

Cechy odziedziczone po przodkach przejawiały się także na inne sposoby. Alfo był burmistrzem Kingsbridge, jak niegdyś jego dziadek Edmund. Roger został członkiem Tajnej Rady Królewskiej króla Jakuba. W New Castle hrabia Swifty był, niestety, takim samym zadufanym w sobie despotą jak kiedyś Swithin, Bart i Bartlet.

Rodzina rozrastała się niczym drzewo, a Ned i Margery obserwowali wspólnie jego rozwój, aż przed trzema laty jej życie łagodnie dobiegło końca. Czasami, kiedy był sam, wciąż z nią rozmawiał. „Alfo kupił karczmę Pod Rzeźnikiem”, powiedział, kładąc się do łóżka pewnego wieczoru. „Mały Eddie jest już wyższy ode mnie”, informował ją przy innej okazji.

Nie przeszkadzało mu wcale, że Margery nie odpowiada – i tak wiedział, co myśli. „Alfo przyciąga pieniądze jak magnes żelazo”, powiedziałaby z uśmiechem. „Lada dzień Eddie zacznie się oglądać za dziewczynami”.

Ned od lat nie był w Londynie i nie zamierzał tam jechać. Co dziwne, nie tęsknił wcale za dreszczykiem emocji, który towarzyszył tropieniu szpiegów i zdrajców, ani za politycznymi intrygami i wyzwaniami. Najbardziej brakowało mu teatru. Kochał sztuki, odkąd całą wieczność temu zobaczył historię Marii Magdaleny wystawioną w New Castle w święto Trzech Króli. W Kingsbridge nie miał jednak okazji cieszyć się zbyt często tą rozrywką; wędrowne trupy gościły tu raz lub dwa razy w roku, wystawiając sztuki na dziedzińcu gospody Bella. Na szczęście Ned niektóre ze swych ulubionych sztuk miał w postaci książek, więc zawsze mógł je poczytać. Lubił szczególnie jednego autora, choć nigdy nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Ostatnimi czasy zapominał o wielu rzeczach.

Teraz też miał na kolanach książkę, nad którą jakiś czas temu zasnął. Ciekaw, co go obudziło, podniósł wzrok i zobaczył młodego mężczyznę z ciemnymi kręconymi włosami Margery; był to jego wnuk Jack, syn Rogera. Uśmiechnął się. Jack przypominał Margery pod wieloma innymi względami: był przystojny, czarujący i zadziorny – i zdecydowanie zbyt poważnie traktował religię. Jego radykalizm sięgał jednak w kierunku

przeciwnym niż Margery – był purytaninem, co często wywoływało gwałtowne kłótnie z jego pragmatycznym ojcem.

Jack był dwudziestosiedmioletnim kawalerem. Ku zaskoczeniu rodziny został przedsiębiorcą budowlanym i całkiem nieźle na tym zarabiał. W klanie Willardów przewijali się już słynni budowniczowie, więc być może to również była kwestia dziedzictwa.

Teraz usiadł przed Nedem i powiedział:

– Mam ważne wieści, dziadku. Wyjeżdżam.

– Dlaczego? Przecież masz w Kingsbridge interes, dobrze ci się powodzi.

– Król utrudnia życie tym z nas, którzy poważnie traktują biblijne nauczanie.

Oznaczało to mniej więcej tyle, że Jack i jego purytańscy przyjaciele uparcie spierali się z Kościołem anglikańskim w wielu kwestiach doktrynalnych, a król Jakub był wobec nich równie nietolerancyjny jak wobec katolików.

– Będzie mi bardzo przykro, kiedy wyjedziesz – powiedział Ned. – Przypominasz mi twoją babkę.

– A mnie będzie przykro rozstać się z tobą, dziadku. Ale chcemy mieszkać w miejscu, gdzie będziemy mogli bez przeszkód spełniać wolę Bożą.

– Przez całe życie starałem się uczynić Anglię takim miejscem.

– Ale nie udało ci się, prawda?

– O ile mi wiadomo, i tak nie ma kraju bardziej tolerancyjnego niż Anglia. Gdzie będziesz szukał większej swobody?

– W Nowym Świecie.

– Boże jedyny! – Ned był zszokowany. – Nie sądziłem, że wybierasz się aż tak daleko. Przepraszam za bluźnierstwo, zaskoczyłeś mnie.

Jack skinął głową, przyjmując przeprosiny. Bluźniercze okrzyki, których Ned nauczył się od królowej Elżbiety, gorszyły jego wnuka niemal równie mocno jak katolików, ale Jack nie poruszał już więcej tego tematu.

– Zebraliśmy się większą grupą i postanowiliśmy założyć kolonię w Nowym Świecie.

– Niesamowita przygoda! Twoja babka Margery byłaby zachwycona. Na pewno popłynęłaby z wami.

Ned zazdrościł Jackowi młodości i odwagi. Sam nie wybierał się już w żadną podróż. Na szczęście miał mnóstwo wspomnień – z Calais, Paryża, Amsterdamu. Pamiętał każdy szczegół tych wypraw, choć czasem nie mógł sobie przypomnieć, jaki jest dzień tygodnia.

– Choć teoretycznie Jakub nadal będzie naszym królem – kontynuował Jack – mamy nadzieję, że nie będzie się tak bardzo interesował naszymi zwyczajami, bo i tak nie będzie w stanie narzucić nam swoich praw z tak wielkiej odległości.

– Przypuszczam, że masz rację. Dobrze wam życzę.

– Módl się za nas, proszę.

– Będę. Powiedz mi, jak nazywa się wasz statek, żebym mógł prosić o Bożę opiekę nad waszą trzódką.

– *Mayflower*.

– *Mayflower*… Muszę to zapamiętać.

Jack podszedł do biurka.

– Zapiszę ci to. Chcę, żebyś o nas pamiętał w swoich modlitwach.

– Dziękuję. – Ned czuł się dziwnie wzruszony tym, że wnukowi tak bardzo zależy na jego modlitwach.

Jack zapisał nazwę na skrawku papieru i odłożył pióro.

– Muszę już iść. Mam mnóstwo pracy.

– Oczywiście. I tak jestem już zmęczony. Może się trochę zdrzemnę.

– Śpij dobrze, dziadku.

– Bóg z tobą, kochany chłopcze.

Jack wyszedł, a Ned spojrzał za okno na wspaniałą zachodnią część fasady katedry. Z tego miejsca widział tylko wejście na cmentarz, gdzie leżały Sylvie i Margery. Nie zajrzał do książki. Czuł się dobrze ze swoimi myślami. Ostatnio często w zupełności mu wystarczały.

Jego umysł był jak dom, który wyposażał przez całe życie. Stołami i łóżkami były pieśni, które umiał śpiewać, sztuki, które oglądał, katedry, które widział, książki, które przeczytał po angielsku, francusku i łacinie. Dzielił ten niewidzialny dom ze swoimi bliskimi, żywymi i zmarłymi: z rodzicami, bratem, kobietami, które kochał, dziećmi. Były tam pokoje gościnne dla ważnych postaci, takich jak Francis Walsingham, William i Robert Cecil, Francis Drake i oczywiście królowa Elżbieta. Byli tam też jego wrogowie – Rollo Fitzgerald, Pierre Aumande Gwizjusz, Guy Fawkes – którzy teraz nie mogli już zrobić mu krzywdy.

Obrazy na ścianach przedstawiały chwile, gdy był dzielny albo sprytny, albo miły. Czyniły z domu szczęśliwe miejsce. A złe rzeczy, których się dopuścił, kłamstwa, które rozpowiadał, ludzie, których zdradził, i chwile, gdy zachowywał się tchórzliwie, zapisane były brzydkimi literami na ścianie przybudówki.

Jego pamięć tworzyła bibliotekę domu. Mógł wyjąć każdą z książek i natychmiast przenieść się w inne miejsce i czas: do szkoły w Kingsbridge z okresu niewinnego dzieciństwa, do pałacu Hatfield w ekscytującym roku 1558, na brzegi Sekwany w krwawą noc świętego Bartłomieja, na kanał La Manche podczas bitwy z hiszpańską armadą. Co ciekawe, postać Neda, żyjąca w tych historiach, nie pozostawała taka sama. Czasami wydawało mu się, że całkiem inna osoba uczyła się łaciny, inna uległa urokowi młodej księżniczki Elżbiety, jeszcze inna pchnęła nożem mężczyznę bez nosa na cmentarzu kościoła Saint-Julien-le-Pauvre, a jeszcze inna obserwowała, jak płonące okręty rozbijają szyk galeonów u wybrzeży Calais. Ale oczywiście były to tylko różne wersje jego, właściciela domu.

A pewnego dnia, już niedługo, ten dom runie jak inne stare budynki, a potem, całkiem szybko, wszystko obróci się w proch.

Z tą myślą osunął się w sen.

PODZIĘKOWANIA

Doradcy historyczni, z którymi konsultowałem się, pisząc *Słup ognia*, to: Mercedes Garcia-Arenal (historia Hiszpanii), nieżyjący już Roderick Graham (historia Szkocji), Robert Hutchinson (historia Anglii), Guy Le Thiec (historia Francji), Geoffrey Parker (historia Holandii).

Pomagali mi również: Anne-Laure Béatrix i Béatrice Vingtinieré w Luwrze w Paryżu; Dermot Burke w Hatfield House; Richard Dabb i Timothy Long w Muzeum Londynu; Simon Lennox, Trisha Muir i Richard Waters w zamku Loch Leven; Sarah Pattinson w zamku Carlisle; Les Read w kwestiach dotyczących teatru w szesnastowiecznej Anglii oraz Elizabeth Taylor w National Portrait Gallery w Londynie.

Moi redaktorzy to: Cherise Fisher, Leslie Gelbman, Phylis Grann, Neil Nyren, Brian Tart

i Jeremy Trevathan.

Przyjaciele i krewni, którzy służyli mi radą, to: John Clare, Barbara Follett, Emanuele Follett, Tony McWalter, Chris Manners, Charlotte Quelch, John Studzinski, Jann Turner i Kim Turner.

Wszyscy pomogliście mi napisać lepszą książkę i dziękuję wam z całego serca.

KTO JEST PRAWDZIWY?

Czytelnicy pytają mnie czasem, którzy bohaterowie danej książki są postaciami historycznymi, a którzy fikcyjnymi. Specjalnie dla tych, których to interesuje, zamieszczam poniżej listę postaci historycznych występujących w *Słupie ognia*.

Anglia

Maria Tudor, królowa Anglii
Elżbieta Tudor, jej przyrodnia siostra, późniejsza królowa
Tom Parry, skarbnik Elżbiety
Sir William Cecil, doradca Elżbiety
Robert Cecil, syn Williama
Sir Francis Walsingham, szef tajnych służb
Robert Dudley, hrabia Leicester
Sir Nicholas Throckmorton
Nicholas Heath, Lord Kanclerz
Sir Francis Drake, żeglarz, kapitan okrętu

Sir John Hawkins, komandor marynarki wojennej, podobno także pirat
Sir Francis Throckmorton
George Talbot, hrabia Shrewsbury
Bess z Hardwick
Sir Amias Paulet
Gilbert Gifford, szpieg
William Davison, sekretarz stanu królowej Elżbiety
Anthony Babington, zdrajca
Margaret Clitherow, katolicka męczennica
Howard, admirał
Philip Herbert, hrabia Pembroke, hrabia Montgomery
Edmund Doubleday
Guy Fawkes
Thomas Percy
Robert Keyes

Francja

Franciszek, książę Gwizjusz
Henryk, książę Gwizjusz, syn Franciszka
Karol Gwizjusz, kardynał Lotaryngii, brat Franciszka
Maria Gwizjusz, siostra Franciszka i matka Marii królowej Szkotów
Ludwik „Butelka” Gwizjusz, kardynał

Anna d’Este, księżna Gwizjusz
Henryk II, król Francji
Katarzyna Medycejska, królowa Francji
Diane de Poitiers, kochanka króla Henryka II
Dzieci Henryka i Katarzyny:
    Franciszek II, król Francji
    Karol IX, król Francji
    Henryk III, król Francji
    Małgorzata (Margot), królowa Nawarry
Maria Stuart, królowa Szkotów
Antoni, król Nawarry
Henryk, syn Antoniego, później Henryk IV, król Francji
Ludwik, książę Condé
Gaspard de Coligny, admirał
Charles de Louviers, zabójca
William Allen, przywódca angielskich katolików na wygnaniu
Ambroise Paré, królewski medyk
Jean de Poltrot, zabójca
Adrien de Hangest
Jean Le Charron, burmistrz Paryża

Szkocja

Jakub Stuart, brat przyrodni Marii królowej Szkotów

Jakub Stuart, syn Marii królowej Szkotów, później król Szkocji Jakub VI oraz król Anglii Jakub I
Anna Duńska, królowa Szkocji
John Leslie, biskup Ross
Sir William Douglas
Lady Agnes, jego żona
George „Gładki Geordie”, ich syn
Willie Douglas, nieślubny syn sir Williama

Hiszpania

Król Filip II
Hrabia Feria, dyplomata
Biskup Alvarez de la Cuadra
Bernardino de Mendoza, ambasador w Londynie
Alonso Perez de Guzman, siódmy książę Medyny-Sydonii, admirał hiszpańskiej armady

Niderlandy

Małgorzata Parmeńska, namiestniczka Niderlandów, siostra przyrodnia króla Filipa II
Pieter Titelmans, wielki inkwizytor

PRZYPISY

[1] J 8, 7, wszystkie cytaty biblijne za Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallottinum, 1990.

[2] *The Pastime of Pleasure* – poemat alegoryczny Stephena Hawesa.

[3] Prz 13, 24.

[4] Prz 23, 13.

[5] Bitwa pod Marignano – starcie zbrojne między wojskami Szwajcarów i Francuzów, do którego doszło 13 września 1515 r. w trakcie wojen włoskich w Lombardii.

[6] Prz 12, 23.

[7] Hi 1, 21.

[8] Ps 23, 1.

[9] Prz 15, 1.

[10] J 3, 19.